Sczytanie i przypisy: Jan Sawicki, Krzysztof Tarka
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1918 (listopad-grudzień),
rok 1919 (cały) i
rok 1920 (styczeń-marzec).
Michał Römer, sędzia okręgowy w Łomży.
Wilno, 30.XI.1918
Tom XXVI.

30 listopada, rok 1918, sobota
Spotkałem dziś na ulicy Witolda Abramowicza[1], który mię zaciągnął do Komitetu Polskiego, gdzie on stale urzęduje. Zastałem tam Nagrodzkiego[2] i Zygmunta Jundziłła[3]. Abramowicz chciał ode mnie kategorycznej odpowiedzi na propozycję objęcia redakcji nowego dziennika demokratycznego. W myśl moich wywodów, o których wspominałem w moim dzienniku przed paru dniami i wczoraj nawet – odmówiłem. Wobec mojej odmowy demokraci powierzają redakcję pisma Jundziłłowi. Osobiście bardzo się z tego wyboru cieszę. Bo jeżeli nie wiem, jakie są kwalifikacje publicystyczne Jundziłła, to wiem, że z łona demokratów ze stronnictwa Abramowicza jest on szczery i może nawet najszczerszy krajowiec, daleki od wszechpolskich szablonów nacjonalizmu, człowiek, który nie tylko rozumowo pojmuje, ale i sercem oraz całą psychiką wyczuwa skomplikowaną i odrębną indywidualność kraju, kochając go i pragnąc rzetelnie krajowi służyć. Jest on dobrym obywatelem i człowiekiem uczciwym i szczerym, który ma swoje przekonania i ma swoją wiarę. Jest może trochę za subtelny na polityka, trochę za miękki na działacza, ale człowiek z sercem i głową.
Wieczór spędziłem na herbatce u Zasztowta[4]. Oprócz mnie byli tam bracia Edward[5] i Gabriel Sokołowscy[6] i inżynier Adolf[7]. Zasztowt chciał nadać tej herbatce charakter zebrańka towarzyskiego w gronie ściślejszych przyjaciół na uczczenie mojej obecności i zaprosił jeszcze kilka osób, w tej liczbie Bagińskiego[8], Witolda Abramowicza i Krzyżanowskiego[9]. Byliby to więc ludzie, którzy niegdyś byli sobie bliscy politycznie i nieraz się w dawnych pracach politycznych spotykali i łączyli, choć dziś pod wielu względami rozbiegli się w różnych kierunkach działania. Okazuje się jednak, że polityka mocno dzieli ludzi i rozbieżność obozów i kierunków wpływa nawet na stosunki towarzyskie i kruszy więzy wspomnień dawnej współpracy. Bagiński przyjść

---

[1] Abramowicz Witold (1874 – po 1940), działacz polityczny, adwokat, od 1901 w PPS, członek Komitetu Polskiego w Wilnie, prezydent Wilna IV – X 1919, prezes Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej.
[2] Nagrodzki Zygmunt (1866-1937), działacz polityczny i oświatowy, handlowiec, właściciel składu narzędzi rolniczych w Wilnie, nakładca, właściciel księgarni.
[3] Jundziłł Zygmunt (1880-1953), prawnik, adwokat w Wilnie, działacz polityczny, profesor USB.
[4] Zasztowt Aleksander (1877-1944?), działacz polityczny, członek Socjaldemokratycznej Partii Litwy i Białorusi, dyrektor departamentu w Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej.
[5] Edward Sokołowski (1878-1932), inżynier agronom, publicysta, działacz Socjaldemokracji Królestwa Polskiego I Litwy.
[6] Gabriel Sokołowski, brak danych.
[7] Adolf , brak danych.
[8] Bagiński Stanisław (1881-1939?), prawnik, adwokat w Wilnie, 1920-1922 dyr. Departamentu ustawodawczego Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, poseł na sejm z ramienia PPS, uwięziony przez władze radzieckie, zmarł w nieznanych okolicznościach.
[9] Krzyżanowski Bronisław (1876-1943), prawnik, adwokat, działacz polityczny i społeczny, członek Komitetu Polskiego w Wilnie, wicemarszałek Sejmu Wileńskiego w 1922, senator.

nie mógł, ale Abramowicz i Krzyżanowski nie przyszli, jak się dowiedziałem, dlatego, że nie chcieli się towarzysko spotykać z Edwardem Sokołowskim, okrzyczanym za bolszewika i być u Zasztowta, który pozwolił na umieszczenie swego nazwiska na liście współpracowników socjalistycznego pisma "Новая Эра"[10], które ma wychodzić po rosyjsku. Tak daleko już jest posunięty rozdział polityczny w Wilnie. Zdaje się być faktem, że podział między demokratami burżuazyjnymi nawet radykalnego, raczej quasi-demokratycznego odcienia Abramowiczowskiego a socjalistami internacjonalnymi typu Zasztowta i Edwarda Sokołowskiego jest głębszy i istotniejszy, niż między tymiż demokratami a rzeczywistą reakcją społeczną różnych endeków itp. Jeszcze słówko o demokratach. Wspominałem przed kilku dniami w dzienniku o tym, że w szerokich kołach polskich w Wilnie popularną jest idea o przesądzeniu sprawy Litwy i jej związku z Polską, względnie, jeżeli się nie da osiągnąć związku całości, to w takim razie podziału Litwy i wcielenie jej polsko-białoruskiej części z Wilnem włącznie do Polski – siłą zbrojną. Idea taka jest popularna i pod jej hasłem, już tego właściwie nie tając, tworzy się tu kadry tej siły zbrojnej polskiej pod nazwą i płaszczykiem formalnym samoobrony[11]. Podstawą tej samoobrony są liczni w Wilnie i w kraju dowborczycy, a rozrasta się ona drogą werbunku. Wsród tych licznych metod rozwiązania, jakie się w gotującym na Litwie przesileniu już dziś uwidoczniają, ta metoda bezpośredniej siły oręża zyskuje zwolenników. I nic dziwnego, bo w chaosie i rozprzężeniu taka metoda zdaje się być najbardziej realną i ścisłą. Demokratom Abramowicza idea ta nie jest wcale obca. Ale co najciekawsze, to że Witold Abramowicz i jego przyjaciele, jak Krzyżanowski, Nagrodzki, Jan Piłsudski, wierzą, że czyn wojska polskiego zdoła pociągnąć do siebie lud litewski masowo i że przeto stanie się on nie narzędziem sforsowania przemocą, ale narzędziem ruchu ludowego w kraju, nie wyłączając Litwy etnicznej. Ufają w to i twierdzą, że mają na to ścisłe informacje. Uważam to za złudzenie.
Tak oto upływa mój pobyt w Wilnie. Muszę się znów gotować do wyjazdu, a tu w kraju zostawiam chaos. Ba, *vogue la galera*![12] Smutno mi, o kraju mój! Od polityki i smutku precz – *vivat* życie, niech żyje krew i zmysły, niech czuciem z pobytu mego w Wilnie doznam tej Litwy i tego Wilna kochanych, które się w zmaganiu politycznym tak nieszczęśnie rozkawałkowały na atomy. Toteż ucztę sobie dziś we dnie sprawiłem z piękną dziewczyną, wspaniałym okazem młodej samicy ludzkiej. Więcej przez tę jedną chwilę miałem Wilna, niż przez 10 dni politycznych konferencji.

1 grudnia, rok 1918, niedziela
Przyszli dziś do mnie w imieniu wydawnictwa „Nowiny Litewskie"[13] Jerzy Dowiatt[14], ziemianin z b. guberni kowieńskiej i Łukomski[15], adwokat z Szawel, ofiarując mi objęcie kierownictwa tego dziennika. „Nowiny Litewskie" są organem nowym, który wychodzi w Wilnie dopiero od dwóch tygodni. Dziennik ten, jak wnosić można z treści, zdaje się być organem Taryby, a przynajmniej stoi faktycznie na jej stanowisku, popierając ideę narodowego państwa litewskiego z Wilnem, przeciwstawiając się

---

[10] Rosyjskojęzyczne komunistyczne pismo wydawane w Wilnie na przełomie 1918-1919.
[11] Samoobrona Litwy i Białorusi tworzona od X 1918 na zach. Białorusi i na Wileńszczyźnie pod okupacją niem.; organizator i dowódca gen. W. Wejtko; 31 XII 1918 oddziały Samoobrony, po tym, gdy z Wilna wyszły wojska niemieckie, opanowały miasto.
[12] vogue la galere! (fr.) – niech się dzieje co chce
[13] „Nowiny Litewskie", pismo o tym tytule ukazywało się w Wilnie w latach 1905-1910, 1912 I 1915. Wznowione 24 V 1921 r. Redaktor Wacław Kozłowski.
[14] Jerzy Dowiatt, ziemianin z Litwy.
[15] Łukomski Kazimierz – adwokat w Szawlach, prezes szawelskiego oddziału Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego.

koncepcji podziałowej i uznając legalną władzę państwową w Tarybie, bez względu na jej ewentualne braki, co nie wyklucza oczywiście krytyki tejże Taryby, a nawet ewentualnie dążenia w trybie legalizmu do zastąpienia tej formy organizacji państwowej przez jakąś instytucję inną. Na zewnątrz, w społeczeństwie polskim, „Nowiny Litewskie" są okrzyczane za organ ściśle Tarybowy i jako taki są przez wszystkie żywioły polskie, wrogie Tarybie, bojkotowane. Skądinąd dochodziły do mnie wersje, że „Nowiny Litewskie" są wydawane przez grono ziemian kowieńskich, Polaków, prowadzących politykę ugodową w stosunku do Litwinów i usiłujących tą drogą krzewić zasadę lojalizmu Polaków litewskich wobec państwowych poczynań Litwinów i wobec tezy litewskiego państwa narodowego, którego formacją, bez względu na takie lub inne jej wady, jest Taryba. Że wwsród ziemian kowieńskich, nawet usposobionych opozycyjnie do obecnej Taryby, jest pewien silny prąd ugody wobec Litwinów i litewskiego państwa narodowego – to wiem i to jest faktem. Bądź co bądź, stanowisko, zajęte wobec Taryby przez „Nowiny Litewskie", zdawało mi się zbyt potulnym nawet w stosunku do tych ugodowych prądów z kół polsko-ziemiańskich guberni kowieńskiej. Faktycznym, to znaczy technicznym redaktorem „Nowin" jest Napoleon Rouba[16], stary zawodowy dziennikarz wileński, który pracował poprzednio w redakcji „Kuriera Litewskiego"[17] za czasów nie tylko krajowych, ale i endeckich tego pisma pod redakcją Józefa Hłaski[18]. Rouba poszedł do „Nowin Litewskich" głównie z głodu, bo był w latach ostatnich w nędzy strasznej, bez żadnych środków i zarobku. Nigdy nie był on ideowym zasadniczym endekiem, ale też daleki był od stanowiska narodowego litewskiego. Sam stał mniej więcej pośrodku, sprzedając zawodowo swoją pracę temu, kto go mógł opłacić. Teraz znalazł się w obozie litewskim. Daleki zresztą jestem od chęci mówienia o nim źle. Nie jest to i nie był krajowiec, zresztą już za stary na to. Zawsze był w biedzie, bo pił i nie umiał utrzymać grosza, a w pracy zawodowej dziennikarskiej szukał tylko chleba powszedniego.
Otóż obecnie w imieniu „Nowin Litewskich" z ofertą redakcyjną do mnie zgłosili się Łukomski i Dowiatt. Łukomskiego dotychczas nie znałem osobiście, ale wiem, że to jest adwokat szawelski, człowiek porządny i uczciwy, demokrata, pochodzenia, zdaje się, ziemiańskiego i szlacheckiego, a więc prawdopodobnie kulturalnie (co u nas w Litwie niekoniecznie utożsamiać należy z pojęciem narodowości) – polskiego. Zawsze jednak, o ile wiem, miał się za Litwina i za takiego uchodził. Jest to człowiek przypuszczalnie tego typu psychicznego, co Bielski[19] z Szawel lub Narutowicz[20] z Telsz: z pochodzenia Polak lub z rodziny spolonizowanej, który jednak, mieszkając i działając w narodowym społeczeństwie litewskim, w Litwie etnograficznej, na skutek także demokratycznego kierunku przekonań, doszedł do takiego związku z miejscową społecznością litewską, że się sam za Litwina określił, bo się już faktycznie nim stał. Takich ludzi w Litwie etnograficznej i na Żmudzi – bardzo dużo i coraz to więcej. Ja sam stałbym się prawdopodobnie całkowicie takim, gdybym mieszkał i był czynny nie

[16] Napoleon Rouba (1860-1929), pisarz, publicysta.
[17] „Kurier Litewski", dziennik informacyjno-polityczny, wydawany w Wilnie z przerwami w latach 1905-1915.
[18] Józef Hłasko (1856-1934), członek Ligi Polskiej, współzałożyciel Ligi Narodowej; 1906-1915 w redakcji „Dziennika Wileńskiego" w 1911, po połączeniu się z „Kurierem Wileńskim", przemianowanego na „Kurier Litewski".
[19] Bielskis Vaclovas (1870-1938), inżynier, działacz społeczno-polityczny z Szawel, publicysta, w młodości organizator tajnych kółek marksistowskich na Litwie, w 1919 komisarz do spraw rolnictwa w sowieckim rządzie Litwy.
[20] Narutowicz Stanisław (1862-1932), adwokat, działacz polityczny i społeczny na Litwie, brat Gabriela Narutowicza – prezydenta RP; 1917-1918 członek Rady Litewskiej (Taryby), jedyny Polak wwsród sygnatariuszy aktu niepodległości Litwy 16 II 1918.

w Wilnie, lecz na rdzennym terytorium etnicznym litewskim. Straciłbym wtedy tę dwoistość polsko-litewską, która mię cechuje. W każdym razie, jest to jednak typ kulturalno-psychiczny odrębny od ziemian kowieńskich, dążących do ugody z Litwinami i Litwą narodową, ale mających się jeszcze za Polaków narodowo, to znaczy od tych, którym przypisywano z pewnych kół wydawnictwo „Nowin Litewskich". Ludzie typu Łukomskiego – to już Litwini. Jerzy Dowiatt reprezentuje odmianę odrębną. Jest to element społecznie bardzo konserwatywny, litewski w idei państwowej, narodowo „tutejszy", Litwin – jakimi byli dawniej magnaci W. X. Litewskiego. Dowiatta znam od dawna. Był on prawowiedem, jak ja, jeno wcześniej ode mnie ukończył szkołę. Potem się zaczął określać za Litwina, w tym rozumieniu, w jakim wyżej wskazałem. Umysł to uparty, twardy, zdolności miernych, ale niegłupi, wykształcony i kulturalny dość po europejsku. Pismo więc, jak się przekonałem po tych dwóch ludziach, jest w istocie „tutejszo"-litewskie, państwowo zaś litewskie bezwzględnie. Ta właśnie państwowa idea litewska sprzęga w takim piśmie społecznie tak różne elementy i aspiracje, jak Łukomski i Dowiatt. Chociaż idea sama jest mi dość bliską (ewentualnie mam pewne wątpliwości co do terenu polsko-białoruskiego Litwy), nie mógłbym w tym piśmie objąć redakcji zarówno dla moich przekonań i aspiracji społecznych, które wprawdzie na razie wobec idei państwowości Litwy są podrzędne, to jednak – jestem tego pewien – już w najbliższym czasie staną się (mówię o zagadnieniach społecznych) głównym czynnikiem kształtowania wszelkich innych postulatów Litwy, nie wyłączając państwowego, jak dla tych ogólnych względów politycznych, dla których nie decyduję się jeszcze pozostać w kraju, jak wreszcie ze względu na zdecydowanie lojalny i legalistyczny stosunek pisma do Taryby obecnej. Wprawdzie Dowiatt beszta Tarybę, zarzucając jej demagogię, a Łukomski chciałby stanąć na gruncie opozycji do Taryby, ale opozycji legalnej, opierającej się na zwoływanej przez nią konferencji, to jednak wyłączają oni stanowisko względem Taryby wręcz rewolucyjne, stanowisko zamachu stanu, któremu ja sprzyjam.

2 grudnia, rok 1918, poniedziałek
Wracam jeszcze do dnia wczorajszego. Dowiattowi i Łukomskiemu dałem na ich propozycję odpowiedź odmowną, motywując ją tymi względami ogólnymi, dla których nie decyduję się jeszcze pozostać w Wilnie. Aleśmy się poza tym rozgadali i pogawędzili trochę o stosunkach i założeniach państwowości Litwy. Dowiatt rozumuje co do niepodzielności państwowej Litwy tak: bierze on pięć województw dawnego W. X. Litewskiego: wileńskie, trockie, nowogródzkie, brzeskie i Księstwo (starostwo) Żmudzkie. O całości obszarów ruskich W. X. Litewskiego nie mówi wcale. Ziemie Mińskie, Połockie, Witebskie, Mohylowskie itd. z niepodzielności wyłącza jako odrębne układem społecznym, pierwiastkami kultury itp. Zresztą o całości tamtych ziem z Litwą ściślejszą nikt już dziś konkretnie kopii nie kruszy, oprócz jednych może tylko narodowców białoruskich, którzy są zresztą bardzo słabi i, na razie przynajmniej, zdaje się swoją grę, prowadzoną w Mińsku przez Radę Białoruską[21], politycznie przegrali. Otóż bierze on tę Litwę ściślejszą (Litwa właściwa i Ruś litewska), kraj, który

[21] Rada Białoruska, utworzona w ciągu 1918 r. na podstawie Komitetu Wykonawczego Rady I Zjazdu Wszechbiałoruskiego. Przewodniczącym był Józef Waronka. 9 marca Komitet przemianował się na Radę Białoruskiej Republiki Ludowej nadając sobie kompetencje tymczasowej władzy ustawodawczej. 18 marca do Rady BRL dołączyła się Wileńska Rada Białoruska z braćmi Iwanem i Antonem Łuckiewiczami oraz Wacławem Łastowskim na czele. Poszerzona o przedstawicieli wszystkich ziem i środowisk Rada BRL 25 marca 1918 r. ogłosiła niepodległość Białorusi. Miała ona obejmować Mohylewszczyznę, Mińszczyznę, Witebszczyznę, Grodzieńszczyznę (z Białymstokiem), białoruskie części Wileńszczyzny, Smoleńszczyzny i Czernihowszczyzny. Polesie na mocy traktatu brzeskiego zostało przekazane Ukrainie.

dziś konkretnie w postaci zagadnienia państwowego Litwy jest przez wszystkich brany w rachubę w tych mniej więcej granicach. Polacy litewscy chcą ten kraj rozciąć na połowę litewską (bez Wilna), co do której godzą się całkowicie i gotowi są popierać narodową państwowość litewską, i na połowę polską (z Wilnem), którą chcą do Polski wcielić. Litwini znów chcą z całości tego kraju tworzyć Litwę narodową, godząc się ewentualnie na odcięcie na rzecz Polski li tylko obwodu białostockiego, ewentualnie całego lewego brzegu Niemna w b. guberni grodzieńskiej. Owóż, jak stwierdza Dowiatt, żadna z części tego kraju nie jest ściśle i rdzennie polska. Rdzeń ludowy, etniczny tego kraju jest litewski i białoruski. Natomiast katolicyzm i polskość (wpływy kulturalne polskie, język polski) są tym cementem, tym klejem, który spaja i łączy tę całość. Taka, zdaniem Dowiatta, jest struktura narodowo-kulturalna tego kraju, taka tu rola Polaków, którzy wystawiając obecnie postulat podziału i wcielenia części do Polski z oddaniem reszty w wyłączność litewską, popełniają błąd polityczny i wykraczają przeciwko historycznej roli swojej. Taką jest koncepcja Dowiatta, koncepcja, przepojona elementem starej „tutejszości". Jest ona sympatyczna i bardzo swojska, bardzo bliska starych pojęć krajowych, ale czy żywotna dziś, wobec głębokiej przemiany, dokonanej w psychice ludności kraju w ciągu ostatniego pokolenia przez działania demokratyzacji i unarodowienia? Niewątpliwie tak się kształtowały stosunki w kraju jeszcze przed jednym pokoleniem. Dziś wszakże koncepcje państwowe wyrażają się w kształtach narodowych. Stąd koncepcja Taryby i koncepcja Komitetu Polskiego. Inaczej się rzecz ma w płaszczyźnie międzynarodowych społecznych koncepcji proletariatu, jak również inaczej w pojęciach starych ziemiańskich mamutów „tutejszości", do których należy Dowiatt. Ale przeciętnie w demokratycznej burżuazji koncepcje państwowe zlewają się z narodowymi. Demokracje burżuazyjne chcą tworzyć li tylko państwa narodowe i o innych słyszeć nie chcą. Może na lewicy demokracji burżuazyjnej, tak u Polaków, jak u Litwinów, są jeszcze pewne przebłyski krajowej idei obywatelskiego współżycia współnarodowościowego, jak się one formułowały pod sztandarami krajowości w r. 1905, usiłując tworzyć złoty most od patriarchalnej „tutejszości" do świadomego unarodowienia, to jednak toną już tam one, ewoluując w kierunku bądź nacjonalizmu burżuazyjnego (u Polaków taka np. grupa W. Abramowicza), bądź internacjonalizmu proletariackiego (taki Zasztowt itp.). Dowiattowie są samotni. I chociaż między litewską Tarybą a Komitetem Polskim jest nienawiść i walka zaciekła, są oni sobie może bliżsi, niż Dowiatt Tarybie. Dziś już właściwie między stanowiskiem programowym Taryby a Komitetu Polskiego, ideowa z założeń tożsamych płynąca, rozbieżność i walka redukuje się tylko do Wilna z okolicą, powiatu lidzkiego, raduńskiego i prawego brzegu Niemna pod Grodnem, włącznie z tym miastem. I gdyby nie spór o samo Wilno, które tej rozbieżności jest węzłem najtrudniejszym, to może pojednanie nie byłoby ani zbyt trudne, ani zbyt dalekie. „Krajowcy" i „tutejsi" są Litwinom potrzebni tylko dla wygrania Wilna, ale w gruncie Litwini tarybowcy ani myślą o zaszczepianiu do Litwy państwowej elementów „tutejszości". Litwa, której chcą, ma być narodowa i punkt. Taki Dowiatt gotów jest w zasadzie programowo popierać Tarybę jako czynnik, przeciwstawiający się podziałowi kraju, ale w gruncie nie akceptuje on wcale polityki narodowej, wewnętrznej Taryby. Pragnąłby on, aby rządy tej Litwy niepodzielnej objęli ziemianie kultury polskiej, ci właśnie, których klejem kraju nazywa i za klej ten uważa, ale ziemianie nie o endecko-polskim, jeno „tutejszym", a zwłaszcza katolickim i zachowawczym obliczu.

Po rozmowie z Dowiattem i Łukomskim udaliśmy się z nimi na wiec stronnictwa demokratycznego w cyrku. Wiec był dość dobrze obsadzony przez mówców. Przemówienie polityczne Adolfa było bardzo mądre i ładne. Podobało się

Łukomskiemu i Dowiattowi. Potem przemawiał Narkiewicz[22] (program społeczno-robotniczy demokratów) i Chomiński Ludwik[23] (program agrarny). Oczywiście te elementy programu społecznego są bardzo demokratyczne i radykalne, jak przystało na dobę rewolucji, kiedy każdy obóz dla zjednania popularności mas wyciąga z archiwum programów r. 1905 wszystkie znane hasła radykalne i przyjmuje je aż do tych granic, które są dla społecznej struktury danego stronnictwa możliwe do przyjęcia. Przez szereg lat reakcji te hasła społeczne drzemały, dziś je wszyscy przypomnieli, akcentując o kilka temp jaskrawiej w stosunku do r. 1905. W Wilnie teraz wiece na porządku dziennym. Dziś odbyły się wiece endecji: endecko-ludowy i endecko-inteligencki Zjednoczenia Narodowego. W piątek byłem na wiecu socjalistów z S-DLiB[24] (przemawiali E. Sokołowski, Zasztowt, Kulikowski[25] i Żyd Nachimson, na którym czuć było powiew bolszewizmu, wprawdzie urzędowo przez *leaderów* tej partyjki nie wyrażanego, niedomawianego raczej, bo się jeszcze chwieją, ale przez masę przelicytowującą *leaderów* wyraźnie już wyczuwalnego. O moich występach publicznych (referatach) w Wilnie innym razem.

3 grudnia, rok 1918, wtorek
Projektowałem wyjechać dzisiaj. Ponieważ jednak zaszła wczoraj zwłoka z przepustką, więc odłożyłem wyjazd do jutra. Wyjadę o świcie. Przepustkę na podróż do Łap otrzymałem. Poszło z tym zupełnie gładko.
Panika wśród ziemian wschodnich powiatów szerzy się. Co dzień napływają do Wilna tłumy ziemian z rodzinami, z licznym bagażem, czasem nawet z całym inwentarzem żywym, gnanym z majątków. Pociągi ze wschodu są przepełnione. Tabory z inwentarzem ciągną drogami. Zawierucha agrarna szerzy się po wsiach we wszystkich tych powiatach, w których Niemcy gotują się do odejścia. Masy chłopskie napadają na dwory i przeważnie niszczą je i palą do tła. Zdarzają się wypadki i gwałtów nad osobami, ale przeważnie ziemianie zawczasu już uciekają, nie czekając na chwilę pogromu. Jest to ruch samorzutny, płynący z mas chłopskich, które doszły do przekonania, że najskuteczniejszym środkiem przeciwko powrotowi ziemian do dworów jest radykalne zniszczenie tychże. Ruch ten szerzy się przeważnie w tych powiatach, które są położone za linią starej okupacji niemieckiej i które przeżyły już okres rewolucji rosyjskiej i bolszewizmu przed inwazją niemiecką z wiosny roku bieżącego. Pamiętają chłopi, że z inwazją niemiecką wrócili do dworów panowie i z pomocą siły zbrojnej niemieckiej (a w Bobrujszczyźnie – polskiej) poskramiali chłopów, odbierali po wioskach zrabowane ze dworów mienie, a gdzieniegdzie zarządzali jeszcze represje i ekspedycje karne na chłopów. Toteż popularne jest wśród chłopów mniemanie, że Niemców sprowadzili panowie, a ponieważ Niemcy sami przez się dali się chłopom przez swe rekwizycje we znaki, więc cała złość i nienawiść na Niemców spada teraz na panów. Czują też chłopi, że panowie będą szukali okazji do powrotu do dworów i będą dążyli do sprowadzenia jakiejkolwiek siły obcej w celu przywrócenia porządku i własności swojej oraz restauracji swego panowania gospodarczego i społecznego. Aby im powrót utrudnić, robią ze dworów *tabula rasa*. Gdyby byli pewni swego zwycięstwa i utrwalenia zaboru majątków ziemskich,

---

[22] Narkiewicz Adolf.
[23] Chomiński Ludwik (1890-1958), publicysta, działacz polityczny i społeczny, 1919 współzałożyciel Polskiego Związku Ludowego „Odrodzenie" na Wileńszczyźnie, 1921-22 wydawca i redaktor naczelny „Gazety Krajowej", 1922-1926 poseł na sejm.
[24] S-DLiB – Socjaldemokracja Litwy i Białorusi
[25] Kulikowski Jan, członek Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, sekretarz prezydium Wileńskiej Rady Delegatów Robotniczych.

zachowaliby to, co jest we dworach, na swój użytek. Nie mając jednak tej pewności – niszczą, aby panowie nie mieli po co wracać, a jeżeli wrócą, żeby nie zastali nic. Nawet się nie dzielą zdobyczą, nie rabują przeważnie, jeno po prostu palą stodoły i zbiory, niszczą, żeby potem panowie nie mieli co od nich odbierać. Dzikie to jest, ale niezupełnie chaotyczne. W tym niszczeniu systematycznym jest pewna uparta myśl chłopska wytępienia dworów. Na terenie starej okupacji niemieckiej nie słychać o takich ruchach dotąd. Solidni gospodarze, zamożniejsi chłopi są nawet ruchowi temu w jego postaciach skrajnych przeciwni, bo pożądając rozdziału obszarów dworskich, boją się jednak, aby fala ruchu nie uderzyła i na nich, gdy do steru ekscesów przyjdą rzesze ostatecznej hołoty wiejskiej i miejskiej, nie mającej nic do stracenia. Za cofającymi się z kresów likwidowanej na wschodzie okupacji Niemcami postępują bolszewicy – rządy rad robotniczo-włościańskich, wojska bolszewickie i bolszewiccy komisarze ludowi. Już Psków i Rzeżyca, Borysów i Bobrujsk są w ręku bolszewików. W najbliższym czasie opróżnią Niemcy Dyneburg i Mińsk, które również w ręce bolszewików wpadną. Cała Białoruś, jak dojrzały owoc, odrywając się od okupacji niemieckiej, spada na łono bolszewizmu. Rada Białoruska i sprawa białoruskiej państwowości narodowej zbankrutowała. Kraj i lud nie poszły za nią. Na wsiach, tam, gdzie wkraczają bolszewicy, to jednak bądź co bądź wnoszą oni pewien element ładu: chaos zniszczenia jednak poskramiają i ochraniają przynajmniej fizyczne bezpieczeństwo życia oraz publiczne zasoby materialne. Słychać, że bolszewicy mają teraz wcale niezgorszą armię, karną i dobrze zaopatrzoną, która pod względem wartości bojowej i moralnej dodatnio się różni od pierwotnych zrewolucjonizowanych band zdemoralizowanej armii carskiej i od tzw. czerwonej gwardii. Jak dochodzą wieści przez półurzędowych emisariuszy bolszewickich, którzy dość często i licznie odwiedzają w ostatnich czasach Wilno, przyjeżdżając formalnie incognito, ale drogą legalną – bolszewicy nie zamierzają posunąć się poza linię starej okupacji niemieckiej (linia Dyneburg-Smorgonie-Mołodeczno-Baranowicze) i tu staną. Uznają oni bowiem, że kraj poza tą linią na zachód (Litwa) ma nieco odrębną strukturę zagadnień społecznych, z czym się liczą; ewentualnie poza tę linię na zachód przepuszczą tylko powracających, przeważnie zbolszewizowanych uchodźców i oddziały wojsk bolszewicko-narodowych, należących do tych krajów. Mają bowiem oni pułki narodowe nie tylko łotewskie, ale podobno litewskie, białoruskie i, jak wiadomo, polskie, wcale podobno niezgorsze. Tym pozwolą iść do swoich krajów jako awangardzie bolszewizmu rodzimego. Liczą się bolszewicy z tym, że w kraju na zachód od linii starego frontu wojennego dominującą rolę dziś grają zagadnienia i spory narodowościowe, ale są tego zdania, że żaden z czynników narodowych w Litwie nie zdoła zwyciężyć i wytworzyć siły, że walki narodowościowe przetworzą się rychło w konflikty społeczno-polityczne i że w konsekwencji ruch ludowo-komunistyczny (bolszewicki) samorzutnie w społeczeństwach tych się rozwinie i zapanuje. I zdaje się, że jeżeli tylko jakieś czynniki z zewnątrz (np. inwazja i okupacja koalicji) nie pokrzyżują samorzutnego rozwoju społecznego w tych krajach, to istotnie będzie tak, jak domniemują bolszewicy.

4 grudnia, rok 1918, środa
Pożegnałem Wilno. Wracam do Łomży, znowu jak na wygnanie. Wracam, kochający syn Litwy, na służbę szarą do... Polski. Wieczór pożegnalny ostatni spędziłem wczoraj z siostrami, Kotuńką Pruszanowską[26], Elwirą Mieczkowską[27] i Maryńką[28]. Dzięki Bogu, że się z siostrzyczkami kochanymi przynajmniej spotkałem. Po tylu leciech rozłąki

---
[26] Konstancja Pruszanowska, najstarsza siostra M. Römera.
[27] Mieczkowska Elwira, druga siostra M. Römera.
[28] Romer Maria, młodsza siostra M. Römera.

stęskniłem wielce do ich widoku. Choć różne są nasze poglądy, różne też nie tyle ideały, ile drogi spełnienia tychże w metodach rozwoju społecznego, to w istocie samo jądro ideału jest przecie u ludzi uczciwych i czystych na różnych biegunach społecznego myślenia tożsame (socjalista i katolik, komunista-bolszewik, byle człowiek czysty, i wstecznik społeczny, jeżeli tylko jest ideowcem, czyż w istocie nie tychże idealnych celów sprawiedliwości społecznej na przeciwległych krańcach metody i budowy społecznej szukają!) – to przecież związek braterstwa, które nasze kochające się rodzeństwo spaja, jest bliższym sercu, niż różnice przekonań i poglądów, które nas dzielą. A zresztą tylko z Kotuńką Pruszanowską jesteśmy sobie w istocie poglądami dalecy. O ile chodzi o Maryńkę i Elwirę, to zajrzawszy w głąb tychże poglądów, nie są one z moimi w ich istocie tak różne. Jest w nas pokrewieństwo krwi i ducha. Kotuńka bawi w Wilnie z całą rodziną; uciekli tu oni przed pożogą agrarną w Mińszczyźnie i wkroczeniem bolszewików; pobyt w Wilnie jest dla nich tułaczką. Elwira przyjechała pozawczoraj z dziećmi; nie chciała uciekać z Mamyłów[29], gdzie jej mąż, Stefan, pozostał, pełniąc zarząd majątku z ramienia Wołodkowiczów[30], spadkobierców Kazia (Kazio Wołodkowicz w d. 1 listopada został zamordowany w Mamyłach wystrzałem przez okno przez jakiegoś chłopa, który miał złość na niego); Elwira przyjechała tylko dlatego, że jest w poważnym stanie i chce w dogodniejszych warunkach w mieście odbyć połóg.
Spędziłem więc z siostrami wieczór wczorajszy, pożegnałem się z nimi i o północy poszedłem na dworzec kolejowy. Spać się nie kładłem wcale, bo choć pociąg odchodzi o godz. 6 rano, na dworcu kolejowym jest taki tłok przy biletach, przy wyjściu na peron i wsiadaniu do pociągu taki ścisk i takie ogonki, że trzeba zawsze o kilka godzin naprzód być w pogotowiu. Dworzec istotnie był przepełniony. Tłumy żołnierzy niemieckich, zdemoralizowanych, często pijanych, gromady nieprzeliczone jeńców rosyjskich, różnego rodzaju uchodźcy, śpieszący tłumnie w różnych kierunkach – wieża Babel. Jedzie ze mną do Łomży niejaki Władysław Krzesiński, znajomy i daleki krewny Ezachiela Pruszanowskiego (kuzynek sławnej Matyldy Krzesińskiej, primadonny ongi i kochanki cara Mikołaja II z lat jego młodości). Jest to niedoszły inżynier; ucieka od bolszewików szukać szczęścia i posady w Polsce. Próbuje do Łomży, bo ja tam jadę, a nikogo w Polsce poza mną nie zna. Wreszcie dostaliśmy bilety, przecisnęliśmy się z rzeczami na peron, wpakowaliśmy się do pociągu do wagonu IV klasy na Białystok. W pociągu ścisk dość duży, choć mniejszy, niż z Białegostoku do Wilna. Jadą Żydzi białostoccy, jadą jacyś uchodźcy, wracający do Polski het z najdalszych kresów Rosji, spod Uralu, z Syberii, jadą legioniści i młodzież do Polski do wojska. W Grodnie wpada do naszego wagonu tłum jeńców, wracających z Niemiec do Polski. Odtąd jedziemy jak śledzie w beczce. Chaotyczna wędrówka tych biednych jeńców – to odyseja współczesna. Płyną oni najróżniejszymi drogami; nieraz marszruty ich są zgoła fantastyczne. Oto niektórzy z Niemiec lub Alzacji jadą do Polski przez Węgry, Rumunię czy Bukowinę, Ukrainę na Wilno, stamtąd na Białystok. Inni ze Śląska pruskiego podróżują do Polski przez Kowno. Po południu przyjeżdżamy do Białegostoku. Tam znajdujemy pociąg towarowy, który podwozi podróżnych o 12 wiorst w kierunku Łap. Tam zastajemy gromadę furmanek. Furmanki już staniały, bo konkurencja wzrosła. Za 40 marek dojeżdżamy furmanką do Ukowa przy moście kolejowym na Narwi. Bierzemy tragarza ręcznego, przechodzimy most i oto jesteśmy wkrótce w Łapach. Ale pociąg z Łap na Łomżę odchodzi dopiero jutro. Noc przeto mamy spędzić na dworcu w Łapach.

[29] Mamyły, majątek na Białorusi Kazimierza Wołodkowicza, kuzyna Elwiry i Stefana Mieczkowskich.
[30] Wołodkowiczowie, rodzina męża siostry M. Römera Elwiry Mieczkowskiej.

Jeszcze słówko o Wilnie. Przez czas mego pobytu byłem zaproszony tylko na dwa publiczne odczyty, raczej relacje sprawozdawcze o sytuacji w Warszawie (Polsce). Raz w Klubie Bankowym – dla inteligencji (odczyt płatny, ale płatny nie dla mnie, jeno na rzecz którejś z partii socjalistycznych). Drugi raz, w niedzielę ubiegłą wieczorem na Wroniej (dawna ulica Chersońska, gmach b. Klubu Poleskiego) w Klubie Robotniczym. Był to odczyt dla publiczności robotniczej. W klubie tym jest ognisko kiełkującego bolszewizmu. Sam wyraz „dyktatura proletariatu" wywołuje tu burzę oklasków i entuzjastyczne wołania.

5 grudnia, rok 1918, czwartek
Po całonocnej męce bezsennej w Łapach na dworcu dowiedzieliśmy się ze smutkiem, że rano pociągu do Łomży nie ma i że pociąg ten odejdzie dopiero o godz. 3 ½ po południu. Wreszcie doczekaliśmy się tej godziny i odjechaliśmy. Około g. 7 przyjechaliśmy do Śniadowa. Tam się okazało, że na pociąg do Łomży trzeba czekać kilka godzin. W Śniadowie nie ma żadnego właściwie dworca, żadnej porządnej poczekalni, jeno rodzaj szopy – ciemnej i zimnej – w której można być przynajmniej pod dachem. Znalazł się jednak w tej szopie piec, znalazły się i jakieś deski stare, które sama publiczność potłukła na kawałki i nimi w piecu napaliła. Już trzecią noc byłem w drodze. Zmęczeni przesiedzieliśmy w Śniadowie do późna w nocy. Dopiero po godz. 2 przyszedł pociąg, który nas zabrał do Łomży. W Łomży udałem się na nocleg do Hotelu Polskiego.
Tak więc oto skończyła się moja tyle wyśniona, a tak smutna w skutkach epopeja jazdy do Wilna. Smutna – powiadam – boć przecie o innych z tej podróży wnioskach marzyłem. Chciałem pozostać, a oto postanowiłem wrócić do Łomży. To, co w Wilnie zastałem, nie dało mi założeń do pozostania i do pracy w kraju. Brak jest w Wilnie mocnych ośrodków decyzji, brak może nie tyle linii wytycznych, ile wiary u poszczególnych autorów, kierowników i wykonawców linii – w to, że linie te są silne i skuteczne, brak mocy i wielkości. Jeżeli gdzie tylko jest moc, to tam, gdzie się rodzi bolszewizm. Mówiono mi w Wilnie, że skoro tej mocy i wielkości brak, to obowiązkiem jest właśnie zostać i ją wytwarzać. Nie podołam temu w przededniu przesilenia, które tam nadchodzi jak ciężka chmura, brzemienna burzą.
Najbardziej ukochanym w Wilnie, najbliższym mi jest – grób Anny. Ale to jest już tylko grób. Słyszysz, Aninko czy możesz Ty słyszeć lub czuć, co ja, Twój Michasik, mówię: Grób! Tak, grobem Ty jesteś, a przecie Ty jesteś sercem i mózgiem moim. Przeto w grobie z Tobą i ja. To jest prawda. To ta najgłębsza mego życia prawda, prawda-tajemnica, która jest dla mnie oślepiającą jawą.

6 grudnia, rok 1918, piątek
Wstałem późno, koło godz. 11, niewyspany jeszcze po podróży. Przed godz.1 poszedłem do Sądu Okręgowego zaprezentować się po powrocie prezesowi Filochowskiemu. Szedłem z poczuciem winy, bo nie uprzedzałem prezesa o moim zamierzonym wyjeździe do Wilna i nie miałem urlopu formalnego. Dopiero z Warszawy zawiadomiłem prezesa listownie o wyjeździe do Wilna i prosiłem o urlop (ale już *post factum*). Toteż robiłem sobie wyrzuty i wstydziłem się spotkania z prezesem, mając poczucie, że zawiniłem służbowo. Ale zdaje się, że to tylko ja sobie te wyrzuty robiłem, bo wszyscy inni, jak się okazało, traktowali moją wycieczkę do Wilna jako rzecz bardzo naturalną i nie byli zgorszeni bynajmniej. Widocznie przez reminiscencje wojskowe jestem jeszcze tak drażliwy na punkcie ścisłości służbowej. W stosunkach cywilnych służbowość jest o wiele luźniejsza, a w sądzie łomżyńskim kwitnie, zdaje się, szczególna anarchia.

Prezesa spotkałem w drodze do sądu. Nie robił mi żadnych wymówek. Przeciwnie – wyrażał jeno zadowolenie z mojego powrotu, bo już, zdaje się, zwątpił, abym zechciał wrócić. W sądzie roboty huk, a komplet sędziów nieliczny (na domiar złego – Trampler był przez parę tygodni chory i dotąd do regularnych zajęć nie wrócił).
Zdaje się, że parę dni będę miał wolnych. Dopiero na wtorek prezes zamówił mię na sesję. Będę więc miał tymczasem czas na wyszukanie mieszkania.
Nie wiem jeszcze, jak się unormuje moja praca w Sądzie Okręgowym. Dotąd nic nie ustalono jeszcze co do jakiegoś podziału czynności. Pragnąłbym mieć jakiś wydział lub sekcję ściśle wyznaczoną i do mnie wyłącznie należącą. Niestety, nie wiadomo, czy tak będzie. W ogóle w naszym Sądzie Okręgowym wszystko jest, zdaje się, dość chaotyczne. W każdym razie, będę w wydziale cywilnym. Ale wydział ten jest obsadzony przez sędziów Mieczkowskiego[31] i Tramplera, z których pierwszy ma sprawy I instancji, drugi zaś – sprawy apelacyjne. Podobno, jak mi mówił Trampler, prezes zamierza (może tylko tymczasowo) wyznaczyć mię do siedzenia tygodniowo na jednej sesji cywilnej I instancji i jednej – cywilnej apelacyjnej, z tym, że do mnie należałoby motywowanie wyroków w sprawach z odpowiednich sesji. Wolałbym, aby mi wyznaczono np. jakieś powiaty, z których sprawy byłyby już całkowicie oddane pod moją wiedzę samodzielnie.
W Wilnie przed moim wyjazdem ukazała się w prasie miejscowej depesza o rekonstrukcji gabinetu Moraczewskiego[32], do którego rzekomo mieli wejść: Seyda[33] (teka spraw zagranicznych), Englich[34] (skarb) i Korfanty[35] (bez teki). Oznaczałoby to duży sukces endeków, zwłaszcza wobec teki spraw zagranicznych, o którą się największa walka toczyła. Endecy w Wilnie już triumfowali, a endecki „Dziennik Wileński"[36] podał depeszę grubym drukiem na naczelnym miejscu. Po przyjeździe do Polski przekonałem się, że to zwyczajna kaczka: o rekonstrukcji gabinetu nie ma mowy.

7 grudnia, rok 1918, sobota
Miałem do wtorku być wolny od zajęć i liczyłem, że czas ten będę mógł poświęcić wyszukaniu mieszkania. Nie tak się jednak stało, bo oto prezes Filochowski wezwał mię dziś rano i wydelegował do dokonania wizytacji sądu pokoju w Łomżycy. Łomżyca – to jest osada w pobliżu Łomży, rodzaj przedmieścia, położonego przy szosie do Ostrołęki w odległości około 1 ½-2 kilometrów od Łomży. Udałem się tam z młodym rachmistrzem Sądu Okręgowego, Budnym, przydzielonym mi przez prezesa do tej czynności.
Rewizja ksiąg kasowych, akt i biurowości Sądu Pokoju w Łomżycy zajęła mi czas do jakiejś godziny 3 po południu. Sąd pokoju w Łomżycy – to obraz nędzy i niedołęstwa. Sędzia Rzętkowski – to człowiek stary, dotknięty tabesem[37] i dość daleko posuniętym paraliżem postępowym. Nawet język mu się już plącze w mowie jak u paralityków, a cóż dopiero żądać od niego kwalifikacji sędziowskich w rozumowaniu prawniczym, ścisłości myślenia i przestrzegania zasad i przepisów postępowania. Taki sąd – to w istocie skandal. A przecież do rewiru tego sądu, w którym sądzi tabetyk z udziałem

[31] Mieczkowski Adam (1876-1953), prawnik, adwokat w Łomży, 1917-1927 poseł na sejm z listy Związku Lud.-Nar.
[32] Rząd polski z Jędrzejem Moraczewskim jako premierem w okresie XI 1918- I 1919.
[33] Seyda Marian (1879-1967), prawnik, działacz polityczny.
[34] Englich Józef (1874-1924), działacz gospodarczy, X-XI 1918 i I-V 1919 minister skarbu.
[35] Korfanty Wojciech (1873-1939), działacz polityczny i narodowy na Górnym Śląsku, 1919-1930 poseł na sejm.
[36] „Dziennik Wileński", czasopismo polityczne i społeczno-literackie wydawane w Wilnie w latach (1916-1939?).
[37] Tabes – postać późnej kiły układu nerwowego.

kilku ławników chłopów, należy kilka gmin i takie miasteczko, jak Nowogród u ujścia Pissy do Narwi. W ogóle to jakiś widocznie sąd kalek: sędzia – tabetyk i paralityk postępowy, sekretarz – bez nosa. W poniedziałek mam dokonać znowu wizytacji sądu pokoju w Piątnicy, w drugim przedmieściu Łomży, za Narwią. Łomżyca i Piątnica – to dwa najgorzej funkcjonujące sądy w okręgu łomżyńskim.

8 grudnia, rok 1918, niedziela
Spotkałem się dziś z rejentem Płońskim z Kolna, który zwykle na niedziele i święta do Łomży przyjeżdża, bo tu mieszka stale jego rodzina. Zaprosił mię na obiad do siebie. Od niego dowiedziałem się nowin z Kolna. Stachelski jest tam nadal komisarzem ludowym (taki jest obecnie w Polsce pod nowym rządem tytuł naczelnika powiatu), Litwiński jest też dotychczas komisarzem aprowizacji. Obaj jednak nie marzą o niczym innym, jak o zrezygnowaniu z tych ciężkich dostojeństw powiatowych, bo urzędowanie obecnie, w tych rozstrojonych warunkach, jakie są, jest rzeczywiście ciężarem nie lada. Stachelski na stanowisku komisarza ludowego ma bardzo duże kłopoty. W szczególności napotkał on dużych wrogów w pewnym odłamie peowiaków. Rzecz była taka. W pierwszych dniach po przewrocie peowiacy, pełniący straż zbrojną bezpieczeństwa publicznego po wsiach, dopuszczali się często różnych nadużyć. Element to młody, nieujęty w dokładne karby wojskowości, z natury samowolny. Nie mówiąc o bezładnej strzelaninie, którą posterunki peowiackie ciągle uprawiały dla sportu, drażniąc i denerwując ludność, rozpoczęły się wypadki samowolnych "rekwizycji" ze strony peowiaków, którzy zabierali gęsi itp. artykuły dobytku chłopskiego. Były to wypadki sporadyczne, których trudno uniknąć w takim chaosie, bo wszędzie się znajdzie element niesforny, ale posłużyło to za podstawę dla różnych skarg. Wtedy Stachelski z Litwińskim zwrócili się do władz wojskowych w Łomży, aby zabrały peowiaków, wnoszących zamęt i prędzej wcieliły ich do wojska. Na skutek tego ściągnięto peowiaków do Łomży i tu ich otoczono wojskiem i zaprowadzono do koszar dla zarekrutowania ich. Część ich wszakże zbiegła i wróciła do domów, a teraz, mając broń, wygraża zemstą czynną Stachelskiemu. Raz już nawet jakiś strzał – nie wiadomo z czyich rąk – padł w pobliżu Stachelskiego i kula przeleciała obok niego; kula ta przeszyła czapkę mego siostrzeńca Stefusia, który w tej chwili rozmawiał ze Stachelskim. Przypuszczają w Kolnie, że strzał ten był w stosunku do Stachelskiego planowany i że miał na celu przynajmniej postrach i pogróżkę, jeżeli nie ścisły zamach. Ale ta sprawa z peowiakami jest mniejszej wagi w kłopotach komisarskich Stachelskiego. Gorzej jest to, że cały ład administracyjny w powiecie, jak zresztą wszędzie, zdezorganizowany i wykolejony; są wielkie niedomagania egzekutywy, posłuchu dla zarządzeń itd. W tych warunkach administracji jest bardzo trudno funkcjonować. Wreszcie samorzutnie w Kolnie wysforował się na jakiegoś trybuna ludowego, na Mariusza[38] lokalnego, niejaki Wiliński, gospodarz miejscowy. Człowiek ten ma tylko jedną kwalifikację – donośny głos, tupet, temperament i chamskie usposobienie. Ten oto wdał się w demagogię, występuje na zebraniach i różnych posiedzeniach, wali pięścią w stół i krzyczy: „Chłop tu teraz rządzi!" Pojmuje on zresztą „rządy chłopa" bardzo prosto: ja tak chcę i tak być musi. Jest to człowiek kompletnie głupi; był zawsze powolnym narzędziem starego ks. Pomichowskiego, krzykaczem bez zdania i bez sensu. Teraz na wiecach, zwoływanych przez ludowców w Kolnie, on przewodniczy. Ale pewno niewiele się w jego głowie i panującym w niej chaosie zmieniło. Dlaczego ludowcy nie odsuną od siebie precz takiego elementu – nie wiem. Takiż on ludowiec, jak ja klerykał. Wiliński – to była po prostu w Kolnie „czarna

[38] Caius Marius (156-86 r, p.n.e.), rzymski wódz i polityk, przywódca stronnictwa popularów, siedmiokrotnie konsul.

secina”[39]: klerykał najgłupszy i antysemita – nic ponadto. On też był jednym z autorów i wykonawców przewrotu w Radzie Miejskiej po wyrzuceniu Niemców; przewrót ten polegał na tym, że nie dopuszczono do Rady Miejskiej Żydów, choć stanowią oni połowę albo i więcej ludności w mieście. Zresztą na którymś tam wiecu ludowców w Kolnie przewodniczył... Zawistowski.
Stefuś, mój siostrzeniec, jak się dowiedziałem, wstąpił do POW w Kolnie i pracuje w kancelarii peowiackiego sztabu (w Kolnie stoi obecnie oddział peowiacki z Suwałk). U rejenta Płońskiego dobrze się dziś przy obiedzie podchmieliłem.

9 grudnia, rok 1918, poniedziałek
Wizytacja sądu pokoju w Piątnicy pod Łomżą, do której mię wydelegował prezes, do skutku nie doszła. Poszedłem tam rano, ale nie zastałem sędziego, toteż wizytacji nie dokonałem.
Przy obiedzie prezes Filochowski oświadczył mi, że zamierza mię wydelegować na przewodniczącego komisji głównej wyborczej na okręg łomżyński na wybory do Konstytuanty i spytał, czy się tej czynności podejmę. Zgodziłem się na to. Na razie nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, jak skomplikowana i obszerna to jest czynność. Zdaje się, że przez czas trwania okresu wyborczego będę tą czynnością w komisji głównej tak pochłonięty, że o regularnej pracy w sądzie mowy nie będzie. Podług ordynacji wyborczej, ogłoszonej już przez Piłsudskiego, przewodniczącym komisji głównej wyborczej w każdym okręgu jest prezes sądu okręgowego z urzędu albo też delegowany przez prezesa sędzia. Jak mi prezes Filochowski tłumaczył, nie chce on brać na siebie tej roli nie tylko dlatego, że jest bardzo zajęty, ale też dlatego, że jego poprzednia działalność polityczna w kierunku endeckim mogłaby być przez obozy partyjne przeciwne uważana za ujmę dla bezstronności; z tych samych względów nie chcą brać na siebie tej roli sędziowie Mieczkowski i zwłaszcza Skarzyński, którzy są działaczami partyjnymi endeckimi; co zaś do Tramplera, to jest on człowiekiem, który ma wielu przeciwników osobistych i nie ma dla tak wysokiego stanowiska przewodniczącego komisji głównej wyborczej kwalifikacji uznania powszechnego i szacunku. Wobec tego prezes wydelegował mnie jako człowieka na gruncie łomżyńskim świeżego, neutralnego i zarazem poważnego. O godz. 2 ½ w gabinecie prezesa zebraliśmy się w tej sprawie na naradę: prezes, ja, adwokat Czesław Jankowski, mianowany przez rząd komisarzem wyborczym na okręg łomżyński (okręg wyborczy łomżyński ogarnia 6 powiatów, to znaczy teren okręgu sądowego), rejent Kurejusz jako prezes Rady Miejskiej m. Łomży i komisarz ludowy na powiat łomżyński, adwokat Hanusowski. Odczytaliśmy wspólnie tekst ordynacji wyborczej wraz z instrukcją i porozumieliśmy się co do pierwszych czynności w zakresie ukonstytuowania komisji głównej wyborczej. Komisja ta składać się ma z przewodniczącego, zastępcy przewodniczącego (również sędzia, delegowany przez prezesa – będzie nim, zdaje się, sędzia pokoju z Zambrowa, Wyszyński) i trzech członków wraz z tyluż zastępcami (jednego członka i zastępcę mianuje Rada Miejska w Łomży i dwóch członków z dwoma zastępcami wybiera spośród siebie zgromadzenie wójtów powiatu łomżyńskiego). Czynności komisji są niezmiernie rozległe i ściśle terminowe (podział okręgu na obwody, mianowanie komisji miejscowych po obwodach, wszelkie publikacje i zarządzenia, rozpoznawanie reklamacji w zakresie list wyborczych, ostateczne ustalanie list, przyjmowanie zgłoszeń list kandydatów itd., wreszcie sama technika wyborów i obliczeń oraz ustalanie posłów. Od jutra wyznaczony będzie lokal

[39] Czarna sotnia – nazwa nadawana skrajnie reakcyjnym, monarchistycznym tendencjom i organizacjom w Rosji w okresie rewolucji 1905-1907 i w latach reakcji 1907-1912.

dla komisji głównej i mieć będę sekretarza. Dopiero wszakże za parę dni, gdy się już komisja skompletuje, rozpocznie ona właściwe czynności.
Władysław Krzesiński, który tu ze mną z Wilna przyjechał, nie doczekał się posady i dziś wyjeżdża do Warszawy. Zdaje się, że chce się zaciągnąć do dywizji „litewsko-białoruskiej”[40], która się formuje i niby to ma ewentualnie iść na „odsiecz” Litwy, a w istocie mieści w sobie zaród narzędzia zbrojnej aneksji.
Zdaje się, że się już zdecyduję ostatecznie na pokój w mieszkaniu dr-owej Zaleskiej, gdzie będę miał za sąsiada Tramplera. Ze wszystkich oglądanych – to jednak pokój najlepszy.

10 grudnia, rok 1918, wtorek
Siedziałem na sesji cywilnej I instancji. Przewodniczył prezes Filochowski, referował sędzia Mieczkowski. Sesja była względnie krótka, mimo że było kilka spraw skomplikowanych i ciekawych pod względem zagadnień prawnych. Do obiadu została zakończona. Tylko siedzieć na sesji – bez kierowania obradami i bez referowania – nudno. Gdyby taka tylko miała być moja rola w Sądzie Okręgowym, byłoby bardzo przykro. Zaiste nie warto byłoby zamieniać sądu pokoju na sąd okręgowy. Zdaje się jednak, że tak źle nie będzie. Tymczasem w pierwszych dniach mojego urzędowania będę służyć rzeczywiście tylko do zatykania luk na sesjach, ale to będzie tylko do czasu ustalenia podziału funkcji między mną i sędziami Mieczkowskim i Tramplerem w wydziale cywilnym. Już była o tym prowizorycznie mowa dziś na zebraniu sędziów o godz. 5 w gabinecie prezesa. Ten podział funkcji między nami nastąpi li tylko za naszym porozumieniem między sobą. Bardzo prawdopodobne, że do mnie przejdzie jakaś 1/3 część spraw z działu cywilnego I instancji (od Mieczkowskiego) i takaż część z działu cywilnego apelacyjnego (od Tramplera). Podział będzie zapewne uskuteczniony albo podług liter powodów, albo podług powiatów. Wolałbym ten ostatni system podziału; pragnąłbym w takim razie objąć mój powiat kolneński i drugi powiat kurpiowski – ostrołęcki. Z powodu jednak wydelegowania mię do komisji wyborczej, która na czas dłuższy pochłonie zapewne całą moją pracę, regularny podział czynności w sądzie nastąpi dopiero znacznie później. Bo też się przewiduje, że od przyszłego tygodnia będą jeżeli nie wyłącznie, to prawie wyłącznie sprawami wyborów i komisji zajęty, nie mogąc zgoła się udzielać sądowi.
Dzięki sędziemu Mieczkowskiemu, który się zajął tą kwestią i poparł ją wobec prezesa, będzie mi udzielony osobny pokoik na mój gabinet sędziowski w sądzie. Będzie to pokój obok gabinetu prezesa.
Do wydziału karnego w sądzie naszym należą sędziowie Skarzyński i Duszyński.
Pozostałem jeszcze dziś w hotelu, ale już pokój w mieszkaniu dr-owej Zaleskiej nająłem (za 60 mk. miesięcznie). Pokój bardzo ładny, tylko zdaje się – zimny. Ze względu na chwilowy brak łóżka i na kwestię opału, którą mam załatwić jutro, zainstalowanie się w nowym mieszkaniu wypadło odłożyć do jutra. U dr-owej Zaleskiej najmuje też pokój sędzia Trampler. Będziemy więc z nim sąsiadowali na komornym.

11 grudnia, rok 1918, środa
Dzisiaj znowu siedziałem w sądzie na sesji – tym razem na cywilnej apelacyjnej (odwoławczej – podług nowej terminologii). Sesja toczyła się pod przewodnictwem Tramplera, który zarazem był referentem; oprócz nas dwóch zasiadał jeszcze sędzia pokoju ze Śniadowa, którego nazwiska nie wiem. Sesja szła w tempie bardzo szybkim. Koło godz.11 ½ zakończyliśmy niemal wszystko, oprócz dwóch spraw z apelacji

---

[40] Dywizja „litewsko-białoruska” – ochotnicza formacja wojskowa organizowana w 1918 roku przez Komitet Obrony Kresów Wschodnich.

jeszcze na moje wyroki w Kolnie. Podług przepisów prawa, sędzia nie może rozpoznawać apelacji na wyroki, w których wydaniu on brał udział. Toteż na te dwie sprawy przyszedł mię zastąpić prezes Filochowski. Jedną z tych dwóch spraw była sprawa Zawistowskiego z Jeleniewiczem, w której Zawistowski był przegrał i zaapelował. Ze względu na osobę Zawistowskiego, słynnego awanturnika i pieniacza w Kolnie, usiadłem umyślnie na uboczu, aby posłuchać toku rozprawy. Jak było do przewidzenia, Zawistowski z całym patosem i inscenizacją teatralną wygłosił mowę, popierającą apelację. Czego też w tej mowie nie było! I insynuacji na sąd w Kolnie, na mnie – o rzekomym popieraniu jego wrogów, i uderzanie w ton jakiegoś patriotyzmu, odwoływanie się do sprawiedliwości Polski powstającej z aluzją do obrony jego przed fałszerstwem Żydów (jego przeciwnik Jeleniewicz – Żyd) i wreszcie cyniczne rzucanie w oczy adwokatowi strony przeciwnej, obrońcy sądowemu Kulkinowi (Żydowi) zarzutu, że nie powinien przeciwko Zawistowskiemu stawać, bo rzekomo zobowiązał się wobec niego do niestawania *contra* raz na zawsze w zamian za usługi, które mu świadczył Zawistowski, naganiając mu klientów i stręcząc w swej restauracji pieniaczom – Kulkina. Mowa Zawistowskiego – to był jeden brudny stek insynuacji, jedne plugastwo wściekłości i operowania antysemityzmem i temu podobnymi stronami uczuć sędziów. W sędziach zamiast pożądanego efektu wywołał jeno wstręt.
Po obiedzie byłem u adwokata Wołodkiewicza, b. sędziego pokoju w Ostrowiu. Wołodkiewicz jest tutaj w Łomży jednym z czynniejszych i ruchliwszych działaczy obozu radykalnego. Należy osobiście do Stronnictwa Niezawisłości[41], które działa solidarnie pod jednym sztandarem z ludowcami i socjalistami (zresztą w Łomży i okręgu łomżyńskim, jako w kraju przemysłowo nierozwiniętym, socjalizm jest słaby, ruchu PPS-owego tu prawie nie ma, a najjaskrawszy działacz występujący tu pod hasłami socjalistycznymi, dr Czarnecki jest raczej, jak mię poinformował Wołodkiewicz, zbliżony do lewicy PPS, co jednak mię dziwi wobec solidarnego działania dr Czarneckiego z blokiem radykalno-ludowym). Chodziło mi o pomówienie z Wołodkiewiczem co do pewnych technicznych rzeczy w przedmiocie najbliższych działań komisji głównej wyborczej (obsadzenie komisji wyborczych po obwodach) itp. Jako przewodniczący komisji głównej, chcę być bezstronny i nie myślę się oddawać za narzędzie ani prawicy, ani lewicy, ale w takiej sprawie, jak obsadzenie komisji obwodowych, nie chciałbym wywołać niezadowolenia którejkolwiek ze stron i odłamów ludności, toteż chcę informacje i wskazówki z lewicy, tym bardziej, że sędziowie pokoju, do których wskazówek mamy się odwołać (w tym celu na sobotę prezes zwołał zjazd sędziów) przypuszczalnie będą raczej faworyzować stronę prawicy, bo znaczna ilość tych sędziów, zwłaszcza po wsiach, to są ziemianie.
Wołodkiewicz też miał do mnie trochę interesów. Poprosił mię o współpracownictwo w „Ziemi Łomżyńskiej”[42], tygodniku, który od niedawna zaczął wychodzić jako organ bloku radykalnej inteligencji, ludowców i socjalistów. Obiecałem mu je. Proponował mi też należenie do klubu, utworzonego przez tenże zespół bojowy do walki z reakcją. Klub ten co sobotę urządza wiece ludowe i dyskusyjne w towarzystwie wioślarskim. Na razie pójdę tam posłuchać. Nie wiem, czy będę należeć, bo nie wiem, czy należenie formalne do organizacji o zdecydowanych barwach stronniczych daje się pogodzić ze stanowiskiem sędziego, które musi być bezstronne.
Co do wyborów i komisji wyborczej, to zaznaczę, że elementy, które najgoręcej Konstytuancie sprzyjają i są zainteresowane w zwołaniu jej, a również te, które z urzędu winny z powagą się do sprawy wyborów stosować i strzec ich bezstronności, pozwalają

[41] Stronnictwo Niezawisłości Narodowej, partia polityczna założona I 1917 w Warszawie, skupiało lewicową inteligencję.
[42] „Ziemia Łomżyńska”, tygodnik wydawany w latach

sobie na traktowanie sprawy bardzo niewłaściwie. Byłem zgorszony niepoprawnością, z jaką traktowali sprawę komisji wyborczej, a jeszcze bardziej stosunek do stronnictw ludzie, którzy się pozawczoraj zebrali na naradę prywatną u prezesa sądu (Filochowski, Kurejusz, Hanusowski i sam komisarz wyborczy Jankowski). Oto ni mniej, ni więcej, jak mówili o tym, w jaki sposób byłoby dobrze ujałowić lewicę radykalno-ludową, a mianowicie przez wprowadzenie do komisji wyborczej głównej i miejscowych – najzapaleńszych rzeczników lewicy. Tą drogą by się ich unieszkodliwiło, udając, że się ich honoruje i zapewnia wpływy, albowiem kto będzie należał do komisji, ten już kandydować nie może. O takich sztuczkach marzy prawica, a nie wstydzi się gadać z nią o tym i p. komisarz wyborczy, który niby to służy rządowi i sprawie wyborów, gdy tymczasem na naradzie w przedmiocie techniki i obiektywizmu wyborów bierze udział w snuciu pomysłów na pognębienie stronników rządu ludowego. Taka to zdrada pleni się w samych agentach rządu, których dobrano z karierowiczów.

12 grudnia, rok 1918, czwartek
Wczoraj wniosłem się wreszcie do mego nowego mieszkania. Jest nim pokój w mieszkaniu dr-owej Zaleskiej przy rogu Długiej i Nowego Rynku. Pokój ładny, bardzo czysty, dobrze umeblowany, z elektrycznością, mógłby uchodzić za elegancki i niezmiernie wygodny, ale... zimny. Już takie jest moje szczęście do mieszkań, że trafiam zawsze na mieszkania zimne. W Kolnie marzłem przez całą zimę ubiegłą i tutaj marznąć będę. Nic nie pomoże najobfitsze palenie. Piec jest wspólny na pokój Tramplera i mój: palimy i palić będziemy dwa razy na dzień – raz ja i raz Trampler, ale dla mego pokoju to na nic. Piec jest gorący, ale na ten pokój za mały i w pokoju chłód jak w psiarni. A tu zima wczesna, mróz trzaskający. Dziś we dnie było -10, wieczorem już -15, a co będzie nad ranem. Ile jest w pokoju – nie wiem, bo termometru nie mam, ale z pewnością stopni bardzo mało, zaledwie kilka. Trzy ściany pokoju są zewnętrzne – dwie całkiem zewnętrzne i jedna wychodzi na nieopalaną klatkę schodową. Nocy dzisiejszej miałem mękę zimna, czego nienawidzę w nocy w łóżku. Nakryty byłem bardzo ciepło, ale zimno szło z dołu, bo na łóżku sprężynowym cieniutki materacyk. Dopiero gdy sobie mój siennik z Kolna sprowadzę, będę miał kiejf. Umeblowanie pokoju bardzo miłe: stół pośrodku pod piękną lampą elektryczną, zwieszającą się z sufitu, duża otomana, lustro wysokie stojące, krzesła plecione i takież fotele, jedno krzesło drewniane, dwie szafki, parę mniejszych stolików, kosz z suchymi kwiatami polnymi na postumencie, łóżko białe ładne, piękny przyrząd do umywalni, ściany zawieszone obrazami. Gdyby tylko ciepło – to mieszkanie byłoby idealne.
Po obiedzie dziś chodziłem z rachmistrzem sądowym Budnym do Piątnicy w celu dokonania wizytacji miejscowego sądu pokoju z polecenia prezesa. Ohydny to sąd pokoju, mogący służyć za wzór tego, jakim sąd być nie powinien.
Przed obiadem dowiadywałem się trochę i chodziłem w sprawach komisji wyborczej. Rada Miejska już wybrała członka i zastępcę do komisji głównej. Dziś też w komisariacie powiatowym wybory dwóch członków i dwóch zastępców przez zgromadzenie wójtów. Na sobotę zwołuję pierwsze posiedzenie komisji głównej. Jutro burmistrz obiecał mi już stanowczo udzielić lokalu dla komisji głównej.

13 grudnia, rok 1918, piątek
W nocy była zawieja przy kilkunastu stopniach mrozu. W moim pokoju było tak zimno, że obudziłem się z katarem, który dopiero ustał, gdym się w sądzie w cieple rozgrzał. Od godz. 9 do obiadu siedziałem na sesji apelacyjnej. Po obiedzie przez parę godzin zajęty byłem sprawami Komisji Wyborczej. Komisja Główna już została skompletowana. Należą do niej: ja jako przewodniczący, sędzia Duszyński jako

zastępca przewodniczącego, z ramienia Rady Miejskiej członek komisji radny Szwejcer i zastępca radny Karbowski, z ramienia zgromadzenia wójtów członkowie komisji wójt gminy Szczepankowo Antoni Brzeziński i pełnomocnik gminy Długoborz Konstanty Długoborski oraz zastępcy – pełnomocnik gminy Puchały Jerzy Jabłoński i drugi pełnomocnik gminy Długoborz Józef Krajewski. Pierwsze posiedzenie Komisji Głównej zwołałem na jutro. Lokalu dla Komisji Głównej burmistrz dotychczas jeszcze nie wyznaczył. Zaangażowałem już pierwszego pracownika do kancelarii Komisji Głównej – w osobie niejakiego Wasilewskiego, b. urzędnika sądowego z czasów rosyjskich; nie wiem, czy się z jednym urzędnikiem obejdę; oprócz tego, będę musiał zapewne zaraz wziąć gońca; rachunkowość i kasowość zamierzam polecić rachmistrzowi sądu okręgowego Budnemu. Od prezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie, który jest Generalnym Komisarzem Wyborczym, przybył kurier umyślny, który przywiózł numery „Dziennika Praw" z ordynacją wyborczą, instrukcje itd. Na pierwsze wydatki kampanii wyborczej wyasygnowano już z Warszawy 20 000 marek. Nie zgłoszono jeszcze na moje ręce żadnej listy kandydatów do wyborów. Zdaje się, że jeden z *leaderów* łomżyńskich lewicy, adwokat Wołodkiewicz, zabiega, aby lista lewicowa została pierwsza zgłoszona, a ponieważ ludowcy są bardzo zaprzątnięci agitacją społeczną i trudno ich skupić do systematycznego zajęcia się natychmiast sprawą wyborów, zamierza przedłożyć tymczasowo, byle zająć pierwsze miejsce, listę inteligencką Stronnictwa Niezawisłości, z myślą zlania potem tej grupy wyborczej z grupą ludowo-socjalistyczną w związek, jak to dopuszcza ordynacja. Jak się gotują do wyborów endecy – tego nie wiem. W skupieniu i cicho, ale z pewnością mocno, organizują się oni w zespole z klerem i ziemiaństwem. Endecy – to jednak siła wielka, a szczególnie tu w Łomżyńskiem. Zapewne przeciwstawią się sobie u nas na wyborach te dwa bloki: blok klerykalno-endecki burżuazyjny i blok radykalno-ludowo-socjalistyczny. Poza tym, ewentualnie lista żydowska.

Czy coś będzie z tych wyborów i Konstytuanty – Bóg raczy wiedzieć. Dość powszechny jest pesymizm. Antagonizmy polityczne i społeczne rozrastają się, jątrzą i roznamiętniają. Jeżeli zwycięży w wyborach prawica endecko-burżuazyjna, co jest dosyć prawdopodobne, na lewicy w masach proletariackich i ewentualnie chłopskich może z łatwością dojrzeć prąd przeciwko Konstytuancie na rzecz bezpośredniej władzy ludu (dyktatura proletariatu i chłopów).

W Łomżyńskiem dotąd radykalnego i bezpośredniego ruchu agrarnego nie ma, oprócz sporadycznych wypadków, jak w dobrach Bożejewie niejakiego Lasinowskiego, gdzie parobcy z rządcą-ludowcem na czele utworzyli Komitet, który objął majątek, usuwając od zarządu właściciela, człowieka nędznej wartości moralnej. Na skutek interwencji ziemian i wniosku komisarza ludowego (taki jest tytuł naczelnika powiatu) rzecz ta trafiła do rąk prokuratury, skąd przekazana została do sędziego śledczego Wojchta. Wyrosło z tego śledztwo o rozruch i Wojcht w asystencji żandarmów udał się wczoraj do Bożejewa, gdzie dokonał aresztowania inspiratora ruchu, rządcy, pomimo groźnej postawy tłumu i usiłowania oporu. Ale takie śledztwo i aresztowanie doleje oliwy do ognia i rozżarzy iskry pożaru. Nie jest to metoda skuteczna do walki z zaczynami rewolucji agrarnej w chwili brzasków rewolucji ogólnej. Organy sądowo-śledcze, może mimo woli, stają się tu narzędziem politycznej walki.

14 grudnia, rok 1918, sobota

Miałem dziś pracowity dzień. Na dziś zwołany był zjazd sędziów pokoju z całego okręgu łomżyńskiego w celu przedstawienia przez nich materiałów statystycznych i co do osób na użytek Głównej Komisji Wyborczej, dla podziału okręgu na obwody i mianowania członków komisji wyborczych miejscowych. Zadanie, które Komisja

Główna ma pod tym względem spełnić, jest niesłychanie uciążliwe. Chodzi o rzecz następującą. Ordynacja wyborcza łącznie z instrukcją, wydaną do niej przez ministra spraw wewnętrznych, nakazuje podział okręgu na obwody głosowania. Obwody te winny być tak ułożone, żeby na każdy z nich wypadało nie więcej niż 3 000 mieszkańców (w miastach z ludnością ponad 10 000 jeden obwód ma wypadać na 2 000 mieszkańców). Podziału na obwody będziemy dokonywali w ramach gmin i miast. Gminy mają w powiatach okręgu łomżyńskiego bardzo nierówną przestrzeń i zaludnienie – od 1 000 i 1 500 do 15 000 ludzi. Jeżeli w którejś gminie będzie np. 7 000 mieszkańców, to już wypadnie ją dzielić na trzy obwody. Można sobie wyobrazić, co to za ogrom roboty, skoro w okręgu jest 62 gminy i 17 miast. Na okręg łomżyński ordynacja wyborcza ustala 9 mandatów poselskich, a ponieważ 1 mandat jest przyjęty przeciętnie na 5 000 wyborców, więc ogólna ilość wyborców w okręgu widocznie była liczona na zasadzie jakichś podstaw – na 450 000 obywateli. Obwód jest ustalony nie liczbą wyborców, lecz mieszkańców, mieszkańców zaś można liczyć o jakąś 1/3 część więcej niż wyborców (dzieci do 21 lat, którzy praw wyborczych nie mają, stanowią około 1/3 części ogółu). Liczba mieszkańców w okręgu wyniesie zatem około 75 000 głów. Gdyby tę całą ilość podzielić równo na 3 000 na każdy obwód, to by już wypadło około 230 obwodów. Ale że podział na obwody będzie dokonywany w łonie miast i gmin, gdzie przeto ilości mieszkańców na obwód będą wypadać drobniejsze, niż po 3 000, więc faktycznie ilość obwodów jeszcze wzrośnie znacznie; można ją liczyć na 300. Podział musi być dokonany konkretnie, ze wskazaniem wsi i osad wchodzących do każdego obwodu. Ażeby więc dokonać podziału, Komisja Główna musi mieć: a) ogólną ilość zaludnienia każdej gminy i miasta, b) wykaz wszystkich wsi i osad w każdej gminie, c) ilość zaludnienia każdej wsi i osady, d) wreszcie wiedzieć, która ze wsi w każdym obwodzie nadaje się na ośrodek obwodu. Ale nie dość tego. Komisja Główna musi dla każdego obwodu mianować komisję miejscową z 5 osób (przewodniczący, zastępca i 3 członków). Na 300 obwodów wypadnie przeto mianować 1 500 członków komisji. Członkowie komisji muszą być wyborcami danych obwodów i muszą być piśmienni. Proszę więc sobie teraz wyobrazić ciężar zadania, gdy w olbrzymiej większości gmin my w Komisji Głównej nie znamy zgoła żadnych ludzi nawet z nazwisk, a cóż dopiero z imion, zawodu, miejsca zamieszkania i tego, w jakim stopniu mają oni zaufanie ludności. Tymczasem całą tę czynność podziału na obwody i wyznaczenie komisji miejscowych musimy dokonać najpóźniej 22 grudnia. Otóż sędziów pokoju wezwaliśmy na dziś, aby dali oni nam materiał zarówno statystyczny dla podziału na obwody, jak co do ludzi, którzy mogą się nadawać do komisji. Chociaż sędziowie byli uprzedzeni, po co się ich wzywa, tylko znikoma mniejszość przywiozła materiał zdatny do użytku. Ogromna większość obiecała to dopiero nadesłać w przyszłym tygodniu. Ale czy nadeśle? Wielu sędziów nie przybyło wcale. Konferencja z sędziami i odbieranie od nich materiałów zajęły czas od godz. 10 rano do godz. 2 po południu. O godz. 3 po południu odbyło się pierwsze posiedzenie Komisji Głównej. Byli obecni: ja, zastępca przewodniczącego sędzia Duszyński, członkowie Szwejcar, Brzeziński i Długoborski i zastępca członka Karbowski. Odczytaliśmy i przedyskutowali ordynację wyborczą z instrukcją, potem naradzaliśmy się w sprawie zarządzeń co do podziału na obwody i mianowania członków komisji miejscowych. Jutro mam się zwrócić do wszystkich komisarzy ludowych w powiatach z poleceniem jak najrychlejszego dostarczenia w tym względzie materiałów.
Dostałem w południe takiej chrypki, że po obiedzie prawie że nie byłem w stanie mówić. Lękam się, żeby się nie rozchorować. Mam coś w rodzaju lekkiej gorączki.

15 grudnia, rok 1918, niedziela

Rano przed obiadem byłem trochę zajęty sprawami komisji wyborczej. Po obiedzie mój sekretarz, niejaki Wasilewski, zaangażowany do roboty w kancelarii Komisji Głównej, człowieczek poczciwy i zbiedzony, ale dosyć w robocie niedołężny, pracował dalej już sam jeden.
Miałem i ja przyjść do niego do pracy, ale o godz. 5 przyłapał mię w kawiarni prezes Filochowski i zaprosił do siebie na herbatkę towarzyską. Trudno mi się było wymówić, choć ochoty wcale nie miałem. Poszedłem z prezesem. Byli oboje prezesostwo, a z gości sędzia Duszyński z żoną, rejent Cholewiński z żoną, sędzia pokoju hr. Łubieński, prokurator Urbanowicz i ja. Zasiedliśmy do herbaty, która była właściwie kolacją na zimno, bardzo nawet wystawną i kosztowną jak na te czasy. Ale nie czułem się wcale dobrze w tym towarzystwie ani wesoło, ani swobodnie, choć siedziałem między wcale pięknymi, rozkwitłymi w wieku balzakowskim z leciutkimi już wszakże śladami uwiądu, paniami: brunetką Duszyńską i blondynką Cholewińską. Towarzystwo było arcy-endeckie, czyli „narodowe", jak ci panowie swoją reakcyjność określają. Przedmiotem rozmowy, poza kilku anegdotami ze stosunków sądowniczych rosyjskich w Polsce, zacytowanymi przez prezesa Filochowskiego i poza aktualną dla pań „wigilią żołnierza polskiego", były stosunki polityczne. Nasłuchałem się tu przemówień czarnosecinowych, wycieczek insynuacyjnych w stosunku do obecnego rządu ludowego i do Piłsudskiego, paskudnych plotek i demagogicznych matactw, którymi reakcja klerykalno-endecka usiłuje splugawić naradzającą się, a tak przez nią znienawidzoną, rewolucję polską, mającą wynieść do steru władzy ponad burżuazję chłopa i robotnika. Dużo jest z pewnością błędów, dużo może zboczeń z linii uzdrowienia ran, zadanych Polsce wojną, zwłaszcza w rekonstrukcji gospodarczej, które by można zarzucić obecnemu gabinetowi socjalistyczno-ludowemu w Warszawie, ale bo też ma drogę rządów iście cierniową w tym strasznym wykolejeniu stosunków, wytworzonym w spadku po wojnie i okupacji. A wrogowie wewnętrzni tego rządu, reakcja rodzima, tęskniąca do władzy i ze wściekłością spoglądająca na chmury przemian społecznych, grożących strąceniem jej z piedestału władzy na stanowisko rządzonych, zajęta jest li tylko gromadzeniem kamieni na drodze trudnej działalności twórczej i rekonstrukcyjnej rządu, chciwie łaknąc potknięcia się i upadku tego rządu, podnosząc krzyk i alarm o byle co, tropiąc każdy szczegół, mogący skompromitować rząd. To, co robi prawica klerykalna i „narodowa" – to jest obstrukcją i sabotażem, tym narzędziem szatańskim, który tak strasznie zaszkodził rewolucji rosyjskiej. Nie dba reakcja o to, że obstrukcją tą i sabotażem szkodzi nie tylko rządowi, ale i Polsce, i sprawie odrodzenia stosunków i współżycia gospodarczego w formach młodej państwowości polskiej. Wie ona, że w pojęciu bezkrytycznych elementów odpowiedzialność za to, co jest w stosunkach złym i ciężkim, spada zwykle nie na tych, którzy psują dzieło i szkodzą, lecz na tych, którzy dzierżą władzę w chwili obecnej, którzy się podjęli rządów i nie są w stanie podołać. Nie są nieraz w stanie, bo to jest niemożliwością fizyczną, ale dla bezkrytycznych wystarcza to, że nie podołali, a więc są winni, a więc precz z nimi! Do tego zmierza akcja prawicy endeckiej. Mniejsza o to, że po ewentualnym upadku obecnych rządów nie zdołaliby i oni sami nic naprawić, o czym wiedzą dobrze. Liczą na zewnętrzny sukces koalicji, który im poczytany będzie za ratunek.
Nie ma większej demagogii i umiejętniejszej insynuacji, jak w działaniu prawicy, tym podlejszej, że działa nie tyle jawnie, ile się rozpełza szeptem i jadem pokątnym na wsze strony. Teraz im dał nowy asumpt do demagogii i insynuacji list otwarty Tytusa Filipowicza[43], który może nawet w dobrej wierze, wystąpił z „demaskowaniem" i „rewelacjami" co do polityki Ministerium Spraw Zagranicznych, godząc nie tyle w

[43] Filipowicz Tytus (1873-1953), działacz polityczny, od 1896 w PPS, XI – XII 1918 wiceminister spraw zagranicznych, po 1921 w dyplomacji.

istotę rzeczy, ile w bęben skandalu, dający upragnioną sensację do zbrojowni politycznej endecji.

16 grudnia, rok 1918, poniedziałek
Praca u mnie w komisji wyborczej wre. Materiały jednak w stosunku do podziału na obwody i mianowanie komisji miejscowych napływają dosyć skąpo i nie dają się tak dokładnie i sprężyście systematyzować, jak tego wymaga pośpiech, dyktowany terminami prekluzyjnymi[44] ordynacji wyborczej. Szczególnie co do dalszych powiatów idzie to jak z kamienia. Zmuszony byłem dziś zwołać doraźne posiedzenie Głównej Komisji Wyborczej (w osobach mnie, sędziego Duszyńskiego, radnych Szwejcera i Karbowskiego i w obecności komisarza wyborczego Jankowskiego). Na zebraniu tym postanowiliśmy wysłać członków Komisji bezpośrednio do powiatów (Ostrołęka, Szczuczyn i Mazowieck) po materiał, omówiliśmy też szereg innych kwestii technicznych bieżących. Kancelarię moją powiększyłem przez zaangażowanie pracowniczki panny Marii Zadarnowskiej (miła i przystojna młoda panienka z wykształceniem gimnazjalnym); oprócz tego nająłem gońca do posługi w nowym lokalu, który wreszcie mamy otrzymać jutro, i do posyłek.
Ba, pracuję dla tych wyborów do Konstytuanty jak wół, a przecież nie mam wielkich złudzeń co do samej Konstytuanty. Bardzo pesymistycznie oceniam szanse trwałości i skutecznej pracy Konstytuanty. W takiej chwili, jak obecna, gdy społeczeństwo jest głęboko rozdarte walką wewnętrzną, w której obie strony dalekie są jeszcze od wyczerpania wszystkich środków i argumentów walki i bardzo dalekie od kapitulacji, Konstytuanta nie może być w większości umiarkowana i beznamiętna, oparta na jakimś filozoficznym bezstronnym centrum, balansującym linię rozwojową polityki między dwoma zwalczającymi się skrzydłami. Będzie ona w większości jaskrawa albo na rzecz prawicy endecko-klerykalnej, albo na rzecz lewicy, bloku rządowego. W pierwszym wypadku, jeżeli mieć ona będzie większość prawicową – a większość ta w obydwu ewentualnościach będzie usposobiona bojowo – to nie ulega żadnej wątpliwości, że lewica bloku rządowego (nie mówię już o wyraźnie i zdecydowanie bolszewickiej skrajnej lewicy s.-d.) – nie uzna takiej Konstytuanty, nie podporządkuje się jej dobrowolnie, jeno się jej przeciwstawi i usiłować będzie obalić ją w drodze gwałtu, rozpędzić, wystawić przeciwko niej postulat czynny bezpośredniej dyktatury proletariatu, raczej robotników i chłopów. I niewątpliwym jest, że to, co ta lewica robi obecnie, jest systematycznym i planowym przygotowaniem aparatu do przeciwstawienia się Konstytuancie na taką ewentualność i do wykonania tejże dyktatury. Rady delegatów robotniczych, rady gminne, które są analogią do pierwszych w stosunkach chłopskich, wreszcie systematyczne opanowywanie swoimi ludźmi i swoim wytworem całej machiny administracyjnej włącznie z jej rozgałęzieniami lokalnymi, dokonywane przez ministra spraw wewnętrznych Thugutta[45], najkonsekwentniejszego w planowym i systematycznie wytwarzanym radykalizmie (konsekwentniejszego i zapewne dalej i ostrzej widzącego w przyszłość nawet od swych kolegów socjalistów, choć sam on jest tylko ludowcem) – wszystko to ma wszelkie cechy zakładania takiego aparatu ewentualnej dyktatury („*active directe*" dawnego syndykalizmu francuskiego). Z drugiej strony, jeżeli w wyborach do Konstytuanty zwycięży większość lewicowa, to znaczy blok rządowy, to nie ulega również dla mnie żadnej wątpliwości, że prawica endecka i klerykalna nie podporządkują się potulnie czerwonej Konstytuancie i dążyć będą do zadania jej gwałtu

[44] Prekluzja – termin, w czasie którego powinna być dokonana jakaś czynność prawna.
[45] Thugutt Stanisław (1873-1941), publicysta, działacz spółdzielczy, 1917-1924 w PSL „Wyzwolenie", XI 1918 – I 1919 minister spraw wewnętrznych.

przez zamach stanu, względnie najprawdopodobniej – spisek wojskowy. W każdym razie, nie wierzę, aby w obecnych warunkach Konstytuanta mogła się stać ewolucyjnym, spokojnym narzędziem twórczości. O nią i na jej tle rozegrają się gwałtowne starcia, przynajmniej o ile się w to nie wdadzą czynniki siły zewnętrznej, np. koalicja, w której reakcja upatruje utęsknionego żandarma kontrrewolucji. Względnie, jeżeli narzędzia przemocy w stosunku do rewolucyjnej Konstytuanty chybią, to do przewidzenia jest proces odrywania się i usamodzielniania państwowości dzielnicowej, obwoływanie się Poznańskiego lub Galicji (ta ostatnia – mniej prawdopodobne) za osobne Rzeczpospolite dzielnicowe, do czego w Poznańskiem już pierwsze kroki zostały przez endecję zastrzeżone – to znaczy, proces rozpadania się analogiczny do wypadków ostatniego roku w Rosji (Ukraina, Rzeczpospolita Dońska itp.) i do separatyzmów, trawiących obecnie rewolucyjne Niemcy (narastający separatyzm Bawarii lub Westfalii i Nadrenii).
Kto wie, może, a nawet bodaj za wczesnym nieco było dojście w Polsce do władzy obecnej konstelacji społecznej rządu. Warunki są tak do rządzenia i do jakiejkolwiek sanacji stosunków, zwłaszcza gospodarczej natury, niedogodne, że żaden rząd by im nie podołał. Obecnie prawica zdobyła dogodną pozycję krytyki, a rząd ludowy ma niewdzięczne pole kompromitowania się. Jeżeli już koniecznie ktoś się ma kompromitować bez winy, to dla sprawy ludowej lepiej by było, aby się kompromitowała prawica, a lewica miała wygodny oręż krytyki. Przyszłaby rychło do władzy, ale bez balastu odpowiedzialności za „grzechy", które są grzechami nie ludzi lub kierunku, lecz warunków. Co prawda, lewica nie miałaby wtedy tej możności, jaką ma do wytwarzania, do wyznaczania aparatu w stosunkach publicznych dla przyszłych swoich zadań.

17 grudnia, rok 1918, wtorek
Robota w Komisji Głównej Wyborczej aż kipi, ale to tylko robota kancelaryjna. Co do samej istoty rzeczy, co do materiału dla podziału gmin na obwody i wyznaczania członków komisji miejscowych – to gromadzi się on bardzo ociężale. Z wyjazdu delegatów Komisji Głównej do powiatów nic nie wyszło. Szwejcer, który miał jechać do Ostrołęki – odmówił, bo to się dlań okazało niewykonalne. Komisarz wyborczy Jankowski, który miał jechać do Szczuczyna i Mazowiecka, nie pojedzie, bo... nie udało mu się dostać od władz wojskowych automobilu. Z tego komisarza wyborczego to pociechy wielkiej nie mamy: jest to typowy karierowicz pośledniejszego gatunku, obrotny, węszący na wszystkie strony, układny, ale człowiek nie do pracy, jeno do udawania roboty, do stanowiska i pieniędzy. Taki człowiek – to tylko do wciskania się tam, gdzie ktoś inny nie przelezie, bo umie on smarować – wprawdzie nie pieniędzmi, lecz pochlebstwem i gładkością obejścia, a w gruncie próżniak i do niczego. Że też na takiego padł wybór w Warszawie dla nominacji na komisarza wyborczego! Człowiek bez przekonań, węszący zawsze tropu i kierunku wiatru, ladaco.
Ostrołęką musieliśmy się zająć przez telefon, Kolno poleciłem do opracowania Miętkiewiczowi, do którego wysłałem szczegółowe zlecenia, Ostrów przekazałem telegraficznie sędziemu pokoju Grąbczewskiemu, któremu już ustnie w sobotę rzecz wytłumaczyłem, ze Szczuczynem i Mazowieckiem nie załatwiono dotąd nic oprócz tego, co mi kilku sędziów w sobotę dało. Co do powiatu Łomży, to byłem dziś na zgromadzeniu wójtów w powiatowym komisariacie ludowym, gdzie ja i komisarz ludowy Hanusowski udzieliliśmy im szczegółowych instrukcji i na czwartek materiał mamy obiecany.
Zająłem się też dzisiaj obstalowaniem pieczątek, zapewnieniem się co do papieru na druk kartek wyborczych itd. Lokal nam już magistrat udzielił i to wcale dobry, ale

jeszcze nie jest umeblowany i gotowy do użytku. Pracujemy więc jeszcze w sądzie okręgowym. P. Maria Zadarnowska, która pracuje u nas w komisji, bardzo miła, okazała się doskonałą pracowniczką, znakomicie się orientującą w robocie i dzielną. Za to sekretarz Wasilewski do niczego: niedołęga i niezaradny, a zahukany tak, że aż go żal.
Wczoraj przyjeżdżał do Łomży z Kolna Stefuś, który należy obecnie do POW, pełni tam służbę kancelaryjną i twierdzi, że do wojska zostanie przyjęty. Chodzi z pasem i bagnetem, ma nawet karabin. Nocował u mnie i rano wrócił do Kolna.

18 grudnia, rok 1918, środa
Praca w Komisji Głównej Wyborczej, właściwie w jej kancelarii, szła, jak się to mówi, „balonem" (znaczy: z pośpiechem błyskawicznym i wytężeniem motoru o sile niesłychanej ilości „koni"). Ale jeszcze dotąd pracowaliśmy tylko we trójkę: ja, panna Zadarnowska, która mi się coraz więcej i jako pracownica, i jako osoba podoba i mój niedołęga Wasilewski. Toteż „balonem" pracowaliśmy tylko ja i panna Zadarnowska, bo Wasilewski jest kompletnie niezdatny. Jest pilny, chciałby się wytężyć i być staranny, ale cóż, kiedy głupi. Gdy mu daję zlecenie, to się cały w słuch zamienia, aby nie uronić ani jednego słowa, ale im więcej słucha, tym mniej, zdaje się, rozumie i po otrzymaniu zlecenia robi wszystko na wspak. Panna Zadarnowska bierze wszystko w lot, a zarazem robi gruntownie. Moja rola w stosunku do kancelarii – kierownicza, polegająca na dyrektywach, jednocześnie bowiem mam na głowie wszystko: i papier, i sprawę lokalu, którego dotąd nam nie naszykowano do użytku, i wszystko inne, i zwłaszcza najcięższą, omal nie syzyfową robotę – wydostanie ze wszystkich gmin i miast po powiatach materiału do podziału na obwody i wyznaczenie komisji miejscowych. W tym ostatnim zakresie udało mi się dziś skomunikować z Kolnem telefonicznie z Miętkiewiczem, któremu udzieliłem dokładnych instrukcji i o którym wiem, że do czego się zabierze, to wykona dzielnie, wieczorem zaś, po długich i ciężkich cierpieniach, udało mi się skomunikować w tenże sposób z Mazowieckiem, gdzie praca nad materiałem skoncentrowała się w ręku sędziego pokoju miejscowego, Wyszyńskiego. Zostaje problematyczny powiat Szczuczyn, co do kilku jeszcze gmin i powiat Ostrów co do większości gmin.
Równolegle z tą pracą przechodzimy od jutra do następnej z kolei czynności – do przygotowania całego bagażu zawiadomień (do burmistrzów, wójtów, przewodniczących wszystkich komisji miejscowych i wszystkich członków tychże) – o dokonanym podziale na obwody i o składzie osobistym wszystkich komisji. Od jutra też zwiększam doraźnie kancelarię o szereg nowych pracowniczek i pracowników. Za dwa dni kancelaria Komisji Głównej rozrośnie się już do kilkunastu co najmniej osób. Faktyczną kierowniczką kancelarii zrobię pannę Zadarnowską. Przez nią będzie szło całe rozdawnictwo roboty, do niej też będzie należała bezpośrednia kontrola i odpowiedzialność wobec mnie. Lubię tę pracę, bo jest w niej ruch nerwowy, który zawsze znakomicie podnieca moją pracę.

19 grudnia, rok 1918, czwartek
Praca w Głównej Komisji Wyborczej rozrasta się coraz bardziej. Rano przyjąłem trzecią osobę do pracy kancelaryjnej (do dwóch poprzednich, to znaczy Wasilewskiego i panny Marii Zadarnowskiej). Jest nią córka tegoż Wasilewskiego, 18-letnia dziewczynka. Na poobiedzie zawezwałem jeszcze kilka osób do pracy spośród tych, które już poprzednio zwracały się do mnie z odpowiednimi prośbami. Wasilewskiego, który jest zupełnie niezdatny do roboty w zakresie opracowywania materiału techniki wyborczej, usunąłem od tej roboty i wyznaczyłem mu wyłącznie prowadzenie różnych

ksiąg czysto kancelaryjnych, jak dzienniki korespondencji, różne ewidencje itd., wreszcie czynności gospodarcze i administracyjne. Z panną Zadarnowską, przechodząc z kolei do następnej fazy pracy, opracowaliśmy rano schematy zawiadomień do wójtów i burmistrzów o podziale na obwody i o składzie komisji wyborczych miejscowych, dalej właściwe zawiadomienie do przewodniczących tychże komisji i członków. Po obiedzie, gdy do pracy przybyło jeszcze kilka osób, kancelaria zaczęła wykonywać zaprojektowane przeze mnie zawiadomienia, stosownie do materiału surowego z tych gmin, z których go już mamy. Ja ten materiał w brulionach, dostarczonych ze źródeł, zarysowuję i przekazuję do rąk panny Zadarnowskiej, ta zaś go rozdaje do wykonania pracowniczkom. Panna Zadarnowska wyrosła u mnie do roli dyrektorki czy naczelnika kancelarii, jak ją żartobliwie przezywam. Pracuje dzielnie, orientuje się zmyślnie, wyznacza robotę, dogląda wykonania. Mam z niej pomoc i uciechę. Córka Wasilewskiego okazała się do niczego: takaż niezaradna i głupia, jak ojciec. Nie potrafi wykonać nawet prostego przepisywania. Panna Zadarnowska, nie mogąc z nią dać rady, uprzedziła mię wieczorem, że dawać jej roboty nie może. Tymczasem biedny Wasilewski, chciwy zarobku, chciałby już całą swą rodzinę do naszego biura wprowadzić. Widząc, że przyjmuję coraz więcej pracowników i że płacę każdemu po 10 mk. dziennie, uprosił mię o przyjęcie jego córki, a teraz naprasza się o przyjęcie żony. Wolałby we trójkę zarabiać po 30 mk. dziennie, niż pojedynczo po 10 mk. Zmuszony byłem wieczorem uprzedzić go, że córce jego wymawiam pracę, bo jej wykonywać nie jest w stanie, żonę zaś jego, która podobno ma ukończone gimnazjum, zgodziłem się przyjąć od jutra. Że też są kobiety z wykształceniem gimnazjalnym, które za takich niedołęgów wychodzą i sprzęgają z nimi swój los. O, nędzo prawdziwa marnego losu kobiet.

Lokalu jeszcze nie mamy. Mieścimy się jeszcze w sądzie w moim gabinecie, a wieczorami w gabinecie Tramplera, bo w moim nie ma jeszcze elektryczności. Ciasno nam coraz bardziej. Dziś już urzędnik magistratu zakrzątnął się o umeblowanie i urządzenie udzielonego nam lokalu, aż oto gdy już meble zostały przed dom przywiezione, naczelnik policji, od którego lokal ten bez jego wiedzy odebrano, zaoponował i nie wpuścił. Powstała kłótnia między władzami – magistratem, Komisariatem ludowym a policją – tymczasem zaś meble leżały przed domem na bruku, a my znów faktycznie zostaliśmy bez lokalu. Co to nas obchodzą zatargi między władzami. Lokal udzielony nam być musi. Na posiedzeniu Komisji Głównej, które odbyło się wieczorem, uchwaliliśmy na mój wniosek zażądać ostatecznie od burmistrza udzielenia lokalu do jutra w południe, z tym, że jeżeli do tej pory nie będzie, wniesiemy zażalenie telegraficzne do ministra spraw wewnętrznych. Na posiedzeniu Komisji postanowiliśmy, o ile do soboty w południe nie otrzymamy brakującego materiału z gmin i miast powiatów szczuczyńskiego, mazowieckiego i ostrowskiego, wysłać tam członków Komisji, bo już nóż na gardle – termin podziału na obwody zbliża się kategorycznie.

Są w gazetach wieści, że Haller[46] przybył do Gdańska z wojskiem i że jutro przybędzie do Warszawy. Sam tego nie czytałem. Prawica się cieszy, bo wierzy, że Haller zdoła przeciwstawić Piłsudskiemu. Nie udał się Korfanty, więc się dosiada nowego konika popularnego – Hallera.

20 grudnia, rok 1918, piątek

Dziś wreszcie Główna Komisja Wyborcza otrzymała lokal. Lokal ten udzielony nam został w gmachu magistratu na Rynku Głównym, na parterze. Składa się on z dużej

---

[46] Haller Józef (1873-1960), generał, X 1918 – IV 1919 dowódca Armii Polskiej we Francji, z którą 21 IV 1919 przybył do Warszawy.

kancelarii i niewielkiego gabinetu dla mnie. Oprócz tego, jest przedpokoik, który oddziela mój gabinet od kancelarii. Kancelaria wygodna, szaf i stołów ma bez liku, w moim gabinecie szafa i biurko. Lokal własny był już nam niezbędny, bo od rana przyjąłem dziś jeszcze kilka nowych pracowników, właściwie pracowniczki. Do obiadu pracowaliśmy wszyscy razem w sądzie w moim gabinecie przy dwóch stołach, ale było już bardzo ciasno. Ogółem pracowniczek i pracowników miałem już dziś z dziesięciu. Robota nad opracowaniem materiału o podziale na obwody i składzie osobistym komisji, a następnie wypisaniem zawiadomień do wójtów, burmistrzów i do przewodniczących, i do wszystkich członków wszystkich komisji – wre. Trzeba to robić w szalonym tempie, jak na wyścigach. Kancelaria moja jest czynna przez 8 godzin, od g. 9 rano do 1 i od 4 po południu do 8 wieczór, ja zaś pracuję jeszcze więcej, bo od 9 rano do 9 wieczór z króciutką zaledwie na obiad przerwą. Oprócz kierowania i rozdawnictwa roboty w kancelarii, w czym moją prawą ręką jest panna Maria Zadarnowska, mam wszystko na głowie, bo i wysiłki o zdobycie brakującego materiału z powiatów, i depesze częste, i mnóstwo innych rzeczy. Pierwszy dziś powiat Kolno dostarczył mi całkowitego materiału, zawdzięczając energii dzielnego Miętkiewicza. Z powiatu Łomży i Ostrołęki brakuje mi po jednej tylko gminie. Z powiatów Ostrowia, Szczuczyna i Mazowiecka luki są o wiele gorsze.
Jedno mię tylko na nowym lokalu Komisji Głównej nieco drażniło – to, że jestem izolowany od kancelarii, z którą dotąd pracowałem w jednym gabinecie. Nie zależy mi na ogóle tej kancelarii, szczególnie że napłynęło mnóstwo nowych osób, z których nie wszystkie bynajmniej są zbyt miłe, ale wyznam szczerze – tęskno mi za panną Marią Zadarnowską. Przywykłem mieć ją tuż przy sobie, kierować nią, musztrować, przeplatając to jakimś słówkiem rozmowy lub zręcznego komplementu, czuć pod ręką tę jej wrażliwość niewieścią, używać ją do roboty w kontakcie ze sobą. Tu zaś jesteśmy fizycznie odseparowani, pomimo że z natury swej pracy często ona zagląda do mnie, a nawet zdaje się chętnie, bo lubi, że ją wyróżniam, że chwalę i jest na słówko pochlebstwa podatna. Lubię ją jako wyraz kobiecości młodej, bo o kochaniu się nie ma oczywiście mowy i daleki jestem w moim wieku od śmieszności zalotów do młodej dziewczynki. Ani na chwilę nie pozwalam sobie na to. Ale dziewczyna jest też dziewczyną w pracy. Przez umiejętne obejście się, przez pochwałę, przez zręczne użycie jej w obejściu można z niej wykrzesać dzielność i pracę wielką. Jest ona jak koń pod siodłem.

21 grudnia, rok 1918, sobota
Robota kipi. Już do 20 osób w kancelarii pracuje. Komplet pracowników już się w ciągu dnia ukompletował, tak, że przestałem przyjmować nowych. Brałem dotąd każdego, kto się tylko zgłaszał. Wszystkie krzesła i miejsca przy stołach są w kancelarii poobsadzane. Więcej trudno by już zmieścić. Zresztą jest akurat tyle, że każdy ma robotę, nikt nie próżnuje i panna Maria może ogarnąć całość. Gdyby było jeszcze o kroplę więcej, już z ładu zacząłby się wyradzać chaos.
W ciągu dnia dzisiejszego wpłynął brakujący materiał z powiatów Łomży, Ostrołęki i Ostrowia. Te powiaty więc, zarówno jak kolneński, są w komplecie. Niestety, okazało się dziś, że panna Maria (Zadarnowska) zagubiła wczoraj całą gminę Turośl. Stąd powstała w materiale luka w powiecie kolneńskim. Lukę tę wszakże obiecał Szwejcerowi przez telefon uzupełnić poczciwy Miętkiewicz.
Z powiatami Szczuczyn i Mazowieck jest źle. Nic z nich nowego nie wpłynęło. Brak mi w nich 9 gmin i 4 miast.
Na posiedzeniu Komisji Głównej postanowiliśmy dziś wysłać niezwłocznie dwóch delegatów po brakujący materiał – jednego do Szczuczyna, drugiego do Mazowiecka.

Do Szczuczyna wyjeżdża członek Komisji Głównej Długoborski, do Mazowiecka drugi członek – Brzeziński. Przy dzisiejszych bajońskich cenach furmanek są to podróże niesłychanie kosztowne. Długoborskiemu dałem na koszta podróży zaliczki 500 mk., Brzezińskiemu – 400mk.
Pracowałem gwałtownie. Nie wyszedłem wcale na obiad; zadowoliłem się wędliną.

22 grudnia, rok 1918, niedziela
Robota szła dalej, pomimo niedzieli, w tempie szalonym. Cały komplet pracowników był w ruchu. Przygotowujemy na jutro do rozesłania do wszystkich powiatów kompletne pakiety zawiadomień o podziale gmin i miast na obwody, o składach osobistych komisji miejscowych dla wszystkich obwodów, dalej zawiadomień z drukami do przewodniczących komisji o powołaniu ich i zadaniach i do wszystkich członków tychże, wreszcie ogłoszeń przewidzianych w ordynacji wyborczej, odezw w sprawie zaprojektowanych przez nas zjazdów przewodniczących we wszystkich powiatach itd. Kancelaria musi pracować niesłychanie intensywnie, aby wszystko wygotować, wypełnić i nie pomieszać. Wszystko zresztą idzie dobrze, oprócz brakującego materiału z czterech gmin pow. szczuczyńskiego i pięciu gmin oraz trzech miast pow. mazowieckiego, skąd nic jeszcze nie wpłynęło. Brakujący materiał do gminy Turośl, zagubiony wczoraj przez pannę Zadarnowską, został telefonicznie zadyktowany nam przez Miętkiewicza. Materiał do podziału miasta Łomży na obwody i do ustalenia składu komisji miejscowych dla tychże obwodów opracował i doręczył już dziś członek Komisji Głównej Szwejcer.
Lubię tę robotę o tyle, że jest niesłychanie nerwowa i że ja nią kieruję, ja mam jej cugle w ręku. Sama przez się w wewnętrznej treści swojej, jest ona jak najbardziej sucha i formalistyczna, zwłaszcza w tym stadium obróbki materiału o podziale na obwody – niezależnie od tego nie mam wiary w wartość i skuteczność dzieła, któremu ona służy – ale to, co mi się w niej podoba, leży w innej płaszczyźnie, nie mającej bodaj związku z istotą tej roboty. Sprężystość czynu ludzkiego, niezależnie od jego treści, bawi mię i zajmuje jak sport, jak wyścigi. Szczególnie, że jest to wykonanie zbiorowe, w którym kojarzą się mnogie siły ludzkie i momenty poszczególne czynów. Jest to sport techniki ludzkiego działania. Ja nim kieruję, ja go puszczam w ruch, ja mam zań odpowiedzialność, ja go przeto tworzę i sycę się następnie jego widokiem. W tym znaczeniu mi się ta praca podoba. W tym znaczeniu – tylko w tym jedynym – jest ona twórcza, a więc taka, którą zawsze lubiłem i lubię i która mi daje zadowolenie duże (jest w tej przyjemności analogia do tej, którą odczuwałem w Zegrzu[47] w kadrze, kierując wyszkoleniem nędznego kapralstwa rekrutów).
Męczy mię ta robota i wyczerpuje – czuję to. Wymaga ona bowiem ogromnego wytężenia uwagi, olbrzymiej czujności, ciągłego ogarnięcia całości włącznie z poszczególnymi sprężynami ruchu, ale w tym jest przyjemność większa dla natury takiej, jak moja, niż w spełnianiu poszczególnej pracy mrówki. Nie pozostaje też bez wpływu na przyjemność, której doznaję, ta okoliczność, że mam w doborze pracowników i wykonawców grono młodych dziewczynek, wraz z paru panami, których bystrość spełniania funkcji i elastyczność działania tworzy plastykę bardzo piękną. Zresztą zakres tej roboty wybiega daleko poza zakres czysto kancelaryjnego opracowywania materiału.

23 grudnia, rok 1918, poniedziałek

[47] Zegrze – ośrodek szkoleniowy Legionów Polskich.

Dzisiaj, pracując z ogromnym wytężeniem energii, kancelaria moja wykończyła na wieczór gotowe do ekspedycji pakiety do wszystkich powiatów i do miasta Łomży. Spośród pracowników kancelarii znalazłem pewnego młodego chłopca, niejakiego Dąbrowskiego, który przyjął chętnie propozycję wyjazdu z pakietami osobiście i znalazł mi dwóch jeszcze takichże chętnych do wyjazdu młodzieńców. Jeden z nich koło godz. 6 wyjechał już z pakietami do Kolna i do Szczuczyna. Dwaj inni wyjadą jutro rano pociągiem – jeden do Ostrołęki i Ostrowia, drugi do Mazowiecka. Tym umyślnym płacimy po 30 marek diety dziennie i zwrot kosztów przejazdu. Oczywiście, że ceny furmanek wypadnie płacić szalone, bo zwykła drożyzna furmanek podnosi się jeszcze na skutek świąt. Ale innej rady nie ma. Zmuszeni jesteśmy, nie oglądając się na żadne koszta, pchać bezwzględnie robotę terminową. W zasadzie władze administracyjne i wojskowe powinny udzielać komisjom wyborczym wszelkiej pomocy i ułatwień, zwłaszcza w zakresie środków przewozowych i komunikowania się. Ale nie ma już teraz furmanek nakazanych, jakie były za okupacji niemieckiej, a zresztą przy dzisiejszym rozprzężeniu żaden chłop by nie usłuchał nakazu dostarczenia furmanki. Komisariaty ludowe istotnie nam dużo skuteczniej udzielają pomocy, ale w zakresie koni do wyjazdów to nie rozporządzają nimi poza własne najpilniejsze potrzeby, co zaś do władz wojskowych, to te nic sobie z niczego nie robią i ani myślą o udzielaniu komukolwiek pomocy lub usługi; w ogóle to młode wojsko nasze jest strasznie rozwydrzone i samowolne; oficerowie o niczym innym, zdaje się, nie myślą, jak tylko o fanfaronadzie, o flircie z pannami, o brzęczeniu szabelkami i zabawie. Wojsko ma automobile, którymi młodzi oficerowie rozjeżdżają bez żadnej potrzeby, dla prywatnej jazdy, dla spacerów z dziewczętami, podczas gdy my dla spraw wyborczych musimy po bajecznych cenach wynajmować furmanki na koszt skarbu. W ogóle, jak we wszystkim, rozprzężenie jest straszne.
Do komisariatu ludowego na pow. łomżyński i do magistratu miasta Łomży również doręczyliśmy dziś pakiety już gotowe. Pozostają już tylko owe nieszczęsne dziewięć gmin i cztery miasta powiatów szczuczyńskiego i mazowieckiego, co do których żadnego materiału dotąd nie mamy.
Mam pewien kłopot z pracownikami mojej kancelarii w Komisji Głównej. Ze względu na naturę i terminowość naszych czynności nie możemy zawieszać ich ani na chwilę, o ile tylko praca bieżąca jest. Jeżeli, powiedzmy, wpłynie do nas materiał ze Szczuczyna i Mazowiecka, kancelaria będzie musiała pracować całą siłą pary – bez względu na dzień wigilii i świąt Bożego Narodzenia. Na posiedzeniu Komisji Głównej ustaliliśmy na te 3 dni wynagrodzenie za pracę po 3 marki za godzinę, co przy ewentualnym 8-godzinnym dniu wyniesie 24 mk. diety. Gdym dziś spytał wieczorem, kto z pracowników i pracowniczek chce na tych warunkach pracować w wigilię i święta, żadna z młodych dziewczynek, które są najdzielniejszymi pracowniczkami, nie zgłosiła się, bo dla młodych zabawa i święta ma większy powab od zwiększonej sumy marek, a za to zgłosiły się wszystkie stare i im która niedołężniejsza w robocie, tym skwapliwiej. A że na razie będzie mi potrzeba mniej osób, musiałem z tych osób, które się zgłosiły, jeszcze wybrać część lepszych, oddalając najsłabszych. Tu się znów podniósł wśród starych lament. Ta ma kilkoro dzieci, a ta znów jest głodna itd. Cóż ja na to poradzę. Tu chodzi o robotę, a nie o instytucję pomocy społecznej. Mają rację komuniści głosząc, że prawo do utrzymania płynąć winno z tytułu życia i potrzeb, nie zaś zdobywane robotą, jak głosi kolektywizm. Czy ten, który jest niezdatny do żadnej pracy, niedołęga, jak mój Wasilewski, mniej pragnie jeść i mniej potrzebuje utrzymania dla siebie i rodziny, niż ten, który jest rozumny i zdolny? Ale co mnie do tego, kto jest bardziej głodny i

potrzebujący, gdy rozdzielam pracę. Gdyby była „*ceteris paribus*"[48] – to powinienem to uwzględnić, ale skoro żadnej „*paritatis*"[49] nie ma?

24 grudnia, rok 1918, wtorek
Pomimo wigilii praca w Komisji Głównej szła, z tą różnicą, że godziny pracy poobiedniej trwały od drugiej do szóstej. Ale już dziś nie było takiej wściekłej gorączki jak wczoraj. Pracowało też zaledwie kilka osób. Najlepsze moje pracownice – młode dziewczynki, zwinne jak jaszczurki, wesołe w pracy i dzielne w pośpiechu, wymagającym równolegle dużej czujności – były nieobecne. Pracowało jeno kilka starszych pań i panien oraz dwóch dzielnych pracowników-mężczyzn. Główną masę roboty odwaliliśmy wczoraj. Dziś przybył nam materiał, którego brakło do powiatu szczuczyńskiego; materiał ten w ciągu dnia dzisiejszego załatwiliśmy i o godz.5 wieczorem wysłałem pakiet uzupełniający do Szczuczyna przez jednego z pracowników, pana Grygo. Szczuczyn więc jest również zakończony. Brakuje tylko pięć gmin i parę miast powiatu mazowieckiego.
Miałem dziś na tle mojej pracy dużą przykrość: mianowicie w drukowanym terminowym ogłoszeniu Komisji Głównej, które w myśl ordynacji wyborczej zostało wczoraj załączone do wszystkich pakietów do powiatów, aby tą drogą być rozesłane do wszystkich gmin i miast dla opublikowania we czwartek, ujawnił się fatalny błąd drukarski: mianowicie termin dla zgłaszania kandydatur poselskich wydrukowano „dnia 6 stycznia", kiedy być powinno „dnia 9 stycznia". Dotknęło mię bardzo to przeoczenie przeze mnie kapitalnego błędu. Sam robiłem korektę. W tej gorączce pracy, która wczoraj miała miejsce, jest to zrozumiałe, ale niemniej błąd pozostaje ciężki, uchybiający jednemu z zasadniczych elementów techniki wyborczej. Względnie mogłoby to służyć za powód do kasacji wyborów. Zaraz zadepeszowałem do wszystkich powiatów, aby poczyniły poprawkę, względnie niezwłocznie dały o tym znać do gmin, jeżeli ogłoszenia są rozesłane.
Panna Maria Zadarnowska, którą darzyłem takim zaufaniem i która była moją prawą ręką, skrewiła. Pozawczoraj po południu nie przyszła wcale do zajęcia, udała się bowiem do resursy na „czarną kawę", urządzaną przez grono pań ze śmietanki towarzyskiej (oczywiście była to zabawa o charakterze bardzo „narodowym" i opozycyjnym, w asyście wśród gości p. biskupa, z wyłączeniem wszelkich elementów jaskrawie zaangażowanych lewicowo, a przede wszystkim z wielkimi honorami dla wojskowych, których prawica kokietuje, a w których się panienki łomżyńskie kochają; ja też byłem zaproszony, ale nie poszedłem, bo zresztą nie lubię tego rodzaju zabaw towarzyskich i nie bawię się na nich wcale, a zwłaszcza nie jestem amatorem tego zapaszku reakcji, która się ubiera w „narodowe" pozy pod błogosławieństwem fioletów biskupich i „śmietanki" towarzyskiej). Że p. Zadarnowska poszła, że wolała zabawę od biura – nic dziwnego. Ale że nie przyszła do pracy, nie uprzedzając o tym, choć wiedziała, że praca jest w najgoretszym tempie i że ona trzyma w ręku cugle wiązadeł poszczególnych już elementów, a przeto, gdy jej komuś nie zleci, to na razie całe wiązanie się dezorganizuje, nim go ktoś inny nie ujmie – to jej zarzucam. Nie uprzedziła, bo widocznie wyczuła pewne zażenowanie, pewien wstyd dezercji pod wpływem słabości. Wczoraj zaś już nie przyszła dlatego, że się rozchorowała. Dyrekcję po niej objęła panna Liwe, trochę starsza, o zmyśle kokietki. Pracowała dzielnie, w ruchu może nawet energiczniej od Zadarnowskiej, ale mniej subtelnie w pewnych czynnościach. Świetna jest w artyzmie pracy młodziutka Roszkowska, piękna dziewczynka, typ twardy i jędrny.

---

[48] (łac.) ceteris paribus, kiedy inne warunki (okoliczności) są te same.
[49] (łac.) paritatis, jednakowość.

25 grudnia, rok 1918, środa
Mój współlokator, sędzia Wojciech Trampler, który wraz ze mną najmuje pokój w mieszkaniu dr-owej Zaleskiej (pokoje nasze sąsiadują przez ścianę), zaprojektował, abyśmy wspólnie spożyli wczoraj tradycyjną wieczerzę wigilijną w domu i również wspólnie w domu obiad w dniu dzisiejszym i jutrzejszym, to znaczy w dwa pierwsze dni świąt, ponieważ w tych dniach wszystkie restauracje, nie wyłączając restauracji Iwanickiego przy hotelu Rembielinie, w której się wszyscy bezdomni sądownicy łomżyńscy, i my w ich liczbie, stołują, są zamknięte. Wigilię się zwykle spędza i tradycyjną wieczerzę spożywa w kółku najbliższym rodziny, ale że ani ja, ani sędzia Trampler, kawaler i Galicjanin, nie mamy w Łomży rodziny, więc się zespolimy, bezdomni, we dwójkę. Chętnie przystałem, bo inaczej musiałbym się zadowolić chyba kawałkiem wędliny na zimno, tak w dniu wczorajszym, jak dzisiejszym i jutrzejszym. Trampler, smakosz, gastronom wyszukany i łakomy, dla którego jedzenie, jak wszelkie zresztą sycenie zmysłów, jest przedmiotem kultu szczególnego, zajął się gospodarczą stroną naszych uczt wigilijno-świątecznych: on opracował szczegółowo menu, odbył konferencję z kucharką dr-owej Zaleskiej, dopilnował wszystkiego itd. Ja, zajęty pomimo świąt po 8 godzin dziennie pracą w Komisji Głównej, byłem tylko spożywcą uczt, obmyślonych i wypracowanych przez Tramplera. Ale też za to bajeczne mieliśmy co do smaku i obfitości jadło tak wczoraj, jak dziś. Trampler zakreślił dania na miarę bardzo pakownego kuferka, jakim jest jego okazały żołądek. Wczoraj na wigilię mieliśmy znakomity barszcz postny z uszkami, które się rozpływały w ustach, świetną sztukę szczupaka, polanego masłem topionym z siekanymi jajami i pierożki z kapustą. Wieczerza była tak wyborna, że istotnie, według określenia Tramplera, było „niebo w ustach”. Nie brakło też wigilijnego opłatka i butelki wódki. Na dziś na obiad świąteczny mieliśmy barszczyk na „wieprzowince”, dalej tęż „wieprzowinkę” z barszczu, sute befsztyki z jajkiem z podsmażonymi kartoflami i „kluski” w rodzaju naszych litewskich łazanków. Wszystko było wyborne, a dużo było wszystkiego tak, że na cały dzień do trawienia starczyło. W nocy po wieczerzy wigilijnej musiałem aż sodę zażywać, bo miałem zgagę – tak się objadłem!
Kancelaria Komisji Wyborczej była czynna 8 godzin, jak zwykle, choć roboty było mało. Do obiadu pracowała tylko jedna pracownica, panna Chylińska, osoba starsza, po obiedzie – dwie osoby, pani Domakowska i p. Kamiński. Oczekiwany z Mazowiecka materiał nie przybył. Zadepeszowałem do wszystkich powiatów z zapytaniem, czy otrzymały pakiety. Ze Szczuczyna wrócił p. Grygo, który był wysłany wczoraj z pakietem uzupełniającym. Natomiast pierwsi wysłańcy z pierwszym transportem pakietów do wszystkich powiatów jeszcze nie popowracali, co mię trochę niepokoi. Dzisiaj w kancelarii Komisji było nudno, bo moich miłych młodych pracowniczek nie było. Dla nich święta nie są pustym dźwiękiem. O, młodości! ty piękna!

26 grudnia, rok 1918, czwartek
I dziś jeszcze jadłem obiad z Tramplerem w domu. W Komisji Głównej wysiedziałem akuratnie 8 godzin urzędowania. Czekałem z coraz bardziej rosnącą niecierpliwością na materiały z brakujących gmin i miast powiatu mazowieckiego. Rano, w myśl wczorajszej uchwały Komisji Głównej, wysłałem depeszę do Generalnego Komisarza Wyborczego w Warszawie (jest nim prezes Sądu Apelacyjnego Sobolewski[50]) z zawiadomieniem, że część powiatu mazowieckiego nie została podzielona na obwody

[50] Sobolewski Bronisław (1870-1924), prawnik, od 1901 adwokat w Warszawie, współorganizator sądownictwa polskiego; IX-XII 1919 i VII 1920 – VI 1922 min. sprawiedliwości.

ze względu na niedostarczenie materiału. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie wraca dotychczas i nie przywozi materiału członek naszej Komisji Głównej Brzeziński, który był delegowany do Mazowiecka specjalnie w tym celu. Brzeziński wyruszył tam w sobotę i dotąd nie wrócił, podczas gdy drugi członek, Długoborski, delegowany w tymże celu do Szczuczyna, wyjechał w niedzielę i, choć miał dalszą drogę, tym bardziej, że jeszcze ze Szczuczyna musiał jeździć do Grajewa – wrócił już i przywiózł materiał we wtorek rano. Po obiedzie otrzymałem od sędziego z Mazowiecka depeszę, że nasz delegat Brzeziński był w Mazowiecku, zebrał potrzebny materiał i jeszcze w poniedziałek wieczorem wyjechał. Wobec tego zaraz posłałem do Szczepankowa, gdzie mieszka Brzeziński, który jest wójtem gminy Szczepankowskiej – o 12 wiorst od Łomży – umyślnego w osobie naszego dzielnego pracownika p.Grygo. Na godz.8 Grygo powrócił i przywiózł materiał. Okazało się, że Brzeziński od wtorku wrócił do Szczepankowa i siedział sobie najspokojniej z materiałem, ani myśląc go nam w czasie świąt przywieźć lub choćby przysłać, podczas gdy my tu wyłaziliśmy ze skóry z niecierpliwości oczekiwania, uchybiając terminom.
O godz. 5 odbyło się pod moim przewodnictwem w sali posiedzeń Rady Miejskiej zebranie wszystkich przewodniczących miejscowych komisji wyborczych jedenastu obwodów głosowania miasta Łomży. Odczytaliśmy wspólnie i przedyskutowaliśmy ordynację wyborczą i instrukcję do niej, omówiliśmy też szczegółowo wszystkie czynności i terminy, wchodzące w zakres zadań komisji miejscowych. Można żywić nadzieję, że przynajmniej w mieście Łomży komisje miejscowe nie uchybią terminom, bo co do ogółu obwodów po powiatach, zwłaszcza wiejskich, to nie łudzę się. Z terminami będzie tam bajzel zupełny i czynności będą wykonane nie jak żąda ordynacja, ale – jak Bóg da. Weszliśmy teraz w drugie stadium czynności wyborczych – sprawdzanie list wyborców. Czynność ta na razie skupia się w poszczególnych komisjach miejscowych, ale już we wtorek 31 grudnia najdalej komisje miejscowe winny już nadesłać do Komisji Głównej zatwierdzone listy wyborców. Ciekaw jestem czy przynajmniej 20% komisji wykona to w terminie przepisanym.

27 grudnia, rok 1918, piątek
Dziś od rana zgłosiły się do biura Komisji do pracy znów wszystkie moje młode pracownice, których przez trzy dni świąt nie widziałem. Znów wpłynął ten młody element, gwarny i wesoły, który z nudnej kancelarii i suchej roboty biurowej robi tętniący życiem warsztat sprężystości. Roboty mam teraz dla kancelarii znacznie mniej. Na dziś mam jeszcze opracowanie materiału, dostarczonego wczoraj dla spóźnionych gmin i miast powiatu mazowieckiego, ale to już pójdzie prędko wobec obeznania moich pracowników i pracowniczek z tą robotą, a na jutro i na kilka dni dalszych będzie roboty zupełnie mało. Musiałbym więc stanąć wobec zagadnienia bardzo ciężkiego i przykrego – o zmniejszeniu od dziś personelu biurowego i wydaleniu kilku, jeżeli nie kilkunastu osób. A to jest rzecz trudna, bo każda z pracowniczek i pracowników potrzebuje zarobku i bardzo liczy na każda grosz wypracowany. W dodatku, gdybym miał wybierać, to podług wartości pracy musiałbym i chciał w pierwszym rzędzie zatrzymać młode dziewczęta, oddalając starsze, gdy właśnie starsze przeważnie najwięcej potrzebują pracy; mówiono by wtedy, że proteguję młode, że może kieruję się tu względami męskiej przyjemności zmysłowej. Na szczęście znalazło się doskonałe wyjście. Oto uradziliśmy pozawczoraj na zebraniu Komisji Głównej, że ponieważ koszta funkcjonowania komisji miejscowych będą oczywiście opłacane z funduszów, którymi na cel wyborów rozporządza Komisja Główna, to znaczy wszelkie wypłaty muszą przejść przez nasze ręce, więc, o ile komisjom miejscowym potrzebni będą pracownicy do kancelarii, to, przynajmniej dla komisji łomżyńskich miejskich,

dostarczymy im tych pracowników w naturze z personelu naszego, delegując poszczególne osoby, zbywające nam, do tychże komisji. Wczoraj też zakomunikowałem o tym na zebraniu przewodniczących komisji miejscowych, którzy to przyjęli do wiadomości. Tą drogą pozbyłem się całego szeregu osób, nie pozbawiając ich roboty i mogąc swobodnie wybierać. Oczywiście postarałem się zatrzymać co najlepszego. Wysłałem więc do komisji miejscowych panią Rychter i Hanusowską, osoby starsze i dość nadęte zawsze przy robocie, wyglądające tak, jak żeby były ciągle obrażone, tak że je zawsze omijałem, lękając się je czymś urazić; wysłałem niedołężnego studenta Lisickiego, który był w robocie do niczego; wysłałem p. Chylińską, siostrę dr-owej Zaleskiej, starą pannę, pracownicę dobrą i staranną, ale powolną; wysłałem siostrę studenta Lisickiego; z żalem skierowałem do XI obwodu dzielnego pracownika Grygę, ale bo tam, ze względu na dość wadliwy dobór osobisty członków komisji, potrzebny był szczególnie dzielny i samodzielny pracownik; z bólem serca wysłałem dwie młodziutkie i milutkie dziewczynki, dobre pracownice, cichutką i słodziutką Czaplicką i energiczną mocną Cezarię Kokoszko; te dwie ostatnie musiałem poświęcić, bo nie mogłem posłać ani Zadarnowskiej, ani panny Lineburg, które zajęły u mnie miejsce podręcznych moich i uważałyby wysłanie ich za obrazę osobistą, ani najlepszej z pracownic rutynowanej Budkiewiczówny, która wszelką robotę wykonywa samodzielnie i inteligentnie, a tak jest w robocie niezależna, że potrafi nawet mnie w respekcie i postrachu trzymać, ani rozkosznej dziewczynki Roszkowskiej, którą nazywam myszką – tak sprytnie i cichutko a dzielnie się krząta w robocie – mojej faworytki i z pracy, i z typu, ani eleganckiej dystyngowanej Żydówki panny Szapiro, ani wreszcie p. Kamińskiego i p. Domakowskiej; te dwie ostatnie osoby, z których jeden mężczyzna i druga osoba starsza, oboje dobrzy pracownicy i sympatyczni ludzie, byli mi potrzebni do kompletu młodych dziewczyn nie tylko dla dobrego pozoru, ale także dla uzupełnienia tego kompletu pewnymi właściwościami do pracy, których młode dziewczęta mogły nie mieć. Tak więc pozostałem w Komisji Głównej z samym kwiatem doboru pracowników. Panna Maria Zadarnowska znowu dziś pracuje u mnie, ale odkąd porzuciła w niedzielę biuro bez żadnego uprzedzenia – dla „czarnej kawy” – straciła u mnie poprzednie uznanie. Była przyszła już wczoraj rano, trochę zawstydzona i tłumaczyła się tym, że z powodu choroby przerwała pracę. Zaznaczyłem jej w odpowiedzi, że wiem o jej chorobie od poniedziałku, ale w niedzielę była nie choroba, lecz czarna kawa i że taka dezercja z biura bez uprzedzenia, gdy się pełniło czynność kierowniczą, jest rzeczą niеładną, świadczącą o małym poczuciu odpowiedzialności; a ponieważ na dzień wczorajszy dość miałem pracowniczek, więc p. Zadarnowską zwolniłem, prosząc o przyjście dzisiaj. Ambitna dziewczyna widocznie uczuła boleśnie moje słowa wczorajsze, tym bardziej, że były one powiedziane w obecności jej koleżanek i to do niej, która była zawsze wyróżniana i przezywana „dyrektorką”. Dziś przyszła, a gdym ją zaprosił do mego gabinetu i coś jej dyktował, zwróciła się do mnie z błagalną wymówką i żalem za wczorajsze. Pocieszyłem ją serdecznie i Zadarnowska się rozpłakała. Jest ona milutka fizycznie, działająca drażniąco na zmysły. Z przyjemnością trzymam ją w moim gabinecie i używam do dyktowania różnych listów, depesz i szablonów, ale w gruncie rzeczy nie idealizuję jej tak bardzo i nie zachwycam się, jak w pierwszych dniach jej pracy. Jest to główka pusta, kokietka czy bałamutka zręczna i ambitna, taka sobie sprytna i miła, ale próżna i płytka dzierlatka.

28 grudnia, rok 1918, sobota
Wczoraj wpłynęła do Komisji Głównej na moje ręce pierwsza lista kandydatów. Ponieważ odpowiadała ona formalnym warunkom zgłoszenia, Komisja Główna na posiedzeniu zaakceptowała ją i oznaczyła nr 1. Jest to lista dzika, samozwańczy

nieorganizacyjny wybryk pewnej garstki wyborców drobnej własności z gminy Warchoły powiatu Ostrowskiego. Oprócz tej listy, przynoszono do mnie wczoraj z jakiejś innej miejscowości drugą też jakąś listę, równie dziką, z dwoma nazwiskami kandydatów, ale tej nie przyjąłem, bo w zgłoszeniu nie był wskazany, jak żąda prawo, pełnomocnik zgłaszającej grupy. Na tej liście przyjętej jest tylko jeden wystawiony kandydat, niejaki Sienicki, obecnie rejent w Kaliszu, b. rejent w Ostrowiu. Lista ta jest najprawdopodobniej wybrykiem warcholskim (nomen omen: gmina Warchoły); grono domorosłych polityków z drobnej własności w zakątku prowincjonalnym pośpieszyło z tym aktem zgłoszenia własnej kandydatury, zanim organizacyjne wpływy stronnictw ogarnęły ten zakątek. Toteż bardzo prawdopodobne, że lista ta z kandydaturą Sienickiego zostanie wycofana, o ile nie jest ona dziełem pewnej intrygi, obliczoną na rozbijanie głosów prawicy przez wystawianie odrębnych list lokalnych. To bowiem zgłoszenie ma niewątpliwie charakter prawicowy, jak to widać z oryginalnej motywacji kandydatury, wypisanej w zgłoszeniu; jako prawicowe – szkodzi ono tylko prawicy, bo jej siły rozbija zamiast skupiać na jednolitej organizacyjnej liście. Prawica nie zaniedba z pewnością starań na cofnięcie i umorzenie zawczasu tej listy.
Takich błędnych, dzikich list może być oczywiście dużo. Są one nieobliczalne, bo wszędzie mogą się znaleźć jakieś grupki „dzikie", które nie zechcą się podporządkować takim lub innym listom ogólnym, ułożonym przez pewne bloki stronnictw, jeno zechcą wystawiać „własnych" kandydatów. Oczywiście, że mogą to robić albo ci, którym chodzi li tylko o zademonstrowanie swojej niezależności od jakichkolwiek karnych szranków organizacyjnych, względnie partyjnych bez nadziei uzyskania mandatów dla swej listy, albo też ludzie nie rozumiejący techniki wyborów. Bo rzecz oczywista, że lista taka nie przejdzie nigdy. Głosować będą na nią tylko lokalni wyborcy, jak w tym wypadku mieszkańcy gm. Warchoły lub w najlepszym razie powiatu ostrowskiego i to jeno tacy, którzy nie będą zagitowani na zasadnicze listy partyjne.
Ale w miarę rozrostu kampanii wyborczej i płynącej stąd agitacji, uświadomienie polityczne wyborców pójdzie w szybkim tempie. Już się zarysowują główne grupy stronnicze na wyborach i również kandydaci do poszczególnych list zasadniczych. Zdawało się na razie, że do walki wyborczej staną przeciw sobie dwa obozy, a przeto dwie listy zasadnicze: obóz bloku endeckiego (cała opozycja burżuazyjna od konserwy obszarnickiej aż do chrześcijańskich demokratów, czyli chadeków i włącznie z elementami umiarkowanymi, pod nieurzędową i nawet skrzętnie ukrywaną, ale istotną batutą Narodowej Demokracji) i obóz bloku rządowego (ludowcy, socjaliści PPS i radykalna inteligencja zrzeszona na gruncie łomżyńskim w tzw. Związek Demokratyczny). Tymczasem dalszy rozwój kampanii, a raczej okresu wstępnego do niej, zarysował inny układ. Blok pierwszy – prawicowy – utrzymał się. Ma on tu w okręgu łomżyńskim duże wpływy. Wczoraj właśnie zrzeszone elementy kierownicze tego bloku urządziły w Łomży wielki zjazd delegatów ze wszystkich powiatów i gmin tego okręgu w charakterze mężów zaufania tzw. narodowej akcji wyborczej. Endecy rozporządzają wpływami bardzo wielkimi. Kler, ziemianie, duża część zamożnego włościaństwa, poniekąd nawet władze administracyjne i gminne, które nie są jeszcze całkowicie w swym składzie osobistym przez nowy rząd ludowy ogarnięte, służą za narzędzie tej kampanii „narodowej". Widziałem delegatów przyjezdnych z gmin powiatu kolneńskiego, którzy nie wiedząc dokąd są wzywani, udawali się na razie do naszej Głównej Komisji Wyborczej, którzy mieli formalne dokumenty o wyznaczeniu ich przez gminy na przedstawicieli z pieczątkami urzędowymi z gmin. Zjazd ten odbył się w postaci wiecu, na którym zostały zaprojektowane kandydatury. Endecy, którzy w istocie tę kampanię „narodową" w znaczeniu kontrrewolucyjnym i antyrządowym kierują, działają bardzo ostrożnie i zręcznie. Firmowych kandydatur endeckich nie

stawiają wcale. Są giętcy, wysuwają chłopów lub ludzi bądź co bądź nie firmowo endeckich. Trzeba im oddać sprawiedliwość, że prowadzą sprawę nie partii tylko, lecz burżuazji, zagrożonej przez rewolucję. Są szermierzami pewnej idei, pewnej polityczno-społecznej koncepcji. Na pierwszym miejscu wystawiono kandydaturę sędziego Mieczkowskiego, który jest prostaczkiem politycznym, człowieka najzacniejszego, ale bez głowy i horyzontów. Mieczkowski wobec tego musiał telegraficznie zgłosić swoją dymisję z urzędu sędziowskiego, bo jako sędzia wybranym być w Łomży nie może. Dalej postawiono paru chłopów i robotnika, zdolnego ziemianina i działacza Włodki, księdza Lutosławskiego[51], znanego działacza patriotycznego o zacięciu endecko-ludowym dr Załuskę[52]. Zaprojektowaną listę przesłano do Warszawy na zatwierdzenie centralnej organizacji wyborczej. Na lewicy akcja tak posunięta, jak na prawicy, jeszcze nie jest. Tam jeszcze kampania nie weszła w masy głęboko. To jest słabszą stroną lewicy. Ale już tam zarysowały się układy. Ludowcy występują z listą samodzielną, niezależną od socjalistów. Tą drogą chcą oni w kampanii uniknąć zarzutów, jakoby byli socjalistyczni. Mogą zresztą okazać się silni, nawet w okręgu łomżyńskim. PPS-owcy wystąpią z własną listą. Radykalna inteligencja czyli tzw. Związek Demokratyczny, będzie, zdaje się, pokiwany. Jest to garstka inteligentów bez wpływów i podłoża społecznego, grupka poszukiwaczy mandatów, względnie są wśród nich i szczerzy demokraci. Wachowicz, Świderski, Supiński, Wołodkiewicz – oto ich głowy. Wołodkiewicz dostał się już na listę ludowców, a tamci są pokiwani. Czy odważą się na wystawienie własnej listy? Szans chyba nie mają. Ewentualnie kokietować będą socjalistów, aby się z nimi zblokować.
Wieczorem byłem w tzw. klubie wioślarzy, gdzie są co sobota zebrania dyskusyjne lewicy inteligencko-demokratycznej. Mało było ludzi i nudno. Potem z Tramplerem byliśmy u Wołodkiewicza na kolacyjce z wódeczką.

29 grudnia, rok 1918, niedziela
Dzień dziś cichy w pracach Głównej Komisji Wyborczej. W kancelarii pracowały tylko trzy osoby: p. Domakowski i panny Lineburg i Roszkowska. Po obiedzie odbyło się posiedzenie Komisji Głównej, które się zwykle odbywa co drugi dzień, bo przedmiotów do porządku dziennego nie brak nigdy. Cała ta działalność Komisji Głównej jest tak nerwowa, tak na terminy ściśle podzielona, a przebiega w warunkach takiego chaosu, takiego urwania głowy, że ledwie można nadążyć, ledwie wszystko ogarnąć.
W gazetach przeczytaliśmy dziś o tym, że w całym kraju, a właściwie na wszystkich terenach kraju, objętych faktycznie władzą rządu polskiego, wybory odbędą się w terminie przepisanym, jeno w niektórych obwodach okręgu łomżyńskiego, to znaczy właśnie naszego, zachodzi możliwość ewentualnego opóźnienia terminów. Jest to zapewne w związku z depeszą, którą przed trzema dniami wysłaliśmy do Generalnego Komisarza Wyborczego w Warszawie o opóźnieniu materiału do podziału pięciu gmin i dwóch miast pow. mazowieckiego na obwody. Wszakże przypuszczam, że gdy nadeszła do Warszawy druga nasza depesza (wczorajsza) o tym, że już te spóźnione gminy zostały podzielone, to odroczenia terminów nie będzie. Ale zdaje się, że z dalszym etapem techniki wyborczej, ze sprawdzaniem spisów wyborców i rozstrzyganiem reklamacji będzie chaos okropny, zwłaszcza w komisjach miejscowych. Jak z tego wybrniemy – nie wiem.

---

[51] Lutosławski Kazimierz (1880-1924), ksiądz, działacz polityczny; od 1903 w Lidze Nar., poseł na sejm z ramienia Związku Lud.-Nar.
[52] Załuska Jan (1873-1941), lekarz, publicysta; od 1902 w Lidze Nar.; działacz Nar. Związku Robotn. i Stronnictwa Demokr.-Nar.; 1919-1927 poseł na sejm, 1926-1928 prezes Związku Lud.-Nar., członek władz Stronnictwa Nar.

Złożyłem dziś pierwsze dwie wizyty w Łomży, sędziemu Duszyńskiemu i sędziemu pokoju Łubieńskiemu. Okazało się, że p. Łubieńska, która się rodzi z Sołtanówny, jest spokrewniona ze mną. Bardzo się staruszka ucieszyła ze stwierdzenia tej koligacji litewskiej. Nie wizytowałem jeszcze dotąd w Łomży nikogo, nawet kolegów sędziów. Mam na sumieniu jeszcze najciężej kolegów z sądu okręgowego – Skarzyńskiego i Mieczkowskiego. Usprawiedliwiony zresztą jestem nawałem pracy w Głównej Komisji Wyborczej, gdzie pracować muszę, nie wyłączając świąt, tak, że na obowiązki towarzyskie czasu po prostu nie mam. Skarzyński z pewnością musi być obrażony na mnie, bo, zdaje się, jest obraźliwy, ale cóż na to poradzę. Mieczkowski na skutek wystawienia jego kandydatury poselskiej podał się dziś telegraficznie do dymisji. Co się stanie z wydziałem cywilnym I instancji, którym on dotąd kierował – nie wiem. Trampler jest przeciążony instancją apelacyjną, Skarzyński i Duszyński mają nawał roboty w wydziale karnym, ja na okres wyborów jestem kompletnie obezwładniony i z sądu wycofany.
Są wieści w gazetach z Wilna. Nastaje tam to, co było do przewidzenia: zbliża się forsownie moment rozwiązania i na czoło wyłania się bolszewizm. Jak można sądzić z gazet, Niemcy tam jeszcze są, okupacja nie zlikwidowana, ale dogorywa, co zresztą stawało się widocznym już z tego rozprzężenia, jakie obserwowałem u Niemców, gdym jeszcze był przed trzema tygodniami w Wilnie. Ani Litwini, ani Polacy (mówię o narodowych usiłowaniach w ramach burżuazyjnego ładu) nie mogą się tam zdobyć na coś mocnego, bo zresztą wszelkie ich poczynania nie znajdują głębokiego poparcia i czynnego odruchu w masach. Niedawno była informacja, nawet urzędowo zakomunikowana z ramienia rządu w Warszawie, o tym, że w Wilnie powstała Rada czy też Komisja Rządząca polska, mająca objąć władzę (weszli do niej przedstawiciele wszystkich grup, reprezentowanych w Komitecie Polskim w Wilnie, od Kognowickiego[53] ze skrajnej prawicy ziemiańskiej i Zwierzyńskiego[54] z endecji aż do Witolda Abramowicza od demokratów); mieli być czy już byli mianowani komisarze rządowi polscy, miała powstać siła zbrojna polska. Słowem, tak Polacy litewscy, jak rząd polski w Warszawie zdecydowali się na politykę rozciągnięcia Polski co najmniej na Wilno i na Białoruś katolicką. Między tą polityką polską a narodową polityką litewską Taryby nie było zgody ani kontaktu. I gdy oto tak burżuazja podzielona na obozy narodowe się żarła, wielkimi krokami ze wschodu zbliżał się ku Wilnu bolszewizm, wyrastając jednocześnie z wewnątrz, z łona samego kraju i z Wilna. I oto dochodzi już do katastrofy, przynajmniej dla burżuazji. Nic już jej chyba nie wstrzyma.

30 grudnia, rok 1918, poniedziałek
Są znowu w gazetach wieści z Wilna. Wczoraj była wzmianka o tym, że rozpoczął się w Wilnie moment decydujący: Taryba litewska usiłuje tworzyć „białą armię", to znaczy organizację wojskową kontrrewolucyjną dla przeciwstawienia jej bolszewizmowi i anarchii, z drugiej strony w celach również kontrrewolucyjnych utworzono wojsko polskie czy też, jak podawały pisma, wkroczyli do Wilna legioniści polscy; i Taryba, i Polacy dążą przez tę siłę militarną do powstrzymania bolszewizmu i do poparcia ładu burżuazyjnego, ale poza tym jedni chcą forsować sprawę państwową litewską, drudzy – polską; Taryba chciała gdzieś posłać na prowincję wagon broni dla uzbrojenia swych szeregów, ale robotnicy na kolei transport wykryli i zatrzymali. Bolszewicy czyli Rada Delegatów Robotniczych („Sowiet" – postrach burżuazji, aparat dyktatury proletariatu)

[53] Kognowicki Stanisław (1863-1941), ziemianin, prezes Prywatnego Wileńskiego Banku Handlowego, członek Komitetu Polskiego w Wilnie.
[54] Zwierzyński Aleksander (1880-1958), prawnik, działacz polityczny, publicysta, członek Komitetu Polskiego w Wilnie.

organizuje milicję zbrojną robotniczą. Dziś już jest wieść o obwołaniu się przez Wileńską Radę Delegatów Robotniczych, której prezesem jest Ejdukiewicz[55], za władzę najwyższą w Wilnie. Żadna ze stron już nie czeka na likwidację dogorywającej okupacji; każda zbrojną ręką przesądzić chce czym szybciej kryzys na rzecz własną. Burżuazja z pewnością tu przegra, bo siła zbrojna Taryby – to szopka, legioniści polscy czy też wojsko polskie w Wilnie – to też rzecz słaba i zalążkowa, z Polski, która jest trawiona sama chaosem i której wojskowość dopiero się tworzy, wydatnej pomocy zbrojnej być nie może – Polska z wielkim trudem ledwo może podołać akcji z Rusinami w Galicji pod Lwowem, a cóż dopiero iść na Wilno, gdy jeszcze poza tym musi się strzec nad Bugiem od grożącej ze wschodu inwazji cofających się z Ukrainy band wojskowych niemieckich! A bolszewizm w Wilnie i po całej Litwie rośnie. Ze wschodu z Białej Rusi jest on już pod murami Wilna, a wewnątrz podnosi głowę coraz śmielej. Dużo jest na Litwie wśród ludu chłopskiego elementów niechętnych lub nawet wrogich bolszewizmowi, ale się one boją przeciwstawić mocno bolszewizmowi, bo w tym ogólnym chaosie i rozprzężeniu wyczuwa się jednak zwartość i realną potęgę jedyną – a jest nią właśnie bolszewizm. Bolszewizm, idący ławą zorganizowaną ze wschodu i wyrastający wewnątrz w podnieconych apetytach społecznych na gruncie powszechnego rozkładu gospodarczego i rozprzężenia wszelkiej więzi, działa po prostu fascynująco psychicznie na umysły i obezwładnia nawet tych, co są mu w gruncie przeciwni. Socjaliści nawet są bezsilni i zdezorientowani, powolni i potulni pod komunistów presją i fascynującą potęgą. Jedni komuniści idą prosto i zdecydowanie swoją linią, silni wiarą w swoje królestwo. Idą jak prawowity władca po berło. I oni też zwyciężą. Czy to jest dobrze, czy źle – odpowiedzieć sobie na to nie umiem. Gdym jeszcze był w Wilnie, najtrafniej oceniali, zdaje się, rozwój wypadków w Litwie, bolszewicy (komuniści). Wiedzieli i mówili, że narodowe kłótnie burżuazji wyczerpią się jałowo i nie stworzą nic, a z rozwoju zagadnień i procesów społecznych wyłoni się zwycięstwo komunizmu. Tak też się staje. Triumf i ustalenie bolszewizmu w Wilnie może mieć w dziejach tej narastającej rewolucji powojennej znaczenie olbrzymie. Przez Wilno prąd komunistyczny zbliża się do Niemiec i podaje rękę bolszewików „Spartakusom" niemieckim[56], realizując ideę „zatarcia granic" między państwami w jednolitym morzu rewolucji proletariackiej, realizującą nową Ludzkość.
Dziś wpłynęła na ręce moje, jako przewodniczącego Głównej Komisji Wyborczej, druga z kolei lista kandydatów. Jest ona również „dzika", jak pierwsza. Lista ta została zgłoszona od grupy wyborców z gminy Miastkowo powiatu łomżyńskiego. Kandydatów podano na tej liście dziewięciu, to znaczy tylu, ilu okrąg łomżyński wybiera posłów, samych chłopów-gospodarzy z gminy Miastkowa. Zgłaszający z pewnością nie zdają sobie z tego sprawy, że lista ich przejść nie może, bo kandydatów tych nikt spoza gminy Miastkowa nie zna, toteż nikt z sześćdziesięciu kilku innych gmin i ze wszystkich miast okręgu głosować na nią nie będzie. Ale charakterystyczne jest, że chłopi dążą samorzutnie do stawiania samodzielnych chłopskich kandydatur własnych.

31 grudnia, rok 1918, wtorek
W Komisji Głównej praca wprawdzie jest ciągle nerwowa, ale nie tak forsowna, nie tak gwałtowna, jak w pierwszym okresie, gdyśmy dokonywali podziału gmin i miast na obwody. Kancelaria, która się składa obecnie z pań i jednego pana, nie licząc niedołęgi

---

[55] Eidukevičius Pranas (1869-1926), działacz litewskiego ruchu komunistycznego, od 1902 w PPS, 15 XII 1918 – 7 II 1919 przewodniczący Rady Robotniczej Wilna.
[56] Związek Spartakusa, niemiecka organizacja rewolucyjna, utworzona przez lewicowych socjaldemokratów podczas I wojny światowej, zwana też Grupą Spartakusa.

Wasilewskiego, ma pracę tylko urywaną i drzemiącą. Nie ma tego tętna szalonego, tego pędu „balonem”, jak przed tygodniem. Dziś upływał termin dostarczania z miejscowych komisji wyborczych do Komisji Głównej zatwierdzonych spisów wyborców. Z 200 komisji miejscowych dostarczyło spisów 42 komisje. 158 komisji zalega w terminie! A w iluż to komisjach robota się jeszcze wcale nie zorganizowała!
Zresztą cała ta Konstytuanta, całe to usiłowanie zażegnania przez nią burzę rewolucji, która narasta i zewsząd Polskę już osacza w postaci tzw. komunizmu i dyktatury proletariatu, robi na mnie coraz bardziej wrażenie próby wystawienia ołowianych czy kartonowych żołnierzyków przeciwko wichrowi potężnej burzy i przeciwko piorunom, bijącym z chmur, nie dających się opanować wolą człowieka. Zaczynam dochodzić do przekonania, że robota rządu obecnego jest rzeczywiście dziecinnie naiwna. To, czego on chce i czego próbuje dokonać, to jest utrzymanie pewnego trybu państwowego, budowy społecznej bądź co bądź burżuazyjnej lub przynajmniej takiej, która się trzyma w ramach starej społecznej natury cywilizacyjnej. W istocie do tego samego dąży tzw. narodowa część społeczeństwa, która zwalcza rząd. Dziś już i ona idzie bardzo daleko w kierunku reform społecznych; dziś już, wobec podmuchów rewolucji, wobec nastrojów, które przenikają masy, na czoło w obozie burżuazyjnym czyli tzw. narodowym wysunęła się demokracja, wysunęło się to, co w burżuazji jest najpostępowsze. Endecja i żywioły ściśle reakcyjne poszły w cień, władza i perspektywy panowania, cugle kierownictwa nawet w łonie burżuazji wymykają się im z rąk na rzecz radykalniejszych i demokratycznych żywiołów. Jeżeli w takiej Łomży, która uchodziła za Bastylię endecji, elementy opozycji „narodowej” wyłoniły kandydatury tak dalekie od klasycznej endecji, tak, bądź co bądź, w ramach burżuazji demokratyczne i ludowe, to cóż dopiero gdzie indziej! Między tym, do czego dąży i co wyraża w rozwoju społeczno-kulturalnym obecny rząd, a tym, co wyraża demokracja burżuazyjna, która dziś w opozycyjnym bloku na czoło się wysuwa, nie ma różnic istotnych. Ale rząd obecny, PPS-owy z domieszką radykalnego skrzydła ludowców, usiłuje odwrócić masy proletariackie, a przynajmniej ich część PPS-ową, od radykalizmu rewolucyjnego, który je unosi coraz bardziej ku rosnącemu komunizmowi bolszewickiemu. Gdyby blok rządowy zawarł pakt formalny z demokracją burżuazyjną, to odłamy mas proletariackich, które jeszcze stoją za nim, porzuciłyby go i przeszły kategorycznie do obozu rewolucji proletariackiej. I dziś mu się już one wymykają, ale jeszcze jeszcze jakoś się trzymają. I oto rząd, aby utrzymać te masy, nie łączy się z tymi, od których go nic właściwie dziś zasadniczego nie dzieli. Próżna robota – nie powstrzyma tych mas, a z drugiej strony nie ocali zasadniczego *regime*'u. Toteż konsekwentną jest burżuazja narodowa, która żąda dymisji rządu i oddania steru władzy w jej ręce. Konsekwentniejsza jest od rządu Moraczewskiego, który ani rewolucji nie chce, ani się jej przeciwstawić nie może i ocalić ładu i *regime*'u nie zdoła. Jeżeli kto może dokonać próby przeciwstawienia się rewolucji – to tylko sama burżuazja, ale nie rząd socjalistyczny, usiłujący przeciwstawić rewolucji siły rewolucyjnego proletariatu. To jest zaiste jakaś metoda dziwolągowa. To, czym rząd ten chce operować i na czym się oprzeć – to jest przecież właśnie rewolucji narzędziem.
W Warszawie w niedzielę wybuchły poważne rozruchy na gruncie demonstracji komunistycznej i usiłowań komunistów do wystąpienia na drogę bezpośredniego działania ulicznego. Doszło do ciężkich i krwawych starć między wojskiem a ludem komunistycznym[57].

---

[57] Rozruchy w Warszawie, chodzi o wydarzeniach w Warszawie 23 XII 1918 r., kiedy komuniści warszawscy wystąpili z tłumną manifestacją z głównym w niej okrzykiem :”niech żyje Rosja sowiecka”, witając przyjazd do Warszawy rosyjsko-sowieckiej misji Czerwonego Krzyża, rzekomo dla opieki nad

1 stycznia, rok 1919, środa
Nowy rok spotkałem bardzo prozaicznie – w łóżku. Położyłem się z wieczora o godz.11 i obudziłem się już w roku 1919. Człowiek jest zawsze ciekawy: gdyby tak można było rozerwać zasłonę przyszłości, choćby tylko na jeden rok i zajrzeć, co też nam ten rok 1919 przyniesie. Rok 1918 przyniósł wreszcie faktyczne zakończenie strasznej wojny Ludzkości, ale czy rok 1919 sprowadzi pokój – tę *pax* upragnioną – zarówno formalnie, jak rzeczywiście? To, co się dzieje i gotuje, jest, a przynajmniej zdaje się być jakimś obłąkaniem ludzkości. Wojna – ta regularna, techniczna i zawodowa wojna – skończona. Ale wielka katastrofa społeczna, którą ona zrodziła, dopiero się pręży i powstaje. To, co się dzieje dokoła, to dopiero zwiastuny prawdziwej burzy. I jednak, pomimo mordów i zniszczenia wojny, jakoś prościej i łatwiej człowiek się orientuje w arkanach wytwarzanej przez nią bezpośrednio sytuacji, niż w tym narastającym kataklizmie rewolucji społecznej. W wojnie bądź co bądź myśl ludzka się obracała w sferze znanych utartych kategorii stosunków i form państwowych i międzynarodowych, a życie, choć stłumione i ujęte w karby reglamentacyjne niesłychanie krępujące, jednak mieściło się w jakichś szablonach stosunków cywilizacyjnych dawnych. Tymczasem teraz wszystko się rozprzęgło i rozpasało. Czy to wojsko, czy organizacja władz, czy życie gospodarcze, pieniądz, socjalizm, czy cokolwiek bądź innego – wszystko ma oblicze karykatury, podobnej do rzeczywistych odnośnych pojęć tylko z maski, bardzo zresztą spaczonej. Zdaje się jak gdyby się cały grunt współżycia zachwiał pod nogami. I ta rewolucja proletariacka, która idzie pod nazwami Bolszewizmu, Komunizmu, Spartakusa itd., w chwili zupełnego rozkładu gospodarczego, gdy nawet proletariat przestał być w istocie klasą przemysłowo-robotniczą, bo przemysłu i produkcji zgoła nie ma, jest tylko gromadą nędzy ludzkiej, gromadą tak pokawałkowaną i rozprzężoną, jak i reszta społeczeństwa (burżuazja) – czy ta rewolucja zrodzi poprzez męki i dzikie konwulsje krwawego porodu świat lepszy i piękniejszy, w którym ludzie mieć będą więcej słońca i szczęścia w godziwym życiu, czy też będzie ona katastrofą cywilizacji i kultury, jedną z tych, które pożarły w dziejach tyle już cywilizacji poszczególnych, rzucając ludzkość na dno barbarzyństwa tak dalece, że zanikał ślad cywilizacji na stulecia i tysiąclecia aż do zupełnego zaniku nawet już po prostu umiejętności odczytania śladów tej cywilizacji, jak pisma, dzieł sztuki itd.

2 stycznia, rok 1919, czwartek
Pozawczoraj upłynął termin dostarczania z komisji miejscowych do Głównej Komisji Wyborczej zatwierdzonych przez nie spisów wyborców. Dziś po dwóch dniach opóźnienia mam spisy wyborców zaledwie z 79 obwodów, brakuje natomiast ze 121 obwodu. Liczba dostarczonych nie doszła jeszcze nawet połowy. Jestem przekonany, że jeszcze co najmniej z pięćdziesiąt komisji miejscowych, zwłaszcza z dalekich kresowych gmin okręgu – z podlaskich zakątków pow. mazowieckiego i z puszczańsko-kurpiowskich pow. ostrołęckiego, w ogóle jeszcze nie rozpoczęło funkcjonowania. Rzecz ta idzie ociężale, jak po grudzie. Ludzie, zdaje się, nie mają najmniejszego pojęcia ani o istocie techniki wyborów, ani o jej wadze. Powiat kolneński przoduje w punktualności –- dzięki energii Miętkiewicza. Oprócz trzech obwodów gminy Mały Płock, wszystkie inne obwody powiatu kolneńskiego dostarczyły spisów. Z gminy Łyse pow. kolneńskiego gotuje się analogiczna samorzutna lista kandydatów do tej, jaką przedstawiła grupa wyborców z gm. Miastkowo pow. łomżyńskiego. Listę taką z dwoma nazwiskami kandydatów przyniósł mi dziś z gm. Łyse członek jednej z

---

wracającymi z niewoli niemieckiej żołnierzami rosyjskimi. W wyniku starcia z wojskiem było w tym tłumie 5 zabitych i 14 rannych.

łysowskich komisji miejscowych, mój znajomy, sołtys Julian Gwiazda z Zalesia. Ponieważ miała ona formalne wady zgłoszenia, nie przyjąłem jej i wskazałem Gwieździe, jak ma być ona sporządzona. Gwiazda ją odwiezie i obiecuje, że do przyszłego wtorku, to znaczy do upływu terminu zgłaszania list, przywiezie ją poprawioną. Widoczne jest z tych przykładów, że u chłopów jest pęd do wystawiania kandydatur własnych, chłopskich.
Wczoraj prezes Filochowski wrócił ze świąt z Warszawy. Z powodu dymisji, zgłoszonej przez sędziego Mieczkowskiego ze względu na jego kandydaturę poselską, powstaje kwestia wyboru kandydata do nominacji na sędziego okręgowego. Kandydatów na zasadzie wyboru kolegialnego przedstawia Sąd Okręgowy. Wiadomo było z góry, że prezes Filochowski będzie znów protegować do wyboru swojego faworyta Chełstowskiego, rodaka z pow. ostrołęckiego i dalekiego swego krewniaka. Już przy dwóch poprzednich wakansach (przed nominacją Duszyńskiego i moją) prezes forsował kandydaturę Chełstowskiego. Nie dość tego: po postawieniu mojej kandydatury i przed moją nominacją prezes intrygował pokątnie, by przeforsować Chełstowskiego, mimo że moja kandydatura stała na pierwszym miejscu. Argumentem na rzecz Chełstowskiego było wtedy to, że mianowanie go będzie jedynym sposobem do wyrwania go z obozu jeńców. To był argument, którym się rozbrajało i zamykało usta przeciwnikom faworytyzmu. Ale teraz Chełstowski nie jest już przecie w obozie jeńców. Więcej nawet, bo oto dzięki energicznym i nieustającym na wsze strony zabiegom Filochowskiego, Chełstowski otrzymał nominację na sędziego pokoju w Łomży na miejsce Tarnowskiego, mianowanego do Sądu Okręgowego do Kielc. Teraz dużo jest pośród sędziów pokoju prawników i sędziów śledczych okręgu łomżyńskiego ludzi, którym słuszniej by się należało powołanie ich do Sądu Okręgowego, niż Chełstowskiego, dopiero co mianowanego. Filochowski jednak liczył widocznie na to, aby zaskoczyć nas pośpiechem i dziś zwołał ogólne zebranie dla ustalenia kandydatur. Endek Skarzyński, z tej samej, co Filochowski, kliki, zaraz wyjechał z kandydaturą Chełstowskiego. My z Tramplerem byliśmy zdecydowani przeciwstawić tej kandydaturze inną – spośród sędziów pokoju i śledczych miejscowych, bo zaiste dość tego faworytyzmu kształtującej się kliki, zwłaszcza gdy do względów klikowych dochodzą jeszcze protekcja i stosuneczki względów familijnych. Metoda faworytyzmu Filochowskiego jest wstrętna. Dziś wszakże upadła kwestia wyboru wobec tego, że my z Tramplerem i podprokuratorem podnieśliśmy zarzut formalny przeciwko udziałowi Mieczkowskiego w głosowaniu. Sprawa wyboru więc spadła z porządku dziennego ogólnego zebrania na dziś. Większość głosów na zięcia Chełstowskiego będzie, bo Duszyński z pewnością poprze tę kandydaturę, ale wtedy będzie musiał przeważyć głos Filochowskiego, któremu będzie niezbyt zręcznie rozstrzygać większość na rzecz krewniaka, a w każdym razie nie będzie wyboru jednomyślnego. Niech się wtedy prezes zdemaskuje, bo woli on, jak to już widać było dziś, aby wybór Chełstowskiego odbył się bez przewagi jego głosu.

3 stycznia, rok 1919, piątek
Pracowicie, ale cicho upłynął dzień. Calutkie dnie, oprócz obiadów, spędzam w biurze Głównej Komisji Wyborczej. Roboty jest zawsze dużo, ale wciągnąłem się w nią i daję sobie radę dobrze. Wolę, jak jest robota, niż gdy jej nie ma. Dziś miałem posiedzenie Komisji Głównej (obecni: ja, Duszyński, Szwejcer i Brzeziński), na którym mnóstwo było przedmiotów do omówienia, następnie miałem cały szereg listów i depesz do napisania i wysłania w najrozmaitszych kwestiach (listy i depesze wypisują się w kancelarii mojej na podstawie moich szkiców brulionowych), dalej musiałem nadal przyjmować wpływające z poszczególnych obwodów spisy wyborców i robić starania,

aby pobudzić do pośpiechu komisje, które się późnią. Do dnia dzisiejszego włącznie wpłynęły spisy ze 101 obwodu; nie nadesłały jeszcze spisów 99 obwodów. Od dziś rozpoczęły moje panny stemplowanie kopert do głosowania pieczątką Głównej Komisji Wyborczej. Jest to ciężka praca. Ogółem zakupiliśmy 300 000 kopert. Z tej liczby trzeba będzie ostemplować przeszło 200 000 kopert stosownie do liczby wyborców podług spisów. Dotąd mamy jedną tylko pieczątkę, ale trzeba będzie obstalować jeszcze dwie. Ręczne ostemplowanie takiej ilości kopert to rzecz bardzo powolna i fizycznie zresztą męcząca. Co dzień wyznaczać będę do tego czterech pracowników, a później wypadnie i więcej, gdy będą trzy pieczątki. Jedna osoba nie może dłużej stemplować, niż przez godzinę; i to już długo, bo aż ręka boli i dana osoba dostaje wypieków z gorąca; a zmęczenie to nie ustępuje tak szybko, aby po godzinie przerwy już go nie czuć było. Dziś stemplowały na zmianę pani Domakowska i panny Maria Lineburg, Róża Szapiro i Zyna Altszul, ale pracowały dzielnie, szczególnie panna Róża i panna Lineburg. Zresztą najcięższa praca staje się o wiele lżejsza, gdy się ją spełnia ochoczo, raźnie, w atmosferze towarzysko wesołej; w kółku dobrze zharmonizowanym, gdzie wśród wytężenia roboty gra dowcip i ton poniekąd zabawy. Taka atmosfera wytworzyła się w naszym biurze. Ja sam często i z przyjemnością przebywam wśród mojego grona pracowników; wytworzyliśmy w tym biurze coś w rodzaju grona koleżeńskiego, które nas wszystkich w jeden serdeczny zespół łączy. Teraz już nie wyodrębniony bliższy stosunek mój z Zadarnowską, jak było na początku, charakteryzuje nasze środowisko pracy, ale właśnie dobry zespół ogólny, wspólność, coś w rodzaju komunizmu pracy. Zadarnowska dziś trochę pisała, trochę pomagała koleżankom w stemplowaniu kopert, a niezrównana „myszka" Roszkowska z panną Janiną Budkiewiczówną, pierwszej klasy pracownice, obrabiały spisy wyborców. Nie ma lepszych nad nie pracowniczek. Co im się wskaże do roboty, jaki się dział poleci – to już same samodzielnie robią i już nie potrzeba ani ich kontrolować, ani tłumaczyć i nad karkiem siedzieć. A p. Helena Roszkowska, czyli „Lusia", jak ją nazywają, jest poza tym dziewczyną bardzo ładną, w stylu, który mi się zawsze najbardziej podoba. Cicha, wystarczająca sobie, uważna, a pełna życia; łączy ona w sobie coś z typu Nusi Falkowskiej-Bohdanowiczowej z czymś z typu Aninki mojej. Toteż mam dla niej słabość szczególną.
Z gazet wiem, że do Wilna lada dzień wkroczą już bolszewicy. Niemcy już się z Wilna wycofują ostatecznie, Taryba uciekła do Kowna. Polska Komisja Rządząca w Wilnie usiłuje organizować jakieś przeciwdziałanie zbrojne, ale to nie ma szans żadnych. Polacy wileńscy z tego obozu (b. Komitet Polski, dziś – Komisja Rządząca) wzywają o pomoc do Warszawy, ale Polska jest militarnie za słaba, aby mogła het Wilnu „odsieczy" udzielić, tym bardziej, że komunistyczne prądy w samym Wilnie i w kraju bardzo rosną. Wbrew temu, co głoszono w Wilnie za mego pobytu z kół komunistycznych, bolszewicy przekroczyli już linię starego frontu i są na terytorium starej okupacji niemieckiej. Są już oni w Święcianach, w Ucianie, Oszmianie. Nie ulega wątpliwości, że pójdą na Wilno. Szkoda, że nie mogę być obecny przy ich wkroczeniu. Zacząłem teraz czytywać „Sztandar Socjalizmu"[58], organ komunistów w Warszawie. Wcale dobre pismo. Z wiadomości, jakie doszły do prasy z Mińska po zajęciu go przez bolszewików, rządy bolszewickie nie są wcale tam ani tak straszne, ani tak dzikie, jak o nich głoszono.

4 stycznia, rok 1919, sobota
Dziś zaledwie z kilku obwodów dostarczono nam spisów wyborców. Ogromna masa obwodów zalega. Dzień upłynął, jak zawsze, w wytężonej pracy.

[58] „Sztandar Socjalizmu", dziennik, ukazywał się w Warszawie XII 1918 – I 1919, legalny organ Komunistycznej Partii Robotniczej Polski.

Ciekawe są teraz czasy, choć pod wielu względami straszne i tak niepewne jutra, jak niepewnym by się czuł człowiek, który by się znalazł na wiosnę na krze lodowej, płynącej po rozhukanej rzece. Ciekawe są więc też i gazety, a jednak przeważnie z niechęcią je biorę do rąk i z niesmakiem po przeczytaniu odrzucam. Bo jest w nich przeważnie bardzo mało rzetelności, bardzo mało idei i szlachetnej treści. Jeżeli zawsze w polityce jest dużo obłudy i fałszu, to teraz chyba więcej niż kiedykolwiek, mimo że jest wolność słowa i że prasa może pisać, co i o czym się jej podoba. A dzieje się tak chyba dlatego, że moment walki powszechnej tak rozpalił namiętności i tak przeniósł decyzje w samą głąb i dno mas ludowych, że wszystkie kierunki się ubiegają o duszę i wolę tych mas, bo wiedzą, że tylko ten, za kim się one opowiedzą, zwycięży. Toteż demagogia rozwinęła się dzika, tak z lewicy, jak z prawicy, schlebianie masom, jątrzenie ich namiętności i popularnych uczuć, drażnienie i pobudzanie instynktów, że aż wstręt bierze na ten widok. Ci, którzy tę spekulację uprawiają, a uprawiają wszyscy, którzy się polityką bawią, a raczej ją „robić” muszą w interesów swych obronie, liczą widocznie na to, że masy są ciemne, ociężałe w myśleniu, idące zawsze torami inercji i że więc wygra nie ten, kto lepiej ich potrzeby ujmie, lecz ten, kto je bardziej ogłupi. I też wyścigają się w ogłupianiu. Gdy to robi lewica, to jeszcze mniej jest wstrętne, bo ta, słusznie czy niesłusznie, ale szczerze z przekonania służy sprawie zwycięstwa, władzy i dobra mas. Ale gdy się w demagogię wdaje prawica, która się tych mas boi i nie życzy sobie ich panowania, to wygląda brzydko. Szczególnie że prawica argumentuje takimi atutami, jak chęć panowania narodowego na zewnątrz – imperializmu, budzenia nienawiści i pobudek do walk narodowych, sławienie bogów takich jak militaryzm itd. i to zawsze w szatach obłudy, w szatach frazesów, które są fałszywe i nie odpowiadają treści.
Wilno jest w przededniu wkroczenia bolszewików, w przededniu zwłaszcza rozprawy z nimi. Czytałem dziś w „Gazecie Porannej”[59] odezwę polskiego komendanta Wilna p. Wejtki[60], który woła całą męską ludność pod broń – Polaków do pułków polskich, Litwinów – do litewskich, Białorusinom zaś i Żydom dając prawo wyboru między tymi dwiema formacjami – pod hasłami obrony przed anarchią i bolszewizmem. Wątpię, aby coś wskórał. Już jest za późno zresztą. A drugie „zresztą” – to to, że lud tam, zdaje się, nie jest zdecydowanie wrogi bolszewikom –- bynajmniej. Odezwa Wejtki kończy się wezwaniem takiego co najmniej oryginalnego hasła: kto z Bogiem – ten z nami, kto z diabłem – ten przeciwko nam!

5 stycznia, rok 1919, niedziela
Dziś zgłoszona została na moje ręce, jako przewodniczącego Głównej Komisji Wyborczej, lista kandydatów nr 3 (numeracja list wypływa z kolejności ich zgłaszania; numerem 1 więc jest oznaczona lista z kandydaturą Sienickiego, numerem 2 – lista dziewięciu kandydatów z gminy Miastkowa, obecna zaś mieć będzie numer 3). Jest to pierwsza lista partyjna; jest nią lista kandydatów Stronnictwa Ludowego, ta, na którą też prawdopodobnie ja głosować będę. Na liście tej jest 12 kandydatów, to znaczy więcej, niż liczba podlegających wybraniu w okręgu posłów (9). Pierwszym kandydatem ludowców jest młody 30-letni gospodarz z Bronowa powiatu łomżyńskiego, Franciszek Szymański; na drugim miejscu jest niejaki Margol, dziennikarz z Warszawy, na trzecim – gospodarz Kaczyński z pow. ostrołęckiego, na czwartym – adwokat Wołodkiewicz, dalej – Kurpiewski, młody nauczyciel z Łomży,

---

[59] „Gazeta Poranna 2 Grosze”, dziennik polityczny wydawany w Warszawie 1912-1925, organ Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, od 1919 Związku Ludowo-Narodowego.
[60] Wejtko Władysław (1859-1933), generał, oficer armii rosyjskiej, od 1918 w wojsku polskim, XII 1918 – I 1919 dowódca Samoobrony Litwy i Białorusi, po 1923 w stanie spoczynku.

następnie znów – gospodarz z pow. ostrowskiego, inżynier z pow. mazowieckiego, gospodarz z Lipnik gminy Łyse pow. kolneńskiego, gospodarz z pow. mazowieckiego, gospodarz z pow. szczuczyńskiego, żona gospodarza z pow. łomżyńskiego i na ostatnim miejscu –- znowu gospodarz z pow. kolneńskiego. Jest więc na tej liście kilku inteligentów (czterech: dziennikarz, adwokat, nauczyciel ludowy i inżynier) i poza tym chłopi-gospodarze w ten sposób, że z każdego powiatu co najmniej po jednym. Najgorzej jest przedstawiony powiat szczuczyński, bo kandydat z tego powiatu jest na 10-tym miejscu, to znaczy mógłby przejść tylko w takim wypadku, gdyby wszystkie bez wyjątku mandaty dostały się liście ludowców, co jest nieprawdopodobne i gdyby jeszcze do tego jeden z jego poprzedników zrzekł się mandatu. Zresztą już i piąty, i szósty kandydat z tej listy – są wątpliwi, bo jednak w okręgu łomżyńskim, jak w ogóle zdaje się na całej północy Królestwa po prawej stronie Wisły, wpływy klerykalne i endeckie są bardzo silne, a w niektórych powiatach, jak Szczuczyn i Mazowieck, posiadających ogromne zaludnienie szlachty osiadłej, reakcja ma prawdziwą twierdzę. Prawica liczy na 6 do 7 mandatów; zresztą co się okaże – to trudno przewidzieć, bo jednak ogromna masa chłopska, o ile ławą pójdzie do urny, może zgotować zgoła nieprzewidziane niespodzianki różnym rachunkom. Dużo będzie też zależeć od agitacji i sprężystości działania stronnictw, ale najważniejsze okażą się nastroje, które się kryją w łonie masy chłopskiej; łono to nie jest ekspansywne i rzadko się otwiera, uzewnętrzniając swoje tajemnice. W najbliższych dniach wpłyną dalsze zgłoszenia następnych z kolei list, a więc „narodowej", związku demokratycznego (radykalizującej inteligencji – o liście tej wiadomo, że się zblokuje z listą ludowców), socjalistycznej (PPS-u) i wreszcie żydowskiej – a mogą przyjść jeszcze i listy dzikie. Przygotowania do agitacji wyborczej już są czynione. Rozpoczyna się już też właściwa kampania. Dziś odbyło się kilka wieców, w tej liczbie dwa wiece kobiet (jeden – lewicowy, ciążący do ludowców, pod firmą starej Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego[61] i drugi – endecko-klerykalny pod jakąś firmą kobieco-katolicką, na obu tych wiecach miały przemawiać jakieś panie przyjezdne) i trzeci wiec – pracowników biurowych instytucji państwowych i prywatnych (zdaje się, o tendencjach lewicowych).
Co do mnie, to głosować będę na ludowców. Gdyby była lista radykalnych socjalistów czy też komunistów – głosowałbym może na nią, zresztą o tyle tylko, o ile bym uważał, że są jakiekolwiek szanse jej powodzenia, bo przede wszystkim za najgorsze uważałbym i uważam rozbijanie głosów lewicy, gdy prawica złamana nie jest i bardzo prawdopodobnie zwyciężyć jeszcze może. Za pierwszą bowiem rzecz uważam porażkę prawicy endecko-klerykalnej. Gdyby ta prawica już całkiem była rozbita i gdyby walka się toczyła li tylko między ugrupowaniami lewicowymi, to bym bardzo prawdopodobnie wcale w głosowaniu udziału nie brał, gdyż ściśle rzecz biorąc, żadne z konkurujących stronnictw nie jest dokładnie moim, a dość by mi było obojętne czy zwycięży chłop-ludowiec, czy radykalny inteligent, czy socjalista z PPS. Ale teraz głosować będę ze względów sprzeciwu prawicy. Na ludowców zaś głosować będę po pierwsze dlatego, że są oni najrealniejszą tutaj siłą przeciwko reakcji, a po wtóre dlatego, że się oni przecież opierają na pewnym ścisłym podłożu społecznym, na chłopie, gdy tzw. inteligencja radykalna jest czymś, co wisi w powietrzu, a PPS – to dla mnie jak była, tak jest niewyraźna – co nie jest ani rybą, ani mięsem, ani burżuazją, ani robotniczym proletariatem.

6 stycznia, rok 1919, poniedziałek

---

[61] Liga Kobiet Pogotowia Wojennego, organizacja niepodległościowa związana z kierunkiem niepodległościowym J. Piłsudskiego.

Święto Trzech Króli. Pracowałem w Komisji Głównej jak w dnie powszednie, z tą jeno różnicą, że na prośbę moich pań pracowniczek, poobiednie godziny pracy, zamiast od 4 do 8, zostały przeniesione na godziny od 3 do 7, przez co o godzinę wcześniej praca się zakończyła. Dotąd dostarczono nam spisy wyborców ze 127 obwodów, brak więc jeszcze z 73 obwodów! Odbyło się dziś przed obiadem posiedzenie Głównej Komisji Wyborczej. Nie mogę się jeszcze doczekać transportu kopert z Warszawy. Mamy dostać 300 000 tych kopert, które powinniśmy w ciągu najdłużej dwóch tygodni ostemplować. Tymczasem przed kilku dniami otrzymaliśmy zaledwie 13 000 , które też we dwa dni już były ostemplowane. Resztę miano nam dostarczyć dzisiaj, ale dotąd jeszcze ich nie ma.
Krążą dziś w Łomży pogłoski o zamachu stanu, który się miał podobno wczoraj dokonać w Warszawie. Przebąkują o aresztowaniu kilku ministrów, w tej liczbie premiera Moraczewskiego, ministra spraw wewnętrznych Thugutta i ministra spraw zagranicznych Leona Wasilewskiego[62], trzech najbardziej znienawidzonych przez prawicę. Piłsudski podobno internowany w Belwederze. Wykonawcą zamachu stanu, który się wykluł ze spisku wojskowego, miał być podobno Januszajtis[63]. Trudno sprawdzić, o ile wieść ta jest prawdziwa, ale że jest bardzo prawdopodobna – to fakt. W każdym razie, pogłoska ta utrzymuje się przez cały dzień bardzo uporczywie. Wściekła agitacja przeciwrządowa całej zblokowanej prawicy, z endecją i klerem na czele, rozkołysanie nerwów Warszawy, podnieconej ciągle wiecami, demonstracjami ulicznymi i publiczną walką stronnictw, ogromne podniecenie z okazji przyjazdu Paderewskiego[64], wyśrubowane umiejętnie przez Narodową Demokrację na rzecz jej agitacji, rozjątrzenie nastrojów wojowniczych w stosunku do Lwowa, Wilna i Poznania, reakcyjne prądy w wojsku, zwłaszcza w korpusie oficerskim, podniecenie w masie żołnierskiej zamachami zbrojnymi komunistów lub anarchistów na wojsko – to wszystko stwarza atmosferę bardzo podatną dla spisku wojskowego i zamachu stanu zbrojną ręką. Ano zobaczymy, co z tego będzie, jeżeli wieść ta się sprawdzi. Prawica dojdzie do władzy i można się teraz spodziewać ostrej reakcji kontrrewolucyjnej i dyktatury prawicy, która tak gwałtuje przeciwko dyktaturze proletariatu. Ale co gorsze – to, że przewrót, dokonany przez wojsko, otwiera drogę do metody "*pronunciamiento*"[65] wojskowych, bardzo niebezpiecznych w skutkach, bo torujących władzę polityczną wojska w państwie, władzę istotnie dyktatorską. Rząd, który się oprze na wojskowym zamachu stanu, musi kokietować wojsko. Ono staje wtedy ponad rządem i ono go może znowu obalić, gdy mu się coś nie spodoba. Staje się ono narzędziem politycznym, więcej nawet – bo źródłem władzy. Ale kij ten, zwrócony dziś przeciwko lewicy, ma dwa końce. Ba, jeżeli przewrót się dokonał i jeżeli ma być reakcja i dyktatura wojenna, niech będzie. Dla lewicy, która była u rządów, ułatwia to nawet, jak mi się zdaje, sytuację. Bo choć posiadanie rządu i władzy dostarcza wielu środków do realizowania swych wpływów, to jednak zarazem bardzo wiąże. A kto wie, czy pełnienie władzy w obecnych trudnych warunkach nie więcej kompromituje rządzących, niż im ułatwia realizowanie czegokolwiek i zdobywanie wpływów. Obecnie więc kompromitować się będzie prawica. Niechże próbuje rządzić, niech uruchomi przemysł, niech ustali ład publiczny, niech zadowoli wszystkich, niech

---

[62] Wasilewski Leon (1870-1936), publicysta, działacz polityczny, od 1896 w PPS, 1918-1919 minister spraw zagranicznych.
[63] Januszajtis Marian (1889-1973), generał, 1912-14 naczelny komendant Polskich Drużyn Strzeleckich, żołnierz Legionów Polskich, 1916-1917 dowódca I Brygady; 1918-1929 w wojsku polskim, 4/5 I 1919 wraz z ks. Eustachym Sapiehą dokonał nieudanej próby prawicowego zamachu stanu.
[64] Paderewski Ignacy Jan (1860-1841), pianista, kompozytor, działacz polityczny; 16 I 1919 został premierem i ministrem spraw zagranicznych rządu RP.
[65] Pronunciamiento – deklaracje, wezwania, manifesty, odezwy do narodu.

wreszcie uskuteczni tyle rozkrzyczaną odsiecz Lwowa przeciwko Rusinom i Wilna przeciwko bolszewikom! Zobaczymy owoce obietnic i żądań w czynie. W istocie zwycięży reakcja burżuazyjna tylko o tyle, o ile koalicja da pomoc zbrojną, wyśle ekspedycję wojenną i oprócz tego da surowca do przemysłu. Jestem przekonany, że zwycięstwo lub upadek reakcji w Polsce li tylko od czynnego lub biernego stanowiska koalicji zależeć będzie, natomiast w żadnym razie zwycięstwo to czynnikami wewnętrznymi w narodzie polskim przesądzone nie będzie, nawet przy tym poparciu reakcyjnym wojska, jakie jest teraz. Nie uprzedzajmy wypadków. Zaczekajmy. „*Biza biem, qui ziza le dexmier*". Ten śmiech ostatni może równie dobrze wypaść na rzecz reakcji, jak na rzecz rewolucji. Szala tych dwóch biegunów waży się nie w samej Polsce, lecz na całym dziś świecie. I nie w Polsce ośrodek decyzji.
Od kilku dni Wilno stało się bardzo popularne w prasie warszawskiej, szczególnie reakcyjnej. Przed murami Wilna stoją już bowiem bolszewicy, a w Wilnie cała burżuazja gotuje się do śmiertelnej z nimi walki. Podobno nawet waśnie narodowe ustają i nawet garstka Litwinów i Żydów przyjmuje dobrowolnie *crempjonet* siły zbrojnej polskiej w tym starciu decydującym. Być może, że dziś krew się już w Wilnie leje i że się losy Wilna w tym momencie przesądzają.

7 stycznia, rok 1919, wtorek
Okazało się, że wieść wczorajsza o zamachu stanu w Warszawie fałszywą nie była, aczkolwiek zamach stanu został udaremniony. Między innymi – głównymi wykonawcami niedojrzałego zamachu byli: pułkownik Januszajtis, książę Eustachy Sapieha i paru jeszcze, których nazwisk na razie nie wiem (zdaje się, że także Jerzy Zdziechowski[66]). Zamach stanu nie udał się, bo wojsko nie dało się jednak pociągnąć przeciwko Piłsudskiemu. Istotnie, spiskowcy zdołali aresztować na razie kilku ministrów, w tej liczbie Moraczewskiego i Wasilewskiego, internowali też Thugutta, do którego strzelano, aresztowali też szefa sztabu Szeptyckiego[67]. Wojsko jednak, wierząc Piłsudskiemu, za energiczną interwencją między innymi pułkownika Barbeckiego[68] – zwróciło się przeciwko spiskowcom i udaremniło ich przedsięwzięcie. Gazety warszawskie dziś nie przyszły, toteż wieści o spisku i jego szczegółach oraz konsekwencjach czerpię jeno ze źródeł telefonicznych z Warszawy, które doszły dziś do komisariatu ludowego w Łomży. Tymczasem wielu jeszcze szczegółów brak; informacje są jeszcze dość mętne. Zdaje się, że przynajmniej na razie, ten zamach stanu wypadnie na wzmocnienie stanowiska rządu i popularności Piłsudskiego w wojsku. Co to za duch ambitny, połączony z głupotą, u tego żółtodzioba Januszajtisa! Wszędzie i zawsze usiłuje się przeciwstawić Piłsudskiemu i iść po linii reakcyjnej przeciwko drodze wielkiego Komendanta. Wprzęga się we wszelkie awanturnictwo, byle się przeciwstawić i imię swoje do jakiejś roli opatrznościowej zbawcy nawiązać. Ale że brak mu idei, brak jednolitej woli i drogi, brak wielkiej głowy i wielkiego serca, przeto jest tylko kondotierem, gdy Piłsudski jest siłą wielką i płonącą ideą w Narodzie. Usiłował Januszajtis zbawić Legiony, gdy w r. 1916 Piłsudski się podał do dymisji. Był on tym, który przyjął komendę Brygady po Piłsudskim z rąk austriackiej A.O.K. (Armee-Ober-Komando) i poszedł w służbę ujarzmiciela Legionów. Gdy w r. 1917

[66] Zdziechowski Jerzy (1880-1975), działacz polityczny i gospodarczy, uczestnik próby zamachu stanu, 1922-27 poseł na sejm, 1925- 1926 minister skarbu.
[67] Szeptycki Stanisław (1867-1950), generał, oficer armii austriackiej, 1916 dowódca III Brygady Legionów, 1918-1919 szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.
[68] Płk Barbecki, Berbecki Leon (1875-1962), generał, inżynier; 1914-1917 dowódca pułku piechoty w Legionach Polskich, następnie w Polskich Siłach Zbrojnych. W okresie międzywojennym kolejno dowódca okręgu generalnego Pomorze, okręgów korpusu Grodno I Turów, od 1927 inspektor armii, w 1939-1945 w oflagu Niemczech, 1946 powrócił do Polski.

Niemcy z uległą im i chwiejną Tymczasową Radą Stanu narzucili Legionom przysięgę, wiążącą wojsko polskie ze sprawą niemiecką i Piłsudski wraz z wierną mu większością wojska oparł się przysiędze, skazując się na represje, Januszajtis, nadzieja i chluba aktywistów, stanął na czele tych, co jarzmo niemieckiej sprawy usiłowali wojsku polskiemu zaszczepić. Dziś, gdy zbankrutował aktywizm, Januszajtis łączy się z reakcją prawicy endeckiej i usiłuje dokonać zamachu stanu, obalając znienawidzonego Piłsudskiego. Nie tędy droga do zasługi w Narodzie, panie pułkowniku.
Dziś w Głównej Komisji Wyborczej miałem wściekłą pracę. Do obiadu byłem rozrywany na wsze strony, tak że mi się już chwilami zdawało, że nie podołam wszystkiemu – tyle jest na mojej głowie. A im dalej w las, tym więcej drzew. Ogromna większość komisji miejscowych jest zupełnie niezaradna, chaos jest miejscami kompletny. Dziesiątki zgłasza się do mnie interesantów, nieraz w najbłahszych sprawach i coraz tego więcej i więcej z dnia na dzień. Aż czasami głowa pęka. W kancelarii mojej zaszły pewne zmiany: dwie bardzo dzielne pracownice – p. Lineburg i p. Budkiewicz – odeszły, bo dostały stałą posadę. Na ich miejsce przyjąłem z polecenia panny Zadarnowskiej dwie nowe pracownice i wycofałem z komisji miejscowych dwoje naszych dawnych i dobrych pracowników – p. Grygę i pannę Kokoszko. Dostarczono nam dziś wreszcie 200 000 kopert, których stemplowanie z wielką energią rozpoczęliśmy. Wpłynęło dziś aż sześć nowych list kandydatów, z których dwie są zupełnie do niczego i żadnego skutku mieć nie będą (są to lokalne uzupełnienia listy ludowców, podane samorzutnie z paru zakątków prowincjonalnych), dalej trzy listy wątpliwe, które może Komisja Główna jednak zakwalifikuje, bo brak w nich tylko wskazania pełnomocnika, ale poza tym są dobre (wszystkie trzy lokalne i dzikie, ale z nich dwie o wyraźnym zabarwieniu (jedna z pow. mazowieckiego, reakcyjna z kandydatami ziemianami i księdzem, druga PPS-owska z Grajewa od grupy robotników, trzecia wreszcie całkiem bezbarwna z pow. ostrowskiego). Wreszcie ostatnia – szósta lista – to z ramienia żydowsko-socjalistycznej partii „Poale-Syon”[69], zgłoszona zupełnie prawidłowo.

8 stycznia, rok 1919, środa
Dziś wpłynęło znowu kilka list kandydatów. Mnożą się one w tych kilku ostatnich dniach terminu jak grzyby po deszczu. Jutro bowiem jest ostatni dzień zgłaszania list kandydatur poselskich. Po odrzuceniu przez Komisję Główną na dzisiejszym posiedzeniu trzech list wadliwych, których zgłoszenie nie odpowiadało przepisom prawa, pozostało do dnia dzisiejszego włącznie 10 zakwalifikowanych przez Komisję Główną list. Ile jeszcze wpłynie jutro – nie wiadomo, ale w każdym razie nie mniej, niż dwie albo trzy, bo brak jeszcze listy „narodowej”, listy związku demokratycznego, no i chyba PPS-owskiej, która przecież chyba wystawiona będzie. Oprócz tego, może jutro wpłynąć jeszcze kilka list dzikich. Dotąd listy mamy następujące:
nr 1 – dzika, zgłoszona przez grupę drobnej własności z gm. Warchoły pow. ostrowskiego, poparta przez inną grupę wyborców pow. ostrowskiego i mazowieckiego, z jedną kandydaturą notariusza z Kalisza, Siemickiego;
nr 2 – dzika, zgłoszona przez grupę chłopów z gminy Miastkowo pow. łomżyńskiego, z 9 kandydatami również chłopami-gospodarzami z tejże gminy;
nr 3 – Polskiego Stronnictwa Ludowego, z 12 kandydaturami partyjnymi;

[69] Poale Syjon, Żydowska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Robotnicy Syjonu, głosiła hasło socjalistycznego bezklasowego państwa żydowskiego w Palestynie oraz narodowej autonomii Żydów w Polsce.

nr 4 – dzika, ale dzika nie ideowo, jeno organizacyjnie, zgłoszona przez grupę robotników i rzemieślników miasta Grajewo pod sztandarem PPS, z jedną kandydaturą niejakiego Gułackiego;
nr 5 – dzika, zgłoszona przez grupę wyborców z gminy Jasienica pow. ostrowskiego, z jedną kandydaturą niejakiego Władysława Jabłonki, krawca;
nr 6 – żydowskiej narodowo-socjalistycznej partii „Poale-Syon", z sześciu kandydaturami partyjnymi;
nr 7 – bez określenia partyjnego, ale, jak widać z osób kandydatów (na pierwszym miejscu Pryłucki[70] z Warszawy), zgłoszona przez tzw. ludowców żydowskich z 7 kandydaturami;
nr 8 – lokalna endecka z pow. ostrołęckiego, z 9 kandydaturami;
nr 9 – Żydowskiego Komitetu Narodowego (syjoniści burżuazyjni), z 4 kandydaturami;
nr 10 – żydowska bez określenia barwy (domniemywam, że albo bundowska[71], albo ortodoksów żydowskich), z 3 kandydaturami.
Ciekawym jest zjawiskiem rozbicie list żydowskich, co wpłynie także na rozproszenie żydowskich głosów między cztery listy i osłabi szanse mandatu dla Żydów.
Nie zanotowałem wczoraj w dzienniku o ogólnym zebraniu w Sądzie Okręgowym, które się odbyło dla wyboru kandydatów na stanowisko sędziego okręgowego, opróżnione przez dymisję Mieczkowskiego. „*Clou*"[72] tego posiedzenia polegał na kandydaturze Chełstowskiego, jakiegoś krewnego prezesa Filochowskiego, forsowanej przez Filochowskiego za poparciem Skarzyńskiego i Duszyńskiego. Natomiast kandydaturze tej przeciwni byliśmy zasadniczo Trampler i ja. Chełstowskiego prezes popierał gwałtownie przy dwóch poprzednich wakansach przed wyborem Duszyńskiego i moim, ale zawsze udawało się prezesowi wyforsować Chełstowskiego jeno na drugie miejsce w kolejce. Wtedy na rzecz Chełstowskiego był ten atut moralny, że jest on w obozie jeńców i że przez ten wybór i następnie nominację – można go z obozu wyciągnąć. Teraz atut ten upadł. Chełstowski nie tylko że nie siedzi w obozie jeńców, ale właśnie świeżo otrzymał nominację na sędziego pokoju w Łomży na miejsce Tarnowskiego. Wiadome mi są dobrze pokątne intrygi prezesa za czasów mojej kandydatury, zmierzające do tego, aby moją nominację umorzyć, raczej nie dopuścić do niej i przeforsować zamiast mnie Chełstowskiego. Pisałem o tym w dzienniku. Otóż teraz znów Chełstowski wypłynął. Przed kilku dniami prezes usiłował przeprowadzić ten wybór przez zaskoczenie Tramplera i mnie, dopóki jeszcze Mieczkowski dymisji nie miał. Nie udało się wtedy, bo ze względów formalnych uznano, że w wyborze następcy Mieczkowski uczestniczyć nie może, toteż zebranie ogólne uznano za niedoszłe. Teraz prezes się spostrzegł, że trzeba się z przepisami formalizmu liczyć i nie tylko że o porządku dziennym zebrania zostaliśmy wszyscy z góry powiadomieni, ale i sam prezes, ze względu na swe pokrewieństwo z kandydującym Chełstowskim, od udziału w omawianiu kandydatur i w wyborach się wycofał. Liczył zresztą, że głosy Skarzyńskiego, który w zastępstwie prezesa przewodniczył, i Duszyńskiego – przeważą, bo przy równości głosów przeważa głos przewodniczącego. Zawiódł się jednak. Skarzyński i Duszyński wystawili wprawdzie kandydatury w tej kolejce: Chełstowski, Wysocki (sędzia pokoju w Mazowiecku), Makowski (sędzia śledczy w Kolnie). Ja natomiast postawiłem kolejkę taką: Wysocki, Makowski i Wajcht. Trampler poparł moją listę, podprokurator zaś Siemicki, obecny na posiedzeniu, któremu słusznie

---

[70] Pryłucki Nojach (1882-1942?), żydowski działacz polityczny, prawnik, publicysta, założyciel i przywódca Żydowskiego Stronnictwa Ludowego, poseł na sejm 1919 i 1922-27.
[71] Bund, Powszechny Żydowski Związek Robotniczy, żydowska partia socjalistyczna założona w 1897 r. w Wilnie.
[72] Clou (fr.) – główny punkt

czy niesłusznie przyznano głos, również decydujący, poparł listę w kolejce takiej: Wysocki, Makowski i sędzia śledczy z Ostrowia. Przeszli więc na pierwszym i drugim miejscu Wysocki i Makowski, Chełstowski zaś, wobec rozbicia się głosów naszych, przeszedł na trzecim miejscu. To jest klapa. Faworytyzmowi nie stało się zadość. Co za racja, aby świeżo mianowany sędzia pokoju Chełstowski miał pierwszeństwo przed sędziami o wiele dawniej w okręgu służącymi. Poza tym, dosyć tego zabagnienia sądu kliką. Trampler wprost podniósł jako zarzut przeciw kandydaturze Chełstowskiego, jego pokrewieństwo z prezesem.

9 stycznia, rok 1919, czwartek
Dziś upłynął termin zgłaszania na ręce moje, jako przewodniczącego Głównej Komisji Wyborczej, list kandydatów do Sejmu Ustawodawczego. Wpłynęło przez dzień dzisiejszy 7 nowych list. Z nich wszakże dwie są wadliwe i będą musiały być odrzucone przez Główną Komisję Wyborczą, bo zawierają wady formalne (nie wskazane pewne szczegóły o kandydatach, jak wiek itd.) i nie podany jest pełnomocnik zgłaszającej grupy, upoważniony do udzielania wyjaśnień, ewentualnie uzupełniania braków i wad. Pozostaje pięć list, które niewątpliwie zostaną przez komisję Główną zakwalifikowane jako dobre. Łącznie z 10 listami, które wpłynęły i zostały zakwalifikowane do dnia dzisiejszego, mamy więc ogółem, w chwili zamknięcia terminu zgłoszeń, ogółem 15 list kandydatów. Jak na okręg prowincjonalny – to bardzo dużo. Więcej jest list niż mandatów do uszczknięcia. Nie wystarczyłoby mandatów nawet po jednym na każdą listę. Dużo z tych list jest zresztą zgoła efemerycznych. Główny ciężar walki skupi się , prawdopodobnie, wyłączając społeczeństwo żydowskie, na konkurencji listy nr 3 (ludowej) z listą nr 12 („narodową"). Z list, zgłoszonych dokładnie, bez wad, które dziś wpłynęły, pierwszą, czyli tą, która będzie oznaczona nr 11, jest lista PPS-owska z 8 kandydatami (na pierwszym miejscu przywódca socjalistów w Łomży, dr Mieczysław Czarnecki, postrach i przedmiot nienawiści, zgrozy i zgorszenia dewotek i całej reakcji, a nawet burżuazji lokalnej, drugą (nr 12) jest lista „narodowa" – endecka z 9 kandydaturami, stanowiąca wyraz istotnego bloku świadomej kontrrewolucji, najgroźniejsza konkurentka dla wszystkich innych, trzecią (nr 13) jest lista, zgłoszona przez grupę wyborców z gm. Długoborz pow. łomżyńskiego, wnosząca dwie kandydatury, umieszczone już na liście „narodowej", obliczona li tylko na próbę wniesienia poprawki do kolejki kandydatów listy „narodowej" (tymi dwoma kandydatami są Konstanty Długoborski, członek dotychczasowy naszej Komisji Głównej, figurujący na liście „narodowej" na ostatnim miejscu, jako dziewiąty i p. Stanisław Włodek, jeden z najświatlejszych i dzielnych ziemian z pow. mazowieckiego, najpostępowszy bodaj i najlepszy jako siła dodatnia społeczna, ze wszystkich kandydatów listy „narodowej", który na niej figuruje na miejscu szóstym), trzecią (nr 14) jest lista żydowska tzw. „zjednoczonych socjalistów", popularnie zwanych u Żydów „Verlinigte"[73], z dwiema kandydaturami (jest to już piąta lista żydowska; pierwsza z nich – nr 6 – „Poale-Syonu", druga – nr 7 – tzw. „ludowców" obozu Pryłuckiego, trzecia – nr 9 – syjonistów burżuazyjnych, zblokowanych z ortodoksami, czyli całej właściwie burżuazji „narodowej" żydowskiej, czwarta – nr 10 – Bundu, i piąta, dzisiejsza – nr14 – „zjednoczonych", czyli dawniej znanych pod nazwą syjonistów-socjalistów); piątą wreszcie z dzisiejszych i zatem już ostatnią (nr 15), jest lista tzw. „Związku Demokratycznego", czyli grupy inteligencki-radykalnej, z 9 kandydaturami (na pierwszym miejscu młody dr Supiński, syn chłopski z pow. łomżyńskiego, umysł i temperament trochę rozwydrzony, ale chłop niezły, prawnik – doktor praw – zajmujący

[73] Vereinigte – Farejnigte, Żydowska Socjalistyczna Partia Robotnicza „Zjednoczeni", założona w 1918 r., partia polityczna żydowskich syjonistów-socjalistów byłego zaboru rosyjskiego.

tu stanowisko zastępcy komisarza ludowego). Stwierdzę tu parę rysów co do pewnych list i metod zgłaszania kandydatur, rezerwując jeszcze inne uwagi do jutra, o ile mi jutro na to miejsce w dzienniku pozwoli. Więc pierwsze co do listy „narodowej". Endecy jednak wskórali tyle w bloku burżuazyjnym, że porządek kandydatur został przestawiony nieco na ich korzyść partyjną i zarazem na większe przesunięcie wagi na prawo w porównaniu do kolejki, zaprojektowanej uchwałą wiecu przedwyborczego żywiołów tzw. „narodowych" okręgu łomżyńskiego. Wyraziło się to w szczególności w tym, że na pierwsze miejsce postawiony został endek dr Załuska (Adam Mieczkowski przesunął się na drugie miejsce), na czwarte miejsce, za gospodarzem Ostrowskim, wysunął się reakcyjny ksiądz Lutosławski ze znanej politycznej rodziny Lutosławskich, Włodek natomiast zepchnięty został na miejsce szóste. Na liście endeckiej wszyscy chłopi są oznaczeni jako „gospodarze małorolni" (jest to wykorzystanie gry słów: chłop, który się społecznie określa jako drobny właściciel, nazwany tu jest małorolnym, podczas gdy wyraz „małorolny" w utartej terminologii potocznej u nas oznacza tylko szczególną klasę chłopów, którzy mają warsztat rolny nie wystarczający na utrzymanie rodziny; endecy tą grą słów spekulują zręcznie na rzecz demagogii wyborczej, jak to oni po mistrzowsku umieją robić.
Teraz słówko zgoła o czym innym. Wczoraj czytaliśmy w pismach szumną, jaskrawą depeszę o „zdobyciu" Wilna przez Polaków. Była tam mowa o tym, że generał Wejtko, który objął władzę nad siłami zbrojnymi polskimi i litewskimi w Wilnie, zwyciężył po walce miejscowych bolszewików, którzy się „okopali" i stawiali opór, zabrał przy tym dużo broni itd.; że Niemcy wobec tego oddali już całkowicie resztki władzy w ręce polskie, że Wilno już jest we władzy Polaków, że panuje z tego powodu w mieście niesłychany zapał, nawet wśród Litwinów i burżuazji żydowskiej, którzy się oddają pod opiekę i obronę Polaków przed grozą bolszewizmu. Wyczułem od razu słabość tych twierdzeń i oblewałem zimną wodą tych w Łomży, którzy sobie gratulowali zdobycia Wilna. Byłem tam przecie niedawno i wiem, co się święci. Zwycięstwo nad garstką bolszewików miejscowych – to farsa, bo co znaczy rzesza niezmilitaryzowana. Ale tuż za nią pod Wilnem stoi już zbrojna siła bolszewicka; poczekajmy na wynik spotkania z nią. Niesłychany „zapał"! Weźmy pod uwagę tysiące ziemian i ich popleczników, którzy się do Wilna właśnie przed bolszewikami schowali – to zrozumiemy, kto robi w Wilnie scenę tego „zapału". A co do Niemców – to rozprzężenie było w szczątkach okupacji niemieckiej już przed miesiącem tak daleko posunięte, że mucha mogła ich „władzę" zdmuchnąć. I otóż dziś mamy: depesza krótka: Wilno zdobyte zostało przez bolszewików. Wołał przed kilku dniami Wejtko: „Kto w Boga wierzy – ten z nami, kto w diabła – ten przeciw nam". Ja w Boga wierzę, a jednak nie jestem jeszcze przekonany, że bolszewicy – to diabeł.
Widziałem się wczoraj z Ludwikiem Kulczyckim[74], który bawił w Łomży. Pogawędziłem z nim. Rozumny to człowiek i biegły politycznie, ale szczwany lis. Oczywiście jest on wrogiem rządu, bo na czele stoją PPS-owcy i Piłsudski. Również jest on wrogiem zdecydowanym bolszewizmu. Stał się on obecnie rzecznikiem – bądźmy szczerzy – kontrrewolucji, choć oczywiście ubiera się w szaty demokracji, społecznie idącej daleko.

10 stycznia, rok 1919, piątek
Roboty w Komisji Głównej było, jak zawsze, dużo, ale gwałtu zbyt wielkiego nie było i nic też szczególnie ciekawego nie zaszło. Robią się usiłowania, idące zdaje się ze strony

[74] Kulczycki Ludwik (1866-1941), działacz społeczno-polityczny, socjolog, współzałożyciel tzw. II Proletariatu; 1917 członek Naczelnego Komitetu Narodowego i współzałożyciel Ligi Państwowości Polski; wykładowca w Szkole Nauk Politycznych.

komitetu „narodowego”, o wycofanie listy kandydatów miastkowskiej. Zgłaszało się już dziś do mnie paru z rzeczników tej grupy – nawet sami kandydaci tej listy – z oświadczeniami, że podpisani pod zgłoszeniem chcą je cofnąć; ale to nie jest tak łatwym, bo Komisja Główna stoi na tym stanowisku, że deklaracja o cofnięciu listy musi być podpisana przez wszystkich, podpisanych na zgłoszeniu. Zresztą są tam jeszcze pewne wahania między dążeniem do cofnięcia a dążeniem do dodatkowego upoważnienia pełnomocnika grupy do zawarcia związku wyborczego z inną grupą.
Charakterystyczna jest pewna różnica, zachodząca między zgłoszeniami kandydatur poselskich żydowskich a chrześcijańskich. U Żydów ujawniło się co prawda nie mniejsze rozbicie partyjne niż u Polaków, może nawet głębsze, bo gdy u Polaków stają przeciwko sobie cztery zasadnicze listy partyjne („narodowa”, związku demokratycznego, ludowa i PPS), z których zresztą dwie (związek demokratyczny i ludowcy) zblokują się, jak to już przesądzone zostało, w związek wyborczy, to u Żydów, którzy są mniej od Polaków liczni i bardziej przeto dbać winni o ochronę swych głosów od rozstrzelenia – list partyjnych jest aż 5! Ale za to u Żydów listy są wyłącznie partyjne, dzikich nie ma wcale. Świadczy to o wyższej organizacji i dyscyplinie Żydów. U Polaków natomiast są całe gromady, chodzące luzem. Widać to nie tylko z list zupełnie dzikich, które wpłynęły, ale także z licznych list lokalno-partyjnych, stojących właściwie na stanowisku tej lub innej formacji stronniczej, ale z formacją tą nie związanych organizacyjnie albo co najmniej nie skomunikowanych. I co jeszcze ciekawsze, że podczas gdy w zgłoszeniach polskich jest stała tendencja do uwzględniania lokalizmów, do udzielania na liście kandydatur miejsca dla wszystkich powiatów, dla wszystkich ambicji lokalnych, aby każdy wyborca mógł wśród kandydatów znaleźć choć jednego znajomego albo przynajmniej ziomka powiatowego (mówię to o listach nawet najdokładniej partyjnych, bo znaczna część drobnych list dzikich już wyłącznie i jedynie jest obliczona na popularność detalicznie lokalną kandydatów), to u Żydów jest wręcz inaczej. Żadna lista żydowska nie zawiera ani jednego nazwiska kandydata z Łomży lub okręgu łomżyńskiego. Wszyscy kandydaci są z Warszawy, względnie trafiają się z Łodzi, Lublina, Tarnowa. Żadnych lokalizmów, żadnego frymarczenia ambicjami tam nie ma. To już świadczy o wyższym wyrobieniu politycznym Żydów. Nikt się u nich poza szranki partyjne nie wyłamał, a wewnątrz tych szranków dobierano ludzi najodpowiedniejszych bez względu na jakikolwiek partykularyzm.
Wczoraj był u mnie Stefuś, mój siostrzeniec. Jest już nie w POW, lecz w wojsku. Z powodu swego kalectwa pełni oczywiście tylko służbę kancelaryjną, ale przy kompanii, w pułku. Pokazywał mi legitymację, z której widać, że ma szarżę sierżanta-szefa. Dobrze, że jest w wojsku, bo przy jego charakterze nie wiadomo byłoby, co z nim zrobić. Obecnie jest z pułkiem w Łomży, ale, jak mówi, kompania jego ma w tych dniach odejść do Szczuczyna i stamtąd podobno na Suwalszczyznę. Żal mi go jednak. Jesteśmy tu z nim jedyni z naszej rodziny, odcięci od reszty, jak zbłąkane listki na pustkowiu. Stał się on biedak bezdomny gorzej ode mnie, bo ja mam stanowisko samodzielne, a on tułaczkę. Ba, trudno – w tych czasach trzeba sobie jakoś radzić. Niech idzie w szkołę życia. Serce mi biło, gdym nań patrzał. Teraz jesteśmy znów odcięci od rodziny naszej tak samo radykalnie, jak podczas wojny. Rozdzieliły nas od rodziny nie rowy strzeleckie, lecz barykady rewolucji. Siostra Stefusia, Ewa, jest wprawdzie również z tej strony linii rewolucyjnej, ale pojechała gdzieś do Lwowa, widocznie na sanitariuszkę i nie ma o niej żadnej wieści.

11 stycznia, rok 1919, sobota

Zaczyna się w kołach burżuazyjnych i inteligenckich Łomży pewnego rodzaju popłoch, a raczej konsternacja w obawie przed najściem bolszewików. Zajęcie przez nich Wilna zrobiło duże wrażenie, tym bardziej, że o ile z gazet wnosić można, pochód bolszewików w kierunku Grodna i Białegostoku posuwa się nie tylko z północy od Wilna, ale i ze wschodu, wobec czego chwila ewentualnego dotarcia ich do granic Kongresówki może już być bliska, Łomża zaś będzie jednym z pierwszych miast w Kongresówce, do których przyjść może awangarda bolszewizmu. Przewidywanie to zresztą jest zupełnie uzasadnione, jeżeli tylko bolszewicy zdecydowani są istotnie posuwać się siłą zbrojną na Polskę. Kto wie, czy obiorą oni sobie tę metodę, mającą bądź co bądź cechy inwazji rosyjskiej, choćby czerwonej, czy też staną nad granicą Polski i czekać będą, aż w samej Polsce samorzutnie ruch komunistyczny z dołu zwycięży, by mu dopiero potem rękę podać do zatarcia granic państwowych i scalenia, w myśl ideałów komunistycznych, wielkiej „sowieckiej międzynarodowej Rzeczypospolitej proletariackiej". I przed wkroczeniem sił zbrojnych bolszewickich do Litwy właściwej bolszewicy mówili, że gwałcić terytorium Litwy bezpośrednią inwazją nie będą i jeno dadzą przejście wojskom narodowościowym (litewskim, polskim), które się w łonie armii bolszewickiej wytworzyły. Stało się przecież inaczej. Pochód armii bolszewickiej skierował się na Wilno i stamtąd dalej. To samo może być z Polską. Trudno nawet uwierzyć, aby bolszewicy, posiadający obecnie armię (armia ta zdaje się być wcale niezłą, o całe niebo wyższą od tych czerwonych band wojennych zeszłorocznych, które w dobie traktatu brzeskiego mieli przed sobą Niemcy, a które były szczątkami zdemoralizowanej starej armii carskiej; odrodzenie armii bolszewickiej jest bodaj dziełem Trockiego[75]), trudno, powiadam, przypuścić, aby bolszewicy, zbrojni w armię, wyczekiwali bezczynnie u granic Polski na wynik zmagania się w Polsce burżuazji z ich towarzyszami ideowymi polskimi. Sam duch propagandy, który charakteryzuje zawsze rewolucjonistów i który jest właściwy bolszewikom, jak był właściwy ongi Rewolucji Francuskiej, pchnie ich do interwencji czynnej w Polsce, jak pchał niegdyś rewolucyjne armie francuskie do ekspedycji na kraje sąsiedzkie. A młoda, nieskoordynowana, różnolita armia polska, która wprawdzie skutecznie daje sobie radę przeciwko zdemoralizowanym rozbitkom wojska niemieckiego, ale nie może równie skutecznie podołać Ukraińcom w Galicji, nie podoła bolszewikom. Tymczasem anarchia, komunizm i rozprzężenie coraz bardziej trawi Polskę. Z samej Ziemi Łomżyńskiej i Łomży można by bardzo dużo na ten temat powiedzieć. Dowiedziałem się też, że już w wojsku polskim, tu w Łomży, działają tajnie rady żołnierskie.

12 stycznia, rok 1919, niedziela
Noc ubiegłą „przełajdaczyłem" w hotelu. Ba, jak człowiek jest człowiekiem, tak mężczyzna – mężczyzną.
Pomimo to zmęczony się nie czułem. Zresztą mam moc pracy, a praca ta podnieca. Gdyby się nawet czuło zmęczonym, nie wolno się zmęczeniu się poddawać; siłą woli trzeba energię z siebie wycisnąć. Zresztą nie potrzebowałem jej wyciskać, bo ją miałem aż nadto.
Praca w Komisji Głównej znów biegnie w tempie wzmożonym. Kancelaria znów się rozrosła, jak w okresie podziału okręgu na obwody. Oprócz nawału ciągłej roboty bieżącej, która w miarę zbliżania się terminu wyborów narasta z dnia na dzień i przybiera tempo coraz pośpieszniejsze, co jeszcze się komplikuje przez nowe wyjaśnienia, instrukcje i dekrety uzupełniające, dodające coraz to nowej pracy nam i

[75] Trocki Lew, właśc. Lew Bronsztejn (1879-1940), działacz i ideolog rosyjskiego i międzynarodowego ruchu komunistycznego, uczestnik przewrotu bolszewickiego w Rosji, komisarz spraw zagranicznych, następnie spraw wojskowych, organizator Armii Czerwonej.

komisjom miejscowym – wyrosła potworna w skomplikowaniu robota ustalenia, skorygowania, uzupełnienia itd. spisów wyborców ze wszystkich 202 obwodów naszego okręgu. Spisy te, łącznie z reklamacjami, decyzjami do nich komisji miejscowych, różnymi uzupełnieniami itd., są prawdziwym morzem chaosu. Ja, zawalony ciągłą robotą ogólną, nie mogłem wziąć na siebie destylacji tych spisów, co by było Herkulesowym trudem uprzątnięcia stajen Augiasza, toteż przekazałem tę robotę Duszyńskiemu i Szwejcerowi, dając każdemu z nich do tego użytku po kilka pracownic naszych (ogółem 7 osób). Na ich miejsce musiałem przyjąć kilka nowych pracownic i pracowników, tym bardziej, że p. Wasilewski, nasz niedołężny „sekretarz", dzięki Bogu, dostał stałą posadę w sądzie i nas opuścił, również dostał posadę i opuścił p. Kamiński, a pana Grygę wydelegowałem ze specjalnymi zleceniami na kilka dni w głąb powiatów ostrołęckiego i ostrowskiego. Prawą moją ręką, królową i perłą biura jest obecnie panna Helena Roszkowska, dawna „myszka", nieoszacowanych zasług pracownica.
Odbyło się dziś parę wieców ludowców na temat nieudanego zamachu stanu z ubiegłej niedzieli; oczywiście wiece te mają już cechy kampanii przedwyborczej. Nie byłem na nich, bo i czasu nie miałem.
Nie wiem czy doszedł do skutku zapowiadany na dziś wiec bezrobotnych, w którym upatrywano knowania komunistyczne.

13 stycznia, rok 1919, poniedziałek
Praca idzie nadal intensywnie. W ciągu tygodnia bieżącego musimy ukończyć wściekłą robotę, a mianowicie przygotować koperty ostemplowane dla wszystkich obwodów, ustalić ostateczne spisy wyborców również na wszystkie obwody, ogłosić listy kandydatów, rozesłać i zarządzić we wszystkich obwodach wykonanie nowego dekretu o nadaniu praw wyborczych obywatelom, którzy po 5 grudnia powrócili do kraju itd. Każdy z tych etapów czynności składa się ze skomplikowanego całokształtu poszczególnych czynności, które muszą być wykonane. Wczoraj upłynął termin zgłaszania związków (bloków) między poszczególnymi grupami wyborców, to znaczy listami kandydatów. Związków takich zawarto dwa: pierwszy z nich zblokował listy nr 9 (ludowcy) i nr 15 (Łomżyński Związek Demokratyczny), drugi – listy nr 8 (endecka ostrołęcka z kandydaturą Glinki na pierwszym miejscu) i nr 13 („narodowa" z Zambrowa i gminy Długoborz z kandydaturami Konstantego Długoborskiego i Stanisława Włodka) z listą nr 12 (urzędowa „Komitetu Narodowego"). Podług ordynacji wyborczej, związek grup ma to do siebie, że głosy, które padną na listy zblokowane, sumują się i liczą za jedną całość wobec innych list i dopiero potem, gdy już drogą proporcjonalnego obliczania podziału mandatów zostanie ustalone, ile mandatów wypadło na związek, robi się proporcjonalne obliczenie podziału przypadłych mandatów we wnętrzu związku na zasadzie stosunku głosów, wypadających na poszczególne zblokowane listy. W związku urzędowej listy „Komitetu Narodowego" z dwiema listami ubocznymi – ostrołęcką i długoborską – są do zanotowania następujące cechy i tendencje. Lista ostrołęcka daje ujście prądowi bardziej konserwatywnemu w stosunku do urzędowej listy „narodowej"; charakteryzuje ją kandydatura Glinki – jednego z wybitnych ziemian i filarów endecko-realistycznych tej części kraju. Na urzędowej liście „narodowej", ułożonej w drodze szerokiego zjazdu przedwyborczego ze wszystkich sześciu powiatów z licznym udziałem chłopów – kandydatury Glinki nie ma. Zresztą w ogóle nie ma tam ani jednej kandydatury obszarniczej, z wyjątkiem jednego Włodka, ziemianina miejscowego, który wszakże za obszarnika uchodzić nie może, bo ma własność nieduża i który zresztą uchodzi za element postępowy tak w bloku burżuazyjno-„narodowym", jak pośród ziemian. Otóż

Ostrołęczanie przez postawienie swojej osobnej listy wprowadzili kandydaturę Glinki. Reszta ośmiu kandydatów poza Glinką – to są tylko w tej liście figuranci dla zwabienia głosów chłopskich powiatu ostrołęckiego. Istotną tu jest tylko kandydatura Glinki. Oczywiście, że taka lista lokalna i dzika, choć zblokowana związkiem z urzędową listą „narodową", nie zbierze tyle głosów, aby mógł przejść z niej do Sejmu ktokolwiek poza pierwszym jej kandydatem – Glinką. W najlepszym razie, przejdzie z niej jeden tylko Glinka. Ale ten przejść może, bo ze względu na jego kandydaturę głosować mogą na tę listę nie tylko Ostrołęczanie, ale w ogóle prawe i w szczególności ziemiańskie i endeckie skrzydło bloku „narodowego". W ten sposób lista ta traci cechę listy partykularnej w znaczeniu lokalizmu i staje się listą Glinki, to znaczy prawego skrzydła. Natomiast odwrotnie – listą lewego skrzydła obozu „narodowego" staje się lista nr 13 z kandydaturami Długoborskiego i Włodka, które na urzędowej liście „narodowej" są na szarym końcu. Wystawienie tej listy skierowane jest do oddziałania na przestawienie porządku kandydatur listy urzędowej partyjnej i daje wyraz pewnej opozycji przeciwko takim kandydaturom o zabarwieniu prawicowym, jak Załuska i ks. Lutosławski.

14 stycznia, rok 1919, wtorek

Nawała bolszewicka zbliża się. Już to nie przelewki, nie echa dalekie gdzieś burzy, ale coraz bliżej, coraz konkretniej wyrasta u samych granic Polski zagadnienie bolszewizmu.

Jestem przekonany, że nic nie uchroni Polski od przejścia przez ten spazm straszliwy Wielkiej Rewolucji, która może niesie w sobie ziarna odrodzenia i – daj Boże – wyzwolenia ludu, ale gotuje też z pewnością w okresie przewrotu straszne momenty rozprzężenia i gry namiętności oraz instynktów, które się roją w duszach zdemoralizowanej wojną i ogólnym wykolejeniem życia tłuszczy ludzkiej. Żadne konstytuanty nie zapobiegną temu, żadne piorunochrony społeczne nie odwrócą już kataklizmu.

Koalicja, na którą tyle liczyły elementy kontrrewolucyjne, oczywiście nie chce czy nie może dać bezpośredniego skutecznego sukursu. Żeby nie chciała – to trudno przypuścić, ale widocznie nie może, choć jest zwycięska. Zwycięstwo kosztowało ją samą zbyt dużo sił; na opanowanie wschodu i środka Europy nie stać ją dzisiaj, nie stać z pewnością zapału i woli w jej masach własnych. Jej potęga, mogąca narzucić światu panowanie, zdaje się być mitem. Gotowa ona udzielić Polsce środków technicznych do walki zbrojnej przeciwko bolszewizmowi w postaci amunicji i materiału do umundurowania, ale siły bezpośredniej użyczyć nie może. Podobno Grodno jest już w bolszewików ręku[76]. Przyszła wieść wczoraj od osób, które przyjechały z Grajewa, że tamtędy, przez Grajewo, linią kolejową, prowadzącą od Białegostoku na Prostken[77] do Prus Wschodnich, przejeżdżają pociągi wojenne z oddziałami rosyjskiej armii bolszewickiej[78]. Wojska bolszewickie jadą do Prus! W jakim celu? Chyba na Berlin, aby dać bezpośredni sukurs powstaniu Spartakusowców, walczących krwawo z Scheidemanowskim rządem socjalistycznym. Linia Białystok-Prostken, prowadząca przez Grajewo, była stale w ręku niemieckim, używana do transportu wojsk niemieckich z Litwy i Ukrainy. Podobno i teraz w Białymstoku są jeszcze Niemcy i w porozumieniu z nimi jadą wojska bolszewickie do Prus. To nie znaczy, że Grajewo jest

[76] Bolszewicy w Grodnie: chodzi o wydarzeniach w Grodnie 08 01 1919 r., kiedy przez siły prokomunistyczne była organizowana demonstracja.

[77] Prostken, Prostki, wieś w województwie suwalskim, na Pojezierzu Ełckim, nad rzeką Ełk. Po plebiscycie 1920 r. w granicach Niemiec (przejście graniczne do Polski).

[78] Przejazd wojsk bolszewickich do Prus: chodzi o pomoc Rosji Sowieckiej dla spisku sil komunistycznych w Niemczech w styczniu 1919 r.

zajęte przez bolszewików, jeno przejeżdżają oni tamtędy. Ale przez to samo znajdą się oni z obydwóch stron Polski i podadzą rękę rewolucji niemieckiej.
Dziś znów słyszałem, że wojska polskie, które były wysłane do Suwalszczyzny i już tam dotarły, cofają się stamtąd. Widocznie już się tam bezpośredni nacisk bolszewików odczuwać daje. Nie jestem zasadniczo przekonanym wrogiem bolszewizmu, ale metoda przeforsowania rewolucji proletariacko-komunistycznej w Polsce, jak również w Litwie, drogą bądź co bądź obcej, bo rosyjskiej inwazji zbrojnej, budzi we mnie duże zastrzeżenia natury zasadniczej wolnościowej. Zobaczymy, czy istotnie tą metodą potoczy się rozwój rewolucji.
Nie jestem już pewny, czy przewrót bolszewicki nie wyprzedzi tutaj ewentualnie wyborów do konstytuanty, względnie zakończenia procedury wyborczej po głosowaniu. Gdyby się tak stać miało, musiałbym znieść osobiście na sobie falę uderzenia proletariacko-rewolucyjnego ciosu na tę znienawidzoną przez komunistów poczwarkę konstytuanty. Choć nawet entuzjastą konstytuanty nie jestem, to jednak ze stanowiska uczciwości czynu i stanowiska honoru musiałbym wypełnić i utrzymać się na linii konsekwencji, płynących z mojej roli jako przewodniczącego Komisji Głównej.

15 stycznia, rok 1919, środa
Dziś dzień upłynął bez żadnych nowych wieści o ruchu bolszewików. Gdy tak dzień upłynie bez tych wieści, to zdaje się, jakby cała ta rewolucja i wszystkie te chmury wstrząśnień i przemian, które się gotują, były tylko mitem. Ano zobaczymy, co z tego będzie. Mnie się jednak zdaje, że do końca jeszcze bardzo daleko i że po czterech i pół latach wielkiej wojny, po jej formalnym zakończeniu, jesteśmy dopiero w przededniu tej istotnej przemiany, tej dopiero katastrofy, której świtanie przyniósł nam wybuch wojny w r. 1914. Nie widzę żadnych elementów do jakiegokolwiek statecznego ułożenia się stosunków społecznych. Dopóki też stosunki gospodarcze, zwłaszcza zaś stosunki produkcji nie dojdą do pewnego ładu, a te ostatnie do stanu czynnego, dopóty dalszy postęp rewolucji, już po prostu jako żywiołu, jest, zdaniem moim, nieuniknione. W ogóle rewolucja, która się zapowiada i której płomienie już buchają dokoła, nie będzie chyba czymś mniejszym, krótszym i płytszym w przemianach, których dokona, niż była Wielka Rewolucja Francuska.
Praca w Komisji Głównej biegnie. Stemplowanie kopert posuwa się raźno. Dwie grupy specjalne, jakby kolonie naszego biura, oddane pod szczególny kierunek członków Komisji – sędziego Duszyńskiego i Władysława Szwejcera – pracują nad kontrolą i ustaleniem ostatecznym spisów wyborców. Inna część pracowników i pracowniczek zajętych jest rozliczaniem ostemplowanych kopert na poszczególne obwody oraz kopiowaniem różnych wypisów itd. Dziś już dałem do druku ogłoszenie list kandydatów, które najpóźniej pozajutro będzie rozplakatowane w Łomży i rozesłane do powiatów i gmin. Robota wre, ale też kancelaria pracuje dzielnie.
Wczoraj miałem list od mojej siostrzenicy Ewy Römerówny. Okazuje się, że nie jest we Lwowie; pracowała jeno przy pociągu sanitarnym – to znaczy zapewne jeździła z nim do Lwowa i z powrotem jako sanitariuszka pociągu. Panna Halina Zasztowt pracuje tamże. Obecnie Ewa, ponieważ zamierzała powrócić do Wilna, zaniechała tej pracy. Wątpliwa wszakże jest teraz bardzo możliwość znalezienia jakiegokolwiek sposobu powrotu do Wilna. Może więc być wielka szkoda, że Ewa porzuciła tę pracę. Ewa żąda pieniędzy, które mi dla niej dała jej matka, a których jej przesłać nie mogłem, nie wiedząc, gdzie ona jest. Prześlę zaraz i napiszę, że w razie czego może przyjechać do Łomży do mnie. Z listu Ewy dowiedziałem się, że Ezechiel z Helą Pruszanowską są w Warszawie.

16 stycznia, rok 1919, czwartek
Dzień upłynął bez szczególnych zdarzeń lub nowin. Pracy w Głównej Komisji Wyborczej, jak zawsze, było dużo. Wszystkie moje dnie są teraz bardzo pracowite. Ale też mam zadowolenie, że praca w mojej Komisji idzie dobrze, sprężyście i dokładnie, a zwłaszcza szybko. Wszystkie pracownice mego biura są wytrenowane znakomicie i działają doskonale; jednocześnie zyskałem sławę dobrego organizatora i zdobyłem uznanie i sympatię wszystkich współpracowników i współpracowniczek. Bo też mam tę umiejętność w organizowaniu pracy zbiorowej, że i wymagać umiem wykonania, i jednocześnie traktuję pracowników po ludzku, na stopie równej, żartując i współżyjąc z nimi na gruncie pracy. Lubiany przeto jestem przez nich i przez nie i ceniony, do czego dużą wagę przywiązuję. Stosunek w naszym biurze między mną i ogółem pracujących jest doskonały.
Od dziś wieczorem ustanowiony został wewnątrz lokalu Komisji Głównej specjalny nocny posterunek zbrojny.

17 stycznia, rok 1919, piątek
Czułem się dziś rano trochę niezdrów na żołądek. Widocznie musiałem zjeść coś niezdrowego. Zresztą musi to być prosta niestrawność. Nie mam ani bólu głowy, ani żadnych innych dolegliwości, tylko pospolite rozwolnienie, które się objawiało w formach dość gwałtownych, ale mi pracować nie przeszkadzało.
Dziś nastąpiło już ogłoszenie przez nas list kandydatów do sejmu. Przez całą noc drukarnia Krzyżanowskiego biła te ogłoszenia, które obstalowaliśmy w ilości 3 000 sztuk. Sam wczoraj wieczorem dokonałem starannej korekty z panną Heleną Roszkowską, którą w tym celu zatrzymałem w biurze poza godziny urzędowe, bo trzeba było sprawdzić odbitkę dokładnie z oryginałami zgłoszonych list kandydatów; potem jeszcze siedziałem czas jakiś w drukarni czekając na odbicie pierwszych kilkuset egzemplarzy, które tejże nocy musiałem doręczyć osobie jadącej do Mazowiecka. Przed południem dałem już dziś te ogłoszenia do rozplakatowania w Łomży, wysłałem też przez okazje odpowiednie ilości egzemplarzy do Kolna i Szczuczyna. Dopiero na godz.1 po południu cały nakład ogłoszeń dostarczony nam został z drukarni.
Teraz kipi robota przygotowawcza do wyjazdu Duszyńskiego, Szwejcera i Jabłońskiego (jest to nowy członek Komisji Głównej, który wszedł na miejsce Długoborskiego) na zjazdy przewodniczących komisji miejscowych do Ostrołęki, Ostrowia, Kolna, Szczuczyna i Mazowiecka. Roboty tej jest moc – głównie z kopertami i spisami wyborców.
Z nowin politycznych jest ta, że jednak rekonstrukcja gabinetu w Warszawie dochodzi do skutku. Ściślej – jest to nie rekonstrukcja, lecz zamiana jednego gabinetu na inny. Rzecz ta nie poszła wprawdzie zupełnie po myśli endeków, bo nie udało się utworzyć tzw. gabinetu „koalicyjnego”, to znaczy międzypartyjnego (oczywiście endekom chodziłoby o przemycenie własnej supremacji pod „koalicyjnym” płaszczykiem, a przynajmniej dorwania się do udziału we wpływach i władzy), ale rząd PPS-owski zniknie ze sceny i będzie zastąpiony, do czasu przynajmniej wyników wyborów, przez rząd apolityczny i apartyjny czyli tzw. „fachowy”, politycznie bezbarwny. Do tego doprowadziło porozumienie Paderewskiego z Piłsudskim. Na czele rządu, jako premier, staje „mistrz” Paderewski, artysta-muzyk i gorący patriota, ale nie mąż stanu[79]. W obozie reakcji – radość i triumf, bo choć nie zwycięstwo zupełne, ale przecież satysfakcja. Przesądziły ten kryzys kwestie finansowe. Pusta kieszeń, puste kasy skarbu państwowego wołały o monetę. Zaś worki bankierów i całej flotnej burżuazji były

[79] Rząd Ignacego Paderewskiego sprawował władzę w okresie 16 I 1919 – 9 XI 1919.

zamknięte, dopóki stał u steru rząd PPS-owy. Banki poznańskie zgodziły się na udzielenie pożyczki, ale pod warunkiem zmiany gabinetu. I tak się stało. Teraz będzie pożyczka i również otworzą sakwy i skarbony prywatne na opłatę podatków i subskrypcję pożyczki państwowej.
O bolszewikach nowiny są takie: na Litwie zajęli w kierunku Kowna Wiłkomierz, na Łotwie – Mitawę. W Wilnie władza bolszewicka (zapewne lokalna, bo te objęły władzę) aresztowały Michała Biržiszkę[80] i Augustyna Janulaitisa[81], ministrów litewskiego rządu ludowego, który się był utworzył w Wilnie po Tarybowym rządzie Voldemarasa. Bohdaniszki są już na pewno w sferze władzy bolszewików. Co też się stało z Papą!?
Tu w Polsce nastają wybory do Konstytuanty. Tworzy się ona jako wyraz Narodu, jako jego władzy wcielenie, a tu jednocześnie w przededniu wyborów ma się zebrać w Warszawie plenarna rada delegatów robotniczych jako antyteza Konstytuanty, jako wyraz dyktatury proletariatu, organizacja, ogarnięta wpływami i duchem komunistów. A na połowę lutego, to znaczy mniej więcej na okres zwołania Konstytuanty, gotuje się zwołanie w Warszawie ogólnego zjazdu delegatów rad robotniczych i włościańskich. Na każdym więc kroku konsekwentnie – teza i antyteza.

18 stycznia, rok 1919, sobota
Spotkałem dziś podczas obiadu w Rembielinie p. Staniewicza[82] z Wilna, młodego ziemianina z pow. trockiego, który był przed paru laty sekretarzem w Wileńskim Towarzystwie Rolniczym. Siedział on przy obiedzie w paczce jakichś młodych ludzi, którzy wszyscy, jak on, okazali się zbiegami z Wilna i spod Wilna, uciekającymi przed bolszewikami. W krótkiej rozmowie opowiedział mi on trochę szczegółów o ostatnich szczegółach w Wilnie przed wkroczeniem bolszewików i o ucieczce potem. Otóż w ostatnich dniach przed tym wkroczeniem Wilno, przynajmniej sfery działaczy polskich z młodego pokolenia, oddawały się iluzji objęcia miasta w stałe posiadanie władz polskich. Nastrój taki został tam wytworzony przez Stefana Mickiewicza, jednego z postępowych młodych działaczy polskich z kliki generała Babiańskiego[83] i Lednickiego[84], popisującego się przed wojną na arenie polityki polskiej w Petersburgu i pochodzącego z pow. poniewieskiego, b. pps-owca oraz oficera Klingera[85]. Mickiewicz i Klinger przybyli do Wilna z Warszawy i zapewniając o tym, że rząd polski wysłał pomoc zbrojną w sile trzech dywizji do Wilna i że dywizje te już są w marszu i lada dzień przybędą, zdołali obudzić wśród burżuazyjnych kół inteligenckich polskich w Wilnie, zwłaszcza zaś w odłamie demokratycznym tychże, wielką otuchę i wiarę w to, że już Wilno ma pewną odsiecz i utrzyma się w ręku polskim. Wiecami, werbunkiem do wojska, zapałem Mickiewicz i Klinger, którzy przybyli jako urzędowi przedstawiciele władzy cywilnej i wojskowej z Warszawy, rozniecili ogień energii

[80] Biržiška Mykolas (1882-1962), prawnik, publicysta, działacz socjaldemokratyczny, członek Taryby, przewodniczący Komitetu Litewskiego w Wilnie, następnie profesor Uniwersytetu Litewskiego w Kownie, prezes Związku Wyzwolenia Wilna.
[81] Janulaitis Augustinas (1878-1950), prawnik, historyk, działacz polityczny, w styczniu 1919 wraz z M. Biržiška został na krótko aresztowany przez władze bolszewickie, w Republice Litewskiej wykładał na uniwersytecie w Kownie.
[82] Staniewicz Witold (1887-1966), ekonomista, profesor Politechniki Lwowskiej, profesor i rektor Uniwersytetu Stefana Batorego.
[83] Babiański Aleksander (1835-1931), prawnik, działacz polityczny, generał armii rosyjskiej, działał na terytorium Rosji, głównie w Petersburgu, 1917 członek Komisji Likwidacyjnej dla Spraw Królestwa Polskiego.
[84] Lednicki Aleksander (1866-1934), adwokat w Rosji, liberał, poseł do rosyjskiej Dumy Państwowej; od 1917 przewodniczący Komisji Likwidacyjnej do Spraw Królestwa Polskiego.
[85] Klinger, urzędnik z Warszawy.

publicznej. Wilno objęte zostało zarządem cywilnym i wojskowym polskim, mianowane władze na prowincję. Prawicowe i konserwatywne elementy społeczeństwa polskiego w Wilnie były ostrożniejsze i nie angażowały się tak dalece w akcję Mickiewicza i Klingera, czekając przezornie na faktyczne przybycie owych przyobiecanych dywizji, natomiast elementy mniej lub więcej „demokratyczne" czy też „postępowe" polskie, od lewego skrzydła Witolda Abramowicza zaczynając, a kończąc na takich połowicznych bezklasowych umiarkowańcach, jak Kazimierz Świątecki[86], Konrad Niedziałkowski[87] itp. aż do endeków w gatunku Aleksandra Zwierzyńskiego włącznie, dały się nabujać i tak się w tę akcję przeciwbolszewicką zagnały, że gdy potem zbliżyli się realnie do Wilna bolszewicy, a oczekiwana pomoc z Polski nie nadchodziła, musieli po prostu uciekać, bo pozostanie groziłoby im represjami nie na żarty. Pouciekali też wszyscy do Warszawy, gdzie się teraz skupiają i robią ruch o ekspedycję zbrojną polską na odsiecz Litwie. W Warszawie znajdzie się niemal cały b. Komitet Polski z Wilna, tak jak w Kownie znalazła się cała Taryba litewska po ucieczce z Wilna. Niektórzy dostali się do Warszawy koleją przez Białystok-Łapy, inni uszli lub jeszcze uchodzą przez Suwalszczyznę i na Łomżę. Podobno dużo tych zbiegów stamtąd przeciąga przez Łomżę. Dziś podobno nocowali w Łomży Kazimierz Świątecki i Zygmunt Jundziłł, którzy już pojechali do Warszawy. Staniewicz był komisarzem w Landwarowie i stamtąd ucieka z gromadką innych. Byli oni uzbrojeni, ale w Olicie zatrzymali ich Niemcy, rozbroili, potrzymali czas jakiś i puścili. Nie wiedzą jeszcze sami, dokąd się udadzą, może do Warszawy, a może do tzw. dywizji litewsko-białoruskiej, która się formuje w Zambrowie i Ostrowiu pod hasłami odsieczy Litwy. Tu jednak, badając grunt, przekonują się, że ze sprawą wojska polskiego, gotowości Polski do tej odsieczy, a nawet samej organizacji wewnętrznej państwowej w Polsce nie jest jeszcze wcale tak dobrze, jak im się to tam z daleka zdawało. W Wilnie zaś rządzą bolszewicy. Na czele ruchu bolszewickiego, który w Wilnie ujął władzę (wprawdzie przy pomocy zewnętrznej wojsk bolszewickich z Rosji, a więc z piętnem inwazji), stoją Ejdukiewicz (także jego żona Burbianka[88]) i młody radykalny socjalista Litwin (obecnie zresztą nie tak bardzo młody), znany Vincas Kapsukas (nazwisko: Mickiewicz)[89].

Pierwszym aktem nowego gabinetu Paderewskiego w Polsce jest wyznaczenie daty zwołania sejmu na 9 lutego, to znaczy we dwa tygodnie po wyborach. Pośpiech ogromny. Ale bo też to droga jedyna dla zażegnania bolszewizmu, a czy skuteczna, jeszcze to zobaczymy.

19 stycznia, rok 1919, niedziela

Zmęczony dziś jestem, bo wczoraj poszedłem spać o godz.3 rano, wstałem zaś dziś, jak zwykle, o godz. 7-8. Wczoraj bowiem wieczorem wstąpiłem do klubu wioślarzy, gdzie się co sobota odbywają zebrania tzw. Związku Demokratycznego Łomżyńskiego, zorganizowanej grupki radykalnej inteligencji miejscowej. Związek ten wydaje pisemko

---

[86] Świątecki Kazimierz, ? ziemianin, właściciel majątku Poniemuniek na Kowieńszczyźnie.

[87] Niedziałkowski Konrad Bolesław (1858 – 1933), działacz społeczny i polityczny, dyrektor Banku Handlowego w Wilnie, w 1919 – 1920 naczelnik Okręgu Wileńskiego w Zarządzie Cywilnym Ziem Wschodnich; w latach 1919 – 1922 członek Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej.

[88] Burbianka, Burbaitė, Eidukevičienė Barbora (1867-1939), lekarka, działaczka komunistyczna w Litwie. W latach 1886-87 – działaczka "Proletariatu".W latach 1920 i 1922 była więzana przez władze litewskie, w r. 1923 wyjechała do Związku Radzieckiego.

[89] Mickevičius-Kapsukas Vincas (1880 – 1935), litewski działacz komunistyczny, pisarz, publicysta, współzałożyciel KP Litwy, 1918 – 1919 przewodniczący Tymczasowego Rządu Robotniczo-Chłopskiego Litwy I premier Litewsko-Białoruskiej Republiki Radzieckiej.

pt. „Ziemia Łomżyńska”, które wegetuje zresztą słabo i zapewne po wyborach uschnie, wystawił też na wybory własną listę kandydatów (lista nr 15). Związek ten, jako inteligencki, jest formacją na ogół wątłą, bez jakiegokolwiek oparcia o szersze rzesze, bez właściwego podłoża społecznego, aczkolwiek ideowo spokrewniony z ludowcami i – w mniejszym stopniu – z PPS. *Leaderami* jego są: adwokat Ludwik Wołodkiewicz, kandydujący do sejmu z listy ludowej (nr 3) na czwartym miejscu i doktor praw Wiktor Supiński, kandydujący z listy nr 15 na pierwszym miejscu (szanse ma bardzo słabe, jak słabe są szanse całej tej listy). Masę tego związku stanowią: młodzież urzędnicza, trochę niewiast spokrewnionych z Ligą Kobiet, wywodzącą się jeszcze z czasów legionowych i nieliczne jednostki z inteligencji zawodowej, względnie ze sfer kupiecko-rzemieślniczych. Sądziłem, że na zebraniu wczorajszym, wobec zbliżających się wyborów, będzie większe ożywienie, niż przed paru tygodniami, gdym był na jednym zebraniu sobotnim związku u wioślarzy. Okazało się jednak, że nastrój był równie senny. Tylko Wołodkiewicz, Supiński, p. Januszkiewiczowa i jeszcze pewien fryzjer zabrali głos i forsowali „dyskusję”. Zebrania sobotnie u wioślarzy mają w opinii miejscowych kół burżuazyjno-endeckich renomę jakichś strasznie czerwonych, omalże nie bolszewickich. Tymczasem w istocie jest to bardzo łagodne towarzystwo. Zresztą podobno zebrania te bywają czasem liczne i gorące. Ja na takie nie natrafiłem. Po zebraniu u wioślarzy wstąpiłem z Wołodkiewiczem na szklaneczkę kawy do restauracji Rembielina, gdzieśmy spotkali jeszcze młodego podoficera hr. Łosia i zasiedzieliśmy się trochę we trójkę. Gdym potem wrócił do domu, to wdałem się w gawędkę z Tramplerem, który jest strasznie przerażony wizją rychłego „przyjścia” bolszewików i na tym tle znerwowany – i przeciągnęliśmy gawędkę do późna w noc.
Za tydzień będzie dzień głosowania. Co też on wyda w okręgu łomżyńskim? Prawica gotuje się wściekle do agitacji. Lewica – nawet ludowcy, którzy są z grup lewicy najsilniejsi – nie rozporządzają takimi narzędziami agitacji. Przede wszystkim, chodzi o fundusze na kampanię wyborczą. Ziemiaństwo w Łomżyńskiem opodatkowało się na ten cel po marce od morga własności. Już to samo wskazuje, czyim interesom ma służyć ewentualne zwycięstwo listy nr 12. „Komitet Narodowy” wydrukował już 300 000 kartek do głosowania z nr 12, które rozsyła do wszystkich obwodów. W każdej wsi endecy mieć będą swego męża zaufania, który będzie pełnił czynności naganiacza: zadaniem jego będzie dopilnować, aby wszyscy upoważnieni do głosowania zostali wyekspediowani do siedziby obwodu; każdego ma on zaopatrzyć w kartkę nr 12, sam zaś wyruszać do głosowania na ostatku. Endecy chcą się zakładać, że zdobędą do 8 mandatów! Może tak dalece nie, ale zwycięstwo ich jest jednak najprawdopodobniejsze. Na listę „narodową” agitują wściekle księża, posługując się do tego nie tylko wpływami osobistymi, ale i amboną. Na tam tle dziś było nawet zajście w Wiznie w kościele. Gdy ksiądz agitował z ambony, jeden z obecnych w kościele, nawet przewodniczący miejscowej komisji wyborczej, przerwał mu, protestując przeciwko agitacji politycznej. Wiem też od podprokuratora Maciejewskiego o takim wypadku, który był wprawdzie nie tu, ale w Warszawie w kościele na Koszykach i którego świadkiem był Maciejewski: ksiądz na kazaniu nawoływał do głosowania na listę „chrześcijańską”, a wreszcie kazał ludziom podnieść prawą rękę i dwa palce do góry i powtórzyć za nim słowa przysięgi o tym, że się będzie na zaleconą listę głosować. Ludowcy są dość popularni u chłopów, ale takimi środkami wpływów i agitacji nie rozporządzają.

20 stycznia, rok 1919, poniedziałek
Dziś odbył się w Łomży pod moim przewodnictwem w sali posiedzeń Rady Miejskiej zjazd przewodniczących miejscowych komisji wyborczych ze wszystkich obwodów

powiatu łomżyńskiego. Stawili się przedstawiciele wszystkich obwodów. Nie zabrakło ani jednego. Rozdałem wszystkim ostemplowane koperty, ustalone ostatecznie spisy wyborców, paczki ogłoszeń z wykazem list kandydatów, nalepki. Odczytałem, komentując szczegółowo, artykuły ordynacji wyborczej, odnoszące się do głosowania i obliczania głosów, udzieliłem jak najbardziej drobiazgowo wszelkich niezbędnych wyjaśnień i instrukcji. Zdaje się, że przebieg zebrania był dobry i że przewodniczący uprzytomnili sobie należycie funkcje, które komisje mają do spełnienia. Zebranie trwało około 3 godzin. Analogiczne zjazdy przewodniczących odbyły się dzisiaj w Kolnie pod przewodnictwem Szwejcera, w Ostrołęce pod przewodnictwem Duszyńskiego i w Mazowiecku pod przewodnictwem Jabłońskiego.
W Głównej Komisji Wyborczej praca stopniowo się zmniejsza. Zmuszony jestem zmniejszać stopniowo personel pracowników, zwalniając tych, którzy później przybyli.

21 stycznia, rok 1919, wtorek
Coraz mniej roboty w Komisji Głównej. Robi się martwo tam, gdzie przed paru dniami kipiała gorączkowa praca. Aby całej roboty nie wyczerpać i móc choćby cząstkę personelu przez cały czas zatrudnić, poleciłem w biurze, aby się moje panie nie spieszyły. Tak przywykły one robić wszystko „balonem", że nie umieją się teraz przystosować do nakazu opieszałości. Jutro muszę znów o trzech pracowników biuro zmniejszyć. Ostatnie dni przed wyborami będą w Komisji Głównej bardzo nudne.
Dziś pod moim przewodnictwem odbyło się zebranie przewodniczących komisji miejscowych miasta Łomży. Poszło ono gładko i trwało krótko, bo przewodniczący z Łomży są to ludzie inteligentni, którzy sami bez pomocy Komisji Głównej orientują się nieźle w swoich zadaniach.
Poza tym – nic szczególnie ciekawego. Upadek ruchu w pracy, po poprzedniej gorączce, działa na mnie zanudzająco. Czuję się jakiś rozklejony.

22 stycznia, rok 1919, środa
Rano, gdym jeszcze był w łóżku, zameldował się do mnie jakiś człowiek w średnim wieku, który, jak się okazało, jest ordynansem Henrysia Wołłowicza, przebywającego po ucieczce z Wilna w Ostrowiu Łomżyńskim. Domyślałem się, że Henryś jest zapewne w Ostrowiu albo Zambrowie, bo wiem, że tam zostali zalokowani rozbitki oddziałów zbrojnych polskich z Wilna jako materiał do tworzącej się tzw. dywizji litewsko-białoruskiej, przeznaczonej na „wyprawę litewską". Nie dalej, jak przed trzema dniami w rozmowie ze Stefusiem Römerem wyrażaliśmy domniemanie, że Henryś siedzi w Ostrowiu lub Zambrowie i lada dzień da z pewnością znać o sobie. Henryś jest w szarży porucznika i jest jakimś tam adiutantem, którym był już w Wilnie w tzw. Samoobronie, tworzonej jeszcze przed paru miesiącami i służącej za płaszczyk do osłony istotnego celu – formacji polskiej siły zbrojnej na Litwie. Biedni dziś tułacze wileńscy z tej niedoszłej armii, wypartej przez bolszewików, obrabowani i obdarci przez Niemców podczas ucieczki z Wilna do Polski, siedzą teraz i czekają na formalne wcielenie ich do wojska polskiego do służby czynnej. Materialnie mają się nienajlepiej. Oficerkowie, jak Henryś, otrzymują po 4 marki dziennie, z czego jeszcze część się potrąca na wikt, pobierany z kuchni żołnierskiej. Henryś w tym strapieniu przysłał do mnie ordynansa swego, również biednego człowieka z Wilna, który był się wciągnął w te szeregi polskie. Przysłał z listem i... prośbą o pieniądze. Tej ostatniej prośby spodziewałem się nieomylnie. Trudno się dziwić biednemu Henrysiowi, trudno wszakże również dziwić się mnie, jeżeli mu pieniędzy dać nie mogę. Nie mam bowiem nic, oprócz mojej pensji i z gotówką jest mi najciężej. Co najwyżej mógłbym mu posłać 50 marek, ale cóż dzisiaj taka kwota znaczy. Tak mu też odpisałem. Zresztą Henryś –

mężczyzna – musi sobie dać i da radę; zresztą ma choć dach nad głową i co do ust włożyć. O wiele bardziej muszę być przygotowany do udzielenia pomocy Ewie i jej koleżance pannie Halinie Zasztowt. Te dwie muszę przygarnąć, jeżeli tylko im ciężko w Warszawie; i nie tylko muszę, ale z wielką chęcią bym to zrobił, aby tylko zechciały przyjechać do Łomży. Coraz więcej tych naszych biednych wiórów sypie się tu z Litwy. Już z moich najbliższych, dla których mam pewne obowiązki opieki, zebrało się tu trzy osoby: Stefuś, Ewa i Henryś. Co do Stefusia, to niech będą dzięki Najwyższemu Bogu, że dostał się on do wojska i że tą drogą spadł mi z barek, bo ten chłopiec był prawdziwą plagą moją. Z tym to już żadnej rady nie było, bo nie tylko żadnej pracy się nie imał i był w ciągłej pogoni za pieniądzem, ale jeszcze był w dodatku pospolitym złodziejaszkiem, który wcześniej czy później skończy na więzieniu. Czy Stefuś jest jeszcze w Łomży – nie wiem. Gdyby jego oddział stąd zabrali, musiałbym się z tego tylko cieszyć, bo miałbym większy spokój i pewność, że mię nie skompromituje i że znów jeszcze na moje barki nie spadnie, bo i tej wojskowości jego nie jestem pewny, a że nic nie wskóram i że nie mam żadnych sposobów i żadnej nadziei na to, aby się on poprawił i abym mógł coś z niego zrobić, o tym już się stokrotnie przekonałem, jak zresztą przekonał on już o tym radykalnie wszystkich, kto tylko miał z nim cokolwiek do czynienia. Żal mi go, bo jest tutaj jak liść oderwany od drzewa, ale na jego charakter rady nie ma. Niech sobie idzie w życie na swój los. Był on u mnie przed trzema dniami; pożyczył pod słowem honoru na jeden dzień parę butów i – więcej się nie pokazał. Buty z pewnością sprzedał i przepił. Były to co prawda jego własne buty, bo przysłane dla niego przez Marynię, nowiutkie, cywilne, ale trzymałem je u siebie, bo wiem, że sprzedałby je natychmiast. Potrafił on to zrobić wybiegiem, pożyczając niby na jeden dzień, pod pozorem potrzeby przerobienia wojskowych. A jak umie podejść, jak umie chytrze i sprytnie całą rozmowę układać tak, aby potem jego prośba wypadła jak najniewinniej. Jest to łotrzyk skończony.

23 stycznia, rok 1919, czwartek
Tylko dwa dni dzielą nas od dnia głosowania. W Głównej Komisji Wyborczej ruch pracy jest dość leniwy w tym stadium wyborów; personel biurowy zmniejszyłem i pozostała tylko elita z najdawniejszych pracowników w osobach panien Heleny Roszkowskiej, Cezarii Kokoszko, Marii Zadarnowskiej, Róży Szapiro i Ziny Altszul, pani Domakowskiej i panów Grygo i Pusłowskiego – razem osiem osób. Miałem jednak na dziś dla nich dosyć roboty.
Natomiast na zewnątrz agitacja zwalczających się partii wre. Najostrzej wyraża się to w plakatach, odezwach i drukach na mieście. Z godziny na godzinę mnożą się afisze i plakaty w większych i mniejszych formatach. Walka ta i agitacja płynie dwoma zupełnie odrębnymi łożyskami i polskimi, i żydowskimi. Żydowskie ogłoszenia i plakaty są drukowane wyłącznie w żargonie czy też w hebrajskim; ani jednego plakatu żydowskiego w języku polskim. Żydzi też nie rozlepiają swoich plakatów na zewnętrznych ścianach ulic, jeno za szybami wystaw sklepowych po sklepach żydowskich, gdzie bardzo często współżyją ze sobą w najlepszej zgodzie sąsiedzkiej plakaty innych – przeciwnych sobie list. To nie wyklucza ostrej skądinąd walki między poszczególnymi partiami żydowskimi na innych terenach kampanii. Najostrzejsza zdaje się być walka u Żydów między listami dziewiątą (syjoniści burżuazyjni i ortodoksi) a szóstą (Paole-Syon): walka ta pogłębia się jeszcze tym, że dziewiątka i szóstka są w pewnym szczególnym stosunku do siebie, wypływającym z techniki rachowania głosów; mianowicie ogłoszono, że przy głosowaniu na listę nr 9 należy po dziewiątce postawić kropkę, w przeciwnym bowiem razie głos będzie zaliczony na szóstkę; tą drogą szóstka może nieraz zyskać głosy, które były naiwnie oddawane na dziewiątkę; to

wytwarza szczególną konkurencję między tymi dwiema listami; trafem wypadło u nas w Łomży, że obie te listy należą do list żydowskich i to takich, które zdaje się najmocniej tu ze sobą konkurują. Przed dwoma dniami w Piątnicy na wiecu Paole-Syonu doszło już do bójki; ortodoksi pobili paole-syonistów. Przed kilku znów dniami w Mazowiecku, gdy paole-syoniści chcieli urządzić wiec, ortodoksi zadenuncjowali, że są to bolszewicy, wskutek czego władze – nielegalnie – nie dopuściły do wiecu. Pełnomocnik listy Paole-Syonu przychodził do mnie na skargę w tej sprawie; skierowałem go do komisarza wyborczego, którym jest obecnie adwokat Czerwiński na miejsce Jankowskiego. Ortodoksi zaś oskarżają paole-syonistów, że ci drukują kartki z szóstką bez punktu i chcą usiłować wtykać je wyborcom-ortodoksom pod pozorem dziewiątki.
Spośród list polskich najostrzejsza walka toczy się między endekami, ludowcami i pepeesowcami. Endecja prześciga się w demagogii. Klei plakaty za plakatami; czego też w nich nie ma! Oczywiście, straszy się Żydami, utożsamia z nimi wszystkich przeciwników, o ludowcach wcale się nie mówi, bo się ich miesza z socjalistami. „Głos oddany na listę nr 12 jest bagnetem wymierzonym przeciwko Żydom i nieprzyjaciołom Ojczyzny" – woła plakat endecki itp. Już nawet w plakatach pisze się o jakichś telegramach do Wilsona, Bóg wie o czym. Wszakże PPS zmobilizowała w Łomży całe gromady młodzieży i robociarzy, które rwą plakaty endeckie i czatują na ich rozklejanie po wszystkich rogach, ku zgorszeniu endeków. Plakaty endeckie i ludowców nadsyłane są wydrukowane z Warszawy z centrali agitacyjnej – dopisuje się na nich jeno numer listy (bo numer jest w każdym okręgu różny). Plakaty ludowców i ppsowców są jednak mniej liczne i urozmaicone od endeckich. Endecy płacą pięknym za nadobne i usiłują zrywać plakaty przeciwników. Toteż już dziś na wieczór zaczęto naklejać plakaty tak wysoko, że z ziemi ręką nie można ich dosięgnąć i zerwać (widziałem tak przyklejone plakaty pepeesowskie). Wszyscy też wzajemnie siebie oskarżają o nadużycia i fałsze i każda partia jest przekonana najgłębiej o sile agitacyjnej przeciwnika. Endecy twierdzą, że nie mogą dorównać agitacji pepeesowców i ludowców, ci zaś ubolewają nad wspaniałą techniką i bogactwem agitacyjnym endeków. Endecy puścili w masę dewocką fałsz o rzekomym płaceniu przez socjalistów po 20 i po 100 marek(!) za głos i nawet sami w to wierzą, choć właśnie ludowcy i socjaliści nic pieniędzy na agitację nie mają.
Po powiatach zaś tymczasem wre kampania wiecowa. Z ramienia endeków rozjeżdżają i wiecują Załuska i Mieczkowski, z ramienia ludowców, demokratów i socjalistów – Wołodkiewicz, Supiński, a zwłaszcza niezmordowany Czarnecki.

24 stycznia, rok 1919, piątek
Przedostatni dzień przed wyborami. W Komisji Głównej roboty niedużo, ale starczyło jeszcze na tych kilka osób, które pozostały jeszcze przy pracy w biurze Komisji. Coraz już mniej liczne jest to nasze biuro. Dziś zwolniłem jeszcze dwie z naszej gwardii pracownic – panny Różę i Zinę, dwie miłe i pracowite, a użyteczne w naszej robocie pracownice, Żydówki. Od jutra pozostaną więc tylko: panny Helena Roszkowska, Cezaria Kokoszko i Maria Zadarnowska, pani Domakowska i panowie staruszek Pawłowski i Grygo; ten ostatni wysłany jest na umyślnego do gminy Wach w powiecie ostrołęckim na Kurpiach i do gminy Zaremby Kościelne w pow. ostrowskim.
Pannie Helenie Roszkowskiej, mojej najlepszej umiłowanej pracownicy, która jest perłą naszego doboru tak z pracy i zasług, jak z charakteru i nawet dla mnie – fizycznego wyglądu – wpisałem dziś na jej prośbę do jej pamiątkowego sztambuchu dziewczęcego dedykację tej treści: „Tej, która pracowitością, sprytem i inicjatywą celowała w pracach Komisji Głównej w Łomży i była biura naszego ozdobą. Tej, w której ręku praca się

pali i płynie „balonem", która umie łączyć szybkość z uwagą, kojarzyć wielką energię czynu z pogodą usposobienia, która jak w pracy swojej umie godzić to, co jest pozornie sprzeczne, co jest symbolem pierwiastka ognia z pierwiastkiem wody, tak w charakterze swoim godzi męskość czynną postanowień z delikatnością kobiecą pogodną i słoneczną – Pannie Helenie Roszkowskiej kreśli to podziękowanie wdzięczny i pełny dla Niej uznania i szacunku przewodniczący Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu Ustawodawczego sędzia Michał Römer, Łomża, 24 I 1919".
Gdybym był młodszy i gdyby nie cała przeszłość moja, która już ciąży na umyśle i sercu moim i życie mi zamyka, mógłbym tę dziewczynę, która jest jeszcze prawie dzieckiem, pokochać. Mam tę świadomość. Trzymam się jednak na wodzy i nie dopuszczam myśli o tym. Umiem się trzymać. Dziś już wolę mam taką, że pewnych uczuć, pomimo wrodzonej wrażliwości, do serca nie dopuszczę nigdy, gdy miejsca dla nich być nie powinno. Miłość mężczyzny w moim wieku i z moją przeszłością do dziewczyny, jak panna Roszkowska, jest, niezależnie od moich szczególnych względów psychicznych, dziwactwem i wybrykiem, który by był niegodny szacunku. Za dumny jestem na taką miłość spóźnioną, toteż jej nie mam, chociaż byłoby dla niej podłoże. Analizuję siebie i stwierdzam, że skazy takiej rzeczywiście nie mam.
Traktuję pannę Helenę ze szczerym uznaniem i z szacunkiem, oczywiście też swobodnie i wesoło, jak w ogóle się nasz cały stosunek ze wszystkimi w biurze ułożył, wyróżniam ją nawet, ale na miarę ścisłą jej zasług, nie zaś mojej sympatii i żadnego nie daję pozoru do jakichś innych osobisto-uczuciowej natury względów. Jestem twardy i sztywny w tym zakresie, a nawet w biurze moim, wobec wielu panien, które tam pracowały lub pracują, potrafiłem się zamknąć w pewien pancerz bez wyłomu, niedostępny zgoła siłom kokieterii. Wesoło u nas i żartobliwie, nawet bywa figlarnie nieraz, ale nigdy ani o włos nasz stosunek z tymi pannami nie wkracza na teren kokieterii osobistej. Pod tym względem, przy całej mojej dużej popularności w biurze wśród tych panien, ani one mnie, ani ja sobie żadnego zarzutu postawić nie mogę.
Przyjechał do Łomży Wiktor Wąsowicz, mój kolega i towarzysz broni z Legionów, obecnie oficer z nominacją do 33 pułku w Łomży. Na razie na kilka dni zamieszkał u mnie.

25 stycznia, rok 1919, sobota
Ostatni dzień przed wyborami. Jutro głosowanie. Zobaczymy, jaki będzie miało przebieg i jaki da wynik. Najmocniej się czują endecy, którzy też rozwinęli najforsowniejszą agitację i rozporządzają najsilniejszymi wpływami, jak zwłaszcza wpływ kleru. Najpoważniejszy atut endeków – to siła inercji, siła bezwładu mas ludowych, szczególnie bezwładu myślowego. Elementów świadomych, które by doszły do przekonania o większej wartości haseł i wytycznych polityki endeckiej, jest w tym obozie, o ile chodzi o masę ludową, najmniej. To, co jest żywsze, samodzielniej myślące i społecznie uświadomione w ludzie, to w żadnym razie nie jest u endeków liczniejsze, niż w obozie ludowców, a raczej wręcz odwrotnie. Wszakże liczebną ich siłę, ich masę, która daje im przewagę nad innymi, stanowi nie ta garstka świadomych i przekonanych, ale bezkrytyczna i niemyśląca tłuszcza, ta, która nic nie rozumie i żadnych przekonań samodzielnych nie posiada, a która jest ślepym i biernym narzędziem kleru i wszelkich innych czynników bezwładu społecznego. Ta oto masa jest właściwą endecji potęgą, ją oto pchnąć do urny; ją podjudzić i na niej wyjechać – to jest właściwe endeckiej kampanii wyborczej zadanie.
Agitacja była dziś nieco łagodniejsza, niż wczoraj w dniu targowym. Nawet plakaty były nieco mniej liczne i mniej pomysłowe. Jutro za to wybuchnie ona z siłą wzmożoną, już w postaci bezpośredniej ustnej agitacji ulicznej. Dziś tylko wśród

Żydów zrobił się na wieczór znaczniejszy ruch, jakieś gdzieś wiece, zbiegowiska, fakelzug[90] uliczny.
Wypisałem już na jutro kartkę dla mojego głosu. Głosuję na listę nr 3 – ludowców. Wąsowicz dziś u mnie nocował i jeszcze przez dni kilka nocować będzie. Jest on już obecnie podporucznikiem, a więc wreszcie oficerem, co mu się słusznie należy. Wąsowicz przesiedział w obozie jeńców w Werl, gdzie byli internowani oficerowie legionowi, którzy odmówili w r. 1917 przysięgi (do Werl Wąsowicz został przeniesiony ze Szczypiorna, gdzie był pierwotnie), aż do października 1918 , to znaczy do czasu, gdy rząd niemiecki Maksa Badeńskiego zwrócił się do Wilsona z prośbą o pośrednictwo pokojowe na zasadzie „14 punktów". Dopiero wtedy ich uwolniono. W tej męce niewoli Wąsowicz był w gronie oficerów jednym z tych nielicznych, którzy konsekwentnie do końca wytrwali wiernie na stanowisku ideowym linii Piłsudskiego. Gdy już ogół internowanych oficerów złamany skapitulował i podał się o przyjęcie do Wehrmachtu, tylko trzech – w ich liczbie Wąsowicz – przeciwstawiło się tej decyzji. Za opór temu postanowieniu i za wyciągnięcie stąd konsekwencji, ci trzej niezłomni piłsudczycy doznali nawet represji ze strony kolegów, którzy zastosowali do nich bojkot towarzyski. Po uwolnieniu Wąsowicz pojechał w strony płockie do swego teścia, który ma tam mająteczek. Podczas rozbrajania Niemców Wąsowicz stanął na czele peowiaków i był potem ich komendantem. Gdy potem wynikł jakiś konflikt lokalny między władzami POW a oficerami wojska („wehrmachtowcami"), Wąsowicz udał się do Warszawy. Tam major Burhardt-Buczacki[91], który obecnie jest w Warszawie szefem sztabu okręgowego, polecił Wąsowiczowi pozostać w wojsku. Obecnie Wąsowicz wraz z kilku oficerami b. Legionów (komendant pułku i dwóch komendantów baonów) przysłany został do Łomży do tutejszego 33 pułku. Przysłano tu umyślnie oficerów legionowych i piłsudczyków zamiast dotychczasowych oficerów-dowborczyków, których stąd zabiorą, bo na skutek nietaktu tych oficerów, którzy umieją się tylko bawić i hulać, a zaniedbują obowiązków i w szczególności nie troszczą się wcale o żołnierzy, rozwinęły się wśród żołnierzy w Łomży Rady Żołnierskie. Gdy żołnierz czuje, że nikt o niego nie dba, gdy nie ma zaufania do oficerów i widzi, że oficer się o wojsko nie troszczy, to się sam o sobie troszczyć zaczyna. Powstają wtedy samorzutne organizacje żołnierskie – Rady, upada dyscyplina i stosunek hierarchiczny i służbowy, żołnierz zaczyna stawiać warunki, zaczyna się uważać za stronę paktującą, a w obecnych warunkach wrzenia rewolucyjnego jest tylko krok jeden drobniutki od Rad do otwartego wypowiedzenia posłuszeństwa i buntu.
Toteż zarządzono bardzo rozumnie zwalczanie rozwoju Rad żołnierskich nie represją, lecz przysłaniem oficerów-piłsudczyków, oficerów ideowców i obywateli, którzy z żołnierzami będą żyli, mieszkali w koszarach, pracowali i wpływali ideowo, zyskując posłuch dobrowolny mocą autorytetu swego, pracy, troski o żołnierza i ideowości własnej.

26 stycznia, rok 1919, niedziela
Dzień głosowania, dzień wyborów poselskich do pierwszej Konstytuanty Respubliki Polskiej! Czy też istotnie Respubliki? Czy w łonie tejże rodzącej się Konstytuanty nie powstaną związki reakcji, która z biegiem czasu, przy dogodnej konstelacji międzynarodowej, zawrócić Polskę może wstecz, w łożysko już nie tylko burżuazyjnej, ale i szlacheckiej dominacji, zwieńczonej koroną królewską? Zdaje się, że tak daleko pójść nie może i że już bądź co bądź zmierzch szlacheckiej Polski jest faktem; ale

[90] Fakelzug – pochód z pochodniami.
[91] Burhardt-Bukacki Stanisław (1890-1942), generał, żołnierz Legionów Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej.

między schyłkiem Polski szlacheckiej a południem Polski ludowej są jeszcze etapy pośrednie Polski burżuazyjnej, od ideałów wolności i humanizmu bardzo dalekiej. Czy ten sfinks wyborów dzisiejszych do Konstytuanty wyłoni i utwierdzi tę Polskę Ludową, którą dziś na ustach mają wszyscy, ale której wyznawcami i rycerzami są jeszcze dalece nie wszyscy?
Dzień głosowania upłynął bardzo spokojnie, uroczyście nawet. Wbrew oczekiwaniom, nie znać było wcale jakiegoś szczególnego roznamiętnienia. Agitacji prawie że nie było. Żadnych wielkich skupień ulicznych, żadnych przemów agitacyjnych, żadnego napastowania głosujących przez agitatorów. Ruch na ulicach był od rana znaczny. Do lokalów wyborczych jedenastu komisji miejscowych miasta Łomży śpieszyli od samego rana wyborcy, tak mężczyźni, jak kobiety. Od godz.8 rano lokale te były już zapełnione; ogonki rosły ciągle. Na ulicach widziało się starców i staruszki, kaleków, inwalidów, prowadzonych pod rękę, śpieszących spełnić obowiązek obywatelski. Endecja i kler wytężyły wszystkie siły, aby jak najliczniej pchnąć bierny tłum do urn. Pchnięto nawet do głosowania żebraczki i żebraków, strasząc, że o ile nie pójdą oddać głosu na dwunastkę, to im się zabroni siedzenia pod kościołem. Koło godz.11 przed południem udałem się do lokalu wyborczego V obwodu, do którego należy litera R i oddałem mój głos na listę nr 3 – ludowców.
Pod wieczór ruch w lokalach wyborczych był coraz słabszy.
Biuro Komisji Głównej było przez cały dzień czynne, ale robota szła bardzo słabo, bo niewiele było do robienia. Na noc wyznaczyliśmy jednego z naszych pracowników, starego p. Pawłowskiego, na dyżur od godz.12 do 3 dla przyjmowania akt głosowania z poszczególnych obwodów miasta Łomży.

27 stycznia, rok 1919, poniedziałek
Rano poszedłem do biura Komisji Głównej i zajrzałem do cyfr obliczenia głosów, które p. Pawłowski spisał w nocy z relacji przewodniczących miejscowych komisji wyborczych miasta Łomży, przyjmując od nich pakiety z aktami głosowania. Uderzył mię od razu w tych cyfrach ogromny triumf endeckiej dwunastki. Na razie mam cyfry tylko z dziewięciu obwodów miasta Łomży (z ogólnej liczby jedenastu obwodów miejskich). Na dwunastkę wypadło głosów dwa tysiące kilkaset. Prawie tyleż – o paręset mniej – wypadło na dziewiątkę żydowską, która jest listą żydowskiej burżuazji – ortodoksów i burżuazyjnych syjonistów. W żydowskich głosach konkuruje dziewiątka z szóstką, która również trzyma się na poziomie dość wysokim, mając przeszło, jeżeli się nie mylę, 1000 głosów. Inne listy żydowskie, jak bundowska dziesiątka, jak czternastka „sejmowców", a zwłaszcza siódemka nacjonalistyczna Pryłuckiego, mają znikome ilości głosów. Co do list chrześcijańskich, to żadna z endecką dwunastką konkurować nie jest w stanie ani w przybliżeniu. Trójka ludowców zdobyła w mieście Łomży (mówię na razie o cyfrach z dziewięciu obwodów) zaledwie kilkadziesiąt głosów; w niektórych obwodach miała nie więcej, jak po cztery głosy. Co do trójki, to nic dziwnego, że w mieście lista ludowa chłopska odbytu mieć nie mogła. Ale ideowym równoważnikiem trójki była dla miasta demokratyczno-inteligencka radykalna piętnastka, zblokowana zresztą związkiem z trójką. Otóż dla nastrojów polityczno-ideowych ludności charakterystyczne jest, że piętnastka zdobyła w Łomży mało co więcej ponad 100 głosów. Na wsi w powiatach piętnastka zupełnie zbankrutuje. Jeżeli tu w Łomży, bądź co bądź w „centrum", nie poparł jej plebs urzędniczy i rzemieślniczy, to już na prowincji nie ma ona żadnych szans. Wyrazem dążeń radykalnych ludowych mogą być tylko takie listy określone programowo, jak ludowa lub PPS-owska, które opierają się na pewnym podłożu klasowym, wyrażają pewne interesy realne społeczne, nie zaś lista demokratyczno-inteligencka, która polega na jałowym radykalizmie

frazesem i jest raczej nastrojem, niż kategorią rozwoju społecznego. Piętnastka mogła zdobywać głosy tylko w mieście, ale tu ich nie zdobyła. Względnie mocniej stoi jedenastka PPS-u, która przecież zdobyła w Łomży około 600 głosów (może się nieco mylę, bo piszę na pamięć). Oczywiście, w okręgu tak wybitnie wiejskim i rolniczym, jak łomżyński, PPS szans uzyskania mandatu nie ma, ale charakterystyczne jest, że przecież w mieście, przy takim napięciu prądów reakcyjnych, wyrażonych w głosach na dwunastkę, zyskała spośród głosów chrześcijańskich aż tyle. Znamienne jest, że procent głosujących był w Łomży i, jak się przekonałem z pierwszych obliczeń. z obwodów wiejskich, bardzo wysoki. Wysokość tego procentu nie odpowiada wprawdzie bynajmniej poziomowi uświadomienia i uobywatelnienia mas, ale jest rezultatem szalonego wysilenia ze strony kleru i sił reakcji, aby pchnąć do urn wszystko, co żyje, a zwłaszcza najciemniejsze elementy i przez nie pokonać czerwone „niebezpieczeństwo wewnętrzne", które wydawało się im snadź groźniejsze, niż było w istocie, o ile chodzi o liczebność zdecydowanych. Od rana zaczęto zwozić do Komisji Głównej akta głosowania z różnych komisji miejscowych, wpierw powiatów bliższych, a potem i dalszych. Na razie prosiłem delegatów komisji, aby mi podawali cyfry rezultatów głosowania, potem już zaniechałem tego, bo już i czasu nie miałem – taki się zrobił tłok znoszonych pakietów. A zresztą wolę z góry nie wiedzieć, bo tym ciekawsze będzie obliczanie. W kancelarii panny Roszkowska i Cezaria Kokoszko przyjmowały, oznaczały i klasyfikowały pakiety, które układały do szaf pod strażą warty zbrojnej. Tylko z 12 obwodów wiejskich (ogólna suma obwodów 204) zanotowałem cyfry. Z cyfr tych jednak widzę, że stanowisko trójki ludowców i na wsi jest bardzo słabe. Tylko w jednej gminie Drozdowo szła ona dobrze, zdobywając w jednym z obwodów tej gminy niemal absolutną przewagę nad dwunastką. Za to w szeregu obwodów wiejskich trójka zdobyła zaledwie od 1 do 4%, a są obwody, gdzie nie ma ani jednego głosu. Zresztą mam informacje jeno z 12 obwodów wiejskich, co jest za mało dla sądzenia. Ale jeżeli z pow. łomżyńskiego trójka szła tak słabo, to cóż dopiero w powiatach tak uwstecznionych, jak mazowiecki i w ogóle dalsze powiaty. Sądząc też z gawęd delegatów komisji, przywożących akta, widzę, że trójka idzie wszędzie słabo. Ba, czyż są wsteczniejsze w Europie kraje, jak klerykalna Polska i klerykalna Hiszpania! Dwunastka ma pewnych 7 mandatów, a prawdopodobnie 8, a może nawet 9, to znaczy wszystkie!

28 stycznia, rok 1919, wtorek
Przez cały dzień w dalszym ciągu napływały z poszczególnych obwodów akty głosowania, zwożone przez delegatów komisji miejscowych pod zbrojną eskortą wojskową lub policji. Nie rozpytywałem przywożących o rezultaty w poszczególnych obwodach. Sami się o tym przekonamy, gdy jutro rozpoczniemy obliczanie. Z rozmów, jakie się zawiązują czasem między delegatami komisji lub gdzieniegdzie z napisów na pakietach, wyziera wciąż ogromne zwycięstwo endeckiej dwunastki. Rzadko tu i ówdzie daje się słyszeć o obwodzie, w którym trójka ludowców miała powodzenie. Za to w szeregu obwodów, jak się daje słyszeć, dwunastka szła niepodzielnie. Jestem bardzo pesymistycznie usposobiony co do szans innych list w naszym okręgu poza dwunastką. Wczoraj podliczałem głosy i robiłem próbne obliczenia podziału mandatów na zasadzie cyfr z 9 obwodów m. Łomży i 12 obwodów pow. łomżyńskiego. Dla dziewiątki żydowskiej wypadły wprawdzie 2 mandaty, ale dla trójki – żadnego. Oczywiście, stosunek liczb może się znacznie w sumowaniu dalszych obwodów zmienić, ale raczej na korzyść dwunastki: w moim obliczeniu próbnym miało przewagę miasto Łomża, stąd też cyfry dla dziewiątki żydowskiej były szczególnie dodatnie; w miarę przybywania cyfr z obwodów wiejskich cyfra dziewiątki w stosunku do list

chrześcijańskich będzie malała, natomiast trójka ludowców wzrastać zbytnio po rozmaitych głuchych gminach głębokiej prowincji nie będzie. Są więc wszelkie dane do przypuszczenia, że kolosalnie rosnąć będzie jedna tylko dwunastka; nie jest nawet wykluczone zdobycie przez nią wszystkich 9 mandatów.
W obozie lewicy – konsternacja wielka. Drżą tam już o jeden jedyny mandat, a liczyli poprzednio na 3-4. Ujawnia się błąd, jaki został popełniony przez ludowców przez to, że odmówili zawarcia związku wyborczego z jedenastką pps-ców. Bali się tego związku, aby nie dać przeciwnikowi z prawicy oręża agitacyjnego do wytykania ludowcom ich braterstwa z socjalistami. Tymczasem prawica, bez względu na brak takiego związku, ciągle się w agitacji przeciwko ludowcom posługiwała argumentem o ich tożsamości z socjalistami. Ludowcy nie ustrzegli się tej broni, wymierzonej przeciwko nim, a tymczasem z głosów PPS, które by mogły być języczkiem u wagi mandatu, już skorzystać nie mogą.

29 stycznia, rok 1919, środa
Dziś rozpoczęliśmy obliczanie głosów w Głównej Komisji Wyborczej. Podług ordynacji wyborczej, posiedzenie Komisji Głównej do obliczania głosów winno być zwołane najpóźniej na trzeci dzień po głosowaniu, to znaczy dziś. Jest to posiedzenie uroczyste i formalne, na którym, oprócz członków Komisji Głównej, mogą być obecni pełnomocnicy grup, to znaczy list kandydatów. Na posiedzenie to magistrat udzielił nam sali posiedzeń Rady Miejskiej. Posiedzenie było pierwotnie wyznaczone na godz.10 rano, ale że znoszenie pakietów z poszczególnych obwodów do sali i usegregowanie ich zajęło dużo czasu i że jeszcze przed obiadem wpływały akty głosowania z niektórych późniących się obwodów, więc odroczyliśmy posiedzenie na godz. 3 po południu. Zebrał się komplet uroczysty członków Głównej Komisji Wyborczej oraz szereg pełnomocników grup wyborców, którymi są zazwyczaj *leaderzy* lokalni poszczególnych partii, a więc: z ramienia dwunastki *leader* endeków w Łomży, były kilkakrotny poseł do Dumy, Mieczysław-Tadeusz Skarzyński, od dziewiątki ludowców prezes PSL okręgu łomżyńskiego Stolnicki, od jedenastki PPS-u dr Mieczysław Czarnecki, adwokat Wołodkiewicz od piętnastki, młody Ostrołęczanin Choromański od ostrołęckiej listy Glinki nr 8, zblokowanej z dwunastką, od dziewiątki żydowskiej – dr Piątnicki, od szóstki Paole-Syonu p. Firer i jeszcze paru pełnomocników pomniejszych list żydowskich. Do pomocy technicznej w pracy wziąłem na posiedzenie Komisji Głównej dwie moje najlepsze pracownice – gwiazdy i perły dzielności – pannę Helenę Roszkowską i p. Cezarię Kokoszko oraz pana Grygo. Rozpoczęliśmy obliczanie od miasta Łomży. Dla nikogo już nie było niespodzianką, że dwunastka jest górą. Chodziło tylko o to czy także i inne listy, a właściwie już tylko dziewiątka i trójka, bo te jedne miały szanse, coś wprowadzić zdołają. Obliczyliśmy dziś miasto Łomżę i powiat łomżyński. W kilku obwodach pow. łomżyńskiego, ale tylko w kilku, w pierwszym rzędzie w gminie Rożejewo, w mieście Woźnie, w gminie Drozdowo, poniekąd w gm. Szumowo, trójka szła bardzo wysoko, bijąc nawet gdzieniegdzie dwunastkę. Za to nie brak było i takich obwodów, gdzie trójka nie miała nic albo prawie nic.
Bądź co bądź, gdy mi potem p. Helena podliczyła cyfry głosowania dla m. Łomży i pow. łomżyńskiego, trójka stoi dość mocno; oczywiście o więcej niż jednym dla niej mandacie mowy nie ma, ale ten jeden mandat ma wysoko, bo przypada na nią piąty mandat. Dziewiątka żydowska stoi niżej od trójki; wypada na nią mandat siódmy. Trójka ma więc na razie zapas i może trochę stracić bez wielkiego niebezpieczeństwa, ale bo też wątpię, czy dalsze powiaty dodadzą jej tyle, ile dał łomżyński.

Nadchodzą przez gazety wieści o wynikach głosowania w różnych okręgach Polski. Na ogół endecy dość dużo zwyciężyli, ale nie tak bezwzględnie. W Warszawie zwyciężyli przeważnie, zdobywając 11 mandatów (dwa mandaty PPS, trzy – Żydzi). Na północy Królestwa zwyciężyli przeważnie endecy, na południu – ludowcy, w Galicji nadspodziewanie – socjaliści. W ogóle w wyborach tych przechodzili albo endecy, albo ludowcy, albo PPS, nikt inny.

30 stycznia, rok 1919, czwartek
Dziś w dalszym ciągu dokonywaliśmy obliczania głosów. Skończyliśmy powiat szczuczyński, obliczyliśmy cały kolneński i na wieczór zaczęliśmy ostrołęcki. Wszędzie dwunastka endecka szła z ogromną przewagą nad innymi listami. Powiat szczuczyński dał dla trójki ludowców rezultaty bardzo słabe. Zaledwie w kilku gminach trójka uzyskała nieco większe cyfry, w wielu zaś obwodach nie było na nią wcale głosów. Charakterystyczne jest, że lista ludowców tam ma większy popyt, gdzie są większe dwory; tam bowiem są jaskrawiej zarysowane antagonizmy klasowe. Natomiast w obwodach o ludności czysto włościańskiej lub drobnoszlacheckiej trójka nie ma wcale popytu. Przy obliczaniu głosów ujawnia się ciągle straszne zaniedbanie agitacji ludowców. Kartki na dwunastkę są zawsze drukowane – do każdego obwodu były dostarczone. Natomiast na trójkę prawie nigdy kartek drukowanych nie było, ciągle się spotyka kartki na trójkę wyłącznie pisane ręcznie. Oczywiście, że masa chłopska, która się słabo politycznie orientuje, będzie zawsze skłonniejsza do podawania kartek gotowych drukowanych, szczególnie przy tak forsownym ze wszech stron reklamowaniu dwunastki, niż do wysiłku dokonania samodzielnego wyboru list i własnoręcznego wypisania kartki. Toteż głosy, które padają na trójkę, są głosami uświadomionych, a tych jest oczywiście znaczna mniejszość. I gdy z poszczególnych obwodów na dwunastkę głosy przybywają setkami albo nawet tysiącami, na trójkę padają zaledwie pojedyncze, rzadko – dziesiątki, a gdy padnie głosów setka lub więcej, to tylko tam, gdzie jest wyjątkowo jakieś mocne ognisko ludowców. W powiecie szczuczyńskim trójka, która w pow. łomżyńskim trzymała się ze swym jedynym mandatem dość wysoko, bo na piątym miejscu, spadła znacznie, ale się jeszcze na poziomie mandatu utrzymała. Na następnym wszakże z kolei powiecie – kolnińskim – trójka zbankrutowała. Powiat kolneński, który uważano za dość mocny dla ludowców, okazał się dla niej zabójczym. Szczególnie w gminach puszczańskich, na Kurpiach, trójka nie szła wcale. Gminy Czerwone, Turośl, Łyse, Gawrychy – dawały same dwunastki; nawet w tym jednym obwodzie gm. Łyse, gdzie ma siedzibę kandydat na posła z listy nr 3. Na Kurpiach, gdzie nie ma dworów i gdzie się nie wyczuwają antagonizmy klasowe, akcja ludowców samorzutnie gruntu nie znajduje. Tylko w gminach Jedwabne i Przytuły trójka szła nieco lepiej. Na ogół wszakże pow. kolneński był dla niej gorszy nawet od szczuczyńskiego. Podobno lepszy jest dla niej pow. ostrołęcki. Zobaczymy. Żydowska dziewiątka trzyma się dość mocno.
Dziś raniutko, gdym jeszcze spał, wpadła do mnie... Ewa Römerówna, moja siostrzenica, która przyjechała w nocy z Warszawy. Ewa zamieszka teraz ze mną w Łomży. Uniwersytet Warszawski jest zamknięty, do Wilna do matki wrócić nie może. Cieszę się z jej przyjazdu. Będzie nam we dwoje weselej. Poszukamy sobie mieszkanka z kuchenką, aby prowadzić własną gospodareczkę.

31 stycznia, rok 1919, piątek
Trzeci dzień obliczamy głosy i jeszcześmy nie zakończyli. Bo też roboty jest dużo. Musimy otworzyć i sprawdzić każdego pakietu ze wszystkich 204 obwodów głosowania, odczytać protokół każdej komisji, skontrolować unieważnienie

poszczególnych głosów przez komisje miejscowe itp. Zdawało się nam, że jednego dnia wystarczy na całą tę robotę, tymczasem omyliliśmy się grubo. Właściwie mogliśmy śmiało rozpocząć tę pracę od poniedziałku, zaraz nazajutrz po głosowaniu, myśmy jednak wyznaczyli ją na środę, aby dać czas poszczególnym komisjom do środy na dostarczenie akt. Teraz Warszawa już się niecierpliwi i szturmuje nas, abyśmy podawali prędzej wyniki, bo inne okręgi już ukończyły lub kończą, podczas gdy od nas nie ma żadnej wieści. W odpowiedzi zadepeszowałem do Warszawy, że obliczania jeszcze nie ukończono, ale że niewątpliwym jest wybór siedmiu posłów z listy nr 12 Narodowego Komitetu Wyborczego i jednego posła z listy nr 9 Narodowego Komitetu Żydowskiego, dziewiąty zaś mandat chwieje się między listą nr 12 a listą nr 3 ludowców. Tak bowiem jest w istocie. Trudno też nam o szybkie obliczanie, gdy ciągle jest brak kworum do funkcjonowania komisji. Dziś oto na przykład posiedzenie było wyznaczone na godz.10 rano, ale oto przyszło wprawdzie trzech członków komisji, lecz tylko po to, aby oznajmić, że nie mogą być obecni. Wobec tego, musieliśmy odroczyć posiedzenie na godz. 3 po południu. Sama robota obliczania głosów jest bardzo miła i ciekawa, pełna nieraz niespodzianek lub wcale zabawnych urozmaiceń. Protokoły poszczególnych obwodów dostarczają nam nieraz okazji do śmiechu, a pomysły i koncepty praktyki wyborczej w niektórych obwodach, aczkolwiek ze stanowiska prawa formalnego zawierają pogwałcenie legalizmu, tchną nieraz naiwnym humorem, szczerze nas bawiącym. Na posiedzeniach też naszych nie było nigdy oschłego tonu uroczystej formalistyki biurokratycznej, jeno zawsze nastrój wesołej pracy, pełnej swobody i werwy, zaprawiony fantazją i towarzyskością zespołu. Zarówno ze względu na samą pracę, budzącą zainteresowanie zmiennością ujawnianych wyników, jak na tę atmosferę towarzyską, która charakteryzuje nasze posiedzenia, wszyscy uczestnicy tych posiedzeń z przyjemnością spędzają czas na nich. Szczególnie panny Roszkowska i Kokoszko mile uczęszczają na te sesje, same też nam je opromieniając. Wesoło patrzeć, jak te dzielne dziewczęta pracują, a panna Helena jest po prostu wspaniała w sprężystości i zmyślności, z jaką wykonuje wszystko. Siedzi ona pod ręką moją jak doskonały rasowy koń, kierowany ręką jeźdźca i tak też, jak ten koń, jest podatna i celująca w robocie, pojętna i uległa woli, a razem pełna fantazji i temperamentu. Kocham takie narzędzie pracy, szczególnie że jest żywe. Przez tę jej fantazję i temperament działa mój czyn w jej pracy mechanicznej, tak jak przez grę fortepianu gra właściwie muzyk. A cóż dopiero, gdy ten fortepian jest instrumentem żywym!
Dokończyliśmy dziś powiat ostrołęcki i późnym wieczorem rozpoczęliśmy mazowiecki. Powiat ostrołęcki był na ogół dla listy ludowców niezły. Szczególnie południowa część powiatu dawała dla trójki dobre wyniki głosowania. Było kilka gmin – w pierwszym zaś rzędzie gmina Goworowo – w których trójka miała stanowisko doskonałe, lepsze nawet od dwunastki. Ale za to północna część powiatu, na Puszczy Kurpiowskiej, była dla trójki tak fatalna, jak na Kurpiach pow. kolneńskiego. Najgłębsze gminy Kurpiów – Myszyniec i Wach – dawały wyłącznie dwunastkę albo zblokowaną z dwunastką listę specjalnie ostrołęcką – ósemkę – listy skrajnie prawicowe Glinki. W tych najciemniejszych i najgłuchszych zakątkach Kurpiów procent głosujących był olbrzymi, gdzieniegdzie wyczerpywał ilość uprawnionych do głosowania. W ogóle ciekawe jest zjawisko ogólne w naszym okręgu, że im bardziej jednolite były w którymś obwodzie wyniki głosowania, tym wyższy był procent głosujących. W obwodach, w których toczyła się walka między trójką a dwunastką, procent głosujących był niższy, natomiast wzrastał tam, gdzie wszystkie głosy padały na dwunastkę, choć zdawałoby się, że tam roznamiętnienie musiałoby być najmniejsze. Że w Wachu i Myszyńcu wszystkie głosy padały na dwunastkę lub ósemkę – nic dziwnego, bo jak stwierdził nasz pracownik Grygo, który tam w przededniu głosowania jeździł, komisja miejscowa, wbrew prawu

sama rozdawała przy głosowaniu kartki wyborcom i to wyłącznie kartki z wypisaną ósemką lub dwunastką. O innych listach tamtejsi wyborcy z pewnością nic nawet nie wiedzieli albo też sądzili, że te są żydowskie. Jeden z obwodów gminy Wach dużo nam dziś zajął czasu i pracy, bo przysłał głosy nieobliczone, tak że musieliśmy je sami obliczać. To samo zrobił jeden z obwodów gm. myszynieckiej, z tą jeno różnicą, że wszystkie koperty z głosami oznaczył nazwiskami głosujących, wobec czego wszystkie te głosy musieliśmy unieważnić ze względu na pogwałcenie tajności głosowania.

1 lutego, rok 1919, sobota
Dziś zakończyliśmy wreszcie obliczanie głosów i ustaliliśmy wynik wyborów oraz podział mandatów poselskich z trzecigo okręgu wyborczego, obejmującego powiaty łomżyński, szczuczyński, kolneński i ostrołęcki, w.-mazowiecki i ostrowski. Wynik był niezupełnie taki, jakiego się w ostatnich dniach i jeszcze dziś rano spodziewałem. Ale nie uprzedzajmy faktów.
Wczoraj na pow. ostrołęckim trójka ludowców, która już była pogrzebana przez pow. kolneński, o tyle się podniosła, że do mandatu sięgnęła. Kilka gmin pow. ostrołęckiego sypnęło jej naraz tyle głosów, że nie zdołały jej pogrzebać dalsze gminy tegoż powiatu, jak puszczańskie gminy Wach i Myszyniec, które jej ani jednego głosu nie dawały. Po zakończeniu więc pow. ostrołęckiego trójka trzymała się na poziomie mandatu, ale na samym koniuszku, na dziewiątym mandacie, u samej granicy dzielnika, poza którym już mandatu nie ma. Pozostawały jeszcze do obliczenia powiaty mazowiecki i ostrowski. O mazowieckim było wiadomo, że jest on dla trójki najgorszy, jest to bowiem powiat drobnoszlachecki, z natury konserwatywny, najodporniejszy na ruch ludowców; poza tym, w powiecie mazowieckim jest najpopularniejszy Włodek, mieszkaniec tegoż powiatu, jeden z kandydatów listy nr 12; popularność Włodka szczególnie tam pogarsza szanse kandydatur ze wszelkich innych konkurencyjnych list. Obliczanie głosów pow. mazowieckiego rozpoczęliśmy wczoraj, a dokończyliśmy dziś. Istotnie, powiat ten okazał się dla ludowców fatalny, gorszy nawet od kolneńskiego. Trójka nie dociągnęła tam nawet do 1 000 głosów, podczas gdy dwunastka miała coś ze 27 000 głosów. Bezpośrednio po powiecie mazowieckim przystąpiliśmy do obliczania ostatniego powiatu – ostrowskiego. Losy trójki zdawały się być ostatecznie przesądzone. Nie miałem już żadnej nadziei na mandat dla niej. Pow. mazowiecki tak zepsuł jej szanse, że trudno było liczyć, aby pow. ostrowski mógł jeszcze poprawić. Chociaż się słyszało, że pow. ostrowski jest dla ludowców pomyślny, to jednak zdawało się, że nic już nie pomoże, bo gdyby nawet dał przeciętnie tyle, ile ostrołęcki lub nawet łomżyński, które były dla trójki najlepsze, nic by nie pomogło. W toku obliczania głosów z pow. ostrowskiego dr Czarnecki, pełnomocnik listy PPS-owskiej, człowiek, który bardzo uważnie notował wyniki głosowania i z wielką pilnością, jak prawdziwy polityk, badał przez cały ciąg obliczania konstelacje sił partyjnych w różnych miejscowościach, zauważył, że nie tylko trójka ludowców, ale i dziewiątka żydowska wypadła już z poziomu mandatów. Była to dla mnie niespodzianka, bom dla dziewiątki był mandatu zupełnie pewny. I oto stała się rzecz taka. Powiat ostrowski okazał się istotnie dla trójki błogosławiony. Zarówno samo miasto Ostrów, jak obwody wiejskie sypały jeden za drugim głosy na trójkę. Rychło trójka podniosła się do poziomu mandatu i ostatecznie zdobyła głosów nawet o parę tysięcy wyżej ponad dzielnik. Około 1/3 części głosów chrześcijańskich z pow. ostrowskiego padło na trójkę, podczas gdy w pow. łomżyńskim zdobyła ona zaledwie około 1/5 części (w mazowieckim – około 1/28). Natomiast dla dziewiątki żydowskiej pow. ostrowski okazał się bardzo złym: nie tylko się nie podniosła na nim, ale jeszcze spadła i ostatecznie zabrakło jej 600 głosów do dzielnika. Że Żydzi pozostaną w okręgu łomżyńskim bez mandatu – to

było dla wszystkich, jak również dla nich samych, niespodzianką. Jest to krzywda dla nich, ale cóż robić. Taka jest wymowa cyfr. Wpłynęło na to rozstrzelenie głosów żydowskich między pięć list, ale jeszcze bardziej – niezwykła frekwencja wyborców, która w obwodach wiejskich wynosiła 80 i 85, a nawet czasem do 100% uprawnionych do głosowania. Rozstrzelenie głosów żydowskich w istocie nie było zbyt wielkie. Podczas gdy dziewiątka ortodoksów i syjonistów zdobyła 17 300 głosów, to tylko jedna szóstka Paole-Syonu zdobyła pewną ilość głosów, ale i to zaledwie 2 tysiące kilkaset, a trzy pozostałe listy żydowskie (Przyłuckiego, Bundu i syjonistów-socjalistów) jeno po kilkaset. Biedni pełnomocnicy list żydowskich byli bardzo strapieni i przygnębieni tą stratą mandatu.

2 lutego, rok 1919, niedziela
Przez cały dzień dzisiejszy wypisywały się w biurze Głównej Komisji Wyborczej pod kierunkiem p. Szwejcera protokoły obliczania głosów i urzędowe odpisy tychże. Sprawdzanie pedantyczne brulionów, ustalanie drobiazgowych cyfr, niezbędne dla ścisłości całkowitych protokołów, wymagało bardzo wytężonej całodziennej pracy personelu biurowego. Wszystko to musiało być dziś wykończone, ponieważ jutro rano wiozę do Warszawy protokoły wraz z całkowitymi aktami głosowania z 204 obwodów okręgu łomżyńskiego w czterech dużych skrzyniach.
Wyniki wyborów w naszym okręgu nie są politycznie różowe. Włożyłem w nie dużo pracy osobistej, a plon dał zwycięstwo prawicy. Nie o takim rezultacie bym marzył, nie takiego bym pragnął, aby mieć moją pracę wynagrodzoną i zyskać całkowitą satysfakcję moralną. Chociaż lista kandydatów nr 12 nie jest czystą i klasyczną endecją, to jednak jest to przecież w stosunkach dzisiejszych reakcja i kontrrewolucja. Wśród posłów, którzy zyskali u nas mandaty z listy nr 12, jest paru nawet wcale dobrych, jak w pierwszym rzędzie Stanisław Włodek, który choć jest, o ile wiem, endekiem, jednak jest człowiekiem nie tylko rozumnym i uczciwym, lecz przede wszystkim dzielnym obywatelem, znakomitym działaczem społecznym, osobnikiem, któremu nie tyle chodzi o spekulację polityczną, ile o realną pracę i realne dobro społeczne, jak je on pojmuje; taki człowiek, choćby był endekiem, może być dodatnim; głowa otwarta i dzielne serce obywatelskie, ceniące czyn społeczny – to są kwalifikacje dobre bez względu na zabarwienie polityczne, o ile człowiek nie jest specjalnie spekulantem partyjnym tak przewrotnego stronnictwa, jak Narodowa Demokracja, będąca w stosunkach polskich prawdziwą mafią. Inny znów poseł z tejże listy, gospodarz Michał Ostrowski, zdaje się być również, o ile słyszałem o nim, typem społecznie dodatnim, który specjalnie stać się narzędziem i pionkiem reakcji nie myśli. Ostrowski był dawniej bliski PPS-u, szukał też w ostatnich czasach kontaktu z ludowcami PSL (Polskie Stronnictwo Ludowe), a że z nimi ostatecznie nie poszedł, to, zdaje się, dlatego, że PSL było dlań trochę za radykalne. Ma to być chłop uspołeczniony, niegłupi, który, przypuszczam, niekoniecznie pójdzie ślepo na pasku reakcji i spekulacji politycznej endeckiej, a znajdzie w Sejmie kontakt z umiarkowanymi skrzydłami partii ludowych (tzw. Zjednoczenie Ludowe[92], względnie ludowcy galicyjscy z obozu „Piasta"[93]). Tak o nim przynajmniej sądzę z tego, co słyszę. Co przedstawiają ze siebie inni posłowie chłopscy lub rzemieślnicy z listy nr 12 – tego nie wiem i to jest zagadką jeszcze. Z pewnością menerzy endecji nie zaniedbują starań i wysiłków, aby tych posłów, zwłaszcza mało uświadomionych, otoczyć szczególną kuratelą i izolować starannie od wpływów

---

[92] Polskie Zjednoczenie Ludowe, zachowawcze ugrupowanie polityczne, powstałe w 1918 po wyjściu ze Zjednoczenia Ludowego części członków.
[93] Polskie Stronnictwo Ludowe "Piast" powstałe w 1913 w Galicji; w 1918 połączyło się z częścią Zjednoczenia Ludowego, rozszerzając działalność na ziemie byłego zaboru rosyjskiego.

„obcych”, aby z nich urobić uległych pupilów partii, wiernych i biernych sług reakcji, frazesu nacjonalistycznego i klerykalizmu. Czy im się to uda – zobaczymy. Siłą odporną tych posłów jest to, że właściwie lista nr 12 ułożona została nie organizacyjnym trybem partyjnym, jeno w drodze szerokiego bezpartyjnego zjazdu przedwyborczego, na który się zjechali mężowie zaufania gmin; chociaż ci mężowie zaufania byli delegowani pod kuratelą kleru i czynników wstecznych, ze starannym pilnowaniem, aby się na zjazd nie dostały elementy „wywrotowe”, to przecież bezpartyjny ludowy charakter kształtowania listy nr 12 zaważył na ustaleniu kandydatur i obecnie kandydaci ci, wybrani już na posłów, mogą w tym elemencie znaleźć źródło swej niezależności od endecji. Czy to wyczują, czy zechcą i zdołają tę niezależność utrzymać, względnie uniknąć sieci partyjnych, które się na nich zastawia, pokaże przyszłość. Charakterystyczne jest, że przy układaniu listy nr 12 pominięci zostali najwybitniejsi lokalni partyjni menerzy endecji, jak przede wszystkim *leader* Mieczysław Skarzyński, wódz endecji łomżyńskiej, stały z jej ramienia poseł do Dumy. Pominięto też wszystkie ziemiańskie filary endecji. Ze strony mas, które wpływały na ułożenie listy nr 12, szły prądy forsowania przede wszystkim żywiołów demokratycznych – z chłopów, rzemieślników, z drobnej własności i to szczególnie ludzi bezpartyjnych. Endecja, nie znając swych sił, nie czując się pewna wobec prądów demokratycznych, które zawsze w dobie rewolucji wieją w społeczeństwie nawet w odłamach umiarkowanych, bała się forsować swoich ludzi wyraźnie partyjnych i stała co do ustalenia kandydatur na uboczu. Dziś, gdy się po wyborach przekonała, jak mocną była lista urzędowo „narodowa” i jak dalece zwycięstwo to zawdzięcza ona nie tyle odpowiedniemu uświadomieniu mas, ile bierności ogółu głosujących, powolnej rozkazom kleru i owczemu pędowi do urny, żałuje pewno, że tak mało swoich ludzi przeforsowała. Bo choćby na zaostrzeniu zabarwienia partyjnego straciła z kilka tysięcy głosów, to i tak zwycięstwo miałaby zupełne, identyczne do obecnego. Wszakże, chociaż ta obecna lista dwunasta nie jest klasycznie endecka, to jednak są w niej dwa bardzo jadowite żądła endeckie w osobach posłów Załuskiego i ks. Lutosławskiego. Ci dwaj – to filary reakcji tak społecznej, jak politycznej.
Cieszę się, że przynajmniej choć jednego dał nasz okręg posła z listy innej – mianowicie gospodarza Franciszka Szymańskiego z Bronowa, wójta gm. Bożejewo, dzielnego i uspołecznionego chłopa-ludowca. Choć to mam na pociechę, bo już się bałem, że wyjdą z urny sami endecy, w najlepszym razie uzupełnieni przez jednego Żyda, ale nieosobliwego, bo także z prawicy żydowskiej, która chociaż jest od prawicy rządzącego narodu z konieczności liberalniejsza, to przecież nie przestaje być z natury swojej prawicą.

3 lutego, rok 1919, poniedziałek
Rannym pociągiem o godz.7 ½ wyjechałem do Warszawy. Ze mną wyjechał urzędnik Głównej Komisji Wyborczej p. Grygo. On się zajął ekspedycją pak z aktami głosowania i w ogóle całą techniką naszej podróży.
Od czasu objęcia kolei przez zarząd polski ustanowiony został pociąg bezpośredniej komunikacji między Łomżą a Warszawą przez Ostrołękę, Wyszków, Tłuszcz. O godz. 9 przyjechaliśmy do Warszawy. Tam wynajęliśmy dwóch ludzi z platformą ręczną, na której przewieźli oni paki z Dworca Wiedeńskiego na Plac Krasińskich do Pałacu Rzeczypospolitej do Sądu Najwyższego. Dziś jeno złożyliśmy tam te paki, jutro zaś zdamy je formalnie.
Nikogo w Warszawie dziś nie widziałem, bo po odwiezieniu pak i spożyciu kolacji byłem do wieczora zajęty z p. Grygo w hotelu sprawdzaniem urzędowego odpisu z naszych protokołów z oryginałami. Takeśmy się wczoraj w Łomży śpieszyli, aby na

dziś zdążyć wyjechać z pakami, że wszystkiego wczoraj dokładnie w kancelarii nie wykończono.

4 lutego, rok 1919, wtorek
Wstaliśmy z p. Grygo wcześnie i zaraz po śniadaniu zabraliśmy się do dalszej roboty sprawdzania odpisów protokołu naszej Komisji Głównej z oryginałami. Po ukończeniu tej roboty udałem się do prezesa Sądu Najwyższego p. Srzednickiego[94] , któremu doręczyłem oryginały protokołów i otrzymałem pokwitowanie z odbioru tychże oraz czterech pak z aktami głosowania, dostarczonymi wczoraj. Od prezesa Sądu Najwyższego udałem się do generalnego komisarza wyborczego, którym jest prezes Sądu Apelacyjnego Sobolewski. Sobolewski, człowiek jeszcze młody, robiący wrażenie sprężystego, pełnego energii, rozpytywał mię dość szczegółowo o działalności naszej Komisji Głównej, o przebiegu wyborów w okręgu łomżyńskim, o ewentualnych niedokładnościach w funkcjonowaniu komisji miejscowych podczas głosowania itd. Sobolewskiemu doręczyłem także dla oddania naczelnikowi kancelarii Sejmu uwierzytelniony odpis protokołów.
W rozmowie z Sobolewskim, a jeszcze bardziej ze Srzednickim wyczułem nastroje, nurtujące sfery wyższej magistratury, a zapewne i w ogóle opinii publicznej kół najświatlejszych w oczekiwaniu Sejmu. Nie ma tam zupełnego uspokojenia, całkowitej pewności, że oto skończy się wreszcie teraz stan rozprzężenia, chaosu, gwałtownych walk partyjnych i usiłowań przesądzenia rozwoju wypadków w młodym państwie polskim faktami dokonanymi i że oto wreszcie w tym Sejmie Ustawodawczym rozwój państwowości polskiej w tych ciężkich okolicznościach znajdzie jakieś łożysko stateczne, mocne, głębokie, usuwające niebezpieczeństwo wylewów gwałtownych, gry fantastycznej żywiołów skrajnych itp. Przede wszystkim, Sejm ten nie wyczerpuje całej Polski, nie ogarnia zaboru pruskiego i pogwałconego najazdem czeskim Śląska Cieszyńskiego[95]; jeszcze bardziej zaś wchodzą tu w grę te okoliczności, że Sejm ten w olbrzymiej większości składa się z chłopów, z ludzi nowych, politycznie zupełnie niewyrobionych, niewykształconych i niezaprawionych do zadań państwowych i że zarysowuje się w nim ostro zarówno skrajna prawica, jak skrajna lewica, obie o tendencjach bojowych. W najlepszym nawet razie, gdyby większość tych chłopów, robotników i rzemieślników, tworzących Sejm, składała się z ludzi, obdarzonych dobrymi głowami i naturalną inteligencją wrodzoną, to i w takim razie musieliby się oni dopiero uczyć w Sejmie orientowania się w zagadnieniach państwowych i znajomości stosunków międzynarodowych. W Sejmie więc tym może zapanować chaos, a obrady jego mogą się kształtować na wzór wieców, w których poszczególni mówcy z prawicy i lewicy usiłować będą zagitować posłów na swoją stronę. A że tak prawica, jak lewica usposobione są bojowo i dążą do przeforsowania Sejmu na swoją stronę, chcąc z niego wyrobić narzędzie swojej polityki, więc na tle wiecowego ewentualnie charakteru obrad może się rozwinąć gwałtowna gra namiętności, których kresu i granic przewidzieć niepodobna. Może nawet dochodzić do „mordobicia". Jak słychać przecie, prawica chce rozpoczynać akcję od tak gwałtownych i radykalnych środków, jak wniosek postawienia członków b. rządu Moraczewskiego w stan oskarżenia, a dalej ma takie plany w zanadrzu, jak utrącenie Piłsudskiego, który zresztą z pewnością sam zrezygnuje z władzy naczelnej na ręce Sejmu i dalej pono przeforsowania na czoło państwa

[94] Srzednicki, Prezes Sądu Najwyższego w Warszawie.
[95] Chodzi o konflikt polsko-czeski w styczniu-marcu 1919 r., rozwiązany arbitrażem Ententy 28 07 1919. Skutkiem tego było oddanie terytorium Śląska Cieszyńskiego dla Czechosłowacji.

przywódcy reakcji w Polsce, p. Romana Dmowskiego[96], dla którego Paderewski jest w pojęciu i zamiarach prawicy, zdaje się, tylko podnóżkiem do władzy. Ano zobaczymy, co to będzie w Sejmie. Dużo będzie zresztą zależało od postawy masy posłów chłopskich, którzy może zdołają utworzyć wielkie stateczne centrum ośrodkowe w Sejmie.
Zajęty byłem w Warszawie sprawami urzędowymi tak długo, że nikogo z osobistych znajomych nie widziałem, o godz. 5 zaś po południu wyjechałem i w nocy przybyłem z p. Grygo do Łomży.

5 lutego, rok 1919, środa
Pomimo nocy, spędzonej przeważnie w drodze, nie czułem się zmęczony.
Spędziłem dzień w Komisji Głównej. Praca w biurze Komisji Głównej jeszcze trwa, ale jest to już praca schyłkowa, bez tego tempa żywotnego, jakie ją cechowało przed wyborami i jeszcze w tygodniu ubiegłym podczas obliczania głosów. Obecnie Komisja Główna weszła w stadium likwidacyjne, które zawsze tchnie w każdej pracy i w każdej instytucji – melancholią. Żal mi mojej Komisji Głównej, a jeszcze bardziej żal tego miłego stosunku spółpracowników, zwłaszcza z niezrównaną pareczką kochanych dziewczynek – p. Lusi Roszkowskiej i p. Cezarii Kokoszko. Ten pogodny i zabarwiony sympatią oraz dowcipem wesołym stosunek upadnie i zginie na zawsze z chwilą, gdy się rozejdziemy z Komisji Głównej. Bo poza tym, cóż mnie z tymi dziewczynami, pełnymi młodości i tryskającego piękna życia, łączyć może! Żal mi tego stosunku, żal.
W przyszłym tygodniu wracam już do sądu. Jeżeli już nadejdzie nominacja Makowskiego z Kolna na sędziego okręgowego (pierwszy nasz kandydat, Wysocki, zrzekł się), to ustalimy zaraz podział funkcji w sądzie. Ja reflektuję na wydział karny, jeżeli tylko Duszyński zdecyduje się przejść do cywilnego. W zasadzie wolę cywilny, ale z pewnych względów w obecnej chwili zapragnąłem pracy w wydziale karnym.
Od paru tygodni jestem mocno przeziębiony. Inny na moim miejscu dawno by się do łóżka położył.
Szukamy z Ewą mieszkanka. Właściwie szuka ona, bo ja jej w tym nic prawie nie pomagam.

6 lutego, rok 1919, czwartek
Już mię dziś prezes chciał zaprząc do pracy w Sądzie Okręgowym. Miałem siedzieć na sesji cywilnej, ponieważ sędzia pokoju Chełstowski, który przez czas mojej delegacji do Komisji Głównej zazwyczaj brał udział w sesjach cywilnych Sądu Okręgowego, miał wyjechać na pogrzeb ojca. Już nawet rano poszedłem do sądu, ale okazało się, że sędzia Chełstowski nie wyjechał, wobec czego zostałem zwolniony. W przyszłym tygodniu rozpocznę już, zdaje się, regularną pracę w sądzie.
Wszystko ma swój koniec. Nastaje też koniec Komisji Głównej.
Odbyło się dziś posiedzenie tej Komisji, jedno z ostatnich, poświęcone głównie likwidacji rachunków komisji miejscowych. Omawialiśmy też na nim jeden protest na wybory, który wpłynął za pośrednictwem dr Czarneckiego i parę skarg na czynności komisji miejscowych; skargi te cech protestu nie mają, toteż kierujemy je do okręgowego komisarza wyborczego p. Czerwińskiego. Co do protestu, to jest on uzasadniony, ale wielkiego znaczenia mieć nie może, ponieważ dotyczy tylko jednego obwodu głosowania i ewentualne zarządzenie ponownego głosowania w tym obwodzie

---

[96] Dmowski Roman (1864-1939), działacz polityczny, publicysta, współzałożyciel i przywódca Ligi Narodowej, Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego, jeden z głównych ideologów nacjonalizmu polskiego, poseł do Dumy Państwowej Rosji, prezes Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, poseł na sejm.

żadnego wpływu na ogólny wynik wyborów mieć nie może. Bardzo prawdopodobne jest, że wpłynie jeszcze protest od grupy wyborców Żydów listy nr 9 w stosunku do unieważnienia wyborów w tych obwodach, w których w dniu głosowania komisje przyjmowały głosy od osób, nie wpisanych do żadnych spisów wyborców. Obwodów, które dopuściły do tego, było dość dużo, coś z kilkanaście, a że większość ich pomieszała przyjęte nieformalnie głosy z głosami wyborców wpisanych do list, więc błąd ten wszedł w obrachunek. Ponieważ zaś dotyczy to obwodów wiejskich, które głosowały na dwunastkę, więc dzięki tej nadwyżce głosów podniósł się dzielnik i gdyby teraz, po ewentualnym zarządzeniu ponownych wyborów, głosy te odpadły, to dzielnik by się obniżył, na czym skorzystałaby dziewiątka, której do obecnego dzielnika brakuje bardzo niedużo.
Szukamy wciąż z Ewą mieszkanka. Jesteśmy na tropie paru mieszkań, ale dużego wyboru nie mamy. Kwestia mebli, których nie mamy, a które są bardzo drogie, da się rozwiązać w drodze wynajęcia.

7 lutego, rok 1919, piątek
Poświęcę dzień dzisiejszy w dzienniku uwagom i spostrzeżeniom co do wyniku wyborów w okręgu łomżyńskim. Nie ulega wątpliwości, że głosowanie stwierdziło, iż masa ludowa w okręgu naszym hołduje tendencjom społecznie zachowawczym. Cokolwiek by się mówiło o presji kleru, o zużyciu olbrzymiej energii środków przez czynniki wsteczne na pokierowanie masą wyborców, o niedokładnościach i nadużyciach lokalnych, popełnionych bądź w agitacji prawicy, bądź przez miejscowe komisje wyborcze, o zbałamuceniu opinii publicznej przez etykietę „narodową” zwycięskiej listy zachowawczej, słowem – o tych wszystkich wpływach i środkach, które mogły sfałszować wolę wyborców i zmienić wynik głosowania – to przecież w istocie fakt pozostaje faktem. Jak to wykażę dokładnie w artykule sprawozdawczym, który mam opracować do druku dla „Ziemi Łomżyńskiej” – usunięcie tych wszystkich sztuczek, presji i wszelkich sposobów, które mogły sfałszować wolę wyborców i zabagnić wyraz swobodnej ich woli w kierunku pożądanym dla prawicy, mogłoby w najlepszym razie przysporzyć liście ludowców drugi mandat, co dałoby prądom radykalnym, prądom świadomym reformy społecznej najwyżej dwa mandaty na dziewięć i, licząc ewentualnie jeszcze jeden mandat na Żydów, zachowałoby jeszcze co najmniej 6 mandatów na listę zachowawczą. Zwycięstwo prawicy jeszcze i w tym wypadku byłoby więc ogromne. Nieprawdopodobnym jest zgoła domniemanie trzech mandatów dla ludowców PSL lub choćby 1 mandatu dla PPS. Ujawnione stosunki cyfrowe głosów nie uprawniają zgoła do tak daleko idących domniemań i ewentualnych poprawek. Pozostaje więc fakt niewątpliwy, że masa wyborców okręgu łomżyńskiego dała wyraz nastrojom i tendencjom zachowawczym, głosując na związek zachowawczych list nr 12-8-13. Oczywistą jest bowiem rzeczą, że cechą, która charakteryzowała te listy, była nie jakaś cecha rzekomo „narodowa”, jak to wmawiał patronujący komitet endecki, lecz cecha po prostu społecznie zachowawcza, skierowana nade wszystko do przeciwstawienia się prądom radykalnym, prądom głębokiej reformy społecznej. Niewątpliwie, że nie wszystko, co głosowało na te listy, było świadomie zachowawcze; dużą rolę odegrał tu bezwład społeczny. Bezwład wszakże jest również elementem zachowawczym. Jeżeli wszakże rozejrzymy się szczegółowo i uważnie w statystyce głosowania, to przekonamy się, że okręg łomżyński nie jest pod względem prądów politycznych tak jednolity. Dzieli się on na dwie wyraźne części. Z jednej strony są powiaty mazowiecki, szczuczyński, kolneński i północna kurpiowska część ostrołęckiego, w których listy zachowawcze panowały niepodzielnie, a lista ludowców miała zgoła znikomą ilość głosów, tak że stosunek głosów wypadł taki, że lista

ludowców ani o jednym mandacie marzyć by nie mogła. Pod względem formacji ludnościowej teren ten ogarnia osadnictwo wybitnie drobnoszlacheckie i jednolitą chłopską masę ubogą Kurpiów – lud puszczański. Z drugiej strony powiaty łomżyński i zwłaszcza ostrowski i południowa część ostrołęckiego wykazały dość znaczne napięcie prądów radykalnych, płynących łożyskiem PSL. Stosunek głosów w tej części okręgu zapewniłby ludowcom od 2 do 3 mandatów. W każdym razie, różnica między tymi dwiema częściami ujawniła się bardzo jaskrawie. Ciekawa też rzecz, że procent głosujących w stosunku do uprawnionych był tym wyższy, im bardziej wsteczny był dany obwód. Dotyczy to tak puszczańskich obwodów, jak całych powiatów. Im bardziej jednolicie padały głosy na dwunastkę, tym wyższy był procent głosujących i odwrotnie był on tym niższy, im w którym powiecie lub obwodzie wyższy był odsetek głosów na listę ludowców. W całym okręgu procent głosujących wynosił 81% (bardzo wysoki procent). W szczególności zaś: w pow. kolneńskim, najbardziej w wynikach głosowania zacofanym – 90%; w mazowieckim – 85%; w szczuczyńskim – 81%; w ostrołęckim – 80%; w łomżyńskim – 78% i w ostrowskim – 75%. W tych zaś obwodach, gdzie wszystkie bez wyjątku głosy padły na związek list zachowawczych, był on tak wysoki, że gdzieniegdzie (np. w gm. Wach i Myszyniec i niektórych innych) doszedł aż do przeszło 100%!! – to znaczy, że więcej było głosujących, niż uprawnionych do głosowania!!

8 lutego, rok 1919, sobota

Szukamy wciąż z Ewą mieszkania. Jeszcześmy odpowiedniego nie znaleźli. Jednośmy oglądali śliczne z trzech pokoi z kuchenką, ale gospodarz domu chwilowo wyjechał z Łomży i nie wiadomo, czy będzie mógł je wynająć, bo było ono zajęte pod kwaterunek wojskowy. Inne, któreśmy widzieli, mają zawsze tę lub inną wadę, która nas zraża. Obecnie szukać będziemy już nie tylko sami, ale także za pośrednictwem faktora. Wcześniej czy później coś znajdziemy. Tymczasem musimy mieszkać nadal w moim pokoju w mieszkaniu dr-owej Zaleskiej, gdzie nam we dwoje jest niewygodnie; zimno tu jest niemiłosiernie w tym moim pokoju, a dla Ewy jeszcze i z tego względu nieprzyjemnie, że jest pozbawiona gospodareczki, która byłaby dla niej w tej bezczynności największą rozrywką. Ewa otrzymała dziś list od panny Haliny Zasztowt; pracuje ona jeszcze w pociągu sanitarnym, ale ma już dość i wkrótce przestanie; tęskni, że nie może wrócić do Wilna. Gdzie się biedaczka podzieje w Warszawie, samotna, pozbawiona zasiłku z domu? Napiszemy do niej z Ewą, zapraszając do nas do Łomży. Z wielką radością bym przygarnął tę sympatyczną dziewczynę, tak samotną i biedną w tej chwili. Zarówno wzgląd na nią, jak przyjaźń serdeczna dla jej ojca, nakazują mi pragnąć jej przyjazdu i przyjęcia przez nią gościny u mnie. Nie tylko z formalnego obowiązku, ale z serca pragnąłbym tego. Byłoby nam we trójkę jeszcze milej, niż we dwoje z Ewą, a ciężaru nie byłoby w tym dla mnie żadnego.

Mój biedny kolego Zasztowcie! Co wy tam robicie i jak się czujecie w Wilnie za rządów bolszewickich? Jesteście przez reakcyjnych uchodźców okrzyczani za bolszewika, dlatego że bolszewikiem jest dla nich każdy socjalista, zwłaszcza socjalista tak radykalny i szczery, jak wy, nie znający kompromisu i połowiczności w drogach dyktowanych wam przez sumienie i przez wasz instynkt społeczny. Ale ja dobrze pamiętam, jak sceptycznie byliście jeszcze przed dwoma miesiącami do bolszewizmu usposobieni i jak ostro w rozmowie ze mną potępiliście go, może nawet zbyt płytko szacując ten prąd i zbyt pochopnie utożsamiając go z prostym rozpasaniem instynktów. Pomimo tych słów waszych czułem, że jest w waszym wnętrzu sumienia rozterka i męka walki. Potępialiście bolszewizm, ale przecie w drogach waszego działania, świadomie czy bezwiednie, grawitowaliście ku niemu i podążaliście ku jego

wschodowi. Był to może fatalizm rewolucjonizmu waszego, który dostrzegłem zresztą nie u was jednego (pierwsze *exemplum* – Edward Sokołowski). Bo tam sytuacja była taka: albo na torach rewolucji, a wtedy nieuchronną metą – bolszewizm, albo – do szańców kontrrewolucji. Niestety – *tertium non datur*[97]; przynajmniej tak było wtedy. wyście musieli iść po drodze rewolucji. Dokąd zaszliście, przyjacielu, i gdzieście stanęli, jeżeli stanąć zdołaliście?

9 lutego, rok 1919, niedziela
Dziś w biurze Głównej Komisji Wyborczej regularnych zajęć nie było. Moje panny – Roszkowska i p. Cezaria (p. Maria Zadarnowska od wczoraj w ogóle zaprzestała pracy w Komisji Głównej, ponieważ dostała posadę stałą) – poprosiły wczoraj o urlop na niedzielę. Wobec tego zwolniłem na dzień dzisiejszy całą kancelarię (to znaczy prócz tych panien – panią Domakowską i pana Grygo), zatrzymując jeno starego p. Pawłowskiego. Nudno więc i pusto było w naszej kancelarii, ożywionej zwykle weselem młodych dziewcząt.
Pomimo to rano przesiedziałem parę godzin w biurze, zajęty rozpoczęciem artykułu do „Ziemi Łomżyńskiej", omawiającego wnioski polityczne i społeczne z materiałów głosowania w okręgu łomżyńskim co do układu odpowiednich sił i czynników. Artykuł na razie szedł mi dość trudno, jak zwykle przy rozpoczęciu jakiejś pracy, potem wszakże, gdym przyszedł po obiedzie i przesiedział kilka godzin, płynął mi on spod pióra jak wartki strumień. Przeziębiony jestem ciągle od dłuższego czasu, gorączkuję dzisiaj. Może dlatego byłem wieczorem szczególnie usposobiony do pracy literackiej.
Po obiedzie na godz. 2 byłem zaproszony z Ewą na czarną kawę do hrabiostwa Łubieńskich. On jest sędzią pokoju, ona, z domu Sołtanówna, jest wnuczką Sołtana, który się rodził z Römerówny (z jednej z córek Stefana-Jerzego Römera, dziada mojego pradziada). Stąd koligacja daleka. P. Łubieńska, staruszka, jest pełna afektów dla koligacji litewskich, jak prawdziwa córa ziemiańskiej społeczności Litwy starej daty, tworzącej jedną wielką rodzinę społeczną. Zabawiliśmy u staruszków parę godzin na kawie i cukierkach.
Dziś dzień inauguracyjnych uroczystości sejmowych w Warszawie: uroczyste nabożeństwo i raut u Piłsudskiego w Belwederze. Ciekawe, jakim będzie ten Sejm Ustawodawczy Polski, którego oblicze jest dotąd sfinksem dla wszystkich.

10 lutego, rok 1919, poniedziałek
Dziś jeszcze mam stan gorączkowy. Wczoraj wieczorem zmierzyłem temperaturę – miałem 38,7°. Dziś rano miałem 37,7°, więc gorączka nie ustała. Wstałem rano z ciężką głową; szczególnie przy kaszlaniu głowa boli. Oczy też miałem jakieś ciężkie, rwące, jak przy newralgii. Trampler był zgorszony, że i do lekarza się nie udaję, i wstaję z łóżka, ale ja ani tego, ani drugiego nie lubię. Mrozy trwają, mieszkanie mam zimne, chodzę w lekkim paltociku jesiennym, a jeszcze i hiszpanka grasuje epidemicznie, to cóż dziwnego, że człowiek jest ledwie żywy z przeziębienia.
Poszedłem więc do pracy do Głównej Komisji Wyborczej. Ogłoszone dziś zostało osobnym dekretem Piłsudskiego uroczyste święto narodowe z powodu otwarcia obrad pierwszego w Polsce sejmu ustawodawczego. Instytucje publiczne nie pracują; pomimo to nasza Komisja Główna jest czynna. Bo musimy spieszyć z terminową likwidacją Komisji, głównie rachunków. Tylko panna Helena Roszkowska poprosiła o zwolnienie jej od pracy, aby sobie jeszcze jednego dzionka użyć. Natomiast reszta pracowników naszych, panna Cezaria Kokoszko, pani Domakowska i panowie Grygo i Pawłowski –

[97] Tertium non datur – trzeciej możliwości nie ma.

pracują. Ale i p. Helena tak się do naszej Komisji wdrożyła, tak się w naszej atmosferze dobrze czuje, tak się wnęciła do miłego stosunku, łączącego mię zwłaszcza z tymi dwiema dziewczynami – p. Heleną i p. Cezarią – że nie mogła wytrzymać, aby parokrotnie i przed obiadem, i po obiedzie nie wpaść do nas i nie przekomarzać się ze mną figlarnie w konkurencji z p. Cezarią. Bardzo milutkie są te dwa dziewczątka, bo i dzielne w pracy, i pełne charakteru, i żywe w temperamencie, sympatyczne i wesołe a serdeczne. Gdybym był młodzieńcem, to, znając moje serce, jestem pewny, że bym się zakochał albo przynajmniej zadurzył, jeżeli nie w obydwóch naraz, to przynajmniej w p. Helenie. Teraz wszakże i moje serce dotknęła oschłość, tępiąca z wiekiem wrażliwość młodości, ale to i tym lepiej. Utrzymuję z nimi stosunek bardzo serdeczny, zabarwiony niewątpliwie filuternością, ale też zawsze ze szczyptą dobrotliwego ojcostwa, wyłączającego tężyznę takich uczuć jak młodość. Lubią też mię one bardzo – wiem o tym. Lubią nasz stosunek i tęsknią nawet do niego, a z żalem myślą o rychłym rozstaniu. Z ich łona wyszedł projekt wspólnej fotografii pamiątkowej Komisji Głównej.
Pracowałem przez cały dzień w Komisji, ale nie w zakresie czynności Komisji, jeno literacko, pracując nad moim artykułem analizującym wyniki i materiały wyborów z okręgu łomżyńskiego. Artykuł skończyłem; udał mi się dobrze, jeno dla rozmiarów „Ziemi Łomżyńskiej" jest właściwie za obszerny.

11 lutego, rok 1919, wtorek
Jestem od pewnego czasu chory. Zdaje się, że jest to tylko bardzo ostre przeziębienie, pogorszone kilkakrotnym nowym zaziębieniem. Może to zresztą i hiszpanka, a może nawet, choć tego nie przypuszczam, wstęp do tyfusu, bo od dwóch dni mam bardzo silny ból głowy. Dziś ból ten był wściekły. Dzięki Bogu, że jeszcze mogę się tymczasem „dekować" w Głównej Komisji Wyborczej, gdzie pracy właściwej dla mnie już nie ma, a gdzie za to mam pełny słodyczy i wdzięku serdeczny i miły stosunek z pracownikami, zwłaszcza z kochanymi dziewczątkami Roszkowską i Kokoszko; w atmosferze tego stosunku nie dokucza mi tak ten ból głowy; dobre poczucie i przyjemność moralna koi niezmiernie cierpienia fizyczne.
O godz. 4 odbyła się dziś w gabinecie prezesa sądu – Filochowskiego – narada sędziów w sprawie podziału funkcji. Choć nominacji sędziego Makowskiego jeszcze nie ma, a przeto i on sam jeszcze nie przybył, to jednak podziału dokonaliśmy i bez niego. Trampler objął dział I instancji w wydziale cywilnym, Duszyński objął wydział cywilno-odwoławczy (apelacyjny). Tramplerowi przydany będzie Makowski, Duszyńskiemu – Chełstowski, który, chociaż jest sędzią pokoju, to jednak będzie i w Sądzie Okręgowym funkcję stałą (referowanie i pisanie wyroków jednej sesji tygodniowo) – pełnił (prezes wraz z sędziami Duszyńskim i Skarzyńskim bardzo forsują Chełstowskiego, który i sam też bardzo chętnie podejmuje się funkcji stałych w Sądzie Okręgowym, rozumiejąc, że tą drogą zdobywa sobie atuty do postawienia jego kandydatury na sędziego okręgowego przy następnych wyborach; zresztą jest to, zdaje się, istotnie prawnik dzielny i głowa dobra). Ja wobec tego wchodzę do wydziału karnego, w którym będę do spółki ze Skarzyńskim. Mam mieć w moim ręku samodzielnie dział apelacyjny karny i oprócz tego pomagać Skarzyńskiemu w I instancji, mianowicie prowadzić jedną sesję tygodniowo z działu Skarzyńskiego (wyznaczać będzie on). Tak więc oto ja, z upodobania cywilista, wyszedłem na sędziego-kryminalistę.
Z pierwszych uroczystości i działań sejmowych nie mamy jeszcze relacji. Krótkie wydanie poniedziałkowe gazet warszawskich przyniosły nam zaledwie lakoniczny opis uroczystego nabożeństwa sejmowego niedzielnego w archikatedrze i wieczornego rautu

z tegoż dnia u Piłsudskiego. Właściwe otwarcie Sejmu i pierwsze jego obrady staną się nam wiadome dopiero po paru dniach. Interesuje mię niezmiernie stanowisko, jakie wobec Sejmu zajmie Piłsudski. Narodowa Demokracja robiła wszystko, co mogła, aby tego wielkiego człowieka zohydzić Narodowi i ze stopnia popularności strącić. Jest on dla niej solą w oku, bo nie jest jej człowiekiem i jest zawadą do przeforsowania do władzy Romana Dmowskiego. Słyszałem wersję, że Piłsudski zdecydowany jest nie tylko formalnie, ale też treściwie bezwzględnie zrezygnować z atrybutów władzy zwierzchniej na ręce Sejmu i udać się na front, na pole bezpośredniej walki zbrojnej. Byłby to krok wielkości wspaniałej, godny szlachetności tego rycerskiego człowieka. Usunąłby przez to siebie Piłsudski z areny tarć i walk bezpośrednich o władzę, ale zyskałby aureolę tak świetną i tak pełną blasku wobec matactw dyplomatycznych Dmowskiego w Paryżu, że mógłby i powinien tą drogą urok swej osoby w Narodzie ustokrotnić. Czy jednak kołtuneria pojęłaby wielkość tego?

12 lutego, rok 1919, środa
Wraca mi zdrowie. Rano mię jeszcze głowa bolała mocno. Czułem wyraźnie, że to ból newralgiczny, jedna z najgorszych i najniebezpieczniejszych komplikacji przeziębienia. Ból taki, gdy wejdzie w kości głowy, trwać może całymi tygodniami, a męczy człowieka niesłychanie i robi go na półprzytomnym i niezdatnym do żadnej roboty. Jest on zaś tym cięższy, gdy dotknie zarazem kości człowieka, tworzących górne sklepienie oczodołów. Wtedy oczy się łzawią i bolą, stają się wrażliwe na blask, tak że bywają wypadki, iż ludzie, porażeni tą bolesną formą newralgii, zmuszeni są tygodnie spędzać po ciemku, nie mogąc znieść światła dziennego, które ich razi. Czułem tę wrażliwość na blask już wczoraj i dziś rano. Oczy mi się zaogniały i łzawiły, boleśnie było wytężać wzrok. Dziś też od rana czułem wyraźnie, że mój ból głowy jest bólem kości u podstawy czaszki i w całej jej tylnej połowie. Przed południem w Komisji Głównej zażyłem proszku fenacetyny. I nie wiem, czy to na skutek tej fenacetyny, czy też na skutek ślicznego ciepłego dnia słonecznego, jak w pełnej wiośnie – ból głowy złagodniał i już koło obiadu ustał, przywracając mi zarówno zdrowie fizyczne, jak humor i wesele rozkoszne.
Dzień dzisiejszy spędziłem jeszcze cały w Komisji Głównej. Jest to już, zdaje się, ostatni dzień oddany Komisji. Jutro bowiem i pojutrze przyrzekłem zasiadać w sądzie na sesjach cywilnych, w sobotę zaś obejmuję formalnie mój dział w wydziale karnym, tak że przez te trzy dni zajęty będę w sądzie co najmniej do obiadu. W sobotę zaś zwijamy, zdaje się, lokal Komisji Głównej, jak również zwolnimy pozostałych pracowników oprócz jeszcze dwóch ostatnich, panny Heleny Roszkowskiej i p. Grygi, którzy już wszakże nadal do mego gabinetu w sądzie się przeniosą i tam kończyć będą likwidację rachunków i innych pozostałości Komisji Wyborczej.
P. Cezaria Kokoszko dostała już posadę stałą, w której zacznie od przyszłego tygodnia pracować. Panią Domakowską i p. Pawłowskiego zwolnię. P. Helenę i pana Grygę chcę bardzo wcisnąć na jakieś posady do sądu, bo istotnie oboje na to zasługują. P. Helena, im ją więcej obserwuję i poznaję, im ściślej się stykamy – bo teraz, siedząc w Komisji, przesiaduję cały czas w kancelarii i ani chwili w moim gabinecie samotnym – coraz wspanialej i rozkoszniej mi się przedstawia. Zrobiłem obserwację, że jest ona w kanciastości i energii swych ruchów podobna do „noworodka”: gdy się niemowlę takie z powijaków wyzwoli, wyrzuca ono rączki we wszystkie strony, rusza się całe, ciska, pręży i rozpręża; tak samo pełną takich fantastycznych, kanciastych i nagłych odruchów jest moja p. Lusia Roszkowska; i druga analogia: Jest ona dziczką – „dzikim człowiekiem”, jak ją żartobliwie przezwałem; zdawałoby się, że dla ujścia jej temperamentu, dla pełni swobody jej szerokich i pełnych rzutu ruchów trzeba jej dać za

tło wielki step, jakieś szerokie prerie amerykańskie, tabuny koni, ogromny, wspaniały i jak morze obszerny świat. O wiele wolę ten typ ludzi od typu ludzi wygładzonych ze wszech stron, oszlifowanych, ociosanych. Piękny to typ, a kobieta taka – to rozkosz! I jednocześnie co za dzielność w pracy, co za spostrzegawczość, inicjatywa, spryt! Śliczna dziewczyna!

13 lutego, rok 1919, czwartek
Dzięki Bogu – mamy wreszcie z Ewą mieszkanko. Jest to to mieszkanko, które mi nastręczył p. Grygo w domu, w którym on sam mieszka. Jest to dom p. Wejrocha przy rogu ul. Krótkiej i Dwornej. Mieszkanko ma tylko tę wadę, że jest wysoko, na trzecim piętrze i że wejście jest przez schody kuchenne – innego nie ma. Za to samo mieszkanko jest śliczne. Składa się z trzech pokoi, przedpokoiku i kuchenki. Rozkład pokoi jest bardzo wygodny, pokoiki milutkie, kuchenka także; wejście do niej jest z przedpokoiku, wskutek czego jest ona od pokoi mieszkalnych oddzielona. Okna wychodzą w pokojach mieszkalnych na wschód i zachód. Widok, zwłaszcza w stronę Łomżycy i lasów jednaczewskich – śliczny. Mieszkanko to było zajęte pod kwaterunek wojskowy, chociaż stało puste. Nie wiadomo było, czy będzie mogło być wynajęte. Gospodarza domu, p. Wejrocha, chwilowo nie było w Łomży. Ale oto wrócił i oddał je nam. Spod kwaterunku zostało ono zwolnione. Cena najmu – 100 marek kwartalnie, termin najmu – do 1 VII. Cieszymy się z Ewą bardzo, tym bardziej, że p. Wejroch ma dużo mebli po Niemcach, które nam chętnie użyczy, a które aż nadto wystarczą do wspaniałego, jak na nasze stosunki dzisiejsze, umeblowania mieszkanka. Chodzi tylko o to, aby komisarz ludowy na pow. łomżyński, p. Hanussowski, pozwolił mi korzystać z tych mebli, bo są one zadeklarowane i ulegają w razie potrzeby sekwestrowi na użytek bądź jakichś instytucji, bądź wojska. W tych dniach zaczniemy się do naszego mieszkanka wnosić.
Do obiadu siedziałem dziś na sesji cywilnej I instancji. Komplet składał się z sędziego Duszyńskiego jako referenta i przewodniczącego, ze mnie i sędziego pokoju ze Szczuczyna – Rogowskiego. Niezbyt się nudziłem na tej sesji. Duszyński nie jest jeszcze zbyt biegły w sądzeniu spraw cywilnych, toteż rola moja nie była na sesji tak bierna, jak przy prezesie Filochowskim lub Tramplerze, gdy oni siedzą i Trampler referuje.

14 lutego, rok 1919, piątek
Miałem dziś dzień wolny, który spędziłem częściowo na staraniach o meble do naszego mieszkanka, przeważnie zaś w Komisji Głównej. Dotychczas nic jeszcze pewnego co do umeblowania nie ma; nie wiadomo, czy da się uzyskać pozwolenie na umeblowanie mieszkania meblami, pozostałymi po Niemcach i stanowiącymi własność państwową, będącą w rozporządzeniu specjalnej komisji kwaterunkowej; są one w domu Wejrocha na składzie, ale czy ze składu można będzie je przenieść do mieszkania prywatnego – to kwestia wątpliwa.
W sądzie na sesji nie siedziałem. Prezes mię zwolnił od tego. Nie mam mu tego za złe. W Komisji Głównej, jak zwykle, przyjemnie czas spędziłem. Przez parę godzin po obiedzie dyktowałem pannie Helenie z moich notatek grudniowych z wizytacji sądów pokoju w Łomżycy i Piątnicy sprawozdania do prezesa sądu. P. Helena była dziś w humorze doskonałym. Dziewczyna ta jest jak wiosna, nierówna. Charakter to i natura bujna, temperament wielki. Od ekscesów wesołości, od wielkich porywów swobody, które się przelewają za brzegi jak szumiące wino w czaszy, jak wody rzeki wezbranej, ma ona przejścia czasami do stanów innych, z wesela i pogody słonecznej, grającej bujnym potokiem sił, nagle zapada w stan skupienia, zasępia się chmurą jak w burzę

majową, ale chmura ta nie jest u niej taka, jakimi bywają ciężkie ołowiane chmury jesienne, monotonne i ciągłe, ślepe jak łzawe dni listopadowe; jej zasępienie jest jak bujne chmury burzliwej wiosny: pędzą gęste, zasnuwają nagle niebo, gaszą promień wesela, a oto za chwilę się gdzieś przerwą i nagle przez szparę w chmurze strzeli błysk słońca – śmiech wesela i życia; chmura przepłynęła – i znów modry błękit pogodnego nieba; a wtem przez ten błękit pogodny nagle się przesunie obłoczek tęsknoty i zamyślenia, nie wiadomo w jakich skrytkach duszy dziewczęcej poczęty. A dalej znów pogoda, która strzeli nagle rwącym potokiem wesela i wielkim przypływem humoru i ruchu. Takim jest usposobienie p. Roszkowskiej; dziewczyna ta odtwarza w sobie naturę wiosny. Gra jej temperamentu, te przypływy i odpływy ruchu, wesela, rzutów i zasępienia lub zamyślenia tęsknego, z których znów nagle tryska nowe źródło energii – tworzą widok piękny, który w naturze wiosną obserwować można. Jest ona w temperamencie swym piękna, bywa nawet wspaniała, ciekawsza i piękniejsza o wiele, niż w masce swych rysów *in statu latenda*[98]. Wczoraj miała ona taki dzień zamyśleń tęsknych, jakichś obłoków i chmur zasępienia dziewczęcego. Inną jest p. Cezaria Kokoszko. O ile tamta przypomina jakieś dzikie łąki, oblane jakąś wielką rzeką na wiosnę, jakieś wielkie faliste pola w dobie, gdy wiosna spędza z nich śniegi i gdy strumienie oraz potoki pędzą i grają, spadając z hal w doliny, lub niebo w maju w dzień burzliwy i pełny siły, o tyle p. Cezaria przypomina złociste pola zbóż, kołysane wietrzykiem, oblane słońcem, uśmiechnięte radością życia i przyszłego plonu, wichrzące się lekko chmurką chwiejnych kłosów, orzeźwione błękitnymi kwiatami bławatków. Jej zamyślenia są jak te kłosy w podmuchu wietrzyka, jej spojrzenie – bławatek, jej dołki w uśmiechu i przechylenie główki – jak złoto zbóż i szept słoneczny kołysanego pola.

15 lutego, rok 1919, sobota
W sądzie obejrzałem mój gabinet, który obejmuję po Duszyńskim w wydziale karnym na II piętrze, ale jeszcze pracować nie zacząłem. Wróciłem jeszcze do mojej Komisji Głównej, która dziś już ostatni dzień urzęduje w moim starym lokalu w gmachu Magistratu. Od poniedziałku wraz z dwoma ostatnimi Mohikanami biurowymi Komisji Głównej – p. Grygo i p. Roszkowską – przenoszę się do mojego gabinetu w sądzie. Dziś po obiedzie odbyło się też posiedzenie Głównej Komisji Wyborczej w osobach mojej, Duszyńskiego, Szwejcera, Brzezińskiego i Jabłońskiego oraz komisarza wyborczego Czerwińskiego. Panny Roszkowska i Cezaria Kokoszko wystąpiły z wnioskiem upamiętnienia naszych prac w Komisji Głównej przez wspólną fotografię. Nie ośmielając się wystąpić z własną inicjatywą, uprosiły o postawienie tego wniosku p. Szwejcera. Cała Komisja Główna z wielką chęcią na to przystała.
Dostaliśmy z Ewą umeblowanie dla naszego mieszkanka. Zastępca burmistrza p. Sulnicki chętnie przystał na to, aby zadeklarowane meble, pozostałe w domu Wejrocha po Niemcach, zostały przeniesione do naszego mieszkanka i oddane formalnie pod mój „dozór”. Po obiedzie Ewa się tym zajęła. Mamy więc aż cztery szafy, fortepian (!), sofę, która będzie łóżkiem dla Ewy, łóżko dla mnie, kanapkę, stół, parę krzesełek miękkich, parę stolików i jeszcze jakichś drobiazgów. Jak na naszą nędzę meblową – to jest umeblowanie wspaniałe. Z radością się do tego mieszkanka przeniesiemy.

16 lutego, rok 1919, niedziela
Niedziela równie nudna w Łomży, jak była w Kolnie. Nie wiadomo, czym czas wypełnić i jak przyspieszyć bieg godzin. Gdy nie ma roboty, robi się pustka tak jałowa,

[98] In statu latenda – w stanie uśpienia.

że aż strach. Ulubionym zajęciem mieszkańców Łomży, zwłaszcza młodzieży obojga płci, jest spacer godzinami na tzw. popularnie deptaku: za deptak służy krótki kawałek ulicy Długiej od Nowego Rynku do ul. Krótkiej. Tam i nazad, tam i nazad – drepczą pary, trójki, czwórki itd. Chodnik na deptaku roi się po prostu od spacerujących. Kwitnie tu flirt, próżniactwo, przegląd znajomych, randki. Trudno wymagać, abym się też zajął tą prostą metodą skracania czasu, spacerując od rana do nocy po deptaku. Zresztą z pewnością czas by mi się jeszcze bardziej wydłużył na tak „inteligentnym" zajęciu.
Dziś Łomża miała sensację. W godzinach poobiednich przez centrum miasta, ul. Długą do Starego Rynku przeciągnął pochód socjalistyczny ze sztandarem czerwonym i pieśnią rewolucyjną na ustach. Pochód był improwizowany. Jak zawsze, inspiratorem jego był niezmordowany organizator socjalistyczny, dr Czarnecki. Na dziś przez Stronnictwo Ludowe był zaprojektowany zjazd i wiec w Łomży służby folwarcznej. Ponieważ wszakże wczoraj przywódca PSL, Stolnicki, został przez sędziego śledczego Wojchta aresztowany w związku ze sprawą bożejewską (śledztwo w sprawie rozruchów agrarnych), więc wiec z ramienia PSL do skutku nie doszedł. Skorzystał jednak ze zjazdu fornali czujny dr Czarnecki i zaimprowizował im w Domu Ludowym wiec, po którym zainscenizował pochód przez ulice miasta.

17 lutego, rok 1919, poniedziałek
Dziś przeniosłem się już na stałe urzędowanie z Głównej Komisji Wyborczej do Sądu Okręgowego. Dawny lokal Komisji Głównej w gmachu Magistratu został już dziś zwinięty, a dwaj ostatni pracownicy Komisji wraz z aktami i inwentarzem, składającym się z różnych papierów, kopert, kilku urn i skrzyń, pieczątek itp. – przenieśli się do mojego gabinetu na II piętrze w wydziale karnym Sądu Okręgowego. Gabinet ten jest niezły, obszerny, oświetlony dwoma oknami, ma ogromny stół, jest niezwykle ciepły. Zacząłem już przeglądać akta apelacyjne karne, które stanowią mój autonomiczny wydział. Zaległość wynosi przeszło sześćdziesiąt spraw. Wokand wyznaczonych nie ma wcale. Zaległość ta nie jest duża. Jest ona mniejsza, niż w którymkolwiek innym wydziale. Będę wyznaczać po jednej sesji na tydzień, po 15 spraw na wokandę.
Otrzymałem dziś list od Heli Ochenkowskiej[99] z Warszawy. Robi mi ona gorzkie wyrzuty z powodu mojej ucieczki w głąb zawodowej pracy sędziowskiej w Łomży i zerwania wszelkiej spójni z żywymi sprawami nieszczęsnej Litwy. Jest jednak taki nieszczęsny chaos w stosunkach Litwy, z jednej strony owładniętej przez bolszewików pod cechami najazdu, z drugiej – rozpaczliwie pożądanej przez Litwinów pod hasłami państwa narodowego, z trzeciej – upatrzonej do aneksji przez Polskę, opierającą się o koalicję i o rolę swą cywilizatorki i orędowniczki historycznej ludów wschodnich na kresach Rzeczypospolitej, że sam straciłem dokładną orientację; żadna z tych linii nie odpowiada w doskonałości tym ideałom, które tkwią w mym sercu. A zresztą czym mógłbym być pożyteczny sprawie Litwy stąd, z Łomży. Kierunek aneksyjno-polski jest teraz tak wybitnie reprezentowany w Polsce przez liczne organizacje emigrantów z Litwy i Białej Rusi, że zdziałać coś skutecznie w przeciwstawieniu się im niepodobna, natomiast wprząc się w linię tego kierunku i jej służyć – nie chcę, bo nie mam do tej sprawy przekonania. Wiem, że inkorporacja ziem Litwy i Białej Rusi w jakiejkolwiek bądź formie do Polski stanie się źródłem polityki aneksyjnej, kolonizacyjnej, gwałcącej układ stosunków narodowych i społecznych Litwy. Chociaż może do inkorporacji tej dojdzie i chociaż może będzie ona lepszą od wcielenia do Rosji, to jednak nie jest ona

[99] Romer-Ochenkowska Helena (1878-1947), publicystka, prozaiczka, dramatopisarka, działaczka oświatowa i społeczna.

tym ideałem, którego bym ja pragnął i któremu bym chciał i mógł szczerze z przekonania współdziałać

18 lutego, rok 1919, wtorek
Dziś przenieśliśmy się z Ewą ostatecznie na nasze nowe mieszkanie. Jest ono malutkie, ale przecie dla nas wygodne, ma trzy pokoiki, jest czyste, kuchenkę ma bardzo miłą, będzie słoneczne, gdy słońce świecić będzie, mebli ma dość. Jest tylko ta jedna wada, że wejście ma brzydkie, przez schody kuchenne i że jest wysoko (na trzecim piętrze); ten ostatni brak wynagradza się jednak ładnymi widokami z okien i czystym powietrzem.
Pracowałem przez cały dzień w moim gabinecie w sądzie, z przerwą tylko na obiad i na jedną godzinę ogólnego zebrania sądu w gabinecie prezesa. Praca moja polegała głównie na przeglądaniu akt spraw apelacyjnych, które mam do wyznaczenia i na obznajamianiu się z procedurą postępowania odwoławczego. Oczywiście napotykam różne trudności i wątpliwości u wstępu do tej nowej sfery pracy sądowej, ale na ogół trudności te nie są już tak wielkie, jak były dla mnie przed półtora rokiem, gdym zaczynał w Kolnie moją działalność sędziowską. Nie jest bo też tak nową ta sfera apelacyjno-karna sądownictwa dla mnie, jak było niegdyś samo sądownictwo *en bloc*[100] od alfy, którego się uczyć musiałem.
Miałem dziś list od Papiza, jednego z moich bliższych towarzyszy broni z Legionów. Pisze mi on z Zegrza, gdzie ma siedzibę kadra 5 pułku piechoty Legionów (nie „wojska", lecz wyraźnie „Legionów"). Pisze króciutko, aby się tylko skomunikować ze mną.

19 lutego, rok 1919, środa
Dobrze się wyspałem na nowym mieszkaniu. Choć było zimno rano przy wstawaniu, ale czułem się prawdziwie wypoczęty i zdrów. Po raz pierwszy od dwóch tygodni nie czułem od rana ani krzty newralgicznego bólu głowy, toteż przez cały dzień byłem doskonale zdrów, rzeźwy i w dobrym usposobieniu. Być może, że mój dawny pokój u dr-owej Zaleskiej miał wilgoć – może nawet był grzyb w pokoju – bo tam miałem ciągle skłonność do newralgii i choć spałem dużo, nie czułem się po nocy wypoczęty. Od jutra Ewa zaczyna gotować obiad w domu.
Od samego rana był w Łomży na ulicach jakiś stan niezwykły. Ulice były pełne wojska. Gęsto krążyły po mieście lub stały na rogach ulic patrole żołnierzy uzbrojonych. Oprócz tego, snuli gęsto po mieście konni ułani zbrojni z chorągiewkami na długich lancach. Patrole i poszczególni żołnierze zbrojni zatrzymywali przechodniów, szczególnie zaś Żydów, żądali legitymacji osobistych i rewidowali na ulicy, szukając po kieszeniach i pod ubraniem – broni. Całe miasto miało wygląd zdobytego i okupowanego przez przemoc wojskową. Jaka była geneza tego zarządzenia i jaka istota rewizji ulicznych – nie wiem dokładnie. Mówiono, że zarządzona została ogólna rewizja wszystkich domów w mieście w celu poszukiwania ukrytej broni, której z pewnością musi być niemało (ale czy jest ona tak „ukryta", że się ją znaleźć da – to pytanie). Być może, że tak jest w istocie i że z tego względu rewidowano też przechodniów, aby przeszkodzić wyniesieniu broni ze składów do jakichś schówek głębszych. Ale jeżeli to jest ogólna rewizja domów, to albo jej dzisiaj jeszcze nie ukończono, albo ograniczono ją do ulic, domów i mieszkań żydowskich, bo całkowitą w mieście dziś nie była. Rewizja ta jest symptomatyczna. Bądź co bądź, jakkolwiek prawica w Sejmie dotąd stałej większości nie posiada, niemniej Sejm sam przez się staje się ostoją prądów zachowawczych,

[100] En bloc (fr.) – całkowicie.

balastem i zwałem ochronnym przeciwko postępowi rewolucji. To się wyczuwa niewątpliwie i tak też jest. Sejm ten jest łożyskiem lojalizmu rozwoju, wykluczającym metody bezpośredniego ruchu mas. Czy zdoła się on tym stać i funkcję tę spełnić – zobaczymy, ale w psychologii zbiorowej coraz bardziej się w tym kierunku istota jego roli rozwojowej skupia. Toteż reakcja (pod tą nazwą uogólniam tu wszystko, co się przeciwstawia biegowi i nieobliczalnym prądom rewolucji) – podnosi głowę, a wojsko w służbie wewnętrznej, tchnącej policyjnością, staje się tej reakcji narzędziem. Aby ujałowić rewolucji środki, zarządza się taką oto rewizję masową, rewizję, która drwi z zasad legalnych nietykalności obywatelskiej i, choć może w tych anormalnych warunkach ze stanowiska utrzymania założeń ładu i ustroju jest konieczne, jednak robi wrażenie bardzo smutne rozpasania soldateski i demoralizuje niewątpliwie samo wojsko. Mówiono wszakże, że może inny ma cel rewizja dzisiejsza, bardziej konkretny i lokalny, ale może w gruncie jeszcze bardziej reakcyjny. Z powodu wrzenia, wytworzonego w sferach ludowców i fornali dworskich przez zaaresztowanie Stolnickiego i zapowiedzianych manifestacyjnych strajków rolnych politycznych, obawiano się dziś podobno jakichś zajść i ruchów w Łomży, ewentualnie jakichś zjazdów, pochodów i usiłowań przeforsowania uwolnienia Stolnickiego itp., czemu drogą opanowania ulicy przez wojsko postanowiono zapobiec.

20 lutego, rok 1919, czwartek
Dziś dzień na mieście upłynął normalnie. Nie było dalszego ciągu hecy wczorajszej. Widocznie jednak, że decydującym motywem wczorajszej rewizji ulicznej i zalania miasta zbrojnymi patrolami wojska było zaszachowanie jakichś oczekiwanych rozruchów politycznych na tle uwięzienia Stolnickiego i represji śledczych w głośnej sprawie agrarnej bożejewskich dóbr Sasinowskiego. Że prawdopodobnie o to głównie chodziło i że się obawiano demonstracji ulicznych, wyrosłych z zapowiedzianego politycznego strajku agrarnego i ewentualnie przeniesionych na grunt miejski – na to wskazuje też telefon wczorajszy prezesa Filochowskiego, który bawił na wizytacji sądu pokoju w Śniadowie i zapytywał stamtąd, czy nie zadano jakiegoś gwałtu prokuratorowi. Widocznie rozszerzyły się po okolicy pogłoski, że już doszło w Łomży do jakichś ekscesów i gwałtów, oczywiście mających styczność ze sprawą Stolnickiego, skoro się miały one kierować do urzędu prokuratorskiego (analogicznie do niedawnych zajść w Lublinie, gdzie ostatecznie prokurator uległ presji tłumu i nakazał uwolnienie aresztowanych w sprawie zaburzeń agrarnych).
Faktem jest, że panoszy się w Polsce reakcja, szukająca oparcia o instynkt ładu zwycięskiej Koalicji i z wężową przewrotnością podszywająca się pod braterstwo ducha i kultury z demokracją Zachodu. Równolegle jednak z tą reakcją, która pracuje systematycznie i powoli a mądrze, a która znów skądinąd wyraża się samorzutnie w różnych gwałtach na prowincji, zwłaszcza zaś w samowoli wojska wewnątrz kraju – jest wciąż w łonie społeczeństwa toczący je ferment jakichś haseł ludowych, agrarnych, wolnościowych, którym przeciwstawiać się nie śmie jeszcze nawet reakcja, po cichu je nienawidząca. Jest to stan pewnego wahania, nieustalonej linii, okres frazesu i połowiczności, który przypomina zarówno kiereńszczyznę w Rosji, jak dobę rządów Maksa Badeńskiego w Niemczech, jak stary rok „wiosny ludów” w Europie (r. 1848), jak wreszcie okresy „wolnościowe”, znane w Rosji w latach poprzedzających zwykle kryzysy rewolucji lub reakcji (charakterystyczny r. 1904). Po takiej dobie frazesu i połowiczności, których typowym wyrazicielem jest w Polsce zarówno rząd Paderewskiego, jak władza zwierzchnia Piłsudskiego (każde z nich o innym nieco ciążeniu) przyjść musi albo burza rewolucji, albo srogi mróz reakcji. Jeżeli Koalicja

mocno wesprze Polskę i da jej istotne poparcie materialne, zarówno finansowe, jak gospodarcze i polityczne (granice), to mam wrażenie, że mróz zwycięży burzę.
Co dzisiaj w Polsce nie jest „ludowe”? Respublika nazywa się ludową, „ludową” jest endecka reakcyjna Rada Dzielnicowa w Poznaniu, komisarze powiatowi rządu noszą tytuł „ludowych”, jest „milicja ludowa”, znienawidzona serdecznie przez całą reakcję jako posądzona o stanowienie genezy przyszłej ewentualnej „czerwonej gwardii” i wszystkie też stronnictwa, które się na gruncie Sejmu utworzyły – są „ludowymi”. Poza socjalistami, są w Sejmie sami tylko „ludowcy”. Nawet bowiem prawica, która nie mogła czy nie chciała pójść pod jawnym sztandarem N.-D., nazwała się „Związkiem Narodowo-Ludowym”. Jak dawniej modną była etykieta „demokratyczna”, tak teraz modny jest tytuł „ludowość”. I oto wszystkie kierunki są w Polsce ludowe, sami ludowcy. Innych formacji – nie ma.
Dziś „wielki dzień” w Sejmie. Piłsudski składa formalnie władzę w ręce prezydium Sejmu. Waży się kwestia, czy Sejm rezygnację Piłsudskiego po prostu przyjmie, czy też udzieli mu mandatu utrzymania władzy zwierzchniej do czasu ustalenia legalnej władzy konstytucyjnej. Lewica jest za Piłsudskim, prawica – przeciwko niemu, bo jej menerom spod znaku ND Piłsudski jest niedogodny jako zawalidroga dla Dmowskiego i dla zdobycia władzy w swoje niepodzielnie ręce. Po cichu prawica ma już dość kiereńszczyzny, która przecie jest niebezpieczną. Chce ona już zacząć szczerze budować zręby reakcji. Piłsudski zaś jest symbolem kiereńszczyzny, której hołduje sejmowa lewica.
Dzisiaj siedziałem na sesji cywilnej I instancji u Tramplera. W domu Ewa wystąpiła dziś z pierwszym obiadkiem swoim. Był dobry.

21 lutego, rok 1919, piątek
Od dwóch dni Ewa już gospodarzy na dobre w naszym nowym mieszkanku. Cieszy się ona z tej gospodarki, bo ma zajęcie i się nie nudzi, a i dla mnie także mieszkanie jest o wiele milsze przez to, że jest swoje własne i zagospodarowane przez Ewę, to znaczy przez nas, nie przez jakichś obcych gospodarzy lub ich sługi. Obiady też udają się Ewie dobrze. Smaczny był wczorajszy, a dzisiejszy jeszcze lepszy. Tylko mi coś żołądek w tych dniach nie dopisuje, ale to nie z winy Ewy, bo się zepsuł jeszcze przed rozpoczęciem gotowania przez nią.
Niedużo co prawda przesiaduję dziennie w domu, bo tylko rano do godz. 9, w porze obiadowej i wieczorem od ósmej, ale za to spędzam czas w domu z przyjemnością. A tego właśnie dotąd nie było, dopóki mieszkałem u dr-owej Zaleskiej. Jak by się to Maryńka cieszyła, gdyby wiedziała, że Ewa jest u mnie i mogła widzieć jej skromną, ale samodzielną gospodareczkę!
Spędziłem dziś dzień, jak zwykle, w sądzie na pracy. Wyznaczałem w dalszym ciągu sprawy apelacyjno-karne na wokandy, poza tym miałem do przestudiowania parę kwestii prawnych w dość mało jeszcze mi znanej dziedzinie proceduralnej karnej, wreszcie brałem udział w sesji gospodarczej wydziału karnego I instancji. Sędzia Skarzyński zaproponował mi poprowadzenie jednej sesji I instancji we czwartek w przyszłym tygodniu. Zgodziłem się. Będzie to mój pierwszy debiut w rozprawach karnych I instancji Sądu Okręgowego. Dam przecie sobie radę – nie święci garnki lepią. W poniedziałek posiedzę nieco na sali i posłucham, jak się toczy rozprawa I instancji, bo dnia tego Skarzyński ma sesję – otrzaskam się tą drogą praktycznie z mechanizmem rozprawy, a to, co już do poczucia prawa należy, to z tym sam sobie poradzę na mojej sesji. Byle tylko sam szablon mechanizmu znać. Skarzyński jest bardzo zarozumiały i pewny siebie. Mówi, jak profesor *ex cathedra*. Jest przekonany, że należy do najbieglejszych i największych sędziów kryminologów. Ma też oczywiście ambicję pod

tym względem wielką i naturalnie, jak to już, zdaje się, robił poprzednio z Duszyńskim, sobie będzie rezerwował wyłącznie sprawy najgłośniejsze i najbardziej odpowiedzialne, mnie zlecając tylko sesje ze sprawami mniejszej wagi i mniejszego rozgłosu. Nie mam zresztą do niego o to pretensji. Z tym wszystkim jest to, zdaje się, człowiek i kolega niezły. Skarzyński pod względem politycznym i społecznym [jest] wstecznikiem czystej wody – endekiem do szpiku kości i antysemitą zdecydowanym. Ta reakcyjność tchnie z niego jak siarka. Nie pozostaje to bez wpływu nawet na jego kierunek czynności sędziowskich.

22 lutego, rok 1919, sobota
Obiady Ewy z dnia na dzień są coraz lepsze. Z przyjemnością teraz przychodzę do domu, nie tylko dla tych obiadów, ale też w ogóle, bo czuję się u siebie rzeczywiście w domu, doświadczam troskliwości osobistej i staranności domowej Ewy, co jest zawsze miłe i nie mam w domu tej samotności, która, zdaje się, próżnią napawa atmosferę. Wieści dziś były w gazetach z czwartkowego posiedzenia Sejmu, na którym Piłsudski złożył formalnie władzę w ręce Sejmu i jego marszałka. Sejm jednogłośnie uchwalił zwrócić władzę zwierzchnią prowizorycznie Piłsudskiemu. Uchwała ta nie odpowiadała oczywiście tęsknym aspiracjom prawicy endeckiej, która rada by Piłsudskiego utopić w łyżce wody i samą pamięć o nim skompromitować. Że takie były tęsknoty i zamiary prawicy – z tym się jej prasa już od dłuższego czasu bynajmniej nie kryła. Konsekwentna reakcja endecka, tak jak konsekwentna rewolucja komunistyczna, mają dość rządów płynnego letniego frazesu demokratycznego, który nie jest ani zimnym, ani gorącym i który ciągle staje na rozdrożu między wyraźną prawicą a lewicą. Endecja pragnęłaby już raz zerwać z tą krętaniną połowiczności i nadać Polsce zdecydowany kurs imperializmu i równowagi społecznej na zasadzie *status quo ante*[101]. W gruncie rzeczy niedaleko od tych pragnień odbiega i cały środek demokratyczny, tworzący lewicę Sejmu, bo istotą jego woli jest również przeciwstawienie się rewolucji i zahamowanie jej konsekwencji, jeno metodami reform społecznych demokratycznych i dość daleko w radykalizmie posuniętych. Tą drogą spodziewają się oni nasycić pożądania klas ludowych – robotniczych i chłopskich – i ubić w nich prąd rewolucji, licząc zarazem na głębsze przeobrażenie tą drogą całego ustroju społecznego i politycznego Polski. Reakcja endecka może by nawet na pewien zakres śmielszych reform przystała, gdyby nie to, że drogę „lewicy” demokratycznej (do niej należą i ludowcy spod znaków bardziej radykalnych i PPS) uważa, kto wie czy nie trafnie, za prowadzącą, może nawet dla jej rzeczników bezwiednie, do rewolucji, albowiem w dobie fermentu i rozkładu ogólnego, cechującego okres obecny, głębsze hasła reform bardziej podniecają pożądania, niż je reformy nasycić później zdołają i budzą wzrost rozpędowy wszelkich ruchów i prądów masowych. Widzą oni niebezpieczeństwo metod „kiereńszczyzny”, a że rewolucji nie życzą, chcą jej zapobiec przez ubicie zawczasu „kiereńszczyzny” ducha w rządach. Piłsudski zaś, zapewne, nawet bezwiednie i wbrew swej naturze z założeń czynnej, jest dziś tego ducha wyrazem i emanacją w polityce i państwie. Prawica, zgadzając się na przekazanie władzy z powrotem Piłsudskiemu, tym razem przegrała. Postąpiła jednak sprytnie, mądrzej, niż gdyby przeciwstawiła się teraz wprost Piłsudskiemu. Czując, że dziś jest on jednak popularny i że przeciwstawianie się jemu jawne pozostawi prawicę w mniejszości i nawet zdepopularyzować ją może przedwcześnie, a kto wie, czy nie spowodowałoby nawet wyłamanie się z prawicy pewnych nie dość jeszcze przez nią opanowanych elementów chłopskich, postanowiła ubrać się w skórę słodkiego jagnięcia i głosować na

[101] (łac.) status quo ante – stan dawniejszy.

Piłsudskiego. Jest w tym palec Korfantego, szczwanego lisa parlamentarnego. Prawica boi się jak diabeł święconej wody pozostania w mniejszości. Chce za wszelką cenę utrzymać pozory posiadania większości, zanim się w rzeczywistości nie sklei. Gdy widzi, że może pozostać w mniejszości, rezygnuje zaraz ze słodką miną. Ale tylko do czasu.

23 lutego, rok 1919, niedziela
W nocy dziś usłyszałem gwałtowne dobijanie się do drzwi naszego mieszkania. Obudziłem Ewę, która poszła otworzyć. Okazało się, że to przyjechała panna Halina Zasztowt, córka mego przyjaciela Aleksandra Zasztowta z Wilna, koleżanka Ewy z Wydziału Prawnego na Uniwersytecie Warszawskim. P. Halinę od dłuższego czasu oczekiwaliśmy z Ewą; zapraszaliśmy ją, aby przyjechała do Łomży na stałe i zamieszkała z nami. Przyjechała dziś ona, ale tylko na czas 10-dniowego urlopu, bez zamiaru pozostania na stałe. Dumna dziewczyna nie chce korzystać z mojej pomocy materialnej. Powiada, że skoro może pracować i z pracy się utrzymać, uważa za swój obowiązek sama sobie radzić materialnie. Na fartuszku łaski czyjejkolwiek, choćby ta pochodziła od przyjaciela ojca, siadać nie myśli. Wątpię, czy się da namówić pozostać w Łomży. Zasztowtówna pełni służbę siostry miłosierdzia (Czerwonego Krzyża) w specjalnym pociągu sanitarnym, przeznaczonym do przewożenia rannych z frontu południowo-wschodniego (front walk z Ukraińcami) do szpitali wewnątrz kraju. Ma utrzymanie i bierze po 4 mk. dziennie. Nie jest bynajmniej zachwycona warunkami pracy i stosunkami w tym pociągu sanitarnym, ale trzyma się tego, bo nic lepszego nie ma.
P. Halina przywiozła z Warszawy dla Ewy list od Maryni, pisany z Kowna i wysłany przez jakąś okazję. List bardzo obszerny, ale ciekawy nie nazbyt, chyba o tyle, że dziś wszystko, co pochodzi bezpośrednio z Wilna, okupowanego przez bolszewików i odciętego od świata zewnętrznego, jest ciekawe jako osobliwość. W liście na każdym miejscu Marynia przeklina bolszewików, których darzy najjaskrawszymi epitetami, jak „plugawi", „parszywi", „paskudztwo". Ma wstręt do nich bez wahań i bez zastrzeżeń. Jednak jakoś daje sobie widocznie z nimi radę, bo oto potrafiła wydostać niezbędne przepustki i jeździ z Wilna do Kowna (to ostatnie jest w ręku niemieckim) i z powrotem, przewożąc końmi swymi pasażerów i korespondencję; w ten sposób zarabia. Wspomina Marynia o Papie, który był aresztowany i trzymany przez dwa dni w Rakiszkach (Elizka Komorowska wykupiła go podobno z aresztu za 8 000 rb. łapówki). Hektor Komorowski i p. Jan Przeździecki są dotąd więzieni w Dyneburgu. Majątki ziemskie (dwory) pod rządami bolszewickimi są administrowane przez komitety parobków, ale Marynia wspomina, że ziemianie po dworach nie są jeszcze w najgorszym stanie i braków, przynajmniej w żywności, nie odczuwają. Czy Papa jest teraz w Bohdaniszkach, czy też w Kowaliszkach u Komorowskich – tego Marynia nie pisze. Marynia załącza do listu jeden numer gazetki „Przełom"[102], wydawanej w Wilnie pod sztandarem Polskiej Socjalno-Demokratycznej Partii Robotniczej Litwy i Białej Rusi. Marynia wspomina, że gazetkę tę redaguje Zasztowt, co też potwierdza jego córka, panna Halina. Z tej okazji pisze Marynia o Zasztowcie, że stał się „wstrętny". Ale dlaczego – nie uzasadnia. Jeżeli przenosi mechanicznie na Zasztowta, który został wybrany do Rady Robotniczej i redaguje gazetkę socjalistyczną, swój wstręt do bolszewików, to, zdaje się, niesłusznie, bo, jak widać z załączonego numeru gazetki, przeciwstawia się ona wyraźnie i kategorycznie komunistom, chociaż nie z założeń burżuazyjnych.

[102] „Przełom", czasopismo, które 8 lutego1919 zostało przez władze bolszewickie zamknięte.

24 lutego, rok 1919, poniedziałek
Dziś upamiętniliśmy dogorywającą Główną Komisję Wyborczą do Sejmu Ustawodawczego fotografią. Fotografia ta powstała z inicjatywy naszych młodych pracowniczek, p. Heleny Roszkowskiej i Cezarii Kokoszko, które już przed paru tygodniami zaprojektowały ją i za pośrednictwem p. Szwejcera (ja się pośrednictwa tego podjąć nie chciałem, aby uniknąć pozoru nadmiernego zbliżenia się z tą młodziuchną płci żeńskiej częścią kancelarii) wniosły projekt do uznania Komisji Głównej, która go zresztą bardzo chętnie przyjęła. Po godz. 12 w południe zebrali się więc w moim gabinecie w sądzie członkowie Komisji, przybyli do fotografii – sędzia Duszyński, Szwejcer, Brzeziński, Jabłoński i Karbowski oraz komisarz okręgowy wyborczy adwokat Czerwiński. Wraz z p. Heleną Roszkowską i p. Grygo, którzy jeszcze do dziś pracują w Komisji, udaliśmy się wszyscy razem do fotografa Zajączkowskiego. Po drodze p. Helena ściągnęła do fotografa pozostałe osoby z gromadki najdłuższych pracowników Komisji – panią Domakowską i panny Cezarię Kokoszko i Marię Zadarnowską. W tym komplecie sfotografowaliśmy się. Z fotografii tej będą dla mnie najbardziej pamiątkowe i miłe dwie osoby – p. Helena i p. Cezaria.

25 lutego, rok 1919, wtorek
Rano do obiadu siedziałem na sesji cywilnej I instancji pod przewodnictwem sędziego Tramplera, który zarazem referował sprawę. Po obiedzie studiowałem przepisy ustawy postępowania karnego w stosunku do toku i kierowania rozprawą główną w I instancji karnej, aby się przygotować do pierwszej sesji tej kategorii, którą mam prowadzić we czwartek. Niezależnie od tego, miałem od godz. 5 do 7 posiedzenie likwidacyjne Głównej Komisji Wyborczej w moim gabinecie sędziowskim. W gabinecie tym urzęduje przez dzień cały w komplecie szczątkowym biuro Głównej Komisji Wyborczej, na które się składali do dnia dzisiejszego już tylko dwaj ostatni pracownicy – pp. Grygo i Roszkowska. Od dziś biuro to jeszcze się bardziej uszczupliło, bo p. Grygo dostał jednocześnie posadę w hipotece powiatowej. Pracuje on wprawdzie i u nas, bo na nim dziś leży w Komisji najważniejsza robota likwidacyjna co do rachunków i wypłat komisjom miejscowym, z czym jest co dzień ogromny nawał pracy, ale już tylko w godzinach pozaurzędowych w hipotece. Wobec tego przez większą część dnia mam w gabinecie za jedyną towarzyszkę – milutką pannę Helenę. Nie mogłem dziś jednak tego towarzystwa wyzyskać, bo byłem wciąż do innych zajęć odrywany (rano – sesja sądowa, po obiedzie – sesja gospodarcza karna u Skarzyńskiego). A szkoda, tym bardziej zaś, że wczoraj wieczorem, ze względu na pewne odezwanie się p. Heleny, przebiegła między nami, mówiąc z rosyjska „czarna kotka” (cień nieporozumienia); właściwie może nawet nie nieporozumienia, bo p. Helena bodajże nawet nie uświadomiła sobie żądła „zajścia”, ale raczej odruch pewnego żalu do niej z mojej strony, co dało mi powód do sztywności dzisiaj w stosunku do niej. Sztuczność tę p. Helena musiała wyczuć i już wyczuła; oddziałała ona na nią, jak zwykle na dziewczęta wrażliwe, deprymująco, wytwarzając stan naprężenia nerwowego między nami, tym drażliwszego, im swobodniejszy i serdeczniejszy był poprzednio nasz stosunek. Naprężenie takie musi zawsze sprowokować rozwiązanie, gdy obie strony sympatyzują sobie, a rozwiązanie takie, jak wyładowanie pewnej elektryczności w atmosferze, zwykle potem prowadzi do zbliżenia wzajemnego i pogłębienia stosunku wzajemnego. Otóż dzień minął bez nadejścia okazji do takiego rozwiązania, bo już potem wieczorem nie byliśmy sami, a rozwiązanie takie, jako posiadające moment wybitnie osobisty, musi wykluczać trzecie osoby. Odeszło więc to do jutra. Żal mi przeto było tego dnia. Rozwiązania tego czekam. Wszak w istocie cała ta moja sztywność jest tylko grą i

udaniem żalu – li tylko dla tego rozwiązania. W młodości byłem mistrzem w tej grze uczuciowej z dziewczętami, w której żale i gniewy humorów były tylko misternym narzędziem operowania wrażliwością dziewczęcą, aby serce dziewczyny usidlić. Dziś to nie jest dla mnie tak stosowne w stosunku do dziewczyny 18-letniej i zapewne trudniejsze, ale cóż to szkodzi zabawić się raz w leciutką grę i odświeżyć młodości praktykę. Ot tak – na chwilę, boć o miłości ani mojej, ani jej – ani myślę.

26 lutego, rok 1919, środa
Pojednanie z p. Heleną nastąpiło. Była ona smutna przez cały dzień wczorajszy i dzisiaj od rana. Wyczuwała, że stosunek mój do niej uległ oziębieniu i była tym przejęta, tym bardziej, że to już są ostatnie dni naszej wspólnej pracy i że z każdą chwilką ulatnia się już coraz bardziej ta nasza dobra stara atmosfera Komisji Głównej, pełna humoru, swobody, żartu, zażyłości serdecznej i pracy zarazem sprężystej, gdy tego potrzeba. Niezależnie od motywów osobistych sympatii, wrażliwą dziewczynę gnębi i zasmuca już sam ten nastrój agonii atmosfery stosunków, tak dotąd miłej, w której ona jak kwiat się rozwijała w barwie, woni i kształtach swej młodości pięknej. Żal ją tłoczy, smutek i melancholia końca, jak jesień po słonecznych dniach wesela. A do tego przychodzi jeszcze ten mój zły humor, mój gniew, jak to ona sobie tłumaczy, ziębiący te resztki pogodnego ciepła, jak mróz, warzący ostatnie złociste kwiaty jesieni. Smutna więc była p. Helena. Parokrotnie robiła nieśmiałe wysiłki, aby moją sztywność przełamać, a gdy to wczoraj jej się nie udało, to jak kwiat uwiędły ucichła i jęła się dalszej pracy w obliczaniu żmudnym procentowego stosunku głosów na poszczególne listy kandydackie, nie skarżąc się, cichutka, pokorna a smutna. Tylko głos jej, gdy się czasem odezwała, choćby w sprawach najzupełniej urzędowych do jakiegoś nawet interesanta, a już tym bardziej do mnie, był inny: złamany, smutny, dźwięczący bezwiednie skargą, tłumiącą krzyk krzywdy, pozbawiony tej pełni dzwonu, jakim dźwięczy głos zrównoważony, głos w chwilach swobody i usposobienia równego. Żal mi też jej było, żal, który rwał serce. Czekała ona chwili, aby się o źródło mojej zmiany dowiedzieć. Gdym dziś zrobił do tego aluzję, zdecydowany już sprowokować wyjaśnienie, uchwyciła się aluzji tej i jęła prosić, bym powiedział, co jest. Ubrałem moją pretensję w szaty żalu uroczystego, nabrzmiałego tęsknotą do naszego miłego stosunku, wskazując jej winę słów, które wywołały zajście. Tłumaczyła się a usprawiedliwiała, aż jej łzy świeciły w oczach. A należy ona do tych, które biorą głęboko treść do serca i poważnie się biedne męczą. Toteż wyciągnąłem jej serdecznie rękę do zgody i przyjaźni dawnej, omal że nie przepraszając jej. Była słodyczy chwila, ale stosunek do swobody dawnej nie wrócił jeszcze, bo wrażliwość przeszkadza zapomnieniu natychmiastowemu nieporozumień.

27 lutego, rok 1919, czwartek
Rano otrzymałem z poczty pakiet z Kancelarii Cywilnej Naczelnika Państwa. Pakiet ten – pismo Józefa Piłsudskiego jako Naczelnika Państwa, adresowane imiennie do mnie, jako przewodniczącego Głównej Komisji Wyborczej, z podziękowaniem za pracę. Oto odpis tego pisma:
„Do Pana
Michała Römera
Przewodniczącego Głównej Komisji Wyborczej w Łomży
Trudne i skomplikowane zadanie zorganizowania i przeprowadzenia wyborów do Sejmu Ustawodawczego na powierzonym Panu terenie zostało pomyślnie dokonane, dzięki Pańskiej wytężonej pracy i energii.
Za owocną pracę wyrażam Panu swoje szczere uznanie i podziękowanie.

Naczelnik Państwa
(podpis autentyczny:) J. Piłsudski
Warszawa, dnia 15 lutego 1919 r."
Pismo to jest na ładnym papierze pergaminowym z autografem Piłsudskiego. Jest to miła pamiątka. Takież pisma z podziękowaniem Piłsudskiego otrzymali: sędzia Duszyński jako zastępca przewodniczącego Głównej Komisji Wyborczej i okręgowy komisarz wyborczy w Łomży, adwokat Tadeusz Czerwiński. Oczywiście podziękowania te zostały skierowane do wszystkich przewodniczących Komisji Głównych, ich zastępców oraz komisarzy wyborczych. Jest to bądź co bądź zarządzenie bardzo demokratyczne, w którym Naczelnik Państwa osobiście zwraca się z podziękowaniem do osób, które stały na czele pracy wyborczej we wszystkich okręgach państwa.
Dziś miałem pierwszą sesję karną I instancji w Sądzie Okręgowym. Sesja była wprawdzie łatwa, spraw niedużo i nieskomplikowane, ale że to była pierwsza tej kategorii w mojej praktyce sądowej, więc miałem, zwłaszcza przed południem, na pierwszych rozprawach, pewną tremę. Spraw było ogółem pięć: z nich jedna o opór w drodze gwałtu komornikowi sądowemu przy wykonywaniu przezeń obowiązków służbowych, druga – o przywłaszczenie (sprzedaż) cudzego konia, trzecia i czwarta (tenże oskarżony) – kradzież (mięso wieprzowe wartości przeszło 1 000 mk. i konia z wozem), piąta – o rozbój (napad rabunkowy na drodze). Dwie pierwsze sprawy były przed południem, trzy ostatnie – po obiedzie. Że jednak z różnych przyczyn druga sprawa, jak również trzecia i czwarta zostały odroczone, więc osądzone zostały tylko dwie, pierwsza i ostatnia. W sesji brali udział ławnicy: Julian Skarzyński i Dołęgowski. Sumiennie się wprawdzie przygotowałem do tej sesji, zwłaszcza pod względem przestudiowania techniki procedury, ale pomimo to jednak miałem z początku tremę i nie czułem się na rozprawie mocny i pewny siebie, co mię oczywiście krępowało i przeszkadzało całkowitemu panowaniu nad sprawą. Myśl moja była ciągle skupiona na uwadze, aby pamiętać, co jedno po drugim należy zrobić. Wskutek tego nie miałem swobody ruchów i tego, co się nazywa „*aisance*"[103] w robocie. Szczególnie na rannej sesji to czułem. Wieczorem już prawie doszedłem do równowagi i pewności siebie. Na skutek tej tremy i skrępowania dopuściłem kilka przeoczeń (w szczególności w jednym wyroku nie zastosowałem amnestii). Na ogół jednak ta pierwsza próba, jako pierwsza, wypadła nienajgorzej. Jak na pierwszy raz sumienia mego nie obarczyłem zbytnio. W jednej sprawie wymierzyliśmy areszt dwutygodniowy, uwzględniając okoliczności łagodzące, w sprawie zaś o rozbój zapadł wyrok uniewinnienia.

28 lutego, rok 1919, piątek
Wczoraj wieczorem już po kolacji, po całym dniu orki sądowej, wybrałem się jeszcze do Klubu Wioślarskiego, w którego lokalu tzw. „Koło Polek" (organizacja pań „z towarzystwa" barwy endeckiej) urządziła tzw. „herbatkę", właściwie rodzaj zabawy tanecznej, na cel narodowo-filantropijny – na „walczącego żołnierza-akademika".W ogóle zabaw towarzyskich i różnych wieczorków nie jestem amatorem; unikam je nawet. Jest to pole do zabawy dla młodzieży, do której już nie należę, toteż w zabawie takiej jest się zawsze gratem niepotrzebnym, stojącym poza grą jak bagienko odnogi rzecznej poza prądem nurtu rzeki, a co do starszego towarzystwa, to w karty nie gram, do rozmowy skory nie jestem, nie lubię plotek, nie interesuję się sensacją towarzyską, a wreszcie bardzo mało znam ludzi w Łomży i nie jestem z nimi towarzysko związany. Nigdy dotąd na żadnej zabawie w Łomży nie byłem. Tym razem jednak zdecydowałem

[103] (fr) aisance, swoboda, brak skrępowania

się pójść, aby się raz wreszcie pokazać ludziom. Bawiłem tam krótko. Pokręciłem się trochę po sali, porozmawiałem z kilku znajomymi, kropnąłem z sędzią Tramplerem i adwokatem Krasnodębskim kilka kieliszków wódeczki przy bufecie – i wyniosłem się. Atmosfera wieczorku była nawet dość miła. Było sporo panienek niebrzydkich, wśród których były niemal wszystkie kancelistki z sądu, dziewczynki nieraz milutkie. Pewne grono panien (w ich liczbie i p. Zadarnowska) było poubierane w dość wdzięczne, ale czysto papierowe, krótkie kostiumy kolombiny, białe z dużymi rozetkami barwy bądź czerwonej, bądź błękitnej. Nastrój był swobodny i wesoły. Huk młodzieży męskiej wojskowej, która jest faworytką kobiet. Wyszedłem przed rozpoczęciem tańców. Byłem w najprzyjemniejszej chwili wieczorku, gdy zabawa dopiero się zawiązuje i sala jest przepojona wonią lekkich perfum i ciał kobiecych, nie zepsutą jeszcze ostrymi wyziewami potu w tańcach. To „towarzystwo" łomżyńskie jest *par excellance* endeckie, ale nie mniej demokratyczne. Panienki z biur, kancelistki, ludzie o nazwiskach, które tysiącami gnieżdżą się w warstwach ludowych Ziemi Łomżyńskiej – należą tu w Łomży do śmietanki towarzyskiej. O ileż to jest różne od polskiego „towarzystwa" w Wilnie, tchnącego arystokracją rodową. Tam by tej śmietanki „towarzystwa" łomżyńskiego na próg sali balowej nie puszczono (oczywiście nie teraz, za bolszewików).
P. Halina Zasztowtówna odjechała dziś od nas. Przypuszczam, że ten pobyt u nas w Łomży nie zachęcił jej do pozostania z nami. Wynudzić się u nas musiała rzetelnie, bo Ewa większą część dnia jest zajęta gospodarstwem, a nawet gdy jest wolna, nie ma w Łomży dokąd pójść i co robić. P. Halina zaś nie ma żyłki do kuchni i tym podobnych rozkoszy gospodarczych. W dodatku zimno było straszliwie w naszym mieszkaniu w ostatnich dniach jej pobytu, gdy szalał wiatr wschodni.

1 marca, rok 1919, sobota
Nic ciekawego do zanotowania z dnia dzisiejszego. Roboty mam dużo, tym bardziej, że nie jestem jeszcze w sprawach karnych biegły. Skarzyński sypie mi dość dużo spraw do zreferowania na posiedzenia gospodarcze. Obecnie przyniesiono mi do gabinetu całą olbrzymią górę akt w sprawach, skierowanych bądź przez sędziów śledczych, bądź przez prokuraturę na umorzenie. Przejrzenie tych spraw i przygotowanie ich do decyzji nie jest rzeczą trudną, ale czasu zajmuje dużo, bo jednak akta każdej sprawy przeczytać trzeba. Spostrzegam, że sędziowie śledczy w bardzo wielu wypadkach, gdy czują, że ujawnienie sprawy lub poszlak winy jest bardzo wątpliwe, a raczej gdy instynktownie wyczuwają z góry beznadziejność dochodzenia, prowadzą śledztwo strasznie niedbale, byle tylko prędzej sprawę zbyć na umorzenie i móc się wykazać większą ilością śledztw ukończonych. W przyszłym tygodniu będę miał znowu sesję I instancji we czwartek. W przyszłości zaś Skarzyński zamierza mi wyznaczyć stały dzień sesji I instancji na poniedziałki.

2 marca, rok 1919, niedziela
Upłynęła znowu nudna niedziela. W Łomży niedziela jest równie nudna, jak była w Kolnie: nie ma co robić i gdzie się podziać, w dodatku w mieszkaniu naszym jest zimno, tak, że się w domu siedzieć nie chce.
Chodziłem z wizytami, siedziałem w kawiarni, gdzie odczytałem wszystkie gazety i ilustracje, napisałem też list do Maryni. Jest bowiem okazja do przesłania listu. Marynia w swoich listach wskazała adres p. Franciszka Kończy w Kownie, do którego należy kierować listy do niej. Do Kowna poczty nie ma, ale można przesłać okazjami na Suwałki. W Suwałkach jest p. Józef Drewnowski, który objął tam posadę nadleśnego rządowego. Otóż z Suwałk zdarzają się okazje do Kowna, a p. Drewnowski, jak mię

informował Antoni Komar, który tu bawił niedawno temu, chętnie załatwia takie sprawy i przesyła listy znajomych okazjami do Kowna. Nie wątpię, że p. Drewnowski usługę tę mi wyświadczy, gdy ma możność po temu. Trafiła się mi zaś właśnie okazja do Suwałk, przez p. Kulwiecia, dotychczasowego aplikanta przy Sądzie Okręgowym w Łomży, Suwalszczanina rodem, który został mianowany do Suwałk na posadę do skarbowości. Przez Kulwiecia więc wysyłam list do Maryni (wraz z listem Ewy i listem p. Haliny Zasztowt do jej rodziców) do Drewnowskiego z prośbą, aby skierował go do Kowna do p. Kończy. Do Kowna zaś przyjeżdża z Wilna osobiście Marynia, która zarobkuje w ten sposób, wożąc swymi końmi pasażerów (Marynia, dzielna jak zawsze w wyszukiwaniu źródeł zarobkowania, jęła się dorożkarstwa czy też furmaństwa, o czym nawet w gazetach była wzmianka, cytująca sposoby zarobkowania pań inteligentnych „z towarzystwa" w bolszewickim Wilnie). Kowno jest jeszcze w rękach niemieckich pod rządami wspieranej przez Niemców litewskiej „Taryby" z Michałem Ślażewiczem[104] u steru tarybowego rządu. Władza rządu Taryby, wspomagana przez okupację niemiecką, rozciąga się na zachodnią część gub. kowieńskiej, nie zajętej przez komunistów oraz na litewską północ gub. suwalskiej. W Suwałkach organizują się obecnie władze państwowe polskie, jak sąd, administracja, rozmaite urzędy. Rozgraniczenia dotąd między litewską i polską częścią Suwalszczyzny nie ma. W zasadzie Polska nie zrzekła się praw państwowych do północnych litewskich powiatów suwalskich, faktycznie jednak władza polska, organizująca się w Suwałkach, nie rozciąga się na powiaty północne, chociaż w założeniu z nich nie rezygnuje. Dwa powiaty południowe – augustowski i suwalski – są całkowicie ogarnięte zarządem polskim i nie kwestionowane przez Litwinów. Spornym jest natomiast pow. sejneński. Podobno tam są równolegle do polskich sądów i urzędów takież sądy i urzędy litewskie z ramienia Taryby. Pomimo to ostrego antagonizmu podobno nie ma, a nawet pono jest skłonność do układów wzajemnych, jak mi mówił Kulwieć. Wybory do Sejmu polskiego odbyły się w trzech powiatach Suwalszczyzny, włącznie z sejneńskim. Litwini przeszkód nie robili, sami wszakże od udziału w głosowaniu się wstrzymali. Okupanci niemieccy w Suwalszczyźnie jeszcze są.

3 marca, rok 1919, poniedziałek

Są teraz dwie Litwy: jedna – to Litwa Taryby litewskiej, Litwa burżuazyjna i nacjonalistyczna, oparta *quand meme*[105] o związek z Niemcami, wspomagana ramieniem i pieniędzmi niemieckimi, trzymająca się rozpaczliwie bankruta niemieckiego, bo, niestety, w jednej tylko polityce niemieckiej ma oparcie, a własnych sił i środków nie posiada; zerka ona wprawdzie w kierunku Koalicji, pragnęłaby jej pomocy potężnej, usiłuje przez swoich emisariuszy i agentów w Szwajcarii i na Zachodzie szukać kontaktu i uznania aliantów, ale z tamtej strony jeszcze poparcia nie jest pewna, a tu musi szukać konkretnego wspomożenia, jakie jest na miejscu, to znaczy Niemców, bo bez nich ani chwili by się nie ostała; ze wschodu przeciwstawia się jej Litwa komunistyczna, zasilana przez bolszewicką Rosję, na południu ma sąsiada w Polsce, o której wie, że pożąda supremacji nad Litwą i ma apetyty do ziem, które by ona, Litwa, za swoje mieć wyłącznie chciała; może nawet z Polską Litwa demokratyczno-burżuazyjna mogłaby znaleźć drogi układów i poparcia nienajgorsze dla niej, ale musiałaby zrezygnować z pewnych wybitnych elementów jej konstrukcji nacjonalistyczno-państwowej, na co się zdecydować nie może. Druga Litwa to Litwa bolszewicka, Litwa Vincasa Kapsukasa (Mickiewicz, pseudonim Kapsukas, znany

[104] Sleževičius Mykolas (1882-1939), prawnik, jeden z czołowych polityków litewskich, premier rządu litewskiego 26 XII 1918 – 12 III 1919, 12 IV 1919 – 7 X 1919 i 15 VI – 17 XII 1926.
[105] (fr.) quand meme, jednak.

rewolucjonista litewski, wódz litewskiego bolszewizmu) – Sowiecka Respublika Litewska, sfederowana z Sowiecką Rosją bolszewicką, oparta o ramię bolszewików rosyjskich. I jedna, i druga nie jest samodzielna; obie zapożyczają od obcych swej władzy, obie stawiają Litwę w ogonku koncepcji politycznej obcej. Dziś Litwa podzielona jest między te dwie Litwy: pierwsza utrzymuje się w łożysku okupacji niemieckiej ze stolicą w Kownie, druga – ma Wilno i wschodnią część ziem litewskich z połacią Białej Rusi. Smutne. A przeciwko nim wyrasta, a raczej się gotuje i organizuje, Litwa Polaków litewskich, Litwa Polsce podporządkowana. Kto wie, czy ta ostatnia nie jest jednak najrealniejsza, choć niezrealizowana.
Z ostatniego listu Maryni dowiedziałem się, że Jurek Römer, brat mojej pierwszej małżonki Reginy, suchotnik, umarł w lutym w Wilnie na suchoty. Regina więc, a przez nią moja córka Cesia, staje się jedyną spadkobierczynią ładnej fortuny, do której należy historyczna kamienica Römerowska na Sawicz ulicy (Bakszcie) w Wilnie i piękny majątek ziemski po Czechowskich – Łunna w gub. grodzieńskiej nad Niemnem. Cesia staje się więc bogatą panną, o ile tylko przewrót polityczny i społeczny obecnej rewolucji nie obali fortun prywatnych, zwłaszcza ziemian.

4 marca, rok 1919, wtorek
Cały dzień byłem zajęty w sądzie w moim gabinecie, jak zwykle. Pod wieczór przyszła nas odwiedzić panna Cezaria Kokoszko. Mówię „nas" – to znaczy Komisję Główną, funkcjonującą szczątkowo w moim gabinecie w osobach mojej, p. Heleny Roszkowskiej i p. Grygo. Mile spędziliśmy godzinkę czasu na gawędce i żartach z p. Cezarią i Heleną.
Był też u mnie wieczorem w gabinecie p. Stanisław Płoński, rejent z Kolna. Zaprosił mię do siebie na wieczór na herbatkę (Płoński ma rodzinę, a przeto i mieszkanie w Łomży). Przed pójściem do niego wstąpiłem do domu i tu zastałem – Stefusia. Wygląda bardzo dobrze, nabiera też pewnej postawy wojskowej. Obecnie bawi ze swą kompanią w Zambrowie, skąd mają w tych dniach być przetranslokowani znów do Łomży; Stefek przyjechał właśnie w charakterze kwatermistrza i dziś wraca do Zambrowa. Wziąłem go ze sobą do Płońskiego. Tam zwyczajem kolneńskim trzeba było nie tylko jeść, ale jeszcze więcej pić. Piło się kieliszek po kieliszku – bez końca. Wreszcie, gdyśmy wychodzili, miałem już dobrze „w czubku", a Płoński był już na dobre pijany. Dziwiłem się, że Stefuś dobrze się trzymał, choć pił na równi z Płońskim, a więcej ode mnie. Ma widocznie mocną głowę.

5 marca, rok 1919, środa
Dziś, zwłaszcza wieczorem, miałem dużo roboty, zmuszony do przygotowania się do spraw na sesję jutrzejszą.
Otrzymałem dziś list od Janka Klotta[106], który uciekł od bolszewików i siedzi teraz w Warszawie. Od czasu mego wyjazdu z Wilna do Legionów w r. 1915 nie widziałem się z Klottem, bo gdym bywał w Wilnie w r. 1916 i 1917, był on na uchodźstwie w Rosji. Lubię go, pomimo że odbiegł on bardzo daleko od tych ideałów wolnościowych, które niegdyś wspólnie za czasów „Gazety Wileńskiej" wyznawaliśmy.

6 marca, rok 1919, czwartek
Dziś miałem znowu pracowity dzień w sądzie – drugą sesję karną I instancji w mojej praktyce. Sprawy na wokandzie były cztery, z nich jedna wyznaczona na godz. 10 rano, trzy inne – na godz. 3 po południu. I tym razem znowu sprawy były niezbyt ciężkie, tak

[106] Klott Jan (1875-1932), prawnik, działacz społeczny i polityczny, adwokat; 1919 członek Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich.

że sumienia mego zbytnio ciężarem wyrzeczonych kar nie obarczyłem. Pierwsza sprawa była poważna ze względu na kwalifikację oskarżenia i ilość świadków, ale się okazała łatwa i zgoła bagatelna pod względem poszlak. Chodziło o kradzież konia, karalną (ze względu na wartość konia, przenoszącą 1 000 marek) więzieniem od 1 ½ roku do lat 6 z pozbawieniem praw. Poszlak wszakże winy oskarżonego nie było zgoła, toteż zarówno prokurator zrzekł się oskarżenia, jak myśmy jednogłośnie wynieśli wyrok uniewinniający. W sprawach poobiednich okazała się jedna bardzo skomplikowana, która pochłonęła nam przeszło 3 godziny czasu: oskarżony był b. wójt o wydanie dokumentu, zawierającego świadomie nieprawdziwą okoliczność (antydatowanie dokumentu w przedmiocie, w którym data miała istotne znaczenie dla stosunku, stwierdzanego przez dokument) i o złożenie bez przysięgi fałszywego świadectwa w sądzie oraz dwoje ludzi – ojciec i córka – o to, że użyli w sądzie na poparcie swych praw tegoż dokumentu, stwierdzającego okoliczność świadomie fałszywą (data dokumentu). Właściwie sama rzecz, o którą w stosunku do tego dokumentu chodziło, była drobnej wagi, ale za czyny te kara groziła ciężka: więzienie od 1 ½ roku do lat 6 z pozbawieniem praw. Napracowaliśmy się rzetelnie w tej sprawie; nie uniewinniliśmy oskarżonych, oprócz jednego (starego ojca), ale złagodziliśmy karę na zasadzie okoliczności łagodzących na zwykłe więzienie, wyznaczając terminy krótkie (wójt – 6 miesięcy, kobieta – 1 miesiąc, co się na skutek amnestii z okazji otwarcia sejmu zmniejszyło jeszcze o połowę). Jedną sprawę odroczyliśmy, a w ostatniej – z oskarżenia o ukrywanie człowieka, skazanego na więzienie, wymierzyliśmy najniższy wymiar kary – dwa tygodnie więzienia. Z powodu tego ostatniego wyroku, choć był on bagatelny, miałem potem pewne wyrzuty sumienia, bom wątpił, czy samo skazanie jest sprawiedliwe. Obraza instynktu sprawiedliwości powoduje niepokój sumienia bez względu na ciężar wymierzonej kary. Można wymierzyć karę ostrą i wyrzutów nie mieć, gdy się ma poczucie sprawiedliwie ustalonej winy oskarżonego i odwrotnie. W wyrokowaniu karnym mogę być nieraz narażony na takie zgrzyty i niepokoje sumienia – oby nie w cięższych, niż dzisiejszy – wypadkach. To są gorycze zawodu sędziowskiego w wyrokowaniu karnym. Cenię wszakże tę moją wrażliwość sumienia, która jest w duszy sędziego karnego zaletą cenną. Na ogół moje debiuty karne nie upoważnią nikogo do wytwarzania mi opinii sędziego okrutnego. Nie chcę być sędzią miękkim, ale pragnę być sędzią ludzkim.
Oskarżał dziś podprokurator Grodzicki. Ławnikami byli: Schürmer, człowiek młody, ziemianin, dość głupi i skłonny do ostrzejszych wyroków, niesympatyczny, i p. Dąbkowski, człowiek stary, z Łomży, interesujący się szczerze sprawami, sumienny w zawodzie sędziego i ławnika, który dziś wszystkie sprawy kierował do uniewinnienia. W dwóch sprawach stawali adwokaci: Ryntflejn i Lachowicz.

7 marca, rok 1919, piątek
Znalazłem dziś rano w gabinecie moim depeszę z Warszawy od Sławka[107] tej treści: „W sprawie bardzo ważnej muszę z Wami osobiście mówić przyjedźcie do Warszawy widzieć się ze mną można w sztabie generalnym oddziale b lub w domu plac Warecki 4/7 = kapitan Sławek”.
Sławek jest piłsudczykiem z I brygady. Kiedyś był bojowcem PPS, zawsze więc szedł pod znakiem, kreślonym przez Piłsudskiego. Brał udział w jakimś zamachu terrorystycznym w Warszawie z czasów bojówki, w roku, zdaje się, 1906. Nosi nawet na twarzy ślad od wybuchu dynamitowego w tym zamachu – ma twarz zeszpeconą. Poznałem się ze Sławkiem w r. 1916, gdym był w Warszawie i starał się o wyjazd do

[107] Sławek Walery (1879-1939), płk, działacz polityczny, bliski współpracownik Piłsudskiego; od 1900 w PPS; podczas I wojny światowej w sztabie I Brygady Legionów Polskich.

Wilna (latem 1916). Sławek był wtedy delegowany przez Piłsudskiego z Legionów do konspiracyjnej roboty politycznej (niepodległościowej) i organizacyjno-wojskowej (POW). Był współpracownikiem Kasprzyckiego[108], ówczesnego komendanta POW i poza tym brał czynny udział w niepodległościowym ruchu politycznym w Warszawie, należał do CKN-u, będąc niejako łącznikiem między tym ruchem politycznym a ruchem konspiracyjno-wojskowym POW i bezpośrednich dyrektyw komendanta Piłsudskiego. Chodził po cywilnemu i ukrywał się od Niemców. Jest to typ polityczny konspiratora; zdaje się, że metoda spisku i konspiracji w polityce stała się jego nałogiem. On też później doprowadził do wydawnictwa „Rządu i Wojska", on następnie wraz ze Skwarczyńskim[109] kierował akcją Rady Żołnierskiej Legionów w r. 1917, czuwając nad utrzymaniem jej w łożysku linii politycznej Piłsudskiego aż do kryzysu przysięgi. Później straciłem Sławka z oczu. Dopiero dziś się o nim dowiaduję z tej depeszy. Co go skłoniło do zwrócenia się do mnie – nie wiem. Nie ulega wątpliwości, że w sprawach Litwy, oprócz polityki jawnej i urzędowej, prowadzą się w Warszawie zabiegi, intrygi, knowania różnych grup i elementów politycznych. W tej akcji niemałą rolę odgrywają i czynniki zaufane Piłsudskiego. Jestem prawie pewny, że depesza Sławka ma związek właśnie ze sprawą Litwy; szukanie dróg kontaktu z Litwinami dla uregulowania tej trudnej sprawy w duchu pożądań i uprawnień Polski z możliwym uwzględnieniem zasad czy pozorów wolności i woli ludów ziem litewsko-białoruskich jest jednym z najważniejszych i zarazem najtrudniejszych momentów tej sprawy. Wiedzą tam w Warszawie i przypominają sobie od czasu do czasu o tym, że ja jestem tym bodaj jedynym człowiekiem z Polaków litewskich, którego popularność i autorytet moralny na Litwie, a w szczególności zaufanie posiadane u Litwinów i całej demokracji krajowej, kwalifikuje do odegrania roli pośrednika w trudnych i skomplikowanych zadaniach misji do jakichkolwiek układów. Przypuszczam, że Sławek w tym celu chce się ze mną widzieć i prosić mię o przyjęcie na siebie jakichś w tym kierunku zleceń. Osobiście uważam, że Sławek mało się nadaje do traktowania o sprawach litewskich. Rozmawialiśmy z nim o tym nieraz, ale on w tej materii ma brak najelementarniejszej znajomości i czucia stosunków i zagadnień litewskich, a nie jest to umysł samodzielny i politycznie wielki. Ma on swoje nałogi poglądów i metod, swoje „*parti pris*"[110]. Nigdy się z nim dogadać nie mogłem i nawet się nie wysilałem. Jeżeli ma to być misja specjalna, to wątpię, czy bym ją w obecnych warunkach politycznych Litwy i z ramienia tych elementów przyjął, jeżeli zaś zajęcie jakiegoś stałego posterunku politycznego na Litwie, to odrzucę tym pewniej, bo obejmować coś na Litwie pod sztandarem okupacji polskiej – taką bowiem jest dziś Polski obecność i wkraczanie do Litwy – nie mogę. Zapewne jednak pojadę do Warszawy i zobaczę się ze Sławkiem, ale dopiero w końcu tygodnia przyszłego.

8 marca, rok 1919, sobota
Pracowałem dziś w sądzie, jak zwykle. Gotowałem się do sesji poniedziałkowej I instancji karnej. Praca w gabinecie moim jest chwilowo bardzo miła ze względu na towarzystwo panny Heleny. Teraz to już są rzeczywiście ostatnie dnie dogorywania Komisji Głównej i jej biura; toteż i p. Helena rychło pracować przestanie i stracę wówczas jej miłe towarzystwo, do którego tak przywykłem. Większą część dnia spędzamy w gabinecie we dwoje – ona i ja, bo p. Grygo dopiero od godz.5 po południu

[108] Kasprzycki Tadeusz (1891-1978), generał, żołnierz Legionów Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej.
[109] Skwarczyński Stanisław (1888-1981), generał, żołnierz Legionów Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej.
[110] (fr.) parti pris, uprzedzenie.

przychodzi. P. Helena ma swoją robotę, ja – swoją, ale odrywamy się od niej ciągle dla przeplatania jej żartami i figlami. Stosunek nasz jest pełny „*de la gaminerie*”[111], przekomarzamy się jak małe dzieci; p. Helena, przekorna z natury, umyślnie ćwiczy swoją zabawną przekorę, aby się bawić ze mną „*en gamain*”[112]. I dobrze nam tak ze sobą; humory zawsze dopisują, dowcip gra swobodnie i wesoło. Szkoda, że to się już tak prędko skończy. I ja tęsknić będę po niej, i ona z pewnością żałować będzie tych miłych chwil na poły dziecinnej zabawy.

9 marca, rok 1919, niedziela
Niedzielę dzisiejszą spędziłem częściowo na wizytach towarzyskich, częściowo zaś – wieczorem – na pracy w sądzie przy pisaniu wyroku motywowanego.
Przed obiadem poszedłem z Ewą z wizytą do p. Janowej Komarowej, siostry mojej nieboszczki teściowej Edwardowej Römerowej. P. Komarowa z całą rodziną, to znaczy z córką niezamężną i dwiema córkami zamężnymi wraz z ich mężami, a więc z Medardostwem Komarami z Giełgudyszek i z pp. Hilchen – uciekła z Litwy przed bolszewikami. Hilchenowie i Medardowie Komarowie pojechali do Warszawy, a p. Janowa Komarowa z córką niezamężną pozostała w Łomży, gdzie sobie mieszkanie wynajęła. Potem sam bez Ewy byłem z wizytą u podprokuratorów Grodzickiego i Maciejewskiego oraz u podprokuratora Lipki. Oprócz tego, miałem u siebie wizytę mego przyjaciela Żydka Wulfa Remby, mojego ławnika z Kolna. Remba jest moim wielkim adoratorem, uważa mię za jakiegoś nadczłowieka, żyjącego li tylko ideałami sprawiedliwości, abstrahującego się od wszelkich elementów życia osobistego. I ja go też lubię. Cenię w nim jego czystość moralną doskonałą, jego idealizm i dążenie do źródeł prawdy i wiedzy, tak niezwykłe u pospolitego sklepikarza miasteczkowego, żyjącego handlem, obarczonego liczną rodziną. Jest on takim samorodkiem jak kamień szlachetny, jak perła w śmietnisku, która nic ze swej natury na rzecz otoczenia nie traci.
Po obiedzie parę godzin spędziłem u Skarzyńskiego, który mię zaprosił do siebie na czarną kawę. Oprócz sędziego Skarzyńskiego z żoną i oprócz mnie, był tam jeszcze adwokat Czerwiński i nasz były sędzia, obecnie poseł do Sejmu – Adam Mieczkowski. Mieczkowski opowiadał dużo o Sejmie, o wrażeniach i spostrzeżeniach swoich, wreszcie snuł wnioski o sytuacji politycznej. Nie jest to polityk o pokroju męża stanu, jakaś wielka głowa polityczna; Mieczkowski jest sobie bardzo pospolitym śmiertelnikiem, szaraczkiem tłumu inteligenckiego; jest to człowiek dobry, miękki, wrażliwy, dający się powodować, pozbawiony wyraźnych mocnych przekonań, niezdecydowany, człowiek serca, ale nie woli i nie myśli. Mieczkowski należy do prawicy sejmowej, to znaczy do tzw. Związku Ludowo-Narodowego, wodzonego zręcznie przez endecję, która, choć robi z konieczności duże ustępstwa na rzecz popularnych haseł społecznych, nurtujących wszechpotężną dziś w Polsce społeczność chłopską, jednak po cichutku ostrożnie bierze za łeb ów Związek L.-N. W poufnej gawędce towarzyskiej Mieczkowski bezwiednie demaskował ukryte myśli i tendencje prawicy endeckiej, opiekującej się, a właściwie wodzącej za nos garść mniej uświadomionych chłopów. Ciekawe są uwagi Mieczkowskiego w stosunku do sprawy Litwy. Odzwierciedlają one dobrze nastroje popularne prawicy. Oczywiście na słowach mówi się o związku wolnych z wolnymi, równych z równymi, ale w rzeczywistości okazuje się, że chodzi o tereny kolonizacyjne, które mają służyć za piorunochron do złagodzenia ostrza reformy agrarnej w Polsce – oczywiście w pierwszym rzędzie piorunochronu dla ziemian.

[111] (fr.) de la gaminerie, psikusów, żarcików.
[112] (fr.) en gamin, swawolnie.

10 marca, rok 1919, poniedziałek
Dziś miałem już trzecią sesję karną I instancji. Stopniowo już się coraz bardziej czuję wprawny w kierowaniu tymi sesjami, jak również w wyrokowaniu. W charakterze oskarżyciela dziś stawał podprokurator Maciejewski, ławnicy zasiadali – Lasocki i Chełmiński, z których jeden ziemianin i drugi – mieszkaniec Łomży, inteligent, człowiek starszy. Ławnicy spośród ziemian wyróżniają się, jak to spostrzegłem, wybitną tendencją do skazywania na kary ostrzejsze, szczególnie w sprawach o kradzież. A spraw takich jest zwykle najwięcej. Nie ma chyba sesji bez takiej sprawy. Sprawy dziś były cztery, z nich dwie – drobne, dwie zaś – o kradzież. W jednej (o kradzież) uniewinniliśmy oskarżonego z braku cech przestępstwa (sam prokurator zrzekł się oskarżenia), w drugiej – skazaliśmy oskarżonych o kradzież i paserstwo na więzienie na różne terminy – od 3 miesięcy aż do roku i 2 miesięcy. Był to najostrzejszy wyrok, jaki w praktyce mojej wydałem, ale też kradzież i paserstwo były dowiedzione i kradzież komplikowała się jeszcze nadużyciem zaufania. Na ogół wszakże w mojej dotychczasowej praktyce karnej w Sądzie Okręgowym nie miałem spraw zbyt ciężkich, toteż dotąd wyroki moje były łagodne. Nie mam jeszcze na sumieniu nie tylko ciężkiego więzienia, ale nawet więzienia z pozbawieniem praw.
Otrzymałem dziś obszerny list od Witolda Abramowicza, który siedzi w Warszawie. Witold jest, zdaje się, pełny dobrej myśli, nie wątpi o realizacji swego programu odbudowania państwowego niepodzielnej Litwy (z Białorusią co najmniej po Mińsk albo Berezynę, ze stolicą w Wilnie) w związku federacyjnym (unii) z Polską. Litwa komunistyczna sowiecka, oparta o Rosję i Litwa narodowa samodzielna Taryby litewskiej – nie niepokoją go, zdaje się, wcale. Wzywa mię on do podjęcia starań w celu przeniesienia się z Łomży na stanowisko sędziowskie do Warszawy, obiecując, że przy poparciu da się to zrobić – abym był w centrum i gotował się do podjęcia na Litwie pracy organizacyjnej przy budowie sądownictwa i władz państwowych, gdy one powstawać zaczną. Wierzy on w to święcie i wierzy w to, że będą się one tam tworzyły jako władze i formy organizacyjne państwowe litewskie niepodległe, nie zaś z ramienia Polski metodą zarządu okupacyjnego. Jak jednak do tego przyjdzie – nie wiem, boć dotąd Litwa w gub. grodzieńskiej i wileńskiej zdobywa się wyłącznie orężem wojska polskiego, a przeto organizowanie jej ma i mieć może charakter tylko okupacyjny. Żeby Polska zrobiła z tej zdobyczy, jeżeli ją utrzyma i rozszerzy, dar Litwie na rzecz jej niepodległej budowy – to jest możliwe chyba o tyle, o ile z góry będzie miała zagwarantowany związek państwowy z Polską i to taki, w którym element polski i wpływy polskie w Litwie zostaną odpowiednio zastrzeżone na pewnika. Innymi słowy – ta unia czy federacja będzie wymuszona na niepodległości Litwy, będzie tej niepodległości ceną i warunkiem podyktowanym.

11 marca, rok 1919, wtorek
Fotografia Głównej Komisji Wyborczej udała się znakomicie. Wszyscy wyszli bardzo dobrze. Będzie to miła pamiątka.
Po obiedzie zostałem wezwany do telefonu. Rozmawiał ze mną Sławek z Warszawy. Nie omyliłem się co do tego, po co mię wzywał depeszą. Chodzi o jakieś porozumienie i układy z Litwinami, a przynajmniej o jakieś wstępne w tym kierunku kroki. Długo mi coś o tym opowiadał Sławek, ale zaledwie piąte przez dziesiąte dosłyszałem. Nie zorientowałem się więc należycie, czy ta inicjatywa pochodzi od Piłsudskiego, czy od sztabu generalnego, czy też od jakichś innych elementów, czy jest to w porozumieniu z tzw. Departamentem Litewsko-Białoruskim, istniejącym przy Ministerium Spraw Zagranicznych i kierującym urzędowo polityką w stosunku do Litwy oraz mającym sobie powierzoną organizację zarządu cywilnego na zajętych wojskowo obszarach

białoruskich i litewskich, czy w porozumieniu z kołami politycznymi Polaków litewskich i którymi, z jakimi grupami litewskimi są zamierzone pertraktacje itd. Wszystko to pozostaje do omówienia ustnego, a są to zagadnienia politycznie bardzo ważne. Przyrzekłem Sławkowi, że przyjadę do Warszawy osobiście dla rozmówienia się, najprawdopodobniej w ten piątek albo też w przyszłym tygodniu.

12 marca, rok 1919, środa
Dziś miałem pierwszą sesję karną apelacyjną. Obawiałem się jeszcze wczoraj, że będę miał duże trudności w prowadzeniu tej sesji, ponieważ dotąd w Sądzie Okręgowym poznałem rutynę prowadzenia tylko spraw I instancji, która się mocno różni, jako uroczystsza i formalniejsza, od sesji apelacyjnej. A chociaż postępowanie sądowe w sprawach apelacyjnych w Sądzie Okręgowym jest oparte na zasadach postępowania w sądach pokoju, które znam z mojej praktyki w Kolnie bardzo dobrze, to jednak są pewne elementy nowe, jakich w sądzie pokoju nie ma (udział prokuratora, większy nacisk na bezpośredniość i ciągłość rozprawy itd.). Oczywiście, że niepokoiły mię tylko trudności techniki proceduralnej – nie więcej. Wczoraj jednak omówiłem tę całą technikę szczegółowo z Tramplerem i wyjaśniłem sobie wszelkie wątpliwości, a przynajmniej najistotniejsze. Toteż poczułem się zaraz mocniejszy i pewniejszy siebie. I oto dziś wywiązałem się bardzo dobrze z zadania. Sesję przeprowadziłem jak najlepiej. Za ławników miałem pp. Chełmińskiego i Motela Białego (Żyda). Uczestniczył podprokurator Lipko. Sprawy zresztą były drobne, jak zwykle należące do właściwości sądu pokoju; zaledwie dwie były kradzieże, reszta – to pobicia i tzw. pyskówki (obelgi) oraz parę o samowolne wyręby leśne. Zresztą dziś waga tych spraw apelacyjnych redukuje się omal do zera, a to ze względu na amnestię z d. 8 II 1919, która darowuje całkowicie karę aresztu i grzywny za wykroczenia, spełnione przed datą amnestii. W sprawach zaś apelacyjnych z sądów pokoju są prawie wyłącznie kary aresztu i grzywny. Dzień był dzisiaj śliczny; pierwszy istotnie wiosenny dzień, pełny słońca i ciepły, pachnący wiosną jak ekstrakt życia.

13 marca, rok 1919, czwartek
Znowu ciepły i piękny dzień wiosenny, jeden z tych, kiedy żyć wesoło i kiedy wraz z słońcem cały świat zdaje się śmiać. Jak szczęśliwi muszą być mieszkańcy tych krajów, w których słońce świeci zawsze!
Sędzia Skarzyński prowadził dziś sesję karną I instancji. Jedną wszakże sprawę z tej sesji przekazał mnie do sądzenia, ponieważ w sprawie tej brał udział w posiedzeniu gospodarczym, na którym w toku śledztwa była rozpoznawana kwestia, czy nieletnia oskarżona działała ze zrozumieniem. Czynność tę uważał za śledczą, a że prawo nie pozwala sądzić sprawy temu sędziemu, który w niej prowadził śledztwo, więc Skarzyński się wyłączył. Wypadło mi więc parę godzin siedzieć na sesji. Była to sprawa pewnej dziewczynki, obecnie 17-letniej, oskarżonej o kradzież przed dwoma laty 700 rubli od sąsiadki, zaszytych do stanika, który dziewczyna ta w tym celu po kryjomu zabrała i po wypruciu pieniędzy porzuciła. Oskarżenie opierało się prawie wyłącznie na zeznaniu koleżanki dziewczyny, która udzieliła zeznań, bardzo ciężko poszlakujących oskarżoną. Uznaliśmy też ją za winną i skazaliśmy – ze względu na nieletniość – na 8 miesięcy zwykłego więzienia.
Jutro więc jadę do Warszawy.

14 marca, rok 1919, piątek
Rano o godz. 7 ½ wyjechałem z Łomży i koło godz. 3 po południu przyjechałem do Warszawy. Wprost z Dworca Wiedeńskiego udałem się do Ludwika Abramowicza.

Zastałem go w domu i u niego Helę Ochenkowską. Hela nie mieszka już teraz z Abramowiczem, bo w Warszawie jest teraz jej matka, stryjenka Alfredowa Römerowa[113], z którą Hela mieszka razem. Ale że wilka ciągnie zawsze do lasu, a kobietę – do kochanka i to tym bardziej, im wiek kobiety jest późniejszy i im ta miłość ma bardziej cechy ostatniej, której się trzymać już trzeba oburącz, bo z nią uciekłaby już na zawsze młodość i ostatnie blaski szczęścia i życia – więc Hela, choć już nie mieszka, ale wciąż przebywa u Ludwika Abramowicza. Mieszka natomiast obecnie z Ludwikiem Abramowiczem w jego mieszkaniu Janek Klott, którego, niestety, nie zastałem w domu. Żałuję, bo się z nim szczerze zobaczyć po kilku leciech niewidzenia chciałem. A że dziś wieczorem Klott wyjechał w jakimś interesie służbowym (ma on posadę doradcy prawnego w Ministerium Zdrowia) do Krakowa, więc się z nim już tym razem nie zobaczę wcale. Ludwik Abramowicz ma znowu jakieś dolegliwości; ma całą twarz i szyję pokryte wrzodami, które się nie goją i coraz to w nowym miejscu wyrastają. Biedny Ludwik Abramowicz ma nie tylko tę jedną biedę fizyczną z wrzodami; gorsze dlań jest to, że jest wykolejony i wysadzony z siodła swej dotychczasowej działalności. W jego politycznej karierze na arenie spraw polskich Królestwa nastąpiło załamanie się przez bankructwo i rozwiązanie całej koncepcji austrofilskiej, której wyrazicielką była nieboszczka Liga Państwowości Polskiej, formacja, do której Abramowicz należał czynnie. Wraz z ogółem aktywistów wykolejeniu musiał ulec i on. Ale co jest dla Ludwika Abramowicza boleśniejsze – to, że został on brutalnie i bezwzględnie wyparty z łożyska polskiej urzędowej polityki litewskiej, w której poprzednio i aż do schyłku r. 1918 grał on jedne z pierwszych skrzypiec jako referent spraw litewsko-białoruskich w dawnym tzw. Departamencie Stanu i późniejszym Ministerium Spraw Zagranicznych. Jego kierunek państwowo-litewski, stojący mocno na stanowisku niepodzielności i państwowości Litwy, zdecydowanie wrogi tendencjom aneksyjnym polskim, kierunek, coraz bardziej i coraz konsekwentniej przez Abramowicza forsowany, był już od dawna solą w oku wszystkim tym, którzy szukali dróg dla polityki państwowej ekspansji Polski na Litwę i odpowiednimi wpływami obsadzić chcieli główną urzędową placówkę polityki litewskiej w Polsce. Zarówno koła, interesujące się sprawami Litwy w Warszawie, jak organizacje Polaków litewskich w Wilnie z czasów przedbolszewickich, jak zwłaszcza potem skupiające się w Warszawie ogniska polityki Polaków litewskich (tzw. Komisja Litewska), a tym bardziej potem emigracja polska z Litwy, napływająca do Warszawy tłumnie i ogarnięta jedną myślą o powrocie do Litwy – do swych majątków i wpływów – pod zbrojną opieką wojsk państwa polskiego – zwracały się przeciwko Abramowiczowi, dążąc do zdobycia w swoje ręce urzędowe placówki polityki litewskiej. Z wielką oczywiście łatwością zostało to zrobione. Dokonał tego Władysław Zawadzki[114], sprytny i obrotny. Skorzystał on z wyjazdu Abramowicza w grudniu do Wilna i w tym czasie dokonał pod egidą ówczesnego ministra Leona Wasilewskiego (socjalisty) reformy Departamentu Litewsko-Białoruskiego w Ministerium Spraw Zagranicznych, wysuwając na czoło niejakiego Kolankowskiego[115], Galicjanina, który o sprawach Litwy pojęcia nie ma, a pod którego płaszczykiem objął cichy ster spraw Zawadzki jako naczelnik wydziału, zwąchany dokładnie z całą emigracją obszarniczą z Litwy, która pod firmą Komitetu Obrony Kresów rozpoczęła akcję agresywno-zaborczą na rzecz polityki oswobodzenia Litwy. Ludwik Abramowicz formalnie usunięty nie

[113] Römerowa Wanda z Sulistrowskich, żona Alfreda Römera (1832-1897), znanego malarza, rzeźbiarza, rytownika.
[114] Zawadzki Władysław (1885-1939), ekonomista, działacz polityczny; 1919 profesor USB.
[115] Kolankowski Ludwik (1882-1956), historyk; II – V 1919 naczelny komisarz Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich.

został i dotąd pensję pobiera, ale już zupełnie odsunięty został od biegu polityki litewskiej. Opozycja demokratyczna, skupiająca Polaków litewskich, z Witoldem Abramowiczem i Jankiem Piłsudskim na czele, która dąży do przeciwdziałania wpływom i kierunkowi reakcji obszarniczej w polityce litewskiej, również trzyma się z dala od Ludwika, który uchodzi w jej oczach omalże nie za litwomana. Słowem – pozostał zupełnie samotny i wykolejony, co go boli srodze. Jutro zreferuję o ciekawych rzeczach z mojej rozmowy ze Sławkiem.

15 marca, rok 1919, sobota
Jeszcze wczoraj, pierwszego dnia mojego pobytu w Warszawie, zobaczyłem się i rozmawiałem ze Sławkiem. Ponieważ do sztabu generalnego już było iść za późno, więc udałem się do prywatnego mieszkania Sławka przy placu Wareckim. Około godz. 9 zastałem go tam. W tymże czasie zgromadzali się u niego akurat Wilnianie z grupy demokratycznej Witolda Abramowicza na swoje zebranko, tak że przy tej okazji zobaczyłem się z wielu z moich bliskich znajomych wileńskich. Ale o nich innym razem. Ze Sławkiem rozmówiliśmy się na osobności. Na zebranko Wilnian przyszedł także Prystor[116], PPS-owiec, jeden z zaufanych Piłsudskiego, który też był wtajemniczony w sprawę mego przyjazdu i tych zadań, które mi Piłsudski zlecić zamierza. Sławek, korzystając z tego, wyznaczył mi na dziś rano drugie spotkanie już z udziałem Prystora. Odbyłem więc dwie konferencje, jedną z samym Sławkiem wczoraj, drugą dziś z nim i Prystorem. O rozmowach tych i ich wyniku zreferuję bezpośrednio niżej. Po tych rozmowach już więcej nie miałem nic w Warszawie do roboty, a że siedzieć tu jest drogo, a tymczasem w Łomży czeka mię w sądzie praca zaległa, więc pociągiem popołudniowym odjechałem i w nocy już byłem w Łomży.
Nie omyliłem się, wnosząc po otrzymaniu depeszy Sławka, że chodzi o mój udział w polityce litewskiej Piłsudskiego. Sławek mi rzecz tę przedstawił w sposób następujący. Wiadomo jest, że oddziały wojska polskiego już od pewnego czasu wkroczyły na Litwę i, będąc w otwartej walce z bolszewikami, którzy zajmują Białoruś i wschodnią Litwę z Wilnem, posunęły się dość znacznie na wschód i, jak dotychczas, z powodzeniem. Oddziały te na Polesiu posunęły się już poza Pińsk, a w kierunku Baranowicz zajęły już Słonim i nawet cząstki powiatu lidzkiego. Akcja ta wszakże dotychczas miała jeszcze charakter przeważnie partyzancki. Oddziały te składają się z doraźnych formacji nieregularnych, które się potworzyły samorzutnie z garstek młodzieży ziemiańskiej z Litwy, z różnych rozbitków samoobrony polskiej, która się tworzyła na Litwie przed wkroczeniem bolszewików oraz z tzw. dywizji litewsko-białoruskiej, tworzonej przez generała Iwaszkiewicza[117] dość niezdarnie pod egidą tzw. Komitetu Obrony Kresów, organizacji obszarniczej, wstecznej, będącej w ręku emigrantów ziemian z Białej Rusi i Litwy. Ta dywizja litewsko-białoruska, rekrutowana z szerokim szafowaniem grosza publicznego z elementów bardzo mieszanych i niewyraźnych, ma nie tyle charakter wojska polskiego narodowego, ile charakter jakiegoś zaciągu najemnego na służbę interesów obszarnictwa litewsko-białoruskiego. Akcja wojskowa polska na wschodzie ma dotąd cechę partyzanckich zagonów. Za oddziałami tymi wkracza na zdobyte tereny Litwy i Białej Rusi administracja cywilno-wojskowa polska, tworzona przez tzw. Departament Litewsko-Białoruski przy Ministerium Spraw Zagranicznych. Departament ten jest w bardzo znacznym stopniu opanowany wpływami tychże

[116] Prystor Aleksander (1874-1941), działacz polityczny, pułkownik; od 1904 w PPS, bliski współpracownik J. Piłsudskiego.
[117] Iwaszkiewicz-Rudoszański Wacław (1871-1922), generał, oficer armii rosyjskiej; 1917-1918 w I Korpusie Polskim w Rosji; od 1918 w wojsku polskim; III – V 1919 dowódca i organizator 1 Dywizji Piechoty Litewsko-Białoruskiej.

obszarników i jest w bliskim kontakcie, a omalże nie w zależności od tegoż Komitetu Obrony Kresów, organizacji *par excelence* obszarniczej. Stąd polityka administracyjna polska w stosunku do zdobywanych czy, jak to się szumnie mówi, „oswobadzanych" powiatów litewsko-białoruskich ma, niestety, cechę przywracania na Litwie władzy obszarników, charakter na wskroś reakcyjny, zmierzający do restauracji starych niewolnych stosunków społecznych. Wyraziło się to już w różnych nominacjach zarządu cywilnego na zajętych – w istocie okupowanych, a nie wyzwolonych – terenach litewsko-białoruskich, w różnych zarządzeniach i w samowoli wojskowej. Oczywiście, że to ludności krajowej dla Polski zjednywać nie może i że służy to wyłącznie apetytom społecznym krótkowzrocznych żubrów obszarniczych. Otóż temu kres chce położyć Piłsudski.

16 marca, rok 1919, niedziela
Będę pisał w dalszym ciągu o mojej rozmowie warszawskiej i propozycjach Sławka. Jest to o wiele ciekawsze od tego, co mógłbym o moich pospolitych dniach roboczych w Łomży pisać. Pomimo niedzieli byłem tu dziś zajęty pracą – pisaniem wyroków motywowanych.
A więc *ad rem*. Zaznaczyłem wczoraj, jaki charakter ma wkraczanie wojsk polskich na ziemie litewsko-białoruskie w dotychczasowym stadium tej akcji. Charakter to jest smutny i opłakany, który z pewnością nie może się przyczynić do podniesienia aureoli Polski w pojęciach i sympatiach miejscowego ludu i nie sprzyja bynajmniej idei jakiegoś dobrowolnego związku tych ziem z państwem polskim. Zdobycie, zabór, aneksja – to są wszystko rzeczy możliwe, zależne od siły Polaków, od słabości Białorusinów, względnie Litwinów, od większej też lub mniejszej mocy zbrojnej bolszewików, którzy tych ziem przeciwko Polsce „bronią", wreszcie – od dalszych postanowień Koalicji, która w ostatniej instancji regulować będzie i ustalać granice i warunki bytowania państwowego poszczególnych ludów i ziem. Ale zabór a związek dobrowolny – to są rzeczy różne. Dużo zaszkodzili popularności i imieniu Polski u ludu białoruskiego dowborczycy w czasach ich okupacji wojskowej w Bobrujsku i przyległych powiatach, a teraz dalej szkodzą wkraczające wojska i posuwająca się za nimi administracja cywilna. Dogadzać to może tylko obszarnikom, tylko tej kaście „żubrów", która bankrutuje wszędzie pod tchnieniem rewolucji i rada by przy pomocy krwi żołnierza polskiego, spekulując na sentymentach i interesach politycznych Polski w stosunku do Litwy, wrócić do swoich majątków – źródła władzy i wpływów – i pod sztandarem patriotyzmu i polskości, pod frazesem kultury i wielkiej misji historycznej Polski na wschodzie, panować dalej nad tą ziemią biedną i nad chłopem. Zaiste – przywrócenie przewagi i politycznego panowania obszarników na Litwie i Białej Rusi złą oddaje usługę sprawie polskiej i nie może zjednać ludu, zwłaszcza po wygnaniu bolszewików, którzy bądź co bądź, pomimo wszelkich błędów i wad ich rządów, zapewniali ludowi posiadanie ziemi z obszarów dworskich, radykalnie usunęli obszarników od wszelkiej władzy i przewagi i głosili ludowi wyzwolenie bezpośrednie i swobodę wszelkich decyzji. Otóż tu wchodzi w grę moment polityki, czy raczej jeszcze dotąd tylko idei osobistej Piłsudskiego, który zdecydowany jest ją obecnie realizować, zacząć ze zwykłą mu stanowczością postanowień tworzenie faktów dokonanych oraz metodą konspiracyjnego wytwarzania odpowiedniej polityki. W najbliższym czasie akcja zbrojna wojskowa na Litwie, jak mi mówił Sławek, ma być rozpoczęta. Nie będzie to już tylko partyzantka i wypuszczanie zagonów samorzutnych, ale akcja regularna, do której Piłsudski największą wagę przykłada, łącząc ściśle jej moment wojskowy z politycznym. Główne dowództwo wojskowe tej akcji ma być całkowicie zreformowane. Już obecnie generał Iwaszkiewicz, kreatura niefortunna polityki

obszarników, został z Litwy odwołany i przeniesiony gdzieś na front lwowski. Już został też, zdaje się, mianowany na Litwę na jakieś stanowisko wojskowe (a kto wie, czy nie polityczne także, choć poufnie) generał Szeptycki, który w ostatnich czasach jest w bliskim kontakcie z Piłsudskim. Ale to mniejsza, to są epizody. Jak zrazu wniosłem ze słów Sławka, na czele dowództwa wojsk, wkraczających na Litwę, których celem bezpośrednim będzie oczywiście Wilno, stanąć ma osobiście sam Piłsudski. Pochód, zamierzony przez Piłsudskiego na Wilno, opromieniony jest w jego pojęciu wielką ideą Wyzwolenia, o której już jutro napiszę. Ideę tę marzy Piłsudski i pragnie ją czynić. Z nią się też wiąże wezwanie mnie do Warszawy.

17 marca, rok 1919, poniedziałek
W sądzie tylko wyroki i wyroki, a potem znowu przygotowanie się do spraw na zbliżające się sesje. Roboty huk. Sama motywacja wyroków jest pracą ciężką, która dużo czasu zajmuje, a tu i nowe sprawy coraz cięższe się piętrzą. Dziś czytałem akta spraw na sesję czwartkową I instancji, którą będę prowadzić. Będą tam duże skomplikowane sprawy wielokrotnych kradzieży. Będzie to najtrudniejsza sesja z tych, które dotąd miałem. W wydziale karnym praca jest ogromna. Stanowczo jesteśmy ze Skarzyńskim przeładowani. Chyba że wydział cywilny jest mniej przeciążony, szczególnie, że jest tam trzech sędziów, podczas gdy w karnym jest nas tylko dwóch. Wracam do rozmowy ze Sławkiem i do relacji planów Piłsudskiego. Otóż Piłsudski chce pochodowi wojsk polskich na Litwę nadać charakter wielkiego dzieła wyzwolenia, wolności i demokracji ludowej. W jego pojęciu i woli, wojsko polskie ma tam przychodzić nie jako to, które na ostrzu bagnetów przynosi zabór lub zwiastuje przywrócenie znienawidzonej przez lud przewagi obszarników, lecz jako to, które usuwa z Litwy przemoc sił obcych czy to bolszewickich (rosyjskich), czy niemieckich i otwiera ludności i ludom miejscowym możność swobodną tworzenia własnej państwowości krajowej i określenia swojej woli i związków politycznych na przyszłość. W tym celu, wkraczając na Litwę, Piłsudski stawia sobie za jedno z pierwszych zadań, aby w miarę możności jak najszybciej zastępować zarząd cywilny, tworzony z ramienia Polski, przez samorząd, wytwarzany przez i z łona ludności miejscowej. Ażeby zdobyć zaufanie ludów ziem litewskich i białoruskich, chce on, żeby Polska, przez swój wewnętrzny kierunek rozwoju, stała się dla tych ludów atrakcją i siłą, która promieniuje nie tylko mocą fizyczną, ale i blaskiem tych idei i tych reform, które w niej się dokonywują. Dlatego Piłsudski pragnął, aby marszałkiem Sejmu Ustawodawczego był Witos, chłop, pomimo że osobiście Witos niezupełnie nawet odpowiada Piłsudskiego i lewicy demokratycznej politycznym tendencjom. To się zresztą nie stało – Witos marszałkiem nie został. Dlatego też teraz Piłsudski pragnie, aby Sejm jak najrychlej uchwalił przynajmniej zasady i wytyczne reformy agrarnej, aby to nastąpiło jeszcze przed rozpoczęciem kampanii litewskiej. Dlatego też w tym celu Piłsudski, a raczej jego ludzie i będące z nim w poufnym kontakcie grupy polityczne lewicy i kluby w Sejmie, pracują usilnie nad scementowaniem wielkiego międzypartyjnego związku chłopskiego w Sejmie, łączącego ludowców PSL z centrowymi formacjami grupy „Piasta” (witosowcy) i Polskiego Zjednoczenia Ludowego (grupa ks. Blizińskiego[118]), a nawet ewentualnie chłopów ze Związku Ludowo-Narodowego, dla skonsolidowania stałej większości chłopskiej przeciwko prawicy, poruszanej przez ND. Polska, która jest republiką ludową i w której o monarchii mowy już być nie może, Polska, której Sejm jest *par excellence* chłopski (cokolwiek bądź by się o Sejmie mówiło i jakkolwiek bądź by się wnioskowało o większości, jaka się w nim może wytworzyć – społeczne oblicze

---

[118] Bliziński Wacław (1870-1944), ksiądz, działacz społeczny; 1917-1918 prezes Zjednoczenia Ludowego, od 1919 w PSL „Piast”, od 1937 w Obozie Zjednoczenia Nar., 1938-1939 senator.

Sejmu jest określone: jest ono chłopskie), a jeszcze Polska, która by już posiadała ustaloną większość chłopską w Sejmie, Polska, która ogłosiła już u siebie zasady wielkiej reformy agrarnej na rzecz ludu, taka Polska nie byłaby dla ludów Litwy i Białej Rusi rzeczniczką władzy obszarników, jeno symbolem i narzędziem wolności politycznej i społecznej. Słowem – marzy się Piłsudskiemu na Litwie polityka wielkiego hasła „Za naszą wolność i Waszą!”.

18 marca, rok 1919, wtorek
Do obiadu byłem zajęty pisaniem wyroków motywowanych, po obiedzie – przygotowaniem się do spraw apelacyjnych na sesję jutrzejszą. Tak mi cały dzień na tej powszedniej pracy upłynął.
Wracam do mojej rozmowy ze Sławkiem. Taki jest program Piłsudskiego w zamierzonej kampanii wojennej i politycznej na Litwie. Piłsudski chce wkroczyć na Litwę – czy to bezpośrednio i osobiście, czy tylko przez podległe i kierowane przez niego dowództwo wojsk, skierowanych na Litwę – jako liberator Litwy i jej ludów oraz jej praw, jako ten, który niesie nie zabór i niewolę, nie panowanie klasy nad klasą, stanu nad stanem, lecz prawo dla ludności swobodnych postanowień i uszanowanie dla jej woli. Swoboda na zewnątrz i wolność wewnętrzna – oto tezy, które, w pojęciu Piłsudskiego, Litwa ma otrzymać od akcji polskiej. Piłsudski i jego ludzie wiedzą, że wykonanie tego programu nie jest łatwe. Wiedzą, że jeszcze w samej Polsce reakcja zwyciężona nie jest i za taką się nie uważa; że tu jeszcze dąży ona do władzy i że ma potężne jeszcze środki i wpływy po temu; że zarówno wewnątrz narodu polskiego ma ona głębokie jeszcze punkty oparcia – w szczególności rozporządza silną grupą w Sejmie, bardzo zręcznie ujmowaną przez czynniki Narodowej Demokracji, ogarniającą nawet znaczną część posłów chłopskich, poza tym, ma ogromne źródło wpływów w Poznańskiem, gdzie niemal niepodzielnie władzę i wpływy dzierży, a i w samym Królestwie na znacznych jeszcze terenach dzierży przewagę – jak na zewnątrz ma w ręku najpoważniejsze posterunki u wszechpotężnej dziś Koalicji i Konferencji Pokojowej przez Komitet Narodowy w Paryżu i przez Romana Dmowskiego; że emigracja obszarników z Litwy i Białej Rusi jest silna wpływami i pieniędzmi w Warszawie i że złamanie jej wpływów i dążeń w polityce litewskiej, wręcz przeciwnej założeniom litewskiej polityki Piłsudskiego, nie jest rzeczą prostą i łatwą, tym bardziej, że operuje ona nie tylko hasłami frazesu narodowego, ale też schlebia ambicjom imperializmu młodego państwa polskiego i, co najważniejsze, operuje społecznymi i ekonomicznymi argumentami na rzecz kolonizacji polskiej na wschodzie i ekspansji chłopskich pożądań ziemi i że potrafiła już wejść głęboko i osaczyć tzw. Departament Litewsko-Białoruski, czyli Departament Polskich Ziem Wschodnich, jak się on ma obecnie nazywać, który ma decydującą rolę w organizowaniu zarządu cywilnego na zajmowanych wojskowo ziemiach litewsko-białoruskich. Rozumie też Piłsudski i jego ludzie, że nie tak łatwo jest zdobyć na kredyt zaufanie ludów Litwy i Białej Rusi, tych mas litewskich i białoruskich ludowych, narodowo odrębnych , które wyczuwają intencje obszarników swoich w tym pochodzie wojennym Polaków. Są, a nawet muszą być do Polski nieufne, dopóki nie przekonają się, że niesie ona im istotnie nie gwałt, a wolność. Wytworzenie się tego zaufania nie jest rzeczą prostą i łatwą, dopóki fakty nie przemówią do przekonania i do serc tych ludów. Dlatego, z jednej strony, trzeba wytwarzać te fakty w stosunku do tej ludności przez odpowiednie traktowanie jej, nie drażnienie, nie wnoszenie tam metod okupacyjnych zarządu, a tym bardziej metod „plantatorskich”, przeciwnie – organizowanie jak najrychlej demokratycznego samorządu, opartego na czynnikach krajowych, z drugiej strony – nawiązanie kontaktu i porozumienie się między wytycznymi litewskiej polityki Piłsudskiego a

demokratycznymi elementami krajowymi ludu, w pierwszym więc rzędzie – Litwinami i Białorusinami, by w nich zyskać sojuszników i współwykonawców programu Piłsudskiego w zwalczaniu tendencji „żubrów"-obszarników i właściwie reakcji polskiej. Z tego programu polityki litewskiej Piłsudskiego wynika koniecznie oparcie się Piłsudskiego na ludowym czynniku litewsko-białoruskim w kraju. Stąd z konieczności Piłsudski, jeżeli tylko konsekwentnie na tę drogę wejdzie i nią kroczyć będzie, musi ze zdobywcy polskiego zejść na stopę rycerza wolności i państwowości Litwy. Oby tak było! Oby logika dzieła i ducha oraz kariery dziejowej Piłsudskiego przywróciła go jego istotnej i rodzimej Ojczyźnie – Litwie! I, zdaje się, zaród tej myśli już się rodzi w pewnym rodzaju idei cezaryzmu łączonego z imieniem Piłsudskiego w stosunku do Litwy u jego ludzi, o czym jutro pisać będę. Czy tylko jednak Piłsudski pójdzie głęboko i mocno po tej linii?! Są to bowiem dopiero genetyczne mgławice tej drogi.

19 marca, rok 1919, środa
Miałem dziś sesję apelacyjną karną. Zakończyła się bardzo szybko; choć została zaczęta po godz. 10, do obiadu się skończyła. Dużo spraw uległo z różnych przyczyn odroczeniu.
Wracam do sprawy polityki litewskiej Piłsudskiego. Stwierdzam, że logika jego programu doprowadziłaby go do stanowiska rzecznika i rycerza praw państwowych Litwy oraz orędownika wolności narodowej Litwinów i Białorusinów, ewentualnie nawet przeciwko Polsce, której intencje w stosunku do Litwy, aczkolwiek strojone – w niektórych kołach nawet w najlepszej wierze – w hasła „równych z równymi, wolnych z wolnymi", dyszą przecież, co jest zresztą naturalne, przede wszystkim własnym Polski interesem, podporządkowującym sobie interesy Litwy jako takiej; toteż Polska z jej stanowiska zawsze bądź co bądź będzie się liczyła z obszarnikami polskimi z Litwy i Białej Rusi jako czynnikiem oparcia się dla jej tendencji państwowych i choćby nawet miała na myśli metody demokratyczne i nie chciała „*purement et simplement*"[119] przywracać przewagi obszarniczej na Litwie, to jednak przecie obszarników tych oszczędzać będzie, bo ma w nich narzędzie rezerwowe swych wpływów, gdyby inne zawiodły. Dlatego też droga logiczna idei i metody demokratycznej i ludowej w polityce litewskiej musi zawsze doprowadzić konsekwentnie do przyjęcia rzecznictwa sprawy Litwinów i Białorusinów – ewentualnie przeciwko Polsce. Powiadam – ewentualnie, bo nie wykluczam w warunkach dziejowych dużej nieraz zbieżności interesu państwowego Litwy i Polski, jeno w formie nie podporządkowania, lecz solidaryzmu.
Nie twierdzę wszakże bynajmniej, że Piłsudski i jego ludzie dojdą po drodze inicjowanej przez nich polityki litewskiej do tego patriotyzmu litewskiego. Co do jego ludzi, to nie dojdą oni już choćby dlatego, że są z krwi i kości Polakami i patriotami i że gdy zajdzie kolizja między Litwą a Polską na ich własnej linii, to staną oni, choćby wbrew konsekwencji, po stronie Polski. Że idą oni na tę linię, to się tłumaczy w dużym stopniu ich nieświadomością skomplikowanych stosunków i zagadnień sprawy litewskiej i pewnym doktrynerstwem ich założeń ideowych, będących w pewnej sprzeczności z ich bądź co bądź nacjonalizmem. Co zaś do samego Piłsudskiego, to co do niego, prędzej bym dał wiarę, że może on pójść i dojść konsekwentnie do logicznych wniosków zainicjowanego programu, bo jest to wielki człowiek prostych i niezłomnych dróg, jak wszyscy ludzie czynów i faktów; poza tym, wierzę w instynkt jego krwi i rasy oraz ducha, który jest przecie kość z kości, charakter z charakteru Litwy. Powiadam –

[119] (fr.) Purement et simplement, po prostu.

prędzej bym dał wiarę, ale przecież jej nie daję. A nie daję dlatego, że w warunkach działania, w jakich by się ta polityka litewska Piłsudskiego mogła dziś dokonywać, są przeszkody, które do realizacji tej konsekwencji chyba nie dopuszczą. Pierwsze jest to, że Piłsudski bądź co bądź zmuszony byłby wykonywać swą politykę litewską środkami polskimi, w pierwszym rzędzie wojskiem, a więc krwią polską. To jedno uniemożliwia przedmiotowo przeciwstawienie się jego Polsce w którymkolwiek momencie działania. Pozostałby natychmiast bez środków – w próżni. Drugie jest to, że nie posiądzie on tak łatwo zaufania i wiary Litwinów i Białorusinów i że nie dadzą mu oni na kredyt tego poparcia, które by mu było potrzebne dla zupełnej swobody i sprężystości wykonania tych elementów jego polityki, które by w pewnym momencie wymagały ewentualnego przeciwstawienia się Polsce. Zresztą jestem pewien, że ani Piłsudski, ani tym mniej jego ludzie nie przewidują dziś ewentualnych konsekwencji inicjowanej polityki w przeciwstawianiu się Polsce. Są to tylko moje osobiste wnioski z logiki tej inicjowanej polityki i jej idei, logiki, która nie leży w intencjach jej rzeczników. Ale bądź co bądź ludzie Piłsudskiego – a może to jest nawet jego własną myślą i ambicją tajną – myślą i dopuszczają taką rzecz, jak Rzeczpospolita Litewska Ludowa z prezydentem Józefem Piłsudskim na czele, sfederowana z Polską. Bądź co bądź – to znamienne i potwierdza moją tezę o logice rzeczy. Słyszałem to z ust Sławka.

20 marca, rok 1919, czwartek
Dziś miałem dzień wypełniony sesją karną I instancji. Spraw było wyznaczonych na wokandę cztery, ale z nich trzy olbrzymie; we wszystkich trzech zachodził zbieg przestępstw: w jednej – jedenaście kradzieży, dokonanych w bandzie, w drugiej – cztery kradzieże, w trzeciej – oskarżenie sołtysa o cały szereg nadużyć, na które się złożyło osiem pojedynczych zarzutów, takich jak wymuszanie łapówek, przywłaszczanie powierzonych sum pieniężnych, ściąganie nielegalnych podatków, oszustwo itp.; wreszcie czwarta sprawa była drobna – kradzież kufra z rzeczami z wagonu bagażowego przez konduktora na stacji kolejowej Małkiń; ta ostatnia sprawa nie była wprawdzie drobną co do wagi przestępstwa, ale była prostą i nieskomplikowaną, a przez to łatwą i krótką, bo kradzież była zupełnie ujawniona i oskarżony do winy się przyznał. Sprawa sołtysa Rogalskiego była wyznaczona najwcześniej – na godz. 10 rano, ale zanim się zebrali ławnicy i zanim można było rozpocząć, była już godz. jedenasta. Świadków w tej sprawie było 20. Do obiadu, to znaczy do godz. 1, zdołaliśmy zbadać zaledwie 10 świadków. Po obiedzie sprawa ta, pierwsza z czterech, przeciągnęła się do godz.7 wieczorem. Odsłoniła ona ohydne tło demoralizacji, która grasowała w stosunkach wiejskich za czasów okupacji, gdy pod osłoną żandarmów niemieckich i władz okupacyjnych grasowała kompletna samowola sołtysów i wójtów, narzuconych wsiom i gminom przez Niemców. Rozwydrzenie samowoli, nadużyć i gwałtów, zupełny zanik zasad praworządności, rozzuchwalenie bezkarności pod osłoną protekcji niemieckiej – dosięgło zenitu. Mimo woli w toku tej rozprawy sądowej przychodziło mi przez myśl, że okupacja jest zawsze okupacją, wszędzie mniej więcej taka sama i że z pewnością niewiele lepsze wzory stworzyłaby ona na Litwie, gdyby była polską; zresztą był już przykład z rządami i rozpasaniem samowoli pod okupacją wojenną I korpusu polskiego Dowbora-Muśnickiego w Bobrujsku. Ludzie są wszędzie ludźmi, ze wszystkimi ich wadami, nałogami i instynktami, a okupacja ma tę stronę, sprzyjającą demoralizacji i samowoli, że ustala rządy nieodpowiedzialne, bez kontroli z dołu, wykluczając prawo. Zaiste, okupacja, gdyby z nią miało być połączone wkroczenie wojsk polskich na Litwę, nie przyczyniłaby się tam do spopularyzowania Polski u ludu. Ale wracam do sprawy. W takiej sprawie, jak sołtysa Rogalskiego, należałoby posadzić na ławie oskarżonych nie

jakiegoś nieszczęsnego sołtysa, ciemną ofiarę demoralizacji, ale żandarmów niemieckich, całą administrację okupacyjną, wreszcie sam system okupacji. Toteż w rezultacie skazaliśmy Rogalskiego tylko na dwa miesiące więzienia. Potem poszła krótka sprawa kradzieży kolejowej w Małkini, za którą skazaliśmy oskarżonego na 1 ½ roku więzienia z pozbawieniem praw, wreszcie sprawa o cztery kradzieże, która została odroczona. Była już godzina po ósmej, toteż czwartą sprawę odłożyliśmy na jutro. Miłych miałem dziś ławników – p. Chełmińskiego i aptekarza Komornickiego. Coraz lepiej się już czuję na sesjach karnych, coraz mocniej panuję nad biegiem rozprawy. Sesje i wyroki, wyroki i sesje; płynie to tak jedno po drugim jak woda, a dzień od rana do wieczora zajęty robotą; brak czasu nawet na zastanowienie się nad czymś innym. Robota tak pochłania jak bagno, gdy się stąpi na nie. A powszedniość i równy ciągły jednostajny tok roboty zawodowej tak działa psychicznie na człowieka, tak go w doskonałą machinę roboczą zamienia, że zaczyna się zdawać, jakby ta robota zawodowa była już moim wieczystym prawem, które jest bez początku w przeszłości i bez końca w przyszłości. Trzeba dopiero zrobić wysiłek, żeby się od tego poczucia ciągłości i nieprzerwalności oderwać i uprzytomnić sobie, że mogą mię gdzieś czekać jakieś inne zadania. I zdaje się być jakąś fantastyczną i nieprawdopodobną bajką, urągającą rzeczywistości mego zawodu, ta myśl, że oto może wkrótce będę musiał od tej pracy się oderwać i jechać w misji politycznej do Kowna. Tak mi się to wydaje dalekim od codziennej rzeczywistości. I niemal fantazją się staje cała moja rozmowa ze Sławkiem i Prystorem.

21 marca, rok 1919, piątek
Dzień dzisiejszy – znów to samo: wyroki, wyznaczanie nowych i odroczonych spraw apelacyjnych na dalsze wokandy. Sprawa, odłożona z dnia wczorajszego na dzisiaj, nie była sądzona, bo z powodu niestawiennictwa świadków musiała być odroczona. Jedyna moja rozrywka i pociecha w tej nieustającej robocie od rana do wieczora, nieraz nużącej i wyczerpującej bardzo, mimo że ją na ogół lubię, to panna Helena, która wciąż jeszcze w gabinecie moim, jak ostatni widomy znak Głównej Komisji Wyborczej, pracuje. O p. Helenie i moim do niej stosunku napiszę może nawet jutro. Dziś jeszcze przejdę do tematu planów Piłsudskiego.
To, co pisałem w tej sprawie w dzienniku pozawczoraj – to tylko dywersja moich wniosków osobistych z założeń litewskiego programu Piłsudskiego, takiego, jak mi go Sławek przedstawił. Ze Sławkiem o tym, com pisał tu pozawczoraj, nie mówiłem. Z pewnością oni ani też zapewne sam Piłsudski tak daleko nie idą. Tym niemniej faktem jest, że idea i program Piłsudskiego, zresztą w zupełnej zgodzie z całą ideą ogólną Piłsudskiego, zmierza do tego, aby w Litwie wytworzyć fakt dokonany jej państwowości, rozwinąć jej siły czynne, dać im się zorganizować i tą drogą uodpornić ją i uzdolnić do zawierania związku z Polską jako równa z równym, jako państwo z państwem. Piłsudski, który ma wybitną świadomość czynników woli, państwa, faktów i czynów, rozumie, że związek Litwy z Polską inaczej się nie może dokonać, jak przez poprzedzenie go przez zorganizowanie się państwowe Litwy, bo inaczej, jeżeli Litwa siły własnej organizacyjnej nie wytworzy, jeżeli pozostanie tylko materiałem biernym, szarpanym walką i przeciwieństwami prądów wewnętrznych, to nigdy nie może być stroną w układzie: będzie jeno przedmiotem zdobyczy, obiektem, ale nie podmiotem prawa. Piłsudski zaś w trwałość zaborów nie wierzy i stosunek do Litwy na dwustronnym jeno związku oprzeć pragnie. W tym celu chciałby on iść na Litwę i program swój realizować. Dla tego celu gotów on jest nawet postawić na atut na rzecz Litwy swoją osobę, aby ewentualnie stanąć na jej czele jako wódz jej zorganizowanej państwowości, ewentualny naczelnik i prezydent Republiki Ludowej Litewsko-

Białoruskiej, by od jej imienia związek z Polską jako wolni z wolnymi tworzyć. Tak marzy Piłsudski. Nie jest to zadanie łatwe, bo trudności są wielkie zarówno ze strony Polski, jak wewnątrz w stosunkach samej Litwy. Do tego to programu chciałby mię Piłsudski i jego ludzie zużyć jako tego człowieka, który ma na Litwie duży wpływ u demokracji i posłuch i jest może jedynym, przez którego można ewentualnie trafić do Litwinów w celu zainicjowania ich w intencje polityki Piłsudskiego i nawiązania pierwszych nici dla ewentualnego współdziałania, a przynajmniej porozumienia. Jak się ewentualnie projektuje moja rola w wykonaniu, o tym mówić będę następnym razem.

22 marca, rok 1919, sobota
Od paru tygodni stosunek mój z panną Heleną wszedł w stadium nowe. Przyczyniło się do tego nasze ciągłe, niemal po dniach całych, sam na sam w moim gabinecie sędziowskim. W dniach, w których nie mam sesji sądowej, spędzam cały dzień, od godz. dziewiątej rano do obiadu do pierwszej i od godz. trzeciej do ósmej lub dziewiątej po południu w gabinecie moim przy pracy takiej, jak pisanie wyroków, przygotowywanie się do spraw na sesje zbliżające się, studiowanie różnych akt bądź do umorzenia bądź do wyznaczenia itd. W tymże gabinecie przy tymże stole pracuje p. Helena, zajęta wykańczaniem różnych papierowych aktowych Głównej Komisji Wyborczej czynności. Poprzednio w tymże gabinecie pracował p. Grygo, ale od dwóch tygodni ma on już posadę w kancelarii wydziału cywilnego w sądzie i tam odrabia dodatkowo pewne czynności buchalteryjne Komisji Głównej, a do gabinetu mego wpada do pracy jeno na parę godzin wieczorem. Jesteśmy więc z p. Heleną – panną Lusią – jak już ją nazywam, sami. To sprzyja większemu zbliżeniu naszemu, większej poufności stosunku. A że mamy się do siebie obaj, więc nieznacznie, stopniowo stosunek nasz zaczął się zabarwiać już nie tylko poufnością idealną, ale nawet poufałością fizyczną. Zaczęło się od tego, że brałem do rąk ładne rączki p. Heleny i pieściłem je, czemu się ona nie sprzeciwiała, że się nachylałem nad nią, zbliżałem twarz do jej twarzy i tak poszło coraz dalej, że dziś już biorę jej główkę w ręce i pieszczę ją, i tulę, że spijam zapach jej włosów, że ją obejmuję za szyję i ramiona, że twarz moją do jej twarzy przykładam. Nie było jeszcze tylko i nie ma, a podobno i nie będzie – pocałunku. Ale to zbliżenie fizyczne wytwarza w stosunku naszym silny element zmysłowy. P. Lusia lubi i pragnie tych pieszczot, tęskni do nich i szuka, chociaż dyskretnie, bo dziewczyna nigdy pierwsza pożądania nie ujawni i zawsze wstydzić się będzie bądź wystąpić w roli zaczepnej, bądź wyznać pragnienie pieszczoty męskiej. Jestem już na tropie co najmniej miłostki, która się w uczuciach tej 18-letniej pięknej dziewczynki w stosunku do mnie zarodziła. Źle mówię – miłostki, bo Lusia Roszkowska nie jest z natury lekkim trzpiotem, nie jest frywolną dziewczyną, u której miłostki po serduszku igrają. Jest to natura głębsza i szlachetna, skupiona i pełna woli i charakteru, której uczucia są silne, która czuć potrafi tylko rzetelnie i głęboko. Nie powiem, że to już jest z jej strony zupełna do mnie miłość, ale jest to już stanowczo do miłości droga. Tak jest – w stosunku do niej ja, mężczyzna omalże nie 40-letni, jestem stary; a przecież zaczyna mię ona kochać. Tak, kochać. Z całym arsenałem męskiego uroku, z całym arsenałem tych środków wpływu, które zniewalają dziewczęta, od metod gnębienia i okrucieństwa aż do ciepłych serdecznych tkliwości pieszczoty, z których pierwsze rażą wrażliwość dziewczyny i dają jej przeczucie dzikich, a przecież słodkich dla jej biernej fizycznie roli, ciosów czynu i rzutu męskiego, gdy drugie roztapiają na wosk jej ciało i serce, poprzez zręczne podniecenie zainteresowania psychicznego i zmysłowego dziewczyny, a wszystko to ujęte w prostotę stosunku i w szlachetną szczerość i dobroć, która budzi w niej zaufanie i daje tarczę przeciwko jakimkolwiek obawom krzywdy – zaprawiłem ten nasz stosunek taką treścią bogatą i

dla dziewczyny nową i ciekawą, że w jego atmosferze kiełkować zaczęło uczucie, które już miłością zaczyna stawać. Element zmysłowy też dużą rolę w tym powstawaniu uczucia odgrywa. Mnie on czasem męczy, czasem nawet – wyznaję – przesyca, gdy za nim zwłaszcza nie następują konsekwencje dalszego rozwoju aż do całkowitego posiadania płciowego dziewczyny i gdy z góry wiem, iż perspektywy po temu są wykluczone, bo sam bym zresztą nigdy tej krzywdy dziewczynce tak zacnej i tak oddanej, nie zrobił; ani dla p. Heleny ta połowiczność zmysłowa, ta subtelność niedopowiedzianych, niedokonanych aktów zmysłowych wystarcza i jest już rozkoszą spełnioną, rozkoszą, której czar pić można bez końca. Toteż go pije i pić pragnie. Co nam, mężczyznom, nie wystarcza, to dla niej jest pełnią; co dla nas jest tylko przedsmakiem, po którym oczekiwać byśmy chcieli całkowitych spełnień posiadania męskiego kobiety – to dla niej, dziewczynki czystej i młodej, jest rzeczą spełnioną. Ten stosunek nasz z p. Lusią stać by się mógł wielką miłością, pomimo wieku naszego różnicy, gdyby został usankcjonowany współżyciem fizycznym. To jest jednak wykluczone. Pozostanie on w tym stadium tylko epizodem w jej i moim życiu, w jej życiu zwłaszcza epizodem głębszym, silniej w pamięć i w cały ustrój psychiczny wrażonym. W istocie dobrze jest, że się rychło ten stosunek skończyć musi, bo już tylko kilka dni pozostało p. Helenie pracy w Komisji Głównej. Dobrze jest to dla niej i dobrze dla urwania łba czy też żądła stosunkowi bez przyszłości. Dobrze, choć dla p. Heleny będzie z pewnością bolesne. Ani co za żal dla mnie, że już jej przy sobie mieć nie będę i znów do samotności mojej wrócę.

23 marca, rok 1919, niedziela
Pomimo niedzieli pracowałem w mym gabinecie w sądzie rano od godz. 9 ½ do 1-szej i wieczorem od godz.7 do 10. Motywowanie wyroków w sprawach osądzonych i przygotowywanie się do spraw sesji jutrzejszej – i jedno, i drugie nie cierpi zwłoki, bo bez względu na święto lub dzień powszedni musi być wykonywane. Jest to tak jak w pracy akordowej. Przygotowywanie się do spraw na sesję I instancji jest w wydziale karnym robotą uciążliwą; ustawa bowiem żąda sformułowania szczegółowych pytań o winie i karze oskarżonego oraz różnych dodatkowych elementach wyroku: dopiero z odpowiedzi na te pytania wypływa wyrok właściwy. Pytania te muszą wyczerpywać akt oskarżenia z uwzględnieniem różnych tez i wniosków, które wypłyną w toku samej rozprawy sądowej. Pytania muszą być tak ułożone, aby w łonie jednego pytania nie łączyć tez, na które odpowiedzi mogą być różne w znaczeniu twierdzącym lub przeczącym. Stąd redakcja i systematyzowanie pytań staje się robotą, która dużo pochłania zarówno czasu, jak energii myślowej. Miewałem już sprawy, w których ilość pytań dochodziła do 49 (pomimo, że w tym wypadku był tylko jeden oskarżony). Choć ściśle rzecz biorąc, należałoby redagować pytania dopiero po rozprawie sądowej przed wyjściem kompletu sądzącego na naradę, ale ze względu na stratę czasu byłoby to prawie niemożliwe, wobec czego pytania redaguje się zawsze zawczasu, przewidując już z góry mniej więcej, jakie tezy i wnioski mogą wypłynąć na rozprawie sądowej poza zakresem aktu oskarżenia. Układanie pytań ułatwia wprawdzie sędziemu systematyczne orientowanie się w tezach sprawy i przeto wyrokowania, ale ze względu na czas i pracę jest bardzo kosztowne.
Od paru dni mamy na dworze reakcję zimy. Często i dużo śnieży, mróz bywa dość silny. Łagodna była zima, ale za to wczesnej wiosny nie mamy.
W związku z opisanym w dzienniku programem litewskim Piłsudskiego, jak mi go Sławek i nazajutrz Prystor przedstawili (zaznaczam, że Prystor bardziej zaznaczał udział demokratycznej lewicy w tym programie, podczas gdy Sławek kładł szczególny nacisk na osobiste autorstwo i inicjatywę czynną Piłsudskiego, w ogóle na jego osobę),

przedstawię tu propozycje, jakie w szczególności do mnie zostały skierowane. Jak to już zaznaczyłem, chodziło o to, aby mię w ten program wwiązać w zakresie wykonawczym, w szczególności w nawiązywaniu kontaktu z Litwinami i ewentualnie Białorusinami. Konkretnie nieco inaczej rzecz tę traktował Sławek, a inaczej Prystor. Z pierwotnej propozycji Sławka była myśl bezpośredniego wwiązania mojej akcji w akcję Głównego Dowództwa wojsk w kampanii litewskiej. W kampanii tej po reformach, które zajść mają na zarządzenie Piłsudskiego w porozumieniu z rządem warszawskim, w systemie zarządu na zajmowanych ziemiach litewsko-białoruskich, tymczasowy zarząd cywilny (który w pojęciu i zamiarach Piłsudskiego winien być jak najrychlej zastępowany przez wytwarzanie coraz to wyższych form samorządu krajowego aż do zupełnej państwowości suwerennej z Konstytuantą i rządem oraz całym aparatem władzy) ma być organizowany przez kontakt dwóch czynników, z których jednym jest Departament Polskich Ziem Wschodnich (b. Departament Litewsko-Białoruski z szefem Kolankowskim na czele) Ministerstwa Spraw Zagranicznych jako czynnik cywilnego rządu centralnego w Warszawie i drugim – Dowództwo Główne jako czynnik wojskowy (w istocie czynnik woli Piłsudskiego). Niezależnie od tego, przy Dowództwie Głównym ma być wydział polityczny, organ przeważnie poufny, ten, który właściwie szukać ma dróg dla wykonania programu Piłsudskiego i torować je czynnie. Główne więc Dowództwo, czyli właściwie Piłsudski, nie zaniedbując urzędowego systemu zarządu cywilnego i posiadając nań wpływ formalny i legalny, a przeto dążąc do obsadzenia go odpowiednim elementem, mogącym niwelować skutecznie ewentualne tendencje Departamentu Ziem Wschodnich, dyktowane przez obszarników, których wpływy się w nim faktycznie mocno zagnieździły, jednocześnie wytwarzałoby organy własnej polityki, na wpół konspiracyjne, służące za sprężyny do forsowania w życie tendencji z programu Piłsudskiego. Otóż Sławek proponował mi pierwotnie wstąpienie do tego wydziału politycznego przy Głównym Dowództwie i pracowanie w nim; wydział ten ma akcję swoją posuwać w ziemie litewsko-białoruskie w miarę posuwania się wojsk polskich, być i działać na miejscu przy komendzie wojskowej, siecią swoją ogarniając kraj. Do tej formy pracy w moim zadaniu wytwarzania kontaktu i współdziałania z Litwinami i Białorusinami skierował pierwotnie swoje propozycje Sławek albo też, gdybym wolał, do wstąpienia mego do zarządu cywilnego i oparcia się na nim jako oczywiście w nim czynnik programu Piłsudskiego. W tych obu formach udziału mój wydał mi się niewłaściwym. Dlaczego – o tym powiem innym razem.

24 marca, rok 1919, poniedziałek
Miałem dziś sesję sądową I instancji. Było nawet dość dużo spraw na wokandzie, jak na sesję karną, bo aż sześć, ale były to sprawy krótkie i nieskomplikowane, a zresztą z nich cztery tylko doszły do skutku, ponieważ dwie zostały odroczone z powodu niestawiennictwa oskarżonych. Z czterech spraw osądzonych, dwie rozpoznaliśmy przed obiadem, dwie zaś – po obiedzie. Sesja późno się zaczęła, bo nie można się było rano doczekać przybycia ławników, a właściwie drugiego ławnika, bo jeden, p. Dąbkowski, stawił się punktualnie. Ta nieakuratność ławników, powodująca wieczne opóźnianie sesji, jest prawdziwą plagą wydziału karnego, wyrokującego z udziałem ławników. Dziś się tak trafiło, że drugi ławnik, wyznaczony na sesję, p. Biały (Żyd) był wyjechał do Warszawy. Trzeba więc było na gwałt posyłać gońca do innych ławników w Łomży, aby znaleźć kogo na jego miejsce. Tymczasem wszyscy ławnicy, do których posłałem, odpowiedzieli, że przybyć nie mogą. Nie było innej rady, jak zaprosić na sesję kogoś z sędziów, choć to jest kwestia wątpliwa, czy drugi sędzia może w komplecie sądzącym w sprawie karnej zastąpić ławnika. Ale w praktyce, przynajmniej u nas w Łomży, to się w wypadkach, gdy innego wyjścia nie ma, robi. Zaprosiłem

sędziego Makowskiego, który jest zawsze do wszystkiego chętny. Makowski jest wzorem gorliwości służbowej; do każdej roboty jest pilny i wszystkiego się chce uczyć. Jest z natury niezdolny, nawet tępy, ale nadrabia to gorliwością, wytężającą wszystkie siły. Jest to umysł bardzo ograniczony, zupełnie, zdaje się, pozbawiony pierwiastka twórczego, którego główną bodaj jedyną kwalifikacją jest rutyna; a że jej w sądzeniu nie ma, więc usiłuje pracowitością ją zdobyć, rozumiejąc, że to jedyna rzecz, na której się oprzeć może; prawa nie zna i to nie tylko Kodeksu Cywilnego, ale nawet Kodeksu Karnego, mimo że był sędzią śledczym (ostatnio w Kolnie, a poprzednio w Rosji był sędzią śledczym przez lat kilkanaście); nie orientuje się też zupełnie i nie wyczuwa zmysłu prawa, jego życia wewnętrznego, jego logiki i psychiki; zna tylko literę tekstu, o ile ją umie, toteż uczy się jej i kuje zawzięcie. Jest to człowiek, który stanowczo na prawnika stworzony nie jest; takiemu to być tylko jakimś biurokratą, jakimś skrybą kancelaryjnym. Pracować on może tylko wtedy, gdy ma przed sobą wyraźny przepis tekstu, nie budzący wątpliwości lub gotowy wzór, który może zastosować automatycznie. Toteż dobrą połowę czasu zużywa na gromadzenie najrozmaitszych wzorów, wypisywanie formuł, wzorów decyzji i wyroków z akt itp. Takiego to dostałem współpracownika na sesję dzisiejszą; nudził mię on szalenie; a że i drugi współpracownik, ławnik Dąbkowski, jest nudziarzem i człowiekiem dość suchym (choć już wolę go od Makowskiego), to miałem dziś sesję ze względu na towarzyszy pracy nieciekawą. W ogóle komplet ławników w Sądzie Okręgowym w Łomży pozostawia wiele do życzenia. Doprawdy, że wolę mój dawny dobór ławników w sądzie pokoju w Kolnie, mimo że tam byli ludzie niby mniej „inteligentni". Tutaj jest dobór strasznie reakcyjny. Elitę ławniczą ze wsi stanowią tu ziemianie, element z natury rzeczy reakcyjny; wybierani byli ławnicy jeszcze za czasów okupacji, przez dawne sejmiki powiatowe, utworzone z nominacji Niemców, pozbawione żywiołów demokratycznych; tak samo w Łomży wybierała ławników Rada Miejska w jej starym reakcyjnym komplecie za okupacji, toteż oczywiście wydelegowała odpowiednich do niej ludzi. Ławników z samej Łomży jest i za mało, i są oni w znacznej części nieodpowiedni. Proponowałem Skarzyńskiemu, abyśmy wystąpili na ogólnym zebraniu sądu z wnioskiem zwiększenia ilości ławników, ale Skarzyński, który sam jest reakcjonistą, nie przystał na to, zwierzając mi się otwarcie, że się boi, iż Rada Miejska w nowym składzie, w którym przeważają żywioły radykalne, względnie nawet socjalistyczne, a i Żydów jest dużo, wybierze Bóg wie jakich ludzi na ławników. W pojęciu Skarzyńskiego, dopływ elementu demokratyczniejszego do kompletu ławników jest niepożądany. Ponieważ właściwym kierownikiem wydziału karnego jest Skarzyński, więc przeciwko niemu nic robić w tej kwestii nie będę. A ja bym właśnie uważał, że odświeżenie naszego ciała ławniczego przez dopływ świeżych sił demokratycznych byłby bardzo pożądaną reformą. Jak reakcyjni są nasi obecni ławnicy, to się ciągle ujawnia, a szczególnie na sprawach żydowskich: jeżeli Żyd jest oskarżony, to *ceteris paribus*[120] wyrok dla niego będzie zawsze ostrzejszy, niż dla Polaka, i odwrotnie, gdy Żyd jest pokrzywdzony, to ławników serce dla oskarżonego mięknie. Taki też charakterystyczny przykład miałem na sesji dzisiejszej, bo Makowski inteligencją i reakcyjnością równa się ławnikom naszym. Gdy chodziło o sołtysa, który w stosunku do 77-letniego Żyda dokonał nadużycia władzy i przy tym go zbił i zmaltretował ordynarnie, to Makowski i ławnik Dąbkowski mieli tyle względów ludzkości dla niego, że tylko o tym na naradzie myśleli, jaki znaleźć sposób, aby go od konsekwencji karnej uwolnić. Aż było przykro i wstyd, że ci ludzie-Polacy nawet takiego elementarnego poczucia nie mają, że przynajmniej opieka prawna należy się Żydowi w Polsce równa z

[120] (łac.) ceteris paribus – w tych samych okolicznościach.

innymi obywatelami. Tymczasem ten sam Makowski, gdy chodziło o dziewczynkę-sierotę, oskarżoną niesłusznie o kradzież, głosował za skazaniem jej tylko dlatego, że formalnie dowody jej niewinności nie zostały ujawnione ściśle na rozprawie, jeno są ukryte w aktach śledztwa wstępnego. Potrafi on być nad miarę srogi i niemiłosierny, ale tam, gdzie pokrzywdzony jest Żyd, tam serce jego litością dla oskarżonego pała.

25 marca, rok 1919, wtorek
Pomimo święta Zwiastowania, połączonego ze świętem narodowym 125-tej rocznicy przysięgi Kościuszki, pracowałem dużo w gabinecie moim w sądzie, prawie jak w dzień powszedni. Chętnie bym w tym dniu świątecznym pracował nad wyrokami w domu, ale chłód jest w naszym mieszkanku tak przenikliwy, że ledwie wysiedzieć mogą. Ewę chyba tylko młodość grzeje, że wytrzymać może spędzać cały dzień w mieszkaniu. Zresztą gdzeż by się podziała? I ja dawniej byłem bardzo wytrzymały na zimno w mieszkaniu, ale zdaje się, że jednak z roku na rok staję się coraz wrażliwszy na to. Doprawdy, mam jakieś szczególne szczęście – raczej nieszczęście – do zimnych mieszkań. Zawsze trafiam na takie. Pomimo ostatnich dni marca – mróz jest srogi. I słońce świeci, i jest bardzo zimno. Ale to tym lepiej. Im później nastanie wiosna, tym będzie piękniejsza.
Wracam do propozycji Sławka w Warszawie. Przede wszystkim, co do jakiegokolwiek stanowiska w organizowanym przez Departament Ziem Wschodnich zarządzie cywilnym na zajmowanych ziemiach Litwy, to odmówiłem stanowczo z motywów zasadniczych tych, że zarząd taki, może nawet z konieczności, ale przecież ma charakter zarządu okupacyjnego i ja w takim, będąc rodowitym obywatelem Litwy, krajowcem, udziału żadnego brać nie mogę. Z podobnych też względów nie życzę sobie pracować jako stały agent wydziału politycznego przy Głównym Dowództwie wojsk polskich, wkraczających na Litwę i Białoruś, ani też z tym Dowództwem na Litwę wkraczać. Mogę być urzędnikiem państwowym w Polsce właściwej, jak jestem sędzią w Łomży – to mojego obywatelstwa litewskiego nie gwałci. W Litwie wszakże, w moim kraju ojczystym, urzędnikiem lub agentem polskim nie będę. A jakkolwiek by nawet te wojska polskie wkraczały do Litwy pod sztandarem programu Piłsudskiego, w najlepszej wierze niosącego różdżkę wolności Litwie, to przecież byłyby to bądź co bądź wojska obce, wyraz siły zewnętrznej i woli cudzej (tym bardziej, że po cichu, nie wyznając tego Sławkowi, myślałem sobie, że jeszcze co do istotności programu Piłsudskiego w rzeczywistej akcji wojsk polskich to na dwoje babka wróżyła: są to dopiero usiłowania programowe, ale nie fakt mocny). Nie przystoi mi iść do Litwy w orszaku zewnętrznej siły obcej (kto zaręczy, czy siła ta nie stanie się jeszcze najazdem?). Zresztą wskazałem na to, że dla samej skuteczności ewentualnej akcji mojej w jakichś rokowaniach i układach z Litwinami lepiej będzie, jeżeli występować będę nie w roli agenta, jeno pośrednika, to znaczy czynnika obywatelskiego, który, solidaryzując się z postulatami programu Piłsudskiego i upatrując w nich w danej chwili dziejowej czynnik pożyteczny dla kraju, zwróci się do współobywateli Litwinów z wnioskami współdziałania z tym programem, ale nie jako sługa tegoż, jeno zwolennik. Dlatego też wskazałem Sławkowi, że lepiej i skuteczniej będzie, gdy wystąpię na scenę i udam się do kraju w tym momencie, gdy już wypadki i sytuacja dojrzeją do rozpoczęcia rokowań z Litwinami. Chociaż rozumiem, że wydział polityczny przy Dowództwie Głównym może być potrzebny i że trzeba od samego początku nawiązywać konsekwentnie nić usiłowań po linii programu, to jednak ja z powyższych względów do tego nie stanę, a wysunę się jeno w chwili właściwej już do określonego działania. Na tym też w pierwszym dniu mojej rozmowy ze Sławkiem stanęło. Zaznaczyłem jeszcze, że rolę moją wolałbym ograniczyć do traktowania z Litwinami,

bo się na tym znam i względnie mam grunt do tego wyraźniejszy, podczas gdy w stosunku do Białorusinów nie znam tak dobrze terenu założeń politycznych obydwóch stron i nie bardzo wiem, z kim i jak traktować (podobno w tej chwili na czoło sprawy białoruskiej wysunął się Woronko[121], który przebywa w Grodnie, okupowanym jeszcze przez Niemców). Co zaś do masy ludowej białoruskiej, to jest ona społecznością bardzo mało zorganizowaną, którą istotnie pozyskiwać można nie tyle jakimiś postulatami politycznymi, ile, jak to sam Sławek zaznaczył, sprężystą i żywą akcją zaopatrzenia w środki żywności i wszelkie inne, potrzebne w kraju zniszczonym, oraz perspektywami reformy agrarnej, zaspokojenie różnych postulatów gospodarczo-społecznych, apetytów popularnych itd. Inaczej się rzecz przedstawia z Litwinami. I tym oczywiście zasady reform społecznych i postulaty gospodarcze grają dużą rolę. Ale tam, u Litwinów, są poza tym wyraźne koncepcje i postulaty polityczne i państwowe, jak w każdym wyżej zorganizowanym społeczeństwie, i tam koniecznym jest liczenie się przy układach z tymi formacjami politycznymi, jakie są, to znaczy w pierwszym rzędzie z czynnikami takimi, jak Taryba i rząd litewski Ślażewicza, choćby się dużo miało do zarzucenia dotychczasowej polityce tych czynników. Zignorować ich i próbować grać na porozumieniu z elementami, wyłamującymi się z formacji istniejących, byłoby robotą daremną i niepoważną.

26 marca, rok 1919, środa
Miałem dziś sesję apelacyjną z udziałem ławników Białego i Godlewskiego, przy podprokuratorze Grodzickim. Sesja przeciągnęła się, jak na apelacyjną, dość długo, bo się skończyła aż po obiedzie, około godz. szóstej.
Wzywano mię dziś z Warszawy do telefonu, ale że to było podczas sesji, więc nie poszedłem. Wiem niechybnie, że to wzywał mię nie kto inny, jak Sławek. Z pewnością spieszy się im, abym już prędzej jechał do Kowna. Mnie się natomiast nie spieszy i to nie tylko dlatego, że się lenię wybierać w tę podróż i że niechętnie opuszczam moją pracą w sądzie, bo należę do tych ludzi, którzy wciągają się w pracę i nie umiejąc nic robić połowicznie, oddają się jej cali i nie lubią się od niej odrywać, ale też dlatego, że nie mam w sobie wiary i głębokiego przekonania ani do wartości, ani do skuteczności tej mojej ewentualnej roli w Kownie. Jest jeszcze i inny wzgląd: dotychczas nie określiłem w sposób kategoryczny i przesądzający ostatecznie mojego stosunku do rewolucji bolszewickiej (komunistycznej). Nie jestem dotąd przekonanym tej rewolucji wrogiem, a nawet, choć widzę pewne w niej manowce, pewne rzeczy mię rażą, nie mam mocnego przekonania o jej trwałości, przecież mam z wielu względów dla niej szacunek i sympatię. Tymczasem wszystko to, z czym by się wiązała moja rola w podróży do Kowna, wszystkie założenia programowe Piłsudskiego i układów z Litwinami obozu burżuazyjnego, nie wyłączając ludowców kierunku „Ukininkasa"[122] (rząd Ślażewicza), wszystko się opiera na reakcji przeciw bolszewikom i rewolucji komunistycznej. To jest wprawdzie tylko jeden ze względów, które skutkują u mnie chęć ociągania się z tą jazdą, ale wzgląd nie najmniejszy. Wolałbym, żeby ta podróż mogła się odroczyć gdzieś aż do późnej wiosny albo nawet do lata, do jakiegoś czerwca, kiedy się dużo w stosunkach i wypadkach wykrystalizuje i wyjaśni, i kiedy też w sądzie przyjdzie czas na urlopy wakacyjne. Ale na pewno nie dadzą mi przemarudzić do tego czasu. A zresztą rozumiem, że jeżeli coś ma być przedsiębrane w zakresie realizacji programu Piłsudskiego i wiążących się z nim usiłowań kontaktu z Litwinami, to musi to być robione, a przynajmniej poczynane, jak najwcześniej – już zaraz.

---

[121] Waronka Józef (1891i1951), prawnik, działacz białoruski, współzałożyciel Rady Białoruskiej (1917), członek Taryby; w latach 1918-1920 minister do spraw białoruskich w rządzie litewskim.
[122] „Ukininkas", pismo wydawane w podziemiu w latach 1890-1905.

Ale teraz jeszcze słowo o tym, skąd się wzięła ta moja podróż do Kowna. Mówiłem bowiem dotąd tylko o propozycjach Sławka, które się streszczały do takich form, jak wejście moje do cywilnego zarządu Litwy lub pracy w wydziale politycznym przy Głównym Dowództwie. Obie te postaci działania uchyliłem. Gdym jednak nazajutrz rozmawiał w Warszawie ze Sławkiem i Prystorem, to ten ostatni, na moje powiedzenie, że gotów będę stanąć do układów z Litwinami, gdy już rzeczy dojrzeją do tego, zwrócił całkiem słusznie uwagę, że należy to już zaczynać zaraz, bo grunt musi być na czas długi przed zasiewem dobrze przeorany i starannie uprawiony. Chociaż bowiem w tej chwili akcja wojenna polska zwraca się na froncie wschodnim bezpośrednio przeciwko bolszewikom jako takim, nie zaczepiając Litwinów i skierowana jest na ziemie i punkty tak głęboko na Białej Rusi prawosławnej osadzone, jak Baranowicze i Pińsk, to przecież wiadomym i jasnym jest, że punktem celu, do którego wszystko tymi lub innymi drogami i metodami strategicznymi zmierza, jest Wilno. I chociaż między Polską a Litwinami nie ma dziś ani działań wojennych, ani formalnych punktów starcia i konfliktu i chociaż Litwini bezpośrednio zaczepiani nie są i nie mogą formalnie kampanii, wymierzonej przeciwko bolszewikom i operującej terenami Polesia pińskiego i Baranowicz, traktować za dotykające ich spraw i interesów, to przecież nie ulega żadnej wątpliwości, iż czują oni dobrze, że Pińsk i Baranowicze są tylko środkami strategii, nie celu, i że jeżeli do Wilna nie iść *via* Grodno, to przecież i na Lidę droga do Wilna zaprowadzi, i muszą czujnie i bacznie przyglądać się rozwojowi kampanii wojsk polskich. Nikt nie przewidzi tempa biegu faktów. Może się stać tak, że fakty nastąpią bardzo szybko i że Wilno zostanie zajęte. A z chwilą zajęcia Wilna przez Polaków nie będzie już chodziło tylko o bolszewików lub o skrawki Białej Rusi. Fakt ten zaczepi i Litwinów, i Białorusinów, i całą Litwę, całą jej sprawę ze wszystkimi jej zagadnieniami. W przewidywaniu faktów trzeba się do ich ewentualności ustosunkowywać zawczasu. Na tym polega działanie polityczne. Układać się i równolegle wytwarzać fakty dokonane – to jest metoda Piłsudskiego. Metoda ta jest wprawdzie nieco brutalna w stosunku do kontrahenta, ale w programie swoim Piłsudski nie zamierza tworzyć tego faktu (Wilno) przeciwko Litwinom, jeno na rzecz jego koncepcji państwowej Litwy, dla której chce on Litwinów pozyskać i w której chciałby także im wolność i dążenia dać zrealizować. Stanęło więc na tym, że mam jak najrychlej wybrać się do Kowna i szukać nawiązania dróg dla kontaktu z Litwinami.

27 marca, rok 1919, czwartek
Nie myliłem się wczoraj, że to Sławek mię wzywał do telefonu, aby mię przynaglać do wyjazdu do Kowna. Przed obiadem zostałem dziś wezwany do telefonu znowu. Nienawidzę tego środka komunikacyjnego i przeklinam wynalazek telefonu. Nie umiem dobrze z niego korzystać, nie umiem słyszeć, co mój interlokutor mówi, szczególnie na tak znaczną odległość, jak z Warszawy. Zdaje się, że słuch w ogóle mam dobry, ale do telefonu nie umie się on jakoś dopasować. A ci ludzie u wielkiego miasta – to mają szczególną manię załatwiania wszelkich rozmów przez telefon, bo to najmniej wymaga pracy i jednocześnie nie zostawia śladów, jak pismo. Poszedłem. Oczywiście wzywał mię Sławek. Oświadczył, że „to, o czym rozmawialiśmy w Warszawie", zostało przyspieszone, więc niezbędny jest jak najszybszy mój wyjazd. Dodał, że z Supińskim, ministrem sprawiedliwości, cała rzecz jest omówiona i że trzeba, abym zaraz przyjechał do Warszawy z podaniem o urlop, które natychmiast będzie podpisane. Chodzi o urlop bezterminowy. Mówił mi tam coś jeszcze Sławek, ale nie bardzo dosłyszałem. Oponowałem przeciwko jeździe do Warszawy, mówiąc, że nie mogę tego załatwić bez wiedzy prezesa sądu w Łomży, Filochowskiego, ale przecież zdaje się, że wypadnie tak zrobić i że w końcu przyszłego tygodnia będę musiał się udać do Warszawy, a potem

wypadnie jechać do Kowna. Trudno się już cofać. Nie jestem bardzo niechętny samej wycieczce do Kowna, choć dziś jest ona tak uciążliwa, jak dawniej podróż gdzieś do Afryki, ale przyznaję się, że wielkiej ochoty do tej roli, jaką mi ofiarowują i która w obecnych warunkach tchnie pewnym awanturnictwem politycznym – nie mam. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym tego uniknął lub mógł odwlec tę podróż do lata. Ale to mi się nie uda. Będę musiał jechać.
Dziś zlikwidowane zostały ostatnie czynności Głównej Komisji Wyborczej. Panna Helena dziś po raz ostatni pracowała. Żal mi urwania się poufności tego stosunku. Nie będę już pić zapachu jej włosów ani też tulił do siebie i pieścił.
Jutro jadę z wizytą do Kolna na dwa dni – w celu odwiedzenia moich przyjaciół tamecznych.

28 marca, rok 1919, piątek
Wyjechałem dziś na parę dni do Kolna. Moi przyjaciele Kolnianie wciąż mię zapraszali i upominali się, abym ich kiedykolwiek odwiedził. Chcieli, abym to uczynił na święta Bożego Narodzenia, ale to do skutku nie doszło, bo było to w czasie najgorętszej pracy w Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu, kiedy ani na chwilę się oderwać – bez względu na święta – nie mogłem. Potem odkładałem tę wizytę do nastania cieplejszego czasu, aż wreszcie wyznaczyłem na dzień dzisiejszy. Chłody, które panowały w czasach ostatnich, odstraszyły mię trochę od tej jazdy, ale już zmieniać terminu nie chciałem, tym bardziej, że ewentualny wyjazd do Kowna mógłby mi całkiem tę wizytę kolneńską uniemożliwić. Wybrałem się więc dzisiaj rano furą żydowską, kursującą stale między Kolnem a Łomżą jak omnibus. Ze względu na piątek, przed szabasem, fura była przepełniona pasażerami, których się napchało jak śledzi w beczce. Jest to długi wóz, na którym gęsto są ułożone poprzecznie deski, służące za ławy; na każdej takiej ławie usiąść może wygodnie dwóch pasażerów, a niewygodnie – trzech; ław tych jest coś z 8 do 10; nad wozem są obręcze, na których rozpina się płótno brezentowe, chroniące w razie potrzeby pasażerów od słońca lub słoty. Ponieważ dzień był ciepły, więc płótno dziś było zwinięte. W przepaścistych głębiach fury, z tyłu i z przodu, a również pod ławami i nogami pasażerów nawalone były gromady różnego towaru, który Żydkowie przewozili do handlu do Kolna. Był i towar legalny, i towar przemycany. Zanim fura się napełniła pasażerami i towarami, zanim wyruszyła, zanim wybrnęła na grobli przez Narew i w Piątnicy z niebezpieczeństw Scylli i Charybdy w postaci dwukrotnej rewizji zawartości fury przez milicję ludową i policję komunalną, podczas której część towaru musiano wyładować i dla braku przepustek zostawić na miejscu, upłynęło sporo czasu, tak że dopiero coś koło godz. 1 fura potoczyła się już dalej swobodnie po szosie. Do Kolna przyjechałem po czwartej. Zajechałem na razie do zajazdu Glinki, gdzie się na poczekaniu posiliłem i wyszedłem „na miasto". Moja obecność w Kolnie wywołała sensację. Zbierałem na ulicy dowody niekłamanej sympatii w radosnych pozdrowieniach i ukłonach spotykanych mieszkańców, tak chrześcijan, jak Żydów. Wieść o moim przyjeździe rozniosła się błyskawicznie, jak się roznoszą wszelkie sensacje w małym miasteczku. Niektórzy się domyślali, że już wróciłem i pozostanę w Kolnie, z czego cieszono się niezmiernie, bo jestem tu lubiany serdecznie i nigdzie może w życiu moim, oprócz okolic Bohdaniszek, nie posiadałem tak wielkiego i tak powszechnego uznania, szacunku i miłości, jak w Kolnie. Ludzie mają tu do mnie zaufanie nieograniczone, a bodajże najbardziej lud prosty i chrześcijański, i żydowski; ten ostatni uważa mię za męża opatrznościowego i omal nie świętego, który wolny jest od słabostek i uprzedzeń ludzkich i jest jakimś żywym duchem prawdy i sprawiedliwości. Na kolację zaprosił mię Miętkiewicz, człowiek, który jest mi nieograniczenie oddany i którego sympatia i szacunek dla mnie graniczy z

bałwochwalstwem. Na kolacji był też rejent Płoński. Oczywiście bez wódki się przy kolacji nie obeszło; zwyczaj ten jest wszechmocny w Kolnie. Zanocowałem u sędziego pokoju Witolda Święcickiego, który mię bardzo gościnnie zaprosił. Sędzia Święcicki, mój następca w Kolnie, jest człowiekiem młodym, bardzo pracowitym i dzielnym jako sędzia. Ma on też duże w Kolnie uznanie; Kolnianie mówią, że Kolno ma szczęście do sędziów i że Bóg im sędziami błogosławi. Święcicki mieszka z p. Żukową, która jest jego narzeczoną; jest to mężatka, która się rozstała z mężem, osoba pełna temperamentu, o żywym umyśle, dość ładna i rozumna. Spędziłem z nimi parę godzin po kolacji na rozmowie przy herbacie.

29 marca, rok 1919, sobota

Dzień dzisiejszy spędziłem w Kolnie. Upłynął mi on na odwiedzaniu znajomych, bez różnicy – inteligentów i pospolitych prostaczków. Rano, po śniadaniu u sędziego Święcickiego, udałem się z nim do sądu pokoju. Sędzia Święcicki jest strasznie zapracowany. Jest on bardzo staranny i pilny w robocie, a sesje ma niemal codziennie, najmniej zaś po cztery tygodniowo. Uważałem zawsze, że ja sądzę powoli i że moje sesje ciągną się o wiele dłużej, niż w innych sądach pokoju. Tymczasem sesje u sędziego Święcickiego trwają o wiele dłużej i przeciągają się nieraz do północy i później, a po sesji sędzia jeszcze czasem do godz. 2-3 w nocy pozostaje w sądzie, studiując sprawy na sesję jutrzejszą. Raink, który jest obecnie sekretarzem, i Bagiński, który jest kancelistą, są wskutek tego całe dnie zajęci i przeładowani pracą. Spraw też jest obecnie w sądzie o wiele więcej, niż było za moich czasów. W sądzie spotkałem się z ławnikami Rainką i Najdą, którzy mieli właśnie zasiadać na sesji dzisiejszej. Z sądu udałem się najpierw do mojego dawnego gospodarza, w którego domu mieszkałem w Kolnie – Józefa Pikulińskiego. Stamtąd wstąpiłem na chwilę do sąsiadki Pikulińskiego, Mintzowej, stąd do pp. Borawskich, do Remby, do Jerozolimskiego, potem na obiad do Miętkiewicza. Gdziekolwiek byłem przed obiadem – wszędzie musiałem coś zjeść albo wypić. U sędziego Święcickiego rano herbata i jajecznica, u Pikulińskich – mleko, u Mintzowej – piwo, u Borawskich – herbata i chleb z serem, u Remby – wódka i jakieś ciasto słodkie, u Jerozolimskiego – piwo. U Miętkiewicza na obiedzie był oprócz mnie rejent Płoński. Oczywiście nie obeszło się bez wódki, choć już i syty byłem, i pragnienia nie miałem. Byłem potem u inżyniera Lufta, kierownika biura odbudowy, jednego z najbardziej sympatycznych, kulturalnych i rozumnych ludzi w Kolnie, u Stachelskiego w sklepie, u adwokata Lisa (adwokata Goldberga odwiedziłem wczoraj), u Mystkowskiego, wreszcie udałem się na kolację do rejenta Płońskiego, który zaprosił do siebie grono osób, urządzając dla nich przyjęcie. Na przyjęciu tym były trzy panie – p. Żukowa – narzeczona sędziego Święcickiego, p. Borawska i p. Miętkiewiczowa – Franciszek Stachelski, Litwiński, Borawski, sędzia Święcicki, zastępca sędziego śledczego Tuszowski, Miętkiewicz, ksiądz wikary Bagiński, kasjer powiatowy Domurat i inspektor, zdaje się, skarbowy – ex-legionista z II pułku II brygady Wojno (ci dwaj ostatni – ludzie w Kolnie nowi, których za moich czasów nie było). Było dużo wódek i dużo rozmaitego jadła. Biesiada przeciągnęła się do północy. Borawski oczywiście się podchmielił i panie także nieźle wypiły, szczególnie narzeczona sędziego, która była ogromnie podniecona i rozochocona zmysłowo, aż wreszcie musiała się już udać do domu, bo miała chmielu za dużo w głowie. Potem ci, co pozostali, zabawiali się jeszcze grą w karty do godz. drugiej. Taki jeden dzień w Kolnie – to martyrologia nadmiernego jedzenia i picia. Dość powiedzieć, że cztery razy w dniu dzisiejszym musiałem pić wódkę (nie cztery kieliszki, ale cztery razy, każdorazowo po kilka co najmniej kieliszków: u Remby, u Miętkiewicza, u Lisa i Płońskiego). Człowiek aż bałwanieje wreszcie od tego nadmiernego picia i jedzenia.

30 marca, rok 1919, niedziela

Wróciłem dziś z Kolna do Łomży. Podróż miałem bardzo przykrą, bo szalała zawieja śnieżna. Dobrze jeszcze, że jechałem krytą furą żydowską, która chroniła mię jeszcze nieco od zimna. Mrozu nie było, temperatura musiała stać na 0° albo nawet nieco wyżej, ale wiatr był wściekły, połączony z takim śniegiem, że chwilami nic w powietrzu widać nie było. Wyjechałem z Kolna koło godz. 11 rano, do Łomży przyjechałem koło godz.3.

Zastanawiam się coraz bardziej nad ewentualnością mojej jazdy do Kowna. Coraz mniej mam do tego ochoty i coraz mniej wierzę w skuteczność tej podróży. Zdaje się jednak, że niewłaściwym będzie cofnięcie się zupełne od tej podróży, omówionej już ze Sławkiem i Prystorem, a prawdopodobnie już i Piłsudskiemu wiadomej, postaram się jednak w ten sposób ją uskutecznić, aby wybrać się do Kowna w czasie świąt Wielkiejnocy. Zabawię tam krótko, pomówię z Litwinami, spróbuję ich zaangażować do nawiązania kontaktu z Piłsudskim i wrócę, a z Łomży po powrocie zdam relację Piłsudskiemu. Jestem przekonany, że niewiele się da zrobić, jeżeli nie nic. Litwini przede wszystkim czekać będą faktów dokonanych i kwapić się na angażowanie się nie będą. Sytuacja międzynarodowa i warunki stosunków sił są jeszcze zbyt nieokreślone, zbyt chwiejne, aby Litwini mogli uważać za potrzebne iść już dziś na spotkanie projektów Polski, kapitulując w tym celu z niektórych zasadniczych założeń swej polityki i w pierwszym rzędzie z Wilna. Tym bardziej, że i sam Piłsudski jest w Polsce jeszcze czynnikiem zbyt mało określonym w wewnętrznych stosunkach sił. Jest Sejm z nieustaloną jeszcze większością, jest rząd Paderewskiego o znamionach przejściowych, w których ważą się lewica z prawicą, jest Komitet Narodowy w Paryżu. Wszystkie te czynniki istnieją i krystalizują się równolegle do Piłsudskiego, a widmo Romana Dmowskiego coraz konkretniej wyłania się z chaosu. Dmowski czy Piłsudski – oto dziś prawicy i lewicy dwie stawki. A gdy tak jeszcze w Polsce na wewnątrz wszystko nieokreślone i ważące się, to jeszcze bardziej nieokreślone są stosunki sił i wnioski na zewnątrz. Cały świat zdaje się tańczyć jakiś taniec opętany między dwoma słupami granicznymi, które są symbolami dwóch biegunów, a kto wie, czy nie dwóch przepaści – imperializmu Koalicji i rewolucji komunistycznej.

A znów szukać na Litwie jakichś elementów wyłamujących się z solidarności i z formacji politycznej, którą Litwini wytwarzają i z nich robić sojuszników, to jest dzieło chybione, bo takie elementy żadnej trwałej podstawy do niczego nie dadzą. Tymczasem w Polsce coraz głośniej w sprawach Litwy i Białej Rusi brzmi nuta czystego nacjonalizmu, a Litwinów, choć się im niby uznaje prawo do niepodległego bytu państwowego w jakichś karykaturach zwężonych granic etnograficznych, to przecież traktuje się, gdy się konkretnie mówi lub pisze o ich formacjach politycznych – „*en canaille*”[123], co nie może ułatwiać jakichś kontaktów z nimi. Wreszcie fakt: czytam w korespondencji z Kowna, że rząd Ślażewicza, bądź co bądź demokratyczny i ludowy, ustąpił na rzecz rządu Dowidajtisa[124], który, wnosząc z kierownika, jest reakcyjny. Zresztą w Tarybie litewskiej są Białorusini (Łastowski[125], Łuckiewicze[126]). Ich

---

[123] (fr.) en canaille, wulgarne.

[124] Dovydaitis Pranas był premierem prawicowego rządu Litwy12 III – 12 IV 1919.

[125] Łastowski Wacław(1883-1938), działacz narodowego ruchu białoruskiego, współpracownik czasopisma „Nasza Niwa”, przez pewien czas popierał ideę budowy niepodległego państwa białoruskiego w oparciu o Polskę, następnie w ostrej opozycji do Polski.

[126] Iwan (1881-919) i Anton (1884-1946) Łuckiewiczowie, działacze białoruskiego ruchu narodowego, współzałożyciele Białoruskiej Rewolucyjnej Hromady (1902) i Białoruskiej Socjalistycznej Hromady (1905), wydawcy i redaktorzy „Naszej Doli” oraz „Naszej Niwy”.

obecność komplikuje niezmiernie ewentualny kontakt Litwinów z Polakami. Sprawa ta zdaje mi się być w obecnym stadium beznadziejna.

31 marca, rok 1919, poniedziałek
Znów spadła na mnie nowa niespodzianka. Oto zawołał mię prezes Filochowski i, pokazując depeszę otrzymaną z Warszawy, o zarządzeniu wyborów do Rady Miejskiej w Łomży i o powołaniu jednego z sędziów na przewodniczącego Głównej Komisji Wyborczej, oświadczył, że zamierza znów powołać na to stanowisko mnie jako już doświadczonego w tego rodzaju czynnościach i uprosił, abym się na to zgodził. Oczywiście, roboty tu będzie mniej, niż było w Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu, bo działalność rozciąga się tylko na miasto, podczas kiedy tam rozciągała się na sześć powiatów. Zgodziłem się, na razie nawet dość chętnie, a to z tego powodu, że przyszło mi zaraz na myśl, że znów do pracy biurowej w tym Komitecie powołam, w charakterze mojej sekretarki, pannę Lusię Roszkowską, która przed kilku dopiero dniami zakończyła pracę w Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu i do której tęsknię serdecznie, gdy zmuszony jestem siedzieć w moim gabinecie samotny. Aliści okazało się, że ten wzgląd, który mię skłaniał tak chętnie do przyjęcia tego ciężaru, zawiódł. Panna Lusia, którą zawiadomiłem o tym, angażując od jutra do pracy, wpadła do mnie po obiedzie, oświadczając, że dziś właśnie otrzymała posadę stałą. Oczywiście zmuszona jest się trzymać tego, co jest stałe, choć żałuje, że znów u mnie pracować nie może. A cóż dopiero o moim żalu mówić!
Tak więc oto wszystko spada na mnie. Nie wybrnąłem jeszcze z tej jazdy do Kowna, z którą nie wiem, co zrobić, a tu obarczony zostałem nowym ciężarem, który wymaga pracowitej roboty. Choć w Głównym Komitecie Wyborczym do Rady Miejskiej będzie roboty mniej, niż było w Komisji Głównej do Sejmu, ale za to tam byłem zupełnie zwolniony od zajęć w sądzie, podczas gdy teraz pracę w Komitecie Wyborczym będę musiał połączyć z normalną działalnością zawodową w sądzie, która sama przez się jest ciężka i pochłaniająca moc czasu i energii.

1 kwietnia, rok 1919, wtorek
Zaangażowałem dziś pracownicę biurową do Głównego Komitetu Wyborczego do Rady Miejskiej. Zarekomendował mi ją obrońca sądowy Kordaszewski, ale się nie udała. Jest to osoba starsza, stara panna, która choć pisze ładnie, ale nie zdradza żadnego sprytu i inicjatywy w pracy, o co mi przecie najwięcej chodzi, bo tu nie przerywam moich zajęć sędziowskich i nie mogę, jak w Komisji Głównej, udzielać dużo czasu na kierowanie robotą. Muszę mieć pracowników, choć niedużo, ale takich, którzy potrafią wykonywać samodzielnie robotę, jaką im zlecę i szybko się orientować. Potrzymam tę pracownicę dla pozoru parę dni i zmienię ją. Zgłosiła się już panna Janina Dziekońska, która pracowała czas jakiś w Komisji Głównej; tę wezmę. Jest to przyjaciółka panny Zadarnowskiej, przystojna młoda blondynka; trochę jest lalkowata, tkwiąca w zabawach, zmysłowo miękka, może niezbyt na samodzielną i sprężystą pracownicę uzdolniona, ale miła i łatwiejsza do pokierowania od sztywnych starych panien. Już to nie ma elementu, moim zdaniem, mniej odpowiedniego do pracy, jak kobiety stare lub podstarzałe. O ile młode przez samą wrażliwość swoją są udatne, o tyle stare – stają się do niczego.
Do składu Głównego Komitetu Wyborczego postanowiłem powołać następujące osoby: adwokat Kazimierz Winnicki (prawica), adwokat Jan Lachowicz (lewica), dr Szymon Goldlust (Żyd) i zdun Izydor Lipowski (element ludowy).
Wiosna nadchodzi. Co też ona i zbliżające się lato przyniesie? Sytuacja przez zimę bynajmniej się nie wyklarowała. Wojna, zakończona w jesieni, nie zamarła. Pokój i

powrót do jakiejś równowagi stosunków zdają się być równie dalekie, jeżeli nie dalsze, niż były w jesieni, gdy się urzędowo stan wojny kończył. Wyrugowana z okopów, z linii frontów, z formalnej regularnej walki potęg zmilitaryzowanych, wlazła ona jak choroba w głąb społeczeństw ludzkości i przerodziła się w stan ciągłego chaosu, w jakieś „*bellum omnium contra omnes*"[127]. Formalna regularna wojna ustała, ale katastrofa, której ona była pierwszym aktem, trwa i daleka jest od zakończenia. Kto wie, czy nie jest ona dopiero w stadiach wstępnych. A najbardziej charakterystyczne jest to olbrzymie zmaganie się dwóch światów, dwóch metod rozwoju: świata burżuazji i starego ustroju narodów i państw, którym rządzić chce i usiłuje koalicja i świata rewolucji, komunizmu i dyktatury proletariatu, na którego czele stoi bolszewicka Rosja. Ten świat drugi nie rozporządza jeszcze taką siłą technicznych środków, jak pierwszy. Ale rośnie on i idzie, a towarzyszy mu głód, wielka idea i zarazem zdziczenie. W świecie pierwszym, świecie burżuazji i *ancien regime*'u[128] demokratycznego nie ma solidarności w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa – rewolucji. Miast wspólnych wysiłków, jest szarpanie się egoizmów i apetytów, zapładniających nienawiść i walki wzajemne. Na próżno koalicja usiłuje elementy tego świata łączyć i znaleźć im współżycia łożysko. Biją się i szarpią Polacy z Czechami, jedni i drudzy z Niemcami, Polacy z Ukraińcami, Ukraińcy z Rumunami, Rumuni i Czesi z Węgrami, Jugosłowianie z Włochami itd., itd. A w łonie każdego z tych społeczeństw, tkwiących w świecie pierwszym, kiełkuje rewolucja. Tymczasem Węgry, doprowadzone do rozpaczy, dokonały już w sobie rewolucji i stanęły w obozie bolszewickiej Rosji. Węgry, które były narodem o najsilniejszych magnackich tradycjach rządów[129].

2 kwietnia, rok 1919, środa
Miałem dziś sesję apelacyjną, która się przeciągnęła długo, bo aż do godz. 7 ½ wieczorem. We wszystkich sprawach bowiem stawały strony, a w wielu też adwokaci, co zawsze wpływa na długość trwania sesji. Po zakończeniu sesji odbyło się w moim gabinecie pierwsze posiedzenie Głównego Komitetu Wyborczego do Rady Miejskiej. Oprócz Goldlusta, pozostali członkowie stawili się. Na zastępcę przewodniczącego wybrano adwokata Winnickiego, na sekretarza – adwokata Lachowicza. Z tych dwóch będę miał, zdaje się, istotną pomoc, co jest tym niezbędniejsze, że nie tylko iż będę zajęty pracą sędziowską, nie mając możności poświęcenia dużo czasu Komitetowi, ale też muszę przewidywać mój prawdopodobny wyjazd do Kowna w czasie świąt. Zaczyna mię już znowu szturmować Sławek. Wzywano mię do telefonu. Kazałem w odpowiedzi skłamać, że mnie nie ma. Tam w Warszawie w kołach Piłsudskiego niecierpliwią się widocznie i chcą już mię prędzej do Litwinów wysyłać. Ja natomiast nie kwapię się i im więcej się zastanawiam, tym większą mam do tej jazdy i całej tej afery niechęć. Zaiste, wolałbym nie maczać w niej wcale rąk. Mam przeczucie, że podróż ta i rozmowy z Litwinami nie tylko że będą próżne, pozbawione wszelkiej wartości realnej w znaczeniu powodzenia dla planów Piłsudskiego, ale mieć będą nawet skutek ujemny, przede wszystkim dla mnie, dla mojej u Litwinów popularności, dla ich opinii o moich zamiarach i roli; a to jest przecie rzecz sama bynajmniej nie dla samej próżności mojej, ale i dla ewentualnej w przyszłości działalności mojej. Wymigać się od tej podróży już chyba nie będę mógł, ale chciałbym się przynajmniej ograniczyć do zbadania gruntu i do roli biernego pośrednika, do roli co najwyżej dobrych usług w ewentualnym kontakcie między stronami – Piłsudskim i Litwinami. Być czynnym

[127] (łac.) bellum omnium contra omnes – wojna wszystkich przeciwko wszystkim
[128] (fr.) ancien regime – dawny ustrój.
[129] Rewolucja na Węgrzech, chodzi o tak zwaną Węgierskiej Republiki Sowieckiej i reżim komunistyczny w okresie 20 03 – 01 08 1919 r. po upadku Imperium Habsburgów.

agentem programu Piłsudskiego nie chcę i nie podejmuję się. Toteż chciałbym tę podróż załatwić w czasie świąt Wielkiejnocy, a do Warszawy pojechać przedtem nie wcześniej, jak w końcu przyszłego tygodnia. Cały program Piłsudskiego, który skreśliłem w dzienniku ze słów Sławka, coraz bardziej wydaje mi się fantastycznym. Wprawdzie dotychczas to właśnie było sekretem wielkości Piłsudskiego, że robił on zawsze poważnie to, co ludzie poważni i rozsądni uważali za niepoważne i nierealne i że przez całe swoje życie do starości wcielał w czyn to, co było przedmiotem fantazji 12-letnich chłopców, ale w tym wypadku zdaje się, że romantyzm Piłsudskiego jest nazbyt zaiste romantyczny. Na tle olbrzymiej burzy dziejowej, w której grają wszystkie rozpętane żywioły natury ludzkiej jako wielkie podświadome elementy dokonywającego się kataklizmu, on usiłuje realizować układ poszczególny, budować stosunek, który prawami tej burzy wykreślany być musi. Chaosowi elementów, burzy żywiołów przeciwstawia on swoją wolę, tworząc z niej czynnik budowy. Poza tym, w samym stosunku do Litwinów są w tym dążeniu do kontaktu i układu rzeczy tak nierealne, jak traktowanie „*en canaille*" ich formacji politycznych i ich usiłowań konkretnych budownictwa państwowego, co się wciąż czyta w prasie nawet najbliższej Piłsudskiego, z równoległym kierowaniem do nich propozycji układowych. Boć propozycje te mogą być do Litwinów kierowane nie inną drogą, jak poprzez ich formacje polityczne. A dalej Piłsudski chce rzekomo realizować państwowość litewską niepodzielną ze stolicą Wilnem, podczas gdy nie tylko endecy, ale nawet obóz ludowców grupy „Piasta", ten obóz centralny, na którym Piłsudski chciałby zakładać fundamenty większości sejmowej, kategorycznie proklamuje wcielenie Wilna włącznie z ziemiami katolicko-białoruskimi do Polski, wyznaczając niepodległej narodowej Litwie terytorium etnograficzne, o którego granicach różnie jeszcze przesądzać można. Litwini co do założeń ich koncepcji państwowej są bliżsi endeków i większości polskiej, niż Piłsudskiego, bo dążą też do państwa narodowego, ale tu między nimi i Polakami jest nieprzebyty kamień obrazy – Wilno. Natomiast Piłsudski, o ile chce tworzyć Litwę niepodzielną, buduje kompromis, ale na czym się oprze?

3 kwietnia, rok 1919, czwartek
Dziś, gdym przed obiadem siedział na sesji karnej I instancji i sądził jakąś sprawę, przyniesiono mi jakąś kartkę, na której napisane było ołówkiem mniej więcej te słowa: „Konstancja Pruszanowska zapytuje o adres p. sędziego Michała Römera". Poznałem na kartce pismo Kotuni. Nie mogłem przerywać sądzenia i dowiadywać się, kto i skąd tę kartkę przyniósł; nakreśliłem jeno na odwrotnej stronie mój adres i oddałem woźnemu dla wręczenia oddawcy jako odpowiedź. Domyśliłem się jednak z tego, że Kotunia Pruszanowska wydostała się w jakiś sposób z Wilna i jest w Łomży. Gdym przyszedł do domu na obiad, spodziewałem się, że zastanę Kotunię. Ale nie było jej i Ewa o niczym nie wiedziała. Po obiedzie znów musiałem iść do sądu do pracy, Ewa zaś ze Stefusiem, który już w wojsku nie jest (czyste utrapienie z tym chłopcem!) i mieszka prywatnie, a do mnie zachodzi często, mieli się udać na poszukiwanie Kotuni po hotelach. Ja wieczorem po pracy również zaszedłem do hotelu Rembielina dowiedzieć się, ale powiedziano mi tam , że Pruszanowskiej nie ma. Dopiero od Ewy dowiedziałem się, że przyjechała nie tylko Kotunia z córkami (Elizką, Józią, Kasią i Stasią), ale i Marynia Römerowa. Marynia przyjechała własnym koniem *via* Grodno. Obie zamierzają pozostać w Łomży. Marynia myśli o zajęciu się dzierżawą ogrodów lub czymś podobnym, aby się z tego utrzymywać. Jutro się z nimi zobaczę.

4 kwietnia, rok 1919, piątek

Widziałem się dziś z Marynią i z Kotunią z jej córkami. Marynia zamieszka u mnie; projektuje zająć się dzierżawieniem sadów owocowych albo też jakąś inną postacią zarobkowania – może wynajmowaniem swego konia. Co do Kotuni, to chce ona również osiąść w Łomży i tu przeczekać czas, aż ewentualnie przeminie kryzys rewolucji. Jedna z córek Kotuni, które tu przyjechały z matką, Eliza, chciałaby się zgłosić na sanitariuszkę na front lub do szpitala wojskowego. Józię zaś i dwie małe Kotunia myśli zatrzymać przy sobie. Dobrze, że Kotunia ma zapas pieniędzy, a prócz tego ma na czarną godzinę duży kapitał w brylantach, który ewentualnie mógłby być spieniężony; bez tego byłaby zginęła, bo sama jest już stara, a córki poszły po ojcu – są niezaradne i do twardej pracy nienawykłe; rodzina Pruszanowskich (nie mówię o samej Kotuni) jest wzorem najbardziej próżniaczego i pasożytniczego elementu społeczności szlachecko-obszarniczej. O ile im bogactwa nie zapewnią pasożytnictwa – są to „*morituri*”[130]. Marynia dużego zasobu pieniędzy nie ma, ale ta jest dzielna i zawsze da sobie radę. Zarówno Marynia, jak Kotunia są w najwyższym stopniu wrogo do rządów komunistycznych w Wilnie usposobione. O bolszewikach nie mogą mówić spokojnie, a szczególnie pałają wściekłością do Żydów, którzy w tych rządach najliczniej są reprezentowani, pchając się wszędzie, zalewając zachłannie wszystkie urzędy, panosząc się z arogancją, tak charakterystyczną zwłaszcza u młodzieży żydowskiej. Wyroków śmierci i represji krwawych wprawdzie w Wilnie nie ma, ale rewizje i areszty są na porządku dziennym. Rewizje w mieszkaniach stały się plagą burżuazji, która nie jest pewna ani mienia, ani środków żywności, ani nawet dachu nad głową, bo pospolitym jest zjawiskiem wyrzucanie zamożniejszych osób z zajmowanych przez nie większych mieszkań bez prawa zabierania mebli, odbieranie bielizny, ubrania, różnych sprzętów i rzeczy, nie mówiąc już o konfiskacie pieniędzy innych niż „kierenki”[131], różnych papierów wartościowych itd. przy rewizjach, bo za znalezienie tych ostatnich rzeczy posiadacze ich są aresztowani i oskarżani o knowania lub choćby sympatie kontrrewolucyjne i pociągani do odpowiedzialności przez straszną „czerezwyczajkę” (rodzaj komisji policyjno-śledczej do spraw politycznych, łączącej w sobie zarazem funkcje trybunału rewolucyjnego), do której składu należy kilka młodocianych, nie starszych ponad lat 18, Żydóweczek i paru równie młodocianych Żydków. Spadek wartości pieniędzy rewolucyjnych jest coraz większy, a stąd wzrost szalony drożyzny z dnia na dzień, połączony z brakiem wszelkich artykułów do życia. Na ogół stan jest smutny. Szczególnie marny jest los burżuazji względnie szlachty ziemiańskiej, która się skupiła w Wilnie. Masa chłopów-gospodarzy nie została bynajmniej dla bolszewizmu pozyskana. Przeciwnie – gospodarze są bolszewikom przeciwni, bo doświadczają na sobie, że ruch ten jest skierowany zarówno przeciwko nim, w imię interesów klas, całkowicie z wszelkiego posiadania wydziedziczonych. Rekwizycje zboża, pobory koni zniechęcają gospodarzy nawet do pracy systematycznej wytwórczej na roli. Aczkolwiek formalnie Litwa i Białoruś tworzą odrębne republiki sowieckie, sfederowane z Sowiecką Rosją, to jednak element litewski i białoruski w nich się zgoła nie wyczuwa. Dominuje i zalewa wszystko element rosyjski i rosyjsko-żydowski.

Pozawczoraj i wczoraj szturmowano mię z Warszawy przez telefon. Zdecydowany nie spieszyć w tej sprawie jazdy do Kowna, zapowiedziałem w kancelarii, aby na wezwania telefoniczne odpowiadała, że wyjechałem na kilka dni do Kowna. Widocznie na skutek tego stawił się dziś umyślny, młody żołnierz, który się przedstawił jako kurier z Belwederu (Belweder – rezydencja Piłsudskiego). Przywiózł mi on list, pisany przez Świtalskiego, osobistego sekretarza Piłsudskiego, którego znałem jeszcze ze sztabu I brygady. List tej treści: „Warszawa, 3 IV 19. Szanowny Panie! Na prośbę p. Prystora i

---

[130] (łac.) morituri – idący na śmierć.

[131] „Kierenki” – nieoficjalna nazwa pieniędzy będących w obiegu w Rosji po rewolucji lutowej 1917 r.

kap. Sławka wysyłam kuriera z prośbą, by Sz. Pan dołożył wszelkich starań i przyjechał natychmiast do Warszawy. W sprawach bardzo ważnych i nie cierpiących zwłoki muszę się oni z Panem porozumieć, jak również komendant Piłsudski przy tej sposobności mógłby załatwić sprawy związane z najbliższą przyszłością. Proszę przyjąć wyrazy szacunku. Dr Kaz. Świtalski"[132]. Wzmianka o Piłsudskim wskazuje, że bagatelizować tego wezwania nie wolno. Odpowiedziałem przez kuriera ustnie, że przyjadę do Warszawy jutro.

5 kwietnia, rok 1919, sobota
Rano przed wyjazdem do Warszawy, w godzinach między 10 a 12, odbyło się w gmachu Sądu Okręgowego, w małej sali posiedzeń, pod moim przewodnictwem ogólne zebranie wszystkich członków jedenastu obwodowych komitetów wyborczych do Rady Miejskiej. Zostały odczytane głośno przeze mnie i przedyskutowane – dekret o ordynacji wyborczej do Rad Miejskich i regulamin wykonawczy do tegoż dekretu. Wobec mojego wyjazdu do Warszawy na dni parę i rychłego, jak przypuszczam, wyjazdu na czas dłuższy do Kowna, ja osobiście nie będę przeprowadzać tej kampanii wyborczej, przynajmniej w głównych jej etapach. Toteż mało mię ona zajmuje i nie pochłania ani w przybliżeniu tak, jak pochłaniała praca w Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu. Ja w ogóle mam takie usposobienie, że jeżeli tylko mam coś robić połowicznie, to już mię taka robota nie interesuje i robię ją niechętnie. W Głównym Komitecie Wyborczym zastąpią mię Winnicki i Lachowicz.
O godz. 1 z minutami, po obiedzie, wyjechałem do Warszawy. Po przyjeździe do Warszawy wieczorem udawałem się parokrotnie do mieszkania Ludwika Abramowicza, chcąc u niego zanocować, alem go nie zastał. Widziałem się tylko ze Sławkiem, do którego wstąpiłem, i z Prystorem, którego u niego zastałem. Byli oni zajęci jakimś posiedzeniem, które się akurat w tym czasie w mieszkaniu Sławka odbywało, więc tylko kilka słów zamieniliśmy ze sobą. Prystor wspomniał, że pośpiech jest naglący, bo już w najbliższym czasie Wilno zostanie z rąk bolszewików odebrane i że ewentualnie powinienem jechać nie do Kowna, ale bezpośrednio do Wilna, gdzie się już zapewne prędko spotkamy wszyscy. Nie było czasu zapytywać o szczegóły i wdawać się w dyskusję. Na moją uwagę, że jednak ja, o ile mam jechać, nastaję na Kownie, Prystor odrzekł, że pomówimy o całej sprawie jutro na pewnej konferencji poufnej, na którą przybędzie też Komendant Piłsudski. Dodał, że poprzednio mam się zobaczyć z Witoldem Abramowiczem, z którym mię skomunikuje Ludwik Abramowicz; od Witolda Abramowicza dowiem się bliższych informacji i on też skieruje mię na owe zebranie poufne z Piłsudskim. Na tym się dziś skończyło. Wobec tego, że do Ludwika Abramowicza dostać się nie zdołałem, poszedłem zanocować do jakichś pokoi umeblowanych na Chmielnej.
Coraz mniej mam wiary i ochoty do tej akcji, w którą mię chcą wciągnąć. Zdecydowany jestem dać stanowczo do zrozumienia jutro, że zgodzę się pojechać li tylko do Kowna i tylko w charakterze pośrednika, ofiarującego dobre usługi do nawiązanie kontaktu między Piłsudskim i jego programem a Litwinami, nie podejmując się roli agenta programu Piłsudskiego, roli wprzęgania się na służbę tego programu. Program ten bowiem nie jest dla mnie wcale tak wyraźny i dokładny, jak się on wydaje tym ludziom, których działalność i wola jest zapładniana li tylko wiarą w Piłsudskiego. Z takimi ludźmi, jak Sławek, trudno mi się nawet w tych sprawach rozmówić: nie analizują oni stosunków, nie znają ich, nie rozumieją zagadnienia Litwy; dla nich

[132]Świtalski Kazimierz (1886-1962), działacz polityczny, żołnierz Legionów Polskich i POW, jeden z najbliższych współpracowników J. Piłsudskiego, od XII 1918 w Adiutanturze Generalnej Naczelnika Państwa.

wystarcza w zupełności to, że taką jest myśl i kierunek woli Piłsudskiego. Za nim pójdą oni w ogień i w wodę, bo dźwignią ich czynu jest wiara. Dla mnie przecież to jedno wyłącznie nie wystarcza.

6 kwietnia, rok 1919, niedziela
Rano u Ludwika Abramowicza spotkałem się z Witoldem Abramowiczem i Jankiem Piłsudskim, bratem Naczelnika Józefa Piłsudskiego, dwoma *leaderami* tzw. Związku Demokratycznego – organizacji tego politycznego odłamu Polaków litewskich, który w sprawach Litwy działa w najbliższym kontakcie z programem Naczelnika Piłsudskiego. Rozmowa, którą miałem z nimi, wyjaśniła mi przyczyny tego nadzwyczajnego pośpiechu, z jakim byłem wzywany, jak również dalsze konkretne elementy wykonania tego programu, który mi przed paru tygodniami Sławek z Prystorem przedstawili. Jak to zreferuję niżej, moja osoba jest jak najściślej związana z elementami wykonania tego programu, przynajmniej w zamiarach autorów. Dowiedziałem się od Witolda Abramowicza, że zdobycie Wilna jest już tylko kwestią dni, właściwie najdalej dokonane zostanie w tygodniu przyszłym, to znaczy jeszcze za tydzień, w siódmym tygodniu Wielkiego Postu przed świętami. Fakt ten uważa się za fakt niewątpliwy, fakt, o którym jest pewność, że nastąpi. Na tej pewności wszystko jest osnute. Józef Piłsudski i Główne Dowództwo zapewnili o tym. Oczywiście, ten szczegół jest jak najbardziej poufny, albowiem jest on tajemnicą planu działań wojennych. Przez czas nieco dłuższy omawialiśmy, częściowo dyskutowaliśmy, z Witoldem Abramowiczem i Jankiem Piłsudskim podstawy wykonalności samego ich programu litewskiego, który, jak wiadomo, polega na odbudowie państwowości Litwy historycznej niepodzielnej ze stolicą w Wilnie i w związku państwowym z Polską. Zarówno ja, jak oni, zdają sobie sprawę z tego faktu, że program ten nie odpowiada dokładnie najbardziej wyrazistym dążeniom tak Litwinów, jak Polaków litewskich i samej Polski w stosunku do sprawy Litwy. Bo jak Litwini dążą właściwie nie do restauracji Litwy historycznej w dawnych granicach W. X. Litewskiego, jeno do narodowego państwa litewskiego na terenie ściślejszym, tak Polacy litewscy, przynajmniej w największych ich skupieniach (na terenie gub. grodzieńskiej i wileńskiej zwłaszcza), marzą i pożądają nie tyle jakiegoś wskrzeszania unii państw litewskiego z polskim, ile prostej przynależności do Polski, po prostu wcielenia, nie troszcząc się zbytnio o to, co się stanie z pozostałymi częściami ziem W. Xięstwa czy to na wschodzie – w Białej Rusi prawosławnej, czy na zachodzie – w obciętej mocno na rzecz Polski szczątkowej Litwie etnograficznej. Nie ulega też wątpliwości, że samej Polsce w jej dążeniach na wschód, na tzw. „kresy wschodnie” litewsko-białoruskie, chodzi nie o jakieś państwo litewskie i odrodzenie jakichś idealnych związków braterskich, ale o rzeczy bardzo konkretne, do których należą: ziemie białoruskie na rzecz kolonizacji i nasycenia chłopów polskich ziemią, Wilno – dla zaspokojenia pragnień narodowych jako miasto polskie i ewentualnie – zabezpieczenie się od Rosji przez wał ochronny „kresów”. Jak ja, tak oni zdajemy sobie również sprawę z tego, że jednak pomimo to program Litwy niepodzielnej ze stolicą w Wilnie i związkiem z Polską, aczkolwiek jest dla stron obu kompromisem, to jednak kompromisem takim, który z wielu względów powinien być dla nich do przyjęcia. Dla Litwinów jest on takim dlatego, że jest bodaj w obecnej sytuacji międzynarodowej jedynym środkiem, zapewniającym, że kwestia Wilna na ich niekorzyść przesądzona nie będzie; poza tym, jeżeli nie liczebnie, to mocą swojego wyższego poziomu będą oni w państwie litewsko-białoruskim, sfederowanym z Polską, wodzili rej w całej demokracji, co wpływy im zapewni duże i da oparcie dla ich dalszych postulatów politycznych. Co zaś do Polski, to bądź co bądź zadania i potrzeby, które ona ma w swej ekspansji na wschód na ziemie białoruskie, dadzą się w dużym stopniu spełnić i tą

drogą, bez ścisłej aneksji albowiem wpływy i jej waga będą niewątpliwie w tej federacji *a priori* przeważały, a potęga państwa związkowego na zewnątrz urośnie. Są więc niewątpliwie argumenty, które dla obu stron przemawiają na rzecz tego kompromisu. Co zaś do Białorusinów – to jest jeszcze element bardzo bierny, który w wytworzeniu tej konstrukcji państwowej czynniejszego udziału nie weźmie. Lud białoruski pójdzie za tym, jeżeli dostanie chleba, jeżeli się go będzie traktować po ludzku, goić rany i nędzę zadane przez wojnę, jeżeli się przyniesie ukojenie i perspektywy dla spełnienia jego pożądań natury społeczno-gospodarczej. Tak się ta rzecz przedstawia, oczywiście w ramach jednego tylko zastrzeżenia – że społeczna rewolucja komunistyczna – bolszewizm – nie rozleje się na cały świat, bo wtedy wszystko inne będzie przezeń w ogniu wielkiego przeobrażenia cywilizacji pochłonięte. Co prawda, są różnice w traktowaniu założeń i szans tego programu przeze mnie a przez rzeczników idei Piłsudskiego. Dla nich zło bolszewizmu jest przesądzone, dla mnie – jeszcze niezupełnie; dla nich bankructwo rewolucji komunistycznej i dyktatury proletariatu jest pewnikiem, dla mnie jest to jeszcze zagadka. Ja też się obawiam maksymalizmu żądań, zarówno w sferze społecznej, jak politycznej i narodowej, który dziś jak psychoza ogarnął umysły ludów i narodów i który sprawia, że żadne względy umiarkowania, kompromisu i wykonywalności nie przekonywują nikogo; dlatego obawiam się, że nasz program litewski, choćby był praktycznie najdogodniejszy dla Litwinów ze wszystkich możliwych rozwiązań – rozbije się o ich maksymalizm. Abramowicz i Piłsudski mniej ode mnie się obawiają tego.

7 kwietnia, rok 1919, poniedziałek
Słowem – że w ogólnych zarysach, pomimo pewnych różnic w ocenie sytuacji i większego pesymizmu z mojej, a optymizmu z ich strony – zgodziliśmy się wczoraj rano w rozmowie z Witoldem Abramowiczem i Jankiem Piłsudskim co do głównych założeń programu litewskiego. Gdy przyszło do mojej jazdy, Witold Abramowicz podsuwał myśl, że kto wie, czy nie byłoby może lepiej, abym się starał jak najprędzej i wprost dostać się do Wilna zamiast do Kowna i być w Wilnie na miejscu, gdy Józef Piłsudski za jakichś dni dziesięć wkroczy do Wilna na czele wojsk polskich po wygnaniu bolszewików. Gdym na to odrzekł przecząco, oświadczając, że ja służę tylko do pośrednictwa w nawiązaniu kontaktu z Litwinami, co tylko w Kownie w chwili obecnej może być robione, to Witold Abramowicz zaczął mi odsłaniać dalszy rąbek na drodze wykonania programu Piłsudskiego. A mianowicie powiedział, że ponieważ chodzi bardzo o to, aby natychmiast po wkroczeniu wojsk polskich do Wilna zacząć wytwarzać prowizorium państwowe litewskie, aby od razu postawić opinię polską wobec faktu dokonanego odrębnej formacji państwowej na terenach b. Wielkiego Xięstwa Litewskiego, więc od razu trzeba tworzyć rząd i wszystkie jak najszybciej organy władzy, których koroną ma się stać następnie Konstytuanta Litwy. Otóż zakomunikował mi Witold Abramowicz, że ni mniej, ni więcej, jak ja zostałem upatrzony na tego pierwszego kierownika rządu Litwy, prezesa gabinetu ministrów. Moje imię bowiem jest popularne w kraju, szczególnie cenione przez całą demokrację, posiadające zaufanie Litwinów, jak bodaj nikt inny w kraju spośród ludzi o kulturze narodowej polskiej. Do gabinetu dobrałbym sobie Litwinów oraz demokratów Polaków litewskich i rządziłbym z nimi w kraju do zwołania Konstytuanty, oczywiście za wiedzą i aprobatą Głównego Dowództwa (Józefa Piłsudskiego). Dlatego też chodziłoby o to, aby mój przyjazd do Wilna po wkroczeniu wojsk polskich nie uległ zwłoce, wobec czego, zdaniem Witolda Abramowicza, mniejszą jest nawet wagą to, czy zdołałbym już poprzednio dojść do porozumienia z Litwinami w Kownie; wystarczyłoby może na razie paru nazwisk Litwinów w rządzie, pierwszych lepszych, aby przynajmniej od

samego początku, choć pozornie i formalnie, Litwini w rządzie figurowali. Chociaż nie zataję, że ta propozycja, a raczej rewelacja Abramowicza o roli, jaką mi się w wykonaniu tego programu wyznacza, zaimponowała mi i olśniła, nadając koloryt o wiele głębszy mojemu działaniu, jednak odrzekłem, że pomimo to nastaję na mojej jeździe do Kowna, bo dopiero od rezultatu moich porozumień z Litwinami uzależniam mój akces do programu w tej roli czynnej. Na tym się moja rozmowa z Witoldem Abramowiczem i Jankiem Piłsudskim skończyła. Jeszcze jedno się od nich dowiedziałem, że dla programu tego pozyskany został Łukomski z Szawel, ten sam, który w listopadzie roku ubiegłego za pobytu mego w Wilnie zgłaszał się do mnie w sprawie objęcia redakcji „Nowin Litewskich". Łukomski bawił w Warszawie i właśnie jedzie teraz do Kowna, gdzie się ze mną spotka (nie zdołałem się z Łukomskim w Warszawie zobaczyć). Z tego pozyskania Łukomskiego cieszę się bardzo, bo w jego osobie przybędzie dzielny rzecznik tego programu wobec Litwinów. Jego współdziałanie będzie mi dużą pomocą w Kownie. Jest to człowiek, który, choć jest kultury polskiej, jednak działalność swoją opiera na gruncie i społeczeństwie litewskim, ma tam uznanie i wpływy. W obozie litewskim nie jest on, zdaje się, „*une guantite neglineable*"[133]. Po rozmowie z Witoldem Abramowiczem i Jankiem Piłsudskim miałem tegoż dnia wczoraj o godz. 2.25 wyjechać z Warszawy, spiesząc do Łomży, aby stąd we czwartek puścić się w podróż do Kowna. Atoli Witold Abramowicz około południa wstrzymał mój wyjazd do nocy, abym był obecny na zebrańku poufnym i oczywiście najważniejszym o godz. 4 w mieszkaniu prywatnym Prystora, na które to zebranie przybędzie osobiście Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, uprzedzony o moim przyjeździe. Już dla tego samego zostałem. O zebraniu tym i rozmowie zreferuję jutro. Tu zaznaczę tylko, że Józef Piłsudski przybył na to zebrańko *incognito*, to znaczy *incognito* nie dla nas, lecz dla swego otoczenia urzędowego. Gdyśmy już byli zebrani i omówili rzecz między sobą, zajechał przed dom automobil, z którego wysiadł Piłsudski i poszedł sam jeden na schody na czwarte piętro do mieszkania Prystora, automobil zaś natychmiast odjechał. Piłsudskiemu chodziło o to, aby jak najmniej zwrócić uwagi na tę jego wizytę. Po odbytej z nami konferencji automobil, zawezwany telefonicznie z Belwederu, nadjechał i zabrał Piłsudskiego.
Ja wyjechałem z Warszawy w nocy około godz. 1 i dziś o g. 9 rano przyjechałem do Łomży.

8 kwietnia, rok 1919, wtorek.

Wracam do niedzieli, do konferencji z Józefem Piłsudskim w mieszkaniu Prystora[134]. W konferencji tej wzięli udział: Witold Abramowicz[135], Janek Piłsudski[136], ja, Prystor, Świtalski[137] jako sekretarz osobisty Józefa Piłsudskiego, no i sam Naczelnik Józef

---

[133] (fr.) une guantite neglineable, nieznaczna ilość.
[134] Aleksander Prystor (1874-1941) – członek PPS i OB, ZWC, więziony w Rosji (1912-1917), pułkownik WP, Minister Pracy i Opieki Społ. (1929-1930), Minister Przemysłu i Handlu (1930-1931), premier (1931-1933), poseł (1930-1935), marszałek Sejmu (1935-1938), w 1939 aresztowany przez NKWD, zmarł w więzieniu.
[135] Witold Abramowicz (1874 – po 1940) – adwokat, działacz niepodległościowy, organizator PPS na Litwie, uczestnik wyprawy Żeligowskiego, pierwszy prezydent rządu Litwy Środkowej, senator RP.
[136] Jan Piłsudski (1876-1950) – prawnik, działacz społeczny, sędzia w Wilnie (1920), poseł na Sejm (od 1928), Minister Skarbu (1931-1932), wiceprezes Banku Polskiego, w 1939 aresztowany przez bolszewików, przebywał w więzieniu do 1941, po wojnie na emigracji w Londynie.
[137] Kazimierz Świtalski (1886-1962) – dr filologii, członek ZWC i Zw. Strzeleckiego, w czasie wojny w Legionach Pol., major WP, minister oświaty (1928-1929), premier (1929), wojewoda krakowski (1935-

Piłsudski. Gdyśmy się tam zebrali o godz. 4, Józefa Piłsudskiego jeszcze nie było. Toteż rozpoczęliśmy rozmowę bez niego. Wypłynęła kwestia, dokąd mam ja jechać – do Kowna czy do Wilna. Samych założeń programu już nie omawialiśmy, bośmy go wszyscy akceptowali. Abramowicz, Janek Piłsudski i zwłaszcza Prystor starali się mnie przekonań, że główną wagę ma przyjazd mój do Wilna i obecność tam moja już w samej chwili wkroczenia Piłsudskicgo na czele zwycięskich wojsk polskich, a co najmniej natychmiast po tym wkroczeniu. Ja się trzymałem mocno Kowna, to znaczy rokowań z Litwinami, których ośrodkiem jest dziś Kowno. Stwierdzałem bowiem, że porozumienie z Litwinami jest rzeczą najważniejszą w szansach realizacji programu i winno, zdaniem moim, bezwzględnie poprzedzać wszelkie usiłowania wytworzenia rządu w Wilnie. Witold Abramowicz i Janek Pilsudski godzili się ze mną, że pozyskanie Litwinów jest jednym z największych ewentualnych atutów programu, ale zapytywali mnie, co bym zrobił, gdyby Litwini wręcz odmówili współdziałania i porozumienia; czy podjąłbym się tworzenia lub zgodził wziąć udział w rządzie – bez nich. Odrzekłem, że wprawdzie pozyskanie Litwinów jest tylko środkiem do realizacji programu, to jednak dla mnie zwłaszcza w tej materii kwestia środków jest istotna i bez Litwinów nie przyłożyłbym ręki do tego programu, a więc i rządu, uważając go za rzecz chybioną i jałową. Moi interlokutorzy różnili się też ze mną w poglądzie na charakter udziału Litwinów w projektowanym rządzie. Uważają oni, że o ile nie da się dojść do porozumienia z poważniejszymi formacjami i stronnictwami litewskimi, to wystarczy pozyskać i wprowadzić do rządu choć kilku pierwszych lepszych Litwinów, choćby dla dekorum, aby móc się powoływać, że są z nami i Litwini. Ja to odrzuciłem stanowczo. Trzeba się oprzeć na istniejących formacjach politycznych Litwinów, to znaczy chociaż nie na Tarybie, której polityka zbankrutowała i jest zresztą w zasadniczej sprzeczności z omawianym programem, to przynajmniej na jakichś stronnictwach, kierunkach lub grupach politycznych albo wreszcie w ostateczności na ludziach, którzy coś reprezentują i którzy dzięki przeszłości swej, działalności, wpływom i wadze w narodzie dają gwarancję, że za nimi przynajmniej jakieś odłamy narodu pójdą. Jeżeli nie dojdzie się do porozumienia nawet z takimi jednostkami, to ja z akcji rezygnuję. W żadnym zaś razie nie uważam za możliwe wyłapywać albo jakichś figurantów chłopów, albo jakichś nieodpowiedzialnych polityków w guście polskiego Studnickiego[138] i pozorować nimi fikcję akcesu Litwinów do programu Piłsudskiego. Po tej naszej rozmowie stanęło na tym, że, jak rzekłem, jadę do Kowna – we czwartek wyjeżdżam z Łomży – i w Kownie usiłować będę porozumieć się z Litwinami, a następnie natychmiast po wzięciu Wilna jadę do Wilna i staram się zabrać tam ze sobą tych Litwinów, których pozyskałem albo którzy przynajmniej golowi są do życzliwego omawiania sprawy. Jeżeli takich nie znajdę, to po przyjeździe do Wilna rezygnuję z akcji. Na podróż Prystor wyliczył mi za pokwitowaniem 3.500 marek. Czekaliśmy już tylko Piłsudskiego. Jakoż wkrótce przybył. Wygląda dobrze, acz mizernie, ale rzeźwo, lepiej i raźniej, niż gdym go widział w r. 1917 przed kryzysem Legionów. Po krótkiej rozmowie prywatnej, w toku której Piłsudski wspomniał żartobliwie czasy mojej służby w Legionach i dworował sobie z mojej tuszy i brzuszka, odzyskanych w cywilu – przeszliśmy do konferencji w interesującej nas sprawie. Piłsudski określił, że najpóźniejszą datą zdobycia Wilna będzie dzień Wielkiej Soboty. Fakt ten jest całkowicie pewny. Do Wilna wkroczy Piłsudski na czele wojsk osobiście. Po

1936), poseł i marszałek Sejmu (1930-1935), w latach 1939-1945 w niewoli niemieckiej, po powrocie do kraju więziony w latach 1948-1956.

[138] Władysław Gizbert-Studnicki (1867-1953) – publicysta, polityk, założyciel i przywódca Klubu Państwowców Polskich (1916), członek Tymczasowej Rady Stanu 1917, w okresie międzywojennym rzecznik współpracy z Niemcami, od 1945 na emigracji.

wkroczeniu ogłosi proklamację, w której zapowie związek Litwy z Polską i jej byt państwowy jako państwa, które swobodnie określi swoją organizację wewnętrzną. Piłsudski naszkicował też tezy, które zawierać ma odezwa pierwszego rządu Litwy – to znaczy tego rządu, którego utworzenie chciałby on zlecić mnie. Właściwie program tego pierwszego rządu streszczał się do powołania do życia Konstytuanty w Wilnie. Przeszliśmy następnie do mojego wyjazdu i związanych z tym zagadnień. Piłsudski w zupełności zgadza się ze mną, że stanowisko Litwinów będzie kluczem do wykonalności jego programu niepodzielnej państwowej Litwy w związku z Polską. Jeżeli Litwini pójdą na to, to ich akces pociągnie za sobą Polaków litewskich i pozyszcze Polskę. Jeżeli nie pójdą i staną opornie, to niewątpliwie zwycięży idea podziałowa i program imperialistyczny zagarnięcia i aneksji do Polski ziem katolicko-białoruskich z Wilnem, bez względu na losy okrojonej Litwy etnograficznej i wschodnich kresów prawosławnej Białej Rusi.

9 kwietnia, rok 1919, środa

Józef Pilsudski lepiej od innych rozumiał znaczenie stanowiska, jakie wobec jego programu zajmą Litwini i zgadzał się w zupełności ze mną, że w ręku Litwinów jest klucz do całego programu. Toteż nie dziwił się, że dla otwarcia drzwi chcę użyć klucza i że mój akces do całego tego przedsięwzięcia uzależniam od tego, czy Litwini dzieło to poprą. Ludzie tacy, jak Witold Abramowicz, łudzą się naiwnie, że jeżeli Litwini odmówią poparcia, to i bez nich to się da zrobić, opierając się na Polakach litewskich i – względnie – na biernej masie katolicko-białoruskiej. Nie rozumieją, że jeżeli Litwini nie pójdą na to, to Polacy litewscy tam, gdzie są oni najsilniejsi, w Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie, nie będą mieli żadnych motywów do dźwigania jakichś konstrukcji federalistycznych i dążyć będą po prostu do wcielenia do Polski, pozostawiając Litwę etnograficzną jej własnemu losowi. Wtedy też i rola obszarników polskich na Litwie uwydatni się ostrzej, nie znajdując przeciwdziałania w silnym ruchu demokratycznym Litwinów, mogących zaważyć na rzecz programu Piłsudskiego. Cały system tego programu, tak społeczny, jak polityczny, upada wtedy za jednym zamachem. Bierna masa białoruska nie dźwignie politycznego gmachu tej konstrukcji. Pilsudski zdaje sobie z tego sprawę dobrze i jest przygotowany na taką ewentualność; dlatego też nie pali mostów za sobą i oszczędza obszarników w pierwszych krokach swego przedsięwzięcia, bo wie, że jeżeli ono się nie uda ze względu na Litwinów, to nie pozostanie nic innego, jak przyjąć imperialistyczne konsekwencje akcji wojsk polskich, realizujące podział Litwy i aneksję Wilna do Polski, albo też zrzec się wszystkiego i cofnąć się od wszelkiego udziału w rozwiązywaniu sprawy Litwy. W takiej ewentualności ja oczywiście wybiorę to drugie i ręki do imperialistycznych ćwiartowań Litwy nie przyłożę, ale Pilsudski, który staje na czele akcji wojsk polskich, cofnąć się już nie może i, o ile stanowisko oporne Litwinów udaremni spełnienie jego programu państwowego Litwy, przyjmie on konsekwencje imperialistyczne. Ma on zupełną świadomość tego i powiada to otwarcie. Pod tym względem rozumiemy się, zdaje się, z Piłsudskim. Wszakże co do metod dla pozyskania Litwinów i dla określenia mego udziału w tym przedsięwzięciu, Piłsudski był trochę innego poglądu, niż ja. Uważał on, że byłoby lepiej, gdybym jechał do Wilna, zamiast zaczynać od Kowna. Uważa on bowiem, że Litwini dadzą się przekonać i pozyskać nie tyle argumentami, ile wymową faktów dokonanych, zwłaszcza zajęcia Wilna; toteż, zdaniem jego, należałoby raczej położyć cały nacisk na budowę tych faktów dokonanych w Wilnie, jak wytworzenie rządu itd., aby na tym już podłożu traktować z Litwinami. Ja wszakże nie decyduję się na to, a to dlatego, że w razie czego musiałbym być potem przygotowany na przyjęcie konsekwencji imperialistycznych na wypadek odmowy Litwinów, a tych przyjąć ja nie

chcę i nie przyjmę. Dlatego uzależniam mój udział od poprzedniego porozumienia z Litwinami. Różnimy się też z Piłsudskim na tym punkcie, że gdy ja pojmuję kontakt z Litwinami li tylko w istniejących politycznych formacjach litewskich, Piłsudski uważa, że jeżeli politycy i przywódcy ruchu litewskiego zajmą stanowisko oporne, to można spróbować odwołać się do masy ludowej litewskiej i tą masą przesądzić rozwiązanie na rzecz jego programu wbrew i przeciwko oporowi kierowników narodu. Jest to złudzenie. Piłsudski nie zna historii stosunków i rozwoju narodowego Litwinów. W masie ludowej litewskiej nikt inny, oprócz istniejących litewskich formacji politycznych, nie działał, toteż nikt przeciwko nim nic w tej masie nic zdziała, bo wpływów ustalonych nie przełamie. Ciekawy szczegół zaznaczył Piłsudski. Idea związku Litwy państwowej z Polską, idea programu Piłsudskiego odpowiada intencjom Anglii przeciwko prądom francuskim. Realizacja tego programu, zależna w pierwszym rzędzie od powodzenia oręża polskiego i od poparcia Litwinów – byłaby pierwszym na wschodzie elementem rozwiązania spraw spornych i niesłychanie skomplikowanych, dokonanym – co najważniejsze – metodą związku, metodą wilsonowską solidaryzmu narodów.

Stanęło więc na tym, że wyjeżdżam do Kowna. Mam jechać jutro. Dziś rano przysłano mi już z Warszawy kurierkę, młodą panienkę, p. Łaszczewską, która ma za zadanie towarzyszyć mi do Suwałk, ułatwiając przejazd, i w Suwałkach skierować mnie do właściwych czynników, które dalszą podróż ułatwią. Przywiozła ona przepustki i dokumenty podróży, ale nie przywiozła urlopu, bez którego nie mogę ruszyć. Telegrafowałem o to do Warszawy. Wskutek tego prawdopodobnie będę musiał jeszcze do jutra pozostać, tym bardziej, że muszę jeszcze pewne niezbędne roboty w sądzie wykończyć.

Jestem pełny tęsknoty względem Lusi Roszkowskiej, z którą się dziś pożegnałem. I ona miała łzy w oczach, choć je ukrywa. Prawie że ją kocham.

10 kwietnia, rok 1919, czwartek

Nie wyjechałem dziś jeszcze z Łomży, bo nie doczekałem się z Warszawy urlopu od ministra sprawiedliwości Supińskiego[139], a postanowiłem nie ruszać się, dopóki ten urlop nie nadejdzie. Chcę być pod tym względem formalnym w zupełnym porządku. Wprawdzie zapewniono mnie w Warszawie że minister Supiński się na urlop zgodził i że to jest tylko formalność, ale ja chcę, aby ta formalność była dokonana formalnie. Gdy wyjadę nie doczekawszy się urlopu, to już nikt tak bardzo dbać o to nie będzie, aby minister urlop podpisał i przesłał do prezesa sądu w Łomży i rzecz tak pozostanie nie załatwiona. Nie wiadomo zaś, ile czasu wypadnie mi w tej podróży w sprawach litewskich zabawić i czy w ogóle będzie jakiś skutek mego przedsięwzięcia i jaki; toteż, gdy potem wypadnie mi wrócić do Łomży, będę miał w Sądzie Okręgowym służbowy winę, żem się wydalał na czas dłuższy bez urlopu, zaniedbując obowiązków i wbrew prawu, a tymczasem do tej pory minister się już może zmienić, tak że już wtedy ewentualnie Supiński mnie nie zasłoni. Wolę być w zupełnym porządku. Wczoraj telegrafowałem w sprawie urlopu do Prystora – odpowiedzi nie otrzymałem.

Dziś parokrotnie się komunikowałem telefonicznie ze Świtalskim w Belwederze i wreszcie wysłałem do niego depeszę terminową, żądając nadesłania urlopu, od którego uzależniam wyjazd. Świtalski zapewnia najuroczyściej, że wszystko będzie załatwione i domaga się gwałtownie, abym natychmiast, na nic nie czekając, wyjeżdżał; dodał, że

[139] Leon Władysław Supiński (1871-1950) – prawnik, działacz polityczny, założyciel i prezes Koła Prawników Polskich (19()(>-1932), współzałożyciel Towarzystwa nad Więźniami „Patronat". W 1915 zastępca Straży Obywatelskiej w Warszawie. Od 1917-1918 wiceprezes i od 1919 prezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Minister Sprawiedliwości 1918-1919. Od 1929 I prezes Sądu Najwyższego.

mój natychmiastowy wyjazd jest rozkazem Pilsudskiego. Ja jednak wbrew rozkazom czekam urlopu i nie ruszam się. Skoro tak oni tam w Warszawie chcą, abym już jechał, to niechże załatwią aktualnie to, co jest potrzebne.
Przychodzi mi na myśl jedna rzecz, dlaczego to szczególnie Anglia sprzyja idei związku Litwy z Polską w myśl programu Pilsudskiego. Z pewnością dużą wagę ma to, że byłaby to pierwsza próba rozwiązania jednej z trudnych kwestii na wschodzie metodą nie gwałtu i nie wyłączności jednostronnego interesu, lecz metodą związku, solidaryzmu, kompromisu, łączącego uwzględnienie momentu narodowego, z uwzględnieniem różnych innych momentów międzynarodowego współżycia. Ale niemałą rolę w kombinacjach Anglii grać może w tej kwestii i to, że związek z Litwą, a co za tym dalej w programie Piłsudskiego idzie – i z Łotwą, stworzyłby Polsce w państwie związkowym dostęp do morza na wschodnie porty Bałtyku, co może ułatwiłoby zaniechanie sprawy Gdańska, tak drażniącej dla Niemców i w której Anglia najwidoczniej usiłuje ostrze apetytów polskich stępić, aby tej krzywdy Niemcom oszczędzić. Sprawa Litwy może być w tej kompensacji przeciwśrodkiem i grobem sprawy Gdańska. Nie trzeba o tym Polakom głośno mówić, bo to by ich bardzo źle do sprawy Litwy w koncepcji programu Piłsudskicgo usposobiło.

11 kwietnia rok 1919, piątek
Na skutek energicznych starań podjętych przeze mnie wczoraj wieczorem w drodze telegraficznej i telefonicznej, w nocy nadszedł wreszcie telefonogram od ministra sprawiedliwości Supińskiego do prezesa Sądu Okręgowego Filochowskiego[140], zawiadamiający o udzieleniu mi nieograniczonego urlopu. Wobec tego mogłem dziś wreszcie udać się w podróż. Do podróży tej nająłem Marynię[141] z jej własnym koniem, którym przed tygodniem przyjechała z Wilna. Duża to droga na jednego konia, ale koń dobry. Wyruszyliśmy późno, coś koło godz. 11 przed południem, bo musiałem jeszcze doczekać się w sądzie prezesa, aby go formalnie pożegnać i otrzymać ustne oświadczenie, że o urlopie moim został powiadomiony.
Mamy do przebycia z Łomży do Kowna dwieście kilkadziesiąt wiorst. Do Suwałk towarzyszy mi panna Maria Łaszczewska. Miła to i przystojna dziewczyna, nieco ekscentryczna, niezbyt zaradna w drodze, ale niegłupia, dobrze się orientująca w zagadnieniach społecznych i politycznych. Jest ona studentką Uniwersytetu Warszawskiego na prawie, miła jest i łatwa w pożyciu; krótko ostrzyżona, blondynka nieco żółtawa, twarzyczka pucata, ma kolory, pali papierosy.
Przejechaliśmy dziś z Lomży do Szczuczyna 6 mil (ściśle 43 wiorsty) i ze Szczuczyna do Grajewa 2 mile (14 wiorst). W Grajewie stanęliśmy na nocleg w zajeździe żydowskim. Popas w drodze urządziliśmy w lasku o parę wiorst za Stawiskami. P. Łaszczewska miała tam bardzo przykrą przygodę. Gdyśmy stali w lasku, podeszli do nas jacyś dwaj chłopi, pogawędzili trochę i odeszli. Zaraz po ich odejściu pojechaliśmy i my. Chłopi ci jechali przed nami o kilkadziesiąt kroków. Nagle ujrzeliśmy na drodze jakiś przedmiot, podobny do filcowego kapelusza p. Łaszczewskiej (jechała ona bez kapelusza, który włożyła na dno wozu pod nogi); zajrzeliśmy – kapelusza nie ma. Wysiadłem więc i podjąłem przedmiot, leżący na szosie. Był to w istocie kapelusz p. Łaszczewskiej, ale wewnątrz był świeży gnój ludzki. Oczywiście chłopi, rozmawiając z nami, ściągnęli nieznacznie kapelusz, do którego następnie nabrudzili i porzucili przed

[140] Tomasz Filochowski – prawnik, w latach 1927-1929 sędzia Sądu Najwyższego w Warszawie.
[141] Siostra Maria Römer (1878-1937), 1 *voto* Komorowa, 2 *voto* Budkiewiczowa. W czasie wojny po zaginięciu męża Witolda na terenie Rosji, utrzymywała rodzinę trudniąc się m.in. przewożeniem pasażerów na trasie Wilno-Kowno.

nami na drodze. Był to oczywiście taki sobie „kawał" „dowcipu" chłopskiego. Byłem tym oburzony. Co za wstrętna złośliwość i brud w stosunku do dziewczyny. P. Łaszczewska musiała sobie potem kupić czapeczkę w Szczuczynie.

12 kwietnia rok 1919, sobota
Rano wyjechaliśmy z Grajewa na Rajgród (odległość między tymi dwoma punktami wynosi 18 wiorst). Powietrze nam dość sprzyja, pogoda umiarkowana, wietrzyk w plecy. Koło Grajewa zaczynają się duże bagna, która z wszech stron otaczają szosę. Dalej pod Rajgrodem zaczynają się wzgórza i ukazują się jeziora. Jesteśmy już blisko granicy guberni suwalskiej, gdzie utrzymuje się dotychczas okupacja niemiecka. Za czasów wojennej okupacji niemieckiej cala gubernia suwalska, włącznie z jej częścią południową, niewątpliwie polską, wcielona była do tzw. „Ober-Ostu" (Obervervaltung Ost), którego jądrem była Litwa (również należała tu Kurlandia). Na przejazd przez linię dzielącą Polskę wolną od okupacji niemieckiej w Suwalszczyźnie potrzebna jest przepustka, którą bierzemy w Rajgrodzie w magistracie. Bez tej przepustki posterunki polskie nie przepuszczają podróżnych do przekroczenia granicy. W Rajgrodzie u wylotu miasta – posterunek wojskowy polski, który sprawdza przepustki. Jedziemy dalej. Do Bargłowa, miasteczka na granicy okupacji niemieckiej w Suwalszczyźnie – 9 wiorst. W miasteczku szosa zagrodzona barierą. Spostrzegamy Niemców: widok tak znany w Polsce jeszcze przed kilku miesiącami, a tak już zapomniany. W Bargłowie Niemcy rewidują rzeczy dość skrupulatnie. U Maryni zabierają ogromny śliczny szal, w którym poznają własność państwową niemiecką. Nie pomogły ani groźby, ani gniew, ani ostry krzyk i wymysły Maryni. Szal zabrany (rzeczywiście Marynia kupiła go w Wilnie od żołnierzy niemieckich). Z Bargłowa jedziemy po parogodzinnym popasie dalej do Augustowa (13 wiorst). Przez Augustów przejeżdżamy nie stając. Miasteczko brzydkie, wygląda dość niechlujnie. Za Augustowem śliczny las i przepiękne widoki. Dojeżdżamy do kościelnej i gminnej wsi Szczebla o 7-8 wiorst w kierunku Suwałk. W Szczebrze stajemy na nocleg w chacie chłopskiej, w której jest jednocześnie mały sklepik z piwem i bułkami.

13 kwietnia, rok 1919, niedziela
Ponieważ w Szczebrze mieliśmy do użytku tylko jeden pokój, a że nie mogłem spać w jednym pokoju z panną Łaszczewską, więc nocowałem w stodole na wozie naszym. Zresztą było mi wygodnie i wyspałem się bardzo dobrze. Gorzej wyszły Marynia z p. Łaszczewską, które nocowały w chałupie, zwłaszcza Marynia, która spała na łóżku, ponieważ gryzły ją w nocy pchły i wszy; rano po sprawdzeniu przekonała się, że kołdra, którą jej dano do nakrycia, była usiana mrowiem wszy. Rano mżył deszczyk. Ze Szczebry do Suwałk mieliśmy 21 wiorst. Dziś Kwietna Niedziela. Toteż jadąc spotykaliśmy wciąż ludzi, śpieszących do Szczebry do kościoła z tzw. palmami w ręku. Potem wjechaliśmy w piękny las sosnowy, ciągnący się na znacznej przestrzeni. W tym pięknym lesie przekroczyliśmy połowę drogi z Łomży do Kowna. Koło południa przyjechaliśmy do Suwałk. Konia postawiliśmy w jakimś hoteliku żydowskim. Daliśmy sobie postój kilkugodzinny w Suwałkach. Tutaj też pożegnaliśmy p. Łaszczewską, która pozostaje w Suwałkach i wraca stąd do Warszawy. Suwałki żadnego szczególnego wrażenia na mnie nie sprawiły. Środkiem miasta przechodzi wielka szosa warszawsko-kowieńska, która nadaje ulicy wygląd niezwykle szerokiej. Miasto robi wrażenie brudnego. Na mowie mieszkańców znać już bardzo wpływy litewskie. Czuje się już tutaj na pograniczu litewskim. W Suwałkach ujrzałem pierwszych wojskowych litewskich. Umundurowanie ich niczym się nie zaznacza, jeno czapeczki mają odróżniające; są to czapeczki stojące proste, ścięte u góry pod kątem prostym; dokoła

mają pas żółty i kant żółty u góry. Milicja w mieście jest jeszcze polska, z orzełkami na czapkach. W Suwałkach drożyzna jest znacznie większa, niż w Polsce poza okupacją niemiecką. Czuć tu, że tak powiem – w powietrzu – bliskie sąsiedztwo bolszewików, którzy są w Oranach; wytwarza to pewien nastrój niepokoju, pewną chroniczną obawę przed ich przyjściem, obawy o mienie i życie, więc sama ich obecność w pobliżu wytwarza pewien stan psychozy u mieszkańców. Mówią tu o nich dużo, boją się i nie mają żadnych środków i czynników, mających ustrzec od ich przyjścia. Gazety dochodzą tu albo niemieckie, albo grodzieńskie, z których jedna rosyjsko-żydowska tchnie słabo maskowanym bolszewizmem, i druga – mały świstek polski. Warszawskie tu nie dochodzą, kowieńskich zaś i litewskich nie ma tu wcale, bo nie ma Litwinów. W gazetach grodzieńskich były jakieś wzmianki o rozciągnięciu władzy i działaniach jakichś komisariatów białoruskich na Suwałki i Augustów i przyjścia tu jakichś oddziałów wojskowych białoruskich. Słyszałem, jak Suwalszczanie reagowali na to, że niech przyjdzie, kto chce, byle nie bolszewicy. Widziałem się w Suwałkach z Kasakaitisem[142], Litwinem, który tu jest notariuszem z ramienia władz polskich. Usłyszałem, od niego, że w Kownie po kryzysie ministerialnym u Litwinów wróci znów do władzy gabinet Ślażewicza[143]. O stosunkach suwalskich, zwłaszcza polsko-litewskich w Suwalszczyźnie, mówił mi Kasakaitis, że sąd i inne instytucje polskie w trzech południowych powiatach Suwalszczyzny, aczkolwiek są utworzone z nominacji władz warszawskich, nie są przez okupantów niemieckich w tym charakterze uznawane, jeno wobec Niemców działają pozornie z mandatu Rady Obywatelskiej miejscowej. Z Litwinami jest pewien *modus vivendi*, polegający na tym, że jest faktyczne rozgraniczenie terytorialne władz polskich i litewskich, które unikają tarć i sobie wzajemnie w drogę nie wchodzą. Powiat augustowski nie jest kwestionowany jako polski, powiaty północne (Kalwaria, Mariampol, Wyłkowyszki i Władysławów) są bez zastrzeżeń litewskie. Co do pow. suwalskiego, to tylko dwie gminy północne (Punsk i jeszcze jakaś) nie uznają instytucji władz polskich i ulegają Tarybie. Najbardziej spornym jest powiat sejneński, który Polacy zaliczają do swoich, a w którym Litwini już swoje władze i urzędy pozakładali. Tam więc rozgraniczenia między Polakami i Litwinami – nie ma. Polski sędzia pokoju na powiat sejneński ma swoją kancelarię w Suwałkach, a dla sądzenia spraw jeździ do gmin południowych powiatu – polskich. Obie strony unikają starcia, ale faktami zarządu i organizacji przeciwstawiają i wyłączają się wzajemnie.

14 kwietnia rok 1919, poniedziałek

Nie dokończyłem jeszcze wczorajszego dnia podróży, toteż wracam do niego. O godz. 4 wyjechaliśmy wczoraj z Marynią z Suwałk w dalszą drogę po czterogodzinnym popasie w mieście. Mieliśmy tegoż dnia co najmniej 19 wiorst albo całe 3 mile do najbliższego noclegu. Trzeba zaś było się spieszyć, aby zmrok i noc nas nie zastały w drodze, bo drogi, zwłaszcza w lasach, są w tych stronach bardzo niebezpieczne z powodu ciągłych

---

[142] Antanas Kasakaitis (1870 – po 1950) – nauczyciel i dyplomata, współpracownik pisma „Varpas", jeden założycieli Litewskiego Związku Nauczycielskiego w 1905 r. Od 1913 mieszkał w Warszawie będąc przywódcą tamtejszej litewskiej kolonii. Pierwszy konsul niepodległej Litwy w Warszawie 1919-1923. Po powrocie do kraju pracował jako inspektor szkół średnich. W 1944 emigrował do Niemiec, a w 1950 do Stanów Zjednoczonych.

[143] Mykolas Sleževičius (1882-1939) – prawnik, polityk, działacz Litewskiej Partii Demokratycznej, następnie stronnictwa ludowców (Valstiečiai Liaudininkai), przed I wojną światową sekretarz frakcji litewskiej w Dumie. W czasie wojny na emigracji w Rosji – wiceprezes Rady Litewskiej. Premier rządu litewskiego (26 XII 1918 – 12 III 1919 i 12 IV 1919-7 X 1919 oraz 15 VI – 17 XII 1926). Od 1927 radca prawny w Kowieńskim Banku Kredytowym i pracownik władz samorządowych Kowna.

napadów rabunkowych. Przejechaliśmy 19 wiorst do miasteczka, a raczej powojennych szczątków miasteczka Cipieliszki; o trzy jeszcze wiorsty stamtąd, mniej więcej w połowie drogi do Kalwarii, przy wsi Jeziorko stoi przy samej szosie duża karczma, znana powszechnie pod imieniem „Pięknej Heleny". Tam, podług wskazówek Kasakaitisa, stanęliśmy na noc. Jeziorko położone jest na samym pograniczu etnicznym polsko-litewskim. Ludność Jeziorka jeszcze zalicza siebie do narodowości polskiej; chociaż umie po litewsku, chętniej jednak używa języka polskiego; w Jeziorku milicjant jeszcze z orzełkiem polskim na czapce, symbolem polskości wsi; w zajeździe, który służy zarazem za herbaciarnię i za miejsce zebrań towarzyskich dla mieszkańców lokalnych, słychać język polski i trochę już także litewski; ale język polski jest tu taki, że aż pożal się Boże; lepiej by ci ludzie mówili pięknie swym właściwym rodowitym językiem, niż kaleczyli szpetnie mowę polską Ale w sprawach narodowości i języka – wolnoć Tomku w swoim domku: za jakiego się kto chce mieć, takim wolno mu być. W zajeździe „Pięknej Heleny" spędziliśmy noc nieźle i rano dziś, w deszcz, udaliśmy się w dalszą drogę. Do Kalwarii mieliśmy 18 wiorst. Wjechaliśmy w kraj rdzennie litewski. Charakterystyczną cechą, która od razu tu uderza w oczy – to zupełny zanik wiosek, tak powszechnych w Polsce aż do samej etnicznej granicy Litwy, i natomiast dokoła kolonie chłopskie, to znaczy fermy pojedyncze, na które przed laty kilkunastu, względnie kilkudziesięciu, rozparcelowane zostały w litewskiej części Suwalszczyzny wsie. Od razu też zwraca uwagę zamożność i zasobność tych kolonii indywidualnych, którymi po prostu usiany jest ten kraj. Lasów nie widać tu wcale, nawet najdrobniejszych gajów; wiele zabudowań chłopskich ma ściany z gliny. Przyjeżdżamy do Kalwarii. Tu popas. Miasto jest na wskroś rdzennie litewskie: od milicjantów, od pierwszego lepszego przechodnia lub dziecka, które się widzi. Nawet każdy Żyd umie tu po litewsku. Czuje się tu tak, jakby się było w najgłębszej głębi Litwy, o dziesiątki mil od granicy etnicznej. Litewska połać kraju oddziela się tu od polskiej bardzo radykalnie i ostro jak dwa odrębne światy. Po dwugodzinnym popasie jedziemy dalej i koło godz. 5 przyjeżdżamy i stajemy na noc w Mariampolu, odległym o 12 wiorst od Kalwarii.

15 kwietnia rok 1919, wtorek

Bardzo miły hotelik mieliśmy do noclegu w Mariampolu. Jest to hotel niejakiego Miškinisa, typowego Litwina, akuratnego, umiarkowanego, gospodarnego. Czystość wzorowa, ład, wyborne wędliny własnego wyrobu w bufecie, prawdziwie litewskie, takie, że się odjeść nie można i że niczym wobec nich najwyszukańsze salami włoskie od Hawełki z czasów przedwojennych. Mariampol – miasteczko większe od Kalwarii i jeszcze bardziej na wskroś litewskie. Wnosząc z Kalwarii i Mariampola, spostrzegamy, że w gub. suwalskiej miasta mają charakter czysto litewski, czego brak w miastach gub. kowieńskiej, gdzie element polski jest albo dominujący, albo co najmniej równoważy litewski. Nawet najbardziej litewskie z miast gub. kowieńskiej Szawle – ustępują pod tym względem Mariampolowi i Kalwarii. Mariampol jest też największym z miast litewskiej Suwalszczyzny. Tutaj też jest siedziba litewskiego Sądu Okręgowego na suwalską część Litwy. Wstąpiłem wczoraj wieczorem do tegoż sądu dla oddania prezesowi tegoż – Stankunasowi[144] listu od Kasakaitisa. Oprócz prezesa Stankunasa, zastałem tam sędziego Ciplijewskiego, który mnie trochę znał z Wilna. Dowiedziałem się już tam od nich, że wiadomość o utworzeniu gabinetu Ślażewicza w Kownie jest

[144] Juozas Stankunas (1877-1936) – prawnik, uczestnik zjazdu litewskiego (Sejmu Wileńskiego) w 1905, przed I wojną światową pracował jako sędzia w Virbalis (Wierzbolów), w latach 1919-1929 wiceprezes i prezes Sądu Okręgowego w Mariampolu.

faktem[145]. W Mariampolu dużo wojska litewskiego. Zajmuje ono część koszar pod miastem, gdzie odbywają się ćwiczenia.
Rano wyjechaliśmy z Mariampola. Do Kowna mamy 52 wiorsty – przeszło 7 mil. Jak na piąty dzień drogi – to dużo dla biednej klaczy Maryni. Silna to i dzielna klacz, zresztą dobrze przez Marynię karmiona, ale i ona już czuje tę podróż, bo ma nogi podbite i gdy stoi, to przestępuje ciągle z nogi na nogę. Na popas stanęliśmy we wsi Skriaudžiai, odległej od Mariampola o 26 wiorst. Stamtąd ruszyliśmy już jednym ciągiem przez Wejwery (Veiveriai) i Garlawę (Godlewo) do Kowna. Deszcz padał od czasu do czasu i było zimno, ale nie tak przenikliwie, jak wczoraj po południu w drodze z Kalwarii do Mariampola.
Do Kowna przyjechaliśmy około godz. 5 po południu. Mieliśmy kłopot z zalokowaniem się w Kownie, które jest przepełnione. Kowno od czasu zajęcia Wilna przez bolszewików stało się prowizoryczną stolicą Litwy. Tu się koncentrują wszystkie urzędy i instytucje państwowe litewskie, które skupiły w Kownie wszystkie siły inteligenckie z kraju, tutaj też jest wielkie skupienie narastającego szybko wojska litewskiego, poza tym, są tu jeszcze w dużej liczbie Niemcy, wreszcie jest duży zjazd zbiegów z Wilna i z tych dalszych części kraju, które są zajęte przez bolszewików. Drożyzna też jest w Kownie wielka: ceny są na wszystko mniej więcej podwójne w stosunku do cen w Polsce, choć obfitość produktów jest dość znaczna, sądząc z wystaw sklepowych. Bawią też w Kownie misje państw koalicyjnych, które zajmują najlepszy z hoteli kowieńskich – Hotel Metropol. Nie brak też w Kownie i Rosjan, którzy dla tych czy innych względów wolą siedzieć tu, niż się dostać w łapy bolszewików. *Nota bene* spory jest procent Rosjan-oficerów w młodym wojsku litewskim. Po długich poszukiwaniach ja zalokowałem się w jakichś żydowskich pokojach umeblowanych, a Marynia znalazła jakąś stajenkę dla klaczy, ale bez pokoju dla siebie, wobec czego nocować będzie w stajni na wozie.
Spotkałem się na ulicy z Łukomskim[146], który tu przyjechał przed kilku dniami i który jest wtajemniczony w akcję, dla której ja tu przyjechałem i ma współdziałać ze mną. Dotąd rozmówił się tylko z Narutowiczem[147], którego tu zastał i który gorąco akcji tej sprzyja. Mam się jutro rano z nimi obu spotkać.

16 kwietnia rok 1919, środa
Rano udałem się do mieszkania Narutowicza na umówione spotkanie z Narutowiczem i Łukomskim. Narutowicz był już poprzednio wtajemniczony przez Łukomskiego w istotę i treść programu akcji, dla którego przybyliśmy do Kowna. Jest on całkowicie dla programu tego pozyskany. Zresztą niepotrzeba było specjalnie go pozyskiwać, bo program ten w założeniu i zasadach sam już kiełkował w umyśle Narutowicza i był przeto tylko konkretnym wyrazem tego, co w sercu jego i myślach dojrzewało. Sympatie Narutowicza są cennym dla programu tego narzędziem, bo to jest człowiek, który, choć jest kultury polskiej, całą swą działalnością związany ze społeczeństwem

[145] Zastąpił on prawicowy gabinet Pranasa Dovydaitisa (12 III-12 IV 1919).
[146] Kazimierz Łukomski – adwokat, właściciel majątku Bitaičiai (Bitajcie), prezes szawelskiego oddziału Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego, uczestnik rokowań polsko-litewskich w latach 1918-1919, współwydawca wraz z Jerzym Dowiatem „Nowin Litewskich" (1918), sygnatariusz deklaracji lojalności wobec władz Litwy, uchwalonej przez część ziemian skupionych w Kowieńskim Towarzystwie Rolniczym (21 I 1920), w niepodległej Litwie działacz Towarzystwa Producentów Rolnych i Biura Informacyjnego przy polskiej frakcji poselskiej do Sejmu litewskiego.
[147] Stanisław Narutowicz (Narutavičius) (1862-1932) – prawnik, działacz społeczny i polityczny, ziemianin z Telsz, brat Gabriela, późniejszego prezydenta Polski. Współdziałał z litewskim ruchem narodowym. Sygnatariusz Aktu Niepodległości Litwy. Członek Taryby, w łonie której reprezentował tendencje porozumienia z Polską. Opuścił Tarybę w lipcu 1918 na znak protestu.

litewskim, popularny u Litwinów, w powiecie telszewskim bodaj najpopularniejsza u ludu postać, poza tym – człowiek, który był jednym z najdzielniejszych w opozycji lewicowej w Tarybie, dopóki z niej razem z Kairysem[148] , Biržišką Michałem[149] i Jonasem Vileišisem[150] nie wystąpił (ci dwaj ostatni potem do Taryby wrócili, co zaś do Kairysa, to ten nie wstąpił z powrotem, ale wszedł obecnie w charakterze ministra aprowizacji do gabinetu Ślażewicza). Omówiliśmy teraz we trójkę raz jeszcze cały program Piłsudskiego i stwierdziliśmy zdolność zupełną w naszym pojmowaniu i sympatiach dla niego. Konkretyzując ideę tego programu może nieco dalej i głębiej, niż się on w myśli Piłsudskiego rysuje, przedstawiłem go jako zamach stanu z łona kraju, proklamowany przez demokrację krajową w zespole Litwinów, Polaków litewskich i Białorusinów w chwili uwolnienia stolicy kraju Wilna przez wojska polskie i skierowany do zaszachowania imperializmu polskiego jako domniemanej konsekwencji zajęcia Wilna, a zmierzający zarówno do państwowego przesądzenia sprawy Litwy, jak do zainicjowania metody kooperacji ludów i krajów od Polski po Bałtyk tak w militarnym względzie przeciwstawienia się bolszewizmowi, jak w następstwie w współżyciu gospodarczym i politycznym na przyszłość. Rozumieliśmy wszyscy trzej, że powodzenie akcji zależy wyłącznie od pozyskania Litwinów. To wszakże jest najtrudniejsze, a zwłaszcza wobec ukonstytuowania się koalicyjnego gabinetu Ślażewicza, do którego też weszła lewica litewska wraz z najwybitniejszym tarybowej opozycji rzecznikiem – Kairysem. Ten szczegół niesłychanie utrudnia nasze tu zadanie. Co do planu działania, to ustaliłem, że otworzę karty wobec trzech ludzi: Kairysa, Jonasa Vileišisa i Leonasa[151]. Ten ostatni nie należy wprawdzie do lewicy, ale jest człowiekiem rozumnym, uczciwym i dobrym obywatelem. Wszyscy trzej – Leonas, Vileišis i Kairys – należą dziś do rządu Ślażewicza. Sytuacja się więc wytworzyła tak niezwykła, że o zamachu stanu wypadnie mówić z... członkami rządu. Ma to wszelkie cechy formalnej zdrady stanu – podmawiania ministrów do zamachu stanu. Nie ma jednak innej rady. Narutowicz i Lukomski zaakceptowali mój plan. Z Leonasem rozmówiłem się jeszcze dziś. W jego gabinecie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wyłuszczyłem mu szczerze cały program, zastrzegając tylko poufność. Leonas wysłuchał mnie uważnie, ale sam opinii swojej nie wypowiedział i zachował się z właściwą mu rezerwą. Zwrócił jeno uwagę moją na to, że może należałoby mi

---

148 Steponas Kairys (1878-1964) – inżynier, jeden z przywódców litewskiej socjaldemokracji, po 1905 r. znalazł się na jej prawy skrzydle wśród tzw. autonomistów, podczas wojny zwolennik jedności narodowej. Członek Taryby (do lipca 1918 r.) i sygnatariusz Aktu Niepodległości. Minister aprowizacji w drugim gabinecie Sleževičiusa (12 IV - 7 X 1919), poseł do litewskiego Sejmu w I. 1920-1927. Od 1944 na emigracji w Niemczech, a później w Stanach Zjednoczonych.

149 Mykolas Biržiška (1882-1962) – prawnik, działacz socjaldemokratyczny, w 1917 wszedł w skład Taryby i wystąpił z socjaldemokracji. W 1919 był przewodniczącym Komitetu Litewskiego w Wilnie i redaktorem „Głosu Litwy". W rządzie Sleževičiusa był ministrem oświaty. Uczestnik obrad w Suwałkach w X 1920. W XI 1920 wrócił do Wilna, gdzie wystąpił przeciwko Komisji Rządzącej Litwy Środkowej. W II 1922 wydalony z Wilna. W niepodległej Litwie wykładał historię literatury litewskiej na Uniwersytecie Kowieńskim. Po II wojnie światowej na emigracji w Stanach Zjednoczonych.

150 Jonas Vileišis (1872-1942) – prawnik, działacz Litewskiej Partii Demokratycznej, współpracownik pism „Varpas", „Lietuvos Żinios", „Lietuvos Ukininkas", w 1915 członek Wileńsko-Kowieńskiego Komitetu Obywatelskiego, od 1917 członek Taryby, minister spraw wewnętrznych w pierwszym gabinecie (26 XII 1918 – 12 III 1919) i minister finansów w drugim gabinecie (12 IV 1919 – 7 X 1919) Sleževičiusa, burmiastrz Kowna w latach 1921-1933.

151 Leonas Petras (1864-1938) – prawnik, absolwent Uniwersytetu Moskiewskiego (1899). Od 1887 współpracownik pism „Lietuviškasis Balsas", „Varpas", „Šviesa". W 1907 wybrany posłem do II Dumy Państwowej z guberni suwalskiej. W niepodległej Litwie kierował Sądem Najwyższym. Minister sprawiedliwości w rządzie Voldemarasa i spraw wewnętrznych w rządzie Sleževičiusa (IV-1X 1919). W latach 20-tych – profesor Uniwersytetu Kowieńskiego.

zreferować ten programu wobec całego gabinetu albo co najmniej wobec Ślażewicza. Nie mógłbym się jednak na to zdecydować, bo byłoby to złamaniem poufności, a następnie otwieraniem kart wobec elementów obcych ideowo, co nawet mogłoby doprowadzić po prostu do aresztowania mnie jako inicjatora jakiegoś spisku. Że Leonas zachował się powściągliwie, to mnie nie dziwi, boć trudno, aby minister bez wiedzy gabinetu wchodził w tak drażliwą dyskusję. Rozmowa z Kairysem i Vileišisem wyznaczona jutro rano.

17 kwietnia rok 1919, czwartek
Na wstępie, zanim powiem o rozmowie, którą dziś rano miałem z Kairysem i Vileišisem, wspomnę o kilku rzeczach, które stanowią poniekąd tło i określają warunki, w jakich wypadło nam w Kownie działać, nawiązując kontakt z Litwinami na rzecz związkowego programu Piłsudskiego. Wiadomo, że zawsze tło, warunki i okoliczności faktów – ogromnie oddziaływują na wszelką akcję i wszelkie programy. Gdy się przechodzi od pomysłu do działania, czysta idea *in absoluto* musi się przetwarzać w program realny *in concerno,* określany już nie tylko samą czystą ideą, ale chwilą dziejową także, to znaczy sumą i układem realnych faktów i zjawisk. Otóż zaznaczę tu kilka momentów, mających wpływ ogromny na konkretyzację naszego programu i akcji. Jeden z nich, o czym już wspomniałem –to utworzenie się koalicyjnego rządu litewskiego Ślażewicza. Moment ten komplikuje moją akcję. Łatwiej byłoby oczywiście traktować z lewicą litewską, będącą w opozycji, niż z taż lewicą, wchodzącą do rządu i przeto uwiązaną w ciągłość polityki Tarybowej, obarczoną odpowiedzialnością za nią i współtworzącą fakty oraz linię rozwoju, którą ma przeciąć zamach stanu, pojęty w koncepcji naszego programu. Jest to tym bardziej istotne, że na czele tego rządu stoi człowiek z grup lewicowych – Ślażewicz i że przeto rządowa koalicja litewska jest utworzona pod znakiem lewicy. Dodać tu należy jeszcze to, że najkonsekwentniejszy i najdzielniejszy lewicowy opozycjonista, popularny w masach liniowych Kairys, na którym najbardziej można byłoby fundować współdziałanie litewskie w naszym programie i który do Taryby nie należy wcale – wszedł również do rządu. Za nim na lewo stoją już tylko bolszewicy litewscy albo elementy bądź co bądź bolszewizujące, z którymi i przez to samo kontakt naszego programu jest wykluczony, albowiem opiera się on cały na froncie antybolszewickim.
Dalej, drugim momentem, który się wiąże z poprzednim, są fakty świeże, takie jak wybór Antoniego Smetony[152] na prowizorycznego prezydenta Republiki Litewskiej z przekazaniem mu (wszystko to oczywiście w charakterze prowizorium do czasu zwołania Konstytuanty) władzy ustawodawczej (prawo wydawania dekretów) i zawieszenie na czas nieograniczony – aż do zwołania przez Smetonę – Taryby, co zostało wczoraj dekretem Smetony ogłoszone. Rząd więc Ślażewicza rządzić ma bez Taryby i on też faktycznie za sankcją prezydenta ma mieć moc wydawania dekretów. Tą drogą Litwini zabezpieczyli się przeciwko chwiejności i zbyt częstym zmianom gabinetów, płynącej z ciągłej kontroli rządu przez funkcjonującą stale w charakterze przedparlamentu i różnorodną partyjnie Tarybę. Okoliczność ta w stosunku do naszego programu, z jednej strony, ułatwia zadanie, bo bez Taryby stanowisko rządu jest

[152] Antanas Smetona (1874-1944) – prawnik, czołowy działacz litewskiego ruchu narodowego, w którym uczestniczył od wczesnej młodości. Współpracownik pism „Vilniaus Žinios", współredaktor „Viltis" i „Vairas". Działacz stronnictwa „Pažanga", następnie „Tautininków". W 1905 uczestniczył w Sejmie Litewskim. W okresie przed 1914 pracował jako urzędnik Wileńskiego Banku Rolnego. W 1917 został przewodniczącym Taryby. Pierwszy prezydent Litwy 1919-1920 i ponownie po zamachu stanu w latach 1926-1940. Po aneksji sowieckiej na emigracji w Niemczech i Stanach Zjednoczonych.

prostsze i przeto łatwiejsze jest dla elementów lewicy gabinetu wykonanie – w ramach naszego programu –zamachu stanu, ale, z drugiej strony, okoliczność ta bardziej wiąże rząd i jego elementy lewicy z ciągłością linii politycznej Taryby i daje im pełniejszą władzę na tej linii, co oczywiście utrudniać będzie ich decyzję na jakieś zamachy stanu i ryzyka przedsięwzięć, mających tworzyć linię nową. Dalej ogromnej wagi momentem jest to, co się dopiero w Kownie widzi, a o czym się z daleka albo zapomina, albo nie wyobraża w tym stopniu, to jest dzieło budowy państwowej już dokonane przez Tarybę. Cztery ostatnie miesiące dały pod tym względem ogromną zmianę. Przed Bożym Narodzeniem dzieło Państwa Litewskiego, zakładanego przez Tarybę, było fikcją. Poza okupacją niemiecką, była *tabula rasa,* była próżnia w znaczeniu organizacji państwowej. Obecnie wszakże została wykonana zdumiewająca robota. Jest cała administracja, budują się wszystkie agendy funkcji państwowych, jest zwłaszcza rosnące coraz bardziej wojsko. Z pewnością, przyjrzawszy się temu bliżej, pod zewnętrznymi pozorami gotowych zrębów dużo by się spostrzegło luk i braków poważnych. Tym niemniej, dzieło zostało stworzone i dorobek narasta dzielnie. Otóż o wiele trudniej zejść w drodze przewrotu z jednej linii na inną, zupełnie nową i pełną ryzyka, gdy nic jeszcze na starej linii zbudowane nie było, niż gdy się już tam wzniosło budowlę wcale poważną i gdy się w tym budownictwie współczynnym było. To się, jak się zdaje, za mało przez Piłsudskiego i przez nas uwzględniało w Warszawie. Litwa Taryby – to już nie jest dziś próżnia i niepopularna w kraju fikcja. Może być niepopularną sama Taryba, ale dzieło jej jest, trwa i ogarnia życie, wiążąc się w stosunki. Dalej – misje koalicyjne i wejście Litwinów i ich budującego się państwa w kontakt z czynnikami Koalicji, a przeto w sferę świata i zagadnień międzynarodowych. To daje Litwie oparcie głębsze, niż jakie się nam i w szczególności mnie zdawało. Nie jest ona oparta tylko o bankruta okupacji niemieckiej; ma już początki uznania koalicyjnego, pracuje nad oparciem się o czynniki polityki angielskiej na kontynencie, a w szczególności właśnie obecnie dochodzi już do tego, że otrząsa ze siebie szczątki okupacji niemieckiej, której zlikwidowanie zostało właśnie ustalone. Pozostanie tylko jeszcze pewna liczba wojska niemieckiego, ale już tylko do służby na froncie przeciwko bolszewikom do pomocy wojsku litewskiemu i już tylko pod naczelnym dowództwem litewskim. Ta zdobycz zawdzięcza się zarówno poparciu misji koalicyjnych, jak szybkiemu dojrzewaniu państwowemu Litwy, jak wreszcie rozporządzeniu samych Niemców i ujawnieniu skandalicznych konszachtów Niemców z bolszewikami.

18 kwietnia rok 1919, czwartek
Do tych wszystkich rzeczy wstępnych, które nakreśliłem wczoraj dla scharakteryzowania warunków okolicznościowych, w jakich wypadło mi działać przy nawiązywaniu kontaktu z Litwinami na rzecz związkowego programu Piłsudskiego, dodać chcę jeszcze jedno. Jest to mianowicie ten fakt, że Kowno – dzisiejsza prowizoryczna stolica Litwy – nabrało bardzo dużo charakteru litewskiego. Rzuca się to od razu w oczy i uderza wymową faktu – każdego, kto jak ja, przez czas dłuższy, bo przez cały czas wojny, w Kownie nie był. Pod tym względem Kowno zmieniło się nie do poznania. Język litewski dawniej – mówię o latach przed wojną – był tu niewiele więcej upowszechniony, niż w Wilnie, a przynajmniej nie ujawniał się na zewnątrz. Piętno rosyjskie w języku i w różnych zewnętrznych oznakach widomych nadawali Kownu Rosjanie, których tu, jako mieście gubernialnym i pierwszorzędnej twierdzy, było pełno, i – Żydzi. Poza tym – dominował u tubylców chrześcijańskich język polski. Język litewski i wszystko, co litewskie, miało piętno, kryły się tu jak Kopciuszek – na ostatnim planie, na szarym końcu. Otóż obecnie zaszła zmiana głęboka. Nie tylko wszystkie napisy na szyldach są litewskie – co zostało zarządzone nakazowo, ale i

wszędzie dokoła słychać język litewski i widać litewskie cechy. Przyczynia się do tego duża liczba wojska litewskiego, ale to samo znać i na ludności cywilnej. Do Kowna zjechały z całego kraju tłumy inteligentów Litwinów, zapełniających powstające urzędy państwowe, a wreszcie sama ludność miejscowa przypomniała sobie, że jest litewską i zaczęła używać rodowitego języka, który był w zaniedbaniu i poniewierce. Wszystko, co litewskie, stało się modne i dobrze widziane w Kownie. Miasto odzyskało swój narodowy charakter. Nie jest ono jeszcze tak jednolicie i wyłącznie litewskie, jak Mariampol, ale czuć, że jest istotnie litewskie. W każdym sklepiku, na ulicy, w kawiarniach – ludzie umieją i używają języka litewskiego. Otóż ta okoliczność musi także oddziaływać na polityków litewskich, żywiąc nastroje albo i nałogi metod nacjonalistycznych. To robi polityków litewskich mniej skłonnymi do uwzględniania elementów kulturalnie polskich w kraju. Niewątpliwie też i w stosunku do kwestii Wilna musi im świtać w głowie myśl, że niech tylko Litwini zyskają mocność zakładania swego państwa w Wilnie, to i tam litewski charakter miasta zacznie się stopniowo podnosić, aż dojdzie do odrodzenia i przewagi naturalnej nad polskim. Toteż śmielej traktują oni Wilno nie tylko za stolicę bloku ziem b. Wielkiego Xięstwa Litewskiego, ale też, i to zwłaszcza, za narodową stolicę litewską.
Spotkanie dla rozmowy z Kairysem i Jonasem Vileišisem było wyznaczone na wczoraj na godz. 8 rano w gmachu Taryby, który jest zarazem gmachem Banku Państwa, w gabinecie Vileišisa jako ministra finansów. Rozmowa zajęła przeszło godzinę czasu. Zaczęła się ona od mojego przemówienia, w którym jak najszczerzej, nic nie tając, bez żadnych niedomówień, zreferowałem program Piłsudskiego w związku z bliskim wzięciem Wilna przez wojska polskie. Program ten rozwinąłem, posuwając go jak najdalej w kierunku uwzględnienia stanowiska państwowego Litwinów. Posunąłem go bodaj dalej, niż się on wykrystalizowal w myśli Piłsudskiego i nawet niż go ja sam sobie pierwotnie wyobrażałem. Chcąc bowiem pozyskać Litwinów i chcąc przedstawić im ten program jako rzecz dla nich do przyjęcia i rzecz w skutkach, o ile się uda, dodatnią dla tych celów i dążeń, dla których oni działają, musiałem się oczywiście liczyć z faktami litewskiego budownictwa państwowego, które tu zastałem, a z którymi nie dość się liczyłem w Polsce ani ja, nie znając ich, ani Piłsudski. A że mnie chodziłoby istotnie o powodzenie tego przedsięwzięcia jako bodaj jedynej drogi do nawiązania kooperacji tam, gdzie z chwilą wzięcia Wilna stajemy w obliczu nowej wojny i eksterminacyjnej przeciwstawności litewskiej, i że poza tym chodzi mi istotnie nie o co innego, jak o Litwy dobro i ocalenie w tym dziele nie tylko sprawy Polaków litewskich, ale i dorobku i rozwoju Litwinów, więc jak najszczerzej szukałem takich dróg, które mogły być do przyjęcia. Wszakże aczkolwiek w pewnych elementach program ten posunąłem dalej w kierunku narodowym litewskim, niż się pierwotnie zakreślał, to przecież robiłem to w ramach idei i logiki pierwotnych założeń Piłsudskicgo, godzącego Litwy interes z metodami współżycia i solidaryzmu.

19 kwietniu rok 1919, sobota
W rozmowie przcdwczorajszej z Vileišisem i Kairysem przedstawiłem program Piłsudskiego jako akcję na rzecz państwowości Litwy (niepodzielnej, ze stolicą w Wilnie), którą należy zainicjować w Wilnie natychmiast po wkroczeniu wojsk polskich, ażeby zaszachować imperializm polski i aneksyjną w stosunku do Wilna i Białej Rusi katolickiej politykę wszechpolską. Taką też bowiem w istocie jest myśl Piłsudskicgo oraz nas, którzy byśmy pragnęli z nim współdziałać. Jeżeli bowiem niezwłocznie, a przynajmniej w najkrótszym czasie po zajęciu Wilna przez wojska polskie, nie powstanie z łona demokracji krajowej rząd, który się proklamuje rządem Litwy, to za wojskiem polskim wkroczy tam niewątpliwie polska polityka imperialistyczna czy

aneksyjna, którą żywić i wspierać będą aż nadto wybuchy entuzjazmu i zapału ludności wileńskiej, uwolnionej przez bolszewików. Chodzi więc o zaszachowanie tych prądów przez fakt dokonany obwołania się rządu krajowego z łona demokracji krajowej, co może być osiągnięte li tylko w drodze współdziałania Litwinów z Polakami litewskimi i – co jest równie pożądane – Białorusinami. Ażeby się to powiodło, muszą w tym wziąć udział Litwini, wszakże oczywiście wymaga to ze strony Litwinów ducha kompromisu i zejścia z linii politycznej Taryby, opierającej państwowość Litwy nie na kooperacji równoważnej wszystkich obywateli, lecz na narodowym czynniku litewskim. Dzieło więc to musi być zamachem stanu, zarówno w stosunku do Polski, uprzedzając jej jakąkolwiek własną politykę względem zajętej militarnie Litwy i Wilna, jak w stosunku do Taryby, dając państwowości Litwy inną niż dotąd, szerszą, polegająca, na kooperacji wszystkich jej ludów i wszystkich obywateli bez różnicy kultury i narodowości, podstawę. Powstanie tego krajowego rządu w Wilnie przedstawiłem nie jako twór, powołany przez Piłsudskiego, a więc nie z ramienia zdobywcy, jeno jako twór proklamujący się samorzutnie z łona kraju. Rozstrzygnięcie wszystkich kwestii wewnętrznych Litwy, a więc ustroju stanowiska jej części litewskiej w stosunku do białoruskiej, budowy pod względem układu narodowego, samej kwestii oraz formy związku z Polską i względnie Łotwą reform społecznych– należałoby nie do tego rządu, jeno do Konstytuanty, której zwołanie byłoby najistotniejszym artykułem programu rządu. W kwestii związku z Polską nie kładłem nacisku na przyjęcie *a priori* zasady związku państwowego, natomiast narysowałem to ideą kooperacji ludów i krajów od Polski przez Litwę i Białoruś do Łotwy i ewentualnie aż do Estonii, zarówno kooperacji militarnej przeciwko bolszewikom, jak w dalszej konsekwencji – kooperacji państwowej bądź to w zakresie obrony, bądź w zakresie wymiany współżycia gospodarczego itd., co stanowi szereg przesłanek do związku. Nie byłby to więc nakaz związku, ale byłaby w założeniu całego dzieła idea kooperacji, ogarniającej cały blok ludów, prowadząca konsekwentnie do postulatów związkowych. Byłaby to oczywiście rzecz szersza i treściwsza zarazem, niż jakiś legitymizm Unii Lubelskiej między Polską a Litwą. Byłby to związek kooperacji, a więc żywe dzieło żywych potrzeb, a nie wskrzeszenie samo przez się tworu historycznego, który dzisiejszym stosunkom może nie odpowiadać. Wspomniałem przy tym o przeciwwadze czynników polityki francuskiej i polityki angielskiej w sprawie polskiej, o ważeniu się i ścieraniu pierwszych i drugich, o akcji nacjonalizmu polskiego z Komitetem Polskim w Paryżu i Romanem Dmowskim[153] na czele, usiłującej oprzeć się na czynnikach polityki francuskiej (polityki Pichona)[154], i natomiast o oparciu się Piłsudskiego o czynniki polityki angielskiej, która w szczególności sprzyja związkowemu rozwiązaniu kwestii polsko-litewskiej, zostawiającej Wilno Litwie i zarazem otwierającej Polsce drogami związków dostęp do morza w kierunku Łotwy, co ułatwia sprawę gdańską. Następnie zaznaczyłem olbrzymią wagę moralną pojednawczego i związkowego rozstrzygnięcia trudnej sprawy stosunku Polski do Litwy i sprawy Wilna, co byłoby pierwszym precedensem realizacji zasad Wilsona[155] i pierwszą próbą rozwiązywania kwestii

[153] Roman Dmowski (1864-1939) – w czasie wojny stał na czele Komitetu Narodowego Polskiego, który jesienią 1917 r. został oficjalnie uznany przez rządy Francji, Anglii i Włoch za namiastkę rządu polskiego na emigracji. Formalnie rozwiązał się 15 IV 1919, nieoficjalnie działał jeszcze do sierpnia 1919.

[154] Stephen Jean Marie Pichon (1857-1933) – minister spraw zagranicznych.

[155] Thomas Woodrow Wilson (1856-1924) – prezydent Stanów Zjednoczonych 1913-1921, przewodniczący delegacji amerykańskiej na Konferencję Pokojową w Paryżu. W orędziu do Kongresu Stanów Zjednoczonych 8 I 1918 przedstawił amerykański „14-punktowy" program unormowania stosunków międzynarodowych po zakończeniu wojny.

spornych i stosunków wzajemnych na drodze porozumienia i obustronnego uszanowania swych praw i potrzeb; gdy zaś ten program chybi, to mieć będziemy z Wilna nowy Lwów i nową wojnę, nową do tych już innych komplikację bez wyjścia i bez rozwiązania.

20 kwietnia rok 1919, niedziela
Pierwszy dzień Wielkiejnocy. Nie ma on dla mnie w tym roku żadnego piętna świątecznego i żadnego uroku. Ponieważ cel mojej podróży do Kowna i porozumienia z Litwinami niestety chybił, wracam dziś do Łomży, skąd pojadę niezwłocznie zdać relację Piłsudskiemu. Czy Piłsudski na czele wojsk polskich zajął Wilno albo zajmie je do czasu mego powrotu do Łomży – nie wiem. Wczoraj upłynął termin, który Piłsudski określił jako najpóźniejszy w najgorszym razie termin zajęcia Wilna. Ponieważ w akcji tej miała współdziałać kawaleria, więc może roztopy wiosenne w tych stronach, zły stan dróg i deszcze, które padały obficie w ubiegłym tygodniu, opóźniły rezultat. W każdym razie, do dnia dzisiejszego nie doszła do Kowna wieść o zajęciu przez Polaków Wilna. Przy obecnym stanie warunków komunikacyjnych wieść taka może do Kowna i o kilka dni się spóźnić. Sądzę wszakże, że odbiłoby się to zaraz na froncie litewsko-bolszewickim pod Żoślami (Žasliai) i Żyżmorami (Žiežmariai), ponieważ bolszewicy na skutek utraty Wilna byliby zmuszeni ewakuować cały cypel frontu od Oran (Varėna) het ku Wiłkomierzowi, toteż za nim by do Kowna dotarła wieść o zajęciu Wilna przez Polaków, już by tu bliżej były się ujawniły inne odznaki tego faktu, czego wszakże dotąd nie ma. Sądzę więc, że zajęcie Wilna jeszcze nie nastąpiło. Z Kowna wyjechaliśmy z Marynią przed godz. 9 rano. Na popas stanęliśmy po południu we wsi Skrawdziach (Skriaudžiai). Wieczorem stanęliśmy w Mariampolu, gdzie nocujemy w hotelu poczciwego i sympatycznego Miškinisa.
Wracam teraz do toku mojego działania w Kownie. Na moje przemówienie do Kairysa i Vileišisa – pierwszy dał odpowiedź Vileišis. Zaznaczył on przede wszystkim, że mylę się, myśląc, że Litwini tworzyć chcą państwo wyłącznie narodowe i że rozszerzają je, wzorem innych, na terytoria obce drogą imperializmu, to znaczy panowania litewskiego. Maksymalizm narodowy i imperializm w budowie państwa, jeżeli się mogą stosować do innych narodów, to w żadnym razie nie do Litwinów. Litwini cudzego nie chcą, a uwzględniając w budowie państwa zarówno elementy obywatelskie, nie należące do narodowości litewskiej, jak czynniki gospodarcze i kulturalne poza terytorium etnicznym, niezbędne dla uzupełnienia państwa wszystkich grup narodowych, czego dowodem jest udział Białorusinów i Żydów w Tarybie – że Polaków nie ma, to ich własna wina, bo nie zechcieli stanąć na gruncie Taryby terytorium zaś litewskie uzupełnili w państwie przez połączenie z Białorusią Zachodnią na zasadach dowolnego układu i związku z Białorusinami. Wstęp ten Vileišis wyłożył dla wykazania, że zbytecznym jest skłaniać Litwinów do umiarkowania maksymalizmu i do liczenia się kompromisowego z innymi względami, prócz li tylko nacjonalistycznego, bo rzekomo Litwini dali w całej swej akcji państwowotwórczej dowody istotnego umiarkowania i skłonności do związku. Przechodząc następnie do *meritum* propozycji mojej, Vileišis dał jej ostrą odprawę odmowną tej treści: jeżeli Polacy litewscy i Polska nie chcą uszanować dotychczasowej pracy państwowej Litwinów, jeżeli proponują im dziś jeszcze jakiś układ na zasadzie przekreślenia całego dzieła państwowego Litwy i postawienia jej na poziomie *tabula rasa,* jeżeli jeszcze w dodatku mają zająć Wilno i z zajęcia tego utworzyć placówkę przemocy militarnej, aby Litwinom pod tą presją warunki układu jakiegoś dyktować, nie licząc się z faktami dokonanymi państwowości litewskiej, jeżeli w dalszym ciągu traktować chcą Litwę jako swój folwark, to taką butą i arogancją doprowadzą Litwinów do ostateczności, że

Litwini chwycą się wszelkich środków, aby raz na zawsze ze sprawą polską w Litwie skończyć i w stosunku do Polski, która tak Litwę traktuje, zająć stanowisko wręcz nieprzejednanie wrogie. Wtedy nie tylko już o układzie, ale i o współżyciu – nie będzie mowy. W końcu Vileišis wyraził zdziwienie, że ja się do takiego pośrednictwa nakłonić daję.

21 kwietnia rok 1919, poniedziałek
Dziś przejechaliśmy z Marynią drugi etap naszej podróży powrotnej: od Mariampola do Suwałk, gdzie nocujemy. Dzień był bardzo zimny.
Cofam się do dalszego ciągu zaległej relacji. Jonas Vileišis nie zrozumiał oczywiście idei naszego programu. Istotą jego, przynajmniej jak ja go formuję i tak, jak ja bym się go podjął wykonać – bynajmniej nie jest narzucanie czegokolwiek Litwinom, ani też przekreślenie ich dzieła dotychczasowego, jeno propozycja dokonania w budownictwie państwowym Litwy poprawki: zasadniczej wprawdzie, ale tylko poprawki, a mianowicie propozycja nawiązania współpracownictwa państwowego Litwinów z Polakami litewskimi, względnie Litwinów rdzennych kultury litewskiej i Białorusinów nie tylko i może nawet nie tyle z Polakami litewskimi, ale także i ile z Litwinami kultury polskiej. Vileišis odpowiada: chcecie współpracy – to chodźcie do nas; gotowi jesteśmy was dopuścić do naszego dzieła. Ale o to właśnie chodzi, aby dzieło było wspólne, nie tylko było dopuszczeniem jednych do dzieła drugich. I współpracę tę należałoby oprzeć na zasadzie wielkiej kooperacji ludów. I dalej: propozycja nasza mówi: liczymy się z faktami, czy są one dobre, czy złe; jeżeli oto Wilno zostanie przez Polaków zajęte, to za tym faktem, jeżeli my na to nie zareagujemy, przyjdzie niechybnie polityka imperialistyczna polska. Wtedy przyjdzie do walki i przeciwstawności bezwzględnej między Litwą a Polską w sprawie Wilna; wtedy decyzja zapadnie bądź na zasadzie stosunku siły, bądź na zasadzie czynników polityki angielskiej czy francuskiej. Zamiast rozwiązania, będzie nowa komplikacja, stworzenie jeszcze jednej kwestii bez wyjścia, bo żadna ze stron nie zrezygnuje dobrowolnie. Propozycja moja nie narzuca Litwinom nic; mówi ona do nich: chcecie spróbować, chcecie stanąć z nami do dzieła na zasadach, które mi się zdają zasadami współdziałania, sprawiedliwości i jedynej ewentualnie drogi zażegnania burzy i nowego węzła gordyjskiego; jeżeli chcecie – róbmy! Jeżeli nie chcecie lub jeżeli może jestem w błędzie – to, wysłuchawszy waszej odmowy, nie przykładam ręki do dzieła, bo bez was jest ono chybione - a wtedy niech się dzieje wola Boża, niech przyjdą fatalne te skutki zawikłania i nowej wojny bez wyjścia, do których zajęcie Wilna przez Polaków doprowadzić musi. O wiele poważniej od Vileišisa odniósł się do propozycji Kairys. Ten, zdaje się, zrozumiał istotę programu i w zasadzie był usposobiony życzliwie. W drodze szeregu pytań i zastrzeżeń doprowadził mnie on do sprecyzowania najważniejszych dla Litwinów warunków proponowanego programu i ewentualnej akcji wspólnej. Więc stwierdziłem, że rząd, który by się obwołał w Wilnie, byłby rządem ściśle krajowym, narodowościowo złożonym z Litwinów, Polaków litewskich i Białorusinów, społecznie – demokratycznym i lewicowym, z wyłączeniem wszelkich elementów prawicy, ziemiaństwa i stronnictw nie ludowych; że sprawa białoruska, jak wszelkie inne wewnętrzne zagadnienia kraju, byłyby przekazana do decyzji Konstytuanty, której zwołanie byłoby zadaniem rządu; że tylko wyłączyłoby się formalnie nawiązanie ciągłości nowego rządu do Taryby, natomiast cale dokonane przez Tarybę dzieło realne budownictwa państwowego musiałoby być przez nowy rząd przyjęte; że przeto zadaniem jego w stosunku do dorobku Taryby byłoby nadbudowanie, nie zaś zniszczenie do stanu *tabula rasa;* że wszystko to, co zostało zrobione i co jest dodatnie, jak administracja, sądownictwo, wszystkie agendy

państwowe, wojsko itd., co już Litwini zrobili, musiałoby być utrzymane i kontynuowane; że istota dzieła nowego rządu do dzieła Taryby byłaby w stosunku takim, jak nowy testament w stosunku do starego podług słów Chrystusa: przyszedłem stwierdzić i budować, nie zaprzeczyć i zniszczyć – spełnić, a nie przekreślić; że można by nawet nawiązać pewną ciągłość do litewskiego rządu Slażewicza przez wcielenie do nowego rządu w Wilnie *en bloc* jego całej lewicy. W szczególności co do osób – to na pytanie Kairysa wymieniłem następujące ewentualnie osoby do projektowanego rządu: z Litwinów lewica gabinetu Ślażewicza włącznie z Leonasem, uzupełniona o Narutowicza, z Polaków litewskich – oprócz mnie – Zygmunt Jundziłł[156], Lukomski, Jan Piłsudski (Witolda Abramowicza świadomie bym w tym rządzie pominął). Czy nie poszedłem w precyzowaniu programu dalej, niż to było w myśli Pilsudskiego – nie wiem, ale poza logikę samej idei programu nie wykroczyłem i liczyć się musiałem z faktami, które dopiero w Kownie stwierdziłem, a zresztą, ponieważ ja miałbym ten rząd tworzyć, to oczywiście musiałem być wolny w określeniu metody, bo poza nakreślonymi tu warunkami – nie podjąłbym się dzieła.

22 kwietnia rok 1919, wtorek
Dziś przejechaliśmy forsownie duży etap naszej drogi – od Suwałk do Grajewa – około 10 mil (68 wiorst). Powietrze było mroźne z ostrym suchym wiatrem północnym. Dzień prawdziwie grudniowy, który ani temperaturą, ani barwą nieba nie przypominał wiosny, tak spóźnionej w tym roku.
W Grajewie usłyszałem od Żyda, gospodarza zajazdu, w którym na nocleg stanęliśmy, że „już bolszewików odpędzili od Wilna". Żadnych bliższych szczegółów nie wiedział. Oznacza to chyba, że Piłsudski już zajął Wilno. Czy należy się z tego faktu cieszyć? Czy będzie on punktem zwrotnym ku dobremu czy ku złemu? Na fakcie tym w myśl programu Piłsudskiego można byłoby fundować rzeczy piękne i szlachetne w kierunku związku współdziałania ludów, ale skoro do tego nie dojdzie, to stanie się on nową tragiczną kością niezgody sąsiedzkiej i bratobójczej walki *usque ad finem*[157], z nowym jeszcze do tylu innych frontem wojennym polsko-litewskim, z krwawiącą, jak Lwów, raną Wilna, z reakcją praw wyjątkowych i represji względem Polaków i wszystkiego, co polskie, ze strony Litwinów. Ludzie, a jeszcze bardziej od pojedynczych ludzi – narody – są dla siebie wzajemnie jak wilki i układają swoje stosunki na zaskoczenie jeden drugiego, na podejściu, na zgwałceniu faktami dokonanymi. Niestety, zdaje się, że tylko taką rozmowę rozumieją i tylko takie argumenty mają dla nich wymowę, trafiającą najskuteczniej do przekonania i wywierają wpływ istotny na ich drogi działania.
Cofam się znowu do mojej akcji kowieńskiej. Jak rzekłem – Kairys odniósł się bardzo poważnie i z wielkim zainteresowaniem do programu, który jemu i Vileišisowi wyłuszczyłem. Szeregiem pytań i zastrzeżeń doprowadził mnie on, jako domniemanego wykonawcę programu (o ile bym się podjął stanąć na czele projektowanego rządu) – do skonkretyzowania programu w najistotniejszych szczegółach. Precyzja ta wypadła w ogólnych rysach po myśli Kairysa. O jednym szczególe jeszcze zapomniałem wczoraj nadmienić, który podniósł w odpowiedzi Kairys jako kategoryczne zastrzeżenie Litwinów: to kwestia granic Litwy, taka, jak ona już została przez Litwinów w ich dotychczasowym budownictwie państwowym ustalona, tu znaczy na wschodzie mniej więcej linia pierwszej – z jesieni r. 1915 – okupacji niemieckiej, a więc granica

---

156 Zygmunt Jundziłł (1881-1953) – prawnik, działacz społeczny i polityczny, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego, 1922 poseł na Sejm Wileński, 1928-1933 radny Wilna, 1930-1935 senator, od 1944 na emigracji.
157 (łac.) usque ad finem – aż do końca.

wschodnia gub. grodzieńskiej (z pewną poprawką na południu na rzecz Ukrainy i bez gwałtownej, przypuszczam, opozycji na rzecz wcielenia do Polski obwodu białostockiego) i granica gub. wileńskiej, ewentualnie bez powiatów wilejskiego i dziśnieńskiego. Kairys zastrzegł, że o rozszerzeniu tych granic Litwy na wschód mowy być nie może przy jakimkolwiek współdziałaniu z Litwinami. To jest *conditio sine qua non*. Zastrzeżenie to wskazuje, że Litwini w żadnym razie, nawet idąc na ewentualny układ w duchu programu Piłsudskiego, nie straciliby z oczu swojej idei ściślejszej państwowo-narodowej, która im nakazuje przyjąć tylko takie terytorium państwa, które nie mogłoby posłużyć do narodowego ich zmajoryzowania przez inne elementy we wspólnym państwie i które dawałoby im możność pozostania właściwym jądrem ludowym państwa. Chociaż zdaje mi się, że w myśli Piłsudskicgo i może nawet znacznej części Polaków litewskich i polityków Polski pożądane terytorium litewsko-białoruskie mające się ewentualnie federować z Polską, względnie być do mej wcielone, sięgałoby na wschód dalej poza ramy zastrzeżeń litewskich, a mianowicie po Dźwinę i Berezynę mniej więcej, czego nie ukrywałem przed Kairysem, to jednak odrzekłem, że przypuszczam, iż skoro całe nakreślenie i realizacja programu miałyby być dziełem porozumienia tych, którzy by zamach stanu wileński obwołali, więc zastrzeżenie Litwinów zaważyłoby na decyzji i mogłoby być przyjęte, tym bardziej, że jednak i wśród Polaków kiełkuje myśl restrykcji jakichś dalekich zapędów na Białoruś prawosławną, licząc się z tym, że w Białej Rusi katolickiej zyszczą oni wpływy i siłę większą. W rezultacie tej rozmowy, która miała miejsce w czwartek rano, Kairys oświadczył, że odpowiedzi zaraz nie udzieli, jeno będzie musiał z Vileišisem odwołać się do poprzedniego porozumienia się organizacyjnego w tzw. bloku lewicowym litewskim. Nad odmowną *a priori* odpowiedzią Vileišisa Kairys przeszedł przez to samo do porządku, wobec czego i Vileišis zgodził się milcząco na propozycję Kairysa.

23 kwietnia rok 1919, środa
Na wieczór przyjechaliśmy do Łomży. Wiadomość o zdobyciu Wilna potwierdza się. Fakt ten został dokonany w sobotę, to znaczy akurat tego dnia, na który zapowiedział mi zdobycie Wilna Piłsudski. Jutro wyjeżdżam z Łomży w celu dostania się *via* Warszawa do Wilna dla zdania Pilsudskiemu sprawy z mojej podróży do Kowna i – jak mi się zdaje – zlikwidowania, niestety, akcji na rzecz pięknego w idei programu Piłsudskiego, a przynajmniej zlikwidowania mojego w tej akcji udziału. Tymczasem jednak cofnę się jeszcze do mojego działania w Kownie, żeby już choć sumarycznie zreferować tę sprawę do końca, bo wnet w najbliższych dniach będę miał nowe dalsze materiały wypadków i przeżyć do opowiadania.
Zainteresowanie i wrażenie, jakie wywarły widocznie moje słowa na Kairysie, natchnęły mnie dobrą otuchą. Od Kairysa i Vileišisa udałem się do Narutowicza, który z Łukomskim mnie czekał niecierpliwie. W ogóle przez cały czas w Kownie byłem w ciągłym poufnym kontakcie z Narutowiczem i Łukomskim, oddanymi gorąco całym sercem sprawie programu Piłsudskiego; każdy krok mego działania był wspólnie z nimi omówiony. Gdym im opowiedział o mej rozmowie z Kairysem i Vileišisem, byli oni ucieszeni, że przecież sytuacja nic jest beznadziejna i że jakiś promyczek porozumienia się nawiązuje. Chodziło nam bardzo o to, aby Narutowicz mógł się dostać wieczorem na to poufne zebranko bloku lewicowego Litwinów, do którego Kairys w sprawie mojej propozycji postanowił się odwołać. Była jedna tylko rzecz drażliwa w oddaniu tej sprawy pod obrady bloku lewicowego Litwinów: niepodobna było tam przemilczeć o udziale Piłsudskiego w pomyśle tego programu, bo oczywiście bez aprobaty Piłsudskiego nie mogłoby być mowy o jakimś obwołaniu się w Wilnie, zajętym przez wojska polskie, rządu Rzeczypospolitej Litwy; bez tego bowiem całe przedsięwzięcie

byłoby bez gruntu pod nogami; istotną też była sprawa zaszachowania tym programem imperialistycznej polityki polskiej, do czego udział Pilsudskiego był niezbędny. Tymczasem mówienie o tym w jakimkolwiek kółku jest o tyle niepożądane, że rozkonspirowuje Piłsudskiego i robi jawnym i wiadomym, że Piłsudski prowadzi jakąś własną politykę, która nie jest polityką urzędową polską. Nie było jednak rady. Na zapytanie Kairysa, czy można tę sprawę omówić w ich kółku porozumiewawczym, dałem po chwili wahania odpowiedź twierdzącą. Miałem bowiem przed sobą alternatywę: albo zamknąć tajemnicę między mną a Kairysem i Vileišiscem, a w takim razie sprawa stanęłaby na martwym punkcie bez wyjścia i żadnych konsekwencji by nie miała, bo Kairys na własną rękę decyzji by nic powziął, albo zaryzykować, pojmując, że choć się przez to poniekąd naraża na niebezpieczeństwo rozkonspirowania, to przecież może ta droga, jedyna, wyprowadzi program do realizacji. Oczywiście zastrzegłem z naciskiem jak najdalej idącą poufność. Na tym stanęło. Było to we czwartek. Nazajutrz, to znaczy w piątek o godz. 8 rano, Kairys i Vileišis mieli mi dać odpowiedź w mieszkaniu wspólnym Vileišisa i Ślażewicza. Narutowicz, pomimo że bardzo nam o to chodziło, nie dostał się jednak na naradę lewicową Litwinów. Widział się on z Kairysem, który wiedział, że jest przeze mnie wtajemniczony w sprawę i który widocznie chciał wprowadzić Narutowicza na naradę, bo nam kazał czekać o godz. 8 1/2 wieczorem w kawiarni (narada Litwinów była wyznaczona na ósmą wieczór), i widocznie nie mógł bez zgody innych sam na własną rękę Narutowicza na to zebranie grupy bloku lewicowego – grupy prawdopodobnie określonej – wprowadzić. Narutowicz był wieczorem w kawiarni, ale Kairys nie przyszedł i nie wezwał go. Nazajutrz, w piątek o godz. 8 rano, poszedłem do mieszkania Vileišisa. Przyjął mnie Vileišis sam. Kairys nie przyszedł wcale. Już fakt nieprzyjścia Kairysa wróżył mi źle o skutku narady Litwinów. Jakoż Vileišis udzielił mi odpowiedzi odmownej co do udziału Litwinów w projektowanym przedsięwzięciu. Motywy urzędowe, jakie mi podał,były dwa następujące: pierwszy motyw niepewność i słabe widoki zrealizowania tego programu. Istotnie,dla Litwinów przedsięwzięcie to jest połączone z wielkim i ciężkim ryzykiem. Dla Polaków, którzy by do tego programu rękę przyłożyli, ryzyko jest mniej niebezpieczne. Jeżeli Polacy mają w ręku Wilno, to niewiele ryzykują: uda się porozumienie z Litwinami na zasadach związku – dobrze, nie uda się – to przecież Wilno posiadają i mogą go bez związku z Litwinami na zasadach wcielenia do Polski utrzymać, a przynajmniej postarać się o to. Tymczasem dla Litwinów rzecz jest trudniejsza: jeżeli się program związkowy Piłsudskiego nie powiedzie, jeżeli imperializm polski nie da się zaskoczyć i zwycięży *quand meme,* to lewica litewska, która zerwała z ciągłością dzieła Taryby na rzecz tego eksperymentu, będzie we własnym narodzie skompromitowana i stanie się mimo woli narzędziem imperializmu polskiego. A ryzyko jest wielkie, bo w Polsce są gwałtowne prądy na rzecz prostego, bez żadnych federacji, wcielenia Wilna z Białą Rusią katolicką i są duże tendencje prawicowych grup z endecją na czele, które politykę federacyjną w stosunku do Litwy i Wilna uważają za zdradę interesów narodowych polskich i mają czujność obudzoną w tym względzie. A że bądź co bądź wojsko, które ma w ręku Wilno, jest polskie, i że właśnie przybywa do Polski duża armia Hallera[158] z Francji, która może poprzeć koncepcję mocarstwową Polski, antytezę związkowego programu Piłsudskiego – wykonanie programu nie ma zbyt mocnych widoków. To odstrasza Litwinów. Nie jest to wzgląd zasadniczy, ale niezmiernie ważny, bo zwłoki tu być nie może. Jeżeli Litwini nie zdecydują się na ryzyko zaraz, to jutro już będzie za późno, albowiem z faktu

---

[158] Józef Haller (1873-1960) – generał i polityk, dowódca II Brygady Legionów. Z ramienia Komitetu Narodowego stanął na czele Armii Polskiej we Francji, z którą 21 IV 1919 przybył do Warszawy.

zdobycia przez Polaków Wilna idea imperialistyczna polska wyciągać zacznie konsekwencje natychmiast. Życie nie znosi próżni i albo natychmiast będzie się na zdobyciu Wilna wytwarzało fakt w kierunku związkowym, albo działać będzie imperializm polski. Tu decyzje mogą być tylko natychmiastowe. Wielkie idee i wielkie czyny wymagają wielkiego ryzyka. Litwini nie odważają się ryzykować, toteż sprawa będzie przesądzona inaczej.

24 kwietnia rok 1919, czwartek
Dziś wieczorem o godz. 11 wyjeżdżam z Łomży do Warszawy, aby stamtąd usiłować się dostać do Wilna. Ogromnie mi się nie chce tej podróży, bo jest ona jałowa, jak jałowym, niestety, jest pod względem możności wykonania cały program litewski Piłsudskiego, piękny, szlachetny, może jedyny w idei do rozwiązania problematu, ale w stosunkach istniejących praktycznie niewykonalny.
Gazety podają komunikaty z opisem zdobycia Wilna. Piłsudski użył do tego swoich pułków najwierniejszych – dawnych Legionów, do których sławy dorzucił laur Wilna. Ze zdobyciem Wilna łączą imiona Beliny-Prażmowskiego i Rydza-Śmigłego[159]. Żal mi, że gdy się spotkam w Wilnie z tymi ludźmi, pod których sztandarami sam walczyłem, będę mógł im tyle tylko powiedzieć, że czynu politycznego łączyć z ich czynem wojskowym na Litwie nie mogę. Wolałbym móc im powiedzieć inaczej.
Już uwaga prasy endeckiej zwrócona została na pewne oznaki faworyzowania przez Piłsudskiego związkowego programu w stosunku do Litwy w miejsce programu podziałowego z zaanektowaniem Wilna. Już Hłasko w „Gazecie Warszawskiej”[160] alarmuje opinię widmem tego „niebezpieczeństwa”. Czujność endecka nie ustanie w pracy nad zniweczeniem knowań Piłsudskiego, aby jego ideę jagiellońską złamać na rzecz unifikacyjnej idei Sejmu Czteroletniego[161].
Muszę dziś dokończyć o mojej akcji w Kownie. Drugim urzędowym motywem odmowy, zakomunikowanym mi przez Vileišisa z ramienia narady bloku lewicowego Litwinów, był następujący: gdyby – powiada on – zdobycie Wilna przez wojska polskie było dokonane choć z niedokładnym, choć z doraźnym współdziałaniem wojska litewskiego, choćby z pozorami takiego współdziałania, to można by jeszcze o dalszej akcji Litwinów na gruncie tego faktu traktować, ale gdy odzyskanie Wilna jest tą najwyższą ideą i gwiazdą przewodnią, która świeci tworzeniu się formacji wojskowych litewskich, gdy jest ono celem dążeń wojska litewskiego i gdy w takiej chwili wojsko polskie ubiega Litwinów i na własną rękę Wilno zdobywa, to budowanie czegokolwiek na takim fakcie byłoby zlekceważeniem i policzkiem względem wojska litewskiego, byłoby bodaj obrazą honoru wojskowego. Tyle mi dał Vileišis motywów urzędowych. Poza tym, dodał on od siebie jeszcze uwagi o skutkach, które przewiduje z zajęcia Wilna przez Polaków. I pod tym względem, niestety, musiałem się z nim zgodzić, że prawdopodobnie tak będzie. Litwini, którzy już samo wkroczenie wojska polskiego na terytorium Litwy w guberni grodzieńskiej uważają za element wymagający wyjaśnień i niektórych zapewnień ze strony Polski (jest to jedno z głównych żądań misji

[159] Rydz-Śmigły Edward (1886-1941), marszałek Polski, od 1908 w Związku Walki Czynnej, dowódca pułku w Legionach Polskich; 1917-1918 komendant główny POW; XI 1918 minister wojny Tymczasowego Rządu Ludowego w Lublinie; 19 IV 1919 na czele 2. Dywizji Piechoty Legionów brał udział w zdobyciu Wilna.
[160] „Gazeta Warszawska”, czasopismo informacyjne wydawane w Warszawie (z przerwami) w latach 1774-1935, po 1918 organ Związku Ludowo-Narodowego, red. J. Hłasko.
[161] Sejm Czteroletni 1788-1792 podjął uchwały, które były kompromisem, nie likwidowały one odrębności litewskiej – Konstytucji 3 Maja towarzyszyło Zaręczenie Wzajemne Obojga Narodów.

dyplomatycznej Šaulysa[162], który d. 17 IV wyjechał z Kowna do Warszawy) i którzy oczekiwane w prędkim czasie ustąpienie przez Niemców po ich wycofaniu się Polakom Grodna uważać już są skłonni za *casus belli*, za gwałt ze strony Polski, uznają zdobycie Wilna przez Polaków za prowokację i za decydujący *casus belli*, na który odpowiedzą formalną w stosunku do Polski stopą wojenną oraz gwałtownym odruchem represji (konfiskaty majątków itd.) w stosunku do Polaków-obywateli Litwy, którzy służą w wojsku polskim lub zajmują jakiekolwiek z ramienia Polski stanowiska w zajętych częściach Litwy; przyjdą też za tym i inne represje w stosunku w ogóle do elementu polskiego w kraju i sama sprawa jakiegokolwiek współżycia polsko-litewskiego w przyszlości będzie raz na zawsze pogrzebana. Tak, niestety. Do tego przyjść rychło może. Wilno się stać może nowym Lwowem.
Wobec takiej odpowiedzi Litwinów postanowiliśmy z Łukomskim i Narutowiczem uznać się za zwyciężonych i zaniechać dalszej akcji jako beznadziejnej. Tak ja, jak Łukomski i Narutowicz, uznawaliśmy, że bez udziału Litwinów, i to Litwinów rdzennych, Litwinów pochodzenia chłopskiego – cały program Piłsudskiego jest chybiony i że my rąk do niego nic przyłożymy, bo to się na nic nie zda. Narutowicz jest Litwinem, ale Litwinem kultury polskiej i pochodzenia szlacheckiego. Okazuje się, że program Piłsudskiego jest w stanie budzić oddźwięk gorący tylko u Litwinów kultury polskiej. Ani u Litwinów rdzennych, synów chłopskich, ani u Polaków zapału on nic budzi. Zdaje się, że to jest fakt. Ale później ze spotkania i krótkiej wymiany słów między Narutowiczem i Łukomskim a Kairysem ujawniło się, że jednak Kairysowi w idei program ten trafił mocno do przekonania, lecz się nie zdecyduje dla względów głównie wykonania, i że żałuje tego. Stanęło na tym, że postanowiłem przez Warszawę jechać zaraz do Wilna, by zdać relację Piłsudskiemu i zrzec się dalszego udziału w tej akcji. Tegoż dnia przyjechał z Wilna Zygmunt Jundziłł w tejże, co ja, sprawie. Jundziłł ma jeszcze nadzieję, że po zdobyciu Wilna fakt dokonany będzie miał dla Litwinów wymowę donioślejszą od moich słów, toteż postanowił jeszcze zaczekać w Kownie i stamtąd bezpośrednio udać się do Wilna, gdzie spotka się ze mną.

25 kwietnia, rok 1919, piątek
Wyjechałem z Łomży wczoraj o godz. 11 ½ w nocy. Wagon II klasy, w którym jechałem, był pełny. Toteż nie tyle przedrzemałem, ile przemęczyłem się przez noc całą, nie mogąc się wyciągnąć i drzemiąc, oparty łokciem o poręcz siedzenia. Na dobitkę zdaje się, że miękkie siedzenie II klasy obdarzyło mię... wszami, bo jedną dziś na sobie złapałem. Ha, jest to bardzo powszedni dodatek do obecnych podróży. O godz. 7 rano przyjechałem do Warszawy. Po wypiciu herbaty na dworcu udałem się do mieszkania Ludwika Abramowicza, gdzie się dowiedziałem, że już go nie ma: wyjechał i on także do Wilna. Pozostał natomiast Janek Klott w jego mieszkaniu, ale widocznie spał jeszcze mocno, bo dodzwonić się nie mogłem. Zalokowałem więc tymczasowo rzeczy u stróża (biorę ze sobą w tę podróż tylko miniaturową walizeczkę skórzaną i koc – nic poza tym) i udałem się na Marszałkowską do mieszkania Prystora, aby spróbować jego odnaleźć, jeżeli do Wilna również nie wyjechał. Dowiedziałem się wszakże, że i

---

[162] Jurgis Šaulys (1979-1948) – działacz polityczny, dyplomata, związany z Litewską Demokratyczną Partią i pismem „Varpas", członek prezydium Taryby od 1917, sygnatariusz Aktu Niepodległości Litwy 16 II 1918, minister spraw zagranicznych w 1919, potem poseł w Berlinie i Brnie, w 1923 w Rzymie przy Watykanie, w 1931 ponownie w Berlinie i w 1938 po nawiązaniu stosunków poseł w Warszawie, po wojnie na emigracji. W kwietniu 1919 prowadząc rokowania w Warszawie protestował w imieniu rządu litewskiego przeciwko wkroczeniu wojsk polskich do Wilna. W dniach 25-20 IV rozmawiał z Römerem po jego powrocie z Kowna.

ten wyjechał. Z innych osób, z którymi porozumiewałem się poprzednio, ani Sławka, ani Świtalskiego, ani z Wilna Witolda Abramowicza i Jana Piłsudskiego – również nie ma. Wszyscy pociągnęli za wojskiem w ogonie komendanta Piłsudskiego na wyprawę wileńską. Byłem w dużym kłopocie: co robić? Jaką drogą uzyskać niezbędną przepustkę dla jazdy do Wilna? Czy ktoś inny z osób pozostałych w Warszawie i kto jest wtajemniczony w moją akcję, przeprowadzaną w porozumieniu z Piłsudskim? Pani Prystorowa[163] poradziła mi zwrócić się do generała Sosnkowskiego[164], najzaufańszego współpracownika Piłsudskiego, jego byłego szefa sztabu, obecnie wiceministra wojny. Spróbowałem. W poczekalni Sosnkowskiego dowiedziałem się wszakże od jego adiutanta, że dla uzyskania audiencji trzeba się zapisywać naprzód i czasem przez tydzień na kolejkę czekać. Napisałem więc przez adiutanta bilecik do Sosnkowskiego, że w sprawach publicznych wracam z Kowna i muszę się dostać do Wilna, więc proszę go o posłuchanie. Sosnkowski wyznaczył mi je na godz. 4 po południu. Gdym przyszedł o czwartej, zastałem w poczekalni mego dobrego znajomego z naszej kompanii w b. I pułku, porucznika Krasickiego, z którym przywitaliśmy się serdecznie i pogawędziliśmy, zanim mię Sosnkowski przyjął. Krasicki jest adiutantem Sosnkowskiego. Wszyscy oni, okazuje się, tak Sosnkowski, jak Krasicki, wiedzą o tym, że biorę jakiś udział w politycznej akcji litewskiej Piłsudskiego. Z Sosnkowskim rozmawiałem krótko. Oczywiście oświadczył, że służy mi natychmiast żądaną przepustką do Wilna, ostrzega jednak, że nie wie, czy to będzie celowe, ponieważ Piłsudski w niedzielę, pojutrze, wraca do Warszawy. Po pewnym zawahaniu postanowiłem jednak nie czekać na Piłsudskiego w Warszawie, lecz jechać do Wilna jutro. Może się z nim spotkam w drodze, a jeżeli nie, to i tak najważniejszym jest, abym zdał sprawę w Wilnie moim przyjaciołom ściślejszym z podróży do Kowna. Skoro prawie na pewno dojdzie do cofnięcia się mego od udziału w całej akcji, to wystarczy, gdy zdam relację nawet nie bezpośrednio i nie osobiście Piłsudskiemu. Jutro rano będę miał przepustkę.
Stamtąd udałem się do bawiącego tu w misji dyplomatycznej urzędowej litewskiej Šaulysa[165], którego zastałem w hotelu Bristol. Oczywiście w drodze rokowań z Ministerium Spraw Zagranicznych nic nie wskórał – jego misja „dyplomatyczna" jest bezcelowa. Ale w rozmowie z Šaulysem, od słowa do słowa, wypowiedziałem mu cały program litewski Piłsudskiego z konkretyzacją najściślejszą moją. Na razie mówiłem ogólnikowo, potem streściłem całą moją akcję i plany działania. Mówiłem o tym jako o rzeczy chybionej, uzasadniając przyczyny upadku tego programu. Tymczasem Šaulys, wbrew moim pierwotnym przypuszczeniom, bardzo się tym programem przejął i wyraził chęć nawiązania toku działania. Jutro się mam jeszcze z nim zobaczyć.

26 kwietnia, rok 1919, sobota
Rano dostałem w Ministerium Spraw Wojskowych przepustkę do Wilna wraz z dwoma kuponami na bilety jazdy tam i z powrotem, z terminem do 20 maja. Przepustka ma charakter wojskowy, co – przypuszczam – ułatwi mi znakomicie podróż. Wyjeżdżam dziś około północy drogą, jeżeli się nie mylę, na Białystok, Wołkowysk i Lidę. Podobno tylko koło Lidy są jakieś mosty zerwane, przy których trzeba przesiadać, poza tym,

[163] Prystorowa Janina (1881-1975), działaczka społeczna; 1906-1912 w Organizacji Bojowej PPS, 1935-1938 posłanka na sejm.
[164] Sosnkowski Kazimierz (1885-1969), generał, 1905-1907 w Organizacji Bojowej PPS; założyciel Związku Walki Czynnej; szef sztabu Związku Strzeleckiego, bliski współpracownik J. Piłsudskiego; 1914-1916 szef sztabu, 1916-1917 komendant I Brygady Legionów Polskich; III 1919 – V 1920 wiceminister spraw wojskowych.
[165] Šaulys Jurgis (1879-1968), dyplomata litewski, działacz społeczny, współzałożyciel i sekretarz Taryby.

jedzie się koleją do samego Wilna. Od Lidy do Wilna jedzie się szerokotorowym pociągiem rosyjskim. Tor tam bolszewicy od Lidy do Baranowicz przez Lidę byli przełożyli na szerokotorowy dla udostępnienia go dla swych pociągów; przy zdobyciu Wilna przez najazd kawalerii Beliny bolszewicy byli tak zaskoczeni znienacka, że nie zdążyli się regularnie ewakuować i duży tabor kolejowy wpadł na dworcu wileńskim w ręce polskie; obecnie Polacy uruchomili te pociągi na linii z Wilna do Lidy. Zakupiłem na drogę na dni kilka produktów, bo w ogłodzonej radykalnie Litwie nic dostać z pewnością nie będzie można i oprócz tego wiozę do Wilna 7 ½ funtów słoniny, aby służąca Maryni, Anuśka Dyržisówna, miała mię czym karmić. Choć, pomimo zainteresowania się Šaulysa programem Piłsudskiego i gorącej, zdaje się, jego chęci doprowadzenia dzieła do pomyślnego skutku, bardzo mało wierzę w powodzenie tego przedsięwzięcia, a raczej nie wierzę wcale, to jednak skądinąd ciekaw jestem Wilna w tej chwili i nie żałuję, że jadę.
Z Šaulysem dziś znowu w dalszym ciągu rozmawiałem. Zdaje się, że pragnąłby on szczerze przyczynić się do tej sprawy i nawiązać rokowania między Polakami litewskimi a Litwinami dla obwołania rządu wileńskiego. Chciałby on w tym celu w najbliższych dniach, poniechawszy swojej „misji dyplomatycznej" w Warszawie, wybrać się do Wilna i prawdopodobnie, że my tam w Wilnie sami poczynimy odpowiednie kroki, aby jego przyjazd pozyskać. Moim więc zadaniem po przyjeździe do Wilna i sądzę, że to się zbiega z taktyką, przyjętą przez Piłsudskiego i przez rzeczników polsko-wileńskich programu związkowego z Witoldem Abramowiczem na czele, będzie utrzymywanie jeszcze przez czas jakiś niezdecydowanego prowizorium w Wilnie, aby, dopóki jeszcze ciągnąć się ma nić układów z Litwinami, nie dopuścić do jakichś faktów politycznych, przesądzających cokolwiek w sprawie Litwy i Wilna. Dużo też będzie zależało od tych wiadomości, jakie przywiezie z Kowna Jundziłł już na zasadzie oddziaływania na Litwinów kowieńskich dokonanego faktu zajęcia Wilna przez Polaków. Jednak cały szereg faktów będzie już zachodził automatycznie i obawiam się, czy aby nie na rzecz zaognienia stosunku. W zakresie tego stosunku w najbliższym czasie będą się musiały wyłonić nowe fakty zarówno ze zbliżenia odcinka frontu polskiego z litewskim w skutku cofnięcia się bolszewików co najmniej do Wiłkomierza, jak z objęcia przez władze polskie Grodna, co ma nastąpić już pojutrze w skutku wycofania się Niemców, a gdzie Polacy zastaną wojsko białoruskie jako część formacji wojskowej Litwy (oddziały białoruskie mają nakaz nieopuszczania Grodna przy cofaniu się Niemców). Choć przez Šaulysa nić układów, która wydawała mi się w Kownie już zerwaną, jeszcze się przeciąga, to przecież nie wierzę już w skuteczność. Bo już ja rozwinąłem w Kownie i posunąłem program Piłsudskiego o wiele dalej, niż go pierwotnie zakreślił Piłsudski i mianowicie jak najdalej w kierunku uwzględnienia stanowiska i dotychczasowego dzieła Litwinów, gdy tymczasem Šaulys już go usiłuje posuwać dalej aż poza granice, mogące być akceptowane przez Polaków litewskich czy Litwinów kultury polskiej. Mianowicie dostrzegam już u niego skłonność do ustalania całego programu związkowego na zasadach usankcjonowania nie tylko dorobku, ale i samej Taryby, na zasadach po prostu kontynuowania tarybowego tworu, z uznaniem w szczególności prezydentury Smetony itp. Byłaby to już nie metoda zamachu stanu w stosunku do Taryby, jeno ciągłości formalnej, z pewną jeno poprawką co do Polaków litewskich i ich stanowiska w dziele państwowym litewskim. Šaulys swoim oportunizmem i usiłowaniem wiązania rzeczy, których nieraz powiązać logicznie niepodobna, przypomina mi Witolda Abramowicza, jak gdyby był litewskim tegoż odbiciem.

27 kwietnia, rok 1919, niedziela

Wczoraj przed północą opuściłem Warszawę, udając się z dworca Wiedeńskiego na Białystok, Wołkowysk i Lidę do Wilna. Do Białegostoku przyjechałem rano i po paru godzinach wsiadłem do pociągu na Wołkowysk. Koło godz. 2-3 po południu byłem w Wołkowysku. Tu dowiedziałem się z przyjemnością, że podróż koleją do Lidy nie ulega żadnym przerwom. Mówiono w Warszawie, że pod Lidą jest parę mostów kolejowych zburzonych, wskutek czego trzeba kilka wiorst iść pieszo. W Wołkowysku dowiedziałem się, że mosty są już prowizorycznie naprawione. Na dworcu w Wołkowysku funkcjonuje jeszcze bufet, w którym można dostać herbaty, bułek, kiełbasy, papierosów, piwa i limonady. Jesteśmy tu u kresu tej połaci kraju, która, aczkolwiek wyniszczona przez wojnę, jeszcze dyszy i coś niecoś wydaje. Dalej zaczyna się już panowanie głodu. W Wołkowysku nie postała jeszcze stopa bolszewików: tu okupację niemiecką zluzowali bezpośrednio Polacy. Koło godz. 5 siadam do pociągu, który przez stację Mosty nad Niemnem rusza do Lidy. Pociąg wlecze się coraz wolniej, stoi godzinami na stacjach, wreszcie około północy dociera do Lidy. Dworzec w Lidzie oświetlony rzęsiście elektrycznością, którą tu, jak w bardzo wielu innych miasteczkach, wprowadzili za czasów okupacji Niemcy. Przed tygodniem jeszcze gospodarzyli w Lidzie bolszewicy. Jak się dowiaduję od współpodróżnych – Lida po zdobyciu jej przez wojska polskie była widownią pogromu Żydów, zjawisko, które staje się w ostatnich czasach zwykłym i normalnym w każdym zdobytym na bolszewikach mieście. Na dworcu żadnego bufetu, nic, pustka. Na sali i w bocznych ubikacjach olbrzymiego dworca rozlokowali się żołnierze, gdzieniegdzie gromadki cywilnych podróżnych. Już od Białegostoku, a jeszcze bardziej od Wołkowyska przeważają wśród podróżnych wojskowi. Wśród cywilów kręci się sporo agentów Komitetu Obrony Kresów, którzy pod rozmaitymi pozorami przemycają się do Wilna, aby tam szerzyć agitację na rzecz bezwzględnego imperializmu polskiego, nacjonalizmu i rządów wstecznych reakcji. Wśród wojskowych wielu się spotyka Wilnian, jadących na urlop do rodziny, w szczególności ułani z oddziału Dąbrowskiego, operującego w Baranowiczach i żołnierze oraz oficerowie z dywizji litewsko-białoruskiej. Wszystko to tchnie niechęcią do wyczuwalnych tendencji politycznych Piłsudskiego na Litwie, krytykuje jego zarządzenia, sarka na zbytnią łagodność w metodach walki z bolszewikami w Wilnie, apoteozuje ideę zemsty i bezwzględnej represji, w szczególności rzezi Żydów; w szczególności zaś wojskowi z formacji Dąbrowskiego i dywizji litewsko-białoruskiej są pełni żalu, że nie ich, lecz stare Legiony „galicyjskie” użyto do zdobycia Wilna. To ostatnie było przez Piłsudskiego celowo zarządzone, aby mieć w Wilnie pod ręką najwierniejszy element wojska, ideowo najbardziej wyrobiony i daleki od ideałów aneksjonizmu, który cechuje ułanów Dąbrowskiego lub żołnierzy dywizji litewsko-białoruskiej. W szczególności ułani Dąbrowskiego – oddział niezmiernie waleczny, wspaniały pod względem odwagi, brawury, awanturnictwem, ale dziki – składa się przeważnie z młodzieży ziemiańskiej, której jedynym ideałem – stłumienie rewolucji i przywrócenie starych stosunków społecznych na Litwie z dominacją szlachty i zgnębieniem wszystkich czynników, wyłamujących się z dawnej więzi społeczno-narodowej w kraju. Nic też dziwnego, że Piłsudski, który usiłuje łączyć kampanię militarną na Litwie z hasłami wyzwolenia i swobód politycznych oraz społecznych, jak również idei samookreślenia państwowego Litwy w myśl wolnościowych postulatów demokracji – oparł się nie na tych ziemiańskich tworach militarnych, lecz na tym, co w wojsku jest najbardziej obywatelskie i wolnościowe – na swojej starej wierze strzeleckiej.

28 kwietnia, rok 1919, poniedziałek

Nad ranem wyjechałem z Lidy na Wilno. Tu już jechaliśmy pociągiem rosyjskim, szerokotorowym, z taboru kolejowego, zdobytego w Wilnie na bolszewikach. Jechaliśmy przez kraj zdewastowany całkowicie przez wojnę, kraj biedny, nad którym od lat kilku przeciągają szalejące kataklizmy oszalałej ludzkości, a więc i pożoga wojny, ciężka dłoń okupacji niemieckiej, nawała bolszewicka i znów łuny wojenne nowych walk, nowych ciężarów i ofiar. Jeżeli cierpienie uświęca, to zaiste po wielokroć święty jest ten biedny kraj podwileńskiej Litwy i ten lud litewsko-polski, doświadczany szaleństwem ludzkości, jak żaden bodaj inny w Europie, a przecież sam w sobie tak cichy, korny i bierny, tak daleki od spazmów szału, których pada ofiarą. Nie widziałem nigdy bolszewików na oczy, prócz ludzi wyznających bolszewickie zasady; nie widziałem ich nigdy rządzących, nie przeżyłem ani jednego dnia pod ich władzą; są oni dla mnie jeszcze w dużym stopniu zagadką, jak zagadką jest sam proces bolszewizmu, trawiący społeczny organizm ludzkości; dopiero z opowiadań ludzi, z żywych relacji tych, którzy byli osobiście pod ich władzą, zaczynam sobie uprzytamniać metody i naturę ich rządów, rozeznawać istotę zjawiska bolszewickiego; jak wszelka zagadka pociąga umysł ludzki i niepokoi instynkt poznania, szczególnie gdy niesie w sobie tajemnicę grozy, jaką otoczony jest bolszewizm, tak mnie oto nęci i działa na wyobraźnię problem bolszewizmu, który staram się odgadnąć z opowiadań i przeżyć ludzkich. Jadąc pociągiem, który jeszcze przed tygodniem był bolszewickim, przez kraj, który był pod władzą tej zagadki, mijając każdą stację, która niemal wczoraj jeszcze była w bolszewickim posiadaniu, widząc żywych ludzi, którzy na oczy widzieli bolszewików i tak świeżo jeszcze obcowali z nimi, staram się wyczytać tajemnicę tej zagadki ze ścian budynków, z oczu i wyrazów ludzkich, ze szczegółów i znaków materialnych, których się bolszewicy dotykali. Szukam napisów na ścianach wagonu, wsłuchuję się w rozmowy ludzi, wpatruję się ciekawie we wszystko, co ślad ma świeży ręki ludzkiej, bo może ręką tą była ręka bolszewików; wyobraźnia moja rysuje mi na tle swojskiego krajobrazu wiosek litewskich, drobnych wiejskich stacji kolejowych, na tle znanego tłumu szarych postaci naszych chłopów lidzko-wileńskich - zawadiackie figury „czubaryków" z papachą fantazyjną na bakier na rozwichrzonej głowie, w szynelu sołdackim, figury na poły kozackie i na poły demoniczne, kojarzące się jakoś przedziwnie z dobrodusznym i prostym typem wielkoruskiego mużyka, to znów okrutne figury bolszewickich Żydziaków, aroganckich „towaryszczów", semickich rewolucji krogulców albo też wielkopańskich, otaczających się zbytkiem – komisarzy bolszewickich.
Z wrażeń moich z tej podróży chciałbym zanotować jedno szczególnie, które mię bardzo dodatnio uderzyło na całej linii od Wołkowyska do Wilna. Jest to ten fakt, że wszędzie na niższych stanowiskach czy to milicjantów, pilnujących porządku na stacjach, czy kolejarzy, widzi się wyłącznie ludzi lokalnych, kość z kości i krew z krwi ludu miejscowego. Mówią oni tym samym narzeczem polsko-białoruskim („po prostemu"), co cały lud „tutejszy", myślą i czują jego kategoriami myślenia i czucia. Odbiera to wkroczeniu Polaków do kraju cechę jakiejś inwazji lub okupacji, różni zasadniczo stan obecny od stanu z czasów rosyjskich lub okupacji niemieckiej. Nie ma tu najścia elementu królewiackiego, jest poczucie oparcia się o lud, zaufania do niego i przeto uczucie swojskości. Moment ten działa kojąco i daje ludowi wrażenie odzyskania swojego oblicza naturalnego. Chłopi na stacjach kolejowych i w wagonie porozumiewają się prosto z tymi milicjantami swojskimi i konduktorami, nie czują przed nimi ani strachu ani rozdźwięku.
Koło południa przyjechałem do Wilna. Dobrze znanymi ulicami przeszedłem z dworca do mieszkania Maryni, gdzie zastałem Elwirę z jej dziatkami, służącą naszą Anusię, Karolostwo O'Rourke'ów, ciocię Hrehorowiczową itd. Wszyscy się ucieszyli ze mnie i

ja z nich. Wszyscy oni, jak całe Wilno, przeżywają jeszcze upajające miodowe dni wybawienia od bolszewików, którzy byli zmorą i nienawiścią całej ludności chrześcijańskiej miasta.
Piłsudskiego ani też Jerzego Osmołowskiego[166], mianowanego tymczasowo komisarzem generalnym – w Wilnie nie zastałem. Wyjechali do Warszawy.

29 kwietnia, rok 1919, wtorek
Dziś przeżyłem ciężki dzień w Wilnie, dzień paniki i grozy wobec niebezpieczeństwa nowej inwazji bolszewików. Ale cofnę się jeszcze do dnia wczorajszego, aby zachować kolejność i ciągłość toku mojej opowieści wileńskiej. Dzień wczorajszy był dniem słonecznym mojego pobytu w Wilnie. Pomimo zmęczenia, spowodowanego przez dwie noce, spędzone bezsennie w uciążliwej podróży, czułem się wczoraj wesół i rzeźwy; cieszyło mię Wilno, cieszyła radość, która tryskała zdrojem z biednego miasta. Poczucie wybawienia promieniowało radością i szczęściem z serc mieszkańców Wilna. Chodząc po Wilnie, miałem wrażenie, że ludność wileńska odradza się w miłości i dobroci, oczyszcza się w ogniu radości wyzwolenia. Widziałem bowiem, z jakim pietyzmem i rzewnym uczuciem spogląda ona na żołnierzy Legionów, którzy wybawili miasto i zdawało mi się, że w tym szczęściu gotowa jest ona zapomnieć nienawiści, zaniechać „potępieńczych swarów", ukoić swe znękane uczucia i napawać się po prostu radością, uszlachetniającą ludzi, jak wszystko, co jest dobre. Zdawało mi się, że w obliczu tego prostego szczęścia muszą milknąć wzbudzane w Warszawie spory o to, czy dobrą jest droga, obrana przez Piłsudskiego na rzecz wolności Litwy i jej związku z Polską zamiast anektowania jej części „polskiej" (katolicko-białoruskiej) z Wilnem włącznie, i że kojące zarządzenia Piłsudskiego, zmierzające do poniechania zemsty i do łagodzenia konfliktów i uraz, odpowiadają nastrojowi ludu wileńskiego. Nieco zbyt optymistycznie patrzałem na te rzeczy. Istotnie Piłsudski poszedł po drodze zarządzeń ludzkich i kojących zaognienie stosunków. Żeby to osiągnąć i w szczególności uniknąć pogromu Żydów, użył on do kampanii wileńskiej pułki starych Legionów, kierowane przez oficerów ideowych ze starej wiary strzeleckiej. Wojsko, jak również ludzie cywilni, wysunięci przez niego na czoło, mieli sobie zlecone działanie łagodne, umiarkowane, unikające zbytnich represji i okrucieństw. Nie tknięto na ogół ludzi, którzy mieli pewną styczność z rządami bolszewików lub pracowali w ich biurach. Nawet w stosunku do komisarzy bolszewickich, którzy zostali w mieście, postąpiono łagodnie. Dwóch z nich, niejaki Berson[167] i jeszcze ktoś drugi, zostało aresztowanych, Wacław Biržiška[168] był aresztowany, ale po dwóch dniach zwolniony, bolszewiccy działacze Litwini, jak Pożełło[169] i Bielski[170], są na wolności (większość przywódców bolszewickich w Wilnie uciekła – w szczególności uciekli: Kapsukas, Angaraitis[171],

[166] Osmołowski Jerzy (1872-1954?), ziemianin, działacz społeczny na Białorusi, 1919-1920 szef Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich.
[167] Berson Stanisław (?-1919), w 1919 członek CKW Rady Robotniczo-Chłopskiej Republiki Litewsko-Białoruskiej.
[168] Biržiška Vaclovas (1884 – 1956), działacz społeczno-polityczny, bibliograf i historyk kultury litewskiej.
[169] Pożełło, Požėla Karolis (1896-1926), czołowy działacz komunistyczny litewski. Rozstrzelany w pierwszych dniach przewrotu grudniowego (17) 1926 w Litwie z polecenia A.Smetony.
[170] Bielskis Vaclovas (1870-1938).
[171] Angarietis-Aleksa Zigmas (1882-1940), czołowy działacz litewski komunistyczny. W 1918 r. czynny w Komisariacie do spraw litewskich. Od 08 12 1918 r. komisarz spraw wewnętrznych w rządzie Litwy sowieckiej. W lipcu 1920 r. członek Rewkomu w Wilnie.

Leszczyński[172], Ejdukiewicz, Burbianka i in.). Do tymczasowego zarządu miejskiego powołani zostali ludzie z różnych obozów politycznych i grup narodowych, nie wyłączając Żydów. Wszystkie odezwy i ogłoszenia urzędowe są publikowane w czterech językach: polskim, litewskim, białoruskim i żargonie. Wreszcie wydana została po zajęciu Wilna sławna odtąd odezwa Piłsudskiego, w której najistotniejszym momentem jest oświadczenie, iż dzieło wyzwolenia Wilna od bolszewików skierowane jest do dania ludności Litwy możności swobodnego, bez żadnego nacisku z zewnątrz, określenia swej woli co do bytu i przynależności państwowej. Odezwa ta była koroną ludzkiego i szlachetnego stanowiska, zajętego przez zwycięzcę Piłsudskiego wobec wyzwolonego Wilna. Ludność Wilna jest tak przejęta radością wyzwolenia, że wdzięczność dla wojsk polskich i dla Piłsudskiego nie pozwala jej na analizę i krytykę politycznego kierunku odezwy Piłsudskiego; na ten moment polityczny uwagi się w szerokiej opinii dotąd nie zwraca; co Warszawę ubodło, co endecję w Królestwie uraziło od razu, to tutaj, w nastroju wybawienia, przeszło omalże niepostrzeżenie. Ale już i tu znaleźli się ludzie, którzy rozpoczynają kampanię przeciwko idei przewodniej odezwy Piłsudskiego na rzecz panowania polskiego i przeciwko całemu systemowi kojącej ludzkiej polityki, zainicjowanej w Wilnie. Biorą się do tego endecy miejscowi, zasilani agentami, napływającymi z Warszawy. Wyrazem tej kampanii jest wiec, który się odbył przed paru dniami, organem tej akcji – wznowiony „Dziennik Wileński", wychodzący równolegle do „Naszego Kraju", organu, wyrażającego program związkowy Piłsudskiego. Kampania aneksjonistów jest niebezpieczna dla programu Piłsudskiego, bo w masach grunt znajdzie podatny. W masach bowiem są nastroje bezwzględnie pogromowe w stosunku do Żydów i bolszewików, są popularne instynkty bezwzględnego terroru białego bez litości i zastrzeżeń, jest nastrój reakcji, wykluczającej ducha porozumienia, zgody i miłości na jakimkolwiek bądź polu. W takich nastrojach kiepsko się krzewią metody humanitarne i wielkie idei kooperacji, miłości i solidaryzmu na których jest budowany program Piłsudskiego. Trafiają ludziom bardziej do przekonania hasła krańcowe, wszelkie maksymalizmy bądź wprzód, bądź wstecz.

30 kwietnia, rok 1919, środa
Krótka była moja wizyta w Wilnie, bo dziś już wyjechałem z powrotem do Warszawy. O stosunkach w Wilnie, o różnych spostrzeżeniach ciekawych notować będę w dzienniku później. Będę miał na to czas w Łomży, jeżeli nic szczególnego nie zajdzie. A dużo mam do zanotowania; pobyt w Wilnie dużo mię nauczył. Tymczasem postaram się ograniczyć tylko do samej kroniki mojego pobytu.
Pozawczoraj, w pierwszym dniu mego pobytu w Wilnie, udałem się do Witolda Abramowicza i jemu, jako centralnej osobie w grupie wileńskich wykonawców programu Piłsudskiego, zreferowałem szczegółowo moją akcję w Kownie oraz chęć Šaulysa do nawiązania rokowań i ewentualnie potrzebę sprowadzenia go w tym celu do Wilna. Z rozmowy mojej z Abramowiczem żadnych dalszych wniosków na razie nie wysnuliśmy; zaprojektowaliśmy na pojutrze, to znaczy na dziś na godz. 5 po południu zebrańko w ściślejszym gronie dla omówienia perspektyw, płynących z mojej relacji kowieńskiej. Gdym szedł od Abramowicza i łaził po mieście, spotkałem tegoż dnia pod wieczór na ulicy Zygmunta Jundziłła, jadącego dorożką. Okazało się, że właśnie przyjeżdża on dopiero z Kowna, skąd udało mu się przyjechać do Wilna z Kazimierzem Świąteckim końmi. Króciutką chwilę porozmawiałem z Jundziłłem na ulicy.

[172] Leszczyński (Leński) Julian (1889-1937), działacz polskiego I międzynarodowego ruchu rewolucyjnego, publicysta, redaktor „Młotu" (1919), komisarz oświaty ludowej w rządzie Litwy sowieckiej.

Dowiedziałem się od niego, że w Wielką Sobotę, to znaczy jeszcze przed moim z Kowna wyjazdem, został on w Kownie z rozkazu Ślażewicza aresztowany; zrobiono u niego rewizję i przetrzymano dwa dni, a następnie wypuszczono. Aresztowanie to było w ścisłym związku z moją akcją kowieńską. Jak twierdzi Jundziłł, ja również miałem być aresztowany, jeno że nie wiedziano na razie mojego adresu, a nazajutrz rano, w niedzielę pierwszego dnia świąt wyjechałem i tą drogą uniknąłem jego losu. Wiedziano w kołach ministerialnych litewskich, że przyjazd Jundziłła do Kowna łączy się z programem, dla którego ja bawiłem tamże. Aresztowanie Jundziłła nie miało, zdaje się, cechy zdecydowanie wrogiej naszemu projektowi i było jeno bądź ostrzeżeniem, że jednak nie można bezkarnie przyjeżdżać do ministrów litewskich dla namawiania ich do zamachu stanu, bądź nawet raczej pewnego rodzaju formalną satysfakcją elementom prawicowym litewskim, które coś w przedmiocie naszej akcji zwąchały. Na skutek bowiem odwołania się Kairysa[173] i Vileišisa[174] do narady w bloku lewicy litewskiej, gdzie propozycje moje były omawiane, rzecz cała zaczęła parować na zewnątrz i przedostawać się do szerszej opinii litewskiej, gdzie, nie znając nawet dokładnie istoty mojego programu, zaczęto się w pewnych kołach niepokoić i już nalegać na rząd Ślażewicza, aby zareagował na tę akcję i przeszkodził nam z Jundziłłem w dalszych usiłowaniach szerzenia idei zamachu stanu. Ślażewicz więc widział się zmuszonym wydać rozkaz aresztowania nas, bez myśli o dalszych represjach i konsekwencjach aresztowania. Tak przypuszczam, bo nie chciałbym posądzać Ślażewicza o inicjatywę w tej mierze i o chęć zwalczania naszego programu na tej drodze. Wprawdzie ze Ślażewiczem nie mówiłem bezpośrednio, bom to uważał za niestosowne ze względu na jego urzędowy i formalny charakter naczelnika rządu jako prezesa ministrów i nawet nie widziałem się z nim wcale w Kownie, ograniczając się wyłącznie do złożenia mu wizyty formalnej – zresztą nie zastałem go w domu – to przecież wiem, że Ślażewicz w naradzie bloku lewicy brał udział i był o mojej akcji poinformowany, a nie posądzam go, aby mię aż tak daleko źle zrozumiał, żeby uważać za potrzebne zwalczać mię metodą, którą się zwalcza szkodników racji stanu. Nie posądzam go o to, mimo że zawsze wyczuwałem w Ślażewiczu człowieka o skłonnościach do twardej ręki w polityce państwowej. Po wypuszczeniu Jundziłła z aresztu widział się on raz jeszcze w Kownie z Kairysem, od którego usłyszał znowu to samo: że cały ten nasz program szans realizacji nie posiada i że przeto niczego wszczynać Kairys nie uważa na tym gruncie za możliwe.

Tegoż dnia byłem przez Witolda Abramowicza zaproszony na pogawędkę, urządzoną przez lewicę, stojącą na gruncie związkowego litewskiego programu Piłsudskiego, na rzecz delegacji posłów Sejmu Ustawodawczego i grona dziennikarzy warszawskich. Odbyło się to w lokalu tzw. kuchni higienicznej przy ul. Wileńskiej. Obecni byli posłowie w liczbie sześciu (z lewicy sejmowej przeważnie) z wybitnym piastowcem posłem Dąbskim[175] na czele oraz dziennikarze wszystkich głównych organów prasy warszawskiej. Z Wilnian byli obecni przedstawiciele Związku Demokratycznego, polskich ludowców miejscowych i socjalistów polskich. Po kolacji i herbatce w szeregu przemówień Wilnianie informowali posłów i dziennikarzy warszawskich o założeniach

[173] Kairys Steponas (1878-1964), inżynier, jeden z przywódców litewskiej socjaldemokracji, członek Taryby; minister aprowizacji w drugim gabinecie Sleževičiusa.
[174] Vileišis Jonas (1872-1942), prawnik, polityk; członek Taryby; minister spraw wewnętrznych w pierwszym gabinecie i minister finansów w drugim gabinecie Sleževičiusa; w latach 1921-1933 burmistrz Kowna.
[175] Dąbski Jan (1880-1931), publicysta, działacz polityczny; od 1905 w PSL; od 1914 w PSL „Piast", członek Naczelnego Komitetu Narodowego; 1919-1931 poseł na sejm.

programu państwowego Litwy, związkowego w stosunku do Polski, to znaczy programu opierającego się na odezwie Piłsudskiego.

1 maja, rok 1919, czwartek
Dzień dzisiejszy spędziłem w podróży – od Lidy do Białegostoku.
Wracam do toku kroniki moich dni wileńskich. W poniedziałek więc wieczorem byłem na przyjęciu, urządzonym przez postępowy odłam Polaków wileńskich dla delegacji posłów Sejmu warszawskiego i grupy dziennikarzy, która z nią do Wilna przybyła. Delegacja poselska składała się z 6 osób, w których liczbie byli ludowcy z PSL grupy „Wyzwolenie" (między innymi Osiecki[176]), socjaliści z PPS (między innymi b. minister z gabinetu Moraczewskiego Ziemięcki[177]) i ludowiec z grupy „Piasta", czyli z frakcji Witosa, wybitny poseł Dąbski. Ta delegacja poselska bawiła w Wilnie dni kilka. Zadaniem jej było zapoznanie się z nastrojami i życzeniami, zarówno politycznymi, jak narodowymi i innymi oraz potrzebami materialnymi ludności Wilna i tej części kraju, która świeżo z rąk bolszewików wyrwana została. Prawica endecka w Wilnie, hołdująca wszechpolskim imperialistycznym hasłom politycznym, nie omieszkała zająć się przyjęciem posłów i dziennikarzy warszawskich, informując ich o stosunkach i życzeniach ludności Wilna w kierunku automatycznego wcielenia do Polski na zasadach podziału Litwy, a więc zasadach wręcz przeciwnych programowi, wyrażonemu w wileńskiej odezwie Piłsudskiego. Koła wileńskich polityków polskich przeciwnego obozu, hołdującego zasadom programu Piłsudskiego, to znaczy akceptujących państwowość niepodzielnej Litwy ze stolicą Wilnem w związku z Polską – więc koła demokratów spod sztandaru Witolda Abramowicza, ludowców i socjalistów – zakrzątnęły się także, ażeby ze swej strony zaprezentować w pogadance posłom i dziennikarzom warszawskim założenia swojego programu. Ze znajomych moich Wilnian z obozu demokratycznego spotkałem się na tym przyjęciu: z demokratów: z Witoldem Abramowiczem(został on powołany prowizorycznie na burmistrza m. Wilna), Jankiem Piłsudskim (powołany na komisarza m. Wilna), Ignacym Turskim[178], z ludowców z Zygmuntem Nagrodzkim, z socjalistów: z Aleksandrem Zasztowtem, Stanisławem Bagińskim, Kulikowskim, Ladowskim. Był tam także Ludwik Abramowicz, który już zdążył dostać się do Wilna i prawdopodobnie usiłować będzie wejść do redakcji „Naszego Kraju", było kilku takich , których nie wiem, do jakiej zaliczyć grupy, jak Ludwik Chomiński i Czyż-Jeleński[179], którzy dawniej należeli pono do grupy demokratycznej Witolda Abramowicza, wszakże za czasów bolszewickich, pozostawszy w Wilnie, współpracowali w komisariatach bolszewickich, nie będąc komunistami i ograniczając się tylko do działalności społecznej (bądź w oświacie, bądź w rolnictwie, ubezpieczeniach itd.), ale przecież pod egidą bolszewicką, w bolszewickich urzędach, co im szerokie koła opinii wileńskiej poczytują za wielki

---

[176] Osiecki Stanisław (1875-1967), działacz ruchu ludowego, w 1915 współzałożyciel PSL „Wyzwolenie".
[177] Ziemięcki Bronisław (1885-1944), inżynier, od 1905 w PPS; 1919-1922 prezes Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS, XI 1918 – I 1919 i XI 1925 – IV 1926 minister pracy i opieki społecznej, 1919-1930 poseł na sejm.
[178] Turski Ignacy, działacz społeczny, członek grupy demokratycznej. Członek Komitetu Narodowego Polskiego w Wilnie w 1918 r. i powołanego w 1919 r. z inicjatywy Witolda Abramowicza Związku Demokratycznego.
[179] Czyż-Jeleński Jan (1884-1952), inżynier, właściciel majątku w Oszmiańskiem. W latach 1908-1913 związany z białoruskim ruchem narodowym. Następnie wstąpił do PPS-Frakcji Rewolucyjnej. W niepodległej Polsce działał w wileńskiej PPS, będąc z jej ramienia wiceprezydentem Wilna w latach 1927-1934. W latach 1940-1942 przebywał na zesłaniu na Syberii, następnie na emigracji w Anglii, skąd powrócił do Polski w 1947 r.

grzech; ludzie ci, a do ich liczby należą niektórzy z socjalistów polskich, którzy również w podobny sposób połowicznie współpracowali z bolszewikami, są dziś skompromitowani i noszą piętno podejrzanych, pozycja ich jest przykra, bo się od nich ludzie boczą; zdaje się, że w obozie demokratycznym toleruje się ich jako dawnych towarzyszy, ale toleruje się ostrożnie, z liczeniem się z opinią o nich, nie dopuszczając ich do całkowitego wspólnictwa pracy; oni wszakże pchają się dziś do współdziałalności publicznej w nowym systemie rządów, w przeciwieństwie do otwartych komunistów, którzy, o ile pozostali w Wilnie, trzymają się całkiem na uboczu, ci niekomunistyczni współpracownicy komunistów, jak męczennicy, zawieszeni między niebem a ziemią, jak wahadła między dwoma magnesami przeciwnych biegunów, szukają dziś nowych związków z nowymi gospodarzami do nawiązania współpracy. O ile się mogłem zorientować – takich ludzi, niezdecydowanie chwiejnych, splamionych dotknięciem współpracy z bolszewikami – jest pośród inteligentów wileńskich dużo. Okres rządów bolszewickich spłodził ten specjalny typ działaczy połowicznych, przystosowujących się i jeszcze ani tu, ani tam dokładnie nie przystosowanych. W pogadance z posłami przemawiali z kolei demokraci, ludowcy i socjaliści, uzasadniając założenia programu państwowego i związkowego Litwy. Potem poszczególni referenci informowali o stanowisku Litwinów, Białorusinów i Żydów, ażeby dać posłom i dziennikarzom warszawskim pełny obraz sytuacji i stosunków w kraju oraz założeń i szans programu. O Litwinach mówiłem ja.

2 maja, rok 1919, piątek
Koło godz. 3 po południu przyjechałem dziś do Warszawy. Zmęczony byłem podróżą, która mię dwóch nocy bezsennych kosztowała, toteż zakończyłem dzień w Warszawie na tym, że zjadłem obiad i po obiedzie wcześnie się spać położyłem, by wypocząć, uzupełniając sobie wypoczynek zabawą z dziewczynką.
Zupełnie przygodnie spotkałem się po przyjeździe do Warszawy na ulicy ze szwagrem moim Stefanem Mieczkowskim, który na jakieś parę tygodni albo i mniej przed wypędzeniem bolszewików z Wilna umknął stamtąd, nie domyślając się tak rychłej odsieczy polskiej. Stefan przez cały czas rządów bolszewickich aż do samego niemal ich końca przesiedział w Wilnie, gdzie, mając własnego konia, trudnił się wożeniem pasażerów z Wilna do Kowna, względnie do Grodna, a nawet Białegostoku. Z tego się utrzymywał i miał zarobki niezłe. Rywalizował na tym polu z moją siostrą Marynią Römerową i z Niunią Tukałłówną, które się tymże rzemiosłem trudniły. Gdy wszakże bolszewicy aresztowali Stasia Wołodkowicza i coś tam w jego papierach czy rzeczach znalazło się kompromitującego Stefana, Stefan, węsząc niebezpieczeństwo, uciekł. Elwirę z dziećmi zostawił w Wilnie. Elwira myśli, że Stefan wstąpił do wojska polskiego – do jazdy wileńskiej Dąbrowskiego. Tymczasem Stefan siedzi obecnie u swego szwagra Starzyńskiego i myśli teraz o powrocie do Wilna, gdy bolszewicy zostali stamtąd wypędzeni.
Wskażę dziś na przyczyny, które mię skłoniły do tak szybkiego opuszczenia Wilna, szybszego o wiele, niż się spodziewałem przyjeżdżając. W związku z tym powiem o atakach bolszewickich na Wilno we wtorek i środę. W poniedziałek wróciłem w nocy dość późno z przyjęcia posłów i dziennikarzy warszawskich, o którym już pisałem. Była może godzina pół do pierwszej w nocy. Cicho było na mieście i nic nie zapowiadało zbliżającej się burzy wojennej. Poprzednio tylko, koło godz. 11, gdyśmy jeszcze byli na przyjęciu posłów przy ul. Wileńskiej, słyszałem przez chwilę jakiś większy gorączkowy ruch wojska na uśpionej ulicy, zgiełk jakichś głosów i następnie gwałtowny tętent kopyt koni po bruku kamiennym, jakby to pędził jakiś większy oddział kawalerii. Przez jedną chwilę błysnęła mi myśl o możliwości alarmu

wojennego, ale ruch ten trwał jedną chwilę i wnet znowu ucichło. W Wilnie z powodu stanu wojennego i ostrego pogotowia, które się komplikuje jeszcze obecnością licznych bolszewików w mieście, czyhających na chwilę stosowną, aby uderzyć ewentualnie na wojska polskie z wewnątrz, ruch uliczny po godz. 8 wieczorem jest zabroniony. Wracaliśmy w nocy gromadką prospektem wraz z posłami. Raz nas tylko w drodze zatrzymał patrol, aleśmy się mu wylegitymowali. Przy hotelu Bristol pożegnaliśmy posłów i dziennikarzy warszawskich, którzy rano o godz. 4 mieli się udać samochodami na linię frontu i poszliśmy każdy do siebie. Ja udałem się do domu Wołodkowicza przy ul. Ofiarnej (dawnej Sądowej), gdzie w mieszkaniu Maryni mieszkałem. Drzwi od schodów z wejścia „paradnego" zastałem zamknięte, więc zacząłem się dobijać do bramy i zbudziłem stróża. Ten mię wpuścił do podwórza i poszedłem do domu przez schody kuchenne. I tu stała się rzecz dla mnie fatalna, bo się do drzwi kuchennych dobić nie mogłem, pomimo dobijania się gwałtownego. Wskórałem tylko tyle, że mię jakaś kucharka z któregoś mieszkania na schodach zwymyślała. Dałem za wygraną, ale nie mogąc po ciemku znaleźć mieszkanie stróża w dziedzińcu, zmuszony byłem pozostać na schodach do świtu. Byłem po dwóch nocach niespanych zmęczony i musiałem się jeszcze tak marnie na schodach przez noc całą męczyć. Cicho było na mieście – żaden dźwięk nie dolatywał. Gdy się rozwidniło, doszukałem się stróża, który mię wpuścił przez ulicę na schody paradne i do mieszkania. W tym mniej więcej czasie zaczęły dochodzić z daleka odgłosy bitwy.

3 maja, rok 1919, sobota
Spędziłem dzień w Warszawie. Przyglądałem się obchodowi rocznicy 3 maja. Warszawa, jak zawsze w takich okolicznościach, wyglądała odświętnie. Dekoracje były barwne, pochód był ładny, szczególnie ładnie prezentowało się wojsko: defilowali ułani różnych barw, hallerczycy, oddziały różnych pułków wojska i różnych gatunków broni. Więcej było widowiska, niż zapału tłumów. Na ogół jednak obchód udał się. Zabawiłem w Warszawie do nocy. Widziałem się z Šaulysem i Jerzym Osmołowskim. O rozmowie zwłaszcza z tym ostatnim napiszę innym razem, gdy w opowieści mojej dojdę do tego etapu. Po północy wyjechałem do Łomży, wracając do moich penatów i do mojej powszedniej pracy w sądzie.
Cofam się do relacji moich dni wileńskich.
Gdym we wtorek rano, po nocy, tak niefortunnie na schodach kuchennych spędzonej, dostał się wreszcie do mieszkania i po spożyciu naprędce pozostawionej mi od wieczora kolacji udał się do sypialnego pokoju i zaczął rozbierać, usłyszałem w oddali przytłumiony huk wystrzałów armatnich i coś, co niewyraźnie przypominało trzask karabinów maszynowych. Na razie nie zwróciłem na to większej uwagi. Gdym się wszakże położył do łóżka, zacząłem coraz wyraźniej słyszeć i rozeznawać te dźwięki, które się stawały coraz wyraźniejsze; widocznie zbliżały się. Nie było już wątpliwości, że to gra karabin maszynowy i że gdzieś niedaleko pod Wilnem toczy bitwa, w której artyleria także udział bierze. Zaniepokoiło mię to trochę. Pomyślałem sobie, co by to było, gdyby tak nagle, gdy ja się spokojnie do snu układam i gdy spać snem twardym będę, bitwa rozegrała się na korzyść bolszewików i ci ostatni wrócili do Wilna. Że powrót bolszewików do Wilna zaznaczyłby się terrorem i krwawymi represjami, o tym nie można było wątpić. Zresztą obie strony płacą sobie pięknym za nadobne, a już o względności ze strony bolszewików nie mogło być mowy. Czułem, że jestem osobiście mocno zaangażowany, bo oczywiście sam fakt znalezienia się mego w Wilnie tuż w ślad za wojskami polskimi byłby dla mnie w oczach bolszewików fatalny, z którego bym się usprawiedliwić nie zdołał, a prawdopodobne jest, że jakaś denuncjacja mogłaby wprost wskazać na cel mojego przyjazdu, oparty na konszachtach z wrogami

bolszewizmu. Wiem zaś z doświadczenia, jak los bitew jest zmienny i jak nieraz w piorunowym tempie w skutku bitwy przesuwają się wojska z miejsca na miejsce; gdy się linia jednej z walczących stron załamie, cofa się ona nagle jak zgolona brzytwą, że nie ma czasu się obejrzeć, jak przeciwnik już zajmuje teren, przed chwilą posiadany przez wroga. Ale zmęczenie mię przemogło. Pomyślałem – niech się dzieje, co chce, a ja pod opieką Boską zasnąć muszę. Mogła być godz. 5 lub 5 ½ rano, gdym zasnął. Około g. siódmej zbudziła mię Elwira, mówiąc, że sądząc ze strzałów i z wieści, które krążą po mieście, bitwa się zbliża do Wilna i bolszewicy poważnie zagrażają miastu oraz że możliwe jest zarządzenie opuszczenia Wilna przez wojsko polskie. Radziła mi więc, abym się ubrał i był gotowy do drogi; dodała, że Staś Wołodkowicz i Henryś Wołłowicz, mieszkający o piętro niżej pod nami, przyrzekli, że w razie cofania się wojsk polskich, dadzą do nas znać. Istotnie strzały huczały potężnie i karabiny maszynowe trzaskały jak opętane. Wstałem, ubrałem się, pokręciłem i znów położyłem w ubraniu, bo zanadto byłem zmęczony i ustać nie mogłem.

4 maja, rok 1919, niedziela
Przez noc jechałem z Warszawy do Łomży. Za towarzysza podróży miałem p. Maksymiliana Malinowskiego[180], b. redaktora „Zarania", jednego z zasłużonych działaczy radykalnego ruchu ludowego w Polsce. Spotkałem się z nim przypadkowo na peronie Dworca Wiedeńskiego w Warszawie i ponieważ obaj jechaliśmy do Łomży, usiedliśmy razem do jednego przedziału w wagonie. Ostatni raz widziałem się z nim w marcu r. 1915 w Warszawie, gdym przyjeżdżał w grupie Wilnian dla konferencji polsko-litewskiej do Warszawy. Dużo wody odtąd upłynęło, dużo olbrzymich zmian zaszło!
Wyspałem się w drodze dobrze, bośmy byli z Malinowskim sami w przedziale wagonu II klasy i mogliśmy się wygodnie położyć i wyspać. Może po raz pierwszy za czasów wojny udało mi się tak wygodnie wyspać w wagonie. Rano koło godz. 9 przyjechałem do Łomży. Zastałem w domu Marynię. Ewa wyjechała na kilka dni do Warszawy. Marynia w najbliższym czasie wybiera się z powrotem do Wilna i zabiera ze sobą Ewę. Będę więc osierocony i nie będę miał mojej gospodyni domowej, Ewy. Będę musiał zafundować sobie służącą, bo sam jeden w osobnym mieszkaniu wystarczyć sobie nie mogę, a chciałbym się też nadal i stołować w domu i w ogóle gospodareczkę moją prowadzić.
W Łomży ogarnęła mię tęsknota za... Lusią Roszkowską. Jestem bliski kochania tej dziewczyny. Gdybym miał możność spotykać się z nią i obcować tak, jak to było za czasów jej pracy w Głównej Komisji Wyborczej, albo nawet rzadziej, ale przecie się spotykać i zbliżać sam na sam, byłbym ją niewątpliwie pokochał. O, jakże bym pragnął tego! Wspaniały to typ dziewczyny, piękny charakter, natura silna. I pomimo różnicy naszego wieku ona także była bliska kochania. Gdym jeździł po Kownie i Wilnie, zapomniałem o niej. Teraz w Łomży obudziła mi się ostra tęsknota za nią, głębokie pragnienie tej dziewczyny. Ale to darmo. Skończone, Michale, idź w cień! Nie czas ci na to. Dziewczyna jest porządna, na schadzki nie pójdzie, szczególnie tu w Łomży, gdzie bicz złośliwej plotki i obmowy ścigałby ją na każdym kroku. Nie ma więc żadnej nadziei na stworzenie takich okoliczności, które umożliwiłyby nasze sam na sam i powrót do tych pieszczot, jakich zażywaliśmy w moim gabinecie sędziowskim, gdy Lusia była pracownicą Głównej Komisji Wyborczej. A gdybym nawet mógł ją gdzieś spotykać w towarzystwie, to przecież wiek mój wykluczałby jakieś publiczne zalecanki

[180] Malinowski Maksymilian (1860-1948), publicysta, redaktor i wydawca „Zorzy" (1887-1906), 1900-1906 członek Ligi Narodowej; 1906-1915 wydawca i redaktor tygodnika społeczno-politycznego przeznaczonego dla chłopów pt. „Zaranie"; od 1918 w PSL „Wyzwolenie".

do młodej panny, która omalże nie jest podlotkiem. Zresztą inaczej bym się przedstawiał Lusi, będąc z nią sam na sam i ogarniając ją żywym ogniem mych pieszczot i magnesem męskiej siły pożądania, a inaczej w roli zalotnika na targowisku towarzyskiego publicznego flirtu. W pierwszym wypadku dziewczyna lgnęłaby do mnie, jak lgną wszystkie dziewczęta do miodu zmysłów męskich i męskiego ducha i jak lgnęła ona, a w drugim wypadku przedstawiłbym się jej w śmiesznej roli podtatusiałego konkurenta do wdzięków; toteż tej drugiej roli nie uprawiam już teraz nigdy i w stosunku do Lusi Roszkowskiej nie uprawiałbym tym bardziej. Wolę ją stracić, niż się kompromitować w jej oczach. Wolę pozostać w jej pamięci tym człowiekiem z gabinetu mego i być wykreślonym z jej teraźniejszości, niż usiłować dopiąć czegoś, co nie może być dla mnie. Spotkałem ją dziś dwukrotnie na ulicy. Ukłoniłem się i na tym się skończyło. Spacerowała po „deptaku" z jakąś panienką. O, Lusio! W marzeniu moim uściskałbym cię i pieścił w moim samotnym mieszkanku, które by się stało przybytkiem rozkoszy naszej! Próżne myśli! Przed laty dziesięciu umiałem zdobyć każdą dziewczynę i w niej miłość rozniecić, choć nigdy nie nadużyłem namiętności na jej krzywdę – dziś ze względu na wiek nie mogę się uganiać za tym, bo się śmieszności boję. Zresztą doznałem już szczęścia w życiu w miłości, a taka miłość i takie szczęście powtórzyć się w życiu ludzkim nie może. I gdybym nawet mógł pozyskać dziś Lusię, nie będzie to nawet słabym echem tamtej pełni szczęścia.

5 maja, rok 1919, poniedziałek
Jeszcze przed moim wyjazdem do Kowna, gdy w początku kwietnia zarządzone były wybory do Rady Miejskiej w Łomży, zostałem wyznaczony przez prezesa sądu na przewodniczącego Głównego Komitetu Wyborczego. Przewodniczącym tego Komitetu musi być podług ordynacji wyborczej do rad miejskich sędzia albo okręgowy, albo pokoju z wyznaczenia przez odpowiedniego prezesa Sądu Okręgowego. Ponieważ, jako b. przewodniczący Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu mam doświadczenie w tym kierunku, więc zostałem do czynności tej powołany. Wszakże przez cały czas kampanii wyborczej byłem nieobecny w Łomży, tak że faktycznie obowiązki moje pełnił adwokat Winnicki, zastępca przewodniczącego w Komitecie. Obecnie przyjechałem na same wybory i na obliczanie głosów oraz ustalanie mandatów radzieckich. Wybory odbyły się w Łomży wczoraj, dzisiaj zaś o godz. 6 wieczorem na posiedzeniu Głównego Komitetu Wyborczego dokonaliśmy obliczenia głosów z jedenastu obwodów głosowania miasta Łomży i ustalenia mandatów. Wybory zbudowane były na tych samych mniej więcej zasadach, co do Sejmu, z tą wszakże różnicą, że czynne prawo wyborcze mieli jeno ci z uprawnionych obywateli, którzy w terminie określonym zgłosili swoje prawa w komitetach miejscowych i zostali tą drogą wciągnięci do spisów wyborców. Żydzi okazali się pod tym względem o wiele bardziej dojrzałymi i dbałymi o swe prawa obywatelskie od Polaków. Podczas gdy mniej więcej stanowią oni połowę ludności Łomży, zapisało się ich na listy wyborców około 60% albo i więcej. Polacy się obawiali, że wskutek tego Żydzi zdobędą w Radzie większość bezwzględną. Listy kandydatów zgłoszone zostały dwie chrześcijańskie (lista prawicowa pod nazwą „narodowej", skupiająca wszystkie elementy mniej lub więcej wsteczne i lista Związku Demokratycznego, konsolidująca elementy lewicy, to znaczy odłam radykalny) i cztery listy żydowskie (lista Bundu, lista syjonistów burżuazyjnych połączonych z rzemieślnikami, czyli właściwie drobnomieszczańska, lista prawicy żydowskiej i lista „Poale-Syjon"). Żydzi jednak byli o tyle zręczni, że nie wykorzystali swej przewagi na rzecz bezwzględnej większości i wykombinowali jakoś tak sprytnie, że zdobyli równo połowę mandatów radzieckich (12 mandatów, w tej liczbie Bund najwięcej, bo 4, drobnomieszczanie z prawicą po 3, Poale-Syjon – 2). Co do Polaków, to lewica

poniosła kapitalną porażkę, bo na 12 mandatów zdobyła zaledwie jeden, gdy 11 dostało się do rąk wsteczników o zabarwieniu przeważnie endeckim. Podczas gdy na całym terenie b. Kongresówki w wyborach do rad miejskich zwyciężają w ogromnej większości elementy radykalne i lewicowe, przeważnie nawet PPS, to Łomża wierna endecji, daje stale zawsze większość reakcyjną. Zaiste, słusznie przyznaje sobie Łomża miano twierdzy endecji. Zdaje się, że do zwycięstwa prawicy przyczyniło się niezdecydowane stanowisko PPS, w której dominowały tendencje bojkotu wyborów, a przynajmniej nieinteresowania się czynnego nimi. Przypuszczam, że przyczynił się do tego ten fakt, że zabrakło w Łomży dr Czarneckiego, energicznego przywódcy socjalistów w Łomży, dzielnego organizatora i jeszcze dzielniejszego agitatora, który został powołany jako lekarz do wojska. Bo przy wyborach do Sejmu PPS w mieście Łomży zdobyła wcale pokaźną ilość głosów, które tym razem nie ujawniły się. Sensacją ostatnich dni w Łomży, jeszcze sprzed mojego przyjazdu, była manifestacja obchodu 1 maja w mieście. W dniu tym przez ulice reakcyjnego miasta, ku zgorszeniu „burżujów”, przeciągnął pochód socjalistyczny, w którym pod jednolitą firmą Rady Delegatów Robotniczych Łomży kroczyli w jednym ordynku socjaliści, o zgrozo! – z komunistami. W pochodzie widniały sztandary między innymi z takimi napisami, jak „Niech żyje Lenin i Trocki!”, „Niech żyje Sowiecka Rosja!”, budząc oburzenie filistrów. Czy istotnie były napisy w tym brzmieniu – nie wiem; sądzę, że to przesada, ale faktem jest, że były sztandary i napisy ściśle komunistyczne obok PPS-owskich. Szczytem zaś zgorszenia szanujących się obywateli było to, że oddziały milicji ludowej brały udział w pochodzie, otwierając i zamykając orszak pochodny.

6 maja, rok 1919, wtorek
W dniu dzisiejszym nie zaszło nic takiego, co by godne było zanotowania w dzienniku. Wdrożyłem się znowu do mej pracy sądowej i robię jak machina w biegu: piszę wyroki, wyznaczam sprawy, których zebrało się dużo przez czas mojej nieobecności, przygotowuję się do sesji nadchodzących.
Skorzystam więc z miejsca w dzienniku w dniu dzisiejszym, aby podegnać zaległą opowieść z moich dni wileńskich. Zatrzymałem się na wtorku ubiegłym, w którym od wczesnego rana słychać było w Wilnie głośny pomruk bitwy toczącej się pod miastem. Cała ludność chrześcijańska Wilna wprawiona była w popłoch, a zdaje się, że i wojskowi nie byli wcale pewni sytuacji. Przedstawiała się ona bowiem groźnie dla polskiego posiadania Wilna. Walki bolszewicko-polskie pod Wilnem trwały przez dwa dni, wtorek i środę – aż do mego wyjazdu. Czy później ustały, czy się ponowiły i w jakiej formie – tego już nie wiem, bom wyjechał. Przebieg i charakter tych walk, jak się później poinformowałem, był następujący. Bolszewicy, po zdobyciu Wilna przez Polaków, które to zdobywanie trwało trzy dni – od Wielkiej Soboty do poniedziałku drugiego dnia świąt Wielkiejnocy – musieli w pierwszym rzędzie, zanim się przygotowali do odzyskania straconej stolicy Litwy, zlikwidować cypel, wysunięty na południe pod Orany na terenie między Wilnem a Kownem. Z chwilą zajęcia Wilna przez Polaków posiadanie przez Bolszewików tego cypla było dla nich źródłem niebezpieczeństwa i strategicznie było dla nich niewygodne. Cypel ten, wydłużony na południe, był ujęty bowiem we dwa ognie, ze wschodu zagrożony od Wilna przez Polaków, z zachodu zaś od strony Kowna zagrożony na linii mniej więcej Olita-Żyżmory czy też Żośle albo Koszedary) – przez Niemców z Litwinami. Otóż zamiast rozpraszać siły na utrzymanie i obronę tego wysuniętego cypla, bolszewicy woleli wycofać się z niego, ściągając je stamtąd dla większego skupienia i zdobycia prężności w celu uderzenia na Wilno. Uderzenie na Wilno bez likwidacji tego cypla nie tylko że byłoby dokonane z mniejszą prężnością, ale jednocześnie byłoby osłabione przez

konieczność obrony cypla orańskiego, dającego siłom polskim, broniącym Wilna, punkt dla kontruderzenia, paraliżującego bolszewicką akcję frontową na Wilno. Dlatego też pierwszy tydzień po zdobyciu przez Polaków Wilna upłynął dla miasta spokojnie, bez ataków bolszewickich. Bolszewicy przez ten czas wycofywali się od Oran na północ w kierunku Wiłkomierza i dzień w dzień Polacy mogli podawać o zajęciu jakiejś miejscowości czy ewakuowanym przez bolszewików terenie, co sprawiało wrażenie sukcesów polskich. Orany, Marcinkańce, Olkieniki, Landwarów, Troki, cała więc kolej od Wilna w kierunku ku Grodnu – opanowana została przez Polaków, jednocześnie zaś na północ od Wilna kawaleria polska zajęła Mejszagołę, podsunęła się pod Szyrwinty, zajęła Nową Wilejkę, podsunęła się do Podbrodzia. Tymczasem bolszewicy skupiali się do rewanżu. Strata Wilna była ciosem dotkliwym, z którym nie przyszło im tak łatwo pogodzić. Zaczęli oni upatrywać i zakładać punkty koncentracyjne dla swych sił jako bazy wypadowe, z których mieli uderzyć na Wilno. Na wschodzie większy rezerwuar sił mieli w Mołodecznie. Stamtąd przesunęli je ku Oszmianie i mniej więcej od Oszmiany rozpoczęli ruch, z którego wyszedł pierwszy wielki atak na Wilno w nocy z poniedziałku na wtorek. Atak ten był wykonany przez piechotę, pchniętą po obydwóch stronach kolei Mińsk-Wilno. Atak piechoty poparty był przez pociąg pancerny, który bolszewicy puścili z Kieny na Wilejkę. Atak ten frontem od wschodu uderzał na Wilno i jednocześnie lewym skrzydłem miał na celu przeciąć linię kolejową Wilno-Lida, odcinając Wilno od bazy operacyjnej i niszcząc jedyne połączenie kolejowe. Taka była istota porannej walki wtorkowej. Niebezpieczeństwo było poważne. Na lewym skrzydle Bolszewicy zbliżyli się o 1 ½ wiorsty do stacji Porubanek na kolei Wilno-Lida i podeszli aż pod przedmieście Lipówkę.

7 maja, rok 1919, środa
Dzisiaj miałem pierwszą po powrocie do Łomży sesję sądową. Była to sesja apelacyjna karna. Nie zajęła mi zbyt dużo czasu, bo na popołudnie pozostały tylko trzy sprawy. Przewidywane są zmiany w naszym personelu sędziowskim. Sędzia Duszyński zamierza się podać na rejenta do Ostrołęki, gdzie jest wakans. Gdy to nastąpi, będziemy znowu wybierali nowego sędziego na jego miejsce. Tym razem z pewnością przejdzie Chełstowski. Teraz już i ja na niego głosować będę, bo przekonaliśmy się, że to jest prawnik dobry, a nie chciałoby się po raz drugi tak wpaść, jakeśmy wpadli z nominacją sędziego Makowskiego, który okazał się prawie że do niczego (pracowity niezwykle, ale zupełnie bez głowy). Być może, że po ustąpieniu Duszyńskiego ja obejmę spadek po nim, to znaczy przejdę do wydziału cywilnego apelacyjnego. Zresztą jeszcze nie wiem. Przechodzę do relacji ataków bolszewickich na Wilno z czasów mojej tam bytności. Atak od wschodu, o którym pisałem wczoraj, przygotowany i rozpoczęty przez bolszewików w nocy z poniedziałku 28 na wtorek 29 kwietnia, rozgorzał się w wielką bitwę, która trwała pod Wilnem od g. 4 rano do jakiejś godz. 11 przed południem. Grzmot dział i terkot karabinów maszynowych wzmagał się i zbliżał do Wilna zwłaszcza między godz. 7 a 9 rano. Był to kulminacyjny moment niepokoju, bliskiego paniki, który ogarnął mieszkańców miasta. Na samą myśl o powrocie bolszewików i ich rządów przerażenie ogarniało ogół ludności chrześcijańskiej; a myśl ta kołowała uporczywie pod wrażeniem ciągłych dźwięków bitwy pobliskiej. Wrażenie było tym większe, że przez tydzień poprzedni ludność była się już uspokoiła i miała poczucie pewności, że bolszewicy są mocno pobici i daleko odpędzeni; że niebezpieczeństwo jest tak bliskie i groźne – tego nikt nie przypuszczał. Toteż teraz, gdy je poczuto, przerażenie zaczęło przechodzić w rozpacz. Oczywiście też wyolbrzymiano je i przesadzano niemal do pewności powrotu bolszewików. Zdawano zaś sobie sprawę, że powrót bolszewików będzie straszny, o wiele straszniejszy i krwawy, niż były ich

poprzednie rządy w Wilnie. Wilno poznało już bezwzględność dyktatury bolszewickiej, ich metody terroru i gwałtu, nie miarkowanego żadnymi względami. Cóż dopiero, gdy teraz wkroczą oni do odzyskanego miasta z uczuciem zemsty i odwetu, z nieograniczoną możnością likwidacji porachunku z elementami, które okazały pomoc Polakom! Będzie w pierwszym rzędzie pogrom inteligencji i krwawe gwałty odwetu na Polakach. Wiedziano, że miasto jest pełne szpiegów bolszewickich, że zwłaszcza Żydzi w masie im sprzyjają i notują czujnie wszystko, co ludność i co poszczególni ludzie w tym okresie panowania polskiego dokonali. Toteż rozumiano, że nikt nie ujdzie zemsty. A tymczasem ludność, sądząc, że niebezpieczeństwo minęło, nie zachowała ostrożności, bratała się jawnie z Polakami, zwracała się do pewnych władz i urzędów, pozwalała sobie na ekscesy w stosunku do Żydów, na denuncjowanie władzom i wojskom polskim osób podejrzanych o bolszewizm, szczególnie Żydów, licząc, że to jej ujdzie już teraz bezkarnie. Tymczasem powstało groźne widmo zemsty. Bo trzeba sobie powiedzieć, że obie strony płacą sobie pięknym za nadobne. Jak bezwzględni są bolszewicy, jak oni działają terrorem, tak dyszą bezwzględnością i białym w stosunku do nich i zwłaszcza w stosunku gremialnie do ogółu Żydów ich przeciwnicy wśród miejscowej ludności, gdzie nastroje są zdecydowanie pogromowe. I chociaż, dzięki Bogu, masowego pogromu Żydów i bolszewików w Wilnie nie było, to znaczy nie było formalnej masowej rzezi, gromienia w czambuł domów żydowskich i wywlekania na mękę i śmierć wszystkich o bolszewizm podejrzanych, do czego niestety, tęsknią instynkty zemsty mas, to jednak przecież epizodycznych wypadków doraźnego gwałtu było mnóstwo. Nie dało się ich uniknąć. W pierwszych dniach po zdobyciu Wilna przez Polaków poszczególni ludzie – baby, wyrostki, panowie i panie z inteligencji – zaczepiali patrole wojskowe, denuncjowali im Żydów indywidualnie, wskazywali, że oto w tym domu ten Żyd strzelał do wojska polskiego z okna albo dawał jakieś sygnały bolszewikom albo nosił im amunicję itp. – i wnet patrol z denuncjatorem na czele wkraczał do domu; wywlekano Żyda, męczono i zabijano delikwenta. Wystarczało błahego podejrzenia, domniemania. Nie było czasu ani ochoty na śledztwo formalne, na skontrolowanie denuncjacji. Ulica dyszała terrorem i męką ludzką. Bez formalnego procesu zamordowano w taki sposób sporo ludzi, na zasadzie posądzeń. Liczbę ofiar różni różnie określają.

8 maja, rok 1919, czwartek
Dzień św. Stanisława, patrona Polski, obchodzony jako święto w Polsce. Byłem zaproszony na czarną kawę do sędziego Duszyńskiego z okazji uroczystości jego imienin. Zebrała się tam cała socjeta sądowa łomżyńska, sędziowie, kilku adwokatów, rejentów – z rodzinami.
Znów przechodzę do bolszewickich ataków na Wilno w dniach mojego tam pobytu. Aczkolwiek ludność polska w Wilnie ujawniła po wejściu Polaków nastroje pogromowe, instynkt białego terroru w stosunku do bolszewików, a właściwie do Żydów, których większość Wilnian, tak z pospólstwa, jak z inteligencji, utożsamia w czambuł z bolszewikami, to przecież i bolszewicy w metodach swego działania nie innymi się kierują nastrojami i instynktami, jak pogromu i terroru, z tą różnicą, że jest on czerwony i że ma w Wilnie duże zabarwienie semickie, a wiadomo, że Żyd bodaj bardziej potrafi być okrutny i mściwy, niż aryjczyk. W tych warunkach, gdy obie strony dyszą ku sobie nienawiścią i krwawą bezwzględnością, perspektywa powrotu bolszewików stawała się dla Wilnian straszna. Ci, którzy maczali ręce w epizodach pogromowych, którzy mieli na sumieniu denuncjację, którzy zresztą w jakikolwiek sposób wyrażali solidarność z akcją wojsk i władz polskich, którzy zamanifestowali swe uczucia w kierunku antybolszewickim i antysemickim, zadrżeli pierwsi. Im kto

więcej pałał instynktem pogromu i białego terroru, im głośniej to wyrażał, tym się w chwili niebezpieczeństwa okazał tchórzliwszym i podatniejszym na panikę. Zresztą i podłość ludzka dużą tu odegrała rolę, bo zazwyczaj najokrutniejsi i najdziksi są ci, co są najmniej odważni i rycerscy. Mogłem się o tym najlepiej przekonać w pociągu we środę, gdym wyjeżdżał z Wilna. Pociąg ten wiózł falę tych, co uciekali z miasta przed niebezpieczeństwem bolszewickim. Siedząc w wagonie i czując się już jedną nogą poza Wilnem, a więc poza niebezpieczeństwem, dopiero dawali ludziska upust swej nienawiści i instynktom, wyrażanym w najskrajniejszy sposób. Czego się już tam nie słyszało! W rozmowach była bezwzględna apoteoza rzezi Żydów, prostego bez pardonu mordowania już nie tylko bolszewików i jakichś figur rządzących, ale bodaj wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób mogą być podejrzani o sprzyjanie bolszewikom, a już Żydów zwłaszcza. Ludzie się po prostu pławili w tych nastrojach krwiożerczego mordu, zemsty i nienawiści. Gdyby tam jakiś Żyd się przypadkiem znalazł, nie ręczyłbym, czy by go nie zamordowano lub zrzucono w biegu pociągu na szyny. I zdaje się, że im więksi tchórze i im bezpieczniej się ludzie ci czuli, tym byli drapieżniejsi. Zdziczenie jest zaiste w duszach ludzkich straszne. Ale trudno w tym względzie winić tylko tę jedną stronę. Takież zdziczenie, takąż drapieżność niosą w sobie metody bolszewickie w stosunku do „burżujów" i kto wie, czy nie owi bolszewicy, rzecznicy rewolucji, spadkobiercy przecie bądź co bądź humanitarnych ideałów sprawiedliwości i miłości ludzkiej, są głównymi instygatorami i sprawcami zdziczenia również strony przeciwnej. Bo jakkolwiek bądź byśmy oceniali rewolucję bolszewicką i konieczność nastrojów walki w historycznym momencie, w którym bolszewicy podług przekonania swego obalają świat stary na rzecz ustroju nowego, kiedy to dla sielanki miejsca być nie może i kiedy w tej „*lutte suprem*"[181] nie może być wyrazu miłości i kompromisu – to przecież rozpasanie drapieżności i zdziczenia instynktów już nie walki tylko, ale omal że nie eksterminacji, przechodzi u bolszewików, o ile mogę sądzić z tego, co słyszę, wszelkie granice, do jakich pojęcie ludzkie człowieka nagiąć się jeszcze może.
Temat mój się wydłuża – nie mogę go zakończyć.

9 maja, rok 1919, piątek
Od paru dni mamy wreszcie prześliczną pogodę słoneczną o najpiękniejszych tradycjach majowych. Późna jest w tym roku wiosna, ale mam nadzieję, że za to będzie piękna. Dotychczas wciąż były deszcze, słoty i zimno. Jeszcze przed kilku dniami mieliśmy przymrozki ostre. Jeszcze w pierwszych dniach maja powietrze było typowo marcowe. Ale za to pocieszałem się nadzieją, że im później nastaną dni prawdziwej wiosny, tym już wiosna będzie mocniejsza, stalsza i równiejsza w pięknie i słońcu. Wolę to, niż taką wiosnę zeszłoroczną, która bardzo wcześnie zajaśniała słońcem i ciepłem, a za to potem, akurat w czasie kwitnięcia drzew, przyszły chłody i przymrozki, wyrządzając dużą szkodę w rolnictwie, warzywach i zwłaszcza na drzewa owocowe. Dotychczas roślinność jeszcze się nie była rozwinęła, na łąkach dopiero drobniutka trawka zaczyna porastać, drzewa są prawie nagie, ledwie pączki pękają, oziminy ledwie zielenieją. Za to teraz będzie rozkwit roślinności od razu pełnym tchem. Jest to najpiękniejsza pora roku, która w wiośnie bieżącej szczególnie się bujnie przedstawi. Wieczorami już żaby chórami rechoczą na zalanych wodą rozległych nizinach wylewu Narwi. Prześliczny czas!
Z wielką ciekawością śledzę w gazetach wiadomości o stanie rzeczy na froncie polsko-bolszewickim pod Wilnem. Są one jednak bardzo skąpe. Poza komunikatami urzędowymi sztabu polskiego, nie ma prawie nic, a komunikaty te są jakoś bardzo

---

[181] (fr.) lutte supreme, najwyższa walka.

lakoniczne co do frontu litewsko-białoruskiego, zwłaszcza pod samym Wilnem. Zdaje mi się, że sytuacja jednak nie jest tam zupełnie mocna. Coś się trochę pisało o lokalnych sukcesach polskich w powiecie oszmiańskim, pod Wiszniewem i nad Berezyną Niemeńską. O tym, co jest pod samym Wilnem – ani słowa. Potem w ostatnich dwóch komunikatach, które mieliśmy w gazetach, otrzymanych w Łomży z Warszawy pozawczoraj i wczoraj, było podane, że na froncie litewsko-białoruskim – „ożywiona działalność bojowa"; należy to rozumieć, że się siły w walce ważą. Dziś dopiero jest w gazetach coś konkretniejszego – mianowicie zajęcie Słobódki (Gudogaj) – stacji na linii kolejowej Wilno-Mińsk (trzecia stacja od Wilna). Ta wiadomość jest nieco pomyślniejsza dla sytuacji polskiej pod Wilnem, ale sama przez się jeszcze nie decydująca. Można przypuszczać, że bolszewicy w dalszym ciągu nie poniechali usiłowań odzyskania Wilna i że ich działalność wojenna, rozpoczęta w początku tygodnia ubiegłego, jest wciąż przez nich jeszcze forsowana. Są też wzmianki w gazetach o tym, że bolszewicy gromadzą coraz to siły do decydującej kampanii o Wilno. Z pewnością i Polacy nie zaniedbują środków obrony, już nie tylko ze względów czysto strategicznych, ale zwłaszcza ze względów politycznych utrzymania stolicy Litwy, bo zdobycie Wilna i strata jego po kilku tygodniach byłoby ciosem i kompromitacją dla Polski i w szczególności także dla Piłsudskiego. Na wewnątrz Polski byłoby to fatalnym dla Piłsudskiego zwłaszcza, na zewnątrz zaś byłoby, po pierwsze, dużym zachwianiem powagi Polski wobec ludności miejscowej, wobec Litwinów także i całego ludu białoruskiego, a po drugie, kompromitowałoby Polskę wobec Koalicji; faktem jest, że to, co się teraz w Polsce dzieje, zarówno w sferze jej wewnętrznych stosunków państwowych, jak w sferze jej czynów wojskowych, ma cechy egzaminu sprawności i kwalifikacji, posiadanych przez Polskę; wyniki tego egzaminu będą w dużym stopniu decydujące co do najbliższych losów Polski i poparcia, jakie jej da świat zachodni. Dużo jest prawdy w słowach, że Polska teraz wykuwa swój los, jak zresztą wykuwają go dla siebie dziś wszystkie ludy w tej wielkiej godzinie przeznaczeń. Stąd ta ich rywalizacja nieubłagana dziś, ten pęd owiany duchem maksymalizmu. Że Polska z całą energią bronić będzie przeciwko bolszewikom Wilna – to fakt. Ale niemniej zadanie nie jest tak proste, jak sądzić można z brawury wojsk polskich. Bolszewicy gromadzą siły duże, Polacy zaś dla obrony sił nieograniczenie gromadzić nie mogą; gdyby nawet rozporządzali w Polsce dużą rezerwą wojsk, to przecież na froncie wileńskim użyć mogliby tyle, ile im pozwoli zdolność przewozowa kolei, łączącej Wilno z Polską. Chodzi zaś o tę zdolność nie dla jednorazowego przewozu wojska, ale dla codziennego dowozu żywności do zaprowiantowania wojska, nie licząc przewozu niezbędnego materiału wojennego. Kraj jest tam tak zrujnowany i tak doszczętnie wyczerpany z żywności, że z niego nic dla wojska wziąć nie można, przeciwnie – trzeba jeszcze dowozić żywność dla kraju. A kolej jest dotąd tylko jedna – na Białystok-Wołkowysk-Lidę, bo na Grodno-Landwarów kolej jest uszkodzona i jeszcze nie funkcjonuje. Na kolei zaś na Lidę tor jest nie wszędzie podwójny, a poza tym w Lidzie trzeba każdy ładunek przeładowywać, bo od Lidy tor jest szeroki, gdy do Lidy jest on wąski. Przyczyni się to do wielkiego utrudnienia przewozu, do osłabienia zdolności przewozowej kolei.
A przecież mam wrażenie, że siłą zbrojną bolszewicy odzyskać Wilna z rąk polskich nie zdołają.

10 maja, rok 1919, sobota
Rano opuściła dziś Łomżę Marynia, udając się wraz z Ewą do Wilna. Zabiera Marynia Ewę, bo chce mieć córkę przy sobie i zresztą Ewa sama rwie się do Wilna; nie dziwię się jej, bo w Łomży było jej chyba bardzo nudno; dla mnie wyjazd Ewy jest o tyle

niedogodny, że będę samotny w moim mieszkaniu; tracę w niej gosposię domową, a nie wiem, czy jakaś służąca zastąpi mi ją w domu. Marynia jedzie do Wilna swoim koniem drogą na Kowno; jest to droga dalsza wprawdzie, niż na Grodno lub Sejny-Orany, ale znajoma i pewniejsza do przedostania się do Wilna w braku przepustek formalnych. Za cztery dni będzie Marynia w Kownie, tam wypocznie dzionek lub dwa i w parę dni potem, jeżeli nie zajdą jakieś szczególne w drodze trudności, dojedzie do Wilna. W tych czasach takie dalekie podróże końmi nie są bezpieczne, ale, co prawda, w dawnych czasach (mam na myśli czasy sprzed wojny) nigdy się końmi podróży takich nie robiło. Zresztą w kwestii bezpieczeństwa – dużo może ten, co musi, a chcąc coś osiągnąć, trzeba śmieć i zwykle jednak Pan Bóg śmiałych prowadzi. Marynia wyjechała z Łomży rano; naładowała swój wóz tak, że wyglądał jak ruchoma góra i wyruszyła; jej zaprzęg z duhą rosyjską, ten wóz, naładowany rzeczami i sianem, kobieta powożąca, w dodatku jeszcze piesek Rusak rasy bolońskiej na kolanach u Maryni i klatka z dwoma białymi szczurami Ewy – wszystko razem na podziw gapiów po drodze, a zwłaszcza dzieciarni po wioskach i miasteczkach Polski i Litwy.
Przez czas pobytu w Łomży spotkała Marynię bieda, która jest prawdziwym nieszczęściem. Gdy jeździła ze mną do Kowna, zostawiła tu w Łomży w moim mieszkaniu na opiece Ewy pieniądze – cały swój zapas grosiwa, 3 000 marek. Po powrocie ich nie znalazła. Okazało się, że ukradł je jej syn niegodziwy, Stefuś, który jest łajdakiem skończonym, niepoprawnym. Ukradł pieniądze od matki, ciężko zabiegami i pracą zdobyte, i przehulał je w kilka dni w Łomży i potem w Warszawie, dokąd uciekł. Po przehulaniu tych pieniędzy próbował, a raczej udawał w Warszawie, że się truje; dowiedzieliśmy się o tym stąd, że akurat wtedy Ewa była w Warszawie i w tej sprawie wzywano ją do milicji. Ewa nawet widziała tam w komisariacie milicji Stefusia, ale tylko z daleka, bo po tym, co zrobił, nie witała się z nim wcale i nie przemówiła słowa. Z Warszawy Stefusia odesłano do Łomży. Gdzie się teraz obraca, co robi i nadal co robić będzie – nie wiemy. Po tylu łajdactwach, kradzieżach i podłościach z jego strony, po tylu daremnych próbach przebaczenia i skierowania go na drogę pracy i uczciwości, gdy wszystko zawiodło, gdy wszystkie starania się odbiły i upadły jak groch o ścianę – teraz, po tym ostatnim fakcie, już amen. Niech odtąd idzie sobie sam po drodze, po jakiej chce, niech się stacza do więzień i upadku. Podobno jest w Łomży, bo go tu widziano. Może jeszcze tymczasem ma co do sprzedania, bo i mój piękny koc został u niego, ale oczekuję, że rychło w najbliższym czasie zostanie na jakiejś kradzieży złapany i że narazi mię na wstyd w Łomży. Ale ratować go i osłaniać już nie będę. Wyrzekliśmy się go stanowczo i sądzę – na zawsze, chyba że by sam dalszym życiem swoim dowiódł poprawy, co jest zgoła nieprawdopodobne wobec jego nałogów do kłamstwa i kradzieży oraz nieuczciwości na każdym kroku, po prostu jak sport przez niego z lubością uprawianej. Po doświadczeniu w Kolnie i przekonaniu się, że jednak żadne zabiegi trwałych i pewnych skutków co do zwalczania jego wad i nałogów mieć nie mogą, już się tu w Łomży nie opiekowałem nim tak, jak poprzednio. Był on tu wpierw w wojsku, potem zaś, gdy go z wojska usunięto czy też sam się wycofał (tego nie badałem), nie przyjąłem go do siebie, bom złodziejaszka w domu mieć nie chciał, ale przecież opiekowałem się nim z daleka i pomagałem mu. Teraz – skończone. Niechże łajdak oby już jak najprędzej stoczył się na dno zgnilizny i szczezł z oczu i pamięci.

11 maja, rok 1919, niedziela
Pomimo niedzieli, byłem dziś zapracowany jak w najbardziej powszedni roboczy dzień. Mam bowiem jutro sesję karną I instancji z pięcioma sprawami na ogół poważnymi i jedną w ich liczbie szczególnie poważną – otrucie męża przez żonę (sprawa Marianny

Pazik). Będzie to pierwsza sprawa o zabójstwo w mojej praktyce sędziowskiej. W tym tygodniu będę miał aż trzy sesje – dwie I instancji (jutro i w piątek) i jedną apelacyjną (środa). Musiałem przyjąć taki nadmiar sesji w tym tygodniu, aby ulżyć Skarzyńskiemu, który podczas moich podróży miał za mnie sesje.
Dostałem dziś służącą. Nazywa się Kamila – nazwiska nie pamiętam – młoda jeszcze, ma lat 24, dziewczyna rodem ze Stawisk. Jest nawet dość przystojna, tylko ułomna trochę, bo ma coś w kłębie skrzywionego i kuleje chodząc. Cieszyłbym się z niej jako młodej i przystojnej, gdyby nie to kalectwo. Fizycznie jest to typ charakterystycznie polski, bliźniaczo z twarzy, rysów, oczu, włosów i wyrazu podobny do dziewcząt Mazurek z Łomżyńskiego i poniekąd Kurpianek (u tych ostatnich spotykają się dwa różne typy kobiece).
Cofnę się teraz znowu do moich czasów pobytu w Wilnie i do sytuacji, jaka się tam wtedy wytworzyła na skutek ataków bolszewickich. Mówiłem, że bitwa, tocząca się we wtorek 29 kwietnia rano pod Wilnem, wywołała w mieście wielki popłoch. Dnia poprzedniego, w poniedziałek, gdym przyjechał do Wilna, zastałem sytuację w mieście dosyć normalną i na ogół wrażenie spokoju. Sklepy były otwarte, w dzielnicach żydowskich ruch zwykły, na ulicach nawet przekupki-Żydówki prowadziły swój powszedni handel, sprzedając jabłka z koszów lub jakieś placki w kształcie babek, czarne, wypieczone z kartofli czy też łupin kartoflanych (jest to jeden z wytworów spożywczych, wymyślonych w czasach głodowych w Wilnie, analogicznie do kiełbasy czarnej, wyrabianej podobno z padliny końskiej lub różnych gatunków i postaci kwaszeniny o nieokreślonej zawartości). Jak mi mówiono – był to pierwszy dzień, w którym Żydzi odważyli się wyjść z ukrycia i jawnie się pokazać na mieście i rozpocząć handel normalny, ponieważ pod grozą nastrojów pogromowych w znacznej części ludności chrześcijańskiej Żydzi przez cały pierwszy tydzień po wkroczeniu Polaków mieli sklepy pozamykane i sami prawie że się nie wychylali na ulicę, ukryci po domach. Była to więc już oznaka uspokojenia, oznaka, że niebezpieczeństwo z zewnątrz minęło a wraz z tym zaczynają się już łagodzić fermenty burzliwych nastrojów wewnętrznych. Tymczasem od wtorku rano, gdy pod Wilnem zagrzmiała bitwa, miasto znów wpadło w stan stagnacji. We wtorek i środę sklepy, zwłaszcza wszystkie żydowskie, były szczelnie zamknięte, okna wystaw sklepowych zasłonięte jak w nocy, dzielnice żydowskie jak wymarłe na zewnątrz.; Żyda na ulicy wśród przechodniów prawie się nie spotkało, za to w dzielnicach żydowskich ujrzałbyś pełne wnętrza domów Żydów, których przepełnienie w mieszkaniach uzewnętrzniało się w siedzeniu na balkonach lub wyglądaniu przez okna; gdzieniegdzie jeno w bramie ujrzałeś Żyda, gapiącego się na ulicę i pilnie się przyglądającego przygodnym przechodniom lub jakimkolwiek innym zjawiskom zewnętrznym ulicy, aby z nich coś wyczytać i posiąść wysiłkiem zbiorowym setek tysięcy takich czujek i obserwatorów coś z klucza zagadki. Kiedy taki Żyd-obserwator w bramie, niby to od niechcenia stojący, a w istocie czujnie śledzący wszelkie objawy zewnętrzne ruchu, gotów był każdej chwili cofnąć się w głąb bramy w tajniki wnętrza mieszkań. Ze wzrostem bowiem niebezpieczeństwa bolszewickiego i paniki, ogarniającej szerokie koła ludności chrześcijańskiej, narastały w podnieconym tłumie nastroje pogromowe w stosunku do Żydów jak wzbierająca fala przypływu. Żydzi to wyczuwali dobrze i niepokój udzielał się i im także, aczkolwiek innego rodzaju. Trudno się nawet dziwić, że, poza innymi motywami, odruchowo taka sytuacja wytwarzała u Żydów pragnienie rychlejszego zakończenia przesilenia przez przyjście bolszewików, aby się przynajmniej wybawić od bezpośredniego niebezpieczeństwa nastrojów pogromowych. Znowuż masy chrześcijańskie, dotknięte psychozą paniki, podniecone niepokojem, wyczuwały ukryte Żydów nastroje i pragnienia i tym bardziej pałały przeciwko nim. W podnieconej wyobraźni upatrywano w wyrazie każdego Żyda

błyski radości i nadziei z tego, co chrześcijan napawało niepokojem i obawą. W każdym Żydzie węszono szpiega i przyszłego denuncjanta i na tym tle szerzyły się z ust do ust częste pogłoski o jakichś spiskach żydowskich, o znalezieniu u Żydów broni, o zamachach z ich strony na wojsko.

12 maja, rok 1919, poniedziałek
Miałem dziś sesję karną I instancji. Sensacyjna sprawa Pazikowej, oskarżonej o otrucie męża, nie odbyła się jednak, ponieważ ze względu na niestawiennictwo paru świadków została odroczona. Sprawa taka jest rzeczą dość ciężką dla sumienia sędziowskiego, bo choć na zasadzie akt śledczych jestem moralnie przekonany o winie oskarżonej, przecież nie jest nigdy wykluczona pomyłka sądowa, a tymczasem kara, która spadnie na oskarżoną z wyroku mego, będzie dla niej źródłem długiej ciężkiej męki, która w razie pomyłki zaciąży na sumieniu moim. Ławników dziś miałem nienajlepszych – Dąbkowskiego i Schirmera. Zwłaszcza pierwszy z nich jest człowiekiem o umyśle i sumieniu tak oschłym, jak liść tytoniu do fajki, nie nadającym się przeto zupełnie do sądzenia żywych ludzi z krwi i ciała i do wyrokowania w sprawach życia; do tego jest on wstecznikiem, pełnym uprzedzeń i spoglądającym na życie i stosunki pod jednym zawsze, a bardzo zaściankowym kątem widzenia. Schirmer też, choć jest młody, grzeszy tą samą wadą ciasnoty reakcyjnej, ale ten przynajmniej nie jest w rzeczach sądowych zarozumiały, podczas gdy Dąbkowski jest zarozumiały i uparty. Z takimi ławnikami nie ma przyjemności sądzić. Zaiste wolałem moich ławników w sądzie pokoju w Kolnie, ludzi wprawdzie ani wykształconych, ani postępowych, ale prostych przynajmniej, w prostym i bezpośrednim stosunku do życia poczucie prawdy i wymiar sprawiedliwości czerpiących. Tacy ławnicy, jak Dąbkowski lub jak dr Chyliński albo p. Oppenheym, są nie tyle sędziami, ile rzecznikami pewnego kierunku, wykonawcami represji. A już nie daj Boże Żydowi się pod ich sąd poddać; tu już pardonu ani dobrej woli wejrzenia w istotę rzeczy nie znajdziesz: Żyd, a więc winien; taki jest ich lapidarny do Żydów stosunek. W ogóle skład ławników w sądzie okręgowym łomżyńskim jest bardzo nieodpowiedni; jest on skrajnie reakcyjny, jednostronny, pojęciowo niesłychanie ciasny, głów otwartych, niezależnych, iście sędziowskich – nie ma. Są to mamuty konserwatyzmu, ludzie zaścianka myślowego.
Pół stroniczki miejsca zostało, więc pośpieszę kontynuować dalej o moich dniach pobytu w Wilnie podczas ataków bolszewickich na miasto. We wtorek 29 IV rano, jak rzekłem, panika ogarnęła miasto. Żydzi drżeli o pogrom, większość masy chrześcijańskiej – o wkroczenie bolszewików do miasta. Pierwsi zaszyli się w głąb swoich mieszkań, spędzając w nich godziny trwogi, drudzy – wyleli na miasto bądź już szukać ucieczki, bądź łowić wieści. Oczywiście, że popłoch sprzyjał wszelkim pogłoskom i szerzeniu się najgroźniejszych, mniej lub więcej prawdopodobnych albo i zgoła nieprawdopodobnych, wieści. Oprócz tych, których gnał strach przed represjami i zemstą bolszewików na wypadek ich powrotu, liczne były rzesze tych, których przerażało nade wszystko widmo nieubłagane głodu, rosnącego stale w ogromnej progresji tam, gdzie jeno są bolszewicy. Toteż w przedpołudniowych godzinach tego wtorku ulice Wilna były przepełnione i miały widok niezwykły. Ludzie, którymi się zapełniły ulice, nie mieli zwykłych cech przechodniów, jeno cechy ludzi, którzy szli na zwiady. Przed bramami domów stały gromadki mieszkańców, po ulicach snuli ludzie, pełniący role patroli wywiadowczych: przystawali, podchodzili do znajomych spotykanych, dzielili się pogłoskami, rozpytywali chciwie, a zwłaszcza przyglądali się wszelkiemu ruchowi oddziałów wojska, z czego wysnuwali najprzeróżniejsze domniemania. Zwłaszcza niepokojący dla ludności był widok trenów i taborów wojskowych, gromadzących się na Pohulance, gotowych do odjazdu na wypadek złego

obrotu bitwy. Panikę podniecały gromadki osób lub pojedynczy ludzie, obciążeni pakunkami i węzełkami, wyruszający za miasto na piechotę, bo o furmankach trudno w Wilnie marzyć, a na pociąg żądane były przepustki, których dostanie było prawie niemożliwe. Uciekali więc ludziska pieszo w kierunku na południe, na Landwarów, na Raduń lub na stacje dalsze wzdłuż kolei Wilno-Lida (Porubanek, Jaszuny, Bastuny). Ja się także do drogi wybrałem z Karolostwem O'Rourke'ami, którzy przebyli w Wilnie okres okupacji bolszewickiej i mieli jej dość, nie chcąc za żadną cenę pozostać powtórnie. Ja musiałem się gotować do ewentualnej ucieczki, bo, *primo*, pozostałbym przy drożyźnie bolszewickiej bez środków do życia, a po wtóre, groziłoby mi niebezpieczeństwo represji, bo powstałoby naturalnie u bolszewików pytanie, po com w ślad bezpośrednio za wojskami polskimi przyjechał i w imię czego otrzymałem od Polaków tak śpiesznie przepustkę na przyjazd, a przeto byłbym podejrzany. A w czasach terroru rewolucyjnego podejrzenie równa się oskarżeniu.

13 maja, rok 1919, wtorek
Godzina ósma wieczór. Wracam do domu. Jestem w stanie, którym mógłbym słowami piosnki legionowej zawołać: „Szczęsna, szczęsna jest dola ma!" Bo oto spotkałem się dziś z Lusią Roszkowską i to tak, że miałem okazję z nią pomówić i może, może nawet nawiązać możność dalszego z nią kontaktu. Było to tak. Jedyny raz ją widziałem na ulicy w dniu, w którym wróciłem do Łomży, w niedzielę przed dziesięcioma dniami. Mignęła mi ona parokrotnie przed oczami na deptaku, ale że szła z jakąś inną panienką, nie ośmieliłem się do niej podejść, bo byłoby to niegrzeczne na ulicy, a zresztą nie mnie, staremu, zatrzymywać młode panienki dla słówka rozmowy. Ukłoniłem się jej tylko i nasze oczy się tylko na chwilę wzrokiem życzliwym skojarzyły. Ale tęsknota od jej widoku we mnie żywiej zagrała. Coś jakby zadrgało we mnie, coś krzyknęło echem młodości, wołaniem prawa ludzkiego do szczęścia, do tej miłości, która jedynym w istocie jest probierzem wszelkich wartości życia. Precz z całym tym sportem sędziowskiej pracy czy rutyny, z tą śniedzią zrównoważenia i wegetacji powszedniej! Eviva Lusia! Witaj mi w życiu, kochana dziewczyno! Kto, jak ja, poznał miłość i szczęście, kto po młodości, tak pełnej ukochań z mej strony i rozkochań dziewczyn w sobie na tle skądinąd pełnego przygód i kipiącego ruchem i inicjatywą życia, stopił się wreszcie w krysztale tak wielkiej szczęsnej miłości, jaką był nasz z Anną związek, sięgający szczytów tego, co jeno życie ludzkie wydać człowiekowi jest w stanie, ten, już umarły, już z grobem swego szczęścia i życia w piersi, jeszcze tęsknić będzie i rwać się do tego, co nigdy pięknym być nie przestanie i co zgłoskami słonecznymi w sercu i całej duszy na wieki wyryte pozostało. A cóż dopiero, gdy stanie przed nami na drodze życia przygodnie oto w Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu Ustawodawczego Republiki Polskiej spotkana taka Lusia, dziewczyna młoda i ładna, jak krew z mlekiem, pełna temperamentu, rozumna i zmyślna, z charakterem i siłą ducha prężną, jak prężnym jest jej młode ciało, dziewczyna z głową i sercem, niepospolita wśród pospolitych lalek i panienek na wydaniu oraz komediantek drobnego flirtu, jakimi się roi małe miasteczko, jak Łomża i jakimi są niemal wszystkie jej towarzyszki! W dziewczynie tej żywy jest Człowiek, a tylko Człowiek-kobieta daje szczęście Człowiekowi-mężczyźnie!
A te parę miesięcy naszej wspólnej pracy i ciągłego ze sobą przez dnie całe obcowania, a zwłaszcza kilka ostatnich tygodni w moim gabinecie sędziowskim – to dało już cement, którego już śladów wykreślić między nami niepodobna.
Po tym przelotnym spotkaniu w niedzielę chodziłem potem co dzień w różnych porach dnia, odrywając się od pracy w sądzie, aby przejść przez ten tzw. „deptak" łomżyński, szukając jej wzroku. Nie ujrzałem jej wszakże ani razu. Niestety – innych ośrodków do

spotkania jej nie miałem. Dziś wcześnie dosyć skończyłem moją pracę dzienną w sądzie. Gdym szedł po godz. 6 ulicą Krótką, na rogu Długiej nagle ujrzałem ją w sukience niebieskiej z białym marynarkowym kołnierzykiem w jej kapeluszu czarnym. Rzuciła na mnie wzrokiem, po którym ją poznałem, bo nie byłbym jej tak poznał (szła na chodniku po drugiej stronie ulicy). Szła z jakąś starszą panią w przeciwnym, niż ja, kierunku. Przeczucie mi rzekło, że wróci na „deptak”. Posiedziałem w cukierni na rogu, wstąpiłem do hotelu Rembielin do O’Rourke’ów, potem znów poszedłem ulicą Długą w górę ot tak, bez celu. I nagle znów mię minęła. Szła z dwiema panienkami, rozprawiając żywo o czymś. Spostrzegłem ją w ostatniej chwili, gdyśmy się mijali. Zwolniłem kroku, doszedłem do rogu Krótkiej i zawróciłem, chcąc ją spotkać znowu i widzieć. Ledwo się zawróciłem i spotkałem się z nią oko w oko. Szła sama. Przywitaliśmy się teraz i poszedłem z nią. Odprowadziłem ją aż do jej domu przy ul. Polnej. Wiem teraz, gdzie mieszka. Tak tęskniłem do niej, tak pragnąłem tego spotkania i choć chwili rozmowy, a gdy to nastąpiło, byłem tak oszołomiony i stropiony, że utraciłem panowanie nad sobą, swobodę i wprawę, straciłem umiejętność wiązania słów i zesztywniałem. Nie tak pragnąłem z nią mówić. Z nadmiaru uczuć i wulkanu słów, które mi w sercu grały, oniemiałem i zmartwiałem. Gdyby nie ona, byłoby się na tym skończyło. Ale ona przypomniała, że coś tam jeszcze ma do wykonania w aktach Głównej Komisji Wyborczej, wobec czego umówiliśmy się , że przyjdzie do mego gabinetu sędziowskiego w sobotę o godz. 4. W tej nadziei jej przyjścia – mieszczę moje szczęście. Co za ubogi los. Tłuką się mi po głowie szalone pomysły. O Boże, oby choć cząstka się zrealizowała. Śnię fantastyczny sen marzeń o naszej z Lusią miłości i szczęściu. Wróciłem po pożegnaniu z nią do domu. Mam szczęśliwy dzień.

14 maja, rok 1919, środa
Miałem sesję apelacyjną, która się do obiadu skończyła. Ławników na sesji miałem najgorszych – dr Chylińskiego i Oppenheyma. Że są to ludzie jak najmniej przysposobieni do trudnej funkcji sędziowskiej, wymagającej dużej bezstronności, taktu i subtelnej analizy stosunków życiowych – to już mniejsza, ale gdybyż zachowali przynajmniej jakieś przyzwoite pozory sędziego. Tymczasem Chyliński w toku sprawy wyjmuje i rozkłada ostentacyjnie bez żadnej ceremonii gazetę i czyta sobie. Jest to najwyższe lekceważenie samej istoty obowiązku sędziowskiego, jakiś taki niedbały i brudny stosunek do rzeczy, zaiste oburzający. Cóż to za sędzia, który miast uważnie słuchać rozprawy i starać się zgłębić rzecz sporną, czyta sobie gazetę, a potem odważa się wyrokować! I jak to się dziwić, jeżeli sądy, w których zasiadają i sądzą tacy ławnicy – co przecież ludzie widzą – nie tylko że nie oddziałują na poprawę stosunków, ale zostaną znienawidzone i potem, w razie wybuchu rewolucji, która jest gniewem ludu, rozpędzone na cztery wiatry, aby postawić na ich miejsce rewolucyjne trybunały ludowe. Tacy ławnicy, jak Chyliński, choć są sami wstecznikami, nienawidzącymi rewolucję, są przecież największymi szkodnikami ładu społecznego i ustroju, któremu sprzyjają. Sąd może mieć wpływ skuteczny tylko o tyle, o ile jego sprawiedliwość odpowiada instynktowi sprawiedliwości ludu i o ile ludność, trafiająca do sądu, dostrzega w sędziach sumienność, staranność i wolę sprawiedliwości. Nie represja jest sądu zadaniem – nawet sądu karnego – ale przede wszystkim wymiar sprawiedliwości. Lud jest bardzo wrażliwy na to, a sprawiedliwość wymierza się nie tylko sankcją wyroku, ale także uważnym i starannym stosunkiem sędziego do sprawy. Zachowanie się sędziego na rozprawie sądowej jest rzeczą bardzo ważną; publiczność jest na to czuła.
Wracam do moich dni wileńskich. We wtorek przeto gotów już byłem uciekać i ja. Karolostwo O’Rourke’owie przez jakichś krewnych Karola dowiedzieli się o furmance

zbiorowej pod rzeczy, wynajętej przez grono osób, stowarzyszonych do wspólnej ucieczki. Dołączyli się oni do tego zespołu, a chcąc i mnie mieć ze sobą w tej ewentualnej ucieczce, aby korzystać z poparcia mojej przepustki wojskowej, ułatwiającej wszelkie drogi, nie tylko przystali, ale jeszcze mię uprosili, abym się trzymał z nimi. Zanieśliśmy więc z O'Rourke'ami nasze rzeczy na Pohulankę, gdzie koło cerkwi imieniem Romanowych stała owa fura zbiorowa. Ciągle wszakże trwało jeszcze wahanie – uciekać czy nie. Rychło zaczęły patrole wojskowe, krążące po mieście, uspakajać ludzi, kupiących się na Pohulance, gotowych do ucieczki, że już niebezpieczeństwo minęło i atak bolszewicki z wielkimi dla przeciwnika stratami odparty. Tabory też wojskowe, zgromadzone na Pohulance, zaczęły zawracać frontem do miasta, ale jeszcze stały w miejscu. Głosy bitwy zaczęły się uciszać, strzały były coraz rzadsze i jakby coraz dalsze. Poszedłem w głąb miasta na zwiady. Wśród publiczności na mieście zaczynało się już uspokojenie, przez ulice gdzieniegdzie przechodziły oddziały wojska z pieśnią na ustach; działało to kojąco na wypłoszoną ludność, bo znać było, że to wojsko nie idzie na bitwę, ale wraca z linii na wypoczynek do koszar, krokiem powolnym, spokojnie, z pieśnią. Już po samych twarzach dowódców i żołnierzy, po ich kroku w marszu, po tonie głosu w pieśni poznać i wyczuć można, czy to wojsko idzie na linię, czy też wraca z niej po bitwie. Wobec tego i nasza ucieczka we wtorek, do której już gotowi byliśmy, została zaniechana. O godz. 11 przed południem uciszyło się zupełnie. Bitwa pod miastem ustała. Z kół wojskowych zapewniano, że niebezpieczeństwo minęło, że można być spokojnym. Toteż po południu była już cisza i spokój na mieście. Popłochu już nie było, ale cisza była przecież jakaś niepewna, jakby zaczajona. Sklepy się nie pootwierały, miasto miało jakiś wygląd martwy. Po domach, po przeżytej panice, odpoczywano, ale jeszcze bez zupełnego przeświadczenia o bezpieczeństwie. Oczekiwano nocy, nie ufano jej, domyślano się, że może znów się w nocy lub nad ranem alarm powtórzy. W takim nastroju, w jakimś rozchwianiu upłynął Wilnianom ten wieczór wtorkowy 29 kwietnia.

15 maja, rok 1919, czwartek
Trzeci dzień zimno. To święci Serwacy, Pankracy i Bonifacy je nam tradycyjnie przynieśli. Rozwój wiosny wstrzymał się w swym pochodzie, powietrze – październikowe.
Wracam do relacji moich dni wileńskich. Wtorek wieczór upłynął spokojnie, w nastroju wszakże pewnej jeszcze niepewności i oczekiwania, co noc przyniesie. We środę 30 kwietnia rano obudziła mię Elwira, mówiąc, że wojska polskie opuszczają Wilno bez boju, że taki został wydany rozkaz na skutek groźnej akcji bolszewików i że przeto mam wstawać i jak najspieszniej zabierać się do ucieczki. Wiadomość tę przyniosła Elwira od Stasia Wołodkowicza i Henrysia Wołłowicza, mieszkających o piętro niżej, którzy w nocy zostali zbudzeni i otrzymali odpowiednie informacje od dowództwa. Henryś Wołłowicz, który jest porucznikiem w wojsku polskim i przebywa ze swym oddziałem w Wołkowysku, był przyjechał do Wilna na dni kilka na urlop; jemu, jako oficerowi, zakomunikowany był w nocy do mieszkania rozkaz poufny gotowości do ewakuacji miasta. Tak mi zakomunikowała Elwira. Staś Wołodkowicz przebył w Wilnie okres okupacji bolszewickiej, był się nawet z początku zapisał do bolszewików (oczywiście nieszczerze), aby korzystać z różnych udogodnień, ale potem podczas jakiejś rewizji w jego mieszkaniu znaleziono umundurowanie z b. korpusu Dowbora-Muśnickiego i jego, jako podejrzanego kontrrewolucjonistę, aresztowano i więziono na Łukiszkach kilka tygodni, skąd dopiero przez Polaków uwolniony został, tylko jakimś trafem szczęśliwym nie został on przez bolszewików wywieziony z Wilna wraz z

innymi aresztowanymi w liczbie zakładników, jak dr Dmochowski Kazimierz[182], adwokat Maliński[183], p. Mięczyński i wielu innych; toteż teraz Staś naturalnie za nic w świecie nie chciał się znów w łapy bolszewików dostać i był na wylocie do ucieczki. Podobno Staś z Henrysiem, po otrzymaniu w nocy alarmującego ostrzeżenia, udali się na zwiady i na razie jeszcze dowiedzieli się, że ewakuacja nie jest definitywnie postanowiona, ale oto teraz już postanowiona została. Po takim ostrzeżeniu Elwiry wstałem zaraz. Mogła być godz. 7 rano. Słychać było wystrzały, ale rzadsze i jakby dalsze, niż dnia poprzedniego. Wszakże jeden rzut oka przez okno przekonał mię, że miasto jest niespokojne. Przez ulicę szły małe garstki albo też pojedynczy ludzie, obarczeni węzełkami i tłumokami, śpieszący do ucieczki. Szli nie tylko ludzie z inteligencji, ale z najbiedniejszego pospólstwa, wynosząc, co się dało, ze swoich ubogich manatków, byle ujść od ponownego najścia bolszewików. Wszyscy kierowali się gdzieś w stronę Pohulanki albo ulicy Zawalnej. Wstąpiłem do Witolda Abramowicza, aby się poinformować o sytuacji. Jako burmistrz miasta, mianowany tymczasowo z ramienia Piłsudskiego i jako człowiek związany bardzo ściśle z tą polityką, którą wniósł do Wilna Piłsudski na czele wojsk polskich, Witold Abramowicz musiał oczywiście być dobrze poinformowany o ewentualnym niebezpieczeństwie, o ile ono zachodzi, już chociażby dlatego, aby mieć ewentualnie czas na likwidowanie urzędów cywilnych i osobistą oraz urzędową ucieczkę. Zapewnił on mię, że wprawdzie w nocy o godz. 3 była chwila bardzo groźna, kiedy już władze wojskowe zarządziły ewakuację Śnipiszek i całego prawego brzegu Wilii, to jednak niebezpieczeństwo już minęło i nie zachodzi powodów do bezpośredniej obawy. Tegoż ranka miałem okazję udania się z Karolem O'Rourke'iem, któremu chodziło o otrzymanie dokumentów legitymacyjnych dla siebie, żony i służącej, zagubionych i potrzebnych mu, jako „pendant" do przepustki na wyjazd, jaką miał obiecaną od komisarza wojennego Macieja Jamonta[184] (b. adwokata wileńskiego) – do Jana Piłsudskiego. Jan Piłsudski mianowany został komisarzem cywilnym na miasto Wilno. Poradziłem się go, co sądzi o moim pobycie w Wilnie: czy mi warto pozostawać jeszcze, czy też wyjeżdżać. Właściwie bowiem pobyt w Wilnie wydawał mi się już nadal bezcelowym, a natomiast niebezpieczeństwo dość wielkim, bo może raptem los Wilna być przesądzony w nocy i ja, śpiąc sobie w mieszkaniu przy ul. Ofiarnej, mogę nagle obudzić się pewnego ranka pod bolszewikami. Jan Piłsudski poradził mi wyjeżdżać. Wskazał na to, że w tej chwili, gdy się jeszcze ważą militarnie losy Wilna, nic tu nie będę miał do zrobienia w zakresie mojej misji co do układów polsko-litewskich, a natomiast ważniejsze jest, abym się skomunikował z bawiącym w Warszawie komisarzem generalnym na Litwę, Osmołowskim i zdał mu relację z mojej akcji w Kownie.

16 maja, rok 1919, piątek

Miałem dziś sesję karną I instancji. Sprawy były tylko dwie, ale obie długie. W obydwóch zachodził zbieg licznych kradzieży. W obydwóch skazaliśmy oskarżonych na więzienie z pozbawieniem praw po 2 lata. Ławników miałem dziś lepszych – aptekarza Komornickiego, endeka wprawdzie, ale człowieka ludzkiego i sympatycznego i dr Goldlusta, Żyda, dyrektora gimnazjum. Oskarżał podprokurator Maciejewski. Był on bardzo niezadowolony z wyroku, jaki zapadł w jednej ze spraw dzisiejszych, w której niejaki Aleksander Choiński był oskarżony o szereg kradzieży, dokonanych w bandzie. Współtowarzysze Choińskiego z tej bandy byli już sądzeni w tej sprawie i skazani zostali na 6 i na 8 lat więzienia z pozbawieniem praw, podczas gdy

[182] Dmochowski Kazimierz (1856-?), lekarz, działacz społeczny i polityczny.
[183] Maliński Maksymilian (1858-?), prawnik, adwokat w Wilnie, działacz społeczny.
[184] Jamont Maciej, były adwokat wileński, komisarz wojenny w Wilnie.

my skazaliśmy Choińskiego na 2 lata. Chociaż przestępstwo jest ciężkie i chociaż winę Choińskiego dokonania przynajmniej dwóch z tych kradzieży (było ich około 10) w bandzie uznaliśmy za udowodnioną, to jednak przyznaliśmy mu z mojej inicjatywy okoliczności łagodzące i dlatego wymierzyliśmy karę tak względnie łagodną. Za okoliczność zaś łagodzącą przyjąłem to, że Choiński był wzięty na wojnę do wojska rosyjskiego, potem był w niewoli niemieckiej, skąd uciekł do kraju i tu, schwytany przez Niemców, zdołał się im z rąk wymknąć i zmuszony był przeszło rok do ukrywania się, nocując po lasach jak pies bezdomny i jak tropiona zwierzyna leśna. W tym to czasie popełnił te kradzieże, należąc do bandy złodziejskiej. Niegdyś przed wojną był rzemieślnikiem i człowiekiem uczciwym. Podczas gdy tysiące innych ludzi, których los nie rzucił na tę straszną poniewierkę lat wojny, ludzi często bynajmniej nie cnotliwszych i równie przeciętnych, jak on, pozostając w kraju, robiło na wsi majątki na paskarstwie chłopskim, taki nędzarz i z musu włóczęga bezdomny kradł i należał do bandy, aby żyć. Prokurator uważa, że to okolicznością łagodzącą być nie może, bo powiada, że w takim razie każdy złodziej musiałby być w ten sam sposób traktowany, albowiem każda zbrodnia jest produktem warunków społecznych. Zdaje mi się jednak, że prokurator nie ma racji. Ze stanowiska sędziego, zmuszonego do stosowania ustaw niepodobna takiego Choińskiego uniewinnić, ale przecież taki nędzarz, gdyby był jeno rozumniejszy i gdyby umiał sformułować lepiej czucie, które w nim podświadomie nurtować musi, mógłby się zwrócić do ludzi, którzy go dziś sądzą, cnotliwi i syci, z pytaniem, co by oni zrobili, gdyby w jego pozycji byli: jedni by może umarli w cnocie z głodu, inni by poddali szyję pokornie pod jarzmo niewoli, woląc to od przygód wagabunda, ale byliby i tacy, którzy by się jęli takiegoż, co on, rzemiosła bandyty-złodzieja, szczególnie gdyby byli ciemni, jak on. A dajcie mu umysł światły, dajcie mu stanowisko społeczne inteligenta, to i on by do krzesła sędziowskiego doszedł może i, zasiadłszy w nim, sądził bandytów takich, jak dziś on. Ciężki bywa i bolesny obowiązek sędziego karnego, ale gdy prawo daje sędziemu środek w postaci dopuszczania okoliczności łagodzących, trudno go nie stosować do ludzi i wypadków takich, jak Choińskiego. Natomiast w drugiej sprawie dzisiejszej, gdzie szereg kradzieży popełnił chłopiec młody, przystojny, rozwinięty, syn zamożnych i uczciwych rodziców, niejaki Karczmarski, dałem mu 2 lata więzienia z pozbawieniem praw, a z radością dałbym i znacznie więcej, pomimo że kradzieży nie spełnił w bandzie, gdyby ławnicy nie uważali, że dość mu 2 lat.

17 maja, rok 1919, sobota

Dzień dzisiejszy był dniem spotkania z Lusią Roszkowską. Nie była to naturalnie randka formalna, bo stosunki nasze nie zaszły tak daleko, abyśmy sobie schadzki wyznaczali, a zresztą panna Lusia jest dziewczynką skromną, liczącą się z konwenansami możliwości towarzyskich; poza tym, nie doszło między nami dotąd i może nie dojdzie nigdy do wyznania wzajemnego, toteż nie ma podstawy ani przedmiotowej, ani podmiotowej do schadzek, przyznawanych przez nas za takie. W istocie jednak była to schadzka, zamaskowana przez nas wobec samych siebie wzajemnie pozorem wykończenia jakiejś tam korespondencji Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu. Dzięki Bogu – oprócz tej „roboty" dzisiejszej jest jeszcze tam jakaś drobna czynność biurowa do wykończenia, która stanowić będzie pretekst jeszcze do jednej takiej wizyty p. Lusi u mnie, czyli że pozostawia jeszcze co najmniej jedną randkę w rezerwie, wyznaczoną przez nas dziś na przyszły piątek.

Przed kilku dniami, gdyśmy się spotkali z Lusią Roszkowską na ulicy i umówiliśmy się, że dla wykończenia tej jakiejś korespondencji niezałatwionej przyjdzie do gabinetu

mego w sądzie dziś o godz. 4 po południu. Przez te kilka dni, które mię dzieliły od dnia dzisiejszego, myślałem ciągle o tej wizycie obiecanej, nawet w nocy śniłem o niej. Układałem sobie w myśli, co jej powiem, jak ją przyjmę. Przychodziło mi na myśl, żeby jej powiedzieć, że ją pokochałem, olśnić dziewczynę-dziecko tym wyznaniem miłości męskiej, prawdopodobnie pierwszym w jej młodym życiu, oparzyć ją wrzątkiem wyznanego uczucia, tak różnego od ewentualnych zalotów i pączkowych miłostek młodzieńczych, których szepty mogły ją dochodzić z ust młodzików i następnie, po złożeniu tego wyznania, zastrzec niewykonalność tragiczną tej miłości i zamknąć się w kategorycznej rezerwie utrzymania naszego stosunku w kształtach przyjaźni. Że to uczucie ewentualne, które niewątpliwie kiełkuje we mnie, nie ma przyszłości – z tego sobie sprawę zdaję, ale przecie, jak każde uczucie, rwie się ono do realizacji i usiłuje tworzyć takie ramy stosunku, które mu sprzyjają u strony drugiej. Liczyłem na efekt takiego oświadczenia w głowie i wyobraźni młodej dziewczyny, która już owiana była tchnieniem moich pieszczot, aczkolwiek utrzymanych w granicach pewnych pozorów (pocałunku między nami nie było nigdy), ale przecież na zmysłowych osnutych tonach (pieszczoty rąk, jej twarzy, włosów i szyi). Że pieszczoty te działały na zmysły Lusi, że wytwarzały w niej subtelne podniecenie, że ją wiązały do mnie, że pozostawiły w niej osad tęsknoty – tego jestem pewny. Obecnie wyznanie mogłoby w dziewczynie rozpalić płomień pożądania i uczuć głębszej i silniejszej natury, szczególnie gdybym się zamknął po nim w twardej rezerwie wędzidła, kiełzającego wszelką fizyczną manifestację uczucia. Już w samej sile męskiego uczucia jest zapał czarowny dla dziewcząt; a gdy ta siła jest opanowana wolą i ujarzmiona, jak rwący koń pod jeźdźcem, którego niecierpliwe ruchy są podporządkowane ręce ściągającej munsztuk, to widok taki gwałci wrażliwość dziewczęcą i budzi w jej łonie pragnienia, tęsknoty uczuć i doświadczeń jak piekło głębokich, jak wielkie morze szalonych i silnych a żywiołowo biernych. Myślałem o tej grze i gotowałem się do niej, choć nie byłem pewny, czy w obliczu Lusi powiem jej to, co zamierzałem powiedzieć. Zawsze bowiem wypadek różni się od zamierzeń, poczętych w samotni myślenia. Modliłem się o pogodę słoneczną na dzień dzisiejszy, pogoda bowiem i słońce zapładnia usposobienie ludzkie swobodą i swawolną mocą dowolnego uzewnętrzniania się. Pogody nie było. Zimno i posępnie było tak, jak już od kilku dni. Lusia przyszła po godz. 4. Nie wyznałem jej tego wprost, com wyznać chciał. Nie przeszło to mi przez usta, a zdaje się, że i ona, gdym się parokrotnie do tego zbliżał, wyczuła bliskość chwili, mogącej zakłócić jej bezpieczeństwo i, wiedziona instynktem, odwróciła wyznanie przez zmianę tematu rozmowy. Ze dwie godziny zabawiliśmy ze sobą. Byłem znerwowany i wzburzony. Na ogół nieźle upłynęło to spotkanie, ale niezupełnie tak, jak bym pragnął. Zresztą – szalony jestem. Mówię z tą dziewczynką, która jest dzieckiem prawie tak, jak gdyby to już była kobieta. Co prawda, dziewczyny w ogniu syconych uczuć i zmysłów dojrzewają na kobiety z szybkością piorunującą; z pączków dziewczęcych strzelają dojrzałe kobiety cudownie, gdy tylko dotknie ich promień mężczyzny.

18 maja, rok 1919, niedziela
Rano był u mnie sędzia pokoju Święcicki z Kolna, który jedzie do Białegostoku, dokąd został wyznaczony na zastępcę przewodniczącego Głównej Komisji Wyborczej dla wyborów do Sejmu. Skarzyński, który jako najstarszy nominacją sędzia okręgowy w Łomży, zastępuje nieobecnego prezesa Filochowskiego, chciał, po otrzymaniu poleceń z Warszawy, wyznaczyć mnie do tej funkcji w Białymstoku jako specjalistę od wyborów. Odmówiłem jednak, a to głównie z motywów politycznych, ponieważ nie chcę przykładać ręki do dzieła, które jest wyrazem dokonanej inkorporacji cząstki

terytorium Litwy, przesądzonej jednostronną wolą Polski. Wprawdzie dużo względów usprawiedliwia wcielenie obwodu białostockiego raczej do Polski, niż do Litwy lub Białej Rusi, to jednak mogą być i względy przeciwne, które w szczególności Białorusini zawsze podnoszą; sam wszakże fakt jednostronnego przesądzenia tej sprawy przez Polskę, dopóki nie zyskał sankcji Litwy, nie pozwala mi, jako obywatelowi Litwy, za jakiego się mam przede wszystkim, brać udziału w kierowaniu wyborami z Białegostoku do Sejmu w Warszawie. Wyznaczony więc został do tego Święcicki z Kolna.
Gotowałem się do sesji I instancji na jutro. Na obiedzie byłem z O'Rourke'ami w Rembielinie. Po obiedzie spędziłem godzinkę u Pruszanowskich. Od dwóch dni przyjechał do Łomży Ezechiel, aby się połączyć z rodziną i tu na stałe – oczywiście na czas przymusowej emigracji – zamieszkać. Przyjechał z Kielc, gdzie dotąd bawił. Rodzina więc Pruszanowskich składa się teraz w Łomży z następujących osób: Kotunia, Ezechiel i cztery ich młodsze córki – Irenka, Józia, Kasia i Stasia.
Spotkałem się dziś na ulicy z panną Cezarynką (Cezarią Kokoszko, moją byłą pracownicą z Głównej Komisji Wyborczej). Dawno jej nie widziałem. Mileśmy się i serdecznie przywitali i pogawędzili chwilkę. Ostatnie tygodnie urzędowania Głównej Komisji Wyborczej łomżyńskiej w gmachu Magistratu (koniec stycznia i połowa lutego) wytworzyły bardzo serdeczną atmosferę w stosunku naszym z panną Cezarią i Lusią Roszkowską. Z Lusią potem stosunek mój w gabinecie w sądzie wszedł w nieco inne stadium, zabarwione już cechami pewnej poufności zmysłowej, której nie było w tym stadium, kiedy jeszcze pracowały one obie z panną Cezarynką. Wtedy to było stadium koleżeństwa w naszym stosunku, zabarwione bardzo miłą łobuzerią. Stąd też, gdy w stosunku do Lusi Roszkowskiej budzą się u mnie tony tragicznej namiętności męskiej, to w stosunku do p. Cezarynki, którą lubię bardzo, jest ton swobodny i serdeczny szczerego koleżeństwa, który się utrzymał z obydwóch stron i łączy nas sympatią swobodną i prostą. P. Cezarynka z radością mię zawsze wita i z tęsknotą żegna, ale nic nie ma w tym zmysłowości; ten nasz stosunek jest jak wiosna; odpowiada on doskonale pogodnej młodości dziewczęcia, niezamroczonej chmurą świadomej namiętności. P. Cezarynka lubi mię i garnie się serdecznie; nasz stosunek jest jakby skojarzenie nieświadomej czystej wiosny z pogodnym południem słonecznego dnia jesieni; nie ma w nim burzy pożądania, a jest słoneczność wielka i pewna zawsze łobuzeria humoru. Czy nie lepszym i właściwszym byłby także mój stosunek i do Lusi Roszkowskiej? Czy nie odpowiadałby on lepiej jej naturze dziewczęcej i pączkowej, zamiast żeby go przepajać instynktem męskich żądz i czadem durzącym ognia? To spotkanie z p. Cezarynką było dla mnie jakby ocknieniem z tych nastrojów „miłości", z tych oparów tragizmu, którymi żyłem w myśli o stosunku do Lusi Roszkowskiej. Po co męczę tę dziewczynkę kochaną, która w swej naturze wiośnianej tak jeszcze być musi daleka od żądz i od gwałtownych płomieni potężnej wichury uczuć! Po co w niej usiłuję budzić przedwcześnie demona krwi! Po co chcę jej spokój słoneczny mącić, kobietę w dziewczątku zakląć! Po co! Krzywdę jej tym wyrządzam, tej mojej małej, tej mojej Lusi, temu człowiekowi kochanemu! Nic to, jeno egoizm 40-letniego mężczyzny. Precz z nim!

19 maja, rok 1919, poniedziałek
Miałem sesję sądową I instancji. W jednej ze spraw wymierzyłem najwyższą karę, jaką w mojej praktyce sędziowskiej dotychczas stosowałem – mianowicie 5 lat więzienia z pozbawieniem praw; karę tę wymierzyłem za kradzież na niepoprawnego recydywistę, dla którego zresztą więzienie jest omalże naturalnym stałym miejscem zamieszkania. W innej sprawie wymierzyłem karę bardzo rzadko w sądach stosowaną, a w sądzie

łomżyńskim, jak mi mówił Skarzyński, nie stosowaną dotąd nigdy – twierdzę. Wymierzyłem ją za bardzo ciężkie uszkodzenie ciała (pozbawienie wzroku na jedno oko), dokonane pod wpływem silnego afektu.
Bardzo mi ociężale idzie w dzienniku relacja z mojego pobytu w Wilnie i likwidacji mojej misji litewskiej. Żeby od razu wprowadzić tę opowieść w sam środek rzeczy, z którego widać będzie motywy mojego powrotu do Łomży i poniekąd sytuację obecną w tej sprawie, jak również mój do niej stosunek, skopiuję list do Witolda Abramowicza do Wilna, który napisałem doń wczoraj. Maluje on mój pogląd na sprawę. Oto treść tego listu:
„Kochany Witoldzie! Wróciłem na razie do Łomży, bo zdaje mi się, że wszystko, co do zrobienia miałem, zostało przeze mnie wykonane i nie dostrzegam chwilowo, co mógłbym więcej w tym kierunku zdziałać. Trzeba wyczekać teraz, aż pewne ziarna same dojrzeją, jeżeli Bóg pozwoli.
Szczęśliwie się składa, że już niedługo, może za miesiąc, korzystając z 6-tygodniowych normalnych wakacji sędziowskich, będę mógł się wyrwać z Łomży i udać na Litwę. Być może, że coś niecoś przez ten czas dojrzeje, a w każdym razie wiele się rzeczy wyjaśni. Teraz wszystko biegnie szybko. Uważałem, że lepiej będzie teraz wrócić do Łomży i zostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi, który, dzięki Bogu, lepiej się kształtuje, niż mi się zdawało – i potem, po miesiącu lub dwóch, zabrać się znowu do dzieła, jeżeli się warunki po temu okażą, aniżeli przedłużać teraz urlop i, bez widoków na razie powodzenia, usiłować coś robić i nawiązywać albo raczej udawać, że się coś robi, a za to potem stracić mój normalny urlop sędziowski wakacyjny, gdy może właśnie będzie pora coś robić.
Chciałbym, żebyś mię zrozumiał, Witoldzie, i wiedział, że ja się nie usunąłem i że się nie wycofałem z tego dzieła, któreśmy zamierzali, jeno chwilowo stanąłem w rezerwie dla wyczekania automatycznej pracy faktów dokonanych i linii kierunkowych już wytkniętych. Dziełu temu całym sercem sprzyjam, stoję całkowicie na gruncie programu Piłsudskiego.
Skuteczność jego, jak wiesz, uzależniam od porozumienia i skoordynowania działań polskich z litewskimi. Bez takiego skoordynowania, a przeto bez kompromisu, uważam całą rzecz za chybioną i sztuczną. Jestem wszakże dobrej myśli, lepszej dziś nawet, niż w chwili, gdym wracał do Łomży i wierzę, że śruba wypadków, jak się przed laty trzema wyraził Piłsudski w rozmowie ze mną o Litwie na froncie nad Styrem, skuteczniej od usiłowań ludzkich, jakąś pracą automatyczną, w której chyba działa palec Boski, doprowadzi do stworzenia warunków, które umożliwią działania konkretne w myśl naszych założeń i programu naszego. Nie znaczy to, że trzeba ręce złożyć i li tylko czekać na automatyczny skutek biegu rzeczy, ale zdaje się być faktem, że rozwój wypadków prowadzi sprawę Litwy w kierunku naszym i że w tej wielkiej grze światowej, która, moim zdaniem, ma cechy żywiołowego działania sił elementarnych natury, wola ludzka i czyn mogą czegoś dokonać tylko o tyle, o ile trafią w łożysko działania i kierunku tych sił.
Dwie zdawały mi się być największe przeszkody do realizacji litewskiego programu Piłsudskiego, przeszkody, które w pewnych chwilach skłaniały mię do zupełnego niemal zwątpienia w dzieło: pierwszą z nich – imperializm narodowy polski, który też dał wyraźny wyraz w znanych wnioskach nagłych sejmowych z d. 29 .IV., i drugą, uzasadnioną przeważnie przez pierwszą – brak giętkości Litwinów, którzy dla realizacji programu Piłsudskiego, musieliby zejść ze stanowiska podstaw, na których była dotąd fundowana Taryba. Ta druga przeszkoda, litewska, była głównie uzasadniona przez pierwszą. O ile pierwsza odpadnie, to druga, jak mi się zdaje, odpadnie również.

Oto skutki przyjazdu Paderewskiego i tych rzeczy, które on przywiózł z Paryża, okazały się, nadspodziewanie dla mnie, błogosławione dla zaszachowania, a może, co daj Boże, i sparaliżowania tej pierwszej, najgroźniejszej i najpotężniejszej przeszkody.
Ale chciałbym zwrócić z naciskiem Twoją uwagę na to, że dla skuteczności sprawy niezbędne są pewne zasadnicze poprawki w stosunku rzeczników i wykonawców programu Piłsudskiego do Litwinów, bez czego do kompromisu z nimi, do kooperacji narodów krajowych i do skoordynowania wysiłków w sferze działalności państwowolitewskiej nie dojdzie. Poprawki te polegają na tym, że nie można negować dzieła, dokonanego przez Tarybę, a nawet bodaj jej rządu. Można i należy odrzucić podstawy, na których budowana była Taryba (usiłowania rozciągnięcia narodowego państwa litewskiego, a więc dominacji narodowo-litewskiej – na Wilno i Białoruś katolicką), ale niepodobna nie liczyć się z tym, co Taryba stworzyła, nie liczyć się z faktami dokonanymi i dziełem, bo Litwini nie zgodzą się nigdy na proste przekreślenie kilku lat ich pracy i rozwoju, zwłaszcza gdy dzieło to jest żywe, czynne i przez Koalicję uznawane. W tym kierunku należy teraz usiłowania i forsowanie zwrócić. Zwracałem na to uwagę Osmołowskiego. Wy za mało znacie i rozumiecie dzieło przez Tarybę dokonane. To błąd i słabość.
Nie myśl, że się rozkochałem w mojej pracy sędziowskiej w Łomży. Przeciwnie – muszę siebie gwałcić, aby tu pozostawać. Tęsknota mię porywa i tak czasami gryzie, że nawet w pracy ukojenia znaleźć nie mogę...”.
Zdaje się, że w tym liście dałem się unieść zbytniemu optymizmowi co do zażegnania niebezpieczeństwa imperializmu polskiego.

20 maja, rok 1919, wtorek
Przywiozłem z Wilna wszystkie zeszyty moich przedwojennych dzienników – od roku 1911 do maja 1915, to znaczy do wyjazdu mego do Legionów. Wyjeżdżając w r. 1915, domyśliłem się nie zostawiać ich w Bohdaniszkach, lecz złożyć na przechowanie do rąk Elwiry z poleceniem szczególnej opieki. I dobrze na tym dzienniki wyszły. To, co pozostało w Bohdaniszkach – moja biblioteka, różne dzienniczki młodości, wszystkie papiery, cały zbiór listów, ogarniający moją korespondencję od najmłodszego dzieciństwa – wszystko poszło na poniewierkę jeszcze za czasów okupacji niemieckiej; Niemcy, kwaterujący w domu bohdaniskim na górze, porozrzucali wszystko, poniszczyli, pomarnowali; podobno tylko część jakąś tego ocalił i przechował Papa, sprawdzając papierek za papierkiem, listek za listkiem i poddając każdy swojej cenzurze osobistej. Tymczasem moje właściwe dzienniki ocalały. Elwira przechowała je pilnie i ustrzegła we wszystkich burzach ostatnich lat. Wojna, rewolucja rosyjska, okupacja niemiecka, bolszewizm – wszystko przepłynęło nad nimi szczęśliwie. Chowała je Elwira to w Ławcewiczach u siebie, to w Mamyłach, to w Mińsku, to znów w Mamyłach, to wreszcie od grudnia ubiegłego w Wilnie, gdzie za czasów bolszewickich zostały one zalokowane we Franciszkanach, aby ustrzec od znalezienia przez bolszewików przy ewentualnej rewizji mieszkaniowej. Teraz przywiozłem je wszystkie do Łomży. Do kompletu, który tu mam u siebie, brakuje mi tylko zeszytów za czas od maja r. 1915 do lata 1915, to znaczy okres mego pobytu w Bukareszcie, w Wiedniu, Piotrkowie, w Legionach na linii, po szpitalach wojskowych i znów w Piotrkowie. Zeszyty te powinny być w Piotrkowie na przechowaniu u p. Róga; obawiam się, aby tam nie poginęły; rozpocznę starania o ich wydostanie stamtąd. Właśnie odczytuję teraz dziennik z r. 1911. Tam w tomie II na stronie 99 pod datą 23XI/6XII 1911 natrafiłem na taką charakterystykę mojej biednej kochanej nieboszczki Mamy, która jest krzywdząca dla niej i nieprawdziwa, toteż postanowiłem dziś niezwłocznie zaoponować przeciwko temu w dzienniku i rzecz tę sprostować. Pisałem

tam, że Mama nie ma natury prawej, że nie wierzy w żadne ideały, że obłuda „wystarcza Mamie zupełnie do życia, byle kieszeń była pełna, glans ogłady na zewnątrz i frazes w sercu i ustach", że „prostoty, prawdy życiowej, rzetelności przekonań – Mama nie żąda wcale", że wreszcie nienawidzi Mama wszystko to, co ja kocham i do czego dążę, a co ma na sobie piętno idealizmu, kłócącego się z praktycznością życiową. Otóż nie tylko w imię szacunku i miłości synowskiej, ale też w imię sprawiedliwości rehabilituję drogą zmarłą. Wszystko to, co tam napisałem, jest co najmniej nieścisłe. Mama z gruntu była niezwykle wrażliwa, miała serce gorące niesłychanie, była skłonna do idealizmu. Przy tym miała wielki rozum, miała głowę otwartą, umiejącą myśleć samodzielnie, znakomitą do subtelnej analizy. Życie Mamy tak się ułożyło w młodości, że po pobycie z Rodzicami na emigracji w Dreźnie, gdzie też skończyła szkoły (Dziadunio Mieczysław Tukałło, ojciec Mamy, był na przymusowej emigracji po r. 1863), w młodziutkim wieku po powrocie do kraju wyszła za mąż za Papę bez miłości wielkiej, ot tak, jak większość panien ziemiańskich wychodziło i jeszcze wychodzi. Serce i umysł Mamy drzemały. W małżeństwie zaczęła rodzić jedno dziecko po drugim. Do męża się przywiązała, jak się przywiązują nawet bez szczególnej miłości żony uczciwe, nauczyła się go szanować i wierzyć mu statecznie. Papa umysłem był o głowę całą niższy od Mamy. Tak płynęło Rodzicom życie w Bohdaniszkach przez lat szereg. Córki się rodziły jedna za drugą, syna nie było. Był jeden, urodzony między Elwirą i Marynią, ale ten w wieku miesięcy 7 umarł na zapalenie mózgu. Wreszcie na ostatku, po pięciu córkach, w r. 1880, w 11 lat po ślubie, urodziłem się ja. Już jedynactwo moje dawało mi tytuł szczególny do miłości Mamy. Mniej więcej około tego czasu nastąpił ostry kryzys w całym systemie małżeńskim Rodziców i w życiu przeto Mamy. Papa zakochał się w jakiejś Francuzeczce, która była nauczycielką czy boną przy dzieciach. Nawiązał z nią w domu romans, zaczął szaleć. Miał wtedy lat około 35, był mężczyzną pięknym. Całe podstawy małżeństwa Mamy, które były podstawą jej życia, runęły. Upadła wiara do Papy i szacunek. Mama całym ogniem uczucia, które w niej strawione żadną miłością wielką, żadną namiętnością nie było, pokochała dzieci, a nade wszystko mnie, przelewając cały żar swej natury w to uczucie głębokie. Że wszakże dzieci, a zwłaszcza ja, byłem maleńki, a że zresztą dzieci nigdy miłości wzajemnej oddać nie mogą rodzicom, więc była chwila, że Mama się kochać leciutko zaczęła w p. Bronisławie Ledóchowskim, ułomnym, ale niezwykle rozumnym, kulturalnym i szlachetnym sąsiedzie z Antuzowa, który kochał się w Mamie. Nie było jednak mowy o jakimś tej miłości realizowaniu. Była ona platoniczna i czysta jak szkło, przepojona wysokim intelektualizmem poziomu kulturalnego. Było to coś z obcowania duchów. Mama zaczęła dużo czytać, kształcić się na wielkich dziełach pozytywizmu europejskiego. Umysł Mamy na tym dojrzał i rozwinął się. Rozwojem umysłowym Mamy kierował p. Ledóchowski; obcowanie z p. Ledóchowskim, człowiekiem kalekim, fizycznie niedołężnym, wożonym na wózku (miał tuberkuły w kościach), miało charakter li tylko biesiady umysłowej, coś z rodzaju akademii mędrców greckich. Tymczasem Papa szalał, a po zerwaniu wreszcie z Francuzką, rzucił się w wir interesów, dostał manii kupowania majątków i kamienic, była obawa stracenia funduszu, wreszcie dostał obłędu i został umieszczony w domu wariatów, skąd jednak po wyzdrowieniu wrócił. Mamy intelektualna miłość z p. Ledóchowskim, nie sycona żarem namiętności, wygasła i wyrodziła się w szacunek. Miłością, żarem niespalonych uczuć utonęła Mama w dzieciach, zwłaszcza we mnie i to już przetrwało do śmierci. Toteż miłość Mamy do dzieci i w szczególności do mnie miała coś z namiętności, bo namiętność w życiu Mamy nie wylała się w żadne formy zmysłowe. Idealizmu i serca miała Mama w swej wrażliwej naturze aż za dużo, ale że go widziała we mnie i bała się

go, aby mi w brutalnej walce o byt nie zaszkodził, więc go nieraz tępić usiłowała i czasem istotnie namiętnie nienawidziła. Ale kochała mnie najbardziej!

21 maja, rok 1919, środa
Miałem sesję apelacyjną karną. Na wokandzie były same sprawy leśne. Fala masowych rabunków leśnych, która wezbrała w chwili wypędzenia Niemców z kraju i grasowała przez listopad i grudzień, znalazła później ujście w sądach i po przejściu przez sądy pokoju napływa teraz całą rzeką w drodze apelacji do sądu okręgowego. Tych spraw leśnych z okresu masowego rabunku lasów rządowych mam teraz w apelacji moc ogromną. Masy chłopskie po wypędzeniu Niemców pojęły wolność w ten sposób, że rzuciły się w pierwszym rzędzie do rabowania lasów rządowych, licząc, że taka samowola realizuje wolność.
W tych dniach nastąpi rozwiązanie wielkiej zagadki, która dziś zajmuje cały świat: czy Niemcy podpiszą traktat pokojowy Wersalski[185], podyktowany im przez zwycięską Koalicję, czy nie podpiszą. Oczywiście, że od takiej lub innej odpowiedzi na tę zagadkę zależeć będzie najbliższe ukształtowanie wypadków wagi światowej. Traktat Wersalski, podyktowany Niemcom, jest traktatem przemocy – to rzecz pewna. Wszakże Niemcom, którzy w roku zeszłym podyktowali na wschodzie ohydny traktat przemocy w Brześciu, trudno znaleźć moralne zasady do protestu. Skoro sami w ten sposób pojmowali dzieło „pokoju" na wschodzie, będąc zwycięzcami i gotowali się do podyktowania takiegoż gwałtu na zachodzie, gdyby się im tutaj zwyciężyć udało, to cóż mogą mówić, gdy się do nich tę samą metodę stosuje, skoro zostali pobici. *Voc victis!* – oto zasada i prawo. Zwyciężyłeś – gwałć; zostałeś zwyciężony – ulegaj gwałtowi. Zwyciężyłeś – przeto masz rację i prawo; zostałeś zwyciężony – więc milcz, słuchaj i szanuj wolę zwycięzcy. Ale tymczasem faktem jest, że każdy naród, gdy jest zwycięzcą, uznaje takie proste prawo za słuszne i sprawiedliwe, natomiast nigdy go uznać nie chce, gdy jest zwyciężony i woła wtedy wielkim głosem o sprawiedliwość i podnosi krzyk gwałtu. Co prawda, Niemcy podnoszą na swe usprawiedliwienie to, że wojnę prowadziło i do przemocy oraz traktatów w stylu brzeskiego parło imperialistyczne Cesarstwo Wilhelma, podczas gdy teraz Niemcy są republiką demokratyczną i gwałt się zadaje nie gwałtowi Hohenzollernów, lecz prawu narodu niemieckiego, prawu ludu. Ale dopóki ta Republika Niemiecka jest republiką Scheidemanna i Erzbergera[186], dopóki opiera się ona na stronnictwach, które, jak socjaliści tzw. większości (scheidemannowcy), przez cały czas wojny popierali przedsięwzięcia imperialistyczne Hohenzollernów i wotowali kredyty wojenne, dopóty o gwałcie na ludzie niemieckim mówić przedwcześnie. Dopiero gdy na czoło tej Republiki Niemieckiej staną socjaliści niezależni, dopiero wtedy będą to Niemcy ludowe, Niemcy wolne. Zresztą kto wie, czy nawet wtedy tak będzie; czy bowiem może być tak nagła i gwałtowna metamorfoza w naturze takiego tworu historycznego, jak państwo; czy zmiana stronnictwa w steru władzy, zmiana nawet metody i zasady – może być pojmowana jako zmiana istotna wewnętrznej natury narodu i państwa, jego najistotniejszych pożądań i cech? Czy nie jest to raczej tylko postacią przystosowania się, ubiorem stosownie do warunków? I czy w istocie zasadniczy rdzenny cel aspiracji nie pozostaje ten sam? Daleki jestem od tego, aby takich socjalistów niezależnych w Niemczech uważać za obłudników, którzy chcą jeno przykrywać aspiracje imperializmu Hohenzollernowskiego; są oni najczystsi, ale przyjęcie ich przez naród do władzy czy nie byłoby może raczej posługiwaniem się narodu nimi jako metodą, niż ich władzą istotną, nadającą narodowi ich zasadę? Nie ulega wątpliwości, że w dużym stopniu rzecz się ma analogicznie z bolszewikami.

[185] Wersalski Traktat Pokojowy, właśc. Traktat pokoju z Niemcami został podpisany 28 VI 1919.
[186] Erzberger M., przywódca partii Centrum.

Bolszewizm jest nie tylko, a może nawet nie tyle wyrazem przeniknięcia w naród i lud nowej zasady politycznej i społecznej, ile reakcją narodu i ludu na sytuację, w jakiej się znalazł, użyciem przezeń tej zasady jako broni na daną chwilę dziejową. Problem jest ten: czy taki bolszewizm staje u władzy jako zasada czynna, czy też jako narzędzie sił i czynników, które są w głębi podświadomej ludu i narodu i bynajmniej z jego zasadą się nie utożsamiają.
Jakkolwiek bądź – Niemcy protestują głośno przeciwko pokojowi gwałtu, który im został podyktowany. Czy podpiszą? Wołają, że podpisać niepodobna, ale czy zdecydują się na otwartą walkę, bo odmowa podpisania będzie synonimem wznowienia wojny, której w trybie regularnym, jak poprzednio, prowadzić nie są w stanie. Tym niemniej są oni jeszcze siłą, mają sprężystość i moc. Odmowa podpisania pokoju oznaczałaby zarówno wojnę na zachodzie, jak wojnę polsko-niemiecką na wschodzie. Najbliższe dnie gotują nam odpowiedź. Ale może być odpowiedź Niemców o wiele zręczniejsza i bardzo prawdopodobna: tak, traktat podpiszą, ale w prowincjach, które mają na wschodzie ustąpić Polsce, o które największy gwałt robią i co jest dla nich ze wszystkiego najboleśniejsze, zwłaszcza na Śląsku Górnym i w Prusach Zachodnich, odpowiedzą „powstaniem ludowym". Tak, powiedzą, traktat podpisaliśmy; władza nasza i urzędy z krajów, które nam zrabowano i kazano ustąpić, wycofaliśmy; niechże je Polska bierze, jeżeli chce i jeżeli może; że ludność tych prowincji się buntuje i opiera okupacji polskiej – cóż to ma do nas; trudno żądać, aby my jeszcze sami zdobywali dla Polski kraj, przez nas jej ustąpiony; niech go bierze, niech go zdobędzie. A tymczasem tam w tych prowincjach pokłady, zapasy broni, amunicji, materiałów wojennych, ludzi dla powstania, oficerów itd. I będzie sytuacja ciężka, wojna niby nie urzędowo z Niemcami jako państwem i armią regularną państwową, ale z jakimś jeżeli już nie Grenzschützem[187], nie Heimatschützem[188], to Siliesienschützem[189] lub czymś podobnym. A to „powstanie" żywione będzie przez Niemcy.

22 maja, rok 1919, czwartek
Dziś dzień Heleny, imieniny Lusi Roszkowskiej. Posłałem jej rano kwiaty. Z wielkim trudem wystarałem się o nie, bo w Łomży produkcja kwiatów jest słabo rozwinięta, a chłody wiosny obecnej – w d. 22 maja jeszcze się liście na drzewach nie rozwinęły w pełni – tamują rozwój kwiatów. Udało mi się dostać jeden wazon pięknie rozkwitłej cynerarii, kilkanaście narcyzów ciętych i jeszcze dwa wazony z kwiatami dopiero w pączkach, z nich jeden – goździków, a drugi, którego nazwy nie pamiętam. Wstydziłem się trochę goździków, bo zdaje się, że kwiat ten jest symbolem miłości, ale niech tam. Jeżeli Lusia ma jakiekolwiek doświadczenie w uczuciach ludzkich albo przynajmniej ich czucie, to i tak musiała się dawno domyślić, że uczucie, które żywię dla niej, jeżeli nie jest jeszcze miłością, to jest co najmniej nakropione cechami tejże. Goździki – to piękny kwiat; ich zapach ostry drażni i odurza zmysłowo, pasując znakomicie do ich jaskrawych barw.
Akcja wojsk polskich na wszystkich kierunkach frontu wschodniego rozwija się zadziwiająco dla oręża polskiego pomyślnie. Każdy niemal dzień przynosi to tu, to tam sukces poważny. Oto w ostatnich dniach na froncie wschodnio-galicyjskim przeciwko Ukraińcom Polacy posunęli się daleko w głąb i zajęli Borysław – złotodajną ziemię nafty, perłę Galicji Wschodniej, Borysław i naftę, których posiadanie jest głównym atutem spornym między Polską a Ukrainą. Podług wieści z Paryża, Koalicja zamierzała rozstrzygnąć spór między Polską a Ukrainą w ten sposób, aby za granicę wyznaczyć

[187] Grenzschütz, niemiecka wojskowa organizacja przeznaczona dla ochrony granic.
[188] Heimatschütz, niemiecka wojskowa organizacja, która miała cel obronę ojczyzny.
[189] Silesienschütz, ochrona Śląska, niemiecka organizacja wojskowa.

mniej więcej linię Bugu na wschód od Lwowa, zostawiając Lwów Polakom, okręg zaś naftowy miał przypaść Ukraińcom. Tymczasem Polacy, nie czekając na przesądzenie sprawy przez arbitrów, siłą faktu przesądzili go tymczasem na rzecz zajęcia zagłębia naftowego. Zaś fakt posiadania – to już w sporze siła wielka. Odebrać jest zawsze trudniej, niż nie dać. O parę dni wcześniej na Wołyniu zajęty został przez Polaków Łuck. Dziś z frontu pińskiego przeciwko bolszewikom komunikat podaje wieść o zajęciu linii Prypeci aż do ujścia Jasiołdy. Wreszcie na północnym wschodzie, na froncie wileńskim z kierunkami na Dyneburg i Mińsk-Wilno zdaje się już być zupełnie zabezpieczone: Święciany i Smorgonie są w ręku polskim. Nie udała się więc kontrofensywa bolszewików na odzyskanie Wilna, której świadkiem za mego pobytu byłem. Zdaje się, że rzeczywiście tylko tamte dwa dni, w których byłem świadkiem walk pod Wilnem – 29 i 30 kwietnia – były groźne dla miasta. 30 kwietnia we środę, w dniu, w którym wyjechałem z Wilna, doszło już było do tego, że bolszewicy zdobyli góry Szeszkinie, a ich szpice były już nawet na Zwierzyńcu. Wprawdzie trwało to krótko, ale było faktem. Było to koło godz. 10 rano. Publiczność, gromadząca się na Placu Łukiskim, obserwowała bitwę i widziała jak na dłoni tyralierę bolszewicką, posuwającą się na Szeszkiniach. Ja tylko z powodu mego krótkiego wzroku widzieć tego nie mogłem i jeno strzały karabinowe słyszałem. Koło południa tegoż dnia już bolszewicy byli odparci do Kalwarii – 7 wiorst od Wilna i bezpośrednie niebezpieczeństwo było minęło. Gdybym się nie poddał wrażeniu i nie uląkł możliwości, zresztą bardzo prawdopodobnej, nagłego opuszczenia Wilna przez Polaków, opuszczenia, które by mogło nastąpić w nocy i o którym bym się przeto nie mógł w porę dowiedzieć, aby móc się zabrać i umknąć, mógłbym w Wilnie jeszcze czas dłuższy pozostać. Ale było to zresztą bezcelowe. Przypuszczam, że lepiej, żem wyjechał, jeżeli mi się teraz latem znów uda być w Wilnie.

23 maja, rok 1919, piątek
Na godz. 5 po południu miałem dziś w moim gabinecie w sądzie spotkanie z Lusią Roszkowską. Pozorem dla tego spotkania było, jak zawsze, wykończenie niby to jakiejś czynności Głównej Komisji Wyborczej. Chodziło niby to o podszycie do akt dwóch ostatnich likwidacyjnych protokółów Komisji. W istocie chodziło o coś zgoła innego – po prostu o okazję, abyśmy się znaleźli we dwoje i aby się stało zadość naszej tęsknocie ku sobie wzajemnej. Nie wiem, co to jest, ale nie umiem teraz w obecności Lusi zachować się swobodnie i utrzymać pewność siebie i moc w tym stosunku. Gdy się wobec niej znajduję, coś się robi wymuszonego we mnie, coś, co mnie krępuje. Dostrzegam jednak, że Lusia znajduje przyjemność i podnietę w wyczuwaniu we mnie czegoś tłumionego, czegoś, co się jakby czai głęboko we mnie do skoku na nią. Czynność, która była dziś do wykonania – owo podszycie protokółów do akt – nie mogła być wykonana, bo okazało się, że protokóły nie są jeszcze podpisane przez Duszyńskiego. Oboje cieszyliśmy się z tego w duszy, bo daje to nam nową okazję do jeszcze jednej wizyty Lusi do mego gabinetu, a nawet tak mówiąc prawdę, to ja umyślnie w tym celu nie przygotowałem wszystkiego, co trzeba. Pomimo że nic się do roboty nie okazało, Lusia nie spieszyła z wyjściem. Siedziała naprzeciwko mnie na moim miejscu przy biurku na miękkim skórzanym krześle, które było jej krzesłem z czasów, gdy tu pracowała w tym gabinecie. Chociaż rozmowa nasza szła, szczególnie na razie, bardzo kanciasto, czołgając się po jakichś zdaniach i urywkach myśli bezbarwnych, rwąc się co chwila w pustce milczenia, Lusia siedziała i wciąż coś nawiązywała do wątku rozmowy. Za pełni byliśmy wewnątrz treści uczuć, nas ku sobie wiążących, tłumionych konwenansem i mnóstwem względów, abyśmy się mogli zdobyć na gładką pustą rozmowę. Ale był szczególny urok w tym niedomówieniu, w

tym tłumieniu wybuchu ekspansji istotnej, w tym przeczuwaniu tego, co się w nas tai. Lusia szczególnie okazała się wrażliwą na to. Była mowa o jej snach, o moim dzienniku – „czerwonej książce" – który jest przedmiotem, budzącym ostre podniety ciekawości i przeczuć Lusi, wreszcie o niej, o moim do niej stosunku, o tym, że jest jeszcze dzieckiem i że wymawiam sobie, że ją nieraz niestosownie, jak kobietę, traktowałem. Widząc, jak wrażliwość Lusi ulega podnietom niedomówień i przeczuwanych płomieni uczuć, tłumionych wewnątrz i maskowanych zimną na powierzchni równowagą, jak sztywny połysk stali, rozpocząłem grę rozmyślną, w której poprzez chłód i poprawność pozorną słów rezerwy ukazywałem chwilami jakby błysk żaru płonących wewnątrz uczuć. Lusia była jak zahipnotyzowana. Bawiła się kontrastem zimnej i poprawnej rezerwy powierzchni a ogniem i siłą wnętrza, usiłowała wydobyć ze mnie tego ognia i tego krzyku, wiedziona instynktem kobiety; jest ona prawie dzieckiem, ale dziecko w dziewczynie bardzo szybko się rozwija w kobietę pod działaniem słońca męskich uczuć. Zdaje się, że Lusia posądza siebie o miłość dla mnie, a przynajmniej o coś do miłości bardzo zbliżonego; po raz pierwszy dziś z jej ust słyszałem coś, co brzmiało, jak niedomówione wyznanie, co dźwięczało tchnieniem wyznawanej miłości, jakby modlitwą o zrozumienie jej; prowokowała mię tym ona, ale ja udawałem rozmyślnie, że nie rozumiem i że wierzyć nie chcę; nie było to mówione oczywiście wprost, ale językiem aluzji. Metodą udawania, że nie rozumiem, wydobywam z niej coraz jawniejsze iskry wyznania, coraz mocniej rozpalam jej płomień. Myli się Lusia, jeżeli sądzi, że to, co względem mnie czuje, jest miłością lub jej zawiązkiem. Może zresztą tego nie myśli, ale jeżeli myśli, to się myli. Jestem dla niej tylko tym, który, spotkany przygodnie, przyspiesza jej dojrzewanie kobiece. Ogień mojego do niej stosunku oślepia ją; w jego blaskach dokonywa się w niej przemiana dziecka na kobietę. Potem przyjdzie ten ktoś młody i prawdziwy, który zastanie ją już kobietą rozwiniętą, ku któremu pójdzie jej miłość i on ją jeno spije słodko; mnie ani podziękuje za to, żem tę duszę kobiecą w niej urobił. Nie dla mnie jej miłość, nie. Mogę w niej dzieweczki pierwsze odruchy uczucia sycić, ale nie jej miłość kobiecą posiąść. Toteż wolę, aby dzieckiem pozostała dłużej, bo jako kobietę stracę ją, a jako dzieweczkę mam ją serdecznie oddaną sobie. Choć Lusia protestuje, gdy ją dzieckiem nazywam i stara się przekonać mię, że jest kobietą, a nawet powiada, że mogłaby mi dać dowody, których jednak właśnie mnie oświadczyć nie może (daje do zrozumienia, że dowody te czerpie właśnie ze swego do mnie stosunku), to jednak ja uwierzyć kobiecości jej dojrzałej nie mogę i nie chcę nawet. Wolę dziecko, wolę ją dzieweczką. Ułożyliśmy projekt przejażdżki łódką po Narwi we trójkę z Lusią i p. Cezarynką. Mam się z p. Cezarynką o tym rozmówić. Lusia ucieszona bardzo tym projektem. Zaiste da to nam możność kontynuowania tego miłego stosunku.

24 maja, rok 1919, sobota
Do Łomży mają przyjść dwie dywizje wojska. Właściwie nie do samej tylko Łomży, ale w okolice. Jest to w związku z ewentualnościami, które powstają w sprawie zagadki stosunku Niemców do podyktowanych im w Wersalu warunków pokoju. Najbliższe dni mają rozstrzygnąć, czy Niemcy podpiszą podyktowany im traktat pokojowy, czy nie. Najboleśniejszą jest, zdaje się, dla Niemców utrata bogatych prowincji na wschodzie na rzecz Polski. Ze stratą większej części Poznańskiego już się z ciężkim sercem pogodzili. Ale strata znacznej części Prus Zachodnich, Pomorza Kaszubskiego, a zwłaszcza bogatego w węgiel i od wieków w niemieckich rękach będącego Śląska Górnego, wykrojenie z ich organizmu państwowego Gdańska, który, tworząc osobną republikę, ma być oddany pod protektorat Polski, wreszcie odcięcie Prus Wschodnich od pnia niemieckiego przez terytoria, ustąpione Polsce – tego Niemcy przeboleć nie mogą i to

za najdotkliwszą krzywdę, gwałt i zabór uważają. Z tym też za żadną cenę pogodzić się nie mogą i nie chcą. Z tego więc powodu na włosku dziś wisi wojna niemiecko-polska. Jeżeli Niemcy podpisania traktatu odmówią, to *eo ipso*[190] upadnie rozejm, zawarty w listopadzie z nimi przez Koalicję. Wtedy marszałek Foch[191] na czele wojsk związkowych pomaszeruje od Renu na wschód, Polska zaś, jako aliantka Koalicji, znajdzie się również automatycznie w wojnie z Niemcami; ponieważ chodzi o tereny, które ona ma na wschodzie na Niemcach zyskać, będzie ona w tej wojnie nie tylko platoniczną aliantką, ale stroną bezpośrednio zainteresowaną. Jeżeli jej się uda w tym nowym stadium wojny zająć siłą zbrojną cokolwiek z tych terenów spornych, to wzmocni jeno swoje pretensje i prawa do nich, a z pewnością zapragnie mieć nawet więcej, niż to, co jej już bezspornie przyznane zostało. Zajęcie Warmii i Mazowsza Pruskiego bez żadnego plebiscytu, wcielenie Gdańska bez żadnego protektoratu, przesunięcie wyznaczonej granicy w Prusach Zachodnich, Poznańskiem i na Śląsku na swoją korzyść – o to wszystko Polska się pokusi niewątpliwie, jeżeli tylko możność mieć będzie. Ale losy wojny są niepewne. Niewykluczonym jest, że miast czekać na wtargnięcie Polski, Niemcy z ofensywą przeciwko niej wystąpią pierwsze. W tym wypadku linia Narwi będzie dla Polski linią obrony i punktem wyjścia zarazem do akcji zaczepnej. Dlatego też na linię tę zwrócona jest uwaga, dlatego wojska są ściągane pod Łomżę, dlatego dokonywana jest od dni kilku z udziałem sztabowych oficerów koalicyjnych inspekcja fortyfikacji obronnych nad Narwią. Już nawet w tych stronach zaczyna się gdzieniegdzie popłoch. Z Ostrołęki naczelnik więzienia telegrafuje do prokuratora, dokąd ma wysłać więźniów, na co mu prokurator daje odprawę, żeby siedział cicho i nie denerwował się, bo gdyby doszło do ewakuacji, to otrzyma rozkaz. Podobno nad Szczuczynem krążą ciągle aeroplany niemieckie. Ale i w tym wypadku, jeżeli Niemcy traktat formalnie podpiszą, bezpieczeństwo na linii polsko-niemieckiej zapewnione nie jest. Niemcy formalnie mogą swe władze ze Śląska Górnego i Prus Zachodnich wycofać, ale uszykować „powstanie" ludności w tych prowincjach przeciwko Polsce. Będzie wtedy miała Polska wojnę pozornie nie z państwem niemieckim, ale z powstaniem miejscowym w prowincjach, które jej ustąpione zostały. Wypadnie to na to samo, bo „powstanie" uzbrojone będzie przez Niemcy, przez nie sycone, przez oficerów niemieckich kierowane. Powstanie niemieckie na Górnym Śląsku i w Prusach Zachodnich będzie dziełem narodu i państwa niemieckiego. Ta ewentualność jest bardzo prawdopodobna.

25 maja, rok 1919, niedziela

Stosunek Polski do sprawy Litwy w związku z zajęciem Wilna przechodzi w szybkim tempie z jednej fazy w inną, aczkolwiek zawsze w ramach tych samych zasadniczych założeń. Co do tego ostatniego nie ma się co łudzić. Miewałem chwile złudzeń pod tym względem, ale zbyt analityczny mam umysł, aby obserwacja zjawisk nie wyleczyła mię od tychże. Może jeszcze ulegać im będę, bo słodko bywa wierzyć w to, czego się pragnie i co się pięknym przedstawia, ale doprawdy realizm życia i jego prądów istotnych zbyt brutalnie wyziera spod osłony tysiąca najwspanialszych szat frazesów i błyskotek przeróżnych haseł, ozdabiających nagość prostej rzeczywistości.

Już od półtora roku co najmniej przeszedłem ze stanu czynnego w stan obserwatora wypadków, które toczą się z szybkością zawrotną i z logiką żywiołu, nie dającego się opętać wolą ludzką. Ten stan bierny obserwatora nie był mi podyktowany tylko warunkami, w jakich się znalazłem. Wypływał on z mego świadomego stosunku do obecnej chwili dziejowej. Zacząłem rozumieć, że zjawiska społeczne w ich jak

[190] (łac.) eo ipso – tym samym.
[191] Foch Ferdinand (1851-1929), marszałek Francji.

najszerszym wyrazie zarówno w sferze wojennej, politycznej, narodowej, państwowej, jak w ściślejszej sferze procesów społecznych i gospodarczych, słowem – dzieje kultury są w dobie zwłaszcza takiej katastrofy, jak ta, którą przeżywamy, zjawiskami po prostu natury ludzkiej jako żywiołu elementarnego, tworzącego fakty i rozwój podług swoich praw własnych, w naturze żywiołu mas ludzkich założonych. Czynnikiem dziejów jest w tych czasach nie wola organizatorów świata, ale podświadoma twórczość olbrzymich mas. Czynnik woli o tyle tylko coś zdziałać jest w stanie, o ile trafi w łożysko działania tych mas. Rozpętały się jakieś siły ogromne ludzkiego żywiołu, masy ludzkie, jak może nigdy od czasów barbarzyństwa, od okresów wielkich wędrówek narodów, wyjarzmione z wszelkich pęt, wolne od karbów organizacyjnych ścisłego mechanizmu gospodarczego i politycznego, który się rozpada w gruzy, zdobyły nieograniczony rozpęd działania. Ci, którzy chcą w tych warunkach działać, muszą im ulegać; jeżeli ulegać nie będą, zostaną zgnieceni, ale to tak, jak gniecie ślepy żywioł, który ani widzi kogo i co gniecie, ani się obejrzy, ani się zainteresuje. W tym rozkładzie mechanizmu organizacji gospodarczej i społeczno-politycznej, który dawniej trzymał ludy w jakiejś więzi ładu, umiarkowania i stopniowości i umożliwiał działanie planowe kierowników rozwoju, w tym wyprzężeniu się instynktów i pożądań mas, rozwielmożnił się niesłychanie maksymalizm, cechujący dziś wszystkie ruchy ludzkie, zarówno w dziedzinie społecznej, jak narodowej, jak wszelkiej innej, nie wyłączając nawet użycia płciowego, które coraz bardziej do wyuzdania zmierza. Masy ludzkie ujawniają najjaskrawsze instynkty absolutyzmu: *sic voleo*[192] – oto najwyższe prawo i racja rzeczy. I zdaje się, że jeszcze jesteśmy zaledwie na początku tego okresu nowego prawa i że ten maksymalizm jeszcze dopiero rośnie, jeszcze do całkowitego rozwoju nie dobiegł. W tym maksymalizmie, w tym podświadomym działaniu żywiołu mas ludzkich, pod którymi rozumiem tak narody, jak klasy społeczne, iszczą się niewątpliwie przesłanki historyczne, iści się ciągłość rozwoju dziejowego. Działanie żywiołu nigdy bowiem chaotyczne nie jest; jest ono logiczne zawsze i konsekwentne niezmiernie, jak wszelkie dzieło natury; realizuje ono najdokładniej to, co instynkt żywiołu, wytworzony historycznie, w sobie zawiera i co w konkretnych warunkach miejsca i czasu zdziałane być przezeń może. Chaotycznym jest tylko stosunek wzajemny tych różnych produktów różnych żywiołów, działających w trybie maksymalizmu własnych instynktów. Dzieło każdego z tych żywiołów jest ze strony wewnętrznej, w stosunku produktu do wytwórcy, doskonale logiczne, ale ponieważ ile żywiołów, tyle różnych logik i dzieł, więc na punktach ich zetknięcia, na punktach ich stosunku rodzi się i szaleje chaos. Zrozumienie tej nowej istoty rzeczy w zjawiskach, których świadkiem jestem, dokonało rewolucji w moim osobistym stosunku do świata zewnętrznego. Byłem zawsze człowiekiem, który chciał i nieustannie usiłował coś robić, do czegoś się przykładać w myśl swoich wierzeń i ideałów, który gorąco coś kochał i coś nienawidził, coś uznawał i potwierdzał, a coś negował. Przestałem rozróżniać dobre od złego, ochłodłem w zapale czynu i woli czynnej. Bo czy może być dobrą lub złą burza, piorun, deszcz, słota, mgła, pogoda, słońce, mróz, upał, kwiaty, dojrzewanie pszenicy, śpiew wiosenny ptasząt, cisza głębokiej jesieni, słowem – wszystkie zjawiska natury, które są ani dobre, ani złe ani etyczne, ani niemoralne, a po prostu takie, jakie są, bo takimi muszą być. I co pomoże chcieć, aby było ciepło i pogodnie, gdy pada deszcz lub jest zimno. Można być niezadowolonym, ale nie można nic na to zrobić. Tak samo jest ze zjawiskami społecznymi jako zjawiskami natury.

26 maja, rok 1919, poniedziałek

---

[192] (łac.) sic voleo – tak chcę.

Od dwóch dni śliczna pogoda; aż nęci gdzieś w pole, w las, na wodę. Drzewa owocowe w sadach w pełnym kwiecie na schyłku, bez kwitnąć zaczyna, kwitną kasztany. Wiosna, maj!
Miałem sesję I instancji w sądzie, z ławnikami Stanisławem Kisielnickim ze Stawisk i starym Dąbkowskim. Sprawy były bagatelne, a zresztą trzy spadły z wokandy i tylko dwie zasądzone zostały.
W Łomży wielkie poruszenie. Widmo wojny niemieckiej zaczyna się nie na żarty wyłaniać; wiążą się z nim energiczne przygotowania wojenne po stronie polskiej. Gazety już dziś trąbią na alarm, podniecają czujność mas. Wołają, że wojna z Niemcami jest bliska, że Niemcy się gotują do ciosu na Polskę, że ani na sekundę im ufać nie wolno, że im bliżej rozstrzygającej chwili w sprawie traktatu pokojowego i ustąpienia przez Niemców terytoriów Polsce, tym Niemców plan antypolski jest bliższy realizacji, a że jest niewiadomy dokładnie, bo jest na przeróżne sposoby zgadywany, więc tym niebezpieczniejszy, gdy oto lada dzień wyjdzie w całej grozie i nagości na światło dzienne faktów. Na północnym niemieckim pograniczu Polski linia Narwi jest tą, która stanowi pozycję czołową Polaków. Łomża tu na tej linii stoi, toteż tutaj w pierwszym rzędzie wyczuwają się gotujące wypadki. Nikt jeszcze nie wie dobrze, co i w jakiej postaci nastąpić może, ale podniecenie rośnie i wraz z nim wyczula się wrażliwość na wszelkie zarówno pogłoski i domysły, jak zarządzenie pogotowia wojennego władz. Zaczęło się to od inspekcji urządzeń obronnych linii Narwi przez wyższe czynniki wojskowe, od zapowiedzi nadejścia dwóch dywizji wojska, od umacniania tejże linii. W związku z tym już od dni kilku zaczęły się powoli rozłazić różne pogłoski. Dziś znów był dzień dalszego zaostrzenia wrażliwości. Dowiedziałem się od ławnika w sądzie, p. Kisielnickiego ze Stawisk z pow. kolneńskiego, że przed paru dniami wzywani byli do Kolna wszyscy wójci do powiatu w celu uprzedzenia ich, aby przez sołtysów zapowiedzieć po wsiach, żeby ludność była przygotowana do rozkazu wypędzenia całego żywego inwentarza za Narew. Tymczasem dziś jeszcze otrzymał p. Kisielnicki już w Łomży ze Stawisk wiadomość, że podobno z Kolna z powiatu już rozesłano rozkaz wygnania w najbliższych dniach – bodaj nawet czy nie jutro – bydła i koni za Narew, a zostało to nakazane na skutek otrzymanego w Kolnie telefonogramu o tym, że na podstawie pewnych przejętych wieści i rozkazów niemieckich zaprojektowany został w tych dniach napad na pogranicze polskie. Czy taki napad byłby już rozpoczęciem działań wojennych, czy też ekskursją band raczej rabunkową, która by zarazem rzuciła pewien postrach na Polskę, a nie miałaby przecie cech urzędowego wtargnięcia Niemców na terytorium polskie – tego nikt nie wie. Przypuszczam, że raczej to drugie. Po obiedzie też przyszła z Warszawy depesza do naszej prokuratury, nakazująca ewakuację aresztantów z więzienia. Wieści te bardzo szybko rozeszły się po mieście, oczywiście z różnymi skażeniami. Jednocześnie krążyć zaczęły pogłoski, to o zajęciu przez Niemców Grajewa, to już nawet Kolna; zdaje się, że obie te pogłoski są przedwczesne, a zwłaszcza ostatnia – zupełnie fałszywa. Ale podniecenie rośnie i w nim się rodzą coraz to nowe pogłoski. Wieczorem Łomża nagle zapełniła się hallerczykami. Charakterystyczne jasnobłękitne mundury i czapki hallerczyków, dotąd bardzo rzadko, jeno na podziw, oglądane w Łomży, po prostu zalały ulice, kawiarnie, ławeczki Nowego Rynku. Widocznie sprowadzono do miasta jakiś znaczniejszy oddział wojska – może z Zambrowa, gdzie, jak było słychać, przyszła przed kilku dniami cała dywizja wojsk Hallera. Przez noc cała ta dywizja może się już znaleźć w Łomży. Oczywiście – ukazanie się nagle hallerczyków w tak dużej liczbie w mieście – wywołało wielkie ogólne zaciekawienie, szczególnie w związku z już istniejącym podnieceniem; ulice zalała publiczność. Ale dotąd podniecenie w Łomży nie ma jeszcze zgoła cech paniki lub nawet popłochu; jest tylko ożywienie i

wielkie zainteresowanie, co nawet publiczność lubi. W małej mieścinie – to coś jakby święto, a w każdym razie dywersja. Ano zobaczymy, co z tego będzie; czy dojdzie do wojny z Niemcami. W każdym razie wątpię, żeby Niemcy ot tak po prostu biernie i *bona fide*[193] poddały się operacji wyzucia się z kilku najpiękniejszych na wschodzie prowincji na rzecz pogardzanej przez nich Polski. Ale w jakiej postaci do tego przyjdzie i do czego mianowicie – to zagadka.

27 maja, rok 1919, wtorek
Miałem dziś znowu ostatnią już w moim gabinecie w sądzie wizytę Lusi Roszkowskiej dla podszycia i wykończenia ostatecznego akt Głównej Komisji Wyborczej. Przyniosła mi Lusia kilka kiści świeżutkiego bzu, urwanego przez nią, po który, jak mi mówiła, sama na drzewko się wdrapała, a sama jak kwiat bzu świeża i wiosenna. Spędziła u mnie Lusia, jak zawsze, parę godzin. Byłem dziś w usposobieniu dość wesołym, może nawet zanadto zrównoważonym w stosunku do tego nastroju tęsknoty i niedomówień, który cechuje nasze z Lusią przelotne spotkania. Lusia natomiast nawiązywała ciągle do naszej rozmowy ostatniej. Wreszcie mówić mi zaczęła o tajemnicy serca, którą ma, a oczy jej, w których chwilami błyszczały łzy, głos, ruchy i widoczna walka wewnętrzna uczuć zdradzały mi, że przedmiotem tej, może tylko urojonej przez nią, ale niewątpliwie szczerej, tajemnicy – jestem ja. Drgało w jej słowach wyznanie, hamowane dumą i wstydem, smagane niecierpliwością pierwszego uczucia młodości. Krążyłem w domysłach dokoła tej tajemnicy, usiłowałem ją niby zgadywać, coś z niej wróżyć, udając wszakże, że nie rozumiem i umyślnie będąc niedomyślnym. Cudowne bowiem piękno tej tajemnicy dziewczęcego serca, która, jak napięta struna łuku, tęży się strzałą wyznania, aby omdleć w drżeniu po wypuszczeniu tejże, jest tak wielkie i tak czarujące dla mężczyzny, że się chce to napięcie wydłużyć, aby się nim rozkoszować i sycić, aby nie za prędko urok ten wyczerpać – zwłaszcza, zwłaszcza gdy, niestety, zrealizować tych uczuć niepodobna. Niechaj będzie ta miłość niewyznana, niechaj się wydłuży stan czarowny, byle trwał. Jest to jedno z tych pięknych biednych uczuć, dla których nie ma przyszłości; nie może się ono zrealizować w małżeństwie, bo ta droga jest dla nas zamknięta, a nie może się też zrealizować w związku wolnym, bo nie można życia dziewczynki rozbijać i wiązać go w stosunek tak szalony, jakim by był nasz, zabijający ją na zawsze, a tak w sobie kruchy; a znowu tak podłym nie jestem, abym mógł Lusię, tę czystą, piękną, świeżą i szlachetną, uwieść; nigdy bym się na to nie zdobył, nigdy bym się o to nie pokusił; miłość ta może być tylko przeczuciem, może być tylko wolą i natchnieniem. Jej pięknem idealnym sycić się możemy – nic ponadto. Czy zresztą jest to u Lusi miłość? Czy jest ona możliwa u dziewczynki tak młodej w stosunku do 40-letniego mężczyzny! Raczej jest ona dla niej szkołą uczucia. Ale jakąkolwiek jest – błogosławię ją.
Prosiłem Lusię o skopiowanie mi brulionu mego listu do posła Dąbkowskiego w sprawie litewskiej. Jutro jej ten list do skopiowania poślę, załączając list osobisty do niej, który dziś wieczorem napisałem tej treści – pod datą jutrzejszą:
„Szanowna Panno Lusio! Niech się Pani nie gniewa, że Ją tym imieniem nazywam, ale tak przywykłem, a zresztą brzmi to bardziej swojsko i mile, niż urzędowe „Panno Heleno”. Posyłam Pani ten list, o którego skopiowanie prosiłem i jednocześnie dziękuję raz jeszcze za łaskawą uprzejmość.
Wymawiałem sobie wczoraj po odejściu Pani, żem może wyrządził krzywdę i przykrość Pani, traktując dość lekko i żartobliwie to, co Pani tajemnicą swoją nazwała. Jeżeli zadrasnąłem w czymkolwiek uczucie Pani, jeżeli Ją cokolwiek w tonie moim

[193] (łac.) bona fide – w dobrej wierze.

ubodło, to niniejszym przepraszam serdecznie. Nie dla formalności tylko przepraszam, ale szczerze i serdecznie, bo nie chciałbym, aby jakikolwiek żal mogła Pani zachować do mnie i boli mię przypuszczenie, że mogła Panią przykrość z mojej strony spotkać. Nie wiem, czy zdaje sobie Pani sprawę z tego, jak Panią cenię i ile mam uznania i uczucia przyjaźni dla Pani. Nie tylko sam byłem młody, ale też poznałem w ciągu życia młodość innych, zwłaszcza kobiet. Aczkolwiek te tajemnice w wieku Pani nie są jeszcze tak straszne i aczkolwiek serduszko młodego dziewczęcia dalekie jest jeszcze od rzeczywistej tragedii uczuć, a te pierwsze tajemnice są raczej szkołą uczucia, niż groźną burzą, która nocami serce ludzkie rozbija i całe życie człowiekowi strzaska, ale tym niemniej szanuję je i nie pozwoliłbym sobie zadrwić z nich istotnie, zwłaszcza gdy to jest tajemnica u natury tak szlachetnej, głębokiej i prostej, jak Pani, Panno Lusio! Szczęśliwym winien być ten, który jest tej tajemnicy przedmiotem i zaiste powinien by on klęknąć przed dziewczątkiem i modlić się do tego czystego serca, jak do hostii świętej, która go w swym kielichu w tajemnicy zamknęła, dając mu pomieszkanie mistyczne w myślach swoich, jakiego godnym być trudno. Toteż szanuję to, co Pani tajemnicą swoją nazwała i życzę Pani, aby w niej zawiązek szczęścia swego znalazła. Żal mi, Panno Lusio, że już się wszystko w tej naszej Komisji Głównej skończyło i że już nic więcej do wykonania dla Pani nie mam. Rad bym, gdyby się mogła cała ta praca od początku rozpocząć. Obyż jak najszybciej ten Sejm Ustawodawczy się rozsypał, abyśmy nowy zwoływać mogli! Zdaje się, że wybory więcej są warte od niego samego. Tak się przywiązałem do Pani, że aż to zabawne. Tęskno mi i pusto samemu, smutno nieraz i ciężko. Zdaje się, nic osobliwego nie było w tej naszej powszedniej pracy w Głównej Komisji Wyborczej, pracy, przeplatanej czasem żartami, rozmową, uwagą jakąś – a przecież tęsknota ogarnia na myśl, że to już przeszło. I nie tylko to, ale i te późniejsze parokrotne jeszcze wizyty Pani dla wykończenia jakichś tam szczegółów ostatnich. Dla Pani było w tym zapewne nieraz dużo nawet nudy i najwięcej Panią interesowało „która godzina", aby prędzej uciec do domu, ale ja nie miałem dokąd uciekać, bo dom mój – to pustynia. Pani ma swoją tajemnicę, mnie już jej ze względu na wiek i przeszłość mieć nie wolno, choćby jeszcze w uczuciu taka tajemnica była, może nawet, może większa i cięższa od tej, którą ma Pani, cięższa, bo próżna, bez przyszłości, bez żadnej już nadziei.
Ale co tam! Niech żywi nie tracą nadziei! Życie płynie i wszystko zmiecie; a czego osiągnąć nie można – to umrze.
Łączę wyrazy szczerego szacunku oraz serdecznej przyjaźni i dziękuję raz jeszcze Pani za wszystko. Bukiecik bzu od Pani stoi przede mną.
Michał Römer".

28 maja, rok 1919, środa
Dzisiejsza sesja karna apelacyjna przeciągnęła się coś do godz. 8 wieczorem. Stało się to zarówno z powodu spóźnienia się ławników, którzy dopiero na godz. 12 w południe się stawili, jak z tego powodu, że dziś były sprawy szczególnie zawiłe, przewlekłe, wielokrotnie już odraczane, w których albo była moc świadków, albo też jakieś osobliwe łamigłówki wyroków I instancji. Dobrze mówi Trampler, że wydział karny apelacyjny można nazwać wydziałem raczej „operacyjnym", bo ogromna większość wyroków sądów pokoju nadaje się do operacji; są one tak skonstruowane, że nieraz nie wiadomo, o co ktoś jest oskarżany, lub za co właściwie skazany albo uznany winnym jednego jakiegoś przestępstwa, a kara nagle wyznaczona taka, która zgoła za te przestępstwo przewidziana nie jest. Ogromna większość sądów pokoju, zwłaszcza wiejskich, jest w wyrokowaniu w sprawach karnych – niemożliwa; ani przepisy procedury, ani przepisy prawa materialnego nie są stosowane należycie. Są tylko trzy

sądy, które świecą jak perły w tym morzu niedołęstwa: w Kolnie (mój następca, sędzia Święcicki), w Jedwabnym (sędzia Kaszubski, nie prawnik) i w Mazowiecku (sędzia Wysocki).
Wspomniałem przed kilku dniami o tym, że już od dłuższego czasu, od półtora mniej więcej roku, stosunek mój do wypadków wielkiej katastrofy dziejowej, którą przeżywa ludzkość, uległ głębokiej zmianie i że wypadki te oraz ruchy społeczne i narodowe zacząłem traktować jako zjawiska natury, niezależne od rozumu i woli jednostek. Trudno mi określić, kiedy mniej więcej do tego przekonania doszedłem. Odbywało się to stopniowo, za czasów mego pobytu w Kolnie. Właściwie to już i dawniej, od roku mniej więcej 1915-1916, wyczuwać zacząłem coraz mocniej potęgę żywiołu, działającego przez wypadki i słabość usiłowań działania ludzkiego tam, gdzie myśl i wola jednostki, choćby najrozumniejszej i najszlachetniejszej treści, nie idzie po linii działania żywiołu. Ale dopiero w ostatnich latach na psychice mojej zaciążyło to przeświadczenie szczególnie. Odebrało mi ono ochotę do jakiegokolwiek działania czynnego, ponieważ odebrało wiarę w skuteczność jego i zamykało mię coraz bardziej w roli biernego obserwatora. Nie powiem, żeby mi z tym było dobrze. Tęsknota do czynu budziła się nieraz, poczucie bezczynności, gdy wielkie wypadki toczą się dokoła i gdy się wykuwają formy świata na przyszłość, męczyło mię i czasem piekło wyrzutami sumienia, ale rozum, który mi mówił o próżności usiłowań tam, gdzie działa natura – paraliżował pobudliwość energii. Topiłem więc energię w pracy zawodowej sędziowskiej, pracując więcej, niż trzeba było, oddając się cały robocie, byle tylko zagłuszyć tęsknotę, wyczerpać całą moc sił swoich. Nigdy jednak nie byłem w stanie uśpić całkiem ten głupi instynkt czynu i znaleźć w pracy zawodowej, którą zresztą lubiłem, całkowite zaspokojenie tęsknot moich. Gdym czytał gazety, a zwłaszcza coś z Litwy lub o Litwie, skrzydła mi rosły, polot wzbierał we mnie; chciało mi się lecieć do wielkich czynów, do wielkich myśli, by zapładniać nimi układ stosunków i na nich rozwój wypadków budować. Musiałem tłumić w sobie te podniety psychiczne; mówiłem sobie: to bezcelowe, bo rozwój pójdzie nie tak, jak ty chcesz, ale tak, jak go określi wypadkowa z emanacji instynktów mas ludzkich; jeżeli chcesz działać, idź służyć woli podświadomej tych mas, stawaj się narzędziem którejkolwiek z działających sił, bądź na ślepo albo bolszewikiem, albo nacjonalistą litewskim, albo imperialistą polskim; idź takim na Litwę i czyń; ale wara ci iść z twoją myślą własną, z twoją wolą odrębną, która nie będzie ani jednym, ani drugim, ani trzecim: nie zdziałasz nic, spalisz się bezużytecznie i nawet pamięci ani śladu po sobie nie zostawisz! Nikt nawet nie dostrzeże, żeś był i żeś usiłował coś robić. Nie zależy to od tego, czy rozumna będzie twoja myśl, czy będzie ona szlachetna i piękna, czy byłaby w skutkach płodniejsza w kierunku pokoju i dobra powszechnego! Przewodnikiem mas ludzkich, gdy one do działania przychodzą, jest nie rozum, lecz instynkt i jego siła straszliwa inercji, która żadnych względów rozumnych słuchać nie chce.

29 maja, rok 1919, czwartek
Dzień dzisiejszy świąteczny spędziłem tak: do obiadu pracowałem w sądzie i odrobiłem moją porcję dzienną pracy. Obiad, pomimo święta, zjadłem w domu – tylko na wódeczkę z przekąską wpadłem do restauracji Rembielina. Po obiedzie i po drzemce poszedłem do Pruszanowskich. Wyciągnąłem Ezechiela na przechadzkę i poprowadziłem go do ogrodu miejskiego, gdzie się odbywała dziś zabawa z muzyką wojskową, z loterią fantową, z woreczkami confetti, z zaimprowizowaną cukiernią skautów. Wiedziałem od Lusi Roszkowskiej, że ona tam będzie. Istotnie, widziałem ją spacerującą z dwiema koleżankami, ale cóż mi stąd! Wolałbym ją widzieć chwilkę w moim samotnym gabinecie w sądzie, niż tu ją oglądać na przechadzce przy muzyce i

kwiatach w tłumach publiczności, nie mogąc z nią dwóch słów zamienić; gdybyśmy nawet mogli tu zamienić jakieś słowa, byłyby one banalne, których nie pragnę wcale. Wieczorem koło godz. 9 poszedłem do teatru, w którym łomżyńska drużyna harcerska dawała przedstawienie amatorskie. Wiedziałem, że Lusia tam będzie; mieliśmy się z nią tu spotkać. Czy była – nie wiem. Miała być w loży, ale jej nie widziałem. Mój wzrok krótki nie dał jej dostrzec, jeżeli była. W antraktach wychodziłem na papierosa do przedsionka teatru; kuluarów i sal w teatrze tym nie ma, toteż nie miałem gdzie szukać Lusi. Niestety! Gdzie i jak się z nią spotkać? Mamy w perspektywie przejażdżki łódką, ale czy dam radę z wiosłowaniem po Narwi i czy Lusia ze względów konwenansów towarzyskich będzie mogła się nagiąć do wycieczek łódką ze mną we dwoje! Gdybyż to gdzieś teren neutralny do poufnych spotkań z Lusią, jak było u mnie w gabinecie sędziowskim! Ba, dość tego, co krwawi, co należy do sfery osobistej! Bezpieczniejszy jest już dla mnie grunt zjawisk publicznych. Grunt uczuć, z których miłość zakwita, nie jest już dla mnie, a przynajmniej być nie powinien.
Owóż więc w tej materii, o której pisałem wczoraj: od dłuższego już czasu oddalam się świadomie coraz bardziej od stanu czynnego, wpadając w stan biernego obserwatora. Postanowiłem wyczekać i tylko się przyglądać, co z tego wszystkiego będzie i do czego właściwie ludzkość dojdzie w tym kryzysie gorączki społecznej i politycznej. Dwa razy tylko wyrwałem się z tego stanu, dwa razy jak wariat nagle rozwinąłem skrzydła do lotu i z wolą czynu, z podmuchem wiary, poleciałem na Litwę. Pierwszy raz było to w listopadzie roku ubiegłego, gdy wybuchła Rewolucja Niemiecka, gdy z Polski wielkim odruchem wygnano jednego dnia Niemców, gdy w Lublinie obwołał się rząd ludowy, Piłsudski przyjechał do Warszawy, Rada Regencyjna w Warszawie zadrżała w swych posadach. Zdawało mi się, że i na Litwie dojrzeją przemiany wielkie, że jak z podmuchem rewolucji w Niemczech zachwiały się w krajach przez nie okupowanych na wschodzie wszystkie stare twory, założone na podstawach wstecznych i utrzymywane starą polityką niemiecką, jak Rada Regencyjna w Polsce, jak władza hetmana Skoropadskiego[194] na Ukrainie, które zmiatają obecnie ruchy ludowe, jak zmiecione zostało cesarstwo w Niemczech, jak zmieciona została hetmańszczyzna przez powstanie Petlury[195], jak rozsypuje się w gruzy Rada Regencyjna pod tchnieniem lubelskiego zamachu stanu i imienia Piłsudskiego, tak runą też dotychczasowe twory na Litwie; zginie i Taryba, która wtedy jeszcze żadnej organizacji państwowej nie utworzyła i Komitet Polski w Wilnie, który przeciwstawiał nacjonalizmowi litewskiemu Taryby nie mniej jałową koncepcję polityki wszechpolskiej i że na ich miejscu wyrośnie potężny odruch ludowy o tchnieniu rewolucyjnym nie tylko społecznym, ale i polityczno-państwowym, który stopi dotychczasowe przeciwieństwa bez wyjścia i stworzy linię nową w kraju, swobodną i państwowotwórczą. Zerwałem się i na oślep pojechałem do Wilna, bez przepustek, łamiąc wszelkie przeszkody po drodze. Przyjechałem i po dwóch dniach przekonałem się naocznie, że nie jest tak, jak wymarzyłem i że jeżeli się na coś zanosi, to na zgoła co innego. Zastałem i Tarybę, i Komitet Polski, i okupację niemiecką. Spostrzegłem, że Taryba iść dalej myśli po tej samej linii, że Polacy litewscy w swoich organizacyjnych wyrazach hołdują koncepcji wszechpolskiej i jej poparcie dadzą, że rewolucja nie idzie z dołu od znękanych mas ludowych w kraju, z hasłami tworzonymi i z krajowych stosunków wysnutymi, ale idzie z zewnątrz, falą rabunków agrarnych na Białej Rusi i posuwającego się za nimi

[194] Skoropadski Pawło (1873-1945), generał rosyjski IV 1918 wybrany na hetmana Ukrainy; XII 1918 po upadku okupacji niemieckiej i dojściu do władzy S. Petlury wyemigrował do Niemiec.
[195] Petlura Semen (1879-1926), polityk ukraiński, członek ukraińskiej partii socjaldemokratycznej, od 1917 na czele ugrupowań dążących do utworzenia niepodległego państwa ukraińskiego, występował zarówno przeciw rządom hetmana P. Skoropadskiego, jak i sowieckiej Ukrainy.

automatycznie ze wschodu bolszewizmu rosyjsko-żydowskiego. Jechałem do Wilna z myślą, by tam pozostać; zaledwie przyjechałem – postanowiłem wracać i znów się w roli biernej obserwatora i w pracy zawodowej sędziego zamknąć.

30 maja, rok 1919, piątek
Do obiadu skończyłem całą moją dzienną robotę w sądzie. Wybrnąłem już teraz z zaległości i doprowadziłem moją robotę w sądzie do tego stopnia systematyzacji i uproszczenia, że, o ile to nie jest dzień lub przeddzień sesji, to czas do obiadu całkowicie mi wystarcza na bieżącą pracę, wyznaczoną na dany dzień, a po obiedzie jestem zupełnie wolny. Z wyrokami jest zupełnie dobrze: zaległych nie mam wcale, tylko pozostałe z ostatniej sesji I instancji i apelacyjne, które wykańczam tak metodycznie, że na przykład w nadchodzący wtorek, w przeddzień najbliższej sesji, będę zupełnie czysty – nie pozostanie mi ani jednego wyroku. Jak się przekonałem – cały sekret polega na systematycznym rozłożeniu roboty na dnie i niedopuszczanie do nagromadzania się zaległości. Wtedy robota idzie raźno i czasu zabiera mało. Jeżeli zaś raz dopuścić do zaległości, to potem rośnie ona jak na drożdżach.
Posłałem dziś do Lusi Roszkowskiej po ten list do Dąbskiego, o którego skopiowanie ją prosiłem. Odpowiedziała, że mi go sama przyniesie o godz. piątej – oczywiście do sądu. O piątej czekałem ją w sądzie w gabinecie moim. Byłem uradowany tą jeszcze jedną wizytą, tak nieoczekiwanie obiecaną. Przyszła Lusia, ale jakoś nam dziś bezbarwnie ta jej wizyta upłynęła. Nie było ani serdeczności szczególnej, ani tego nastroju tęsknoty i zgadywania się w niedomówieniach i przeczuciach, ani nawet pustej wesołości. Lusia zabawiła krótko i wyszła. Widziałem ją potem spacerującą bez końca po deptaku i po różnych ulicach z przyjaciółkami, którym zazdrościłem. Umówiłem się z Lusią na wycieczkę łódką za 10 dni w niedzielę pierwszego dnia Zielonych Świątek o godz. 6 po południu. Długo czekać, ale co zrobić! Pojedziemy z nią i z p. Cezarynką Kokoszko.
Gdym się wyrwał w listopadzie po wypędzeniu Niemców i pośpieszył do Wilna, zrywając z moim biernym stanowiskiem obserwatora – to było pierwszy raz. Po dwóch tygodniach jak niepyszny wróciłem, a właściwie byłem gotowy do powrotu już po dwóch dniach. Myślałem wtedy, że teraz już niełatwo i nieprędko mię coś wyrwie z mego stanu bierności. Aż oto w kwietniu wyrwałem się po raz drugi. Olśnił mię piękny projekt Piłsudskiego. Wprawdzie od razu wydał mi się on dość fantastyczny i daleki od tych zgubnych wprawdzie, ale za to konsekwentnych linii, po których szły dążenia bądź polskie, bądź litewskie, a przeto w obecnych warunkach żywiołowego rozwoju nierealny, ale pomimo pierwotnego sceptycyzmu, dałem się porwać wierze. Uniósł mię może nie tyle nawet sam projekt, którego piękno i mądrość odpowiadała moim pragnieniom, ile sam geniusz Piłsudskiego. Nie byłem zupełnie przekonany o wykonalności projektu, ale skłonny byłem weń uwierzyć dlatego, że pochodził od osoby Piłsudskiego, od tego dziwnego człowieka, który w czasach największej burzy żywiołów kroczy drogą walki i w sposób cudowny umie tworzyć czyn tam, gdzie zdają się móc wyrastać same chwasty bądź bezwładu, bądź faktów chaotycznych, spłodzonych ze ślepej gry elementów pierwotnych natury. Uwierzyłem w instynkt tego człowieka, w jego czucie dziejowe, które mi się zdało być drogowskazem pewniejszym od oczywistości pozorów i – pojechałem. Gdy po rozmowie z Vileišisem i Kairysem w Kownie prysło wszystko, gdy ujrzałem, że to jedyne założenie, na którym, podług mojego przekonania, można było opierać próbę budowania kooperatywnego programu Piłsudskiego na wschodzie, to założenie, którym było pozyskanie dobrej woli i współudziału Litwinów – okazało się niepozyskalnym, zwątpiłem od razu. Ujrzałem wtedy słabość całej koncepcji, słabość jej nie w idei, ale w sposobach i warunkach wykonania, zrozumiałem konkretnie, że bez udziału Litwinów całe to przedsięwzięcie

Piłsudskiego, które się zaczynało od wzięcia Wilna przez Polaków i które w jego koncepcji prowadzić miało do wspaniałego dzieła solidaryzmu i wielkiej kooperacji ludów na wschodzie, poprowadzi w istocie do nasycenia imperializmu polskiego, do podniecenia prądów panowania, do wprowadzenia do sprawy Litwy metod nacjonalizmu, militaryzmu i walki.

31 maja, rok 1919, sobota
Jak powiadam – w Kownie po odpowiedzi odmownej Vileišisa i Kairysa zwątpiłem od razu i radykalnie w cały program Piłsudskiego. Byłem nade wszystko zły na siebie, że się dałem znowu porwać chimerze, że się wyrwałem jak Filip z konopi z tym moim pośrednictwem do Litwinów, stając się wbrew woli narzędziem tego, co w istocie, siłą fatalizmu, prowadzić musiało nie do tego, co ja, olśniony programem Piłsudskiego, widzieć pragnąłem, ale do zaognienia sporu, do wprowadzenia w ten bierny stan polsko-litewskiego konfliktu czynnych elementów militaryzmu. Aczkolwiek, kierując propozycje moje i Piłsudskiego do Litwinów, dążyłem właśnie do tego, aby walce zapobiec, przewidując ją w przeciwnym razie, jednak stawałem wobec Litwinów na gruncie tego faktu – wzięcia Wilna – który był właśnie tej przyszłej walki zarzewiem, a zawiniłem przez to, żem nie spostrzegł, iż środek, użyty przeze mnie do zażegnania walki, jest środkiem oczywiście niezdatnym. Powinienem to był zrozumieć, powinienem był to z góry przewidzieć. Obraz, który mi w odpowiedzi nakreślił Vileišis, zdawał mi się być nieuniknioną konsekwencją i jedyną – zajęcie Wilna przez Polaków: wojna polsko-litewska, zatarg bez wyjścia, w którym obie strony są przekonane o słuszności prawa swego i żadna nie chce na rzecz drugiej ustąpić z tezy posiadania Wilna, zatarg, który rozstrzygnięty być może bądź przewagą siły, a więc metodą militaryzmu, bądź wolą czynników koalicji, a więc metodą dyplomatycznej dyktatury potęg wyższych, kierowanej względami nie wewnętrznego rozwoju Litwy ani też dobra bezpośrednio zainteresowanych sił, lecz względami interesów mocarstwowych obcych, płynących z potrzeb Francji lub Anglii. I jedna, i druga z tych metod w istocie nie rozwiązuje kwestii trwale, jak by ją zdolna była rozwiązać solidarystyczna kooperatywna koncepcja Piłsudskiego, jeno ją przesądza *ad hoc*, siłą faktu, nie uznanego przez tę stronę, przeciwko której on się zwróci. To więc, co już przeczuwałem poprzednio, ujrzałem wtedy w najczarniejszych barwach, a czując, że nic na to poradzić nie mogę i że wola jednostki nie zmieni tego, co się dokonywa żywiołowo, nie chcąc zaś rąk maczać w dzieło, tak dalekie od moich zamierzeń, postanowiłem jak najszybciej się z tego interesu wycofać i wrócić czym prędzej do mojego stanu biernego obserwatora, który się pilnie przygląda, ale nie robi nic. Byłem zły na siebie, żem się dał wyrwać i na dudka wystrychnąć. Postanowiłem sobie, że już teraz niczym się wzruszyć nie dam i spokojnie, z uśmiechem ironii, przyglądać będę, do czego się wreszcie dowariuje ten świat, do jakich ludzkość doigra się konsekwencji, mnożąc konflikty i antagonizmy, wikłając i komplikując coraz bardziej olbrzymi węzeł gordyjski zagadnień. Zdało mi się wtedy, że kto wie, czy nie jest jedynym na to wszystko lekarstwem bolszewizm. Metody nacjonalizmu, imperializmu i militaryzmu zawiodły i zbankrutowały. Ich dziełem i ich wyrazem najwspanialszym, do szczytu potęgi doprowadzonym, była ta Wielka Wojna. Czy rozwiązała ona cokolwiek? Nie! „Pokój”, który ona przynosi, jest tylko wyrazem pogwałcenia jednej strony przez drugą, pokonanej przez zwycięską, ale trwale nie rozwiązuje nic. Utrzymać się może tylko przemocą, dopóki pokonany nie zdobędzie sił do zrzucenia jarzma i zaprzeczenia „pokojowi” przemocy. „Pokój” ten – to takie same dzieło szponów siły, jakim był Pokój

Wersalski Bismarcka[196] po r. 1870 lub zeszłoroczny Traktat Brzeski. Nowe metody, które głosił światu Wilson, metody sprawiedliwości, uszanowania wzajemnych praw, swobodnego samookreślenia ludów, Związku Narodów – okazały się frazesem, któremu przeczy realna rzeczywistość faktów i praktyki wszystkich narodów, usiłujących w tym wielkim rozgardiaszu likwidacyjnym zagarnąć, gdzie się co da jak najwięcej bez żadnych względów na prawa czyjekolwiek, na jakieś uszanowanie woli czyjejś, prócz własnego apetytu. Związek Narodów! Łatwo jest uchwalić jego statut, ale dopóki narody w praktyce swego działania i swych stosunków wzajemnych nie zaczną dobrowolnie realizować jego zasad, dopóty będzie on formułą martwą, która co najwyżej może się stać nową formą ujarzmienia masy narodów słabszych przez oligarchię narodów-potentatów. Będzie on więc formą hegemonii, lecz nie związkiem istotnym. Pomimo bankructwa militaryzmu w znaczeniu narzędzia rozwiązania zagadnień, wszystkie narody go dziś na wszelkie skale stosują, ponieważ przekonały się, że jest on narzędziem pozyskania przemocy i dyktowania woli, a o to im przecie najwięcej chodzi. Toteż przyszło mi na myśl czy bolszewizm nie jest tym uniwersalnym lekarstwem, tą plagą i biczem narodów, przez Boga posłanym na Ludzkość. Oczywiście, że swoimi metodami nie rozwiązuje on sam bezpośrednio niczego. Dla niego zgoła nie istnieją te wszystkie zagadnienia stosunków między narodami, które trapią dziś świat. Robi on ze wszystkiego *tabulam rasam*[197], robi wielką pustynię, ani rozwiązuje, ani nie rozcina gordyjskiego węzła, pozostawionego w spadku po wojnie; po prostu go roztapia w błocie i nie zajmuje się nim wcale. Ale może dopiero w tym błocie ludzie i narody, przeszedłszy przez mękę bolszewizmu, nauczą się wreszcie uszanować siebie wzajemnie i odrodzą się. Może – choć przykład Wilna i tych krajów, które doznały bolszewizmu na sobie, nie wskazuje na ukojenie instynktów

1 czerwca, rok 1919, niedziela
Ze zwykłą systematycznością popracowałem kilka godzin w sądzie. Napisałem, jak zwykle, dwa wyroki, wyznaczyłem pięć spraw i już na godz. 11 byłem gotowy. O południu poszedłem na otwarcie przystani Towarzystwa Wioślarskiego na Narwi. Towarzystwo to ma cechy klubu. Funkcjonuje przez rok okrągły. Ma swój lokal w mieście przy Nowym Rynku, gdzie się mieści czytelnia, jest bufet, sala ze stolikiem do gry w karty, uprawianej przez członków. Towarzystwo Wioślarskie było dawniej w Łomży klubem całej inteligencji polskiej. Przed paru jednak laty na tle sporów partyjnych między lewicą demokratyczną a prawicą endecką wytworzyły się w łonie Towarzystwa jakieś niesnaski i zatargi, które doprowadziły do secesji prawicy. Elementy endeckie były w mniejszości i nie mogąc zapanować w Towarzystwie, wystąpiły zeń i utworzyły osobny klub towarzyski pod nazwą „Resursy Obywatelskiej". W Towarzystwie Wioślarskim pozostały elementy radykalniejsze oraz inteligencja urzędnicza *minoris gentium*[198] i garść młodzieży sportowej wioślarskiej. Urzędowo Towarzystwo jest apolityczne, faktycznie jednak jest ono bardzo blisko spokrewnione z tzw. Łomżyńskim Związkiem Demokratycznym, stanowiącym organizację polityczną radykalnej inteligencji. Lokal Towarzystwa Wioślarskiego służy do posiedzeń i pogadanek dyskusyjnych Związku Demokratycznego. Poza tym, w czasie karnawału lokal Towarzystwa, który posiada ładną salę, bywa wynajmowany do różnych zabaw i

[196] Bismarck Otto (1815-1898), polityk niemiecki, pierwszy kanclerz zjednoczonego cesarstwa niemieckiego; w wyniku zwycięstwa w wojnie francusko-pruskiej podyktował Francji niekorzystne preliminaria pokojowe, co zradykalizowało nastroje społeczne i doprowadziło do wybuchu Komuny Paryskiej.
[197] (łac.) tabula rasa – czysta karta.
[198] (łac.) minorium gentium – niższego rzędu, drugorzędne.

wieczorów publicznych. Od paru miesięcy zostałem przyjęty na członka Towarzystwa Wioślarskiego. Pod względem sportowym Towarzystwo Wioślarskie w Łomży ma w przeszłości tradycje, którymi się chlubi. Miało ono piękny tabor łodzi, miało wioślarzy wykwalifikowanych, biegłych w tym sporcie, brało nawet udział w wyścigach i konkursach wioślarskich w Warszawie. Przez czas wojny podupadło bardzo pod tym względem. Z taboru łodzi większa część została zagubiona lub zniszczona – pobrali je Rosjanie, potem Niemcy. Sprawienie nowych łodzi jest teraz rzeczą niesłychanie kosztowną, na którą Towarzystwo sobie pozwolić nie może. Z dawnego taboru pozostało Towarzystwu sześć łodzi, z których dwie są duże, na cztery wiosła wyścigowe, po jednym wiośle długim na wioślarza, o siedzeniach ruchomych (siodełka ruchome na kółkach), trzy łódki na 2-3 osoby, również z siedzeniami ruchomymi i długimi wiosłami i jedna łódka zwykła, z siedzeniem na ławeczce i parą zwykłych wioseł. Członkowie Towarzystwa Wioślarskiego mają prawo korzystać z łódek tych bezpłatnie. Na uroczystości otwarcia przystani było osób kilkadziesiąt, ale niezbyt dużo na ogół. Jedni raczyli się wódką i przekąskami w bufecie, inni popisywali się sportem na rzece. My z Ezechielem należeliśmy do pierwszych. Pod wieczór poszedłem znów na tę przystań z adwokatami Lachowiczem i Wołodkiewiczem, aby się przejechać łódką po rzece. Mniejszych łodzi nie zastaliśmy, bo już były rozchwytane. Urządziliśmy więc krótką przejażdżkę na łodzi czterowiosłowej. Do wioseł usiedliśmy: Wołodkiewicz, Lachowicz, student Marconi – dobry wioślarz – i ja; sterował i dyrygował nami drukarz Wejmer. Po raz pierwszy jechałem i wiosłowałem łódką wyścigową na ruchomym siedzeniu; dawałem sobie radę nieźle i miałem w tej przejażdżce przyjemność. Zamierzam obecnie stale co dzień w godzinach rannych – między 7 a 8 – udawać się na rzekę na krótką wycieczkę łódką. Będzie to rozrywka i fizycznie zdrowy sport. A zwłaszcza teraz muszę się wytrenować, aby w przyszłą niedzielę być gotowym do wycieczki, zaprojektowanej z p. Lusią Roszkowską i Cezarynką Kokoszko.

2 czerwca, rok 1919, poniedziałek

Mój zamiar codziennej samotnej porannej wycieczki łódką po Narwi, który od dziś wykonywać chciałem, chybił. Okazało się bowiem, że podług regulaminu Towarzystwa Wioślarskiego jeździć na łódeczkach o długich wiosłach i ruchomym na kółkach siedzeniu – bez sternika – nie wolno. Muszę więc mieć zawsze jakiegoś towarzysza do tych wycieczek. Jest wprawdzie jedna łódź o zwykłych krótkich wiosłach z siedzeniem prostym na ławce, którą wolno jeździć bez sternika, ale jest ona za ciężka do jazdy po rzece, której prąd jest ostry. Myślę dobrać sobie za towarzysza do steru albo Józię Pruszanowską, albo Janusza Tukałło, syna cioci Rózi, który zajmuje posadę inżyniera powiatowego w Kolnie, obecnie zaś przebywa prawie że stale w Łomży, zastępując czasowo inżyniera powiatowego na pow. łomżyński.

Przechodzę do omówienia sprawy litewskiej. W Kownie pod wpływem pierwszego wrażenia odmowy Litwinów przesadziłem trochę obawę bezpośrednich konsekwencji zajęcia Wilna przez Polaków. Zdawało mi się, że dojdzie natychmiast do formalnego zerwania między Polską a Litwą Taryby, do wojny polsko-litewskiej, słowem – do takiego stanu, jaki się wytworzył od jesieni w stosunkach polsko-ukraińskich na gruncie sporu o Lwów i Galicję Wschodnią. Trochę się co prawda wkrótce uspokoiłem. Należało wyczekać, jakie wrażenie sprawi na Litwinów fakt dokonany zajęcia Wilna przez Polaków i dalsze wypieranie bolszewików z kraju i jaki będzie wpływ tych faktów na psychologię Litwinów w stosunku do programu niepodzielności państwowej Litwy w związku z Polską, jak również jaki będzie efekt tego programu w polityce polskiej po zajęciu Wilna: czy hasła tego programu znajdą pewne zrozumienie w Polsce, czy zdołają przynajmniej powstrzymać politykę polską od bezpośredniego

realizowania imperializmu polskiego na Litwie, czy też, nie wywołując szybkich działań w tym kierunku w kraju, zamrą i ustąpią gorącej fali imperializmu polskiego. To ostatnie było najgroźniejsze, bo gdyby Polska zajęła względem Litwy, a przynajmniej Wilna i Białej Rusi katolickiej, stanowisko imperialistyczne, raczej aneksyjne, to oczywiście wyłączonym by było raz na zawsze jakiekolwiek przekonanie się Litwinów do idei porozumienia i kooperacji z Polską. Jundziłł nalegał na mnie w Kownie, aby się nie zniechęcać i zaczekać na konsekwencje zajęcia Wilna. W Warszawie po drodze z Kowna do Wilna nabrałem pewnej otuchy z rozmowy z Šaulysem, u którego dostrzegłem wielką chęć do nawiązywania rokowań, aczkolwiek jego stanowisko różniło się znacznie od zasadniczej idei programu Piłsudskiego i zawierało w sobie dużo pierwiastków jaskrawego nacjonalizmu litewskiego. Wilno było już zajęte, odezwa Piłsudskiego była już w Wilnie wydana, chociaż wtedy jeszcze nie była znana dokładnie w Warszawie i nie było jeszcze tego z powodu niej hałasu, jaki się zrobił potem. Piłsudski zorganizował na Wilno i Litwę zarząd prowizoryczny w osobie generalnego komisarza Osmołowskiego; zarząd ten był formacją pośrednią: nie był on tym rządem litewskim, który był projektowany przez Piłsudskiego pierwotnie i miał być wyrazem odrębnej państwowości Litwy, a który mógł być utworzony tylko wspólnie z Litwinami, ale nie był też rozciągnięciem na Litwę właściwego rządu polskiego. Miał on być tym prowizorium, wprawdzie z ramienia dowództwa polskiego, ale z uszanowaniem odrębności Litwy, której losy, w myśl odezwy wileńskiej Piłsudskiego, powinny być przesądzone swobodną wolą jej własnej ludności, nie zaś jednostronną wolą Polski. W Wilnie, gdym przyjechał, nie miałem co robić w zakresie mojej misji; opowiedziałem Witoldowi Abramowiczowi o mojej akcji kowieńskiej i jej wyniku i na tym się skończyło. Tymczasem w Wilnie toczył się jeszcze bój między Polakami a bolszewikami o posiadanie miasta; nad kwestiami politycznymi dominowała kwestia militarna. Brak tam było elementów do podniesienia wątku jakichkolwiek dalszych układów z Litwinami. Litwini miejscowi, których jednak pozostało w Wilnie sporo (Michał Biržiška, Janulaitis, Żmujdzinowicz[199], Mašiotas[200], Kimont[201], Gaidelionis[202] i inni) zorganizowali się w Komitet Litewski i rozpoczęli wydawnictwo pisma pod tytułem „Nepriklausomoji Lietuva"[203], którego sam tytuł symboliczny świadczył o kategorycznym stanowisku Niepodległości i które traktowało Polaków w Wilnie jako nowych okupantów stolicy kraju. Komitet Litewski w Wilnie zajął stanowisko rezerwy co do jakichkolwiek stosunków z Polakami i dążył do nawiązania przede wszystkim kontaktu z Kownem, nie chcąc nic przesądzać na własną rękę bez wiedzy i dyrektyw z Kowna, do tego stopnia, że Litwini odmówili nawet udziału w zarządzie miejskim, tworzonym z ramienia Polaków na zasadzie współuczestnictwa wszystkich narodowości. Rezerwa Litwinów wileńskich była zresztą zrozumiała. Słowem – nie angażowali się oni do niczego, stanęli na uboczu i tylko pilnie obserwowali. Nie miałem co robić w tych warunkach w Wilnie, tym bardziej, że i Zygmunt Jundziłł, mój współpracownik z Kowna, gdzieś znikł, i że narażałem się na niebezpieczeństwo być odciętym i pochwyconym przez bolszewików w mieście w razie sukcesu ich ofensywy.

[199] Žmuidzinavičius Antanas (1876-1966), malarz, członek kolegium sztuk plastycznych w okresie Litwy Radzieckiej, jeden z założycieli Komitetu Litewskiego w Wilnie w kwietniu 1919.
[200] Mašiotas Pranas (1863-1940), działacz społeczny, pedagog, pisarz, od 20 XI 1919 wiceminister oświaty w rządzie litewskim.
[201] Kimont, Kymantas Jonas (1854-1924), adwokat, działacz litewski w Wilnie. W 1920 r. burmistrz Wilna.
[202] Gaidelionis Povilas (1870-1935), nauczyciel, działacz litewski w Wilnie, jeden z założycieli gimnazjum litewskiego w Wilnie (1915).
[203] „Nepriklausomoji Lietuva", pismo litewskie w Wilnie, tygodnik, z przerwami wydawany w Wilnie w latach 1919-1920. Redaktorze: Juozas Tumas, Stasys Matulaitis.

Uważałem przeto za bardziej wskazane udać się do Warszawy, gdzie bawił zarówno Piłsudski, jak komisarz generalny Osmołowski, jak wreszcie Šaulys. Zdawało się, że jeżeli można będzie coś nawiązywać, to tylko tam w Warszawie z tymi ludźmi.

3 czerwca, rok 1919, wtorek
Zamiast opisywać szczegółowo różne stadia, przez które przechodziła w czasach ostatnich w Polsce sprawa Litwy, przytoczę tu w kopiach dwa listy, które w tej sprawie napisałem do posłów Dąbskiego z grupy „Piasta" i Mieczysława Niedziałkowskiego[204] z PPS. Listy te zawierają całą analizę obecnego stanu sprawy Litwy i stosunku do niej Polski.
Zewnętrzny bieg wypadków od czasu mego pobytu w Wilnie był w tej sprawie taki: na odezwę Piłsudskiego, gdy się ona stała wiadomą w Warszawie, Sejm w ostatnich dniach kwietnia odpowiedział kilku wnioskami nagłymi, w których ostro napadł na Naczelnika Państwa za samowolne wbrew poprzednim uchwałom sejmowym kreślenie zasad polityki litewskiej w duchu jakiejś państwowości Litwy i domagał się od rządu konsekwentnego włączenia do Polski północno-wschodniej dzielnicy polskiej z Wilnem (czytaj: Białej Rusi katolickiej). Tego rodzaju wnioski nagłe, których zgłoszono analogicznych kilka, wyszły nie tylko od prawicy, ale nawet od ludowców grupy „Piasta", Sejm uchwalił ogromną większością (przeciwko ludowcom grupy „Wyzwolenia" i socjalistom PPS) ich nagłość. Wniosek ludowców „Wyzwolenia", zredagowany w duchu odezwy Piłsudskiego, upadł. Zdawało się, że Sejm stanął kategorycznie na stanowisku imperialistycznym w stosunku do Litwy i że polityka, oparta na programie Piłsudskiego i zapoczątkowana jego odezwą, przepadła. Te wnioski nagłe Sejmu przeczytałem w Białymstoku, gdym wracał z Wilna. Wyczułem wtedy zupełną jałowość jakichkolwiek dalszych usiłowań nawiązywania nici w duchu mojej wyprawy kowieńskiej. Postanowiłem zabawić w Warszawie jak najkrócej i wracać do Łomży. Jeżeli w Polsce imperializm bierze zdecydowaną przewagę w stosunku do Litwy, nie ma co myśleć o pozyskiwaniu Litwinów do współdziałania. Wprawdzie od Šaulysa i Osmołowskiego w Warszawie dowiedziałem się, że zapał imperialistyczny kół sejmowych, które przed paru dniami zamanifestowały imperializm we wnioskach nagłych, został oblany zimną wodą depesz Paderewskiego z Paryża i że nawet endecja zaczyna rejterować, ponieważ Paderewski dał do zrozumienia, że w obozie Koalicji może znaleźć poparcie tylko polityka w duchu Piłsudskiego i że jeżeli Polska chce coś ze swej akcji litewskiej osiągnąć, to tylko tą metodą, nie zaś hasłami aneksji, wyrażonymi w nagłych wnioskach sejmowych, to jednak nie przekonałem się zupełnie i rozumiałem, że niepodobieństwem jest, aby prawica i cała większość sejmowa nagle się dała pod wpływem Koalicji przekonać szczerze i przerzucić od bezwzględnego imperializmu do zaakceptowania związkowego programu Piłsudskiego, zbudowanego na zasadniczo odrębnej koncepcji. Wróciłem do Łomży i śledziłem bacznie dalszy bieg sprawy. Paderewski przyjechał z Paryża. Jego kampania na rzecz programu Piłsudskiego zachwiała stanowisko większości i nawet prawicy sejmowej. Rozumiałem, że prawica nie nawróci się szczerze i jeżeli zmieni front, to tylko z musu. Była jednak chwila, w której sądziłem, że istotnie prawica poniosła porażkę i że tezy polityki Piłsudskiego jednak zwyciężą; że choćby prawica nieszczerze przyjęła nową koncepcję, to przecież zmuszona będzie z nią się pogodzić, bo siłą rzeczy, wolą Koalicji i perswazją Paderewskiego, opinia polska dokona sama zwrotu i sforsuje prawicę. Mój list do Witolda Abramowicza, który skopiowałem w dzienniku, był wyrazem tego optymizmu, jaki wówczas chwilowo mię napełnił. Trwał on jednak krótko. Debata

[204] Niedziałkowski Mieczysław (1893-1940), publicysta, działacz polityczny, od 1914 w PPS, 1919-1935 poseł na sejm.

sejmowa w sprawie Litwy przekonała mię, że tak dobrze nie jest. Wprawdzie lewica odniosła formalnie zwycięstwo i uchwalona została rezolucja w myśl wniosków Daszyńskiego[205] i Paderewskiego, to jednak właściwa idea pierwotnego programu Piłsudskiego została w tym zwycięstwie pogrzebana. Większość nie wyrzekła się bynajmniej istoty swych dążeń imperialistycznych, jeno zmieniła ich formułę, biorąc ją z odezwy Piłsudskiego. Zanalizuję tę rzecz w skopiowaniu moich listów do Dąbskiego i Niedziałkowskiego, do czego się jutro zabiorę.

4 czerwca, rok 1919, środa
Dzień mi upłynął przeważnie na sesji apelacyjnej karnej. Ponieważ ławnicy przyszli późno i sesja rozpoczęła się dopiero koło południa, więc po obiedzie przeciągnęła się ona dłużej – gdzieś do godz. 6. Na wokandzie były same kradzieże. Choć należą one niby do najcięższej kategorii spraw w zakresie właściwości sądów pokoju, ale są w instancji apelacyjnej najłatwiejsze, bo zwykle najprostsze; wyroki też sądów pokoju są w tych sprawach względnie najdokładniejsze.
Zaczynam więc dziś kopiowanie moich dwóch listów w sprawie litewskiej – do posłów Dąbskiego i Niedziałkowskiego. Geneza mego list do Dąbskiego taka: Dąbski w swoim przemówieniu w Sejmie w sprawie Litwy powołał się na rozmowę ze mną w Wilnie i użył świadectwa mego na potwierdzenie swoich wniosków, które, acz przyjmują formułę odezwy Piłsudskiego, to jednak zmierzają do pochłonięcia Wilna z Białą Rusią katolicką przez Polskę. Oto treść mego listu:
„Łomża, 25 V 1919.
Szanowny Panie!
Dziś wyczytałem w gazetach warszawskich streszczenie mowy Pańskiej w Sejmie, wypowiedzianej w czasie debaty nad oświadczeniem Paderewskiego i rezolucją w sprawie ziem wschodnich. W mowie tej powołał się Pan na moje słowa, wypowiedziane w Wilnie na zebrańku, na którym miałem przyjemność spotkać się z Panem. Co najmniej nieściśle oddał Pan myśl moją, toteż pozwolę sobie przypomnieć Panu jej istotę i wyłuszczyć ją dokładniej, a robię to nie w tym bynajmniej zamiarze, aby dać satysfakcję sobie i uniknąć nieporozumienia co do posługiwania się moimi argumentami na rzecz wniosków – *pasous le mot* – aneksyjnych, ale w tym zamiarze, aby Szanownemu Panu, jako wybitnemu parlamentarzyście i politykowi polskiemu, dać sposobność poznania i należytego zrozumienia tego kierunku myśli obywatelskiej w Litwie, którego wyrazem była zawsze moja działalność i z którym polityka polska, niezależnie od tego, jak się stosunek Litwy historycznej do Polski ułoży, będzie się zawsze równolegle do innych kierunków spotykać. Wychodzę z założenia, że wszelkie poznanie i zrozumienie jest dla polityka pożądane i dlatego piszę do Pana, a czynię to tym bardziej chętnie, że mam przekonanie, iż cele aspiracji naszych są sobie dość bliskie, choć metody i drogi są wielce różne.
Jeżeli gazety dobrze streściły ten ustęp mowy Pańskiej – miał Pan powiedzieć, iż rzekomo ja przyznałem Panu, że koncepcja Wielkiego Xięstwa Litewskiego jako państwa odrębnego, to znaczy zapewne niepodzielnego, jest absolutnie obca Polakom litewskim i stanowisko ich (czy Polaków litewskich?) jest zupełnie odosobnione. Musiał mię Pan zrozumieć niedokładnie. Być może zresztą, sam jakoś w przemówieniu moim niedokładnie się wyraziłem albo nie rozwinąłem może w całej pełni tej myśli mojej, albowiem trudno nieraz wyłuszczyć w jednym przemówieniu to wszystko, co poniekąd od abecadła należałoby wykładać tym, którzy podłoża naszych stosunków krajowych w Litwie nie znają tak, jak znamy my.

[205] Daszyński Ignacy (1866-1936), działacz polityczny; 1914-1917 w Naczelnym Komitecie Narodowym; XI 1918 premier Tymczasowego Rządu Ludowego w Lublinie; 1919-1930 poseł na sejm.

Nie twierdziłem, proszę Pana, że w ogóle koncepcja państwa litewskiego ze stolicą w Wilnie i w związku z Polską jest obca Polakom litewskim. Chodziło mi o ustalenie tylko tego faktu, że klucz do takiej formacji, która, zdaniem moim, jak to wskażę niżej, ma pod wielu względami wyższość nad innymi, leży w ręku Litwinów właściwych i dopóki ci ostatni nie poprą tej koncepcji, dopóty będzie ona martwą, albowiem dopóki Litwini stać będą na stanowisku państwa litewskiego jako ich państwa ściśle narodowego i rozciągać je na Wilno i na katolicko-białoruską część Litwy, co oczywiście, jak już tendencje Taryby wykazały, miałoby cechy panowania Litwinów na Wilnie i na tym kraju, a więc panowania nad innymi, a w tej liczbie i nad Polakami litewskimi, dopóty Polacy litewscy, przeciwni supremacji Litwinów i nie pragnący bynajmniej dostać się z jednego panowania pod inne, choćby litewskie, będą się usiłowaniom tym przeciwstawiali i szukali wyjścia w drodze wcielenia do Polski. Ale tylko o tyle i tylko dopóty. Zasadniczo te tendencje się zmienią, jeżeli Litwini zrozumieją błąd, jaki popełniają, usiłując budować na Wilnie i na Białej Rusi katolickiej Litwę narodową i jeżeli zaakceptują w budowie państwowej Litwy konsekwencje, płynące z historycznego układu stosunków w kraju, to znaczy jeżeli zrozumieją i przyjmą ten fakt, że Litwa jest krajem mieszanym, krajem o odrębnych strefach przewagi tej lub innej kultury narodowej i że Wilno jest w równej mierze stolicą i ośrodkiem dla wszystkich, jest stolicą współżycia, nie zaś panowania, wiązadłem kooperacji kulturalnej ludów krajowych, nie zaś narzędziem podporządkowania jednych innym”... Dalszy ciąg nastąpi jutro.

5 czerwca, rok 1919, czwartek
Dalszy ciąg mego listu do posła Dąbskiego z d. 25 V 1919:
„... Istotnie same miasto Wilno, o ile uwzględnimy ludność chrześcijańską, ma przeważające oblicze kulturalne polskie. Wszakże terytorium, na którym ono stoi, etnograficznie polskim nie jest i nie łączy się bezpośrednio z Polską etnograficzną. Niepodobna guberni grodzieńskiej i południowej części wileńskiej, gdzie wpływy polskie są najsilniejsze, utożsamiać jednak etnograficznie z Polską. Ten kraj, zwany Białą Rusią katolicką, nie jest przecież Polską, choć byśmy go nazwali, jak to gdzieniegdzie w prasie warszawskiej się robi – Białopolską. Rdzeń ludności polską nie jest; jest ona białoruską, nakropioną pierwiastkami litewskimi, ma charakter swoisty, który starty z niej bez gwałtu być nie może, ma swój charakter etniczny i swoją kulturę ludową. Wpływy kulturalne polskie są tu rzeczywiście bardzo duże; polskość i katolicyzm nie stanowią tu rdzenia, ale są tym klejem, tym cementem, który wiąże ten kraj z Wilnem i nawet z Litwą etnograficzną na zachodzie. Ta właśnie rola polskości i katolicyzmu na Litwie jest źródłem ich mocy dziejowej, ich ostoją w kraju. Polskość nie była tu dawniej nigdy narzędziem jakiegoś ujarzmienia, podporządkowania kraju celom na przykład kolonizacji polskiej, o czym, niestety, zaczynają dziś marzyć w Warszawie, ani panowania Polski etnograficznej nad Litwą, ani zaboru, ale była spoidłem wewnętrznym różnoetnicznego kraju, narzędziem kooperacji żywych sił krajowych, czynnikiem twórczym i cennym. To zadanie polskości w kraju wyczerpane nie jest, rola i potrzeba, której ona służyła, nie są już dziś i na przyszłość zamknięte; przeciwnie – w dobie, gdy kraj wychodzi z jarzma długiej niewoli, zadania tych pokojowych czynników kultury i twórczości, mających tak ustalone w stosunkach krajowych oparcie, jest szczególnie ważne i dodatnie, toteż bądźmy bardzo ostrożni, dotykając tych rzeczy i usiłując kształtować formy budowy przyszłego rozwoju, abyśmy czegoś nie zepsuli w tym historycznym pięknym mechanizmie działania i upraszczając zbytnio problem oraz wyciągając z dostrzeżonych na pierwszy rzut oka założeń wnioski zbyt pochopne, zbyt pozornie tylko logiczne, jak wniosek o aneksji gub. grodzieńskiej,

wileńskiej i Wilna, nie zaprzeczyli zasadom dziejowym – nie popełnili fatalnego błędu, który nie przyniesie ani korzyści bądź zaszczytu Polsce, ani też pomyślności i pokoju Litwie.
Nazwał mię Pan, jak podają gazety, socjalistą, choć nim nie jestem i nigdy nie byłem. Istotnie jestem demokratą szczerym i wielkim miłośnikiem ludu i kraju mojego. W Ojczyźnie mojej, choć osobiście jestem kultury polskiej i należę do rodziny całkowicie spolonizowanej i arystokratycznej, zarówno bliskim mi jest Litwin, jak Białorusin, jak Polak litewski, jak cała masa „tutejszych", którzy nawet sami swej dokładnej narodowości określić nie umieją. Dla mnie Litwini, Białorusini, Polacy litewscy – nie są jakimiś wrogimi nawzajem elementami, pomiędzy którymi zasadą ma być, aby jednych przerobić na innych. Nacjonalizmu nie wyznawałem nigdy. I pomimo to, chociaż jestem z przekonań demokratą i moje sympatie ludowe idą bardzo daleko, chwilami dziś żałuję, że z ramienia Polski ma dziś w sprawie stosunku jej do Litwy głos zabierać i wpływ decydujący posiadać chłop polski, chłop, do którego należy Sejm w Warszawie i który za mało ma czucia historycznego, szczególnie w sprawach tak subtelnego wymagających czucia, jak sprawa Litwy i stosunku do niej Polski. Chłop ten chce ziemi, chce być kolonistą, chce usadowić państwo swoje tam, gdzie spodziewa się tę ziemię znaleźć. Już to jedno mąci stosunek jego do problemów tak złożonych, jak problem stosunku do Litwy. Najprostszym wydaje mu się wcielenie Litwy, zabór, którego nie uważa zresztą za zabór, jeno za konsekwencję historyczną, bo historii nie zna i nie rozumie, a jego politycy nie znają stosunków w tej „Białopolsce", o której dowiadują się i chcą przesądzić na zasadzie jakiejś jednej wycieczki do Wilna w tydzień po wygnaniu bolszewików, a następnie, zbyt pewni siebie, ze zwolenników czystej aneksji, proklamują się nagle zwolennikami „plebiscytu", albowiem, jak twierdzą, przekonali się, że plebiscyt spełni ich wolę aneksji. Ten sam zupełnie błąd, zdaniem moim, szkodliwy i z tych samych pobudek pragnienia ziemi i kolonizacji, popełniają chłopi z przeciwnej strony, z obozu Litwinów, którzy również w analogiczny uproszczony sposób traktować chcą owe tereny Białej Rusi katolickiej. Tak jedna, jak druga formuła aneksji – czy płynie z Polski etnograficznej od chłopów polskich i ich polityków, czy też płynie z etnograficznej Litwy, od litewskich chłopów z ich politykami – jest zła! ...".
Dokończenie jutro.

6 czerwca, rok 1919, piątek
Dokończenie mego listu do posła Dąbskiego:
„... Kojące i wiążące , pokojowo-twórcze działanie polskości na Litwie i Białej Rusi katolickiej ma wewnątrz samego kraju swoje założenia i czynniki, ma w samym wnętrzu stosunków krajowych swoje narzędzia wpływów. Jeżeli Litwa zbudowana będzie na zasadach równości obywatelskiej z własną stolicą Wilnem, bez rozszarpania jej pomiędzy sąsiadów, to rola twórcza tych narzędzi wpływów i działania polskości, które historycznie w niej swą misję dodatnią pełnią, uwydatni się i będzie twórcza, użyteczna dla kraju, dla kultury ludzkiej, dla samej Polski także, która znajdzie w Litwie sąsiada i przyjaciela wiernego, towarzysza współpracy dziejowej, wiążącego, co daj Boże, dzieło państwowe Polski z dziełem dalszych ludów Północy i Bałtyku. Ale jeżeli działanie twórcze polskości w kraju będzie wyrwane z jego założeń naturalnych, tkwiących wewnątrz stosunków krajowych i przeniesione na grunt Warszawy, zasadzone w Sejmie centralnym Polski i w polskich władzach państwowych, które wyrażać będą interesy polskie, stosowane do Litwy, to tą drogą Panowie nie tylko nie zbudują dzieła trwałego w Litwie czy Białej Rusi katolickiej, nie tylko nie spełnią historycznej tradycji Rzeczypospolitej Jagiellonów, nie tylko w narodzie litewskim

przez pozbawienie go Wilna nienawiść do Polski obudzą, ale i w tej prowincji zdobytej, Białej Rusi czy też „Białopolsce", doczekają się zakłócenia stosunków i fermentu odruchów separatystycznych, do czego niewątpliwie przyjdzie, skoro się już w samym założeniu budowy nie uszanuje przesłanek historycznych. Z pięknej tradycji roli polskości w kraju zrobią Panowie pustynię.
Oczywiście zależy to – z jakiego stanowiska rzeczy traktować. Ja je traktuję ze stanowiska Litwy i dobra jej ludu, jeżeli zaś traktować ze stanowiska interesów kolonizacji chłopa polskiego, to można traktować inaczej, ale wtedy nie należy się na wzgląd na Litwę powoływać.
Powtarzam więc: o ile Litwini upieraliby się przy rozciąganiu na Wilno swego panowania narodowego, o tyle Polacy litewscy przeciwstawialiby temu dążenie do wcielenia kraju do Polski. Gdy wszakże Litwini zejdą ze stanowiska aneksji i pójdą na rzecz tworzenia państwa wspólnego z Białą Rusią katolicką, państwa, w którym polskość swą historyczną na Litwie rolę pełnić będzie, o tyle Polacy litewscy, mający zapewniony związek tego państwa z Polską, związek federacyjny, aneksji hołdować też nie będą. Litwini gotowi są iść na to, ale największą przeszkodą zaczyna być dziś dążenie Polski do panowania bezpośredniego na ziemiach Litwy (Białej Rusi katolickiej z Wilnem).
Nie wiem, czy wszystko jest Panu jasne w tym, co napisałem. Bardzo chętnie bym bezpośrednio pokonferował z Panem w tej materii, gdybyśmy się kiedy spotkali. Problemat nie jest tak prosty, żeby się w prostej aneksji dał rozwiązać, gdyby nawet dziś przygodnie plebiscyt wydał taki rezultat.
Łączę wyrazy prawdziwego uszanowania (podpis:) Michał Römer."
Skopiuję także w dzienniku mój drugi list w tejże sprawie Litwy – do Mieczysława Niedziałkowskiego, młodego Wilnianina, który przed laty kilku był jeszcze w Wilnie przywódcą młodzieży postępowej polskiej, a obecnie jest posłem do Sejmu z Płocka i należy do stronnictwa PPS. Ale zacznę to już jutro lub pojutrze. Ten drugi list jest jeszcze dłuższy od pierwszego.
Wczoraj wieczorem poszedłem na koncert publiczny, urządzony przez jedno z towarzystw miejscowych na rzecz żołnierzy, pochodzących z Łomży. Koncert miał miejsce w sali gimnazjum męskiego przy ul. Adamowskiej. Pomimo że padał deszcz i że samego koncertu, jako takiego, zbytnio ciekaw nie byłem, poszedłem li tylko dlatego, że mi przeczucie mówiło, iż spotkam tam Lusię Roszkowską. Wiem, że biedaczka, mało mając w Łomży rozrywek, korzysta z takich okazji i bywa zwykle na różnych przedstawieniach amatorskich, koncertach, zabawach itp. Jakoż przeczucie mię nie zawiodło. Widziałem Lusię. Niestety – nie miałem okazji zbliżenia się do niej, bo była ona zresztą w towarzystwie kilku nieznajomych mi panienek. Ale już sam jej widok był dla mnie przyjemny; stęskniłem do jej widoku, toteż była to dla mnie przyjemność o wiele większa od koncertu; ten ostatni był słaby. Mam nadzieję, że uda mi się po wakacjach letnich zdobyć dla Lusi Roszkowskiej posadę w sądzie w moim wydziale apelacyjnym karnym. Etat bowiem pracowników w sądzie ulegnie pewnemu zwiększeniu; dodany będzie jeden sędzia, jeden wiceprezes i pięciu kancelistów. Z tych pięciu kancelistów co najmniej jeden, a właściwie należałoby dwóch – przypadnie na mój wydział apelacyjny. Aczkolwiek mianowanie kancelistów należy do prezesa sądu, to jednak prezes liczy się zapewne z wolą sędziego, kierującego odpowiednim wydziałem. Będę nastawać, aby Lusia była przyjęta; była ona od dawna kandydatką na posadę w sądzie i Główna Komisja Wyborcza specjalnie ją poleciła prezesowi, ale nic z tego nie wyszło. Teraz muszę to doprowadzić do skutku.
Na koncercie spotkałem się z moim dawnym komendantem kompanii, a później baonu, w którym służyłem w Legionach, z dawnym porucznikiem, później kapitanem, a dziś

już majorem Dąbem-Biernackim[206]. Dowodzi on teraz pułkiem (V pułkiem Legionów). Pułk jego jest na froncie litewskim, był w Wilnie, a ostatnio walczy z bolszewikami pod Święcianami. Dąb bawi tu tylko przelotnie – przyjechał do żony. Bardzom się ucieszył z tego spotkania.

7 czerwca, rok 1919, sobota
Wczoraj rano mogłem wreszcie spełnić moje marzenie rannych wycieczek łódką po Narwi. Towarzyszył mi na łódce Janusz Tukałło w charakterze „sternika”, bez którego, podług regulaminu Towarzystwa Wioślarskiego, puszczać się na rzekę nie wolno. Dopłynęliśmy w pół godziny w górę rzeki do drugiego mostu i wróciliśmy nazad z biegiem wody do przystani. Łódeczka „Balladyna”, którąśmy jechali, ma różne felery: podpórka dla wioseł za niska, rączki wioseł są za długie, widocznie dopasowane do szerszej łodzi, wskutek czego wiosła zawadzają i trzeba jedną ręką pod drugą podsuwać, bo się obie równolegle nie mieszczą, wreszcie siodełko ruchomego siedzenia zapada w głąb i unieruchamia się. Ale pomimo tych braków przyjemnie było jechać, bo łódka z powodu długich sportowych wioseł leciutko idzie przeciwko wodzie, nawet przy siedzeniu nieruchomym.
We dnie miałem wczoraj sesję karną I instancji. W jednej sprawie – o napad bandycki – wymierzyłem karę najcięższą, jaką mi się dotąd w praktyce sędziowskiej trafiło – 6 lat ciężkiego więzienia. Już i moje sumienie sędziowskie zaczyna się obarczać ciężarem kar, wymierzonych na różnych ludzi. Oby tylko w tych karach nie było pomyłek sądowych, skazujących ludzi niewinnych. W zawodzie sędziowskim pomyłki są zawsze możliwe; stanowią one najcięższą tego zawodu odpowiedzialność.
Wieczorem poszedłem wczoraj do lokalu Towarzystwa Wioślarskiego na doroczne ogólne zebranie. Na zebraniu tym przewodniczyłem. W bufecie i przed zebraniem, i w przerwach sporo piłem z różnymi osobami wódki, a wreszcie po zebraniu zaprosił mię na wódeczkę Lachowicz. Raczyliśmy się w kilku, a że już miałem dobrze w głowie, więc się upiłem zupełnie. Zdaje się, że wyszedłem z lokalu Towarzystwa jeszcze nieźle, przynajmniej bez skandalu, chociaż musiałem się już dobrze zataczać idąc. Jak przez sen przypominam sobie, że towarzyszył mi przy wyjściu drukarz Wejmer, ale co było dalej, jak wędrowałem po ulicy i dlaczego znalazłem się nie w domu, lecz w hoteliku „Metropol”, gdzie dziś rano na wpół przytomny się obudziłem z ciężkiego snu – tego już nie pamiętam. Zawsze się po takim upiciu ma nazajutrz uczucie wstydu. Dawno już nie byłem tak pijany jak wczoraj. Wstyd mi szczególnie Wejmera, który mię odprowadzał i widocznie nie znalazł innej rady, jak mię do hotelu zaprowadzić. Przez cały dzień siedziałem cichutko w domu. Nie byłem w stanie pracować w sądzie. Poszedłem do sądu tylko na ogólne zebranie, które było na dziś wyznaczone. Zresztą siedziałem na tym zebraniu osowiały. Mówiono tam o rozszerzeniu lokalu dla kancelarii sądowych i o podziale urlopów wakacyjnych. Na mnie wypadł urlop w pierwszej połowie wakacji, to znaczy już od 15 czerwca, za tydzień, do 1 sierpnia. Sam nie wiem jeszcze, jak mój urlop zużytkuję. Najgorsze jest to, że gdziekolwiek się ruszyć, to szalenie kosztuje.

8 czerwca, rok 1919, niedziela
Ciężko mi, Boże! Dziś miałem mieć ową wycieczkę łódką po Narwi z Lusią Roszkowską. Wycieczka była wyznaczona na szóstą wieczór. Sama mi ją ona wyznaczyła. Czekałem tego dnia i tej godziny z tajemnym niepokojem, ze wzruszeniem, jak pensjonarka idąca na pierwszą schadzkę. Przed godz. szóstą już

[206] Dąb-Biernacki Stefan (1890-1959), generał, żołnierz Legionów Polskich, od 1918 w wojsku polskim.

czekałem Lusię nad rzeką. Przechadzałem się po grobli piątnickiej w pobliżu przystani Towarzystwa Wioślarskiego i po zjeździe, ale na próżno. Lusia nie przyszła. Domyśliłem się, że jest w ogrodzie miejskim, gdzie dziś właśnie była o tej porze zabawa – muzyka wojskowa, confetti, tłumy ludzi, kurz, pełno wojskowych, loteria fantowa, konkurs piękności. Poszedłem tam. Rzeczywiście ujrzałem w tłumie, przechadzającym się po głównej alei, Lusię w towarzystwie trzech panienek. Udałem, że jej nie widzę. Miałem żal do niej. Głupi Michale – że też możesz się jeszcze łudzić i pożądać miłości dziecka! Ale natura jest silniejsza od rozumu. Ciężko mi: nie znajduję możności ideowej do powrotu na Litwę, tutaj praca zawodowa w sądzie nie daje mi zadowolenia i nie wyczerpuje energii, zostawiając stały osad tęsknoty w sercu, ostrej szczególnie w dniach wiosny i pięknego lata, kiedy życie kipi dokoła, miłość Lusi ulata gdzieś poza sferę dosięgalności, a choć nawet żywię nadzieję, że od jesieni Lusia pracować będzie w moim wydziale w sądzie, to jednak nie raduje mię to zbytnio, bo kancelaria sądu – to instytucja sucha i martwa, gdzie nie będzie takiej współpracy rozkosznej, jakąśmy mieli w Głównej Komisji Wyborczej. Ach, jakże chwilami ciężko i trudno żyć, jak smutno i pusto w sercu. Natura roślinna się co roku odmładza, tylko człowiek młodości drugiej nie ma nigdy.
Dość skargi. Nie lubię jej. Sączy ona rozkład w mózg i serce człowieka. Ścisnąć trzeba wolę i trzymać się twardo, a zacisnąć zęby. Po co? Ba, lepiej nie pytać i nie szukać odpowiedzi.
Spełnię powinność i zabiorę się do martwego skopiowania mego listu do Mieczysława Niedziałkowskiego, obecnie posła socjalistycznego do Sejmu w Warszawie:
„Łomża, 3 VI 1919.
Szanowny i kochany Panie Mieczysławie!
Zawsze z wytężoną uwagą obserwuję wszystko, co dotyczy sprawy Litwy i w szczególności staram się wyczytać wszystko, co się w tej sprawie w prasie polskiej pisze, jak również co się w Sejmie warszawskim mówi. Siedzę w Łomży, z dala od Litwy, na uboczu wielkich wypadków, które stanowić będą o losie mojej Ojczyzny. Tęsknota mię nieraz ogarnia szalona, pragnienie wyjazdu stąd i wzięcia udziału w ruchu historycznych wypadków. Myliłby się ten, kto by sądził, że przez kwietyzm usunąłem się od terenów walki o przyszłość Litwy. To stanie na uboczu jest największą moją męką. A jednak zdecydowany jestem jeszcze wytrwać w tej męczącej pozycji biernej. Wszystko bowiem to, co się dziś na wszystkich trzech liniach rozwiązywania sprawy Litwy robi, nie odpowiada temu, czego bym ja pragnął. Trzy są linie: jedna – polska, która usiłuje przykuć Litwę do Polski, względnie wyrwać z niej szmat ziemi i pochłonąć; druga – litewska, linia Taryby, która usiłuje rozciągnąć panowanie narodowe Litwinów na Wilno i Białoruś katolicką; wreszcie trzecia – bolszewicka, która usiłuje zaszczepić do Litwy wzory rewolucji rosyjskiej, nadać jej kształt ruchu społecznego, który nie wypływa z jej rozwoju, zrobić z niej właściwie etap na drodze pochodu rewolucji proletariackiej ze wschodu na zachód. Żadna z tych trzech wielkich linii nie jest moją, nie jest tą, którą bym mógł ukochać i sprząc z nią mój czyn osobisty. A ponieważ rozumiem, że w takiej dobie kataklizmu dziejowego, jaki przeżywamy obecnie, zjawiska społeczne i polityczne mają cechy zjawisk natury, niezależnych od woli i rozumu ludzkiego i będących wyrazem bezpośredniego działania mas ludzkich, więc wiem, że wszelkie usiłowania działania, które by nie szło po jednej z trzech zasadniczych linii, byłoby równie jałowe, jak próba przeciwdziałania burzy, gdy pioruny biją, lub słońcu, gdy ono świeci. Świadomość ta utrzymuje mię w stanie bezczynnym i w roli obserwatora.”
Dalszy ciąg jutro. Jak maszyna pisać będę.

9 czerwca, rok 1919, poniedziałek
Dalszy ciąg listu do Mieczysława Niedziałkowskiego:
„... Innym jeszcze znamieniem czasu, charakteryzującym wszelkie ruchy społeczne, polityczne i narodowe w chwili takiego przewrotu, jak obecny, jest maksymalizm żywiołowych odruchów mas. Maksymalizm, płynący trzema różnymi liniami przeciwstawiających się sobie wzajemnie prądów, wytwarza stan, z którego logicznego wyjścia nie dostrzegam. To, co się dzieje w stosunku do Litwy, daje się dziś zresztą spostrzec wszędzie. Toteż chwilami zdaje mi się, że człowiekowi, który nie stracił jeszcze rozumu i który skądinąd nie chce być posłusznym narzędziem rozpętanych żywiołów, nie pozostaje nic innego, jak czekać, uzbroić się w cierpliwość i patrzeć, do czego się też dowariuje ten świat, zanim z chaotycznej gry wszelakich maksymalizmów wyłoni się świat rozumu, serca, uszanowania praw wzajemnych i humanizmu w rozwoju stosunków ludzkich.
W tym starciu się przeciwnych linii, w których w stosunku do Litwy grasują różne maksymalizmy apetytów, zachłanności i wielce uproszczonych metod, wulgarnych, moim zdaniem, i głupich, które nic trwałego stworzyć nie zdołają, była jedna chwila, kiedy zabłysła, zdawało się, myśl rozumu i głębokiej żywej prawdy dziejowej. Chwila ta znalazła wyraz w pierwotnym programie litewskim wielkiego Polaka i Litwina w jednej osobie – Józefa Piłsudskiego. Program ten zrywał z maksymalizmami zarówno polskim, jak litewskim, jak bolszewickim i usiłował budować sprawę Litwy oraz stosunku do niej Polski na zasadach nie nacjonalizmu, imperializmu, militaryzmu itp., ale idei wielkiej swobodnej kooperacji ludów, idącej od Polski przez Litwę i Białoruś do bałtyckich krajów Północy – Łotwy i Estonii. Realizacja tego programu byłaby pierwszą próbą rozwiązania jednej z trudnych spraw na wschodzie nową metodą, metodą związku narodów, pierwszym precedensem zasad Wilsona, które oczywiście mogą wejść w życie nie drogą zadekretowania statutu Ligi Narodów, lecz drogą przede wszystkim praktyki, drogą stosowania odpowiednich metod w stosunkach ludzkich. Z wielkiej koncepcji tego programu – z kooperacji militarnej Polaków z ludami Północy przeciwko bolszewikom, z kooperacji chwilowo doraźnej, wyrosnąć miała stała kooperacja na przyszłość, zarówno obronna w stosunku do Rosji i Niemiec, jak twórcza w sferze współżycia państwowego, kulturalnego, gospodarczego, oparta na uszanowaniu wzajemnych praw, na swobodnej woli każdego, nie forsowanej żadnym naciskiem zewnętrznym silniejszego sąsiada. Właściwie w koncepcji tej odradzała się w zdemokratyzowanym kształcie stara żywotna Idea Jagiellońska. Koncepcja tego programu odpowiadała w zupełności tęsknotom moim, toteż pod jej wpływem dałem się na chwilę porwać i, zrywając z moim stanem biernego obserwatora, w którym, ku wielkiej męce mojej, trwałem już od lat paru, pojechałem do Kowna. To, co zastałem w Kownie, nie było zupełnie beznadziejne na rzecz tej koncepcji. Pomimo, że rzecz nie poszła od razu zbyt gładko, czemu się zresztą trudno dziwić, zważywszy, jak nowa była ta koncepcja i jak dalece odbiegała ona od metod dotychczas panujących z obydwóch stron i pomimo że znalazły się poważne na razie zastrzeżenia i przeszkody, wszakże natury nie zasadniczej, twierdzę, że znalazłem jednak w tym Kownie, tak okrzyczanym w Warszawie za gniazdo nacjonalizmu, reakcji i rzekomego germanofilstwa (co do nacjonalizmu i reakcji, to z pewnością nie większe, niż w Warszawie, a co do germanofilstwa, to dziś jest ono bajką, pozbawioną wszelkiego realizmu) – grunt do zrozumienia tej koncepcji i nawiązania początków odpowiedniej akcji. Oczywiście wszakże pozyskanie Litwinów dla udziału czynnego w tej koncepcji nie mogło być dziełem jednej sekundy, jednej rozmowy. Przede wszystkim Litwini, jako strona słabsza, zwłaszcza wobec takiego faktu, jak zajęcie Wilna przez Polaków, nie mogli się pierwsi wyrwać i polecieć na nowe tory kooperacji bez oglądania się na czyny Polaków

zarówno w ich postępowaniu w Wilnie, jak w kierunku zasad politycznych, wyrażanych przez Sejm polski w Warszawie.
I cóż się stało? Odezwa Piłsudskiego w Wilnie była utrzymana w zasadach jego koncepcji. Był w niej wprawdzie pewien błąd w stosunku do Litwinów, mianowicie negowanie zupełne ich dorobku organizacyjnego i nawet już dziś państwowego, ale błąd ten płynął z nieznajomości rzeczy, czym i ja sam grzeszyłem, zanim do Kowna nie przyjechałem i nie ujrzałem tego, co jest. Ja sam się w Kownie dopiero wiele nauczyłem i gdybym się widział z Piłsudskim nie przed bytnością w Kownie, ale po tym, to bym mu wskazał, czym jeszcze należało tę odezwę uzupełnić. Ale to bagatela...". Dalszy ciąg jutro.

10 czerwca, rok 1919, wtorek
Precz z tym rozkładowym pesymizmem, któremu pozawczoraj wyraz w dzienniku dałem! Nie trzeba mu się poddawać: jest on złym płodem mętów nieziszczonej energii, naleciałością nastrojową, która w godzinach zmierzchowych w słoneczne dnie letnie zaćmiewa duszę samotną, stęsknioną czynu i miłości. Precz!
Miałem dziś sesję karną I instancji: nie było żadnych spraw osobliwych. Rozmówiłem się z prezesem Filochowskim w sprawie mianowania Lusi Roszkowskiej kancelistką w moim wydziale apelacyjnym karnym. Prezes trochę się wzdragał, że za dużo się do sądu przyjmuje kobiet, których wartość pracy jest przeciętnie o wiele niższa od pracy mężczyzn, ale wobec mojego nalegania ustąpił i przyrzekł mianować Lusię od 1 lipca dietariuszką. Na razie etat pięciu nowych kancelistów w sądzie, choć już obiecany w Warszawie, zatwierdzony jeszcze nie jest, więc tymczasem Lusia kancelistką zostać jeszcze nie może; jednakże od jesieni po wakacjach będzie mogła nią zostać, a będzie to tym pewniejsze, jeżeli zostanie już poprzednio przyjęta na dietariuszkę; ponieważ zaś Dziarski, kancelista, który kieruje kancelarią w moim wydziale apelacyjnym, wybiera się od połowy lipca na urlop miesięczny, więc konieczne jest dobranie już zaraz dietariusza, bo poza Dziarskim pracuje w moim wydziale apelacyjnym jeszcze tylko panna Maciejewska; trzeba więc skorzystać i Lusię Roszkowską już wciągnąć. Nie będzie to dla niej na razie stanowisko materialnie świetne, ale już będzie początek, już będzie pierwsze zaczepienie się, po którym przyjdzie awans na kancelistkę.
Zawiadomiłem o tym Lusię listownie, zapytując czy chce tego. Jednocześnie napisałem jej list z wymówką za zawód, jaki mi wyrządziła pozawczoraj z wycieczką łódką. Wymówkę tę odniosłem nie do tego, że nie przyszła na łódkę, ale że obiecała na próżno, że mię upokorzyła jałmużną obietnicy bez woli spełnienia.
Tu w dalszym ciągu kopiować będę list do Niedziałkowskiego:
„.. Odezwa Piłsudskiego była perłą, czyniącą mu zaszczyt, mieściła się całkowicie w ramach tej wielkiej koncepcji dziejowej, której on był rzecznikiem. Ale co przyszło dalej? Przyszły znane wnioski sejmowe w Warszawie z ostatnich dni kwietnia, potem przyjazd Paderewskiego, jego perswazje, jego wskazówki na to, jaką drogą należy tak zastrzec interes polski na Litwie, aby on nie budził posądzeń Koalicji, wreszcie cofanie się sejmu z gruntu wniosków nagłych kwietniowych, akceptacja przez sejm odezwy wileńskiej Piłsudskiego. Pozornie było to zwycięstwo koncepcji Piłsudskiego, ale tylko bardzo pozornie. W istocie było to przezwyciężeniem przez sejm koncepcji pierwotnej Piłsudskiego, wydarciem jej żądła, obcięciem jej skrzydeł, podporządkowaniem jej tez programowi wręcz innemu. W pojęciu większości sejmowej, jak się ono zaznaczyło aż nadto wyraźnie zarówno w mowach, jak w prasie, wyrażającej opinię publiczną w Polsce, tezy odezwy Piłsudskiego prowadzą do plebiscytu, który, da Bóg, spełni politykę aneksji, politykę wszechpolską, nieco tylko inną metodą, niż się zamierzało pierwotnie. Zmiana formuły nie wyraża tu bynajmniej zmiany istoty i kierunku polityki

polskiej względem Litwy, która w tej formule dąży tak, jak dążyła poprzednio, do realizacji imperializmu polskiego na Litwie, a raczej na Białej Rusi katolickiej, do wykrojenia z Litwy jej żywego środka wraz z sercem, Wilnem, i pochłonięcie go. Z wyrazu koncepcji Piłsudskiego zrobiono formułę na usługi koncepcji zgoła innej. Z tezy swobodnego określenia swej woli państwowej przez ludność Litwy usiłuje się wykuć tezę plebiscytu, licząc, że on stanie się czynnikiem sprzyjającym aneksji. Oczywiście w stosunku do Gdańska lub nawet Galicji Wschodniej tezy te by się nie przyjęły, bo tam plebiscyt mógłby wydać rezultat inny od tego, na który się w Wilnie liczy; ta sama teza w Prusach Wschodnich przyjmuje się również niechętnie. Ale już w samym plebiscycie, a nawet w projektowanych, jeżeli się nie mylę, przez lewicę sejmową jakichś osobnych sejmach dzielnicowych czy gubernialnych w postaci osobnych sejmów wileńskiego, grodzieńskiego, mińskiego, kowieńskiego – mieści się *a priori* dzielenie i kawałkowanie Litwy, przesądzanie różnych losów tych dzielnic, ich odpadanie od macierzy wspólnej. Ale już mniejsza o to. Ja osobiście nie jestem zwolennikiem plebiscytu na Litwie w warunkach obecnych. Byłbym ewentualnie zwolennikiem plebiscytu nie natychmiastowego, po uwolnieniu tych części kraju od bolszewików przez wojska polskie, lecz po jakichś latach np. 10, podczas których Litwa przeszłaby przez szkołę samorządu i współżycia (np. pod protektoratem Anglii, wykonywującej mandat Ligi Narodów)...”.
Dalszy ciąg jutro.

11 czerwca, rok 1919, środa
Wpadła dziś do mnie do sądu Lusia Roszkowska. Była godzina około pierwszej. Właśnie na krótko przedtem zarządziłem przerwę obiadową w sesji karnej apelacyjnej, którą dziś miałem, i, ponieważ mi było jeszcze trochę za wcześnie na obiad, poszedłem do mego gabinetu i zastanawiałem się, czy już iść do domu, czy jeszcze trochę popracować, korzystając z chwili czasu, bo się teraz, ze względu na rychły wyjazd na urlop, muszę pośpieszyć, aby wszystko, co jest jeszcze zaległe, odrobić. I jakiś dobry geniusz mię natchnął, aby pozostać w gabinecie przy pracy. Ani przeczuwałem, że taki gość może nadejść. Gdybym wyszedł, straciłbym tę okazję. Po chwili pracy, ponieważ mi się coś pracować nie chciało, wstałem i odpinałem szarfę sędziowską, chcąc już iść, gdy wtem ktoś zapukał do drzwi i weszła – Lusia. Wizyta była dość krótka, ale śliczna, może najudatniejsza ze wszystkich, które w ostatnich czasach, po moim powrocie z Wilna, miały miejsce. Byłem w nastroju silnym; nie było we mnie rozchwiania i pewnego rodzaju depresji, które mię cechowały podczas wszystkich ostatnich naszych spotkań z Lusią. Przede wszystkim, omówiliśmy sprawę jej nominacji w sądzie. Lusia chce tego. Oczywiście najbardziej się cieszę z tego ja, bo dopiero dla mnie jej obecność w sądzie, i to w moim wydziale, będzie prawdziwą ozłotą mojej roboty zawodowej; w tej robocie, która mię teraz często nudzi i tchnie nieraz jakąś otchłanią pustki, znajdę, dzięki samej obecności Lusi, promyk tego czegoś osobistego, czegoś, co serce wiąże i co jakiś choćby nikły elemencik szczęścia zawiera. Wszak i praca w Głównej Komisji Wyborczej byłaby mi sama przez się niesłychanie nudna, gdyby się nie wiązał tam ten szczególnie miły nasz stosunek osobisty w gronie pracowników i pracowniczek, zwłaszcza zaś z Lusią i Cezarynką, a potem już w końcu z samą tylko Lusią! Nie wierzę w owocność i realizm miłości między mną a Lusią, jeżeli miłością ten nasz stosunek nazwać można, co jest chyba jeszcze za silne określenie – a przecież pragnę ten stosunek i to uczucie za wszelką cenę, jakimikolwiek by były jego losy, utrzymać. Rozum mi mówi, że to coś chybionego i że nadziei żadnej z tym wiązać niepodobna, a przecież serce chce. Nie wymagam nawet dużo; od młodzieńczych miłości zarozumiałych pragnień i praw daleki się czuję; nie ośmielam się bowiem żywić jakichś

żądań i uprawnień; wiem, że mam lat 39 i całe duże życie za sobą, ona zaś – lat 19 i wszystko dopiero przed sobą; to mi skrzydła uprawnień podcina. Byle więc z nią tylko być, byle nasz stosunek serdeczny trwał i bylem tylko trochę interesował Lusię, ot tak, jak interesuję niewątpliwie teraz. Interesuję ją, ale mię przecie nie kocha, choćby się to jej chwilami zdawało: nie wie ona i nie czuje jeszcze, co to jest miłość istotna, twarda i elementarna jak głód, a wspaniała jak Bóg. Nie śmiem o tej miłości u Lusi marzyć. Nie potrzeba mi tego; byle tylko nie pokochała w tym czasie kogoś innego! Doprawdy – może to być śmieszne w moim wieku, ale czuję, że wzgląd na Lusię jest jednym z najistotniejszych czynników, który mię trzyma i trzymać może tu w Łomży w sądzie. Krótko dziś zabawiła Lusia u mnie w gabinecie, nie dłużej, niż minut 20, ale śliczny to był czas. Na tle rozmowy o incydencie niedzielnym z niedoszłą łodzią powiedzieliśmy sobie alegoriami bardzo dużo.
Takie jedno spotkanie z Lusią udatne – to mi daje strawę na długie dni. Wolę jeden taki błysk słońca, ale wielki i piękny i niech by tam sobie potem szły dnie posępne i martwe samotności i pustki, niż powszedni dosyt codzienny przeciętnych zadowoleń. Bo taki jeden błysk wypełnia mi na długo swoją treścią wszelką pustkę.
Wieczorem spotkałem się dziś w kawiarni z adwokatami Winnickim i Krasnodębskim i razemeśmy poszli na wódkę i kolacyjkę do restauracji Iwanickiego w Rembielinie.

12 czerwca, rok 1919, czwartek
Dalszy ciąg mego listu do Mieczysława Niedziałkowskiego:
„... Mniejsza mi zresztą o formę – czy to będzie plebiscyt, czy sejmy dzielnicowe, czy jeden różnonarodowy sejm Litwy w jej stolicy Wilnie. Chodzi mi o istotę woli Polski w stosunku do Litwy, o wytyczną jej polityki. Jest nią pragnienie pochłonięcia Wilna z Białą Rusią katolicką. Tego pragnie Sejm, do tego tą lub inną metodą dąży Polska. Dopóki tak jest, dopóty nie może być mowy o pozyskaniu Litwinów do kooperacji z Polską i dopóty koncepcja pierwotnego programu Piłsudskiego jest martwą literą.
I oto przekonałem się, najpiękniejsza i najmędrsza koncepcja dziejowa, taka, która w istocie najbardziej odpowiada nie tylko szlachetności, ale i rozumowi i interesom stron i ciągłości historycznej, nic nie zdziała i nie zdoła się zrealizować, jeżeli nie leży na linii wulgarnego aneksjonizmu mas. Tak się też stało z piękną koncepcją Piłsudskiego. Zabito jej ideę i zrobiono z niej formułę na użytek tej samej zachłannej i płytkiej polityki, która ma popularność w Polsce i która wypływa z nacjonalizmu, militaryzmu itd., słowem – wszystkich bogów pruskiego ducha państwowego, którym zarażony jest świat (pomimo formalnego zwycięstwa nad Niemcami); ta zachłanna i płytka polityka nie jest ani pożyteczna dla Polski, ani piękna, ani dla Litwy ponętna, ani dla współżycia i współpracy dziejowej ludów na wschodzie owocna. Ale zdaje się, że nie ma ratunku. Próżne byłoby przekonywanie jej wyznawców, jak próżnym byłoby namawianie nieba, aby zaświeciło słońce, gdy pada deszcz. Ta wulgarna polityka maksymalizmów drwi sobie ze wszelkiej szlachetności i rozumu; dla niej prawdą jest tylko jej chęć. Jeżeli spotka na drodze coś, co się jej przeciwstawia, to albo zdepcze i unicestwi, albo podporządkuje sobie, jak oto podporządkowuje sobie obecnie piękną i głęboką myśl Piłsudskiego.
Rzecznicy tej polityki, o ile są między nimi ludzie uczciwi, w co nie wątpię, nie zdają sobie sprawy z tego, że wcielenie Białej Rusi katolickiej z Wilnem do Polski nie tylko że wykopie rów między ludami na północnym wschodzie a Polską i osamotni zarówno Polskę, jak te ludy wobec niebezpieczeństwa z zewnątrz oraz pozbawi wszystkich tych ewentualnych korzyści, które by mogły płynąć z kooperacji kulturalnej i gospodarczej, ale nawet samym wpływom polskim na Białej Rusi katolickiej zatamuje drogi i osłabi stanowisko polskości w tym kraju. Kraj ten w rdzeniu swym nie jest polski; natomiast

polskość i katolicyzm są w nim tym cementem, tym klejem, który wiąże i łączy różnonarodową ludność w jedną całość krajową. Polskość ma tam duże oparcie w stosunkach i dużą rolę dodatnią, zarówno kulturalną, jak społeczną i polityczną. W kraju tym, pozostawionym sobie i połączonym z Polską tylko federacją, bez poddania go formalnego Polsce, wpływy polskie będą czynne i twórcze; będą to wszakże wpływy nie Polski, lecz polskie. Narzędzie i czynniki tych wpływów mieszczą się w samych stosunkach krajowych; jeżeli teraz zastąpimy je przez bezpośrednie oddziaływanie na nie Warszawy, jeżeli kraj ten będzie rządzony przez centralny Sejm Polski i poddany polityce, płynącej z interesów chłopów polskich, dochodzących do władzy w Polsce, to jeno osłabimy wpływy polskie w kraju, bo przeciwko takiemu bezpośredniemu rządzeniu kraju przez Polskę wytworzy się reakcja i rozwinie się separatyzm polityczny i narodowy białoruski. Jeżeli stolicą Białej Rusi katolickiej będzie Wilno, to polskość będzie tam silna i wpływowa w stosunkach i urządzeniach krajowych; jeżeli poddamy ją Warszawie, polskość stanie się czynnikiem dominacji i wywoła odruch. Białoruś stanie się drugą Galicją Wschodnią. Ale czy ktoś o tym myśli w Polsce?! Oto p. Dąbskiemu i wielu innym posłom warszawskim wystarczy pojechać na dwa dni do Wilna w tydzień po wypędzeniu bolszewików i przekonać się, jak polskość jest tam popularna, aby głosić „mądrość” wcielenia Białej Rusi katolickiej z Wilnem do Polski! O, *sancta simplicitas!*[207]. Czyż zaiste nie jest jałowym przekonywanie takich polityków i mędrców!
Tak, kochany Panie Mieczysławie, rozpisałem się długo, a czy wiecie, dlaczego wziąłem za pióro, by napisać do Was? Oto dlatego, że, niestety, zdaje mi się, czytując Wasze mowy sejmowe i Wasze artykuły w „Robotniku”[208] z Wilna (chyba że to były Wasze), że i Wy nie tylko się nie przeciwstawiacie poważnie i odważnie tej fali wulgarnego maksymalizmu, ale poniekąd płyniecie z nią i dajecie jej poparcie. Mam tu na myśli sposób traktowania przez Was Litwinów i ich dotychczasowej organizacji państwowej. Bez poparcia Litwinów nie może być mowy o zwycięstwie haseł Piłsudskiego o zastąpieniu imperializmu przez swobodną kooperację ludów. Kooperacja bowiem i współdziałanie może się dokonać tylko dobrowolnie. Przez przymus można kogoś wprząc w jarzmo, ale kooperacją to już nie będzie. Trzeba więc dla idei wspólników pozyskać. Otóż w jaki sposób ich pozyskamy, jeżeli będziemy ich maltretować, jeżeli będziemy skwapliwie wyciągać na światło dzienne i poddawać złośliwej krytyce tylko to, co jest w organizacji Litwinów wadliwe, ujemne, co stanowi ich błąd – a natomiast nie będziemy dostrzegali tego, co jest dodatnie – nie będziemy dążyli do bezstronności i do wzajemnego z dobrą wolą wybaczenia sobie błędów przeszłości lub choćby nawet teraźniejszości...”.
Dalszy ciąg albo już dokończenie – jutro.

13 czerwca, rok 1919, piątek
Dalszy ciąg listu do Mieczysława Niedziałkowskiego:
„... Czy sądzicie, że tą drogą można pozyskać zaufanie tego, kogo się chce mieć za wspólnika, że tą drogą można jakiś lud przywiązać do siebie? Z pewnością dużo jest błędów w budowie młodziutkiego państwa litewskiego, z pewnością dużo grzechów ma na sumieniu Taryba; ale uwzględniajmy niezmiernie trudne warunki, w jakich młode i wątłe siły litewskie budowały swe państwo. Jeżeli są tam błędy, jeżeli były grzechy nawet ciężkie, to jednak, o ile nam istotnie chodzi o porozumienie, o pozyskanie Litwinów do wspólnictwa, miejmy dobrą wolę dostrzegania nie tylko błędów, ale i tego, co jest dodatnie w dokonanym przez Litwinów dziele. Każdy bowiem naród kocha

[207] (łac.) sancta simplicitas – o, święta naiwności.
[208] „Robotnik”, w latach 1918-1939 legalny dziennik warszawski, organ władz PPS.

swoje dzieło, choćby było niedoskonałe; nie pozyszczemy jego serca, jeżeli tylko plwać potrafimy na nie, dlatego że są w nim widoczne błędy. Ten młodziutki zawiązek państwa, którego ośrodkiem jest dziś Kowno – to cały dorobek, cały skarb narodu litewskiego. Ja mam dla niego miłość, choć widzę jego błędy i wady. Mam miłość, bo kocham naród litewski i życzę mu dobrze, a jeżeli chciałbym nawiązania nie tylko dobrych stosunków, ale i współdziałania między nim a Polską, to rozumiem, że współdziałanie to trzeba i można nawiązać nie depcząc brutalnie jego dotychczasowy owoc wysiłków, ale akceptując go i nadbudowując przy jednoczesnym wspólnymi wysiłkami i w dobrej wierze naprawieniem błędów i usunięciem wad.
Łatwo jest w Polsce krytykować wysiłki Litwinów i plwać na ich dzieło. Obiektu do krytyki znajdzie się dużo. Łatwo, bo większość w Sejmie, która bynajmniej nie tęskni do idei kooperacji ludów na północnym wschodzie i tęskni do idei nie kooperacji, lecz panowania Polski, chciwie łowi każde słowo, dyskredytujące Litwinów. Wie ona bowiem, że im większą się wykopie przepaść między Litwinami a Polską, tym więcej będzie szans, że się spełni jej pragnienie zagarnięcia Wilna z Białą Rusią katolicką na rzecz Polski. Toteż każdy, kto potrafi głośniej i pilniej dyskredytować Litwinów, wytykać ich błędy, jest milej słuchany i znajduje wdzięczniejsze pole do popisu; ale niech nie sądzi, że przyczyni się przez to do dzieła porozumienia i unii; przeciwnie – kopie on rów coraz głębszy rozdziału i pracuje na rzecz imperializmu polskiego.
Łatwo krytykować; tematu do krytyki jest dość. To samo się ma i w stosunku do Polski. Dużo jest w młodym państwie polskim plam czarnych, dużo błędów i wad, które można skutecznie wytykać; toteż i komuniści, i Żydzi, i Niemcy, i wszyscy wrogowie Polski i jej niepodległości – umieją z wielkim mistrzostwem, z wyrafinowaną perwersją wytykać jej błędy, aby dyskredytować ją wobec Koalicji, wobec demokracji, wobec proletariatu, wobec mieszkańców tych prowincji, które traktat pokojowy przeznacza Polsce lub o które się Polska upomina (Mazury pruskie, Gdańsk, Górny Śląsk). Co wrogowie Polski robią w stosunku do niej, to zbyt dużo się w Polsce robi, niestety, w stosunku do młodego państwa Litwy. Tą drogą serc Litwinów się nie pozyszcze, nie zdobędzie się u nich zaufania do dobrych i przyjaznych zamiarów Polski. Jest krytyka i – krytyka. Zależy od tego, w jakiej intencji się ona robi. Krytyka złośliwa, krytyka, która z lubością odsłania wszystkie błędy i braki, krytyka tendencyjna – przestaje być krytyką i staje się napaścią i kopaniem dołków.
Mówicie, że państwo litewskie i rząd Taryby nie są dość demokratyczne, zarzucacie, że socjalista Kairys bierze udział w rządzie państwa, w którym są tak mocne pierwiastki nacjonalizmu. Upewniam Was, że nie mniej nacjonalizmu jest w państwie polskim, w jego Sejmie i jego polityce tak wewnętrznej, jak zewnętrznej, a jednak socjaliści polscy stoją na gruncie tego państwa i nie tylko pracują w nim, ale służą mu i nie stoją na stanowisku wyłącznej opozycji, bezwzględnej walki i obstrukcji; socjalista Kairys, który ma tekę ministra aprowizacji, do partii zresztą nie należy, a w zakresie polityki wewnętrznej dużo go dzieli od Taryby, do której nie wstąpił. Pod względem kierunku demokratycznego w sferze stosunków społecznych i polityki wewnętrznej rząd litewski ludowca Ślażewicza jest o wiele postępowszy od rządu polskiego i warszawskiej większości sejmowej. Nie jestem bynajmniej entuzjastą Taryby i całej polityki litewskiej, nie decyduję się na przyjęcie jakiejkolwiek z jej ramienia funkcji i niewątpliwie byłbym w stosunku do niej w opozycji, ale nie robiłbym z jej wad śmiertelnego grzechu, zwłaszcza w opinii tych, którzy sami są nie więcej od niej warci. Dlaczego na zasadzie tych samych wad mamy od czci i wiary odsądzać całe dzieło Litwinów, podczas gdy w stosunku do Polski, aczkolwiek te same wady widzimy i wytykamy, to jednak mamy wyrozumiałość i potrafimy oddzielić plewy od ziarna...”.
Dokończenie jutro.

14 czerwca, rok 1919, sobota
Dokończenie listu do Niedziałkowskiego:
„... Mówicie, że Litwini są oddani duszą i ciałem Niemcom, że czyhają na chwilę stosowną, aby się razem z Niemcami rzucić na tyły Polaków, że armia litewsko-niemiecka powoli, ale konsekwentnie zbliża się do Wilna, gotowa do uderzenia. Twierdzę, że tak nie jest. Wiem, bo byłem w Kownie. Wiem, jak Litwini cenią zbliżenie się swoje do Koalicji i w szczególności do Anglii, jak dużo zakładają dla swej przyszłości państwowej na czynnikach angielskich. Nigdy Litwini nie połączą swojej spekulacji politycznej z karierą bankrutów, jakimi są dziś Niemcy, nie będą zasadzać realizacji istotnych lub domniemanych praw swoich na odruchach rozpaczy, które mogą przedsięwziąć Niemcy. Owe knowanie litewsko-niemieckie na tyłach wojsk polskich – są bajką. Litwini nie z Niemcami, lecz z Koalicją wiążą dziś starannie los swój i budowę przyszłości. Byłbym szczęśliwy, gdyby je wiązali z Polską, ale wobec metod, jakich Polska w stosunku do nich używa, nie liczę, niestety, na to. Pierwszym warunkiem porozumienia jest nie tylko wspólność interesów, bo ta w gruncie jest, ale uszanowanie się wzajemne i wzajemna dobra wiara, a tych nie ma. Bo w istocie Polska nie do kooperacji z Litwą w myśl pierwotnej idei Piłsudskiego dąży, lecz do zagarnięcia części terytorium Litwy historycznej z Białą Rusią katolicką i stolicą Litwy – Wilnem. Ale oto wyłaniać się zaczyna nowa koncepcja – czwarta linia rozwoju, angielska: państwo związkowe bałtyckie, utworzone z Litwy, Łotwy i Estonii, od Kłajpedy aż za Rewel pod Petersburg, pod protektoratem Anglii. I zaczynam się skłaniać do uznania tej koncepcji za jedyną, za szczęśliwą dla kraju. Związek Bałtycki pod osłoną cywilizacji anglosaskiej – to bodaj najlepsza forma rozwoju tych krajów. Nie obawiam się imperializmu angielskiego. Imperializm kupców nie jest nigdy tak niebezpieczny, jak imperializm narodu chłopów. Kupiec organizuje kraj, urządza samorząd i rozwija bogactwo i kulturę lokalną; chłop – kolonizuje i osiada sam w kraju zabranym, traktując go jako swoje własne dziedzictwo.
Wybaczcie, Panie Mieczysławie, że zająłem Waszą uwagę tym listem. Żal mi było, gdym Was – zapewne mimo woli Waszej – ujrzał, jeżeli się nie mylę, w szeregu tych, którzy nie przyczyniają się, lecz może nawet bezwiednie szkodzą – pięknej idei kooperacji ludów na wschodzie metodą związku Litwy z Polską. Pragnąłbym bardzo znaleźć możność zabrania w tej sprawie głosu i wydania broszury o sprawie Litwy i stosunku Polski do niej. Ale prawdopodobnie nic z tego nie będzie. Muszę siedzieć w Łomży i zamknąć się w roli biernego obserwatora.
Uściskam b. serdecznie dłoń Waszą.
Wasz Michał Römer.
PS. Nie przeczę knowaniom Niemców, ale w zmowę Litwinów z Niemcami nie wierzę. M.R.”
Od jutra rozpoczynają się moje wakacje. Dziś na noc wyjeżdżam. Na razie jadę tylko do Warszawy i za tydzień mam być znowu w Łomży. Chodzi o to, że w przyszłą sobotę mam jakąś wizję miejscową w okolicach Czyżewa w pow. ostrowskim, do której jeszcze zimą zostałem delegowany przez sąd. Wobec tego na razie nigdzie daleko odjechać nie mogę. Ten pierwszy tydzień zabawię więc w Warszawie i tylko być może odwiedzę Płock, robiąc wycieczkę statkiem po Wiśle. Z Czyżewa wpadnę jeszcze do Łomży. W szczególności chodzi mi o zapewnienie się co do p. Lusi. Uprzykrzając się ciągle prezesowi dopilnowałem tego, że została już mianowana od 1 lipca dietariuszką, o czym ją dziś listownie zawiadomiłem. Ale jeszcze trzeba będzie się raz upewnić, bo w naszym sądzie w Łomży zdarzają się najnieprawdopodobniejsze niespodzianki. Dopiero po tej bytności w Łomży wyruszę w dalszy świat. Plan mam szeroki. Nie wiem tylko,

czy sobie z pieniędzmi wystarczę. Chcę być w Krakowie – na parę dni – dla interesu osobistego, potem – w Wilnie. I być może nawet, że uda mi się już dotrzeć do Bohdaniszek, bo oto we wczorajszej gazecie znalazłem komunikat litewski, które podaje, że Litwini zajęli już Ponedel, Poniemuniek i Komaje. To znaczy, że wojska litewskie są już tylko o jakieś 3 mile od Bohdaniszek i lada dzień bolszewicy mogą się stamtąd wynieść.

15 czerwca, rok 1919, niedziela
Noc spędziłem w wagonie w drodze z Łomży do Warszawy. Zamieszkałem w Warszawie w pokojach umeblowanych przy ul. Chmielnej. Dzień spędziłem cichutko, bo byłem zmęczony z podróży nocnej i spać się położyłem bardzo wcześnie, jeszcze za dnia.
Spotkałem przygodnie na ulicy dwóch znajomych: raz – Witolda Abramowicza, który przyjechał na dni kilka z Wilna i drugi raz – Kazimierza Ostachiewicza[209], który już od paru lat wyjechał z Wilna, mieszka w Warszawie i pracuje w Ministerium Pracy.

16 czerwca, rok 1919, poniedziałek
Natrafiłem na zjazd bardzo wielu Wilnian do Warszawy. Oprócz Witolda Abramowicza, o którym wspominałem wczoraj, bawi tu Ludwik Abramowicz, Jan Klott, Zygmunt Nagrodzki, Bronisław Krzyżanowski. Teraz dopiero nasi Wilnianie-Polacy czują się dobrze, gdy są połączeni z Warszawą. Całe mnóstwo interesów wiąże ich z Warszawą, która, pomimo ich dążeń do zbudowania państwowości Litwy w związku federacyjnym z Polską ze stolicą w Wilnie, jest przecie ich stolicą istotną i ich metropolią.
Z Bronisławem Krzyżanowskim spędziłem kilka godzin, włócząc się po kawiarniach i po mieście. Krzyżanowski od grudnia do ostatnich czasów bawił w Paryżu, dokąd był wydelegowany wraz z Puttkamerem[210] z ramienia dawnego Komitetu Polskiego w Wilnie. Była to reprezentacja Polaków litewskich dla pilnowania ich interesów wobec Ententy. Puttkamer był w tej delegacji mężem zaufania endeków, Krzyżanowski – mężem zaufania lewicy demokratycznej i prawicy ziemiańskiej, to znaczy tych skrzydeł, które wyrażają niby kierunek krajowy Polaków litewskich. Teraz Krzyżanowski, powróciwszy niedawno, znowu się do Paryża wybiera. Jedzie formalnie z ramienia Rad Narodowych polskich na Litwie, które się w grudniu utworzyły samorzutnie i tu na emigracji stanowiły organizację narodową Polaków litewskich; w istocie wszakże jedzie w najbliższym kontakcie z Piłsudskim dla popierania tam programu państwowo-federacyjnego Litwy. Walczy on tam z jednej strony z akcją Dmowskiego, z drugiej strony jeszcze bardziej – z akcją Taryby. Krzyżanowski robił mi gorzkie wyrzuty, że w tak ważnej chwili dziejowej stanąłem na uboczu i – czekam. Ale zdaje się, że jego czyn – to raczej sport natury nerwowej, niż coś innego. Zaczął mię Krzyżanowski namawiać, abym się zdecydował na wyjazd do Paryża, gdzie on usiłuje wytwarzać jakiś komitet polsko-litewski (z Litwinów tam podobno jest Dowiatt i kilku robotników) jako zawiązek współdziałania polsko-litewskiego na gruncie paryskim na rzecz litewskiego programu Piłsudskiego.

17 czerwca, rok 1919, wtorek

[209] Ostachiewicz Kazimierz (1883-1952), bankowiec, działacz społeczno-polityczny, po 1922 duchowny ewangelicki w Wilnie.
[210] Puttkamer Wawrzyniec hr (1861-1923), ziemianin, jeden z założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, członek Komitetu Polskiego w Wilnie.

Krzyżanowski, zapytując mię wczoraj, czy bym nie zechciał pojechać do Paryża, prosił, abym się namyślił i dziś mu dał odpowiedź. Dziś jednak, widząc się ze mną, ani wspomniał o tym. Widocznie zaniechał tego projektu. Ja także nie podnosiłem tej kwestii, bo nie bardzo sobie zdaję sprawę z tego, co bym miał robić w Paryżu i o ile by to było skuteczne. Wprawdzie Paryż jest dzisiaj tym gruntem klasycznym, na którym się zawiązują wszelkie intrygi i układy i gdzie się zarówno stykają elementy pokrewne, szukające zbliżenia, jak przeciwstawiają elementy wrogie, to jednak mam wątpliwość czy dla sprawy polsko-litewskiej grunt się tam do układów znajdzie, dopóki w kraju trwa nieprzejednanie Taryby z okupacją polską Wilna. Można tam na gruncie neutralnym, na wielkiej arenie wykuwających się losów świata, działać nieraz swobodniej, niż w kraju, bo się tam zyskuje wielką perspektywę dziejową, która w kraju się zatraca w aktualizmie rzeczy przemijających, ale chodzi o to, czy ze strony litewskiej są tam poza urzędową delegacją Taryby (Voldemaras[211] i Yčas[212]) jakieś elementy poważniejsze, których działanie budzić będzie jakiś oddźwięk w kraju. Zresztą Krzyżanowski, robiąc mi tę propozycję, zastrzegał się, że nic pewnego jeszcze w niej nie ma i że trzeba dopiero spróbować, aby uzyskać wydelegowanie mię. Zapewne nic z tego nie będzie.
Widziałem się dziś z Witoldem Abramowiczem i z Nagrodzkim. Abramowicz, który osobiście jest zdecydowanym rzecznikiem państwowości niepodzielnej Litwy w związku z Polską i który jest politykiem bardzo realnym, może aż zanadto, bo realizm jego zabagnia się niewybrednym zgoła i nieograniczonym niemal oportunizmem, wspomniał o rzeczy tak nierealnej, nad którą się obecnie między innymi zastanawia, jak... nazwa dla tego państwa, które ogarniałoby ziemie b. Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Nazwę „Litwa" uważa za niewłaściwą, jako stosującą się tylko do części tych ziem. Podwójna nazwa „Litwa i Białoruś" nie ujmuje Polaków, więc mu też nie odpowiada. Moim zdaniem, układanie nowej nazwy jest zupełnie sztucznym i zbytecznym zagadnieniem, które nie ułatwi, lecz utrudniać będzie urzeczywistnienie programu. Takim sztucznym i nierealnym tworem byłaby nazwa „Pogoń", którą projektuje Abramowicz.
Byłem dziś u Kasakaitisa[213], który jest litewskim „*charge d`affaires*" w Warszawie. Zwracałem się do niego w sprawie ewentualnej przepustki do guberni kowieńskiej, bo być może, że będę się starał dotrzeć do Bohdaniszek przez Kowno, omijając Wilno. Tak mi niektórzy radzą.

18 czerwca, rok 1919, środa
Widziałem się ze Stanisławem Staniszewskim[214], który przed kilku dniami wrócił z Kowna. Staniszewski, b. adwokat z Suwałk, człowiek postępowy, od lat wielu dał się poznać na gruncie stosunków polsko-litewskich jako rzecznik dobrego porozumienia z Litwinami na zasadzie uszanowania wzajemnych praw i dążeń. Był on w Suwałkach jednym z najwybitniejszych działaczy społecznych polskich i ma w Suwalszczyźnie związki z działaczami litewskimi. Wydawał kiedyś „Tygodnik Suwalski", pismo, które miało pewną analogię do mojej „Gazety Wileńskiej" i dążyło konsekwentnie do pokojowego i polubownego rozwiązania wszelkich zatargów i sporów w stosunkach

---

[211] Voldemaras Augustinas (1883-1942), polityk, historyk, członek Taryby, pierwszy premier Litwy XI – XII 1918, następnie minister spraw zagranicznych.
[212] Yčas Jonas (1880-1931), historyk, pedagog, przewodniczący komisji oświaty w Tarybie, minister oświaty, społecznik.
[213] Kasakaitis Antanas (1870-1960), pedagog, w latach 1919-1923 był litewskim konsulem w Warszawie. Po powrocie na Litwę pracował urzędnikiem w Ministerstwie Oświaty na różnych stanowiskach.
[214] Staniszewski Stanisław (1864-1925), adwokat, 1917-1919 prezes Zarządu Głównego Rady Głównej Opiekuńczej.

polsko-litewskich. Od początku wojny Staniszewski, który już jest człowiekiem starszym, w wieku lat mniej więcej 50, osiadł w Warszawie. Tu, należąc do obozu niepodległościowego i będąc, zdaje się, człowiekiem tzw. Zjednoczenia Demokratycznego czy też Zjednoczonych Stronnictw Demokratycznych, brał udział czynny w sprawach publicznych i zajmował stanowiska wybitne: był członkiem pierwszej Tymczasowej Rady Stanu, dyrektorem Departamentu Pracy, wiceprezesem, a bodaj obecnie czy nie prezesem Rady Głównej Opiekuńczej. Poza tym, zajmował wybitne stanowisko w sądownictwie polskim. Obecnie jest rejentem w Warszawie i stoi w dalszym ciągu na czele Rady G. O. Staniszewski był w maju wydelegowany do Kowna jako szef misji dyplomatycznej polskiej do traktowania z rządem litewskim. Jego misja była odpowiedzią ze strony polskiej na litewską misję Šaulysa, która opuściła Warszawę, nic nie wskórawszy. Tak samo, jak zresztą było do przewidzenia, nic nie wskórał w Kownie Staniszewski. Formalnie możność układów rozbiła się o żądanie kategoryczne rządu litewskiego uznania przez Polskę Litwy niepodległej ze stolicą w Wilnie, wycofania wszelkich sił i władz polskich z zajętych przez Polskę terenów Litwy z zachowaniem wyłącznie sił liniowych dla bezpośredniej walki z bolszewikami oraz przekazania natychmiast rządowi litewskiemu zarządu cywilnego na tychże obszarach. Poszedłem do Staniszewskiego, aby się dowiedzieć o jego wrażeniach z Kowna. Raz się z nim widziałem rano, wieczorem zaś byłemu u niego z Bronisławem Krzyżanowskim i Witoldem Abramowiczem. Spostrzeżenia Staniszewskiego są bardzo interesujące. Stwierdza on, że najcięższą rzeczą, która paraliżuje Litwę w ogóle i jest zarazem przeszkodą największą do jakiegokolwiek porozumienia Polski z Litwinami – jest zależność materialna rządu litewskiego w Kownie od Niemców. Całe bowiem dzieło państwowe Taryby jest finansowane dotąd przez Niemców z Berlina. Jest to zależność w najcięższej formie, której nie może osłabić ten fakt, że stojący u steru władzy Litwini nie żywią bynajmniej sympatii do Niemców i że ewentualnie znaleźliby się wśród nich ludzie, rozumiejący pożyteczność państwowego kontaktu Litwy z Polską na gruncie programu Piłsudskiego.

19 czerwca, rok 1919, czwartek
Zależność materialna Litwinów od Niemców nie daje im swobody ruchów politycznych i wiąże Litwę mimo jej woli z interesem niemieckim. Gdyby zależność ta ustała, gdyby Litwini mieli inne źródła finansowania swego państwa, to przyszliby do steru inni ludzie albo nawet ci sami mogliby pokierować politykę inaczej, niż ją zmuszeni są kierować obecnie. Linia polityczny Taryby, jak to dobrze wiadomo, bynajmniej zbyt popularna nie jest. Zarówno masa ludności, jak liczne elementy, zaangażowane w samym zarządzie państwa, są usposobione bardzo krytycznie do linii Taryby i gdyby tylko miały możność, oddziałałyby poważnie na zmianę kierunku. Nie jest przesadą twierdzenie, że likwidacja całkowita niemieckiej okupacji w Litwie stanie się hasłem przewrotu politycznego w młodym państwie litewskim. Gdy Niemcy ustąpią z Litwy, przyjdą do głosu i do władzy czynniki, które dziś są unieruchomione. Będzie to samo, co było na Ukrainie z władzą hetmana Skoropadskiego i w Polsce z Radą Regencyjną. Ale już samo materialne uniezależnienie się od Niemców przez zdobycie innych źródeł finansowania państwa wpłynie na przemianę kierunku politycznego. Dotąd jednak Litwini są w położeniu pod tym względem bez wyjścia. Nie mogą oni oczywiście przyjąć pomocy materialnej od Polski, gdyby nawet Polska była w stanie ją okazać, bo wobec Polski muszą zachować stanowisko strony. Toteż bardzo mądrym jest zdanie Staniszewskiego, że zadaniem Polski byłoby wpływać u Ententy na to, aby ona zechciała finansować Litwę i udzielać jej kredytów. Toteż dobrze, że słyszał to Krzyżanowski, który jedzie do Paryża. Łatwo bowiem krytykować Litwinów i

konstatować ich powolność Niemcom, płynącą z zależności materialnej, ale tą metodą jeno się ich drażni, a sprawy porozumienia z nimi nie pcha się naprzód na lepsze tory: skuteczniej jest wpływać na usunięcie zła. Uniezależnienie Litwinów dałoby im dopiero możność odetchnięcia i swobodnego rozejrzenia się w okolicznościach dla stwierdzenia, czy są warunki dla zbliżenia i kooperacji z Polską, czy ich nie ma. Niestety – dużo jest jednak w Polsce czynników, które bynajmniej nie pragną usunięcia tego zła, bo wolą mieć argumenty do dyskredytowania Litwinów, gdyż chodzi im nie o porozumienie, lecz o sprzeczkę, ułatwiającą łapanie w mętnej wodzie zdobyczy aneksyjnych dla Polski. Zresztą niełatwym byłoby też wpłynięcie przez Polskę w Paryżu na rzecz zapewnienia Litwie kredytów od Ententy.
Druga rzecz, na którą Staniszewski zwrócił uwagę – to potrzeba wytworzenia spośród Litwinów zawiązku stronnictwa, pracującego na rzecz porozumienia i współdziałania z Polską. Usiłuje on coś wytworzyć w tym kierunku. Chce się oprzeć na Kasakaitisie, rejencie z Suwałk (człowiek starszy, jeden z założycieli „Varpasu”[215] i przyjaciel zmarłego Kudirki[216], człowiek szanowany, ale daleki od polityki, żonaty z Polką), Andrzeju Bułacie[217] (Bułat jest w opozycji do Taryby, mieszka w Mariampolu jako adwokat i dyrektor gimnazjum) i niejakim Czarneckim[218] (jest to podobno ojciec Voldemarasa, mieszka w Wilnie). Staniszewski z Kasakaitisem i Czarneckim się porozumiał i myśli o założeniu przez nich pisma litewskiego w Wilnie, Bułata zaś wezwał do Warszawy i spodziewa się jego przyjazdu oraz ma nadzieję, że go pozyszcze i że Bułat stanie się ośrodkiem akcji w Suwalszczyźnie i Kownie. W to przedsięwzięcie wątpię, nie dlatego, żebym nie wierzył w podstawy dla takiego ruchu wśród Litwinów, ale dlatego, że mam zawsze niewiarę do jakiejś akcji w narodzie kierowanej ręką obcą i środkami obcego państwa.

20 czerwca, rok 1919, piątek
Jeszcze słówko z rozmowy ze Stanisławem Staniszewskim. Staniszewski bardzo słusznie zwrócił uwagę na to, że Polacy w Litwie etnograficznej powinni nie stronić od państwowości litewskiej, tym bardziej zaś nie przeciwstawiać się jej, lecz stawać na jej gruncie i w jej ramach pracować społecznie. W szczególności udzielił on w tym duchu wskazówek ziemianom polskim (Tomasz Zan[219], Edward Kudrewicz[220] i in.), którzy się do niego zwracali po informacje i wskazówki; zalecił im wznowić działalność Towarzystwa Rolniczego i w ogóle prowadzenie pracy realnej w ramach państwowości litewskiej, co nie wyłącza stanowiska opozycyjnego politycznie w stosunku do Taryby – byle nie do państwa. Bardzo słusznie zwrócił uwagę na niewłaściwość i wysoką szkodliwość tego rodzaju akcji polskiej w Kownie, jak utrzymywanie tam tajnej POW (Polskiej Organizacji Wojskowej), co byłoby usprawiedliwione tylko w razie zamiarów aneksyjnych polskich na Litwę Kowieńską i co może służyć tychże zamiarów

[215] „Varpas” („Dzwon”), litewskie nielegalne pismo demokratyczne wydawane w latach 1889-1905 w Prusach Wschodnich.
[216] Kudirka Vincas (1858-1899), litewski pisarz, krytyk literacki, założyciel i 1889-1895 redaktor nielegalnego miesięcznika społeczno-literackiego „Varpas”.
[217] Bulota Andrius (1872-1941), prawnik, działacz społeczny i polityczny, deputowany do II i III Dumy Państwowej Rosji, w 1917 członek rosyjskiego Zgromadzenia Ustawodawczego z ramienia partii eserów, później adwokat w Mariampolu.
[218] Czarnecki (Čarneckis) Voldemaras Vytautas (1893-?), działacz społeczny i polityczny, dyplomata litewski. Członek Rady Państwa (Taryby) w 1918 r., minister komunikacji (1919-1920), poseł Sejmu Ustawodawczego we frakcji chrześcijańsko-demokratycznej w latach 1920-1921. W latach 1920-1939 pracował na różnych stanowiskach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W 1941 przez władze sowieckie wywieziony do obozu koncentracyjnego.
[219] Zan Tomasz, ziemianin, działacz polski w Litwie.
[220] Kudrewicz Edward, ziemianin polski w Litwie, działacz miejscowych Polaków.

wskaźnikiem. Jeżeli Polska chce ugody i porozumienia z Litwą, Polacy litewscy nie mogą negować Litwy i jej państwowości. W tym kierunku w szczególności co do POW, Staniszewski złożył swoje wnioski Piłsudskiemu (co do POW w Kownie – to zwróci się on z tym także do Śmigłego i Szeptyckiego). W ogóle Staniszewski referuje swoje spostrzeżenia i wnioski polityczne, które skreśliłem, Piłsudskiemu dla orientowania jego czynnej polityki litewskiej.
Staniszewski mówił nam też o wojsku litewskim. Podobno wynosi ono dotąd nie więcej nad 6 000 głów (czy nie przesadza *in minus*?). W wojsku litewskim są duże sympatie polskie, nienawiść do Niemców.
Zamknąłem dziś mój pierwszy okres pobytu w Warszawie. Nieciekawie spędziłem tu czas. Upały, spiekota – miasto bardzo męczy latem. Jedyne ciekawe było – widzenie się ze Staniszewskim. Dziś spotkałem na ulicy panią Zolę z Komorowskich Dowbor-Muśnicką. Była w żałobie, bo przed dwoma dniami umarła jej siostra – pani Karola Pomorska. O Zysiach żadnych wiadomości.

21 czerwca, rok 1919, sobota
Na dziś wyznaczoną miałem czynność sądową w pewnej sprawie cywilnej Sądu Okręgowego. Czynność polegała na oględzinach i pomiarze przy udziale geometry spornego gruntu i na zbadaniu na miejscu szeregu świadków. Sporny grunt jest położony we wsi Kamieńczyk Wielki pow. ostrowskiego, o 9 wiorst od stacji kolejowej Czyżew w pobliżu szosy, wiodącej z Czyżewa do Ciechanowca. W tym celu wczoraj pociągiem popołudniowym o godz. 3.50 wyjechałem z Warszawy. W nieopisanej dusznej spiekocie natłoczonego ludźmi wagonu dojechałem, omdlewając z wyczerpania, na wieczór do Czyżewa. Tu oczekiwał mię na stacji kancelista Sądu Okręgowego Podbielski, który przyjechał z Łomży z aktami sprawy, aby mi towarzyszyć w czynności, i sekretarz sądu pokoju w Czyżewie z żoną. Udaliśmy się z dworca do miasteczka, gdzie się z Podbielskim zalokowałem po herbatce u sekretarza sądu pokoju. Wstaliśmy dziś rano wcześnie i najętą furmanką jednokonną pojechaliśmy do Kamieńczyka Wielkiego. Po raz pierwszy tego lata jechałem na wsi wśród pól, wśród zbóż, które zapowiadają prześliczny urodzaj. Czynność sądowa na miejscu zajęła nam kilka godzin czasu. Na godz. 4 po południu wróciliśmy z Podbielskim do Czyżewa. Jadę stąd do Łomży, gdzie mam do wykończenia jeszcze kilka robót sądowych i gdzie pragnę się rozmówić z pp. Komarami (p. Maciejem Komarem, synem Jerzego, z żoną) w sprawie wspólnej z nimi jazdy do guberni kowieńskiej. Zdecydowany jestem bowiem spróbować dotrzeć do Bohdaniszek, aby zbadać, co tam się dzieje, w jakim stanie są Bohdaniszki i Papa, jeżeli jest, a także Kowaliszki; w pewnych warunkach, zależnie od tego, co zastanę na miejscu, zdecyduję się – być może – na pozostanie na Litwie, bądź osiadając w Bohdaniszkach, bądź przyjmując jakieś stanowisko z ramienia Litwinów, albo też wrócę do Łomży. Jestem między Litwą a Łomżą jak między młotem a kowadłem. Do Litwy i do pozostania tam ciągnie mię tęsknota kraju i miłość Ojczyzny, do Łomży ciągnie mię serce; zwłaszcza wobec perspektywy pracy Lusi Roszkowskiej w Sądzie. W każdym razie skłonniejszy jestem do decydowania się na cokolwiek w Litwie etnograficznej, niż w Wilnie. Bo jakiekolwiek będą losy Litwy etnograficznej, ja je dzielić będę, i jeżeli Wilno będzie od niej oddzielone, nie wrócę już do Wilna. Jednak nie mogę się zdecydować na oddanie moich usług Tarybie, a nie mam środków na bezczynne bez posady siedzenie w Litwie, o ile do Bohdaniszek dostępu mieć nie będę. Natomiast rozumiem skądinąd, jak dużo się traci, gdy się siedzi poza krajem. Będąc w kraju, można stać na uboczu, bo się jest w toku spraw krajowych i każdej chwili można w zmienionych warunkach stanąć do czynu. Z daleka, spoza kraju, traci się z nim kontakt i jest się narażonym na to, że się

chwilę stosowną do skutecznego działania opuści. Właściwie trzeba byłoby stać w kraju i kuć możliwości. Posterunek i warsztat – to kraj.

22 czerwca, rok 1919, niedziela
Wśród strasznego gorąca i zaduchu w wagonie odbyliśmy wczoraj z Podbielskim podróż z Czyżewa do Łomży przez Małkinię i Ostrołękę. Przesiadać trzeba było tylko raz w Małkini. Wyjechaliśmy z Czyżewa o godz. 6 wieczorem, przyjechaliśmy do Łomży około 2 w nocy.
Dowiedziałem się dziś od mojej służącej Kamili, że podczas mojej nieobecności zgłaszała się tu właścicielka mebli, stojących w moim mieszkaniu. Pani ta, jakaś Rosjanka, przyjechała po meble z Rosji. Dobijała się podobno do drzwi, ale Kamila nie puściła, bo gospodarz domu, Wejroch, kazał nie wpuszczać, dopóki mnie nie ma. Spada więc na mnie nowy kłopot. Polubiłem już moje mieszkanie, którego głównym urokiem są te wygodne i ładne meble. Jeżeli teraz ta pani je zabierze, będę zmuszony zlikwidować mieszkanie i znów gdzieś kątem przy jakiejś rodzinie zamieszkać, wynajmując pokoik. Bo dziś o umeblowanie się na własny koszt niepodobna marzyć. Skromne umeblowanie jednego pokoju wyniosłoby parę tysięcy marek, a umeblowanie całego mieszkania, jak moje, chyba do 10 000 mk.... A tak lubię mieszkać u siebie, w swoim własnym mieszkaniu, mieć gospodarkę swoją, czuć się u siebie w domu! Nie można chyba wątpić, że ta pani zechce meble wyprzedać i nie zostawi mi ich nawet za zapłatę najmu. Ba, co robić!
Wypoczywam w Łomży po Warszawie. Jestem tu u siebie, mam mieszkanie, mam obiady w domu, żyję tanio, trochę mam pracy do wykończenia w sądzie. Cicho mi tu w Łomży, tanio i spokojnie. Wypoczywam w rozkoszy. Oczywiście, że byłem u Pruszanowskich, u których kilka godzin spędziłem i byłem na kawie wieczornej.

23 czerwca, rok 1919, poniedziałek
Z moimi meblami nie jest jeszcze tak źle, jak mi się wczoraj zdawało. Sprawdziłem dziś, jak się ta rzecz ma. Wprawdzie istotnie ta pani, która jest właścicielką czy spadkobierczynią właściciela mebli, przyjechała po nie z Rosji, ale dopiero będzie o to sprawa w sądzie okręgowym między nią a właścicielem domu Wejrochem. Ona się upomina o wydanie mebli, Wejroch zaś – o zaległości komornego i jakieś inne pretensje. Oprócz tego, ta pani jest mężatką i mąż jej został w Rosji, toteż w myśl praw obowiązujących w b. Królestwie Kongresowym, musi ona przedstawić upoważnienie męża, którego podobno nie posiada. Nim się w tych warunkach proces skończy, mam jeszcze czas do korzystania z mebli.
Byłem u Komarów. Chętnie się oni wybiorą w podróż do Kowna w moim towarzystwie. Już robią starania o paszporty i w tych dniach mają je otrzymać. Ja będę musiał jeszcze raz pojechać do Warszawy dla moich paszportów i w początku przyszłego tygodnia udamy się w podróż. Pojedziemy na Suwałki; jeszcze nie wiemy czy na Grajewo i końmi do Augustowa czy na Grodno-Augustów; niepodobna się dowiedzieć dokładnie, czy kolej Grodno-Augustów funkcjonuje. Z Kowna pojechałbym na Radziwiliszki-Poniewież; być może, że uda mi się dojechać pociągiem aż do Rakiszek, w ostatecznym zaś razie wybiorę się z Poniewieża pieszo albo nawet z Kowna na Wiłkomierz. Będę w każdym razie próbować.
Dziś jest dzień decydujący. O godz. 7 wieczorem upływa termin, udzielony Niemcom do podpisania traktatu pokojowego. Kwestia, czy Niemcy traktat podpiszą czy nie podpiszą – najbardziej zajmowała w dniach ostatnich umysły. Niemcy tak się potrafili zachować, że do ostatniej chwili kwestia ta pozostawała zagadką. Oczywiście, że od tej lub innej decyzji zależeć będą wypadki na najbliższą metę: Marszałek Foch na czele

armii koalicyjnych stoi nad Renem, gotowy do natychmiastowego marszu w głąb Niemiec na wypadek odmowy podpisania. Na morzu wszystko zarządzono do blokady. Na wschodzie wzdłuż granic niemieckich skoncentrowano gotowe do walki wojska polskie. Ściągnięcie wojsk polskich ku zachodnim Polski granicom osłabiło działania bojowe Polaków na wschodzie. Pod Wilnem i na całym froncie litewsko-białoruskim, poleskim i wołyńskim jest w operacjach polskich przeciwko bolszewikom od dłuższego czasu zastój. Bolszewicy tu zachowują się dość biernie i tylko teraz zaczynają coś atakować pod Postawami, aby wykorzystać ewentualne osłabienie Polaków, względnie utrzymać tu siły polskie na tym ogromnym froncie w szachu. Tymczasem na froncie wschodnio-galicyjskim, gdzie Polacy zadali niedawno ogromną klęską Ukraińcom, docierając aż do kresów Galicji Wschodniej, wódz ukraiński Pawlenko wystąpił – jak przypuszczają – z bolszewikami – z szaloną ofensywą przeciw Polakom, która ich zaskoczyła niespodzianie, i zalał kraj aż po Złoczów i Stanisławów. Ofensywa Ukraińców trwa dalej, zagrażając całej Galicji Wschodniej. Odcięła ona już Polaków od Rumunów, których równolegle atakują w Besarabii nad Dniestrem bolszewicy, odciążając przez to Węgrów, którzy niedawno zadali klęskę Czechom i zorganizowali Słowacką Republikę Sowietów. Bela Kun[221] węgierski, Janousek[222] słowacki, Pawlenko ukraiński i bolszewicy Rosji rozpalają pochodnię ofensywy na wschodzie, która zdaje się sekundować oporowi Niemców. Zwłaszcza wystąpienie Pawlenki zdawało się być w kontakcie z przygotowaniem Niemców do oporu, aby paraliżować Polaków na tyłach. Tymczasem wszakże Niemcy pokój podpiszą. Nadeszły już o tym depesze. Konstytuanta Niemiecka w Weimarze uchwaliła podpisać traktat. Rząd Scheidemanna podał się do dymisji i utworzył się nowy rząd Bauera-Muellera-Erzbergera[223].

24 czerwca, rok 1919, wtorek
Dzień spędziłem pracowicie. Dziś i jutro pozostaję jeszcze w Łomży. Jutro na noc wyjeżdżam do Warszawy po paszporty.
Jeden raz tylko – wczoraj – udało mi się widzieć Lusię Roszkowską. Spotkałem ją przechodzącą na ulicy; szła z dwiema panienkami, ja szedłem z Ezechielem; zamieniliśmy tylko ukłony powitalne i na tym się skończyło. Gdy Lusia jest ze mną, zdaje mi się, że się mną interesuje; powiedziałbym nawet, że się we mnie kocha, mimo całe dziwactwo takiej sytuacji – wobec różnicy naszego wieku; przynajmniej takie wynoszę prawie zawsze wrażenie i jestem prawie pewny, że się nie mylę. Tymczasem faktem jest, że poza naszymi rzadkimi spotkaniami Lusia nie czyni nic, aby nasz stosunek nawiązać do jakichś stałych spotkań w postaci wspólnych wycieczek, spacerów itd. Mógłbym stąd wnosić, że jest to dla niej obojętne. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Wprawdzie Lusia kilkakrotnie aranżowała wizytki do mego gabinetu w sądzie pod różnymi pretekstami, ale za to na zewnątrz, na mieście – nie tylko że nie podaje mi żadnych okazji do spotkań, ale nawet wydaje mi się, że umyślnie unika dania mi możności zbliżenia się do niej, gdy ją spotykam np. w ogrodzie lub gdzieś w teatrze czy na koncercie. Wprawdzie formalnie inicjatywa należeć winna do mężczyzny, ale w moim wieku w stosunku do niej inicjatywy tej w miejscach publicznych nie podejmuję, bo zakrawałaby ona na narzucanie się. W warunkach, w jakich z Lusią jesteśmy, ona, a

[221] Kun Bella (1886-1939), węgierski działacz komunistyczny, przywódca rewolucji na Węgrzech, od 1920 w sowieckiej Rosji, w 1937 aresztowany, skazany na śmierć i stracony.
[222] Janoušek Antonin (1877-1941), działacz czeskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, przewodniczący Rady Rządowej Słowackiej Republiki Radzieckiej.
[223] Rząd Bauera-Muellera-Erzbergera, koalicyjny (socjaldemokraci i Partia Centrum) rząd w Niemczech, utworzony 23 06 1919 w celu podpisania traktatu pokojowego w Wersalu.

nie ja, powinna dawać propozycję, niech tylko palcem kiwnie, niech mi da tylko możność i prawo, to ja znajdę dziesiątki i setki sposobów dla obcowania naszego; ale się pierwszy nie posunę, dopóki ona znaku nie daje. Ciekaw jestem dalszych dziejów naszego stosunku, jeżeli one nastąpią. Intryguje mię i pociąga ta dziewczyna kochana.
Znaczny jest odłam opinii w Polsce, który pragnął, aby Niemcy nie podpisali traktatu i teraz żałuje, że Niemcy kapitulowali. Należy do nich przede wszystkim znaczna część wojskowych, przynajmniej spośród oficerów, pożądająca wojenki jak najdłużej, a szczególnie z Niemcami, i po wtóre – endecy, a wraz z nimi cała niemal reakcja społeczna z ziemianami na czele. Endecy i reakcja, jak to sami głośno w rozmowach przyznają, pragnęli wojny z Niemcami dla dwóch względów: pierwszy – że z pomocą zwycięskiej Koalicji na zachodzie Niemcy byliby zmiażdżeni, a że i Polacy byliby tego nowego zwycięstwa uczestnikami czynnymi, przeto po zmiażdżeniu Niemców Polska zdobyłaby od nich więcej, niż to, co jej przyznano teraz, miałaby Górny Śląsk bez plebiscytu i Gdańsk bezpośrednio, i Mazury Pruskie. Drugi wzgląd – to wiara w to, że zwycięstwo rozpaliłoby w narodzie uczucia innego, niż dotąd rzędu i zgasiło przez to fermenty rewolucji i takich przewrotów społecznych, jak reforma agrarna, odwracając naród od tych dążeń do aspiracji imperialistycznych na wielką skalę. Mogliby się jednak ci panowie pomylić. Zwycięstwo nie jest tak łatwe wobec licznych wrogów i wobec płonących dokoła pożarów rewolucji. Siejąc wiatr – można zebrać burzę. Ale endecy tego rozumieć nie chcą i oglądają się na wszystkie strony, by niecić coraz to większy płomień wojny. Oni wojny chcą i szukają jej, a dziś nietrudno ją znaleźć wszędzie. Frazesem jest, że Polsce wojny są tylko narzucone. O tym sądzić należy nie z tego, co się pisze w gazetach lub mówi publicznie i urzędowo, ale z tego, co się mówi prywatnie i co odpowiada zresztą analizie sytuacji.

25 czerwca, rok 1919, środa
Na noc wyjechałem do Warszawy – po paszport. Wyrobienie paszportu w Warszawie i ostatnie przygotowania w Łomży do podróży zajmą mi czas co najmniej do 1 lipca. Nie jestem nawet pewny, czy 1 lipca wyjadę. Pozostanie mi więc tylko 1 miesiąc urlopu na podróż do Bohdaniszek i z powrotem. Jak na dzisiejsze warunki komunikacyjne – to nie za dużo. A pieniędzy będę miał na tę podróż zaledwie 2 000 marek. Jak na obecne ceny środków transportowych i żywnościowych – szczególnie w Litwie i zwłaszcza w miejscowościach, które były nawiedzone przez bolszewików, to jest sumka bagatelna, która w najlepszym razie da możność związania końców z końcami. W każdym razie, jest to tylko minimum niezbędności. Bardzo ciekaw jestem, co też zastanę w Bohdaniszkach i okolicy, jeżeli mi się dojechać uda. Jeżeli Papy nie zastanę, to się skłaniam do pozostania w Bohdaniszkach, obejmując zarząd majątku i ewentualnie może jakieś stanowisko urzędowe. Jeżeli Papę zastanę, to decyzja moja będzie zależała od tego, w jakim stanie sił będzie Papa. Ale, niestety, przy Papie i z Papą trudno mi będzie pogodzić mój pobyt w kraju z działalnością taką, jakiej bym pragnął i jaką by mi dyktowały moje względy przekonaniowe i obywatelskie. Ciągła scysja z Papą zatruwałaby mi życie i wykolejała wszelką działalność. Fatalnie ciąży na mym życiu nasz rozdźwięk ideowy z Papą.
Od lat przeszło czterech nie byłem w Bohdaniszkach. Od tyluż lat nie widziałem się z Papą. Sama myśl, że stopa moja stanie na ziemi moich stron ojczystych, że ciało moje będzie otoczone powietrzem tych stron i będzie się poruszać na swojskim tle krajobrazów i rzeczy rodzimych, że płuca oddychać będą powietrzem, powonienie – drażnić zapachem, a wzrok sycić widokiem Bohdaniszek i okolic – napełnia mię wzruszeniem. Jakże bliską i kochaną jesteś człowiekowi, pielgrzymowi tułaczki życiowej – ziemio jego ojców, ziemio jego urodzenia! Jest jakiś związek mistyczny,

który łączy człowieka z tym niewielkim skrawkiem terytorium Kuli Ziemskiej, który jest jego kolebką i gniazdem ojczystym. Czy jest to uczucie powszechne, czy tylko sentyment ludzi, urodzonych na ziemi własnej – chłopów lub ziemian? Zdaje mi się, że jak ujrzę Bohdaniszki w krajobrazie ojczystym – klęknę na tej ziemi świętej i błogosławić jej będę jak pielgrzym spragniony na pustyni, witający oazę żywą.
Z ostatnich komunikatów litewskich, które czasem bywają przedrukowywane w niektórych gazetach polskich, widzę, że jednak linia frontu litewsko-bolszewickiego bardzo niedaleko jeszcze odbiegła od Bohdaniszek. Bohdaniszki są jeszcze w najbliższym promieniu frontu, który z jednej strony ciągnie się na linii Subocz (kurlandzki)-Jodłówka, z drugiej – gdzieś pod Dusiatami nad naszym pięknym jeziorem Sorty. Jeszcze widmo bolszewickie waży się nad moją ziemią ojczystą. Jeszcze Pogoń litewska i czerwona proletariacka Rosja Sowiecka zmagają się na wdzięcznych obszarach naszych wzgórz i jezior, tak pełnych słodyczy i łagodnego spokoju.

26 czerwca, rok 1919, czwartek
Rano przyjechałem do Warszawy. Pierwszą czynnością moją było zajęcie się uzyskaniem paszportu na wyjazd do Litwy. W tym celu, jak mię przed tygodniem poinformował litewski *charge d'affaires* w Warszawie, p. Kasakaitis, należało otrzymać paszport w wydziale paszportowym Departamentu Polskich Ziem Wschodnich na wjazd do terenów Litwy, zajętych przez wojska polskie, a następnie wizować ten paszport w konsulacie litewskim u Kasakaitisa. Do podania trzeba przedstawić podpisy dwóch poręczycieli, 4 fotografie i marki stemplowe. Zaopatrzyłem się w to wszystko (w charakterze poręczycieli podpisali mi podanie pp. Stanisław Staniszewski i rejent Konstanty Dowbór-Muśnicki, brat generała, mąż Zoli Komorowskiej) i udałem się na Krakowskie Przedmieście, 32, gdzie się mieści ów wydział paszportowy. Wystałem tam w ogonku do godz. 12 w południe, aż na koniec doczekałem się oświadczenia, że na dziś przyjmowanie podań zostało ukończone. Odszedłem więc z niczym. Stojąc w ogonku słyszałem z rozmów publiczności, że czasem od dnia wniesienia podania do dnia otrzymania paszportu upływa dni 10. Oczywiście dla mnie tak długie czekanie jest wykluczone, bo mam urlop ograniczony i chcąc dotrzeć do Bohdaniszek i wszystko tam ewentualnie załatwić – muszę się śpieszyć. Udałem się więc do Kasakaitisa, aby z nim pokonferować, czy nie ma sposobu szybszego i prostszego do otrzymania przepustki. Kasakaitis bardzo uprzejmie podjął się załatwienia tej sprawy i wystarania się dla mnie paszportu za pośrednictwem urzędu litewskiego. Prawdopodobnie w sobotę już go mieć będę.
Na obiedzie u Wróbla spotkałem się z Karolostwem O'Rourke i Kotunią Pruszanowską, która tu bawi z powodu choroby córki, Elizy, która, będąc sanitariuszką w Baranowiczach, zachorowała na ospę i o której ewentualne przewiezienie do Warszawy robią się tu starania. Byłem też u pp. Dowbór-Muśnickich dla zobaczenia się z panią Zolą. Oczywiście jest ona wielce zainteresowana moją jazdą na Litwę – ze względu na Kowaliszki. O losie Komorowskich w Kowaliszkach są najsprzeczniejsze wieści. Oprócz Zysiów, była w Kowaliszkach przy najściu bolszewików panna Jadwiga Komorowska i pani Morzycka z dziećmi. Czy są oni na miejscu – nie wiadomo. Są pogłoski, że Zyś z synami wzięci zostali na zakładników, że Elizka wyjechała do Poniewieża. Obecnie po śmierci p. Pomorskiej, p. Pomorski chciałby, aby p. Jadwiga Komorowska zamieszkała u niego i objęła zarząd domu i pieczę nad jego córkami.
Na noc miałem dziś ładną dziewczynkę, z którą się tu poznałem, młodziutką Rosjaneczkę Natalkę – śniadą, ślicznie zbudowaną – wspaniałe zwierzątko dziewczęce, zabawkę zmysłów, której nigdy mężczyzna syt nie jest.

27 czerwca, rok 1919, piątek
Tym razem nie ma w Warszawie takich upałów, jakie były za mojej poprzedniej bytności w tygodniu ubiegłym. Toteż pobyt w Warszawie nie jest już tak męczący. Dzień mi upłynął dość bezbarwnie. Żadnych ciekawych spotkań nie miałem. Do obiadu łaziłem z Kotunią po zakładach jubilerskich w celu szacowania jej klejnotów, które zmuszona ona po trochę sprzedawać na środki do życia. Po obiedzie, który zjedliśmy w towarzystwie Karolostwa O'Rourke'ów, spałem przez czas jakiś u siebie w numerze, potem pod wieczór byłem u Pomorskiego i zakończyłem dzień w kawiarni.
Pieniądze okropnie szybko płyną w Warszawie. Chwilami strach mię ogarnia, czy dam sobie radę z podróżą do Bohdaniszek i czy mi wystarczy pieniędzy na drogę tam i z powrotem. Trzeba się w każdym razie z tą podróżą śpieszyć. Jeżeli tylko jutro otrzymam paszporty, jak najprędzej wracam do Łomży i we wtorek lub środę wyruszam w drogę na Kowno. Dowiedziałem się, że paszport Macieja Komara i jego żony opiewa na Wilno, toteż nie wiem, czy będą oni mogli jechać ze mną na Grodno-Augustów-Suwałki albo na Grajewo-Suwałki. Wolałbym mieć ich za towarzyszy podróży.

28 czerwca, rok 1919, sobota
Paszporty mam w kieszeni. Polski paszport z tzw. „Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich" wskazuje jako cel podróży tylko Grajewo przez Białystok, chociaż w podaniu wskazywałem kierunek Grodno-Augustów. Paszport ten jest więc dla mnie właściwie zbyteczny, bo do Grajewa, położonego w okręgu łomżyńskim, paszportu osobnego nie potrzeba, a z Łomży taniej mi i prędzej dotrzeć do Grajewa prosto końmi (omnibusem żydowskim) przez Szczuczyn, do czego też paszportu nie potrzeba, niż przez Białystok koleją. Będę więc musiał wybrać drogę na Grajewo, nie zaś na Grodno. Nie robi to dla mnie różnicy i zapewne nie wypadnie drożej, bo dojazd koleją z Grodna do Augustowa jest bardzo wątpliwy. Z Grajewa na Suwalszczyznę będę się musiał posługiwać paszportem litewskim, który mi Kasakaitis wystawił aż do Bohdaniszek. Gazety dzisiejsze podają, że Niemcy rozpoczęli ewakuację Suwalszczyzny; to znaczy, że w podróży przez Suwalszczyznę będę już tym razem miał do czynienia wyłącznie z władzami polskimi i litewskimi; Bóg ich tam wie, jakie tam będą wymagania co do dokumentów podróżnych. Gazety przynoszą też wieść o wyznaczeniu przez Koalicję linii demarkacyjnej, dzielącej tymczasowo tereny dzierżaw polskich i litewskich w Litwie. W Suwalszczyźnie linia ta biegnie Kanałem Augustowskim i w okolicach Sopoćkiń; Augustów będzie w ręku polskim, Suwałki i pow. sejneński pozostałyby w ręku Litwinów. W guberni grodzieńskiej po stronie litewskiej mają być Druskieniki, Grodno – w ręku polskim. Dalej linia ma biec na północ w ten sposób, że cała linia kolejowa Grodno-Wilno i dalej aż do Dukszt ma być w ręku polskim, linia zaś demarkacyjna, poza którą ma się rozciągać zarząd litewski, biec będzie równolegle do tej kolei o 5 kilometrów na zachód od niej. Nie wiem, o ile to jest ścisłe i czy tak zaraz linia demarkacyjna wejdzie w życie. Litwini będą z niej zadowoleni, bo podsuną się pod Wilno, stojąc od niego w odległości 5 kilometrów i w ogóle rozszerzą się na wschód znacznie dalej poza linię, którą obecnie zajmują. Natomiast Polacy będą niezadowoleni i z pewnością powstaną z ich łona protesty, bo chcieliby co najmniej mieć w ręku cały powiat trocki, wileński i święciański, gdy tymczasem i Troki i Mejszagoła przeszłyby pod zarząd Litwinów. Linia demarkacyjna nie przesądza ostatecznych decyzji i przynależności państwowej terytoriów spornych, ale bądź co bądź pewne znaczenie symptomatyczne ma i zarazem rozgranicza wpływy faktyczne, z których strony nie omieszkają korzystać, aby wzmocnić swoje stany posiadania i placówki oporu.
Ciekawa jest rzecz z Białorusinami. Ci mają tendencję asekurowania się na wszystkie strony. Podczas okupacji niemieckiej w Mińsku Rada Białoruska proklamowała

Republikę Białoruską, którą chciała oprzeć o Niemcy i protestowała przeciwko klauzulom smutnej pamięci Traktatu Brzeskiego, wcielającego zachodnią część Białej Rusi do Litwy narodowej. Gdy Niemcy zostali pobici i gdy z cofaniem się ich wkraczali na Białoruś ze wschodu bolszewicy, a stanowisko Rady nie znalazło żadnego oparcia w ludzie, Białorusini wstąpili do Taryby, zawierając kompromis z Litwinami na gruncie wcielenia do Litwy przynajmniej części Białej Rusi (gubernie grodzieńska i wileńska) w myśl granic Traktatu Brzeskiego. Gdy przyszli Polacy, zaczęła się wnet wytwarzać partia białoruska polonofilska na gruncie związku z Polską. Rozpoczął się flirt polsko-białoruski, który trwa dotąd, chociaż Zjazd Białoruski, zwołany pod hasłami tego flirtu, wypowiedział się na rzecz niepodległości Białej Rusi w związku z Litwą i Łotwą. Ale Białorusini kadzą Polakom, wysyłają delegacje do Warszawy, a co najciekawsze, że w tym flircie bierze udział Iwan Łuckiewicz, odwołując się do szlachetności i wolnościowych tradycji Polski, wreszcie powołują się na wileńską odezwę Piłsudskiego i pod sztandarem ugody z Polską robią swoje. Endecy polscy zaczynają już się oburzać na tę grę Białorusinów, która przemyca własne intencje, zupełnie różne od polskich – ale elementy kierunku Abramowiczowskiego wspierają usilnie ten flirt.

29 czerwca, rok 1919, niedziela
Po południu wyjechałem z Warszawy do Łomży. Dzień był dżdżysty i chłodny, toteż do podróży przyjemniejszy od upalnego. O godz. 9 przyjechałem do Łomży. W Łomży, idąc od dworca, spotkałem się z Maciejem Komarem i jego żoną. Mają już oni paszport i we wtorek lub najdalej we środę wybierają się ze mną w podróż.
Dowiedziałem się o sensacji. Oto przed kilku dniami Skarzyński, sądząc sprawę jakichś bandytów, wyniósł wyrok skazujący oskarżonych na karę śmierci. Jest to pierwszy wyrok śmierci, wyrzeczony przez polski sąd okręgowy w Łomży, w ogóle zresztą zjawisko niesłychanie rzadkie w kronikach młodego sądownictwa polskiego. Znając Skarzyńskiego, wiem, że mu chodziło o zamanifestowanie niezwykłości, o błyśnięcie wielką sensacją, o wielki efekt swej działalności karnej. Skarzyński lubuje się w swojej profesji sędziego karnego, chce być wyrazistym i mocnym, a zresztą jest on w ogóle z przekonań zwolennikiem ostrych środków represji tak w sferze karnej, jak politycznej. Przypuszczam, że do egzekucji nie przyjdzie, bo skazani mają drogę apelacji i sąd apelacyjny zapewne karę złagodzi. Ale wyrok śmierci rzuca cień posępny na tę salę, w której wyrzeczony został i refleksem krwi zabarwia sąd; jest to dla mnie wrażenie przykre, gdy w tej samej sali sądzić muszę i do tegoż wydziału karnego w sądzie należę. Poza wypadkami bezpośredniej walki politycznej – nie wyrzekłbym nigdy jako sędzia wyroku śmierci. Nawet w sferze walki politycznej aczkolwiek śmierć, jako środek walki, poniekąd z zastrzeżeniami uznać mogę, to przecież śmierci z wyroku sądowego, a tym bardziej jako „kary” – natura moja i cała umysłowość wzdraga się przyjąć za słuszną, bo przeczy temu moje uczucie sprawiedliwości.

30 czerwca, rok 1919, poniedziałek
Ja chciałbym jechać już jutro, ale Komarowie jeszcze trochę zwlekają, bo czekają na przyjazd siostry Komara z Warszawy. Wobec tego wątpię, czy się jutro wybierzemy. Ale chyba najdalej we środę.
Deszcz dzisiaj pada, gęstą mgłą zasnuwając powietrze. Serce i myśl moja pełne są Lusi Roszkowskiej. Jest ona dziś bodaj najistotniejszym ośrodkiem wszystkich myśli i zamiarów moich. Nie widuję jej prawie wcale od dłuższego czasu, jestem odcięty od wszelkiego z nią obcowania. Wbrew memu dotychczasowemu doświadczeniu, ta rodząca się w sercu miłość nie zamiera przez oddalenie i brak kontaktu, ale rośnie coraz bardziej. Dziś o wszystkim myślę i kombinuję przez pryzmat Lusi. Dotyczy to

najistotniejszych i najważniejszych postanowień mego życia. Tak kwestia ewentualnego pozostania mego w Litwie lub powrotu do Łomży wiąże się u mnie najmocniej z Lusią. Pozostanie w Litwie odstrasza mię pod względem rozstania z Lusią. W każdym razie, gdyby do tego przyjść miało, zdecydowany jestem wyznać Lusi całą prawdę uczuć moich i ewentualnie, gdyby ona na to przystać zechciała, zaproponować jej stanowisko-posadę w Bohdaniszkach w gospodarstwie domowym, o ile oczywiście miałbym objąć Bohdaniszki. Wątpię, żeby Lusia taką ofertę przyjęła, bo jest związana tu rodziną swoją, konwenansami i wszystkimi więzami życia. Gdybym był wolny, zaproponować bym jej gotów małżeństwo. Zresztą myśl moja ciągle uporczywie wraca do tego małżeństwa z Lusią, do związku z nią choćby przez rozwód, jeżeli nie można inaczej. Jeżeli tylko się przekonam, że uczucie Lusi dla mnie wykrystalizuje się w miłość, co przeczuwałem nieraz, a co do czego nigdy pewności posiąść nie umiem, to trudno by mi było wyrzec się tej miłości owoców. Jeżeli to miłość, to jest ona ostatnim mego życia promieniem szczęścia, ostatnim uśmiechem jesieni, którego niepodobna mi stracić i z rąk wypuścić, bo przyjdzie rychło starość samotna, martwa, bez blasków, starość, której nic nie opromieni. Myśl moja snuje ciągle przędzę marzeń dokoła osoby Lusi. Jeżeli nic realnego stąd nie powstanie, to przynajmniej jej tę miłość wyznam. Niech ona będzie jej życia jednym z klejnotów, niech się nawiąże do jej pamięci na całe lata jej przyszłości, niech to wyznanie moje w sercu śród pamiątek nosi.
Jutro – 1 lipca – Lusia ma przyjść do sądu i stanąć do pracy w kancelarii mego wydziału apelacyjno-karnego. Na tym było stanęło przed mym wyjazdem do Warszawy. Nie słyszałem, aby to uległo zmianie i czekam. Nie pytałem w sądzie, czy coś się w tej mierze nie zmieniło, ale mię coś niepokoi. Czy istotnie przyjdzie jutro Lusia i czy coś nie uległo zmianie w czasie mojej nieobecności. Drżę z niepewności jak pensjonarka przed egzaminem lub przed pierwszą schadzką.

1 lipca, rok 1919, wtorek
Jest! Lusia pracuje w sądzie. Z niepokojem szedłem rano do sądu, myśląc, czy ją tam zastanę, czy nie. Wszedłem do kancelarii i ujrzałem ją stojącą – dopiero co przyszła i dopiero jej miejsce przy stole obok p. Maciejewskiej wyznaczono. Wyglądała bardzo ładnie, trochę zdetonowana nowym otoczeniem, ale nadrabiająca miną i nie tracąca fantazji, z oczkami trochę rozbieganymi, z rozdętymi nozdrzami, włosami ufryzowanymi, ale lekko roztarganymi. Dawno nie widziałem Lusi bez kapelusza. Z upodobaniem patrzyłem na te jej włosy kochane, których zapach tylekroć w dyskretnych pieszczotach pochłaniałem. Jednak niedogodność jest dla mnie ta, że Lusia pracować będzie w kancelarii, w otoczeniu osób obcych, ja zaś siadywać będę osobno w moim gabinecie, a gdy przyjdę nawet do kancelarii, to przecież nie będę jej miał sam na sam. Ale jakoś to będzie. W każdym razie, mam ją blisko. Jest ona teraz jak ptaszek złapany do klatki. Będę mógł ją oglądać co dzień. Toteż jest ona taką dla mnie atrakcją, że byłbym nieszczęśliwy, gdybym miał teraz sąd w Łomży porzucić. Jestem w dziwnej rozterce. Pragnąłbym powrotu do Litwy: sumienie i poczucie obowiązku mi to dyktują, serce jednak, bez względu na zupełną chyba jałowość tej biednej miłości – przykuwa mię do Łomży. Ale serce wbrew rozsądkowi wierzy!
Miałem jakiś papierek spóźniony Głównej Komisji Wyborczej, z którego skorzystałem, aby zwabić Lusię na chwilę do mego gabinetu dla załatwienia tego papierka. To mi dało możność spędzenia z nią krótkiego kwadransa sam na sam.
Postanowiłem stanowczo wyjechać jutro na noc. Jeżeli Komarowie nie będą jeszcze mogli wyruszyć – pojadę sam. Dłużej czekać nie mogę. Liczę, że przed szabasem dojadę jeszcze do Kowna, bo szabas, ze względu na jazdę furami żydowskimi, przerywa podróż.

2 lipca, rok 1919, środa
Załatwiłem wszystkie sprawunki i interesy w Łomży, pożegnałem wszystkich, kogo należy i o godz. 10 wieczorem wyjeżdżam dyliżansem żydowskim na Grajewo. Jadę sam. Komarowie nie wybrali się ze mną. Dłużej zwlekać, aby się ich doczekać – nie mogę. Już mi czasu mało zostaje. Mam najwyżej cztery tygodnie do rozporządzenia. Ciężką mam podróż przed sobą, ale lubię takie jazdy niezwykłe, w których się nic z góry nie wie i przewidzieć nie da. Jest to tak, jakby się człowiek w jakąś przepaść rzucał. Ciekaw jestem, jak mi się ta podróż uda, jakie mieć będę przejścia i przygody, czy dotrę do Bohdaniszek i co tam zastanę. Kto wie, czy już za tydzień nie będę tam, wśród moich pól kochanych, wzgórz i jezior. Jadę w nieznane, brnę w przygody, które mogą się skończyć awanturniczo.

3 lipca, rok 1919, czwartek
Wczoraj o godz. 11 wieczorem wsiadłem do dyliżansu, odchodzącego do Grajewa. Podróż ta kosztuje 40 marek. Jest to nie karetka, jakie zwykle kursują obecnie pomiędzy miasteczkami, tworząc ciągłą komunikację, zorganizowaną przez przedsiębiorczych Żydów, lecz regularny omnibus na wysokich kołach, zaprzężony w cztery konie, z miejscami wewnątrz na 15 osób, nie licząc siedzeń na koźle. Omnibus był natłoczony ludźmi, że się nie można było poruszyć i że pojedynczy ludzie spajali się w jedną masę podróżną, złożoną z ludzi, ubrania i rzeczy. Duszno też było w zamkniętym dyliżansie, a na domiar złego Żydzi – bo byłem jedynym chrześcijaninem wśród samych Żydów – zamykali wciąż okienka, bojąc się ciągów; wolą oni smród i duszność ludzką od chłodnego powiewu świeżego powietrza. Z konieczności w ciasnym i dusznym dyliżansie trzeba było drzemać, męcząc się przez całą noc. Gdzieś koło godz. 1 stanęliśmy na chwilę w Stawiskach, koło godz. 5 rano zatrzymaliśmy się na krótki postój i śniadanie w Szczuczynie, o godz. 8 zaś przyjechaliśmy do Grajewa. Tu już w zajeździe, który jest stacją centralną wszystkich karetek i fur podróżnych, zastaliśmy całą gromadę podróżnych Żydów, których większość dążyła do Suwalszczyzny na Augustów. Niektórzy siedzieli tu już od paru dni, inni próbowali już przedostania się z Rajgrodu do Bargłowa przez linię polsko-niemiecką i wrócili, bo ich nie puszczono. Całe żydostwo obradowało nad sprawami przedostania się przez linię do okupacji niemieckiej w Suwalszczyźnie, która tam jeszcze w kierunku Augustowa trwa. Opowiadano, że Polacy nie przepuszczają nikogo w kierunku Suwalszczyzny. Udałem się w Grajewie do sędziego pokoju i z nim do komisarza policji, który mi wydał przepustkę na przejazd przez linię polską. O południu karetką z kilku Żydami, próbującymi szczęścia, udałem się do Rajgrodu. Dzień był duszny jak przed burzą, powietrze przesycone ciężką odurzającą wonią kwitnących łąk i zbóż. W Rajgrodzie po przekąsce wybraliśmy się furką z kilku Żydami, próbując przejazdu. U wylotu Rajgrodu przy moście stoi bariera polska. Kapral posterunku wojskowego po obejrzeniu moich dokumentów wypuścił mię z pozwoleniem na dalszą drogę, wszystkich zaś Żydów zatrzymał, mimo że oprócz dokumentów osobistych mieli najformalniejsze przepustki z Grajewa lub Rajgrodu. Na moje zapytanie tłumaczył to tym, że puszcza tylko „Polaków", z Żydów zaś nikogo bez względu na dokumenty, a to dlatego, że Żydzi rzekomo donoszą Niemcom po tamtej stronie o wszystkich ruchach wojska polskiego; zdaje mi się, że jest to co najmniej naiwne, bo jeżeli się trafi szpieg, to ten zdoła przekroczyć linię demarkacyjną omijając posterunki, ewentualnie – będzie miał dość pieniędzy na okupienie przejazdu, co przy kwitnącym dziś przekupstwie i łapownictwie daje się zawsze zrobić, tylko oczywiście pokątnie. Ja na tym zatrzymaniu moich towarzyszy podróży Żydów straciłem o tyle, że dalszą drogę do Augustowa musiałem

odbyć sam, za co oczywiście mój woźnica zdarł ze mnie o wiele drożej: zamiast 30 mk. z Rajgrodu do Augustowa, musiałem zapłacić 70 mk. Ale pojechałem, nie czekając na dopływ podróżnych chrześcijan, bo chodzi mi o pośpiech, by jutro przed szabasem dotrzeć do Kowna. Po drodze z Rajgrodu do Bargłowa złapała mię burza z deszczem. W Bargłowie – posterunek niemiecki. Niemcy część Suwalszczyzny od strony Grodna już opuścili, ale tu między Bargłowem a Augustowem są jeszcze i podobno dopiero za dni 10 odejdą. Niemcy przepuścili mię bez przeszkód, ale zabrali mi kilkanaście setek marek niemieckich i zamienili na ruble ob-osty; dobrze jeszcze, że zamienili, bo w dzisiejszych czasach umieją zabrać i bez żadnej zamiany, a skarżyć się na nich nie ma komu. Wśród rubli ob-ostów dali mi na kilkadziesiąt marek papierków podartych i posklejanych, których mi nikt nie chciał w Augustowie brać. W Augustowskiem Niemcy są źli jak muchy na jesieni; rabunki ze strony żołnierzy niemieckich są na porządku dziennym. Rabują żołnierze pojedynczo na własną rękę i gromadnie zbiorowo jawnie. Ciągłe są napady na podróżnych na drogach, zwłaszcza po lasach nocami. Najeżdżają tu Niemcy wsie i zabierają, co się im podoba. Nie ma rekwizycji urzędowych, ale jest ciągły rabunek. W samym Augustowie Niemcy rabowali sklepy. We wsi Pamianach zabrali całe bydło ze wsi. Sam widziałem na własne oczy, jak w pewnej wsi kilkunastu Niemców kosiło koniczynę chłopską i ładowało natychmiast na fury, które specjalnie w tym celu przyszły. Ludność jest bezbronna. Wyuzdanie Niemców na odchodnym jest bez granic. Słychać było w Łomży i Grajewie, że w Augustowskiem jest jakieś wrzenie i awantury; mówiono, że ludność powstała, aby wypędzić Niemców i że Niemcy z ludnością walczą. Tego nie ma. Był wypadek, że zabito dwóch Niemców, na co Niemcy odpowiedzieli represjami w postaci zdwojonego rabunku. Innych represji Niemcy nie stosują, jak rabunku. Gdy chcą ukarać – rabują. W Augustowie pojechałem w nocy na kolej. Dojechałem szczęśliwie, co podobno nie zawsze w nocy na drodze leśnej się udaje, bo napaści są ciągłe.

4 lipca, rok 1919, piątek

Po północy wyjechałem z Augustowa na Suwałki koleją żelazną. Obecnie już pociąg ten idzie tylko od Augustowa. Jak wiem od współpodróżnych, którzy jechali z Grodna furmankami, o 5-6 wiorst za Augustowem na wschód przechodzi w tej chwili granica okupacji niemieckiej. Za dni 10 albo kilkanaście Niemcy wycofają się już i z Augustowa na Suwałki. Wtedy stanie się aktualna kwestia linii, dzielącej w Suwalszczyźnie Litwinów od Polaków. W myśl wyznaczonej przez czynniki Ententy linii demarkacyjnej – linia ta ma iść Kanałem Augustowskim na Sopoćkinie. Podobno na wschód od Augustowa, gdzie się Niemcy już wycofali, wojska polskie, które się wpierw posunęły za nimi, cofnęły się z pewnej części terytorium: prawdopodobnie chodzi tu o teren na północ od Sopoćkiń, co mogłoby świadczyć o zastosowaniu się Polaków do linii demarkacyjnej, toteż, jak mówią podróżni, od granic okupacji niemieckiej do tego miejsca, gdzie są posterunki polskie, jest pas 25 wiorst, nie obsadzony przez nikogo i działa tam milicja lokalna pod egidą Rady Obywatelskiej. Litewskich władz ani wojsk tam nie ma. Obecnie w koszarach augustowskich, które są położone na północnej stronie kanału, a więc po litewskiej stronie linii demarkacyjnej, zakwaterowały się wojska litewskie, widocznie przerzucone do obsadzenia linii po odejściu Niemców. Czy tylko Polacy zechcą się do wytkniętej linii zastosować, pozostawiając w ręku litewskim polskie skrawki kraju aż do Suwałk i dalej do granic powiatu kalwaryjskiego.
Do Suwałk przyjechałem o świcie. Tam przesiadłem na pociąg, idący w kierunku Olity, którym dojechałem do stacji Szostakowo. Od Suwałk w wagonach już większość litewska. Żołnierzy litewskich tu jednak nie widać. Z Szostakowa za 50 marek

wynająłem miejsce w karetce żydowskiej do Wyłkowyszek. Koło południa byliśmy w Mariampolu. Tam wpadłem na obiad do znajomej mi restauracji Miškinisa, która może się sławić doskonałą kiełbasą litewską, o jakiej w Polsce nikt ani w przybliżeniu pojęcia nie ma, potem odwiedziłem Andrzeja Bułata. Bułat praktykuje w Mariampolu jako adwokat i jest kierownikiem gimnazjum tamże. Od polityki czynnej stoi na uboczu. Trzyma się w opozycji do rządów Taryby, Zdaje się, że jego miłość własna jest bardzo podrażniona. A jest to człowiek taki, który, o ile nie może być na pierwszym miejscu, do którego go nie dopuszczają – nie chce być na żadnym. O godz. 2 wyjechałem dalej – do Wyłkowyszek. Za towarzysza podróży miałem młodego Litwina wojskowego; w rozmowie z nim miałem sposobność zmierzyć głąb niechęci i żalu, jakie Litwini żywią do Polaków. Z Wyłkowyszek dojechałem koleją na godz. 9 do Kowna. Ta część podróży zeszła więc szybko.

5 lipca, rok 1919, sobota
Dowiedziałem się rano, że p. Kazimierz Świątecki jest w Kownie, toteż poszedłem zaraz do niego, domyślając się, że może coś będzie wiedział o Bohdaniszkach i Kowaliszkach. Nie zawiodłem się. Dowiedziałem się od p. Świąteckiego, że Zyś Komorowski był niedawno w Kownie, stąd więc mam wszystkie wiadomości. Papa jest w Bohdaniszkach – nic mu się nie stało. Komorowscy też wszyscy ocaleli, oprócz Hektora i Witolda Komorowskiego, brata Zysia. Tych dwóch oraz Przeździeckiego z Rakiszek bolszewicy od dawna zaaresztowali i wywieźli jako zakładników. Podobno trzymają ich teraz w Borysowie. Poza tym, wszyscy w Kowaliszkach, a więc oboje Zysiowie, Julo, Zitka, mała Felusia, panna Jadwiga Komorowska i pani Marycha z córką Adą i młodszymi dziećmi – są zdrowi i siedzą w majątku. Mieli oni jednak ciężkie przejścia. Zyś z Julem przez czas jakiś ukrywali się w szafach czy schowkach w ścianie, a w ostatnich czasach byli wszyscy wygnani z Kowaliszek i musieli się jak dzikie zwierzęta tułać po lasach.
Z dojazdem do Bohdaniszek wielkich trudności, zdaje się, nie będzie. Mój przyjazd zbiegł się z ewakuacją Niemców z Litwy. Od Poniewieża na wschód już i teraz Niemców nie było. Obecnie wycofują się oni na całej linii Radziwiliszki-Kowno. Z tego powodu kolej żelazna Kowno-Koszedary-Radziwiliszki-Poniewież przechodzi w ręce litewskie. Niemcy, cofając się, zostawiają Litwinom część taboru kolejowego. Dziś i jutro ruch kolejowy na tej linii jest wstrzymany, ale już od poniedziałku kursować zaczną pociągi litewskie (bezpośredniej komunikacji z Kowna do Poniewieża). Z Poniewieża zaś dalej na Rakiszki-Abele chodzą pociągi, zdobyte przez Litwinów na bolszewikach (tam kolej jest przerobiona przez bolszewików na szerokotorową). Spodziewam się więc, że dojadę koleją aż do Rakiszek. W samym Kownie Niemcy pozostaną już tylko do połowy przyszłego tygodnia i cofną się na linię Pilwiszek w Suwalszczyźnie. W północnej części guberni kowieńskiej, za Radziwiliszkami na północny zachód i w kierunku Mitawy Niemcy jeszcze mają czas jakiś pozostać. Ludność doświadcza uczucia ulgi z powodu wycofania się Niemców, chociaż politycy litewscy w związku z tym faktem żywią pewne obawy co do Polaków. Są mianowicie pewne przypuszczenia, że Polacy nie uszanują linii demarkacyjnej, wytkniętej przez czynniki koalicyjne (jak się okazuje – nie przez Konferencję Pokojową ani przez Radę Czterech, jeno przez misje wojskowe Koalicji). Litwini zwracają uwagę na to, że Polacy nie tylko się nie cofają w guberni wileńskiej z tych terenów, które zajmują faktycznie poza wyznaczoną obecnie linię demarkacyjną, ale nawet gdzieniegdzie (w Jewiu) zajmują miejscowości, które były dotąd w ręku litewskim. Powołują się też Litwini na pismo jakiegos dowódcy polskiego (zdaje się – z Grodna), wystosowane do Niemców z zawiadomieniem, że ów dowódca otrzymał rozkaz zajmowania Suwalszczyzny w miarę

wycofania się Niemców. Niemcy, oczywiście, odpis tego pisma zakomunikowali Litwinom, którzy się wobec tego liczą z „ofensywą” okupacyjną polską w Suwalszczyźnie; zresztą cała sprawa z tym pismem może być prowokacją niemiecką, opartą nawet – kto wie – na pewnym fałszu.
Przekonywam się tu coraz bardziej, jak ujemnie działa na stosunki Litwy z Polską fakt zajęcia przez Polaków Wilna. W przekonaniu Piłsudskiego i zwolenników związku Polski z Litwą, „fakt dokonany” zajęcia Wilna i wyparcia bolszewików ze znacznej części kraju miał być atutem, przemawiającym do Litwinów na rzecz szukania układów i zbliżenia do Polski. Tymczasem stało się inaczej. Fakt dokonany wpływa na stosunki wzajemne tylko drażniąco; żaden naród nie lubi, gdy sąsiad przemawia do niego faktami, dokonanymi na jego terytorium, a przynajmniej na terytorium, które on uważa za swoje dziedzictwo. Toteż każdy eksces żołnierzy polskich, a nawet złośliwe ekscesy antylitewskie ciemnych dewotek i bab wileńskich są przez Litwinów skrzętnie notowane i służą za ziarna coraz to bardziej rosnącej goryczy.

6 lipca, rok 1919, niedziela
Korzystając z pobytu w Kownie, napisałem dziś list do Reginy, mojej żony. Jest to pierwsza od czasu naszego rozstania przed 9 laty próba bezpośredniego zwrócenia się mego do niej. Napisałem zapytując o córce. List ułożyłem prosto i grzecznie. Przeprosiłem Reginę za zwrócenie się do niej, wyraziłem nadzieję, że 9-letni upływ czasu ukoił ból i żale, zaznaczyłem rolę dziecka w naszym stosunku, które nas wiąże pomimo wszystko, co nas dzieli, podkreśliłem szacunek, jaki żywię osobiście dla Reginy i prosiłem o odpowiedź do Kowna z wieściami o córce, dodając, że jeżeli mój list obraża Reginę lub budzi u niej dawne rany, to ją przepraszam i nie nastaję na mej prośbie. Ciekaw jestem, czy Regina zechce i w jaki sposób – zareagować na ten list.
W Kownie wczoraj i dziś najwięcej mi wypadło obcować z Šaulysem i Dominikiem Siemaszką[224]. Ten ostatni gra teraz rolę Białorusina czy też Litwina białoruskiego. Jest on wyznawcą i rzecznikiem państwowej litwinizacji Białej Rusi zachodniej, czyli tzw. Rusi litewskiej, jako cząstki narodu litewskiego o odrębnej kulturze językowej, w przeciwstawieniu do narodowej idei białoruskiej, uznającej jedność Białej Rusi i dążącej do budowy państwowej niepodzielnej Białej Rusi. Siemaszko wyraża tę tendencję, która jest popularna u narodowców litewskich w budowie Litwy z gubernią grodzieńską i wileńską. Stąd pochodzi przeciwstawienie się jego Białorusinom narodowym, nawet takim, jak Antoni Łuckiewicz, którzy niegdyś sami jego wprowadzili w ruch białoruski i skierowali do Taryby. Siemaszko jest członkiem Taryby i członkiem misji litewskiej wobec Konferencji Pokojowej w Paryżu, skąd przed paru dniami przyjechał do Kowna i wkrótce znów wraca do Paryża. Siemaszko, acz pierwotnie rzecznik Białorusinów w Tarybie, stał się gorliwym sługą nacjonalizmu litewskiego i państwowej koncepcji nie białoruskiej, lecz właśnie litewskiej. Czy Woronko i Wacław Łastowski, którzy też stoją formalnie na gruncie Taryby i z których pierwszy należy do rządu litewskiego jako minister do spraw białoruskich (niestety – teraz, na skutek okupacji polskiej, teka ta jest bez terytorium białoruskiego), a drugi – Łastowski – przebywa w Kownie; czy ci dwaj podzielają rdzennie litewską koncepcję Siemaszki – nie wiem. Zdaje się, że przynajmniej co do Łastowskiego, to ten inaczej się zapatruje na rzeczy i choć należy do Taryby i stoi formalnie na jej gruncie państwowym, to jednak w gruncie rzeczy jest wyznawcą jedności narodowej Białej Rusi i tylko dla ewentualności zbudowania Piemontu białoruskiego na wypadek niewykonalności budowy zjednoczonej Republiki Białoruskiej trzyma się Litwy w

[224] Siemaška Dominik (1878-1932), działacz białoruski, przedstawiciel Białorusinów w Tarybie, 19 VI 1920 – 1 II 1922 minister do spraw białoruskich w rządzie litewskim.

koncepcji tarybowej. W Paryżu Siemaszko styka się z Antonim Łuckiewiczem, który, jako „prezes ministrów" b. Republiki Białoruskiej, tworzonej w Mińsku za okupacji niemieckiej, prowadzi tam akcję pod hasłem niepodległości zjednoczonej Białej Rusi. Jako neofita litewsko-białoruski, Siemaszko, jak większość neofitów, pała namiętną nienawiścią do Polaków i wszystkiego, co polskie. Gdy mówi o Polakach – aż uszy więdną słuchać. Sam jestem przeciwnikiem polityki polskiej względem Litwy, nie wyłączając obozu Piłsudskiego, zwłaszcza co do jego metod, ale takiej namiętności antypolskiej trudno mi przecie sprzyjać. Zresztą mam wrażenie, że u neofity Siemaszki decydującą jest sprawa kieszeni. Ponieważ Litwini mu płacą i dają wygodne stanowisko w Paryżu, więc jest dla nich gorliwy tak, że aż przesadza. Takie jest moje wrażenie. Nie ufam mu.

7 lipca, rok 1919, poniedziałek
Wysłałem pocztą list do Reginy. Pierwszy raz widziałem litewską markę pocztową: jest ładna; pięknie się prezentuje Pogoń litewska na rysunku marki.
Załatwiłem dziś sprawę przepustki na wyjazd w dalszą drogę. W kierunku na Szawle i Poniewież, a zdaje się zresztą na wszelki wyjazd z Kowna przepustki są niezbędne, ale wydają się bez żadnych formalności za okazaniem paszportu. Przepustkę otrzymałem w komendanturze miejskiej litewskiej; wydano mi ją tylko do Poniewieża; tam będę musiał wziąć inną w komendanturze miejscowej. Przepustek niemieckich stąd już w tamtym kierunku nie potrzeba. Na całej linii kolejowej od Koszedar do Radziwiliszek Niemcy się już wycofali. Teraz Niemcy wycofują się z odcinka Koszedary-Kowno i od jutra ruch pociągów na tym odcinku ustaje, a wznowiony być ma, już pod zarządem litewskim, od czwartku. Toteż, zdaje się, wyjadę z Kowna jutro nie koleją, ale furmanką – na Janów, a stamtąd dopiero koleją.
Nie ustają w Kownie śród Litwinów alarmujące pogłoski o stopniowym, ale systematycznym posuwaniu się Polaków na zachód od Wilna w głąb terytorium litewskiego, a nawet są wersje o zamiarach polskich uderzenia na Kowno. Trudno mi w to uwierzyć, ale nie mogę zaprzeczyć, że w pewnych kołach, i to właśnie zbliżonych do polityki Piłsudskiego, ta nieszczęsna myśl tworzenia rozwiązań dla sprawy polsko-litewskiej na rzecz związku Litwy z Polską – metodami „faktów dokonanych", i to dokonanych jednostronnie orężem polskim, ma wyznawców przekonanych. Byłoby to szaleństwem, które realizuje nie co innego, jak gwałt i aneksję Litwy, co Litwinów usposabia bezwzględnie wrogo do Polaków i czemu z pewnością sprzeciwi się Ententa, bo byłoby to zbyt jaskrawym pogwałceniem zasad wolności narodów. Gra w fakty dokonane bywa obosieczna, a w tych warunkach zakrawa ona ze strony polskiej na prowokację, obliczoną na wytworzenie stanu, analogicznego do Galicji Wschodniej, gdzie się stan ten skończył zwycięstwem dyplomatycznym Polaków, którzy otrzymali wreszcie od Entanty mandat zajęcia i uporządkowania Galicji Wschodniej po Zbrucz.
Bardzo ciekawe, co nastąpi po wycofaniu się Niemców. Czy Litwa będzie się budowała dalej trybem obecnych rządów Taryby, trzeba przyznać – sennie i biurokratycznie, czy też zajdą przemiany z łona czynników wewnętrznych lub zewnętrznych i jakie? Może być inwazja Polaków, może być stopniowe opanowanie Litwy przez oddziały ochotnicze rosyjskie, organizujące się przeciwko bolszewikom, a wyrastające już w Łotwie w groźną potęgę nowej armii okupacyjnej (wojsko Lievena).
Niebezpieczeństwo rosyjskie jest wielkie. Niepodobna na nie oczu zamykać. Koalicja popiera restaurację Rosji kontrrewolucyjnej pod firmą Kołczaka, którego odziały antybolszewickie wyrastają wszędzie na kresach b. imperium rosyjskiego, wolnych od władzy bolszewików jako oddziały ochotnicze, ale o tendencjach mocarstwowo-rosyjskich, w istocie dalekich od uznania samodzielności państewek kresowych.

Koalicja ociąga się z uznaniem formalnym tych państewek, a formacje ochotnicze rosyjskie, po formalnym uznaniu rządu Kołczaka – popiera. Stąd płynie groźne niebezpieczeństwo. W krajach bałtyckich Niemcy-Bałtowie ciążą do tych formacji rosyjskich i prawdopodobnie poprą ich mocarstwowe tendencje rosyjskie. Niewyraźny jest też wewnętrzny stan Litwy. Różnie mówią o nastrojach ludu, wojska, o roli licznych elementów polskich i rosyjskich w wojsku i w urzędach litewskich. Najgłębszą podstawę państwu litewskiemu dałby sejm; dałby on państwu podwaliny, dałby oparcie o lud, wniósłby na porządek dzienny sprawy tak aktualne, jak reforma agrarna. Władze litewskie ociągają się jednak ze zwołaniem sejmu, bojąc się niespodzianek głosowania powszechnego i nie będąc pewne, czy sejm ludowy nie dokona głębokich przemian w polityce i w ludziach rządzących. Ciągną więc one dalej metodą biurokratyczną państwa urzędniczego, usuniętego od dopływu wielkich aktualnych zagadnień z łona masy ludowej i jej życia bezpośredniego. Dla zwłoki w zwołaniu sejmu mają to usprawiedliwienie, że stolica kraju – Wilno – nie jest jeszcze uwolniona.

8 lipca, rok 1919, wtorek

Z powodu wycofania się Niemców pociągi na odcinku Kowno-Koszedary przestały od dziś chodzić; komunikacja na tym odcinku wznowiona zostanie dopiero za dni parę; pierwszy pociąg litewski ma odejść z Kowna do Koszedar we czwartek (w ten sam dzień, we czwartek, mają się Niemcy wycofać z Kowna, a wraz z tym ma ustać komunikacja na odcinku Kowno-Pilwiszki, w Pilwiszkach mają się Niemcy przez czas jakiś zatrzymać). Ponieważ między Koszedarami a Radziwiliszkami pociągi litewskie już chodzą, więc obliczyłem, że mi wypadnie nawet taniej końmi pojechać do Janowa i tam siąść na pociąg do Radziwiliszek, niż czekać do czwartku w Kownie. Tak też zrobiłem. Nająłem miejsce w karetce żydowskiej, kursującej między Kownem a Janowem. Podróż taka kosztuje 30 mk. Karetka chciała odejść o godz. 4 po południu, ale zwyczajem żydowskim odeszła o 6, ponieważ w ostatniej chwili zgłaszają się coraz to nowi pasażerowie, a furmanowi zależy na tym, aby ich nabrać jak najwięcej. Toteż karetka była naładowana ludźmi aż do niemożliwości; wewnątrz siedziało nas siedmiu: ja, jakiś oficer litewski z Wiłkomierza, rodzina Estończyków dzierżawiących majątek Stołypina w wiłkomierskim i dwóch Żydów; na obszernych paropiętrowych kozłach siedziało wśród gromady rzeczy kilka osób; dwie czy trzy osoby siedziały z tyłu na desce, przeznaczonej na rzeczy; wreszcie jeden pasażer jechał na dachu karetki. Była to jazda prawdziwie żydowska – jak śledzie w beczce. Przy wyjeździe z Kowna była dwukrotna rewizja, zarządzona przez milicję; przepustek nie sprawdzano wcale, tylko szukano towarów, których wywozić z miasta bez specjalnego pozwolenia nie wolno. Droga szosą z Kowna do Janowa miejscami bardzo ładna; trafiają się wzgórza, urozmaicony falisty krajobraz, upstrzony lasami i malowniczymi grupami drzew, gdzieniegdzie ukazuje się Wilia; ładne są też bardzo pod Janowem mosty na Wilii. Do Janowa przyjechaliśmy po godz. 10 wieczorem w noc księżycową. Pociąg odchodzi dopiero jutro rano, toteż zanocowałem w zajeździe, dość porządnym. Są tu jajka, bułki, herbata, słowem – wcale nie tak strasznie i głodno, jak się ma z daleka wrażenie o tych stronach. Zresztą do Janowa bolszewicy nie dochodzili, więc tu jeszcze kraj tak wyniszczony nie jest. Na odjezdnym w Kownie słyszałem pogłoskę, że rzekomo Polacy posunęli się aż do Koszedar i Janowa. Okazało się to bajką. W ogóle w Kownie jest, zdaje się, przesada alarmowa co do ruchu Polaków w głąb Litwy etnograficznej; z jednej strony, Polacy w Kownie tęsknią po cichu do wojsk polskich i z radością mniej lub więcej tajoną dają posłuch tym pogłoskom, z drugiej strony – Litwini boją się Polaków, czując, że siłą dorównać im nie mogą, a są i tacy śród Litwinów, którzy świadomie chcą wojny z Polską i pchają do niej, podjudzając opinię litewską i umyślnie

szarżując niebezpieczeństwo polskie; te elementy, choć nie mogą nie zdawać sobie sprawy z tego, że siły polskie są o wiele większe od litewskich i że w razie starcia zbrojnego zwycięstwo polskie jest niewątpliwe, jednak pragną tej wojny, aby jak najbardziej spopularyzować w Litwie nienawiść do Polaków i Polski, przeciąć radykalnie raz na zawsze legendę o unii i jakichś szczególnych związkach Litwy z Polską, wykazać światu, że prawdą jest stan wojny między obu narodami, nie zaś stan pokoju, sprowokować interwencję Ententy, a wreszcie w atmosferze podniecenia wojennego i obrony narodowej spopularyzować w masach rząd litewski i obudzić instynkt nacjonalizmu, by w nich fermenty społeczne zgasić. Są to tendencje dość podobne w założeniu do tych, jakimi się kierują w Polsce elementy podniecające do wojny.

Innym razem opiszę w dzienniku moje ciekawe spotkanie z Matuszewskim, moim dawnym znajomym, jednym z wybitnych działaczy bolszewickich. A dużo ciekawego się od niego dowiedziałem. Złożyłem też wizytę Smetonie[225], prezydentowi Republiki Litewskiej.

Co do mnie – to noszę się coraz bardziej z myślą przeniesienia się od jesieni do sądownictwa litewskiego. Jest to dla mnie zagadnienie bardzo trudne. Rozumiem, że siedząc w Polsce i będąc tam sędzią, zatracam coraz bardziej kontakt z krajem i nawet wykraczam przeciwko moim obowiązkom obywatelskim, jak mi je moje sumienie dyktuje, i popełniam coś w rodzaju zdrady całej mojej własnej przeszłości ideowej, która musi człowieka obowiązywać. Ale są także duże skrupuły w przejściu na służbę litewską. Nie mówię już o Papie i rodzinie mojej, którzy nie wiem, jak to przyjmą, zbadam to na miejscu. Są jednak inne jeszcze „ale”. Jednym jest w ogóle pozycja Polaków litewskich czy Litwinów kultury polskiej w Litwie: ci Polacy, jak ja, którzy są szczerze obywatelami Litwy, uważają Litwę za swoją Ojczyznę, są przyjaciółmi Litwinów, a zarazem mają przecie sentyment narodowy polski – są dziś w Litwie między młotem a kowadłem. Polska zawiodła ich, bo oto nie staje na czele wolności ludów, jeno przychodzi na Litwę zabierać to, co chce uważać za swoje i przywłaszczyć, przychodzi więc w celach ściśle egoistycznych, wrogich interesom Litwinów. Z drugiej strony, Litwini nie mają względów dla tych swoich współbraci kultury polskiej. Zażaleni na Polskę, w dużym stopniu słusznie, doświadczeni antykrajową robotą ogromnej większości Polaków litewskich, zwłaszcza wileńskich, posądzają oni w każdym Polaku litewskim lub Litwinie kultury polskiej tajnego agenta polonizmu, ukrytego wroga. Na skutek tego jesteśmy tu traktowani jako obywatele II kategorii, obywatele podejrzani. Prasa litewska nie ukrywa tego nawet w stosunku do tych, którzy są na służbie państwowej litewskiej. Pozycja taka jest nie tylko przykra, ale i upokarzająca. Ciężką ona jest dla tych, którzy właśnie kochają Litwę; wielu popycha to na tory nacjonalizmu polskiego.

9 lipca, rok 1919, środa

Rano wstałem i pojechałem na dworzec kolejowy, odległy od miasteczka Janowa o 2 wiorsty. Około godz. 7 wsiadłem do pociągu. Niemców już tu w Janowie ani na całej przestrzeni do Radziwiliszek – nie ma. Litwa tu jest wreszcie wolna, jest sama, bez żadnych “”piekunów”, najeźdźców i okupantów. Realizuje ona to, co realizowała Polska w listopadowych dniach zeszłego roku. Bije teraz dla niej godzina wielkiej odpowiedzialności. A jednak nie wyczułem dziś w nastrojach i w rozmowach z ludźmi tego rozwichrzonego trochę upojenia wolnością, tego zgiełkliwego szumu, który wiał w Polsce w pierwszych miesiącach wolności. Wpływa na to zapewne i różnica

[225] Smetona Antanas (1874-1944), polityk, prawnik; 1917-1919 przewodniczący Taryby, 1919-1920 i 1926-1940 prezydent Litwy.

temperamentu, ale przypuszczam, że i niektóre inne przyczyny. Przede wszystkim, znaczna część kraju, właśnie ta, w którą dziś wjechałem, jest zdezorientowana świeżo przebytym okresem bolszewizmu, który pozostawił po sobie fermenty i zmęczył ludzi, następnie jest pewna niewiara u ludzi w swe siły narodowe, brak poczucia państwa litewskiego jako swojego dzieła, wreszcie dużą rolę gra to, że okupacja niemiecka ustąpiła siłą faktów, że tak powiem – automatycznie, a nie została, jak w Polsce, wyrzucona z kraju wysiłkiem własnym. Jest tu stan wojny, działają stany wyjątkowe, od wschodu, z kresów narodowych Litwy, zwiesza się nad nią chmura zagadki polskiej, która jednych pociąga magnesem, innych przeraża i nienawiścią oraz gniewem napawa.
Pociąg litewski z Janowa do Radziwiliszek szedł jednak doskonale. Biegł bardzo szybko i regularnie, stosując się dokładnie do czasu, oznaczonego w rozkładzie . Dorównał w zupełności pociągom niemieckim i szedł o wiele lepiej, niż chodzą pociągi polskie. Obsługa pociągów litewskich rekrutuje się przeważnie z kolejarzy z czasów rosyjskich, względnie z osób, dla których władze litewskie urządziły specjalne kursy. Większość kolejarzy posługuje się przeważnie językami rosyjskim i polskim, chociaż najczęściej umieją także po litewsku. Co do języka – to w ogóle język rosyjski w urzędach litewskich gra bardzo dużą rolę. I należy też stwierdzić jako fakt, że inteligenci-Litwini, o ile nie mówią po litewsku, chętniej używają języka rosyjskiego, niż polskiego. Robią to nawet z pewną tendencją, niektórzy to nawet dość manifestacyjnie podkreślając, co dla mnie osobiście jest przykre. Świadczy to o głębokiej niechęci inteligenckich sfer litewskich do wszystkiego, co polskie. Wprawdzie polityka polska, a szczególnie Polaków wileńskich, względem Litwy i Litwinów usprawiedliwia w dużej mierze tę niechęć, to jednak niechęć ta działa krzywdząco w stosunku do współobywateli, mówiących po polsku. Nie trzeba bowiem nigdy zapominać, że język polski jest tu jednym z miejscowych, podczas gdy rosyjski jest obcy, a nawet w dodatku tchnie starym imperializmem Wielkiej Rosji. W przeciwieństwie do inteligentów, u ludu tu niechęci do polskości nie widać, bodaj nawet mniej, niż przed wojną. O ile mogłem z rozmów wywnioskować – co prawda przygodnie – są nawet w ludzie dość duże sympatie polityczne polskie; pod tym względem jest znaczna różnica w nastrojach w Suwalszczyźnie, gdzie lud chłopski jest, jak mi się z wrażeń moich zdaje, bardziej niechętny Polsce.
W Janowie i w drodze do Radziwiliszek mówiono, że z Radziwiliszek do Poniewieża chodzą jeszcze pociągi niemieckie. Gdyśmy przyjechali do Radziwiliszek, okazało się, że pociągi niemieckie do Poniewieża już od dwóch dni kursować przestały, Niemcy bowiem już się z tego odcinka wycofali. Na stacji w Radziwiliszkach stał krótki pociąg, złożony z kilku wagonów, który, jako pierwszy pociąg litewski, miał odejść do Poniewieża. Lokomotywa tego pierwszego na tym odcinku pociągu litewskiego była udekorowana młodymi brzózkami, chorągwiami litewskimi i tarczami z Pogonią litewską. Do tego pociągu doczepiono nasz pociąg, który przyszedł z Koszedar, Niebawem odjechaliśmy. Była to jazda uroczysta. Pierwszy pociąg litewski był na stacjach aż do Poniewieża witany pieśniami i muzyką; gdzieniegdzie nie tylko na stacjach, ale i w polu w pobliżu wiosek – bramami triumfalnymi z zieleni brzozowej i dębowej, przeplatanej kwiatami polnymi i ogrodowymi i rutą. Po przyjeździe do Poniewieża dowiedzieliśmy się, że pociąg na Rakiszki odejdzie dopiero jutro. Z Poniewieża do Rakiszek kolej jest szerokotorowa, przerobiona na taką na wzór rosyjski przez bolszewików. Kursują tu pociągi zdobyte przez Litwinów z pomocą lotników niemieckich na bolszewikach. Lokomotywa jest tylko jedna. Pociąg ten został zdobyty w ten sposób, że gdy już do Poniewieża wkraczali Litwini i ostatni pociąg bolszewicki uciekał z dworca, rzuciły się nań cztery aeroplany niemieckie i zaczęły go w biegu obrzucać bombami; bomby chybiały, ale jedna upadła przed pociąg i zniszczyła tor,

wskutek czego pociąg się w pełnym biegu wykoleił. Zginęło w tej katastrofie około 200 osób, przeważnie Bogu ducha winnych jeńców, wracających do Rosji przez Litwę z niewoli niemieckiej, ale Litwini zdobyli tą drogą pociąg i mogą przeto korzystać z tego odcinka kolejowego, co ma duże dla nich znaczenie.

10 lipca, rok 1919, czwartek
Dotychczas udawało mi się wszystko w tej podróży znakomicie. Oprócz małej zwłoki z wyjazdem z Kowna, spowodowanej przez przejście kolei z rąk niemieckich w litewskie, wszystko szło gładko, wszędzie natrafiałem na dobrą komunikację, nie miałem nigdzie żadnych trudności z przepustkami, a nawet pod względem pieniężnym podróż nie okazała się tak bajecznie droga, jak się z daleka zdawało. Ta podróż, którą porównywałem do podróży w głąb Afryki, okazała się bardzo prostą i wcale znośną, a nawet, jak na czasy obecne – wyjątkowo łatwą. Zdawało mi się, że o wiele trudniej będzie się dostać z Polski aż het na krańce północno-wschodnie Litwy, pod Dyneburg, pod sam front bolszewicki, w ten klinek kraju, który dopiero co świeżo odebrany został od bolszewików. Po tych przerażających opowieściach, które dochodziły o gospodarce i rządach bolszewickich, zdawać się mogło i zdawało z daleka, że strony te są pustynią, w której panuje głód, pola leżą odłogiem, ludzie są podobni do cieniów, komunikacje wszelkie przerwane, wszelkie niemal elementy cywilizacji zniszczone. Tymczasem wcale tak nie jest. Ludzie są tacy, jak byli, pola obsiane, urodzaje śliczne, komunikacje znośne, drożyzna, jak dotąd, nie większa (w Poniewieżu, jak gdzie indziej), bodajże nawet mniejsza, niż w Kownie, a pod pewnymi względami nawet mniejsza, niż w Polsce, bezpieczeństwo osobiste w podróży i wszędzie na miejscu zupełne, może nawet większe, niż w Polsce, bo nie słychać o bandytyzmie, a już z pewnością większe, niż w ostatnich czasach okupacji niemieckiej w augustowskim, pomimo że młode władze litewskie dopiero się organizują. Co zaś do przepustek, to stan rzeczy nie pozostawia nic do życzenia: w Kownie wydano mi przepustkę do Poniewieża bez żadnych przeszkód, a w Poniewieżu wczoraj w komendanturze przystojna grzeczna Litwineczka wypisała na moją prośbę przepustkę do Rakiszek, zaniosła do podpisu i wydała, nawet nie zaglądając do mego paszportu i nie sprawdzając nazwiska – wszystko na moje słowo. Aż się dziwiłem takiej prostocie i łatwości, tym bardziej, że tu w urzędach urzędnicy są na ogół grzeczniejsi. Nie wiem, czy z powrotem do Polski nie będą miał większych z paszportem trudności. Dotąd więc w podróży szło mi dobrze, aż oto tu w Poniewieżu nagle u samego progu mety – powstały nieprzewidziane przeszkody. Na odcinku kolejowym Poniewież-Rakiszki-Jodłówka Litwini mają tylko jedną lokomotywę przystosowaną do szerokiego toru kolei, zdobytą na bolszewikach. Otóż trzebaż, że akurat wczoraj lokomotywa ta w Rakiszkach się zepsuła (pękł kocioł), toteż pociąg nie mógł przyjść do Poniewieża, a przeto i odejść z Poniewieża z powrotem na Rakiszki. Posłano tam mechaników do obejrzenia, względnie do naprawy lokomotywy. Przez cały dzień śród masy podróżnych, czekających na pociąg rakiski na dworcu kolejowym i po zajazdach, rozrzuconych licznie w pobliżu dworca, krążyły najsprzeczniejsze pogłoski na temat, czy pociąg przyjdzie, czy nie i kiedy przyjdzie. Komendantura dworca nie była w stanie nic pewnego powiedzieć. Na koniec wieczorem zaczęły się ustalać wersje, że pociąg jeszcze parę dni kursować nie będzie. Szkoda zmarnowanego dnia. Gdyby się wiedziało, wyjechałoby się dalej furmanką. Postanowiliśmy we czworo – ja, Dąbrowski (b. rządca rakiszecki, obecnie dzierżawca Abel), pewien gospodarz z Ostrowia parafii krewieńskiej i pewien Żyd z Rakiszek – nająć jutro rano furmankę i nie czekać dłużej. Dla mnie każdy dzień jest drogi – tak się rwę do domu – a oprócz tego siedzenie w Poniewieżu pochłania dużo pieniędzy i jest niesłychanie nudne. Na ogół zresztą ceny, jak wzmiankowałem, nie są tu wysokie. Dziś

był dzień targowy w Poniewieżu, więc np. funt chleba kosztował 1 markę, funt jagód (truskawki) – 4 marki, kura – 16 mk., indyczka – 40 mk.; są to ceny równe albo tańsze, niż w Polsce. Zasobny musi być kraj, jeżeli po kilkumiesięcznym pobycie bolszewików tyle jest jeszcze żywności i takie są ceny.
Zarówno tutaj w zajeździe w Poniewieżu, jak w całej podróży stykam się dużo z Żydami, bo w ogóle Żydzi najwięcej jeżdżą, szmuglując przeważnie. Otóż przekonałem się, że nie tylko bynajmniej Polacy (mam na myśli klasę ziemiańską polską) są usposobieni dość sceptycznie lub nawet z pewnym złośliwym przekąsem do usiłowań zbudowania niepodległej państwowości litewskiej. Żydzi to mają w większym jeszcze stopniu, choć oczywiście tylko po cichu, udając wobec Litwinów-narodowców, że są zwolennikami państwowości Litwy. Polacy stosują się sceptycznie lub złośliwie nie tyle do państwowości, ile do niepodległości, marząc ciągle o unii z Polską. Żydzi natomiast z zupełnym lekceważeniem traktują samą państwowość Litwy, uważając to za rzecz niepoważną, za rezultat jeno zamętu i organizacji społecznej walki z bolszewizmem, któremu, jak spostrzegam, bardzo wielu Żydów, nawet większość Żydów – nie sprzyja zresztą wcale. Tęsknią Żydzi i wierzą niezłomnie w restaurację Wielkiej Rosji, z zainteresowaniem śledzą oni ruchy w krajach bałtyckich (Łotwa, Estonia) i akcję elementów Kołczaka[226], streszczającą imperializm rosyjski. Idea Litwy jest dla Żydów zupełnie obca. Zmysłu obywatelskiego nie ma u nich ani kropli. Wobec Litwinów w urzędowej polityce państwowej Żydzi uchodzą – w przeciwstawieniu do Polaków – za sprzymierzeńców, ale to jest fikcja. Żydzi są w Litwie elementem rdzennie antypaństwowym, jeno mniej dla Litwinów niebezpiecznym, niż Polacy, wiążący Litwę *per fas et nefas*[227] z Polską.
Ciekawe jest, że w tej części kraju, która była pod okupacją bolszewicką, wojsko i władzę litewską nie nazywają Litwinami, jeno „białymi". Jest to nazwa spopularyzowana przez bolszewików dla oznaczenia kontrrewolucyjności wojsk litewskich jako antybolszewickich. Nawet chłopi Litwini, których wielu tu spotkałem, używają stale nazwy „baltieji"[228] lub „biała gwardia" na określenie wojsk litewskich. Inaczej nie mówią – jak gdyby nie mieli poczucia, że to są ich własne narodowe wojska, własny narodowy rząd. To tym bardziej wskazuje na potrzebę szybszego zarządzenia wyborów do Sejmu, aby dać młodemu państwu litewskiemu podstawę ludową.

11 lipca, rok 1919, piątek
Od samego rana był kłopot z furmankami dla jazdy do Rakiszek. Nadeszła wreszcie wiadomość pewna, że pociąg nie przyjdzie wcale, bo lokomotywa jest tak poważnie uszkodzona, że dla naprawy trzeba aż z Kowna sprowadzić materiały czy narzędzia; zdaje się więc, że od jutra zaczną zwężać tor kolejowy, aby móc w kierunku frontu puszczać zwykłe pociągi, ale zanim to będzie dokonane, zanim będą mogły pójść pociągi na Rakiszki, upłynie dobrych dni kilka, jeżeli nie więcej. Wskutek tego od wczesnego rana, od samego świtu – zrobił się ruch gorączkowy wśród licznych podróżnych z Rakiszek i Abel, zgromadzonych od dni kilku w Poniewieżu w oczekiwaniu jałowym na pociąg. Rzucono się na wszystkie strony w poszukiwaniu furmanek. Ze względu na dotychczasową komunikację kolejową nie ma tu, jak gdzie indziej, kursujących regularnie karetek lub fur żydowskich, załatwiających ruch masowy. Pojedyncze furmanki są zaś niezmiernie drogie i trudno je dostać. Teraz zaś furmanek zabrakło tym bardziej, że wobec ustania komunikacji kolejowej litewskie

[226] Kołczak Aleksandr (1874-1920), admirał rosyjski, jeden z organizatorów i przywódców białej armii w wojnie domowej w Rosji.
[227] (łac.) per fas et nefas – nie przebierając w środkach.
[228] (lit.) baltieji – biali.

władze wojskowe zarekwirowały setki furmanek ze wszystkich wiosek okolicznych dla przewozu amunicji i prowiantu wojennego na front. Po bezpłodnych poszukiwaniach dałem wreszcie za wygraną. Znajomy gospodarz z Ostrowia wykombinował pomysł taki, aby pojechać kolejką do Uciany, stamtąd pieszo do Użpola (17 wiorst), za Użpolem zaś o wiorst 10 ma on tam bliskiego krewnego, który nas zawiezie do Annopola do Stawskiego o 7 wiorst, gdzie już Stawski da mi konie, dokąd zechcę. Przystałem na ten projekt. Po kilku godzinach włóczęgi po dworcu kolejowym i kołatań do komendantury na dworcu wyklarowało się jednak, że nie wiadomo, czy pociąg do Uciany pójdzie, a jeżeli pójdzie, to czy pozwolą jechać podróżnym cywilnym. Wobec tego, zirytowany tą nieokreśloną sytuacją, zniecierpliwiony wysiadywaniem w Poniewieżu, gdy dni płyną jeden za drugim – a do stracenia dużo ich nie mam – postanowiłem wymaszerować po prostu pieszo, nie oglądając się już na nic. Koło 90 wiorst dzieli mię od Rakiszek – przestrzeń duża, jeżeli iść pieszo, mając ciężkie jesienne palto i spory worek do dźwigania na plecach. Byłem zły, bo tymczasem wielu podróżnych poznajdywało furmanki i odjechało paczkami. Szczęście mi jednak błysnęło, bo gdym szedł do zajazdu po moje rzeczy, spotkały mię dwie Żydóweczki z Abel i zaproponowały, abym należał z nimi do spółki do furmanki, którą umówiły do Ponadela (około 60 wiorst) za 300 przeszło rubli rosyjskich (ruble rosyjskie idą tu na równi z markami, ruble zaś tzw. litewskie czyli okupacyjne „osty" kursują rubel = 2 marki albo 2 ruble rosyjskie, ale rosyjskie tylko carskie, zwane też kredytkami albo nikołajewskimi, ruble bowiem z czasów rewolucji, jak „dumskie", „kierenki" i „sowieckie" nie są wcale przyjmowane). Przyjąłem chętnie propozycję. Wypadło jeszcze parę godzin przemarudzić, zanim umówiona furmanka nadeszła. Okazało się, że woźnica Żyd inaczej się nie zgadza jechać, jak szabasując w Suboczu (litewskim), tak że do Ponadela dojedziemy w najlepszym razie w niedzielę koło południa. Nie było wyboru, bo teraz nie podróżny, ale woźnica jest panem sytuacji, jak zresztą we wszystkim w tych czasach: zawsze górą jest sprzedawca nad kupującym; pod tym względem w dzisiejszych czasach powszechnego wyczerpania dawne role się zmieniły. Ale za to w Ponadelu będę już prawie jak w domu: stamtąd choćby przyszło iść pieszo, droga jest do Rakiszek znajoma i wynosi tylko 26 wiorst. Około godz. 1 wyjechaliśmy i przed wieczorem stanęliśmy w Suboczu w osadzie przy stacji kolejowej. Po drodze mieliśmy trochę burzy i deszczu. Urodzaje wszędzie śliczne. Pola obsiane dobrze. Pod tym względem stan rzeczy jest tutaj b. dobry; o ile w guberni grodzieńskiej i wileńskiej (np. okolice Wołkowyska i Lidy), nawet tam, gdzie wcale nie było bolszewików, ogromne przestrzenie przedstawiają smutny widok pustki, leżącej na olbrzymich odłogach, o tyle tu, nawet tam, gdzie byli bolszewicy, pola przedstawiają widok kwitnący jak w raju ziemskim; jeżeli tylko zbiory dopiszą, stan aprowizacyjny będzie tu wcale dobry. Nie ma też tutaj wcale nadzwyczajnej drożyzny; jest ona przeciętnie nie większa, niż w Polsce, co do niektórych zaś produktów nawet mniejsza. Wpływa na to zarówno obsianie wszystkich pól, lepszy gatunek gleby, wyższy stan zamożności i gospodarki chłopów, mniejsze wyludnienie wojenne, jak też bliskie sąsiedztwo miast portowych, skąd, w szczególności z Libawy, dużo się przewozi produktów, dowożonych z Ameryki. Zdaje się, że materialnie Wilno byłoby w położeniu o wiele lepszym, gdyby było w ręku litewskim, niż gdy jest w ręku polskim. Czynnik ten może mieć duży wpływ nawet na polityczne tendencje w Wilnie. Ceny tu ujednostajniają się wszędzie mniej więcej automatycznie. Na ogół ceny nawet w takim Poniewieżu, będącym do niedawna w ręku bolszewików, są niższe, niż np. w Białymstoku, graniczącym z Polską. Zdaje się, że co do bardzo wielu artykułów lokalnych ceny w Poniewieżu są niższe, niż nawet w Kownie, które jest od Warszawy i miast polskich droższe.

Za czasów bolszewickich ceny tu były istotnie wysokie, choć nigdy nie dochodziły do tych fantastycznych poziomów, co w Rosji. Ten skrawek Litwy był spichlerzem hinterlandu bolszewickiego. Każdym pociągiem najeżdżała tu chmara tzw. „мясочников" po zakupy zboża i produktów dla Dyneburga i głębszych miast na wschodzie. Drożyzna i względny brak produktów żywności, który się tu wtedy wyczuwało w porównaniu do stanu obecnego, płynęły z jednej strony z niskiej wartości pieniędzy (różne „kierenki", „dumskie" itd.) będących wtedy w użyciu, jak z ukrywania produktów przez ludność; ukrywano tak dla spekulacji, jak w obawie głodu, stale postępującego od wschodu na zachód na ziemiach bolszewickich. Jak tylko bolszewików wypędzono – wszystko się znalazło na miejscu i zaczęło szybko tanieć.

12 lipca, rok 1919, sobota
Wynudziłem się okropnie na szabasowaniu przez cały dzień w Suboczu. Pomyśleć tylko, że się jest już tak blisko domu po 4 leciech niebytności i że się ma przed sobą termin wakacji tak ograniczony – i trzeba zmarnować cały dzień w głuchej dziurze w nędznym zajeździe dla głupiego szabasu! Żydzi są prawdziwymi niewolnikami przesądów i konwenansów. Mogą być bolszewikami, mogą głosić i forsować najbardziej wywrotowe w społeczności chrześcijańskiej zasady, a przecież swego szabasu przestrzegają niewolniczo, nie z przekonania, ale dla oka swych współwyznawców. Ogromna masa Żydów nie zawaha się złamać przepisów szabasu, gdy nikt nie widzi, ale w obecności innych Żydów udają świętoszków. W narodzie tym jest ogromna głąb tchórzostwa i hipokryzji, formalistycznej obłudy i ubóstwa przekonań.
Przez Subocz przechodzą teraz długie sznury furmanek, którymi są kierowane transporty wojenne na front. Większych specjalnych trenów własnych dla załatwiania transportów na dalsze odległości Litwinom brak; front był obsługiwany przez kolej, toteż teraz, gdy jedyna lokomotywa na tym szerokotorowym odcinku kolejowym została uszkodzona, wszystko się przewozi furmankami chłopskimi. Idą tabory, liczące po dziesiątki lub setki tych charakterystycznych furmanek naszych, zaprzężonych w niewielkie krępe koniki, w duhach, z wózkami krótkimi i drobnymi, od których oko moje w Polsce odwykło. Podoba mi się ten widok, przypominający mi dzieciństwo i przeszłość.
Powiadają, że Litwini odparli już bolszewików za Jeziorosy. Bolszewicy w paru ostatnich tygodniach czynili energiczne usiłowania przełamania Litwinów, ale sami złamani zostali. Z ust ludzi miejscowych, nie wyłączając Żydów, którzy bynajmniej przyjaźnie do wojska litewskiego usposobieni nie są – bo żołnierze litewscy przejawiają podobno dość jaskrawie antysemityzm – słyszę wciąż pochwały dla waleczności Litwinów, którzy, jak świadczy ludność miejscowa, biją się bardzo dobrze.
Słychać, że uszkodzenie parowozu w Rakiszkach – jedynego parowozu szerokotorowego, którym rozporządzali Litwini, było dziełem rozmyślnego zamachu bolszewickiego, dokonanym przez maszynistę. niejakiego Lišysa, znanego podobno bolszewika. Jeżeli tak, to jest to rzeczywiście wielkim niedołęstwem, że się w tak ważnych okolicznościach powierzyło jedyną lokomotywę w ręce zwolennika wrogów, z którymi się walczy. Lišys został podobno aresztowany.
Po ukończeniu szabasu, o godz. 11 wieczorem, wyjechałem z moimi dwiema towarzyszkami, Żydóweczkami abelskimi z Subocza w dalszą drogę do Ponadel.

13 lipca, rok 1919, niedziela
Całą noc spędziłem w drodze z Subocza do Ponadel. Z Subocza wyjechałem wczoraj o godz. 11 wieczorem. Droga biegnie aż daleko za Kupiszki doliną rzeki Ławeny w górę

jej biegu. Okolica ładna, bardzo charakterystycznie, przypominająca dolinę ruczaju Birżupis w stronach bohdaniskich pod Staczeragami, Rukielami i Dogilami; zupełnie taki sam charakter krajobrazu. Konik i wózek nędzne, toteż jechaliśmy powoli. Za Suboczem przejechaliśmy przez dużą wioskę, pełną pięknych krzyżów litewskich, których rzeźby i ozdób szczegółowo po ciemku rozejrzeć nie mogłem. Po północy minęliśmy Poławeń, majątek Komarów, potem Poławeniek Górny, wreszcie już za dnia minęliśmy Kupiszki, które pozostały nieco z boku. W drugim Poławeńku za Kupiszkami mieliśmy popas parogodzinny i śniadanie, następnie ruszyliśmy dalej. Charakter okolicy, widoków, krajobrazów – jest tu tak swojski, że chyba poznałbym te strony moje, gdyby mię tu przywieziono nawet z oczami zawiązanymi i następnie rozwiązano je, nie mówiąc, gdzie jestem. Budowa wiosek, rodzaj krajobrazu, nawet, zdaje się, barwy roślinności i nieba mają tu swój odrębny specyficzny charakter. Nie umiałbym może sformułować w słowach, na czym polegają najbardziej swoiste odróżniające cechy, ale wyczuwam je i spostrzegam podświadomie, co zaś do barw i tonów, to jestem stanowczo przekonany, że są one u nas inne, bardziej twarde i może posępne, ale mocne i wyraziste – niż dalej na południe. Dostrzegałem to zawsze, a teraz, po dłuższej niebytności, to wrażenie sprawdziłem i potwierdziłem. Są to tony barw północy nadbałtyckiej, charakterystyczne dla tej części Litwy, Łotwy i Inflant. Już nieco dalej na południe, w stronach święciańskich, gdzie się zaczynają piaski, ten ton twardy ustępuje i mięknie w łagodniejsze blaski. Również dalsza północ bagien petersburskich, a nawet równin pskowskich zatraca ten ton litewski i zamiast barw ciemnych i głębokich, skupionych i mocnych, niweluje się w ton szary. Wszystkie barwy przepojone są u nas tym tonem głębokim, toteż lasy i zboża i zwłaszcza łąki są u nas inne niż np. w Polsce albo w innych stronach Litwy.
Koło południa przyjechałem do Ponadel, odwiedziłem tam we dworze pp. Karolostwa Kościałkowskich[229]. Wrócili już oni po tułaczce, na którą wszystkich ziemian byli skazali bolszewicy. P. Kościałkowska okropnie znerwowana, p. Karol Kościałkowski swoim zwyczajem leży w łóżku; leży on tak już od lat kilkunastu, chociaż fizycznie jest zdrów; choroba jego – to rzekomo nerwowa choroba woli, w istocie zaś – kaprys dziwactwa. W Ponadelu furmanki nie dostałem. Moje towarzyszki Żydówki zostały do jutra i przyrzekły odwieźć mi rzeczy do Rakiszek, ja zaś bez rzeczy wybrałem się pieszo do Kowaliszek. Po drodze, mijając dwór Szakiele, spotkałem na szosie Oskara Rutkowskiego z Pawłem Koziełłem. Rutkowski zaprosił mię do dworu na herbatę i obiecał odesłać bryczką do Kowaliszek. W Szakielach zastałem p. Oskarową Rutkowską (niegdyś – w r. 1894 w Petersburgu – była to pierwsza miłość moja, teraz jest to matrona podstarzała, w której już trudno poznać dawną Maniusię Koziełłównę z Wadw, pannę Marię Rutkowską, siostrę Oskara, starą pannę, p. Aleksandra Koziełła, weterynarza, brata Pawła, p. Pawłową Koziełłową, siostrę Oskarowej Rutkowskiej i córkę Oskarostwa Rutkowskich, dorosłą już i przystojną pannę. Wszyscy tu znerwowani, wyczerpani przejściami czasów bolszewickich, zaniepokojeni o najbliższą przyszłość, niepewni Litwinów, których się także boją i którym nie ufają. Wieczorem Rutkowski dał mi konika z bryczką i woźnicą do Kowaliszek.

14 lipca, rok 1919, poniedziałek
Od wczoraj wieczora jestem w Kowaliszkach. Zastałem tu liczne towarzystwo domowników z rodziny Zygmunta, a mianowicie oprócz Zygmunta i Elizki oraz ich dzieci – Hektora, Zitki i najmłodszej Feli, zwanej dawniej Milusią a obecnie Litką, następujące osoby: siostrę Zygmunta – panią Krystynę Morycką z córką Adą, panną już

[229] Kościałkowscy Karol oraz Maria z Budrewiczów, rodzice Mariana Zyndram-Kościałkowskiego (1892-1946), działacza politycznego, współpracownika J. Piłsudskiego.

dorosłą, 19-letnią, pełną wdzięku i naturalności, którą pamiętałem jako małą dziewczynkę, z którą się niegdyś w gry dziecinne bawiłem, i 8-letnim synkiem Kicem, oraz 12-letniego Piotrusia Komorowskiego, zwanego „Uką", syna zmarłego brata Zygmunta – Antoniego Komorowskiego z Radkun i zmarłej pani Mini z Holsteinów. Oprócz powyższych osób, mieszka u Zysiów w Kowaliszkach siostra Zygmunta, p. Jadwiga Komorowska, która bawi chwilowo u p. Przeździeckiej w Rakiszkach. Brak tylko młodszego syna Zysiów – Jula Komorowskiego – i brata Zygmunta – Witolda Komorowskiego, którzy, wraz z p. Janem Przeździeckim z Rakiszek, p. Stanisławem Rosenem z Osaniszek i jeszcze kilku osobami z naszych stron zostali uprowadzeni przez bolszewików w charakterze zakładników (podobno obecnie są internowani w Borysowie).
Oto w krótkim streszczeniu przygody Komorowskich w okresie rządów bolszewickich w tych stronach:
Na razie po wkroczeniu bolszewików było jeszcze jakoś znośnie. W majątkach zarząd został odebrany od właścicieli i przekazany komitetom parobków, ale ziemianie mogli pozostawać w majątku. Nie wypędzano ich. Nieraz nawet poszczególni ziemianie obejmowali stanowiska bądź w komitetach parobków, bądź w charakterze instruktorów rolnictwa nad grupą majątków, utrzymując tą drogą wpływ i pewien dozór nad majątkami. Tak oto Przeździecki był instruktorem w Rakiszkach, Julek Komorowski był sekretarzem komitetu parobków w Kowaliszkach, Zitka Komorowska była z ramienia bolszewików nauczycielką w szkółce ludowej tamże, zyskując za gorliwą pracę gorące pochwały bolszewickiego komisarza oświaty Purenasa. Wprawdzie w samym początku inwazji bolszewickiej, w grudniu 1918, niektórzy ziemianie – w tej liczbie Papa, Przeździecki, Hektor Komorowski – byli aresztowani, ale po kilku dniach za „kaucją" (tak się nazywał u bolszewików właściwy okup, ponieważ zwrotowi nie ulegał) zostali wypuszczeni. Dopiero pod wiosnę rozpoczęły się ostre represje przeciwko ziemianom. Zaczęło się to mniej więcej w tym czasie, gdy Litwini z Niemcami rozpoczęli pierwsze kroki zaczepne przeciwko bolszewikom, zwłaszcza po ofensywie litewskiej na Poniewież, zakończonej cofnięciem się Litwinów (marzec-kwiecień). Razu pewnego w nocy bolszewicy wpadli do Kowaliszek. Zanim się dobijali do drzwi, Elizka, uprzedzona poprzednio o tym, że mężczyźni mogą być aresztowani, kazała wszystkim mężczyznom ukryć się w upatrzonej zawczasu schówce (otwór w ścianie, zastawiony szafą). Zyś i Hektor ukryli się, Julek zaś i Witold Komorowski nie usłuchali Elizki i zostali wzięci. Na próżno bolszewicy, znalazłszy jeszcze ciepłe łóżka po Zysiu i Hektorze, szukali ich po całym domu, złościli się, grozili i wymyślali. Julka i Witolda uprowadzili, Zyś i Hektor – ocaleli. Przez kilka dni albo i dłużej Zaś i Hektor musieli się w ten sposób ukrywać w domu, co było tym trudniejsze, że część domu była zajęta przez litewskie wojsko bolszewickie i że wśród służby dworskiej sympatie bolszewickie były silne i nie brakło szpiegów. Wreszcie Zyś z Hektorem uciekli z domu. Trzeba już było uciekać, ponieważ przyszedł rozkaz od władz bolszewickich z Wilna, aby wszystkich ziemian wydalić z majątków.

15 lipca, rok 1919, wtorek
Dzień dzisiejszy jeszcze cały spędziłem w Kowaliszkach. Dokończę opisu przygód Komorowskich z czasów bolszewickich. W kwietniu wszystkim ziemianom wraz z rodzinami kazano wyjechać z majątków i z granic powiatu. Ci, którzy szybko spełnili ten rozkaz, wyszli lepiej, bo wkrótce potem uzupełniono ten rozkaz zastrzeżeniem, żeby ziemianie wyjeżdżali już nie do innego tylko powiatu, lecz na wschód do Rosji. Tych, którzy już wyjechali, nie ruszano. Inni natomiast musieli, nie chcąc jechać do Rosji, zmykać do dalszych miasteczek ukradkiem (tak też było z Papą, który umknął do

Użpola i tam przesiedział aż do wygnania bolszewików). Zyś i Hektor Komorowscy, którzy się ukrywali w domu kowaliskim, musieli, wobec rozkazu, wyganiającego wszystkich ziemian z rodzinami z majątków – uciekać. W tym czasie, gdy aresztowani zostali Julo i Witold Komorowscy w Kowaliszkach i Jan Przeździecki w Rakiszkach, odbyła się po wszystkich dworach duża obława na ziemian. Wtedy to Piotr Rosen z Gaczan, Stanisław Rapacki z Szetekszni – uciekli i w przebraniu przemknęli się za kordon do miejscowości, okupowanych przez Polaków. Zyś i Hektor po ucieczce z domu ukryli się w lasach. Wkrótce aresztowana została Elizka w związku z ukrywaniem się Zysia i Hektora i jakichś niedokładności w sprawie przewozu produktów żywności do Jezioros dla aresztowanych Julka i Witolda. Wreszcie znęcano się nad Elizką do tego stopnia, że w nocy odebrano jej spod głowy poduszeczkę, którą ze sobą wzięła. Elizce udało się otrzymać pozwolenie na wyjście z aresztu na kilka godzin, aby w jakimś interesie wstąpić do Kowaliszek. Gdy wyszła, to już do aresztu nie wróciła, jeno podążyła w lasy, gdzie się połączyła z Zysiem i Hektorem oraz resztą rodziny z Kowaliszek. Ukrywali się oni wszyscy przez szereg tygodni częściowo po lasach, częściowo u życzliwych chłopów po zaściankach aż do wygnania bolszewików. Teraz ziemianie po powrocie do majątków objęli zarząd w swoje ręce, ale nie czują się jeszcze zupełnie spokojni, bo, po pierwsze, parobcy są przepojeni bolszewickimi ideami i niełatwo się naginają do karności gospodarczej w dawnym trybie, a po wtóre, straszy ziemian radykalizm społeczny, który się ujawnia dość jaskrawie nieraz zarówno w wojsku, jak wśród urzędników nowych władz litewskich. Do prądów radykalnych społecznie dochodzą jeszcze prądy nacjonalistyczne, zabarwione przeważnie ostrą niechęcią do polskości. Toteż społeczeństwo ziemiańskie nie czuje się pewne i mocne. Oczywiście, że cierpi na tym także mechanizm gospodarczy majątków, nadwerężony już poprzednio zarówno okupacją niemiecką, jak zwłaszcza systemem gospodarki bolszewickiej, która w praktyce wkraczała w majątkach na tory rabunku i nadużyć ze strony parobków. Ale aspiracje ziemian są dotknięte nie tylko w sferze ściśle gospodarczej. Pono bardziej jeszcze są one dotknięte w ambicjach ziemian, w poczuciu wytrącenia ich ze stanowiska społecznie uprzywilejowanego. Z goryczą też i uczuciem zawodu słuchają oni nowin z Polski; pragnęliby oni czuć w tej Polsce ostoję starego ładu społecznego i kategorycznej reakcji przeciwko wszelkim powiewom rewolucji. Najwięcej ich drażni i boli – to reforma agrarna w Sejmie Polskim.
Oglądałem z Zygmuntem jego zapoczątkowania nad stworzeniem gospodarki rybnej i olbrzymich sadów w Kowaliszkach, przedsięwzięte przed paru laty, słuchałem opowieści o czasach bolszewickich i filipik Zygmunta przeciwko reformie agrarnej stronnictw chłopskich, wczoraj jeździłem z nim do Rakiszek. Byliśmy tam u p. Przeździeckiej, gdzie spotkaliśmy p. Izę Roppówną z Antuzowa z jej stryjenką – p. Roppową. Dotychczas mieszkają one w Krewnie, dokąd się udały po wygnaniu ich z Antuzowa przez bolszewików. Do Antuzowa nie wracają jeszcze, bo Antuzów jest prawie że na samej linii litewsko-bolszewickiego frontu.

16 lipca, rok 1919, środa
Po obiedzie wybrałem się do Bohdaniszek. Po czterech przeszło leciech niebytności – i jakich leciech! – powitałem znów dom rodzinny i Papę, którego od tyluż lat nie widziałem. Przez Bohdaniszki przeszły burze wojny, nawały rosyjskiej, okupacji niemieckiej i rządów bolszewickich, ale nic się tu prawie nie zmieniło. Budynki wszystkie stoją, tylko jedna oficyna się spaliła, a na jej miejscu stoi mały domeczek, przybudowany do wielkiego komina, który jeden z oficyny ocalał. Tylko trochę większy nieład we wszystkim, niż był dawniej, trochę wszystko starsze i bardziej opuszczone, trochę dzikszy jest cały dwór, ale za to roślinność bujniejsza, drzewa się

gęściej rozrosły. W Bohdaniszkach są teraz składy prowiantury wojskowej Litwinów; większa część spichlerza jest nimi zajęta, a na trawniku stoją rzędy furmanek chłopskich, przeznaczonych do wożenia produktów w stronę frontu. Tu przywożone są furmankami z Rakiszek prowianty i wszelkie materiały potrzebne dla wojska i tu się te artykuły magazynują w składach, względnie przeładowują i wiozą dalej. W samym domu mieszkalnym kwateruje (w nowym salonie) komendant trenu i urzędnik prowiantowy, zwany kwatermistrzem, w pokojach zaś na piętrze mieszkają żołnierze, należący do trenu. W pobliżu, we dworze w Pokrewiu – mieści się sztab II pułku piechoty, front zaś biegnie o wiorst kilkanaście do dwudziestu kilku stąd – za Aleksandrówką i Antuzowem. Dom mieszkalny w Bohdaniszkach wewnątrz uszkodzony nie jest. Z mebli prawie że nic nie wywieziono. Mój pokój zajmowali dawniej żołnierze niemieccy, teraz – Litwini; tamże jest telefon. Moje książki, zbiory papierów, notatek, listów – częściowo były przez Niemców uszkodzone, częściowo wszakże ocalały, bo je Papa zabrał z góry i zachował (z listów i notatek niektóre, poddawszy swej cenzurze – poniszczył sam). Za bolszewickich czasów bolszewicy nie mieszkali w Bohdaniszkach wcale.
Papę zastałem bardzo posuniętego. Przywitaliśmy się bardzo gorąco i serdecznie, i również gorąco i serdecznie gawędził Papa ze mną przez kilka godzin w dawnym pokoju dziecinnym (późniejszym – Mamy sypialnym). Papa postarzał bardzo. Po czterech leciech niewidzenia dostrzegam różnicę ogromną. Postarzał i fizycznie, i umysłowo. Zmalał, jest zgarbiony, chodzi ciężko. Ma nogi bardzo w stopach i u kostek obrzękłe. Ale, jak zawsze, szczyci się „czerstwością” i chce udawać bardzo lekkiego. Na pokaz zadziera nogi do góry, podskakuje, krzyczy, aby pokazać, że ma głos silny, chwali się, że może jeździć konno. Głos Papy też się zmienił i nabrał dźwięków starczych. Umysłowo jednak Papa jeszcze bardziej się posunął. Jak zacznie mówić, to gada godzinami, opowiada, przeskakując od tematu do tematu, tracąc wątek, podniecając się czasem i nerwując, to znów nagle z jakiegoś powodu gniewając się i krzycząc, a już absolutnie nie dopuszczając mnie do słowa. Przy Papie muszę być manekinem bez głosu, bez myśli i bez woli. Miałem wrażenie, że Papa jest już troszeczkę niepoczytalny. Boi się też widać Papa choroby umysłowej, na którą kiedyś cierpiał, bo kilkakrotnie mi dziś o niej wspominał, zastrzegając, że jest zdrów. Mam wrażenie, że osłabienie władz umysłowych u Papy istotnie bliskie jest choroby umysłowej, pomimo że pamięć faktów i szczegółów jakichś wypadków, dat i nawet wiadomości z różnych dziedzin wiedzy i stosunków światowych jest u Papy bardzo mocna.

17 lipca, rok 1919, czwartek
W Bohdaniszkach teraz prawdziwy kiermasz co dzień. Dziesiątki furmanek zajeżdżają z prowiantem wojskowym, popasają, odchodzą. Trawnik pełny wozów, ludzi, żołnierzy. Oczywiście nie wpływa to dobrze na gospodarstwo we dworze i na cały ład wewnętrzny. Konie z furmanek wypasają koniczynę i robią szkody, a ogród owocowy pełny żołnierzy i oczywiście żaden Żyd nie odważa się brać w tych warunkach ogrodu w dzierżawę. Te masy obcych ludzi we dworze nie są też miłe dla mnie. Cieszę się wprawdzie z narodowego wojska litewskiego – pierwszego od wielu wieków – ale pobyt w Bohdaniszkach nie uprzyjemnia mi ono. Trudna rada!
Na froncie spokój w tych dniach zupełny, nie słychać żadnych strzałów (w tygodniu ubiegłym podobno była strzelanina jednym ciągiem, i tu słychać było nie tylko wystrzały z dział, ale i z karabinów maszynowych, bo echo płynie po naszych jeziorach od strony Dusiat i Antuzowa). Chodziłem dziś dużo po Bohdaniszkach. Obszedłem ogród, wszystkie zabudowania, cały dwór, byłem w polu. Oględziny te dają mi

wrażenie jakby odzyskania Bohdaniszek. Dawniej Bohdaniszki były mi już spowszedniały – przestałem dostrzegać ich piękno, teraz jest tak, jak gdybym je na nowo odkrywał. Są one zawsze piękne.
Wczoraj był u nas Piotr Rosen, który się dowiedział o moim przyjeździe i chciał mię widzieć oraz zasięgnąć języka z Polski, byli też pp. Nef z Abel (on – weterynarz z Niemiec, który był na służbie niemieckiej za okupacji, potem służył za weterynarza u bolszewików, teraz – u Litwinów, ona – panna Awa Korsakówna z domu, nauczycielka w Kowaliszkach z czasów wojny, wyszła za Niemca). Dziś odwiedziłem Kligysów w wiosce – naturalnie pod sekretem od Papy, bo się z Janem Kligysem gniewa i teraz nie cierpi go.
Widząc, jaki jest bezład w Bohdaniszkach we wszystkim, jak cała gospodarka jest na łasce Opatrzności i parobków, jak Papa już zupełnie nie jest w stanie objąć zarządu majątku, trzeba się tylko dziwić, że jeszcze coś kulejąc idzie i że nie wszystko rozkradzione. Cokolwiek bądź Papa wygaduje na nasz lud i cokolwiek się mówi o zarazie bolszewizmu, przenikającej parobków i o ich niechęci do dworów, to jednak trzeba przyznać, że jeszcze tylko cnotą albo resztkami cnoty parobków coś się trzyma i robi we dworze i że nie wszystko pokradzine.
Papa jest już zupełnie w gospodarstwie niezdarny i rady sobie w zarządzie majątku dać nie może. Pomimo że nie przyznaje się do niedołęstwa i że chciałby uchodzić za czerstwego i pełnego sił, o czym wciąż mówi i przed każdym się chwali – a wszelkie komplementy zdawkowe uważa za świadectwo swej siły – to jednak czuje już instynktem, że słabnie. Skarżył się też dość często, że jest osamotniony na starość, opuszczony przez dzieci i wnuków, zostawiony bez żadnej pomocy. W tych skargach przebija żal i przymówka do nas, aby się ktoś z nas w Bohdaniszkach do pomocy Papie osiedlił. Parokrotnie nawet Papa wspomniał wczoraj i dziś, że mógłbym w Bohdaniszkach osiąść, gdybym był w swoim czasie na żądanie Papy dał słowo, że będę uległy i że będę we wszystkim słuchał Papy, a w szczególności, że utrzymywał będę tylko takie stosunki, jakie się Papie podobają. O takim słowie pisał mi Papa przed dwoma laty, gdym po wyjściu z obozu jeńców w Szczypiornie myślał o powrocie do Bohdaniszek i zamieszkaniu tamże. Wtedy mi Papa zapowiedział, że nie życzy mego przyjazdu, bo nie chce mieć w Bohdaniszkach u siebie „agitatora socjalistycznego” i „litwomana”. Wtedy mię uprzedził, że o ile dam żądane słowo – mieć będę wstęp i powrót do Bohdaniszek. Tak mię to wtedy ubodło, że postanowiłem nigdy za życia Papy nie zajrzeć do Bohdaniszek. Nie jestem zawzięty, toteż zaniechałem tego postanowienia, ale słowa żądanego nie dałem i nie dam. Ponad majątek nawet – cenię życie moje, przekonania i swobodę czynienia tego, co za obowiązek mój uważam i co z przekonań moich wypływa. Zresztą Papa tak jest niecierpliwy i nie znoszący żadnej opozycji, że nie mogę ani pomyśleć o współżyciu z Papą. Cóż z tego, że Papa mię kocha, kiedy traktuje mię jak dziecko lub niewolnika. A krzyczeć na Papę i bić go nie będę przecie, gdyby nawet Papa krzyczał lub bił mnie, do czego jest zawsze skłonny. Papa zaś psychologiem nie jest i nie pojmuje, że człowiek dojrzały i wysoko rozwinięty indywidualnie, jak ja, nie może być traktowany jak dziecko lub jak pionek bierny i nie jest w stanie znieść tego. Dla Papy syn jest wiecznym dzieckiem.

18 lipca, rok 1919, piątek
Z wielkim zawsze zainteresowaniem zastanawiam się nad problemem bolszewizmu, ilekroć mi się zdarza zetknąć z jakimikolwiek przejawami jego. Tutaj jestem w kraju, który przez czas dłuższy pozostawał w ręku bolszewików i w którym są niewygasłe ogniska tegoż. Bo trzeba stwierdzić, że bolszewizm bynajmniej nie przeszedł tu bez śladu i nie był tylko wodą, która spłynęła po wierzchu, nie przenikając w głąb

stosunków. O ile się słucha ziemian, którzy są tylko stroną w procesie bolszewickim, stroną pokrzywdzoną, przeciwko której bolszewizm całą mocą i bezwzględnie był zwrócony, to się słyszy jeno o przejawach zdziczenia, gwałtu i rabunku, tak że się odnosi wrażenie, iż był on jedną wielką kloaką najnikczemniejszych instynktów zbrodni, rozpanoszonych do potwornej samowoli. Że w rozpętaniu rewolucji, w rozprzężeniu ustroju społecznego, moralnego i gospodarczego – lęgły się objawy zdziczenia i anarchii, że na tle głodu i zakłócenia wszystkich stosunków i praw – płodziła się spekulacja, chęć zysku i użycia, samowola rabunków i że z kryjówek wylazły wszystkie męty natury ludzkiej, wszystkie podłości instynktów brutalnych – to jest fakt, który można obserwować w każdej katastrofie, w każdej rewolucji. W tej – rozpasały się one bodaj więcej, niż w jakiejkolwiek innej, bo jest też ona jedną z najdalej idących, a zresztą przyszła po Wielkiej Wojnie, która jeszcze przed rewolucją zdemoralizowała ludzi, oswoiła ich z gwałtem we wszelkich postaciach i nauczyła rabunku, samowoli i podeptania praw, a wreszcie obniżyła szalenie wagę życia ludzkiego i wszelkich dóbr moralnych. A przecież ta rewolucja komunistyczna bolszewików ma swoich gorących wyznawców, ma apostołów i tam, gdzie przechodzi, zdobywa sobie prozelitów, dla których staje się aktem wiary, ewangelią prawdy. To znaczy, że jednak mieści ona w sobie pierwiastki, które odpowiadają tęsknotom duszy ludzkiej i pragnieniom najniższych, upośledzonych dotąd klas społecznych, bo w nich prozelityzm budzi. Z pewnością w tych tęsknotach i pragnieniach dużo jest stron podłych, jak instynkt zemsty, gniewu, użycia, panowania, ale muszą być także pewne strony idealne, bo dusza ludzka wszystkie je w sobie mieści. Mówił mi Matuszewski w Kownie – idealista komunizmu i entuzjasta sprawy bolszewickiej, jeden z czynnych działaczy bolszewickich w Petersburgu, a potem w Wilnie, złapany na razie przy zajęciu Wilna przez Polaków i ukrywający się obecnie starannie pod cudzym nazwiskiem w Kownie – że w Wilnie miał on i jego towarzysze bolszewicy, nie wyłączając wodza bolszewickiej Litwy – Vincasa Kapsukasa-Mickiewicza – świadomość, że rewolucja komunistyczna była w Litwie naleciałością, była czymś obcym, co nie wyrosło z potrzeb krajowych i stosunków, co było najazdem takim samym, jak panowanie Rosji carskiej i okupacji niemieckiej. Uznawał, że Litwa była nie podmiotem, lecz obiektem rewolucji i najazd ten usprawiedliwiał tylko tą koniecznością, że geograficzne położenie Litwy między Rosją a Niemcami robiło z niej pomost, przez który rewolucja przejść musiała w drodze do Europy. Przyznawał, że dla ideowców komunizmu konieczność ta była przykra, ale była ona z założeń i celów rewolucji nieunikniona. Otóż na zasadzie moich spostrzeżeń tu w kraju, którędy przeszedł bolszewizm, ja bym się na te wnioski nie godził. Może on tu nie wyrósł organicznie, ale że się zaszczepił i przyjął, wytwarzając prąd z tradycją własną – jest to niemniej fakt.

19 lipca, rok 1919, sobota
W Bohdaniszkach od wczoraj przybył jeszcze litewski szpital polowy II pułku, a raczej punkt opatrunkowy. Zamieszkał tu doktor, sanitariusze i urządzono izbę chorych. Stąd rwetes we dworze jeszcze większy. Trawnik wygląda jak kiermasz. Jeżeli tak dłużej będzie, to w ogrodzie owocowym nic nie ocaleje, a jest to niemal jedyne teraz źródło gotówki dla Papy. Dopóki w Bohdaniszkach jest wojsko i furmanki, dopóty żaden Żyd nie weźmie ogrodu w dzierżawę. Skądinąd gospodarstwo w Bohdaniszkach jest w stanie opłakanym. W polu stan jest bardzo zły; ugór jeszcze nie cały zorany i to bardzo niedbale; duża część pola jarzynowego nieobsiana; żyto, wbrew ślicznym wszędzie urodzajom, bardzo rzadkie – nie z winy urodzaju czy płodności, bo dzikie trawy w życie wspaniale się krzewią, ale ze złego zasiewu, bo oczywiście ten, kto siał, ukradł

większą część nasienia. Papa nie jest już w stanie ogarnąć zarząd i zresztą nic nie wie, co się we dworze dzieje. Niedołęstwo wszędzie ogromne. Właściwie rządzą majątkiem parobcy i w obecnych stosunkach trzeba nie lada energii, stanowczości, wytrwałości i sprytu, aby im te rządy z rąk wyrwać; na to Papę nie stać. Niewiele się pod tym względem od czasów bolszewickich zmieniło, tylko nominalnie – Papa zarząd objął. Gospodarstwo w Bohdaniszkach podupadło. Niewątpliwie w dalszym ciągu majątek będzie się w ręku biednego Papy chylił ku upadkowi, ale na to chyba rady nie ma, bo wobec arbitralności i dokuczliwego charakteru Papy nikt z nas by tu przy Papie nie wytrzymał. Być może, że po paru leciech Papa już tak dalece osłabnie, że wtedy stanie się to możliwe, ale tymczasem nie ma rady. Zresztą biedny kochany Papa ma prawo władać bez zastrzeżeń majątkiem choćby kosztem podkopania fortuny; nikt z nas ani myśli tego kwestionować. Jest tu wszakże to błędne koło, że Papa sam już czuje instynktem, że nie może zarządowi podołać i chciałby pomocy, a jest skądinąd tak ciężki dla otoczenia i wszystkich najbliższych i tak fantastycznie samowolny i despotyczny, że nikt go nad sobą znieść nie może. Jedynym wyjątkiem jest Hektor Komorowski, który jest bezwzględnie w łaskach Papy; ten ma jakąś szczególną umiejętność znoszenia Papy i obchodzenia się z Nim tak, że nie tylko Go nie podrażni, ale nawet podrażnionego potrafi udobruchać. Widocznie ma Hektor dar do tresowania, jakiś talent ugłaskania najdziwaczniejszych dziwactw psychiki ludzkiej. Ale Hektor nie zechciałby z pewnością wiązać swej młodości na ratowanie gospodarki bohdaniskiej i metryzownie Papy, wymagające uciążliwego pielęgniarstwa.
Wracam jeszcze do tematu wczorajszego o bolszewizmie. Jeżeli w Wilnie i innych miastach Litwy bolszewizm okazał się istotnie naleciałością obcą, która nie odpowiadała żadnym potrzebom i aspiracjom ludu, a głodem usposobił i uzbroił przeciw sobie niemal wszystkich (choć i tam bodaj tak nie jest bezwzględnie), to na wsi w stosunkach ziemskich na Litwie znalazł niewątpliwie pewien grunt pod nogami i przyjął się dość mocno w nastrojach i dążeniach masy parobków, bezrolnych i małorolnych. Dał on wyraz dążeniom emancypacyjnym tych klas ludności wiejskiej, a gdyby nawet nie zrealizował całkowicie idei komunistycznej w aspiracjach i pojęciach gospodarczych masy, to przynajmniej podniósł ogromnie w masie ludu instynkt godności ludzkiej, energię żądań i poczucie siły i solidarności zbiorowej. O ile rewolucja r. 1905 zasiała instynkt wolności w sferze politycznej i narodowej, o tyle bolszewizm r. 1919 tam, gdzie on w Litwie przez czas jakiś się utrzymał, dokonał w psychice mas ludowych – tych klas najniższych – ogromny przewrót w kierunku emancypacji społecznej. Zdaje mi się, że to będzie trwałą zasługą bolszewizmu i u nas, choćby miała nastać na czas jakiś najstraszniejsza reakcja wstecz, i że zasługa ta będzie trwalsza od samego bolszewizmu jako ustroju komunistycznego. Bo w trwałość ustroju, organizowanego przez bolszewizm, nie wierzę. Społeczeństwo, które się nie opiera na pracy i wytwórczości, musi się degenerować i rozkładać; największą wadą rewolucji bolszewickiej w Rosji jest to, że sprowadziła ona zupełną destrukcję wytwórczości i nie potrafiła zorganizować produkcji. Stąd te jaskrawe objawy pasożytnictwa, które widzimy w Rosji wszędzie tam, dokąd bolszewizm wkroczył. W tym tkwi zaród upadku bolszewizmu, pewniejszy od względów militarnych lub jakichkolwiek innych. Ale przemiany w sferze pojęć społecznych, dokonane przez ruch bolszewicki, pozostaną rzeczą trwałą, która wpływ mieć na przyszłe stosunki będzie ogromny. U nas nie tylko w klasie parobków dworskich, lecz i szeroko w masie uboższego chłopstwa, za wyjątkiem tylko gospodarzy – tęsknota do bolszewików utrzymała się bardzo duża. Bo wbrew temu, co się sądzi ogólnie na zasadzie doświadczenia Wilna, masa ludowa na wsi współpracowała u nas czynnie w wytwarzaniu kształtów ruchu bolszewickiego w stosunkach agrarno-społecznych. Być może, że w dalszym stadium rozwoju

bolszewickiego nastąpiłby rozbrat między popularnymi aspiracjami masy a logiką idei komunistycznej, ale na razie było inaczej. Było to bowiem dopiero stadium likwidowania prywatnej własności obszarniczej i stwierdzania prawno-publicznej zasady w stosunku do ziem dworskich oraz uznania pracy za źródło i tytuł prawa. Tą drogą robotnik-parobek ze stanowiska najemnika, które go wiązało li tylko stosunkiem osobistym umownym z pracodawcą, przechodził do stanowiska udziałowca produkcji, wiążącego go z tytułu pracy stosunkiem prawno-rzeczowym z warsztatem wytwórczości rolnej – majątkiem. Tej przemiany pojęć prawnych nie da się wykreślić po prostu z życia przez obalenie politycznej władzy bolszewików. Dla masy zaś małorolnych i bezrolnych rewolucja ta w tym stadium była popularna przez to, że podważała własność obszarów dworskich, stanowiących przedmiot jej pożądań i uzasadniała zarazem własność rolną tych, którzy mają w majątku ziemskim nie kapitał, jeno warsztat własnej pracy.

20 lipca, rok 1919, niedziela
Dziś był ostatni dzień mego pobytu w Bohdaniszkach, zakończony bardzo nieprzyjemnie. Rano pojechałem z Papą i Maniusią Frąckiewiczówną, sierotą, koleżanką Ewy i wychowanicą w latach ostatnich Maryni, obecnie od lat dwóch zamieszkałą w Bohdaniszkach i kierującą tam gospodarką domową i kobiecą (a poniekąd czuwającą nad całością gospodarstwa, nie wyłączając męskiego) – do Krewna do kościoła i po mszy na obiad do starego księdza proboszcza Kuszłejki. Chciałem odwiedzić poczciwego staruszka-księdza, człowieka, wolnego od wielu wad kleru i którego nawet bolszewicy uszanować musieli na skutek uznania, jakiego zażywa u ludu (bolszewicy nie wyrządzili mu żadnej krzywdy i wobec postawy ludu nie odważyli się nawet nałożyć nań, jak na wszystkich innych księży – kontrybucji). Jednocześnie chciałem uszanować uczucia religijne Papy przez pojechanie z nim do kościoła w niedzielę. Trafiliśmy na fest w Krewnie. Podczas procesji dokoła kościoła prowadziłem z Papą pod rękę księdza celebransa, niosącego pod baldachimem kielich z hostią. Ku zgorszeniu Papy już i w Krewnie od pewnego czasu przestano wygłaszać z ambony przed kazaniem ewangelię po polsku, ograniczając się wyłącznie do języka litewskiego. Jest to w Krewnie rzecz jak najbardziej naturalna, ponieważ lud w parafii katolickiej jest tu jednolicie litewski, a nawet tych paru Polaków, jak Papa, lub uważających się za takich, zna język ludu. Ale Papa widzi w tym złośliwe podeptanie równości praw kościelnych parafian i świadome podeptanie polskości. Zawsze walczył z księżmi okolicznymi w tej ich akcji stopniowego usuwania z nabożeństwa publicznego pozostałości polskich i przejścia do metody jednojęzykowej, co było wyrazem emancypacji narodowej Litwinów i jednocześnie społecznie wyrazem demokratyzacji i rugowania przeróżnych zabytków szczególnego wyróżniania panów (czytanie ewangelii przed kazaniem w dwóch językach – polskim i litewskim – polskim na pierwszym miejscu – było nie tyle uznaniem dwoistości narodowej parafian, ile szczególnym wyróżnieniem dla miejscowych panów ze dworów, którzy przeważnie byli kolatorami kościołów i którzy zresztą w dawnych stosunkach pańszczyźnianych górowali nad wszystkim, zajmując stanowisko całkiem odrębne społecznie). Papa, jak zawsze w tych razach, na znak protestu wyszedł z kościoła, jak tylko, po usłyszeniu pierwszych słów ewangelii litewskiej, przekonał się, że po polsku wygłoszona nie będzie. W plebanii na obiedzie była p. Iza Roppówna z Antuzowa ze stryjenką i stryjem, którzy uciekli z pannami Roppównami ukryli się w Krewnie, dalej my, a z księży proboszcz Kuszłejko, wikary Steponaitis, ksiądz uchodźca z Kownat w Inflantach, ksiądz Romanowski z diecezji sejneńskiej, pełniący obowiązki kapelana w wojsku litewskim i ksiądz Baczkis, proboszcz z Antuzowa, który przybył dziś w nocy do Krewna, uciekając od

bolszewików. Ks. Baczkis, schorowany, z wąsami i brodą, ukrywał się już od pewnego czasu w swoim folwarku parafii antuzowskiej w przebraniu cywilnym, bo bolszewicy w ostatnich czasach nakazali aresztować i wywieźć wszystkich księży z zajętego przez nich terytorium Litwy, a wreszcie uciekł do Krewna, bojąc się denuncjacji. Antuzów jest jeszcze częściowo we władzy bolszewickiej, to znaczy, że chociaż leży w pasie między-litewsko-bolszewickim, wpadają doń często większe bandy bolszewickie, gospodarząc po wojennemu, terroryzując ludność i rekwirując co się da z żywności. Wczoraj większy oddział bolszewicki wpadł aż do Brodków położonych między Krewnem a Antuzowem w odległości na wprost od Krewna o 6-7 wiorst. W ogóle za jeziorem Sorty w kierunku Szczurów i Antuzowa cały kraj jest jeszcze w nieokreślonym co do przynależności stanie; krążą tam wywiadowcy bądź litewscy, bądź bolszewiccy; kraj jest tam niepokojony utarczkami patroli, partyzantką wywiadowczą, rekwizycjami doraźnymi bolszewików. Wojna, która się toczy obecnie, jest całkiem różna od Wielkiej Wojny, którą toczyły mocarstwa od r. 1914. Jest ona partyzantką ruchomą. Nie jest powiedziane, że pewnego pięknego dnia bolszewicy nie mogą się znaleźć znów w Abelach i Bohdaniszkach, odrzucając nieco Litwinów. Pora żniw jest bardzo ponętną dla głodnych bolszewików atrakcją. Dla takiej gratki gotów się raz okazać walecznym rosyjski żołnierz i bolszewik, bez pomocy i nacisku z tyłu wyborowych bolszewickich wojsk łotewskich czy chińskich.
Wspomniałem wyżej o przykrym zakończeniu dnia dzisiejszego i zarazem pobytu mego w Bohdaniszkach. Szczegóły podam jutro.

21 lipca, rok 1919, poniedziałek
Cofam się do dnia wczorajszego. Po obiedzie w plebanii w Krewnie wracałem około godz. 5 z Papą i p. Maniusią Frąckiewiczówną do Bohdaniszek. Tegoż dnia miałem na wieczór pożegnać Bohdaniszki i odjechać do Kowaliszek, aby już stamtąd wybrać się w podróż powrotną do Łomży. Tymczasem w powozie, jadąc z Krewna do Bohdaniszek, Papa zaczął się czepiać do mnie i jednym ciągiem wygadywać i wymyślać, wypominając mi z zaciekłością wszystkie moje winy i wady, rzeczywiste i urojone, jakie kiedykolwiek w życiu moim były. Już to Papa ma dar do gryzienia ludzi i wygadywania tak w oczy, jak za oczy. Doprawdy na nikim, a zwłaszcza na najbliższych – suchej nitki nie zostawi, gdy zacznie wypominać błędy i winy. Ma też Papa niesłychaną pamięć drobiazgów, gdy chodzi o obgadywanie kogoś; w głowie Papy jest prawdziwy lamus środków do obgadywania i podeptania każdego z nas. Zawsze Papa pod tym względem celował, w ostatnich zaś latach przeszedł wszelkie granice. Dawniej jeszcze Mama, której się lękał, mitygowała go w tym względzie. W obecności Mamy nie odważał się nas obgadywać; jeżeli zaczynał, Mama jednym słowem nakazywała Papie milczenie; czuł, że sam nie jest bez grzechu i że Mama ma aż nadto argumentów w razie potrzeby do wykazania, że Papa jest nie lepszy od tych, których obgaduje. Teraz nie ma już żadnego hamulca na Papę. Obgadywanie swoich wobec obcych jest najpilniejszym zawsze zadaniem Papy; obgadywanie i jednocześnie wychwalanie siebie samego. W oczy to największą przyjemnością Papy jest wytykanie nam win i wad i odczytywanie całej litanii grzechów. A gdy się już Papa zacznie, to robi to jednym ciągiem bez przerwy. W ogóle teraz trudno jest w Bohdaniszkach z Papą wytrzymać, szczególnie osobom najbliższym, bo obcych nie rusza. Wymyśla, wygaduje, nie daje wymyślanemu przyjść do słowa i tak bywa przykry, że trudno wyrazić. Ciekawe też, że najchętniej wygaduje Papa wobec ludzi, bo na cztery oczy ze mną jest serdeczny. Nie ma Papa ani krzty solidarności rodzinnej i tego poczucia, które się wyraża w tezie życiowej prać brudną bieliznę w domu. Papa właśnie z rozkoszą pierze brudy rodzinne na oczach jak najliczniejszych ludzi, a brudy istotne, których dzięki Bogu w naszej

rodzinie jest mało, mnoży urojeniami, natomiast tego, co jest czyste, nie okazuje bynajmniej. Kilka dni pobytu w Bohdaniszkach staje się z tego względu męką, szczególnie gdy dom jest, jak teraz, pełny obcych ludzi. Ma się uczucie upokorzenia wobec tych ludzi, którzy są świadkami i słuchaczami wygadywania Papy; jest się jak ścierka, która jest pomiatana i poniewierana po wszystkich brudach. W drodze z Krewna do Bohdaniszek Papa w obecności Maniusi Frąckiewiczówny zaczął ze szczególną zajadłością wygadywać na mnie, jednym ciągiem, z jakąś pasją graniczącą z obłąkaniem. Byłem już znerwowany kilkudniową męczarnią zadawaną mi przez Papę, a że jeszcze Papa zaczął poruszać jakieś sprawy pieniężne, w których do żadnej zgoła winy się nie poczuwam, a w których zarzuty są zawsze szczególnie przykre i drażniące. Zarzucał mi Papa, że byłem faworyzowany pieniężnie nie tylko przez Mamę, ale i przez Papę, ponieważ brałem po 900 rubli rocznie pensji, podczas gdy siostry pensji nie brały; nie uwzględnił Papa wszakże, że siostry brały stale procent od posagu, którego ja naturalnie nie brałem; jeżeli równość – to równość we wszystkim; dalej – przez 7 lat pobytu mego w Szkole Prawa w Petersburgu nauka i utrzymanie moje nie kosztowało Papę nic, ponieważ pilnością zasłużyłem na przyjęcie mię w szkole na koszt skarbu, co zaś do tej pensji od Papy, to pobierałem ją tylko przez lat kilka, a już w ostatnich leciech nic mi Papa nie dawał (podczas gdy siostry zawsze procent pobierały) – to wreszcie nie mogłem już dłużej wytrzymać i zagniewałem się na Papę. Z gniewem i żalem wyszedłem z powozu w Busiszkach i poszedłem przez Gaj do domu. Są ludzie, których złośliwość lub gniew można łagodnością i dobrocią rozbroić; są jednak i tacy, których okazywana im łagodność jeno rozzuchwala i którzy tym bezwzględniej depczą, im ofiara jest potulniejsza. Do tych ostatnich należy Papa. Wygadywanie Papy staje się tym większe i pewniejsze siebie im pokorniej je przyjmuję. Milczę i nie odpowiadam Papie nic – w ogólności wobec Papy zazwyczaj niemieję. Jest we mnie głęboki jeszcze z czasów dzieciństwa instynkt uległości i onieśmielenia wobec Papy, pewnego nawet lęku. Wracałem przez Gaj do Bohdaniszek bardzo poruszony. I wydało mi się wtedy, że już dość tej potulności wobec złośliwości Papy, mającej wszelkie cechy znęcania się. Przyszła mi do głowy myśl opuszczenia Bohdaniszek bez pożegnania się z Papą – dla wyrażenia w ten sposób protestu przeciwko traktowaniu mię przez Papę, żeby dać Papie poczuć, że musi być przecie kres znęcaniu się i że bezkarnie wszystko ujść nie może. Tak też zrobiłem. Po przyjściu z Gaju powiedziałem pannie Maniusi, że odchodzę i poprosiłem, aby mi odesłała rzeczy moje do Kowaliszek. I wyszedłem, nie widząc się z Papą. Stało się. Na chłodno – po rozwadze – bym tego nie zrobił. Gdy pomyślę teraz o Papie – żal mi ściska serce. Wiem, że moje wyjście bez pożegnania musiało zaboleć głęboko Papę. Kocha mię bowiem i był dla mnie serdeczny. Jeszcze ostatniego dnia w Krewnie płakał, wspominając o moim wyjeździe. W Bohdaniszkach pieścił mię po swojemu, częstując czekoladą i kawą prawdziwą oraz bułką szafranową, specjalnie dla mnie pieczoną. Dziś te specjały są rzadkością, szczędzone przez Papę w spiżarni jeszcze sprzed wojny. Nie żałował Papa dla mnie ich ostatków. Czemuż się tak smutnie ta wizyta syna u ojca skończyła!

22 lipca, rok 1919, wtorek
Dziś rozpocząłem podróż powrotną do Łomży. Przed wyjazdem napisałem w Kowaliszkach list do Papy z przeproszeniem za opuszczenie Bohdaniszek bez pożegnania się. Sam nie wiem, czy to jest na gorsze czy na lepsze to, żem w ten sposób postąpił z Papą. Z jednej strony, żal mi staruszka Papy, którego musiał dotknąć boleśnie mój wyjazd bez pożegnania; żal tym większy, że Papa bardzo się posunął i że kto wie, czy go jeszcze ujrzę żywego; wybieram się bowiem w dalekie strony, a tymczasem czasy są takie, że za nic zaręczyć nie można, co się stanie: bolszewicy są tutaj blisko i

nie jest wykluczona ich ponowna inwazja – a wtedy już z pewnością nie oszczędzą nikogo z ziemian i starość Papy nie ochroni go od represji, w których zginąć może, bądź bezpośrednio od kuli, bądź w areszcie lub na wygnaniu. W tej chwili lepiej jest darować krzywdy ojcu, szczególnie że Papa w tej pasji wymyślania graniczy z niepoczytalnością, a osłabienie umysłowe Papy łączy, zdaje się, cechy uwiądu starczego z atakami obłędu, w których się wyraża recydywa – a może jej pierwsza zapowiedź dopiero – dawnej choroby Papy. Z drugiej jednak strony, jest może i pewien moment dodatni w skutkach mojego postępku niedzielnego: Papa będzie nim dotknięty i poczuje, że jednak sam go sprowokował; może zastanowi się nad swoim traktowaniem dzieci i poczuje skruchę; w każdym razie, będzie miał świadomość, że wszystko ma swój kres i że nawet samowola ojca ma pewne granice, których bezkarnie przekroczyć nie można, bo ze strony pokrzywdzonej następuje reakcja. Nie wiem jednak, czy mój postępek nie zamknie mi na przyszłość dróg powrotu do Bohdaniszek, dopóki Papa żyje.
Koło godz. 10-11 przed południem wyjechałem z Kowaliszek w towarzystwie siostry Zysia – panny Jadwigi Komorowskiej. Za moim pośrednictwem zaprosił ją do Warszawy na stałe do siebie jej szwagier, p. Józef Mikułowski-Pomorski, którego żona, pani Karola, Komorowska z domu, umarła w czerwcu. Panna Jadwiga wybrała się więc teraz w podróż do Warszawy pod opieką moją. Pojechaliśmy najpierw do Poniemuńka, do dworu, aby stamtąd przez okno wyglądać pociągu, gdy będzie szedł z Poniewieża do Abel, bo tenże pociąg w parę godzin potem wraca tąż drogą; wobec braku regularnego rozkładu pociągów na tym odcinku kolei pod frontem bolszewickim – jest to sposób najlepszy, bo inaczej trzeba chyba godzinami albo i dziesiątkami godzin wysiadywać na stacji. W Poniemuńku byliśmy na obiedzie u pp. Bichniewiczów (on – królewiak, ona – z domu Szostakowska z Wilna), którzy gospodarzą na Poniemuńku z ramienia p. Kazimierza Świąteckiego. Po obiedzie pojechaliśmy na stację Poniemuniek i około godz. 5 odjechaliśmy pociągiem na Poniewież. W Poniewieżu trzeba było na dworcu wizować w komendanturze przepustki i wziąć bilet do Kowna. Ten sam pociąg ruszył dalej do Radziwiliszek.
W Poniewieżu w komendanturze na dworcu kolejowym byłem przygodnie świadkiem indagacji jakiegoś młodego człowieka przez agenta litewskiej służby wywiadowczej w obecności komendanta. Indagowanemu osobnikowi zarzucano, że podczas zajmowania Poniewieża przez wojska litewskie stawiał opór z bronią w ręku, to znaczy współdziałał czynnie z bolszewikami. Zarzut taki w tych czasach pachnie śmiercią. Aresztowany usprawiedliwiał się i zaprzeczał, ale był ogromnie strapiony, plątał się w odpowiedziach, robił wrażenie skazańca, nieprzytomnego ze strachu, któremu już wyrok ogłoszono. W ogóle represje ze strony wojsk litewskich i służby wywiadowczej względem posądzonych o jakikolwiek związek z bolszewikami – są na porządku dziennym. Władze cywilne z Kowna usiłują mitygować tę akcję zemsty i odwetu, ale nie są w stanie ukrócić wybryków terroru białego. Wyroki śmierci są w naszych stronach także na porządku dziennym. W Pokrewniu, w Rogielach – rozstrzelano szereg chłopów i działaczy miejscowych, którzy się dotknęli ruchu bolszewickiego. Oprócz rozstrzelań z wyroków sądu wojennego, zdarzają się rozstrzelania samowolne bez wyroku sądowego, usprawiedliwiane potem rzekomym usiłowaniem ucieczki aresztowanego. Między innymi, w ten sposób rozstrzelany został przed paru tygodniami w Pokrewniu znany w naszych stronach jeszcze z roku 1905 Jerzy Smolski rodem z Komaj. Z wyroków sądowych rozstrzelano wielu innych, którzy nie uciekli z bolszewikami. Władze cywilne z Kowna zarządziły teraz śledztwo nadzwyczajne w sprawie tych nadużyć białego terroru. Bawi tu w naszych stronach komisja specjalna

śledcza pod przewodnictwem ministra Šernasa[230]. Ogromnie też są liczne aresztowania, zwłaszcza pośród parobków dworskich. Na stanowiskach komendantów trafiają się ludzie, którzy są po prostu sadystami terroru, jak taki Prekar w Rakiszkach. Oczywiście, że te cechy sądu „białego" nie usposabiają do nich przychylnie ludności „zarażonej" tchnieniem bolszewizmu. Nie działają one też kojąco na stosunki i nastroje. Toteż jeżeli tylko bolszewicy zdołają wpaść jeszcze raz tutaj, to należy się spodziewać straszliwych aktów odwetu, zarówno z ich strony, jak ze strony bolszewicko usposobionych kół ludności. Propaganda bolszewicka, bolszewickie gazety litewskie z Dyneburga i proklamacje bolszewickie – szerzą się w naszych stronach ogromnie. Propaganda bolszewicka jest zorganizowana świetnie.

23 lipca, rok 1919, środa
Całą noc spędziłem z panną Jadwigą Komorowską w drodze do Kowna. Jechaliśmy bez żadnego przesiadania. Od Radziwiliszek pociąg był natłoczony podróżnymi. Jechało mnóstwo rekrutów, powołanych do wojska litewskiego. Oczywiście i Litwa, śladem wszystkich innych państw, powstałych w Europie Środkowej i Wschodniej, zajęta jest forsownym zbrojeniem się i wytwarzaniem pogotowia militarnego.
Do Kowna przyjechaliśmy koło południa. Bezpośrednio z dworca kolejowego udaliśmy się do komendantury dla otrzymania przepustki na dalszą podróż. Z komendantury skierowano nas do Ministerium Spraw Zagranicznych w gmachu Taryby przy ul. Donelaitisa.
Zaraz po przyjeździe do Kowna i po zajrzeniu do gazet litewskich uderzyła mię jedna rzecz – symptomaty wojny z Polską. W gazetach są komunikaty sztabu generalnego „z frontu polskiego". Artykuły traktują o wojnie z Polską jako o fakcie dokonanym. naturalnie, że cała wina zatargu zwala się wyłącznie na Polskę. Z pism litewskich można wnosić, że sztab litewski przesłał już dowództwu wojsk polskich deklarację o rozpoczęciu wojny. Czy to już jest wojna ostateczna i nieodwołalna – zobaczymy. Geneza konfliktu polsko-litewskiego tkwi bardzo głęboko w czynnikach historycznego rozwoju Litwy w związku z procesem demokratyzacji, który wyłonił nową formację narodu litewskiego i przeciwstawił ją ciągłości dzieła polskiego na Litwie. Bezpośrednio zaś powodem konfliktu zbrojnego były poszczególne wypadki posunięcia się wojsk polskich na Litwie na miejscowości zajęte przez Litwinów. Tak, jak w Polsce, tak samo i w Litwie jest partia wojenna, która pragnie wojny w ogóle i z Polską w szczególności, toteż prowokuje ją, wyolbrzymia epizody zatargów i podnieca instynkty nienawiści. Jeżeli się nie mylę, to dzisiaj ta partia jest właśnie w Kownie u władzy. Oczywiście chodzi Litwinom o wojnę manifestacyjną, bo prawdziwa wojna z Polską byłaby dla Litwy katastrofą i przyniosłaby jej jeno porażkę i pogrom. Litwinom chodzi o wojnę dla oka koalicji. Spekulują oni na tym, że Polska nie odważy się dla względów politycznych i międzynarodowych uderzyć w głąb terytorium Litwy etnograficznej, a tymczasem obwołana wojna zmusi koalicję do zwrócenia baczniejszej uwagi na sprawę Litwy i do przesądzenia jej losów, choćby przynajmniej w stosunku do Polski. Polacy zaś, choć wojny z Litwą nie chcą i pragnęliby jej uniknąć, są nie dość ostrożni i lojalni w traktowaniu niepodległości i nietykalności terytorialnej Litwy; nie tylko że dotąd nie zastosowali się do wyznaczonej przez wojskowe czynniki koalicji – linii demarkacyjnej polsko-litewskiej, ale jeszcze wciąż wpadają na terytorium zajęte faktycznie przez Litwinów i zagarniają poszczególne miejscowości. Czy ta „wojna" Litwy z Polską jest faktem rzeczywistym i rozpoczyna tę nieszczęsną sytuację, jakiej przykład mieliśmy na Galicji Wschodniej, czy też jest tylko ot takim sobie humbugiem politycznym – trudno

[230] Šernas Jokūbas (1888-1926), prawnik, społecznik, sekretarz generalny Taryby, minister bez teki w IV rządzie RL.

jeszcze określić. Przy braniu przepustek na przejazd do Polski traktowano w litewskim Ministerium Spraw Zagranicznych Polskę jako kraj będący w stanie wojny z Litwą. Gdy bowiem wspomniałem urzędnikowi, że zajmuję stanowisko sędziego w Łomży, ten mię uprzedził, że to argumentem do wyjazdu być nie może, o ile mam jechać w charakterze obywatela litewskiego, ponieważ świeżo wydany dekret zabronił obywatelom litewskim zajmowania posad na służbie państwowej w państwach wojujących z Litwą – pod groźbą konfiskaty majątku. Ponieważ miałem zarówno paszport konsulatu litewskiego w Warszawie na powrót do Litwy, jak mój paszport polski, w którym figuruję jako obywatel polski, więc mi w Ministerium poradzono, abym skorzystał z tego ostatniego i jechał do Polski w charakterze obywatela polskiego, bo wtedy nie trzeba brać zagranicznego paszportu i nie potrzeba żadnych formalności, a wystarczy po prostu wiza na paszporcie polskim. Tak też zrobiłem i dzięki uprzejmości p. Bilewicza (brat Włodzimierzowej Zubowowej), szefa sekcji paszportowej, otrzymałem wizę na paszporcie, dającą mi prawo przejazdu. W ten sam sposób załatwiono pozwolenie na wyjazd p. Jadwigi Komorowskiej.

24 lipca, rok 1919, czwartek
Dziś udałem się z p. Jadwigą w dalszą podróż z Kowna. Wpierw jednak wspomnę o pewnym niespodziewanym spotkaniu w Kownie, mianowicie z ... Wiktorem Wąsowiczem, kolegą moim z Legionów, obecnie podporucznikiem wojska polskiego. Zdumiałem na jego widok. Zarówno osoba Wąsowicza, jak mundur oficera polskiego w Kownie – były dla mnie sensacją. Okazało się, że Wąsowicz przysłany został z dowództwa polskiego do władz wojskowych litewskich w charakterze oficera łącznikowego w sprawie likwidacji zatargu polsko-litewskiego, grożącego wojną. Litwini, wypowiadając przez czynniki wojskowe „wojnę" Polakom, przysłali jednak pierwsi oficera łącznikowego do władz wojskowych w Wilnie. W odpowiedzi na to nastąpiło wysłanie przez Polaków oficera łącznikowego do Litwinów. Zarówno jak wypowiedzenie wojny, tak rokowania obecne toczą się wyłącznie między władzami wojskowymi bez żadnego udziału polskiego i litewskiego rządu cywilnego. Przedmiotem rokowań są też nie sprawy polityczne, jeno czysto wojskowe w związku z kwestią linii demarkacyjnej, zapewnienia bezpieczeństwa ze strony bądź Niemców, bądź rosyjskich formacji Kołczakowskich, wreszcie współdziałania przeciwko bolszewikom. Z Wąsowiczem ma wyjechać z Kowna do Piłsudskiego oficer angielski, stojący tu na czele misji wojskowej aliantów. Jego pośrednictwo w układzie może mieć skutek pożądany.
Nadmienię jeszcze, że w Kownie nie zastałem odpowiedzi Reginy na mój list pisany do niej z Kowna przed paru tygodniami. Albo mego listu nie otrzymała, albo nie chce odpowiadać.
Chciałem się widzieć w Kownie z Matuszewskim, aby w rozmowie z nim pogłębić moją świadomość istoty bolszewizmu. Nie mogłem go jednak upolować. Gdym się widział z Matuszewskim poprzednim razem, proponował mi on, abym się dla zapoznania z ruchem bolszewickim udał na czas jakiś w podróż po Rosji; ofiarowywał mi na to nawet pieniądze oraz wszelkie potrzebne polecenia, aby mi wszystko było w Rosji dostępne, bym mógł bywać na posiedzeniach centralnych komitetów i innych instytucji rewolucyjnych sowieckich. Nie przyjąłem tej oferty, choć niewątpliwie wycieczka taka, gdybym był materialnie zupełnie wolny, byłaby bardzo ciekawa i pouczająca.
Z Kowna dojechaliśmy z p. Jadwigą Komorowską do Wyłkowyszek koleją. O południu byliśmy w Wyłkowyszkach. Tu natrafiliśmy jeszcze na Niemców. Zarówno jak w Mariampolu i Suwałkach, jeszcze się Niemcy nie usunęli. Z Wyłkowyszek najęliśmy

miejsca w karetce do Suwałk po 50 marek od osoby. Na obiad stanęliśmy w Mariampolu, na noc – w Jeziorku w zajeździe „Pięknej Heleny”, tym samym, w którym nocowaliśmy w kwietniu z Marynią.

25 lipca, rok 1919, piątek
Gdyby nie deszcz ulewny, który nas zlał jeszcze wczoraj w drodze do Jeziorka i który lał przez noc całą, bylibyśmy w nocy jeszcze dojechali do Suwałk. Deszcz wszakże zmusił nas do zanocowania w Jeziorku, skąd wyjechaliśmy około godz. 4 rano i na godz. 7 przybyliśmy do Suwałk. Tu trafiła się nam furmanka wracająca do Augustowa, którą też zaraz pojechaliśmy z p. Jadwigą Komorowską dalej. W Suwałkach – w przededniu wycofania się Niemców – jest chaos co do prawowitości władzy. Niemcy, Polacy i Litwini dzierżą tu władzę jednocześnie. Milicja jest polska, z orzełkami na czapkach, władze miejskie i samorząd polski, urzędy cywilne (sąd, administracja powiatowa) – polskie. Natomiast komendantura miasta jest litewska, wojska – litewskie, oczywiście poza wojskiem okupacyjnym niemieckim. Dopóki są okupanci Niemcy, dopóty ta równoległość czynników rządowych polskich i litewskich jest możliwa – bo istotnym panem sytuacji, neutralizującym spór – są Niemcy. Z chwilą jednak, gdy Niemcy wyjdą, dwoistość ta ostać się nie będzie mogła. Niemożliwym jest współistnienie dwóch władz państwowych i dwoistość państwowa miasta. Obie strony, czując niepodobieństwo tej sytuacji, gotują się do zdobycia przewagi. Jedna strona będzie musiała wziąć za łeb drugą. Bez tego się nie obejdzie. Oby Suwałki nie stały się zarzewiem pożaru wojny, co przy dzisiejszym stanie zapalnym stosunków polsko-litewskich jest bardzo możliwe. Litwini gromadzą do Suwałk i pod Suwałki wojsko. Podług wyznaczonej przez wojskowe czynniki Koalicji linii demarkacyjnej, Suwałki mają pozostać tymczasowo po stronie litewskiej, co naturalnie nie przesądza ostatecznych decyzji o przynależności państwowej Suwałk. Ponieważ wszakże ludność Suwałk i okolicy (powiat suwalski) jest (poza ludnością żydowską) jednolicie polska i bardzo niechętna panowaniu litewskiemu, więc jest bardzo prawdopodobne, że Suwałki odpowiedzą powstaniem zbrojnym na wypadek, jeżeli Litwini zechcą realizować swoją władzę nad Suwałkami. Zawiązkiem sił powstańczych będzie milicja polska i P.O.W. w Suwałkach. Czy Polska będzie mogła wtedy pozostać widzem biernym samoobrony narodowej Suwałk przeciwko Litwie? Więcej niż wątpliwe. Podług sprawiedliwości Suwałki winny należeć do Polski, ale Polska pretensje swe do Suwałk rozciąga na cały powiat sejneński – znowuż niesłusznie.
Orzełki białe na czapkach milicjantów polskich w Suwałkach i Pogoń litewska na czapkach żołnierzy tamże długo tu chyba współżyć nie zdołają; będą musiały uderzyć na siebie. Walka bezpośrednia Orła z Pogonią, którą przed 7 laty usymbolizował w rzeźbie Rymsza na wystawie litewskiej w Wilnie, co wywołało wtedy gwałt i zgorszenie Polaków – staje się rzeczywistością. Czy jednak Pogoń deptać będzie Orła, jak to wyraził Rymsza – to wątpliwe.
W drodze z Suwałk do Augustowa słyszeliśmy przez czas jakiś huk strzałów działowych od strony Raczek. Chwilami była to formalna kanonada, jak w bitwie regularnej. Mówiono potem w Augustowie, że to podobno była potyczka Niemców z podjazdami polskimi. W Augustowie, gdyśmy tam przyjechali, jeszcze byli Niemcy, którzy jednak już dziś Augustów opuszczają. Augustów gotuje się do witania wkraczających wojsk polskich. Z Augustowa pojechaliśmy na Rajgród i do Grajewa na noc. Linii demarkacyjnej między Niemcami i Polakami już nie ma. W Bargłowie, przez który na tej drodze przechodziła linia demarkacyjna, już są Polacy.

26 lipca, rok 1919, sobota

Ze względu na szabas, dalsza jazda była nieco zahamowana. Miałem trzy sposoby dostania z Grajewa do Łomży: 1. wyjechać pod wieczór koleją żelazną na Białystok (zmiana pociągu trzykrotna – w Białymstoku, w Łapach i w Śniadowie); 2. zaczekać w Grajewie do jutra do godz. 2 po południu i wyjechać dyliżansem, przybywając do Łomży o godz. 10 wieczorem; 3. nająć furmankę do Szczuczyna i stamtąd dziś wieczorem po szabasie pojechać karetką żydowską do Łomży, przybywając na miejsce jutro rano. Wybrałem ten ostatni sposób jako najszybszy. Pożegnałem pannę Jadwigę Komorowską, która udaje się stąd wprost koleją do Warszawy i pojechałem furmaneczką do Szczuczyna, a stamtąd wieczorem karetką na Łomżę.

27 lipca, rok 1919, niedziela
Przez noc byłem w drodze, raniutko zaś koło godz. 5-6 przyjechałem do Łomży. Udałem się zaraz do mojego mieszkania, położyłem się do łóżka i przez cały dzień nie wstawałem. Wypoczywałem po podróży i zwłaszcza po tych 32 milach, które przebyłem końmi z Wyłkowyszek. Oto już i skończyła się ta moja podróż, do której gotowałem się jak do bajki z wyobraźni. Widziałem Bohdaniszki, które mi się stąd wydawały cudem niedoścignionym, deptałem grunt ojcowizny mojej, dotykałem żywego ciała Papy i Komorowskich. I na ogół rad jestem, że podróż tę odbyłem, pomimo że przykrym epizodem, który mieć może smutne skutki, było to moje odejście z Bohdaniszek bez pożegnania z Papą. Cóż robić: stało się.
Plonem tej podróży będzie, zdaje się, decyzja moja powrotu do kraju, mianowicie w postaci przeniesienia się w jesieni do sądownictwa litewskiego w Kownie. Postanowiłem wytrwać tym razem mocno w tej decyzji. Zarzucają mi Litwini, że w takiej chwili wielkiej w dziejach kraju stanąłem z daleka, na służbie polskiej. W tym oddaleniu moim dostrzegają dezercję. Sam czuję, że nieobecność moja w kraju jest grzechem, jest zaprzeczeniem, omalże zdradą wobec własnej mojej przeszłości i wobec tej tradycji obywatelskiej, która z dzieł dawnych mojego życia płynęła, tworząc całą wartość i urok imienia mojego w kraju. Nieobecnością moją trwonię spuściznę własną, to, co jest najcenniejsze w życiu moim. Jak „*noblesse oblige*”[231] jej rzeczników, tak mnie obowiązuje przeszłość i imię moje w kraju. Toteż słusznie mają żal do mnie przyjaciele moi i wyznawcy mego imienia, które było żywym znakiem i tradycją w kraju.

28 lipca, rok 1919, poniedziałek
Dziś jeszcze nie pracowałem, ale do sądu poszedłem, aby się dowiedzieć o nowinach. Z mojego gabinetu zrobiła się teraz kancelaria apelacyjna karna. Gdyby nie to, że w liczbie pracowników tej kancelarii jest Lusia Roszkowska, byłoby mi to nie na rękę. Ale że jest Lusia, to umieszczenie kancelarii w moim gabinecie cieszy mię jeno. Jeszcze bym lepiej lubił, gdyby ona była tylko sama: ja i ona, tak, jakeśmy byli we dwoje w marcu w moim gabinecie. Choć nie wierzę w przyszłość tego uczucia, które we mnie Lusia budzi, to jednak „contra spem spera”[232]. Z Lusią się tylko przywitałem i kilka słów zamieniłem banalnych. Nawet na cztery oczy nie mogę jej wyznać wszystkiego, co względem niej czuję i muszę nasz stosunek maskować pozorami pospolitej towarzyskości, a wobec panny Maciejewskiej, która z Lusią pracuje w kancelarii, muszę względem Lusi zupełną neutralność wykazywać. Marzę o tym, żeby kiedyś, gdy już zamieszkam w Bohdaniszkach, sprowadzić tam Lusię i dać jej posadę kierowniczki gospodarstwa domowego. Marzę, bo miałbym ją w ten sposób przy sobie – ale nie wierzę, żeby to kiedykolwiek do skutku dojść mogło. Jeżeli nawet Lusia nie wyjdzie do

[231] (fr.) noblesse oblige – szlachectwo zobowiązuje.
[232] (łac.) contra spem spero – mimo wszystko mam nadzieję.

tej pory za mąż, to nie przyjmie z pewnością takiego stanowiska w domu samotnego mężczyzny.
Znalazłem na biurku moim pismo prezesa Filochowskiego, wyznaczające mię na jednego z sędziów sądu doraźnego w Łomży w myśl ustawy sejmowej o sądach doraźnych. Przewodniczącym tego sądu mianowany przez prezesa sędzia Skarzyński, członkami – ja i sędzia Duszyński. Byłem pod wrażeniem tego faktu, bo sądy doraźne – to wyroki śmierci. Jeżeli nawet kara śmierci jest w tych czasach dla szeregu zbrodni bandyckich koniecznością, jednak wyrzeczenie wyroku śmierci jest rzeczą straszną.

29 lipca, rok 1919, wtorek
Dziś rozpocząłem pracę w sądzie: wyznaczałem nowe sprawy na wokandy i przygotowałem się do spraw jutrzejszej sesji apelacyjnej. Oczywiście jednak najgłówniejszej roboty – motywowania wyroków – jeszcze nie miałem, dla tej prostej przyczyny, że żadnych zaległych wyroków nie mam.
Co do tego sądu doraźnego, który mię wczoraj tak niemile zaniepokoił, to rzecz nie jest tak straszna, jak się zdawało: zapewne w Łomży sąd ten wcale funkcjonować nie będzie; dotychczas Rada Ministrów nie ogłosiła wprowadzenia sądów doraźnych w okręgu łomżyńskim, a gdyby nawet ogłosiła, to także nie jest pewne, czy prokuratura skieruje jakąś sprawę na te tory; od niej to bowiem zależy; mogłoby to nastąpić chyba w wypadku jakiejś zgoła niezwykłej zbrodni, tak potwornej, że nawet wyrzeczenie wyroku śmierci nie budziłoby zbyt wielkich wstrętów.
W czasie mojej nieobecności w Polsce Sejm w Warszawie uchwalił reformę rolną w myśl programu stronnictw chłopskich. Nie jest to jeszcze właściwa ustawa o reformie rolnej, jeno zasady reformy. Przeszło zarówno upaństwowienie lasów, jak określenie maksimum prywatnej własności ziemskiej, nie ulegającej wywłaszczeniu. Maksimum to zostało ustalone w ilości 320 morgów polskich (jeżeli się nie mylę, równa się to 160 dziesięcinom naszym, czyli 8 włókom). W obozie ziemiańskim i w całej prawicy w Polsce ogromne z tego powodu oburzenie na sejm, na demagogię chłopską, na awanturnictwo polityki przewrotów, prowadzącej do rewolucji. Zapowiada się bankructwo państwa, ruinę gospodarczą itd. Krzyczy się o podeptaniu zasady własności, o obaleniu podstaw ładu, o klęsce, którą taka reforma gotuje rzekomo krajowi. Wszelkie krzyki są jednak próżne: faktem jest, że Polska staje się państwem chłopskim i pierwszą tego konsekwencją obecna reforma rolna. Uchwalenie radykalnej chłopskiej reformy agrarnej w Polsce jest także kubłem zimnej wody na ziemian-Polaków w Litwie i Białej Rusi. Tęsknili oni do Polski jako do ostoi „ładu" społecznego i instynktu konserwatywnego w obronie przeciwko rewolucji; zapominali, że w Polsce jest oprócz szlachty chłop i że jego pragnienie społeczno-polityczne nie różni się od pragnień takichże chłopów w innych krajach. Dla nich jest to bolesne rozczarowanie, bo z Polską łączyli oni nadzieje uratowania swego stanu posiadania w katastrofie i zachowania albo przywrócenia swego panowania społecznego. Tymczasem Polska przez reformę agrarną sama u siebie podcina źródła panowania szlacheckiego i – w perspektywie historycznej – szlacheckiej kultury. Nie da się, zdaje się, zaprzeczyć, że wykonanie dzisiaj radykalnej reformy agrarnej, łamiącej całą organizację wytwórczości rolnej, sprowadzi ciężkie przesilenie gospodarcze, ze względu zwłaszcza na istniejący już bardzo ciężki kryzys gospodarczy, wytworzony przez wojnę. Ze stanowiska gospodarczego moment jest najmniej odpowiedni dla dokonania tak wielkiego przewrotu. Zdaniem moim jednak, reforma agrarna jest reformą nie tyle gospodarczą, ile wybitnie polityczną; moment polityczny jest w niej momentem naczelnym i zasadniczym. Jak niegdyś w wiekach średnich szlachta zagarniała ziemie, zdobywane z dziewiczych puszcz na uprawę przez osadników, przywłaszczając ich ziemie, a samych

osadników wtrącając w poddaństwo i nie pytała, czy gospodarka jest słuszna ,czy nie, tak dziś chłop, zdobywając większość i dochodząc do władzy, zagarnia ziemie szlachty. Taką jest jego wola, z której płynie jego prawo, stające się nowym prawem publicznym. Chłopską reformę agrarną uważam za produkt walki politycznej o władzę i przeto o nowe zasady prawa. Jest ona wyrazem bardzo głębokiej przemiany społecznej, polegającej na dochodzeniu nowej klasy do władzy. Konsekwencje tej przemiany oraz tej reformy sięgają bardzo daleko i dążyć muszą konsekwentnie do przewartościowania, czyli budowane są na nowych założeniach. W reformie agrarnej jest zmierzch kultury szlacheckiej w Polsce.

30 lipca, rok 1919, środa
Miałem pierwszą po wakacjach sesję sądową. Była to moja sesja apelacyjno-karna. Na wokandzie były same niemal sprawy o zniewagę (art.530 i 531 K.K.). Ogółem było 19 spraw, co sprawiło, że sesja, co prawda rozpoczęta późno (o godz.11 przed południem) przeciągnęła się do godz. 8 wieczorem ku wielkiemu niezadowoleniu ławników, pp. Stanisława Kisielnickiego i Józefa Jabłońskiego. Wśród spraw, osądzonych dzisiaj, była sensacyjna w Łomży sprawa Skarzyński-Korolec. Tadeusz-Mieczysław Skarzyński, rodzony brat sędziego Zygmunta Skarzyńskiego, z rodziny ziemiańskiej pow. łomżyńskiego, jest człowiekiem b. znanym na gruncie łomżyńskim. Jest on *leaderem* miejscowym Narodowej Demokracji, był posłem z gub. łomżyńskiej do wszystkich czterech Dum petersburskich przed wojną. Jest w ogóle filarem politycznym całej reakcji lokalnej; zajmuje w Łomży stanowisko dyrektora banku (łomżyńskiego oddziału Banku dla Handlu i Przemysłu w Warszawie). Stefan Korolec, człowiek w wieku lat około 30, jest jednym z synów starego Korolca, bardzo znanego w Łomży, niegdyś wieloletniego rejenta, człowieka bardzo bogatego. Skarzyński i Stefan Korolec są między sobą podwójnie spowinowaceni: Korolec jest żonaty z rodzoną siostrzenicą Skarzyńskiego (córką siostry), Skarzyński – żonaty z siostrą przyrodnią Korolca. Owóż w marcu stała się rzecz taka: na przechodzącego ulicą Dworną Skarzyńskiego rzucił się Korolec, którego od pół godziny widziano czatującego w bramie domu w towarzystwie swego furmana czy fornala i uderzył parokrotnie Skarzyńskiego po twarzy czy też po szyi. Sekundanci Skarzyńskiego zakwalifikowali tę napaść Korolca za nadającą się li tylko do sądu koronnego. W mieście zajście to stanowiło głośną sensację. Skarzyński i jego przyjaciele usiłowali czyn Korolca przedstawić jako chęć sterroryzowania go za to, że w procesie majątkowym między Korolcem a bratem Skarzyńskiego Aleksandrem występował jako doradca brata i kierownik sprawy. Korolec natomiast i jego zwolennicy głosili w mieście wersję, że Skarzyński został spoliczkowany na ulicy za to, że rozgłaszał o żonie Korolca jakieś uwłaczające wieści. Sprawa ta była sądzona w sądzie pokoju (u sędziego Chełstowskiego), gdzie Korolec skazany został na trzy miesiące aresztu; w drodze apelacji przyszła ona do Sądu Okręgowego. Wymiar kary utrzymaliśmy tenże.
Zdaje się, że tym razem decyzja moja o powrocie do Litwy będzie mocna. Jestem taki zawsze: długo się waham, niechętnie zrywam z jakimś ustalonym trybem mojego życia i pracy (mam pod tym względem skłonności konserwatywne), ale gdy jakieś postanowienie dojrzeje wreszcie we mnie, to je wykonam bez względu na przeszkody. Jednego się tylko boję, co by mi mogło przeszkodzić – to mojego uczucia do Lusi Roszkowskiej; sam się nieraz dziwię, skąd i w jaki sposób mogło się we mnie to uczucie z taką siłą rozwinąć. Czuję, że to jest przeszkoda podmiotowo dla mnie do zwalczenia najtrudniejsza; ale siła tej przeszkody zależeć będzie od tego, jak się nasz stosunek z Lusią teraz ułoży. Zakreśliłem sobie mniej więcej termin do wykonania mojego postanowienia: między październikiem a końcem roku. W październiku

rozpocznę starania konkretne o nominację w Kownie. Termin ten zależny jest u mnie głównie od względów materialnych. Właściwie nigdy nie wyrzekałem się myśli o powrocie do Litwy i traktowałem moją pracę w sądownictwie w Polsce jako rzecz czasową. Ale mam naturę taką, że się przywiązuję do pewnej pracy, do pewnej metody życia i działania, od której zawsze mi jest ciężko się odrywać. Łatwiej mi było zerwać się i wybrać do Litwy w jesieni roku zeszłego, w chwili, gdym z sędziego pokoju w Kolnie został mianowany sędzią okręgowym w Łomży; wtedy byłem od mego warsztatu pracy oderwany, a do nowego nie przywiązany. Teraz jest mi trudniej, ale i to byłoby bez znaczenia, gdyby nie ta szczególna okoliczność z Lusią.

31 lipca, rok 1919, czwartek
Spotkała mię przykrość ze strony Lusi Roszkowskiej.

1 sierpnia, rok 1919, piątek
Oswajam się coraz więcej z myślą o przeniesieniu się do Kowna. W świetle tej myśli coraz mniej naturalnym wydaje mi się moje siedzenie na sądownictwie w Łomży. Ten sędziowski w Polsce epizod mego życia jest czymś, co się żadnymi nićmi nie wiąże z ciągłością mojego życia, z jego ideą czy chimerą, która mu nadawała barwę i piętno charakterystyczne. Życie ludzkie ma zwykle jakąś swoją własną logikę, własne jakby prawo, które sobie same wytwarza, ma swój ośrodek, swój jakby punkt centralny, koło którego się obraca i który jest jego ideą, jego środkiem i kością. Gdy się daleko od niego odchyli, traci jakby równowagę i samo staje się czymś pustym i dziwacznym. Dla mnie Litwa była zawsze i jest tym ośrodkiem, który charakteryzuje moje życie i czyny i do którego fatalnie przywiązany jestem: Litwa, to znaczy jej problemy ludowe, społeczne i narodowe. Poza nią życie moje staje się czymś widmowym, wegetacyjnym. W sądownictwie polskim mógłbym zapewne osiągnąć to, co się nazywa karierą, to znaczy posunąć się stopniowo dość wysoko, nie udając się nawet do żadnej protekcji, jeno siłą moich zdolności i pracy. Być może w Kownie, w służbie państwowej, względnie w sądownictwie litewskim to, co się pospolicie karierą nazywa, będzie dla mnie mniej dostępne, bo pomimo równouprawnienie teoretyczne narodowości będzie w państwie litewskim obywatel kultury polskiej prawdopodobnie zawsze stał niżej od Litwina rdzennego, przynajmniej o ile państwo to będzie narodowym i zbudowanym na terytorium o litewskiej przewadze etnicznej. Panować tam będą Litwini, Polacy zaś, nawet najwierniejsi Litwy synowie, będą w sferze nie teorii, lecz praktyki praw obywatelami II kategorii. Gdybym natomiast mój powrót do Litwy skierował nie na Kowno, lecz na będące w ręku polskim Wilno, miałbym tam drogi wszędzie dla tego, co się karierą nazywa, otwarte. Byłbym w Wilnie przyjęty z otwartymi rękami, bo byłbym dla polityki tamecznej atutem; atut ten mieściłby się w samym imieniu moim, mógłbym przeto drogo je sprzedać dla kariery; ale likwidować go nie chcę, bo nie po to je zdobyłem, nieraz męką i prześladowaniem, aby je teraz oto przetopić na wygodę, bo wiem, że zmarniałoby ono i zgasło, gdyby zeszło z drogi praw swoich. Już raczej w Polsce robiłbym „karierę", gdyby mi o karierę chodziło, bo tu jest sfera dla mnie bierna i obca, która w ofierze imienia mego nie pochłania; tu bowiem imię moje żadnym atutem nie jest. W Wilnie miałbym perspektywy „kariery" wielkie, a przecież wybieram drogę na Kowno, bo ta jest drogą mojego prawa, a przeto i obowiązku, choć jako taka jest, jak zawsze, drogą wysiłku i ciężaru, a może nieraz i męki i ofiary.

2 sierpnia, rok 1919, sobota
Sędzia Skarzyński jest teraz na urlopie, toteż roboty mam teraz niezmiernie dużo i będę jej miał aż do połowy września, to znaczy do końca wakacji letnich, kiedy Skarzyński

powróci. Oprócz mojego wydziału apelacyjnego, mam na sobie cały wydział karny I instancji, którym muszę całkowicie kierować.
W sądzie łomżyńskim panuje obecnie epidemia dezercji. Zdaje się, że całe sądownictwo jest chore na tę epidemię, która płynie z bardzo nędznego uposażenia pracowników sądowych w stosunku nie tylko do cen, ale i do uposażenia urzędników w innych gałęziach służby państwowej. Przede wszystkim, jest straszna dezercja wśród urzędników kancelaryjnych w sądzie. Doszło w Łomży do tego, że mężczyzn w kancelariach sądu na stanowisku sekretarzy, podsekretarzy i kancelistów pozostało zaledwie kilku i to same braki, bo co tylko było żywsze, zdolniejsze, ruchliwsze – to przeniosło się gdzie indziej albo, o ile pozostało w zakresie sądownictwa, przeszło na posady notariuszów po różnych miasteczkach okręgu, względnie uciekło do Białegostoku, gdzie się sądownictwo teraz organizuje i pensje są wyższe; nowych zaś pracowników na miejsce odchodzących nie ma wcale, to znaczy nie ma mężczyzn, jeno same kandydatki panny, które się zadawalają niższymi płacami. Materiał więc w kancelariach sądowych jest co do kwalifikacji coraz niższy. Niewiele lepiej jest i pośród sędziów. Kto tylko może, a jest samodzielniejszy i najczęściej zdolniejszy, ten uciekł albo do adwokatury, albo do rejentury. W szczególności w Sądzie Okręgowym w Łomży w najbliższym czasie w personelu sędziowskim i prokuratorskim przewidują się ogromne luki i zmiany. Tłumaczy się to tym, że pracy jest przeciążenie ogromne, sędziów jest stanowczo za mało, uposażenie jak na drożyznę dzisiejszą liche, a sąd łomżyński jest szczególnie upośledzony, bo zapomniany, tak że perspektyw na awanse służbowe prawie nie ma. Z podprokuratorów uciekł już Grodzicki, który otrzymał nominację na sędziego wojennego do Warszawy, ucieka też Lipko na stanowisko sędziego okręgowego do Białegostoku. Prokurator Urbanowicz przechodzi na rejenta do Białegostoku. Spośród sędziów Duszyński stara się o stanowisko rejenta w Ostrołęce, Trampler wyjechał na urlop do Galicji z zamiarem robienia starań o przeniesienie się tamże, ja myślę uciekać do Kowna, Skarzyński podobno ma być mianowany sędzią Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Nie słychać tu nic tylko o prezesie Filochowskim i sędzim Makowskim, a z podprokuratorów tylko o Maciejewskim, bo i o Siemnickim coś mówią, że chce uciekać.

3 sierpnia, rok 1919, niedziela
Nie czułem dzisiaj niedzieli wcale. Z powodu przejęcia na czas urlopu Skarzyńskiego I instytucji karnej mam taką moc roboty, że siedzę literalnie całymi dniami. Dziś pracowałem w moim gabinecie w sądzie przed obiadem ze 3 godziny i po obiedzie od godz. 4 do 9 wieczorem.
Niepokoją mię trochę pewne niedomówienia w komunikatach wojennych polskich z dyneburskiego odcinka frontu bolszewickiego. Na ogół ze strony bolszewików od paru już tygodni ujawniają się tendencje i kroki zaczepne, mniej więcej na całej linii olbrzymiego frontu. Ale podczas gdy na Wołyniu i na odcinku poleskim, pod Pińskiem, pod Baranowiczami, utrzymuje się mniej więcej *status quo*, jak to widać z wymieniania miejscowości w komunikatach polskich, gdy pod Radoszkowiczami Polakom udało się nie tylko odeprzeć atak bolszewików, ale jeszcze się posunąć znacznie naprzód pod Mińsk, i gdy wreszcie pod Wilejką bolszewicy, którzy, jak wnosić można z komunikatów, byli się posunęli znacznie, zostali powstrzymani około Kurzeńca, to o odcinku dyneburskim, stanowiącym skrajnie lewe skrzydło frontu polskiego i graniczącym z frontem litewsko-bolszewickim, głucho. Komunikaty o tym odcinku prawie milczą, choć można domniemywać, że jednak jakieś działania się tam toczą, bo jeszcze gdym był w stronach rakiskich i wracał do Łomży, to opowiadano tam o jakichś walkach i usiłowaniach obustronnych. Jeżeli komunikaty milczą, to widocznie nie mają

się czym chwalić. Coś tylko parę razy przemknęła przez komunikaty wzmianka o walkach „na północ od Wilna”. Kierunek ten wskazuje właśnie na odcinek dyneburski, a zastanawiającym jest to, że się tak unika wyszczególnienia miejscowości, zadawalając się tak mdłym ogólnikiem – „na północ od Wilna”. Znając metody informacyjne komunikatów, ustalone już w Wielkiej Wojnie, uważam to za zły omen. Polacy tam „na północy od Wilna” byli już daleko za Święcianami, gdzieś pod Dukszatmi albo nawet w pobliżu Turmontu. Dlaczego się teraz nie wymienia tych miejscowości? Jeżeli bolszewicy tam się posunęli, to jak daleko? I w takim razie prawdopodobnie musieliby się jednocześnie posunąć i na sąsiednim odcinku litewskim na Rakiszki. Zagrożone więc są ewentualnie i Bohdaniszki, i Kowaliszki. Kto wie, czy nawet Bohdaniszki, które były tak bliziutko frontu, nie są już w ręku bolszewickim. Ze względu na Papę przypuszczenie takie jest dla mnie straszne. Dla ziemian bowiem i ich majątków powrót bolszewików byłby katastrofą. Kto by nie uszedł, byłby chyba stracony albo w najlepszym razie wywieziony do Rosji. A kto by uszedł, byłby skazany na ciężką tułaczkę, która by dla Papy w starym wieku byłaby bardzo ciężka, szczególnie że i majątkowo byłby stan fatalny. A gdyby nawet bolszewicy się nie utrzymali, to przez krótki czas pobytu zdewastowaliby do szczętu majątki, zarówno co do plonów, jak co do inwentarza.

4 sierpnia, rok 1919, poniedziałek
Miałem dziś sesję karną I instancji. Za ławników miałem p. Gustawa Dąbrowskiego, który zawsze siaduje na sesjach, jak tylko któryś ławnik spośród wyznaczonych nie stawi się, i p. Lutosławski z Drozdowa, nowy ławnik, ze znanej politycznej rodziny Lutosławskich, brat rodzony zarówno prof. Wincentego Lutosławskiego[233], mistyka i neo-towiańczyka, apostoła odrodzenia przez czystość, jak dwóch braci (Mariana[234] i drugiego imienia nie pamiętam[235]), wybitnych działaczy narodowo-demokratycznych, zamordowanych w Rosji przez bolszewików, jak wreszcie księdza Kazimierza Lutosławskiego, posła na Sejm Ustawodawczy w Warszawie z okręgu łomżyńskiego, najbardziej pono reakcyjnego z posłów. Toteż mój dzisiejszy dobór ławników był najbardziej wsteczny, jak go sobie tylko wyobrazić można. Zakantepiliby[236] oni każdego, kto by tylko miał nieszczęście trafić pod ich sąd, a już zwłaszcza Żyda lub podejrzanego o jakikolwiek „występek” na tle stosunków społeczno-politycznych. Zresztą i dla zwykłych upadków życiowych z nędzy lub jakichś anormalnych warunków tacy panowie wyrozumiałości nie mają. Dobrze, gdy sędzia karny ma zmysł represji i jest nieco twardy, ale źle jest, gdy w jego piersi zamiast serca o uczuciach ludzkich jest tylko kamień i gdy jego czucie warunków społecznych zamyka się wyłącznie w ramach zmysłu klasowego. Takim są ławnicy Dąbkowski i Lutosławski. Spraw było na wokandzie aż dziewięć, co na I instancję stanowi liczbę ogromną. Toteż, gdyby nie to, że cztery czy pięć spraw zostało dla różnych powodów odroczone, bylibyśmy chyba siedzieli na sesji do późna w noc. Ze skazanych dzisiejszych jednego skazaliśmy dzięki ławnikom stanowczo za ostro: mianowicie pewnego Żyda na pozbawienie prawa prowadzenia handlu piwem na rok za bardzo wątpliwe niezachowanie czystości w piwiarni; dowodów prawie nie było, biedak Żyd jest

[233] Lutosławski Wincenty (1863-1945), filozof, badacz dzieł Platona, twórca systemu filozoficznego opartego na ideach reinkarnacji i mesjanizmu narodowego; 1919 prof. Uniw. Stefana Batorego.
[234] Lutosławski Marian (1871-1918), inż. mechanik, i elektryk, właściciel biura projektowo-montażowego elektrotech. w Warszawie, wykładowca w Szkole Mechaniczno-Technicznej; od 1905 w Stronnictwie Nar.-Demokr. i Lidze Nar.
[235] Lutosławski Józef? (1881-1918), ziemianin, od 1905 członek Związku Młodzieży Pol. i Ligi Nar., zamordowany przez bolszewików.
[236] Rozprawiliby się, zniszczyli, zakatowali – regionalizm.

nędzarzem. Jedną też dziewczynę za uduszenie swego nieślubnego noworodka skazaliśmy nieco za ostro na 1 ½ roku więzienia z pozbawieniem praw. Spostrzegłem jedną rzecz dzisiaj. Oto w paru sprawach nie było wcale śledztwa, toteż nie było w aktach schematów pytań co do osobistych szczegółów o oskarżonych. Toteż musiałem zadawać im pytania te z pamięci, zwykle zaś zadaję je podług schematu drukowanego (o wieku, miejscu urodzenia i zamieszkania, narodowości, zajęciu, majątku, stanie rodzinnym itd.). Aby móc z pamięci zadawać pytania, zachować ich kolejność i nie opuścić żadnego, musiałem sobie odtworzyć w pamięci materialny blankiet schematu; podług miejsca w schemacie drukowanym przypomnieć miałem sobie jedno pytanie za drugim. Bez odtworzenia w pamięci wizerunku blankietu nie umiałbym przypomnieć pytań. Jest to przykład kojarzenia pamięciowego pewnej treści pojęciowej z materialnym tej treści uplastycznieniem.

5 sierpnia, rok 1919, wtorek
U Pruszanowskich dziś wielki dzień. Przed południem wpadła do mnie do sądu Irka, zapraszając w imieniu rodziców na obiad, ponieważ przyjechały ich starsze córki – Elizka i Hala, a wraz z nimi p. Tanajewski. Elizka i Hala Pruszanowskie są sanitariuszkami w wojsku polskim i pracują w szpitalach wojskowych na Litwie: były wpierw w Lidzie, potem w Baranowiczach; tam Elizka w czerwcu zachorowała na ospę, którą miała w postaci dość ciężkiej; dopiero pod koniec lipca opuściła szpital. Słychać było, że Hala została w ostatnich czasach przeniesiona do Wilna. Teraz obie były w Słonimie; otrzymały urlop kilkutygodniowy i przyjechały teraz ze Słonimia do rodziców do Łomży. P. Tanajewski, który im towarzyszy, jest oficerem kawalerii. Zawsze jakoś tak się urządzał, że trzymał się tego miejsca, gdzie były Elizka i Hala Pruszanowskie, dopomagał im w różnych rzeczach i opiekował się nimi. Kotunia domyślała się od dawna, że Tanajewski ma zamiary małżeńskie względem Elizki. Gdy ta była chora, on opiekował się nią szczególnie. Jest to człowiek młody jeszcze, ale już ma lat około 30. Pochodzi z guberni wileńskiej. Ojciec jego jeszcze żyje; czy mają oni jakiś majątek ziemski – nie wiem; w każdym razie, jeżeli mają, nie musi to być coś wielkiego, bo nie słychać było ani o majątku Tanajewskich ani o takiej rodzinie w stronach wileńskich. Choć Pruszanowscy, którzy bardzo cenią splendor rodzinny, usiłują podnieść walor szlachectwa Tanajewskich, aby wywyższyć domniemanego zięcia, i już w tym celu dokopali się do paranteli Tanajewskich z Kobylińskimi, o czym zawsze przy okazji opowiadają, to jednak mam wrażenie, że Tanajewscy – to coś z bardzo drobnej i pospolitej szlachty, a z dzisiejszego poznania młodego Tanajewskiego wrażenie to u mnie się jeno utrwaliło. Mniejsza zresztą o to. Byle człowiek był wart, to pochodzenie i związki paranteli mniejszą grają rolę. Dla naszych jednak stosunków i pojęć w rodzinie, szczególnie zaś dla Komorowskich – spowinowacenie się z jakimiś Tanajewskimi przez ewentualne małżeństwo Elizki Pruszanowskiej – będzie rzeczą, na którą się będą krzywić; uważane to będzie za mezalians, podobny do małżeństwa Elwiry z Mieczkowskim. Znajomość Pruszanowskich z młodym Tanajewskim pochodzi stąd, że jako ranny oficer polski ukrywał się on przez czas jakiś w mieszkaniu Kotuni w Wilnie za czasów bolszewickich. Dzieje jego podczas wojny były podobno takie: był w wojsku rosyjskim; rewolucja bolszewicka zastała go gdzieś na Krymie w szpitalu oficerskim; gdy banda zrewoltowanej tłuszczy napadła na ten szpital, zdemolowała go i pensjonariuszy tegoż wymordowała, zdołał on zbiec i gdzieś się ukryć; gdy następnie powstanie tatarskie na Krymie wygnało bolszewików i założyło jakąś tam Republikę Krymsko-Tatarską, on wstąpił do tatarskiego wojska jako oficer. Potem przedostał się stamtąd przez Ukrainę, Kijów – za czasów okupacji niemieckiej i hetmańszczyzny – do Litwy do Wilna. Gdy po wycofaniu się Niemców z Wilna, miasto ogarnęły samorzutnie

oddziały lokalne polskie, ojciec Tanajewskiego skłonił go do wstąpienia do tychże formacji polskich. Krótkie były, jak wiadomo, dzieje tego „panowania” polskiego w Wilnie i okolicy po Niemcach. Przyszli bolszewicy i zmietli ich. Po pięciodniowym okresie polskim resztki tych samorzutnych oddziałów musiały zmykać, cofając się do Polski; jednych rozbroili Niemcy, innym udało się przejechać do Polski, jeszcze inni, jak głośny oddział Dąbrowskiego, który przesuwał się z bronią w ręku, wśród walk zwycięskiej partyzantki wąską linią pomiędzy czołem fali bolszewickiej a kresami okupacji niemieckiej, aż dotarł gdzieś pomiędzy Pińsk i Brześć, gdzie, nie ustając w walce, doczekał się ustalenia frontu polsko-bolszewickiego. Rozbitki tych oddziałów pięciodniowego panowania Polaków w Wilnie, ranni, maruderzy, którzy w porę nie uszli, albo się dostali do rąk bolszewików, którzy ich więzili i tracili, albo się skrywać musieli. W takim położeniu znalazł się właśnie Tanajewski, będąc ranny w potyczce z bolszewikami pod Wilnem. Chowano go po różnych norach i mieszkaniach i leczono cichaczem; wreszcie P.O.W., działająca tajnie w Wilnie za czasów bolszewickich, umieściła go w charakterze rekonwalescenta u Kotuni. Stąd jego znajomość z Pruszanowskimi. Po wyzdrowieniu Marynia wywiozła go wraz z Gieniem Pruszanowskim z Wilna aż poza linię bolszewickiej okupacji, skąd go P.O.W. skierowała do wojska.

6 sierpnia, rok 1919, środa
Dziś – piąta rocznica wkroczenia Piłsudskiego na czele strzelców do Kongresówki w dniu 6 sierpnia 1914. Rocznica ta obchodzi się w kołach wojskowych. Poza tym, w szerokim społeczeństwie nie znać wielkiego entuzjazmu dla tej rocznicy ani wyczucia jej wagi dziejowej i tych wielkich momentów twórczych Woli i Czynu, których ta rocznica jest symbolem.
Słówko jeszcze o Pruszanowskich i Tanajewskim. Przeczucia Kotuni sprawdziły się. P. Tanajewski przyjechał do Łomży z Elizką i Halą, aby się tu urzędowo wobec rodziców Elizki z nią zaręczyć. Gdy mię wczoraj rano w sądzie Irka zaprosiła na obiad, nic mi o tych zaręczynach nie wspomniała, chociaż się domyślałem tego. Na obiad przyjść nie mogłem, wobec czego zaprosiłem się do Pruszanowskich na kolację. Ezechiel, przedstawiając mi p. Tanajewskiego, zapomniał na razie powiadomić o zaręczynach z córką. Jednak z tego, że Elizka przy stole nazywała p. Tanajewskiego „Stasiem” i na „ty” i zresztą z różnych momentów rozmowy zrozumiałem, że nie tylko młodzi są już po słowie, ale że zaręczyny są już faktem jawnym, usankcjonowanym przez rodziców. Po kolacji więc złożyłem im życzenia. Tanajewski wygląda dość prosto, po polsku mówi językiem bardzo zepsutym, na którym znać podłoże litewskie i naleciałości rosyjskie. Nie robi też wrażenia człowieka inteligentnego i nie grzeszy szerokością poglądów i subtelnością pojęć. Elizka przy nim sprawiała na mnie wrażenie subtelnej księżniczki, zakochanej w prostaku z oślą głową, jak w Szekspirowskiej fantazji „Sen nocy letniej”. Zresztą dla panny, jak Elizka, która ma lat 26 i gwałtownie pragnie zamążpójścia, a czasy są takie, że nie sprzyjają małżeństwom, o zakochanie się łatwo: kto tylko zechce zwrócić na nią uwagę, a byle był podobny do człowieka i był mężczyzną, a cóż dopiero młodym, i miał jeszcze jakie takie pozory odpowiedniego pochodzenia szlacheckiego i wykształcenia formalnego – może być pewny miłości. Szlify oficerskie wygładzają wszelkie braki. Tanajewski zaś ma przecie wykształcenie fachowe, jest prawnikiem skończonym. I gdy go dziś po raz drugi widziałem, zrobił na mnie wrażenie człowieka jednak b. dobrego, grzecznego, a że nie jest orłem i że myśl jego nie przebija bardzo ciasnych horyzontów filisterskich i klasowego myślenia, ograniczonego przesądami kastowymi i wszelkiego rodzaju wstecznictwem – to nie ujmuje mu kwalifikacji na dobrego męża dla subtelnej uczuciowo, ale bardzo pospolitej

gąski panieńskiej z gniazda szlachecko-obszarniczego. Co dziwnego, że Elizka chwyta się kurczowo każdej szansy małżeństwa! Ma lat 26, za sobą ma już trzy siostry dorosłe, młodsze od niej, majątek rodziców jest w zawierusze bolszewickiej zachwiany, fachu w ręku nie ma. Co dziwnego, że kocha z taką łatwością każdego, kto jej te szanse małżeńskie otwiera, zwłaszcza że jest z natury uczuciowa i że jest z ciała i krwi złożona. Była niby to zaręczona w roku zeszłym z jakimś oficerkiem z Królestwa z korpusu Dowbora-Muśnickiego, ale gdy korpus rozwiązano, oficerek wyjechał i znikł z horyzontów; ani się odezwał potem, puszczając pannę kantem. Hala też niby jest zaręczona z jakimś oficerem niemieckim, który za okupacji niemieckiej był w Wilnie. Teraz go oczywiście nie ma. Czy się jeszcze znajdzie po zawierusze i zgłosi po pannę – to nie wiadomo.

7 sierpnia, rok 1919, czwartek
Miałem sesję I instancji karną. Ławników miałem arcymiłych, ludzi zacnych – pp. Grochowskiego i Roszkowskiego, nie zblazowanych jeszcze funkcją sędziowską i nie zmanierowanych. Są to ławnicy nowi. Są oni zaiste sędziami, jakimi być powinni: nie prokuratorami, tym mniej katami dla oskarżonych. Ludzie ludzcy, którzy czują też w oskarżonym człowieka i wiedzą, że zbrodnia miesza się w życiu tak często i pospolicie z nędzą, że karząc jedną trzeba mieć współczucie dla drugiej. Po Dąbkowskich tacy ławnicy – to prawdziwy wypoczynek dla sędziego. Niemniej choć tak miłych miałem ławników, sesja dzisiejsza była bardzo ciężka dla mnie, bolesna nawet. Chodziło zwłaszcza o jedną sprawę, w której formalny wymiar „sprawiedliwości" nie odpowiadał sprawiedliwości życiowej. Ponieważ wina oskarżonych ze stanowiska kodeksu była stwierdzona i wątpliwości żadnej nie ulegała, musieliśmy w ramach przepisowych wymierzyć karę, która nie dała się złagodzić się więcej, niż w przejściu od ciężkiego więzienia do więzienia, zastępującego dom poprawczy, na rok jeden. Wyczuwaliśmy wszyscy, że kara ta jest dla tych ludzi za ciężka i polega tylko na tym przypadku, że na krótko przed ich przestępstwem została niezwykle obostrzona specjalnym dekretem, który podniósł ją z grzywny na ciężkie więzienie – chodziło o wypadek tajnego pędzenia wódki. Wprawdzie przestępstwo to nie należy samo przez się do takich, które mogą być dyktowane pobudkami szlachetnymi, ale przynajmniej w stosunku do jednego z oskarżonych działała w motywach straszna nędza, zagrażająca widmem głodowym rodzinie jego. Ponieważ są to ludzie z Kolna, których znam dobrze, więc wiem, jak ciężką była bieda, która pchnęła Żyda Zabiełowicza, blacharza, do tego przestępstwa. Nie zdążyli też oni nic wódki wypędzić, bo dopiero urządzili gorzelnię, bardzo zresztą prymitywną. Nie wiedzieli też jeszcze o nowym dekrecie, tak ogromnie obciążającym karą. Zachodziły więc wszelkie możliwe okoliczności łagodzące, a złagodzić się nie dało więcej, niżeśmy to w ramach kodeksu zrobić mogli. Rzecz obciąża się jeszcze przez to, że Zabiełowicz teraz znajduje już robotę i dźwiga się ze strasznej nędzy głodowej, w jakiej był. Zamknięcie go teraz na rok więzienia znów wtrąca rodzinę w nędzę. Bolesne są takie konflikty ludzkiego poczucia sprawiedliwości z formalistyką kodeksową prawa pisanego. Wszystkie sprawy dzisiejsze były zresztą mniej lub więcej z tego stanowiska przykre, bo we wszystkich zachodził w dużej mierze bądź przypadek, bądź nędza. Smutną jest w wielu razach rola sędziego. Sądząc przestępcę ludzki sędzia musi wyczuwać zawsze w zbrodniarzu człowieka, a przez to samo wie, że te same słabości natury ludzkiej, których wyrazem było przestępstwo, są właściwe i jemu, sędziemu. Wprawdzie karanie przestępstw jest ze względu na porządek społeczny konieczne, to jednak w wielu wypadkach ciężko jest sumieniu sędziego, gdy mimo woli nie może odpowiedzieć przecząco na pytanie tej treści,

powstające w świadomości jego: „Czy jesteś pewien, że w tych samych warunkach nie dopuściłbyś się tego przestępstwa ty, który teraz sądzisz brata swego, człowieka?”

8 sierpnia, rok 1919, piątek
Jestem przeładowany pracą w sądzie do tego stopnia, że ani myśleć nie mogę o zajęciu się jakąkolwiek inną pracą pozasądową. Dzień w dzień spędzam przy biurku w sądzie po 8-9 godzin, to znaczy po jakieś 4 godziny przed obiadem i po 4-5 godzin po obiedzie, a czasem jeszcze więcej. Dnie, w których mam sesję sądową, są raczej dniami odpoczynku, bo od samego sądzenia o wiele uciążliwsza jest robota biurowa poza sesjami. Wydział I instancji karny jest po prostu zabójczy nawałem roboty. Tam nie jeden sędzia i nie dwóch, ale trzech albo czterech dopiero dałoby sobie radę tak, aby wybrnąć z zaległości. Człowiek po prostu tam tonie w ogromie i chaosie roboty i z zaległości, pomimo najintensywniejszej pracy, wybrnąć nie jest w stanie.
Wracając tu z Litwy, byłem postanowił sobie wyzyskać te kilka miesięcy, które tu zamierzam spędzić przed powrotem na stałe do kraju, na napisanie książki o problemie polityczno-państwowym Litwy z uwzględnieniem zwłaszcza stosunku do Polski, ewentualnie także do Rosji i Niemiec, i w związku z problemami społecznymi tej zwłaszcza miary, co ewolucja i zbliżenie się do władzy klasy chłopskiej z przemianami i ideologią, które ten proces sprowadza, i rewolucja bolszewicka (komunistyczna). Osnowę tej książki mam w głowie, ale opracowanie jej takie, aby się nadawało do druku i stanowiło dzieło skończone, wymagałoby dużo pracy. Tęsknię do tego rodzaju pracy twórczej i gorąco bym się do niej zabrał po przełamaniu pierwszych lodów rozpoczęcia, bo początek jest zawsze najtrudniejszy. Nie wiem nawet, czy bym znalazł dla takiej książki wydawcę, bo nie pisałbym jej popularnie i nie schlebiałbym żadnym maksymalizmom jednostronnym; wiem zaś, że dzisiaj wobec tłumów popłaca tylko taka myśl, która odpowiada ich pragnieniom, toteż Polacy akceptowaliby tylko to, co bezwzględnie ich apetytom schlebia i z błotem miesza wszystko przeciwne, i na odwrót, Litwini akceptują tylko to, co jest równie na rzecz ich pożądań jednostronne. Nie wiem, powiadam, czy bym znalazł wydawcę, który by zechciał dziś zaryzykować rzecz niepopularną, ale w każdym razie zrobiłbym swoje i spróbowałbym. Myślałem, że pół dnia poświęcę pracy w sądzie, a drugą połowę tej pracy. Tymczasem jednak ani myśleć o tym. Nie wyrzekam się jednak tego zamiaru, może mi się to da zrobić, gdy Skarzyński z urlopu wróci, choć wtedy mało już zostanie czasu, o ile w jesieni mam do Litwy wrócić. Jestem niewolnikiem sądu.

9 sierpnia, rok 1919, sobota
Mieszkanie mi odbierają. Właściwie nie bezpośrednio mieszkanie, lecz meble. Przyjechała z Rosji ta pani, niejaka Syromiatnikowa, żona sędziego śledczego, właścicielka mebli, użyczonych mi przez gospodarza domu, Wejrocha i zabiera je. Zdaje się, że już wspominałem kiedyś w dzienniku o jej przyjeździe. Na razie Wejroch mi robił nadzieję, że to potrwa długo, zanim ta pani w drodze sądowej ustali prawo do zabrania mebli. Ale poszło to widocznie gładko, bo już je może zabierać. Przed kilku dniami była u mnie. Obiecała mi, że jeszcze przez czas jakiś pozwoli mi meble zatrzymać, mniej więcej do końca tego miesiąca, bo na razie nie ma dla nich miejsca, zanim nie rozprzeda innych. Tymczasem oto teraz zmieniła swoje dyspozycje i oświadczyła mi wczoraj, że zabiera meble prędzej. Jedną z czterech szaf, wielką, która stała w moim sypialnym pokoju, szafę do ubrania – już zabrała. Mieszkanko moje jest całe umeblowane jej meblami. Gdyby je zabrała, pozostałoby mi jedne moje żelazne łóżko – i nic więcej. Muszę więc wybierać w alternatywie: czy zlikwidować mieszkanko, własną gospodareczkę, służącą i szukać umeblowanego pokoju gdzieś przy

rodzinie, czy też pozostać na własnych śmieciach wśród pustki ścian własnego mieszkania i chyba donająć skądś choćby najskromniejszych kilka mebelków, jakiś stół, parę krzesełek, szafę jedną lub dwie, łóżko dla służącej. Nie wiem jeszcze, na co się zdecyduję. Chociaż uważam najbliższe miesiące za ostatki mego pobytu w Łomży i wskutek tego nie dbam zbytnio o lokatę swoją, ale żal mi tego mieszkanka. Stworzyłem w nim swoje własne „*interieur*" i lubię je. Wolałbym jeszcze z parę miesięcy spędzić w tym mieszkaniu, choćby najskromniej umeblowanym, niż iść na tułaczkę nieznośnego lokowania się w pokoju mieszkania cudzego. Na zimę, a nawet na późną jesień w każdym razie mieszkanie to nie będzie zdatne, bo jest przewiewne jak sam wiatr i przeto do niewytrzymania zimne. Ale tymczasem jest mi ono miłe, bo swoje własne. Przywykłem do niego. Choć jest nieco wysoko i choć wejście ma brzydkie, po brudnych schodach z podwórza, jednak ma zalety: powietrze ma czyste, dominuje nad całym miastem, ma śliczny rozległy widok. Usiąść w drzwiach mego balkonu – to można godzinami wpatrywać się w prześliczną panoramę przed sobą, w której zarówno całość krajobrazu jak poszczególne epizody i fragmenty tegoż stanowią widok bardzo efektowny. Podmiejska okolica, gdzieniegdzie domki, skupiające się w miasteczko albo ciągnące sznurem w pole, to znów wiatraki, gdzieniegdzie taśma szosy wysadzonej drzewami, widok bardzo rozległy, na prawo dolina Narwi z błyskającą miejscami wagą rzeki itd. – a to wszystko widziane z dużej wysokości, niemal *a vol d'oiseau*[237]. O ileż jest milej i wygodniej mieszkać u siebie, niż w wynajętym pokoiku w obcym mieszkaniu przy jakiejś rodzinie, gdzie się jest jak w klatce. Mebli mi też tych żal, bom przywykł do nich; zrosły mi się one z tym mieszkankiem. Oto stoi przede mną na stole kubek z bukietem pysznie dobranych kwiatów polnych i ogrodowych, prawdziwe arcydzieło Kamili, która zawsze z własnej inicjatywy bukietami mi zdobi stół. *J'y suis chez moi*[238] – to ma swój urok, a tym bardziej, gdy mieszkanie to jest tak ładne, jasne, czyste, pełne powietrza i widoków. Żal mi go.

10 sierpnia, rok 1919, niedziela

Dawno już przekonałem się, że same argumenty w tych wypadkach, w których człowiek czegoś mocno pragnie, nie zmienią jego woli i nie skierują go na inne tory. Może czasami siła argumentów potrafi dokonać takiego cudu, ale należy to stanowczo do wyjątków. Człowiek, który czegoś mocno i rzeczywiście chce, jest na argumenty przeciwne, choćby niezbite, głuchy jak ściana, toteż prawdą jest, że przekonywanie człowieka w tym stanie dowodami czystej logiki jest taką samą pracą, jak rzucanie grochu o ścianę: groch się odbije od ściany i upadnie na ziemię, ściana zaś pozostanie niewzruszoną – ani jej groch przebije, ani do niej przylgnie. Prawda ta ma zastosowanie do pojedynczego człowieka i jeszcze w większym stopniu do człowieka zbiorowego, to znaczy do wszelkich gromad ludzkich, do tłumu przede wszystkim, a także do społeczeństw, do stanów, klas i narodów. Jeżeli jeszcze pojedynczego człowieka czasem można argumentami przeciwnymi przekonać, choć to bywa bardzo rzadko i trzeba na to z jednej strony człowieka bardzo mocno argumentującego, z drugiej zaś szczególnie wrażliwego na sensacje logiczne, to znaczy typ intelektualisty, to już gromady ludzkiej samymi argumentami nie przekona się nigdy. Jeżeli coś może wpłynąć na czyjeś przekonanie i nadać mu kierunek przeciwny jego pragnieniom i chceniu, to zadanie to spełnić może nie abstrakcyjny argument logiczny, ale czyn albo fakt albo też sugestia. Ta ostatnia nawet w stosunkach osobniczych, gdy jeden człowiek drugiego przekonywa, o wiele więcej działa od argumentu myślowego: przekonać kogoś o czymś – to najczęściej znaczy zapanować nad nim, przemóc go wpływem

---

[237] vol d'oiseau (fr.) – z lotu ptaka.
[238] j'y suis chez moi (fr.) –tam jestem u siebie.

indywidualności swojej, zyskać nad nim przewagę, pewnego rodzaju władzę, której źródło tkwi nie w czystej logice, lecz w mocy ducha lub jakichś zawiązków ciała. Wpływ mówców i trybunów na tłum na tym się też najczęściej zasadza. Toteż chcąc na jakieś stosunki oddziaływać, chcąc wpływ wywierać lub brać udział w kształtowaniu czegoś – trzeba być na miejscu i czyn swój wmieszać w bieg życia zbiorowy.
Nie słowami przeto, nie argumentami, poczętymi w myśleniu oderwanym, ale spojeniem się z życiem bieżącym winienem Ojczyźnie mej i sprawie litewskiej służyć. Z dala od kraju i jego konkretnego życia przestaję być czynnikiem konkretnym, choćbym nawet najlogiczniej myślał i widział wszystko. Więcej znaczy realny, choćby skromny, czyn w zespole z życiem konkretnym, niż logika myśli oderwanej od czynu. Świadomość tę mam, toteż zaniechałem od dłuższego czasu działania argumentami, zaniechałem pracy pisarskiej z daleka; czuję bowiem, że dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek, jest ona jałowa, gdy się nie łączy z praktyką czynu w stosunkach realnych na miejscu; a że byłem z dala od kraju, więc wyszedłem od lat kilku z obiegu i stałem się dla stosunków krajowych jak człowiek umarły. „*Les morts wont vite*”[239] – powiada prawdziwe przysłowie francuskie; tak samo szybko szło w kraju zapomnienie o mnie. Pamiętają mię przyjaciele moi i boleją, żem się tak usunął, mogąc działać i będąc siłą wybitną; ale życie realne, ale stosunki krajowe – zapomniały o mnie: stałem się dla nich martwym. Wrócę teraz i wraz z powrotem przywrócony będę życiu i sprawie krajowej. Mniejsza o to, czy rozwój stosunków odpowiada moim pragnieniom. Gdy stoję z dala, sam ponoszę odpowiedzialność za to, co jest złym i co źle idzie. Gdy wrócę i stanę w czynie do życia, znajdę łożysko mojego właściwego działania.

11 sierpnia, rok 1919, poniedziałek
Mińsk zdobyty przez wojska polskie na bolszewikach[240]. Jest to sukces bardzo poważny zarówno dla oręża polskiego, jak dla polityki polskiej. Jednocześnie jednak ze zdobyciem Mińska rozrasta się problemat ziem litewsko-białoruskich, dzierżonych przez Polaków. Nie jest to już tylko wąski skrawek pasa w pograniczu etnograficznej Litwy i Białej Rusi, w którym się najmocniej gnieżdżą wpływy polskie, biegnące od Polski przez gubernię grodzieńską do Wilna i nieco dalej ku Święcianom i Dukszotom. Nie jest to także tylko tzw. Białoruś katolicka albo dawna Ruś Litewska, przezywana dziś gdzieniegdzie w prasie polskiej „Białopolską”, uzupełniona Wilnem i jego spolonizowanymi przyległościami pochodzenia litewskiego. Obecnie wyrosło to na wielki obszar ziem o skomplikowanym układzie narodowym i historycznym, obszar, w którym ta Ruś Litewska stanowi tylko fragment, obszar, który mieści w sobie zarówno starą historyczną stolicę dawnego Litewsko-Ruskiego państwa, Wilno, jak kresy wschodnie etnograficznej Litwy – dwie bolączki stosunków polsko-litewskich – jak dalej ogromny problem białoruski, nie tak łatwy do przetrawienia w kierunku państwowo-polskim, a zwłaszcza aneksyjnym, jak to było z tzw. „Białopolską” lub samym Wilnem z okolicami. W skomplikowanym problemie tej całości, pełnym problemów poszczególnych, sprawa wpływów polskich i uzasadnień polskiej przynależności państwowej maleje.
Zdobycie Mińska, tego naturalnego ośrodka Białej Rusi, które z pewnością uzupełnione być musi dotarciem co najmniej do linii Berezyny, jeżeli nie Dniepru, potęguje białoruską, względnie w związku z Wilnem – białorusko-litewską koncepcję państwową. Jeżeli nawet losy wiążą realizację tych problemów z Polską, to ten fakt

---

239 les morts vont vite (fr.) – śmierć przychodzi prędko.
240 Zdobycie Mińska przez Polaków: chodzi o akcję gen. Szeptyckiego, kiedy piechota polska 8 VIII 1919 r. wkroczyła do Mińska.

rozrostu terytorium wpływać musi na zaakcentowanie metody federacyjnej w stosunku do metody czysto aneksyjnej.
W każdym razie stwierdzić trzeba dużą sprawność wojenną młodej Polski, która takim zadaniom militarnym na olbrzymim froncie sprostać jest w stanie. Jednocześnie z Mińskiem zdobyto Słuck. Zdobycie tych dwóch punktów dokonane zostało bardzo ładnym ruchem strategicznym na dużym odcinku frontu.
Kotunia i Ezachiel Pruszanowscy są zelektryzowani zdobyciem Mińska. Otwiera to im perspektywy niedalekiego już może powrotu do Bielcza, gdy linia Berezyny przekroczona zostanie. Borysów zdaje się być w pierwszym rzędzie przez wojsko polskie upatrzonym. A dalej może przyjść kolej na Mohylów i Bobrujsk, Orszę i Żłobin.
Zaczynam się starać o umeblowanie mego mieszkanka, gdy mi pani Syromiatnikowa meble obecne odbierze. Wolałbym tu jeszcze tę parę miesięcy pozostać, niż wynajmować pokój przy rodzinie. U pewnego Żyda, mającego skład mebli, mogę mieć szafę, stół, cztery krzesła wiedeńskie, łóżko dla służącej, szafkę nocną i stolik, względnie prostą szafkę do kuchni – za 50 mk. miesięcznie albo 120 mk. za trzy miesiące z góry. Namyślę się jeszcze do jutra. Wynajem mebli jest dziś trudny i kosztowny. Względnie cena powyższa jest niezbyt wysoka jak na ceny dzisiejsze.

12 sierpnia, rok 1919, wtorek
Nawiązuję do tematu z dnia pozawczorajszego. Jest niesłychanie łatwo przekonać kogoś o tym, o czym on chce być przekonanym, bo to odpowiada jego takim lub innym interesom czy pożądaniom. I odwrotnie – jest niesłychanie trudno przekonać kogoś o tym, o czym on przekonany wcale być nie chce. Jest to prawdą w stosunku do jednostki, a jeszcze bardziej w stosunku do gromad ludzkich – tłumu lub społeczeństwa. Szczególnie ma to miejsce w stosunku do tzw. faktów. W społeczeństwach, zwłaszcza w momentach wielkich przewrotów, kiedy się kształtują podstawy nowych form bytowania międzynarodowego – produkcja „faktów", ich fałszowanie i wytwarzanie na użytek takich czy innych pożądań, na poparcie tych lub innych dążeń, na uzasadnienie popularnych tez, rozwija się zaiste gorączkowo i jest procederem wcale popłatnym. Gdy np. dla narodu jakiś sąsiad jest niedogodny, gdy się go chce skompromitować w opinii zarówno własnego społeczeństwa, jak widzów ubocznych, to się o nim puszcza plotkę, rozdmuchuje się wszelkie pozory w odpowiednim kierunku, zmyśla się i urabia „fakty", a nade wszystko z uporem i konsekwencją powtarza się bez ustanku jedno i toż samo o nim i o tych „faktach" twierdzenie, aż się wreszcie nawet samemu wierzy w prawdziwość tegoż. Oszczerstwo i produkcja „faktów" na jego użytek – należą do najskuteczniejszych broni w walce. Toteż wszystkie narody, zarówno jak w stosunku wzajemnym walczące ze sobą klasy społeczne, posługują się tą bronią zatrutą. Jak jest militaryzm wojenny, posiadając własną taktykę, strategię, kampanie ofensywne i defensywne – tak jest szczególny militaryzm oszczerstwa, operujący takimiż metodami działania zaczepnego i odpornego, taktyką, strategią itp. Wojna fizyczna uzupełnia się znakomicie wojną psychiczną. Prasa stanowi tutaj główną armię. Powiedzmy, Polakom trzeba zwalczać organizację państwową Litwinów (Tarybę), bo jest dla ich dążeń, celów lub apetytów w pewnym kierunku niedogodna; odwrotnie, Litwinom spod Tarybowego znaku nie podobają się dążenia Polski na terenie Wilna i Białej Rusi litewskiej, bo paraliżują aspiracje litewskie; Polakom trzeba dyskredytować Ukraińców, a natomiast apetyty i cele polityczne Polski tak się układają, że Rumunia wypada dla Polski sojuszniczką; Polacy chcą znaleźć zasadę dla pognębienia Żydów, albo odwrotnie – Żydom zależy na osłabieniu i zdyskredytowaniu Polski dla jakichś tam ich względów politycznych czy narodowych, względnie ekonomicznych. Poszczególne fakty

oderwane, dyskredytujące przeciwnika, zawsze się dadzą znaleźć. Chodzi tylko o to, aby je wyolbrzymić, pomnożyć plotkę, zrobić z nich teorię i wreszcie oszczerczą legendę. Ci, którym to jest na rękę, zawsze najświęciej w nią uwierzą i będą przekonani o prawdziwości teorii faktów i legendy, bo tego chcą, bo to jest im potrzebne. Popularne są w prasie polskiej, w opinii, w uchwałach rozmaitych wieców polskich w Wilnie – twierdzenia o gwałtach litewskich, o prześladowaniu Polaków pod rządami kowieńskimi Litwinów. Gdy trzeba, to się ogłasza „fakty"; ale bardzo rychło „fakty" już stają się zgoła zbyteczne, bo wszyscy zainteresowani są w nich przekonani, toteż traktuje się teorię prześladowań jako aksjomat. Jest to łatwiejsze, bo zwalnia od trudu produkcji „faktów". „Fakty" podaje się tylko na zewnątrz, dla przekonania widzów obcych, niezainteresowanych: dla nich jest nieustająca fabrykacja faktów. Znowuż w Kownie taka sama kampania toczy się na temat gwałtów i prześladowań polskich nad Litwinami w Wilnie. W Polsce z gorliwością, jednostronnością godną lepszej sprawy, kultywuje się legenda o niemieckim charakterze rządów litewskich w Kownie, a gdy ewakuacja Niemców z Litwy podważa tę legendę, natomiast w Kurlandii i północnej części Litwy Kowieńskiej zaczyna się rozrastać intryga reakcji rosyjskiej z Niemcami (formacja Lievena), to się w Polsce wykuwa nowa teoria o oddaniu się Litwy Rosji; dochodzi się nawet bez zmrużenia oka do kłamstw bezpośrednich o rzekomo zawiązanym już układzie rządu litewskiego z rosyjską reakcją kołczakowską, o głosowaniu w Radzie Ministrów w Kownie itd. Mam wiadomości, że to kłamstwa wierutne, ale czyżby czasem nie tylko?

13 sierpnia, rok 1919, środa
Nigdy jeszcze w Sądzie Okręgowym nie miałem sesji tak długiej, jak dzisiejsza. Trwała ona do godz. 11 ½ w nocy. Była to sesja apelacyjna. Wyznaczona była na wokandę maksymalna liczba spraw – 20. Były to same sprawy leśne – o samowolne wyręby lub zabór drzewa w cudzym lesie. Spraw tej kategorii jest najwięcej w wydziale apelacyjnym; jest ich powódź prawdziwa. Dzielą się one na dwie wielkie grupy: 1. wyręby i rabunek z lasów rządowych i 2. drobne wyręby cudzego drzewa między chłopami, powstające zwykle na gruncie sporów o własność ziemską, o granice, o miedze. Pierwsza grupa ma jeszcze poniekąd do dziś, a zwłaszcza miała w pierwszych miesiącach po wypędzeniu Niemców charakter epidemiczny masowego rabunku lasów państwowych przez chłopów. Chłopi po wypędzeniu Niemców pojmowali „wolność" w ten sposób, że własność państwowa, a więc już odtąd narodowa, polska, nie należąca do żadnych obcych najeźdźców i panów – ani Moskali, ani Niemców – ma być dostępna do użytku wszystkich i każdego w zakresie potrzeb. A że mnóstwo było wsi spalonych po wojnie, mnóstwo zabudowań zrujnowanych – drzewo zaś drogie, niedostępne nieraz właśnie dla tych, którzy go najwięcej potrzebowali, bo zwykle ci mieli najmniej pieniędzy, więc masy chłopów rzuciły się do gorączkowego rabunku lasów. Poczucie uprawnienia zaboru podniecało jeszcze to, że chłopi mieli świeżo w pamięci dziki rabunek lasów przez okupantów: skoro olbrzymie bogactwa lasów rabowali i wywozili z kraju prawem kaduka Niemcy, obcy tej ziemi najeźdźcy, to czy nie słusznym jest, aby teraz, po wygnaniu Niemców, mogli się tym lasem narodowym pożywić wreszcie ci, którzy go istotnie potrzebowali – nie dla zysku i spekulacji, ale dla zaspokojenia swych potrzeb, potrzeb wewnętrznych, pozostających w zakresie gospodarki krajowej – prawowici synowie i dziedzice narodowego dobra, kość z kości, chłopi. Rzucili się ci, którzy drzewa potrzebowali, ale za nimi rzucili się i wszyscy, bez względu już na potrzeby, z chciwości, z chęci pożywienia się przy okazji, na zapas, z zazdrości wreszcie, aby nie dać się ubiec innym, aby nie pozostać z pustymi rękami, gdy wszyscy

dokoła chwytają. A że „*l'apetit vient en mangeant*"[241] – więc to łapanie drzewa zamieniło się rychło w gorączkowy dziki rabunek, w epidemię masową. Fala ta przetoczyła się przez cały kraj. W głębi świadomości chłopi mieli jednak pewien instynkt bezprawności tego rabunku. Spieszyli na gwałt. Młode organizujące się władze leśne, policja i milicja i urzędy powiatowe – miały nie lada trud w poskromieniu tego pędu rabunkowego. Jednym ze środków reakcji na to zjawisko stały się represje karne. Setki i tysiące tych spraw napłynęły do sądów pokoju, a następnie duża ich część płynąć zaczęła w drodze apelacji do Sądów Okręgowych. I u nas w wydziale apelacyjnym mamy ich mnóstwo. Kto wie, czy sprawy leśne nie są u nas liczniejsze, niż wszystkie inne sprawy apelacyjne w sumie razem wzięte. I pomimo że teraz ten rabunek leśny nie jest już tak masowy, jak w pierwszych miesiącach, musi on być jednak jeszcze duży, skoro wciąż jeszcze te sprawy napływają najliczniej. Zupełnie odrębny charakter mają sprawy leśne pomiędzy chłopami: tam łączą się one prawie zawsze ze sporem o grunt, sporem, który najbardziej roznamiętniająco działa w stosunkach chłopskich. Ta grupa spraw ma największe pokrewieństwo ze sprawami cywilnymi, toteż jest interesująca, skomplikowana, tętniąca charakterem społecznym. Lubię tego rodzaju sprawy. Są one też przez to ciekawe, że przedstawiają przeróżne zagadnienia prawne, tym trudniejsze do rozwiązania, że sądy pokoju, rozpatrujące je, bardzo często ugrzęzły w trudnościach i jeno bardziej jeszcze swymi wyrokami skomplikowały kwestie. Wytężona praca myślowa na trudnej sesji do godz. 11 ½ w nocy – to nieco zanadto męczące. Choć lubię sesje sądowe, ale po takiej czuję się wymęczony. Toteż po sesji poszliśmy z podprokuratorem Maciejewskim na kolację i sznapsa do Klubu Wioślarskiego. Ciekawą dziś rozpoznaliśmy sprawę na gruncie stosunków serwitutowych w sporze między gronem chłopów z Jaczewa a dziedzicem Michałem Sasinowskim, jednym z najbardziej znienawidzonych i nietaktownych w stosunku do chłopów obszarników, znienawidzonym powszechnie, ale zawsze względem chłopów prowokacyjnym.

14 sierpnia, rok 1919, czwartek
Dzisiaj znowu miałem sesję karną I instancji z udziałem ławników Bielickiego i Iwanickiego i podprokuratora Siemickiego. Sesja przeciągnęła się do godz. 8 wieczorem. Dwa dni z rzędu sesje – to trochę męczące, bo chociaż to o wiele ciekawsze od roboty biurowej, która mi teraz też co dzień tyleż czasu zajmuje, ale jest bardziej wyczerpująca, wymaga bowiem intensywniejszej produkcji i napięcia władz psychicznych. Skarzyński zbyt dużo powyznaczał spraw na wokandy; na I instancję 9 spraw – to stanowczo za wiele; tylko dzięki temu, że zawsze kilka spraw spadnie z wokandy dla tych lub innych przyczyn (niestawiennictwo świadków lub oskarżonych) – można sesję zakończyć; inaczej przeciągnęłaby się ona do późna w noc albo nawet musiałaby być dokończona nazajutrz. Kilka było dzisiaj spraw z Kolna. Wśród nich była jedna, w której skazaliśmy oskarżoną, niejaką Okołowską, bardzo ostro, wymierzając jej za fałszywe oskarżenie 6 lat więzienia, zamieniającego dom poprawy – najwyższą karę, przewidzianą za to przestępstwo. Przestępstwo bowiem było bardzo brzydkie: Okołowska, prostytutka najniższego rzędu, która wiecznie się prostytuowała w Kolnie z żołnierzami niemieckimi, oskarżyła w roku zeszłym przez zemstę dwóch braci Remiszewskich o rzekome posiadanie broni palnej i usiłowanie zabójstwa macochy. Aby fałszywe oskarżenie uzasadnić, namówiła do współudziału w oskarżeniu macochę oskarżonych i jej małego synka. Potem macocha Remiszewska cofnęła oskarżenie i przyznała się, że ją namówiła do tego Okołowska; toteż Remiszewską dziś

[241] l'apetit vient en mangeant (fr.) – apetyt rośnie w miarę jedzenia.

zwolniliśmy od kary. Za czasów niemieckich oskarżenie kogoś o posiadanie broni groziło śmiercią; to nie były żarty.
Zadowolony jestem z nowego kompletu ławników w sądzie. Chociaż ławnicy, wybrani przez sejmiki powiatowe, które tu w łomżyńskim są reakcyjne, są przeważnie ludźmi przekonań prawicowych, to jednak co do stanu i środowiska społecznego jest w tym nowym komplecie ławników element bardziej demokratyczny, bliższy ludu i życia, niż to było w dawnym komplecie, złożonym prawie wyłącznie z ziemian albo oschłych mamutów inteligencji miejskiej.

15 sierpnia, rok 1919, piątek
Pomimo święta pracowałem jak zwykle. Przez dwa dni ubiegłe, w których siedziałem na sesjach, nagromadziły się takie góry bieżących akt do załatwienia, że będę to musiał przez kilka dni odrabiać, nie licząc oczywiście pisania wyroków z sesji ubiegłych i studiowania systematycznego spraw na sesje nadchodzące. Mam zwyczaj taki, że co dzień rano przychodzę do sądu, odkładam sobie określoną „porcję" dzienną akt do odrobienia. Otóż z dzisiejszą „porcją" uporałem się do godz. 6 wieczorem; nie byłem więc dziś nadto przeładowany robotą.
Miałem iść dziś po obiedzie na przystań Towarzystwa Wioślarskiego nad rzeką na turniej wioślarski. Ponieważ jednak był wiatr szalony i falami padał deszcz, czasem nawet ulewny, sądziłem, że turniej będzie odwołany. Okazało się potem, że się odbył. Po skończeniu pracy w sądzie byłem u Pruszanowskich, u których bywam prawie co wieczór na dobrej kawie czarnej, a potem byłem w Klubie Wioślarskim. Zarząd Klubu obarczył mię obowiązkiem dyżurów raz na tydzień, w piątki. Nie lubię tego obowiązku, bo nie jestem z usposobienia klubowcem, a w karty grać i nie lubię i nie umiem.
Ciekawa jest rzecz: moja „miłość" do Lusi Roszkowskiej albo raczej to, co nazywałem tym imieniem i co mi się miłością albo jej zawiązkiem być zdawało – ulotniło się jak dym w ciągu tych ostatnich paru tygodni. Jak się to stało – sam nie wiem. Nastąpiło to nieznacznie albo bardzo szybko i bardzo jakoś pospolicie. Za czasów Głównej Komisji Wyborczej podobała mi się ona i działała drażniąco na nerwy moje, podniecając moje tęsknoty i pragnienia. W ostatnich czasach Komisji byłem nią już bardzo zajęty: była ona osią mojej uwagi i ba! – wszystkich wrażeń moich. Gdym potem spędził z nią sześć tygodni codziennego przesiadywania we dwoje w moim gabinecie, stosunek nasz zaczął się zabarwiać zmysłowo: pieszczotami bezpośrednimi, które jednak nigdy nie doszły do pocałunku w usta, a więc nie przekroczyły pewnych granic, choć były wybitnie cielesne, zacząłem już rozkochiwać dziewczynę w sobie i sam się nią upajałem jak narkotykiem, pożądając jej, a chwilami doświadczając nawet przesytu pieszczot. Gdy się potem jej praca u mnie urwała i nie widywałem się z nią stale, zacząłem tęsknić do niej szalenie i marzyć; zdawało mi się wtedy, że to jest miłość, bo też to, co czułem, miało istotnie dużo cech tego uczucia. Gdym teraz wrócił z urlopu i zastał ją pracującą w sądzie w moim wydziale, a nawet znowu w moim gabinecie, byłem ucieszony, szczęśliwy i zdaje się, rozkochany. I oto nagle spowszedniała mi ona w codziennym widoku i zobojętniała zupełnie.

16 sierpnia, rok 1919, sobota
Wieczorem, po całodziennej pracy w sądzie, poszedłem na wieczornicę w Towarzystwie Wioślarskim. Wieczornica ta była zakończeniem wczorajszego turnieju wioślarskiego na Narwi. Przebyłem do północy, ale się wynudziłem. Snułem się jak błędny, przyglądałem się tańcom na pięknej sali Towarzystwa Wioślarskiego, najpiękniejszej ze znanych mi w Łomży, wypiłem trochę sznapsa przy bufecie z paru osobami. Ezechiel Pruszanowski, który też się na ten wieczór wybrał, zasiadł z sędzią

pokoju starym hrabią Łubieńskim i jeszcze paru panami do zielonego stolika, pozostałem więc w tłumie wieczornych gości sam. Najliczniejszy zastęp gości stanowiła młodzież obojga płci. Śród kawalerów – dwie grupy: oficerowie i młodzież cywilna. Oficerowie – ulubieńcy panien z reguły – tym razem na początku zabawy dość jakoś zwlekali z wprawieniem się w ruch zabawy. Pochodziło to stąd, że przeważną większość oficerów składali ludzie nowi, niedawno na grunt łomżyński przybyli; 33 pułk, który stał długo w Łomży i tu już nawiązał stosunki, posiadając pełno intryżek i amorów śród płci pięknej, odszedł, przybyli natomiast artylerzyści. Muzyka grała do tańca, ale przez długi czas na próżno; panny włóczyły się sennie po dużej sali lub obsiadały kąty i ściany; brakło podniety czynnika męskiego do rozpoczęcia zabawy. Młodzież cywilna męska, trochę zahukana przez powodzenie wojskowych, oswojona już z rolą podrzędną u panien, nie ośmielała się brać inicjatywy. Potem dopiero zaczął się wytwarzać ruch taneczny i zaczęła ożywiać zabawa. Panny łomżyńskie – to przeważnie, a nawet za bardzo małymi wyjątkami wyłącznie – urzędniczki, kancelistki z rozmaitych instytucji państwowych. W ogóle tzw. „towarzystwo” łomżyńskie – to sfera klasycznie urzędnicza. Innej inteligencji w Łomży prawie że nie ma. Sfera ta, przeważnie klerykalna i konserwatywna z przekonań, a może jeszcze bardziej z nałogu, jest z pochodzenia bardzo demokratyczna. Same nazwiska wskazują na pochodzenie tych rodzin z drobnej szlachty, gęsto w powiatach b. guberni łomżyńskiej osiadłej, lub nawet z chłopów. Nazwiska tutejszych rodzin urzędniczych ciągle się spotykają w nazwiskach chłopów lub szlachty. W sądzie, gdzie się ma do czynienia z tysiącami ludzi, przekonać się o tym bardzo łatwo. Rodzin ze szlachty ziemiańskiej, towarzystwa arystokratycznego – Łomża nie posiada wcale. Zresztą i klasa ziemiańska jest tutaj bardzo pstra, złożona w bardzo dużym stopniu z parweniuszy; o ileż inaczej jest u nas na Litwie, gdzie ziemiaństwo zachowało dotychczas wybitny charakter stanowy i arystokratyczny; arystokracja z konieczności trzymała się u nas mocniej ziemi, a zresztą jej odosobnienie narodowe tworzyło z niej wielką solidarną i zamkniętą rodzinę, czego tu nie ma, a przynajmniej się nie wyczuwa. Ale za to u nas, o ile szlachta ziemiańska jest arystokratyczniejsza, o tyle inteligencja demokratyczna jest istotnie demokratyczniejsza i radykalniejsza. Ziemianie łomżyńscy zresztą nie darzą Łomży wcale swoimi względami w zakresie towarzyskim. Są oni na gruncie łomżyńskim towarzysko nieobecni. Ich światem towarzyskim jest Warszawa. Łomża jest towarzysko własnością wyłączną szaraczków. Jest to ludek urzędniczy drobnej kondycji społecznej.

17 sierpnia, rok 1919, niedziela
Byłem chyba w grubym błędzie, wierząc w moją „miłość” do Lusi Roszkowskiej. Zdaje się, że było to o wiele prostsze: ot, podobała mi się dziewczynka po prostu, bez żadnych głębszych w istocie pokładów uczuć; podobała się, a że pracowaliśmy z nią razem i przeto mieliśmy ciągłą styczność i że we mnie działał zwykły u mężczyzny bodziec zdobycia dziewczyny – ten niejako instynkt samczy – więc myśl moja była nią zajęta. Lusia Roszkowska była tylko przygodną zabawką, przedmiotem ćwiczenia pożądliwości mojej. Już wtedy, gdyśmy z nią w marcu pracowali we dwoje w moim gabinecie i gdym ją pozyskał – przynajmniej o tyle, o ile granice przyzwoitości pozwalały, to znaczy, gdym mógł ją pieścić dłonią i miałem ją w ręku powolną, płonącą zmysłowo, oddaną pieszczotom – miewałem chwile przesytu, kiedy mi ona obojętniała a nawet nużyła. Gdy potem odeszła, tęskniłem do niej; łudziłem się wtedy, że to miłość, a to było tylko pragnienie tych pieszczot i podniet zmysłowych, jakich mi ona, choć połowicznie, niezupełnie, nie do kresów rozkoszy, ale przecie dostarczała. Gdym po powrocie z urlopu zastał ją pracującą znowu w moim gabinecie, byłem uszczęśliwiony. Zdawało mi się, że odzyskuję raj stracony. Oprócz niej pracowała też w gabinecie

panna Irena Maciejewska, druga kancelistka wydziału apelacyjnego karnego. W jej obecności nie było mowy o pieszczotach dawnych z Lusią. Ale nie powtarzałem tych pieszczot dawnych nawet wtedy, a było to bardzo często, gdy p. Irena wychodziła. Długa pauza w naszej zażyłości poprzedniej sprawiła, że pieszczot tych tak od razu ponowić nie było można. Trzeba byłoby znów do nich dochodzić stopniowo. Nie próbowałem jednak tego; nie chciało mi się; tym niemniej byłem przekonany, że Lusię kocham. Gdy mię ona przez wzgląd na ludzi poprosiła raz, abym ją nawet na cztery oczy nazywał panną Heleną, nie zaś panną Lusią, bo mi się parę razy zdarzyło nazwać ją tym imieniem spieszczonym przy ludziach, co ją narażało na obmowę, byłem zmartwiony (było to dnia 31 lipca, kiedy zanotowałem w dzienniku, że mię spotkała przykrość). Postanowiłem wtedy otoczyć się wobec niej pancerzem sztywności sztucznej, tłumiąc ból w sobie, a mając nadzieję, jak zwykle między osobami, które łączy związek miłości, sztuczna sztywność i żal ukryty prowokują kryzys wyznania wzajemnego – pogłębienia związku: budzą bowiem tęsknotę wzajemną, która, rosnąc zrywa wreszcie pancerz pozornego chłodu i rzuca sobie kochanków w objęcia. I cóż się stało? Oto najniespodziewaniej dla mnie przekonałem się, że żadnego bólu nie doznaję, że sztuczna sztywność jest zbyteczna, bo stosunek ten jest mi po prostu obojętny. Zaniechałem więc wszelkiej gry, bo mię nie bawi. „Miłość" ta jakoś w nadzwyczajny sposób wyparowała w ciągu kilku dni i nie pozostało po niej nic. Aż mi dziwno, bo nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu w podobny sposób zlikwidował w sercu jakąś miłostkę. W młodości mojej byłem kochliwy niezwykle. Dziesiątki razy się kochałem i zmieniałem przedmioty miłości, ale nigdy uczucia te nie ulotniły się tak radykalnie, bez rozstania się z osobą kochaną, jak teraz z Lusią. Po wszystkich miłostkach młodości przyszła na mnie wielka, prawdziwa, jak morze, pochłaniająca całe moje życie – miłość do Anny. Widocznie tak wyczerpała ona cały głąb mego ducha, całą potęgę psychicznych władz, że dziś już z miłością u mnie raz na zawsze skończone. Mam żywą tylko myśl, a w stosunku do kobiet – zmysły.

18 sierpnia, rok 1919, poniedziałek
Znowu dziś miałem sesję, która się przeciągnęła do godz. 11 ½ w nocy. Była to sesja I instancji. Ławnicy zasiadali dwaj następujący: dyrektor Łomżyńskiego Oddziału Banku Państwa Władysław Roszkowski i właściciel majątku Kisielnica Bohdan Kisielnicki; podprokurator – Lipko. Na wokandzie była ciężka sprawa – o zabójstwo; chodziło o zabójstwo, połączone z napadem rabunkowym (bandyckim), dokonanym jeszcze w r. 1915 za czasów rosyjskich na leśniczówce w lesie Czerwonoborskim. Na ławie oskarżonych siedziało dwóch mężczyzn, niejacy Rudnicki i Ożarowski. Kwestia ich winy była o tyle trudna do ustalenia, że jeden z nich, Rudnicki, którego wszyscy świadkowie naoczni poznawali, przyznawał, że był tam z Ożarowskim, ale że gdy Ożarowski zaczął strzelać, on przeraził się i uciekł przez okno, nie uczestnicząc w napadzie i zabójstwie; że wybiegł przez okno, to świadkowie stwierdzili, ale pokrzywdzony Wiszniewski, który był raniony i ocalał cudem, twierdził, że Rudnicki bił go kołem, gdy on usiłował umknąć przez drzwi, a potem gnał go ze swym towarzyszem i strzelał do niego, gdy już on leżał; cała więc rzecz polegała na zeznaniu tego świadka; drugiego zaś, Pawła Ożarowskiego, świadkowie naoczni nie poznawali, ale na niego, jako na swego towarzysza w leśniczówce, wskazywał Rudnicki i świadczyły przeciwko niemu różne poszlaki uboczne, on zaś twierdził, że był to jego brat Ignacy, obecnie już nieżyjący. Podczas narady wahaliśmy się długo ze skazaniem Ożarowskiego, ale wreszcie obu uznaliśmy winnymi, skazując ich na ciężkie więzienie, każdego na lat 10. Sprawa ta ciągnęła się do godz. 6 wieczorem. Reszta spraw – były łatwe, ale ta jedna tak zmęczyła nas, bo tyle wymagała skupienia uwagi, że tylko z

wielkim wysiłkiem sądziliśmy potem inne sprawy, a prokurator był już zupełnie wyczerpany. Jak jest sprawa o zabójstwo, to już nie należy na wokandę żadnych innych spraw wyznaczać.

19 sierpnia, rok 1919, wtorek
Mieszkanie moje opustoszało. Dziś zabrała z niego swoje meble pani Syromiatnikowa. Poszły więc precz wszystkie szafy, które mi tak wiernie służyły, wraz z piękną szafą lustrzaną, która stała w dawnym pokoiku Ewy i piękna wielka szafa, kryta pluszem kolorowym, pstrokata jak łąka w kwiecie z przeważającą barwą czerwoną, która służyła za łóżko dla Ewy, a później dla mojej służącej Kamili i na której ja także nieraz się kładłem, by przeczytać gazetę lub dla drzemki poobiedniej, poszły wreszcie mebelki błękitne miękkie, kryte pluszem – kanapka, fotelik i dwa krzesła – poszło też wszystko inne. Z rzeczy p. Syromiatnikowej, z dawnej wspaniałości mego umeblowania – pozostał tylko jeden epigon – przepyszny fortepian firmy Schrödera. Meble zabrała p. Syromiatnikowa po obiedzie. Rano zaś przedtem sprowadziłem mebelki, które wynająłem od Żydka na Nowym Rynku. Są one bardzo skromne i wraz z fortepianem i moim łóżkiem własnym ledwie starczą ubogo na umeblowanie trzypokojowego mieszkanka. Tylko kuchnia nic nie straciła: jak stała tam jedna szafka, tak stanęła na jej miejsce inna, a poza tym stołek, kubełki, naczynia jak dawniej. Mój pokój „wielki”, centralny, który my z Ewą nazwaliśmy „wspólnym” – ma jeden stół nieduży z dwpma krzesłami wiedeńskimi i – fortepian, zabytek luksusowy przeszłości. Dawny pokoik Ewy, w którym sypia służąca Kamila, świeci pustką: stoi w nim jedyne łóżko żelazne Kamili, nawet bez siennika. Mój sypialny wygląda jeszcze najlepiej: mieści w sobie dużą szafę do ubrania, łóżko moje, pokryte białą kapą, szafeczkę nocną do łóżka, dywanik czerwony bohdaniski przed łóżkiem, na ścianie między oknami lustro wiszące i na ścianie nad łóżkiem krucyfiks oraz kilka fotografii z Bohdaniszek i z podobiznami Anny oraz Maryni z dziećmi.
W sądzie nawał roboty coraz większy. Dnie sesji, w których nie mogę wypełnić bieżącej roboty biurowej, tak szalenie zwiększają zator akt do bieżącego załatwienia, że aż ręce opadają i rozpacz ogarnia, gdy się spojrzy na piętrzące się coraz wyżej góry zaległości.
Ogłoszono w Łomży o wprowadzeniu sądów doraźnych. Daj Boże, aby nie było spraw, kwalifikujących się do tego sądu, bo jestem wyznaczony na sędziego w tymże, a nawet na przewodniczącego podczas nieobecności Skarzyńskiego. Nie umiem sobie wyobrazić skazania kogoś na śmierć.

20 sierpnia, rok 1919, środa
Dzisiaj – sesja apelacyjna karna. Na wokandzie było spraw 19. Przesiedzieliśmy do godz. 9 ½ wieczorem. W liczbie spraw była jedna szczególnie ciężka, jak na zakres właściwości sądu pokoju – mianowicie najście całej gromady chłopów w pewnej wsi na mieszkanie Żyda dzierżawcy młyna, którego chcieli oni z młyna tego samowolnie wyrzucić. Żyd od lat kilku dzierżawił młyn z ramienia paru gospodarzy, reszta zaś gospodarzy, która na razie zgodziła się na fakt dzierżawy milcząco, potem wystąpiła przeciwko Żydowi; usiłowała go usunąć z młyna w drodze sądowej, a gdy tego nie dokonała, ponieważ nie zachowała przepisów prawnych o wymówieniu dzierżawy, postanowiła działać samowolnie, nie oglądając się na zasady prawne i na formalizm sądowy; oddała młyn ze swego ramienia w dzierżawę dwom innym ludziom, Polakom, i pewnego razu o świcie dokonała najścia gromadnego na młyn, połączonego z wysadzeniem okna, wtargnięciem do wnętrza, gwałtem na osobach Żyda i Żydówki, i wprowadziła do mieszkania dwóch nowych dzierżawców wraz z rzeczami tychże.

Najście to miało zarazem jaskrawe zabarwienie antysemicko-pogromowe. Sprawa oparła się o sąd pokoju w Grabowie, który skazał winnych na grzywny w ilości od 25 do 10 mk. każdego. Pokrzywdzeni apelowali i z ich ramienia stawał obrońca sądowy Goldberg z Kolna, w obronie zaś oskarżonych stawał adwokat Lachowicz. Skazaliśmy winnych najścia na grzywny w stosunku do trzech – po 1000 mk. i 250 mk. opłat sądowych, w stosunku zaś do kilkunastu innych – po 300 mk. i po 75 mk. opłat sądowych i nakazaliśmy niezwłoczne usunięcie z młyna samowolnie zainstalowanych nowych dzierżawców.
Otrzymałem dziś paczkę numerów dziennika litewskiego „Nepriklausomoji Lietuva", wychodzącego w Wilnie, do którego pisałem niedawno, prosząc o nadesłanie mi pisma. Nie miałem jeszcze czasu przejrzeć. Zdaje się, że głównymi kierownikami tego dziennika są Michał Biržiška i ks. Tumas[242].
W gazetach jest sensacja, która może mieć poważne konsekwencje polityczne: wybuch powstania polskiego na Górnym Śląsku[243]. Jest to wstęp do ewentualnej wojny polsko-niemieckiej i wprowadzenia zasady faktów dokonanych do polityki zagadnień, przesądzonych przez traktat pokojowy połowicznie. Niemcy powstanie tłumią, Polacy posyłają wojsko na poparcie powstania pod pozorem ratowania kraju i ludności od gwałtów zuchwałego prusactwa. Oczywiście obie strony obrzucają się oszczerstwami i zwalają wzajemnie winę jedna na drugą. Polacy, powstając, krzyczą gwałtu na Niemców i przedstawiają siebie za ofiarę, sprowokowaną przez barbarzyństwa pruskie do czynnego wystąpienia, Niemcy znów wołają na prowokację polską i ruch polski na Śląsku przedstawiają jako pogwałcenie postanowień traktatu. Nie ulega wątpliwości, że strona polska chciała tego wystąpienia i prowokowała je, a to samo się robi w stosunku do Prus Zachodnich, gdzie także może rychło dojść do wybuchu. Zresztą nie mniej prawdopodobna jest prowokacja również ze strony niemieckiej. Obie strony pragnęły wybuchu, ale obu chodzi o zachowanie pozorów tego, że nie chciały i że jeno sprowokowane zostały przez przeciwnika. Wybuch ten był przygotowywany starannie i planowo; przez obie strony żywiołowo pożądany. Interwencja Polski na Górnym Śląsku jest teraz nieunikniona.

21 sierpnia, rok 1919, czwartek
Ponieważ Skarzyński przed wyjazdem na urlop powyznaczał na czas wakacji po dwie sesje karne I instancji tygodniowo, a oprócz tego jest jedna sesja apelacyjna, co razem czyni trzy sesje, i ponieważ przeprowadzenie trzech sesji z napisaniem wyroków do nich jest zbyt uciążliwym dla jednego człowieka, więc jedną sesję I instancji w tygodniu przeprowadza zamiast mnie albo Duszyński, albo Makowski. Dziś właśnie była sesja Makowskiego, ale tak się trafiło, że znalazły się na wokandzie trzy sprawy, w których Makowski, będąc sędzią śledczym w Kolnie, przeprowadzał śledztwo, więc nie mógł ich sądzić. Musiałem go w tych sprawach zastąpić. Dobrze, że to się okazały sprawy bagatelne, które mi nie zajęły dużo czasu ani wysiłku. Przy tej sposobności siedziałem czas jakiś na sali, słuchając sądzenia Makowskiego, ponieważ wypadło mi czekać na moją kolejkę sądzenia. Miałem więc okazję przekonania się o Makowskiego sztuce sądzenia, o której troje dziwów nieraz słyszałem z ust adwokatów i podprokuratorów. Rzeczywiście, strzela on byki proceduralne okropne i poza tym jak najniedołężniej prowadzi przewód sądowy, gmatwając jeno sprawę, zamiast prowadzić

[242] Tumas Juozas-Vaižgantas (1869-1933), ksiądz, pisarz i publicysta, bibliofil, działacz narodowy, autor licznych prac z historii literatury i krytyki literackiej.
[243] Powstanie na Górnym Śląsku: chodzi o powstanie 1919 08 16 – 08 26 Polaków przeciwko siłom zbrojnym Niemiec w celu uniknięcia plebiscytu, o którym była mowa w jednym z punktów Traktatu Wersalskiego.

do uproszczenia i wyklarowania faktów i stosunków. Choć nie był on nigdy dawniej sędzią ani pokoju, ani okręgowym i choć teraz w Sądzie Okręgowym jest w wydziale cywilnym, a przeto rutyny sędziowskiej karnej nie ma, ale za to był przez lat kilkanaście w dalekiej Rosji – gdzieś aż w gub. ufimskiej – sędzią śledczym, więc bądź co bądź miał do czynienia i z materialnym prawem karnym, i z ustawą postępowania karnego; powinien by więc je znać, a przynajmniej rozumieć i umieć się w tych zagadnieniach orientować. Tymczasem nie ma o niczym pojęcia. Jest to człowiek, który po prostu nie umie myśleć i który tylko wtedy jest w stanie działać, gdy ma przepis gotowy, ma receptę, którą może zastosować mechanicznie. Nie ma on zupełnie czucia prawa, nie rozumie jego zasady i logiki, a przeto nie jest w stanie stosować prawa dobrze, bo stosowanie prawa w zawodzie sędziowskim to nie działanie automatu, lecz sztuka logicznego myślenia i, po postawieniu diagnozy, ustalenie dokładnych przesłanek i wysnucie z nich wniosków. Makowski to człowiek, który jest niezdatny nie tylko na sędziego, ale nawet na dobrego kancelistę: co najwyżej może być kopistą, ale i do tego brak mu kwalifikacji, bo ma pismo brzydkie. Jest on pośmiewiskiem ławników, adwokatów, podprokuratorów i sędziów, a zapewne i kancelistów, a jednak sam jest zarozumiały i wyobraża sobie, że praca jego może być coś warta. Ten człowiek, jak tępy uczniak szkolny, gromadzi szpargały, bo musi mieć do każdej czynności wzór; może pracować tylko mając wzór pod ręką; gdy straci wzór lub gdy go na jakąś czynność nie ma, jest zupełnie bezradny, bo z własnej głowy nic mądrego nie wymyśli; a że życie jest takie, iż nigdy na wszystko wzorów nie starczy, bo zachodzą coraz to nowe kombinacje, więc Makowski popełnia głupstwa kapitalne podczas sądzenia. Na skutek drożyzny, niskiej pensji sędziowskiej w sądownictwie na stanowiskach sędziów coraz więcej jest takich Makowskich, bo co zdolniejsze i co ma więcej inicjatywy i dzielniejsze – ucieka, a zostają tylko same osły i niezdary.

22 sierpnia, rok 1919, piątek

Otrzymałem rano pocztówkę od księdza Tumasa z Wilna. Przed dniami 10 pisałem do redakcji „Nepriklausomoji Lietuva” w Wilnie, prosząc o przysłanie mi tego pisma i zapytując, ile wynosi prenumerata. Pismo zostało mi nadesłane, a dziś w pocztówce ks. Tumas, który jest kierownikiem pisma, odpowiada mi w sprawie prenumeraty. W końcu pocztówki ks. Tumas zwraca się do mnie osobiście z paru słowami powitania, które mi brzmią bardzo mile. W liście moim bowiem do redakcji pisałem, aby mi pismo wysyłano tylko do listopada, bo spodziewam się już wtedy wrócić do Litwy, do Kowna. Ks. Tumas kończy swą pocztówkę tymi słowami: „Sveikinu Tamstą, Pilietį, grįžtantį, žinoma, padėti kovoti už nepriklausomybę, o ne trukdyti. Visados Tamsta gerbės, Kun. J. Tumas” (po polsku to znaczy: “Witam Pana, Obywatelu, wracającego, oczywista, pomóc walczyć o niepodległość, nie zaś przeciwdziałać. Zawsze Pana szanujący ks. J. Tumas”). I ja też ks. Tumasa szanuję, mimo że bywały chwile, kiedyśmy się z nim różnili. Jest to człowiek żywy, człowiek przekonań i ideału, człowiek odwagi cywilnej i czynu, stary działacz litewski jeszcze z doby prasy nielegalnej, ongi redaktor pisma „Tevynės Sargas” z czasów, gdy druki litewskie były zakazane w Rosji. Lata 1904-1906 były dla wielu ludzi, działaczy z owej starej epoki odrodzenia, latami przełomu i politycznej śmierci: ludzie, którzy byli dzielnymi w tamtej pierwszej ciężkiej epoce nielegalnego czynu narodowego, którzy stali u steru pracy i walki, kierowali dziełem, po r. 1905 zamilkli; przełom ten strawił ich zapał, dawny czyn pochłonął ich energię; nie umieli się widocznie zastosować do nowych warunków działania albo też zabrakło im woli i energii; poczuli się wyczerpani, nie musieli czy też nie chcieli już chcieć; po r. 1905 zeszli w ciszę pracy zawodowej i zarobkowej, ustąpili z placu czynu, znikli z widowni. Każdy okres ma swoich ludzi. Miał ich u Litwinów okres przed r. 1905, miał

ich potem okres od r. 1905 do wielkiej wojny. Z pewnością i teraz wielu będzie takich, którzy między r. 1905 a wojną, byli przewodnikami pewnej idei i wiary, kapłanami ofiary i czynu, a teraz w nowych warunkach zejdą w cień. Dobrze mówi Zygmunt Jundziłł, że człowiek jest jak świeca i każdy ma w sobie pewien zapas energii: gdy ta się wypali, gaśnie i człowiek, umiera świecznik czynu, pozostaje jeno ciało wegetujące. Boję się, aby ja się w tym położeniu nie znalazł, boję się, abym ja, po stworzeniu „Gazetą Wileńską" i „Litwą" mojego dzieła, którego ideą płonącą byłem w okresie lat 1905-1914, nie zeszedł ze sceny na trupa, który już czynu i wyrazu swego nie ma. Ale mam nadzieję, że tak jeszcze nie będzie, bo czuję w sobie tęsknotę, która jest zwykle energii zwiastunem; gdy wrócę do kraju – wskrzesnę. Chcę w to wierzyć. Otóż ks. Tumas należy do ludzi, którzy nie umierali w sferze idei i czynu ani na chwilę – i to jest jedną z największych wartości jego.
Z ostatniego zwrotu pocztówki Tumasa widzę, że nie straciłem zaufania Litwinów. Czuję instynktem, że jestem zawsze człowiekiem Litwy, tej Litwy realnej i tej „Litwy" idealnej (ducha mojej książki i mojego dzieła). Mimo że odszedłem i stoję na uboczu, patrzą na mnie i czekają z wiarą. Czuję, że nie powinienem i nie mogę zaprzeczyć sztandarowi mego życia i mojego czynu. Zbliża się moment mego powrotu do kraju. Litwini mię witają i czekają mojego słowa. „*Noblesse oblige*". Choć się usunąłem i stoję z dala, ale mię nie widzą w liczbie tych, którzy dziś tworzą dzieło wszechpolskie, dzieło nowego panowania na Litwie. I oto wracam: wracam nie do Wilna, które jest terenem owych usiłowań wszechpolskich, ale – do Kowna, gdzie się Litwa wytwarza niepodległa, Litwa *fara da se*.

23 sierpnia, rok 1919, sobota
Drugi dzień jestem sierotą – nie mam służącej; choć mało bywam u siebie w mieszkaniu, bo mi po prostu czasu na to brak, to jednak czuję tę pustkę zupełną i samotność w mieszkaniu, gdy w nim żywej duszy poza mną nie ma. Moja służąca Kamila wyjechała, jak mi przejazdem oświadczyła, na kilka dni do rodziców do Stawisk; podejrzewam jednak, że przyczyna tego nagłego wyjazdu jest inna. Przez Kotunię, która wie o tym od służącej swojej Czesi, przyjaciółki Kamili, wiem, że Kamila miała w ostatnich dniach jakieś krwotoki z organów płciowych, takie, że aż „krew" kawałami wypadała; ślady krwi zauważyłem też sam na podłodze u mnie; Kamila była chora i wyglądała jak cień. Mam przekonanie, że tu miało miejsce spędzenie wczesnego płodu; okoliczność ta jest tym bardziej prawdopodobna, że dochodziły mię z wielu stron pogłoski i ostrzeżenia, że Kamila podczas mego wyjazdu prowadziła się źle i bodajże nawet w moim mieszkaniu przyjmowała kochanków. Zastanawiało mię też zawsze to, że wieczorami do późnej godziny nigdy jej w domu nie było.
Otrzymałem dziś długi list od Elwiry. Biedaczka ma pełno trosk i kłopotów, głównie z mężem, a do tego dochodzą różne troski majątkowe i zmęczenie ciągłym cackaniem się z trojgiem małych dzieci. Stefan jest dla Elwiry bardzo ciężki. Już to charakter ma on nieznośny. Trapi Elwirę, gryzie, bywa brutalny, a sobie lubi dogadzać i rozleniwił się zupełnie. Przywykł do łatwych zarobków, do przygodnego robienia pieniędzy, przestał cenić twardą pracę, chciałby szukać synekur wygodnych, posad w leśnictwie lub zarządzie dóbr państwowych, gdzie by miał jak najmniej roboty, a okazji do różnych spekulacji i zysków dużo. Jak tylu innych, tak i jego wojna i różne przewroty pod tym względem zdemoralizowały. Elwira marzy o Wiązowcu, o czuwaniu nad tym lasem, o życiu cichym i głębokim; jest bardzo zmęczona i smutna. Są jednak duże trudności w powrocie Elwiry do Wiązowca lub gdzieś w tamte strony. Do Mamyłów już Mieczkowscy nie wrócą; są projekty na Łowcewicze, Elwira gotowa byłaby nawet

zamieszkać w samym Wiązowcu, gdyby była pewna środków utrzymania. Przeszkody są różne zarówno materialne, jak osobiste ze strony Stefana. W ostatnich czasach powstał projekt, żeby Stefan objął zarząd Obodowców, a prawdopodobnie i innych majątków Mieczysia Bohdanowicza, który go do tego namawia; Elwira zamieszkałaby w Obodowcach i przez lato matkowałaby córkom Mieczysia, przyjeżdżającym na wakacje, ponieważ Mieczyś już ostatecznie się rozstał z Nusią, która żyje w Warszawie ze swoim dawnym kochankiem Jasiem Borowskim. Elwira zdaje się skłaniać do obodowieckiego projektu, tym bardziej, że byłaby przez to dość blisko swego Wiązowca, którego się chce trzymać jak ślepy płotu. To, że na Wiązowcu jest mój udział w naturze, dla Elwiry jest tylko dogodnym. Dla każdego innego właściciela w warunkach normalnych udział jakiegoś drobnego wspólnika na własności (udział mój wynosi, jeżeli się nie mylę, 1/7 części) byłby krępujący, toteż pragnąłby on z całego serca się od takiego wspólnika odczepić; tymczasem dla Elwiry mój udział jest atutem największym, bo jest to wędzidło skuteczne na Stefana; Elwira nie może kontrolować i ograniczać Stefana inną drogą, więc używa do tego mojego udziału; z tytułu mojego wspólnictwa niezbędne stają się rachunki, sprawozdawczość z zarządu itd. Tak daleki jestem teraz od tej własności i tak mało się nią interesuję, bo nie mam żadnych widoków na to, żeby mi ona coś dawała, że najobojętniej się odnoszę do tego, co by się tam robiło. Ten mój udział jest potrzebny nie dla mnie, ale dla Elwiry. Tym lepiej. Pomogę siostrzyczce: będę udawał, że mi bardzo o to chodzi i że interesuję się gorąco zarządem Wiązowca; niech te pozory służą kochanej Elwirze w jej walce i troskach o byt z ciężkim i przykrym mężem. Elwira też prosi mię o to, aby się mogła w konfliktach ze Stefanem odwoływać do mnie, to znaczy, gdy on jest dla niej przykry i brutalny i gdy jej, jak to teraz robi często, wymawia, że jest ona na jego łasce, bo sosen swoich w Wiązowcu gryźć nie będzie i tą metodą chce ją podporządkować i zmusić do uległości jego planom, żeby mogła wtedy replikować mu argumentem, że w takim razie, jeżeli on ją uważa za kulę u nogi, ona może zamieszkać ze mną; oczywiście, że pozwolę jej używać tego argumentu, a gdyby było potrzeba, to nawet mogłaby nie tylko tym Stefanowi grozić, ale i uczynić to; dla niej argument ten będzie tarczą niezależności, bo Stefan, po pierwsze, jest tchórzem, a nawet jest dość wobec obcych delikatnym, toteż liczy się z rodziną Elwiry, a nawet mnie się lęka szczególnie, a po wtóre, kocha bardzo swoje dzieci, toteż nie rozstałby się z Elwirą ze względu na dzieci chyba nigdy. Pomimo to wszystko, Elwira kocha znowu Stefana: dla niej jest on zawsze najzacniejszym i najlepszym, tylko słabym i o pełnym kaprysów charakterze. Może poniekąd ma rację, ale poza tym zachodzi tu zwykłe charakterystyczne zjawisko miłości: osoba kochana zawsze zdaje się być najlepsza i pod wszelkimi względami najdoskonalsza.

24 sierpnia, rok 1919, niedziela
Pruszanowscy czekają już chwili powrotu do Bielcza. Szczególnie gorączkowo czeka tego Kotuńka i wierzy, że to w najbliższym czasie nastąpi. Jest ona urodzona optymistka, ma naturę klasycznej entuzjastki, chociaż jest entuzjastką zdecydowanej reakcji. Czego pragnie gorąco, w to wierzy i żadne przeciwieństwa tej wiary zachwiać nie są w stanie. Pod tym względem są oni z Ezechielem dwoma biegunami przeciwnymi – tezą i antytezą. I Ezechiel, i Kotunia pragną z całego serca reakcji i przywrócenia starego stanu rzeczy bez żadnych kompromisów z rewolucją lub nawet z demokracją burżuazyjną. Są zwolennikami twardej ręki i radykalnych środków walki z wszelkimi śladami zarazy rewolucyjnej. Sądzą, że jedynym środkiem skutecznym i pedagogicznym dla mas są represje i przykłady odstraszające, bez ustępstw żadnych. Wierzą, że świat można po prostu wrócić do starych form i że posiew rewolucji, który

uważają li tylko za objaw rozprzężenia, może być wypleniony z umysłów mas bez żadnej pozostałości. Nie zdają sobie sprawy z głębokich przemian psychicznych i pojęciowych, których wyrazem, a następnie i źródłem jest rewolucja i które wykreślić się tak po prostu nie dadzą, bo gdyby nawet zapanowała najjaskrawsza reakcja, one w stanie utajonym pozostaną i wcześniej czy później odezwą się i zapragną się wyrazić w przebudowie stosunków społecznych. Tego ani Kotuni, ani Ezechielowi nikt nie wytłumaczy. Pod względem wiary w zbawienność reakcji z jej represjami, a nawet białego terroru – są oni *ambo meliores*[244]. *Ce sont des intransigeances*[245], reakcjoniści *pour sang*[246], niezłomni, jak rycerze *sans peur ne reproche*[247]. Ale będąc doskonale zgodni w pojmowaniu tego, co ich zdaniem być powinno, różnią się bardzo w ocenie i wierze w perspektywy spełnienia tych swoich upragnień. Podczas gdy Ezechiel widzi wszystko w najczarniejszych barwach, przewidując same klęski i wróżąc rzeczy najgorsze, to Kotuńka widzi wszystko w kolorach różowych i nic jej zrazić ani zachwiać wiary nie zdoła. Optymizm entuzjastyczny Kotuni drażni pesymistę Ezechiela i budzi w nim kapryśną przekorę; toteż im więcej Kotunia się entuzjazmuje i napełnia wiarą, tym bardziej ponure roztacza Ezechiel widoki; zdaje się, że Ezechiel przez jakąś złośliwą przekorność cieszyłby się, gdyby wszystko szło jak najgorzej ze stanowiska jego własnych poglądów; ponieważ jemu jest źle, ponieważ jego majątek zniszczony, ponieważ jego córki zmuszone są imać się posad dla zarobku, ponieważ musi siedzieć z rodziną na wygnaniu, a środki materialne tak stopniały, że już się ostatkami goni i opędza wydatki na życie sprzedażą kosztowności i przeto troska o przyszłość i o byt go gryzie, więc chciałby, aby wszędzie i wszystkim było tak samo źle. Nie zawsze jest on w takim skrajnym usposobieniu, bo pomimo starości zachował żyłkę hulacką i, jak wszystkie natury hulaków, jest dość lekkomyślny i zmienny w usposobieniu, toteż zbyt długo i jednostronnie czegoś do serca nie bierze, ale bywają chwile, kiedy się sam truje pesymizmem i innym dokoła zatruwa nim humory i atmosferę. Oprócz bezpośrednich trosk i zmor materialnych, które Ezechiel odczuwa, ale na które środków zaradczych szuka tylko Kotunia, bo Ezechiel jest rozpróżniaczony i cała energia jego tylko w gadaniu się pochłania – porażona jest głęboko jego duma i próżność: jego córki, Pruszanowskie z Bielcza, muszą być poza domem, tułać się po świecie i pracować na jakichś posadach urzędniczek! A za mąż wychodzić za Tanajewskiego! Nie o tym on dla córek swych marzył i nie do tego ich przez całe życie przyzwyczajał, wmawiając im zawsze, że są stworzone dla zbytku i że pasożytnictwo społeczne jest ich prawem. Przekonywał je, że są one skarbem tak cennym i tak oczywistym ponad inne śmiertelne ziemianki, że niczego w życiu zdobywać nie potrzebują, bo życie im samo wszystko da: one mają tylko brać, co im się spodoba; sam też w to wierzył. Wmawiał im, że są jak księżniczki, o których rękę pierwsi rycerze walki staczać będą, a ich prawem będzie kaprys. Życie gorzko zadrwiło z tych jego teorii i fantazji. Może to przejściowe i może stan ich się poprawi: może wrócą do Bielcza, do swoich lasów i łąk berezyńskich, a przeto i do bogactw. Kotunia w to wierzy i szykuje się ciągle do wylotu. Ani na chwilę nie zwątpiła, że Polacy oswobodzą Bielcz. Odkąd Mińsk jest wzięty, Kotunia jest jak w gorączce. Ezechiel pełny żółci, studzi jej zapał, polewając go goryczą wątpień swoich. Ezechiel jedną żywi głęboką namiętność – to pragnienie zemsty na chłopach bolszewickich. Nie ma ani on, ani Kotunia, ani żadne z ich dzieci poczucia solidarności i związku z tym ludem i z krajem, do którego należy Bielcz. Uważają oni siebie za kolonistów polskich, pogardzają ludem krajowym i krajem, interes swój i własność

[244] ambo meliores, jeden drugiego warty.
[245] ce sont des intransigeances, ostatnie są zaciekły.
[246] pour sang, do krwi.
[247] sans peur ne reproche, nieulęknione.

swoją nie jednoczą, lecz przeciwstawiają krajowej. Są złymi obywatelami ziemi białoruskiej, a patriotyzm rozumieją tylko jeden – polski.

25 sierpnia, rok 1919, poniedziałek
Miałem dziś sesję I instancji. Wypadła jakaś sesja bardzo blada i nieciekawa. Niesłychanie nudne są sprawy o usiłowanie przekupienia urzędników, o opór władzy i o znieważenie urzędników – a takie sprawy są teraz właśnie na porządku dziennym: nie ma sesji, żeby się kilka tego rodzaju spraw nie znalazło na wokandzie. Ławników dziś miałem dwóch chłopów-gospodarzy spod Łomży, niejakich Węgrowskiego i Pastorczyka. Po raz pierwszy byli powołani na sesję. Pomimo że to był jeszcze element zupełnie surowy, nie obeznany ze sztuką sądzenia i nie umiejący się dobrze zorientować w subtelnościach kwalifikacji przestępstwa – coś w rodzaju mojego dawnego ławnika Rainki z Sądu Pokoju w Kolnie – jednak wolę nieraz takich od ziemian w rodzaju Lutosławskiego lub od takich ludzi oschłych, jak Dąbkowski. Tacy chłopi – to przynajmniej ludzie serca i uczciwego, prostego poglądu na życie, pełnego zdrowego rozsądku. Sesja dzisiejsza zakończyła się około godz. 9 ½ wieczorem.

26 sierpnia, rok 1919, wtorek
Zanotuję jedno małe spostrzeżenie z dziedziny językowej. Przez czas nieobecności mojej służącej Kamili usługuje mi, to znaczy przychodzi codziennie rano sprzątać – stróżowa domu. Jest to osoba bardzo gadatliwa, rozwodząca się zawsze nad swoją biedą, nad trudnością wyżywienia rodziny, nad tym, że mąż jej jest niedołęgą, bo podczas gdy wszyscy inni potrafili „skorzystać" z różnych okazji bądź podczas masowej ucieczki do Rosji przed wkroczeniem Niemców, bądź za czasów okupacji, bądź wreszcie przy wypędzeniu Niemców, on nigdy z niczego nie „skorzystał" i dziś jest z rodziną biedny, jak był, tak że nie ma się w co ubrać ani obuć – i rzeczy też żadnych nie ma. Otóż nie mówi ona nigdy o mężu inaczej, jak „mój sam": mój sam to i to powiedział, mój sam to i to zrobił itp. Nie wiem, czy to wyrażenie używa się powszechnie w mowie ludowej w Polsce. Jeżeli tak, to świadczy ono o głębokim i starożytnym pokrewieństwie pewnych form kultury obyczajowej między Litwinami a Polakami. Jeżeli nie, to znaczy jeżeli jest to tylko lokalizm, to świadczy o bardzo starożytnych również wpływach litewskich na Mazurów w tej okolicy kraju, sąsiadującej od wieków z Litwą, albo też może o przejęciu tej formy przez lud bezpośrednio od Jadźwingów, którzy niegdyś zaludniali puszcze w tych stronach aż pod samą Łomżę. Wyraz „sam" w języku polskim odpowiada wyrazowi „pats" w języku litewskim. W kulturalnej literackiej mowie słowo „sam" po polsku ma znaczenie dość ciasne i ograniczony zakres użycia. Litewski wyraz „pats" ma te same znaczenie i w mowie inteligentów Litwinów, w wyrabiającej się litewskiej mowie literackiej – ma również tendencję do ograniczenia się w tej samej ciasnej sferze użycia, co polskie „sam". Natomiast w bezpośredniej mowie ludowej wyraz „pats" u Litwinów ma użycie ogromne i znaczenie bardzo obszerne i bardzo charakterystyczne. Wyraz ten jest bardzo starożytny. Stanowi on starożytną formę zwrotu, analogiczną do „pan", starszą od „tamsta" albo „tamista", która używa się w litewskim, mówiąc grzecznie do trzeciej osoby analogicznie do francuskiego „vous" z tą różnicą, że się łączy z drugim przypadkiem liczby pojedynczej(„ar tamsta nori", „ar tamsta buvai" – czy pan chcesz, czy pan byłeś); zresztą w ustach inteligentów litewskich „tamsta" jest coraz częściej łączone z drugim przypadkiem liczby mnogiej („ar tamsta norite" – czy pan chcecie). Wyraz „ponas", który dziś przeciętnie używa się w języku litewskim w miejsce dawnego „pats", jest już całkowicie nowożytny, żywcem wzięty z polskiego. Zresztą „pats" – „sam" ma w języku litewskim inne nieco zastosowanie, niż „tamsta" albo

„ponas”: „tamsta” mówi się do kogoś, „pats” mówi się najczęściej o kimś, choć pozostały ślady używania wyrazu „pats” i w bezpośrednim zwrocie do kogoś, a mianowicie w szczególnie ceremonialnej formie. W ogóle na wyrazie „pats” jest zawsze piętno ceremonialności i jakiejś szczególnej uroczystości. Tą cechą różni się „pats” od „ponas”, szczególnie w nowych czasach, kiedy się „ponas” bardzo zdemokratyzowało i demokratyzuje coraz bardziej, tracąc cechę jakiegoś osobliwego wyróżnienia i stając się pospolitą grzecznościową przystawką do każdego nazwiska do wszelkich osobników. „Pats” – to ktoś wielki, ktoś jeden jedyny, samowity. Pospoliciej utrzymało się w języku litewskim słowo „pats” na określenie małżonka (szczególnie w rodzaju żeńskim: „pati” – żona); jest to właśnie analogiczne do „mój sam”, jak używa stróżowa na określenie tego, co się po polsku pospolicie mówi „mój mąż”. Na określenie Boga, jak się po polsku mówi „Pan Bóg”, mówi się po litewsku, akcentując wszechmoc i jedność Boga – “Viešpats Dievas” (dosłownie znaczy: „Wszechsam Bóg”); rzadziej i o wiele słabiej brzmi „Ponas Dievas”, co nie wyraża tej mocy, którą wyraża „Viešpats”. W ogóle mam wrażenie z wyczucia i analizy ducha słowa „Pats”, jego cech, utajonych, wyczuwalnych jeszcze do dziś w mowie ludu litewskiego, że „Pats” niegdyś oznaczało władcę, pana, musiałoby więc być pisane przez wielkie „P” – „Pats” i prawdopodobnie poprzedzało przyjęty później ze Skandynawii wyraz „Kunigas”. Pierwotny więc książę lub królik Litwinów musiał być tytułowany: „Pats” – „Sam”.

27 sierpnia, rok 1919, środa
Miałem dziś sesję apelacyjną. Na ławników wezwani dziś byli przeze mnie dwaj Kolnianie – Franciszek Stachelski, mój dawny ławnik sądu pokoju w Kolnie, który obecnie mianowany został ławnikiem Sądu Okręgowego i aptekarz z Kolna Gołaszewski. Umyślnie wyznaczyłem ich dwóch razem na sesję, aby im łatwiej było przyjechać i aby się z nimi w kółku swojskim spotkać. Sama sesja była łatwa: wszystkie sprawy były o kradzieże; spraw było 18 na wokandzie. Wyroki nasze były dziś szczególnie łagodne; w całym szeregu spraw – w większości – pouchylaliśmy skazujące wyroki sądów pokoju i pouniewinnialiśmy oskarżonych; nic w tym dziwnego, bo w sprawach szczególnie takich, jak kradzieże, apelują najczęściej ci, co do których jest najmniej poszlak lub którzy są niewinni; z pewnością każdy niewinnie skazany apeluje, gdy ma możność, więc w wyrokach I instancji zaskarżonych musi być z konieczności spory procent wadliwych lub chwiejnych, które się utrzymać nie dają. W czasie przerwy obiadowej zaprosiłem moich ławników, jako moich dzisiaj gości i przyjaciół z Kolna, na obiad, który, skrapiając go obficie wódeczką, spożyliśmy w restauracji Czochańskiego. Sesja trwała do godz. 9 ½ wieczorem.
Tak jestem przeładowany pracą, zwłaszcza w tych dniach ostatnich, że nawet gazety nie mam czasu przeczytać.

28 sierpnia, rok 1919, czwartek
Rzecz jest taka: łapownictwo w Polsce szerzy się jak plaga. Nie tylko w Polsce; szerzy się ono wszędzie, we wszystkich państwach, przynajmniej w Środkowej i Wschodniej Europie. Być może, że szczęśliwsze kulturalne kraje, jak Skandynawia, Szwajcaria i kraje zachodnie ,są od tej zarazy wolne; ale w państwach nowych i rodzących się dopiero, jak Polska, jak Litwa, jak zapewne Czechy, jak zresztą wszystkie kraje, dotknięte wojną – jakiż bowiem kłam zadało łapownictwo i nadużycia Niemców (za czasów okupacji) ich przysłowiowej dawnej uczciwości – łapownictwo jest jak wysypka na człowieku trędowatym. Mnóstwo przyczyn, których tu wyliczać nie będę, bo nie o tym chcę mówić – składa się na szczególny rozkwit i zaraźliwość tego

zjawiska. Łapówki biorą się od góry do dołu. Stan urzędniczy jest zdemoralizowany łapownictwem do szpiku kości. Zdaje się, że tylko sądownictwo i szkolnictwo, dwie pierwsze i najstarsze gałęzie organizacji państwowej w Polsce, funkcjonujące jeszcze od czasów okupacji – są dotąd od plagi tej wolne. Poza tym, biorą prawie wszyscy. Biorą żołnierze i policjanci, biorą urzędnicy magistratów i najróżniejszych wydziałów służby państwowej; niżsi biorą dziesiątkami i setkami, wyżsi – tysiącami, a najwyżsi w centralnych organach państwowych w Warszawie, w ministeriach – już bodaj dziesiątkami, a nawet pono co do niektórych transakcji – setkami tysięcy! – szczególnie tam, gdzie chodzi o wielki handel, o wyrobienie jakichś pozwoleń na przewóz, o wagony i „szmugiel”. W wojsku, w służbie dostaw, w intendenturze, w aprowizacji – łapownictwo, nadużycia, kradzieże są szalone. Dla państwa nadużycia te, kradzieże służbowe, deprawacja stanu urzędniczego, łapownictwo powszechne – są klęską ciężką. Pisze się, mówi i obmyśla – o środkach walki z tą plagą, o tępieniu zarazy i zapobieżeniu złu. Walka jest bardzo trudna, bo złodzieje i łapownicy umieją chować końce w wodę i pozorować swoje niecne czyny. Są projekty wyjątkowych represji karnych. Uchwalony już został przez Sejm projekt ustawy, karzący śmiercią łapowników i złodziei wojskowych. Na cywilnych jeszcze tego nie ma. Osobną kategorią występną w tej zarazie publicznej stanowią ludzie prywatni, dający łapówki, czyli usiłujący przekupić urzędników. Ci najczęściej siadają na ławie oskarżonych, o wiele częściej od właściwych łapowników ze stanu urzędniczego. Bo, nie mówiąc o tych mniej licznych uczciwych urzędnikach, którzy, nie biorąc łapówek, oddają „ofiarodawców” w ręce sprawiedliwości, urzędnicy, biorący łapówki, też od czasu do czasu robią to samo: taki urzędnik weźmie sto łapówek grubszych, a potem jakąś sto pierwszą, nędzną, przekaże wraz z jej ofiarodawcą w ręce władz: trzebaż czasem okazać się uczciwym i błysnąć nieskazitelnością! Ale zawsze są sprawy tylko o drobne łapówki – grube się nie ujawniają i ani dawcy, ani odbiory tychże na ławie oskarżonych nie zasiadają.
Spraw o łapownictwo – setki w naszym sądzie; nie ma jednej wokandy, żeby nie było takiej sprawy co najmniej jednej, a bardzo często kilka. Zawsze jednak na ławie oskarżonym jest nie łapownik biorący, ale obywatel, usiłujący przekupić urzędnika. Do wyjątków, jak biały kruk, należą sprawy z oskarżenia o przyjęcie łapówki. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że ścigani i karani być winni nie tylko urzędnicy, biorący łapówki, ale i obywatele, którzy je dają. Tacy bowiem obywatele, którzy nie stoją sami na straży swego prawa, lecz usiłują realizować swoje cele za pomocą łapówek – to bydło. Dawanie łapówki jest zbrodnią przeciwko prawu i wolności, przeciwko samej zasadzie obywatelstwa. Łapówki i łapownictwo, tak bierne, jak czynne – są największymi swobód obywatelskich i wolności wrogami. Tak jest. Ale oto zachodzi kolizja taka. Na ławie oskarżonych zasiadają obywatele, winni usiłowania przekupienia urzędnika. Prasa i opinia publiczna woła o represje. Sądy są zawalone tymi sprawami. Prokurator popiera oskarżenie, wzywa do wymiaru kary. Ale sąd jest tylko sądem. Jego zadaniem, obowiązkiem i prawem jest stosowanie do wypadków życia ustaw karnych. Artykuł I Kodeksu Karnego głosi, że przestępstwem jest czyn, zabroniony przez ustawę w czasie jego spełnienia pod groźbą kary. I otóż odnośnie do dawania łapówek obowiązujący u nas Kodeks Karny karze tylko za usiłowanie nakłonienia urzędnika za pomocą łapówki do spełnienia zbrodni albo występku, ale nie za samo danie lub ofiarowanie urzędnikowi łapówki bez względu na cel i bez względu na to, do czego dający usiłuje skłonić urzędnika. Oto toczy się sprawa o łapówkę. Oskarżony jest Żyd. Sala jest pełna współwyznawców oskarżonego, chciwie słuchających rozprawy i czekający wyroku, aby się „zorientować”, bo niejeden ze słuchaczy ma te same grzechy na sumieniu lub, wierząc w skuteczność realną łapówek, chciałby się nimi posługiwać. Że oskarżony

łapówkę dał – dowiedziono: sam się przyznaje. Ale nie udowodniono, że dający chciał skłonić urzędnika łapówką mianowicie do występku. Zapada wyrok uniewinniający. Gromada słuchaczy z gwarem zrywa się i wybiega z sali, żywo komentując uniewinnienie. Staje się ono czynnikiem rozzuchwalania złych zamiarów, czynnikiem demoralizacji. Prokurator się gniewa. Ale cóż ma robić sąd, gdy mu taką ustawę dano. Czy ma on być stróżem moralności i politykiem dobra interesu państwowego, czy stróżem i wykonawcą prawa? Zmieńcie ustawę, dajcie sądowi prawo. Ważniejszym jest legalizm sądu od polityki życia – stwórzcie prawo, jakiego życie wymaga, a sąd je wykona. Dziś właśnie na sesji taki wypadek miałem.

29 sierpnia, rok 1919, piątek
Dziś trochę wypocząłem. Wprawdzie pracowałem, jak zawsze, ale już nie tak szalenie forsownie, jak w kilku dniach ostatnich, kiedy prócz pracy bieżącej miałem prawie co dzień sesję (w poniedziałek, we środę i we czwartek), a więc przygotowanie się do spraw, wypisywanie pytań, samo prowadzenie sesji do późnego wieczora, a swoją drogą motywowanie wyroków itd. Teraz mam przed sobą trochę wolniejszego czasu. W przyszłym tygodniu mam tylko jedną sesję – w poniedziałek; we czwartek zastąpi mię Duszyński; sesji apelacyjnej we środę nie będzie. Odrobię więc wszystkie zaległości i nie będę zmuszony zbyt forsownie pracować. W przyszłym tygodniu na piątek jest spodziewany ślub Elizki Pruszanowskiej z p. Tanajewskim. Ezechiel i Kotunia nie są jeszcze zupełnie pewni, że to będzie w piątek, bo to będzie zależało od urlopu Tanajewskiego; Tanajewski z Elizką mają na ślub przybyć tu do Łomży do rodziców; oczywiście ślub będzie bardzo cichy, bez żadnego wesela. Będzie to pierwsze małżeństwo w licznej gromadzie moich rodzonych siostrzenic i siostrzeńców. Elizka Pruszanowska pierwsza otwiera wrota hymnem. Za nią stoi cały szereg moich siostrzenic i siostrzeńców już dorosłych, a więc kandydatów do małżeństwa, a więc: Hektor Komorowski, Julek Komorowski, Hala Pruszanowska, Henryś Wołłowicz, Ewa Römerówna, Zitka Komorowska, Irka Pruszanowska, Gienio Pruszanowski i już nawet Józia Pruszanowska. Irka i Józia Pruszanowskie w ostatnich czasach opuściły dom rodzicielski i wzorem Elizki i Hali wyfrunęły w świat: Irka wyjechała do Słonimia, gdzie wystarał się dla niej o posadę przy wojsku jej przyszły szwagier Tanajewski, Józia ze swą przyjaciółką panną Olgą Komar (Jerzówną z Poławenia) – pojechały do Wilna, gdzie dostać mają posady w zarządzie cywilnym.
Chmura wisi nade mną: oto w przyszłym tygodniu prokurator ma skierować jakąś jedną czy dwie sprawy do sądu doraźnego, którego ja, w zastępstwie bawiącego na urlopie Skarzyńskiego, jestem przewodniczącym. Jest to sprawa napaści bandyckiej na jakichś Żydów, dokonanej przez jakichś opryszków przyjezdnych z Warszawy. Zbrodnia paskudna, ale jeżeli wypadnie wyrzec karę śmierci – będzie to rzecz dla mnie niesłychanie ciężka.

30 sierpnia, rok 1919, sobota
Dzisiaj wpłynęła od prokuratury pierwsza sprawa do sądu doraźnego. Jest to sprawa dwóch młodych ludzi, Warszawiaków, którzy na szosach w różnych punktach w okolicach Zambrowa dokonali na początku bieżącego tygodnia trzech napadów rabunkowych na przejeżdżających Żydów. Zabójstwa przy tym nie spełnili żadnego, ale mieli ze sobą rewolwer, którym grozili i którego rękojeścią bili rabowanych po głowie. Bandytów tych było trzech: dwaj zostali ujęci na stacji w Małkini, gdy zamierzali po dokonanych rozbojach wrócić do Warszawy, trzeci nie został ujęty. Ujętym i oddanym pod sąd doraźny grozi kara śmierci. Podług ustawy o sądach doraźnych, kara śmierci stosuje się w tych wypadkach, w których w kodeksie karnym przepisane jest za dane

przestępstwo ciężkie więzienie: w razie bardzo ważnych okoliczności łagodzących może być zamiast kary śmierci wymierzone bezterminowe ciężkie więzienie. Gdy jednak wina oskarżonego nie jest przez sąd doraźny ustalona jednogłośnie, sprawa zostaje przekazana sądowi zwykłemu. We wszystkich innych wypadkach, kiedy w kodeksie jest za dany czyn przewidziana kara niższa od ciężkiego więzienia, sąd doraźny stosuje ciężkie więzienie bezterminowe albo terminowe nie krócej, niż na lat 8. Kara śmierci wykonywa się przez rozstrzelanie. Wyroki sądu doraźnego nie ulegają zaskarżeniu ani zatwierdzeniu i są wykonywane w ciągu 24 godzin. O wykonanych wyrokach śmierci ogłasza się do powszechnej wiadomości plakatami. Cel i racja bytu sądów doraźnych – odstraszenie ludzi od zbrodni groźbą bezwzględnych kar, szybko i radykalnie wykonywanych. Sądom doraźnym ulegają przestępstwa, wyliczone w ustawie o tych sądach, o ile prokurator uzna w poszczególnych wypadkach śledztwo za zbyteczne. Samo postępowanie sądowe w sądach doraźnych zachowuje jednak pewne zasadnicze gwarancje obrony praw oskarżonego, ma więc jednak, poza swym zabarwieniem politycznym, polegającym na robieniu z przestępców kozłów ofiarnych zastraszenia w interesie sanacji stosunków publicznych, cechę wymiaru sprawiedliwości, nie zaś wyłącznie i jedynie represji na kozłach ofiarnych.
Rozprawę w sprawie, która wpłynęła, wyznaczyłem na środę na godz. 10 rano i wydałem wszelkie zarządzenia, zwłaszcza co do zabezpieczenia stawienia się świadków. Świadków tych jest jedenastu, prawie wyłącznie pokrzywdzeni Żydzi. Bandyci, którzy będą sądzeni, nazywają się: jeden Siwiec i drugi – Tański. Pierwszy ma lat 26, jest żonaty i ma jedno dziecko, drugi ma lat 23 i jest, jak się sam podaje, dezerterem wojska polskiego. Jeżeli się potwierdzi, że jest dezerterem, będzie to chwilowo jego szczęście, bo jako ulegający sądowi wojennemu, uniknie sądu doraźnego. Decydującą dla losu bandytów kwestią będzie w tej sprawie, czy mieli oni rewolwer, czy nie. Jeżeli rozbój popełniony z bronią w ręku, choćby jej nie użyto – grozi kara śmierci, jeżeli bez broni – ciężkie więzienie. Pokrzywdzeni Żydzi twierdzą, że bandyci mieli rewolwery w ręku, którymi im grozili, oskarżeni twierdzą, że tylko jeden z nich, ten, który się ukrył, miał rewolwer, ale że był to rewolwer dziecinny, służący tylko do straszenia, z którego strzelać nie można.

31 sierpnia, rok 1919, niedziela
Bobrujsk wzięty przez Polaków! Rzeczywiście, aż dziw ogarnia, gdy się pomyśli, jak daleko zaszły te wojska polskie, jak wszędzie zwyciężają, że się przed nimi nic nie ostoi, i jak z tego małego zawiązku wojskowości polskiej, reprezentowanego w listopadzie roku ubiegłego przez cywilów z konspiracyjnej P.O.W., przez rozproszonych rozbitków Legionów i korpusu Dowbora-Muśnickiego oraz przez garstkę „Wehrmachtu", urosła szybka i zwycięska armia, która jest dziś jednym z najważniejszych czynników na wschodzie Europy. Polacy jednak, mimo wszelkie braki organizacji państwowej, wykazali wielką siłę żywotną, ogromną moc energii i wspaniały talent wojenny, który jest bodaj że historyczną cechą rasy. Nie potrzebuję dodawać, że Kotunia Pruszanowska jest na wieść o zdobyciu Bobrujska w siódmym niebie z radości. Już nie marzy tylko, ale gotuje się realnie do wyjazdu do Parycz i Bielcza, jak tylko bolszewicy zostaną stamtąd wyparci. Wojsko polskie stoi nad Berezyną. Czy ją przekroczy i pójdzie do Dniepru?!
Pracowałem dzisiaj, ale ani na chwilę nie mogłem się pozbyć myśli o sądzie doraźnym we środę. Myśl ta, jak niespokojne ziarno, kiełkowała we mnie ciągle i drżała wyrzutem gdzieś na dnie pokładów podświadomości. Zdaje się, że jestem mężny i że utrzymam spokój na całej tej rozprawie. Na zewnątrz zachowuję równowagę zupełną i nikt nie pozna, że mię ten sąd boli. We własnym przekonaniu mam się też za zupełnie

usprawiedliwionego: jestem sędzią; obowiązek mój – stosować prawo i spełniać funkcje wykonawcy woli społeczeństwa, wyrażonej w ustawach; spełnię to z czystym sumieniem, choćby rzecz była najcięższa; jestem osobiście przeciwnikiem kary śmierci, chociaż nie neguję jej konieczności w pewnych momentach wyjątkowych i dla wyjątkowych celów; będąc przeciwnikiem zasadniczym kary śmierci, rozumiem jednak, że sędzia obowiązek swój spełnić powinien, choćby na torach tego obowiązku była ta kara. Niech każdy tylko spełni swój bezpośredni obowiązek – to tytuł do zasługi i prawości najrzetelniejszej. Większy to tytuł, niż mędrkowanie. Ale tym niemniej, coś się aż kurczy i wyje we mnie chwilami, zwłaszcza gdy pomyślę o tej chwili, kiedy bym miał wyrok śmierci ogłaszać. Wierzę jednak, że do tego we środę mi przyjdzie. Ten sąd doraźny obrzydzi mi sądownictwo w Łomży.

1 września, rok 1919, poniedziałek
Miałem dziś sesję karną I instancji, która, z powodu nieprzybycia jednego ławnika i niemożności wyszukania dlań przed obiadem zastępcy, rozpoczęła się dopiero o godz. 3 po obiedzie i, chociaż cztery sprawy spadły z wokandy, trwała do godz. 10 wieczorem. Sprawy do sądu doraźnego zaczynają wpływać jedna po drugiej. Nie osądziliśmy jeszcze pierwszej, a oto dziś z urzędu prokuratorskiego wpłynęła druga, niejakiego Samluka, oskarżonego również o rozbój, zresztą bardzo podobny do rozboju w pierwszej sprawie: również napadu na szosie na przejezdnych kupców żydowskich, dokonany z rewolwerami w ręku, ale bez czynnego użycia tychże, połączony ze zrabowaniem od Żydów pieniędzy – tym razem kilkunastu tysięcy marek (w pierwszej sprawie zaledwie kilkuset albo niedużo więcej, niż 1000 mk.). Oskarżonego Samluka widziałem, bo go kazałem sprowadzić z więzienia do sądu dla doręczenia mu odpisu wniosku prokuratora i wysłuchania jego ewentualnych żądań co do dowodów obrony. Nie przyznaje się on do udziału w tym rozboju, choć dwaj spośród pokrzywdzonych Żydów poznają go. Jest to chłopiec młody, lat może 20 albo mało więcej, w samym kwiecie, bardzo przystojny, tryskający życiem i pełny temperamentu; takiego zabijać – to żal nade wszystko, bo zdaje się, że jest to po prostu przeciwko naturze. Ten chłopiec - to jest ludzki pełny kłos, którego ziarna żal, bo jeszcze nie wydane. Ciężkie są te zbrodnie rozboju na drogach publicznych, ale o ileż straszniejszą i cięższą jest kara – śmierć. Kary tej wymaga polityka, ale przeczy jej sprawiedliwość. Polityce bowiem bezpieczeństwa publicznego chodzi o wyplenienie zbrodni przez zastraszenie, o sanację pewnych stosunków w państwie, a życie zbrodniarza jest środkiem do tego celu; jest on kozłem ofiarnym, o tyle od kozła prawdziwego się różniącym, że jednak przecie winnym, gdy w ofiarach starożytności poświęcano bogom krew ofiar niewinnych. Sprawiedliwości jednak kara śmierci nie czyni zadość, bo zabójstwo, popełnione na chłodno na osobie zbrodniarza, jest cięższym od jego winy: wina jest indywidualną, zbrodnia każda ma swoje oblicze konkretne, podczas gdy kara śmierci różniczkować się i indywidualizować nie daje. Czy sprawiedliwym i zasadnym jest, aby sędzia, który jest rzecznikiem prawa i wykonawcą sprawiedliwości, musiał być w sądach doraźnych wykonawcą zarządzeń karnych polityki policyjnej w państwie? Sądzę, że jest w tym pewne uchybienie sędziemu.
Skazać człowieka na śmierć – to rzecz straszna; zabijać w walce, zabijać na wojnie, w pojedynku, w płomieniu namiętności – to są rzeczy, które nie budzą sprzeciwu sumienia albo raczej instynktu ludzkiego. Ale zabijać morderstwem albo wyrokiem sądu – to coś strasznego, przeciwko czemu powstaje sam instynkt w sercu ludzkim. Nawet ci, którzy głoszą się zwolennikami kary śmierci, wzdrygają się na myśl, żeby to oni mieli wyrok śmierci wydać.

2 września, rok 1919, wtorek
Czuję się tak, jak się kiedyś dawniej za czasów szkolnych czułem wigilią egzaminu. Tylko że tam chodziło o moje dobro, tutaj zaś chodzi o życie ludzkie, życie człowieka dla mnie obcego, którego nie znam i którego jutro dopiero po raz pierwszy zobaczę. A jakże fatalne i tragiczne będzie to pierwsze i jedyne moje z tym człowiekiem nieznajomym i obcym, noszącym nazwisko Siwca, nazwisko, po raz pierwszy przeze mnie słyszane, spotkanie! Chodzi o życie jego, którego los, którego więcej niż los, bo sam byt – jest w moim ręku, źle mówię: nie w moim ręku, ale w mojej czynności sędziowskiej; gdyby w ręku moim, w mojej woli – nic by życiu tego człowieka z Warszawy, zwanego Siwcem, nie groziło, choćby był zbrodniarzem największym. Życie to leży w zakresie mojej władzy sędziowskiej, która jest tylko funkcją: jako sędzia – mam rozwiązać zadanie logiczne: jeżeli przesłanki będą dla tego człowieka ujemne – wniosek musi kosztować go życie. Takie jest fatum mojego obowiązku jutrzejszego. Mam wykonać zadanie logiczne sędziego, ale oprócz tego, że jestem sędzią, jestem człowiekiem z krwi i kości, z myśli i serca, z czucia i nerwów. I tu jest ciężar i ból tego obowiązku, który się nigdy sprowadzić do samego tylko mechanizmu logicznego funkcji sprowadzić nie da. Ha, trudno. Będę sędzią. Będę nim, to znaczy ani katem, przejętym wolą zabicia, ani jałmużnikiem. Wykonam obowiązek, który mi jutro wypadnie. Boże daj, aby czara skazania człowieka na śmierć ominęła mię. Oto dziś, w przeddzień sądu, nie wiem i nie umiem się domyślić, jak wypadnie rezultat mej czynności sędziowskiej. Wielką prawdą jest symbol przepaski na oczach Temidy: sędzia, który jest nim istotnie, nigdy nie wie w przeddzień sprawy, jaki wyda wyrok. Spędziłem dziś ten dzień pod ciągłym wrażeniem zagadki jutrzejszej, pomimo że pracowałem, jak zwykle i że z ludźmi tak samo, jak zwykle, się zachowywałem, nie zdradzając na zewnątrz wrażeń moich. Umiem panować nad sobą i na to też jutro liczę. Drugi z jutrzejszych oskarżonych warszawiaków – Tański – jest na razie ocalony. Podał się bowiem za dezertera i po sprawdzeniu telegraficznym okazało się, że tak jest w istocie. Nie ulega przeto właściwości cywilnego sądu doraźnego i sprawa w stosunku do niego zostanie wyłączona i przekazana sądowi wojennemu. Może tam czeka go tym pewniejsza kara śmierci, ale nie jutro. Na razie – jutro – ma życie pewne ponad wątpliwości.
Ciekawsza od jutrzejszej będzie piątkowa sprawa Samluka. Ten piękny chłopiec jest skończonym łotrem, zawodowym złodziejem i opryszkiem. Jutrzejsi warszawiacy – to są wobec niego „*des pauvres diables*"[248], którzy po raz pierwszy spróbowali bandytyzmu, wpadli, mało się zresztą pożywili – bo zaledwie parę tysięcy marek zrabowali i przyznali się. Co innego Samluk. Ten bandyta skończony, szczwany lis, broni się i wykręca znakomicie. Krok za krokiem, godzina za godziną – ustala swoje alibi, popierając je dowodami. Toczy z wielką wprawą walkę z oskarżeniem: toczy ją tak zręcznie, że nie wiadomo, czy jest winien. Ten, jeżeli winien, to zasługuje na karę śmierci i w stosunku do niego, jeżeli winę jego się ustali, kara ta nie będzie tak ohydna, jak w stosunku do tych, co się przyznali i stają wobec oskarżenia bezbronni: jeżeli Samluk upadnie, to upadnie w walce.

3 września, rok 1919, środa
Stało się dobrze. Siwiec, którego dziś sądziliśmy sądem doraźnym, uniknął kary śmierci. Skazany został na bezterminowe ciężkie więzienie. Wprawdzie i to jest kara straszna, ale w obliczu kary śmierci, która mu groziła i wisiała przerażającym cieniem nad całą rozprawą sądową, jest to jak uniewinnienie. Ciężką i straszną była ta sesja:

---
[248] Des pauvres diables, budzący litość.

przez cały czas zmora śmierci ciążyła na rozprawie i na umyśle sędziów, tłoczyła nieszczęśliwego człowieka siedzącego na ławie oskarżonych i okropnym chichotem szczerzyła zęby z licznie zebranej na sali publiczności, a zwłaszcza pań, które w strojach, o płonących podnietą oczach, przyszły na to widowisko karne szukać sensacji dla nerwów, chłonąć powiew śmierci i tej krwi ofiarnej, która oto z wyroku sądowego wypłynąć miała z siedzącego na ławie człowieka. Nie, taka sesja to jest straszna. Zadanie sędziego stoi tu już na samym pograniczu sił ludzkich i obłędu. Od takiej pracy sędziego zbieleć może włos na głowie. Widok oskarżonego był okropny, przechodzący możność opisu piórem. Na ławie siedział człowiek biały jak trup w stanie przygnębienia śmiertelnego, jak automat, pozbawiony już woli i energii do obrony, człowiek, z którego już życie uleciało; poruszał się ciężko, wstawał z trudem takim, jak gdyby go tysiące pudów ciężaru tłoczyło, człowiek o oczach nieprzytomnych; człowiek ten – to blady strach, to przerażenie wiedzionego na rzeź. Gdy miał wyrzec słowo, kurcz mu ściskał gardło, usta się otwierały i krzywiły bez dźwięku i upływało kilka minut grobowego milczenia przy ogólnym napięciu nerwów na sali, zanim wysiłkiem zdołał on wykrztusić wyraz o dźwięku tak martwym, jak echo w studni piwnicznej. Ten człowiek już bronić się nie mógł. A jednak, choć takim był delikwent, duża część publiczności, i to właśnie inteligentnej, a szczególnie młodych pań, pragnęła dlań wyroku śmierci i doznała rozczarowania, gdy przy ogłoszeniu wyroku usłyszała bezterminowe ciężkie więzienie. Ohydne są jednak instynkty, które płyną w żyłach i nerwach ludzkich. Ta natura ludzka, tak dumna, tak piękna w niektórych wyrazach swoich, tak wielka i wspaniała, tai w sobie jednak straszliwe moczary podłości i drapieżności. Rozkosz zmysłowa stapia się z łaknieniem krwi, z tym, co może zadawać ból i śmierć. Widok tej sali, wypełnionej wyborową publicznością, nie podnosił uroku widowiska i nie budził szacunku ani dla natury ludzkiej, ani dla tych panów i pań. Zbiegli się tu oni dla widowiska, dla nasycenia wrażliwości zmysłów. Dla nich ten straszny sąd, ta męka pracy sędziów i nieszczęście człowieka, który chociaż jest zbrodniarzem, ale w tej chwili na ławie jest tylko nieszczęśliwym człowiekiem, który chciałby żyć, a któremu śmierć patrzy w oczy – dla nich to jeno ostra przyprawa do rozkoszy zmysłów, którymi poić się będą z kochankami i mężami. Komplet sądzący składał się ze mnie jako przewodniczącego i sędziów Duszyńskiego i Piwkowskiego (sędzia pokoju w Łomży). Oskarżał podprokurator Siennicki, który żądał kary śmierci. Bronił Siwca adwokat Czerwiński. Na początku zasiadło na ławie oskarżonych dwóch – Siwiec i Tański. Ten ostatni wszakże, po ustaleniu, że jest on dezerterem z wojska i jako taki nie ulega właściwości cywilnych sądów doraźnych, albowiem właściwym dla niego jest sąd wojenny, został z sali wyprowadzony. Przed stołem sędziowskim przeszedł długi sznur świadków, byli nimi przeważnie pokrzywdzeni, sami Żydzi. Zeznania pokrzywdzonych ustaliły z całą dokładnością, że we wszystkich trzech napadach bandyckich brali udział ci sami trzej zbrodniarze, w ich liczbie i Siwiec, i że byli oni uzbrojeni w rewolwer. Ta ostatnia okoliczność jest dla oskarżonych fatalna, bo za rozbój z bronią w ręku jest kara śmierci, podczas gdy za rozbój pospolity, bez broni i bez innych niektórych obciążających szczegółów jest tylko ciężkie więzienie. Jest tylko jedno wyjście przy rozboju z bronią w ręku – jeżeli sąd uzna „nader ważne” okoliczności łagodzące: wtedy można zamiast kary śmierci wydać karę bezterminowego ciężkiego więzienia. I otóż to właśnie ustaliliśmy w stosunku do Siwca. Uratowało go to mianowicie, że gdy po obrabowaniu Żydów jeden z towarzyszy Siwca, Tański, chciał jeszcze dla swawoli poczęstować Żydów kulką z rewolweru, Siwiec, jak zeznali Żydzi, a było to w dwóch wypadkach, sprzeciwił się temu. Skądinąd, jak się okazało, Siwiec nie był bandytą zawodowym.

4 września, rok 1919, czwartek

Gdybyśmy byli wczoraj skazali nieszczęśliwego Siwca, już by dziś on nie żył. Wyroki śmierci bowiem, wydane przez sąd doraźny, ulegają wykonaniu w ciągu 24 godzin. Nie ma od nich odwołania się i nie wymagają one zatwierdzenia. Jest to jednak straszna władza, dana w ręce sądu. Wszystkie zresztą wyroki sądu doraźnego, nie wyłączając ciężkiego więzienia, są ostateczne i zaskarżeniu nie ulegają; są one prawomocne z chwilą ich ogłoszenia i skierowują się natychmiast do wykonania.

Sprawa wczorajsza kosztowała mię nerwów dużo. Choć umiałem zapanować nad nimi – bo mam tę umiejętność – i choć na rozprawie utrzymałem doskonały, zdaje się, spokój i równowagę na zewnątrz, to jednak spokoju i pogody w sobie nie miałem. Od samego rana przed sprawą byłem jak na szpilkach. Nie umiałem sobie znaleźć miejsca ani do czego się zabrać. Próbowałem pracować i załatwiać bieżące akta w sądzie, napisałem nawet wyrok w jakiejś sprawie apelacyjnej, ale robota mi nie szła; ręce miałem zimne i trochę nawet wilgotne ze wzruszenia, co mi się bardzo rzadko zdarza. Dopiero na samej rozprawie zapanowałem nad sobą w obliczu publiki jak aktor w teatrze, który ma tremę przed rozpoczęciem gry, ale gdy stanie na estradzie, odzyskuje jakby cudem chłód i spokojną równowagę. Panowałem nad nerwami, ale sztuka, którą graliśmy na tym sądzie, była tak przerażająco straszna, że nie zapomnę jej chyba nigdy. Niestety – nie będzie ona jedyną i ostatnią w moim zawodzie sędziowskim. Jak byłem przejęty wzruszeniem, to najlepiej wyczułem dopiero po sprawie. Uczułem się zmęczony tak, jak po najcięższej pracy fizycznej. Po ogłoszeniu wyroku wybiegłem z sądu, żeby się odświeżyć i odetchnąć innym powietrzem. Byłem podniecony i osłabiony, a myślą się nie mogłem oderwać od strasznych chwil procesu, pomimo że przecie czułem wielką ulgę z powodu uniknięcia wyroku śmierci. W nogach czułem ciężar taki, jakby mi w nie ołowiu nalano i jakbym przeszedł z kilka mil drogi: łydki mi drżały i czułem w nich ból fizyczny zmęczenia. Pracowałem jeszcze potem w Sądzie jak zwykle. Wieczorem zechciało mi się spać straszliwie jak dziecku.

Wyrok wczorajszy, pomyślny dla Siwca i pełny ulgi dla nas, sędziów, jest jednak śmiertelny dla trzeciego towarzysza bandytów, który na razie był się ukrył, ale właśnie przed paru dniami ujęty został w Warszawie na skutek polecenia telegraficznego z Łomży i przywieziony pozawczoraj do Łomży. Sprawa jego będzie rozpoznawana we środę. Czeka go chyba nieomylna śmierć. Przyznaliśmy bowiem wczoraj w wyroku Siwca, że rozbój był dokonany z bronią w ręku, nader ważne zaś okoliczności łagodzące, które uratowały Siwca, uznaliśmy tylko w stosunku do niego osobiście: dla towarzyszy jego one nie istnieją.

Dziś czułem się spokojny zupełnie, pomimo że jutro mam znowu sprawę sądu doraźnego – sprawę Samluka. Ale jakoś ta sprawa nie przejmuje mię ani w przybliżeniu tak, jak wczorajsza. Czyżbym się tak prędko oswoił z tą grozą kary śmierci i tak już łatwo znieczulił? Nie sądzę. Chodzi o to, że Samluka widziałem i że on się broni, jest pełny temperamentu do walki w procesie, a poza tym, że jest to prawdziwy opryszek, którego mi jakoś nawet nie żal, gdyby miał być skazany. Bo ten zasłużył na karę, a jest zuchwały. Gdyby umiał się wymigać jutro i wyjść sucho, uniewinniony, drwiłby sobie cynicznie z pewnością, że łatwowierny sąd oszukał i na dudków wystrychnął. Jestem przekonany, że Samluk winien, ale czy przewód sądowy będzie w stanie jutro, bez śledztwa wstępnego, winę jego ustalić – to jeszcze nie wiadomo. Wina jego nie jest bynajmniej tak jasna, jak w sprawie Siwca. Bardzo prawdopodobne jest, że jutro po rozprawie wydam decyzję o przekazaniu sprawy Samluka na tory zwykłego postępowania sądowego. Decyzja taka jest potrzebna, gdy sąd nie da odpowiedzi jednoznacznej na pytanie o winności. Jutro zapewne sala sądowa zapełni się publicznością ze świata prostytutek, alfonsów i złodziei, bo to jest sfera Samluka, gdzie

ma on stosunki, przyjaźnie i sympatie. Ale nie zbraknie pewno i wytwornej elegancji z elity towarzyskiej.

5 września, rok 1919, piątek
Dzisiejsza rozprawa główna w sprawie Samluka w sądzie doraźnym wypadła zupełnie nędznie. Podstawy oskarżenia okazały się zupełnie słabe, tak słabe, że na nich nic ufundować nie było można. Z 6 czy 7 pokrzywdzonych Żydów, ofiar napadu bandyckiego pod Stawiskami, tylko jeden Żyd twierdził z całą stanowczością, że w osobie oskarżonego Samluka poznaje jednego z dwóch bandytów; ale tenże pokrzywdzony, wzięty w krzyżowy ogień pytań, zaczął co do szeregu szczegółów dawać odpowiedzi tak niezdarne, a częściowo nawet nieprawdopodobne, że osłabił tym wrażenie swojego kategorycznego twierdzenia o poznaniu oskarżonego. Inni pokrzywdzeni nie byli w stanie poznać kategorycznie Samluka: dwóch mówiło, że jest podobny do jednego z bandytów, że ma podobny głos, jeden twierdził równie kategorycznie, że to nie był Samluk, wreszcie ostatni pokrzywdzony, rabin z Rajgrodu, mówił, że „zdaje się – to nie ten". Natomiast świadkowie obrony, których powołał Samluk, ustanawiali jego alibi w dniu krytycznym godziny za godziną. Do godz. 4 po południu alibi to nie przeczyło możliwości dokonania przezeń napadu około godz. 6 wieczorem o 15 wiorst od Łomży na szosie między Kisielnicą a Stawiskami, ale wreszcie jeden ze świadków, jakiś Żyd, zeznał, że około godz. 5 po południu widział go około koszar pod Łomżą, w przeciwnej stronie, niż szosa stawiskowska. Podprokurator Lipko, który oskarżał dzisiaj, zrzekł się oskarżenia. Sam oskarżony Samluk nie tylko że nie był przygnębiony, ale zachowywał się na sądzie z wielką pewnością siebie i swobodą, prawie że z werwą, wprawdzie leciutko miarkowaną, ale nie pozbawioną nawet subtelnej ironii. Wszyscy trzej sędziowie – ja, Duszyński i Piwkowski, mieliśmy przekonanie, że Samluk jest winien i że w napadzie brał udział; była nawet w toku naszej narady sędziowskiej chwila, kiedy, wbrew zrzeczeniu się oskarżenia przez prokuratora, byliśmy bliscy skazania go – oczywiście na śmierć, bo innej dlań kary być nie mogło, ale nie zdecydowaliśmy się na to, bo jednak podstawy obiektywne dla naszego przekonania podmiotowego były za słabe w stosunku do kary śmierci. Że Samluk winien – jestem przekonany najmocniej. Ostatni świadek, Żyd, jak się później w kancelarii naszej dowiedziałem, jest stałym gościem tejże kancelarii, składa bowiem zawsze poręczenia za wszystkich notorycznych złodziei lokalnych. Nie ulega wątpliwości, że świadczy on w zmowie z bandytami. Takiego bandytę, jak Samluk, wypuścić z rąk – to danie opryszkom premium za zręczność inscenizacji i danie im okazji do kpin z sądu. Ale skazać go na śmierć wobec tak chwiejnych poszlak było niepodobna. Wina tu jest prokuratury, która zbyt pośpiesznie i nieopatrznie skierowała sprawę do sądu doraźnego. Sprawa Samluka jest typowo kwalifikującą się do szczegółowego śledztwa, podczas gdy do sądu doraźnego winny być kierowane sprawy zupełnie wyraźne, w których potrzeba śledztwa jest zbyteczna; taką była sprawa Siwca, ale nie sprawa Samluka. W sądzie doraźnym bez śledztwa sprawa Samluka musi upaść i przedstawia się bardzo mizernie; kierowanie takich spraw do sądu doraźnego chybia celu, bo obniża jeno tę grozę rozprawy, która winna cechować sąd doraźny i która jest jego głównym uzasadnieniem; nadaje to w oczach opryszków sądowi doraźnemu cechę jakiejś szopki, jakiejś zabawy w groźbę śmierci, zamiast twardego i poważnego środka represji. Z kierowaniem spraw do sądu doraźnego prokuratura winna być bardzo ostrożna. W rezultacie nie uniewinniliśmy Samluka, jeno w myśl ustawy o sądach doraźnych, powołując się na rzekome niejednogłośne ustalenie przez sąd winy oskarżonego (w rzeczywistości nie głosowaliśmy wcale) – przekazaliśmy sprawę na

drogę postępowania sądowego zwyczajnego – to znaczy, że sprawa pójdzie na normalne tory śledztwa. Publiczności było dziś na posiedzeniu sądu doraźnego mało.

6 września, rok 1919, sobota
Wrócił z urlopu Trampler, a już za dni 10 wraca Skarzyński, wtedy będę już miał trochę mniej roboty, będę mógł odetchnąć i choć po kilka godzin dziennie dla siebie. Ale już ani marzę o tej pracy publicystycznej, której projekt powziąłem przy powrocie z Litwy z urlopu. Tak mię przytłoczył ten nawał roboty zawodowej, tak mię wyczerpał z sił żywych, tak radykalnie oderwał myśl moją od wątku zagadnień dziejowych natury społecznej i polityczno-narodowej, związanych ze sprawą Litwy, że już nie będę mógł się do tej pracy zabrać, tym bardziej, że wkrótce rozpocznę już kroki do likwidacji mego sędziostwa w Łomży i do przeniesienia się do Kowna. Od tego zamiaru nie ustąpię.
Mamy teraz we wrześniu od dni kilku upały lipcowe, zarówno we dnie, jak w nocy.

7 września, rok 1919, niedziela
Sprawy Litwy są ciągle w jakiejś mgławicy. Ententa dotychczas nie uznała formalnie bytu niepodległego i suwerenności tych państewek, które się nad Bałtykiem na dawnych zachodnich kresach powalonego Imperium Rosyjskiego potworzyły. Republiki te o miniaturowych kształtach – Estonia, Łotwa i Litwa etnograficzna – usiłują realizować swoją państwowość o własnych wątłych siłach, korzystając z koniunktury, wytworzonej przez odpływ na zachodzie zwyciężonych Niemiec i na wschodzie – wijącej się w konwulsjach katastrofy Rosji. Te dwa odpływy wytworzyły stan bezpański nad Bałtykiem, zapełniony natychmiast usiłowaniami państwowymi drobnych narodów lokalnych. I podczas gdy na pograniczu dwóch rozwalonych wielkich potęg – Niemiec i Rosji, w centrum wielkiej luki odpływów wyrasta i organizuje się nowa potęga realna o ambicjach i zdolnościach mocarstwowych – Polska, biorąca spadek po swych dawnych zaborcach i podejmująca zadanie dziejowe nowego ośrodka organizacyjnego Europy środkowej – tam na uboczu, na wybrzeżach bałtyckich, gdzie się zbiegają rywalizacje historycznych prądów ekspansji Niemiec, Rosji i tejże Polski, a dziś także i wkraczającej tam Anglii – trwa stan nieokreślony, stan zagadki bezpańskiej, wypełniany wolą Litwinów, Łotyszów i Estończyków. Wola tych narodów jednak dotąd sankcji formalnego uznania międzynarodowego nie uzyskała. Wielka pani świata – zwycięska Ententa – nie neguje wprawdzie tych młodziutkich drobnych republik, uwzględnia je konkretnie, jak fakt istniejący, ale nie sankcjonuje ich faktu, pozostawiając zagadnienie otwarte. W takim stanie rzeczy republiki te z ich rządami i ich bytem państwowym mają wciąż cechę jakiegoś prowizorium, czegoś, co jest zatkaniem luki, ale nie wiadomo, czy jest już kształtem realnym. Zagadką jest, czy powstanie tam Związek Bałtycki (Litwa-Łotwa-Estonia), coś w rodzaju Jugosławii Adriatyckiej Serbsko-Kroacko-Słoweńskiej, czy wróci na jakichś zasadach autonomii lub federacji do odrestaurowanej po katastrofie Rosji, czy też objęta będzie protektoratem Anglii, albo wreszcie wejdzie w jakiś kontakt z Polską. Zdaje się, że między wielkimi potęgami Ententy jest pewnego rodzaju cichy układ, oddający te kraje bałtyckie sferze wpływów Anglii; Anglia tam bowiem obecnie rej wodzi i ma głos decydujący. Ale rola Anglii, jej działanie tam, jej decyzje – są bardzo dotąd niejasne. Jedną ręką zdaje się ona popierać formacje rządów narodowych tych republik bałtyckich, ale tylko jedną ręką, niezdecydowanie, jakby umyślnie chciała pozostawić tam otwarte wszystkie możliwości. Oto równolegle do rządu łotewskiego w Rydze i Libawie i rządu litewskiego w Kownie – wyrastają tam, bez przeszkody ze strony Anglii, potężne zawiązki sił obcych, tak zwane formacje Lievena o charakterze

niemiecko-rosyjskim, podszywające się pod firmę uznanego przez Ententę za prawowity rząd rosyjski dalekiego Kołczaka. Są to formacje o zabarwieniu formalnie ochotniczo-wojskowym, mające na celu niby organizowanie sił do walki z bolszewikami, przepojone prądami reakcyjnymi. Garną się do tych formacji oficerowie rosyjscy, baronowie nadbałtyccy i Niemcy z wojsk Goltza[249]. Elementy te wcale niedwuznacznie szykują się do roli nie tylko już tworzenia oddziałów ochotniczej walki o uwolnienie Rosji od bolszewików w celu restauracji *ancien regime'u*, korzystając z gościny na obcych ziemiach, ale do roli prawowitych władców tego kraju, jako politycznego dziedzictwa Rosji. Ignorują rządy tych republik lokalnych, zachowują zupełną samodzielność własną i tam, gdzie się skupiają, rządzą same; nie tają one swych aspiracji politycznych, które się wyrażają w restauracji potężnej Rosji w przymierzu z Niemcami. A to znaczy odrodzenie koncepcji politycznej Romanowów i Hohenzollernów. Głównym ośrodkiem gniazd tej formacji jest Mitawa, a rozłażą się one stamtąd w kierunku Niemiec poprzez terytorium północno-zachodnich części Litwy,ześrodkowując się w Kurszanach i Szawlach. Anglia to widzi i nic nie mówi. A zdawałoby się, że wystarczyłoby jedno mocne słowo Anglii, aby je rozproszyć. Do czego zmierza wyczekująca polityka Anglii? Łotysze i Litwini są za słabi, aby o własnych siłach zgnieść te wrogie dla ich państwowości związki. Ententa, nie dając formalnego uznania republikom bałtyckim i nie dając kredytu i uznania ich rządom, utrzymuje je w stanie wegetacji. Podobno wojsko litewskie na froncie bolszewickim jest już od dłuższego czasu bez żołdu. A oto dzisiaj czytam w gazetach warszawskich o jakichś wielkich aresztowaniach w Litwie, dokonanych względem całego szeregu Polaków i oficerów litewskich.

8 września, rok 1919, poniedziałek

Dziś u Pruszanowskich przeddzień ślubu Elzki, najstarszej córki Kotuni i Ezechiela. Wiedziałem, że ślub wyznaczony na jutro, ale wczoraj, gdym był u Pruszanowskich wieczorem, jeszcze Elizka i jej narzeczony Stanisław Tanajewski nie byli przyjechali ze Słonimia, gdzie Tanajewski służy jako adiutant i gdzie Elizka też była do ostatnich czasów na posadzie siostry miłosierdzia w szpitalu wojskowym. Dziś już młodą parę u Pruszanowskich zastałem. Z nimi przyjechała też Irka Pruszanowska, która także w Słonimiu pracuje jako kancelistka czy sekretarka w jakimś urzędzie wojskowym. Ta dziewczyna – to krew z mlekiem, najładniejsza z sióstr i bardzo miła i łatwa, nie ma tyle kaprysów, co inne Pruszanowskie, uprzejma, serdeczna, a razem też, zdaje się, najmędrsza z nich, mająca sporo poczucia komizmu i temperament o pewnym zacięciu sarkastycznym, ale bez złośliwości. Zastałem też u Pruszanowskich dr Piątnickiego, Żyda, Łomżanina, mego dobrego znajomego, który na początku wiosny został powołany do wojska i jest lekarzem wojskowym w szarży porucznika w Słonimiu, skąd do Łomży na urlop przyjechał. Wiedziałem, że przyjechał do Łomży i że jest stale w Słonimiu, bo się z nim przed paru dniami widziałem, ale nie spodziewałem się go zastać u Pruszanowskich. Wiem bo wiem, jakimi antysemitami są Pruszanowscy i ich zięć przyszły Tanajewski i nieraz słyszałem od nich ostre i złośliwe uwagi o zażydzeniu szpitali wojennych w Słonimiu i wszędzie na froncie przez lekarzy-Żydów; toteż niespodzianką było dla mnie, żeby Tanajewski i Elizka zaprosili do domu rodziców kolegę-Żyda, tak typowego, jak Piątnicki i jeszcze w dodatku syjonistę. Zachowywali się jednak wobec Piątnickiego bardzo poprawnie i uprzejmie, a Ezechiel nawet, jak zwykle, był dla gościa pełen komplementów i uniżonej grzeczności, która jest u niego manierą.

[249] Goltz Rűdiger von der, generał, dowódca wojsk niemieckich na Łotwie.

Coraz bardziej przekonywam się, jak niedobraną parą są Elizka Pruszanowska i Stanisław Tanajewski. Jedno chyba tylko jest u nich wspólne – to poglądy na sprawy publiczne ultrareakcyjne, po prostu średniowieczne, przepojone ideologią pańszczyźnianej szlachetczyzny, utożsamianej z patriotyzmem i ze wszelkimi cnotami społecznymi. Elizka ma to z tradycji swego rodu, Tanajewski zaś – z gruboskórności „stupajki" rosyjskiego. Nie jednymi jednak tylko poglądami na sprawy publiczne żyją ludzie, szczególnie tacy, których w gruncie te sprawy bardzo mało obchodzą. Wszystko inne – temperament, wychowanie, natura uczuć, cały układ psychiczny i nerwowy – dzielą Elzkę od Tanajewskiego jak dwa biegunowo różne światy: ona – subtelna jak mimoza, nawet zmanierowana w tej subtelności, tchnąca sztuczną afektacją, delikatna, fantastka o kaprysach domu Pruszanowskich, bardzo bezinteresowna, przesadnie aż do karykatury drażliwa na punkcie honoru, szlachetności i kultury rycerskiej, on – cham, prostak, człowiek o nieskomplikowanych uczuciach i pobudkach psychicznych, człowiek o nijakiej inteligencji i bardzo, zdaje się, niewysokim poziomie etycznym. Ale tymczasem Elizka jest w swym przyszłym mężu zakochana, przynajmniej jest o tym zakochaniu przekonana, co wychodzi w istocie na to samo. Widzi go takim, jakim chce widzieć, a jest sama też za mało inteligentna, aby umieć krytycznie analizować kochanego człowieka. Zresztą miłość jest zawsze ślepa, a cóż dopiero u panny, która chce wyjść za mąż i u której do miłości przybywa wdzięczność za to, że ją kawaler bierze za żonę, tym bardziej, gdy panna jest tak egzaltowana, tak pełna maniery kaprysów, tak dalece fantastka, jak Elizka. Zresztą Tanajewski jest w tej chwili u Pruszanowskich w modzie, szczególnie u Ezachiela, który, jak zwykle, powoduje się kaprysem. Nawet Kotunia, która w gruncie ma właściwą nam trzeźwość umysłu, daje się trochę przejąć kapryśną egzaltacją Pruszanowskich. Zdaje się, że tylko siostry Elizki – przynajmniej Irenka i Józia, nie są całkiem zaślepione Tanajewskim, ale nie odzywają się z tym. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że małżeństwo to szczęśliwe nie będzie.

9 września, rok 1919, wtorek
Dziś na godz. 11 przed południem wyznaczony był ślub Elizki Pruszanowskiej z Tanajewskim. Akurat na dzień dzisiejszy wypadła u mnie sesja sądowa, co bardzo niedogodnie kolidowało ze ślubem i weselem rodzonej siostrzenicy, na którym musiałem przecie być obecny. Nie było nikogo do zastąpienia mię w sądzie na sesji karnej, bo jedyni dwaj sędziowie, którzy nie są na urlopie – Trampler i Duszyński – byli zajęci na sesji cywilnej. Musiałem więc w ten sposób rozłożyć mój czas, żeby zrobić w sesji dwie przerwy – od godz.11 do 1 – na ślub i od godz. 3 do 5 – na obiad weselny. Ślub Elizki odbył się w kaplicy domowej biskupa Jałbrzykowskiego[250], który mieszka w pięknym domu Chodźki, położonym w wielkim ogrodzie nad spadem wysokiego wybrzeża Narwi. Kaplica biskupia i pobłogosławienie związku osobiście przez biskupa – był to jedyny splendor tego skromnego i cichego wesela. O godzinie wyznaczonej zebrała się w kaplicy szczupła garstka orszaku weselnego: państwa młodych byli oboje rodzice: panny – Ezechiel i Kotunia, trzy siostry Elizki – Irenka, Kasia i Stasia, kilka osób z rodziny pp. Komarów z Poławenia, a mianowicie stara p. Janowa Komarowa, p. Nina Hilchenowa i p. Ryta Komarowa ze swym mężem Medardem Komarem z Giełgudyszek, który służy za żołnierza w wojsku polskim, następnie hr. Łubieńska, żona sędziego pokoju w Łomży, dalej dr Piątnicki w charakterze kolegi pana młodego, wreszcie kilka osób z rodziny dr Szyszki, w którego domu Pruszanowscy mieszkają w Łomży, i – ja. Nie było strojów weselnych, nie miała panna młoda sukni białej i

[250] Jałbrzykowski Romuald (1876-1955), abp; 1918-1925 bp pomocniczy diecezji sejneńskiej, zarządzał częścią diecezji znajdującej się w granicach Polski; 1925-26 bp łomżyński, 1926-55 abp metropolita wileński, od 1945 rezydował w Białymstoku.

welonu, nie było fraków. Elizka była ubrana w kostium spacerowy, mężczyźni cywilni byli w tużurkach, ja – w żakiecie, bo tużurka nie mam. Biskup Jałbrzykowski dokonał obrzędu i wygłosił krótką przemowę do nowożeńców, w których – z właściwą mu swadą światową – mówił frazesy o obowiązkach narodowych młodej pary na „kresach" itp., nie wspominając ani słowa o Bogu i o życiu wiecznym. Ślub był dokonany. Była Elizka Pruszanowska. Nie ma Elizki Pruszanowskiej. Jest Elizka Tanajewska. Spełniło się życie dziewczęce. W jakąż przyszłość wkracza ta młoda kobieta, pierwsza z potomstwa moich sióstr, zakładająca rodzinę własną?!
Między godz. 3 a 5 odbył się obiad weselny u Pruszanowskich, cichy, w niewielkim kółku, bo poza młodą parą i Pruszanowskimi byłem tylko ja i trzy osoby z rodziny Komarów. Był szampan, wino węgierskie, wino czerwone, dobry obiad i dobre humory. Nastrój na obiedzie był bardzo miły. Więcej państwa młodych nie widziałem, bo poszedłem na sesję do sądu, która trwała do godz. 10 ½ wieczorem.

10 września, rok 1919, środa
Oprócz zwykłej pracy, gotowałem się dziś do jutrzejszej sprawy, znanej pod nazwą sprawy Bożejewskiego albo sprawy Frasa, Stolnickiego i in. Jest to duża sprawa, która sama jedna wypełnia całą sesję jutrzejszą. W swoim czasie narobiła ona dużo hałasu. Sprawa ta ma wybitny podkład socjalno-polityczny. Powstała ona na gruncie wrzenia rewolucyjnego w listopadzie roku ubiegłego oraz na tle strajku agrarnego. Po wypędzeniu Niemców, w międzyczasie od upadku władzy okupacyjnej do zorganizowania się nowych władz polskich, był okres luki, okres bezpański; w tym to czasie podniosła się fala strajków rolnych i w ogóle z nizin ludowych wytrysły wszelkie rekryminacje krzywd i dążenie do reform społecznych. Obudziła się też klasa fornali dworskich, jedna z najciężej usytuowanych w społeczeństwie. Sprzeczność między drożyzną życia, wysokimi cenami płodów rolnych, które podrosły wielokrotnie przez czas wojny, i paskarskimi dochodami ziemian z ich majątków a wynagrodzeniem służby folwarcznej, które pozostało na dawnym poziomie przedwojennym (dość powiedzieć, że w takim Bożejewie Michała Sasinowskiego wynagrodzenie parobków w gotówce wynosiło 56 marek rocznie!, to znaczy, że trzeba było kilka lat pracować, aby zarobić na jedną jedyną parę butów) – stała się szczególnie jaskrawa. Krzywda ta wraz z poczuciem tysięcy starych krzywd przez pokolenia całe, a poza samym wynagrodzeniem także sprawa mieszkaniowa służby dworskiej, sposób ich traktowania itd. – dążenie do zdobycia praw i stanowiska ludzkiego z tytułu pracy – wszystko to podniosło się żywiołowo z chwilą, gdy upadły władze obce i gdy lud zrozumiał, że oto przyszła Polska – to znaczy przyszła wolność i prawo własne. Oni są Polacy, więc Polska do nich należy, oni są jej prawowitymi gospodarzami. W majątkach Michała Sasinowskiego, jednego z najtwardszych ziemian, który wyzysk posunął najdalej, a jeszcze w dodatku za czasów niemieckich denuncjował robotników swoich i ludność miejscową do władz okupacyjnych – wrzenie wyrosło więcej, niż gdzie indziej. Strajk wybuchł ostry, rozjątrzony nietaktem Sasinowskiego. Doszło w pewnej chwili do usunięcia Sasinowskiego przez służbę od zarządu majątkiem i objęcia tegoż przez jednego z jego rządców – Frasa – z ramienia ogółu strajkujących parobków. To jest właśnie przedmiotem oskarżenia. W swoim czasie sędzia śledczy Wojcht pod bezpośrednim i osobistym kierunkiem prokuratora Urbanowicza – ze wściekłością rzucili się na tę sprawę, rozdmuchali i wydęli ją do rozmiarów potwornych, zrobili z niej aż rozruch, chociaż w okolicznościach sprawy nie było śladu rozruchu, postawili na razie w stan oskarżenia aż 60 ludzi, z czego potem już sąd umorzył oskarżenie w stosunku do kilkudziesięciu, utrzymując je zaledwie względem trzynastu.

11 września, rok 1919, czwartek
Calutki dzień pochłonęła mi sprawa Frasa, Stolnickiego i innych. Bo też to była ogromna sprawa z 13 oskarżonymi i 32 świadkami, a akta śledcze tej sprawy wynosiły kilkaset kart. Od rana przez cały dzień z przerwą tylko 1 ½ godziny na obiad i kilku drobnymi przerwami na wypalenie papierosa aż do północy ciągnęła się rozprawa włącznie z naradą nad wyrokiem, która trwała przeszło dwie godziny. Wyrok ogłoszony był o północy. Oskarżał podprokurator Sipko, bronił oskarżonych adwokat Strzelecki z Warszawy. Ławnikami byli: dyrektor łomżyńskiego oddziału Banku Państwa p. Roszkowski i chłop gospodarz spod Łomży Wągrowski. W liczbie 13 oskarżonych było jedenastu parobków z majątków Sasinowskiego – Bożejewa i Janczewa, z młodym dzielnym Szostakiem na czele, b. rządca majątków Sasinowskiego – Teofil Fras i prezes na okręg łomżyński Polskiego Stronnictwa Ludowego – Józef Stolnicki, znany tu działacz ludowy. Akt oskarżenia inkryminował oskarżonym tzw. rozruch, a mianowicie wzięcie udziału w zbiorowisku publicznym, które działając wspólnymi siłami uczestników, dopuściło się gwałtu na osobie właściciela majątku Sasinowskiego przez usunięcie go od zarządu majątkiem, działając z pobudek, wynikłych ze stosunków ekonomicznych. Przestępstwo to jest przewidziane w art. 122 Kodeksu Karnego. Z liczby oskarżonych dziesięciu było oskarżonych o wzięcie udziału w tym zbiorowisku, Szostak zaś, Stolnicki i Fras o podżegnięcie, względnie kierowanie tłumem. Jeszcze przed rozprawą, przy studiowaniu akt, przekonałem się, że oskarżenie opiera się na naciąganiu faktów, że w istocie o rozruchu mowy być nie może, ponieważ, gdyby nawet Sasinowski był rzeczywiście usunięty przez parobków przymusowo od zarządu majątkiem, to w żadnym razie nie dokonało tego zbiorowisko publiczne, którego wcale nie było, ale ogół jego strajkujących parobków, a więc pewna ściśle ograniczona grupa ludzi, związanych z nim pewnym określonym stosunkiem. W najgorszym razie można by się tu dopatrzyć przymusu, dokonanego w porozumieniu, przewidzianego w art. 507 K.K. i karalnego o tyle, o ile środkiem przymusu był bądź gwałt na osobie, bądź groźba karalna, poza tym co do Frasa mogła być mowa także o nadużycie pełnomocnictwa na szkodę majątku, to znaczy przestępstwa, przewidzianego w art. 577 K.K. Tak też się okazało z biegu rozprawy. Moim zdaniem, rola Stolnickiego, który organizował strajk parobków Sasinowskiego i ujmował go w kształty planowe, była tylko dodatnia, a strajk, jeżeli nawet miał pewne ekscesy i rzeczywiście doprowadził w pewnym momencie do zajęcia zarządu przez Frasa z ramienia strajkujących parobków, był na ogół bardzo kulturalny, bez żadnego rabunku, bez nadużyć co do mienia, a usprawiedliwiony był aż nadto szalonym wyzyskiem, uprawianym przez Sasinowskiego i całą metodą rządów Sasinowskiego i jego stanowiska już nie tylko jako pracodawcy, ale nawet obywatelskiego, co w tym okresie przejściowym z listopada r. 1918 było przez strajkujących też brane w rachubę, albowiem dążenia ekonomiczne i społeczne w tym czasie wiązały się ściśle z politycznymi i narodowo-państwowymi. Sasinowski na rozprawie sądowej musiał się nałykać wstydu, gdy były na żądanie obrony ogłoszone rewelacje o jego stosunkach z okupantami, o denuncjacji, którą w stosunku do swej służby i ludu włościańskiego uprawiał. Politycznie piętnowany i oskarżany był na rozprawie on, nie zaś ci, co byli oskarżeni formalnie i na ławie oskarżonych zasiadali. Przy naradzie nad wyrokiem moi ławnicy jednak przegłosowali mnie. Wbrew mojemu przekonaniu i pomimo długiej dyskusji, w której przedstawiłem im argumenty o niewinności oskarżonych co do zarzutu przymusu w drodze gwałtu lub groźby, i zwłaszcza o braku cech winy Stolnickiego, albowiem jedyne, co można było z całego oskarżenia ustalić kategorycznie, to winę nadużycia pełnomocnictwa ze strony Frasa, który rozdał parobkom samowolnie pewną ilość korców pszenicy dworskiej, uznali wszystkich winnymi, a co gorsza uznali najwięcej winnym Stolnickiego i gdy

wszystkim innym bądź na zasadzie okoliczności łagodzących zmniejszyli ją, że się pokryła amnestią, bądź, jak Frasowi, oprócz okoliczności łagodzących znieśli jej wykonanie, tak względem Stolnickiego ani nie uznali okoliczności łagodzących, ani nie zawiesili kary i chociaż karę wymierzyli niezbyt wysoką, to wymierzyli ją jednak. Dostał on, po uwzględnieniu amnestii – trzy tygodnie więzienia. Za co? Byłem pod przykrym wrażeniem tego wyroku.

12 września, rok 1919, piątek
Od ostatniej sprawy Samluka w sądzie doraźnym do dnia dzisiejszego nie wspomniałem w dzienniku o sądzie doraźnym. Zrobiłem to dlatego, że nie chciałem drażnić nerwów moich przed sprawą, wyznaczoną na dziś, w której byłem wyroku śmierci pewny. Sprawa ta poruszała mię przez ten czas ciągle, ale wolałem nie mówić o tym i jak najwięcej odrywać myśl od niej. Jest to sprawa Cańki, trzeciego bandyty z napadów pod Zambrowem, towarzysza Siwca, skazanego przez nas na bezterminowe ciężkie więzienie, i dezertera Tańskiego, oddanego pod sąd wojenny. Cańko akurat przed samą sprawą Siwca był ujęty w Warszawie i sprowadzony do więzienia w Łomży. Wina jego zdaje się być pewną. Chociaż przeczy on kategorycznie swemu udziałowi w tych napadach i chociaż powołał się na dwóch świadków z Warszawy dla ustalenia swego alibi, to jednak wszyscy pokrzywdzeni Żydzi nie mniej kategorycznie poznają w nim jednego z trzech bandytów i na niego, jako na trzeciego wspólnika, podając jego nazwisko i adres, wskazali Siwiec i Tański w chwili ich ujęcia, chociaż teraz twierdzą oni, że to nie ten sam człowiek. Jeżeli zaś tylko wina Cańki nie będzie budziła u sądu wątpliwości, to nie ma chyba dla niego innego wyjścia, jak kara śmierci. Już w wyroku Siwca przyznaliśmy, że rozbój we wszystkich trzech wypadkach miał miejsce z bronią w ręku, te zaś nader ważne okoliczności łagodzące, które uratowały od kary śmierci Siwca, stosowały się wyłącznie do niego osobiście, nie zaś do dwóch jego towarzyszy. Byłem zresztą dzisiaj spokojniejszy, niż przed pierwszą sprawą.
Ale widocznie śmierć nie ima się rąk moich, bo oto dziś znów do wyroku śmierci nie doszło. Tym razem sprawa została odroczona, albowiem nie stawiło się dwóch świadków z Warszawy, powołanych przez Cańkę i mających stwierdzić jego alibi. Sprawę odroczyłem na wtorek, ale już może we wtorek wróci z urlopu Skarzyński i wtedy przewodnictwo sądu doraźnego obejmie on.

13 września, rok 1919, sobota
Upały mamy takie, jak w lipcu nawet rzadko bywają. Taki wrzesień – to zgoła osobliwość. Dnie i noce są bez chmurki, jakbyśmy gdzieś byli w Saharze. Najlżejszy obłoczek nie skala czystego niezmiennie nieba. Ziemia dyszy upałem, noce są tak gorące, że przychodząc do domu, rozbieram się do naga i tak dopiero siadam do czytania lub pisania, mając drzwi na balkon szeroko otwarte. Osobliwością niezwykłą upałów są długie wieczory i noce, właściwe tej porze roku. Zwykle z upałem łączą się krótkie noce letnie. Dziwacznie wygląda, gdy jest gorąco tropikalne i noc długa i czarna – oczywiście dziwacznie tylko w naszym klimacie. Jest co prawda pełnia księżyca, ale już chwilkę z wieczora księżyca nie ma i wtedy jest czarno. Jak latem – ruch na ulicach wieczorem, okna mieszkań pootwierane, z wnętrz płyną śpiewy lub dźwięki fortepianu, rozlewając się falą głosów ponad miastem. Śliczny czas!
Z gazet warszawskich i wileńskich dowiaduję się o jakichś wielkich rewizjach i aresztowaniach w Kownie. W liczbie aresztowanych dużo wybitnych Polaków kowieńskich – między innymi adwokat Jussowicz, Francuzowicz. Aresztowania te dotknęły Polaków i wyższe sfery wojskowe, w których element polski był liczny i silny.

Jak wnoszę z „Głosu Litwy"[251] (organ Michała Biržiški w Wilnie), litewskie władze w Kownie wpadły na trop wielkiego spisku, stąd te aresztowania. Podobno spisek dążył do obalenia rządów Taryby; prawdopodobnie dążył on do zespołu państwowego Litwy z Polską. Oby prędzej rząd litewski doprowadził do wyborów do Konstytuanty. To dałoby Republice Litewskiej podstawę ludową stokroć mocniejszą, niż ją mieć może Taryba i jej formacje rządowe! Obawiam się, że Litwini teraz nie będą ufali żadnemu Polakom, nie wyłączając bodaj mnie, gdy się będę starać o powrót do kraju.

14 września, rok 1919, niedziela
Przez cały dzień pracowałem w sądzie. Upał taki sam, jak co dzień. Tylko na obiedzie w Rembielinie widziałem się z Tramplerem i po obiedzie byłem na kawie u Kotuńki Pruszanowskiej – Ezechiel wyjechał na kilka dni do Warszawy. Poza tym, spędziłem dzień samotnie na pracy. Zbliża się chwila, kiedy będę miał trochę mniej roboty, bo urlop Skarzyńskiego się kończy, toteż odpadnie mi kierownictwo wydziałem karnym I instancji. Był dziś wiec w kinomatografie „Mirage", zwołany przez łomżyńskich posłów prawicowych. Przemawiać mieli dr Załuska, ks. Lutosławski i Adam Mieczkowski. Nie ciekaw byłem tych mów i uchwał, o których z góry mogłem wiedzieć, że będą radykalnie reakcyjne.

15 września, rok 1919, poniedziałek
Miałem dziś sesję I instancji, niezwykłą pod tym względem, że we wszystkich sprawach wszyscy – zarówno oskarżeni, jak świadkowie – stawili się, a jeżeli nawet który ze świadków się nie stawił, to zawsze w warunkach takich, że niestawiennictwo to było usprawiedliwione i nie mogło powodować odroczenia rozprawy. Wobec tego wszystkie bez wyjątku sprawy zostały rozpoznane, a że było ich dziewięć i że dużo śród nich było poważnych i skomplikowanych, więc sesja zaciągnęła się tak długo, jak nigdy. Sądziliśmy prawie że od godz. 10 rano, bo dwaj ławnicy – Lutosławski z Drozdowa, brat księdza-posła i Konstanty Długoborski, mój dobry znajomy z Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu, niedoszły poseł z listy „narodowej" i kandydat na tegoż (albowiem w razie zawakowania któregokolwiek mandatu z okręgu łomżyńskiego mandat ten automatycznie przeszedłby na Długoborskiego) – stawili się w porę. O godz. 1 ½ po południu zarządziliśmy przerwę do godz. 3 na obiad. Po powrocie znów pracowaliśmy bez wytchnienia; sprawy szły ciężkie, w ich liczbie jedna o zabójstwo, wymagająca dużego wysiłku uwagi i skupienia myśli; w trzech sprawach stawał w charakterze obrońcy Hannusowski, który jest w obronie bardzo staranny, ale też niesłychanie gadatliwy i rozwlekły; w ostatniej sprawie, w której stawał, a było to już późno wieczorem, tak nas zmęczył, że ja, ławnicy i cała publiczność – byliśmy na niego po prostu wściekli; mowa jego trwała ze dwie godziny, a że byliśmy już znużeni, więc wreszcie nie byliśmy już w stanie nawet słuchać i rozumieć go. Była godz. 11, kiedy skończył mówić, a zanim uradziliśmy, zredagowaliśmy i ogłosiliśmy wyrok – była 11.30. Zarządziłem przerwę na godzinę, bo jeszcze były trzy sprawy do osądzenia, a byliśmy tak zmęczeni, że musieliśmy się posilić i wypocząć. Poszliśmy z ławnikami i prokuratorem Siemnickim na kolację do Klubu Wioślarskiego, skąd po godzinie wróciliśmy do sądu i przesiedzieliśmy aż do 4 rano, zanim trzy ostatnie sprawy osądziliśmy. Sądzenie do tak późna w noc jest niedobre, bo umysł sędziego po całodziennym wytężeniu jest już wyczerpany i nie jest po prostu w stanie funkcjonować z należytą intensywnością i uwagą. Na ostatniej sprawie obaj ławnicy zwiesili głowy i spali. Na ogół sprawy dziś były ciekawe i wynik ich był dobry; sumienie sędziego jest

[251] „Głos Litwy", pismo wydawane w Wilnie w latach 1919-1922.

jednym z najlepszych sprawdzianów wyroku. Gdy sumienie jest zadowolone i spokojne – wyrok jest sprawiedliwy, gdy zaś wyrok ma jakąś wadę lub błąd – sumienie natychmiast się niepokoi.

16 września, rok 1919, wtorek
Stało się dziś to, co się stać musiało. Zapadł w sądzie doraźnym wyrok śmierci na Stanisława Cańko, uczestnika trzech napadów zambrowskich, dokonanych przezeń wspólnie z Siwcem i Tańskim. Nie było dla tego człowieka ratunku. Wszyscy pokrzywdzeni Żydzi go poznali, a chociaż on sam się nie przyznawał, to jednak dwaj świadkowie z Warszawy, na których się powołał, nie ustalili jego alibi. Żadnych szczególnych, czyli podług terminologii ustawy – „nader ważnych" – okoliczności łagodzących, dających możność zamiany kary śmierci na bezterminowe ciężkie więzienie, jakeśmy to zrobili w stosunku do Siwca – tutaj względem Cańki nie było. Komplet sądu składał się ze mnie jako przewodniczącego i sędziów w osobach sędziego okręgowego Makowskiego i sędziego pokoju Piwkowskiego. Oskarżał prokurator Siemnicki, bronił adwokat Ryntflejn. Atmosfera była bardzo ciężka.
Zaiste wprowadzenie tutaj sądów doraźnych nie jest usprawiedliwione żadnymi względami potrzeby wyjątkowej. Ustawa o sądach doraźnych przewiduje wprowadzenie tychże dla poniektórych kategorii przestępstw tam, gdzie one szerzyć się będą w sposób szczególnie złośliwy i niebezpieczny dla spokoju publicznego. Decyzja pod tym względem należy do Rady Ministrów. I oto Rada Ministrów rozciągnęła te sądy na cały teren b. Królestwa, chociaż na przykład w takim okręgu łomżyńskim ani rozboje, ani inne przestępstwa, podpadające pod działanie sądów doraźnych, nie szerzą się bynajmniej w jakiś sposób zastraszający i epidemiczny i należą jeno do wypadków sporadycznych. Toteż nie ma usprawiedliwienia tutaj dla takich sądów w samym tekście ustawy. Ryntflejn w obronie swojej dzisiaj podnosił ten wzgląd. Ale ocena tych uzasadnień społecznych sądu doraźnego nie należy do sędziów, wyrokujących w tymże sądzie. Dla nich zasada jest tylko formalna – decyzja Rady Ministrów. Krytyka tej decyzji należy do polityki, nie zaś do sądu. W decyzji Rady Ministrów zawiera się po prostu instynkt reakcji, która dąży do stworzenia pozorów silnej władzy i bezwzględnych metod represji. Sądzi ona, że efekt wyroków krwawych będzie czynnikiem uzdrawiającym, który w ogóle podziała na nastroje i hamować będzie rozprzężenie nie tylko w sferze zbrodni, ale i w sferze, że tak powiem, usposobienia ogólnego i poczucia władzy, co zapobiegnie szerzeniu się wszelkich prądów „wywrotowych". Dlatego też cała reakcja tak miłym okiem spogląda na te sądy doraźne i wszelkie stany i zarządzenia wyjątkowe. W nich ufa znaleźć zbawienie i narzędzie przywrócenia zakłóconego „ładu" w umysłach. Sądzi ona, że rozstrzelanie garstki przygodnych złoczyńców lub nawet bandytów, a nieraz nieszczęsnych „*des pauvres diables*"[252], jak mówią Francuzi, uleczy chorobę, której geneza bynajmniej nie w tych wypadkach, lecz w zakłóceniu stosunków gospodarczych, społecznych i państwowych się mieści. I poza samą przerażającą grozą wyroku śmierci straszne jest właśnie to, że tutaj krew ludzka zbrodniarza staje się środkiem dla jakichś celów publicznych, i to środkiem niezdatnym do zamierzonego celu. Dla sędziego wyrok w sądzie doraźnym nigdy nie może być aktem wymiaru sprawiedliwości. Życie oskarżonego jest tu ofiarą, jest narzędziem do zastraszenia innych. Racja kary mieści się nie w czynie zbrodniarza i nie w jego złej woli, ale w celach społecznych, które są poza zbrodniarzem i są mu obce. Sędzia w takim sądzie wobec takiej kary przestaje być tym autonomicznym

[252] des pauvres diables, budzące litość.

pięknym rzecznikiem prawa i sprawiedliwości i strącony zostaje do roli rzemieślnika, wykonywającego posłusznie i automatycznie zlecone mu zadanie.

17 września, rok 1919, środa
Czułem się źle dzisiaj. Miałem noc niespokojną, przerywaną półsnem, półjawą; myśl moja wracała wciąż do wczorajszego wyroku i do tego człowieka tam w więzieniu, oczekującego w męce strasznej wykonania. Jako sędzia – spełniłem mój bezpośredni obowiązek, wykonałem rachunek, który mi został przedstawiony do rozwiązania: był on prosty i wiem, że nie zboczyłem z linii i tzw. pomyłki sądowej, to znaczy skazania człowieka niewinnego – nie popełniłem. Pod tym względem nie wyrzucam sobie nic. Poczucie spełnionego obowiązku sędziowskiego nie budzi we mnie żadnego niepokoju ani wątpliwości. Ale jako człowieka boli mię ten wyrok wczorajszy, wyrok-krzywda, bo krzywdą jest on dla tego człowieka, którego on dotknął. Krzywdą, albowiem Cańko był tylko rabusiem, jak tysiące innych, nie gorszym, a od wielu może nawet lepszym i bardziej ludzkim; i oto on ponosi śmierć i gorszą od samej śmierci, najstraszniejszą ze wszystkiego – mękę jej oczekiwania, podczas gdy inni, równi mu lub nawet gorsi, ani w przybliżeniu męki takiej nie mają. Widok Cańki nie schodzi mi z myśli. Nie mogę opisywać wczorajszego sądu ani też strasznej jego grozy. Jak jakiś koszmar, jak coś z dziedziny widmowych fantazji, które krzyk wywołuje na usta i włosy podnoszą na głowie i w dzieciństwie śnią się w strasznych obrazach – tak ciężkim był ten sąd; w pamięci pozostał on jak coś, co stoi na samym krańcu przytomności, na granicy z obłędem.
Dobrze, że miałem dziś sesję, bo to mi dało pracę i oderwało myśl moją od Cańki w tym strasznym dniu tracenia człowieka z mojego wyroku. Była to sesja apelacyjna, pełna dziwacznych wyroków sądów pokoju, które trzeba było operować. Wieczorem po skończonej sesji aż kilku ludzi się znalazło, którzy pośpieszyli mi szepnąć, że „wyrok wykonany”, to znaczy Cańko stracony. Nie chciałem słuchać ani tym mniej pytać. Ale już dzięki Bogu, że to skończone. Nie chciałbym być prokuratorem, który musi z urzędu asystować przy wykonaniu wyroku.

18 września, rok 1919, czwartek
Widziałem się dziś z prokuratorem Sienickim, po raz pierwszy od pozawczoraj, od wyroku w sprawie Cańki. Przez ten czas dokonała się rzecz straszna – stracenie Cańki w dniu wczorajszym z mojego wyroku, przy którym to straceniu musiał być osobiście obecnym z urzędu Sienicki jako prokurator. Prawnie rzecz jest prosta i służbowo zupełnie pospolita. Ale po ludzku rzecz jest straszna: jest jakby coś, co pewnym wspólnictwem połączyło mnie z Sienickim jak dwóch zbrodniarzy; krew bandyty Cańki, która spłynęła z mojego rozkazu, wykonanego przez Sienickiego, związała nas mistycznie w zespół tragiczny, który, zdaje się, oboje wyczuwamy, unikając siebie, dopóki wspomnienie tej krwi jest zbyt jeszcze świeże. Widząc Sienickiego, doznaję wrażenia, że widzę na jego ręku krew i przed oczyma mymi przepływa fantastyczna wizja stracenia, a tej plamy krwawej ja jestem wspólnikiem. Sienicki był zresztą o tyle taktowny, że nie wspomniał mi ani słówkiem o przebiegu egzekucji; być może, że sam wyczuwał też mistyczne wspólnictwo krwi przelanej, które nas łączy i odpycha zarazem od siebie, jak gdyby każdy z nas chciał w instynktach swoich zwalić odpowiedzialność za tę krew ze siebie na drugiego – ja na Sienickiego, on na mnie. W Sienickim, jak dostrzegłem poprzednio, we wszystkich poprzedzających sprawach sądu doraźnego – nurtował jakiś niezdrowy instynkt krwiożerczy, pragnienie wyroku śmierci, namiętność egzekucji. Krew w ogóle ma dziwny wpływ na ludzi, dziwnie ich drażni i podnieca, dziwną budzi w nich drapieżność, bolesną i rozkoszną zarazem. Sienicki wobec spraw

sądu doraźnego miał jakąś w sobie demoniczną pożądliwość krwi, o wiele dalej idącą od obowiązku oskarżyciela z urzędu. Ale zdaje się, że wczorajsza egzekucja Cańki i jego też przesyciła nad miarę. Był dziś blady, a oczy mu się paliły niezdrowo, jak w gorączce. Ale sądzę, że to go nie zniechęci – przeciwnie. Kto skosztował krwi, ten jej łaknie. Jest w tym jakaś tajemnica natury ludzkiej: przelew krwi staje się namiętnością. Są ludzie, którzy mi zazdroszczą tego wyroku śmierci – wiem o tym. Każdy się z tą namiętnością kryje, ale bardzo wielu ją ma.
Dziś już byłem spokojny. Z chwilą, gdy wyrok wykonany i skazaniec nie żyje, krew jego już nie boli. Najstraszniejszą w wyroku śmierci jest nie sama śmierć, ale ten czas skazańca od wyroku do egzekucji. Ten okres jest karą właściwą i męką, o której sama myśl mrozi krew w żyłach. Gdy wiem, że Cańko rozstrzelany, śmierć jego staje mi się prawie obojętną. Karą jest w wyrokach śmierci nie śmierć, ale jej oczekiwanie i spełnienie.

19 września, rok 1919, piątek
Już wakacje skończone – sąd nasz w komplecie. Wrócił Skarzyński, wrócił prezes Filochowski. Już i mnie to ulży, bo z przyjazdem Skarzyńskiego spada ze mnie kierownictwo wydziałem I instancji karnej. O godz. 11 przed południem odbyło się dziś w gabinecie prezesa ogólne zebranie sądu. Oprócz omówienia bardzo ważnej kwestii co do interpretacji rozporządzenia ministerialnego o ograniczeniu handlu ziemią w myśl uchwał sejmowych w sprawie reformy agrarnej, w czym ja głosu nie zabierałem, bo kwestii tej nie przestudiowałem i nie dotyczy ona bezpośrednio mojej działalności jako sędziego karnego, była na porządku dziennym sprawa wyboru kandydatów na stanowisko sędziego okręgowego, ponieważ podług etatu liczba sędziów zwiększona została o jednego. Nowy sędzia będzie zużytkowany do wydziału karnego. Skarzyński od dawna upatrzył kandydata w osobie Chabowskiego, sędziego śledczego w Szczuczynie, najlepszego spośród sędziów śledczych w okręgu łomżyńskim. Chabowski był sędzią śledczym w Łomży jeszcze za czasów rosyjskich, od r. 1906 do wybuchu wojny. Ma rutynę, zna się na sprawach karnych, jest zdolny, w pełni sił i przy tym człowiek miły, dobrze ułożony. Znowu jednak przy wyborze wypłynęła kwestia kandydatury nieszczęsnego Chełstowskiego. Ten to nie ma szczęścia, aby trafić do Sądu Okręgowego. Kandydatura jego jest nieśmiertelna, wypływająca przy każdych wyborach i zawsze coś jej przeszkadza. Chełstowski był stawiany jako kandydat jeszcze przy wyborze Duszyńskiego. Wtedy dano pierwszeństwo Duszyńskiemu, odkładając wybór Chełstowskiego do następnego razu. Potem przy następnych wyborach, ze względu na szemranie miejscowych sędziów pokoju i śledczych, że się ich przy wyborze pomija, dając pierwszeństwo kandydatom ze strony (Chełstowski nie był jeszcze wtedy sędzią pokoju w Łomży), wybrano na pierwszym miejscu mnie, Chełstowskiego zaś postawiono na drugim miejscu. Liczono zresztą – przynajmniej tak liczył prezes – że ja nie zechcę przyjąć nominacji i że przeto będzie i wilk syty, i koza cała: miejscowym sędziom pokoju i śledczym da się satysfakcję przez postawienie mojej kandydatury na pierwszym miejscu, a faktycznie przejdzie Chełstowski; prezes zaczął nawet w tym duchu urabiać opinię w Warszawie, aż ja sam się wtedy w to wdałem i w liście do Supińskiego zastrzegłem, że z kandydatury mojej nie rezygnuję; przeszedłem ja. Chełstowski mianowany został sędzią pokoju w Łomży, oczekując nowych wyborów na sędziego okręgowego. Podczas wyborów do Sejmu na skutek kandydatury poselskiej sędziego Mieczkowskiego otworzył się wakans. Nowe wybory. Znów kandydatura Chełstowskiego. Wtedy na skutek opozycji Tramplera i mojej kandydatura Chełstowskiego usunęła się aż na trzecie miejsce. Na pierwszym miejscu stanął sędzia pokoju z Mazowiecka – Wysocki, na drugim – sędzia śledczy z Kolna –

Makowski, Wysocki się zrzekł, przeszedł więc Makowski. Okazało się to zresztą najniefortunniejszy wybór, jaki tylko mógł być. Ułożyła się wtedy opinia, że już przy następnych wyborach przejdzie niechybnie Chełstowski. Tymczasem – któż by się tego spodziewał – przeszkoda przyszła tym razem ze strony Skarzyżskiego, który wysunął Chabowskiego. Skarzyński wychodził z tego założenia, że ponieważ nowy sędzia ma być zużytkowany do wydziału karnego, przeto trzeba uwzględnić przede wszystkim kwalifikacje karne, i postawił na pierwszym miejscu Chabowskiego, na drugim – sędziego śledczego z Łomży, Wojchta. Ja poparłem Skarzyńskiego. Duszyński i Makowski wystąpili wszakże z kandydaturą znowuż Chełstowskiego na pierwszym miejscu, wskazując na to, że Chełstowskiemu stałaby się krzywda po tylu zawodach, Chabowski może zaczekać do następnych wyborów, przewidywanych w prędkim czasie, ponieważ ze wzrostem ilości sędziów do liczby sześciu, otrzymamy wiceprezesa, którym zostanie prawdopodobnie Skarzyński, a wtedy na jego miejsce będzie wakans sędziowski. My jednak ze Skarzyńskim staliśmy na swoim, wykazując, że już następnym razem, ponieważ wtedy będzie chodziło o cywilistę, wybierze się prawdopodobnie jednogłośnie Chełstowskiego, tymczasem zaś trzeba się nam liczyć z kwalifikacjami karnymi. Prezes ze względu na swoje pokrewieństwo z Chełstowskim nie głosował i decyzję przeważył Trampler na rzecz naszej koncepcji. Wybraliśmy więc kandydatów w takim porządku: I. Chabowski. II. Wojcht, i III. niejaki Raułtowski, prawnik, b. sędzia śledczy, człowiek stary, który obecnie pracuje w urzędzie ziemskim w Łomży.

20 września, rok 1919, sobota
Pomimo wszystko, pomimo mego zamiaru powrotu do Litwy, pomimo tęsknoty za krajem i za moją własną przeszłością, której konsekwencje gubię tutaj – przywiązałem się jednak do tego sądownictwa polskiego, do mojej nowej pracy zawodowej i nawet do stosunków w tym Sądzie Okręgowym. Gdym we wrześniu r. 1917 jechał do Kolna dla objęcia stanowiska sędziego pokoju, szukałem tylko chwilowego azylu. Nie liczyłem na to, że tak długo tu pozostanę i że się tak wciągnę w ten nowy dla mnie zawód i nowe stosunki. Nie wiedziałem też, czy dam sobie, jako sędzia, radę, ja, który z praktyką prawniczą za moich czasów tytularnej „adwokatury" tak mało miałem do czynienia. Tymczasem nie tylko że się okazałem zdolnym sędzią, jednym z najlepszych w okręgu, ale także polubiłem ten zawód i wciągnąłem się w stosunki. I gdy mi wypadnie żegnać sądownictwo polskie, żal mi go będzie.
Sądownictwo polskie przechodzi teraz ciężki kryzys, głównie z braku ludzi. Mnóstwo prawników uciekło do adwokatury, duże też ich rzesze rzuciły się do wyższych posad w innych działach służby państwowej. Tymczasem dopływu sił nowych nie ma, młodzieży prawniczej nie ma wcale, bo nauka w uniwersytetach przez czas wojny była zachwiana, a teraz powstrzymana była zupełnie z powodu gremialnego wstąpienia młodzieży akademickiej do wojska. Sądownictwo wszakże i pomimo to jest na równi ze szkolnictwem – jedyną gałęzią organizacji państwowej, funkcjonującą bez zarzutu, gdzie nie ma nadużyć, łapownictwa i próżniactwa, które się gdzie indziej rozkrzewiły skandalicznie. Jest ono pracowite i czyste. Niskie jednak płace w stosunku do drożyzny odrywają od sądownictwa najlepsze nieraz siły. W innych gałęziach administracji i władz państwowych pensje są względnie przez to wyższe, że poszczególne urzędy są zakwalifikowane do wyższych kategorii hierarchii. Adwokatura daje w tych czasach prawnikowi dochody ogromne, które dają adwokatom możność utrzymania się na poziomie potrzeb zaiste przedwojennych. Każdy najsłabszy adwokat ma więcej o wiele dochodu, niż wynosi pensja prezesa sądu okręgowego. Do niższych posad sędziowskich – na sędziów śledczych i na sędziów pokoju w miastach powiatowych, gdzie są hipoteki

i gdzie sędziami muszą być prawnicy – brak już jest absolutny na prowincję kandydatur. Nie ma ich i basta. Na sędziów okręgowych można jeszcze wyławiać chętnych kandydatów spośród pozostałych sędziów śledczych i pokoju, ale dla tych ostatnich zastępców już nie ma. Pensje sędziowskie co prawda były stopniowo podnoszone, ale drożyzna rosła jeszcze szybciej. Gdym obejmował urząd sędziego pokoju w Kolnie we wrześniu r. 1917, pobierałem pensję 650 mk. miesięcznie. Dziś moja pensja, jako sędziego okręgowego po różnych podwyżkach wzrosła do 1440 mk., ale pomimo to zdaje się, że miałem więcej z 650 mk. przed dwoma laty, niż z 1440 mk. teraz. Obecnie Sobolewski, nowy minister sprawiedliwości, zastrzegł, przyjmując to stanowisko, że je przyjmuje pod warunkiem, że pensje sędziowskie i w ogóle wszystkich pracowników sądownictwa będą podwyższone znacznie, bo w przeciwnym razie sądownictwo będzie się coraz bardziej chyliło do upadku i dezorganizowało. W krótkim czasie pensje sędziowskie mają być tak podwyższone, że sędziowie okręgowi brać będą około 2400 mk. Ma to uleczyć kryzys sądownictwa. Z pewnością będzie to już pensja na dziś znośna, ale szalony spadek waluty, akcentujący się coraz bardziej i taki, na który dotychczas nie zdołano jeszcze nigdzie żadnego lekarstwa znaleźć, podnosi automatycznie ceny wszystkiego i sprawia drożyznę, a raczej jej pozory przy obliczaniu cen na pieniądze. Sądownictwo ma jeszcze ludzi, którzy pracują w nim z powołania. Nimi się ono trzyma. Brak w nim natomiast ludzi, których zdolności i siły można kupić, bo za tę płacę wybitnej siły – poza sędziami z powołania – się nie kupi. Toteż poza tym doborowym elementem z powołania – jest coraz więcej w sądownictwie miernot nieraz zupełnie niskiej wartości, którzy trzymają się tylko dlatego, że są niezdolne, niezaradne i nieprzedsiębiorcze i nie zdołałyby znaleźć dla siebie zastosowania swobodnej pracy. Taki element – to sędziowie-biurokraci, sędziowie-urzędnicy, ale nie sędziowie z powołania.

21 września, rok 1919, niedziela

Jakiś odbył się dziś wiec uliczny w Łomży w sprawie Górnego Śląska. Był to wiec na placu publicznym koło cerkwi przy ul. Dwornej w pobliżu mojego mieszkania. Tak jednak daleki jestem w Łomży od spraw publicznych poza moją ścisłą pracą sędziowską, żem nawet nic o tym wiecu nie wiedział i dopiero wracając z sądu do domu na obiad, natknąłem się na zbiorowisko, śród którego powiewały różne sztandary, a na jakimś wzniesieniu improwizowanym mówca coś głosił, gestykulując namiętnie i kręcąc się jak fryga albo jak wiatrak z rozmachanymi rękami. Wiec był już na ukończeniu. Jak się dowiedziałem od sędziego Duszyńskiego, którego tam spotkałem, po kilku programowych mówcach, w tej liczbie posła Mieczkowskiego, adwokata Wołodkiewicza i robotnika prawicowego Jarosieńskiego, ostatni mówca, jakiś jegomość tłumu, wystąpił *ex promtu* i wygłosił przy tej okazji mówkę pogromową względem Żydów i pełną inwektyw w stosunku do urzędników państwowych. Na tym się wiec skończył. Chciał jeszcze przemawiać burmistrz-socjalista Świderski, zapewne dla zaoponowania nucie pogromowej, ale już muzyka zagrała, sztandary się ruszyły z miejsca i wiec zaczął się rozchodzić.
Sprawa Górnego Śląska, prześladowań i gwałtów niemieckich w tym kraju, powstanie, które tam wybuchło i stłumione już właściwie zostało, chociaż tli dotąd, chwiejność zarządzeń Koalicji w tej sprawie – są to dziś rzeczy bardzo popularne w Polsce. Dla całej lewicy sprawa obu Śląsków – Górnego i Cieszyńskiego – jest niejako sztandarem, który ona podnosi, przeciwstawiając dalszej interwencji na wschodzie. Natomiast prawica, wałkując sprawę Śląska, bo ze względu na jej popularność nie może o niej przemilczeć, stara się na razie jeszcze odwlec jej aktualność, aby nie przerwać kampanii

na „Kresach Wschodnich”. PPSD[253] podniosła już otwarcie hasło „Precz z wojną” i „Dość awantury na Wschodzie”, uderzając natomiast forsownie na alarm w sprawie Śląska. Polityka polska ma alternatywę: Śląsk czy Kresy Wschodnie. W akcję wojenną na Wschodzie jest ona wwiązana w całej pełni, a niełatwo z niej wybrnąć, tym bardziej, że prawica ani słyszeć nie chce o zaniechaniu przedsięwzięcia, czując instynktem, że akcja na Wschodzie dodaje jej sił w kraju, podczas gdy akcja Śląska wzmacnia pozycję demokracji i prądów lewicowych. Tak się bowiem historycznie ułożyły stosunki i czynniki ekspansji polskiej, że na Śląsku Polska ma cechę pierwiastka ludowego i sprawa jej jest tam sprawą demokracji, podczas gdy na Wschodzie, na Białej Rusi, Litwie i Ukrainie Polska jest czynnikiem reakcji, narzędziem konserwatyzmu społecznego i symbolem panowania obszarnictwa nad demokracją. Polityka polska na Wschodzie znajduje oparcie w interesach klas wstecznych, zwłaszcza obszarników, toteż z konieczności zabarwia się tam tym elementem klasowym przeciwko interesom mas ludowych. Bez względu na to, jaki jest rząd w Warszawie, polityka polska na Litwie i Białej Rusi jest reakcyjna, bo nią być musi. Jeżeli nawet w Warszawie u steru będą demokraci, ludowcy lub nawet socjaliści polscy z PPS, polityka polska na „Kresach Wschodnich” będzie zasadniczo reakcyjna; inną bowiem być tam nie może, bo nie znalazłaby podłoża. Czuje to dobrze prawica w Polsce i dlatego popiera interwencję Polski na Wschodzie; wzmacnia to bowiem jej stanowisko w kraju, w polityce wewnętrznej, a co też jest dla niej bardzo ważne – przepaja wojsko, operujące na Wschodzie, ideami reakcji i solidaryzmu z elementami konserwatyzmu społecznego i ideologii przemocy i niewoli. Czują to też obszarnicy na Litwie i Białej Rusi i nie obawiają się albo bardzo mało się obawiają radykalizmu warszawskiego, bo kto mądrzejszy z nich, ten wie, że Polska musi tam im służyć i na nich się opierać.

22 września, rok 1919, poniedziałek
Miałem dzisiaj sesję karną I instancji. Trwała do godz. 8 wieczorem, ale była bardzo nudna. Najnudniejsze są dla mnie zawsze sprawy o znieważenie policjantów, opór władzy i usiłowanie przekupienia urzędnika. Spraw tych kategorii jest teraz pełno, a dzisiaj miałem kilka z dwóch pierwszych grup (znieważenie policjanta i opór władzy). Gdyby to chodziło o jakiś poważny opór w jakimś wielkim zajściu, to mogłoby być ciekawie, ale zazwyczaj są to sprawy bagatelnych zajść, nie mających żadnej głębszej wagi: jakieś zajście z sołtysem, nawymyślanie policjantowi w sprzeczce, a co do łapówek – to zawsze jakieś drobne i najczęściej sprowokowane przez nietakt samego policjanta.
Ciekawy jest teraz zwrot w sytuacji wewnętrznej w Polsce. W składzie osobistym rządu i w polityce wewnętrznej daje się niewątpliwie dostrzec spotęgowanie się reakcji, jednocześnie zaś silna PPS, która w początkach republikańskich rządów w Polsce była stronnictwem rządzącym i do ostatnich jeszcze czasów trzymała się linii oportunistycznej, zwróciła się teraz radykalnie do opozycji i orientuje się w kierunku wyraźnie rewolucyjnym. Dopóki w rządzie Padarewskiego trwały w stanie szczątkowym dawne elementy z tzw. rządu „włościańsko-robotniczego” i dopóki PPS mogła liczyć na powrót do władzy drogą ewolucyjną, dopóty była ona opozycyjnie miękką, pełną kompromisu, skłonną do wojny na wschodzie, do polityki kresowej, do

[253] Polska Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska Cieszyńskiego (Galicyjska Partia Socjaldemokratyczna, Socjaldemokratyczna Partia Galicii), partia socjalistyczna założona 1892 we Lwowie, działająca w zaborze austriackim formalnie w strukturze Socjaldemokratycznej Partii Austrii. Od 1904 r. ściśle współpracowała z PPS. Po wybuchu I wojny światowej należała do Naczelnego Komitetu Narodowego. W okresie odbudowy państwa polskiego przywódca partii I. Daszyński był premierem Rządu Ludowej Republiki Polskiej. W 1919 r. partia weszła w skład PPS.

militaryzmu nawet, bardzo jaskrawie przeciwstawiającą się komunistom; w ogóle popierała ona budownictwo państwowe trybem ewolucji i współpracy z burżuazją, stanowiąc jeno lewe skrzydło scałkowanego bloku narodowego. Walczyła ze skrzydłem prawym, ale w ramach koncepcji scałkowanego społeczeństwa narodowego. Głębszy rów dzielił ją od sąsiadów na lewo, komunistów, niż od społeczności burżuazyjnej na prawo. Ze społecznością burżuazyjną tworzyła jeden świat, dzielący się wewnętrznie na kierunki i skrzydła, podczas gdy na zewnątrz była odcięta od komunizmu wspólnym dla całego świata burżuazyjno-narodowego szańcem. Teraz natomiast PPS odcina się kategorycznie od całego świata na prawo w społeczeństwie własnym i przeciwstawia mu się rewolucyjnie. W zakresie zagadnień społecznych, taktyki i haseł bierze ton zdecydowany i odwołuje się do mas dla wielkiej kampanii masowej. Do najjaskrawszych też haseł należy hasło „Precz z wojną!", które z całą bezwzględnością rzuca jako hasło bojowe przedsięwziętej kampanii. PPS rzuca wpływy swe na szalę i zdecydowana jest na walkę społeczną o własnych siłach. Od komunizmu dzieli ją jednak nadal stanowczo to, że nie rezygnuje ona ze swych ambicji nie tylko władzy, ale i przewodzenia w Narodzie. Chce być rzeczniczką Narodu i swoje metody, swoją wiarę jemu narzucić. Jest ona nadal partią nie tylko idei władzy społecznej, ale i narodowej. Rychło po wakacjach zbierze się znów Sejm. W ciekawą fazę wejdzie rozwój polityczny w Polsce.

23 września, rok 1919, wtorek
Czytuję „Głos Litwy", dziennik litewski w języku polskim, redagowany w Wilnie przez Michała Biržiškę. Pismo to podoba mi się. Czasami jest ono wprost świetne w subtelnej analizie obłudy, jaką uprawia prasa polska imperialistyczna w Wilnie, nie wyłączając „demokratycznego" „Naszego Kraju", szczując na Litwinów, prowadząc niesłychaną, iście machiavelską kampanię oszczerstw i prowokując konflikt zbrojny z Litwą Kowieńską, aby upozorować interwencję polską, a robi się to pod maską form quasi-demokratycznych i niby to sympatii i przyjaźni gorącej dla litewskiego ludu. Metody takiej obłudy, która dąży do rabunku i gwałtów w myśl najbrutalniejszego egoizmu, ma na ustach frazesy najszlachetniejszych kwiatów kultury ludzkiej – miłości, sprawiedliwości, obrony uciśnionych, bezinteresowności, demokracji, postępu, wolności, praw ludu itd., itd. – są dziś w praktyce u wszystkich narodów. Nie jest to wcale smutnym przywilejem Polaków w Wilnie. Proszę pojechać do Kowna, do Pragi Czeskiej, do Berlina, do Bukaresztu, Sofii itd., a wszędzie się zaobserwuje to samo. Każdy we własnych ustach jest świętym szlachetnym niewiniątkiem, skubanym i krzywdzonym przez złośliwych przewrotnych sąsiadów, którzy myślą jeno o rabunku i czyhają na okazję gwałtu, by podeptać słuszne prawo i sprawiedliwość. Każdy jest jedynym aniołem, otoczonym zgrają bandyckich szatanów. Taki sam „Głos Litwy" mogliby założyć w języku litewskim Polacy w Kownie. Ale ponieważ w Wilnie Polacy są stroną silną i przeto prowokującą, więc rola mówiących prawdę i demaskujących obłudę należy do Litwinów. Rolę tę spełnia Biržiška w „Głosie Litwy" po mistrzowsku. Demaskuje on z subtelną ironią, z ostrym skalpelem analizy, od której nic się ukryć nie daje, ze szczerym wyczuciem prawdy nikczemną prowokację, jaka się względem Litwy ze strony polskiej w Wilnie uprawia. I zaiste więcej można mieć szacunku dla jakiegoś Obsta[254] z „Dziennika Wileńskiego" lub dla obszarników kresowych, którzy prosto z mostu bez osłon frazesem i obłudy tną swoją brutalną „prawdę" zaborów i panowania, przyznając, kim są, czego pragną i do czego dążą, niż do tych „demokratów" i „rzeczników ludu", którzy dążą do tegoż, lecz drogą kłamstwa i obłudnych frazesów

[254] Obst Jan (1876-1954), dziennikarz, zwolennik ND, 1911-1915 red. nacz. „Gazety Codziennej 2 Grosze" w Wilnie, 1916-1918 i 1925-1933 „Dziennika Wileńskiego".

miłości i prawa, prostytuujących najszlachetniejsze hasła Ludzkości. Szlachetniejszy jest fanatyk, który zabija z nienawiści, niż jezuita lub pełny miłości ojciec duchowny ze Świętej Inkwizycji. Babulka, która dorzuciła swoją trzaskę do stosu, na którym spłonął Huss, spełniła czyn podmiotowo zacny i uczciwy; natomiast nie może być nigdy uczciwym robienie czegoś przeciwnego głoszonym tezom i hasłom, zwłaszcza gdy tezy są przepojone najwznioślejszymi kwiatami ludzkiego ducha, a czyny są kierowane pospolitymi instynktami zaboru, chciwości, gwałtu.

24 września, rok 1919, środa
Miałem dziś sesję apelacyjną z ławnikami dyrektorem Roszkowskim i robotnikiem Jarosińskim. Na wokandzie były same sprawy leśne. Sesja zakończyła się koło godz. 5 po południu.
Głowa mię coś dzisiaj bolała; zdaje się, żem się przeziębił trochę, bo już nastały słotne dnie jesienne.

25 września, rok 1919, czwartek
Znowu prokuratura skierowała jedną sprawę do sądu doraźnego. Tym razem jednak jest to sprawa, w której kara śmierci oskarżonemu nie grozi. Sądy doraźne bowiem obowiązane są stosować karę śmierci tylko w tych wypadkach, w których kodeks karny orzeka co najmniej karę ciężkiego więzienia. We wszystkich zaś innych wypadkach, w których są przewidziane kary lżejsze, sądy doraźne obowiązane są orzekać karę ciężkiego więzienia od lat 8 do 15 albo bezterminowego. W żadnym razie nie może być wyrzeczona kara niższa od lat 8 ciężkiego więzienia. Artykułu 53 kodeksu karnego, dającego sądowi prawo obniżania ustawowych wymiarów kar na skutek okoliczności łagodzących, sądy doraźne stosować nie mogą. W liczbie przestępstw, które ulegają sądownictwu doraźnemu, jest uszkodzenie telegrafu. Tego właśnie przestępstwa dotyczy sprawa, przekazana obecnie przez prokuraturę sądowi doraźnemu. Jakiś chłop spod Goworowa ukradł słup telegraficzny – na opał. W pojęciu tego chłopa, jest to zapewne bardzo niewinna kradzież, jeżeli w ogóle uważa on to za kradzież, bo własność skarbową, która może być zdatna do jakiegoś dla chłopa użytku, większość chłopów w Polsce nie uważa za przedmiot nietykalnej własności. Gdyby nie kwestia telegrafu, byłaby to kradzież pospolita i drobna, ulegająca właściwości sądu pokoju; miałby za nią chłop najwyżej kilka miesięcy więzienia albo i mniej. Ale że to się kwalifikuje nie jako kradzież, lecz jako uszkodzenie telegrafu, chłop ulega sądzeniu przez sąd doraźny i o ile kwalifikacja oskarżenia się w wyroku utrzyma, grozi mu nie mniej, niż 8 lat ciężkiego więzienia! Kara ta jest niewspółmierna z winą, zwłaszcza w stosunku do świadomości prawnej polskiego ludu, ale taką jest wola ustawodawcy. Zresztą wątpię, czy uznamy na sądzie doraźnym uszkodzenie telegrafu, bo możliwa jest tu prosta kradzież, a w takim razie przekażemy sprawę na drogę postępowania sądowego zwyczajnego. Chłop twierdzi, że słup był powalony, więc zabierając go na opał, nie uszkodził telegrafu.
Tym razem już przewodniczyć będzie na sądzie doraźnym Skarzyński. Moja rola, jako przewodniczącego tego sądu, z chwilą powrotu Skarzyżskiego z urlopu – skończona. Stracenie bandyty Cańki nie gryzie mojego sumienia. Ciężko mi było, dopóki on żył. Gdy wyrok został wykonany, ciężar spadł mi z serca. Straszne jest tylko wydanie wyroku i poczucie męki, jaką znosi skazaniec do chwili wykonania wyroku i w samym momencie tracenia. Poza tym nawet, jeżeli tylko istotnie kara śmierci może mieć skutek zastraszający, jest ona w pewnych momentach zbrodniczego rozprzężenia społecznego uzasadniona. Ludzkość bowiem nie jest tak idealna w masie swojej, aby bez ostrych się obeszła czasem działań. Humanitaryzm nie jest też identyczny z czułostkowością i wyrwanie zła z korzeniem, choćby kosztem życia czyjegoś, bywa czasem konieczne i

zbawienne. Ofiary nawet w postępie są konieczne, tym bardziej więc byłaby dopuszczalną ofiara bandyty. Trzeba mieć w sobie moc postanowienia i dokonania nawet rzeczy strasznej, gdy tego wymaga konieczność albo obowiązek. Toteż w wyroku na Cańkę skazany on został większością głosów sędziego Piwkowskiego i mojego przeciwko głosowi sędziego Makowskiego, który głosował za bezterminowym ciężkim więzieniem, uznając w czynie Cańki „nader ważne okoliczności łagodzące", a raczej *ad hoc* zmyślając te okoliczności dla uniknięcia wyroku śmierci. Piwkowski też się wahał, ale podał wreszcie głos na rzecz kary śmierci. Do mnie należała decyzja, bo mój głos miał przeważyć. Zawahałem się. Ludzkie uczucie litości znalazło się w kolizji z twardym obowiązkiem sędziego. Żadnych szczególnych, czyli podług terminologii ustawy – „nader ważnych" okoliczności łagodzących w czynie i w osobie Cańki nie dostrzegłem. Po chwili wyrzekłem karę śmierci.
Jedną mam tylko wątpliwość – czy istotnie zastraszający czynnik kary śmierci, który jest jej uzasadnieniem – jest skuteczny. Można mieć pewność, że niektórych zbrodniarzy groźba kary śmierci powstrzyma, ale za to inni mogą ze względu na większe niebezpieczeństwo kary – zręczniej zbrodnię zorganizować, aby ją zrobić nieuchwytną – zarazem krwawiej ją wykonać. Na skutek kary śmierci może będzie zamiast czterech napadów bandyckich tylko jeden, ale za to ten jeden będzie połączony z morderstwem, aby nie zostawić żywych świadków zbrodni.

26 czerwca, rok 1919, piątek
Marynia pisze, że jej córka Ewa wychodzi za mąż za młodego Konstantego Meyera i że ślub, którego młodzi nie chcą odkładać, odbędzie się w listopadzie. Meyer jest młodym chłopcem, który niedawno skończył gimnazjum w Wilnie – zdaje się, że jednocześnie z Ewą, to znaczy na wiosnę r. 1918, potem był w szkole wojskowej i obecnie jest porucznikiem w wojsku polskim. Meyera znam tylko z fotografii, którą widziałem na biurku u Ewy, gdy mieszkała ze mną i którą teraz w mundurze porucznika widziałem u Kotuni, przysłaną przez Marynię. Jest to chłopiec młodziutki i, jak się zdaje, bardzo przystojny. Że Ewa z Meyerem się kochają – o tym wiedziałem, bo gdy była w Łomży, ciągle z nim korespondowała i przypadkowo dostrzegłem, że są na „ty". Meyer jest teraz na froncie, toteż Ewa, po wyjściu za niego, pozostanie jeszcze u matki i nadal studiować będzie na Uniwersytecie Wileńskim, który się obecnie otwiera pod nazwą Uniwersytetu Stefana Batorego.
Charakterystyczne jest to, że młody Meyer, przyszły mąż Ewy Römerówny, nie jest wcale nawet szlachcicem. Jest on, o, zgrozo! – mieszczaninem z pochodzenia! Jeszcze przed kilku laty, przed wojną, rzecz ta wywołałaby zgorszenie, jeżeli nie skandal w naszej rodzinie. Sama Marynia i Ewa dawno się wyzwoliły od przesądów stanowych szlachectwa, ale dla ogółu naszej rodziny, pomnej tradycji stosunków arystokratycznych, małżeństwo Römerówny nawet ze szlachcicem *minorum gentium*, jak np. taki Tanajewski, byłoby ciosem dotkliwym, a cóż dopiero związek małżeński Römerówny z mieszczaninem. Przed laty 10 patrzono się w rodzinie naszej z przykrością na małżeństwo Elwiry ze Stefanem Mieczkowskim, należącym chociaż do podupadłej, ale przecież do szlachty ziemiańskiej. Na ten mezalians Elwiry, nie okupiony w dodatku fortuną, której Stefan Mieczkowski nie miał, patrzono jednak przez szpary, bo Elwira miała lat przeszło 30, toteż rozumiano, że było to dla niej jedyne wyjście ze staropanieństwa; godzono się więc na to jako na wyjątek, wytłumaczony okolicznościami natury osobistej. Ale żeby Römerówna, młoda, rokująca nadzieje, dzielna, wykształcona i rozumna, bez koniecznej potrzeby wychodziła za jakiegoś mieszczanina Meyera – byłby to skandal. Dziś jednak zaszły w psychologii naszego środowiska ziemiańskiego, a w szczególności i naszej rodziny –

duże zmiany. Wojna sama przez się starła dużo przegródek stanowych, a rewolucja, która przyszła po niej i wciąż jeszcze grozi, zdeptała i zmaltretowała pychę arystokratyczną. Dziś świat się coraz bardziej dzieli nie na przedziały stanowe i kastowe, oparte na rodowych pierwiastkach, ale na obozy klasowe, narodowe i przekonaniowe. Mieszczanin, który służy oficerem w wojsku polskim, walczącym na Litwie z bolszewikami, jest człowiekiem swoim, należy bowiem do tegoż wielkiego obozu kontrrewolucji, który w dzisiejszym momencie dziejowym jest istotniejszy od obozu arystokracji lub szlachty. A swoją drogą, taką np. Elizkę Komorowską lub jej syna Hektora małżeństwo Ewy z mieszczaninem Meyerem będzie raziło i bolało w głębi jako akt degradacji arystokratycznej naszej rodziny. Nie ulega jednak wątpliwości, że pomimo jedności formalnej obozu kontrrewolucji, taki Meyer będzie pierwiastkiem demokratyczniejszym i z lepszej nieco gliny, niż nasza szlachta.

27 września, rok 1919, sobota
W ostatnich czasach zatarg polsko-litewski znów, jak w lipcu, znalazł wyraz w bezpośrednim starciu orężnym oddziałów litewskich z polskimi w kilku punktach linii demarkacyjnej. Znowu, jak w lipcu, naprężenie stosunków doszło do punktu kulminacyjnego i wojna polsko-litewska, którą uważałbym za nieszczęście, wisi na włosku. A materiału zapalnego i chęci do sprowokowania wojny z obu stron aż nadto dużo. Jeżeli coś jeszcze wstrzymuje Polaków i Litwinów od rzucenia się na siebie i formalnego rozpoczęcia wojny, to tylko wzgląd na Koalicję. Polacy, rozzuchwaleni powodzeniem na Białej Rusi, upojeni zwycięstwami nad bolszewikami, przejęci dumą ze swego stanowiska przodującego na wschodzie, które w ich ręce daje rozstrzygający wpływ na problemy organizacji wschodu, z coraz bardziej rosnącą niechęcią widzą litewski skrawek ziem b. Rzeczypospolitej, uchylający się od ich przewagi i woli, w ich pojęciu – arogancki, urągający mocarstwowej sile Polski na wschodzie, organizujący się jawnie przeciwko niej, a co więcej – nie rezygnujący ani na chwilę z tego, co Polska za swoje prawowite dziedzictwo i prawo uważa. Polacy, przeświadczeni o swojej bezwzględnej przewadze militarnej nad drobną armią litewską, której pogrom byłby szybki i radykalny, z oburzeniem spoglądają na Litwinów i na ich Litwę Kowieńską, państewko – „Taryby”. Prąd na rzecz zbrojnej interwencji na Litwę rośnie. Wilno i obszarnicy polscy hołdują temu prądowi bezwzględnie. Wilno polskie nie czuje się bezpieczne, dopóki w Kownie rządzi „Taryba” i dopóki w bezpośrednim od niego sąsiedztwie organizuje się i trwa Republika Kowieńsko-Litewska, która otwarcie upomina się o Wilno jako stolicę Litwy. Obszarnicy polscy na całej Białej Rusi i na zajętych przez Polaków częściach Litwy z niepokojem spoglądają na tę Republikę Litewską, gniazdo rządów chłopskich, z której, po odpędzeniu bolszewików, wyrasta nowa hydra radykalizmu chłopsko-agrarnego, grożącego kontynuacją rewolucji na wschodzie. Wreszcie Narodowa Demokracja w Polsce, która do niedawna jeszcze rezygnowała z apetytów na ziemie etnograficznie litewskie, wyrażająca co do ziem historycznej Litwy program podziału ich między Litwinów (bardzo mocno okrojona Litwa etnograficzna), Polską (Wilno z całą Białą Rusią katolicką, włącznie z Grodzieńszczyzną i może Mińszczyzną) i Rosją (Białoruś prawosławna wschodnia i północna) obecnie, dążąc torami imperializmu, coraz bardziej się skłania do wielkiej mocarstwowej koncepcji Polski na wschodzie, o pewnym zacięciu polityki kolonialnej, której to koncepcji zawadza drobna Republika Litewska.

28 września, rok 1919, niedziela
Pokłóciłem się dziś z Ezechielem Pruszanowskim. Jestem człowiekiem b. pokojowo usposobionym, z natury b. łagodnym i unikającym sprzeczek. Toteż rzadko mi się

zdarza z kimś pokłócić, a gdy się zdarza, to zazwyczaj nie ja jestem inicjatorem kłótni. I w tym też wypadku nie ja wywołałem kłótnię z Ezechielem. Ezechiel należy natomiast do rodziny, w której kłótnia jest chlebem powszednim. Całe rodzeństwo jego jest między sobą pokłócone. Sam też Ezechiel, chociaż się już uchodził przez Kotunię, z natury łagodną mimo stanowczości, jest krewki i skory do zaczepki, a umiejętność i zamiłowanie do przypięcia komuś łatki i do złośliwości jest już w jego naturze. Ze mną się jednak nigdy dotąd Ezechiel nie pokłócił, nie tylko dlatego, że jestem łagodny, ale też dlatego, że nigdy nie brałem poważnie jego uszczypliwości, jeżeli sobie nawet kiedykolwiek na nią względem mnie pozwolił; znając Ezechiela, jego kapryśną i skłonną do dziwactwa naturę, nie brałem na serio nigdy jego wygadywania i ekscesów słownych, o które u niego b. łatwo; zresztą nie jestem obraźliwy, zwłaszcza względem kaprysów Ezechiela. Traktowałem te jego słabostki dziwactwa pobłażliwie, co on, zdaje się, czuł doskonale i zapewne dlatego miarkował się wobec mnie, nie chcąc doznawać pewnego upokorzenia, jakie się zawsze mieści w pobłażaniu. Miał on zawsze nie tylko świadomy szacunek, ale i pewne podświadome uszanowanie względem mnie, bo lekceważenie moje automatycznie ucierało rogów jego kaprysom i ewentualnym zaczepkom.
Że się jednak teraz od dłuższego czasu spotykamy bardzo często, gdyż byłem u Pruszanowskich prawie codziennym gościem, i że Ezechiel jest bardzo w tych czasach znerwowany, co wpływa ujemnie na jego humory i kaprysy, więc dziś doprowadził do kłótni i do zatargu między nim a mną. Poszło o rzecz bagatelną, która zaiste funta kłaków niewarta. Wspomniałem u Pruszanowskich o tym, że ziemianie z „kresów", to znaczy z ziem Litwy i Białej Rusi, zajętych przez wojska polskie, wracając po wygnaniu bolszewików do swych majątków, rzucają się, jak mi opowiadał młody Duszyński, brat sędziego, podprokurator, który jeździł w ubiegłym tygodniu do Mińszczyzny – do rabunkowej wysprzedaży lasów w ręce spekulantów Żydów. Wyraziłem się o tej metodzie dewastacyjnej ujemnie. Nie ja jeden bynajmniej potępiam takie rabunkowe obchodzenie się z własnością ziemską; ten sam Duszyński, który jest tak daleki od radykalizmu społecznego jak ziemia od nieba, uważa rabunkową wyprzedaż przez ziemian lasów Żydom na spekulację – za rzecz społecznie szkodliwą i nie stanowiącą bynajmniej ani chluby, ani tytułu do zasług obywatelskich. Nawet najzagorzalsi zwolennicy prywatnej własności ziemskiej i jej nietykalności traktują przecie własność ziemi i lasów oraz wszelkich bogactw naturalnych, które są elementem bądź terytorium krajowego, bądź bogactwa narodowego, nieco inaczej, niż własność np. kawałka papieru lub pudełka zapałek, które mam w kieszeni, które mogę bezkarnie i bez żadnego dla nikogo uszczerbku spalić, zniszczyć lub co mi się podoba z nim zrobić, zależnie od mojej fantazji i widzimisię. Każdy rozumny rzecznik prawa własności prywatnej dziś przyzna, że własność ta ma o tyle uzasadnienie i winna być społecznie nietykalną, o ile, jako instytucja współżycia ludzkiego, pełni ona jakąś funkcję użyteczną. Własność, jako koncepcja anarchicznego przywileju niszczenia bogactw, nie ma wyznawców, chyba pośród ludzi głupich lub antyspołecznych albo hołdujących pojęciom, które są po prostu archaicznymi i zresztą chyba tylko zawsze głupimi, bo nawet za czasów najwyższego ubóstwiania własności prywatnej, wolnej od jakichkolwiek więzów społecznych, tkwił w niej i uzasadniał ją pierwiastek użyteczności publicznej. Szczególnie to się stosuje do własności ziemskiej i takich tejże form i konsekwencji, jak własność prywatna lasów. Ale Ezechiel nagle wściekł się i wybuchł. Zaczął mi zarzucać socjalizm, a gdym mu usiłował wytłumaczyć rzecz i wykazać myśl nawet ze stanowiska społecznego uzasadnienia własności, obracał kota do góry nogami i, nie słuchając toku logicznego argumentów, zaczął się zacietrzewiać jak nieprzytomny. Na nic była rozmowa. Mogę zrozumieć psychologię

sterroryzowanych rewolucją, bolszewizmem wreszcie nawet legalną reformą agrarną ziemian, ale uzasadnić racjonalizm i zasadność dewastacji majątków, choćby pod firmą własności – tego ani ze stanowiska społecznego, ani nawet moralnego nie mogę. Długo byłem cierpliwy, ale Ezechiel się wściekał coraz bardziej. Dokończę o tym jutro.

29 września, rok 1919, poniedziałek
Dokończę o wczorajszej kłótni mojej z Ezechielem. Zdawało mi się, że przedmiot naszej sprzeczki nie jest wcale taką dla nas obojga bolączką, żeby mógł w sprzeczce doprowadzić do ostrzejszej scysji: ot – pospolita różnica poglądów, namiętne zaś zacietrzewienie Ezechiela przypisywałem po prostu jego kaprysowi i więcej zmysłowi przekory, niż istotnemu przekonaniu. Toteż bagatelizowałem jego wybuch polemiczny, operujący zresztą bardziej uczuciem, niż logicznymi argumentami. Nie wziąłem tylko tego pod uwagę, że dla Ezechiela kwestia ta jest właśnie najdrażliwsza, która go najwięcej porusza. Agrarne ruchy chłopskie na Białej Rusi w związku z bolszewizmem rosyjskim zniszczyły jego oba majątki, Bielcz i Robertów, które zostały spalone, następnie wygnały jego z rodziną na tułaczkę bezdomną, odcięły od bytu, do którego przywykł, od dochodów, które mu pozwalały na życie próżniacze bez troski, zdeklasowały go, doprowadzając do tego, że musi znosić, aby córki jego się rozproszyły w poszukiwaniu posad zarobkowych, a on sam z żoną i z dwiema najmłodszymi dziewczynkami zmuszony jest, aby żyć, sprzedawać i zastawiać ostatnie kosztowności, drżąc o jutro, gdy się te ostatki wyczerpią. Toteż nienawiść jego do chłopów pała zemstą śmiertelną, że gotów byłby z nich pasy darć, i jednocześnie jest wciąż jeszcze sterroryzowany, nie wiedząc, czy będzie mógł wrócić spokojnie i być bezpiecznym w majątku nawet wtedy, gdy wojska polskie wyrzucą stamtąd bolszewików, czego w pesymizmie swym nie jest pewien, tym bardziej, że nie wie, jaka będzie przynależność państwowa tego terytorium między Berezyną a Dnieprem, gdzie położony jest Bielcz, i że nawet w samej Polsce Sejm jest chłopski i uchwala chłopską reformę agrarną. Sam on przeto marzy nie o czym innym, jak o zdewastowaniu wszystkiego, co się da, gdyby się udało dorwać do Bielcza i do swoich lasów, byle napełnić kieszenie własne, a jeżeli przez to zuboży kraj, to tym lepiej, bo to w jego przekonaniu kraj wrogi, kraj „mużyków" białoruskich, dla których żadnych zgoła względów mieć nie należy. Potrąciłem więc o najboleśniejszą strunę Ezechiela. Unosząc się coraz bardziej, zaczął mi wreszcie docinać *ad personam*, aż na koniec wstał, i chodząc w poruszeniu, zaczął mi prawić impertynencje. Wstałem wtedy i ja i, nie żegnając się z nim wyszedłem, ucałowawszy jeno Kotunię. Ezechiel należy do ludzi, którzy wybuchają prędko, ale też nie są łatwi do zapomnienia i do uznania swojej winy, a przeciwnie – coraz bardziej się zagalopowują i w coraz większe wpadają zapamiętanie, im dłużej coś rozważają. Napompowują się oburzeniem coraz większym, tym bardziej, że im dalej, tym mniej pamiętają rzeczywistość i tym więcej ją widzą w świetle własnej imaginacji. Myślałem, że może Ezechiel zrobi krok do pojednania dziś, bo on powinien go uczynić, a mógłby to zrobić tym łatwiej, że dziś moje imieniny – ale nie zrobił tego. Widocznie jest napompowany oburzeniem, które w nim po moim wyjściu jeno urosło, przekształcając w jego umyśle moje tezy w zgoła inne. Żałuję przecież, że się tak stało, bo dom Pruszanowskich był tutaj dla mnie jedynym zakątkiem rodzinnym, w którym mogłem swobodnie spędzać wieczory.
Dziś dzień św. Michała, mego patrona. W Bohdaniszkach na imieninach Papy, na tradycyjny św. Michał – jest pewno pusto i smutno; chyba tylko jedna Elizka Komorowska z dzieci Papy mogła mu dziś złożyć powinszowania i życzenia. Jest także z pewnością Piotr Rosen z Gaczan, zapewne Zyś Komorowski, Hektor i może p. Jan Przeździecki z Rakiszek.

Ja nie po solenizancku spędziłem ten dzień św. Michała, dzień jesienny, w którym z rana o godz. 8 huczała burza, jak latem, a potem powietrze ochłodło i na wieczór było zimno i dżdżysto. Miałem w sądzie sesję I instancji, nudną, ale przynajmniej krótką. Kancelarie sądu były nieczynne z powodu święta parafialnego w Łomży, tylko ta jedna sesja cechowała robotę i właśnie ja, solenizant, ją prowadzić musiałem. Otrzymałem bilecik z powinszowaniem jedyny od p. Lusi Roszkowskiej, która mi w ten sposób odpłaciła za kwiaty, które jej w maju na imieniny posłałem za czasów mojej do niej „miłości"; wieczorem otrzymałem też depeszę zbiorową z powinszowaniem od moich poczciwych i kochanych przyjaciół z Kolna, którzy zawsze serdecznie pamiętają o mnie – od Franciszka Stachelskiego, rejenta Płońskiego i adwokata Goldberga. Depesza ta mię wzruszyła. Podziękowałem wszystkim trzem telegraficznie.

30 września, rok 1919, wtorek
Śliczny był dziś słoneczny dzień, chociaż dosyć chłodny. O godz. 5 po południu odbyłem z sędzią Tramplerem dłuższy spacer w okolice Łomży za drugi most na Narwi. Przez sierpień i wrzesień byłem tak zajęty, że literalnie ani pomyśleć nie mogłem o spacerach i poznaniu nawet najbliższych okolic Łomży, które ze względu na piękną dolinę Narwi są dosyć ładne. Teraz mam więcej czasu wolnego, ale już jesień nastaje. Czuć już ją na każdym kroku i widać. Wieczorem z mieszkania mego, z którego mam widok przepiękny, obserwowałem barwy zimnego i bardzo pogodnego wieczoru jesiennego po zachodzie słońca: pas nieba dolny wzdłuż horyzontu reflektował czyściutkie przejrzyste barwy wszystkich tonów tęczy – od purpury do seledynu; u dołu rozciągała się rozległa panorama widoku z brunatno-białawą chmurą mgły z oparów, podnoszących się z doliny Narwi. Długie wieczory jesienne spędzam teraz w domu. Wiodę tutaj żywot już nie tylko samotnika, ale poza sądem – nieomal pustelnika. Napisałem staranny ładny list do Ewy z powodu jej projektowanego małżeństwa.

1 października, rok 1919, środa
Miałem moją sesję apelacyjną. Na wokandzie były same kradzieże – 15 spraw. Ławnicy, wyznaczeni na dziś – Długoborski i Godlewski – nie przybyli wcale. Opóźnienie się ławników albo nieprzybycie wcale – jest plagą sesji karnych. Na sesje apelacyjne wzywam ich na godz. 9 rano. Przed 10 nigdy ich nie ma; na to się nawet nie liczy wcale; czeka się do godz. 11; gdy ławników do g. 11 nie ma, dopiero rozpoczyna się łapanie na mieście ławnika spośród miejscowych, który by zgodził się usiąść na sesji zamiast kolegi zamiejscowego, który nie przybył; daje się gońcowi Ładzie całą gromadkę zaproszeń do poszczególnych ławników łomżyńskich i on lata po mieście, poszukując ofiarę, która by się zgodziła poświęcić na siedzenie; okazuje się wtedy, że ten nie może, bo jest zajęty, tamten wyjechał do Warszawy, trzeci jest chory itd. W ten sposób rozpoczęcie sesji się opóźnia coraz dalej, a za to potem wieczorem sesja się przewleka w nieskończoność. Zamiast ławnika z obowiązku, który nie przybył, trzeba szukać ławnika z łaski. Gdy się wreszcie któryś łaskawie zgodzi, okazuje się, że może usiąść dopiero po obiedzie. Tak było i dzisiaj. Udało się pozyskać Romana Bielickiego i jako drugiego – dr Szymona Goldlusta, Żyda, dyrektora gimnazjum prywatnego. Ale Goldlust ofiarował swoje usługi dopiero od godz. 2 po południu. Musiałem więc rozpocząć sesję dopiero po obiedzie. Za to trwała ona, z przerwą od godz.7 ½ do godz. 8 ½ – aż do 11 wieczorem.
Ze spraw apelacyjnych z sądów pokoju sprawy o kradzież są względnie najlepiej postawione, toteż do sądzenia w apelacji najłatwiejsze. Kradzież – to najpospolitsze w życiu powszednim przestępstwo i najmniej przedstawiające trudności dla klasyfikacji prawnej. Bywa czasem trudną kwestia ustalenia faktu – to rzecz inna – ale gdy fakt

kradzieży i winy z okoliczności został ustalony, to sama kwestia o tym, czy dany czyn ma cechy kradzieży czy nie – nie nastręcza naszym sądom pokoju trudności, jak również łatwym jest zastosowanie sankcji karnej za kradzież. W zakresie tego przestępstwa sądy pokoju błądzą najmniej. Najgorszy i najniedołężniejszy sąd pokoju, nie wyłączając takich ananasów sądownictwa okręgu łomżyńskiego, jak sąd pokoju w Stawiskach lub w Piątnicy, wyjątkowo się chyba pomyli, aby pospolitą kradzież zakwalifikować nie jako kradzież, lecz jako coś innego. Ale za to w innych sprawach pożal się Boże, co za kawały. Trafiają się one w wyrokach naszych sądów pokoju w sprawach karnych, mimo że w zakresie sądownictwa karnego do właściwości sądów pokoju należą najprostsze przestępstwa. Sądzenie spraw karnych w wydziale apelacyjnym – to zaiste sztuka chirurgii prawniczej – operowanie wyroków I instancji. Szczególnie różne odcienie samowoli, uszkodzenia cudzego mienia i liczne drobne wykroczenia typu wykroczeń policyjnych są przedmiotem przedziwnej nieraz jurysprudencji tych sądów, która bardzo często nie ma zgoła nic wspólnego już nie tylko z zasadami albo konkretnymi przepisami prawa, ale nawet z pospolitą logiką. Nawet te nieliczne sądy pokoju, w których zasiadają sędziowie prawnicy, jak w Łomży lub Ostrołęce (wyjątek stanowi sąd pokoju w Mazowiecku z doskonałym sędzią Wysockim oraz obecnie, zdaje się, sąd w Ostrowiu, odkąd mianowany tam został nowy sędzia na miejsce Grąbczewskiego i do niedawna sąd w Kolnie, dopóki tam był po mnie sędzia Święcicki, znakomity i bardzo staranny prawnik) nie są wolne od dziwacznego ujmowania jurysprudencji karnej. Zdarzają się u mnie sesje apelacyjne, na których są same kurioza. Są czasem takie dziwactwa, że boki zrywać ze śmiechu, jakby to był tworzony na obstalunek doborowy materiał dla humorysty w stylu. Oto np. kwiatek taki z orzecznictwa karnego sądu pokoju w Piątnicy: ktoś po jakimś weselu czy zabawie, zapewne podchmielony, wracając do domu, może na złość sąsiadowi, a może dla uciechy, bębnił pałką po drewnianej ścianie czyjegoś domu. Gospodarz tego domu, któremu to przeszkadzało spać, oburzony, zaskarżył owego nocnego gościa do sądu pokoju za to, że mu dokucza. Jakże musiał się napocić biedny ławnik, zastępca sędziego pokoju w Piątnicy – bo stanowisko sędziego tam wakowało – aby znaleźć kwalifikację prawną dla czynu oskarżonego. Nie ma w Kodeksie takiego artykułu, który mówi o bębnieniu pałką po ścianie domu! Co tu robić? Toć przecie bębnił i nie powinno mu to ujść bezkarnie. I jakże musieli się napracować biedaczyska ławnicy z sekretarzem sądu do pomocy, jak mozolnie przewertować cały kodeks, aby wyszukać artykuł „podobny", artykuł, o którego istnieniu nawet ja, prawnik, dopiero z tego wyroku się dowiedziałem, i jakiego kunsztownego dokonać procesu myślowego, by naciągnąć „analogię", niedopuszczalną zresztą w sądownictwie karnym. Oto skazano oskarżonego ni mniej, ni więcej, jak za ...wywołanie niepokoju publicznego przez uderzenie w dzwon alarmujący! *Sic*!

2 października, rok 1919, czwartek 1919
Zawsze jadam obiad samotnie, tymczasem dziś w porze obiadowej był u mnie niezwykły ruch. Przede wszystkim, gdym przyszedł na obiad, zastałem w mieszkaniu moim Kotuńkę. Spodziewałem się jej wizyty co dzień od czasu mojej kłótni z Ezechielem, bo domyślałem się, że zechce wystąpić w roli pośrednika między mężem i bratem. Dziwiło mię nawet, że tak długo się nie pokazała, wnioskowałem z tego, że Ezechiel ciągle jeszcze się nadyma i że nie jest skłonny do pojednania. Zdaje się, że istotnie pojednanie jeszcze nie dojrzało i że Kotuńka tymczasem przyszła tylko dla zbadania mego usposobienia jako jednej z podstaw do ewentualnej zgody. Przekonała się z rozmowy ze mną, że żadnej złości do Ezechiela nie mam i że z wielką chęcią się z nim pojednam. Kotuńka tłumaczyła, jak Ezechiel jest znerwowany, jak oni wszyscy

Pruszanowscy są kapryśni i kłótliwi, a jednocześnie rozpieszczeni egoiści, mówiła, jak Ezechiel w gruncie mię lubi i ceni, nadmieniła, że oczywiście Ezechiel powinien mnie przeprosić i że rzecz ta da się załatwić. Widocznie jeszcze Ezechiel dotąd nie dał się przez Kotuńkę urobić do przeprosin i zgody, sprawa ta, w gruncie bagatelna, musi wyszumieć się w jego imaginacji.
Druga wizyta, którą miałem w czasie obiadu, to była jakaś nieznajoma pani z córką, które przyszły obejrzeć moje mieszkanie; były to bowiem aspirantki do wynajęcia tegoż. Mieszkanie te miałem wynajęte u Wejrocha na cały rok – do św. Jana 1920. Ze względu jednak na to, że na zimę jest ono nieznośne z powodu chłodu i mroźnych ciągów, które zwłaszcza w czasie wiatrów robią je niemożliwym do wytrzymania bez względu na palenie w piecach, w związku też z zamierzonym moim wyjazdem do Kowna, zastrzegłem, że od 1 listopada opuszczę mieszkanie. Wejroch żadnych trudności nie czynił, bo wobec braku mieszkań w Łomży nie będzie ono ani przez chwilę stało próżne. Swoją drogą, b. żałuję tego mieszkanka, bo polubiłem je jak rzadko które: jest ono b. wesołe, jasne, słoneczne, ze ślicznym widokiem, wygodne dla mnie i b. zdrowe, bo suche i pełne powietrza. Szkoda mi go teraz, bo ewentualny mój wyjazd tak prędko jeszcze nie nastąpi, a tymczasem będę miał kłopot nie lada ze znalezieniem bądź mieszkania, bądź choćby pokoju i na pewno to, co znajdę, nie będzie tak miłe, jak to, co tracę.
Najważniejsza wszakże była trzecia wizyta. Była to p. Januszkiewiczowa, niezmordowana konspiratorka i rewolucjonistka, najczynniejsza agentka wszelkiej lewicowej akcji politycznej w Łomży, która przyszła dla zaangażowania mię do pewnej kombinacji politycznej. Chodzi o to, że wewnętrzna sytuacja w Polsce jest dziś w stadium ostrego przesilenia. W organizacji władz państwowych, w całej też administracji wewnętrznej jest chaos i nieład; sprawy takie, jak sprawa waluty, przemysłu, bezrobotnych, aprowizacji – są w stanie niezmiernie ciężkim, z którego nie ma wyjścia i które tworzy rozpaczliwe błędne koło. W kraju przeto jest ferment, ład społeczny jest podminowany niezadowoleniem mas, chłopi też się burzą i podniecają reformą agrarną, która nie posuwa się tak mocno i wyraźnie, jak by tego pragnęli. Ludność miejska, toczona rakiem bezrobocia, bez widoków uruchomienia przemysłu, zagrożona widmem katastrofy aprowizacyjnej, słaniająca się pod brzemieniem drożyzny, wprawdzie pozornej, bo na kryzysie waluty nade wszystko osnutej, ale niemniej dla mas pozbawionych gotówki i zarobku dotkliwej, jest w stanie wrzenia. Tymczasem wojna się toczy na wschodzie, pochłania ogromne koszta, absorbuje olbrzymi wysiłek państwa, któremu przeto brak środków do poważnego regulowania stosunków wewnętrznych, i nie tylko kosztuje dużo pieniędzy, ale też środki przewozowe itp.; w kraju szaleje paskarstwo i spekulacja, w stanie urzędniczym szerzy się korupcja. W ostatnich czasach na czoło wybiła się sprawa zapowiedzianego przez Związek Robotników Rolnych strajku agrarnego, który zagrażałby zbiorowi kartofli. Radykalne skrzydło ludowców i PPS, które do niedawna uprawiały politykę oportunizmu, zaczęły się spostrzegać, że niezadowolenie i ruch w masach narasta i w tendencjach swoich zdystansował politykę obu tych obozów, co zaczyna coraz skuteczniej działać na młyn nieustającej agitacji komunistów; ci ostatni, formalnie prześladowani, ale nieuchwytni, potężni zasobami pieniędzy, których dopływ obfity mają z Rosji, równie też potężni niezadowoleniem mas i ośrodkami ruchu żywiołowego, który opanowują z łatwością wszędzie obecnie, czujni, ruchliwi, nie tylko że nie tracą grunt pod nogami, ale zdają się coraz mocniej siedzieć w siodle. U góry chaos włada, bez konstytucji, rząd „fachowy” bez programu, krótkowidztwo prawicy bez linii kierunkowej, połowiczność i niedołęstwo. Sejm „suwerenny”, który

ma tylko jedną cechę wyraźną – gadatliwość, pozbawiony jest kości pacierzowej, jaką jest w każdym parlamencie większość.

3 października, rok 1919, piątek
Wracając do wczorajszego tematu, kontynuuję dalej. Otóż cała radykalna lewica gotuje się do przewrotu. Już nie tylko komuniści i tzw. „opozycja PPS", bliska komunistom, ale i sama PPS oraz lewe radykalne skrzydło PSL – zajęły stanowisko rewolucyjne. Na czoło wysunęła PPS i radykalni ludowcy z PSL hasła społeczne i polityczne o zdecydowanie jaskrawym zabarwieniu i zmieniły metodę ewolucjonizmu parlamentarnego na bezpośredni ruch masowy. W przekonaniu i dążeniach tych elementów najbliższy czas ma przynieść wypadki decydujące i doprowadzić do przesilenia. Z jednej strony ma być w Sejmie prowadzony atak na Sejm, z drugiej strony fermentuje i narasta fala strajkowa. Taka jest sytuacja w chwili, gdy po wakacjach zbiera się na sesję jesienną Sejm, w rządzie zaś, którego linia przesunęła się na prawo przez czas pokoju. Góra urodziła mysz. Nie było też groźnego nastroju sądu doraźnego. Sala była pusta. Ale za to biedny Kowalczyk nałykał się strachu. Można się spodziewać, że gdy drugim razem przyjdzie kraść drzewo do lasu rządowego, będzie starannie oglądać, czy czasem na drzewie nie wisi jaki obiekt. Gdym dziś dyżurował wieczorem w Klubie Wioślarskim, zobaczyłem Ezechiela. Obaj udaliśmy, że się nie widzimy.

4 października, rok 1919, sobota
Jest znowu tak ładnie, jak latem. Dni są słoneczne bez chmurki, a dziś i wczoraj jest po prostu gorąco. Wieczór dziś tak ciepły, jak latem w lipcu. Można siedzieć nago przy drzwiach na balkon otwartych; ani cienia wiatru, spokój, ciepła cisza w powietrzu, niebo pogodne, księżyc w pierwszej kwadrze świeci łagodnie. Jednak jest różnica w klimacie między Bohdaniszkami a Łomżą. Wszak to już październik, a nawet podług starego stylu wypadałaby druga połowa września. W Bohdaniszkach zaś już w ostatnich dniach sierpnia starego stylu paliłem zwykle w piecu; a choć to można położyć na karb zbytków, usprawiedliwionych tam łatwością darmowego opału, to przecież w każdym razie w drugiej połowie września piec już jest niezbędny. A tu jeszcze gorąco i co najmniej cały jeszcze październik można się bez opału obejść.
Wracam do tematu pozawczorajszego i wczorajszego. Podobno Piłsudski, zamierzając złożyć godność Naczelnika Państwa, zamierza jednak zachować Naczelne Dowództwo Armii. Gdyby zresztą nawet zechciano go z tego dowództwa zepchnąć, nie dałoby się to prawdopodobnie wbrew jego woli uskutecznić. Wojsko w ogromnej większości tak jest jemu oddane, że stanęłoby murem po jego stronie i nie dałoby sobie wydrzeć jego rozkazów. Do czego zmierza Piłsudski, jeżeli prawdą jest, że postanowił zrzec się godności Naczelnika Państwa, nie wiem. Że Piłsudski nie robi tego bez określonego planu – to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Piłsudski nie należy ani do ludzi, którzy się przesycają władzą i opuszczają ręce wobec trudności, uciekając w schówkę bezwładu, bo jemu zresztą nie o samą władzę chodzi, ale o cel wytknięty i o czyn, który do tego celu prowadzi, a dla którego władza jest środkiem, ani też do tych, którzy cokolwiek bądź robią bez określonego celu. Osoby, które przywiozły tę wiadomość z Warszawy, jak u nas w Łomży Stolnicki, prezes miejscowego oddziału Polskiego Stronnictwa Ludowego, członek zarządu głównego tegoż Stronnictwa i Bauer, robotnik, stojący w Łomży na czele PPS-u od czasu, gdy dr Czarnecki został powołany do wojska, wyrażają domniemanie, zaczerpnięte z kół rewolucyjnych z Warszawy, że Piłsudski gotuje się ewentualnie do dyktatury, aby, gdy zawiodły metody parlamentaryzmu i gdy sam Naród w osobie Sejmu nie umie urządzić spraw swoich,

dokonać budowy i konsolidacji państwowej oraz zorganizowania stosunków wewnętrznych ręką wielkiego Obywatela-Dyktatora. Prócz komunistów, cała niemal Polska nie jest daleka od przyjęcia zasady Dyktatury osobistej i jako osoba Dyktatora wskazywany jest właśnie nie kto inny, jak Piłsudski. Jest on zaiste dla tej roli jedyny. Człowiek, który jak nikt inny, ma instynkt Czynu, wolę i postanowienie niezłomne, cel zawsze prosty, linię jedną, i czy ja wiem – Rozum czy Intuicję – genialną. Ten Człowiek wyrasta na Olbrzyma, jakżeby był w dobie tej Wojny wcieleniem Instynktu dziejowego Polski. Od d. 6 VIII 1914 r. cokolwiek bądź robił – nie chybił nigdy. Małym rozsądkiem ludzi rozumnych mierząc jego postanowienia i czyny, co mi się samemu także w r. 1917 trafiło – zdawać się mogło czasem, że Piłsudski błądzi lub upada, tracąc tajemnicę instynktu swego, okazało się jednak zawsze, że droga jego, prosta i czasem aż do zabawności krzyżująca się z wielkimi traktami potężnych pozorów, jest prawdziwa, że linia jego, aż niekiedy ginąca w przemocy, cudownie po prostu wypływa ponad wszystko, góruje nad chaosem wypadków, zwycięża. Tak jest obecnie, mówiąc nawiasem, z programem Piłsudskiego co do Litwy. Wszystkie pozory zdają się przemawiać za tym, że program ten zbankrutował i że polska okupacja Wilna i polskie zwycięstwo nad bolszewikami na Białej Rusi poprowadziły sprawę Litwy i stosunków polsko-litewskich w kierunku wręcz przeciwnym założeniom programu Piłsudskiego. Ale mam taką wiarę w Piłsudskiego, w jego geniusz historyczny i instynkt, że dopóki on jest i czuwa – *contra spem spero*, nie mogę, choć wszystkie pozory logiczne za tym przemawiają, twierdzić, że program litewski, zbudowany w woli i myśli Piłsudskiego, istotnie zbankrutował. Ale wracając do oczekiwanych wypadków – jeżeli tylko Piłsudski myśli istotnie o Dyktaturze, powstaje kwestia czy ma on być Dyktatorem Rewolucji czy Dyktatorem zmechanizowania Polski w łożysku Imperializmu i Militaryzmu. Zarówno lewica, jak prawica w Polsce oglądają się na Piłsudskiego coraz bardziej jako na Człowieka, który jest mocen spełnienia Dyktatury. Obie strony zaczynają nawet tej Dyktatury pragnąć, byleby ona urzeczywistniła to, czego właśnie dana strona pragnie. Jedni komuniści *a priori* odrzucają Dyktaturę Piłsudskiego, którą z góry uważają za reakcję.

5 października, rok 1919, niedziela
Zrobiłem dziś pierwszy krok w sprawie zamierzonego przeniesienia się do Kowna: napisałem do Michała Biržiški do Wilna z prośbą o jego radę i pomoc w pośredniczeniu między mną i Kownem.
Z gazet dowiaduję się, że Herbaczewski, który jeździł poprzednio do Wilna, usiłując dokonać tam próby pojednania Litwinów z Polakami na gruncie programu Piłsudskiego, był teraz w Kownie, skąd wrócił i przyjechał do Warszawy, gdzie ma być przyjęty przez Piłsudskiego. Jednocześnie mówiono mi, że w innych gazetach, czego ja osobiście nie czytałem, jest wiadomość o przyjeździe do Warszawy dla rozmowy z Piłsudskim – Michała Biržiški. Biržiška także niedawno, jak wiem z „Głosu Litwy" jeździł do Kowna. Piłsudski więc nie zaniechał widocznie swego programu litewskiego i obecnie posiłkuje się już bezpośrednio Litwinami, osobiście rokując z nimi. Jego kontakt z Herbaczewskim i Biržišką bardzo mię zaciekawia.
Dzienniki warszawskie z ostatnich dni nie sprawiają wrażenia, żeby się święciło coś w rodzaju rewolucji lub zamachu, zapowiadanych tutaj przez osoby z lewicy, przyjeżdżające z Warszawy. W Sejmie, który się zebrał w d. 1 X, wystąpił z mową deklaracyjną minister Wojciechowski, potem o sytuacji finansowej i gospodarczej mówił minister skarbu Biliński. Nic nie zwiastuje natychmiastowej rewolucji albo bliskiej rezygnacji Piłsudskiego, co by się musiało stać momentem zwrotnym. Po prostu się tych zapowiadanych wypadków nie czuje w powietrzu i w nastrojach. Czyżby to

mogło być tak dobrze zamaskowane w Warszawie, skoro tu już o tym działacze lewicowi, wprawdzie poufnie, opowiadają. Wiadomo, jak taka poufność nie daje się utrzymać w tajemnicy i staje się szybko tajemnicą publiczną. Jest niewątpliwie kryzys polityczny, ale kryzys łagodny w przebiegu, ewolucyjny. W *expose* rządowym Wojciechowskiego, równolegle do dającego się wyczuć zwrotu na prawo, jest nacisk na konieczność politycznego programu rządu, na zerwanie z dotychczasową zasadą rządu „fachowego", która była wynikiem braku określonej stałej większości w Sejmie. Projekt ustawy agrarnej, przedłożony przez rząd, spotkał się z ostrą odprawą stronnictw chłopskich i socjalistów jako wypaczający zasady uchwalonej w lipcu przez Sejm większością głosu reformy rolnej. Socjaliści w Sejmie zdają się go chcieć sprowokować przez zmuszenie go do zajęcia się konstytucją, do której uchwalenia prawdopodobnie okaże się niezdolnym, co go zdyskredytuje i przyśpieszy jego upadek. Ale wszystko to są rzeczy idące stopniowo, nie utożsamiające się bynajmniej z natychmiastową rewolucją i wielkim przewrotem, któryby zwłaszcza został zapoczątkowany ustąpieniem Piłsudskiego, gdyby się Piłsudski na to zdecydował.
Jakkolwiek bądź się rzeczy mają w istocie co do perspektyw rewolucji lub przewrotu, elementy lewicowe organizują się i szykują nie tylko w Warszawie, ale i na prowincji. W związku z tym właśnie we czwartek ubiegły p. Jarnusikiewiczowa, działając w porozumieniu ze Stolnickim, zaprosiła do siebie na wieczór kilka osób z inteligencji demokratycznej na naradę. Chodziło o to, że Stolnicki przywiózł z Warszawy od centralnych kół, zdaje się, PSL-u instrukcje, aby wszędzie, gdzie się da, zgrupować inteligencję demokratyczną, by na wypadek rewolucji była gotowa do obsadzenia wszystkich niezbędnych stanowisk, by zapobiec próżni i anarchii, względnie udaremnić ewentualny sabotaż ze strony reakcyjnych elementów urzędniczych. Na zebrańko to przybyłem tylko ja, adwokat Lachowicz, niejaki Zieliński – zdaje się urzędnik, PPS-owiec robotnik, Bauer, Stolnicki i p. Jarnusikiewiczowa. Miało być jeszcze kilka osób, ale p. Jarnusikiewiczowa nie zdołała ich zawiadomić, bo się za późno do tego zabrała. Wysłuchaliśmy relacji Stolnickiego i Bauera o Warszawie, o sytuacji wewnętrznej politycznej, o perspektywach rewolucji bądź przewrotu. Stwierdziliśmy, że wszyscy w tym gronie, zresztą bajecznie szczupłym, sprzyjamy przewrotowi lewicowemu i że oczywiście nikt z nas nie będzie się jemu przeciwstawiał – chętnie stanie na jego stanowisku, gdy on nastąpi. Chodziło wszakże także o porozumienie się, czy mamy, jako grupa, coś przedsięwziąć i co robić.

6 października, rok 1919, poniedziałek
Dokończę już o czwartkowej rozmowie u p. Jarnusikiewiczowej. P. Jarnusikiewiczowa, a poniekąd i Stolnicki z Bauerem źle postawili kwestię. Zaczęli oni rozważać zagadnienie, czy powinniśmy się zbliżyć i porozumiewać także z komunistami, którzy podobno posiadają w Łomży swoją organizację i liczą około 300 adeptów, przeważnie spośród Żydów oraz jednostek, które w późniejszych czasach wróciły z Rosji – a sporo też, zdaje się, przylgnęło do nich, jak wszędzie, szumowin – czy też wyłącznie ograniczyć się do kontaktu z PPS-ami i ludowcami PSL. Podnoszona była kwestia, czy możliwe i pożądane jest planowe współdziałanie rewolucji socjalistycznej i chłopskiej z rewolucją komunistyczną. Zaczęło to zakrawać na to, jak żebyśmy zebrani tutaj i nieco w przyszłości rozszerzeni, mieli być jakąś centralizacją ruchu rewolucyjnego. Ja wtedy zabrałem głos i przedstawiłem, jak ja tę rzecz pojmuję. Grono inteligencji demokratycznej może utworzyć coś w rodzaju pogotowia na wypadek, gdyby rewolucja przyszła do skutku i zwyciężyła, aby życie publiczne się wtedy nie wykoleiło przez absentyzm sił inteligenckich i urzędniczych i aby przez to samo nie zapanował chaos i nie dorwały się do steru różne ciemne elementy, nie mające pojęcia o prowadzeniu

spraw publicznych, na czym zyskałyby jeno męty, czepiające się w takich wypadkach gorączkowo ciemnej masy, jak to w większości, zdaje się, wypadków było w Rosji; chodziłoby więc o to, aby w momencie ewentualnej rewolucji, gdy stare instytucje i pracownicy tychże zostaną wytrąceni z linii działania, nie powstała niebezpieczna próżnia i aby był gotowy zespół, a przynajmniej zawiązek takiego zespołu inteligencji demokratycznej, mogącej się podjąć utrzymania więzi organizacyjnej spraw publicznych, ewentualnie przebudowy tejże, uzgodnionej z linią rewolucji, ale nie więcej. Elementy tej inteligencji mogą być same przekonaniowo różne i niepodobna chcieć z nich utworzyć nagle jakiś organ kierowniczy rewolucji, jakiś komitet nad organizacjami politycznymi, wytwarzającymi rewolucję. Chodzi li tylko o pogotowie wykonawcze sił inteligenckich, fachowych, które mogłoby się stać czynne – w stosunku zresztą li tylko wykonawczym do rewolucji – dopiero na jej gruncie, jak by już ona nastała, ale nigdy nie czynnikiem wytwarzającym rewolucję, do czego takiej luźnej grupce inteligencji demokratycznej brak kwalifikacji; w szczególności zaś ja, jako sędzia i dopóki nim jestem, nie mogę pogodzić z obowiązkami sędziego rolę czynnego rewolucjonisty; to samo dotyczy i innych ewentualnie urzędników, których obowiązkiem jest lojalizm. Mogę sprzyjać nawet rewolucji jako obywatel, ale nie mogę zapominać, że jestem sędzią na służbie społeczeństwa w ustroju istniejącym; nie wolno mi być ani czynnym rewolucjonistą, ani czynnym reakcjonistą. Wolno mi natomiast oświadczyć, że o ile rewolucja dojdzie do skutku, gotów będę, również jako sędzia lub na jakim bądź innym stanowisku – być jej wykonawcą, to znaczy stanąć na jej gruncie, albo też odmówić takiego stanięcia. Jest to moje prawo obywatelskie, którego mi nikt odmówić nie może. Ale nigdy – pozostając sędzią – wytwarzać rewolucję czynnie. Tylko więc w tej roli biernej pogotowia może się w przewidywaniu ewentualnych wypadków porozumiewać między sobą inteligencja demokratyczna z udziałem elementów urzędniczych, co nie przeszkadza, że poszczególne jednostki z tejże inteligencji – zwłaszcza zawodów wolnych – mogą brać i biorą czynny udział w ruchu. Zebrani zgodzili się w zupełności na moje stanowisko. Jeżeli wypadki pójdą dalej – zbierzemy się i porozumiemy znowu. Kontakt zachowywać będziemy. Na tym się cała rzecz skończyła. Skądinąd co do kwestii współdziałania PPS-u i radykalnych stronnictw chłopskich z komunistami nie wierzę w możliwość tego. Są to bowiem dwie różne i przeciwne sobie zasady. Rewolucja musi być budowana tylko na jednej lub drugiej zasadzie.

7 października, rok 1919, wtorek
Aby zlikwidować kłótnię z Ezechielem napisałem do Kotuni list tej treści: „Łomża, 7 X 1919. Kochana Kotuńko! Nie mnie by właściwie należało wyciągać pierwszemu do Ezechiela rękę do zgody, ale robię to, usiłując dokonać próby pojednania. Dziwacznym bowiem wydaje mi się to, abyśmy, siedząc w obcym mieście, samotni, z dala od naszego właściwego środowiska rodzinnego, najbliżsi sobie w tym mieście, utrzymywali jakąś jałową kłótnię i mieli stosunki zerwane. Gdyby przynajmniej było o co! Gdybym ja Ezechielowi albo Ezechiel mnie – mieli do zarzucenia coś rzeczywiście ciężkiego, jakiś czyn hańbiący, jakiś zarzut poważniejszej natury, wreszcie jakąś zniewagę rzeczywistą, umyślną, świadczącą o złej woli i chęci obrażenia przeciwnika, to mógłbym to zerwanie pojąć i usprawiedliwić. Ale nic podobnego zgoła nie dostrzegam. Rozumiem, że gdybym się znalazł w mieście jeszcze bardziej obcym, niż Łomża, ze Stefusiem Romerem, synem Maryni, to bym stosunków z nim nie nawiązał, pomimo że bylibyśmy sobie jedyni w tym mieście krwią najbliżsi. Ale między mną a Ezechielem takich istotnych przyczyn zerwania nie ma. Ja Ezechiela, a nie wątpię, że i on mnie, szanuję, gdyby nawet w przekonaniach i poglądach

zachodziły między nami w różnych kwestiach różnice, nawet zasadnicze. Jedność i tożsamość przekonań i poglądów bynajmniej nie wydaje mi się warunkiem szacunku człowieka dla człowieka, nawet między obcymi. Co do mnie, to wolę i szanuję bardziej człowieka przekonań, choćby różnych albo nawet przeciwnych, niż moje, od człowieka, który przekonań ani ideałów nie ma żadnych i idzie utartymi szlakami, które mu dyktuje wygoda lub różne względziki uboczne, a jest właściwie chorągiewką, czułą na powiew wiatru. Nie wiem – może Ezechiel inaczej się na tę kwestię zapatruje, ale dla mnie szczerość przekonań człowieka i zalety charakteru – to grunt zasadniczy dla szacunku.
Jeżeli dla Ezechiela warunkiem przyjaźni, szacunku dla mnie i stosunków ze mną – jest tożsamość przekonań, a nawet poglądów moich z jego i jeżeli z tą chwilą, gdy stwierdził on jakąkolwiek rozbieżność, stosunki te mają ustawać – to w takim razie pojednanie jest rzeczywiście bezcelowe. To trudno – nie będę śpiewać tak, jak się komuś podoba i zawsze pozostanę sobą. Chce być ze mną, jakim jestem, w dawnych przyjaznych stosunkach – to możemy się uściskać z całego serca, bo doprawdy ta sprzeczka nie warta wspomnienia, ale jeżeli nie chce – to drugi raz mu ręki nie wyciągnę pierwszy i w każdym razie przyjaciółmi być wtedy nie możemy.
Nie cofam i ani odwołuję nic z tego com mówił i o co się Ezechiel na mnie zagniewał. Gdy myślę o tym, to zresztą nie mogę nawet dokładnie zrozumieć, o co mu poszło. Bo nawet najzagorzalsi obrońcy i specjalni rzecznicy wielkiej własności ziemskiej uzasadniają jej niewzruszalność i nietykalność tym, że jest ona instytucją społecznie użyteczną i służy narzędziem nie dewastacji, lecz kultury. Toteż z tego najbardziej własnościowego stanowiska, jak najdalszego od tępienia wielkiej własności ziemskiej, niepodobna także uznawać za dobre i słuszne rabunkowe traktowanie dóbr. Taka dewastacja nie utwierdza bynajmniej własności, ale podkopuje ją i podważa jej najgłębszą podstawę użyteczności publicznej. Nie wątpię, że Ezechiel, jako człowiek światły, tak samo tę rzecz pojmuje. Mogę zrozumieć psychologię ziemian, sterroryzowanych rewolucją i śpieszących, po dorwaniu się do majątków, spieniężyć, co się da, choćby za cenę dewastacji, i mogę zjawisko to wytłumaczyć, ale nie mogę uznać, żeby zasadniczo było to dobre. Oczywiście, jeżeli tym ziemianom, położy się nóż na gardle, to ratując się od zupełnego wyzucia się z własności, chwytają i używają, co się da, nie oglądając się na dewastację, ale jeżeli mamy wracać do stosunków normalnych, to takiej dewastacji pochwalić niepodobna: ona tylko utrzymuje zamęt i przewleka stan rozkładu. Taką była i jest moja myśl. Nie wiem, co jej właściwie Ezechiel zarzuca.
Natomiast gotów jestem przyznać, że lepiej może byłoby, gdybym był wcale tej kwestii w rozmowie z Ezechielem nie poruszał. Nie zastanowiłem się, że on *ne parle pas d'une corde dans la maison du pendu* i że dla biednego starego Ezechiela, który sam jest sterroryzowany, znerwowany i tak boleśnie dotknięty rewolucją, jest to temat zbyt drażliwy, wobec którego on traci równowagę i przestaje umieć myśleć logicznie, a nawet może czuć po obywatelsku. Było to może z mojej strony niedelikatne, ale doprawdy bezwiedne, bez złej intencji, bo się nie zastanowiłem, że ta rzecz, sama przez się, niezależnie od treści i logiki dyskusji – boli Ezechiela. Jeżeli mu tym ból sprawiłem nienaumyślnie, gotów go jestem za to przeprosić. Ale tylko za to; natomiast on zachował się w swym domu względem mnie także nie legancko. Proponuję puścić całą rzecz w niepamięć. Uściskam Ciebie b. serdecznie. Twój Michał Romer".
List ten wyślę do Kotuni pocztą. Zobaczę, jaki będzie jego skutek.

8 października, rok 1919, środa

Miałem dziś moją środową zwykłą sesję apelacyjną. Tym razem na wokandzie były wyłącznie sprawy o zniewagi (obelgi i zniesławienia). Główne tło tych spraw stanowiły pospolite tzw. „pyskówki"; tym mianem określają się popularnie zwykłe wymysły, sprawy bez żadnego zgoła znaczenia, polegające na tym, że jedna strona – cechują w tym kobiety – nawymyśla drugiej najordynarniejszymi wyrazami, literalnie oblewając ją pomyjami brudów słownych. Czego się też człowiek na takich sprawach nie nasłucha! Jakich to wyrazów, jakich pomysłów ima się niewyczerpana twórczość złośliwego języka, szczególnie babskiego, chcącego dokuczyć bliźniemu. Pospolite „kurwa", „cholera", „pocałuj mię (albo: się) w dupę" itp. – to są jeszcze kwiaty wykwintu wobec steku innych tworzonych kunsztownie na poczekaniu lub wygrzebywanych z jakiegoś lamusa ludowej (babskiej) sztuki wymysłów. Oto kilka okazów tego kunsztu, wyjętych ze spraw sesji dzisiejszej: „ruska ogiernica" (znaczy mniej więcej to samo, co dziewka publiczna, kurwa, tylko z zacięciem bardziej fantastycznym, coś co prostytucję nawiązuje do histerii płciowej i do szału płciowego czarownicy), „rozpostrzyj kożuszek" (znaczy, że na zawołanie gotowa jest ofiarować się każdemu i lec pod mężczyzną na podesłanym kożuchu, gdzie się tylko da, choćby bez łóżka, na ziemi, w każdym miejscu). Czasem wypływają jakieś takie dziwaczne wymysły, których nawet znaczenia nikt się nie domyśli, a jednak muszą mieć w sobie coś szczególnie obraźliwego, kiedy jedna strona używa ich po wyczerpaniu innych, a druga czuje się niemi szczególnie obrażona, np.: „ty, onuco, alugo". Onuca – oznacza –- to jeszcze ma znaczenie: szmata do owijania stopy pod obuwie zamiast skarpetki, ale – aluga...? Konia z rzędem temu, kto zgadnie pochodzenie i sens „alugi". A tymczasem o „alugę" robi się sprawa sądowa, która przechodzi aż dwie instancje i nie jest wykluczone, że może dojść aż do Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej Polskiej! I to „aluga" jest już jakimś maximum, po wyczerpaniu „kurew" i „Boskich ogiernic".
Na tle tych „pyskówek" pospolitych kilka było zaledwie nieco poważniejszych o głębszym podkładzie społecznym lub obyczajowym – spraw o zniesławienie. Wśród zniesławień było parę spraw ze stosunków kolneńskich, tak dobrze mi znanych. Jedna sprawa była między młodym Winkielmanem a Chaczają Ajdenbergiem, dwoma śmiertelnymi wrogami, których jednym z istotnych elementów życia stało się dokuczanie sobie wzajemne i procesowanie się pod wszelakimi postaciami. Druga sprawa z Kolna – to sprawa między słynnym pieniaczem i awanturnikiem kolneńskim – Janem Zawistowskim a stolarzem Antonim Mieczkowskim, człowiekiem spokojnym, porządnym, szanowanym w Kolnie, dość uspołecznionym, ale trochę zarozumiałym. Tym razem jednak Zawistowski miał rację, skarżąc Mieczkowskiego o zniesławienie. Na wiecu, który odbył się w Kolnie, w marcu, Zawistowski, typowy warchoł, usiłujący zawsze prywacie nadać pozory sprawy publicznej i mający historyczny zatarg ze „spółką", to znaczy z lokalnym stowarzyszeniem spożywczym, w którego założycieli liczbie był kiedyś i z którego go wylano jeszcze przed wojną, ponieważ, będąc w zarządzie spółki, robił podobno na tym jakieś prywatne geszefty, otóż na wiecu Zawistowski, dyszący od lat wielu zemstą do spółki i jej nowych kierowników, w których liczbie są tacy ludzie, jak Mieczkowski i Józef Pikuliński – wystąpił z jakimiś pretensjami do spółki, zarzucając jej kierownikom malwersacje i nadużycia. Zawistowskiego nie krępuje zgoła to, że wiec publiczny nie jest instancją do rozpoznawania spraw stowarzyszenia. Ponieważ na zebrania członków spółki, Zawistowski jako wykreślony z liczby członków, nie jest dopuszczany, więc wybrał on teren wiecu publicznego, gdzie jest zawsze najdogodniejsza okazja do demagogii. Spekulując na podejrzliwości tłumów, które w atmosferze wiecowej skłonne są zawsze posądzać wszystkich o każdą zbrodnię, jaką się komuś spodoba zarzucić bliźniemu, które lubią brać na się rolę Katonów moralnych i sędziów, ferujących wyroki

potępienia, Zawistowski wystąpił z zarzutami i insynuacjami względem kierowników spółki, żądając zarazem publicznego sprawozdania. Otóż Mieczkowski był o tyle nieostrożny, że się uniósł i w odpowiedzi odparł, że Zawistowski okradł spółkę. Mieczkowski został za zniesławienie Zawistowskiego skazany na 7 dni aresztu domowego. Uwzględniliśmy okoliczności łagodzące, ale skazać musieliśmy, bo był winien zniesławienia. Pierwotny wyrok sądu pokoju w Kolnie był uniewinniający, toteż uchyliliśmy go.

9 października 1919 r., czwartek
Coraz zimniej się robi. Jesień zaczyna się dobrze dawać we znaki, ale nie ta jesień słotna i wietrzna, pełna nudnej chlapaniny, lecz jesień sucha o tendencji mroźnej, jesień opadających liści i złocistych jaskrawych drzew – październik, miesiąc przełomu. W mieszkanku moim chłód zaczyna dokuczać. W kilku oknach szyby są potłuczone, toteż powietrze z zewnątrz hula po wnętrzu; bezcelowe byłoby palenie w piecu, a zresztą drew na opał szkoda, bo brak ich wielki i drożyzna nieopisana. Zresztą niebawem pożegnam już moje mieszkanie, bo od 1 listopada jest już ono wynajęte innym osobom. Musze poszukać dla siebie innej lokaty, bo pobyt mój w Łomży przeciągnie się chyba co najmniej do Nowego Roku, zanim załatwię sprawę wyjazdu do Kowna. Cała moja nadzieja w tej sprawie w Biržišce, który może zdoła pośredniczyć mi z Kownem, choć i jemu o skomunikowanie się trudno.
Sprawa stosunków Litwy z Polską jest na stopie wciąż bardzo wielkiego naprężenia. Wolałbym, gdyba ta sprawa już się wyklarowała przed moim przyjazdem do Kowna, ale zaiste nie mam żadnej nadziei na to. Nic nie zapowiada rozstrzygnięcia sprawy polsko-litewskiej drogą ewolucji i porozumienia. Chociaż w moim przekonaniu nawiązanie kontaktu i współpracownictwo Polski z Litwą jest rzeczą konieczną i dyktowaną względami historycznymi, które dotychczas bynajmniej dla obu narodów i krajów nie straciły aktualności, ale zmysł historyczny jest dzisiaj, zdaje się, w masach bardzo słabo rozwinięty, a wulgarny maksymalizm, przejęcie się inteligencji instynktami i nałogami militaryzmu i nacjonalizmu, zaś klas społecznych – bezpośrednimi i wyłącznymi ich interesami – nie wróżą nic dobrego w tym kierunku. W szczególności Polacy litewscy z Wilnem na czele, którzy mogliby odegrać przepiękną rolę mostu, wiążącego oba narody i godzącego ich aspiracje w perspektywie dziejowej – nie mają ani krzty poczucia tej misji, przeciwnie – robią wszystko, aby się stać kością niezgody i czynnikiem jątrzenia stosunków. Zdaje się, niestety, że jeżeli jakaś interwencja z zewnątrz czynników, mogących stanąć ponad Polską i Litwą, nie ureguluje tej sprawy, to dojdzie istotnie do wojny polsko-litewskiej. W takim razie moje stanowisko w Kownie będzie bardzo ciężkie, jeżeli mi się uda tam dostać i osiąść. Tym niemniej zdecydowałem się na to. Rozstrzygnięcie stosunku Polski do Litwy metodą interwencji czynników zewnętrznych wprawdzie zażegnałoby prawdopodobnie niebezpieczeństwo bezpośredniego starcia, ale nie byłoby w stanie stworzyć podstawy stałej dla stosunku, który mi się wydaje konieczny. Jestem gorącym zwolennikiem idei związku bałtyckiego, ale uzupełnieniem jej wydaje mi się kontakt planowy tego związku i w szczególności Litwy ze stolicą Wilnem z Rzeczpospolitą Polską

10 października, rok 1919, piątek
Przychodzę dziś do siebie na obiad, koło g. 1 ½, jak zwykle. W przedpokoju spotyka mię Ezechiel, który mię całuje i przeprasza. Ściskamy się z nim i nawiązujemy pojednanie, aż tu z kuchni wypada jak strzała jakaś postać kobieca, rzuca się na mnie, chwyta w objęcia i zanim się spostrzegłem, kto to taki, już się ściskamy i całujemy na wszystkie strony. Wśród uścisków poznaję w tej osobie... Ewę Romerówną; na razie nie

jestem jeszcze pewny, czy to ona, ale się całuję i ściskam siłą rozpędu, bo impet Ewy był taki, że ani mi przyjść do siebie nie dała. Dopiero po tym przywitaniu gorącym przekonywam się, że się nie mylę i zapytuje zdziwiony, skąd się tu wzięła tak niespodziewanie. Okazuje się, że przyjechała z Wilna w jakichś interesach do Warszawy, skąd wpadła na parę dni do Łomży, aby odwiedzić mnie i Pruszanowskich. Ucieszyłem się z niej bardzo. Wygląda ładnie, jest wesoła i miła, jak zawsze. Z Ezechielem nastąpiło pojednanie, ale na razie była jeszcze pewna sztywność. Ezechiel mię przeprosił za to, że się uniósł i zachował się względem mnie niegrzecznie w swoim domu, ale się zastrzegł, że *in merito* kwestii, o którą się posprzeczaliśmy, nie ustępuje ani na jotę ze swego stanowiska. Ba, co do poglądów – to mniejsza o to. Możemy każdy zostać przy swoich, byle nie robić z tego kwestii zatargu osobistego.
Ezechiel z Ewą posiedzieli u mnie przez czas mego obiadu, a wieczór ja spędziłem u Pruszanowskich, gdzie też była Ewa. Ewa zamieszkała u Pruszanowskich. Jutro ją do siebie na obiad zaprosiłem

11 października, rok 1919, sobota
Rano był dziś pierwszy duży przymrozek. Może było już więcej przymrozków, ale jeżeli były, to małe, bo choć wstaję wcześnie, nie widziałem dotąd ani jednego. Temperatura od paru dni już bardzo niska, prawie że mroźna. W moim mieszkaniu coraz zimniej. Trudno już wysiedzieć w nim. Już przestaję żałować, że się z niego od 1 listopada wyprowadzam, bo z nastaniem chłodów traci ono dla mnie swój urok. Staje się ono mroźnym niegościnnym legowiskiem, do którego się wpada na obiad i wraca na noc bez przyjemności, bez poczucia swojego domowego zacisza. Nie mogę jeszcze palić w piecu, bo po pierwsze nie mam drew i tylko resztkę szczędzę do gotowania obiadów, a po wtóre jest to bezcelowe, bo kilka szyb jest wybitych, więc zimno z zewnątrz swobodnie do mieszkania wchodzi.
Od dzisiaj przeniosłem mój dziennik do sądu, gdzie go będę pisać w gabinecie moim, jak ubiegłej zimy. W sądzie jest przynajmniej ciepło.
Była dziś u mnie na obiedzie Ewa. Po obiedzie poszedłem z nią do Łubieńskich, a potem odprowadziłem ja do Pruszanowskich. Bardzo to miła, roztropna i dzielna dziewczyna, i bardzo ładna, tylko cokolwiek na swoją urodę za niska. Jej projektowany ślub z Konstantym Meyerem, który podług zamiarów młodej pary, miał się odbyć w listopadzie, ulega opóźnieniu, bo Meyerowi, który służy w wojsku i nie ma jeszcze przepisanego dla małżeństwa oficerów wieku – 24 lat – nie dano pozwolenia. Ewa zapowiada ślub na styczeń, ale Marynia pisze mi, że ślub ze względów formalnych może się odbyć dopiero za lat 9. Byłby to termin za długi. Biedna Ewa widocznie się tym martwi i nie mówi o tym – jest ona b. dumna z natury i nie lubi trosk i niepokojów swoich powierzać tajemnicy publicznej. Zresztą Meyer robi, zdaje się, starania o otrzymanie pozwolenia. Nie podoba mi się to jedno, że jak mówi Ewa, Meyer przyznaje się, że się rozleniwił do nauki i myśli po skończeniu wojny nie wracać na Politechnikę, w której przerwał po pierwszym roku studia, lecz pozostać w wojsku na służbie oficera czynnego. Mnóstwo młodzieży inteligentnej się w ten sposób rozbałamuciło i pozostanie niedopieczona z braku energii i ochoty do pracy systematycznej w szkołach. Świadczyłoby to o braku charakteru Meyera i dość jałowym umyśle i aspiracjach. Chciałbym zaś dla kochanej Ewy dzielnego i tęgiego człowieka na męża. Wieczorem byłem z Ewą u Pruszanowskich, a nocnym pociągiem odjechała ona do Warszawy. Zabrała ona ze sobą do Wilna całą gromadę zeszytów mojego dziennika, które biedne wędrują od lat kilku ciągle z miejsca na miejsce.

Od Ewy dowiedziałem się o tym, że Henryś Wołłowicz już się ożenił ze swoją narzeczoną, panną Zykus. Daj mu Boże szczęścia. Też to partia nieosobliwa w znaczeniu światowym, ale byle się okazała zacną kobietą.
Wreszcie dowiedzieliśmy się od Ewy, że Papa pisał przez okazję z Bohdaniszek do Maryni, że chociaż mu odmówiono pozwolenia na wyjazd do Wilna, jednak postanowił wyjechać swoimi końmi, a dozór nad Bohdaniszkami oddał w ręce Wojtkiewicza, byłego kiedyś ekonoma w Bohdaniszkach. O tych Papy projektach wyjazdu wiem, bo mi mówił latem, że pojedzie na zimę na kurację do ...Francji. Papa wyobraża, że już się katastrofa światowa rozpoczęta wielką wojną skończyła i że to już można teraz jeździć. Zdziecinniał już biedny Papa trochę i nie zdaje sobie sprawy z wielu rzeczy. Nie pojmuje też wartości pieniądza i dawnym nałogiem cukrzy wartość rubla dawną przedwojenną walutą, której spadek jest przeszło dziesięciokrotny w stosunku do przedwojennego. Co dawniej starczyłoby Papie 500 rb. na przykład na jakiś wyjazd i kurację, to teraz trzeba byłoby dobrych 10 000 albo i więcej, nie mówiąc o trudnościach podróży, przepustek itd. Nie wiadomo, jak się to stanie. Czy Papa rzeczywiście spróbuje wyjechać, a w takim razie albo może być w drodze zatrzymany i narazić się na różne przykrości, niebezpieczne już dla Papy albo, jeżeli wyjedzie i Bohdaniszki zostaną opuszczone, może zajść ta ewentualność, że zarząd Bohdaniszek obejmie rząd litewski. Jeszcze jeden motyw, abym wracał na Litwę. Coraz bardziej widoczne się staje, że już Papa długo nie podoła z majątkiem.

12 października, rok 1919, niedziela
Nowina w sądzie. Sędzia Trampler depeszą z Ministerstwa Sprawiedliwości w Warszawie wydelegowany został do Poznania. Gdym rano siedział w sądzie i pracował, wpadł do mnie z tą wiadomością Trampler. Przyznał mi się, że się o to starał, bawiąc przejazdem w czasie swego urlopu w Warszawie. Jest on jednak tak skryty, że nawet mnie nic o tym nigdy nie wspomniał, choć jest ze mną w dobrych stosunkach, w lepszych, niż z kimkolwiek bądź innym w sądzie. Na razie jest on tylko delegowany do Poznania, bez określonej nominacji. Sądownictwo polskie w b. zaborze pruskim dopiero się organizuje. Tymczasowo trwa tam stan przejściowy, prowizorium, dzielące okres dawnego sądownictwa niemieckiego od okresu właściwego przyszłego sądownictwa polskiego. Zarządza tym prowizorium tymczasowo osobny Departament Sprawiedliwości w Poznaniu, instytucja dzielnicowa, niezależna od centralnego ministerstwa w Warszawie i należąca do autonomicznego, *de facto* osobnego zarządu poznańskiego (Naczelna Rada Ludowa w Poznańskiem). Dopiero za kilka miesięcy ma być zorganizowane ostatecznie właściwe sądownictwo polskie w Poznańskiem z ramienia rządu warszawskiego. Sędziów, którzy są wyznaczani do tego sądownictwa, tymczasowo bez określonych nominacji ministerstwo w Warszawie deleguje do rozporządzenia Departamentu Sprawiedliwości w Poznaniu, gdzie mają oni jeszcze odbyć kilkumiesięczny kurs przygotowawczy. Ponieważ tam potrzebna jest znajomość, oprócz polskiego, także języka niemieckiego, więc przeważnie skierowani tam będą pracownicy z Galicji; do ich liczby należy też Trampler. Będzie on jednym z nielicznych, którzy znać będą porównawczo ustawodawstwo wszystkich trzech zaborów: przez lat kilkanaście był on sędzią w Galicji, potem przez lat kilka sędzią pokoju (pod okupacją austriacką) i następnie sędzią okręgowym w Kongresówce, teraz będzie w Poznaniu. Zdobędzie on przez to wielką wiedzę praktyczną, a że ma znakomitą głowę i wybitne zdolności prawnicze i jest jeszcze młody, bo ma niewiele więcej ponad 40 lat, więc będzie siłą w świecie prawniczym pierwszorzędną. Dla sądu w Łomży jest to wielka strata, ale właściwie zdolności jego tutaj się marnowały. Dla Tramplera trzeba większej areny.

Osobiście żałuję, że go tracimy, bo go lubiłem. Był to człowiek rozumny, umiejący myśleć i czuć, głowa otwarta, daleki od pleśni umysłowej i od ciasnego konserwatyzmu, cechującego wszystkich innych moich kolegów po fachu w Łomży. Był on w naszym sądzie jedynym, z którym można było pomówić ciekawie, bądź w kwestiach z dziedziny prawa, bądź w jakichkolwiek innych. A nie tylko w sądzie, ale nawet w całej Łomży był on jednym z bardzo nielicznych ludzi o wielkiej kulturze umysłowej i humanitarnej; już co do naszych sędziów, to przerastał ich całą głową. Trampler jest jednak niezmiernie nerwowy i pełny dziwactw. Tak i teraz – gdy przyszedł mi oznajmić o przeniesieniu do Poznania – rozpłakał się, jak dziecko. Dlaczego on taki, sam nie bardzo byłby w stanie wytłumaczyć. Sam fakt zmiany miejsca działa na niego w sposób drażniący jego nerwy. Brak mu równowagi duchowej. Tracąc Tramplera, Łomża nieprędko doczeka się sędziego tej miary, co on.

13 października, rok 1919, poniedziałek
Z powodu wyjazdu Tramplera do Poznania i otwarcia przez to wakansu na stanowisko sędziego okręgowego prezes Filochowski zwołał dziś na godz. 4 ogólne zebranie sądu dla dokonania wyboru trzech kandydatów. Tym razem z góry już było wiadomo, że wybierzemy na pierwszego kandydata – sędziego Chełstowskiego. Kandydatura jego, wiecznie przy każdych wyborach wypływająca i zawsze dla tych czy innych względów utrącona, stała się już historyczną i przysłowiową w Sądzie Okręgowym w Łomży. Nie wybrać jeszcze teraz, po raz piąty, Chełstowskiego, to byłoby już wreszcie afrontem dla niego. Toteż kandydatura ta przeszła dziś jednogłośnie na pierwszym miejscu. Na drugiego kandydata wybraliśmy sędziego śledczego z Ostrołęki Szynkę; jest to człowiek już stary, rodem z gub. witebskiej, który długie lata spędził w Rosji; nie znam go osobiście; ma być bardzo poczciwy; znam go tylko ze śledztw, raczej z akt śledczych; jest pracowity i staranny, jeden ma tylko feler, że robi straszne błędy i rusycyzmy w języku polskim i nie zna zupełnie ortografii w pisowni; całe życie, zwłaszcza w zawodzie prawniczym, miał do czynienia wyłącznie z językiem rosyjskim. Na trzeciego kandydata postanowiliśmy podprokuratora Maciejewskiego. Wyborów dokonaliśmy jednogłośnie. Szynko i Maciejewski są tutaj zresztą tylko figurantami; wystawienie ich kandydatur ma tylko znaczenie manifestacyjne jako pierwsze podniesienie ich nazwisk i zapowiedź ich kandydatur na przyszłość. Nie może ulegać wątpliwości, że nominację otrzyma Chełstowski. Mamy więc teraz dwóch *in spe* sędziów – Chabowskiego do wydziału karnego i Chełstowskiego do cywilnego. Nominacji Chabowskiego spodziewamy się już w prędkim czasie, z nominacją Chełstowskiego zaś się przewlecze, jak to zwykle, aż gdzieś pod Boże Narodzenie. Zdaje się, że z Chabowskiego będzie pożytek, co zaś do Chełstowskiego – to nie mam wrażenia, aby to był człowiek wybitny czy to jako prawnik, czy jako umysł. Co do poglądów i horyzontów duchowych oraz kultury umysłowej, to jest to zdaje się człowiek trochę w stylu Filochowskiego i Duszyńskiego: ciasny łeb, człowiek widzący świat z podwórka szlachcica zagrodowego spod Ostrołęki, bez większych aspiracji, w istocie – zero. Co do kwalifikacji prawniczych – to ja sądzić mogę tylko na podstawie apelacji w sprawach karnych na wyroki Chełstowskiego jako sędziego pokoju w Łomży. Otóż z moich spostrzeżeń Chełstowski, przynajmniej w zakresie sądownictwa karnego, nie odbiega od przeciętnego poziomu sędziów pokoju nie-prawników, a poziom to jest bardzo niewysoki. Wprawdzie Chełstowski ma się i uchodzi za cywilistę, jednak słyszałem od Tramplera, który z nim siadywał na sesjach cywilnych w Sądzie Okręgowym i od niektórych adwokatów, że i tu Chełstowski nie odbiega mocno bynajmniej od przeciętnego poziomu, chociaż już poziomu sędziego-prawnika. Wszakże jeżeli nawet Chełstowski okaże się sędzią tylko przeciętnym, to jeszcze będzie

on o całe niebo wyższy od Makowskiego, który jest nie tylko zerem, ale olbrzymim nieukiem, wprost skandalicznie głupim, tępym i niezdarnym – i jako prawnik, i jako umysł. Pod dwoma względami tylko Makowski celuje – uporu i zarozumiałości. W ogóle wydział cywilny odczuje mocno ubytek Tramplera. Duszyński, Makowski i Chełstowski – to poziom dość marny. Znacznie już wyżej będzie stać wydział karny – Skarzyński, ja i Chabowski. Tymczasem po Tramplerze przewodnictwo wydziału cywilnego I instancji objął Makowski; jest to wprost obsada skandaliczna; wina to Duszyńskiego, który dla własnej wygody nie zechciał się ruszyć z wydziału odwoławczego, a tymczasem Makowski, który raz się dostał na stanowisko tak względnie wysokie, niełatwo się da stamtąd zepchnąć, bo nie rozumie zgoła swego niedołęstwa, a formalnie będzie miał, jako starszy nominacją od Chełstowskiego, pierwszeństwo przed nim.

14 października, rok 1919, wtorek
Miałem dziś sesję karną I instancji i byłem pod wrażeniem wielkiego niesmaku ze sprawy Bolechowskiego, która dziś pierwsza była sądzona. Niesmak ten zatruł mi całą sesję i tylko na wieczór, w ostatniej sprawie, która była ciekawa i wielka, skomplikowana, jedna z grubych spraw – okradzenia w końcu ubiegłego roku wielkiego sklepu Kawkiewicza w Łomży przy pryncypalnej ul. Długiej z towarów na 40000 mk za pomocą kunsztownego włamania w nocy – odzyskałem równowagę usposobienia i siłę panowania nad sobą. Sprawy wielkie, ciekawe – działają zawsze odżywczo i podnoszą energię wysiłku pracy oraz walor roboty. W sprawach takich zawsze zdolności się wytężają i czynność sędziego, przynajmniej u mnie, z rzemiosła wyrasta do poziomu sztuki. Ale o tym pisać nie będę. Co zaś do sprawy Bolechowskiego, to towarzyszyły jej pewne takie epizody, o których chcę pomówić w dzienniku, tylko że zrobię to już jutro, bo dziś wspomnę o wczorajszym pożegnaniu Tramplera. Trampler miał sporo ludzi, którzy go w Łomży cenili i lubili, ale dzięki swemu usposobieniu nierównemu, nerwowemu, często kapryśnemu – miał też w bliższych sobie kołach koleżeńskich, nieprzyjaciół. Tak oto był nielubiany przez swych bezpośrednich kolegów, oprócz mnie. Nienawidzili się oni po cichu serdecznie z prezesem Filochowskim, a ze Skarzyńskim i Duszyńskim Trampler miewał kilkakrotnie zatargi. Gdy się rozeszła wieść o jego przeniesieniu do Poznania, powstała w łonie adwokatury z inicjatywy, zdaje się, Wołodkiewicza, myśl zbiorowego pożegnania go. Nadano temu cechę pożegnania go wspólnie przez kolegów z sądu i adwokaturę. Po zbadaniu, czy Trampler zaakceptuje pożegnanie, zarządzono za podpisami Filochowskiego i Wołodkiewicza zapisywanie się na listę uczestników pożegnania. Zapisało się na listę duże grono osób – wszyscy sędziowie z Sądu Okręgowego, z obu sądów pokoju w Łomży (Łubiański i Chałatowski) i Łomżyny (Piwkowski), pisarz hipoteczny Mikułowski, cała adwokatura, cały notariat w Łomży i grono osób spoza świata prawniczego, zaliczających się do przyjaciół Tramplera, jak dr Marcinkowski, dr Krysiński – wściekły endek i antysemita, dyrektor Banku dla Handlu i Przemysłu, Mieczysław Tadeusz Skarzyński, aptekarz Komornicki, starosta Łapiński. Pożegnanie polegało na uczcie zbiorowej w restauracji Zwanickiego przy hotelu „Rembielin". Na sali restauracyjnej stoły były ustawione w postaci figury „podkowy". Uczta składała się z drobiu, obfitej i bardzo urozmaiconej i smacznej przekąski, wódki, następnie kotletów pożarskich, piwa, leguminy i kawy. Win nie było. Kolacja upłynęła w nastroju przyjemnym. Zdaje się, że prezes Filochowski i niektórzy inni także – obawiali się pewnych dysonansów, pewnych może tonów ostrych ze strony Tramplera, który umie być kapryśny i złośliwy, stając się wtedy dla tych, których nie lubi, przykry. Nic jednak takiego nie zaszło. Trampler zachował się bardzo potulnie, nawet minorowo, a

przemówienie pożegnalne jego w odpowiedzi na mowę prezesa było aż przesadnie skromne, uderzające w pokorę, zaprawione uległością urzędniczą. Jego słowa o „dobrotliwym przełożonym", skierowane do prezesa, aż raziły przesadą, gdy się wiedziało o ich stosunkach wzajemnych i o nienawiści oraz pogardzie, w jakiej Trampler miał zawsze i ma Filochowskiego. Pierwszy przemawiał prezes Filochowski, bezbarwnie, komplementowo, bez należytego uwydatnienia wybitnych zalet zawodowych Tramplera i tej straty, jaką Łomża i sąd na skutek jego wyjazdu ponosi. Drugim przemawiał adwokat Wołodkiewicz, dosyć ładnie i kunsztownie, jak zwykle, siląc się na oryginalne ujęcie charakterystyki Tramplera. Po tym przemawiał M. T. Skarzyński, podnosząc zlanie się dzielnic i zaborów w Polsce, uosobione w Galicjaninie Tramplerze, który po służbie w Kongresówce dziś ma stanowisko do Poznania. Wreszcie ostatnią mowę wygłosił hr. Łubieński odczytując niedrukowany pono wiersz Syrokomli, wypowiedziany przezeń w improwizacji przy odwiedzinach Poznania, stosując go do wyjazdu Tramplera.

15 października, rok 1919, środa
Miałem dziś sesję karną apelacyjną, która się dzięki jednej sprawie przeciągnęła do godz. 10 wieczorem (wczorajsza sesja I instancji zakończyła się o północy). Zatrzymam się tu na sprawie Bolechowskiego, sądzonej na sesji wczorajszej. Bolesław Bolechowski jest to ziemianin, właściciel majątku Kownaty w pow. łomżyńskim i do niedawna sędzia pokoju w Piątnicy. Jest to człowiek w wieku lat przeszło 40, słaby fizycznie, dość głupi i podobno człowiek niezły. Oskarżony był o tajne gorzelnictwo. W marcu znaleziono u niego aparaty do pędzenia spirytusu. Przyznał się do tego, że parokrotnie pędził spirytus, ale tylko na lekarstwo dla chorych na parchy koni własnych, które istotnie chorowały u niego masowo i epidemicznie. Podpadał pod srogi dekret z d. 30 I 1919 w sprawie uregulowania produkcji spirytusu, który za potajemne pędzenie spirytusu ustanawia kary drakońskie: od roku do lat pięciu ciężkiego więzienia i od 5 000 do 100 000 mk. kary pieniężnej. Dekret nie rozróżnia, czy pędzony spirytus jest zdatny do picia czy do palenia, czy do smarowania lub jakiegokolwiek innego użytku. W sprawach o tajne gorzelnictwo, w których zdobyłem opinię srogiego sędziego, bo istotnie do tego przestępstwa, mającego przeciętnie cechy brzydkiego paskarstwa, jestem usposobiony szczególnie wrogo, trzeba zawsze przy naradzie nad wyrokiem staczać walki z ławnikami, których razi zbyt surowa sankcja karna dekretu. Jeżeli jednak w sprawach tego rodzaju wypada zawsze zwalczyć opór ławników, wyrażających co do tajnego gorzelnictwa tendencje umiarkowane, to tutaj miało to miejsce w stopniu jeszcze większym. Wielką prawdą jest przysłowie, że „kruk krukowi oka nie wydziobie". Ławnik ziemianin, który umie być bezwzględny dla oskarżonego chłopa lub biedaka z ludu, jest dla oskarżonego ziemianina pełen wyrozumiałości. Wyczuwałem to w sprawie Bolechowskiego w stopniu bardzo wybitnym i to mię niesłychanie drażniło. Nie przeczę, że w sprawie Bolechowskiego zachodził wypadek mniejszej wagi, usprawiedliwiający złagodzenie aż do dowolnego zakresu. Ja byłem za tym, aby dać Bolechowskiemu choć parę miesięcy aresztu, ale skończyło się, dzięki presji ławników, z których jeden, Grochowski, jest ziemianinem, z urzędu niejako broniącym ziemianina, a drugi, Jarosieński, robotnik, jest prezesem Związku Robotników Chrześcijańskich w Łomży, na 9 dniach aresztu. Nie biorę zwykle zanadto do stron, gdy ławnicy są za złagodzeniem kary. Ale w tym wypadku drażniło mię to zwłaszcza dlatego, że wyczuwałem wielki nacisk w tej sprawie i to nacisk także pozasądowy, najgorszy. Niczego zaś tak nienawidzę, jak nacisku pozasądowego na sąd w jakiejś sprawie, i niczego się więcej nie brzydzę, jak tego, abym mógł być posądzony o to, że ja, sędzia, staję się rzecznikiem tezy „kruk krukowi oka nie wydziobie",

szczególnie do osób bogatych i możnych. A o tym, że w sprawie Bolechowskiego czyniony był nacisk pozasądowy, przekonałem się nie tylko z zachowania się ławnika Grochowskiego, ale także zupełnie konkretnie z zabiegów sędziego pokoju w Łomżynie Piwkowskiego przed sprawą. Zachowanie się Piwkowskiego było po prostu oburzające, niegodne sędziego, zasługujące co najmniej na dochodzenie dyscyplinarne, jeżeli nie na spoliczkowanie. Piwkowski – to człowiek nie tylko klasycznie głupi, ale bez taktu, gruboskórny, dotknięty chyba tzw. *moral insanity*. Proszę sobie wyobrazić, że Piwkowski, sędzia, a więc człowiek, który powinien rozumieć całą niewłaściwość przedsądowych i pozasądowych zabiegów w stosunku do sędziów w jakiejś sprawie, ośmielił się przed kilku dniami prosić Skarzyńskiego, aby go powołał na sprawę Bolechowskiego do kompletu sądzącego zamiast ławnika. Oczywiście Skarzyński się oburzył i nie zrobił tego. Potem Piwkowski, dowiedziawszy się, że ja będę przewodniczyć w tej sprawie, przychodził do mego gabinetu do sądu, aby pomówić o sprawie i usposobić mię do Bolechowskiego życzliwie. Jest on o tyle gruboskórny, że nie czuje i nie rozumie, że tą drogą może u mnie osiągnąć skutek raczej wręcz przeciwny. Wreszcie najkapitalniejsze to, że w przeddzień sprawy był u Wołodkiewicza, który bronił Bolechowskiego, i opowiadał mu, że on przeprowadza „mediację" w tej sprawie oraz radził się, czy nie warto, aby jeszcze pójść i porozmawiać o sprawie z ławnikiem Jarosieńskim, wyznaczonym do kompletu sądzącego. No, czy nie bydlę taki sędzia! I na rozprawie usiadł na sali i świecił cynicznie swoim wielkim, głupim bezczelnym łbem o rybich oczkach, że chciałoby mu się w ten łeb pacnąć!

16 października, rok 1919, czwartek
Dzisiaj za pośrednictwem faktora Franciszka, szwajcara kinematografu „Mirage", znalazłem pokój przy ul. 3 Maja (dawna ulica Śniadowska) w domu Biesickiego, który wynająłem za 50 mk miesięcznie z usługą (tylko sprzątanie), oświetleniem elektrycznym i meblami, bez opału, który ma być mój własny. Pokój jest duży i jasny, z balkonem – na zimę to bezużyteczne; ze schodów jest do tego pokoju osobne wejście. Pokój mi się podoba, byle się okazał ciepły. Umeblowanie jest niezbyt obfite w stosunku do wymiarów pokoju, ale na moje potrzeby aż nadto wystarczające: jest szafa duża na ubranie i duży masywny stół w rodzaju stołu jadalnego na środku pokoju oraz kilka krzeseł, łóżko mam moje własne. Cena jest niewygórowana, ale bo najważniejszą na zimę jest kwestia opału, który ma być mój własny. Przy obecnym głodzie opałowym, zapowiadającym się dla miast po prostu tragicznie, jest to pozycja bardzo ważna, co do mnie to dzięki pośrednictwu sądu, który zakupił opał na potrzeby całego personelu, będę zaopatrzony pod tym względem wystarczająco i po cenie względnie umiarkowanej.
Moje dotychczasowe mieszkanie w domu Wejrocha już mi w ostatnich czasach z powodu niemożliwego do wytrzymania chłodu tak zbrzydło, że nie żałuje go wcale.
W „Monitorze" urzędowym wydrukowana jest dziś nominacja podprokuratora Sienickiego na prokuratora przy Sądzie Okręgowym w Łomży. Jest to awans bardzo wybitny. Prokuratura łomżyńska przechodzi ciężki kryzys. Jeszcze przed kilku miesiącami była ona obsadzona przez prokuratora (Urbanowicza) i czterech podprokuratorów (Sienicki, Maciejewski, Grodzicki i Lipko). Urbanowicza nie ma, na jego miejsce jest Sienicki. Grodzicki latem przeszedł do sądu wojennego w Warszawie. Podprokuratorem został na jesieni mianowany Bolesław Duszyński, brat sędziego Duszyńskiego. Tymczasem Lipko mianowany został sędzią okręgowym w Białymstoku i już w przyszłym tygodniu wyjeżdża, Duszyński zaś podał się do dymisji, ponieważ wyjeżdża na stałe do Mińska Litewskiego. W urzędzie prokuratorskim pozostaje

prokurator Sienicki i jeden podprokurator – Maciejewski. Jest to brak sił przerażający, ale, niestety, brak ten szerzy się zatrważająco w sądownictwie. Na niższe stanowiska – sędziów pokoju prawników, sędziów śledczych i podprokuratorów – nie ma zupełnie na prowincję kandydatów. Na sędziów pokoju do miast powiatowych już przestano mianować prawników. Wakanse sędziów śledczych i podprokuratorów nie ma kim obsadzać, a na sędziów śledczych i podprokuratorów niezbędni są właśnie prawnicy. Podobno do Ostrowia na sędziego śledczego przysyłają z Warszawy jakiegoś Żyda, co wywołuje wśród sądownictwa naszego zgorszenie.

17 października, rok 1919, piątek
Miałem dziś w nocy – to znaczy nocy ubiegłej – niezwykłą przygodę domową. Służąca moja, Kamila Merchalska, jest dziewczyną pomimo swej ułomności (ma jakieś skrzywienie w biodrze, wskutek czego utyka na jedną nogę) – bardzo łakomą na chłopców. U mnie miała raj pod tym względem, bo po ugotowaniu mi obiadu miała zawsze całe popołudnia i wieczór, aż do nocy zupełnie swobodne na swój wyłączny użytek. Nie kwestionowałem nigdy tego, co z tym czasem robi, i nie kontrolowałem jej stosunków, byle tylko nie przyjmowała kochanków w moim mieszkaniu. Kamila miała zły przykład i pokusę w swojej starszej siostrze, której z oczu patrzy rozpusta, i w całym szeregu przyjaciółek z jej sfery, z których każda ma kochanka. Z wiosny Kamila prowadziła się dobrze – przesiadywała najwięcej w domu. Rozpuściła się latem, gdy przez sześć miesięcy mnie nie było i ona nie miała nic do roboty. Dochodziły mię wersje, że w tym czasie przyjmowała kawalerów w moim mieszkaniu; potem były jakieś poszukiwania jej czy jej siostry przez policję, jakieś zarzuty i dochodzenie co do zarażenia przez którąś z nich żołnierzy chorobami wenerycznymi, słowem – coś niewyraźnego, czym się zbytnio nie interesowałem. W sierpniu, jak mi się zdaje, Kamila spędziła sobie płód; nie jestem tego pewny, ale z niektórych oznak domyślałem się tego. Kamila jest niebrzydka, ma rysy bardzo regularne, stopy i ręce małe i bardzo zgrabne; niektórzy znajdują, że jest bardzo ładna, chociaż ja się nią nie zachwycałem nigdy, oprócz może pierwszego dnia, gdym jeszcze nie widział jej kalectwa. Nie lubię kobiet ułomnych. Nigdy nie próbowałem nakłonić Kamilę do stosunku płciowego ze mną, nie czułem do niej żadnego w tym kierunku popędu, nie było żadnego cienia lubieżności między mną a nią. Że Kamila, dziewczyna młoda i przystojna, kochała się w chłopcach i gustowała w słodyczy pieszczot męskich – nic w tym nie było dziwnego, jak nie było też dziwnym to, że chłopcy (zdaje się – żołnierze) korzystali z jej ciała, gdy się im z łatwością oddawała. A że Kamila jest klasycznie głupia, więc namówić ją chłopcy mogli, do czego się im tylko spodobało. Mnie się Kamila bała wprost panicznie, chociaż nie terroryzowałem jej bynajmniej. Z natury cicha i nieśmiała, zapominała wobec mnie języka w ustach i nie była w stanie przemówić słowa ani spojrzeć mi w oczy. Mówiąc coś do mnie, odwracała głowę i spuszczała oczy, sztywniejąc, jak słup. Nigdy nie wdawała się ze mną w rozmowę. Chociaż żyliśmy razem w mieszkaniu i chociaż czasem spędzaliśmy całe godziny jednocześnie w domu (zresztą rzadko, bo i ja rzadko spędzałem wieczory u siebie i u Kamili należało to do wyjątków, bo wieczorami goniła za chłopcami gdzieś po mieście), nigdy jednak żadnej poufności, choćby tylko w rozmowie, miedzy nami nie było. Tym bardziej niespodziewane i niezwykłe było to, co zaszło nocy ubiegłej. Wróciłem wczoraj do domu z wieczora koło godz. 10. Napisałem jakiś list przy stole w pokoju wspólnym i poszedłem do pokoju sypialnego. Ze szmeru w pokoju Kamili, od którego do pokoju wspólnego nie ma drzwi wcale, zrozumiałem, że Kamila jest w domu i że się położyła spać. Było ciemno u niej. Położyłem się do mego łóżka, przeczytałem jeszcze i – mogła być godz. 12 o północy – zgasiłem światło i zabrałem się do snu. Przed zgaszeniem

światła słyszałem przez ścianę ruch w pokoju Kamili; słyszałem, jak wstała, jak przekręciła guzik, zapalając elektryczność, jak potem poszła do kuchni, bo usłyszałem skrzypnięcie drzwi do przedpokoju, a nawet, jak mi się zdało, skrzypnięcie drzwi komody. Nie zwracałem na to uwagi. Nic nie było w tym osobliwego. Nagle w półśnie usłyszałem nad sobą głos Kamili. Podjąłem głowę, wpół zaspany, wstrząśnięty jakimś niepokojem. Kamila stała przy moim łóżku, odwrócona tyłem i coś mówiła do mnie. Dokończę jutro.

18 października, rok 1919, sobota
Dokończę o tej nocy z czwartku na piątek. Obudziłem się więc i zobaczyłem, że stoi nad moim łóżkiem Kamila. Stoi i jakimś głosem nieswoim, jak lunatyczka, powtarza wciąż jedno pytanie – gdzie jej kluczyki, bo ich znaleźć nie może. Ogarnął mię na razie jakiś dziwny lęk. Czułem, że dziewczyna mówi nieprzytomnie. Zacząłem ją rozpytywać, co za kluczyki i czego właściwie chce, bo ja żadnych nie mam. Z wielkim trudem, jakby to ją kosztowało wysiłku, Kamila odrzekła, że chce wyjść z mieszkania, pójść do „Tośki" czy „Antośki" (zdaje się, że to jej siostra), i znów zaczęła w kółko o kluczykach powtarzać, zapytując mię o nie. Na próżno jej mówiłem, żeby szła spać. Zrozumiałem, że chce wyjść, ale że gdzieś zgubiła klucze, bez których wejść z powrotem nie będzie mogła. Kamila powtarzała swoje jak w obłędzie. Wziąłem ją za rękę – poddawała się biernie i wciąż o kluczykach powtarzała. Ten stan wpółprzytomny, automatyczny, w jakim była Kamila, łączył się w niej z jakimś wyrazem osłupiałego przerażenia. Widząc, że perswazją nic nie wskóram, bo Kamila nic nie rozumie, posadziłem ją na mym łóżku, a potem przyciągnąłem i położyłem obok siebie pod kołdrę. Ręce i nogi (była bosa) miała zimne jak lód. Z ust poczułem silny zapach alkoholu. Zrozumiałem, że się upiła. Wymawiałem jej to, na co mi ona wpółprzytomna z wysiłkiem odrzekła, że to „Julek" (pewnie kochanek) dał wódki. Sam jeszcze byłem pod wrażeniem świeżego snu i pod psychozą tego wrażenia, jakie zrobiło na mnie nieprzytomne ukazanie się Kamili; w tym stanie i czując ją pod kołdrą obok siebie przyszła mi nagła, jak fala, chęć spółkowania z tą pijaną dziewczyną, z którą przeżyłem w jednym mieszkaniu szereg miesięcy, nie kusząc się nigdy o jej posiadanie i nie znając się z nią właściwie i podjąłem spódnicę Kamili, obnażyłem i zatopiłem żądło moich pragnień w jej drobne mizerne ciało; Kamila nie broniła się, jeno się wyginała i kręciła pode mną. Trwało to chwilę, nie wiem, czy dokończyłem nawet mego czynu. Poszedłem zajrzeć do pokoju Kamili, który zostawiła oświetlony; chciałem ją do jej łóżka odprowadzić, ale zaoponowała i taki miała dziki wyraz przerażenia w oczach, wchodząc do swego pokoju i zbliżając się do swego łóżka, jakby to było miejsce zbrodni. Co jej było w głowie, nie wiem. Wróciła do mego pokoju, wzięła gruszkę z okna i bawiąc się nią, usiadła na mym łóżku, do którego się już położyłem; przegięła się ciałem w poprzek łóżka, zaciążyła mi na kolanach, które gniotła i zaczęła coś mówić bez związku głosem szczebiotliwym małego dziecka, sama ze sobą, wracając wciąż do Tośki, do kluczyków, które zgubiła i znów do gruszki, którą co chwila gubiła, szukała i odnajdywała. Mogło się to przeciągnąć na godziny, a tymczasem leżąc w poprzek w nogach łóżka, ściągała mi kołdrę z nóg; oczywiście nie mogłem w tych warunkach spać, a poza tym zimno mi było. Zniecierpliwiło mię to wreszcie. Postanowiłem działać na Kamilę stanowczością. Kazałem jej wyjść i iść spać. Nie chciała mię usłuchać. Wtedy ją wziąłem i pomimo oporu zaprowadziłem do jej pokoju. Zaledwiem jednak wrócił do siebie – wnet i ona przyszła. To się powtarzało kilka razy. Stanowczość i srogość moja nie skutkowały wcale. Nie wiem, czy stan Kamili był tej nocy więcej pijacki czy więcej histeryczny. Nie zataczała się wcale, jak ludzie mocno pijani, a przecież była niepoczytalna. Jej zachowanie się, sposób

mówienia, sposób patrzenia przed siebie jakby w przestrzeń bez widzenia – robiły zupełnie wrażenie lunatyzmu czy porażenia histerycznego. Być może, że tak też było – że to był rodzaj ataku histerycznego za podnietą alkoholu. Postanowiłem wreszcie być nie tylko stanowczy, ale brutalny, co nieraz magiczny ma skutek na histeryczki, ulegające przemocy pokornie, omal że nie z rozkoszą. Zacząłem fizycznie wyrzucać Kamilę z mego pokoju, ilekroć przyszła, pchać ją, a wpadłszy już przy tym w pasję, sekundowałem równie brutalnie słowami: „won, kurwo!". Kamila wciąż jednak wracała do mego pokoju. Wtedy wściekły rzuciłem się na nią głową naprzód i pchnąłem ja rękami z taką siłą, że runęła na podłogę w pokoju wspólnym, uderzając głową o podłogę. Sam zaś wróciłem do łóżka. Zamknąłem drzwi (nie na klucz, bo klucza nie ma). Dokończę jutro.

19 października, rok 1919, niedziela
Dokończę już o nocy z czwartku na piątek z Kamilą. Gdym rzucił Kamilą o podłogę, tak że aż głowa jej stuknęła, i wróciłem do siebie, Kamila przez czas jakiś pozostała na miejscu, nie wstając z podłogi. Przez drzwi zamknięte mego pokoju słyszałem jej zawodzenie, wycie i szlochanie, pomieszane ze śmiechem tak serdecznym, jakżeby ją jakieś szczęście spotkało lub się zabawnemu widowisku przyglądała. Był to prawdziwy atak histerii, śmiech nerwowy, komedyczny, przechodzący w płacz i jęki i odwrotnie, śmiech spazmatyczny człowieka nieprzytomnego, gorszy od płaczu i ryku. Denerwowało mię to strasznie. Dość miałem tej sceny i spazmów. Po niejakim czasie Kamila wstała i usłyszałem ją znów chodzącą po mieszkaniu. Po chwili znów do mych drzwi podeszła i próbowała otworzyć, ale nie mogła; odeszła i znowu wracała; chodząc po swoim pokoju, od czasu do czasu wołała do mnie, dopytując się o swe „kluczyki", to znów, gdzie jest jej gruszka – ta, co z okna mego wzięła i w łóżku moim zgubiła. Wreszcie potrafiła otworzyć drzwi do mego pokoju i weszła nieśmiało, pytając o kluczyki. Wstałem wtedy i podszedłem do niej. Żałowałem już ją bić lub pchać, bo żal mi było nieprzytomnej dziewczyny. Ale wiedziałem, że nerwy jej tak się rozigrały, że się uspokoić i zasnąć nie będzie w stanie; nie widać było końca tej sceny. Gdym podszedł do Kamili, spojrzała na mnie posępnie, ale cokolwiek przytomniej; bojąc się widocznie nowych ciosów. Ująłem ją i zaprowadziłem do jej pokoju. Zażądałem stanowczo: albo spać, albo wynosić się precz z mieszkania natychmiast. Kamila przyglądała się ze zdziwieniem moim nogom, bo byłem tylko w koszuli (poprzednio nie pokazywałem się jej nigdy nawet w bieliźnie). Kamila nie wiedziała, na co się zdecydować. Coś bąkała o „kluczykach". Wściekłość mię znów porwała. Chwyciłem ją za szyję i ściskając – zatrząsłem. Była bosa – kazałem jej się obuć i zagroziłem, że ją zaraz wyrzucę, jeżeli nie uspokoi się i nie położy. Jeszcze raz spróbowałem wrócić do siebie, ale po niejakim czasie Kamila zaczęła znów chodzić i wreszcie znowu przyszła do mnie. Wtedy wstałem, porwałem ją, podałem jej szal i wyprowadziłem za drzwi na schody. Wyszła bez oporu. Wtedy obejrzałem się, że wyszła bosa – a schody są kamienne i na podwórzu chłód wielki. Wziąłem jej obuwie i wystawiłem za drzwi; Kamila zeszła z jednego przęsła schodów i siedziała na oknie; powiedziałem jej, że buciki wystawiam, a sam drzwi zamknąłem i poszedłem spać. Myślałem, że Kamila będzie się do mieszkania dobijać, ale nie. Rano Kamila nie wróciła. Dopiero w południe, przechodząc ulicą, zobaczyłem ją. Wtedy naumyślnie wróciłem do domu, aby widziała, że wracam. Toteż po chwili przyszła. Nie wiem, czy pamiętała wszystkie epizody tej nocy. Gdy przyszła, powiedziała mi, że teraz z pewnością wezmę inną służącą i że ona zajdzie wieczorem zabrać swoje rzeczy. Nie zatrzymywałem jej, bo zresztą już żadnej służącej mi nie potrzeba, ponieważ zwijam mieszkanie. Jednak żal mi Kamili. W każdym razie była to dziewczyna bardzo uczciwa z natury.

20 października, rok 1919, poniedziałek
Nad Polską zawisła chmura strajkowa. Może należałoby raczej powiedzieć, że przepłynęła przez nią fala strajkowa. Strajk ten miał w założeniu wybitne cechy polityczno-rewolucyjne. W pierwszym rzędzie był to groźny strajk agrarny, proklamowany przez Związek Robotników Rolnych. Istotę tego strajku stanowiły nie żądania natury gospodarczej co do polepszenia warunków bytu, bo pod tym względem zresztą robotnicy rolni już osiągnęli ogromne rezultaty – los ich dzisiaj jest wcale dobry, o wiele lepszy od losu robotników miejskich, ale hasła polityczne i w ich liczbie hasło innej, niż w programach chłopskich stronnictw ludowych, konstrukcji reformy agrarnej (wywłaszczenia majątków prywatnych bez odszkodowania i nie parcelowania ich na rzecz chłopów, lecz przekazania robotnikom rolnym). Strajk ten zmierzał także do zachwiania całą budową polityczną w Polsce, był mobilizacją rewolucji. Dużą rolę w proklamowaniu tego strajku odegrali komuniści, których wpływy w Związku Robotników Rolnych zdają się być przeważające. PPS zachowała się wobec tego strajku połowicznie; niby broniła go w zasadzie, ale urzędowo kategorycznie nie forsowała. Zdaje się, że w PPS ujawnił się w stosunku do tego strajku rozdźwięk: prawica umiarkowana partii była mu przeciwna, skrzydło radykalne – popierało. Nie mówiąc o stronnictwach prawicowych, nawet ludowcy wystąpili przeciwko temu strajkowi. Rząd zajął stanowisko zdecydowanie wrogie względem strajku, biorąc się do bezwzględnego stłumienia tegoż. Od paru dni strajk ten jest obwołany, w niektórych powiatach wybuchł, powodując z jednej strony ekscesy, z drugiej represje. Sekundować temu strajkowi miał strajk powszechny i w szczególności też kolejowy. Do kolejowego jednak i powszechnego strajku nie doszło. Zdaje się, że ta strajkowa pobudka rewolucji spali na panewce. Tu w okręgu łomżyńskim nie słychać o strajku agrarnym po majątkach nic. Zdaje się, że ta fala strajkowa, której siłę i skuteczność komuniści bodaj że przecenili, jest tą właśnie bliską rzekomo rewolucją, którą zapowiadano niedawno temu, o czym pisałem w dzienniku. Ale tego najistotniejszego momentu zapowiadanego planu rewolucyjnego, jakim miało być podług relacji Stolnickiego i Bauera zrzeczenie się przez Piłsudskiego godności Naczelnika Państwa jako zapowiedzi rychłego przewrotu i bądź dyktatury Piłsudskiego, bądź rewolucji, nie ma wcale. I nic o tym nie słychać. Musiała to być jakaś bajka.

21 października, rok 1919, wtorek
Depesze w gazetach, które dziś przyszły do Łomży, donoszą o zdobyciu Petersburga przez kontrrewolucyjne wojska rosyjskie pod wodzą Judenicza na bolszewikach. Wprawdzie od kilku miesięcy wiadomość o zdobyciu Petersburga przez kontrrewolucjonistów ukazywała się już na łamach prasy kilkakrotnie, to jednak zdaje się, że tym razem jest ona prawdziwa, bo w ostatnich czasach oddziały Judenicza były się istotnie bardzo zbliżyły do stolicy północnej i już miały w ręku Gatczynę i Carskie Sioło. Jednocześnie z Petersburgiem kapitulował podobno na rzecz Anglików, których flota panuje w Zatoce Fińskiej, Kronsztad. Upadek Petersburga, radykalnie wygłodzonego za rządów bolszewickich i wyludnionego tak, że z przeszło dwóch milionów ludność jego spadła w ciągu dwóch lat ostatnich na skutek śmiertelności i wychodźstwa do kilkuset tysięcy, stanowi dla bolszewików klęskę raczej polityczną i moralną, niż strategiczną. Stolicę już od dwóch niemal lat przenieśli bolszewicy do Moskwy; na skutek ścisłej blokady Rosji Petersburg stracił już całkowicie dla bolszewików wartość portu, służącego do dowozu czegokolwiek z zewnątrz i był raczej ciężarem, albowiem trzeba było go żywić dowozem z wnętrza Rosji, co przy fatalnym stanie sprawy aprowizacyjnej i środków transportowych było rzeczą niemal

niewykonalną i istotnie też niewykonywaną. Ale wrażenie upadku Petersburga będzie niemniej dla rządów Lenina i Trockiego klęską bardzo ciężką. Kto wie, czy bolszewizm w Rosji, osaczony ze wszech stron i nie umiejący rozwiązać zagadnień aprowizacji i produkcji, nie stoi u progu zupełnego upadku. Broni go najskuteczniej rozległość przestrzeni bezkresów w Rosji i bezwład ludu rosyjskiego.
Miałem dziś sesję karną I instancji z dobranymi przeze mnie ławnikami – mymi przyjaciółmi z Kolna, Franciszkiem Stachelskim i Edmundem Gołaszewskim. Sesja była uciążliwa i poważna, dość powiedzieć, że w jednej sprawie skazaliśmy oskarżonego za rozbój, połączony z zabójstwem, na 10 lat ciężkiego więzienia. Nie licowało nieco z powagą i ciężarem spraw to, że dość mocno podchmieliłem przy obiedzie w Rembielinie z moimi Kolnianami. Zwyczajem kolneńskim – nie ma obiadu bez alkoholu. Stachelski i Gołaszewski fundowali wódkę, obiad i wino, ja zaś, rewanżując się, musiałem im fundować po obiedzie kawę z chartreusem. Toteż dobrze mi w głowie szumiało, gdyśmy po przerwie wrócili do sesji. Z początku nawet mi język bełkotał, tak że z trudnością odczytywałem wyroki i akty oskarżenia. Tymczasem wieczorem, gdy alkohol zaczął wietrzeć z głowy, znów się nadarzyła okazja do ucztowania z nieodzowną wódką. Bowiem grono adwokatów z prokuraturą i sędzią Skarzyńskim żegnało w gabinecie w Rembielinie podprokuratora Mieczysława Lipkę, odjeżdżającego do Białegostoku na stanowisko sędziego okręgowego. O godz. więc 9 zarządziłem przerwę i z prokuratorem Sienickim udałem się na fetę. Mile tam parę godzin spędziłem, wesoły i podochocony powtórnie dobrze. Potem, znowu podchmielony, wróciłem na sesję, która aż koło trzeciej nad ranem się skończyła.

22 października, rok 1919, środa
Dziś miałem sesję apelacyjna znakomitą, bo tak króciutką i łatwą, jak rzadko. Dobrze jest mieć od czasu do czasu taką sesję, bo trzeba wszak odpocząć, a dzięki takiej sesji maleje ilość wyroków do umotywowania. Dzisiaj zaś tym bardziej pragnąłem łatwej sesji, bo z rana czułem się źle po wczorajszym nadużyciu alkoholu. Miałem głowę ciężką i byłem nieswój. Na wokandzie było 12 spraw, wyłącznie o pobicia. Forsowałem pojednania i rzeczywiście w większości wypadków udało się doprowadzić strony do tego. Poza tym parę spraw odroczyliśmy. Wyroków z sesji dzisiejszej mam tylko cztery – rezultat dla mnie wspaniały; nie będzie roboty z motywacją.
Ruch spraw w moim wydziale karnym apelacyjnym wzrasta ogromnie. Wkrótce już może dojść do tego, że będzie to wydział co do ilości spraw najobszerniejszy. Od ostatnich dni lipca, odkąd wróciłem z urlopu wyznaczam co dzień po pięć spraw na wokandy, co wynosi tygodniowo 35 spraw wyznaczonych. W tym tempie wyznaczanie odbywa się już około trzech miesięcy i ciągle jeszcze jest pewien zapas spraw niewyznaczonych. Dotychczas miałem tylko po jednej sesji apelacyjnej tygodniowo, a że przeciętnie wypada na sesję po 15 spraw, z których 3 do 5 odraczają się, więc każda sesja daje ± 10-12 spraw zasądzonych. Proszę zestawić te dwie liczby – 10-12 spraw tygodniowo zasądzonych i 35 spraw tygodniowo wyznaczanych – a dopiero się ujawni gwałtowny z tygodnia na tydzień przyrost zaległości, wynoszący 23-25 spraw. Toteż od bieżącego tygodnia będą już po dwie sesje tygodniowo apelacyjne – w środy i soboty. Wyznaczając nadal po dwie sesje tygodniowo, zaległości już tak wzrosły, że wyznaczam obecnie sprawy na luty i na marzec. Gdybym wyznaczał po jednej sesji tygodniowo, jak dotąd, musiałbym już wyznaczać gdzieś na czerwiec lub lipiec przyszłego roku. Ale jeżeli nadal dopływ spraw z sądów pokoju będzie postępował w tym tempie, to i przy dwóch sesjach nie usunę zaległości, bo dwie sesje dadzą tygodniowo od 20-24, najwyżej 25 spraw zasądzonych, podczas gdy wyznacza się tygodniowo 35 spraw, co odpowiada dopływowi, jak dotychczas – regularnemu.

23 października, rok 1919, czwartek
Dziwne mam usposobienie. Jakem wspominał w sierpniu, to uczucie do Lusi Roszkowskiej, które kiełkowało we mnie poprzednio i które w czasach, gdym się z nią nie stykał wcale albo tylko przelotnie, zaznaczyło się w tak ostrej tęsknocie, żem je brał już za rodzącą się miłość, następnie, gdym po powrocie z urlopu letniego zastał ją pracującą w kancelarii mojego wydziału i codziennie przebywał w jej towarzystwie do obiadu w moim gabinecie sędziowskim, gdzie się mieściła czasowo kancelaria wydziału odwoławczego, nie tylko że się nie skonsolidowało w ogniu codziennego widzenia się, ale się ulotniło niepostrzeżenie i nagle w ciągu kilku dni, tak radykalnie i zupełnie, że się sam jeno dziwiłem, w jaki sposób to się stać mogło i co mię właściwie poprzednio w Lusi Roszkowskiej tak do niej pociągało. Takiego radykalnego i szybkiego upadku uczucia, takiej przemiany nagłej, nie połączonej z żadnym kryzysem, nie doświadczałem poza tym jednym wypadkiem nigdy w czasach mej młodości, kiedy miłość do tej lub owej panny była w sercu moim na porządku dziennym. Dziwiłem się temu kaprysowi mojego serca, który był tym bardziej dziwaczny, że z chwilą upadku uczucia nie byłem w stanie dostrzec w Lusi nic zgoła takiego, co mi się poprzednio w niej podobać mogło. Wydawała mi się ona banalna, głupiutka, ot taka sobie pospolita gąska panieńska z prowincjonalnego miasta, robiąca to, co robią wszystkie, wzorująca się na szablonach pospolitości. Przestałem się nią zupełnie interesować, a czasem mię ona nawet swoją obecnością w moim gabinecie drażniła, ona, której towarzystwo w lutym i marcu za ostatków Głównej Komisji Wyborczej było tak dla mnie rozkoszne i słodkie, ozdobione pieszczotą i iskrami podniet zmysłowych w budzącej się podświadomie wzajemności tej dziewczyny. I cóż panowie powiecie, jeżeli czytać będziecie te karty dziennika! Oto przed trzema tygodniami rozstałem się z moją kancelarią wydziału apelacyjnego. Sędzia Skarzyński przeniósł swój gabinet do byłego gabinetu podprokuratorów, a do jego dawnego gabinetu, który mieści się obok mojego, przeniesiona została nasza kancelaria odwoławcza w osobach podsekretarza Flery'ego, kancelistki Lusi Roszkowskiej i nowej dietariuszki, przyjaciółki Lusi – panny Heleny Mścichowskiej, również dziewczyny interesującej, przystojnej i pełnej swoistego wdzięku, choć zarówno fizycznie, jak psychicznie – zupełnie w innym typie, niż Lusia. I oto od tego czasu znów się budzi we mnie i rośnie kaprys zainteresowania i zachwycenia się Lusią, chociaż nie w tym tempie miłości, co poprzednio, bez tonów rzewnych i tęsknych zgoła, w stylu raczej tej swawoli miłej i figlarnej, co w czasach Głównej Komisji Wyborczej w styczniu i początkach lutego, gdy się ona mieściła jeszcze w gmachu magistratu i gdy żartobliwy stosunek nasz dzieliłem między dwiema – Lusią Roszkowską i Cezaryną Kokoszko. Teraz jest dwoistość inna – Lusia Roszkowska i Helena Mścichowska, ale analogia w stosunku moim się odtwarza.

24 października, rok 1919, piątek
Dziś rano przeniosłem się na nowe mieszkanie, a raczej z mego dotychczasowego mieszkania do pokoju, który wynająłem sobie przy ul. 3 Maja. Nająłem tragarzy Żydków, którzy mi wszystkie moje rzeczy przenieśli. Przez czas mojego gospodarowania na własnym mieszkaniu przybyło mi sporo różnych statków gospodarskich, naczyń, statków kuchennych itp., tak że przy przenosinach było już sporo tego. Człowiek, siedząc przez czas dłuższy na jednym miejscu, obrasta sprzętami jak ptactwo pierzem i kamień mchem. Cieszę się, że się już przeniosłem. W ostatnich czasach, odkąd zwłaszcza odeszła Kamila, znienawidziłem już moje dawne mieszkanko w domu Wejrocha. Było ono przejmująco zimne, a w braku służącej stało się zupełnie bezludne, zmartwiałe i niechlujne. O przesiadywaniu w nim, ze względu na chłód – nie

mogło być mowy. Wracałem do niego co wieczór na noc jak do pustyni, jak pies do swojej smutnej budy, aby się położyć do niesłanego łóżka, wsunąć się w kołdry, z których rano wylazłem, i naśmiecić trochę więcej, niż dotąd było naśmiecone. Bezład, kurz, śmiecie, brudna woda – wszystko się z dnia na dzień w niezamiatanym i nieuprzątanym mieszkaniu zwiększało. Zimno i niechlujnie – oto dwie najwybitniejsze cechy, które charakteryzowały to moje mieszkanie w ostatnim tygodniu.
Otrzymałem dziś list od Ludwika Abramowicza z Wilna, do którego przed tygodniem pisałem, oznajmiając o moim zamiarze przeniesienia się do Kowna do sądownictwa litewskiego i zapytując, czy można mieć zapewnioną pewność otrzymania w Wilnie przepustki na przejazd do Kowna. Co do przepustki, to Ludwik pisze, że to się da zrobić i że to załatwia Sławek, kierujący tym wydziałem w Wilnie z ramienia dowództwa wojskowego. Co zaś do mojego zamiaru wyjazdu i osiedlenia się w Kownie, to Ludwik Abramowicz wita tę decyzje z uznaniem, ponieważ on, jak inni moi dawni przyjaciele, zarówno spośród Litwinów, jak Polaków litewskich, miał mi za złe to, żem w tych trudnych czasach usunął się od udziału w życiu krajowym i pozostał... sędzią... w Łomży.
Skądinąd jednak w sprawie tego powrotu mojego do Litwy rzecz się dotąd ani o krok nie posunęła naprzód. Już około trzech tygodni, jakem napisał do Michała Biržiški o moim postanowieniu wyjazdu do Kowna, prosząc go o radę i pośrednictwo w skomunikowaniu się moim z czynnikami rządowymi litewskimi w Kownie dla zapewnienia sobie stanowiska w sądownictwie litewskim. Dotąd nie mam od Biržiški żadnej odpowiedzi, a jego pośrednictwo jest mi konieczne, ponieważ możności bezpośredniego skomunikowania się stąd z Kownem – nie mam. Przed kilku dniami znów napisałem do Biržiški, prosząc o odpowiedź. W ostateczności, gdyby przez Biržiškę nic się zrobić nie dało, udam się do ks. Tumasa w Wilnie. Bądź co bądź, zdecydowany jestem wrócić do kraju i to właśnie do Kowna. Chociaż to ciężkie zaognienie stosunków polsko-litewskich jest dla mnie rzeczą bardzo przykrą, to jednak to mię już teraz nie wstrzyma od powrotu. Są frakcje w Polsce, przede wszystkim Narodowa Demokracja, część ziemiaństwa obszarniczego polskiego z Litwy i dość znaczna, zdaje się, odłamy Polaków litewskich, szczególnie w samym Wilnie, które pchają Polskę do wojny z Litwą, a nie brak też tego rodzaju elementów wśród Litwinów kowieńskich, którym się wojna z Polską, jako demonstracja wobec Europy, uśmiecha, ale chcę wierzyć, że do niej nie dojdzie. A zresztą... *Quand meme...*! Nie mogę śpieszyć na łeb na szyję z moim projektem powrotu do kraju, bo muszę sobie najpierw zapewnić przyjaciół i stanowisko w sądownictwie litewskim, aby mieć materialne podstawy egzystencji i niezależność konieczną. Gdyby nawet nierychliwie, ale zamiar mój doprowadzić do rezultatu muszę. Jeżeli przez Biržiškę i Tumasa nie załatwię tego listownie, to ostatecznie sam gotów jestem na Boże Narodzenie wybrać się do Wilna, a może i do Kowna, aby tę rzecz załatwić.

25 października, rok 1919, sobota
Dzisiaj pierwsza sesja sobotnia – druga w tygodniu – w wydziale karnym apelacyjnym. Odtąd już będą co tydzień sesje apelacyjne karne podwójne – we środy i soboty. Sesje środowe rezerwuję dla siebie, sesje zaś sobotnie przeznaczam dla Chabowskiego, gdy ten już zostanie mianowany i obejmie stanowisko sędziego okręgowego. Tymczasem, jak zwykle, Warszawa marudzi z nominacją Chabowskiego, nie możemy się doczekać, a pierwsza sesja sobotnia już nadeszła. Ponieważ nie mogę wydołać napisaniu większej ilości wyroków umotywowanych niż z dwóch sesji tygodniowo – jednej I instancji i jednej apelacyjnej – a nie chcę robić w mojej praktyce sędziowskiej wyłomu i przesyłać do sądów pokoju wyroków apelacyjnych bez motywów, więc zwróciłem się zawczasu

do prezesa z prośbą o wyznaczenie któregokolwiek z sędziów cywilnych do przeprowadzenia sesji karnych apelacyjnych sobotnich do czasu mianowania Chabowskiego. Na dzisiejszej miał siedzieć Duszyński, ale ponieważ na skutek wyjazdu Tramplera dwaj sędziowie cywilni – Duszyński i Makowski, są tam teraz przeciążeni w wydziale cywilnym, więc Duszyński nie mógł się podjąć przeprowadzenia sesji i umotywowania wyroków. Uprosiłem więc prezesa Filochowskiego, aby sam się podjął tej sesji. Filochowski zgodził się i dziś siedział na sesji. Filochowski jest cywilistą i na sprawach karnych się nie zna, ale miał dziś sesję łatwą – 12 identycznych spraw karnych. Do pomocy wziął sobie zamiast jednego z ławników, który nie przybył – sędziego Duszyńskiego. Duszyński był na sesji suflerem prezesa.
Wczoraj adwokat Wołodkiewicz, lokalny *leader*, a raczej reprezentant urzędowy na zewnątrz obozu demokratycznego w Łomży, zaangażował mię do współpracownictwa w swym tygodniku demokratycznym „Ziemia Łomżyńska", którego wydawnictwo, przerwane z braku środków wkrótce po wyborach do Sejmu, zamierza wznowić. Zgodziłem się w zasadzie i chcę istotnie w piśmie tym, jeżeli zacznie wychodzić, pisywać, dopóki tu jestem. Na artykulik zdobyć mi się będzie nietrudno, ale czy prowadzenie stałej kroniki sprawozdawczej sądowej, jak tego chce ode mnie Wołodkiewicz, da się pogodzić z moim stanowiskiem sędziego – tego nie wiem. Zresztą pisemko to jest bardzo letnią wodą. Że takim będzie – to wnosić należy z poprzedniej jego edycji. Ale jak na Łomżę – to i to już jest radykalne. Słychać od pewnego czasu, że endecy gotują się do wydawania w Łomży – nawet aż dziennika. Podobno zaangażowali redaktora aż... ze Lwowa. Są pewne domysły, że w inicjatywie tej jest ręka biskupa Jałbrzykowskiego. Wołodkiewicz – człowiek ambitny – nie chce się dać uprzedzić. Przeczuwa on już w niedalekim czasie nowe wybory do Sejmu, na których zapewne zechce znów stawiać swoją kandydaturę, a może tym razem koniunktura wyborcza tak się ułoży, że obóz umiarkowanie ludowo-demokratyczny znajdzie tu większe poparcie i Wołodkiewicz przejdzie. Trampler mi niedawno wyraził przypuszczenie, że Wołodkiewicz będzie jeszcze kandydować pod flagą endecką. Do tego może nie przyjdzie, bo choć jest ambitny, ale bywają dwa rodzaje ambicji: jeden – płytki i na krótką metę, który się ugania za natychmiastowym skutkiem, to rodzaj karierowiczostwa, niż ambicji, i drugi – ambicji istotnej, głębszej, obliczonej na sukces trwały, choćby nieco późniejszy. Mam nadzieję, że Wołodkiewicz ma ambicję drugiego typu – szlachetniejszą.

26 października, rok 1919, niedziela
Pierwszą noc spędziłem dziś w moim nowym pokoju przy ul. 3 Maja. Jestem z niego zadowolony. Najważniejsze jest to, że pokój jest suchy i ciepły. Poza tym, jest czysto utrzymany, co także należy do zalet najistotniejszych. Gospodarze mieszkania, od których odnajmuję mój pokój, są ludźmi niższego stanu: on jest kucharzem z zawodu, dawniej pracował w restauracji Zwanickiego w Rembielinie, obecnie prowadzi na własną rękę bufet z restauracją w klubie robotniczym „Rozwój" przy ul. Długiej; ona, jego żona, jest rodowitą Łomżynianką; jej ojciec miał ogród pięciomorgowy i domek własny na tzw. „Uczątku", to znaczy w dzielnicy podmiejskiej przy szosie śniadowskiej naprzeciwko koszar wojskowych. Jest to młode małżeństwo – mają po lat dwadzieścia kilka; mają jedno dziecko, jeszcze niemowlę, które trochę krzyczy w nocy, ale to mnie nie przeszkadza. Jak się nazywają – nie wiem. Pokój mój ma osobne wejście ze schodów, oddzielony jest od drzwi wejściowych miniaturowym rodzajem przedpokoiku długości około 2 kroków i szerokości od 3 do 4 kroków. Jedyna rzecz, która jest troszeczkę krępująca, to ta, że drzwi łączą mój pokój z pokojem sypialnym

moich gospodarzy, a choć te drzwi są zamknięte (nie na klucz), jednak wszystko przez nie słychać z mieszkania gospodarzy, jak również u nich słychać każdy szum w moim pokoju. Ale wejście ze schodów do mieszkania moich gospodarzy jest osobne, zupełnie niezależne od mojego wejścia. Na ogół będzie mi tu dobrze.
Z wieści publicznych zanotuję to, że jeszcze i tym razem okazało się, że nowina o wzięciu Petersburga przez kontrrewolucyjne wojska rosyjskie była przedwczesna. Judenicz stoi w pobliżu Petersburga, ale miasta nie zdobył i jeszcze do niego nie dotarł. Z prasy polskiej, oprócz skrajnie prawicowej (endeckiej), jak również z notowanych w wileńskim „Głosie Litwy” nastrojów miarodajnych kół polskich w Wilnie, można wnosić, że w stosunkach polsko-litewskich, tak strasznie zaognionych i grożących już bezpośrednią wojną, prowokowaną z obydwóch stron, nastąpiło w ostatnich dniach pewne osłabienie naprężenia, coś w rodzaju leciutkiego promyka ukojenia i jakby nadziei na pojednanie. Wprawdzie nie mam nadziei na rychłe i skuteczne zażegnanie zatargu, którego istota tkwi w sporze historycznym o Wilno i poniekąd o Białoruś katolicką, sporze, w którym obie strony stawiają wyłączające się nawzajem postulaty i w którym Polacy litewscy, mający klucz do budowy złotego mostu zgody, nie ujawniają żadnych zgoła w tym kierunku aspiracji, jakby z góry i raz na zawsze klucz ten precz odrzucili, ale być może, że nacisk czynników zewnętrznych, zwłaszcza niebezpieczeństwo rosyjsko-niemieckie, rosnące w miarę wzrostu kontrrewolucyjnych knowań rosyjskich i ogniskujące się w roli pośredniczej Niemców bałtyckich, wpłynie jednak kojąco na stosunki polsko-litewskie, cementując konieczność porozumienia i może nawet ustępstw wzajemnych. Knowania rosyjsko-niemieckie, które poprzednio miały cechę konszachtów Niemiec z bolszewikami jakby w kierunku zatopienia wyzwalających się narodów i państw na zachodnich kresach b. Imperium Rosyjskiego i zniwelowania tych młodych organizmów państwowych, szukających oparcia w Koalicji, zalania ich falą bezimiennej narodowo rewolucji, stopniowo przerodziły się w bardziej zorganizowane i wyrazistsze programowo konszachty Niemców z kontrrewolucją rosyjską. Historia tych knowań jest bardzo zawiła i przyszły historyk będzie miał dużo problemów z rozwikłaniem ich wątku i ustaleniem ich prostego planu. To pewne, że Niemcy salwują swą porażkę w wojnie światowej przez ugruntowanie swych wpływów na wschodzie w drodze kontaktu z Rosją i założenia tu podwalin dla punktu wyjścia do rewanżu na przyszłość.

27 października, rok 1919, poniedziałek
Wracam do tematu wczorajszego. Kraje bałtyckie – Estonia, Łotwa, Litwa – drogi połączenia lub rozdziału Niemiec i Rosji – stały się dziś bodaj punktem tej wagi w sprawach Europy, jakim do niedawna były Bałkany. Nie jest przesadą twierdzić, że od losu i organizacji tych krajów zawisł dziś w dużym stopniu pokój europejski. Dla Niemiec oparcie się o Rosję, znalezienie w niej rynków dla swego przemysłu i handlu, ugruntowanie w niej swych wpływów, ujarzmienie ekonomiczne i polityczne Rosji, sojusz z nią wreszcie – to zapewnienie sobie z tej strony bezpieczeństwa dla przyszłego rewanżu na zachodzie, stworzenie sobie tym źródła potęgi, zaszachowanie Polski, odżywienie się po wyczerpaniu doznanym. Kraje wybrzeża bałtyckiego, stanowiące most między Niemcami a Rosją, nie powinny być im przeto wrogie i winny być wciągnięte w sferę tego wspólnictwa, tej kooperacji niemiecko-rosyjskiej. Do roli tej są one stworzone nie tylko z tytułu swego położenia geograficznego, czyniącego je poza tym szczególnie ponętnymi dla Rosji, cofniętej po katastrofie lat ostatnich wstecz od wielkich dróg wyjścia w świat, od historycznych wytycznych jej ekspansji, ale także z tytułu tego elementu kultury osadnictwa niemieckiego w Łotwie i Estonii w postaci Niemców nadbałtyckich, stanowiących najbardziej powołany żywioł do wykonania

zadań, które sobie Niemcy w kontakcie z Rosją zakreślają. Toteż polityka Niemiec polega na niedopuszczeniu do powstania niepodległych narodowych tworów państwowych nad Bałtykiem, których cele indywidualistyczne przeciwstawiałyby się zarówno Niemcom, jak Rosji, jako też ich kontaktowi. Te państwa narodowe Litwy, Łotwy i Estonii przede wszystkim wewnątrz tępiłyby u siebie i rozkładały zaród kultury i mocy niemieckości, a następnie w walce o swój byt odrębny przeciwstawiłyby się Niemcom z zachodu i Rosji ze wschodu i stałyby się zawadą planom odrodzenia potęgi Niemiec, na kontakcie i związku współpracy z Rosją opartym. Niezależnie od tych celów niemieckich, dla Rosji narodowe niepodległe państewka bałtyckie są przeszkodą do osiągnięcia swobodnego wyjścia na Bałtyk i obcowania ze światem europejskim. Odcięta od Europy murem Rumunii, Polski, a może i Ukrainy, Rosja spogląda z nienawiścią na przedłużenie i zamknięcie tego muru na północy w postaci tego grona drobnych republik bałtyckich, które ją ostatniego dziedzictwa na drogach jej oddechu morskiego pozbawiają. Toteż solidarność niemiecko-rosyjska na terenie wybrzeży bałtyckich nawiązuje się żywiołowo. Tam raz po raz manifestuje się ona jaskrawo i pod wszelkimi postaciami, pozornie najsprzeczniejszymi, bo zarówno w postaci wspierania bolszewików, jak w formacjach kontrrewolucyjnych Lievena, knowaniach imperialistycznych von der Goltza, konspiracjach i ogniskowaniu się politycznym baronów niemieckich, awanturnictwie Bermondtów, Awałowych itd. Upadając i krusząc się w jednym przedsięwzięciu, wyrasta ona jak feniks z popiołów w innym. Tam na ziemiach Litwy i Łotwy są punkty zaczepienia związku Niemiec z Rosją i odradzania tych dwóch potęg. Koalicja może nie dość to rozumie i zajmuje stanowisko niezdecydowane, nie chcąc zrażać Rosji i rychlej ją kastrować, bo kastracją jej mocy byłoby uznanie Litwy, Łotwy i Estonii. Ale jednocześnie byłoby to najskuteczniejszym zaszachowaniem Niemiec. Wagę sprawy krajów bałtyckich najłatwiej jest zrozumieć Polsce, odrodzenie Rosji i Niemiec jej bytowi niepodległemu zagraża. Pojmuje to Piłsudski, pojmować powinni mężowie stanu polscy, podpowiada to instynkt samozachowawczy Polski, wyczuwany, choć może nie dość uświadamiany. Jest najgłębszy solidaryzm żywotny między Polską a niepodległością Litwy, Łotwy, Estonii i formacją Związku Bałtyckiego. Kataklizmem tej historycznej konfiguracji jest nieszczęsny spór polsko-litewski o Wilno i tereny wschodniolitewskie.

28 października, rok 1919, wtorek
Miałem dziś sesję I instancji – oczywiście karną. Dość była nudna – same szare, drobne sprawy, poodraczane z różnych moich poprzednich sesji. Wyroki zapadały uniewinniające jeden za drugim i tylko w ostatniej sprawie, również bezbarwnej – kradzież leśna, połączona z oporem władzy – zapadł wyrok skazujący (3 miesiące i miesiąc więzienia). Ławnicy byli – Długoborski i Dąbkowski, którego tak nie lubię, bo jest to chodząca demencja umysłowa. Wśród spraw dzisiejszych było kilka żydowskich (oskarżeni – Żydzi). Chociaż i oni zostali uniewinnieni, ale doprawdy aż mi wstyd nieraz za tych ławników, jak oni traktują sprawy żydowskie. Na rozprawie tego nie widać, bo tam z natury rzeczy milczą i siedzą jak posągi. Ale dopiero trzeba ich widzieć i posłuchać w pokoju narad przy swobodnym i poufnym omawianiu sprawy przed wyrokiem. Nie zawsze oczywiście i nie wszyscy ławnicy w ten sposób traktują Żydów i sprawy żydowskie, ale na ogół wyjątki, traktujące Żydów po ludzku, należą po prostu do białych kruków; ogólny przeciętny stosunek do Żydów jest u naszych ławników niżej krytyki, niegodny sędziów. Dzisiejsi zaś ławnicy z Dąbkowskim na czele są pod tym względem jaskrawsi od jaskrawości przeciętnego stosunku. Sprawa, która się toczy między Żydami, dla nich po prostu nie istnieje, a jeżeli sprawa jest między Żydem a Polakiem, to czują się już nie w roli sędziów, jeno w roli rzeczników naturalnych strony

polskiej; co zaś do świadków Żydów, to ci i ich zeznania dla nich nie istnieją. Żyd dla tych ławników to nie człowiek o takich lub innych indywidualnych cechach, troskach lub potrzebach albo wreszcie namiętnościach ludzkich, człowiek dobry lub zły, którego myśl i naturę sędzia winien zrozumieć i nieraz wyczuć, ale tylko – Żyd; w tym słowie „Żyd" mieści się dla nich całe określenie istoty; różnic ludzkich między Żydami nie widzą i nie szukają, bo pod tym względem jakieś bielmo uprzedzenia zasłania im oczy i umiejętność myślenia i czucia. Żyda umieją tylko przedrzeźniać, gdy zostają w naradzalni sami, lekceważyć i pogardzać. Na indywidualne zróżnicowanie jednostek ludzkich wśród chrześcijan są przecie wrażliwi, umieją wyczuć prawdę, fałsz, ból i wszystko, co ludzkie, ale gdy na scenę wejdzie Żyd – martwieją od razu i nie czują nic, prócz Żyda. Dla mnie to jest smutne. W ten sam chyba sposób Amerykanin traktuje swoich Murzynów. Rozumiem nieraz nieufność do wielu jednostek żydowskich, sam wyczuwam często w wielu Żydach, stojących przed kratkami sądu, bądź fałsz, obłudę, bądź tę szczególną żydowską niechęć i odporność na trybunał „gojów", który jest dla nich, dla ich pojęć często li tylko symbolem przemocy, ale nie sprawiedliwości, rezerwowanej przez nich sądowi ich rabina z Talmudem. Wiem, że w stosunku Żydów do sądu państwowego jest nieraz dużo pierwiastka, upokarzającego tenże sąd i sprawiedliwość „gojów". Ich stosunek do sądu jest poniekąd w tej samej mierze zbudowany na przesądzie i uprzedzeniu, co stosunek tych naszych ławników albo i sędziów nieraz (zbyt często) do nich. Jednak co się widzi w ciemnym Żydzie, to się nie chce widzieć w ławniku, powołanym na sędziego. Sędzia powinien umieć wejrzeć okiem ludzkim w człowieka, nawet w jego przesądy, szczególnie sędzia karny. Gdy się na to nie zdobędzie – sędzią dobrym nie będzie.

29 października, rok 1919, środa
Późno dziś, bo coś dopiero koło południa rozpocząłem sesję, ponieważ, jak zwykle, ławnicy szwankowali – jeden z nich nie stawił się wcale. Stawił się ławnik Chyliński, ziemianin z pod Ostrołęki, a na drugiego ławnika upolowałem p. Władysława Roszkowskiego, dyrektora banku, człowieka inteligentnego i sympatycznego, który z wielkim zamiłowaniem zasiada w sądzie. Sesja była apelacyjna, niewielka, na wokandzie 10 spraw wyłącznie o lekkie uszkodzenia ciała. Po obiedzie prezes Filochowski zwołał nas wszystkich sędziów na pewną prywatną naradę. Okazało się, że prezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie przysłał Filochowskiemu odpis pewnej skargi zbiorowej, podpisanej przez 1500 osób z pow. ostrowskiego, na różne braki i nadużycia w sądownictwie lokalnym, z poleceniem zarządzenia dochodzenia w tej materii. Skarga podnosi cały szereg poważnych i w poszczególnych punktach bardzo brzydkich zarzutów, chociaż ogólnikowych. Skarga, jak się okazuje, przesłana była przez skarżących do Sejmu, odpis jej zaś – do prezesa Sądu Apelacyjnego. W szczególności zawiera ona zarzuty następujące: a) co do rejenta w Ostrowiu, że nie stosuje taksy, że obdziera interesantów i łapigroszostwem tyle już się dorobił, że kupił dom czy też własność ziemską; b) co do komornika na pow. ostrowski, że za czynności liczy sobie po kilkakrotnie, obdziera bez sumienia, również tyle już przez czas krótki uciułał, że szuka już domu do kupienia, wreszcie że traktuje ludzi brutalnie i arogancko; c) co do sędziów pokoju w szczególności Nowickiego w Czyżewie, Wnorowskiego w Zaręmbach Kościelnych i Skłodowskiego w Ostrowiu – okręg wiejski, że są to ludzie bez żadnych kwalifikacji, niemal analfabeci, ludzie, którzy ani wiedzą, ani starannością i sumiennością nie zasłużyli na szacunek ludności, są źle przez ogół widziani i gdyby zarządzone były wybory, nie utrzymaliby się ani chwili, a zawdzięczają stanowiska swoje protekcji i nieliczeniu się przez władze, od których nominacje zależą – z wolą i potrzebami ludności, „pankowie", którzy lekceważą sprawiedliwość i lud, ale których

należy wreszcie wymieść, czyniąc porządek w stajniach Augiasza – sądownictwa lokalnego; d) dalej utyskiwania ogólne na zaniedbania urzędników wymiaru sprawiedliwości, brak poczucia obowiązku itd.; e) wreszcie, co do prezesa Filochowskiego, skarżący wskazują na to, że żadne skargi, zanoszone do niego, nie odnoszą skutku, bo toną w poczęstunkach, którymi winowajcy przyjmują prezesa, żalą się na faworytyzm Filochowskiego, więcej nawet – na korupcję. Oczywiście, że dla Filochowskiego skarga ta jest bardzo przykra. Jest ona też dowodem tego smutnego objawu, że wiara ludności nawet w sądownictwo jest zachwiana, że nawet ta sfera wymiaru sprawiedliwości, ta, która świecić powinna jak brylant bez skazy i stać ponad wątpliwościami, bo zaufanie do wymiaru sprawiedliwości jest jednym z najistotniejszych elementów samej sprawiedliwości, jest, niestety, naderwana i sądownictwo w opinii ludowej w pewnej mierze skalane. Smutny to objaw, ale w pewnej mierze, w stosunku do niższego sądownictwa – w szczególności sądów pokoju wiejskich i takich urzędów, jak komornicy, a nawet notariusze prowincjonalni – uzasadniony, niestety. Takie jest moje zdanie, ze spostrzeżeń wysnute. I, niestety, obniżenie poziomu czyni dalsze postępy, sięgając szczebli już nieco wyższych. W sądach okręgowych, które jeszcze stoją nieźle, idzie jednak nie ku lepszemu, lecz ku gorszemu. Ubogie uposażenie sędziów i pracowników sądowych z jednej strony tamuje dopływ sił zdolniejszych – w ogóle sił prawniczych nie przybywa w kraju, z drugiej – pozostawia w sądownictwie coraz lichszy materiał ludzki. Nie mówię już o takich wybitnych siłach fachowych, jak Trampler, bo te są zawsze i wszędzie, jak wszelkie wyjątki, rzadkie. Coraz mniej też jest takich pracowników sumiennych i starannych, sędziów czystych i z powołania, a więc dobrych, jak Skarzyński, a coraz więcej albo takich lichot niezdarnych, do niczego, jak Makowski, albo niedbałych rzemieślników, jak Duszyński. A co tęższe, zdolniejsze i dzielniejsze – to ucieka z sądownictwa do adwokatury albo na inne stanowisko lepiej płatne w służbie państwowej. Ludzie z iskrą świętą powołania – to zawsze tylko nieznaczna mniejszość. Co do meritum tej skargi zbiorowej i co do naszej rady, jakąśmy udzielili prezesowi – powiem jutro, bo miejsca nie mam.

30 października, rok 1919, czwartek
Zima się zbliża. Wczoraj wieczorem zawiał już przejmujący wiatr północny z zimnym deszczykiem. Rano wypadł pierwszy śnieg, którego ślad pozostał przez dzień gdzieniegdzie na dachach, w ogrodach i po zakątkach. Wiatr północny dął przez cały dzień.
Wracam do skargi zbiorowej z pow. ostrowskiego na sądownictwo, o której pisałem wczoraj. *In merito* skarga ta jest przykra, przesadza w ogólnikach, nie wskazując konkretnych, a więc najwymowniejszych, zarzutów, ale, szczerze mówiąc, dotyka ona kilku rzeczywistych bolączek naszego sądownictwa w ogóle i w okręgu łomżyńskim w szczególności. Nie można naszemu prezesowi Filochowskiemu czynić zarzutu świadomej korupcji, ale niemniej prawdą jest, że jako kierownik okręgu sądowego jest on niedołężny, słaby, zbyt po domowemu traktujący sprawy sądownictwa, grzeszący faworytyzmem, uwzględnianiem sympatii, stosunków itd. Jest to człowiek, który ani nie ma głowy administratora, ani szerokich poglądów i wyczucia sprawy publicznej. Traktuje on wszelkie zagadnienia sądownictwa *sub specia* zaścianka i parafii, a obsadzanie posad sędziów pokoju, notariuszów itd. dokonywa pod kątem protekcyjek, wygódek dla ludzi „swoich” itp. Otóż to się potem mści na funkcjonowaniu sądownictwa ze szkodą dla wymiaru sprawiedliwości; na posady sędziów pokoju w okręgach wiejskich trafiają ludzie nieodpowiedni, lekceważący swoje obowiązki, nie mający zaufania ludności i nie zasługujący na nie. Stosuneczki, prywata, zamaskowany

protekcjonizm – toczą jak rdza sądownictwo. Winna temu nie nieuczciwość, lecz słabość Filochowskiego i brak kultury społecznej u niego oraz brak zmysłu do administrowania. W szczególności co do sędziów pokoju, o których mowa w skardze, to Wnorowski z Zaręb Kościelnych jest wzbogaconym kupcem z Warszawy, który pojęcia o prawie nie ma, a kwalifikacje jego polegają li tylko chyba na tym, że kupił własność ziemską w tamtych stronach; sąd w Zarębach Kościelnych jest jednym z najsłabszych w okręgu i, jak wiem z doświadczenia, dostarcza największej ilości apelacji; jak słychać, sekretarz tego sądu, niejaki Radgowski, brat, zdaje się, obecnego sędziego pokoju (już nie prawnika) w Kolnie, bierze łapówki i czyni nawet malwersacje. Drugi – sędzia Nowicki w Czyżewie, jest ziemianinem lokalnym i bardzo mało się sądem interesuje; rej wodzi w sądzie sekretarz, którego poziom jest z pewnością niższy od poziomu naszych kancelistów w Sądzie Okręgowym. Wreszcie trzeci – sędzia Skłodowski w okręgu wiejskim Ostrowia – jest podobno prawie analfabetą.
Filochowski w porozumieniu ze swym doradcą zaufanym, sędzią Duszyńskim, zamierzał polecić przeprowadzenie dochodzenia w przedmiocie skargi ostrowskiej – sędziemu Skarzyńskiemu. Na naradzie naszej wczoraj uznaliśmy, w myśl wniosku Skarzyńskiego, że będzie najlepiej, jeżeli prezes zwróci się do prezesa Sądu Apelacyjnego z prośbą o wyznaczenie dochodzenia komukolwiek spoza okręgu sądowego łomżyńskiego, bo ponieważ skarga dotyczy też bezpośrednio Filochowskiego, który jest naszym przełożonym, przeto rewizja lub dochodzenie prowadzone przez kogokolwiek z nas nie sprawi nigdy należytego efektu i nie uspokoi opinii publicznej w kołach skarżących. Jeżeli rezultat dochodzenia wypadnie nie po myśli skarżących, to w opinii pozostanie osad niewiary w myśl przysłowia, że „kruk krukowi oka nie wydziobie”. Prezes postanowił się zastosować do tej rady.
Otrzymałem dziś list od Michała Biržiški w Wilnie. Pisze, że może chętnie podjąć się pośrednictwa w porozumieniu się z Kownem w przedmiocie zapewnienia posady dla mnie. Prosi, abym określił, o jaką mi posadę chodzi, w jakiej gałęzi pracy państwowej. Wyraża zadowolenie z mojej decyzji powrotu do kraju, ale zarazem obawę, że się rozczaruję i że znowu wpadnę w pesymizm i zniechęcenie, jak to miało miejsce u mnie na wiosnę. On bowiem, Biržiška, trwał na stanowisku mimo wszystko, nie poddając się żadnym nastrojom, gdy tymczasem świeżemu człowiekowi, jak ja, który dawno odszedł od kraju, dużo rzeczy, gdy się z niemi zetknie, będzie raziło, że może wtrącić w zniechęcenie i apatię. Wiem o tym – jestem uzbrojony w wolę wytrzymania i wiary „*grand même*”. Nie przedstawiam sobie rzeczy i stosunków w zbyt różowym świetle i nic mię dziwić nie będzie.

31 października, rok 1919, piątek
Zabrakło mi wczoraj miejsca do zanotowania o pewnym zebraniu, na którym byłem wieczorem obecny. Otrzymałem wczoraj rano zaproszenie od Ligi Kobiet na zebranie w sprawie zorganizowania obchodu pierwszej rocznicy oswobodzenia Polski w d. 11 listopada r. 1918. Listopad jest rzeczywiście miesiącem rocznic narodowych w Polsce. W listopadzie wypada rocznica Powstania Listopadowego r. 1830, dalej w d. 5 listopada rocznica zapomnianej daty pierwszego proklamowania przez cesarzy Niemiec i Austrii Niepodległości Polski w czasie Wielkiej Wojny w r. 1916, wreszcie ostatnia data d. 11 listopada 1918 – wypędzenia okupantów z Polski i zrealizowania Niepodległości przez Naród. Dzień 11 listopada będzie z pewnością uroczyście obchodzony w całej Polsce. Tu w Łomży z inicjatywą uroczystego obchodu tej pierwszej wielkiej rocznicy wystąpiła Liga Kobiet. Tzw. Liga Kobiet jest kontynuacją tych „lig kobiet pogotowia wojennego”, które w pierwszych latach wojny pokryły siecią Polskę, stając pod

sztandarem Piłsudskiego i idei strzeleckiej, idei ówczesnego aktywizmu niepodległościowego, którego wyrazem były w latach 1914-1916 Legiony. Ligi te przetrwały w stanie szczątkowym dotychczas. Po konflikcie, który się ujawnił w latach 1916-1918 między Piłsudskim z jego sztandarem Niepodległości a aktywizmem ugodowym pod sztandarem mocarstw centralnych z urzędową formą Legionów, Ligi Kobiet stały się ogniskami idei Piłsudskiego i stworzonej przez niego P.O.W. Przetrwały one potem jako organizacje, grupujące radykalne i postępowe elementy kobiet w przeciwieństwie do organizacji endeckich, czyli tzw. „Kół Polek". Duszą i sprężyną Ligi Kobiet w Łomży jest p. Jarnusikiewiczowa z garstką towarzyszek, wśród których do najaktywniejszych należą p. Cabertowa z córką panną Cabertówną, p. Krubska. Liga Kobiet łomżyńska jest blisko spokrewniona z PSL i tzw. Związkiem Demokratycznym, który stawał tu na czele opozycji antyendeckiej. Poszedłem na zwołane zebranie, które się odbyło w Kasie Przemysłowców. Niedużo się osób zebrało: kilkanaście pań i kilku zaledwie mężczyzn, w tej liczbie ja, drukarz Wejmer, Stolnicki, kilku wojskowych z wiernych piłsudczyków starej daty, w ich liczbie porucznik Skała-Brodowski, niegdyś sierżant w I baonie I pułku, którego znam z czasów baranowickich, wreszcie Wołodkiewicz i radny Hryniewicz, którzy byli tylko na początku zebrania, bo się gdzieś śpieszyli. Była też obecna pani notariuszowa Cholewińska, *leaderka* przeciwnego, to znaczy „narodowego" (czytaj – endeckiego) obozu kobiet w Łomży, która pilnie studiowała przebieg obrad, oczywiście w celu gotowości do kontrakcji. Na przewodniczącego miano zaprosić Wołodkiewicza, ale że miał wyjść, zaproszono mnie. Omówiono szczegółowo program uroczystości obchodu. Na wniosek Wołodkiewicza wydzielono z programu obchodu wiec, który uznano za należący do programu nie ogólnonarodowego obchodu, ale specjalnie do zadań stronnictw lewicowych w tym dniu. Co do samego obchodu – to uznano, że powinien on być jednolity i ogólny. Wybrano komitet inicjatywy z 5 osób, który ma się stać zawiązkiem ogólnego komitetu obchodu i któremu polecono zwrócić się do wszystkich organizacji w Łomży z propozycją udziału w obchodzie. Bojąc się, aby silna w Łomży prawica nie zatopiła tego komitetu i nie narzuciła obchodowi charakteru, sprzecznego z ideą demokracji, która uważa dzień 11 listopada za poczęty z jej ducha, uchwalono wszystkie zasady i artykuły programu obchodu, jako podstawę do pertraktacji i współdziałania. Czy tą drogą demokracja ujarzmi prawicę i czy na skutek tego narzuconego przez lewicę programu jako podstawy wspólnego wystąpienia nie nastąpi rozbicie uroczystości obchodowej na dwa łożyska – demokratyczne i endeckie – nie wiem. Prawica endecka jest w Łomży silniejsza od lewicy demokratycznej, a podporządkowywać się nikomu nie lubi, przeciwnie – dąży zawsze do trzymania pierwszych skrzypiec i robienia z wszelkich obchodów reklamy własnej.

1 listopada, rok 1919, sobota
Mróz coraz większy. Ziemia pokryta lekkim całunem śniegu, który jednak jeszcze jednolity nie jest. Dziś mamy dzień Wszystkich Świętych, uroczyste święto w krajach katolickich, a więc i w Polsce. Pomimo to pracowałem, jak zawsze, w sądzie; zresztą teraz zbyt wiele roboty nie mam, a w najbliższych dniach będę miał jeszcze mniej, bo wkrótce nastąpi u mnie luka w wyrokach do motywowania, co stanowi lwią część mojej pracy sędziowskiej. Istotnie wyroki piszę bardzo starannie, nie szczędząc na nie czasu i pracy. Każdy mój wyrok jest dziełem skończonym, jest „*un oeuvre*" sztuki sędziowskiej. Do starannych i dobrze wykończonych wyroków przywiązuję zawsze dużą wagę, czyniąc z nich moją prawdziwą specjalność. Z nie mniejszą starannością, niż wyroki I instancji, opracowuję i wykańczam wyroki apelacyjne, mimo że chodzi tam przeważnie o sprawy drobnej wagi. Ale wychodzę z tego założenia, że wyroki

apelacyjne Sądu Okręgowego są akademią dla naszych sądów pokoju, które z nich się uczą sądzenia. Ponieważ nie ma w sądownictwie polskim zjazdów sędziów pokoju, jak to było w dawnym sądownictwie rosyjskim i ponieważ przeto sędziowie pokoju nie biorą udziału czynnego w kolegialnym sądzeniu spraw w instancji apelacyjnej, więc poznawać błędy swoje i uczyć się mogą li tylko z motywowanych wyroków apelacyjnych w sprawach, które sądzili w I instancji. A że dobór osobisty naszych sędziów pokoju na wsiach nie grzeszy wysokimi kwalifikacjami, więc uważam za jeden z kapitalnych obowiązków stworzenie dla nich we wzorowych wyrokach apelacyjnych jak najlepszej szkoły sądzenia. Żmudna to jest robota, ale pożytek jej – istotny. Obowiązek ten jest elementem utrzymania należytego poziomu wymiaru sprawiedliwości.
W czasach obecnych, kiedy wszędzie grasuje gorączka pospolitego użycia, ludzie mało mają zrozumienia dla obowiązku i nie czują należytego szacunku dla niego, bo imponuje im przeważnie tylko użycie, a rozsądnym wydaje się tylko ten, kto po łebkach pracę i obowiązki traktuje, aby tylko zbyć robotę. Toteż niektórzy koledzy moi i większość zapewne pracowników kancelarii w sądzie gotowa jest, jak przypuszczam, drwić sobie nieco lekceważąco z wielkiego nakładu pracy mojej w sprawach nieraz błahych. Dla nich ten, który pracuje jednako nad wyrokami apelacyjnymi bez względu na to, czy sprawa pójdzie do kasacji czy wróci, jako zakończona, z odpisem apelacyjnego wyroku do sądu pokoju, musi się prawdopodobnie wydawać albo głupcem (tego zresztą o mnie powiedzieć nie mogą), albo fanatykiem pracy, albo trochę wariatem.
Dziś miałem jeden ciekawy i dość niepospolity wyrok z I instancji do motywowania z sesji z d. 21 X, na której sądziłem ze Strękalskim i Gołaszewskim. Skazaliśmy tam jednego oskarżonego – Golińskiego – za rozbój (napad rabunkowy na dom gospodarski, dokonany w nocy z rewolwerami przez zamaskowanych bandytów, przy czym gospodarze zostali związani, a stara matka gospodarza zamordowana uderzeniem szablą w głowę) – na 10 lat ciężkiego więzienia. Wyrok ten jest ciekawy przez to, że dowody winy skazanego Golińskiego nie były bezpośrednio namacalne, ale z zestawienia całego szeregu poszlak, z bardzo subtelnej i zręcznej analizy okoliczności i zbiegu faktów wina ta uwydatnia się dla mnie niezbicie. Że Goliński winien – jestem przekonany. Ale że został skazany – to rzecz dość rzadka i we wnioskowaniu śmiała. Można liczyć 90 szans na 100, że wyrok byłby przeciętnie w takiej sprawie uniewinniający. Umotywowanie tego wyroku skazującego było poniekąd majstersztykiem analizy śledczej, godnym Szerloka Holmsa. W sprawie tej będzie zapewne apelacja.

2 listopada, rok 1919, niedziela
Pracowałem dziś trochę w sądzie, ale niezbyt dużo. Na obiedzie, jak obecnie co dzień, byłem u Pruszanowskich, u których się teraz od tygodnia stołuję i stołować będę (płacę po 10 mk. za obiad). Po obiedzie byłem z Kotunią z wizytą u Komarów. Pruszanowscy i Komarowie – to są dwa jedyne domy emigrantów ziemiańskich z Litwy w Łomży. Z rodziny Komarów bawi w tej chwili w Łomży tylko stara p. Janowa Komarowa i jej córka – p. Ryta Medardowa Komarowa z Giełgudyszek oraz jedna z małych wnuczek p. Janowej Komarowej. Cicho u nich i odludnie, tak jak u Pruszanowskich. P. Rytę Medardową można zaiste podziwiać, jak również jej męża Medarda. Medard Komar z gniazda bejsagolskiego jest właścicielem fortuny magnackiej. Pomimo to, bawiąc na emigracji, nie tylko nie pędzi życia zbytkownego i próżniaczego, jak wielu innych obszarników litewsko-białoruskich, rezydujących na emigracji w Warszawie, których jedynym zajęciem jest jeść i grać w karty, ale do niedawna był pospolitym szeregowcem w ułanach, a obecnie ma jakąś posadę, zdaje się, w jakiejś komisji zakupu

koni, w której pełni pracowicie obowiązki. Żona jego, p. Ryta, daleka jest od zabaw, strojenia się i jakichkolwiek luksusowych zachcianek. Siedzi skromnie u matki w Łomży, nie wydaje nic na siebie, pomaga zaś całej rodzinie bliższej, a nawet dalszej na tułaczce. Inna rzecz, czy sama ta emigracja Komarów jest celowa i uzasadniona i czy nie byłoby właściwiej, gdyby wrócili oni do swych majątków, położonych w Litwie etnograficznej, niż tułać się bezdomnie po brukach Polski. W ramach jednak tej emigracji pracowite, ciche i skromne życie Komarów, a przynajmniej Medardostwa, świadczy o nich bardzo dodatnio.
Mróz sroży się coraz bardziej. Wyrządził on dużą szkodę, bo duża część kartofli, szczególnie po dworach, pomarznie przed wykopaniem. Już się cena rynkowa kartofli podniosła. W ogóle nadchodząca zima zapowiada się niezwykle groźnie dla miast ze względu zwłaszcza na kwestię opałową, która jest w stanie po prostu katastrofalnym.

3 listopada, rok 1919, poniedziałek
Miałem sesję karną. Właściwie nie należała mi się ona, bo jutrzejsza jest moja, ułożona specjalnie ze spraw, odroczonych z moich dawniejszych sesji z wypisanymi już przeze mnie dawniej pytaniami. Ale sędzia Skarzyński, chcąc z okazji świąt nieco dłużej zabawić u swojej żony, która spędzać ma w tym roku zimę na wsi w pow. mazowieckim, uprosił mię, abym go dziś zastąpił, obiecując mi za to siedzieć na dwóch moich środowych sesjach apelacyjnych. Zgodziłem się , nawet chętnie, bo jedna sesja I instancji da mi mniej wyroków do umotywowania, niż dwie apelacyjne. Ale za to w tym tygodniu będę musiał harować niezwykle, bo mam sesje dziś, jutro i pojutrze (zresztą ta ostatnia będzie szczególnie łatwa). Sesja dzisiejsza była mało ciekawa, ale zaciągnęła się długo, bo aż do północy. Przewlekłość tej sesji zawdzięcza się ostatniej sprawie, która sama jedna zajęła pięć godzin czasu. W sprawie tej było pięciu oskarżonych, powództwo cywilne, czterech adwokatów i około 20 świadków – słowem, wszystkie warunki do jak najdłuższego trwania rozprawy. Była to sprawa budząca sensację w świecie żydowskim Łomży, jak wszystkie sprawy na tle okradzenia sklepu żydowskiego, gdy jeszcze wśród oskarżonych są paserzy Żydzi miejscowi. Chodziło o okradzenie wielkiego żydowskiego sklepu kolonialnego w Łomży, niejakiego Ajzyka Rozenszejna. Kradzież, a raczej systematyczne ciągłe przez czas dłuższy okradanie sklepu za pomocą dorobionego klucza – była dokonana przez 16-letnią służącą Rochlę Wienbę wraz z jej siostrą, 17-letnią Małką Wienbą. Dziewczynki te, córki miejscowego mełameda, czyli podrabina, trochę nawet podkształcone, ale biedne i od dzieciństwa pozbawione matki, zdecydowały się na tę kradzież pod wpływem ubóstwa, pokus, które dziś podsuwa łatwość wzbogacenia się posiadaniem lada jakiego towaru, stanowiącego dziś jedyne źródło bogactwa, a nade wszystko zapewne pod wpływem paserów i mnóstwa drobnych detalicznych paskarzy, łakomych na każdy towar i gotowych do pchania młodzieży na tory występku, byle tylko pochwycić coś z towaru do rąk. To, że dziewczynki są córkami podrabina, że okradzionym jest sklep żydowski i że na ławie oskarżonych zasiadło pod zarzutem paserstwa kilku *minorum gentium* kupców żydowskich z Łomży – podniecało sensację tłumu żydowskiego, z którego ogromna część należy w ten lub inny sposób do tegoż świata kupiecko-pasersko-paskarskiego. Młodsza Wienbówna, Rochla, nie siedziała dziś na ławie oskarżonych, bo sprawa w stosunku do niej była wydzielona, w myśl przepisów, nakazujących sądzenie spraw nieletnich oskarżonych osobno i przy drzwiach zamkniętych. Na ławie oskarżonych, czyli w „ogrójcu", jak ją u nas czasem nazywają ze względu na ogrodzenie jej poręczą dokoła z osobnym do niej wejściem przez drzwi z korytarza, siedziała tylko młoda Małka Wienba, bardzo przystojna Żydóweczka, żywa, niewielka, krągłej figurki, białej cery, o dużych czarnych wyrazistych oczach, typem podobnego do Michaliny z

Mieczkowskich Starzyńskiej, siostry Stefana, a oprócz niej trzech Żydów-kupców i jedna stara Żydówka, oskarżeni o paserstwo. Tłumy żydostwa zalegały część sali za kratkami, przeznaczoną dla publiczności. Było tam tak gęsto, jakby w kościele w fest najuroczystszy. Przeważała młodzież obojga płci, włącznie do podlotków dziewczęcych, dla których sala sądowa nie jest zdrową atmosferą. Nie brak jednak było wszelkiego wieku i płci. Piękna Małka, która potrafiła bardzo ostro pomawiać współoskarżonych, a miała przez cały czas rozprawy wzrok hipnotyzująco utkwiony w sędziów, tak że czułem przez cały czas jej świdrujące piękne oczy na sobie, została skazana na rok więzienia, paserzy, którym udowodniona została tylko nieoględność kupiecka, wykręcili się aresztem. Kradzieże towarów i paserstwo, wiem, to teraz żniwo drobnomieszczańskich tłumów żydowskich, a co do młodzieży – to nie tylko żydowskich. Towar – to dziś rzecz pożądana, budząca pożądliwość, jak dawniej złoto. Bo dziś w nim, jak w złocie, źródło wszelkich uciech i bogactwa. Pieniądze dziś nic, towar – wszystko.

4 listopada, rok 1919, wtorek
Dzisiaj miałem znowu sesję – I instancji. Skończyła się sesja wcześnie, coś koło godz. 7, mimo że z powodu niestawienia się jednego z wyznaczonych ławników rozpoczęła się z dwugodzinnym opóźnieniem, w południe, zamiast o 10 rano. Sądziłem dziś sprawę jednego legionisty z b. I Brygady, niejakiego Głogowskiego, który jest obecnie zawiadowcą stacji kolejowej Goworowo w pow. ostrołęckim. Zresztą nie znałem się z nim w Legionach, i o tym, że był legionistą-piłsudczykiem, a więc w istocie moim kolegą, dowiedziałem się dopiero z jego odpowiedzi na rozprawie. Już drugi raz mi się zdarza sądzić b. legionistów. Raz – to było dziewięciu b. żołnierzy z b. pułku resteckiego, oskarżonych o tzw. rozbój – rabunek z bronią w ręku na Żydówce w okolicy Czyżewa, obecnie w sprawie Głogowskiego – oskarżenie o samowolne pozbawienie wolności osobistej jakiegoś jegomościa przez zamkniecie go w nocy w pustej komórce od węgla na przystanku Goworowo. Okoliczności sprawy nie przedstawiały się jednak zbyt ciężko dla oskarżonego: skazaliśmy go na 1 miesiąc aresztu, zawieszając wykonanie kary na 2 lata. Oto pomimo ukończenia od roku Wielkiej Wojny, stosunki nie tylko nie wróciły do równowagi, ale coraz bardziej się dezorganizują w swojej najgłębszej podstawie społecznej i gospodarczej. W Polsce, święcącej tryumfy na polu czynów militarnych i stającej się niewątpliwie jednym z czynników najpoważniejszych w Europie Wschodniej, źle się jednak dzieje. Pozornie moc Polski narasta, organizacja państwowa krzepnie, w atmosferze zwycięstw r. 1919 głuchną pomruki rewolucji i nastrój społeczny zawraca w prawo, a jeżeli nawet nie grawituje wyraźnie ku reakcji i daleki jest jeszcze od utożsamiania się z psychologią endecji, to jednak trwa w bardzo statecznym umiarkowaniu. Nie czuje się dziś w Polsce tchnienia rewolucji, o wiele stateczniejsze i umiarkowańsze są nastroje, niż były bezpośrednio po wygnaniu Niemców i w pierwszych paru miesiącach r. 1919. A jednak podłoże równowagi społecznej dezorganizuje się w tym stopniu, że można wątpić, czy istotnie narastanie stateczności jest zjawiskiem w Polsce trwałym i rzeczywistym, a nie tylko złudą. Faktem jest zawrotny spadek waluty, który postępuje *crescendo* z miesiąca na miesiąc i z tygodnia już nawet na tydzień. Zjawisko to powoduje bankructwo systemu pieniężnego i krach finansowy gospodarki państwowej, opartej na systemie pieniężnym. Pieniądz przestał dziś być towarem, natomiast wszelkie towary materialne, wszelkie produkty i artykuły spożycia, nie tylko żywności, ale wszelkich innych potrzeb, coraz bardziej pełnić zaczynają funkcję pieniądza, stając się miarą wartości w handlu bezpośrednio zamiennym. Wzrost cen, obliczanych skalą pieniądza urzędowego, formalnego, polegający na zawrotnie tracących wartość papierkach święci orgie, tak że

w perspektywie prowadzi konsekwentnie na tory tych fantastycznych cen, o jakich czytamy w bolszewickiej Rosji. Dziś już mamy w Polsce te ceny, o jakich może przed rokiem lub półtora rokiem czytaliśmy ze zdumieniem w Rosji, biorąc je za wyraz bankructwa bolszewickiego systemu, a za rok jeszcze, dalej w tych warunkach będziemy mieli te ceny, o jakich ze zgrozą słyszymy w Rosji, nie rozumiejąc, jak tam ludzie w takich warunkach istnieć mogą. Ceny obuwia, ubrania, pracy rzemieślniczej, artykułów takich pierwszej potrzeby, jak kartofle, zboże, opał – podwajają się w ostatnich tygodniach i niemal dniach. Ale obfitość towarów i produktów nie maleje, lecz raczej wzrasta. Niektórych wprawdzie brak lub na skutek jakichś przyczyn szczególnych grozi ich brakiem (kartofle z powodu nagłych mrozów, opał z powodu trudności przewozowych), ale na ogół przeciętnie obfitość rośnie i jest większa, niż była za okupacji niemieckiej. Wzrost cen jest wyrazem upadku waluty i bankructwa pieniądza formalnego. Wprawdzie w ekonomice najistotniejszą rzeczą jest nie pieniądz, ale towary spożycia w naturze; ten, kto produkuje lub posiada towary do zbycia, może sobie kpić ze zwyżki cen, bo jeżeli drożej musi kupować, to o tyleż drożej sprzedaje, przez co biedniejszy nie jest. Chłop też dziś jest bogaty i lepiej się ma niż kiedykolwiek, on też musi się stać ośrodkiem stateczności kontrrewolucyjnej. Natomiast miasta, które nie produkują i których ludność opiera byt na gospodarce pieniężnej, odczuwają, poza garstką paskarzy, tę sytuację katastrofalnie. I dziś w kryzysie miast tkwi rewolucji zaród.

5 listopada, rok 1919, środa
Nikt nie pamięta o rocznicy d. 5 XI 1916. Wobec rzeczywistej suwerennej Niepodległości Zjednoczonej Polski ta „niepodległość" jej drobnego skrawku, proklamowana wspaniałomyślnie przez b. monarchów Niemiec i Austrii w r. 1916 – ma śmieszną postać karykatury, która rzeczywiście nikogo entuzjazmować nie może. „Niepodległość" z r. 1916 była poza tym usiłowaniem wciągnięcia Polski w orbitę systemu tzw. Europy Centralnej, która miała być wyrazem Imperium Niemieckiego, jego narzędziem i środkiem do panowania w świecie. Toteż zaiste Naród Polski nie miałby zasady do święcenia tej rocznicy chybionej polityki, która tak daleko odbiega od uzyskanej przezeń rzeczywistej Wolności i Samowładzy. A jednak dzień 5 XI 1916 w ewolucji sprawy polskiej w dobie Wielkiej Wojny odegrał rolę momentu wielkiej wagi, przyczyniając się znakomicie do umiędzynarodowienia Sprawy, data 5 XI 1916 r. była obcą Sprawie Niepodległości Polski i genetycznie związana była ze sprawą panowania niemieckiego, ale w istocie posłużyła nie temu panowaniu, lecz dziełu emancypacji Polski, wbrew zamiarom jej twórców. Wszakże rola tego d. 5 XI 1916 maleje ogromnie nie tylko wobec uzyskania rzeczywistej Suwerenności Polski, ale także wobec decydującej twórczej roli samodzielnego wysiłku narodowego, wytwarzanego na rzecz Niepodległości przez czyn Piłsudskiego przez cały ciąg Wielkiej Wojny i uwieńczonego dniem 11 XI 1918.
Dziś miałem sesję apelacyjną, leciutką. Złożyło się na nią 11 spraw prostych i bliźniaczo do siebie podobnych: były to sprawy z protokołów policji o nieporządkach i brudach, spostrzeżonych w kamienicach Łomży; sąd pokoju skazał wszystkich oskarżonych właścicieli kamienic po 10 mk. grzywny, prokuratura zaś apelowała, żądając zwiększenia kary – do 200 mk. My popodnosiliśmy wszystkim karę do 100 mk., jednemu tylko – do 200 mk. Pomimo, że sprawy były proste, ujawniły się jednak różne niespodziane komplikacje na tle zbyt uproszczonego i nie liczącego się z formami procedury postępowania sędziego pokoju Łubieńskiego w I instancji. A że pomiędzy oskarżonymi byli znani kamienicznicy łomżyńscy, zrobił się pewien huczek w tych

sprawach. Gdyby się ci kamienicznicy wzięli dobrze do rzeczy, mogliby w drodze kasacji zwalić te wyroki, ale kosztem kompromitacji staruszka Łubieńskiego.
W dzisiejszej sesji zaszła jedna nowina ciekawa. Mianowicie za biurkiem sekretarskim na sesji usiadła po raz pierwszy kobieta w osobie panny Heleny Roszkowskiej (Lusi). Jest to innowacja, którą wprowadziłem własną ręką. Kto wie, czy to nie jest nawet pierwszy wypadek udziału kobiety w sesji – w całej Polsce. Ministerium Sprawiedliwości uznaje to za niedopuszczalne. Z powodu braku pracowników męskich w sądach, spowodowanego przez niskie płace kancelistów w sądownictwie, na skutek czego mężczyźni uciekają gremialnie do innych działów służby państwowej, gdzie są lepiej płatni, prezes Filochowski zwracał się już raz do ministerium z żądaniem, aby pozwolono brać udział w sesji w charakterze sekretarek pracownicom płci żeńskiej. Ministerium jednak odpowiedziało formalnie odmownie. Ja jednak postanowiłem się z tym nie liczyć, ponieważ prawo wyraźnie zakazu pod tym względem nie zawiera, a zakazy ministerialne są dla mnie tylko opinią. Nie zapytywałem o to formalnie prezesa, jeno go zawiadomiłem prywatnie, że z braku pracowników męskich będę sadzać na sesjach moje kancelistki. Powiedziałem o tym prezesowi, aby nie był tym zaskoczony i aby się przekonać, czy nic mieć przeciwko temu nie będzie. Prezes prywatnie mi odrzekł, że mogę sobie robić, jak uważam za słuszne i za potrzebne, a on się w to wtrącać nie będzie. W wydziale apelacyjnym mam teraz jednego tylko pracownika męskiego – podsekretarza Flery, poza tym dwie panny Heleny – Roszkowską i Mścichowską. Fleremu będzie za trudno siadywać na dwóch sesjach tygodniowo. Umyślnie wybrałem na pierwszy debiut p. Heleny Roszkowskiej sesję najłatwiejszą. Lusia trochę się zżymała, nerwowała przez kilka dni, wahała się między zażenowaniem i wstydliwością a chęcią pójścia na pierwszy ogień i oryginalnością, nowatorstwem ostatecznie znęcona – i usiadła. Lusia jest jak gorący krem kokosowy. Lubi niezwykłość, ma odwagę i ambicje. Lusia to pracownica pierwszorzędna. Nie da się nikomu wyprzedzić.

6 listopada, rok 1919, czwartek
Napisałem dziś do Biržiški, wskazując mu, że reflektuję na stanowisko sędziego okręgowego bądź w Kownie, bądź w Poniewieżu lub Szawlach, jeżeli tam został założony lub się zakłada trzeci sąd okręgowy w Litwie. Prosiłem go więc o rozpoczęcie już starań o zapewnienie mi tej posady. Jak prędko to może nastąpić – nie wiem. Obawiam się tylko tego, że przy tak szczupłej ilości sądów okręgowych, jak w Litwie – jest ich tam tylko dwa dotąd, w Kownie i w Mariampolu – nie będzie w tych sądach wakansu etatowego na zawołanie dla mnie, a na niższe stanowisko w sądownictwie, np. na sędziego pokoju, nie miałbym już ochoty, a to nawet tym bardziej, że w sądzie pokoju, który nie jest w Litwie kolegialny, jeno się składa z samego sędziego – bez ławników – nie wiem, czy bym dał sobie radę z językiem litewskim, z czym mi na razie będzie trudno. Zobaczymy. Zaczekam, co Biržiška po skontaktowaniu się z Kownem, mi odpowie.
Wczoraj spędziłem wieczór w Klubie Wioślarskim w towarzystwie mego dawnego sekretarza z sądu w Kolnie, Bronisława Miętkiewicza, który świeżo został mianowany sędzią pokoju w Stawiskach. Miętkiewicz przyjechał do Łomży, wezwany przez prezesa do uzupełnienia kompletu sądzącego na sesje cywilne w Sądzie Okręgowym wczoraj i dziś. Bardzo go lubię i z przyjemnością go widuję, chociaż mimo naszej zażyłości i serdecznej sympatii, jaką mamy do siebie wzajemnie, jest jakaś pewnego rodzaju sztywność i nieśmiałość w stosunku naszym ze strony Miętkiewicza, co sobie tłumaczę tym, że mimo woli ciąży na naszym stosunku wspomnienie, raczej wrażenie dawnej zależności jego ode mnie jako od zwierzchnika. Miętkiewicz, który od listopada

roku ubiegłego był przeszedł do administracji, nagle latem tego roku zapragnął wrócić do sądownictwa na stanowisko sędziego pokoju i otrzymał teraz Stawiski. Suponuję, że będzie z niego dobry sędzia. Cenię go bardzo. Jest to człowiek b. czysty i szlachetny, głęboko czujący i subtelny, łączący to zresztą z humorem i pogodnym usposobieniem. Miętkiewicz ma duży talent mówcy i gdyby chciał – wyrobiłby się bardzo na dzielnego trybuna ludu i polityka. Dziwna rzecz – na pozór, pomimo głębi, jaką ma niewątpliwie, nie wydaje się człowiekiem bardzo wielkiej inteligencji i w zakresie pojęć nie wybiega poza ramy szablonów ogólnie przyjętych w środowisku, do którego należy. Gdy wszakże przemawia publicznie, przekształca się w natchnionego i niezwykle subtelnego myśliciela i mógłby zaiste niejednego z klasycznych mówców parlamentarnych prześcignąć. Ma polot, głąb niepospolitą, subtelne ujmowanie odcieni stosunków i śliczną formę wymowy. Jest to talent samorodny jak fiołek w lesie, który sam o swojej krasie nie wie i w pospolitości skromnej więdnie, nie wydając szerokiemu światu swych barw i zapachu. Od Miętkiewicza dowiedziałem się, że pisał do niego Stefuś Romer, syn Maryni, z Oszmiany. Widocznie tam się łajdak obraca, służąc gdzieś podobno w żandarmerii i z pewnością popełniając łajdackie nadużycia swoim zwyczajem.

7 listopada, rok 1919, piątek
Otrzymałem dziś list od Tramplera z Poznania. Pisze, że został przydzielony do sekcji prawodawczej w Departamencie Sprawiedliwości Ministerium dla spraw b. Zaboru Pruskiego. Ze stu trzydziestu kilku sędziów, wydelegowanych do Poznania, on jeden otrzymał ten przydział; wszyscy inni zostali poprzydzielani do rozmaitych sądów. Poznań podobał się Tramplerowi, ale w usposobieniu jest dość smutnym. Jak zawsze – skarży się na nerwy. Widocznie poznano się na zdolnościach Tramplera, że go skierowano do sekcji prawodawczej. Jeżeli tylko wybrykami kapryśnych nerwów nie zrazi sobie ludzi, to może znaleźć tam karierę wcale dobrą. Od 1 listopada sędziowie, wydelegowani do Poznania, rozpoczną kurs przygotowawczy, który trwać ma aż 6 miesięcy!
Biedni są ci nasi kanceliści, sekretarze i podsekretarze, słowem, cała masa tych pracowników kancelaryjnych w sądownictwie. Należą oni, zwłaszcza mężczyźni, do środowisk tzw. półinteligencji, do znaczy do świata tych, którzy liznęli nieco nauki, oderwali się od klasy pracowników pracy fizycznej, a nie doszli do poziomu inteligentów pełną gębą, posiadających kompletne wykształcenie uniwersyteckie bądź nawet średnie (osoby ze średnim wykształceniem należą w tej klasie do wyjątków). Przed wojną stanowisko społeczne i materialne tej klasy pracowników biurowych i kancelaryjnych było o wiele lepsze od stanowiska robotników pracy fizycznej: pracę mieli lżejszą, czystszą, wynagradzaną o tyle, że mogli się lepiej od tamtych odżywiać i ubierać, kształcić dzieci itd. Toteż wielu się do tej kategorii garnęło. Tymczasem teraz powojenne stosunki gospodarcze zepchnęły tę kategorię ludzi pracy na najgłębsze dno nędzy. Wynagrodzenie ich pracy, chociaż zostało kilkakrotnie podniesione, nie rosło w tym tempie, co spadek waluty i wzrost cen na niezbędne artykuły życia. Toteż gdy wartość pieniądza coraz to z zawrotną szybkością się zniża, a koszt elementarnych potrzeb życia z tą samą szybkością się podnosi, ich środki stoją w miejscu albo się bardzo powoli i mozolnie podnoszą. Jeżeli dziś płace nawet wyższych urzędników o wybitnych kwalifikacjach zawodowych, jak sędziowie, są za niskie i powodują dezercję zdolniejszych i ruchliwszych elementów, uciekających od posad publicznych do wolnych zawodów, to wynagrodzenie tych niższych kategorii urzędników i pracowników kancelaryjnych jest wprost rozpaczliwe. Najgorsze zaś uposażenie jest w sądownictwie. Ci biedni ludzie, obarczenie nieraz licznymi rodzinami, na pensyjkach w kilkaset – od 400 do 700 – marek, wprost przymierają z głodu, marznąc poza tym i nie

mogąc marzyć o odrestaurowaniu ani garderoby, ani obuwia. Nie mają też żadnych ujść do wolnych zawodów, bo odpowiednich ich kwalifikacjom – nie ma. Stan ich jest wprost katastroficzny. Dziś każdy chłop i każdy rzemieślnik, który dawniej kłaniał się w pas tym szczęśliwym półpankom kancelaryjnym, półinteligentom i zazdrościł ich losowi, marząc o takim losie dla swych synów, jest wobec nich pełną gębą panem. Bo każdy chłop jest dziś bogaty i kpi sobie z drożyzny: jeżeli musi coś drożej kupić, to o wiele drożej jeszcze sprzedaje, albowiem jest posiadaczem i szafarzem tego, co dziś jest najszacowniejsze – środków spożywczych i artykułów takich, jak drzewo, torf, skóry, wełna itd. Rzemieślnik zmuszony do kupowania drożej, drożej też ceni swą pracę. Ci zaś biedni pracownicy kancelarji nie mają nic do wycenienia. A mają ciężkie dziś dziedzictwo przedwojennych czasów w postaci wyższej skali potrzeb. Są to dziś pariasi. A przecież każdy z nich, goniąc ostatkami sił, wysila się na wykształcenie swych synów, aby ciężkim wysiłkiem wyprodukować więcej takich pariasów i nędzarzy, mając wiarę, że stan dzisiejszy jest tylko stanem przejściowym i że się to musi odmienić i wrócić do norm przedwojennych.

8 listopada, rok 1919, sobota
Mróz ciągle mocno trzyma; od dni dziesięciu mamy już temperaturę zimową. Zamróz mocno skuł ziemię w głąb, a w ostatnich dniach wypadł już tak obfity śnieg, że dziś mamy sannę i zimę kompletną. Wczesna zima zniszczyła ogromne ilości niewykopanych kartofli – szczególnie po dworach, gdzie zawsze kopanie kartofli ze względu na robotnika spóźnia się w porównaniu do zbiorów chłopskich. Zaszkodzą też z pewnością te wczesne mrozy na ogrody owocowe i w ogóle na drzewa, bo z bardzo wielu drzew nie zdążyły jeszcze przed mrozami opaść liście.
Dziś sędzia Duszyński wrócił z Warszawy, skąd przywiózł dużo różnych wiadomości z ministerstwa, dotyczących naszego sądu. Duszyński jeździł do Warszawy w swoich osobistych sprawach służbowych, ponieważ mu proponowano z ministerstwa wiceprezesurę w Sądzie Okręgowym w Zamościu, której on nie chciał przyjąć. Zdaje się, że ta wiceprezesura była pigułką, którą mu chciano osłodzić niedawną odmowę mianowania go notariuszem w Ostrołęce, o co się Duszyński starał. Gdy jednak Duszyński odmówił przyjęcia wiceprezesury, zaczęto z Warszawy nalegać, a nawet dano mu do zrozumienia, że to jest tzw. „propozycja ministerialna”, to znaczy właściwie to samo, co rozkaz (jest w tym nawet poniekąd pogwałcenie niewzruszalności stanowisk sędziowskich, wzorowane widocznie na dawnych praktykach biurokratycznych rosyjskich; nazywało się, że sędzia wbrew woli nie może być translokowany, nawet z awansem, ale gdy ktoś takiej „propozycji ministerialnej” ośmielił się nie przyjąć, to później wszelkie awanse były mu zamknięte). Duszyński wrócił z Warszawy, wykręciwszy się od tej wiceprezesury. Pierwsza wiadomość, którą on przywiózł, a która zmartwiła wielce sędziego Skarzyńskiego, jest ta, że nie zatwierdzono w etacie na rok przyszły stanowiska wiceprezesa w naszym Sądzie Okręgowym. Dla Skarzyńskiego jest to przykry zawód, bo liczył on już na pewno na to stanowisko dla siebie. Gdy chodziło o nominację na prokuratora w Łomży po Urbanowiczu i Skarzyńskiemu zaproponowano to stanowisko, on, nie chcąc zresztą wchodzić w drogę Sienickiemu, który o to tentował, pojechał do Warszawy, aby się upewnić, czy może liczyć na stanowisko wiceprezesa. Zapewniono go solennie, że tak, i Skarzyński wobec tego tym chętniej zrzekł się kandydatury na prokuratora. Zdawało się, że wiceprezesura będzie na pewno otwarta w naszym sądzie, bo dotychczas było tak, że gdy jest w sądzie siedmiu sędziów, to musi być wiceprezes. Otóż u nas teraz, gdy będzie mianowany pełny komplet sędziów, będzie z prezesem siedmiu. Tymczasem okazało się, że minister finansów Biliński ze względów oszczędnościowych sprzeciwił

się otwarciu stanowiska wiceprezesa w Łomży. Dotyka to zresztą nas wszystkich, bo gdyby Skarzyński został wiceprezesem, mielibyśmy na jego miejsce nowego sędziego, czyli że nas byłoby więcej, co dałoby ulgę w robocie. Wątpliwej to wartości oszczędność Bilińskiego, bo przy nadmiarze pracy, jaki mamy, ograniczenie kompletu sędziów musi się odbijać ujemnie na funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości. Nowina dobra, którą przywiózł Duszyński, jest ta, że Chabowski jest już podobno mianowany. Wkrótce więc już go mieć będziemy. Mnie to bardzo obchodzi, bo będę miał zastępcę do sobotnich sesji wydziału apelacyjnego. Wreszcie nowina, która mnie osobiście dotyka mniej, ale bardzo obchodzi prezesa, Skarzyńskiego, Duszyńskiego i ma pewną wagę zasadniczą, jest ta, że z kandydatów wybranych przez nas na miejsce Tramplera ministerstwo nie chce zatwierdzić Chałatowskiego, który był u nas na pierwszym miejscu, jeno postanowili przedstawić do nominacji drugiego kandydata naszego, starego Szyszkę, sędziego śledczego w Ostrołęce. Chałatowski doprawdy nie ma szczęścia do Sądu Okręgowego. Nie mówiąc o tym, że nam jest potrzebny w sądzie sędzia cywilista, podczas gdy Szyszko jest kryminalistą, a o kodeksie Napoleona, jako prawnik pochodzący z gub. witebskiej, nie ma pojęcia i że jest stary, a w dodatku fatalnie włada językiem polskim, chodzi także o ten wzgląd zasadniczy, że przez nieliczenie się z naszą kolejką kandydatów ministerstwo osłabia kolegium sędziowskie. Skarzyński bierze to bardzo do serca, a prezesowi chodzi o faworytowanego Chałatowskiego. Prezes będzie zapewne interweniował w tej kwestii, choć mu to przykre, bo jako krewnemu Chałatowskiego jest to dla niego rzecz drażliwa.

9 listopada, rok 1919, niedziela
Nie lubię niedzieli, bo mi jest nudno. Był czas, że lubiłem niedzielę bardzo i przez cały tydzień tęskniłem do niej. Było to za moich szczęśliwych lat, za pożycia z Aninką. Ba! co tu mówić! Za taką, jak wtedy, niedzielę oddałbym nie tylko wszystkie niedziele obecne, ale i wszystkie dni, ile ich ma być w życiu moim. Do takiego szczęścia już nie wrócę, cokolwiek by mię czekało jeszcze w życiu. Wyglądałem też zawsze niedzieli w wojsku, za czasów życia koszarowego. Nie przynosiła ona żadnego szczególnego szczęścia, ale dawała wytchnienie od ćwiczeń. Teraz – nie lubię niedzieli. Bo w moim samotniczym trybie życia, jaki tu pędzę, pozbawia mię ona tych jedynych przelotnych, miłych chwil, w których w dnie powszednie, odrywając się od pracy, mam możność wpaść do kancelarii mego wydziału, pożartować z panną Heleną Roszkowską, skąpać się na chwilę w atmosferze jej żywej, pełnej uroku młodości. Niedziela upływa mi bezbarwnie, powszednio, jak inne dni w tygodniu, a praca w sądzie płynie tego dnia w martwej ciszy dokoła, w bezruchu, w jaki pogrąża sąd dzień świąteczny. Najlepiej lubię dni ciekawych sesji albo już jeżeli pracę gabinetową, to pracę w dni powszednie. Dzień dzisiaj był słoneczny, ale bardzo mroźny. Śnieg skrzypiał pod stopami, a ślisko jest na chodnikach Łomży – okropnie. Do Pruszanowskich wieczorami już teraz nie zaglądam wcale, bo nie odważam się schodzić z góry na Zjeździe z powodu ślizgoty. Bywam za to u nich co dzień na obiadach.
Dziś odbyła się uroczystość obchodu rocznicy 11 listopada 1918. Uroczystość do skutku doszła na zasadach programu, uchwalonego na zebraniu z ubiegłego tygodnia, o którym wspominałem w dzienniku. Było nabożeństwo okazyjne w farze, pochód na groby poległych w d. 11 XI 1918, zawieszenie tablicy pamiątkowej na domu, w którym mieszkał śp. Leon Kaliwoda, komendant P.O.W. w Łomży, zabity przed rokiem przez Niemców w dniu ich rozbrajania, kwesta uliczna na mieście na rzecz pomnika dla poległych. Komitet obchodu, wybrany w liczbie 5 osób na owym zebrańku, został na zebraniu przedstawicieli wszystkich towarzystw i instytucji uzupełniony jeszcze 5 osobami i w tym komplecie kierował obchodem. Na tym zebraniu przedstawicieli jeden

tylko punkt programu uchylono – zainicjowanie zbiórki na dar narodowy dla Piłsudskiego. Na razie endecja w osobie dr Krysińskiego zaoponowała przeciwko temu punktowi pod pozorem, że nie należy z obchodem łączyć spraw, które mogą kogokolwiek „drażnić" i rozdwojenie sprowadzić. Tak oto endecy dotychczas jeszcze żywią w głębi serca niechęć tajoną do Piłsudskiego, mimo że pozornie nie tylko się z nim pogodzili, ale mu kadzą. Sekret jednak tej niechęci do daru narodowego na rzecz Piłsudskiego kryje się w tym, że endecja za inicjatywą Poznańskiego zainicjowała właśnie z wielką pompą wielką zbiórkę na dar dla swego męża i apostoła opatrznościowego – Romana Dmowskiego, którego wielkość wciąż wydmuchać pragnie przeciwko Piłsudskiemu. Zebranie jednak nie podzieliło motywów dr Krysińskiego i nawet sami endecy, gdy Wołodkiewicz w imieniu lewicy ostro wsiadł na argumentację dr Krysińskiego, nie poparli jego argumentów; zbiórka na dar Piłsudskiego została odrzucona na tej zasadzie, że łączenie tego z poszczególnym obchodem i kwesta uliczna nie są formą stosowną dla takiej inicjatywy. W pochodzie, który dziś miał miejsce, kler udziału nie wziął, niby to pod pretekstem jakichś względów kanonicznych.

10 listopada, rok 1919, poniedziałek
Od dziś w kancelarii mego wydziału apelacyjnego karnego przybył nowy – czwarty pracownik, niejaki Chojnowski, młody student prawa, który zresztą dopiero rok pierwszy jest na uniwersytecie i jeszcze nauki prawa nie dotknął. Jest to młody chłopiec, Łomżynianin, niezamożny, który, mając w domu utrzymanie przy rodzicach, chce sobie zarobić trochę gotówki na pobyt w Warszawie na uniwersytecie. Kancelaria mego wydziału składać się więc będzie obecnie z czterech osób: 1. podsekretarz Flery, stojący formalnie na czele kancelarii, 2. kancelistka Helena Roszkowska – Lusia, 3. dietariuszka Helena Mścichowska i 4. przyjęty, na razie tytułem próby, Chojnowski. Jednak tylko formalnie kierownikiem kancelarii jest Flery, faktyczną bowiem kierowniczką jest Lusia Roszkowska. Cichy flegmatyczny Flery odrabia swoją robotę osobistą, nikomu wody nie zamąci i nie bardzo nawet wie, co kto z pracowników w kancelarii robi. Niewiele go to obchodzi. Są nawet takie elementy roboty, których by sam wykonać nie potrafił, bo nigdy się z nimi nie stykał i nic o nich nie wie. Siłą temperamentu, ruchliwości, pewnej skrzętności gospodarczej w robocie – na czoło pracy i kierownictwa wysunęła się naturalnie Lusia Roszkowska. Ta jest w pracy znakomita, wprost niezrównana. Rwie się do pracy jak gorący koń. Wszystko musi być u niej wykonane w porę, musi być ład i organizacja w pracy zbiorowej. Sama poświęca robocie dużo czasu i staranności i innym też wszystkim rozdaje robotę, kontroluje, czuwa, ogarnia całość, chwyta do rąk cugle organizacji zbiorowej i zazdrośnie ich strzeże. Jest z niej świetna organizatorka współpracy zbiorowej. Ma też tę gorliwość, ten temperament, który ją korci, gdy coś nie wykonane jeszcze. W pracy jest ona w swoim żywiole. Tu jest tajemnica jej uroku. Niepodobna się nie zachwycać, patrząc, jak pracuje, zawsze rzeźwa, ruchliwa, jak ogień, orientująca się i organizująca, kipiąca życiem i czynnością. Jest przy tym bardzo zabawna, charakterystyczna i pełna barwy, co czyni towarzystwo jej zawsze bardzo wesołym, pełnym pobudliwości do dowcipu i zabawy.

11 listopada, rok 1919, wtorek
Zawieja. Pod wieczór o szarej godzinie w kulminacyjnym momencie zawiei mróz tak zelżał, że się rozpoczęła odwilż. Wieczorem jednak zawieja ustała i mróz się utrzymał. Nic ciekawego z dnia dzisiejszego do zanotowania nie mam. Wspomnę chyba, że wczoraj Skarzyński, lubujący się w nadzwyczajnościach w swojej praktyce

sędziowskiej wydał w pewnej sprawie wyrok śmierci. Wobec jednak sądów doraźnych, w których jednak wyroki śmierci mają całą bezpośrednią grozę natychmiastowego wykonania, taki wyrok śmierci, wydany w zwykłym trybie postępowania, wielkiej sensacji nie czyni, bo nastąpi apelacja i kara śmierci z pewnością utrzymana w wyroku nie będzie. Skarzyński lubi popisać się, lubi okazać się oryginalnym, zwrócić na siebie uwagę i otaczać się aureolą srogiego sędziego. Bawi go to jak dziecko. W szczególności w Polsce popularna jest w kołach inteligenckich kara śmierci. Nie wiem, czemu to przypisać, że gdy inne narody chlubią się kasowaniem kary śmierci i gdy idee humanitarne są w pojęciach inteligencji już nie mówię takich narodów, jak Szwedzi, ale też takich, jak wszystkie drobne narody bałtyckie, czymś szacownym, czemu zresztą nie zawsze odpowiada ich praktyka, w Polsce są one w pewnej banicji i uważane są popularnie za coś godnego pogardy, za dowód słabości i braku mocy męskiej. Muszą tu być pewne założenia dla takich objawów w samej kulturze narodu. Pod tym względem, jak pod wielu innymi, Polska ma analogie z Rumunią i z Węgrami.

12 listopada, rok 1919, środa
Miałem dziś małą utarczkę ze Skarzyńskim, pierwszy – od czasu, jak z nim współpracujemy – konflikt. Poszło o dzisiejszą sesję apelacyjną. Przed Wszystkimi Świętymi Skarzyński, chcąc pojechać na kilka dni świąt do żony na wieś, prosił mię, abym go zastąpił na sesji karnej I instancji w d. 3 XI, obiecując mi odsiedzieć za to na dwóch moich sesjach apelacyjnych środowych. Zgodziłem się chętnie. Sesja apelacyjna sobotnia z d. 8 XI, na której już poprzednio mi obiecał usiąść, nie była brana w rachubę. Liczyłem więc, że Skarzyński zastąpi mię dziś i w przyszłą środę. Przez Flerego posłałem wczoraj Skarzyńskiemu do przejrzenia akta sesji dzisiejszej i byłem spokojny. Cieszyłem się, że aż do czwartku przyszłego nie będę miał żadnej sesji, a że wyroki z poprzedniego tygodnia mam już na ukończeniu, miałbym kilka dni przed sobą zupełnie wolnych, nawet bez motywowania wyroków. Tymczasem dziś rano przychodzę do sądu koło godz. 11 i widzę, że sesja nie rozpoczęta; co więcej – dowiaduję się, że Skarzyńskiego nie ma wcale w sądzie. Posyłamy po Skarzyńskiego. Wraca goniec Seta z odpowiedzią, że Skarzyński o niczym nie wie i że się zupełnie nie gotował do sesji dzisiejszej. Spodziewałem się, że jednak, zawiadomiony, zaraz przyjdzie. Umyślnie więc wyszedłem z sądu, aby mię nie zastał i nie mógł mię uprosić do przeprowadzenia sesji. Wracam do sądu koło godz. 1 – sesja nie rozpoczęta, Skarzyńskiego nie ma. Wtedy sam poszedłem do niego do mieszkania. Byłem zły. Skarzyński oświadczył, że o sesji dzisiejszej ani się domyślał, że liczył na to, iż dwie sesje, na których mi obiecał mię zastąpić, wyznaczymy dopiero po porozumieniu się, że wreszcie gdyby nawet wiedział o sesji dzisiejszej, nie mógłby się jej podjąć, bo ma na jutro wyroki do ogłoszenia, których jeszcze nie napisał, oprócz tego, jutro sesję I instancji, do której musi się przygotować i wypisać pytania, wreszcie w piątek rano sesję sądu doraźnego i po obiedzie sesję gospodarczą w kwestii nieletnich oskarżonych dla zbadania, czy działali ze zrozumieniem. Co zaś do tego, że Flery mu wczoraj zaniósł akta sesji dzisiejszej, to w powodzi akt, które leżą u niego na biurku, na stole i nawet na oknie, nie dostrzegł ich wcale – co jest bardzo prawdopodobne. Musiałem ustąpić i zgodzić się na sesję dzisiejszą, ale byłem bardzo zły, bo mi to ubiło całą moją kombinację o kilku dniach zupełnego bezrobocia i dałem odczuć złość moją Skarzyńskiemu, który usprawiedliwiał się i przepraszał, ale przecie postawił na swoim. Przyrzekł mi za to, że w przyszłym tygodniu weźmie i środę, i sobotę apelacyjną. Była to pierwsza i jedyna od roku rozterka między nami. Sesję rozpocząłem po obiedzie około czwartej i na dziewiątą ją skończyłem.

13 listopada, rok 1919, czwartek
Data dzisiejsza przypomina mi krążące w różnych czasach przepowiednie o tzw. końcu świata. I teraz oto świeżo ukazała się jakaś najnowsza „przepowiednia", ogłaszająca ten „koniec" na grudzień r.b. Oczywiście, że nikt na serio tego nie bierze, opowiadając o tym jeno żartobliwie. Data dzisiejsza przypomina mi inną przepowiednię taką z r. 1899. Wtedy określona była dokładnie data końca świata na dzień 13 listopada. Data tamta sprzed lat dwudziestu była dla mnie osobiście zapowiedzią podwójnej zagłady. Bowiem w r. 1896, gdym wracał z Petersburga do Bohdaniszek na wakacje, mając lat 16, spotkałem się w wagonie z pewną młodziutką i piękną prostą Cyganką; sprawiła ona na mnie bardzo duże wrażenie, aż mi w głowie zawróciła; była bardzo piękna, bosa, siedziała na ławce w wagonie III klasy z nogami pod sobą po turecku i przepięknie śpiewała całą drogę śliczne, namiętne piosenki cygańsko-rosyjskie. Byłem odurzony tą Cyganką i jak dziś ją pamiętam; wróżyła mi ona z ręki i dała „lubczyku", złożonego, jeżeli się nie mylę, z kawałka chleba, soli i cukru, z poleceniem, abym go w węzełku chustki nosił przez dni dziewięć ciągle przy sobie – we dnie kieszeni, a w nocy pod poduszką – co też uczyniłem skrupulatnie, a wtedy, podług słów młodej Cyganki, każda kobieta, której miłości zapragnę, pokocha mię. Czy moje późniejsze szczęście do miłości kobiet, w wieku zwłaszcza od lat 25 do przeszło 30, mam do zawdzięczenia temu „lubczykowi" młodej Cyganki, czy też osobistym cechom moim – nie wiem. Faktem jest, że przez pierwszych kilka lat po owym „lubczyku" szczęście moje bywało jeszcze zmienne i że więcej ja się w kobietach kochałem, niż one we mnie, ale za to potem, gdym miał lat 25 i aż do ostatniej wielkiej miłości, Anny, miałem do miłości kobiet szczęście niepospolite, pomimo że fizycznie nigdy piękny nie byłem: którą zapragnąłem – ta mię pokochała; umiałem rozkochiwać kobiety w sobie: Regina, Zuzanna Richard, Marysia Mieczkowska, Anna Konupek – to były najpromienistsze gwiazdy tych miłości, tych ogni wielkich i silnych, nie licząc wielu pomniejszych i przelotnych, a wreszcie ostatnia, korona i szczęście – moja nieodżałowana Aninka Wolberg, Jedyna. Otóż ta piękna Cyganka przepowiedziała mi, że umrę wyraźnie w dniu 13 XI 1899. Potem, gdy się ta data fatalna zbliżała, dowiedziałem się o przepowiedni końca świata na ten sam właśnie dzień. Piękna Cyganka musiała już w r. 1896 o tej przepowiedni słyszeć. W d. 13 XI 1899 dzień spędziłem z kolegami prawowiedami w żartobliwym oczekiwaniu mojej śmierci, a o północy wypiliśmy za zdrowie moje, gdy śmierć mię łaskawie oszczędziła. Odtąd upłynęło lat 20 – śmierć, wywróżona przez piękną Cygankę, jakoś nie pamięta o mnie. Drugą przepowiednię „końca świata" pamiętam w maju r. 1910 z okazji komety, która się w tym czasie ukazała i przez czas pewien, dość słabym zresztą blaskiem, świeciła na sklepieniu niebieskim nocami. Byłem wtedy z Mamą w Karlsbadzie. A jeszcze niegdyś dawniej, w głębokiej pomroce dzieciństwa mego przypominam sobie także, że mówiono o „końcu świata". Było to na jesieni. Rok był 1887 albo 1888. W roku tym na jesieni był razu pewnego prawdziwy deszcz upadających gwiazd. Pamiętam, jakem z okna kredensu, małym chłopcem będąc, obserwował te zjawiska pewnego wieczora! Pędzą lata, przeszłość odbiega, człowiek starzeje.

14 listopada, rok 1919, piątek
Odbyło się dziś posiedzenie sądu doraźnego w sprawie niejakiego Antoniego Jędrychowicza, oskarżonego o rozbój z bronią w ręku. Wypadki sądu doraźnego są w Łomży rzadkie. Od czasu sprawy skazanego na śmierć przed dwoma miesiącami Cańki jest to dopiero druga sprawa, rozpoznawana w sądzie doraźnym. W zeszłym miesiącu była sprawa chłopa spod Goworowa, oskarżonego o uszkodzenie telegrafu, któremu kara śmierci zresztą nie groziła; sprawę tamtą zakwalifikowaliśmy jako pospolitą

kradzież i przekazaliśmy sądowi pokoju. Dzisiejsza była poważniejsza. Rozbój z bronią w ręku – to w sądzie doraźnym kara śmierci. O sprawie tej wiedziałem od dni kilku, ale nie przejmowałem się nią zbytnio, jak się przejmowałem w swoim czasie pierwszymi sprawami tego sądu, rozpoznawanymi we wrześniu. Płynęło to nie z oswojenia się z tą straszną karą śmierci i przytępienia wrażliwości, ale po prostu z tego, że już nie ja będę przewodniczyć rozprawom i że przeto poczucie odpowiedzialności osobistej mojej było słabsze. Przewodniczącym sądu doraźnego jest Skarzyński. Ja przewodniczyłem tylko wtedy, gdy Skarzyński był na urlopie. Skarzyński do kompletu na rozprawę dzisiejszą powołał mnie i sędziego pokoju Piwkowskiego. Bronił oskarżonego adwokat Hanusowski, oskarżał – prokurator Sienicki. Podrzędna rola jednego z trzech sędziów jest o wiele w sprawie lżejsza od roli przewodniczącego, który kieruje rozprawą, redaguje wyrok, odczytuje jego sentencję, słowem – główny i najjaskrawszy ciężar odpowiedzialności bierze na siebie. Ta lżejsza odpowiedzialność pionka sędziowskiego, jednego z trzech w komplecie, wyczuwa się w nastroju zgoła niefrasobliwym, tak ogromnie różnym od tych nastrojów, których doświadczałem w sprawach tegoż sądu doraźnego, sądzonych we wrześniu pod przewodnictwem moim. Dziś, nie znając zgoła sprawy, myślałem sobie po prostu: ba, w moim będzie ręku decyzja; jeżeli nie będę miał wątpliwości co do winy oskarżonego, pójdę za większością w głosowaniu, jeżeli zaś wątpliwości będę miał, to do kary śmierci nie przyjdzie, bo podam głos, że oskarżony niewinien, a w braku jednogłośności co do winy kara śmierci wyznaczona być nie może i sprawa musi być skierowana na tory postępowania sądowego zwyczajnego. I byłem spokojny. Oskarżony Jędrychowicz miał twarz paskudną, typowy wygląd alfonsa i „antka”, zdolnego na wszystko: wymokły, blady, na pozór obojętny na wszystko, a wzrok, patrzący z ukosa, nieufny i fałszywy. Ze strony świadków oskarżenia były przeciwko niemu poszlaki brzydkie. Wieczora krytycznego poznali go pastuszkowie ze wsi Wydmusy, jadącego kolejką od Ostrołęki w kierunku Myszyńca; pastuszkowie ci znali go dobrze, bo Jędrychowicz poprzednio przez trzy miesiące mieszkał w Wydmusach. Właściwie poznał go tylko jeden z pastuszków i zawołał: „Antoś, Antoś”, mówiąc innym współpastuszkom, że widział Jędrychowicza. Tejże nocy miał miejsce o godz. 11 napad na gospodarza Muszyna w Wydmusach przez trzech bandytów, z których w jednym Muszyn poznawał swego dawnego lokatora Jędrychowicza; poznał go z głosu i poniekąd z oblicza w krótkich chwilach, gdy bandyci świecili latarkami elektrycznymi. Poznanie to jednak w nocy byłoby niepewne, gdyby nie zbieg z tą okolicznością, że pastuszek widział go akurat przyjeżdżającego z Ostrołęki. Ale właśnie największym brakiem postępowania doraźnego jest brak śledztwa wstępnego, wskutek czego na śledztwie sądowym powstają niejasne w systemie dowodowym luki. Nie był wezwany na świadka sołtys, któremu Muszyn zameldował nazajutrz o napadzie. Nie można więc było ustalić, czy Muszyński nie sam na zasadzie swego wrażenia wskazał na Jędrychowicza, czy też zaczął go posądzać, słysząc o tym, że pastuszkowie go widzieli jadącego, co mogłoby być rezultatem sugestii. W tym ostatnim wypadku ewentualna pomyłka pastuszka, który mógł wziąć kogoś innego za Antosia, musiałaby być uwzględniona jako okoliczność podająca w wątpliwość całą budowę oskarżenia, tym bardziej, że rodzina narzeczonej oskarżonego, u której on mieszkał w Ostrołęce, ustalała jego alibi, twierdząc, że krytycznej nocy był on w domu: wobec luki w materiale dowodowym, trzeba wątpliwości rozpatrywać na korzyść oskarżonego. Tak oto skrajna surowość kary i uproszczenie procedury w sądzie doraźnym może się z łatwością stawać warunkiem uniewinnienia winnego. Skarzyński był za uniewinnieniem Jędrychowicza, ponieważ zaś ja miałem wrażenie, że jest winien, przeto, wiedząc że Skarzyński poda głos na rzecz uniewinnienia i że przeto kara

śmierci wykluczona, postanowiłem z Piwkowskim, iż winien, aby sprawę podać do śledztwa i mogła być sądzona w trybie zwykłym; tak się stało.

15 listopada, rok 1919, sobota
Ukazało się w Łomży pisemko periodyczne pod tytułem „Gazeta Łomżyńska". Wychodzi raz na tydzień. Jako wydawca – podpisuje się adwokat Teodor Czerwiński, najnieudolniejszy z adwokatów łomżyńskich. Czerwiński dał tylko swoje nazwisko; w istocie jest to pisemko endeckie, reakcyjne, które już od dawna było zapowiadane. Mówiono, że będzie to dziennik i że redaktora dla niego mają sprowadzić aż ze Lwowa! Okazał się to jednak nie dziennik, lecz tygodnik. Dla Łomży zresztą i tego aż nadto, a co do kierunku, to dla reakcyjnej Łomży jest on chyba najwłaściwszy, bo najlepiej będzie odpowiadać poziomowi masy jego czytelników. Każdy urzędniczyna łomżyński, przynajmniej z rdzennych Łomżyniaków, czytuje zawsze endecką dwugroszówkę „Gazetę Poranną", jeżeli jego aspiracje intelektualne sięgają o stopień wyżej – to czytuje endecką „Gazetę Warszawską". Pisma innych kierunków dla prawowitego Łomżyniaka nie egzystują; czytanie ich należy do złego tonu – chyba w kawiarni.
O nowym „organie" prasy łomżyńskiej – „Gazecie Łomżyńskiej" – słychać było od dawna, że się ukaże. Podobno do wydawnictwa tego przyczynia się, oprócz endeków świeckich, także biskup Jałbrzykowski, człowiek ruchliwy i mający dużo zmysłu społecznego, to znaczy zasadzający klerykalizm na opanowaniu wszelkich zapoczątkowań społecznych i kulturalnych. Adwokat Czerwiński dał tylko użyć swej firmy: dla niego jest to reklama i bilet rekomendacyjny do sfer możnych w Łomży – zwykły *business* adwokacki. Z publicystyką ma Czerwiński akurat tyle wspólnego, ile ja np. z chemią. Nie potrafi on napisać z jakim takim sensem skargę apelacyjną, a cóż by się dopiero miał znać na organizacji pisma periodycznego.
Endecy uprzedzili Wołodkiewicza, który nosił się z myślą wznowienia swojej postępowej „Ziemi Łomżyńskiej". Wątpię, czy ją teraz wznowić zdoła. Łomża jest za małym terenem dla dwóch pism równoległych. Pismo to o własnych siłach utrzymać się nie może; musi ono opierać się na mecenasach. Endeckie – znajdzie poparcie, wegetacja postępowego – skazana na fiasko.
Przejrzałem nr 2 „Gazety Łomżyńskiej": oczywiście podlana obficie sosem wybitnie antysemickim, dytyramby dla Romana Dmowskiego, w kilku miejscach okadzanie lokalnych wielkości, pochlebstwa dla miejscowych niestrudzonych „działaczek" (pani rejentowa Cholewińska), poza tym mdła, siląca się troszeczkę i na dowcip, nawet na satyrę.

16 listopada, rok 1919, niedziela
Znowu zawieja przez dzień cały szalała. Była to niepogoda, o której się mówi, że w taki czas i psa się na dwór nie wygoni. Pomimo niedzieli, ulice były zupełnie bezludne. Wracając pustymi ulicami wieczorem do domu i brnąc po zaspach śnieżnych, miałem wrażenie, jakbym szedł przez wioskę. Łomża się zamknęła cała we wnętrzach domów, których oświetlone z wewnątrz szyby zdawały się świadczyć dla przygodnego przechodnia o potulnym zaciszu, pełnym uroku pogody i ciepła, w przeciwieństwie do hulającego po ulicach mroźnego śnieżnego wichru: złuda! W większości tych wnętrz – chłód przejmujący z braku opału i zamiast słodkiego ciepła i zacisza – przekleństwo i chuchanie w zmrożone palce. Oj, ta zima – to się da we znaki ludziom! Gdzieżeś ty, zimo dawna, przedwojenna, zimo ogrzanych dobrze mieszkań i sytych ludzi! Dziś nie tylko biedne ptactwo marznie i głodem przymiera w zawieję, ale i tysiące ludzi w ubogich mieszkaniach narażonych jest na to samo. W ogóle wygoda i komfort życia ludzkiego spadły przez czas wojny do poziomów, które przed wojną stanowiłyby nędzę,

gdy dziś są bytowaniem przeciętnym. Szczęśliwy dziś ten, kto ma u siebie cokolwiek ciepła i nie jest głodny. O większych wygodach i zbytkach nie ma co marzyć, ani w ubraniu, ani w spożyciu, ani w rozrywkach i rozmaitości wrażeń zewnętrznych. Co za szczęście, że w czas zamieniłem mieszkanie! Dziś w moim poprzednim mieszkanku w domu Wejrocha byłbym męczennikiem. Zima jest niezwykle wczesna i trwała: jak się zaczęła w ostatnich dniach października, tak się trzyma bez pardonu. Gdzie krótko – tam rwie się, powiada przysłowie; jest ono bardzo prawdziwe w stosunku do tej zimy klęskowej pod względem opału i aprowizacji! Ba, powiadamy: „klęskowej", a kto wie, jaką będzie jeszcze zima przyszła. Może obecna wyda nam się w roku przyszłym jeszcze wcale znośną. Dotychczas bowiem z roku na rok idziemy jeszcze ku gorszemu, a kiedy się zacznie zwrot ku lepszemu – nikt nie wie.
Napisałem wieczorem list do ks. Tumasa w Wilnie – po litewsku.

17 listopada, rok 1919, poniedziałek
Dzień słoneczny; ostry mróz; śnieg skrzypi pod nogami.
W sądzie u nas tak ciepło, że z przyjemnością się tam spędza czas. Lepiej jest, niż w mieszkaniu, bo cieplej. W przeszłym i tym tygodniu mam mało roboty; w przeszłym tygodniu miałem tylko jedną sesję – we środę, w tym tygodniu też tylko jedną mieć będę – we czwartek. Wskutek tego mało mam wyroków do motywowania. Tylko że nie bardzo mam co robić z wolnym czasem, toteż tak samo, jak zwykle, przesiaduję w sądzie.
Przed obiadem mam tę rozrywkę, że od czasu do czasu wpadam do mojej kancelarii wydziału apelacyjnego niby to dla wydania jakiegoś polecenia lub sprawdzenia czegoś, albo też po prostu dla rozeznania się. Zaczyna się gawędka, żarty, dowcip. Kancelaria przed obiadem jest w komplecie. Prym trzyma, jak zawsze, Lusia Roszkowska, niezmordowana w energii, pełna temperamentu, lubiąca przewodzić w organizacji roboty, żywa, reagująca na żart, ruchliwa jak żywe srebro. Przy innym stoliku siedzi jej przyjaciółka, za jej protekcją przyjęta do wydziału, panna Helena Mścichowska. Jest to typ zupełnie odrębny: dziewczyna równie młoda, jak Lusia, może cokolwiek starsza, dość powolna w ruchach, pozornie nawet leniwa, bo wstrzemięźliwa w ruchach, chociaż w wykonaniu pracy bardzo staranna i zawsze czynna; ma ona w sobie więcej kobiecości od Lusi, więcej miękkiego zaokrąglenia w kształtach i zwłaszcza w ruchach, niż Lusia, która ma w sobie kanciastość chłopięcą, pełną zresztą wdzięku; Mścichowska jest bodaj nawet przystojniejsza od Lusi w rysach twarzy, ma ładny pieprzyk w rodzaju brodaweczki nad wargą górną, ma brwi ładne, oczy odsadzone szeroko od siebie i wycięcie ich nieco skośne, nos regularny, ładny ruch podnoszenia brwi; zmysłowo Mścichowska może nawet więcej oddziaływać od Lusi, bo ma więcej w sobie biernej ciągłości, a przeto mami zmysły męskie przeczuciem powolności oddania się i słodyczy biernej, ale wolę Lusię, bo ma ona więcej fantazji i więcej wyrazu charakterystycznego. Poza tym łączy mię z Lusią pamięć moich uczuć poprzednich. Nie kocham się w niej, jakem to na wiosnę sądził, ale pociąga mię ona zawsze oryginalnością swoją, grą barw, życiem, wyrazem. W tej dziewczynie wszystko jest wyraziste. Nawet suchą pracę biurową potrafi wykonywać wyraziście, umie tchnąć w nią życie. Lusia co dzień po obiedzie przychodzi do sądu i pracuje, uzupełniając robotę dzienną. Nie znosi ona, aby robota jakaś zalegała; a do czego się sama bierze, do tego też nikogo innego nie dopuści – po prostu zazdrości dotykania przez innych tego, co sobie wyznaczyła.

18 listopada, rok 1919, wtorek
Mróz trzaskający kilkunastostopniowy; pogoda słoneczna.

Doprawdy jest ciekawe, czym się to wszystko skończy i jak wybrną narody i państwa z tego kryzysu, w jaki je wojna wpędziła. Sama wojna, ta właściwa wielka wojna – bo nie mówię tu o jej pogorzeliskach zbrojnych, tlejących się jeszcze tu i ówdzie, minęła, ale przewrót gospodarczy, a przeto i społeczny, przez nią wytworzony, nie tylko że nie minął, ale wciąż jeszcze narasta, stawiając ludy wobec perspektyw, których nikt przewidzieć nie zdoła. To, co obserwujemy w Polsce, prowadzi prostą, acz powolniejszą nieco drogą, do tych zjawisk gospodarczych, które w karykaturze galopującej widzimy od lat paru w Rosji. Czy tym zjawiskom towarzyszyć będą przewroty społeczne, analogiczne do rosyjskich (bolszewickich) – tego nie wiem, ale gospodarczo idziemy w Polsce konsekwentnie tymi torami, co Rosja. Kryzys dotyczy najjaskrawiej miast. Wieś rolnicza jest szczęśliwa i spokojna i bodajże się ma lepiej, niż przed wojną. Chłopu nic nie brakuje; żyje on nawet lepiej, niż dawniej. Nigdy nie był on tak bogaty w pieniądze, jak teraz, i nigdy takiego dobrobytu nie doznawał. Legenda o biednym chłopskim ludzie siermiężnym, wyzyskiwanym i w ciężkiej pracy bez wytchnienia pogrążonym, która była dawniej prawdą krwawą, stała się dziś legendą ze stosunków tak dalekich od realizmu, jak przedpotopowa, bajką mniej podobną do prawdy, niż fantazje arabskie z tysiąca i jednej nocy, bo w tych ostatnich kryje się zawsze ziarnko prawdy, podczas gdy w tej nie ma zgoła ani zdziebełka podobnego do rzeczywistości. Chłopska dola rodziła kiedyś idealistów-chłopomanów, którzy szli w lud siermiężny, by ukochać wielkiego Męczennika-Chłopa i by mu rozwidnić nieco życie, nauczyć go zmysłu jego praw ludzkich, zaszczepić mu, jak ongi Prometeuszowi, światło wiedzy, świadomości, prawa, wolności i potęgi Człowieka. Dziś chłopomanem mógłby być tylko naiwny. Dziś chłop – to nie męczennik dawny, to brutal władzy najistotniejszej, bo władzy wyżywienia narodu, paskarz pospolity i bezwzględny, przeważnie cham, w sobkowstwie i egoizmie nacynicniejszym pogrążony. Wyłączywszy tych chłopów, którzy po ucieczce do Rosji wrócili do siedzib swoich bez inwentarza i bez środków i zastali je doszczętnie zniszczone, reszta, ich ogół – nigdy się tak nie miała i nie żyła, jak teraz. Tych zniszczonych było bardzo wielu, ale większość ich po trochę się już zagospodarzyła, a byle któryś z nich się cokolwiek zaczepił, zdobył konika, krowę, sklecił chałupkę, doszedł do posiadania pługa lub wozu, wnet zaczyna rosnąć jak na drożdżach w potęgę, bogactwo i dobrobyt, zlewając się z ogólną paskarską masą chłopską. Dawniej chłop, pracując w pocie czoła, był zainteresowany w sprzedaży produktów swej gospodarki, plonów pracy swojej. Musiał szczędzić każdą miskę zboża, każdy kęs słoniny, każdą sztukę wieprzaka, ba – gospodyni szczędziła każde jajeczko, aby je sprzedać, bo pieniądze były potrzebne na podatki, na sól, na cukier, na żelazo, na chustki dla żony i córek chłopa, słowem – na wszystkie potrzeby, których opędzenie wymagało wielkiego wysiłku. Z trudem przychodziły te pieniądze, bo wytwory chłopskiej pracy rolnej mało były warte i produkty takież płynęły morzem z Ameryki, kolejami ze wschodu, łatwo było je mieć i były tanie, toteż masa spożywców miejskich i przemysłowych nie zależała od woli chłopa i raczej jemu łaskę robiła, kupując jego mąkę, zboże, nabiał, mięso, jaja itd. Przeciwnie – nie do chłopa z ręką wyciągniętą szły miasta i ludność przemysłowa, ale chłop, nie mogąc dać rady na roli, wędrował z Polski na obieżysastwo – do Prus, do Danii, nawet do nas na Litwę na roboty polowe albo emigrował do Ameryki lub do ośrodków przemysłowych w kraju. System gospodarki pieniężno-towarowej, będący w pełnym rozkwicie, i konkurencja potężnej taniej wytwórczości rolnej Ameryki i Danii w związku ze światowym rozwojem środków komunikacji czyniły z naszego chłopa, czy to w Polsce, czy w Litwie, pariasa pracy i nędzarza – nie rolnika kapitalistycznej organizacji świata, do której wymogów ekonomii pieniężno-towarowej musiał, acz z wielkim trudem i znojem, przystosowywać. Jakże dziś jest inaczej!

19 listopada, rok 1919, środa
Dziś sesję apelacyjną przeprowadził za mnie Skarzyński. Dobrze się stało, bo sesja ta była uciążliwa i nudna – przeważały sprawy pastwiskowe (samowolne paszenie bydła na cudzym gruncie, w istocie spory o pastwiska i łąki między chłopami, a w niektórych sprawach – między wsiami całymi), w paru sprawach było po kilkadziesiąt osób, wezwanych do sprawy, a w jednej sprawie aż 80! Moja panna Lusia, której już teraz inaczej, jak panną Heleną, nie nazywam, ma od kilku dni jakieś humorki. Manifestują się one zresztą bodaj wyłącznie w stosunku do mnie. Gdy mnie nie ma, to Lusia jest taka, jak zwykle: rusza się raźnie, dyryguje w kancelarii, kręci się po sądzie, wybiega za rozmaitymi interesami do innych wydziałów; wszędzie jej pełno, a głos jej, to zaaferowany, to swobodny, to rozkazujący, to znów wesoły, dźwięczy, jak zwykle, pełny ruchu i temperamentu, ożywiając mury sądu. Siedząc w moim gabinecie, słyszę coraz to jej głos. W mojej obecności natomiast Lusia się przeistacza: różne się ją wtedy imają „nastroje”, to wpada w ton smutny, to brzmi w jej głosie nuta rzewna, to jakiś sentymentalizm mgłą przysłania jej werwę, to się o coś gniewa na mnie, raczej pozuje na gniew albo brak humoru, dąsa się trochę, udaje jakieś żale, albo znów zachowuje milczenie lub bierze maskę przygnębienia. Moje doświadczenie wskazywałoby mi, że „humorki” te są zazwyczaj zwiastunami pewnej gry uczucia w serduszku dziewczęcym, szczególnie, gdy dąsy te, kojarzące się z nastrojami smutku i pozami przygnębienia, przeplatają się chwilami od czasu do czasu słodyczy, a raczej słówek przyjaznych i miłych, prawie że serdecznych, ubranych czasem w postać wyrzutu, a tak nie pasujących do rzeczywistego gniewu lub żalu. Z tych nastrojów „bolesnych” wyziera czasem coś, co brzmi prawie jak nieśmiałe wyznanie, jak wstydliwe objawienie prawdy uczuć dziewczynki. Gdyby nie mój wiek i nie śmieszność roli podtatusiałego zalotnika, byłbym gotów kuć żelazo, póki gorące. Przed laty 10 zrobiłbym to niezawodnie i ufam, że skutecznie. Teraz próbować tego nie myślę, bo wiem, że się na tej drodze nie ostoję i że gdybym w te praktyki webrnął, to w ostatecznym wyniku nie ona by skapitulowała, ale ja bym zwichnął nogę i – ośmieszył się w jej własnych oczach, bo wcześniej czy później zmarszczki mego czoła, łysina mojej czaszki, więdnące mego ciała „wdzięki”, cała figura przejrzałego mężczyzny musiałyby wobec tego pączka kobiecego uwydatnić swoją niewspółrzędność i wywołać u niej samej w jej uczuciach – niesmak. Wolę tego uniknąć. Udaję więc, że tych humorków nie rozumiem albo nie widzę, a gdy nieraz umyślnie zwracam na nie uwagę, uwydatniam żartobliwie ich obecność, wskazuję dla nich domniemane źródła i ujścia, słowem – żartuję i bawię się nadal swobodnie. Ta pogodna swoboda, z jaką traktuję Lusię otwarcie, wobec wszystkich współpracowników kancelarii, daje mi ten niezrównany atut, że mogę jej wszystko aluzjami wypowiedzieć, żartując, ubierając słowa w postać na poły komplementów, na poły pochwał i serdeczności szczerych, a niedotkliwych i nie wiążących, barwnych może czasem w grze żartu, ale beznamiętnych i prostych, bo jawnych. Ten mój stosunek do Lusi przepływa jak łobuzeria i koleżeństwo na oczach całej kancelarii wydziału, czysty i naiwny, nie wiążący nas żadną tajemnicą własną. W tych kontaktach ustaliłem właściwy wyraz naszego stosunku. Jest mi z tym najlepiej. Ma ten nasz stosunek, a raczej miał, swoje fazy tajemnic osobistych, ale jużem to przezwyciężył.

20 listopada, rok 1919, czwartek
Mróz znacznie mniejszy – o kilka stopni, ale jest wiatr. Dzień pochmurny.
Miałem sesje karną I instancji. Sesja była krótka, zasądziliśmy spraw 4, a 4 zostały odroczone. Ławnikami byli – aptekarz Komornicki i rzeźnik Zwanicki. Zresztą sprawy, któreśmy sądzili były nudne: trzy – łapówkowe (usiłowanie nakłonienia policjantów za

pomocą łapówki do spełnienia występku) i jedna – o uszkodzenie ciała. Z tymi sprawami łapówkowymi – kłopot. Interpretacja artykułu 149 Kod. Karn., przyjęta przez nas w Sądzie Okręgowym, podług której uznajemy nakłanianie urzędnika do występku na tej zasadzie, że urzędnik po otrzymaniu łapówki, gdyby dopuścił się bezczynności władzy, do której go skłaniano, byłby winien występku, bo zrobiłby to w celu zysku (cel zysku nadaje bezczynności władzy, które samo przez się jest wykroczeniem, cechę występku), zostało przez Sąd Apelacyjny w Warszawie odrzucone z tej racji, że cel zysku jest cechą podmiotową w stosunku do urzędnika, wpływającą na wymiar kary względem niego, ale nie cechą przedmiotową tego, do czego dający łapówkę usiłował skłonić urzędnika. Tak interpretuje art. 149 K.K. Sąd Apelacyjny ze stanowiska pozwanego. Ze stanowiska zaś polityki sanacji stosunków urzędniczych znaczna część prasy i opinii publicznej wskazuje na to, że zbyt gorliwe ściganie dających łapówkę wpływa na bezkarność biorących, bo dający z obawy przed własną odpowiedzialnością boją się zawiadamiać o dawaniu łapówki. Istotnie też spraw o dawanie łapówki mamy w sądzie mnóstwo, o wzięcie zaś łapówki – prawie że nie ma. Sąd nasz w sprawach łapówkowych znalazł się na rozdrożu.
Skarzyński zawsze tak miarkuje wyznaczanie spraw i udzielanie mnie sesji I instancji, aby sobie zachować samą śmietankę najciekawszych i najważniejszych spraw, w których jest pole do popisu i do uwydatnienia talentu i umiejętności, a mnie spuścić śmiecie nudne i niewdzięczne. To mi się nie podoba, bo podział pracy powinien być rzeczowy, a nie zależny od fantazji jednego, mogącego sobie wybierać całą najlepszą cząstkę.
Jest wreszcie nominacja Chabowskiego. Już mu ją prezes wysłał do Szczuczyna. Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu Chabowski już do nas zawita.

21 listopada, rok 1919, piątek
Wreszcie odwilż. Ciepło bardzo. Sam fakt ustania mrozów wpływa kojąco na nastroje publiczne. W obliczu srożącego się mrozu, w braku opału, w listopadzie, kiedy jeszcze całą długą zimę ma się przed sobą, ciężary takie, jak braki aprowizacji, drożyzna, klęski żywiołowe, trapiące ludność miejską, potęgują się w świadomości i wyrastają do katastrofalnych przywidzeń. Ciepły dzień odwilży przynosi promyk lepszej nadziei; otucha znów do serc wpływa i wszystko się łagodzi w świetle weselnego usposobienia. W związku widocznie z posępnymi nastrojami klęsk, jakimi napawał ludzi mróz, i z wersjami o spodziewanym wkrótce „końcu świata” – krążyła wczoraj w kołach pospólstwa jakaś dziwaczna przepowiednia, że w dniu dzisiejszym ma nagle na krótką chwilę zrobić się taki szalony mróz, że pomrozi wszystkich na śmierć, ktokolwiek się w tym momencie znajdzie na dworze; mróz ten ma trwać 2 minuty, ale będą to minuty fatalne. O przepowiedni tej dowiedzieliśmy się u Pruszanowskich od Stasi, która uczęszczała do I klasy gimnazjum i słyszała o tym od koleżanek. Mówiono jej nawet, że rzekomo ksiądz to z ambony zapowiadał.
Nasza kancelaria wydziału apelacyjnego karnego ma się znów o jedną osobę zwiększyć. Dopływ spraw, a przez to i praca – wzrasta. Toteż potrzebna jest większa ilość pracowników. Do liczby czterech przybędzie piąta osoba. Będzie nią z rekomendacji panny Heleny Roszkowskiej niejaka panna Julia Jurago, przyjaciółka p. Heleny, młoda dziewczyna, jak ona, i podobno przystojna. Będą więc już trzy dziewczynki w naszym wydziale: Lusia Roszkowska, Helena Mścichowska i Julia Jurago.
Czas biegnie, upływają miesiące i lata, a ja siedzę tu jak na pustyni w Łomży, z dala od kraju, od tego, z czym mię przeszłość moja wiąże, od Bohdaniszek wreszcie, które są moją naturalną spuścizną po przodkach, czekającą pracy mojej, o ile przemiany społeczne nie wydrą mi jej. W biegu powszednich dni znieczulam się i zapominam o

tym. Ale czasem jakaś drobna wiadomość, jak iskra elektryczna, wstrząsa mną i obudza niepokój i tęsknotę w sercu. Tak oto usłyszałem dziś od adwokata Czerwińskiego, że Stanisław Bagiński z Wilna (Czerwiński jest jego kolegą) bierze udział w delegacji, która pojechała z Wilna do Kowna dla jakichś rokowań z rządem litewskim. Taka drobna nieznaczna wiadomość, jakieś imię znajome budzą nagle tęsknotę i uczucie próżni w sercu!
Sprawa powrotu mego do Litwy nie posuwa się szybko naprzód. Kto wie jeszcze, co z tego będzie kiedy się załatwienia tej sprawy doczekam. Prawdopodobnie i Litwini są teraz o wiele oględniejsi w dopuszczaniu do stanowisk rządowych Polaków, nawet litewskich. Kto się na gorącym sparzy, ten i na zimne dmucha. Spiski polityczne Polaków w Kownie, proces P.O.W. w Litwie, wreszcie dezercja oficerów-Polaków z wojska litewskiego, kampania antylitewska podnoszona w Wilnie lub w Warszawie przez takie jednostki, jak Tomasz Zan lub Stefan Kader, które się angażowały do współpracy z rządem litewskim, a potem przeszły na stronę polską, aby stamtąd „demaskować" rządy kowieńskie, nie zachęciły Litwinów do przyjmowania zbyt pochopnego, z otwartymi ramionami zgłaszających się Polaków – nawet takich, którzy, jak ja, mają pozory przyjaciół.

22 listopada, rok 1919, sobota
Dziś znowu Skarzyński miał sesję za mnie – apelacyjną.
Czekam cierpliwie, co mi Biržiška z Wilna po skomunikowaniu się z Kownem odpisze. Nie jestem bynajmniej usposobiony zbyt optymistycznie co do perspektyw otrzymania żądanego stanowiska sędziowskiego w Kownie. Po pierwsze, musi zachodzić kwestia wakansu sędziowskiego w Sądzie Okręgowym w Kownie, na które to stanowisko się podałem. Z pewnością tak samo, jak jest wszędzie, u Litwinów w Kownie muszą być jakieś przewidziane stałe etaty sędziowskie. Trudno liczyć na to, aby specjalnie ze względu na moją kandydaturę był utworzony dodatkowy etat na sędziego okręgowego w Kownie. Chodzi więc o to, czy jest akurat wakans. Po drugie, Litwini nie maja tylu sądów okręgowych, co Polska. Toteż, choć mniej mają prawników, mniej mają i stanowisk sędziowskich do obsadzenia nimi. O ile wiem – mają tylko dwa sądy okręgowe – w Kownie i Mariampolu i jeden Trybunał Apelacyjny w Kownie. Instancji kasacyjnej nie mają wcale. Gdym był w lipcu w Kownie i rozmawiał z litewskim ministrem sprawiedliwości Norejką, wspominał mi on, że w projekcie jest jeszcze ewentualnie trzeci sąd okręgowy – w Szawlach albo Poniewieżu. Ale mówił o tym jako o rzeczy dalekiej. Otóż więc przy dwóch sądach okręgowych i jednym trybunale – stanowiska sędziowskie są zapewne obsadzone, a sąd w Kownie , na który reflektowałem, jest zapewne dla wszystkich sędziów litewskich, jako stołeczny, ponętny. Toteż gdyby tam był wakans, to z pewnością znaleźli by się nań amatorowie, choćby z sędziów okręgowych z Mariampola albo z sędziów pokoju, wśród których są także prawnicy. Nie ma więc zasady do przypuszczenia, że daliby na ten wakans pierwszeństwo mnie przed sędziami, którzy już pracują w sądownictwie litewskim. Wreszcie nie dziwiłbym się, gdyby Litwini, wobec panujących stosunków polsko-litewskich, w ogole odnieśli się sceptycznie do przyjęcia mię na służbę państwową, zwłaszcza na wybitniejsze stanowisko. Choć mają brak ludzi, ale muszą się obawiać elementów niepewnych; stosunki polsko-litewskie i doświadczenie z wielu Polakami musiały ich usposobić nieufnie, a mój kilkuletni pobyt poza krajem, należenie do Legionów Polskich, służba w sądownictwie polskim i wizyta kwietniowa w Kownie, która została, zdaje się, źle zrozumiana nawet przez niektórych z tych, z którymi bezpośrednio rozmawiałem, jak Jan Vileišis, a cóż dopiero w dalszych pogłoskach – uzasadniać mogą aż nadto pewną z ich strony w stosunku do mnie rezerwę. Sądzę, że

ten ustęp w liście październikowym Biržiški, w którym wyraża on obawę, że się ewentualnie rychło w Kownie rozczaruję, był podyktowany chęcią poniekąd wybadania mię, czy nie należę do tych, którzy pójdą w ślady Tomaszów Zanów i Stefanów Kaderów, to znaczy byle czym się zrażą, a mając tuż obok w Wilnie pole wdzięczne do roztaczania żalów i niechęci do rządu „Taryby", pomnożę liczbę tych, których niechęcią karmi się kampania antylitewska w Wilnie i Polsce. Słowem – nie jestem pewny powodzenia. Będąc na miejscu, można ewentualnie poszukać, rozejrzeć się i wybrać inną posadę, ale moje warunki materialne nie pozwalają mi zrywać się stąd na oślep. Będę czekać na odpowiedź Biržiški.

23 listopada, rok 1919, niedziela
Odwilż w dalszym ciągu. Śnieg taje. Ciemno i brzydko.
Korzystam z tego, że wyjątkowo nie mam w tych dniach żadnych wyroków do pisania. Równa się to bezrobociu. Ale ta luka w pracy już mija, bo już od nadchodzącego tygodnia zacznę znowu częściej siadywać na sesjach. Dziś za to miałem inną pracę. Okazało się bowiem, że Wołodkiewicz nie uznał się za pokonanego na skutek rozpoczęcia endeckiego wydawnictwa „Gazety Łomżyńskiej" i puszcza w świat swoją wznowioną postępową „Ziemię Łomżyńską". Środki na wydawnictwo opiera głównie na ogłoszeniach. Wszedł on w jakąś kombinację z sekretarzem sekcji rejestracji handlowej w Sądzie Okręgowym, Mikuckim, który za pewną tantiem, skierowuje ogłoszenia przymusowe rejestrujących się firm do „Ziemi Łomżyńskiej", co zapewnia pismu pewien dochód stały. Poza tym, liczy na dochód z wolnych ogłoszeń i cokolwiek na sukurs z udziałów sympatyków ideowych pisma (adwokat Lachowicz, radny Hryniewicz i inni). Pierwszy numer „Ziemi" Wołodkiewicz już wydał – nie miałem go jeszcze w ręku. Jakem mu obiecał, że będę pisywać do pisma, musiałem słowa dotrzymać. Dziś więc pierwszy artykulik mu kropnąłem. Z pracą w pisemku prowincjonalnym jest ten kłopot, że trzeba znajdywać tematy aktualne i jednocześnie mające wagę lokalną. Wobec słabego tętna życia publicznego w Łomży, aktualnych i żywych spraw jest tutaj mało, dla mnie zaś tym trudniejsze jest ich znalezienie, że nie jestem ci Łomżaninem miejscowym, a choć od dwóch lat mieszkam w okręgu łomżyńskim, to jednak zamknięty wyłącznie w sferze pracy zawodowej i sam się mało udzielam sprawom społecznym tutaj, i mało mam punktów styczności z ludźmi poza sądem. Miałem się podjąć referowania działu sądowego w piśmie, ale i w tym zakresie nie bardzo co mogę pisać, zważywszy tym bardziej na mój urzędowy charakter sędziowski. Znalazłem na dziś temat, zdaje się, dość aktualny z zakresu sądownictwa, mianowicie pilnej potrzebie sesji wyjazdowych Sądu Okręgowego. Napisałem o tym artykulik, cokolwiek tylko za długi na szczupłe wymiary pisemka. Niech go już sam Wołodkiewicz skróci. Okropnie nie lubię poprawiać swoje własne rzeczy.

24 listopada, rok 1919, poniedziałek
Ezechiel i Kotunia Pruszanowscy nie mogą się doczekać oswobodzenia Bielcza od bolszewików. Wojsko polskie jak stanęło na początku jesieni na linii górnej i środkowej Berezyny (Lepel-Borysów-Bobrujsk), tak stoi i ani rusz nie posuwa się dalej. Upragniona przez Kotunię linia Dniepru nie dochodzi do skutku i w każdym razie teraz na zimę się nie zapowiada. Źle zaopatrzone w odzież, a pono i w środki wyżywienia wojsko polskie dobrze, żeby utrzymało się na linii obecnej i ustrzegło się samo od fermentu bolszewickiego, o dalszym zaś pochodzie za Berezynę nie ma co chyba marzyć. Na zimę na pewno, a kto wie czy i nie raz na zawsze. Nawet już imperializm polski nie bardzo sięga dalej poza Berezynę i bliski jest wspaniałomyślnego zrezygnowania z aspiracji poza tę metę. Nie przeszkadza to temu, że niezrównany

optymizm Kotuni zdaje się ani na chwilę nie wątpić, że jednak Polacy pójdą dalej – do linii Dniepru, jeżeli nie teraz, to na wiosnę, i że Bielcz będzie w ręku polskim, „wolny", to znaczy dostępny dla swych prawowitych władców i dziedziców – Pruszanowskich. Jak bowiem mówił mój stary profesor Albert Sozel z *Ecole des Sciences Politiques* w Paryżu – każdy pojmuje wolność tak, jak mu dyktują jego potrzeby i pragnienia. Wolność dla ziemian na Białej Rusi jest antytezą wolności białoruskich chłopów, jak wolność w pojęciu kapitalisty i wolność w pojęciu robotnika wykluczają się wzajemnie. Otóż tego „oswobodzenia" w pojęciu wolności Kotuni – doczekać się Pruszanowscy nie mogą. Czy wiosna spełni wiarę Kotuni, czy też do tego czasu wojna z bolszewikami się zlikwiduje i Bielcz nie doczeka się panowania polskiego – to się okaże w przyszłości, a tymczasem żyć trzeba. Drobniejsze perły i brylanty już poszły na sprzedaż, została jeszcze na koniec wspaniała broszka typu tzw. „Weczary" (od nazwiska kochanki tragicznie zmarłego przed laty ± 30 arcyksięcia, następcy tronu austriackiego, Rudolfa). Ten klejnot zaiste piękny stał się w miarę upadku waluty pieniężnej niezmiernie kosztowny. Pruszanowcy ociągali się długo ze sprzedaniem go. Przed paru miesiącami, w okresie małżeństwa Elizki Tanajewskiej, Ezechiel zastawił go w Warszawie w lombardzie za 10 000 mk. Ale suma ta już się kończy. Trzeba było się zdecydować na sprzedaż klejnotu. Żyd, Kania, grawer z zawodu, znawca kosztowności, niegdyś zajmujący posadę szacującego zastawy w lombardzie miejskim w Łomży, już kilkakrotnie pośredniczył w sprzedaży drobniejszych klejnotów Pruszanowskich. Znajomość z nim pochodzi stąd, że mieszka on pod moim dawniejszym mieszkaniem w domu Wejrocha. Kania od dawna tentował o ten najgrubszy klejnot, ale na próżno. Teraz zwrócono się do niego. Kania znalazł nabywcę na klejnot w osobie Motla Białego, bogatego kupca leśnego i ławnika w Sądzie Okręgowym, inteligentnego, kulturalnego i bogatego Żyda. Umowa doszła do skutku za sumę 45 000 mk., z których 10 000 ma być użyte na spłatę zastawu. Dziś umowa ta została przeze mnie spisana. Pośredniczę w jej wykonaniu. Na moje ręce Biały złożył dziś 35 000 mk., sam zaś z Kanią pojechał do Warszawy dla obejrzenia klejnotu i ewentualnego wykupienia go z lombardu. Do piątku decyzja ostateczna zawieszona; przez ten czas ja, jako arbiter umowy, mam przechować pieniądze i spisane warunki umowy. Pieniądze te zapewnią Pruszanowskim środki egzystencji co najmniej do wiosny, jeżeli nie do lata. Może jednak przyjść dla nich czarna godzina.

25 listopada, rok 1919, wtorek
W dobie rewolucji i strajków trzeba i mnie choć raz zastrajkować w dzienniku.

26 listopada, rok 1919, środa
Miałem sesję apelacyjną karną. Na wokandzie były sprawy wyłącznie o kradzieże – 17 spraw, ale na ogół nudne. Sesja się przeciągnęła do godz. 9 wieczorem. W charakterze sekretarza siedziała na sesji Lusia Roszkowska. Był to jej pierwszy prawdziwy debiut, bo musiała protokółować szczegółowe rozprawy z zeznaniami świadków, podczas gdy w d. 5 XI, kiedy siedziała po raz pierwszy, nic właściwie do protokółowania nie miała, bo tam żadnych świadków nie było.

27 listopada, rok 1919, czwartek
Panna Jadwiga Komorowska, zamieszkała obecnie w Warszawie u szwagra, Józefa Mikułowskiego-Pomorskiego, przysłała mi jeden z listów, otrzymanych z Kowaliszek od Elizki Komorowskiej. Ten list Elizki jest datowany z d. 29 października. Elizka skarży się, że jest tam u nich bardzo źle. Powiada, że jest bezład szalony, który trudno sobie wyobrazić, samowola i nadużycia urzędników i wojska, zupełna bezsilność władz

centralnych w Kownie i fikcyjność rządu, który nie mając pieniędzy nie jest w stanie należycie rządzić, zalega w opłacie pensji urzędnikom i żołdu wojsku, które i którzy przeto zmuszeni są kraść i żyć z nadużycia. Do tego ciągłe i ogromne rekwizycje, spadające całym ciężarem na dwory przy oszczędzaniu chłopa. System rządów jest wyłącznie demagogiczny, polegający na schlebianiu chłopom i rozdmuchiwaniu antagonizmów klasowych i narodowościowych (względem narodowości nie-litewskich, Polaków oczywiście). Rząd, nie mając środków do rządzenia, nie mając statecznego oparcia i programu, wygrywa te wszystkie antagonizmy, jątrzy je, schlebia instynktom tłumów, aby się tym utrzymać. W sprawozdaniu Elizki system rządów w Litwie jest systemem bankrutów. W szczególności – drożyzna, brak dowozu, spekulacja żydowska wściekła, anarchia, skojarzona z demagogią. Pozycja dworów bardzo ciężka; rekwizycje zboża, mięsa i tłuszczów ogromne i ciągłe po cenach niesłychanie niskich, a dochodów brak, bo sprzedaż zboża na większą skalę wzbroniona, a kontrola nad tym zlecona parobkom! To ostatnie jest naturalnie dla dworów najboleśniejsze.
Ba, oczywiście, położenie dworów nie jest tam wesołe. Z pewnością jest w liście Elizki pewna przesada, płynąca z goryczy i z oceny rzeczy w perspektywie zawodów i różnicy między tym, co jest, a czego się chce. I narodowe polskie, i klasowo-społeczne, i gospodarcze aspiracje ziemian muszą im czynić stan istniejący cięższym jeszcze do zniesienia, niż on jest w istocie i zabarwiać ich poglądy na czarno. Opowieści o raju ziemiańskim i „złotej wolności" pod władzą polską na „Kresach Wschodnich", kolportowane tam z pewnością po dworach przez agitatorów i trafiające na grunt tęsknoty i niezadowolenia, muszą im czynić stan istniejący jeszcze nieznośniejszym. Tym niemniej niemała szczypta prawdy musi się jednak w tym opisie rozprzężenia mieścić. Jeżeli w Polsce, która jest na wschodzie ostoją konserwatyzmu, jest stan ogromny bezładu, rozprzężenia i nawet anarchii, to przecież w tych kraikach małych narodowości chłopskich nad Bałtykiem, których środki są o wiele uboższe i które są trapione chaosem niemiecko-rosyjskich spekulacji zbrojnych różnych Bermondtów itp. oraz ostrzejszymi antagonizmami społeczno-klasowymi i narodowymi, stan rzeczy musi być o wiele cięższy dla bytu gospodarczego i warunków cywilizacyjnych w administracji i we współżyciu całym. Jest to bowiem chaos rewolucji. Żyjemy w dobie wielkiej przemiany, która się dokonywa stopniowo, lecz szybko, łamiąc i miażdżąc dawny układ stosunków. Rewolucję tę w krajach antybolszewickich na wschodzie, nie wyłączając nawet Polski, określić można jako chłopską. W Polsce jest ona powolniejsza, bo tu przeciwstawiają się jej mocniej czynniki szlacheckie i w ogóle strzegące ładu, bo mają tu one większą zwartość i większą historycznie siłę odporną. W krajach narodów chłopskich ta rewolucja, chłopska jest ostrzejsza, bo tam chłop stapia się z narodowością państwową, dominującą. Przewrót, który wynosi do władzy nową klasę społeczną – chłopów – nie może się dokonywać bezboleśnie dla klas, które są z wyżyn dotychczasowej przewagi strącane. Polska, która u siebie też jest na tę rewolucję, acz w formie łagodniejszej, chora, pełni jednocześnie na zajętych przez nią połaciach Litwy i Białej Rusi rolę czynnika kontrrewolucji, bo tam się ze względów narodowych opierać musi na elementach ziemiańskich i konserwatywnych. Ta rola i ten charakter Polski na „Kresach Wschodnich" żywi i wzmacnia reakcję w samej Polsce, psując w niej postęp rewolucji chłopskiej. Polskie imperium „Kresów Wschodnich" jest zarazem atrakcją dla sponiewieranych elementów kontrrewolucji w Litwie litewskiej, sycąc ich nadzieje i tęsknoty podniecaniem u nich oporu. Jest to dla nich gwiazda betlejemska.

28 listopada, rok 1919, piątek

Dziś miałem dużą sesję karną I instancji. Złożyło się na nią kilka spraw, które zarezerwowałem dla siebie jeszcze w czasach, kiedy zastępowałem Skarzyńskiego w czasach jego wakacji letnich. Wtedy wszystkie sprawy i sesje należały do mnie. Otóż ze spraw, które wtedy pospadały z wokand z moich sesji oraz z kilku innych nowych ciekawszych, które w tym czasie wpłynęły, ułożyłem sobie kilka specjalnych, zarezerwowanych dla mnie na przyszłość – sesji z góry przeze mnie samego wyznaczonych. Dziś była właśnie jedna z nich, już ostatnia. Tą drogą zdobyłem sobie kilka sesji ciekawszych, trochę mniej banalnych od tych, które mnie Skarzyński przeznacza. Wprawdzie wybitnych wielkich spraw nie wpłynęło jakoś w tym czasie, a te, które wpływają przy Skarzyńskim, to on wszystkie zazdrośnie rezerwuje dla siebie, ale bądź co bądź zdobyłem w ten sposób kilka spraw nieco ciekawszych. W tej liczbie była dziś sprawa Marianny Pazik, oskarżonej o otrucie męża, sprawa, która jeszcze z wiosny była z mojej jakiejś sesji odroczona. Nie była to sprawa zbyt sensacyjna, bo płynąca z głuchej prowincji, ze stosunków chłopskich, ale w każdym razie jaskrawsza, mniej pospolita od innych. Skazaliśmy oskarżoną na 15 lat ciężkiego więzienia. Dość oryginalną nadaliśmy konstrukcję prawną wyrokowi, uniewinniając Pazikową z oskarżenia o otrucie, choć śmierć nastąpiła niewątpliwie z otrucia, a natomiast skazując ją za zabójstwo męża, dokonane tą drogą, że wiedząc o tym, iż mąż się otruł, zataiła ten fakt i uniemożliwiła mu ratunek, przyczyniając się do śmierci jego. Jest prawie pewność, że go sama otruła, ale oparliśmy się na jej własnym tłumaczeniu, że mąż spożył przez pomyłkę kaszę z trucizną, przygotowaną przedtem na szczury, o czym zaczęła ona mówić dopiero po śmierci męża na śledztwie, gdy już otrucie się zaczęło ujawniać i gdy już ona była oskarżona i zaaresztowana.
Jeszcze słówko o wczorajszym liście Elizki Komorowskiej. O Bohdaniszkach i Papie nie wspomina ona ani słowa. Już to rzeczywiście dziwnie przejęła się Elizka Komorowszczyzną. O tym, że list jej z Warszawy może być przez pannę Jadwigę zakomunikowany nam i że dla mnie taki list jest jedynym źródłem wiadomości o Papie i o Bohdaniszkach, Elizka ani pomyślała nawet. Cały list się streszcza, poza omawianiem spraw ogólnych, w serdecznościach i pamięci o Komorowskich, o rodzinie męża, a o swoich, o nas – nic. Z listu Elizki widać, że Zyś jest w toku wielkiej polityki i wycieczek do Kowna dla zbawiania Litwy. Jest to akurat w stylu Zysia, który wyobraża sobie, że wymową i perswazją zbawi świat i przewróci bieg rzeczy podług swojej woli i swoich zamiarów. Jeździł parokrotnie do Kowna, gdzie konferował z rządem litewskim, z prezydentem Smetoną, z przedstawicielami misji zagranicznych. Podobno omalże nie został jakimś ministrem w Kownie – bodajże rolnictwa – i podobno przedstawiciel Anglii zapewniał go, że Anglia gotowa jest udzielić Litwie pożyczki, ale tylko pod warunkiem, że Zyś będzie nią rozporządzał. Zyś nie wyczuwa żywiołowości wypadków i rozwoju i wierzy, że perswazją i argumentami swymi ujarzmi i pokieruje wypadkami. W rozmowach i konferencjach, które toczy, zapala się i bierze za rzeczywistość to, czego sam chce i w co wierzy. Autosugestia jego jest olbrzymia i nieraz rozbrajająco naiwna, mimo że jest człowiekiem rozumnym i co więcej – rozumna Elizka wierzy również w to, co wyimaginuje Zyś. W chwili pisania przez Elizkę listu Zyś także był wyjechał – gdzieś na Żmudź i właśnie ugrzązł tam, odcięty przez niemiecko-rosyjską awanturę Bermondta. Elizka zaniepokojona. Partyzantka Bermondta zamknęła Kowaliszki w worku między Dyneburgiem a Poniewieżem.

29 listopada, rok 1919, sobota
Nawiązując do tego, com pisał pod datą 18 listopada, powiem jeszcze słów kilka o tym przewrocie społecznym, który się w czasach naszych pod wpływem warunków, wytworzonych przez wojnę, dokonywa. Przed wojną w systemie gospodarki towarowo-

pieniężnej i wielkiego rozwoju przemysłu przetwórczego miasta kwitły i panowały nad wsią. W ustroju kapitalistycznym i w gospodarce wymiennej towarowo-pieniężnej drobny wytwórca rolny, chłop, był nędzarzem kulturalnym i materialnym i upośledzonym pariasem społecznym. Jego kawałek roli był mu często kulą u nogi. O ile się od roli swej nie oderwał i nie poszedł do miasta, zwabiony łatwością zarobku i lepszymi warunkami życia, był przez wiek cały przykuty do ciężkiej pracy bez widoków polepszenia swego bytu albo w najlepszym razie bardzo nikłymi perspektywami polepszenia. Pracował jak wół, aby sprzedawać, a ceny na płody swoje miał niskie wobec konkurencji masowego dowozu takichże płodów z zewnątrz. Tryb gospodarki społecznej ciągnął go w swój obrót stosunków wymiennych. Był on niewolnikiem pieniądza, który mu był potrzebny na opłatę uciążliwych podatków, na kupno narzędzi, na artykuły tak niezbędne w jego życiu i pracy, jak sól, cukier, żelazo itd. Dziś z upadkiem pieniądza, z całkowitym i rosnącym stale rozprzężeniem stosunków towarowo-wymiennych, opartych na stałej walucie pieniądza, stanowisko chłopa się zmieniło zasadniczo. Dowozu regularnego i dawnej konkurencji płodów rolnych prawie nie ma, zapasów – coraz mniej. Producent rolny, chłop i ziemianin (obszarnik dworski) są panami niemal całego kraju, bo mają w ręku to, co stanowi podstawy i warunek wyżywienia ludności: chleb, kartofle, mięso, nabiał. Za czasów przedwojennych, w rozkwicie bogactwa, chleb i kartofle były rzeczą tak pospolitą i łatwą, że nikt nią nie mierzył bogactwa. Istotą bogactwa były pieniądze, był kapitał. Kto je miał, miał wszystko do zbytku: chleb i kartofle nie brały się w rachubę jako przedmiot najpospolitszy, a przeto, choć niezbędny – pośledni. Dziś w istocie wszystko się do chleba i kartofli sprowadza. Dziś te elementarne środki żywności, elementy najprostsze życia – stały się znowu, jak niegdyś, podstawą bogactwa. Są jeszcze rzeczy takie, jak cukier, opał, mięso, tłuszcze, które uzupełniają chleb i kartofle. Chłop je posiada (prócz cukru), a przez nie trzyma w ręku tajemnicę potęgi największej. Natomiast pieniądz, spadając w walucie, traci swój urok i moc i przestaje być chłopu potrzebny. Każdy niemal chłop ma tych pieniędzy dzisiejszych bez liku, bo im są one mniej warte, tym łatwiej i więcej ich chce za każdy swój produkt, którego wartość wzrosła nie tylko w stosunku prostym do zniżki waluty pieniężnej, ale i bezwzględnie. Podatki nie wzrosły bynajmniej w stosunku tym, w jakim spadła waluta i w jakim podniosły produkty rolne, rozkład ich nie podążył równolegle ze zmianą stosunków bogactwa, odciążając miasta i obciążając wieś, artykuły takie, jak sól, niezbędna dla chłopów, nie wzrosły w cenie w tej mierze, w jakiej chłop się wzbogacił społecznie. Drożyzna dotknęła najmniej wieś, która była najmniej zaawansowana w ustroju gospodarki pieniężnej. Dawniej chłop się oglądał za pieniądzem, szukał chciwie każdej kopiejki; sprzedawał każdą osełkę masła, każde jajeczko swej kury, aby uciułać potrzebny grosz, o który mu było trudno. Dziś ogromne masy pieniędzy papierowych płyną do chłopa jak powódź. Papierki trzyma do zbytku, na czarną godzinę je chowa, liczy je na wagę nie ufa im, bo nie mają żadnej stateczności i spadają coraz bardziej na wartości. Toteż chłop coraz bardziej traci bodźce do sprzedaży, sam żyje coraz lepiej, bo co dawniej spieniężył, sprzedał, teraz woli spożyć sam, bo ma z bezpośredniego spożycia większe zadowolenie i większą korzyść, niż z przybytku bezwartościowych papierków. Co jest jeszcze groźniejsze to to, że stopniowo zanika też bodziec do intensywniejszej produkcji i rośnie skłonność do ograniczania zakresu pracy i wytwórczości zakresem własnych potrzeb. Stopniowo dokonywa się ewolucja powrotu do gospodarki tzw. naturalnej, przedtowarowej. Po co produkować i trudzić się bez potrzeby. Chłop jest przesycony pieniędzmi, a potrzeby jego są nieduże; mało co albo nic nie wzrosły w porównaniu do stanu dawnego. Gdy zaś już coś sprzedaje, to każe sobie płacić ceny wściekłe. Nie pomoże tu żaden urząd walki z lichwą i spekulacją, bo

jeżeli on spróbuje przycisnąć chłopa, to ten odpowie na to po prostu zaprzestaniem produkcji ponad własne spożycie. Toteż urząd ten gnębi handlarzy, a chłopa właściwie nie rusza, bo gdyby go tknął, to zgubi społeczeństwo. Cały ten urząd walki z lichwą i spekulacją – to wielka blaga, obliczona na demagogiczne osłabienie gniewu bezsilnych, ale groźnych pod względem rewolucyjnym miast. Urzędy do walki z lichwą i spekulacją czy tu w Polsce, czy też w bolszewickiej Rosji pod nazwą rewolucyjnych „czrezwyczajek" – są dla mydlenia oczu. Potęgą jest producent rolny, a w pierwszym rzędzie chłop, bo jednocześnie z tym przewrotem społeczno-gospodarczym, który go wyniósł na stanowisko uprzywilejowane, zdobywa on w kształtach tworzącej się demokracji zarazem władzę polityczną, uniemożliwiając walkę z nim i ochronę miast kosztem ujarzmienia jego przywilejów. Pod tym względem samowola jego jest jednak korzystniejsza od stanowiska o wiele bogatszych materialnie obszarników, stanowiska, towarzyszącego nie postępowi, lecz uwstecznieniu warunków społeczno-gospodarczego bytowania.

30 listopada, rok 1919, niedziela
Dwie były dziś atrakcje w Łomży: pierwsza to odczyt posła do Sejmu socjalisty Czapińskiego w Domu Ludowym na temat „Rewolucja socjalna i proletariat" i druga – wieczór obchodu listopadowego (powstania z r. 1830-1831) w sali gimnazjum męskiego. Nie byłem jednak ani na jednym, ani na drugim. Na obchód listopadowy nie miałem wielkiej ochoty, bo obchody są zazwyczaj mdłe i banalne, obecnie zaś straciły już to piętno rewolucyjne i wolnościowe, jakie miały za czasów niewoli. Co zaś do odczytu Czapińskiego, to bardzo żałowałem, że się o nim zawczasu nie dowiedziałem. Odczyt ten odbył się o godz. 1 po południu. Przeczytałem plakat o nim dopiero o godz. 2 ½, gdym szedł do Pruszanowskich na obiad. Niestety – było już za późno. Wielka szkoda, bo stęskniłem już do słowa żywego i pragnąłbym choć na chwilę skąpać się w atmosferze szerokiej myśli rewolucyjnej, porywającej w świat piękniejszego jutra, choćby nawet było ono w perspektywie ładniejsze od jego przyszłego urzeczywistnienia się. Jeżeli się tu z kimś w Łomży obcuje, to się ma ludzi tylko w postaci karłów, a myśli ich są ubogie i krótkie. Poza tym, chciałbym usłyszeć Czapińskiego, jednego pono z lepszych socjalistycznych mówców sejmowych. Wreszcie dotknął on zapewne i obecnego przesilenia ministerialnego w Polsce, co też jest tematem ciekawym. Wielka szkoda, że nie byłem.

1 grudnia, rok 1919, poniedziałek
Miałem dziś sesję karną I instancji, dość nudną. Było wprawdzie parę grubszych spraw, ale obie spadły z wokandy. Wobec tego sesja, która się rozpoczęła bardzo późno, koło godz. 1 po południu, zakończona została, pomimo przerwy obiadowej od godz. 2 ½ do 4 – o godz. 7 wieczorem.
Już to Skarzyński ma rzeczywiście dar dobierania na sesje, które mnie wyznacza, najnudniejszych i bezbarwnych spraw, w których nie ma żadnego pola do popisu i do uwydatnienia wiedzy lub talentu sędziowskiego, a jeno szara nędzna robota rzemieślnicza. Taki stosunek Skarzyńskiego do mnie gniewa mię. Jest to prawdziwie nie po koleżeńsku, a nawet poniekąd nieprzyzwoicie. Przy współpracy powinien być jakiś podział rzeczowy, np. podział spraw podług liter alfabetu, albo podług numerów, albo wreszcie podług powiatów, ale nie podług widzimisię jednego z sędziów, który dowolnie bierze dla siebie całą śmietankę, a kolegę traktuje jak Kopciuszka. Tak między sędziami być nie powinno. Skarzyński ma dużo zalet, których mu zaprzeczyć nie mogę (pracowitość, unikanie rutyny, traktowanie zawodu swego z wielkim zamiłowaniem, brak pospolitego karierowiczostwa) i które niwelują jego cechy ujemne,

jak wielka zarozumiałość, niewspółmierna do rozumu i zdolności, mściwość itp., ale tej cechy, która płynie z zazdrości zawodowej, w stosunkach koleżeńskich strawić nie mogę. Jego sesje w tych czasach są pełne spraw głównych i sensacyjnych, moje – mdłe i mizerne. Nie podnoszę jawnego buntu, bo formalnie on jest przewodniczącym wydziału karnego I instancji, ale dziwi mię, że sam on nie odczuwa, jak niestosownie postępuje. W innych sądach podział współpracy jest zawsze oparty na jakichś zasadach, nie zaś na dowolności. Mam wprawdzie mój własny wydział apelacyjny, ale, pracując także w I instancji, powinienem nie być zdany tam na łaskę i niełaskę Skarzyńskiego. Zobaczymy, jak to będzie, gdy przyjdzie do nas Chabowski. Będzie zależało od tego, jakim się on okaże, jakie się między nami ułożą stosunki. Być może, że się z nim wtedy spikniemy i zaatakujemy Skarzyńskiego o podział pracy mniej niewdzięczny i oparty na jakiejś zasadzie. Chabowskiego czekamy z dnia na dzień; tymczasem go jeszcze nie ma. Zresztą może się jeszcze tak stanie, o ile nic nie będzie z mojego powrotu do Litwy, że obejmę wydział cywilny I instancji, wakujący po Tramplerze. Mam do tego pierwszeństwo przed Makowskim i tym bardziej mieć będę przed Chałatowskim.

2 grudnia, rok 1919, wtorek
Napisałem dziś do Józefa Albina Herbaczewskiego do Krakowa. Jest on jednym z ludzi, z którymi bodaj najbardziej się rozumiemy co do naszych poglądów na sprawę litewską. Różnimy się z Herbaczewskim w metodach, w sposobie taktycznym ujmowania kwestii, ale w perspektywach Sprawy, jak ją pojmujemy, jesteśmy zupełnie zgodni. Dlatego też dziś obaj z nim jesteśmy niepopularni. Stoimy bowiem na stanowisku, które odbiega radykalnie od maksymalistycznych wulgarnych pragnień zarówno Polaków, jak Litwinów, ale bardziej Polaków (a to dlatego, że Polacy w swoim maksymalizmie w kwestii litewskiej są dziś mocniejsi i bardziej uprzywilejowani przez stan faktycznego posiadania, a przez to samo i bezwzględniejsi). Co ciekawsze jednak, że staliśmy się dziś bardziej niepopularni bodaj u Litwinów, niż u Polaków, sądzę, że tylko chwilowo. Litwini bowiem, jako strona słabsza i czująca się pokrzywdzoną, są dziś szczególnie wrażliwi na wszystko, co nie ulega ich maksymalizmowi w stosunku do Polski. Kto przybywa do nich, jak ja w kwietniu i jak Herbaczewski we wrześniu, z różdżką pojednania w stosunkach polsko-litewskich, z ideą wielkiej Kooperacji Ludów, przeciwstawionej zasadzie wyłączających się egoizmów i nacjonalizmu, w tym wietrzą oni intryganta obozu przeciwnego, ukrytego, choćby nawet bezwiednego, rzecznika maksymalizmu polskiego. Szczególnie, gdy ten ktoś przybywa do nich od strony polskiej. Wszak nawet Jonas Vileišis wziął mię za takiego, pomimo że się z nim dobrze znamy i że mógłby, zdawało się, nie będąc „*pur sang*” nacjonalistą, lepiej mię zrozumieć. Czują też oni żal szczególny do tych, którzy należą do obozu ich sympatyków, jak ja, lub wprost bezpośrednio Litwinów, jak Herbaczewski, i którzy jednak nie poszli za ich maksymalizmem żywiołowym. Przestali oni, zdaje się, pojmować możność pozostania przez kogoś poza sferą obydwóch maksymalizmów. Dla nich w sporze polsko-litewskim gdy ktoś nie jest z ich maksymalizmem, ten przez to samo jest przeciwko nim, w obozie maksymalizmu prostego czy zamaskowanego – polskiego. Jak mnie się nie powiodło w Kownie w kwietniu, tak misja Herbaczewskiego spaliła w Kownie na panewce we wrześniu. Polacy w istocie grzeszą takąż wyłącznością: gdy kto nie jest w obozie ich maksymalizmu i pozwala sobie na jakiekolwiek względem tegoż zastrzeżenia, ten jest pomawiany bodaj o zaprzaństwo narodowe, a w każdym razie o uleganie litwomanii, o brak honoru i godności narodowej; ten jest, słowem, szkodnikiem. U Polaków moja niepopularność mogła dziś zmaleć, dlatego po prostu, że wyszedłem z obiegu, że się wycofałem z życia publicznego, zniknąłem z Wilna.

Ciekawe jest, że u Litwinów podkopałem moją popularność nie przez Legiony, ale przez moją kwietniową misję kowieńską, która była poczęta w idei bardzo w istocie dalekiej od maksymalizmu polskiego, przeciwnie – bo dla zaszachowania jego, dla przeciwstawienia nowej, solidarystycznej koncepcji imperializmowi polskiemu. Przed pięciu laty imię moje miało wielką popularność w całej demokracji Litwy bez różnicy narodowości, a w szczególności u Litwinów. Do niedawna jeszcze popularność ta u Litwinów się była przechowała, teraz jest u nich zachwiana, dla wielkich zaś rzesz demokracji w kraju umarłem przez wycofanie się, a wiadomo, że „*les morts vont vite!*"

3 grudnia, rok 1919, środa
Miałem sesję apelacyjną, jedną z nudniejszych, bo na wokandzie były wyłącznie sprawy o pobicie (gwałt na osobie, obrażający nietykalność ciała – podług klasycznej terminologii kodeksu karnego – w odróżnieniu od uszkodzenia ciała). Sprawy o pobicie i o obelgi należą do najmniej ciekawych i najmniej wartościowych w repertuarze karnym mojego wydziału odwoławczego. Musiałem dziś z sesją spieszyć, bo Skarzyński nie dokończył wczoraj swojej sesji I instancji i odroczył jedną ze swych dużych spraw na dzisiaj, toteż sala była mu po obiedzie potrzebna. Ta potrzeba pośpiechu dla opróżnienia sali dla sensacyjnego posiedzenia w grubej sprawie, w której w grę wchodziły interesy większej wagi, jeszcze bardziej uwydatniła znikomość mojej sesji dzisiejszej. Musiała się ona kurczyć i spieszyć, aby nie zaprzątać miejsca zbytecznie, jakby uchodząc wstydliwie w poczuciu swej nikczemności przed grubą rybą wagi pierwszorzędnej. Nie lubię takiej sytuacji, bo się nią czuję upokorzony. Dolewa to oliwy do ognia mojego żalu względem Skarzyńskiego. Należę do ludzi, którzy nie szukają, co jest lżejsze, a przeciwnie – lubię się imać zagadnień cięższych, przezwyciężać przeszkody trudniejsze, a dające większe pole do wysiłku zdolności i przeto większe zadowolenie. Skarzyński ma tę samą cechę. Nie zarzucam mu jej, jeno mam mu za złe to, że w podziale roboty w I instancji, którym zarządza, kieruje się on wobec mnie nie zasadą, lecz dowolnością, określaną jego własną zachcianką, co mię krzywdzi i wykracza przeciwko założeniom koleżeństwa i równości, spychając mię w pracy w instancji I do roli jakby zamiatacza śmieci, do załatwiania spraw pośledniejszego gatunku, podczas gdy Skarzyński rezerwuje dla siebie, co jest ciekawsze.

4 grudnia, rok 1919, czwartek
Od czasu do czasu rozżarzają się we mnie namiętności zmysłowe. Na ogół poziom namiętności moich od lat kilku się już stopniowo obniżał, szczególnie zaś w ostatnich paru latach, za czasów mojego sędziostwa się umitygował znakomicie. Zachodzi zjawisko podobne, jak gdyby gasł wulkan lub żar spalonego drzewa się powoli spopielał. Czy przypisać to postępowi wieku czy systematycznej równej pracy sędziowskiej – nie wiem. Niewątpliwe jest jednak, że statecznieję pod tym względem. Fakt ten zaobserwowałem szczególnie od wiosny roku ubiegłego (1918). Nie czuję i nie doświadczam braku sił fizycznych pod tym względem i gdy już mam stosunek z dziewczyną, to jestem prawie niewyczerpany w zdolności płciowego obcowania; tzw. impotencji nie doświadczam, mam siły w tym zakresie bez miary, jak w pełni najwyższej dojrzałości. Ale nie ma już tych ostrych bodźców, tych wielkich pędów, tych szaleństw płciowych, jakie mię trapiły w latach poprzednich. Ja, który pomimo pozorów wielkiej równowagi psychicznej bywałem miotany burzami tęsknot zmysłowych, ostrymi jak szał, błyskawicami pożądań, które mię rzucały co pewien czas w orgie najwścieklejszych wyuzdań, w dzikie lunaparowe gwałty zmysłów, we wszystkie fazy doświadczeń rozpusty użycia pijaństwa, nurzania się fizycznego w

rozkoszach cielesnych aż do bólu, nie znając już wtedy miary i mając w tym przedmiocie praktykę wszystkich możliwych ekscesów, ostygłem. Rzadko już teraz z pod powierzchniowego popiołu wytryśnie żar żywy ognia, rzadko wulkan pożądań buchnie płomieniem, i zadowalają mię spokojniejsze formy użycia, na których też poprzestaję. Nie ma tej wybuchowości i gwałtu, tego bólu i wściekłego głodu zmysłów, wystawnego i dzikiego, który mię rzucał w ciała dziewcząt jak motyla w ogień. Teraz to się robi spokojniej, równiej, bardziej po filistersku, aż mi się to samemu nie podoba. Z jednego tylko względu dzięki Bogu za to. Kosztuje mię to pieniężnie mniej, co przy moim stanie finansów osobistych jest rzeczą pierwszorzędnej wagi.
Od czasu do czasu, choć w formach mniej ostrych, pragnienie zmysłów kieruje mię jednak do hulanek cielesnych. W Łomży zresztą mają one mniej uroku, niż miały gdzie indziej, bo dziewczęta do użytku publicznego są tu mało ciekawe i urozmaicenia nie ma, a odbywa się wszystko trywialnie: numer w hotelu, dziewczyna publiczna (wybór niewielki), łóżko, noc, pospolite uciechy. Nic barwniejszego nie ma. Wczoraj oto pod wieczór udałem się na noc do hotelu. I kogóż miałem? Moją b. służącą Kamilę, od której za czasów jej służby u mnie byłem fizycznie daleki i zimny jak woda wobec ognia. Numerowy miał mi sprowadzić jakąś prostytutkę. Wtem za ścianą, w pokoiku mundurowego, usłyszałem głos, po którym poznałem Kamilę. Skądinąd wiedziałem, że Kamila lubi się puścić i jest łatwa do tego. I nagle zapragnąłem jej namiętnie, właśnie jej, było to znaczniejsze niż błysk kaprysu. Kamila dała się namówić i przyszła. Spędziłem z nią gorącą noc. Lubię takie dziewczyny, dla których oddawanie się jest jeszcze nowością pewną.

5 grudnia, rok 1919, piątek
W kancelarii mego wydziału zaszły od 1 grudnia pewne zmiany w personelu. Ubył dietariusz Chojnowski, młody student pierwszego roku prawa na Uniwersytecie Warszawskim; pracował on w sądzie z zamiarem poniekąd pewnej praktyki, a poniekąd zebrania gotówki na późniejszy pobyt w Warszawie. Obraził się na prezesa za to, że prezes, co się u nas dotąd zawsze praktykowało ku zadowoleniu pracowników, posunął go z dietariusza fikcyjnie na stanowisko p.o. woźnego, bo do tego stanowiska w etacie jest przywiązana nieco większa pensja, niż dietariusza. Faktycznie taki p.o. (pełniący obowiązki) woźnego bynajmniej ich nie pełni, bo jest nadal takimże, jak inni, kancelistą, tylko liczy się fikcyjnie na tym etacie. Zresztą – mały żal. Nikt Chojnowskiego w kancelarii nie żałuje, bo nie był wcale przyjemny. Przybyła natomiast z rekomendacji Lusi Roszkowskiej nowa pracownica w osobie panny Julii Jurago. Jest młoda, w wieku panny Mścichowskiej, ale ani taka miła, jak Lusia, ani tak przystojna i interesująca, jak Mścichowska. Nie lubię jej typu, choć niektórzy znajdują, że jest przystojna; przypomina mi trochę Zuńkę z Wołodkowiczów Chełchowską, a jeszcze bardziej doktorową Boguszewską z Wilna.
Jest już wiadomość, że wreszcie nowy nasz kolega, sędzia Chabowski, przybył dziś do Łomży. Nareszcie! Będzie nam w wydziale karnym lżej.
Cała prasa polska alarmuje z powodu formy przesądzenia przez Radę Najwyższą Aliantów w Paryżu kwestii Galicji Wschodniej. Galicja Wschodnia została przydzielona do Polski na lat 25 bez przesądzenia definitywnego jej prawno-państwowego stanu. Polska ma nią rządzić przez czasokres wskazany tytułem mandatu Ligi Narodów. Galicja Wschodnia ma wszakże stanowić całość odrębną, zamkniętą w sobie, ściśle samorządną, w stosunku do Polski mniej więcej podobnym, jak była Kroacja do Węgier. Polacy odrzucają prowizorium 25-letnie i odrębność prawno-państwową Galicji Wschodniej. Żądają kategorycznie inkorporacji i przesądzenia ostatecznego, godząc się co najwyżej na pewien samorząd prowincjonalny, udzielony

jej nie w trybie międzynarodowym, lecz przez Polskę. Rada Najwyższa uchwaliła już traktat o Galicji Wschodniej do podyktowania go Polsce. Polska będzie jeszcze protestować i zabiegać z całą energią o zmianę uchwały aż do wyczerpania wszystkich środków. Niewątpliwie, że ze stanowiska nacjonalizmu jest to dla Polski klęska, bo statut międzynarodowy Galicji Wschodniej da Rusinom broń potężną organizacji i poza tym nie dopuści do państwowej polonizacji tego kraju. Ja wszakże, nie podzielając stanowiska nacjonalizmu, uważałbym tę formę stosunku za dobrą, bo przede wszystkim sprawiedliwą i zgodną z zasadą wolnego stanowienia krajów i narodów o sobie. Jeżeli Polska okaże się w stosunkach z Galicją nie aneksjonistką, lecz jej towarzyszką, to stosunek ten dałby jej możność pozyskania na przyszłość unii stałej z tym krajem. O to wszakże właśnie chodzi, że wyrazy i hasła sprawiedliwości, współżycia, braterstwa itd. są jeno frazesem, w istocie bowiem Polska, jak inne narody, kieruje się względami chciwości narodowej, chęci panowania i zwiększenia swego stanu posiadania. Dlatego też taki krzyk, gdy wytrącono podstawy do realizowania tych apetytów nacjonalizmu. Tolerancja, poszanowanie praw cudzych, sprawiedliwości – to tylko płaszczyk powierzchowny, osłaniający najbrutalniejszą pospolitą chciwość i żądzę. Sposób przesądzenia przez Radę Najwyższą – za wpływem głównie Anglii – sprawy Galicji Wschodniej jest znamienny dla innej nie załatwionej dotąd sprawy – tzw. Kresów Wschodnich, to znaczy okupowanej części Litwy, Białej Rusi i Wołynia. Jeżeli Galicja ze Lwowem tak przesądzona, to i Wilno nie będzie dane do zaanektowania. Tam Anglia ma jeszcze realniejsze interesy, im bliżej ku Bałtykowi.

6 grudnia, rok 1919, sobota
Wreszcie doczekałem się tego, co już chyba rozstrzygnie mój los. Gdym przyszedł do sądu rano, mając na dziś sesję apelacyjną, zastałem na biurku w moim gabinecie dwa listy, adresowane do mnie. Na obydwóch pieczątka pocztowa „Wilno". Otworzyłem pierwszy list Michała Biržiški. Pisze, że się już skomunikował z Kownem w mojej sprawie i że minister sprawiedliwości rządu litewskiego, Norejko, dał odpowiedź, że jak tylko przyjadę, stanowisko otrzymam. Mam nadzieję, że odpowiedź ta dotyczy stanowiska, o które przez Biržiškę tentowałem: sędziego okręgowego w Kownie. Biržiška radzi, abym nie zwlekał i przyjeżdżał do Wilna, bo samo wystaranie się o przepustkę na przejazd z Wilna do Kowna zajmie mi sporo czasu.
Tak więc: stało się. Mam to, czego chciałem. Gdy się ta sprawa tak długo przeciągała i odpowiedzi od Biržiški nie miałem, zwątpiłem już o skutku. Miałem wrażenie, że nic z tego na razie będzie i że jeszcze co najmniej ten drugi rok do wakacji letnich pozostanę tu w Łomży, a dopiero latem sam się do Kowna wybiorę i sprawę tę osobiście załatwię, jeżeli się da. Oswoiłem się już z myślą, że pozostanę w Łomży, a choć się do tego przed samym sobą nie przyznawałem i formalnie nie rezygnowałem z projektu powrotu do Kowna w najbliższym czasie, to jednak we wrażeniowej głębi mojego ducha jużem zrezygnował. Zastanawiałem się już nawet nad tym, czy nie objąć od nowego roku wydziału cywilnego I instancji, wakującego u nas. Toteż wiadomość z listu Biržiški, że droga powrotu stoi otworem, uderzyła mię niespodzianką i, choć przecie sam się o to starałem i musiałem się tego spodziewać, podziałała na mnie oszałamiająco. Odpowiedź Biržiški, a właściwie Norejki, nie jest wprawdzie w tej formie ujęta, w jakiej starania moje zgłaszałem. Prosiłem o nominację formalną, a to, co Norejko komunikuje, to nie jest właściwie zobowiązaniem formalnym ze strony litewskiej. Odpowiedź ta, przełożona na pospolity język brzmi: przede wszystkim wróć pan i staw się, posada się znajdzie. Natomiast nie brzmi ona tak, jak mogła wypływać z kierunku moich starań: posada jest gotowa i otwarta dla pana, tylko prosimy o przyjazd. Trudno jednak wymagać, aby odpowiedź Norejki była inna. Za wielkie byłoby moje żądanie, gdybym

chciał, aby mię zapraszano już z góry, przed powrotem, gdy jeszcze służę w sądownictwie obcego państwa. Przede wszystkim, pierwszy krok musi wyjść ode mnie; musi nim być powrót. Nie jestem nawet pewny, czy Biržiška nie ubarwił nawet nieco na własną rękę odpowiedzi Norejki; posądzam, że Norejko dał odpowiedź jeszcze prostszą, mniej go wiążącą: pan Römer chce wrócić i służyć w sądownictwie w kraju – i owszem – niechże wraca – ludzie nam potrzebni, a o posadzie konkretnej pomówimy z nim po powrocie.
Decyzja moja o powrocie dawno już u mnie zapadła. Ale łatwiej postanowić, niż wykonać. Gdy nastaje nagle chwila wykonania, pewien nałóg bezwładu opiera się wykonaniu. Trzeba się przezwyciężyć powtórnie, a tym razem przezwyciężenie jest trudniejsze, niż w momencie powzięcia samej decyzji. Wobec wykonania dopiero wyrastają wszystkie „ale", wszystkie „*contra*", wszystkie przeszkody, względy i względziki. Jest ich zawsze w decydujących zasadniczych postanowieniach dość. W tym wypadku bodaj jeszcze więcej, niż zwykle.

7 grudnia, rok 1919, niedziela
Byłem i jestem pod wrażeniem decydującego listu Biržiški. Decyzję o powrocie do Litwy powziąłem latem, ale że to szło powoli, zwlekało się, marudziło, więc jakoś stała się ona czymś prawie niekonkretnym w moim życiu i moich myślach, czymś oderwanym, teoretycznym, jakąś manierą, ale nie żywym realnym faktem. Sam się poniekąd przyzwyczaiłem do traktowania tej decyzji w ten sposób. Mówiłem też od lata nieraz różnym ludziom w Łomży o zamierzonym pożegnaniu Łomży i wyjeździe do Kowna. Wpierw określałem termin na czas między październikiem a Nowym Rokiem, potem, gdy czas ten przyszedł i zaczął upływać, przestałem już mówić o terminach, a nawet w ogóle przestałem mówić z ludźmi o tym. I ludzie też, zdaje się, tu w sądzie pośród moich kolegów i współpracowników przestali stopniowo traktować te moje zamiary na serio: zaczęli brać je za coś urojonego, za jakąś bodaj nieszkodliwą manię powrotową raczej, niż za projekt konkretnie wykonalny i bliski. Jest przecie taki gatunek kunktatorski ludzi, dla których zamiar zastępuje czyn i którzy czasem nawet całe życie noszą się i czekają z jakimś swoim wyśnionym zamiarem, ani myśląc o jego urzeczywistnieniu; taki zamiar staje się ich cząstką składową, czymś, co się z nimi zrosło i jest taką samą u nich naturalną koniecznością, jak na przykład kieszeń u spodni; są to maniacy jakiegoś zamiaru; obrażają się nawet nieraz na serio, gdy ktoś pozwoli sobie wątpić w aktualność ich zamiaru, choć oczywiście sami nie traktują go wcale aktualnie; ludzie przywykają do tego, unikają naturalnie zaprzeczania im tego kaprysu i wszystko idzie swoim trybem; nikt nie przywiązuje do tego wagi, a zamiar staje się gatunkiem manii. Coś prawie podobnego zaczęło się stawać i z moim zamiarem, bo przecie w zasadzie od dwóch lat, od czasu mego przyjazdu do Kolna, zawsze mniej więcej wspominałem o projektach powrotu do Litwy, a kilka razy nawet było już blisko ewentualnego urzeczywistnienia. Od lata zaś bieżącego roku zacząłem forsownie o tym mówić, wskazując nawet domniemany termin – i znów rzecz ucichła. Toteż w ostatnich czasach zaprzestałem już się z tym odzywać, aby nie zyskać sławy śmiesznego maniaka-kunktatora. Zamknąłem się w mej samotniczej pracy zawodowej i milczałem, co mi tym łatwiej przychodziło, że z ludźmi stykam się tu bardzo mało i zasadniczo pędzę żywot skrajnie samotniczy. Gdy mię ktoś zaczepiał pytaniem o mój wyjazd do Litwy, zbywałem go ogólnikami niechętnie. Wstydziłem się nawet rozgłoszenia przedwcześnie tego projektu. Sam zresztą już w gruncie przestałem wierzyć temu.
Aż naraz – jest. Oszołomiło mię to w pierwszej chwili. Musiałem się wpierw w myślach z tym oswoić, przetrawić tę nową sytuację. Łatwiej by mi było od razu latem po zdecydowaniu się rzecz wykonać, niż teraz przełamać bezwład, który mię mimo woli

pleśnią swą opętał, i przezwyciężyć wszystkie względy i względziki. Bardzo trudno się zerwać i ruszyć tak, gdy i pieniędzy nie ma, i jedzie się w taki chaos stosunków i sytuacji, jakie towarzyszą narodzinom Litwy, a szczególnie ze względów na te nieszczęsne stosunki polsko-litewskie, na tę wrogość do Litwy, Litwinów i ich dzieła, która przepełnia atmosferę nie tylko mojego środowiska tutaj, ale jeszcze bardziej mojego środowiska rodziny i świata towarzyskiego, do którego należę z urodzenia i kultury. Ba, gdybym na to miał się oglądać, zgniłbym w bezwładzie i zgnoiłbym całe moje życie i wszystko, com wart. Cokolwiek bądź w życiu moim zdziałałem większego – zawsze wbrew bezwładowi, a nawet oporowi mego środowiska. A przecie nie żałuję przeszłości swojej i mam w niej niejedną kartę czynów, którymi się chlubię. Ba, oczywiście nie cofnę się już teraz z pół drogi. Nawet duma moja nie pozwala mi na to. A zresztą należę do charakterów, które choć są wrażliwe i subtelne, a przeto miękkie w dotknięciu, mają hart i moc postanowień i nawet lubią brać przeszkody. Jak w swoim czasie wykonałem wyjazd do Legionów w warunkach fizycznie jeszcze trudniejszych i w perspektywach jeszcze bardziej niepewnych co do przyszłości, choć moralnie może łatwiejszych, tak nie cofnę się i wykonam moją decyzję do końca – teraz. Zresztą życie jest jak kobieta. Kocha ono tych, którzy są odważni i chcą je zdobywać. Tych nagradza ono swym uśmiechem i do rzędu kochanków swoich dopuszcza.

8 grudnia, rok 1919, poniedziałek
Pozawczoraj, w dniu otrzymania listu Michała Biržiški, byłem zupełnie oszołomiony otwartą perspektywą powrotu do Litwy. Właściwie, tak rzetelnie mówiąc, list Biržiški prawie nic nowego mi nie powiedział. Czyż mogłem bowiem wątpić, że Norejko nie odpowie z góry odmownie; wszak to samo mówił mi osobiście w lipcu Norejko w Kownie; odpowiedź ta streszcza się do prostych słów: wróć pan, a miejsce się znajdzie. Aby to usłyszeć, było prawie zbytecznym długie i mozolne skomunikowanie się z Kownem za pośrednictwem Biržiški. Odpowiedź Biržiški ze słów Norejki nie brzmi tak, jak ja ściśle stawiałem pytanie: czy konkretnie dostanę stanowisko sędziego okręgowego w Kownie, mianowicie to, a nie inne i czy jest mi to *a priori* gwarantowane. Radykalnie i zasadniczo odmowna z góry odpowiedź, choć nie była całkiem wykluczona, była jednak bardzo mało prawdopodobna. Niewiele więc nowego dał mi list Biržiški, a jednak stanowi on przesądzenie sprawy, bo oczywiście dalsze konkretyzowanie obietnic Norejki zostaje wykluczone. Odpowiedź swoją on już dał, a teraz dalsza decyzja należy do mnie: mam wobec tego postanowić, czy już wracam i wrócić, czy też pozostaję i wtedy już gadanie zbyteczne. Jeżeli moja decyzja powrotu była poważna i istotna, mam wrócić – i już. Z tego stanowiska list Biržiški jest dla mnie elementem kategorycznym.
Byłem, powiadam, oszołomiony. Chaos nastał w myślach i uczuciach. Dobrze jednak, że tego dnia miałem posiedzenie sądowe. Przez cały dzień, sądząc sprawy, musiałem myśleć o czym innym. Stopniowo więc oszołomienie minęło i mogłem już pomyśleć spokojnie. Nie ma co – wracam. Przez dzień wczorajszy i dzisiejszy projekt powrotu skrystalizowałem już w plan. Natychmiast po Nowym Roku wniosę podanie o dymisję ze stanowiska sędziego okręgowego w Łomży, żądając zwolnienia mię od d. 31 stycznia i w pierwszych dniach lutego wyjadę do Kowna przez Wilno. Do czasu zgłoszenia dymisji nikomu o tym mówić nie będę, aby na wszelki wypadek się znów nie kompromitować. Nie podaję się do dymisji natychmiast dla dwóch przyczyn: pierwszej, że muszę mieć pewien zapas czasu na różne czynności przygotowawcze do wyjazdu i likwidacyjne w stosunku do mego pobytu w Polsce (dziś sama taka podróż – rzecz, której niepodobna wykonać na poczekaniu, a oprócz tego przeniesienie się z Polski do Litwy jest w obecnych warunkach politycznych i innych całym przewrotem w

moim życiu, czynności przygotowawczych jest dużo – wyliczać tu ich na razie nie będę); druga przyczyna, pono najgłówniejsza, jest ta, że w tym miesiącu wypłacać nam będą tzw. czternastą całkowitą pensje miesięczną (trzynastą otrzymaliśmy już latem); otóż obawiam się, że gdybym się podał do dymisji zaraz, mogliby mi tej pensji nie wypłacić, a wszak będzie ona dla mnie jedynym źródłem opłacenia kosztów przeniesienia się do Kowna – bez niej ani bym się mógł ruszyć. Wreszcie mam przyczynę i trzecią psychologiczną czysto – mianowicie, aby się stopniowo oswoić z tym zerwaniem i wyjazdem.

9 grudnia, rok 1919, wtorek
Niewątpliwie, że do Litwy wracać chcę. Nikt mię wszak do tego nie zmusza, przeciwnie – aby to urzeczywistnić, muszę przezwyciężyć raczej niechęć wszystkich i wszystkiego, co mię otacza, a jeszcze bardziej – wszystkich i wszystkiego, co stanowi moje naturalne i, że tak powiem, przyrodzone środowisko, które tkwi w całości w sferze Polaków litewskich, niechętnych, o ile nie wprost wrogich młodej Litwie narodowej. Co więcej – nie jestem bynajmniej pewny zapłaty, właściwiej mówiąc – oceny dobrej mojego czynu, niewątpliwie z wielu względów dla mnie ciężkiego. Nie jestem pewny, że w Litwie, do której wracam, będę zrozumiany i nie zostanę otoczony nieufnością, a może nawet pewną niechęcią głuchą jako ten, który przecie nie jest Litwinem rdzennym i nie chce przestać być Polakiem litewskim. Wracając bowiem do Litwy, wracam jako jej obywatel, ale nie renegat; nie solidaryzując się z powszechnym prądem politycznym Polaków litewskich w ich stosunku do Litwy, nie akceptuję jednak przeciwnych krańcowości w powszechnych prądach litewskich w stosunku do Polski. Jestem Polakiem obywatelem prawowitym Litwy, krajowcem Litwy – nie kresowcem Polski. Wracam jako taki. W tym samym stopniu nie hołduję tezie Polaków litewskich, uważających się za kresowców, a Litwę – za Kresy, jak tezie Litwinów, którzy Polaków litewskich mają li tylko za zbłąkanych Litwinów, odmawiając im prawa być i pozostać nie-Litwinami. Litwa jest dla mnie ze stolicą z Wilnem wspólną pospolitą Ojczyzną Litwinów i Polaków litewskich. Polacy mi wezmą za złe wkroczenie w szranki politycznej formacji Litwy narodowej, Litwini – nie ujrzą we mnie renegata narodowości polskiej, Litwina czystej wody narodowej. Pozostaję pod tym względem – samotny. A jednak wracam, bo mię do tego pcha instynkt mego sumienia, konsekwencja mojej przeszłości i mojej idei, którą zawsze wyrażałem i w którą, choć dziś się wszystko przeciwko niej zwraca, wierzę. Robię to z przekonania, z najgłębszej woli mojej. Kołacze się we mnie jakiś może duch przodków, duch tych dziadów i pradziadów krwi szlacheckiej, którzy w czasach przeddemokratycznych, będąc *natione* i z kultury Polakami, mieli jednak zmysł obywatelski i w czynach swoich wyrażali nie wolę i potrzeby jednej tylko narodowości kraju, ale całości, ale zespołu, kraju całego z całym jego ludem, biernym i bezwładnym wtedy. Jest we mnie może atawizm tych babek moich, które jak św. pamięci babka moja Tukałłowa uważały siebie i ród swój politycznie nie za polski, lecz krajowy, ruski, względnie litewski, godząc to w sobie doskonale z narodowością w znaczeniu kultury polską. Jest w tym może stary instynkt obowiązku społecznego ponad egoizm klasy z czasów, gdy jeszcze zróżnicowanie na klasy nie było całkowicie dokonane i gdy stan wyższy w politycznym narodzie streszczał w sobie historię całego kraju i najlepsi jego ludzie wyczuwali obowiązek działania rzetelnego w imieniu całości, bezwolnej i biernej, pozbawionej praw politycznych i dojrzałości. Jestem może jednym z Mohikanów, ostatnich tej epoki wielkich epigonów, która w Litwie spośród Polaków litewskich odezwała się wspaniałym śpiewem łabędzim w pierwszej połowie w. XIX. I kto wie, czy moje ciążenia demokratyczne i ludowe, które się kojarzą harmonijnie z moim stanowiskiem

obywatelskim w stosunku do Litwy, nie są w tym samym stopniu produktem tego głębokiego instynktu społecznego z atawizmu lepszych cząstek przeszłości, co produktem osobistych przekonań moich.

10 grudnia, rok 1919, środa
A przecież żal mi będzie opuszczać Łomżę. Zdawałoby się, że najróżniejsze liczne inne względy mogłyby mię krępować w powrocie do Kowna, ale już najmniej Łomża. Nie jestem bowiem szczególnie do tego miasta przywiązany, nie mam tu przyjaciół serdecznych, oprócz może panny Heleny Roszkowskiej, z którą bodaj jedyną łączą mię tutaj bądź co bądź więzy serdeczne sympatii, i życie mam tu tak monotonne, tak szare i samotnicze, że chyba nie mam czego żałować. Poza Lusią Roszkowską, z którą mój stosunek ma zupełnie szczególne cechy, jedynym człowiekiem, który mi był na gruncie łomżyńskim bliższy – był sędzia Trampler. Obecnie go już nie ma. Stykam się tu z ludźmi wyłącznie na gruncie sądu, stosunki moje są li tylko zawodowe, innych, prywatnych – nie mam. Nie bywam w żadnym domu gościem, nigdzie literalnie, oprócz Pruszanowskich, ale ci należą nie do moich stosunków łomżyńskich, jeno do mego rodzeństwa. Poza sądem, mieszkaniem moim, w którym nocuję i Pruszanowskimi, u których jadam obiady, bywam jeszcze czasem, parę razy na tydzień, wieczorami w Klubie Wioślarskim. Ale że w karty nie grywam i nie mam żyłki *clubman'a*, więc i tam się zwykle kończy na przeczytaniu gazety lub spożyciu samotnie kolacji, bo jakoś tam w ostatnich czasach zrobiło się puściej i często nie ma nawet towarzystwa do sznapsa. Już nawet w Kolnie, choć to drobniejsza mieścina od Łomży, czułem się bliższy ludzi miejscowych, ściślej z gruntem społecznym lokalnym zrośnięty. Tu jestem obcy. Toteż nie Łomży mi właściwie żal, ale sądu. Bądź co bądź, tę moją nową pracę sędziowską, ten nowy zawód, do którego od dwóch lat wszedłem – polubiłem. Należę zaś do tego gatunku ludzi, którzy niezmiernie ściśle zrastają się z pracą swoją, gdy ją pokochają, i oddają się jej całkowicie, bez zastrzeżeń, wpadają w nią całym jestestwem jak w studnię; żyją nią po prostu, kochają jak dziecko swoje i poza nią niczym się nie chcą zainteresować i zająć. Tak było z „Gazetą Wileńską", tak z książką „Litwą", tak z kadrą w Zegrzu, tak z sędziostwem, zarówno w Kolnie, jak w Łomży. Oderwanie się od tej pracy staje się po prostu bólem. Gdy mię czyn jakiś zainteresuje i pochłonie, nie umiem być połowicznym. Zresztą połowicznie nigdy nie pracuję dobrze. Albo już całą głową, sercem i nerwami, świata Bożego poza tym nie widząc, albo – lenistwo. Taka jest moja cecha. Poza tym, jednej mi jeszcze rzeczy żal – mojej kancelarii wydziału apelacyjnego karnego z Lusią Roszkowską na czele, a nawet z panną Heleną Mścichowską.

11 grudnia, rok 1919, czwartek
Sędzia Chabowski od tygodnia już jest u nas. W sobotę zaprezentował się nam w sądzie po raz pierwszy, we wtorek siedział na sesji karnej I instancji u Skarzyńskiego w zastępstwie ławnika, wczoraj siedział w zastępstwie ławnika u mnie na sesji apelacyjnej, a w sobotę po raz pierwszy sam przeprowadzi samodzielnie sesję apelacyjną, w przyszłym zaś tygodniu przeprowadzi samodzielnie I sesję I instancji. Gabinetu osobnego Chabowski nie ma. Jego biurko postawiono za moją zgodą w moim gabinecie. Jest to miły człowiek, bardzo delikatny i grzeczny, dobrze obeznany z prawem karnym. Liczy lat 40. Ma rutynę, bo był przez dobrych lat 10 sędzią śledczym za czasów rosyjskich, jednym z nielicznych Polaków w sądownictwie rosyjskim w Polsce. Ostatnio, po powrocie z Rosji, dokąd był wyjechał na początku wojny, był znowu aż dotychczas sędzią śledczym na powiat szczuczyński.
Dotąd tylko trzem osobom powiedziałem o mojej decyzji ostatecznej wyjazdu do Kowna: adwokatowi Wołodkiewiczowi, Chabowskiemu i Lusi Roszkowskiej, prosząc

każdego z nich o utrzymanie tymczasem tajemnicy. Oczywiście, że najwięcej rozżalona jest z tego powodu Lusia. Mój stosunek do niej znów w ostatnich czasach nabrał ostrych cech zmysłowych, jakie go charakteryzowały w marcu. Właśnie w dniu dzisiejszym zmysłowość ta została posunięta dalej, niż kiedykolwiek. Lusia, bardzo pilna pracownica, często – prawie, że co dzień – przychodzi wieczorami do kancelarii, aby popracować i wykończyć różne zaległości, na które rano w godzinach biurowych nie starczyło czasu. To przychodzenie wieczorami płynie rzeczywiście z rzetelnej gorliwości Lusi, która ma już taką naturę w pracy gorącą, że bierze zawsze na siebie więcej, niż może nadążyć i przeto zawsze ma jakąś jeszcze pilną robotę do wykończenia, a nie może się uspokoić, gdy coś na niej zalega i nie lubi spychać roboty na barki cudze; wszystko musi sama zrobić, co do niej należy. Ale w pewnej mierze to jej przychodzenie wieczorami ma także i cel inny – mianowicie spotkanie ze mną. Wtedy bowiem jesteśmy sami w kancelarii; nikt nam nie przeszkadza, toteż możemy robić, co się nam podoba. Otóż dziś się posunąłem do pieszczot zmysłowych bardzo daleko idących, bo nie tylko głaskanie jej, tulenie it., ale aż do pocałunków w szyję i kark włącznie. Lusia oponuje przeciwko tym pieszczotą, broni się, ale słabo i połowicznie. Pieszczoty te są jej przyjemne, toteż ulega ich pokusie i poddaje się im przez chwilę dłuższą biernie, niby to w zamyśleniu lub zatopiona twarzą w dłoniach, a od czasu do czasu przerywa je aktem oporu, przez odsunięcie mnie lub przez utkwienie w oczach moich wzroku, przed którym opuszczam ręce i cofam się, udając, że mię on poskromił, aby pozostawić jej atuty pozorów, że się nie poddaje. Harmonia nasza w tych pieszczotach zmysłowo ostrych, ale w formie bardzo delikatnych, jest zupełna. Lusię one drażnią i nęcą, nie grożąc jej jednocześnie żadnym niebezpieczeństwem. Dziewczynka każda to lubi i staje w promieniu ognia pożądań męskich, które w nich wyczuwa.

12 grudnia, rok 1919, piątek
Przed kilku dniami, jednocześnie z listem od Michała Biržiški, otrzymałem też list od księdza Tumasa z Wilna. Z listu tego przekonywam się, że jednak moje wnioski, które niedawno wyrażałem w dzienniku co do utraty zaufania i popularności mojej u Litwinów, nie są dokładne. Być może, że w opinii Jonasa Vileišisa (u niego przez nieporozumienie) i kilku innych (podejrzewam, że np. także u Ślażewicza, choć się z nim osobiście w Kownie nie spotkałem) – straciłem nieco na dawnej wierze bezwzględnej, ale powszechnie – pozostałem w opinii litewskiej otoczony tym samym zaufaniem, co dawniej. Faktem jest, że mój tytuł zasadniczy do uznania u Litwinów – moja książka „Litwa" jest tytułem stałym. Faktem też jest, że Litwini, chociaż mię dotąd nie widzą w szeregach budowniczych młodej Litwy Niepodległej, pomimo, że przeszłość moja uprawnia ich do tego, aby się temu poniekąd dziwić, jednak nie widzą mię także w szeregach działaczy „Kresów Wschodnich" – i cenią to. Świadczy to im, że w sympatiach moich dla Litwy i jej Niepodległości pozostałem bądź co bądź szczery i że nie zaprzeczyłem przeszłości mojej, mimo że pokusy mogło nie braknąć. Moje przekonania dawne, którym hołdowałem, okazały się mocniejsze od tych pokus. Wdzięczni mi są za to, żem imieniem moim nie poparł dzieła, które ich wysiłkom się przeciwstawia, a wiedzą też, że myślę o powrocie do Kowna, na co czekają z wdzięcznością. Tumas nie należy do moich przyjaciół obozu czy też kierunku społecznego, niemniej zachował on bezwzględne uznanie dla mnie. Jeden tylko zarzut czy żal wyraża w liście do mnie. Powiada, że czy możliwe jest, aby człowiek, który napisał „Litwę" – zamilkł. Tak, faktem to jest. Moja książka nie była tylko jednym z aktów mojej publicystyki; jest ona dziełem moim, jednym z dzieł mojego życia. Są ludzie, którzy po stworzeniu jednego dzieła, po napisaniu jednej książki – na tym

kończą. Być może, że należę do nich. Być może, że po spełnieniu mego dzieła dokonałem celu i że lepsze było jedno jajko złote od niesienia bez końca pospolitych jaj. A co do publicystyki mojej w sprawach kraju, to być może, że odzyszczę głoś w zetknięciu z ziemią ojczystą. Z dala pisać nie chcę, a nawet – nie mogę, bo co bym napisał – to w prasie polskiej pozostałoby niezrozumiałe. Mówić i pisać można tylko dla mas, które chcą słuchać. Mojego słowa o Litwie nikt w Polsce dzisiaj słuchać nie chce; wobec tego nie mam nic do powiedzenia i do napisania.

13 grudnia, rok 1919, sobota
Dziś Chabowski po raz pierwszy prowadził sesję; była to sesja z mojego wydziału, apelacyjna. Żeby go nie peszyć, nie chodziłem na salę słuchać, jak prowadzi rozprawy. Kilkakrotnie tylko z korytarza górnego zajrzałem przez okno na salę rozpraw, która zajmuje wysokość dwóch pięter (*a propos* – jest to ta sama sala, w której niegdyś, w grudniu r. 1916, urządzone było przez panie łomżyńskie przyjęcie dla legionistów I pułku piechoty i w której potem była urządzona herbaciarnia żołnierska dla legionistów).
Czułem się dziś trochę niezdrów. Było to coś w rodzaju przeziębienia, stan lekkiej gorączki katarowej, ból w płucach, jednocześnie niedyspozycja żołądkowa. Stanowczo za mało używam tu w Łomży ruchu.

14 grudnia, rok 1919, niedziela
Dziś był w Łomży poseł Daszyński. Zaproszony był, zdaje się, przez związki zawodowe robotnicze w Łomży. Wygłosił parogodzinne przemówienie w sali kinematografu *Mirage'u*. Chociaż przyjazd i przemówienie Daszyńskiego było ogłoszone zawczasu plakatami, nic o tym nie wiedziałem i dopiero po obiedzie dowiedziałem się o Daszyńskim od hr. Łubieńskiego, którego spotkałem w kawiarni. Powiedział mi, że wieczorem Daszyński ma podobno przemawiać w Klubie Wioślarskim. Udałem się tam przed godz. 8 i istotnie zastałem dużą salę pełną publiczności, przeważnie robotniczej oraz garstki inteligencji, do której przemawiał Daszyński. Trafiłem na sam koniec jego mowy. Potem z publiczności było kilka interpelacji i zapytań, na które Daszyński odpowiadał. Był już widocznie zmęczony; mówił ładnie, jak zawsze, z pewną manierą zblazowania, aczkolwiek i tu się zdobył na kilka błyskotliwych i świetnych w formie efektów, ale na ogół „mydłkował". Widoczne było, że wobec audytorium mieszanego lawiruje, kręcąc między socjalizmem, patriotyzmem i bardzo umiarkowanym, niemal salonowym, opozycjonizmem. Mówił nie jak wódz proletariatu, dążącego do władzy, lecz niemal jak frondujący liberał. Bo do tego też ma Daszyński skłonność największą. Jest on w większym stopniu trybunem opozycji narodowej, niż rycerzem sprawy proletariackiej. Charakterystyczny był ustęp jego odpowiedzi na jedną z interpelacji o roli opozycyjnej PPS i możliwości związków z partiami tak dalekiej prawicy, jak ND. Odrzekł, że kompromisu takiego nie przewiduje, a rolę i zadania PPS w polityce państwowej określił potrzebą w każdym rozwoju – opozycji, mówiąc, że opozycja ta jest tak potrzebną, że gdyby jej zabrakło, modlono by się w Polsce o nią, a jest ona tym lepszą, im światlejsi, czystsi, bardziej niezależni są jej wykonawcy, potrzeba zaś opozycji polega na wytykaniu błędów, na uwydatnianiu plam i wadliwości w rozwoju, bo nic nie jest doskonałe, skoro – dodał Daszyński – nawet na słońcu są plamy i to tak wielkie i widoczne, że je niemal okiem gołym można dostrzec i że plamy te, jak głoszą przepowiednie, mogą spowodować aż koniec świata oto w dniach najbliższych, bo rzekomo w d. 17 grudnia; PPS jest tą opozycją zbawienną dla rozwoju Polski, jest sygnalizatorką plam i błędów; gdyby nie pełnili tej funkcji opozycji socjaliści, musieliby ją podjąć ciemni chłopi lub ktokolwiek

bądź inny. Takie pojmowanie opozycji w rozwoju politycznym jest mądre i musi się na nie pisać każdy statysta, każdy nawet rozumny wstecznik. Ale czy to zadanie opozycji wyczerpuje uzasadnienie i rolę partii socjalistycznej jako organizacji klasowej proletariatu? Czyż stronnictwo każde, a tym bardziej socjalistyczne – może przyjąć opozycję za swoje właściwe zadanie i zrzec się dążenia do władzy, i czyż może partia socjalistyczna w jakimś narodzie przez opozycję zastąpić koncepcję własną rozwoju? Nie czyni tego nawet PPS, ale jej wódz stary, Daszyński, zdaje się krakać w opozycji dla samej opozycji, a przynajmniej tak woli tłumu o socjalizmie polskim informował. Po konferencji Daszyńskiego ja wraz z gronem osób spożyliśmy z Daszyńskim w Klubie kolację. Była p. Jarnusikiewiczowa, para robociarzy z Banachem, burmistrz Świderski, paru inteligentów, jeden oficerek-harcerz.

15 grudnia, rok 1919, poniedziałek
Oprócz Daszyńskiego, była jeszcze wczoraj w Klubie Wioślarskim inna osobliwość. Była nią grupa Mazurów pruskich, która przybyła do Łomży z Warszawy w charakterze delegacji Centralnego Komitetu Plebiscytowego na Mazurach i Warmii z sekretarzem generalnym tegoż Komitetu p. Zielińskim na czele. Przyjechali oni tutaj z Warszawy w celu założenia w Łomży miejscowego komitetu plebiscytowego. Okręg Łomżyński ma pod tym względem wagę szczególną jako położony na pograniczu z okręgiem plebiscytowym Mazurów pruskich. Zbliża się już chwila ratyfikacji traktatu wersalskiego i niebawem tereny plebiscytowe, a w tej liczbie i teren Mazurów, zostaną ewakuowane z wojska i władz niemieckich i objęte zarządem i okupacją tymczasową Koalicji do czasu przeprowadzenia plebiscytu, mającego orzec, czy kraj ten zechce pozostać przy Prusach, czy też wejść do Polski. Na Mazurach Niemcy mają wielkie atuty, którymi dominują nad Polską. Mazurzy pruscy, od wieków przynależni do państwa pruskiego, mają głębokie i silne tradycje państwowe pruskie, natomiast tradycji ani prawno-państwowych, ani politycznych, ani narodowych polskich nie mają. Z Prusami ich także mocno łączy, dzieląc od Polski, religia ewangelicka, którą wyznaje ogromna ich większość i do której są oni przywiązani. Ich polskość, wyrażająca się w mowie, w szczątkach obyczajów i kultury ludowej, stanowi tylko o ich kolorycie lokalnym i ma cechę tylko czynnika etnicznego, nie mając w sobie mocy czynnika politycznego i narodowego w znaczeniu współczesnym związku z narodem polskim. Ta ich polskość jest tylko swojskością i są oni do niej li tylko jako do obyczaju swojskiego przywiązani. Jest ona u nich zjawiskiem szczątkowym, będącym w stanie cofania się i zaniku, przyśpieszonego w ostatnich pokoleniach pod wpływem postępu kultury, nowych pojęć itd., działających niwelująco na rzecz ogólnych szablonów panującej państwowości, kultury i narodowości, którą jest tam niemiecka. Wszakże dopóki podłoże etniczne nie zanikło, są w nim pierwiastki utajone, pierwiastki odrodzenia, które w odpowiednich warunkach i kulturze są zdolne do kiełkowania i zaszczepienia na tym podłożu – rozwoju narodowego. I oto równolegle do szybkich i ostro zaakcentowanych postępów zaniku i wynarodowienia Mazurów na rzecz germanizacji – ukazują się tam także od pewnego czasu pierwsze wczesne pierwiosnki kiełkującego odrodzenia, coraz liczniejsze, tęższe i bardziej świadome, promieniujące coraz to mocniej na otoczenie; te pierwsze kwiatki odrodzenia krzewią się i rozłażą jak pleśń, mają w sobie żywotną zdobywczość drobnoustrojów i, jak mikroby, toczą stary i silny organizm ewolucji wynaradawiania, aż ją przecież zwyciężą, o ile się je, jak raka, nie wytnie. A zresztą operacja wycięcia ich z organizmu od chwili, gdy się w nim znajdą, jest tak samo trudną i nieprawdopodobną, jak wycięcie raka; dostały się już one bowiem do krwi tych ginących narodów i odrodzą je; odrodzą, o ile, co np. grozi już Serbom łużyckim, postęp wynarodowienia, drobna liczebność i zjawistość masy ludowej oraz

warunki otoczenia ze wszech stron nie posunęły już zaniku tak daleko, że nic już uzdrowić ich nie zdoła i że zanim drobnoustroje odrodzenia dokonają swego dzieła, masa zostanie pochłonięta przez morze obce i zginie, a odrodzone jednostki pozostaną już tylko Mohikanami, którzy umrą samotnie, niosąc ze sobą w braku środowiska – do grobu samą narodowość. Oczywiście, że musi się w tych warunkach rozegrać gra na śmierć i życie między Polską a Niemcami o duszę tego ludu Mazurów. Ich wcielenie do Polski wzmocni drobnoustroje odrodzenia i ocali Mazurów dla narodu polskiego. W przeciwnym razie skutek procesu, dokonywanego przez drobnoustroje jest wątpliwy: czeka ich los niepewny. Z rozmowy, którą miałem wczoraj w klubie z rodowitymi Mazurami, członkami Komitetu Plebiscytowego, z ich opowieści o stosunkach i procesach na Mazurach, przekonałem się, jak bliźniaczo podobne procesy walki między zanikiem a odrodzeniem dokonywają się tam a np. na terenie Ziemi Wileńskiej, w procesie polsko-litewskich stosunków. Tam Litwa jest tym, czym tu dla Mazurów jest Polska, a Polska tym, czym jest Litwa. Jest to zresztą wszędzie tak samo.

16 grudnia, rok 1919, wtorek
Było ułożone, że zebranie dla utworzenia w Łomży miejscowego komitetu plebiscytowego na Mazurach odbędzie się wczoraj. Ponieważ delegacja Komitetu Plebiscytowego z Warszawy zwróciła się o poparcie do elementów lewicowych, więc te głównie zajmowały się zwołaniem zebrania (p. Jarnusikiewiczowa i Wołodkiewicz). Ze względu na ogólnonarodowy charakter tej sprawy nie chodziło oczywiście o wykluczenie jakichkolwiek elementów prawicy, jeno chodziło Mazurom o to, aby się kierownictwo nie dostało do rąk klerykalnych, a to mianowicie ze względu na konieczność unikania piętna wyznaniowego w tej sprawie, w której jedną z cech istotnych i zarazem stanowiących największą trudność dla skutecznego zrealizowania w myśl postulatów polskich – jest różnica religii, dzieląca Mazurów ewangelików od katolickiego ogółu Polski. Raz tu już popełniono ten błąd; mianowicie Komitet Plebiscytowy w Warszawie przydelegował do Łomży p. Chętnika, dzielnego skądinąd działacza, który zwołał tu kilka osób, w tej liczbie biskupa Jałbrzykowskiego, starostę Szopińskiego (ten człowiek, który jeszcze na wiosnę był radykałem, za rządów Moraczewskiego był czerwonym, kandydował do Sejmu z listy demokratycznej i w ogóle był prawie że PPS-owcem, obecnie na gwałt bieleje, prawieje dokonywując tej metamorfozy bardzo gruboskórnie i po parweniuszowsku) oraz jeszcze jakichś paru; na zebranku tym pogadano w sferze ogólników, p. Chętnik wyjechał i na tym się skończyło. Wiadomo, że klerowi katolickiemu i jego sferom zbyt gorąco na sercu leżeć sprawa ewangelików-Mazurów nie będzie, pomimo że dla pozorów patriotyzmu kler nie zaniedba udawać zainteresowania. Zadaniem zaś komitetu miejscowego w okręgu łomżyńskim ma być nie tyle jakaś agitacja stąd na Mazurów, ile oddziaływanie na opinię z pogranicza po stronie polskiej w celu popularyzacji zasady, że sprawa narodowa jest od religijnej niezależna i że różnice wyznaniowe nie powinny i nie mogą różnić Polaków katolickich od ich braci po narodowości – Mazurów ewangelickich, aby przeciwdziałać powszechnym tu pojęciom ludu, że co ewangelik spoza granicy – to Prusak. Chodzi o to, aby tu budzić sympatię dla zjednoczenia polskich Mazurów z Prus z Polską i aby Mazurzy nie widzieli w Polakach z tej strony granicy li tylko fanatyków religijnych, traktujących ich za obcych. Naturalnie, że kler katolicki i sfery klerykalne będą najmniej pochopne do zerwania z tezą tożsamości katolicyzmu z patriotyzmem i szczerze w duchu przeciwnej tezy działać nie będą. Na zebranie więc wczorajsze, pomimo ze było postanowione zaprosić biskupa Jałbrzykowskiego, paru księży i grono osób z prawicy włącznie z *leaderam*i endeków (T.-M. Skarzyński), ułożono jednak taki dobór, aby większość stanowili różni radykalni, postępowcy i ich sympatycy. Ja byłem

upatrzony na przewodniczącego zebrania, a nawet na początek – prezesa komitetu w Łomży. Ze względu jednak, że czekano na przyjazd Chętnika, nie zwołano w czas zebrania, a potem zwołano już dopiero w ostatniej chwili wieczorem, tak że nie zdołano wszystkich zawiadomić. Ja też dowiedziałem się za późno i przypadkiem, tak że na zebraniu tym nie byłem i jaki był jego przebieg i wynik – nie wiem. Wobec zamierzonego wyjazdu mego z Łomży nie czas mi już zresztą wprzęgać się w pracę społeczną.
Ciekawa rzecz: Mazurzy z delegacji warszawskiego Komitetu Plebiscytowego mówili mi, że podjęli sami starania za pośrednictwem dyplomacji polskiej i wszelkich innych dróg, aby uzyskać od Rady Najwyższej w Paryżu odroczenie plebiscytu na Mazurach na dwa lata. Oczywiście, im później się plebiscyt po ustąpieniu władz niemieckich odbędzie, tym lepiej dla Polski, podczas gdy dla Niemców jest pożądane, aby się odbył jak najprędzej, dopóki ich wpływy, ich monopol agitacyjny obecny i siła tradycji pruskiej na Mazurach są najmocniejsze i wrażenie ich w umysłach ludności mazurskiej jeszcze się nie zatarło. Zabiegi Polski są tutaj pod tym względem diametralnie przeciwne, niż w stosunku do Wilna i zajętej przez Polaków części Litwy. Tam Polska działa gorączką pośpiechu w ustaleniu [stanu rzeczy] i tam kieruje się ona zasadą: kuć żelazo, póki gorące. Inny stan rzeczy, inna podstawa interesu, toteż inna zasada. Czyż może być lepszy dowód obłudy „zasad” w polityce, zbudowanej na metodach nacjonalizmu z jego progeniturą, zwaną militaryzmem i imperializmem.

17 grudnia, rok 1919, środa
Mam teraz cały łańcuch dni, wypełnionych sesjami: wczoraj miałem sesję karną I instancji, dziś – karną apelacyjną, jutro – sesję sądu doraźnego i trzy sprawy z sesji karnej I instancji w zastępstwie Chabowskiego i wreszcie pojutrze – króciutką, złożoną z dwóch spraw, sesję karną I instancji, a wtedy – dłuższa przerwa świąteczna.
Przed dwoma dniami otrzymałem list od Józefa Albina Herbaczewskiego. List wypełniony sprawą stosunku Polski i Polaków litewskich do Litwy i jej usiłowań państwowych. Piorunuje na Polaków, na ich krótkowzroczność polityczną w niedocenianiu Litwy, która, zdaniem jego, stanowi klucz polityki Polski na Wschodzie. Dwie są zwłaszcza ciekawe tezy w liście Herbaczewskiego: jedna, że bez pozyskania sympatii, zaufania i poparcia Kowna (to znaczy wolnej i niepodległej Litwy) Polska przegra swą polityczna i wojenną kampanię na Wschodzie, i druga, że złym duchem tej Sprawy, tym, który nienawidzi Litwy i przeto nie umie pojąć tajemnicy Sprawy Wschodniej w Polsce, jest – Piłsudski. Na pierwszą tezę godzę się w zupełności: Kowno, to znaczy Naród Litewski i jego Niepodległość, jest dziś ośrodkiem własnej samodzielnej świadomości tych rozległych i do niedawna jeszcze bezpańskich terenów litewsko-białoruskich, które umiały być tylko kresami bądź Rosji, bądź Polski. Na tych wielkich terenach od Bałtyku po Dniepr i od pobrzeży jezior pskowskich aż w głąb bagien i puszcz Polesia drzemią uśpione moce samowiedzy i ruchu. Jest to kraj bezwładu i bierności. Pierwsi się tam zbudzili Litwini i oni pierwsi zasadzie kresów przeciwstawili zasadę „*fara da se*”: zasadę woli i prawa własnego. Dzisiejsza też Litwa Kowieńska, zakładająca własną państwowość, jest pierwszą zwiastunką i pionierką zbudzenia tych terenów z ich letargu; dotąd jest ona jedyną; dalej na wschód, na jej krańcach etnicznych i na ziemi Białorusinów, trwa jeszcze bezwład, zakłócony dopiero przecieraniem źrenic pierwszych budzących się rycerzy odruchu. Zbudzi się jednak i tam Lud. Polska ma do wyboru dwie drogi: albo wejść w sojusz ze zbudzoną Litwą i oprzeć swe współdziałanie i współpracę dziejową na tych czynnikach świadomości i woli, które na wschodzie reprezentuje Litwa, stając się towarzyszką i naturalną przodownicą tamtych ludów, albo oprzeć się na bezwładzie i prowadzić politykę

kresową, zyskując wroga w Litwie i przeciwstawiając się z góry budzeniu się dalszych prądów żywych w kraju. Jej stosunek do Kowna jest probierzem jej polityki wschodniej – wolnościowej i żywej albo reakcyjnej i w przeszłości tonącej. Druga teza – o Piłsudskim – zdziwiła mię w ustach Herbaczewskiego, bo, o ile wiedziałem, jego wyprawa jesienna do Wilna i Kowna miała miejsce w porozumieniu z Piłsudskim, i w jego wystąpieniach, o których z prasy wiedziałem, znajdywałem zwroty gorące na rzecz właśnie Piłsudskiego polityki.
Ale ustąpię słowo pióru Herbaczewskiego, pełnemu, jak zwykle, jaskrawości. Cytuję ustępy z jego listu:
„Mam przeczucie, ze Polacy litewscy (specjalnie „Wileńczuki") nie tylko zmarnują (raczej zohydzą) swoją szczytną misję, lecz nadto przyczynią się do tego, że Polska sprawę wschodnią ostatecznie przegra. Wy nie macie wyobrażenia, co oni wyprawiają! Perfidia, intrygi, przekupstwa, oszustwa, gwałty – oto ich „*curty*"... Nie mogłem wytrzymać w tej nikczemnej atmosferze. „Polen, Polen über alles" – oto ich hasło. Wzorują się zupełnie na Prusakach-junkrach. Na wołowej skórze nie spisałbym tych wszystkich nadużyć, jakie w imię Polski co dzień popełniają, chełpiąc się (jak Prusacy), że są „oswobodzicielami". Pepeesowcy – imperialiści. U siebie, w Warszawie, zwalczają endecję i klerykalizm, lecz za to w Wilnie popierają najczarniejszą reakcję. I czym się skończy ta komedia? Katastrofą, moi kochani, katastrofą".
Zacytuję już jutro dalsze ustępy z listu Herbaczewskiego, bo mi tu miejsca zabraknie.

18 grudnia, rok 1919, czwartek
Cytuje dalej z listu Herbaczewskiego:
„...P. Wasilewski (mowa o Leonie Wasilewskim, dawnym PPS-owcu, ongi redaktorze „Przedświtu" w Londynie z czasów przed r. 1905, b. ministrze spraw zagranicznych w gabinecie Moraczewskiego) – wszystko mi zepsuł. Cała polityka tego „męża stanu" (o, ironio!) polega na tym, aby wywołać w Kownie rewolucję polską (*sic!*) i pod pretekstem, że „Litwini mordują Polaków", okupować całą Litwę na wzór Wschodniej Galicji. On nie uznaje państwowości litewskiej nawet w federacji z Polską. On ma rozwiązanie „autonomiczne" – kwestię tak stawia: rząd kowieński zrzeka się Wileńszczyzny i (*risum teneatis*) godzi się być przyjacielem Polski... Więc nie dziw, że przegrał sromotnie: rewolucja w Kownie (P.O.W.) nie udała się, Piłsudski skompromitował się wobec Anglii, bo (mam na to dowody) działalność P.O.W. na Litwie popierał (tu Herbaczewski pod odsyłaczem komentuje: podczas swej bytności w Wilnie wyraził się tak o nieudałej rewolucji w Kownie: „Nie udało się chłopcom"... No, no). Nie chcę rozwiewać Waszych złudzeń co do osoby Piłsudskiego. Sami się wkrótce przekonacie, kim on jest. Nie ludzie, przez niego powołani, lecz on sam swój „idealizm" względem Litwy zniesławił. Przekonałem się o tym, rozmawiając z nim przez dwie godziny. On nie widzi etnograficznej Litwy, bo jej nie rozumie, nie czuje! Do tego stopnia mnie rozjątrzył obelgami pod adresem Kowna, że musiałem heroicznym wysiłkiem woli zapanować nad sobą, aby nie zareagować tak, jak umiem w takich wypadkach – z taktem, lecz stanowczo... W Belwederze poznałem właściwego wroga Litwy! Tak, moi kochani. Powiedziałem mu drżącym, lecz silnym głosem: „Jeżeli, Panie Naczelniku, nie pozyskasz Kowna, potkniesz się o Litwę i padniesz!". Konsternacja była wielka. Myślałem, że wyprosi mnie za drzwi... Tak, zaprawdę: jeżeli Polska nie pozyska przyjaźni Litwy Kowieńskiej, wojnę wschodnią przegra... Byłem w Kownie, widziałem ujemne i dodatnie strony. Z ręką na sercu mówię Wam: w Kownie jest dobra wola, w Wilnie nie ma jej i w Warszawie nie ma jej! Nie można od Litwinów żądać podłości, tj. tego, aby się zrzekli Wilna i bratali się z Polakami. Kto się łudzi, że Litwin może być takim podlecem, ten jest moralnie upadłym człowiekiem. Ja sam,

przyjaciel Polski, nie mógłbym innej polityki dzisiaj prowadzić, będąc prezydentem Litwy. Żądać nikczemności od Litwinów?! I to się nazywa polityką? Ale czemuż „zbrodniczą” jest polityka, która żąda od Polaków wileńskich, aby byli obywatelami państwa litewskiego, z Polską sprzymierzonego? Obłęd prowadzi do katastrofy. Chcą zniszczyć Litwę, aby była Polska! Litwa będzie!”.

19 grudnia, rok 1919, piątek
Nie napisałem wczoraj o pewnej znowu bardzo przykrej rzeczy, która miała wczoraj miejsce. Mianowicie odbyło się wczoraj posiedzenie sądu doraźnego, na którym skazaliśmy na śmierć dwóch braci Rosłanów, Antoniego i Władysława, za napady bandyckie. Wyrok dziś rano został wykonany. Jest to drugi już wyrok śmierci w sądzie doraźnym, podpisany przeze mnie. Wrażenie tego wyroku jednak ani w przybliżeniu już nie było dla mnie osobiście tak silne i ciężkie, jak wrażenie wyroku w sprawie Cańki. Nawet z tak ciężkimi rzeczami człowiek się umie oswoić! Zresztą dwaj skazani ze sprawy wczorajszej – bracia Rosłanowie – rzetelnie zasłużyli na wyrok. Co prawda, nie zamordowali nikogo, ale uprawiali napady rabunkowe na przejezdnych kupców żydowskich widocznie zawodowo. Byli oni mieszkańcami Warszawy i od czasu do czasu urządzali wycieczki rozbójnicze w te strony, grasując tu na drogach publicznych. Przed 10 dniami wybrali się na taką wyprawę i jednej nocy dokonali dwóch napadów: raz pod Stawiskami i drugi raz nad ranem na szosie kolneńskiej w lasku pod Korzenistym, między Małym Płockiem a Borkowem, stamtąd udali się przez Nowogród w kierunku Ostrołęki, po drodze wszakże zostali ujęci na skutek zarządzonego przez naczelnika policji w Kolnie pościgu. Przyznali się do winy ze wszystkimi szczegółami i wskazali miejsce, gdzie ukryli rewolwery: pod mostem na Pisie pod Nowogardem. Co więcej, przyznali się do tego, że oni to byli sprawcami napadu, dokonanego pod Stawiskami w sierpniu, o który był oskarżony wtedy i sądzony przez sąd doraźny Samluk (jak to szczęśliwie, żeśmy nie skazali wtedy Samluka na śmierć!). Udało się Rosłanom wtedy, więc spróbowali szczęścia ponownie. Taka jedna wyprawa, jak teraz, dała im w zysku przeszło 50 000 marek! Na sądzie Rosłanowie byli już strasznie przygnębieni. Opuściła ich wszelka nadzieja; strach śmierci, pod którego wpływem przeżyli tych kilka dni ostatnich, przemienił bandytów-mężczyzn na płaczliwe dzieci; na ławie oskarżonych byli bezradni, zapłakani, niedołężni, w oczach młodszego, Władysława, świeciły jeszcze czasem, zwłaszcza podczas zeznań świadków Żydów, ofiar rabunku, złe błyski; Antoni Rosłan i tego już nie miał; na rozprawie sądu doraźnego widok oskarżonych, zgnębionych grozą śmierci, jest rzeczą najcięższą; gdy się słucha zeznań świadków – gniew wzbiera w sercu, ale gdy się spojrzy na winowajców – widzi się tylko nieszczęśliwych ludzi, pojmanych i bezwładnych. Przy naradzie nad wyrokiem głosowałem za bezterminowym ciężkim więzieniem dla Antoniego Rosłana, naciągając dlań okoliczności łagodzące. Ale głosami Skarzyńskiego i Chabowskiego obaj na śmierć skazani zostali. W czasie odczytywania wyroku przez Skarzyńskiego, jako przewodniczącego sądu, w chwili wyczytania kary śmierci rozległ się na sali spazmatyczny okrzyk: „O słodki Jezu!” – była to, zdaje się, żona Antoniego Rosłana. Oskarżeni byli tak przygnębieni, że już reagować nie mogli. Sala, jak zawsze, była pełna publiczności, żądnej podniety w widoku skazywanych na śmierć.

20 grudnia, rok 1919, sobota
O godz. 4 po południu odbyło się w gabinecie prezesa ogólne zebranie połączonych wydziałów sądu. Obecnie skład sądu jest już w całkowitym komplecie, ponieważ już i ostatni sędzia, Chełstowski, ma nominację. Komplet sądu jest teraz następujący: prezes

Filochowski i sędziowie (cytuję podług starszeństwa nominacji): Skarzyński, Duszyński, ja, Makowski, Chabowski, Chełstowski. Na ogólnym zebraniu byliśmy wszyscy, oprócz Chabowskiego, który był zajęty na sesji apelacyjnej karnej, oraz obecny był przedstawiciel urzędu prokuratorskiego – prokurator Sienicki.
Dwa były przedmioty na porządku dziennym: udzielenie obrońcom sądowym świadectw do prowadzenia spraw na rok 1920 i podział pracy między sędziami.
W pierwszej kwestii rzecz była taka. Podług nowej ustawy o organizacji adwokatury i instytucji obrońców sądowych, wszyscy dotychczasowi obrońcy obowiązani byli wnieść w pewnym terminie podanie o utrzymanie ich na tym stanowisku. Decyzja o zaliczeniu ich w poczet obrońców lub też o odrzuceniu ich podań zależy od Sądu Okręgowego podług jego uznania, wszakże sąd obowiązany jest zasięgnąć o każdym zgłaszającym się opinii Rady Adwokackiej. Otóż co do czterech obrońców Rada Adwokacka wyraziła opinię odmowną, uzasadniając ją brakiem kwalifikacji etycznych u petentów, wszakże bez szczegółowego umotywowania tego wniosku. Dotyczyło to dwóch obrońców prowincjonalnych i dwóch obrońców z Łomży – Potyńskiego i Kulkina. W szczególności co do Kulkina dochodziły mię poprzednio przez Wołodkiewicza wieści, że opinię ujemną o nim przesłało do Rady Adwokackiej w Warszawie tylko dwóch adwokatów w Łomży; chodziło też co do Kulkina o uniknięcie wrażenia antysemityzmu, ponieważ jest on już tylko jedynym Żydem w naszym okręgu, mającym związek formalny z sądownictwem. Zarzuty są przeciwko Kulkinowi wywlekane jeszcze ze stosunków sądowniczych przedwojennych rosyjskich i kompromitują one więcej ówczesnych sędziów pokoju, niż Kulkina. Wszakże co do obecnej działalności zawodowej Kulkina, nic mu zarzucić nie można. Co do Potyńskiego, to adwokatura łomżyńska stawia mu zarzuty aktualne, w szczególności, że posługuje się tzw. łapaczami, którzy mu naganiają klientów, odciągając ich od adwokatów; jest to zarzut uprawiania nieetycznej konkurencji i zmowy z pokątną adwokaturą. W szczególności z obserwacji sędziowskiej wiemy, że Potyński miewa zwykle dość wątpliwej wartości sprawy, wszakże konkretnych określonych zarzutów, które by można mu dowieść – nie znamy. A że z natury rzeczy przy pozbawieniu kogoś praw już przezeń nabytych każdy prawnik jest bardzo ostrożny, więc nie uważaliśmy za możliwe usunąć Potyńskiego na podstawie ogólnikowej nieumotywowanej konkretnie opinii Rady Adwokackiej; tym bardziej, że trudno byłoby usunąć jego, utrzymując innych. Toteż wszystkich czterech zakwestionowanych zaliczyliśmy w poczet obrońców. Gdy się o tej decyzji naszej dowiedziała miejscowa adwokatura, zaczęła szemrać, głosząc, że to jest policzek adwokaturze i że takie zbagatelizowanie opinii korporacyjnej, wyrażonej we wniosku Rady Adwokackiej, jest niedopuszczalne. Zdaje się, że ta sprawa wyrośnie w konflikt między adwokaturą a sądem.

21 grudnia, rok 1919, niedziela
Druga kwestia z wczorajszego ogólnego zebrania sądu wywołała pewne kwasy wewnętrzne. Chodziło o podział czynności sędziowskich. Makowski upatrzył sobie I instancję cywilną i z całej siły chciał się przy niej utrzymać, nie czując, że brak mu wiedzy i zdolności do objęcia kierownictwa tak odpowiedzialnego wydziału. Co prawda, obsada sędziowska obu wydziałów cywilnych jest u nas słaba. Podczas gdy w wydziałach karnych Skarzyński, ja i Chabowski stanowimy siły zawodowe bądź co bądź wykwalifikowane i mogące podołać zadaniom, to cywiliści nasi szwankują bardzo: Makowski jest zupełnym niedołęgą, Duszyński jest leniwy, zdolności ma bardzo umiarkowane i nie pracuje nad sobą, Chełstowski, choć z pozoru jest bardzo poważny i zamyślony, także nie grzeszy, zdaje się, geniuszem; jedyny cywilista mocny – to prezes Filochowski, ale ten wyroków nie pisze. Duszyński nie bardzo się nawet

kwapił na objęcie przewodnictwa wydziału I instancji, bo wydział apelacyjny cywilny jest spokojniejszy i mniej wymagający wysiłku, co dogadza jego lenistwu. Gdyby nie to, że jestem na wylocie, sam bym się zdecydował objąć I instancję cywilną, ponieważ ze względu na starszeństwo nominacji mam przed Makowskim pierwszeństwo wyboru. W każdym razie jednak pozostawienie Makowskiego u steru I instancji cywilnej byłoby skandalicznym spaskudzeniem tego niezmiernie odpowiedzialnego wydziału sądu. Duszyński, mający przed Makowskim pierwszeństwo wyboru, postawił alternatywę: albo on pozostanie sam jeden w wydziale apelacyjnym cywilnym, albo obejmie wydział cywilny I instancji do spółki z Chełstowskim, w ramach tej alternatywy ogólne zebranie może nim rozporządzić. Pomimo protestu Makowskiego, ja, a za mną Skarzyński i Filochowski poparli objęcie I instancji przez Duszyńskiego z Chełstowskim i skierowanie Makowskiego do wydziału apelacyjnego. Bądź co bądź, Duszyński z Chełstowskim, choć nie są doskonałością, są o niebo całe wyżsi od Makowskiego. Na tym też stanęło. Makowski energicznie walczył, gwałtował, prawie że płakał, groził dymisją. Jest zdumiewające, jak ten człowiek nie ma czucia swojej niezdolności. Nie rozumie też i nie wyczuwa, że jego groźba dymisji jest szopką, bo dymisją swą ulżyłby jeno sądowi. Swoją drogą – na stanowisku przewodniczącego wydziału apelacyjnego cywilnego będzie Makowski nie naprawiał praktyki sądów pokoju, ale chyba jeno psuł ją; jego szkoła będzie nie akademią dla sądów pokoju, lecz bałamuctwem.

22 grudnia, rok 1919, poniedziałek
Niedawno Kotunia miała list od Maryni Römerowej, w którym Marynia donosi, że się zapoznała bliżej z jakimś majorem czy kapitanem wojska polskiego, piłsudczykiem, który służył w I Brygadzie Legionów Polskich od r. 1914, i przyjaźń między nimi sięga aż tak daleko, że rezerwując oczywiście upewnienie się co do braku przeszkód, gotowi są... pobrać się. A to by Marynia figla spłatała, gdyby tak rzeczywiście wyszła za mąż! Córka zaręczona z Meyerem, a matka – z majorem! Gdzie się też podziały wszystkie tezy, które zawsze tak uroczyście i z przejęciem gorącej wiary głosiła Marynia – o szczęśliwym stanie wolności, o nudzie posiadania nad sobą męża – pana domu, it. Major milczkiem pobił wszystkie argumenty filozofii niewieściej.
Jak się ten tam major nazywa – tego nie pamiętam: coś jakby Trześniowski. Marynia pisze, że podobno pan major zna mię z widzenia z Legionów. Bardzo być może, bo tak się różniłem wiekiem i wyglądem od ogółu kolegów w szeregach żołnierskich, że znany byłem przynajmniej z widzenia i z opinii bodaj w całej I Brygadzie; nietrudno mię było zauważyć i zapamiętać. Ja wszakże sobie p. majora nie przypominam z nazwiska. Oczywiście te projekty matrymonialne Maryni są jeszcze w sferze rojeń, bo nic nie wiadomo, czy nie żyje jeszcze małżonek prawowity Maryni – Witold Romer. Był on w Rosji przed i na początku wojny. Czy zginął w zawierusze, bo był schorowany i wyczerpany chorobą i ciężkimi warunkami życia, czy też się ostał i żyje gdzieś jeszcze – nic nie wiadomo i niepodobna w obecnych warunkach sprawdzić.
Marynia pośpieszyła się wyspowiadać z rojeń Kotuni, prosząc ją, aby mnie o tym szepnęła, choć w tymże czasie i do mnie pisała. Więcej widocznie ufała, że jej argumenty małżeńskie trafią na lepsze zrozumienie w sercu niewieścim siostry, niż w trzeźwym umyśle męskim brata. Ba – wolna wola; nie jest to ani dobre, ani złe, ani rozumne, ani głupie – jeno pożądane dla niej podmiotowo albo niepożądane.
Z listu Maryni do mnie są dwie nowiny: jedna – smutna: biedna kochana Emileczka Kligysowa w Bohdaniszkach – umarła na suchoty. Poczciwa serdeczna przyjaciółka naszej rodziny! Niech jej ziemia lekką będzie! Jakich Ci słów wieniec dać na grób, droga stara Emileczko, dzieciństwa naszego i w szczególności mojego wierny świadku i serdeczna przyjaciółko? Czcze są słowa, tylko serce czuje Ciebie, Emileczko!

Druga nowina – że Zitka Komorowska bawi w Wilnie. Przyjechała końmi na Turmont na stronę demarkacyjną polską, stamtąd koleją. Przyjechała na spotkanie Julka Komorowskiego, którego powrót z niewoli bolszewickiej drogą wymiany zakładników i jeńców cywilnych między Polską a bolszewikami – jest spodziewany; o ile Julek przyjedzie, ma go zabrać na wypoczynek do Kowaliszek. Oczywiście, że Zitka tchnie niechęcią do rządów litewskich i jest tego samego ducha, co jej matka Elizka, chociaż mam wrażenie, że Zitka jest pod tym względem umiarkowańsza i wyrozumialsza od matki.

23 grudnia, rok 1919, wtorek
Nic szczególnego w dniu dzisiejszym do zanotowania nie mam. Nawet gazet od dni kilku nie czytałem, bo jakoś nie przyszły do Łomży.
Pisałem przed kilku dniami do Zygmunta Jundziłła do Wilna. Zapadły mi głęboko w serce i zraniły mię słowa, które on wyrzekł, stosując do mnie, w kwietniu w Kownie, kiedy po nieudanym usiłowaniu porozumienia z Litwinami, przejęty pesymizmem po zreferowaniu wobec niego, Narutowicza i Łukomskiego przebiegu rokowań, uzasadniałem wniosek, że wola i rozum ludzki są bezsilne do działania porozumienia i układu między dwoma narodami – polskim i litewskim – i że nie pozostaje nic, jak pozostawić rzeczy ich własnemu biegowi żywiołowemu, zejść z pola i z rękami założonymi przyglądać się, do czego też wreszcie dowariuje się świat. Uzasadniałem tezę bezwładu rozumu, krańcowego pesymizmu woli, bezczynu jako nakazu mądrości. Wtedy mi na to Zygmunt Jundziłł rzekł, że każdy człowiek jest podobny do świeczki: gdy się wypali – zgaśnie; nikt nie może dłużej płonąć czynem, niż ile miał w sobie zapasu energii i ducha; gdy te się wyczerpią – człowiek jako czynnik gaśnie; może nadal wegetować fizycznie, może być maszyną funkcjonalną w znaczeniu fizjologicznym, ale duch czynu w nim umiera. Słowa te skierował do mnie, robiąc aluzję, że należę do liczby tych, którzy są już tylko ludźmi przeszłości, umarłymi dla żywego czynu, wyczerpanymi z energii do podjęcia nowych nieustających wysiłków woli w myśl wskazań wiary. Dotknęły mię te słowa. Zaprzeczyłem mu: rzekłem, że gotów jestem do czynu, byle bym widział w perspektywie jego skuteczność; niech mi ją wskaże, niech wytknie drogę działania, która w myśl wskazań rozumu poprowadzi do celu, przez nas upragnionego; trudno bowiem zrezygnować z rozumu i wbrew niemu albo robić to, co rozum wskazuje za bezcelowe, albo też wprząc się w jarzmo popularnych instynktów, które mnożą chaos i działają przeciwko kierunkowi wiary i woli mojej. Byłem wtedy pełny pesymizmu i głębokiego zniechęcenia. Za jedyną możliwość uważałem dla siebie wrócić do Łomży i zamknąć się w mrocznym moim zawodzie sędziowskim, rezygnując z woli działania w sferze spraw Litwy i stosunku jej z Polską. Słowa Jundziłła zaciążyły na mnie.
Bolały mię one odtąd ciągle. Toteż teraz, gdy się z pesymizmu tego otrząsłem i gdy już decyzja moja o powrocie do Litwy dochodzi do konkretyzacji i wykonania, jedną z myśli moich było napisać o tym i zawiadomić Jundziłła. Powołałem się na jego słowa i biorąc asumpt z mojego postanowienia powrotu dla czynnego udziału w tworzeniu życia, wskazałem mu, że jestem świecą, która jeszcze nie życzy gasnąć i jeszcze może zaświecić płomieniem czynu.

24 grudnia, rok 1919, środa
Dzień Wigilii. Po paru leciech samotnej Wigilii spożyłem dziś wieczerzę wigilijną z tradycyjnym opłatkiem w gronie rodziny – u Pruszanowskich. Byli tylko oboje Pruszanowscy – Ezechiel i Kotunia, ja i dwie najmłodsze córeczki Pruszanowskich, Kasia i Stasia. Pruszanowscy spodziewali się przyjazdu na święta przynajmniej dwojga

ze starszych dzieci, szczególnie Gienia i Irki, ale nie przyjechało żadne. Ich starsze dzieci są rozproszone po świecie. Wygnanie z gniazda rodzinnego i tułaczka rodziców rozprzęgła i puściła w rozsypkę dzieci. Najstarsza, Elizka Tanajewska, jest już mężatką. Drugi, Gienio, jest żołnierzem w wojsku polskim; przebywa w Baranowiczach, o ile nie jest w szpitalu, bo od lat paru jest chory na syfilis i, jako żołnierz, leczony jest systematycznie, jeżdżąc periodycznie do szpitala, co mu na dobre wyjdzie. Trzecia, Hala, jest sanitariuszką w pociągu sanitarnym; do niedawna była siostrą miłosierdzia w szpitalu wojennym w Lublinie; chwilowo bawi przez święta pod Lwowem u swojej koleżanki i przyjaciółki z klasztoru, młodej wdowy Tchórznickiej, Potockiej z domu, na wsi. Czwarta, Irenka, ma posadę rządową w Zarządzie Ziem Wschodnich i jest w Oranach. Wreszcie piąta, Józia, jest chwilowo bez posady i przebywa w Lidzie u Tanajewskich.
Wieczerza wigilijna – kucja, czyli jak tu nazywają, wilia – była u Pruszanowskich skromna, ale dobra. Po opłatku była zupa – bulion „po żydowsku" z ryby, potem szczupaczki i okonie smażone, wreszcie łamańce z makiem i podsytem z miodu i kawa czarna. Stół był nakryty, zgodnie z tradycją, na sianie.
Gdy wieczorem wróciłem do siebie, zaproszony zostałem przez moich gospodarzy mieszkania na drugą wilię. Musiałem ją spożyć, bo niegrzecznie było odmawiać. Ci gospodarze moi – to są ludzie z klasy średniej: on jest kucharzem z zawodu, obecnie restauratorem, ona - mieszczką z przedmieścia; są to ludzie młodzi, mają dopiero pierwsze dziecko. Wilia składała się u nich z opłatka, smacznie przyrządzonej wódki, śledzia, ryby smażonej, zupy rybnej, klusek z makiem, kompotu z krajowych owoców suszonych i herbaty. Wstałem od tej drugiej kolacji pełny jak bąk.

25 grudnia, rok 1919, czwartek
Większą część dnia świątecznego spędziłem u Pruszanowskich. Siedziałem u nich od obiadu do wieczora i kolację u nich zjadłem. Kotunia jest leżąca, ma katar; Ezechiel też sobie leżał po obiedzie i zasypiał parokrotnie. Ja zaś to rozmawiałem z tym z nich, które nie spało, to czytałem im głośno książeczkę ulubionego mego humorysty Jerome K. Jerome („Druga seria myśli próżniaka").
Pogoda wczoraj i dziś ładna. Wczoraj było słonecznie, dziś rano także słońce świeciło. Po tym zaczął padać obfity śnieg i na wieczór była odwilż. Zima jest w tym roku normalna: jest sanna, mrozy bardzo niewielkie, śniegu w miarę.

26 grudnia, rok 1919, piątek
I dzisiaj równie cicho dzień spędziłem, jak wczoraj. Wstałem dość późno, przed obiadem spędziłem parę godzin w moim gabinecie w sądzie na pisaniu wyroków i wyznaczaniu spraw, potem byłem na obiedzie u Pruszanowskich, gdzie zabawiłem nieco dłużej, następnie koło godz. piątej poszedłem do domu, pospałem trochę, potem napisałem list do Wilhelminy Zyndram-Kościałkowskiej, ostatniej żyjącej z trzech sióstr Kościałkowskich, ciotek Reginy, około dziewiątej wybrałem się do Klubu Wioślarskiego, ponieważ tam jest dziś dzień mojego dyżuru, wypiłem tam parę kieliszków wódki przy bufecie, przejrzałem tygodniki i ilustracje i koło godz. 11 wróciłem do domu i poszedłem spać. Tak mi dzień upłynął. Nie można powiedzieć, żeby zbyt wesoło! Wolałem święta zeszłoroczne z intensywną pracą w Głównej Komisji Wyborczej.

27 grudnia, rok 1919, sobota
Dziś, po trzech dniach świątecznych rozpoczęły się w sądzie zajęcia, ale jeszcze tak na pół – niezupełnie. Co do mnie, to wolę powszednie dni pracy od dni świąt –

przynajmniej teraz i tutaj, bo oczywiście nie zawsze tak w moim życiu bywało. W kancelarii mojego wydziału mała zmiana: Lusia Roszkowska awansowała na starszą kancelistkę. I ona, choć jest młoda, mówi tak samo, jak ja: powiada, że gdyby święta miały być dłuższe, to już by były nudne. Bo nie każda też młoda tak jest gorąca do pracy, jak moja Lusia, prawdziwa perła gorliwości.
Otrzymałem dziś list z Krakowa od p. Anastazego Kazimierza Róga, u którego przechowują się zeszyty moich dzienników od maja r. 1915 do września r. 1916, to znaczy z czasów mojego pobytu w Rumunii w drodze do Legionów, potem różnych etapów tegoż dążenia (Wiedeń, Piotrków), potem samej mojej wojaczki, dalej szpitali, domu rekonwalescentów w Kamińsku, Piotrkowa i Warszawy. Wciąż się wybierałem, aby kiedykolwiek pojechać do Krakowa po odbiór tych dzienników; miałem to zrobić tego lata, ale się nie udało. Wreszcie w związku z zamierzonym powrotem do Litwy – napisałem do Róga, prosząc, aby mi dzienniki wysłał pocztą, jeżeli może, lub złożył do rąk Herbaczewskiego. Róg zawiadamia mię, że dzienniki są wysłane. Będę je czekał. Nie jestem pewien, czy wszystkie otrzymam i czy który z nich się nie zawieruszył. Szczególnie niepewny jestem pierwszego zeszytu, pisanego w Bukareszcie: po przyjeździe z Bukaresztu do Wiednia złożyłem go u Kulczyckiego Ludwika wraz z malutką walizeczką moją; w roku ubiegłym pisałem do Kulczyckiego, zapytując; odpisał mi, że go Rógowi doręczył, ale obawiam się, czy się to sprawdzi i czy czasem albo Kulczycki, albo Róg go nie zgubił. Wszystkie następne zeszyty – od lata 1915 do jesieni 1916 – składałem u Róga; kilka pierwszych złożyłem u niego osobiście, kilka następnych przesłałem mu z Piotrkowa w r. 1916. Przykro by mi było, gdyby coś z tych zeszytów zaginęło. Choć, zdaje się, wielkiej wartości ani literackiej, ani historycznej nie posiadają, bo pisane były na kolanie i są monotonne, to jednak dla mnie mają one wartość pamiątkową, a zagubienie któregoś z nich utworzyłoby lukę w tym nieprzerwanym ciągu dziennika, jaki prowadzę regularnie od d. 1 stycznia (starego stylu) r. 1911.
Przed rokiem 1911 także kilkakrotnie prowadziłem dziennik – miałem do tego skłonność zawsze (pierwszy dziennik pisałem w głębokim dzieciństwie, w r. 1888 czy 1889 – ten zgubiłem – potem od r. 1891 aż gdzieś do r. 1897-1898 pisałem znowu z niewielkimi przerwami, potem znowu parę razy rozpoczynałem i urywałem), ale nigdy nie był on tak ciągły, jak dopiero od r. 1911. Zeszyty moich starych fragmentarycznych dzienników sprzed r. 1911 były w Bohdaniszkach, razem z archiwum wszystkich moich listów i różnych papierów. W czasie wojny prawie że wszystko to zostało zniszczone przez żołnierzy niemieckich, którzy kwaterowali w domu bohdaniskim. Ocalała z tego tylko niewielka cząstka, którą widziałem latem w Bohdaniszkach walającą się w nieładzie na salce ciemnej na górze, ale nie sprawdziłem, co ocalało, a czego nie ma. Zobaczymy, co mi teraz Róg przyśle. Jestem bardzo ciekaw. Żal mi też bardzo moich fotografii wojennych, listów z tej epoki, różnych notatek, które byłem złożył na przechowanie u Ludwika Abramowicza w Warszawie i które w lutym r. 1918, w czasie jakiejś rewizji, dokonanej przez żandarmów, zginęły. Reklamowałem, ale nie znalazły się.

28 grudnia, rok 1919, niedziela
U biednych Pruszanowskich – rozterki. Kotunia musi być świętą, aby wytrzymać z Ezechielem. Jego charakter nerwowy, kapryśny, przekorny, powiedziałbym nawet – histeryczny – jest w pożyciu, a szczególnie w ciężkich chwilach życia nieznośny. Ezechiel ma niewątpliwie zalety: ma w sobie instynkt rycerski, ma duży zmysł szlachetności, jest bardzo przywiązany do rodziny, był zawsze wierny żonie i domowi, jest inteligentny i wykształcony. Ale kaprysy jego są takie, że czynią go pomimo tych

zalet nieznośnym. Nie mówiąc już o tym, że jest jak dziecko niezaradny, rozpieszczony, umiejący dogadzać tylko sobie, prawdziwy balast w domu, co tylko stęka, narzeka, kwili, pieści się i palcem o palec nie stuknie, aby pomóc w czymkolwiek żonie, schorowanej i dźwigającej cały ciężar kłopotów i pracy na sobie, ale ponad wszystko nieznośny jest w swych kaprysach znerwowania. Nie ma on w naturze tej pogody, która umie znosić ciężary i spokojnie patrzeć w perspektywę, dzielnie radząc charakterem i umysłem. Był on pesymistą przez całe życie i był zawsze niezadowolony ze swego stanu. Narzekał w Bielczu, narzekał w Wilnie, narzekał i narzeka zawsze; tylko lenistwo, wyrobione przez sybarytyzm, łagodziło zawsze jego pesymizm, godząc go ze stanem istniejącym i wyczerpując jego energię w narzekaniu. U niego kaprys i narzekanie wyładowywało energię i starczyło za czyn. Teraz stan jego nerwów jest ciężki: ostatnie brylanty sprzedane, pieniądze jeszcze są, ale topnieją szybko, w perspektywie nic nie wiadomo, co będzie – czy Bielcz zostanie od bolszewików uwolniony i kiedy, a w Łomży nuda i pustka, brak towarzystwa, wiecznie te same cztery ściany mieszkania, chłód, w domu drobne kłopoty, służące co kilka dni się zmieniają, wiecznie w kółko ta sama lektura książek wypożyczanych z czytelni, a jeszcze i w Polsce stosunki polityczne dalekie od ideałów konserwatywnych Ezechiela. W ostatnich dniach nerwy Ezechiela się nagle rozprzęgły. Zaczął być tak kapryśny, że lada co wywołuje wybuch i sam zresztą wybuchy prowokuje, Kotuni dokucza, złości się na nią, wszystko go drażni i niecierpliwi, siebie uważa za ofiarę, choć sam jest dla otoczenia tyranem i zmyślił nagle, że siedzenie w Łomży jest zgubą i że trzeba zamieszkać w Mińsku, gdzie będzie łatwiej o jakąś transakcję z Bielczem. Ma jechać do Mińska, aby się rozejrzeć i może już nająć mieszkanie dla przeniesienia się rodziny. Nosi się z tym projektem i gryzie Kotunię, czepia się jej i dokucza, choć Kotunia mu nie oponuje. Może wcale się do Mińska nie wybierze, bo u niego słowu nigdy nie towarzyszy czyn, a jeżeli nawet pojedzie, to tylko wyda pieniądze i wróci z niczym. Oczywiście Kotunia także nie myśli wiecznie siedzieć w Łomży, ale decyzję odkłada do wiosny, kiedy można będzie coś sądzić o perspektywach dalszych wojny i kiedy trzeba będzie na coś stanowczego się zdecydować. Ale Ezechiel nagle się podczas świąt rozkaprysił; atmosfera jest w tych dniach u nich taka, że trzeba chodzić na palcach, aby z którejkolwiek strony tych kaprysów nie dotknąć, bo wybuchają jak dynamit lub histeria.

29 grudnia, rok 1919, poniedziałek
Od świąt mamy pogodę bardzo ładną. Dnie są słoneczne i bardzo mroźne. Powietrze suche, czyste, zdrowe. Ślisko tylko strasznie na ulicach – inaczej, jak środkiem ulicy, nie idę, gdy trzeba schodzić w dół, a w Łomży się zawsze albo idzie pod górę albo schodzi w dół: chodnikiem iść nie mam odwagi – sam widok wyszlifowanego chodnika mię przestrasza; dzięki Bogu, że w Łomży nie ma żadnego ruchu konnego, oprócz przygodnej czasem furmanki wiejskiej albo woziwody miejskiego, toteż można śmiało środkiem jezdni kroczyć. O zmroku dziś podniosła się gęsta mgła w mroźnym powietrzu, która osiadła następnie szronem na drzewach, co sprawiało następnie w świetle młodego księżyca efekt uroczy. W takie pogodne piękne dni budzi się u mnie tęsknota do jazdy sannej. W słoneczny mróz chciałoby się siąść do niewielkich saneczek, zaprzężonych w jednego konika, samemu się powozić i lecieć wichrem z dźwiękiem dzwonka po białych polach; przypominają mi się wtedy moje jazdy Zuchem w Bohdaniszkach w r. 1908-1909, szalone w pędzie jak wiatr, radosne i pogodne: faworytalna droga – zimowa droga z Bohdaniszek do Abel przez Popiele i jezioro. Cóż bym dał, abym mógł takich przejażdżek używać! A znów wieczorem w mroźnym świetle księżyca marzy mi się jazda w wielkich rozłożystych saniach parokonnych, w

olbrzymich futrach niedźwiedzich, w daleką drogę, poprzez wielki las, drzemiący w szadzi śnieżnej, w ciszy, budzonej czystym głosem dzwonków, z przeczuciem wilków, w gąszczu leśnym, gdzieś na Białej Rusi głębokiej! Jakież to piękne! Nie jechałem w tym roku saniami i ani marzyć o tym nie mogę. Ani ubrania ciepłego nie mam, ani pieniędzy na tak kosztowną w dzisiejszych czasach przejażdżkę.
Nie wiem dlaczego, ale w ostatnich dniach roku zazwyczaj ogarnia mię rój wspomnień z przeszłości mojej i marzeń, nawiązywanych do tejże. Jest wtedy jakiś nastrój pamiątek i rozmyślań i liczenia lat i elementów życia, które upłynęły. Może jest tak dlatego, że umysł jest pod wrażeniem uchodzącego roku, przybywającego do liczby wielu innych w narastającej przeszłości. Budzą mi się wieczorami wspomnienia uczuć gorących, epizodów wymarłych, ludzi kochanych, którzy odeszli, całych łanów życia za sobą, żywych tylko w pamięci, upragnionych i pięknych w tęsknocie, z rzeczywistości – wykreślonych. Widzę Mamuśkę moją jedyną, widzę i czuję Aninkę w leciech naszego krótkiego szczęścia, wyczuwam lata młodości z jej wiarą, pracą i miłostkami, tyle barw i piękna kryjącymi. Wreszcie myślę i kocham – o kim i kogo?, oto myślę o tej jedynej żywej i najbliższej mi istocie w rzeczywistości, której nie znam, a która jest moją jawą, może jedyną, nie pogrzebaną w falach przeszłości – o córeczce mojej, Cesi, która już liczy dziesiąty roczek. Jak prędko upłynęły te lat dziesięć, które mię dzielą od dziejów małżeństwa mego z Reginą, tragicznego rozstania i urodzin córki! Tutaj myśl moja i uczucia nie w przeszłość ulata, lecz w przyszłość wybiega, usiłując przeniknąć losy przyszłe mojego z tym dzieckiem stosunku. Co będzie za drugie lat dziesięć? Cesia będzie liczyła rok dwudziesty, będzie panną dorosłą. Wszak kiedyś musi przyjść czas, że się z nią zobaczę, że ją poznam, że się staniemy sobie ojcem i córką. Kiedy i w jakich okolicznościach? Jak się nasz stosunek ułoży i jaką będzie moja córka? Są chwile, kiedy w myśli mojej gotów jestem ze względu na córkę i na ewentualne dalsze potomstwo (syn – Michaś!) oswoić się z myślą wznowienia pożycia małżeńskiego z Reginą. Gdyby Regina była sama, nie byłbym może wcale od takiej kombinacji daleki. Ale jest ta nieznośna Francuzka, ta Eliza Courtot, która więcej nad wszystko nas dzieli i oddala od siebie. Przez nią myśli te są chyba na wieki próżne!

30 grudnia, rok 1919, wtorek
Rano był niezmiernie ostry mróz, ale słońce świeciło blado. Koło obiadu mróz już zelżał i ukazały się symptomy zbliżającej się zawiei, która się wzmogła wieczorem. Mróz jednak trzyma. Zresztą w mieście człowiek nie jest tak wrażliwy na zjawiska atmosferyczne, jak na wsi. O, jakże dawno już nie użyłem prawdziwej zimy wiejskiej, z własnymi końmi, jazdą sanną, z tą samotnością oddania się prostego naturze!
Spadek zawrotny waluty, raczej fikcji pieniężnej – bo pieniądz polski żadnej dotąd realnej waluty nie ma – powoduje w ostatnich czasach prawdziwe orgie pozornej drożyzny. Ceny produktów i wszelkich towarów nie rosną, lecz skaczą. Co dzień jeden artykuł za drugim drożeje i żadnej ceny dzisiejszej na jutro pewnym być nie można. Życie upływa w prawdziwej bachanalii warunków i środków zaspakajania potrzeb. Co przed paru miesiącami, a nawet tygodniami wydawało się drogie, dziś by się już w tej samej cenie wydawało niesłychanie tanie. Żadna cena już nie może dziwić; żadne żądanie nie może się wydać wygórowanym. Gdy się ogląda wstecz na lata wojny, widzi się to zjawisko postępującym systematycznie, w progresji geometrycznej. W r. 1917 w październiku w Kolnie zapisywałem w notesie wszystkie moje wydatki; chciałem wtedy w dzienniku przytoczyć wyciąg z tych rachunków dla statystyki wygórowanych cen ówczesnych. Dziś ta sama statystyka świadczyłaby o niesłychanej taniości ówczesnych cen w stosunku do obecnych. Notowałem wtedy funt masła w cenie 4 ½ mk. jako niezwykle drogiej; dziś funt masła dochodzi już w Łomży do 20 mk., a za rok, jeżeli tak

dalej pójdzie, dziwić się będziemy, jako to było tanio, gdy się płaciło 20 mk. Oczywiście drożyzna ta jest w bardzo dużym stopniu pozorna, gdy się uwzględni stosunki walutowe. W stosunku do kursu pieniędzy polskich (marek polskich) wobec franków lub dolarów ceny są tutaj bardzo w istocie tanie; po przerachowaniu wartości marek polskich na przedwojenne ruble, a raczej kopiejki uwydatniają się ceny raczej tanie, niż drogie. Ale co za pociecha stąd dla tych, którzy muszą żyć bądź z gotówki, bądź z pensji? Dla nich drożyzna jest nie pozorna, lecz istotna. Pozorną jest ona dla tych, którzy zmuszeni kupować, mają też towary do sprzedania. Drożyzna kupna balansuje się dla nich równoległą drożyzną sprzedaży. Jednocześnie z tym skakaniem cen uwydatnia się chaos spekulacji. Tak np. jest w tej chwili w Łomży kryzys braku chleba kartkowego. I równolegle do tego ogromnie się zwiększyła ilość chleba pytlowego, którego całe stosy leżą w każdym sklepiku. Nie jest to więc brak mąki, ale jest macherka jakaś. Ciekaw jestem, jakie stosunki pod względem pieniężnym zastanę w Litwie Kowieńskiej. Chyba pod tym względem jest tam nie tylko nie lepiej, lecz gorzej raczej, niż w Polsce.

31 grudnia, rok 1919, środa
Ten ostatni dzień roku 1919 spędziłem pracowicie, miałem bowiem sesję apelacyjną karną, która się przeciągnęła do godz. 8 wieczorem. Lubię dni sesji. W Łomży mam tylko dwie rozrywki, które mi sprawiają przyjemność: sesje sądowe (zresztą nie zawsze i nie wszystkie) i mój niewinny stosunek z Lusią Roszkowską, który szczególnie w godzinach wieczornych, gdy zastaję ją samą pracującą w kancelarii, miewa w epizodach różne atrakcje o kolorycie zmysłowym. Wynudziłem się przez święta i wypróżniaczyłem bez roboty, toteż z przyjemnością dziś zasiadłem do sesji. Taka sesja jest ciekawa tylko dla mnie, gdy ja ją prowadzę, kieruję nią i poniekąd tworzę; gdybym był ławnikiem, nudziłbym się na takiej sesji wściekle, bo w gruncie rzeczy być słuchaczem i widzem tej mało dramatycznej komedii drobnych zatargów ludzkich, z których się składają sprawy karne sądów pokoju, dochodzące w apelacji do Sądu Okręgowego, nie powinno być bardzo zabawnym, szczególnie gdy ławnicy, nie mający o subtelnościach prawnych pojęcia, nie rozstrzygają przy tym żadnych, nieraz zawiłych, zagadnień prawniczych.
Po sesji poszedłem do Klubu Wioślarskiego. Liczyłem na to, że może spotkam tam kogoś, z kim przy kieliszku spędzę wieczór Sylwestrowy i powitam Rok Nowy. Wiedziałem, że w sali Czochańskiego jest raut, na który otrzymałem nawet zaproszenie. Ale na raut iść mi się nie chciało, bo domyślałem się, że wydałbym tylko pieniądze, a nie zabawiłbym się wcale osobliwie. Wolałem spróbować w Klubie Wioślarskim. Zawiodłem się jednak. W Klubie było pusto i nudno. Na wielkiej sali przy kilku stolikach grano, jak zwykle, w karty; w czytelni siedziało kilka osób czytających gazety; w bufecie było pusto. Wśród czytających gazety zastałem sędziego Chabowskiego. Zaproponowałem mu napić się wódki, ale nie chciał, wymawiając się bólem głowy. Sam więc wypiłem kilka kieliszków przy bufecie, przekąsiłem, nasłuchałem się gorzkich utyskiwań bufetowej na ciężkie czasy, na drożyznę, na stosunki w Polsce, które pod względem środków do życia są rzekomo gorsze niż w Rosji pod bolszewikami i po godz. 10, nie mając co z sobą robić, wróciłem do siebie do domu. Położyłem się do łóżka poczytałem do północy, wydzwoniłem sobie północ na moim ukochanym pamiątkowym zegarku i, stwierdziwszy nastanie roku 1920, przeżegnałem się i – zasnąłem.

1 stycznia, rok 1920, czwartek

Co mi da ten rok nowy? Spodziewam się, że ziści on moje przeniesienie się do Litwy. Będzie to w moim życiu przemiana duża, która mię postawi w warunki zasadniczo różne od tych, w jakich się toczy moje życie obecne. Jest ono tu w Łomży tak bezbarwne, tak szaro powszednie w monotonnej pracy zawodowej sędziego, że nawet niezależnie od innych względów rad będę się wyrwać z tej pedantycznej rutyny mego łomżyńskiego okresu życia. Stałem się tu powolną systematyczną maszyną sędziowską, pracującą wprawdzie dokładnie i intensywnie, ale aż zanadto monotonnie i regularnie. Nie ma w tej robocie żadnego nerwu namiętności, żadnego bólu i radości, nic, co by zaczepiało moją osobowość. Pomimo, że lubię zawód sędziowski, jednak zanadto jest on bezosobowy, szczególnie gdy nic poza nim nie wypełnia życia i szczególnie tu w Łomży, z którą nie jestem skądinąd niczym związany. Spełniam tu moją funkcję tak, jak żebym ją spełniał na księżycu. Nawet już w Kolnie czułem się z pewnych względów lepiej. Bo tam byłem sam panem i twórcą mojego sądu pokoju, tu zaś – jestem tylko sędzią w sądzie kolegialnym. Zadowalała mię też bardziej od obecnej sędziowskiej praca w Głównej Komisji Wyborczej na stanowisku przewodniczącego. Tam bowiem było więcej nerwu życia.
Powrót do Litwy połączony jest dla mnie z wielu ciężarami, które mię nieraz straszą, aż chwilami opadają mię momenty zwątpienia. Jednak się zwątpieniu nie poddaję i zdecydowany jestem wytrwać na tej drodze. Powrót ten jednak nie będzie dla mnie powrotem tylko do mojej przedwojennej przeszłości. Stosunki polityczne, społeczne i narodowe uległy tak głębokiej przemianie od r. 1915, że znajdę się tam w warunkach zupełnie niemal dla mnie nowych dla jakiegoś ewentualnego działania.
W sprawie mojego przeniesienia się do Kowna ciężary powstają dla mnie największe z samego faktu zamieszkania i działania w Litwie. Natomiast kłopoty i techniczne trudności największe mieszczą się w samym przejeździe, w przedostaniu się stąd *via* Wilno do Kowna. Te drugie bodaj że bardziej mię niepokoją od pierwszych. Gdybym mógł przeskoczyć stąd od razu do Kowna, to znaczy być migawkowo przeniesionym tam w jakiś cudowny sposób, zrobiłbym to natychmiast.
A może nawet ten rok 1920 zrealizuje dla mnie coś więcej, niż tylko przeniesienie się do Kowna?! Może doprowadzi mię on aż do Bohdaniszek! Ale – sięgam już za daleko.
Otrzymałem dziś dwie depesze z życzeniami noworocznymi: obie – z Kolna i, co więcej – obie od... Żydów! Pierwsza od Goldberga, druga – od ławników Remby i Jerozolimskiego. Jeżeli pierwsza może być wyrazem zaskarbienia moich względów dla poparcia Goldberga na stanowisku obrońcy rządowego, co zależy od Sądu Okręgowego, to druga była najczystszym wyrazem uczuć, które zbudziłem i pozostawiłem po sobie w Kolnie. Dlatego te depesze, a zwłaszcza druga – są dla mnie niezmiernie miłe. Dzień noworoczny spędziłem tak: wstałem późno. Byłem przed obiadem w sądzie, gdzie sobie narobiłem papierosów z doskonałego tytoniu, który wczoraj kupiłem. Spotkałem się tam z Chabowskim. Idąc na obiad do Pruszanowskich, spotkałem się na ulicy z Goskiem, obecnie kapralem kawalerii, dawniej legionistą szeregowcem, z którym kolegowałem w r. 1917 w kadrze I pułku w Zegrzu. Poznał mię on i zatrzymał na ulicy. Chwilkę spędziliśmy na rozmowie. Miło jest spotkać kogoś z przeszłości swojej, kogoś żywego z dziedziny wspomnień. Po obiedzie byłem z Ezechielem z wizytą u p.p. Komarów. Oprócz starej Janiny Komarowej, bawi tam jej córka, p. Medardowa Komarowa z Giełgudyszek i bawi chwilowo mąż tejże Medard Komar. Lubię Medarda Komara. Robi wrażenie człowieka dzielnego i mądrego, a choć uciekł z Litwy, w której ma swą dolę i której przeto jest obywatelem, i służy Polsce na tzw. Kresach Wschodnich, to jednak nie jest tak bezmyślnym wrogiem Litwy i Litwinów, jak większość innych i umie, zdaje się, być sprawiedliwym i bezstronnym.

Stamtąd poszliśmy z Ezechielem do kawiarni, a następnie rozstaliśmy się i każdy wrócił do siebie.

2 stycznia, rok 1920, piatek
W tych dniach już wniosę na ręce prezesa sądu, Filochowskiego, podanie o dymisję. Jeszcze więc tylko parę dni – i krok będzie zrobiony. Życie należy do tych, którzy umieją chcieć i mają odwagę postanowień. Jest to znana prawda i przeze mnie osobiście wielokroć stwierdzona. Życie jest jak kobieta: trzeba je brać; gdy się go nie zdobywa – jest ono bierne; gdy się po nie sięga – oddaje się biorącemu i jest w jego ręku posłuszne, miękkie, tętniące rytmem czynu zdobywcy. Porównanie jest zresztą złe: to nie życie jest podobne do kobiety, lecz kobieta w jej stosunku do mężczyzny odtwarza wieczną zasadę życia i wszelkiego stosunku materiału (przedmiotu) do pierwiastka woli i czynu. Pierwiastek męski przedstawia wolę i czyn, pierwiastek żeński, bierny, przedstawia materiał czy przedmiot, do którego wola i czyn są skierowane. Bez woli i czynu pierwiastek żeński pozostanie martwy. Mężczyzna może spotykać tysiące kobiet i żadna z nich go nie pokocha, gdy on pierwiastka męskiego nie uwydatni i nie tchnie. Próżne są modły do życia i błagania o szczęście, gdy człowiek wolą i czynem realizować swych postanowień nie będzie. Życie czy też szczęście będzie głuche i martwe, bierne i zimne, jak kobieta, która w mężczyźnie pierwiastka męskiego nie poczuje i nie dostrzeże i promieniem jego ognia, pożądaniem jego woli dotknięta nie będzie. Proszę obok niedołęgi położyć prześliczną kobietę; niech ona czuje obok siebie ciało nagie, ale bezwładne, a nigdy nie odda mu się i nie zapragnie oddania; odczuje tylko wstręt i obrzydzenie. Proszę położyć najgorętszą kobietę obok mężczyzny, który jest przesycony lub któremu się ona nie podoba; jeżeli się mu ona odda dla jakiejś przyczyny, to odda mu się tylko jak drewno lub mięso; aby kobietę posiąść naprawdę, trzeba jej pragnąć, trzeba z niej ogniem swoim wykrzesać czucie, a wtedy każda będzie kochanką, bo kobieta nie jest wszak tylko mięsem, jeno harmonią ciała, stanowiącą duszę żeńską, żeński pierwiastek człowieka. Jeżeli się w życiu obawiać przeszkód, ciężarów, bólów, to się nic mieć nie będzie. Pieczone gołąbki nie wpadają do gąbki. Nic samo nie przyjdzie. Wierząc w coś, kochając i pragnąc – trzeba zarazem czynić. Iść trzeba samemu tam, gdzie mię wola lub wiara ideału wzywa, i działać. Z daleka rzecz w wykonaniu wydaje się niezwykle trudna, najeżona przeszkodami, naszpikowana kolcami względów, aż ręce opadają na myśl. Jeżeli się bać i stanąć a czekać i rozmyślać – to się człowiek zmarnuje. Trzeba iść, brać i czynić, a okaże się, że nic szczególnie trudnym nie jest i że śmiałka życie kocha i jest mu uległe. Że się ciało porani nieraz o kolce i zazna bólu – nic to. Lepszy jest ból w słodyczy tworzenia, zgodnego ze źródłami osobistej tęsknoty i wiary, niż jałowa próżnia nieziszczonej tęsknoty, nuda i niezadowolenie bezwładu. Wiara i wola są dostatecznym tytułem do czynu.
Niech mię tysięczne ranią ciosy z tego powodu, że Polakiem będąc nie służę nacjonalizmowi polskiemu i nie przeciwstawiam się Litwinom, lecz staję do szeregów twórców Ojczyzny mojej, Litwy, wierząc, że przez jej wolność realizuję braterstwo ludów i w przyszłości, może nawet niedalekiej, kooperację litewsko-polską! Niech mię smagają nacjonaliści polscy, że wraz z nimi nie podkopuję nienawiścią i nie zohydzam Litwy, a przeciwnie – zasilam ją i współdziałaniem moim wzmacniam moralnie! Niech! Gotów jestem zaznać tego bólu, albowiem wierzę i wiem, że droga ich jest fałszywa i że przez wolność Litwy kroczy droga w przyszłość ludów ziem wschodnich, przyszłość, która gotuje z czasem ich porozumienie i solidarność z tą samą Polską, która dziś usadza się na ziemiach W. Ks. Litewskiego, oprzeć nie na zasadach butwiejącego układu społecznego. Droga Polski tam jest fałszywą, droga Litwy – słuszną. Co do nacjonalizmu – to jest on bodaj w tymże stopniu i u Litwinów, i u Polaków. Z jego

ideologią jako taką nie solidaryzuję się i z pewnością z tego tytułu ranić mię nieraz będą kolce ze strony litewskiej, ale sprawa Litwy państwowej jest dziś tam sprawą Wolności, sprawą, do której należy przyszłość, bo zasadza się na prawdzie i sprawiedliwości, jak zasadzała się na nich sprawa polska w walce z najazdem o Niepodległość i dziś jeszcze o spełnienie zjednoczenia polskiego i dokonanie całkowitej budowy swego państwa, dlatego też w imię tychże haseł świętych i nieśmiertelnych wolnego ducha ludzkiego wszedłem w r. 1915 w szeregi Legionów Polskich Piłsudskiego, w których imię dziś, wracając do Ojczyzny, staję w szranki nie „Kresów Wschodnich”, lecz Litwy Kowieńskiej. Tak, źródło jest to samo, i jak wtedy mimo trudności poszedłem i dotarłem, tak pójdę i dotrę teraz. Nic mię nie zastraszy. Aby coś zrobić, trzeba chcieć. Przyjdzie czas, że błogosławieństwo spocznie ku pamięci tych, którzy poszli, jak spoczęło już ono w Polsce na Legionach. Bóle i rany różnych kolców przeminą, ale czyn przetrwa. Kto się kolców boi, ten róż nie posiądzie. Bardzo prawdziwe są osnowy bajek, które dają zwycięstwo nieustraszonym, którzy się żadnych strachów i zmór na drodze swej do celu nie ulękli.

3 stycznia, rok 1920, sobota
Na tzw. Wschodzie, którym to imieniem jest ujmowane mniej więcej wszystko to, co jest położone na wschód od Polski właściwej, stosunki zdają się dojrzewać do jakichś przesileń. Jakie one będą, jakimi zmianami, a przede wszystkim czynami się zaznaczą, jaką konkretną w najbliższym czasie konfigurację wytworzą – trudno przewidzieć. Rozstrzygnięcie ostateczne zdaje się być jeszcze bardzo dalekie, bo się wiąże tam ściśle ze sprawą Rosji, która pozostaje nadal i prawdopodobnie jeszcze na czas długi pozostanie sfinksem. Pewne jednak przesilenia konkretne dojrzewają, a mogą mieć one konsekwencje doniosłe.
Z wielkiego splotu zagadnień Kwestii Wschodniej dwa w tej chwili elementy chcę poruszyć: kwestię wojny polsko-rosyjskiej i stosunki Litwy z Polską.
Założenia kryzysu są w tych dwóch elementach następujące. Jak można było przewidzieć, wszystkie kontrrewolucyjne ruchawki rosyjskie na kresach Rosji okazały się próżnymi i kruchymi na wzór baniek mydlanych. Kołczak, Denikin, Judenicz, którzy głosili odrodzenie burżuazyjnej potężnej Rosji i z manierami Cezarów gotowali się do pochodu na Moskwę i Petersburg do zgniecenia bolszewizmu i zwycięskiego przywrócenia wielkiego Imperium Rosji, są srodze przez czerwone armie rewolucyjnej Rosji pobici. Im świetniejsze były frazesy, im wspanialsze dekorum Restauracji, tym klęska jest sromotniejsza. Koalicja, która budowała na tych generałach wielkie nadzieje i była już uznała w osobie Kołczaka prawowity rząd Rosji, zawiodła się całkowicie. Impreza Judenicza w krajach bałtyckich, zdaje się, jest już całkiem zlikwidowana. Niedoszły pogromca Petersburga, który się już w przedwczesnych depeszach wieńczył laurem zwycięstwa, znikł z horyzontu. Kołczak jest w rozsypce w głębi Syberii, ścigany przez czerwonych zwycięzców. Denikin, zdobywca Charkowa, Kurska, Orła, maszerujący na Moskwę, pogromca Ukraińców i Petlury, stracił wszystkie te zdobycze, wygnany został z Kijowa i cofa się forsownie, kurcząc swe fronty, ku dawnym punktom wyjścia w ziemi dońskiej. Nie wierzę w likwidację rewolucji rosyjskiej drogą militarnych przedsięwzięć kontrrewolucyjnych tych lub innych generałów opatrznościowych *ancien regime'u*. Przesilenie dziejowe Rosji jest zjawiskiem głębokim, które nie da się wytłumaczyć przemocą menerów bolszewickich i rozwiązać na drodze złamania tej przemocy z zewnątrz. Rosja musi przetrawić głęboko swą rewolucję. Tymczasem faktem jest, że bolszewicka Rosja, po załatwieniu się z ogniskami zbrojnej kontrrewolucji generałów kresowych, zyskuje wielką swobodę sił na froncie polskim, którego linia biegnie spod Dyneburga aż pod Podole. Dla Polski,

która prowadziła świetnie wojnę z bolszewikami, pełną chwały i nieustannego zwycięstwa, wróg ten staje się dziś, po szeregu zwycięstw nad nim, niezmiażdżony i mniej niebezpieczny, lecz przeciwnie – groźniejszy, niż dotąd. Podobno bolszewicy wystosowali propozycje pokojowe do Polski. Polska jednak słuchać o nich nie chce, a bodajże i nie może, nie tylko dlatego, że jest związana przez Koalicję, ale i dlatego, że między jej zasadą a zasadą Rosji bolszewickiej jest biegunowa, zwłaszcza na ziemiach Litwy i Rusi, sprzeczność, wykluczająca możność kompromisu. Nadchodząca wiosna w każdym razie, a może jeszcze i zima – musi pchnąć tę wojnę polsko-bolszewicką w nowe fazy faktów dokonanych. Obie strony gotują się. O rosnącym niebezpieczeństwie ze strony bolszewików, po pokonaniu przez nich Kołczaka, Denikina etc., dość głośno się zaczęło robić w prasie i opinii polskiej. Z pewnością i Naczelne Dowództwo polskie liczy się z tym i przysposabia do czynu. W ostatnich dniach zaczęły napływać wieści i coraz uporczywsze pogłoski z Warszawy i z kół wojskowych, że wojsko polskie gotuje się do niezwłocznego uderzenia na bolszewików i pchnięcia frontu do linii Dniepru, uprzedzając zaczepne usiłowania bolszewików. Wreszcie od dwóch dni gazety warszawskie napomykać zaczęły o bliskiej podróży Piłsudskiego na front wschodni, co rzekomo jest w związku z zasadniczymi wielkiej wagi decyzjami, które zapadły. Mnożą się oznaki, że Polska uważa za stosowne pochwycić zawczasu inicjatywę w swe ręce, rozumiejąc wagę tego atutu inicjatywy i nie chcąc oddać go w ręce wrogów, aby nie być nim zaskoczona. Jest to zresztą zupełnie w duchu Piłsudskiego. Piłsudski jest wrogiem kunktatorstwa i zwycięża zawsze inicjatywą i wytwarzaniem faktów dokonanych. Otóż pod tym względem bardzo zastanawiająca jest krótka mowa noworoczna Piłsudskiego, wypowiedziana przezeń w Łazienkach do przedstawicieli wojska, składających mu życzenia. W mowie tej wskazuje on na zadania, które czekają wojsko polskie na Wschodzie, podkreśla wagę momentu, który może stanowić chwilę decydującą dla losów Polski na Wschodzie i dla całego problemu kwestii wschodniej. Kto wie, czy waga czynu, który gotuje Piłsudski, zamyka się tylko w zakresie losów kampanii przeciw bolszewikom i czy nie chodzi mu o cały problem polsko-wschodni i w szczególności także polsko-bałtycki. W szczególności zjawiska w Litwie Kowieńskiej dają tu dużo do myślenia. Piłsudski nie może nie liczyć się z nimi.

4 stycznia, rok 1920, niedziela
Drugim elementem przesilenia, które zdaje się szkicować w problemie „wschodnim”, jest sprawa stosunków Litwy Kowieńskiej do Polski. Chodzi o to, że Litwinom udało się wygnać ze swego terytorium oddziały niemiecko-rosyjskie, które grasowały na Żmudzi i faktycznie okupowały Litwę Północną i znaczną część Kurlandii po Mitawę, zagrażając nawet Kownu. Awanturnicze przedsięwzięcie reakcyjnego watażki germano-rosyjskiego, Bermondta-Awałowa, który pod pretekstem organizowania ochotniczych drużyn kontrrewolucyjnych do walki z bolszewikami założył gniazdo samozwańczej formacji państwowej rosyjskiej na terytorium Litwy i Łotwy, nie uznając zgoła państwowości tych republik, ignorując ich władze, zagarniając szmat ich ziemi, rabując i plądrując i rządząc się własnym widzimisię, było niebezpiecznym wrzodem na organizmie państewek bałtyckich. Odpędzony przez Łotyszy przy pomocy Anglików, działających ze strony morza – od Rygi, którą w pewnym momencie usiłował zająć, aby ustanowić rząd niemiecko-łotewski, dogodny dla reakcjonistów, watażka ten zalał oddziałami swymi Litwę Północną i Żmudź od Szawel i Radziwiliszek do Rosień, wiążąc gniazdo reakcji niemieckiej w krajach bałtyckich, Mitawę, z terytorium Niemiec i realizując plastycznie swą ideę stworzenia z „prowincji” bałtyckich pomostu, służącego do odrodzenia związku Niemiec z Rosją. Rozpanoszenie się tej obcej formacji, ulgującej państwowość Litwy na znacznej przestrzeni niewielkiego terytorium

litewskiego, stanowiło groźny czynnik rozkładu tej państwowości, niebezpieczny z wielu względów; nie tylko bowiem zagrażał on bezpośrednio Kownu, jak poprzednio zagrażał Rydze, nie tylko dezorganizował Litwę wewnętrznie i kompromitował jej suwerenność w najistotniejszym elemencie tejże – nietykalności terytorialnej – w obliczu Ententy, ale także dostarczał zasady do ewentualnej interwencji sąsiedzkiej ze strony polskiej; Polska, dążąca do roli mediatorki i organizatorki suwerennej na Wschodzie, z radością powitałaby wszelkie pozory do interwencji, aby wygnać Niemców i Rosjan z krajów bałtyckich; był już moment, że Łotwa gotowa była o tę interwencję zabiegać, Litwa wszakże jej się opierała stanowczo, bo dla Litwy zachodziło niebezpieczeństwo, że interwencja polska mogłaby się z łatwością przekształcić w polską okupację. Sprawa bermondtczyków – likwidacja tego zajścia stała się wielce aktualną. Koalicja rozpoczęła w tej kwestii mediację. Rokowania, komisja międzynarodowa z ramienia koalicji usiłowały tę rzecz zlikwidować połowicznie. Jedna z tych komisji koalicyjnych zabroniła Litwinom użycia przemocy w wygnaniu rosyjsko-niemieckich oddziałów, które zobowiązały się same wycofać do Niemiec. Litwini jednak tego nie usłuchali. Odruchem żywiołowym partyzanckie formacje wolnych strzelców litewskich, wspomagane, gdzie się dało, przez powstającą ludność, rabowaną i katowaną przez zdemoralizowanych bermondtczyków i Niemców, rzuciły się na wroga i gryząc go, tępiąc, tropiąc, wygnały z Litwy. Oddziały niemiecko-rosyjskie były już na poły tylko wojskiem, na poły bandami opryszków. Obecnie są one już wygnane z Litwy poza starą granicę litewsko-pruską. Regularne wojsko litewskie i władze rządowe tylko połowicznie uczestniczyły w tej akcji, depcząc po piętach cofających się. Głównymi bohaterami byli wolni strzelcy i odruchy bezpośrednie ludzi. Ale skutek był dla Litwinów świetny; upoił on ich powodzeniem, natchnął wiarą w siebie, rozzuchwalił nadzieje. Toteż w tym nastroju podnoszą się coraz mocniej w Litwie głosy o konieczności zwrócenia się teraz na Polaków w celu wygnania ich z Wilna tą samą metodą bezpośredniego czynu zbrojnego. Głosy takie coraz ostrzej, natarczywiej brzmią w Kownie; stają się one w ostatniej chwili tonami zasadniczymi, *leit-motivem* aspiracji kowieńskich. Kto wie, czy rząd litewski zechce i zdoła się im oprzeć. Uderzenie na Polaków i odzyskanie Wilna staje się jednym z popularnych haseł polityki litewskiej jako zadania bieżące. Nie są to już tylko zatargi epizodyczne o poszczególne punkty linii demarkacyjnej, jak to było w lipcu lub na jesieni. Chodzi o rewindykację Wilna, o zasadniczy programowy najistotniejszy element sporu litewsko-polskiego. O tych nastrojach w Kownie wie oczywiście dobrze Piłsudski, bo Wilno całe tętni wieścią o nich. Czy zechce Piłsudski czekać biernie, aż nastroje te dojrzewać będą i sposobić się do czynu, aż może uderzą z tyłu na Polaków w chwili, gdy ci pod wiosnę znajdą się w najcięższych zapasach z potęgą bolszewicką na wschodzie. Czy nie myśli czasem Piłsudski ubiec nastroje litewskie, sprowokować je i przeciąć wreszcie ten spór metodą, która zastosowaną była do Galicji Wschodniej? Czy jego słowa w przemówieniu noworocznym do przedstawicieli wojska nie miały na myśli tej także sprawy, nie zaś samej tylko wojny z bolszewikami? Z Kownem pono jest dla Polski *aut – aut*: albo z Kownem w porozumieniu i związku, ale kosztem rezygnacji z dotychczasowych zasad polityki polskiej na Wschodzie, albo przeciwstawianie się, a wtedy – kto wie, czy nie jest w planach Piłsudskiego droga jedyna – skończyć z Kownem radykalnie i rozwiązać kwestię wschodnią jednostronną wolą Polski. Tylko że tam stoi bodaj na straży Bałtyku Anglia, która niekoniecznie dopuści do rozwiązań takich, jak z Ukraińcami. W każdym razie, sytuacja się komplikuje. Tymczasem Litwini potrząsają wojowniczo bronią w kierunku polskim.

5 stycznia, rok 1920, poniedziałek

Zawiadomiłem słownie prezesa Filochowskiego o mojej dymisji. Na piśmie jeszcze formalnego podania nie wniosłem. Wspomniałem mu, że chcę być zwolnionym od 1 marca. Żałuję, że może nie pojechałem w czasie świąt do Wilna, aby tam na miejscu zbadać i zapewnić sobie na później warunki otrzymania przepustki na przejazd do Kowna, bo mogą wyniknąć z tym trudności, a również ustnie jeszcze raz przez Litwinów wileńskich sygnalizować do Kowna mój przyjazd. Może to jeszcze w czasie zapustów, przed ostatecznym wyjazdem z Łomży, uczynię. Trudności przejazdu do Kowna z zainstalowaniem się tam, a może i z otrzymaniem odpowiedniego stanowiska mogą być dość znaczne, ale co mię najwięcej, powiem szczerze, przestrasza, to ewentualność wojny litewsko-polskiej. Wojna taka, poza wszystkim innym, byłaby dla mnie wprost uczuciowo niesłychanie bolesna i czyniłaby położenie moje, jako człowieka łączącego w sobie miłość obu Narodów i wyznawcy idei solidarności i kooperacji polsko-litewskiej, niezmiernie przykrym.
Otrzymałem dziś z poczty z Krakowa pakiet z mymi dziennikami, przysłany przez p. Anastazego Kazimierza Róga. Bardzo się z tego ucieszyłem. Muszę podziękować serdecznie Rógowi za tak wierne i staranne przechowywanie moich papierów. Jak przewidywałem, brak jest istotnie jednego zeszytu mego dziennika – mianowicie pisanego w Rumunii. Obejmuje on czas od połowy maja starego stylu r. 1915 do połowy lipca nowego stylu tegoż roku, to znaczy wyjazd mój z Wilna na Odessę, stamtąd do Bukaresztu, pobyt w Bukareszcie, starania o pozwolenie na wyjazd do Austrii, przejazd z Bukaresztu do Wiednia i pierwsze dni pobytu tamże. Ale utrata tego zeszytu nie jest winą Róga, bo złożyłem go w lipcu 1915 r. w Wiedniu u Ludwika Kulczyckiego. Ponieważ Kulczycki pędził w tamtych latach wojny żywot wędrowny, więc prawdopodobnie go zagubił. Wprawdzie pisał mi on, że ten zeszyt dziennika złożył następnie u Róga, podejrzewałem jednak, że tak nie jest. Wszystko natomiast, co złożyłem u Róga w Krakowie, bądź osobiście, bądź posyłając mu różnymi okazjami przez różnych ludzi z Piotrkowa, jest w całości; jest tam cały komplet zeszytów dziennika od lipca 1915 do lipca 1916 – w więc wszystko, co mi brakowało – i jest nadto kilka pakietów z korespondencją moją z tych czasów, notatkami, rękopisami memoriałów, które pisałem w Piotrkowie itd. Jestem bardzo ucieszony. Wprawdzie żal mi tej luki z rumuńskich czasów, która powstanie w jednolitym ciągu mego dziennika, ale cóż robić! Dobrze, że wszystko inne dało się ściągnąć do kupy, bo w takiej zawierusze zguba mogła być większa.
Wieczorem poszedłem na bal Klubu Wioślarskiego z okazji rocznicy (19-stej) jego założenia. Bal był składkowy za zaproszeniami (wejście wraz z kolacją – 20 marek; bardzo tanio). Na zaproszenie zarządu figurowałem w liczbie gospodarzy balu, zresztą gospodarzy tylko formalnych, podpisanych na zaproszeniach, rozsyłanych do gości. Nie otrzymałem też na balu żadnej odznaki gospodarskiej, czemu zresztą rad byłem, bo to mi pozostawiało zupełną swobodę, nie obarczając żadnymi obowiązkami. Nie lubię i nie znam funkcji balowych, bo nigdy w zabawach balowych nie byłem biegły. Publiczności zebrało się dużo i zabawa zapowiadała się świetnie. Jak zawsze, publiczność w Łomży – czyli tzw. towarzystwo – składało się wyłącznie ze sfery urzędniczej; wolne zawody – adwokaci, lekarze, kupcy – stanowiły wyjątek, elementu ziemiańskiego nie było wcale. Zabawiłem krótko; przyglądałem się przez chwile tańcom – pierwszemu walcowi, pokręciłem się po sali i zaraz po jedenastej poszedłem do domu; nie zostałem nawet na kolację.

6 stycznia, rok 1920, wtorek
Gdym przyszedł dziś na obiad do Pruszanowskich, zastałem u nich Tanajewskich, Stasia i Elizkę, którzy przyjechali odwiedzić rodziców. Przywieźli oni ciekawą dla mnie

i bardzo ważną nowinę. Oto przed przyjazdem do Łomży z Lidy, gdzie obecnie mieszkają, byli oni w Wilnie. Widzieli tam Papę, któremu wreszcie udało się przedostać z Bohdaniszek do Wilna. Papa przyjechał z zamiarem podróży do... Vichy we Francji na kurację, o której marzył i którą zapowiadał jeszcze latem, gdym był w Bohdaniszkach. Papa swoim zwyczajem jak coś postanowił, tak musi wykonać. I na pewno nie da za wygraną i nie zrazi się żadnymi trudnościami, choć będą one na pewno niezmiernie wielkie. Sędziwy wiek, niesłychane trudności paszportowe dla podróży zagranicznej dla osoby prywatnej, niewygody uciążliwej podróży, drożyzna, a jeszcze bardziej znikoma wartość pieniędzy przy zamianie na walutę francuską – nic Papę nie wstrzyma, gdy coś sobie postanowił. Ile ma pieniędzy na tę podróż – nie wiadomo; podobno mówi, że ma 10 000 (marek czy rubli?), ale chyba ma więcej, bo z takim „kapitałem" dziś niedaleko zajedzie. Ale Papa się niczym nie zraża, a że jest już trochę zdziecinniały, nie orientuje się ani w realnych stosunkach walutowych, w wartości pieniędzy, ani w trudnościach, które są ponad siły Jego wieku, ani we własnych siłach, które przecenia. Ze wzruszającą, właściwą Papie, gołębią prostotą – wierzy w opiekę Boga nad sobą, poleca się Jemu i ufa, że Opatrzność, bez której woli włos mu z głowy nie spadnie, tak wszystkim pokieruje, że wszystko się da zrobić. W humorze jest podobno Papa świetnym – jak zawsze zresztą, gdy się wyrwie w świat i coś urzeczywistni. Nie wróżę z tej podróży dla Papy nic dobrego, choć to niby dla zdrowia jest ona podjęta. Ale przede wszystkim nie wyobrażam sobie, jak Papa urzeczywistni swój wyjazd. Papa mówi, że Bohdaniszki zostawił pod dobrą administracją (zapewne na czele postawił Wojtkiewicza, dawnego ekonoma, obecnie właściciela folwarku za Abelami, człowieka bardzo uczciwego, ale ślamazarnego, który zapewne będzie dojeżdżać do Bohdaniszek). Nie wierzę ani w tę dobrą administrację, ani w gospodarkę parobków w Bohdaniszkach. Dla mnie jednak z tego wyjazdu Papy płynie nowa głębsza zasada do wyjazdu stąd i powrotu do kraju. Teraz chodzić już będzie prawdopodobnie nie tylko i nie tyle o to, aby dostać się do Kowna, ile ponadto bezpośrednio do Bohdaniszek, by objąć ich zarząd w nieobecności Papy, co jest majątkowo niemal koniecznością. Decyzja moja powrotu staje się więc jeszcze mocniejsza. Chodzi tylko o to, że jeżeli w tym dążeniu powrotnym zetknę się z Papą, albo bezpośrednio, albo pośrednio przez wieści, które dotrą do Papy o moim powrocie i przez listy Papy w drodze reakcji na powyższe wieści, to gotów mi Papa kategorycznie zabronić wstępu do Bohdaniszek, bo wiem i czuję, że jest memu powrotowi przeciwny i że życzy, abym siedział w Polsce, bo w powrocie moim węszyć będzie zawsze (to już jest nałogowe u Papy) „litwomańską" intrygę (zresztą podług Papy pojęć o Litwinach i „litwomaństwie" – nie jest to dalekie od prawdy; Papa ma pod tym względem czucie intuicyjne, które próżno bym usiłował wybić Papie z głowy jakimikolwiek argumentami, toteż tego nie czynię). Ha, bliska przyszłość pokaże, jak się to ułoży. Najlepiej bym lubił, żeby mój powrót tak się jakoś ułożył, abym się z Papą rozminął i aby to przeszło dla Papy niepostrzeżenie, choć bardzo w to wątpię. Pewnie spadnie na mnie jakiś gromowy list od Papy, który mi utrudni zamiary. Ba, utrudni, ale ich nie złamie. Jedno tylko w najgorszym razie złamać może – to objęcie zarządu bezpośredniego Bohdaniszek. „Usłużni" ludzie z pewnością pośpieszą zawiadomić Papę o moich zamiarach powrotu, ewentualnie przedstawiając je Papie umyślnie w świetle, budzącym niechęć i podejrzliwość Papy. Znam to dobrze. Wiem też, jak łatwo podniecić tę podejrzliwość Papy do mnie i jak każdy podszept w tym względzie znajduje łatwy u Papy posłuch. Co będzie – to będzie. Trudno, abym był wiecznie tylko dzieckiem wobec Papy. I tak już wzgląd na Papę więcej, niż się Papa domyśla i niż to wyrazić umiem, krępował zawsze i pętał i krępuje dotąd moje życie – ciąży na nim.

A propos Tanajewskich – zabierają oni Ezechiela z Łomży. Tanajewski znalazł dla teścia jakąś posadę w Lidzie, gdzie jest komendantem placu. Ma to być posada spokojna, nieźle płatna – przy składach tzw. zdobyczy wojennej. Co prawda, nie bardzo pojmuję, jak rozleniwiony, kapryśny, rządzący się nerwami, nieprzywykły do żadnej systematyczności, nie rozumiejący, co to jest dyscyplina obowiązku i służby stary Ezechiel – potrafi pełnić jakąkolwiek służbę na posadzie. Ale może przy Tanajewskim, pod jego opieką i dozorem jakoś da radę. W każdym razie, niech jedzie, niech spróbuje, niech ma poczucie użyteczności swojej i zarobku. Będzie to też zbawienne dla Kotuńki, która wreszcie odetchnie, bo i jej sterane zdrowie potrzebuje wypoczynku i pewnej ulgi. Są pogłoski, nawet gdzieniegdzie podobno w pismach, że Polacy rozpoczęli ofensywę na północnym odcinku frontu bolszewickiego, przeszli za Dźwinę i zdobyli Dyneburg, rozpoczynając marsz na Inflanty, aby przez nawiązanie kontaktu z Łotwą i Estonią, realizować oczywiście program Piłsudskiego kooperacji z krajami bałtyckimi. Jeżeli tak, to jaką będzie rola i położenie Litwy? W programie Piłsudskiego kooperacja ta ma się realizować pod przewodem Polski, poniekąd sprowadza ona rolę Łotwy i Estonii do stosunku na poły wasalnego względem Polski, a nie suwerennych i samodzielnych państw bałtyckich. Anglia też tu zechce mieć głos. Zresztą zobaczymy, jaki będzie rozwój wypadków przede wszystkim wojennych.

7 stycznia, rok 1920, środa
Sesja apelacyjna karna. Spraw było na wokandzie 15 – sprawy rozmaite. Sesja zajęła mniej więcej cały dzień – od godz. 11 przed południem do godz. 8 wieczorem z przerwą dwóch godzin na obiad. Na obiedzie u Pruszanowskich wczoraj i dziś z okazji Tanajewskich – wódeczka w dozach obfitych; dziś nawet było wódki trochę za dużo. Wyjazd Ezechiela z Tanajewskimi do Lidy, który wyznaczony na jutro, odłożony został do pojutrza.
Mam ciężką sprawę na sercu – rozprawę sądu doraźnego na jutro. Z powodu nieobecności Skarzyńskiego, który bawi na urlopie świątecznym u żony, ja będę przewodniczyć w sądzie doraźnym. Rozpoznana będzie sprawa niejakich Bielskiego i Bielika. Pierwszy z nich, Bielski, jest mieszkańcem Warszawy, drugi, Bielik, pochodzi z pow. mazowieckiego. Obaj są młodzi: Bielski ma lat 26, Bielik – 21. Dokonali oni napadu zbójeckiego wieczorem na szosie w pow. mazowieckim z bronią w ręku – karabinem, który w tym celu kupili. Podobno, jak się jeden z nich przyznaje, czatowali na jakiegoś bogatego kupca żydowskiego, który miał przejeżdżać z pieniędzmi. Napadli jednak nie na kupca, lecz na trzech chłopów-gospodarzy, którzy przejeżdżali. Źle jednak trafili, bo, po pierwsze, chłopi nie mieli przy sobie dużo pieniędzy, tak że zabrali im mniej, niż zapłacili za karabin (niewiele więcej niż 200 marek), a po wtóre, gdy jeden z bandytów, Bielski, chciał się zabrać do dodatkowej rewizji w saniach i do ściągania kożuchów z chłopów i jednego z nich uderzył karabinem, chłop rzucił się na niego, powalił go, a następnie powalonego chłopi związali i odwieźli do wsi, gdzie oddali do rąk władzy; drugi zaś bandyta, Bielik, z pieniędzmi zbiegł, ale wkrótce został schwytany. Taka jest fabuła zbrodni. Są to snadź bandyci początkujący. Widziałem ich, gdym im przed tygodniem doręczył odpis wniosku prokuratury o zarządzeniu rozprawy głównej sądu doraźnego. Młodszy, Bielik, jest wyższy, blondyn, ma sympatyczniejsze oblicze od swego towarzysza. Bielski jest niższy, krępy, ma twarz o wyrazie dzikszym. Nie budzi oni u mnie sympatii, nie tak jak Cańko niegdyś, przystojny o twarzy sympatycznej i wesoły, którego nie jestem w stanie zapomnieć i dla którego pomimo wszystko żywiłem prawie że serdeczną sympatię, a w każdym razie żal szczery. Złość mię nawet ogarnęła, gdy Bielski, przy doręczaniu mu odpisu wniosku prokuratury, zaczął lamentować, że mu tak żal umierać, gdy Polska jest wolna itd. Oburzyła mię

obłuda tego „patriotyzmu", który ma ojczyznę na ustach, gdy w uczynkach ma brud i łajdactwo. Ofuknąłem go ostro i bezwzględnie. Sądziłem wtedy, że są oni oskarżeni li tylko o usiłowanie rozboju i że kara śmierci im nie grozi. Gdybym wiedział, że kara śmierci im grozi, już sam wzgląd ludzkości kazałby mi złagodzić ton i nie wykazywać im pogardy i poniewierania – choćby przez szacunek dla ich nieszczęścia. Tymczasem teraz po zapoznaniu się z aktami sprawy widzę, że sprawa ich jest gorsza, niż myślałem. Wprowadził mię był w błąd podprokurator Maciejewski, który wspomniał, że chodzi tylko o usiłowanie rozboju. Istotnie we wniosku prokuratury w kwalifikacji prawnej czynu oskarżonych powołane są przepisy o usiłowaniu. Tymczasem rozbój był spełniony, bo ta okoliczność, że bandyci nie dokończyli zamierzonego dzieła i że gdyby im nie przeszkodzono, to zrabowaliby więcej, nie zmienia tej postaci rzeczy, że w stosunku do tego, co już zostało zrabowane, przestępstwo było nie usiłowane tylko, ale dokonane. Jednak mam bardzo duże wątpliwości prawne, co robić należy wobec sformułowania przestępstwa we wniosku prokuratorskim (usiłowania). Czy to mię wiąże i czy w takim razie sąd może, czy też nie może bezpośrednio na rozprawie wydać wyrok skazujący za dokonany rozbój (kara śmierci). A jeżeli nie może, to czy sprawa ma iść na tory postępowania zwyczajnego, czy też wrócić po sprawdzeniu kwalifikacji do sądu doraźnego.

8 stycznia, rok 1920, czwartek
Znowu jest wyrok śmierci. Ba, taki jest mus obowiązku sędziowskiego. Skazany został Antoni Bielski. Drugi, Jan Bielik, wymignął się bezterminowym ciężkim więzieniem, co wobec kary śmierci sprawia w sądzie doraźnym wrażenie uniewinnienia. Rozprawa odbyła się pod moim przewodnictwem z udziałem sędziów Chabowskiego i Piwkowskiego i podprokuratora Maciejewskiego.
Byłem zakłopotany przed tą sprawą, bo nie wiedziałem, jak wybrnąć z tej trudności, że wniosek prokuratora (wniosek taki w sądzie doraźnym zamienia akt oskarżenia w postępowaniu zwyczajnym i otwiera postępowanie doraźne) – formułuje kwalifikację przestępstwa z cz. 2 i 4 art. 589 K.K., to znaczy jako usiłowanie rozboju, gdy opis czynu w zeznaniach pokrzywdzonych, zbadanych na dochodzeniu, wykazuje rozbój spełniony. W zwyczajnym postępowaniu sądowym, wychodząc z tej kardynalnej zasady sprawiedliwości i praw obrony oskarżonego, która nie pozwala zastawiać pułapek na oskarżonego i skazywać go bezpośrednio za cięższe przestępstwo, niż to, które mu było inkryminowane w akcie oskarżenia, ustawa nakazuje w takich wypadkach odroczyć rozprawę główną i skierować sprawę bądź do śledztwa dodatkowego, bądź do sporządzenia nowego aktu oskarżenia w zakresie cięższego przestępstwa od inkryminowanego pierwotnie, aby dać oskarżonemu możność przygotowania się należytego do obrony i skonstruowania tejże odpowiednio do nowej kwalifikacji. W postępowaniu doraźnym, chociaż wniosek prokuratora nie ma, ściśle biorąc, cech aktu oskarżenia, jednak zasada ta, która nie pozwala zaskoczyć oskarżonego cięższym zarzutem od tego, jaki mu był pierwotnie postawiony i do jakiego on mógł zastosować swoją obronę, powinna być przecie utrzymana, i to tym bardziej, że tu chodzi o karę taką, jak śmierć. Ale co w takim razie robić: postępowanie doraźne nie dopuszcza z natury swej odroczenia rozprawy dla uzupełnień lub zmian w dochodzeniu policyjnym albo wniosku prokuratora i czy byłoby to nawet humanitarne, przedłużając straszną mękę oczekiwania oskarżonego na wyrok, a odroczyć w celu przekazania sprawy na tory postępowania zwyczajnego ustawa o sądach doraźnych ściśle i kategorycznie ogranicza zakres takiej możliwości. Obrona oskarżonych Bielskiego i Bielika w osobach adwokatów Czerwińskiego i Krasnodębskiego nie wyzyskiwała zresztą tej kwestii. W tym wypadku na rozprawie samej znalazłem dla niej wyjście, którego

wpierw sam nie dostrzegłem. We wniosku prokuratora bowiem opis czynu okazał się wyczerpującym rozbój spełniony, wobec czego błędne powołanie się w kwalifikacji na artykuły prawa okazało się pozbawionym istotnego znaczenia. Tak czy owak zresztą – do niczego by to nie prowadziło: pozycja bowiem Bielskiego była beznadziejna; przedłużanie tej męki gwoli względom formalnym zasady nie ulżyłoby mu, gdyby nawet przedłużyło nieco dnie jego nieszczęsnego życia. W tym wypadku jednak zasada wyszła także bez szwanku. Bielski trzymał się na sądzie dzielnie. Bronił się rzetelnie, ale było w jego zachowaniu coś, co tchnęło prostotą i przeto uczciwością elementarną. Nie miał pozy, nie szukał efektów, daleki był od teatralności, ale również od tchórzostwa, od tego, co jest najstraszniejsze w widoku oskarżonego, któremu w sądzie doraźnym grozi śmierć. Zachowaniem się, szczerością swojej natury, dzielnością – budził, we mnie przynajmniej szacunek i sympatię ludzką. Niech ci, człowieku, te słowa przynajmniej posłużą kamieniem grobowym i czcią twego wiecznego spoczynku! Był to typ bandyty skończony, ale przynajmniej odważny i człowiek dzielny, słowem przecie – człowiek z charakterem i rysem pewnym szlachetnym. Natomiast towarzysz jego, Bielik, który uszedł śmierci – to typ nikczemny, typ łajdacki próżniaka, ale zarazem tchórza i słabego duchem niedołęgi. Pierwszego spotkała kara wielka, konieczna z mocy ustawy i może zasłużona. Drugi – uszedł śmierci, ale kara jego, bezbarwna w obliczu sądu doraźnego, ciężka i zarazem straszliwie nudna – bezterminowe ciężkie więzienie, jest tak nikczemna, jak on: niech gnije, który ani porządnym być nie umiał, ani w zbrodni wielkim i w nieszczęściu mężnym lub szlachetnym. Mniejsza o to, że strach, jak upiór, wyzionął mu z oczu, bladością i potem pokrywał jego oblicze i wiązał mu słowa w gardle, a gdy się odezwał, to głos jego głuchy i złamany dźwięczał tak ślepo, jak bezterminowe ciężkie więzienie. To jest zjawisko wspólne ogromnej większości oskarżonych w sądzie doraźnym, którym grozi śmierć. Rzadko który umie zachować taką rozwagę i dzielność, jak Bielski. Metodą jego obrony, podłą, obciążającą towarzysza, po którego głowie chciał wyskoczyć z toni śmierci, też niewielu mu dorówna. Ale to jest człowiek, który pracować uczciwie i żyć w świecie pospolitych ludzi nie umiał, bo był zawsze leniwy, wszelkiej pracy niechętny, ociężały, pełny złych skłonności i w zbrodni był równie chwiejny, tchórzliwy, pozbawiony wyrazu i stylu. W rozboju, w którym uczestniczył, Bielski musiał go walić po twarzy i bić karabinem, aby mu dodać animuszu, a on i rabować nie umiał i drżał, i bić się dawał, i ani wprzód, ani wstecz iść nie umiał, a gdy noga się powinęła towarzyszowi, nie bronił go, nie ratował, uciekł z karabinem i wreszcie w obronie topił nieszczęśliwego, bądź co bądź lepszego i więcej wartościowego człowieka. Złagodziliśmy mu karę, bo wobec jego roli w napadzie niepodobna go było skazać. Ale skazując na śmierć Bielskiego, szanuję go więcej od Bielika. Ba, ten łajdak dla stylu, woli i charakteru drwi sobie z szacunku sędziego, gdy życie swoje nędzne uratować zdolen. Bo zresztą i cóż w istocie z tego szacunku? Zakrawa on na ironię, choć nią nie jest. Oczywiście na sali było sporo ciekawych, byli stali widzowie rozpraw sądu doraźnego, było kilka dam z prezesową Filochowską na czele, lornetkującą bezwstydnie męczenników z ławy oskarżonych. Z jakąż rozkoszą bym wychłostał własnoręczne rózgami po gołym zadzie tę żądną „wrażeń" histeryczną babę, łaknącą podniety krwi.

9 stycznia, rok 1920, piątek
Ezechiel wyjechał dziś z Tanajewskimi do Lidy. Chodziłem na dworzec kolejowy dla pożegnania się z nim. Mam wrażenie, że ten wyjazd i wspólne zamieszkanie Ezechiela z Tanajewskimi nie przyczyni się do zakonserwowania tych niezwykłych zachwytów, jakie Ezechiel, ze zwykłą mu przesadą, żywi dla swego zięcia Tanajewskiego. U Ezechiela zawsze są zachwyty dla nowego sitka na kółku. Z daleka, gdy się przedmiotu

adoracji nie widzi i nie styka się z nim ciągle, o utrzymanie zachwytu łatwo. Z bliska jednak ten zachwyt może się z łatwością o byle co, a bodajże czasem i o zły humor, rozbić, szczególnie wobec niezmiernie kapryśnego usposobienia Ezechiela. A u niego o przesadę, tak w jednym, jak w drugim kierunku – nic łatwiejszego. Tylko może Tanajewski będzie tak zręczny, że potrafi tak chodzić koło Ezechiela, aby mu się nigdy nie narazić. Jeszcze dobrze natury psychicznej i charakteru Tanajewskiego nie „rozkąsiłem" (wyrażając się z rosyjska), toteż nie odważam się wyrzec o nim sądu stanowczego. Wrażeniowo nie mam do niego wielkiego nabożeństwa. Wydaje się brutalem i człowiekiem, co się nazywa – gruboskórnym. Nie ma w nim kultury intelektualnej, pomimo że jest podobno skończonym prawnikiem (co prawda – z uniwersytetu, zdaje się, Tomskiego z Syberii), ani też kultury duchowej, towarzyskiej, uczuciowej. Poglądy jego wprost rażą najskrajniejszym wstecznictwem, tchnącym gdzieś epoką pańszczyźnianą, a ze słów jego wieje najdzikszy obskurantyzm i ignorancja. Umysł jego i kultura zdają się być jakimś wykopaliskiem z epoki kamiennej. Mam wrażenie, że to jest głupi barbarzyńca. Jednocześnie wszakże w oczach ma błyski pewnej przebiegłości, mimo że sprawia na ogół wrażenie czegoś ciężkiego, nieruchliwego. Być może, że się co do niego mylę, bo Elizka, która jest nie tylko bardzo kapryśną i dziwaczną po ojcu, ale także bardzo subtelnie wrażliwą, dotychczas jest w nim zakochana bez zastrzeżeń; jej, którą jest niesłychanie łatwo zrazić, dotąd widocznie nie zraził niczym. Może więc się mylę. Może wbrew pozorom tkwią w nim jakieś ukryte głębokie pokłady doskonałości. Ale może być i coś innego. Barbarzyńcy bywają czasem bardzo przebiegli i po swojemu sprytni. Być może, spekuluje on na tym bogactwie Pruszanowskich, które dziś jest niedostępne z powodu panowania bolszewików za Berezyną, ale może być wcześniej czy później źródłem nieprzebranych skarbów. Widzi on, że w tej niedołężnej rodzinie dziwaków, szlachetnych, ale kapryśnych i dziwnie nieżywotnych – on może się stać panem i szafarzem tych bogactw, o ile mu zresztą nie przeszkodzą przyszli mężowie sióstr żony. Otóż być może – cierpliwie, systematycznie zmierza on do tego, podbijając naiwne w gruncie serca tych dziwaków i opanowując całą rodzinę jako jej głowa. Dziwactwa znosi on ze spokojem i cierpliwie; jego grubej skóry one nie przejmą; brak nerwów wrażliwych czyni go na nie odpornym; temperament jego, skłonny do ociężałości, nie da się zmęczyć i wykoleić kaprysami; dogadza kaprysom żony; dogadzać będzie i głaskać kaprysy starego teścia, Gienio mu nie straszny, a korzystając z tego, że Pruszanowscy są materialnie wykolejeni, on zaś ma stanowisko wojskowe, czyniące go małym despotą w stosunkach okupacyjnych w pewnym zakątku Litwy, bo okupacja o stylu militarnym rodzi, jak zwykle, małe satrapie, staje się skwapliwie dobrodziejem rodziny, rozdając w sferze swojej władzy miejsca szwagierkom, a obecnie i teściowi i dążąc do skupienia tejże w swoim ręku, aby stać się potrzebnym, a przez to zdobyć autorytet i panowanie w rodzinie; prowadzące później do bogactw w tejże. Charakterystyczne jest, że Tanajewski dąży do tego, aby, ile możności, nie dać się wyemancypować szwagierkom spod jego wpływów i uzależnić je przez rozdanie im posad z jego ramienia. Drażni go to, że Hala i Irka maja posady niezależnie od niego; powoli on szyje przeciwko nim, zręcznie buntując Elizkę i Ezechiela przeciwko tej emancypacji Hali i Irki. Nie decyduję się jeszcze sądzić o nim stanowczo. Bardzo być może, że nie mam racji i że krzywdzę go tymi posądzeniami. Oby tak było! Takie są tylko moje wrażenia, których ściśle dowieść bym nie mógł.

10 stycznia, rok 1920, sobota

Otrzymałem dziś list od Michała Biržiški. Pisze mi, że Norejka (litewski minister sprawiedliwości w Kownie) niecierpliwi się, że nie przyjeżdżam i gniewa się za to na

niego, przypuszczając, że to on winien i nie daje mi znać. Uprzedza, że o ile bym nie przyjechał, Norejka byłby zmuszony zamianować na stanowisko (jakie? chyba sędziego okręgowego, a więc czyżby rzeczywiście czekało ono na mnie?) kogoś innego, chciałby wszakże, abym ja je zajął. Tak więc perspektywy mego wyjazdu do Litwy i ze strony Bohdaniszek, i ze strony Kowna – zdają się przedstawiać dobrze. Pospieszę z formalną tutaj dymisją. W poniedziałek zgłoszę ją na ręce prezesa Filochowskiego na piśmie. Wobec perspektyw powrotu do Bohdaniszek atrakcje Kowna malałyby dla mnie. Ale znów zbyt polegać na perspektywach Bohdaniskich – nie mogę. Kto wie, czy nie okażą się one całkiem zwodnicze i przedwczesne. Możność podróży Papy do Vichy wydaje mi się, im więcej o niej myślę, coraz mniej prawdopodobna. Jeżeli mi się uda dostać do Bohdaniszek – tym lepiej. Jeżeli nie, to spodziewam się, że jednak Norejka może doczeka się mego powrotu. A jeżeli nawet nie – to przecież w Kownie stanowisko znajdę. Ludzie są tam bardzo potrzebni. W każdym razie, sprawa mego powrotu – jest coraz aktualniejsza. Odpiszę do Biržiški, że się już do dymisji podałem i że muszę ze względów przyzwoitości i ciągłości obowiązków wyczekać jednak zwolnienia mię i mianowania ewentualnie zastępcy.
Teraz słówko o innej sprawie. O Lusi Roszkowskiej. Od dwóch dni jej nie widziałem, bo zachorowała. Wczoraj rano przyszła jeszcze do sądu, ale jej nie widziałem, bo przed moim przyjściem, i odeszła zaraz, bo się czuła chora. Dziś nie przyszła także. Dowiaduję się od panny Julii Jurgo, dietariuszki mojego wydziału i przyjaciółki Lusi, że Lusia była dość ciężko chora wczoraj. Miała wczoraj rano 38 gorączki, wieczorem – mniej, bo tylko 37 z ułamkami, ale była tak słaba, że zemdlała i że posyłano nawet po doktora, który jednak ze względu na spóźnioną porę nie przyszedł. Jak się czuła dzisiaj – nie wiem. Z pewnością jest jeszcze chora albo się musi po chorobie wczorajszej zasanować, bo gdyby było dobrze, to nie omieszkałaby przyjść: dziś bowiem miała ona siedzieć w charakterze sekretarki na sesji, którą prowadził Chabowski, a jest ona tak obowiązkowa i gorliwa w pracy, że nie zaniedbałaby przyjść, gdyby mogła. Podobno choroba Lusi pochodzi z przeziębienia i jest to zjawisko bardzo pospolite o tej porze roku, a na domiar w ostatnich czasach influenza grasuje w Łomży epidemicznie; zaczynają ją nawet nazywać „dżumą płuc"; kilka osób nawet umarło z tego (między nimi spośród pracowników Sądu Okręgowego Rdułtowski i panna Lasinowska). Jestem zaniepokojony o Lusię. Chciałbym jej dać jakiś dowód troskliwości i pamięci – posłać kwiatów, gdybym zdołał je dostać w Łomży, w co wątpię – a mam szczególny powód do tego. Bardzo prawdopodobne, że jest to u Lusi zwykłe przeziębienie i nic więcej, a nawet najprawdopodobniej, że tak jest. Ale mam jakieś przeczucie, raczej nie mogę się oprzeć złudzeniu, że choroba jej ma inny podkład. Człowiek jest zawsze skłonny do złudzeń, szczególnie, gdy o jego osobę chodzi, i wbrew pozorom chce wierzyć w złudzenia swoje. Otóż rzecz jest taka. o której wiem tylko ja i Lusia (nikt inny, gdyby przeto prawdziwe były moje złudzenia, nie mógłby się domyślić innej genezy choroby Lusi, prócz przeziębienia). Pozawczoraj, w ten sam dzień, gdy się odbyła sesja sądu doraźnego w sprawie Bielskiego i Bielika, poszedłem wieczorem do sądu. Jak zwykle, była tam Lusia, która przyszła odrobić jakąś pilną robotę. Poszedłem, jak to często robiłem, posiedzieć przynajmniej w kancelarii, w której pracowała sama. Byłem podniecony wrażeniami ciężkiej rozprawy sądu doraźnego. Pragnąłem się rozerwać przy niej. Odpocząć od trosk i ciężarów strasznego wyroku, ochłonąć w życiu od zmory śmierci. Rozmawiałem z nią, a rozmowa, jak zwykle, przeszła w usiłowanie pieszczot z mej strony. Lusia, jak robiła zawsze, zeskoczyła ze swego miejsca i, wymykając mi się, podskoczyła i usiadła na krześle panny Jurago, w miejscu między dwoma oknami, które jest niewidoczne dla ciekawych oczu z okien trzeciego piętra naprzeciwko, gdyby ktoś chciał stamtąd zaglądać do wnętrza kancelarii. Tu miewają zawsze miejsce nasze

skromne pieszczoty, którym się Lusia pozornie opiera, niby się dąsa, chowa twarzyczkę w dłonie, gdy ja ją tymczasem pieszczę, nie posuwając się zresztą dalej poza całusy w szyjkę, gładzenie włosów, czasem – twarzyczki, pieszczenie rąk itp. Lusia oddaje się tym pieszczotom męskim biernie i z zadowoleniem, pomimo form lekkiego oporu, ja zaś nie nadużywam i chyba na nadużycie nie pozwoliłaby i ona. Twarz jej wtedy płonie jak w ogniu, czoło promienieje aromatem dziewczęcym, zmysły się budzą kobiece; są to chwile jej namiętności, której by mi oczywiście nie wyznała. Po scenie tych pieszczot usiadłem na skraju jej krzesła naprzeciwko jej twarzy i posunąłem się do wyznania jej, że był czas, gdym sądził, że się w niej zakochałem. Kilkakrotnie jej to powtórzyłem, powiedziałem, kiedy to było, zapewniłem, żem się przekonał potem, iż tak nie jest i że przeto mogę już jej o tym, jako o przeszłym złudzeniu, mówić, bo wtedy, gdym myślał, że kocham, nie byłbym tego wyznał, bo bym się wstydził takiej miłości w mym wieku do dziewczynki młodej jak ona, wyznałem jej te falę moich marzeń do niej, którymi żyłem wiosną i latem. Słuchała mię rozpalona jeszcze ogniem namiętności i kryjąc twarz w dłoniach jęła wyrzekać: „Mój Boże!", „Jaka szkoda!", „Jakże jestem nieszczęśliwa!" itp. Ton jej głosu był jednak trzeźwy, że nie mogłem poznać, czy jest w nim ironia, czy prawda. Ja zachowywałem ton żartobliwy i gdym ją zaczął strofować, aby sobie nie kpiła z mych zwierzeń, zapewniła mię, że nie kpi wcale i że mówi prawdę. Lusia jednak tak dalece nie ma w sobie teatralności, że nie zdołałbym nigdy odróżnić, co w jej słowach jest z uczucia, a co przekory lub prostego gawędziarstwa. Ona by i miłość przyjęła bez patosu. Bywają takie kobiety, jak ona. Wkrótce potem rozstaliśmy się. Lusia do końca wyrażała żal i boleść słowami, ale nie tonem, tak że do końca nie zrozumiałem, czy prawdą były słowa, czy ton. Nazajutrz Lusia zachorowała i nie mogę się oprzeć złudzeniu, że choroba jej – gorączka i zemdlenia – jest w związku głębokim z tym wieczorem dnia poprzedniego. Kocha czy nie kocha, pragnęła mej miłości czy nie pragnęła.

11 stycznia, rok 1920, niedziela
Nic nie wiem o stanie zdrowia Lusi Roszkowskiej. Dziś jest niedziela, kancelarie sądu są nieczynne, toteż nie mam możności przekonania się, czy Lusia już wyzdrowiała. Zobaczymy jutro, czy przyjdzie do pracy, czy jeszcze nie. Dziwny niepokój ogarnia mię z powodu jej choroby, a wrażenie czy też może złudzenie o związku tej choroby z naszą wieczorną rozmową czwartkową wywołuje u mnie szczególne wzruszenie i uczucie serdecznej tkliwości względem dziewczyny. Wiem, że nie jestem w niej zakochany, ale jestem nią jednak zajęty. Daleki jestem obecnie od takiego idealizowania Lusi, jak latem, nie doświadczam takiego szału tęsknoty, jak wtedy, oceniam ją na ogół trzeźwiej i, będąc pełny uznania i podziwu dla wielu wybitnych zalet jej charakteru, nie jestem ślepy na to, co w niej jest niedoskonałego. Uczucie moje do niej, które wprawdzie miłością nie jest, określiłbym jednak jako bardzo głęboką i serdeczną sympatię, zaprawioną pewną szczyptą zmysłowości i skojarzoną z pewnym złudzeniem nadziei o jej pociągu do mnie. W każdym razie, Lusia Roszkowska jest mi bardzo bliską i obchodzi mię bardzo. Jest mi ona najbliższa ze wszystkich Łomżynian.
Mówił mi wczoraj podprokurator Maciejewski o straceniu czwartkowego skazańca Bielskiego. Umierał on dzielnie, z prostotą i spokojem, bez scen rozpaczy, bez kwękania i strachu. Maciejewski musiał być z urzędu na egzekucji. Stosownie do przepisów ustawy o sądach doraźnych, wyrok wykonany został przed upływem 24 godzin od chwili ogłoszenia, a mianowicie – w piątek o g. 8 rano. Gdy prokurator wszedł do jego celi, zbudził go i powiedział, że już trzeba iść, Bielski na razie oświadczył, że z tych pieniędzy (920 marek), które były przy nim w chwili zaaresztowania znalezione i które sąd w wyroku nakazał mu zwrócić niezwłocznie,

życzyłby coś kupić do zjedzenia przed śmiercią. Gdy prokurator mu odrzekł, że to niewykonalne o tak wczesnej porze, Bielski pogodził się z tym faktem i spytał jeszcze, czy egzekucja nie może być odroczona. Po otrzymaniu odpowiedzi przeczącej przyjął to z rezygnacją. Na zapytanie, jak życzy rozporządzić pieniędzmi, na razie miał pomysł efektowny – ofiarowania całej sumy na skarb polski, potem jednak rozporządził tak: 30 marek na kościół (Bielski się poprzednio wyspowiadał), resztę siostrze z zobowiązaniem jej, aby część jakąś dała matce. Następnie na fortach za Narwią dokonano egzekucji rozstrzelania. Bielski był do końca przytomny i mężny. Żal człowieka. Był to bądź co bądź człowiek dzielny. Charakter silny, nawet – szlachetny. Ten, kto umiera mężnie i w nieszczęściu umie zachować moc woli, panowania nad sobą i nie upokarza się do podłego tchórzostwa – ma znamiona szlachetności i godny jest szacunku i zaiste – życia.

12 stycznia, rok 1920, poniedziałek
Jednak miłość Lusi nie była tylko moim złudzeniem. Być może nawet, że uczucie jej jest nawet większe i głębsze, niż się domyślałem. Bo właściwie tylko w tym czasie, gdy mi się zdawało, że ja ją kocham, łudziłem się lub domyślałem z jej strony uczucia pokrewnego miłości. Ale i wtedy daleki byłem od pewności. Gdy się zastanawiałem trzeźwo, musiałem domysły moje precz odrzucić – zbyt się wydawały fantastyczne. W ostatnich miesiącach nie myślałem zgoła o tym, aby Lusia mogła się kochać we mnie. Wiedziałem, że Lusia mię lubi, że odpowiada mi sympatią na sympatię moją, ale żeby to mogło być zakochaniem – nigdy! Dostrzegłem, że oddaje się z przyjemnością delikatnym i nigdy nie przekraczającym pewnej miary pieszczotom moim, mimo że pozornie, z konwenansu, niby się im, łagodnie zresztą, opiera; ale kładłem to na karb zwykłego instynktu pożądania pieszczot męskich, gry budzących się zmysłów kobiecych, dla których pieszczoty te mają urok nowości, ba – objawienia dla dziewczynki, która może ich po raz pierwszy doświadcza. Czegoś większego nie podejrzewałem. Dopiero rozmowa nasza z ostatniego czwartku, słowa, którymi mi Lusia odpowiadała na moje wyznanie o miłości minionej, a raczej o tym tylko, że był czas, gdy mi się zdawało, że się w niej zakochałem, ogień jej rozpalonych wtedy lic i potem bezpośrednio ta jej choroba z gorączką i omdleniem – dały mi do myślenia, azali w istocie moja gra, moje pieszczoty, moje przestawanie z nią wieczorami – nie rozpaliły w jej sercu głębszego płomienia uczucia i nie wykultywowały w cieplarni naszej serdecznej atmosfery – tego mistycznego kwiatu, który wyrasta z serc ludzkich, opromieniony barwami i wonią najlepszych cząstek ducha i ciała i zwie się Miłością! Ten kwiat zakwita w sercu dziewczyny w tajemny cudowny sposób nieoczekiwanie czasem, zaklęty pieszczotą mężczyzny, tchnieniem jego przyjaźni serdecznej, samym zbliżeniem się poufnym do niej. Ileż razy o tym się przekonałem! Z ilu serc dziewczęcych wyczarowałem ten głęboki mistyczny kwiat, który barwami swymi i emanacją całej indywidualności dziewczęcej otwierał mi swe cudowne kielichy, a nieraz – przykładem jest panna Teodozja Kochanowska – wierności przeczystej na całe życie mi dochował!
Otóż było dziś tak. Rano Lusia do sądu nie przyszła. Ale panna Jurago, jej przyjaciółka, która mieszka w tym samym, co Lusia, domu, wspomniała mi, że Lusia może dziś jeszcze wieczorem wpadnie do sądu. Po obiedzie byłem w moim gabinecie. Kancelaria wydziału mego była pusta. Nagle, coś dopiero koło godz. szóstej, gdym stał na korytarzu, usłyszałem z daleka kroki; poznałem, że to są kroki niewieście, ale nie poznałem kroków Lusi. W korytarzu było dość ciemno. Zobaczyłem, że osoba podeszła do drzwi kancelarii wydziału apelacyjnego. Podszedłem – była to Lusia. Wspomniałem jej, jakeśmy tęsknili do niej, jak nam było smutno bez niej, powiedziałem o kwiatach,

które poszukiwałem w Łomży daremnie, chcąc je jej posłać, ubierałem słowa moje w komplementy, przepajając je tonem bardzo serdecznym zarazem i żartobliwym. Lusia wyglądała blada, trochę jeszcze słaba. Odparowując żartobliwie moje komplementy, miała na razie leciutką jakby sztywność w sobie. Żartowała z mego pomysłu o kwiatach w zimie w Łomży i powiedziała, że wolałaby coś innego: mianowicie oczekiwała listu ode mnie. Była trochę nierówna w stosunku do mnie; na razie nie chciała mi pozwolić na ucałowanie nawet rączki. Potem, słabo się broniąc pozwoliła mi się pocałować nawet w czoło, ale niebawem zrobiło jej się za chwilę słabo. Gdym się o jej chorobę zapytywał i wyrażał troskliwie o jej zdrowiu i o niepokoju, jakiego doznawałem, kilkakrotnie dobitnie zaznaczyła, że nie było to wcale przeziębieniem, w każdym razie musiało być i to jednak, bo kilka razy kaszlała mocno, a rączki miała zimne i policzki także i była blada, wargi miała spieczone i w oczach ślad gorączki. Zabrała się do pracy. Usiadłem blisko, gawędziłem, opowiadałem o sobie trochę z mojej przeszłości, to znów ze stosunku mego do niej, o tysięcznych drobnych rzeczach. Dwa razy nam przerwano. Raz Flery przyszedł do kancelarii, ale wkrótce wyszedł, zabierając akta do domu, drugi raz młody Goldberg z Kolna przyszedł do mnie i oderwał mię od Lusi. Siedziałem blisko Lusi, ale unikałem zbyt ostrych pieszczot, by jej nie rozpłomieniać, co by mogło ją osłabić i zaszkodzić zdrowiu. Mówiłem dziś do Lusi po imieniu i na „ty”. Pieszczotami słów serdecznych ją oplotłem. Raz w pewnym momencie, gdym stał nad nią i miałem odejść na chwilę po papierosy, wyrwały się z ust Lusi takie słowa, wypowiedziane żartobliwie, ale cicho, jak skarga: „Nie potrafi Pan nawet pocałować!”. Nie wierzyłem uszom moim, żeby pragnienie jej aż do takiej prowokacji się posunęło. Tak, nie pocałowałem jej nigdy, oprócz co najwyżej w szyjkę i czoło; ale bałem się całować jej usta, aby się nie brzydziła mnie, mężczyzny 40-letniego. Oniemiałem na to powiedzenie. Potem spytałem ją, czy uszy moje dobrze słyszały; nie odpowiedziała mi. Zapewniłem, że wyciągnę konsekwencje; gdy potem Goldberg był u mnie i usłyszałem, że Lusia wychodzi z kancelarii, przeprosiłem Goldberga i poszedłem na korytarz ją pożegnać. Objąłem Lusię w pół, ucałowałem jej rączki; garnęła się do mnie i wysuwając mi się z objęcia, cichutko ustami dwa leciutkie całusy w powietrze do mnie posłała; ucałować ją wtedy zechciałem, pauzom tym powietrznym dać odpowiedź realną, ale się nie dała, choć broniła się lekko, a ja torować jej nie chciałem i wyrwała się. Był to wieczór objawienia dla mnie. Lusia się od tego momentu odmieniła dla mnie, stała się jakby inną kobietą; zbudziła się w niej kobieta.

13 stycznia, rok 1920, wtorek
Wczoraj wniosłem na ręce prezesa Filochowskiego formalne podanie o dymisję w postaci prośby na piśmie o wyjednanie zwolnienia mię ze stanowiska sędziego okręgowego w Łomży. Ustnie mówiłem prezesowi jeszcze w ubiegłym tygodniu, że pragnąłbym być zwolniony od d. 1 marca.
Wczoraj też otrzymałem list od Maryni z Wilna z wiadomościami o Papie. Wbrew temu, co opowiadali Tanajewscy, którzy widzieli się z Papą w Wilnie, Marynia pisze, że Papa jest zupełnie zdziecinniały i niemożliwy. Wierzę jej bardziej, niż Tanajewskim, bo sam aż nadto dobitnie się o tym przekonałem latem w Bohdaniszkach, a Tanajewscy, widząc Papę przelotnie, w dobrym humorze (tego Papie nie brak), mogli to wziąć za dowód dobrego stanu. Dobre jest jeszcze to, że Papa wyjeżdżając z Bohdaniszek, dał Hektorowi plenipotencję podobno, jak pisze Marynia, już zresztą i Hektor jest teraz u Papy w niełasce, ten Hektor, który był, jak się zdaje, jedynym słońcem w rodzinie, na którym Papa żadnej plamy nie dostrzegał. W każdym razie, plenipotencja Hektora Komorowskiego jest czynnikiem dodatnim. Jeżeli mi się uda dostać i ewentualnie osiąść w Bohdaniszkach, ułatwi mi to w razie czego zainstalowanie się, bo mogłaby się

i taka ewentualność okazać, że przyjęto by mię tam za intruza i odmówiono posłuchu, a w takim razie mogę być formalnie osłonięty plenipotencją Hektora jako działający z jego ramienia. Co do Papy projektów podróży do Vichy, to Marynia, jak my wszyscy, zapatruje się na to sceptycznie. Oby ten wyjazd Papy nie miał analogii do przedśmiertnej ucieczki Lwa Tołstoja z Jasnej Polany! Co do zasobów na tę uplanowaną podróż, to Papa ma podobno 13 000 rubli carskich, które uzbierał naprędce w Bohdaniszkach (między innymi sprzedał kilka budynków gospodarskich we dworze; sprzedaż lasów prywatnych została podobno przez rząd litewski zabroniona; sprzedaże te na potrzeby lokalne realizują podobno same władze litewskie po cenach niskich, nie wiem, czy na rachunek właścicieli lasów, czy też na rachunek skarbu państwa). 13 000 rubli po wymianie na franki nie dadzą Papie dużego kapitału wobec stosunków waluty i kosztów życia. Podobno, jak słyszałem od Tanajewskich, Papa projektuje dopożyczyć jeszcze u Rourke'ów w Warszawie. Bardzo wątpię, aby Rourke'owie mogli to uczynić. Pisze Marynia, że Elizka Komorowska radziła listownie, albo zalokować Papę gdzieś w jakim zakładzie pod Warszawą – prawdopodobnie kuracyjnym zamiast Vichy. Ale Marynia robi słuszną uwagę, że gdyby się któraś z córek Papy na to zdecydowała, aby Papę gdzieś zalokować, gdy sam chce jechać do Vichy, to chyba po to, aby dać Papie nową okazję do ponownej zmiany testamentu na rzecz wydziedziczenia tejże córki. Papa, już nie wiem po raz który, zmienia swój testament. Teraz, jak wspomina Marynia, znowu napisał testament i nosi się z nim, chwaląc się, że testament jest bardzo mądrze ułożony, ale podobno jakoś nikt nie chce podpisać tego testamentu w charakterze świadka, a p. Przeździecki, który go podobno czytał, miał się wyrazić, że jest niemożliwy. Co za nowe pomysły i niespodzianki realizuje Papa w tym nowym testamencie? Dziwna rzecz, jak niektórzy starzy ludzie lubią pisać i coraz to inaczej zmieniać testamenty. Mama kochana w ostatnich latach przed śmiercią też co kilka miesięcy zmieniała testament, a Papa to coraz to nowe kombinacje testamentowe wymyśla (ta jednak jest tylko pociecha, że rodzeństwo nasze jest bardzo zgodne i że się nie ukrzywdzimy, choćby testament Papy robił jakieś różnice między nami).

14 stycznia, rok 1920, środa
Dziś zastąpił mię na sesji apelacyjnej Chabowski, a za to ja go w sobotę na takiej sesji zastąpię.
Nie wiem, czy krwawa funkcja sądów doraźnych nie chybia celu. W ostatnich czasach, pomimo działania sądów doraźnych i skazywania bandytów na śmierć, bandytyzm w okręgu np. łomżyńskim nie ustaje i nie zmniejsza się, ale rośnie. Co gorsze – rozboje bandyckie, które ograniczały się tylko do rabunku, zaczęły się łączyć z morderstwem. W ostatnich tygodniach kronika zbrodni w okręgu łomżyńskim zanotowała kilka takich wypadków z zamordowaniem ofiar. W jednych wypadkach były to napady na domy, w innych – na podróżnych. Oczywiście, że wykrycie winowajców jest o wiele trudniejsze, gdy ofiary zbrodni nie żyją, toteż przeważnie w wypadkach tych dochodzenie nie ujawniło winnych. Zdaje się, że tylko w jednym z tych wypadków złapano sprawców, wśród których było paru żołnierzy (ulegają oni sądowi wojennemu) i jeden czy paru cywilnych, którzy oddani będą pod sąd doraźny. Kto wie, czy te zabójstwa nie są prostym skutkiem sądów doraźnych. Jeżeli za rozbój bez zabójstwa zbrodniarze są skazywani na śmierć, to dlaczego by mieli oni oszczędzać życie swoich ofiar?; czy po to, aby potem oszczędzone ofiary mogły świadczyć przeciwko nim na sądzie, ustalać tożsamość bandytów i przyczyniać się do skazania ich na śmierć? Sama logika zbrodni skłania w tych warunkach do zabójstwa. A po drugie, działać musi u bandytów wzgląd psychologiczny: skoro nas mordują, to i my mordować będziemy napadniętych. Działa tu poniekąd instynkt zawodowej zemsty: krew za krew. *Vox populi*, który zresztą nie

zawsze jest tak nieomylny, jak *vox Dei*, w poszczególnych wypadkach ostatnich morderstw kategorycznie twierdzi, że są one wyrazem zemsty bandytów; w szczególności stosują do zabójstwa furmana Żyda Jastrzębia; trup Jastrzębia został przed 10 dniami znaleziony z rana na szosie zambrowskiej o cztery wiorsty od Łomży z poderżniętym gardłem. Jastrząb został napadnięty, zabity i podobno obrabowany przez niewiadomych sprawców, gdy jechał z Łomży do Zambrowa; opowiadają, że bandyci zemścili się na nim za to, że syn jego świadczył w sprawie skazanych przez sąd doraźny na śmierć Rosłanów. Czy tak jest w istocie – niepodobna sprawdzić. Ale faktem jest, że sądy doraźne nie wypleniły bandytyzmu, poza tym jednym niewątpliwym skutkiem, że ci, którzy zostali straceni, są już osobiście radykalnie unieszkodliwieni. A zresztą do bandytyzmu – niezależnie od kwestii kar – pchają ludzi czynniki społeczne i gospodarcze, rozprzężenie warunków ekonomicznych, zarobkowych, pieniężno-towarowych, ruina miast, wreszcie – upadek więzi moralnej i obyczajowej. Sądy doraźne i doraźne wyroki śmierci – to środek chociaż ostry, ale paliatywny, nie sięgający jądra i źródła zła.

15 stycznia, rok 1920, czwartek
Jestem bardzo ciekaw, co przyniesie wiosna w sprawie wojny z bolszewikami. Głównym partnerem w tej wojnie jest oczywiście Polska, która dotychczas prowadziła grę bez zawodu. Bolszewicy, po uporaniu się zwycięskim z kontrrewolucyjnymi armiami generałów kresowych – z Denikinem na południu, Kołczakiem na Syberii i Judeniczem pod Petersburgiem – będą swobodniejsi do walki na zachodzie. Apetyty endecji i elementów reakcyjnych w Polsce, zachęconych dotychczasowym powodzeniem oręża polskiego, marzących o aneksjach i pragnących tchnąć w Polskę ducha imperializmu i militaryzmu, nawołują nie tylko do dalszej wojny, ale i do coraz dalszych posunięć ekspansywnych; marzy im się Smoleńsk i Kijów. Zobaczymy, czy Polska pójdzie tą drogą. Jednak, niezależnie od kwestii wzrostu odporności bolszewików, jest wzgląd inny, który – podług wszelkich rachunków ludzkich – zdaje się czynić szaleństwem dalszą ekspansję zbrojną Polski na wschód. Linia frontu polskiego na wschodzie jest już obecnie olbrzymia. Dalsze wyciąganie tego frontu, oddalanie się wojsk od kraju własnego, brnięcie w przestrzenie bez kresu na wschód, w głąb kraju obcego w ludność wrogą, gdy samo wojsko, choć waleczne, jest źle zaopatrzone i gdy na tyłach w samej Polsce jest bezład, niedołęstwo administracji, chaos gospodarczy, walutowy i aprowizacyjny, a stąd i ferment ciągły, wszystko to wydaje się niebezpiecznym, a grozić może nawet katastrofą. Tak się to przynajmniej wydaje. Ale jeżeli nawet Polska, kontynuując pochód na wschód, będzie wciąż nadal zwycięska i uniknie niebezpieczeństwu klęsk, których nie uniknął na wschodzie Napoleon i nie uniknęli Niemcy, to zdobycze olbrzymich terenów obcych na wschodzie, jeżeli Polska zapragnie je realizować, nie wpłyną na jej moc; przeciwnie – staną się one źródłem słabości państwa i staną się czynnikiem rozsadzającym, wyczerpując jednocześnie energię Polski i odrywając ją od dzieła zagospodarowania się i zorganizowania u siebie. Jeżeli Polska pójdzie tą drogą, to jeżeli nawet utrzyma zwycięstwo, nie zyszcze na tym, że z niepodległej republiki demokratycznej przerodzić się zechce na imperium zaborcze. Już nawet zdzierżenie tego, co w tej chwili Polska ma, zdaje się być nad jej siły, o ile by utrzymać we władzy swej lub imperialistycznych pozorach „związku" zechciała.
Tymczasem akcja wojsk polskich na wschodzie ograniczyła się do zdobycia Dyneburga. Zdobycz ta może być nie wyrazem podjęcia ofensywy polskiej, jeno sekundowaniem Łotwie, która, zabezpieczona przez Polaków na skrzydłach, wieńczy swoje dzieło państwowe w wojnie z bolszewikami przez skuteczną ofensywę w

Letgole, umożliwioną dzięki zdobyciu Dyneburga przez Polaków. Jeżeli zdobycie Dyneburga miało ten cel strategiczny i zarazem polityczny, a nie było pierwszym epizodem zamierzonej przez Polskę dalszej samodzielnej ekspansji na wschód, to było ono aktem politycznie bardzo mądrym. Jak bowiem Estonia wyzwoliła swoje terytorium narodowe od Rosji, jak również żadnego już skrawka Litwy właściwej nie posiada Rosja, tak dla ustalenia zasad pokoju na wschodzie niezbędnym było uwieńczenie jeszcze emancypacji terytorium narodowego Łotwy przez wyzwolenie ze szponów Rosji Letgoły (Inflant „Polskich"). Przez pomoc, udzieloną w tym względzie Łotwie, Polska stała się tam rzeczniczką sprawy emancypacji ludów Bałtyku, zyskując stanowisko politycznie mocne, wiążące ją tam ze sprawą procesów młodych a żywych. Pozostaje tylko spór Polski z Litwą, w którym Polska wyraża, niestety, zasadę *ancien regime'u* społecznego. Dalej pozostaje na wschodzie wielka sprawa sporu z Ukrainą i kwestia terenów polskich i białoruskich. Są to problemy, które poniekąd należą do wojny z bolszewikami, poniekąd zaś są od tej wojny niezależne.

16 stycznia, rok 1920, piątek
Miałem dziś sesję karną I instancji. Spraw było 7, prawie wszystkie o kradzież, jedna tylko o usiłowanie przekupienia urzędnika. Wszystkie sprawy poszły. Sesja trwała do godz. 10 wieczorem. Po sesji poszedłem na mój dyżur piątkowy do Klubu Wioślarskiego, gdzie przy kolacji spędziłem z sędzią Chabowskim i adwokatem Wołodkiewiczem czas do godz.1 w nocy.
Na sesji dzisiejszej brał po raz pierwszy udział w komplecie sądzącym w charakterze ławnika p. Rdułtowski, jeden z domniemanych kandydatów na sędziego okręgowego. Jest to prawnik, człowiek lat przeszło 60-ciu, który przed wojną w Rosji służył w sądownictwie na stanowisku podprokuratora, a potem tzw. powiatowego członka sądu okręgowego. Obecnie zajmuje posadę w Komisji Okręgowej Ziemskiej, ale miałby ochotę przejść do sądownictwa, byle tylko do wydziału karnego na sędziego okręgowego i w Łomży. Raz już, gdyśmy w jesieni wybierali kandydatów na wakujące w Sądzie Okręgowym stanowisko sędziego, kandydaturę Rdułtowskiego wystawiliśmy, ale na trzecim miejscu (na pierwszym miejscu stała wtedy kandydatura Chabowskiego). Ministerium miało nawet wtedy ochotę przedstawienia do nominacji spośród naszych kandydatów właśnie Rdułtowskiego, dlatego że mianowanie Rdułtowskiego pozyskałoby dla sądownictwa nową siłę, co wobec braku prawników jest względem bardzo poważnym. Trzeba było interwencji prezesa Filochowskiego, aby została utrzymana nasza kolejka kandydatów i aby mianowany został Chabowski. Teraz, gdy wobec mojej dymisji, znowu powstaje kwestia wyboru kandydatów, znów śród innych wypływa kandydatura Rdułtowskiego. Najpoważniej zarysowują się kandydatury Rdułtowskiego i podprokuratora Maciejewskiego, następnie sędziów śledczych Szyszki i Wajchta. Rdułtowskiego w praktyce sądowej nie znaliśmy dotąd. Teraz nadarzyła się okazja, bo Rada Miejska Łomży wpisała go do listy ławników sądowych. Dziś go też po raz pierwszy spróbowałem. Był to rodzaj egzaminu jego kwalifikacji, bo mogłem się przyjrzeć jego umiejętnościom prawniczym w praktyce. Egzamin ten wypadł dla niego jak najfatalniej. Rdułtowski okazał się do niczego. Nie tylko, że jest nudziarzem i zdaje się być niedołęgą, którego starość daje się już mocno we znaki, ale nie ma on zupełnie czucia prawnego i nie orientuje się w najelementarniejszych zasadach prawa karnego i procedury. Gdyby został wybrany na sędziego, byłaby to akurat odpowiednia para do Makowskiego. Toteż zdaje się, że po tej próbie, którą może jeszcze zechce powtórzyć Skarzyński, kandydatura Rdułtowskiego spadnie z porządku dziennego, a natomiast podskoczyły od razu szanse kandydatury Maciejewskiego, który też zapewne zostanie moim następcą.

17 stycznia, rok 1920, sobota
Miałem dziś sesję apelacyjną, która trwała króciutko, zaledwie 1 ½ godziny, bo z 12 spraw (same leśne), wyznaczonych na wokandę, tylko dwie zostały rozpoznane i zakończone wyrokiem, 10 zaś – zostało z różnych przyczyn odroczonych.
Miałem wczoraj list od Zygmunta Jundziłła z Wilna w odpowiedzi na mój. Nie będę streszczał tego, co Jundziłł wypowiada w sprawie politycznych stosunków Litwy. Lubię i szanuje Jundziłła. Jest to człowiek szczery, który rzetelnie kocha ideę jedności Litwy i boleje nad rozdziałem, który się coraz bardziej pogłębia. Zdaje się jednak, że nie solidaryzując się ze wszechpolskimi separatystycznymi tendencjami Wilna, ulega sugestii środowiska, w którym tendencje te wyrastają; toteż zbyt jednostronnie obarcza winą Litwinów i ich kozła ofiarnego – „Tarybę”. Z mojego zamiaru powrotu do Litwy cieszy się i uważa krok ten za krok obywatelski, Zapewnia mię też Jundziłł, że nie będę miał w Wilnie żadnych trudności z uzyskaniem przepustki na wyjazd do Kowna, o co się obawiałem. Przypuszczam, że jeżeli mię o tym zapewnia, to mogę to przyjąć za znak, że on i jego przyjaciele polityczni, którzy byli dawniej i moimi politycznymi przyjaciółmi (Witold Abramowicz, Janek Piłsudski, Janek Klott), będą mieli dość wpływów, aby usunąć wszelkie przeszkody do uzyskania przepustki, gdyby usiłowano czynić trudności. Z listu Jundziłła dowiaduję się, że Bronisław Krzyżanowski dotychczas jeszcze bawił w Paryżu i w tych czasach wraca do Wilna. Swoją drogą, nie bardzo wierzę w dyplomatyczną misję Krzyżanowskiego.

18 stycznia, rok 1920, niedziela
Między godz. 5 a 7 po południu w lokalu Klubu Wioślarskiego odbyło się zebranie grona inteligencji demokratycznej (radykalnej), zwołane za zaproszeniami, podpisanymi przez adwokata Wołodkiewicza, nauczyciela Jędraszko i radnego Franciszka Hryniewicza. Osób zebrało się do 30 (w ich liczbie byli adwokaci: Wołodkiewicz i Lachowicz, podprokurator Maciejewski, pisarz hipoteczny Mikułowski, dyrektor szkoły mierniczej Mejer, pepeesowiec robotnik Bauer, działacz ludowy Stolnicki, p. Jarnuszkiewiczowa, pani Cabertowa, panna Cabertówna, burmistrz Świderski, paru nauczycieli i jeszcze kilkanaście innych osób). Na przewodniczącego zaproszono mnie. Zebranie było zwołane dla omówienia trzech kwestii: 1 utworzenia miejscowego komitetu daru narodowego dla Józefa Piłsudskiego; 2 sprawa klubu demokratycznego; 3 sprawa miejscowego demokratycznego organu prasy („Ziemia Łomżyńska”). Pierwszą kwestię załatwiono w ten sposób, że wyłoniono bezpośrednio komitet, a raczej zawiązek tegoż w osobach pp. dyrektora Mejera, Janiny Cabertówny i niejakiego Tejferta, którym udzielono prawa nieograniczonej kooptacji. Najwięcej czasu i miejsca w obradach zajęła sprawa klubu demokratycznego. Hryniewicz zreferował o zlaniu się w Warszawie poszczególnych dotychczasowych formacji demokratyczno-radykalnych, przeważnie inteligenckich, jak Stronnictwo Niezawisłości, Związek Demokratyczny itp. w jeden Klub Demokratyczny, który, po myśli twórców jego, ma stanowić osobne stronnictwo, niezależne od innych organizacji politycznych lewicowych, jak PSL lub PPS (to znaczy, że należący do Klubu Demokratycznego nie mogą być równolegle członkami innych stronnictw). Twórcy Klubu Demokratycznego zwołują w najbliższym czasie wielki zjazd demokratyczny w Warszawie, na który pożądany jest najliczniejszy przyjazd sympatyków z prowincji; zjazd ten ma być zarazem wielką demonstracją ruchu i sił demokratycznych w Polsce (w tym celu ma być mu nadana jak największa ostentacja) i czymś w rodzaju konstytuanty nowego stronnictwa. Projektowane jest założenie wielkiego organu demokratycznego w Warszawie (w duchu nieboszczki „Gazety Polskiej” Bohdana Straszewicza). Dyskusja

potoczyła się na zebrańku naszym na ten temat szeroko, rozpraszając się i schodząc na tory dość nierealne ze względu na to, że zebranie dzisiejsze nie miało cech konstytucyjnych nowej organizacji w Łomży. Starły się ze sobą dwa poglądy, dwa kierunki organizacyjne: jeden (z Wołodkiewiczem na czele) uzasadniał potrzebę właśnie Klubu Demokratycznego jako terenu porozumiewawczego dla wszystkich elementów demokratycznych, mogących skądinąd brać udział czynny w różnych ruchach i formacjach partyjnych, ściślejszych, wyrażając pogląd pesymistyczny na koncepcję odrębnej partyjnej formacji inteligencji radykalnej; i drugi, z Mikułowskim na czele, wyrażał pogląd utworzenia właśnie organizacji demokratycznej partyjnej, odrębnej i niezależnej emancypującej się ideologicznie i organizacyjnie tak od PPS, jak od PSL. Chociaż dyskutowano o tym w zastosowaniu do Łomży, jednak była to dyskusja dość jałowa, bo platoniczna; zebranie bowiem dzisiejsze nie miało na celu organizowanie partii czy klubu, jeno było zwołane dla kilku kwestii konkretnych i skład jego był dość przygodny; zresztą nie został dotychczas zlikwidowany dawny Łomżyński Związek Demokratyczny, suchotniczy wprawdzie, ale służący właśnie do celów omawianych. Wreszcie dogadano się do jałowości dyskusji zasadniczej, którą, jako platoniczną i przedwczesną tymczasem, zakończono. Postanowienia: wyrażono potrzebę wzięcia udział w demokratycznym zjeździe w Warszawie przez miejscowe elementy demokratyczne i wezwano, aby jak najliczniej się na zjazd ten wybierano, formalnych jednak żadnych delegatów nie wyznaczono. Na temat trzeciej kwestii – „Ziemi Łomżyńskiej" – mówiono krótko. Wyłoniono tylko „komisję finansową" z 7 osób dla gromadzenia udziałów na finansowanie pisma.

19 stycznia, rok 1920, poniedziałek
Od wczoraj ogłoszone zostało wstrzymanie w Polsce na dwa tygodnie (do d. 31 I włącznie) ruchu kolejowego dla prywatnej komunikacji osobowej. Różne są pogłoski co do przyczyn, dla których to uczyniono. Jedni twierdzą, że z braku węgla oraz dla zużytkowania taboru kolejowego na rzecz dowozu węgla do miast. Inni – że dla przewozu wojsk do terenów, które z mocy traktatu pokojowego mają być obecnie zajmowane przez Polaków (Prusy Zachodnie, Pomorze, skrawki Prus Wschodnich i Śląska Górnego) oraz dla przewozu wojsk koalicyjnych, przeznaczonych na załogi okupacyjne terenów plebiscytowych. Jeszcze inni, że dla przewozu wojsk na wschodzie w celu przegrupowania ich stosownie do planów wiosennej kampanii w wojnie z bolszewikami. Podobno na linii do Łomży pociągi miały wcale nie kursować. Tymczasem słychać, że wczoraj pociąg jeszcze był, a dziś wieczorem gazety ranne warszawskie nadeszły, więc jakiś pociąg musiał być.
Z frontu bolszewickiego dotąd żadnych wieści nowych o donioślejszym znaczeniu. Ludzie szepczą sobie, że ofensywa bolszewicka w wielkim stylu przeciwko Polakom jest przygotowywana i ma rychło wybuchnąć. Uwaga jest w kierunku frontu wschodniego dość ostro zwrócona. Z pewnością jednak i dowództwo polskie z Piłsudskim na czele nie zasypia gruszek w popiele. Tymczasem tylko rozwija się dalej skutecznie akcja łotewska w Letgole (Inflantach), sukursowana przez Polaków. Poza tym, na całym froncie białoruskim, polskim i dalej (wołyńskim) nie ma nic, prócz utarczek, wywiadów i wypadów (przynajmniej podług komunikatów urzędowych).
Z wielkich nowin politycznych zwraca uwagę zbliżenie, które się nawiązuje między Polską a Ukrainą. Zdaje się, że Polska (dostrzegam, a raczej przeczuwam w tym rękę Piłsudskiego) bardzo zręcznie wykorzystała błąd Denikina, który, pewny swego powodzenia w walce z bolszewikami, arogancko przeciwstawił się Ukrainie w myśl zasad imperialistycznych zjednoczenia Rosji i rozpoczął wojnę z Ukraińcami. Został wymieciony przez bolszewików, a Ukraina, rezygnując z Galicji Wschodniej na rzecz

Polski, padła Polsce w objęcia, szukając z nią bezpośredniego kontaktu i poniekąd stając względem Polski w stosunek wasalny (nie jest to określenie zupełnie ścisłe, ale w każdym razie cechy tego stosunku mają pewne elementy protektoratu polskiego). Zbliżenie to jest jeszcze w stadium rokowań, które dotychczas były niejawne, ale rąbki tajemnicy zaczynają się odsłaniać. Stosunek z Łotwą i stosunek nowy z Ukrainą, który się dopiero nawiązuje, podnoszą znacznie autorytet Polski na wschodzie i zdają się zbliżać do realizacji idei Piłsudskiego, o której wielekroć wspominałem. Oporną jest dotąd tylko Litwa, bo tam jest spór o Wilno, z którego dotąd wyjście nie zostało znalezione.
Podniosłym momentem obecnych dni jest obejmowanie przez Polaków ziem prusko-królewskich i pomorskich, ustąpionych Polsce przez Niemcy z mocy Traktatu Wersalskiego. Toruń już jest polski! Z dnia na dzień piędź za piędzią posuwają się Polacy naprzód, obejmując dziedzictwo aż do kaszubskich wybrzeży morza. Jest to fakt dzisiaj ogromnej miary, otwarcie nowego rozdziału w dziejach zmagania się plemion słowiańskich z germańskimi.

20 stycznia, rok 1920, wtorek
Mój stosunek z Lusią Roszkowską tkwi w tym samym stadium niewzruszenie. Stosunek ten dał mi w każdym razie jedno doświadczenie: przekonałem się, że mężczyzna 40-letni zdolny jest jeszcze rozkochać w sobie dziewczynę 20-letnią i że nie trudniej mi to poszło, niż gdym miał lat 28 i był w pełni rozkwitu młodości i powodzenia, umiejąc rozkochać każdą dziewczynę. Ba, ale doświadczeniem człowiek żyć nie może i nie starczy mu ono za zaspokojenie rzeczywiste jego pragnień i tęsknot. Stosunek nasz z Lusią, mimo ze doszedł do tego momentu rozkochania, nie posuwa się naprzód i nie ma widoków zrealizowania. Uczucie z mojej strony nie da się ująć mianem miłości i nie doprowadzi mię do szalonych projektów związania za wszelką cenę losów moich z jej losami kosztem awantur i przełamywania przeszkód. Gdybym nawet był wolny, nie związałbym życia mego z Lusią, bo nie kocham jej w istocie rzeczy i nie czuję jej psychicznego pokrewieństwa ze sobą, niezbędnego dla budowy szczęśliwego związku. Tym bardziej daleki jestem od tego, gdy nie jestem wolny. Do moich pomysłów i marzeń letnich o Lusi już nie wrócę. Budzi ona we mnie w chwilach fizycznego zbliżenia podniety zmysłowe, poza tym jest mi sympatyczna, a wreszcie i może nade wszystko, ma ona dla mnie urok przez swoje uczucie dla mnie, bo na to się jest zawsze wrażliwym; być kochanym jest to jedna z rozkoszy największych. W zmysłowych epizodach nasz stosunek z Lusią utknął na martwym punkcie. Całuję ją, obejmuję, pieszczę, dotykam, ona się niby broni i leciutko oddaje, ale tylko do pewnych granic. Wiem, że granic tych nie przekroczy nasz stosunek nigdy. To mię oczywiście w chwilach zmysłowego roznamiętnienia drażni, bo pragnę wtedy całkowitego jej posiadania i nasycenia się jej ciałem. Lusia się rozpala, ma instynkt zmysłów, ale, jak każda panna cnotliwa, nie ma świadomości zmysłowej użycia i jest przeto połowiczna. Poza tym, na więzi ją trzyma konwenans, wzgląd na warunki życiowe. Konwenansu tego nie przekroczy nigdy, nie odda mi się cała ciałem, nie oszaleje. Połaskotać zmysły, pławić się psychicznie w atmosferze lubieżności, tając w tchnieniu pożądania męskiego – to dziewczynie raj, ale ugryźć jabłko rozkoszy, dać swobodę bezpośredniej zmysłów ciała naturze – co to, to nie.

21 stycznia, rok 1920, środa
Miałem dziś sesję karna apelacyjną. Ławnicy zasiedli: Wędrowski i Rostapiński (aptekarz ze Stawisk). Przy stoliku prokuratorskim siedział prokurator Sienicki, przy stole sekretarskim – Lusia Roszkowska. Spraw było 11 na wokandzie, wszystkie z art.

475 K.K. o gwałt na osobie, obrażający nietykalność ciała (pobicie). Były to przeważnie rozmaite bójki rodzinne (między siostrami albo krewnymi, albo matką i córką) lub sąsiedzkie, epilogi zatargów i kłótni różnych. W sprawach tej kategorii, jak również w sprawach o zniewagi (obelgi, zniesławienia), bardzo liczny, nawet dominujący udział biorą kobiety, „płeć piękna", którą z równym prawem można nazwać „płcią złośliwą". Już to do kłótni są one pierwsze, a językom ich język męski nie dotrzyma placu. Sesja prędko się skończyła. Rozpoczęła się o godz. 11, a o godz. 2 przed obiadem była zakończona.
Napisałem dziś list do ks. Józefa Tumasa w Wilnie. Cenię tego człowieka, entuzjastę ludu litewskiego, którego życie, zawsze młode pomimo wieku, jest jednym pasmem walk, ciągłego ruchu i nieustającego czynu dla ukochanej sprawy. Podziękowałem mu za list grudniowy do mnie i napisałem o dziejach moich zwątpień i mojego postanowienia powrotu do Litwy. Parę ustępów z tego listu, dotyczących polskiej koncepcji „Kresów Wschodnich" i roli, jaką ma dla sprawy polskiej na wschodzie porozumienie z Kownem, zacytuję tutaj. Tę ostatnią kwestię ująłem ze stanowiska tezy Herbaczewskiego, przytoczonej w urywkach z jego listu w moim dzienniku, doskonałej zdaniem moim; chociaż u Herbaczewskiego jest ona raczej wyczuta, niż skonstruowana na analizie stosunków dziejowych, ale znakomicie tej analizie odpowiada.
Oto są kawałki z mego listu do Tumasa:
„Koncepcja tzw. „Kresów Wschodnich" przeciwstawia się w moim przekonaniu zasadom społecznym rozwoju ludowego i rozkwitowi kultury, która może się zasadzić li tylko na samodzielnej twórczości wolnych ludów, czynnie gospodarzących i organizujących swój kraj bez opieki i dyrektyw jakiejś metropolii, podporządkowującej kraj ten i jego rozwój względom interesów obcych. Stworzenie z Litwy i Białej Rusi imperium kresowego Polski uważam za czynnik uwstecznienia, rozwoju tego kraju (czy tych krajów!). Imperium takie – to kolonia. To czynienie z Litwy jakiegoś satelity, którego rozwój ma się określać prawami ciążenia do innej społeczności, nie zaś prawami, wysnutymi czynnie z najgłębszych założeń i własnej społeczności. Byłem zawsze tej koncepcji wrogiem. Nawet abstrahując się od specjalnej sympatii dla narodu litewskiego, który kochałem od dziecka, bom się w jego łonie urodził i którego miłość wzrastała we mnie później przez lata mojej pracy, gdym poznawał jego dzieje, jego męczeński epos odrodzenia, jego wysiłki twórcze w dobie niewoli, tak bolesne i ciężkie nieraz w epizodach, ale tak pełne życia, bujnego optymizmu i radosnej wiary w całości swojej – nawet abstrahując się od tej sympatii specjalnej i pozostając, ze względu na moją osobistą kulturę narodową, której, jak skóry własnej, zmienić nie mogę – Polakiem litewskim – nie mogę, już ze społecznych założeń ludowych i z kulturalnych założeń ludzkich, sprzyjać koncepcji „Kresów". Koncepcja ta jest antyludowa i antydemokratyczna; jest ona w kraju naszym na rękę li tylko czynnikom reakcji społecznej. One z niej korzystają, bo tamuje ona i utrudnia rozwój czynny pierwiastka ludowego, jego usamodzielnienie i przeto jego wpływ na ogólny rozwój społeczny i kulturalny kraju, utrwalając bezwład i panowanie czynników starego układu społecznego...".
„Xiądz Szanowny zna zapewne moje przekonania. Nie zdziwi się więc zapewne, gdy Mu powiem, że jestem w stosunkach Polski z Litwą, a nawet szerzej – bo w stosunkach całego bloku ludów „od morza do morza" (Ukraina, Polska, Białoruś, Litwa, Łotwa, Estonia) – wyznawcą idei, którą nazwałbym „ideą Jagiellońską", w najszlachetniejszym tego pojęcia znaczeniu. To znaczy – pragnąłbym gorąco widzieć i doczekać się kooperacji tych ludów, ich związku w jakiejkolwiek formie współpracownictwa. Ale kooperacja wyklucza z natury rzeczy wszelkie koncepcje „kresowe", wszelkie panowanie narodu nad narodem, kraju nad krajem. Kooperacja w założeniu ma wolność

i czynną samodzielność (suwerenność). Polska w polityce Piłsudskiego odrobinkę ma tej idei w stosunku do Łotwy i cokolwieczek w ostatnich czasach w stosunku może do Ukrainy. Ale idea ta, jeżeli istotnie Piłsudski pozostanie wierny swemu pierwotnemu programowi, nie zrealizuje się, jeżeli Polska nie zerwie radykalnie i zasadniczo ze swą polityką „kresową" w stosunku do Litwy i Białej Rusi. Pójdę dalej nawet i powiem, że, moim zdaniem, jeżeli Polska nie znajdzie drogi porozumienia z Kownem, to Polska przegra wojnę wschodnią!
Ziemie W. X. Litewskiego były do niedawna masą bierną, przedmiotem przetargu między Polską i Rosją. Litwini pierwsi na tych ziemiach się zbudzili i rozpoczęli z tonu ludu wytwarzać rozwój samodzielny, zakładając jego punkty wyjścia i ośrodek we wnętrzu stosunków krajowych i ich układu społecznego i kulturalnego. Procesu tego nic nie wstrzyma. Litwa ludowa, ogniskująca się dziś w Kownie, jest symbolem życia i twórczości, jest pionierką przyszłości. Jako taka, jest ona czynnikiem wielkiej wagi, jest potęgą kiełkowania, które wcześniej czy później ogarnie wszystkie ziemie b. Wielkiego Xięstwa. Białoruś jeszcze śpi, ale zbudzi się i ona. Jeżeli Polska nie nawiąże swojej polityki w stosunkach sąsiedzkich z Litwą do tych nowych procesów twórczych, kiełkującego życia, których wyrazem jest dzisiejsza Litwa Kowieńska, jeżeli zaślepiona upierać się będzie w koncepcji „Kresów", która wyraża *status quo ante*, jeżeli nie wyczuje roli dzisiejszego Kowna i przeciwstawi się jego zasadzie – to przegra sprawę, mimo sukcesu oręża. Procesy życia, procesy kiełkowania społecznego i kulturalnego są silniejsze nade wszystko. Mądrość mężów stanu polega na zrozumieniu, a nieraz wyczuciu ich. Historia, nawet najświeższa (Rosja, Prusy, Austria), uczy, że lekceważyć ich nie wolno bezkarnie, bo one się mszczą".

22 stycznia, rok 1920, czwartek
Dziś zamiast na być na obiedzie u Kotuni Pruszanowskiej, poszedłem na obiad z sędzią Chabowskim do restauracji Czochańskiego. Winienem był Chabowskiemu zrewanżować się za poczęstunek, którym on mię w przeszłym tygodniu uraczył. Wypiliśmy sobie sznapsa przed obiadem, przekąsiliśmy i zjedliśmy obiad we dwoje. Chabowski jest teraz moim najściślejszym towarzyszem. Biurko jego stoi w moim gabinecie, toteż razem zawsze spędzamy czas przy pracy, gawędzimy często i wspólnie omawiamy wszelkie zagadnienia sporne, które się nam w toku pracy natrafiają. Chabowski jest człowiekiem bardzo zrównoważonym, rozumnym, z natury wrażliwym i miękkim; jest bardzo delikatny i ma duże zalety towarzyskie; jest starym kawalerem, w moim mniej więcej wieku – o rok czy dwa starszy. Przekonaniowo nie należy, zdaje się, wyraźnie do żadnego obozu, ale daleki jest od wstecznictwa i ma czucie prądów społecznych postępowych, nie wyłączając socjalizmu. Jako sędzia jest bardzo uważny, pracowity, myślący, może drobinkę za powolny. Będzie z niego bardzo dobry materiał na sędziego. Mam nawet wrażenie, że w komplecie sędziów, jaki pozostanie w Sądzie Okręgowym w Łomży po wyjściu Tramplera i moim – będzie najlepszym. Oprócz niego jedyny, który ma wartość realną – to Skarzyński (oczywiście oprócz prezesa Filochowskiego, który jako prawnik-cywilista, jest niewątpliwie wybitny). Nasi sędziowie cywiliści za to – Duszyński, Chełstowski, a już szczególnie Makowski – to ubóstwo.
Sprawa mojej dymisji jest dotąd bez ruchu. Stosownie do mojej prośby, którą zakomunikowałem prezesowi, że chodzi mi, aby być zwolnionym od 1 marca – prezes z tym nie śpieszy. Nie rozmawiałem z prezesem o tym od czasu zgłoszenia formalnego podania o dymisję, ale wiem od sekretarza Śledzińskiego, że prezes nie wysłał jeszcze mego podania do Warszawy i wstrzymał je do czasu ogólnego zebrania sądu, na którym prawdopodobnie jednocześnie zostanie dokonany wybór kandydatów na wakans po

mnie. Trzeba będzie poprosić prezesa, aby trochę pośpieszył ze zwołaniem ogólnego zebrania, bo należy być przygotowanym na to, że jeszcze ministerstwo ze swej strony będzie zwlekało z załatwieniem tej dymisji, tak że nie wiadomo, czy na 1 marca dymisja już będzie udzielona.

23 stycznia, rok 1920, piątek
Miałem dziś sesję karną I instancji z ławnikami Władysławem Szwejcerem i niejakim Dąbrowskim. Ławnicy ci po raz pierwszy pełnili te funkcje, bo należą oni do liczby tych, których Rada Miejska w Łomży świeżo wybrała. W liczbie tych nowych ławników sądowych z miasta Łomży jest sporo Żydów oraz dwóch takich notorycznych radykałów spośród chrześcijan, jak Szwejcer i Hryniewicz. Skarzyński tak na jednych, jak na drugich kręci mocno nosem; nie trafiają oni do gustu jego jaskrawym sympatiom endeckim, których się on pomimo wszystko nawet w swych czynnościach sędziowskich pozbyć nie umie. Toteż Skarzyński jest zdecydowany nie wyznaczać nigdy na sesje, w których on brać udział będzie, ani Szwejcera i Hryniewicza, ani Żydów. Ściśle biorąc, nie jest to zasadne, bo jako reprezentujący w sądzie element społeczny powinni być powoływani kolejno, niezależnie od widzimisię sędziów koronnych, a tym bardziej bez względu na polityczne tendencje tych ostatnich, ale Skarzyński jest tak arbitralny i tak dalece traktuje swój wydział karny I instancji jako swoje podwórko, że pod tym względem uporu jego się nie przełamie. Szwejcer trafił dziś na sesję dlatego, że sesja ta była z góry wiadoma jako moja, toteż Skarzyński przez kurtuazję mnie pozostawił dobór ławników. Szwejcera wyznaczyłem, znając go dobrze jeszcze z Głównej Komisji Wyborczej do Sejmu i ceniąc jego umysł i charakter. Przekonałem się też dziś, że jest z niego ławnik pierwszorzędny, umiejący dzielnie myśleć i dzielnie czuć. Toteż miałem prawdziwe zadowolenie z ławników dzisiejszych, a to dużo znaczy. Sesja była pod względem doboru spraw urozmaicona; sprawy były niezbyt długie, ale dość ciekawe. Skarzyński, o ile wiem, ma przekonanie, że ławnicy bądź Żydzi, bądź radykalni lub socjaliści – muszą być koniecznie po pierwsze stronni, a po wtóre z zasady zdecydowani na uniewinnienie wszystkich przestępców. Tymczasem co do Szwejcera nie sprawdziło się to bynajmniej. Że jest on ludzki w traktowaniu przestępstwa i przestępcy – to mu się chwali; że nie jest ani oschły, jak stary ławnik Dąbrowski, ani formalista, który analizuje tylko literę ustawy, ale wyczuwa psychiczne i społeczne położenie każdego czynu i pojmuje zadania sędziego nie w roli kata, lecz w roli głębokiego analityka życia, jego warunków indywidualnych i zbiorowych, duszy ludzkiej itd. – to zaleta. Gdy wszakże przyszło do wydania wyroku w sprawie potajemnego pędzenia spirytusu, co jest plagą dzisiejszych stosunków i objawem paskarstwa, przerabiającego w celach zysku najpotrzebniejsze artykuły spożywcze, których brak jest w kraju, ten sam humanista Szwejcer przeforsował maksymalną najostrzejszą karę, przewidzianą za tę zbrodnię; orzeczona została kara 5 lat ciężkiego więzienia, maksymalna i zarazem najwyższa, jaką kiedykolwiek sąd łomżyński za tajne gorzelnictwo orzekł.
Dziś był dzień mojego dyżuru w Klubie Wioślarskim. Wiedziałem, że dziś wieczorem w Klubie odbywać się będzie bankiet na cześć ministra spraw wewnętrznych Wojciechowskiego, który przybył do Łomży. Zaproszenia do wzięcia udziału w tym bankiecie (od osoby – po 3 mk) były skierowane jak najszerzej do wszystkich instytucji i osób prywatnych. Odmówiłem wzięcia udziału, bo nie uważam bankietowania za właściwą formę czczenia ministrów w Rzeczypospolitej w czasach obecnych. Ale na mój zwykły piątkowy dyżur do Klubu po sesji sądowej przyszedłem. Okazało się jednak, że dyżur jest zbyteczny. Klub jako taki, z okazji bankietu był nieczynny. Bankiet odbywał się w wielkiej sali Klubu: osób był huk, aż cała sala była pełna,

ustawiona stołami jak najgęściej. Rzeczpospolita nie zdemokratyzowała natury ludzkiej. Przyjazd ministra do urzędniczej Łomży – to dla rzesz tych urzędników wielka rzecz: każdy z nich śpieszy choć się otrzeć o osobę ministra, skąpać się w jego blasku, pokazać mu się i zobaczyć go.
Prezes zwołał ogólne zebranie Sądu Okręgowego na jutro na godz. 4 po południu. Na porządku dziennym została też postawiona sprawa wyboru kandydatów na sędziego na wakans, opróżniony przeze mnie.

24 stycznia, rok 1920, sobota
Odbyło się dziś ogólne zebranie Sądu Okręgowego, na którym dokonano wyboru kandydatów na stanowisko sędziego, opróżniające się na skutek mojej dymisji. Jak było do przewidzenia, wystawiono na pierwszym miejscu kandydaturę podprokuratora Jana Maciejewskiego. Przyjęto tę kandydaturę jednogłośnie. Drugim kandydatem wybrano sędziego śledczego Wajchta, trzecim – sędziego śledczego Suchińskiego (z Mazowiecka).
W prasie polskiej w ostatnich dniach znów coraz liczniej ukazują się notatki o rzekomych gwałtach, popełnianych przez Litwinów nad Polakami. Notatki te, artykuły i korespondencje są przepojone nie tylko nienawiścią do Litwy, do rządów litewskich itd., ale wprost tonem wojowniczym, nawołującym do dokonania porachunku zbrojnego z Litwinami. Obrzuca się kalumnią rząd litewski, wojsko litewskie, inteligencję litewską, Rzeczpospolitą Litewską nazywa się „tzw. Litwa niepodległa", albo „Litwa tzw. niepodległa"; bez względu na to, że już obecnie w każdym razie fakty zaprzeczyły temu, insynuuje się Litwinom i rządowi litewskiemu wysługiwanie się sprawie i intrydze niemieckiej, szafuje się nadal określeniami takimi, jak Litwa „z łaski niemieckiej niepodległa" (z tym samym prawem można by, powołując się na śp. akt z d. 5 XI 1916, nadużywać „łaski niemieckiej" mówiąc o genezie niepodległości Polski); z perfidią też przeciwstawia się nieraz Litwę urzędową jako twór i rząd „Taryby", godną pogardy i nienawiści – ludowi litewskiemu, dla którego sypie się wyrazy miłości, braterstwa i ubolewania. Grunt nienawiści do Litwy i Litwinów jest w Polsce uprawiany bardzo starannie, a obszarnicy, których interesom na ziemiach b. W. K. Litewskiego Litwa ludowa bardzo zawadza i którzy w walce swej klasowej nadużywają Polski, bardzo gorliwie nad jątrzeniem stosunków pracują. Oto z ramienia obszarników i różnych elementów, którzy miejsca dla siebie w Litwie ludowej znaleźć nie mogą, założony został niedawno „Związek (czy Komitet) dla obrony praw Polaków w Kowieńszczyźnie" (w samej nazwie Kowieńszczyzna mieści się rozmyślnie negacja państwowości litewskiej), którego zadaniem jest jątrzenie i przygotowanie gruntu, a nawet ile możności – sprowokowanie wojny polsko-litewskiej w celu pochłonięcia Litwy przez Polskę dla roztoczenia na ziemiach litewskich panowania *ancien regime'u* społecznego. W notatkach i artykułach przejaskrawia się krzywdy Polaków w Litwie, nieudolności rządów litewskich, dezorganizację administracyjną i gospodarczą i oczywiście wszelkie zarządzenia o charakterze społeczno-ludowym utożsamia się z akcją specjalnie antypolską, sprawę i interesy obszarnicze ze sprawą i interesami polskimi. Prasa polska, nie wyłączając postępowej („Kurier Poranny"), nie wstydzi się nawet domagać się wprost pewnych zagarnięć skrawków terytorium litewskiego (przesunięcia linii demarkacyjnej *„manu militari"*) ze względów nie etnicznych nawet zgoła, ale wprost użytkowych, jak zyskanie połączeń kolejowych itp. (nawet pepeesowski „Robotnik" jest dość bliski podobnej agitacji, choć nie służy przez to z pewnością sprawie robotniczej i ludowej na „Kresach"). Oczywiście insynuuje się rządom i wojsku litewskiemu tendencje „bolszewickie". Materiału palnego jest w stosunkach polsko-litewskich z obydwóch stron zbyt wiele. Tylko jeszcze wzgląd na

Koalicję, na anglo-francuskie względy polityczne, a może ze strony polskiej i na militarną sytuację na froncie bolszewickim tamują wybuch bezpośredni zatargu zbrojnego. Ze strony litewskiej jest też nie mniej w stosunku do Polski elementów jątrzenia i prowokacji. Litwa, niezależnie od kwestii stosunków do Polski, ma z pewnością bardzo dużo braków i błędów. Ale czy nie ma ich Polska? Kto wie, czy nie w stopniu co najmniej równym. Największym brakiem i słabością Litwy jest, jak ja to rozumiem, że dotychczas nie odważa się na zarządzenie wyborów do Sejmu. Byłby to najwyższy atut autorytetu Rzeczypospolitej Litewskiej. Rząd litewski i Taryba ociągają się z tym, zasłaniając się względem na Wilno, które jest okupowane przez Polaków. Ciekawa rzecz, że prasa polska i polityczny urzędowy język polski, karcąc Litwę, nie szczędzą szczególnych pochwał, komplementów i najwyższej kurtuazji dla Łotwy. W istocie wszakże, czym jest Łotwa ludowa względem swojej reakcji i baronerii niemieckiej, tym samym, albo bardzo podobnym, jest Litwa ludowa względem reakcji i obszarnictwa „na Kresach", strojącego się w szaty narodowego interesu polskiego. A nie brak też pewnych elementów analogii między stosunkiem Łotwy do Rygi a stosunkiem Litwy do Wilna

25 stycznia, rok 1920, niedziela
Powoli, ale nieustannie zdążam do realizacji swojej zasadniczej decyzji – powrotu do Litwy. Oto już pół roku upłynęło od czasu, kiedy w lipcu na skutek mojej letniej podróży do Kowna i Bohdaniszek powziąłem stanowczą decyzję powrotu – a dotychczas jestem jeszcze w Łomży. Z bardzo wielu względów, tak materialnych, jak różnego rodzaju moralnych, wykonanie jej nie było dla mnie łatwym. Ale krok za krokiem, powoli, zbliżałem się do niej i zdaje się teraz stanąłem już nieodwołalnie u progu jej wykonania. Podanie formalne do dymisji, wczorajszy wybór kandydatów na wakans po mnie – są to już fakty dokonane, które utrwalają bieg rzeczy ku powrotowi memu, odcinając mię od możliwości stanowiska w Łomży (chyba już tylko jedna, jedyna rzecz mogłaby dziś sparaliżować mój powrót: byłby nią wybuch wojny polsko-litewskiej). Ta ewentualność, gdyby nastąpiła, skłoniłaby mię do pozostania nadal na uboczu w takim samym zawieszeniu, jakim było moje pozostanie w Łomży. Ale nie chce mi się wierzyć, żeby do tego przyszło. Możliwe są jednak komplikacje innego rodzaju, które by mi utrudniły powrót, jak na przykład ewentualne powodzenie bolszewików w wojnie z Polską i zamknięcie przez nich drogi powrotu do Wilna. Ale, po pierwsze, do tak nieprzewidzianych powodzeń ewentualnej ofensywy bolszewickiej nie ma dziś na bliską metę czasu szans, po wtóre, pozostałaby mi droga powrotu na Suwałki-Mariampol, po trzecie, nie jest wykluczone zakończenie wojny polsko-bolszewickiej przez jakieś *modus vivendi*, jeżeli nie pokój formalny, co właśnie stało się dziś aktualnym zagadnieniem polityki i zależeć zresztą będzie od decyzji Ententy w stosunku do Rosji bolszewickiej, a wreszcie zresztą rezultaty wojny polsko-bolszewickiej nie mają dla mnie cech zasadniczych w kwestii mojego powrotu do Litwy.
Oczywiście, że w lutym, jak to wpierw myślałem, powrót mój się zrealizować nie da. Termin marca byłby dla mnie dogodny i chciałbym się go trzymać. Nie mogę jednak być pewny, czy na marca dymisja mi zostanie udzielona. Brak prawników w Polsce i w szczególności do potrzeb sądownictwa jest tak wielki, że dymisje są udzielane bardzo niechętnie. Chciano by jak największego dopływu, a wszelki akt odpływu tworzy ciężką lukę. Toteż zapowiadają mi tu koledzy, że ministerium w Warszawie będzie odwlekało jak najdłużej moją dymisję i że przez kilka miesiączków mnie tu potrzymają. Tendencja taka nie jest wykluczona, choć i ja w takim razie zacznę coraz forsowniej nalegać.

W liście Konstatnego Gordziałkowskiego, mojego dawnego przyjaciela i kolegi z Paryża, ziemianina z gub. mohylowskiej, obecnie urzędnika (szefa sekcji) w Ministerium Pracy w Warszawie, otrzymanym przeze mnie w grudniu, mieści się taki ustęp: „Proponowałem Osmołowskiemu (generalnemu komisarzowi Ziem Wschodnich), gdy obejmowałem swe stanowisko, by Ciebie zaangażował na komisarza wileńskiego lub kierownika wydziału politycznego, wolał mydłków, jak Niedziałkowski czy Krupski; widząc, w jakim kierunku podąża, nie przyjąłem oferty”. Gordziałkowski mówi tu o ofercie, uczynionej jemu. Co do mnie, to Gordziałkowski się nieco myli. Zbyteczne było Osmołowskiemu „angażować” mnie. Gdy Osmołowski obejmował swe stanowisko jako organizator zarządu „Kresów”, mój stosunek do polityki tychże był już poniekąd przesądzony. Oferty miałem o wiele wcześniejsze i z wyższego płynące źródła, bo bezpośrednio od Piłsudskiego, który jeszcze w marcu angażował mię za pośrednictwem Sławka do przyjęcia czynnego udziału w wykonaniu swego programu polityki wschodniej. Nie pamiętam, czy dość konkretnie streściłem w tym czasie w dzienniku naturę ówczesnych ofert skierowanych do mnie. Proponowano mi wtedy, abym przy Głównym Dowództwie Wojsk Polskich na Wschodzie, w organizującym się tam wydziale politycznym, przyjął rolę jednego z agentów wykonawczych polityki Piłsudskiego, zmierzającej do restauracji państwowości Litwy, sfederowanej z Polską i będącej wyrazem stopienia elementu narodowego litewskiego i białoruskiego z polskim we wspólnej budowie (o formę czy konkretną nazwę stanowiska czy urzędu, które bym zajął – mniejsza, bo to by się określiło dopiero przy organizacji nowych władz na „ziemiach wschodnich” czy, jak wtedy myślano – Litwie). Ja wtedy na zaangażowanie się stałe w polityce litewskiej Głównego Dowództwa Wojsk Polskich nie zdecydowałem się, proponując natomiast moje usługi do próby nawiązania kontaktu z Litwinami. Potem, gdy już projekt zdobycia Wilna miał być zrealizowany, otrzymałem propozycję jeszcze dalej idącą: propozycję dokonania próby sformowania w Wilnie rządu z udziałem elementów litewskich i polskich, w którym bym ewentualnie stanął na czele. Na ten temat, a raczej w związku z pomysłem takiej próby, odbyła się na początku kwietnia w mieszkaniu Prystora w Warszawie konferencja poufna z osobistym już udziałem Naczelnika Piłsudskiego (był na niej Naczelnik Józef Piłsudski, Witold Abramowicz, Janek Piłsudski, ja, Prystor). Ja wtedy, rozumiejąc, że powodzenie takiej akcji będzie zależało od stanowiska Litwinów, uzależniłem mój udział w tej próbie od bezpośredniego skomunikowania się z Litwinami w Kownie. Józef Piłsudski godził się ze mną, ale różnił się w tym, że uważał, iż jeżeli Litwini nie pójdą na to dobrowolnie, trzeba wytwarzać fakty dokonane, choćby wbrew nim. Pojechałem wtedy do Kowna, skąd wróciłem z pustymi rękami – i odmówiłem mojego udziału w dalszej robocie, zgodnie z poprzednimi wywodami mymi. Osmołowski był dobrze poinformowany o mojej roli i stanowisku oraz propozycjach, które mi były czynione, a zresztą po powrocie moim z Kowna widziałem się z nim osobiście w Warszawie i konferowałem o mej podróży kowieńskiej. Moje stanowisko było o tyle wyraźne, że już oczywiście Osmołowski nie miał mię do czego angażować. Propozycje miałem daleko idące jeszcze przed rozpoczęciem przezeń angażowania do Zarządu Ziem Wschodnich, ale przyjęcie ich, a przeto zaangażowanie się w czynności wykonawcze polityki projektowanej przez Piłsudskiego uzależniałem od warunków, które mię nie zadowalały. To zadecydowało o moim pozostaniu na uboczu. Nie żałuję też tego, bo polityka Piłsudskiego w stosunku do Litwy, oparta na pierwiastkach szlachetnych, ale na błędnym założeniu ignorowania Litwinów i narzucania budowie kraju faktów dokonanych jednostronnie, zeszła na manowce, stając się narzędziem w Litwie reakcji i sił obozu obszarniczego, jaką jest obecnie polska polityka „Kresów”. Nie żałuję więc dziś mojej przezorności i uważam, że wybrałem

drogę słuszniejszą i bardziej odpowiadającą nawet tym zasadom, które są w założeniu programu Piłsudskiego, gdy zamiast być jednym z czynników tej polityki „Kresów", wracam jako obywatel szeregowy do Litwy ludowej (choćby jednostronnej) w Kownie.

26 stycznia, rok 1920, poniedziałek
O rozwoju dalszych stadiów podróży Papy było przez czas jakiś cicho. Zdawało się nam, że Papa na czas dłuższy ugrzązł w Wilnie. Wbrew moim oczekiwaniom, Papa nie napisał ani razu do mnie, ani do Kotuni. Ze względu na to, że listy Papy zawierają zwykle coś przykrego i albo są pełne wymyślania, ewentualnie wytykania najrozmaitszych i najniespodziewańszych grzechów przeszłości z całego naszego życia, jakie sobie Papa raczy przypomnieć (a pod tym względem pamięć Papy jest najdokładniejsza, choć te „grzechy" nasze istnieją przeważnie tylko w urojeniu Papy), albo sypie zakazami i rozkazami, którymi Papa względem nas szafuje bez zastrzeżeń – wolałem, że Papa się nie odzywa wcale; obawiałem się też, że Papa dowie się od kogokolwiek w Wilnie o moim zamiarze powrotu do Litwy i, swoim zwyczajem, zabroni mi tego. Choćbym zakazu tego nie usłuchał, wolę, aby go nie było, bo to mi nie tylko zamknie dostęp do Bohdaniszek, ale zatruje i pobyt w Kownie. Papa więc milczał, a tylko od czasu do czasu dochodziły nas listy Maryni, bądź do mnie, bądź do Kotuni, utyskujące na różne przykrości, jakich musi od Papy doznawać. W ostatnich jednak dniach Marynia już pisała, że Papa wybiera się do Warszawy, lecz że zachodzą trudności ze względu na zawieszenie prywatnego ruchu osobowego na kolejach.
Wtem dzisiaj otrzymuje pocztówkę od Karola O'Rourke'a z Warszawy, pisaną po francusku, bardzo dyplomatycznie, ale nie mniej stanowczo. Karol pisze, że Papa przyjechał do Warszawy; dodaje, że uważa moją obecność za bardzo potrzebną, nawet bardzo pilną („*bien urgente*"), a to ze względów, które streszcza w tych słowach, ubranych w szatę wielce dyplomatyczną: „*L'oncle est en bonne sante, mais je trouve qu'il a perdu la notion de la valeur d'argent et que ce serait d'une utilite pour Vous tous si l'ore pourrait l'en couvaincre avec tout le respect du a son age et sa qualite de pere et oncle*"[255].
Nie przypuszczam, żeby ta „*utilite*" z przekonania Papy o wartości pieniędzy miała sygnalizować niebezpieczeństwo dla nas jakichś majątkowych zarządzeń Papy; z pewnością Papa nie czyni w Warszawie dalszych aktów majątkowych, dotyczących Bohdaniszek, list jakichś zobowiązań pieniężnych dla zdobycia gotówki na wyjazd; aktów na Bohdaniszki czynić by w Warszawie nawet nie mógł. Przypuszczam, że tu chodzi raczej o powstrzymanie Papy od tej podróży do Francji, która w stosunku do szczupłych zapasów gotówki u Papy i wobec odmowy O'Rourke'a udzielenia Papie pożyczki, staje się niebezpieczną, bo w drodze może się Papie rozchorować, może mu zbraknąć pieniędzy i wtedy narazi to nas na konieczność ratowania Papy, a Papę może kosztować nawet życie. Jakkolwiek bądź jest – nie ma co nawet myśleć o tym, abym zdołał Papę odwieść od jego zamiaru podróży. Gdybym pojechał do Warszawy, to po pierwsze, wydałbym resztę mojego zapasu pieniędzy, które szczędzić muszę na powrót do Litwy, a po wtóre, miałbym tylko utrapienie od Papy, mękę łajania, różnych wymówek i pretensji i wreszcie na pewno zakaz powrotu do kraju, a nie wskórałbym zgoła nic, bo już dzieci swoich Papa nie usłucha nigdy. Po naradzie z Kotunią obojeśmy uznali, że jazda moja do Warszawy jest bezcelowa i niepożądana wcale. Kotunia spróbuje napisać do Papy, odradzając mu jazdę do Francji; w sprawie tego napisze do doktora, u którego Papa ma się zaradzić w Warszawie i poprosi go, aby Papę od tej

[255] „Wujek jest w dobrym zdrowiu, uważam jednak, że utracił pojęcie o wartości pieniędzy i że byłoby korzystne dla was wszystkich, gdyby udało się go o tym przekonać z całym szacunkiem należnym jego wiekowi oraz jako ojcu i wujkowi".

jazdy powstrzymał. Czy to poskutkuje – wątpimy bardzo. Papa jest uparty, a w tym postanowieniu jazdy do Francji jest nie tylko chęć kuracji, ale też chęć rozerwania się, zabawy, instynkt życia, może nawet ten szczególny wybryk czy instynkt starości, który pędzi zarówno samotnych starych samców wśród zwierząt, jak samotnych starych mężczyzn do oddalania się od gniazd swoich i błąkania się po obcych, dalekich wertepach, wśród obcych społeczeństw, na „swobodzie", aż gdzieś ich śmierć powali. Są to jak te stare odyńce, jak stare łosie, które odbite od stad swoich, błąkają się samotnie, bez przystanku, bez przytuliska i poza społecznością swoją. Papa jest strasznie na starość samotny, często narzeka na dzieci i wnuków, że mając tylu, jest tak opuszczony. Cóż, kiedy sam jest temu winien, bo kto z nas spróbuje się do niego zbliżyć, tego odpycha drapieżnością swoją, prześladuje, aż ten nie wytrzyma i znika. Nie garnie się Papa do nas wcale, obmawiając przed ludźmi, a dąży tylko w świat – do obcych.
Jednocześnie otrzymałem dziś list od Maryni. Pisze o Papie, że odetchnęła, gdy wyjechał z Wilna. Marzy Papa już nie tylko o Vichy, ale też o tym, że na Wielkanoc ujrzy Ojca Świętego (papieża) w Rzymie; ta jazda Papy może się skończyć katastrofą. Jeżeli uda się Papie wyjechać, to musimy być przygotowani na to, że trzeba będzie jechać potem komuś z nas ratować Papę z nędzy i może gorszych jeszcze konsekwencji tej podróży.

27 stycznia, rok 1920, wtorek
Miałem sesję karną I instancji. Prawie wszystkie sprawy, wyznaczone na wokandzie, zostały rozpoznane, a że były długie z całymi gromadami świadków, więc sesja ta zajęła mi calutki dzień i zakończyła się o godz. 11 ½ w nocy. W liczbie rozpoznanych spraw była jedna bardzo charakterystyczna niejakiego Dąbka, oskarżonego o usiłowanie okradzenia sklepu w Łomży. Dąbek w obronie swej powołał się na szereg świadków, składający się z samych złodziei, szulerów, alfonsów i prostytutek łomżyńskich. Oprócz tego, cały światek złodziejsko-sutenersko-prostytucki Łomży zaludnił na tę sprawę salę sądową, tworząc audytorium w sprawie jednego z najdzielniejszych swoich członków. Dąbek z braku dowodów został uniewinniony.
Gazety coraz częściej podnoszą kwestię niebezpieczeństwa grożącego wojskom polskim od bolszewików, gotujących się do akcji zaczepnej względem Polaków. Coraz też częściej cytowane są przedruki artykułów prasy zagranicznej – francuskiej i angielskiej – omawiające to niebezpieczeństwo. Zdaje się, że bolszewicy po załatwieniu się z Denikinem, Kołczakiem etc. skierują istotnie swe główne siły do wojny z Polską. Pomimo dotychczasowych sukcesów oręża polskiego, sytuacja na wschodzie może się stać dla Polski rzeczywiście poważna, jeżeli nie dojdzie do *modus vivendi* z bolszewikami i jeżeli Koalicja nie wesprze wydatnie Polski przynajmniej amunicją, materiałem wojennym, umundurowaniem, finansowo i aprowizacyjnie. Tymczasem stosunek państw zachodnich do Rosji jest na rozdrożu. Z jednej strony, w Anglii są prądy silne do złagodzenia stosunku do Rosji i nawet do rozpoczęcia z nią wymiany handlowej. Z drugiej strony, budzą się w tejże Anglii poważne obawy o Indie, Persję, Kaukaz, Egipt, aby propaganda bolszewicka, poparta sukcesem ich oręża w Azji i nad morzami Czarnym i Kaspijskim, nie przeniknęła do tych krajów, wywołując w nich ruchy polityczne i powstania, groźne dla panowania angielskiego. To znów skłania Anglię do czujności i do gotowości obronnej przeciwko Rosji bolszewickiej. Stanowisko Francji jest chwilowo nie wyjaśnione. Upadek Clemenceau na wyborach prezydialnych, wybór Deschanela na prezydenta i powstanie gabinetu Milleranda stanowią pewien przełom w czynnikach polityki francuskiej. Nie wyjaśniło się jeszcze, jaki obierze kierunek polityka francuska w sprawach zewnętrznych i w stosunku do

Rosji. Tymczasem komunikaty wojenne polskie brzmią umiarkowanie. Widać z nich, że koncentracja wojsk bolszewickich się dokonywa, ale tymczasem przeważają jeszcze drobne utarczki czołowe, wywiady i wycieczki.

28 stycznia, rok 1920, środa
Kiedyś przed niespełna trzema laty (jeżeli się nie mylę – w maju r. 1917) Piłsudski w rozmowie prywatnej w salonie pp. Józefostwa Pomorskich w Warszawie, gdziem się z nim spotkał przygodnie, mówił o swojej miłości do Litwy i Wilna. O Wilnie wyraził się wtedy tak: że dla serca jego w liczbie miast jest przede wszystkim „Wilno, potem długo, długo - nic... (pauza), a potem dopiero Paryż, Londyn itd.”. Słowami tymi podkreślił, że Wilno jest dla niego tą ziemią świętą jego serca, która nie idzie w porównanie z najznakomitszymi miastami świata, z miastami, które są najwspanialszymi produktami cywilizacji ludzkiej, najcenniejszymi i najdroższymi dla kulturalnego Europejczyka. Miłość Piłsudskiego do Litwy jest miłością kraju i miłością charakterów litewskich jako wytworu historycznego, którego najwyrazistsze przejawy zna on z dziejów polskich Litwy; nie jest ona miłością Litwy narodowej, Litwy rzetelnej ludowej odradzającej się. Piłsudski jest sam dumny ze swego pochodzenia litewskiego i swoją moc woli, swoją głębię i siłę charakteru, swój upór, swoją prostą niezłomność – przypisuje zawsze swej litewskiej duszy, zaklętej w nim, w Mickiewiczach, w Kościuszkach i innych bohaterach Litwy polskiej. Ale charaktery te, jak wszelkie charaktery ludzkie, nie są samorodkami poza czasem, przestrzenią i środowiskiem. Podłożem ich jest ten lud Litwy z jego duszą i konstrukcją psychiczną, z którego tworzy się dziś także Litwa ludowa, przeciwstawiona Litwie polskiej. To przeciwstawienie polityczne nie jest jednak antytezą dwóch natur. Są to raczej dwa różne wyrazy jednej natury, dwie ewolucje, dwa kierunki, ale jedna dusza historyczna konstrukcja psychiczna i kulturalna. Piłsudski byłby prawdziwie wielkim, gdyby zdołał dokonać w sercu swym i w polityce syntezy tych dwóch wyrazów i odtworzyć Litwę jedyną, Litwę jedną. Dziś Piłsudski stoi na czele państwa polskiego, dziś zdobył on Wilno i ogromną połać tej Litwy historycznej; poza jego dziełem stoi dotychczas Litwa Kowieńska, streszczająca w sobie pierwotwór tego drugiego młodszego wyrazu – Litwy ludowej. Piłsudski dotąd jej nie ujął, nie zdołał jej pozyskać. Czy zdoła on i ją także ukochać, ująć tą miłością swoją, o której dał tak piękny wyraz w słowach swych o Wilnie i zdobyć ją, jak zdobył Wilno i polsko-białoruskie Litwy ziemie; oczywiście zdobycie jej nie da się dokonać metodą militarną przez insurekcję POW w Kowieńszczyźnie lub przez zwycięstwo wojsk polskich nad litewskimi. Wilno i Litwę polską zdobył Piłsudski nie zwycięstwem tylko zbrojnym nad bolszewikami rosyjskimi, wyganiając ich z kraju, ale też więzami stosunków sympatii i ciążeń psychicznych. Tajemnicy tej drogi względem Litwy Kowieńskiej Piłsudski dotąd nie posiadł. Czy jest już za stary, aby mógł dziś wysnuć i umiłować to, czego od młodości nie znał i nie czuł, czy istotnie prawdę rzekł Herbaczewski, że Piłsudski „nienawidzi etnograficznej Litwy”, bo jej nie rozumie, nie czuje, a w takim razie przegra swoją politykę wobec niej, czy też geniusz jego nauczy go i tej umiejętności, skojarzonej tak samo z miłością, jak się kojarzy jego dotychczasowy sukces wileński z miłością Wilna? *Voila la probleme*!
Miałem dzisiaj moją karną sesję apelacyjną w sądzie.

29 stycznia, rok 1920, czwartek
Już z listu Karola O’Rourke’a wiedziałem, że Papa zamieszkał w Warszawie u p. Józefa Pomorskiego. Papa skrupułów sobie nie robi i choć, jak wiem z listu Maryni, pisał z Wilna do p. Pomorskiego, że zamierza po przyjeździe do Warszawy zajechać do niego,

na co Pomorski odpowiedział telegraficznie, że miejsca u niego nie ma, bo dom przepełniony, Papa, nic sobie z tego nie robiąc, zajechał do niego jednak. Papa nie umie się po prostu domyślić, że może być dla kogoś ciężarem, w naiwności swojej biorąc wszelką wymówkę grzecznościową za dobrą monetę, przypuszcza, że jeżeli mu np. Pomorski odmówi mieszkania, powołując się na to, że Papie będzie tam niedogodnie, to tak jest w istocie, a nie to, że to jest niedogodne dla Pomorskiego. Znajdzie więc na tę wymówkę prostą odpowiedź, prosząc, aby się Pomorski nie ceremoniował, bo Papie i tak dobrze będzie.
Otóż otrzymałem dziś list od Pomorskiego tej treści:
„22 I 1920. Natolińska, 4. Kochany Panie Michale!. Piszę w sprawie następującej: przed paru dniami przyjechał do Warszawy Ojciec Pański i wybiera się w dalszą podróż do Francji i Rzymu. Stan umysłowy Jego jest niedobry, określiłbym go jako półświadomość, w tym stanie podróży sam przedsiębrać nie powinien. W dodatku robi mi wrażenie, iż pieniędzy nie ma, a mówi o złych i dobrych sprzedażach lasu, rozmowy prowadzi z jakimiś Żydami, więc można by się było obawiać, że zrobi jakieś głupstwo, jako niepoczytalny. Rodzina powinna by w to wejrzeć, ja się tego podjąć nie mogę. Ojciec Pański mieszka u mnie. Jest Mu bardzo niewygodnie, bo mieszkanie moje mieści cztery osoby obce, a rzeczy dosyć dużo rozpożyczyliśmy; do tego brak Ojcu Pańskiemu towarzystwa, gdyż ja jestem bardzo pochłonięty zajęciami, córki moje też, a na szwagierki przeważnie się irytuje. Zdaje mi się więc, że byłoby konieczne, byście Mu wyperswadowali podróż zagraniczną, a rozciągnęli opiekę nad Jego ruchami, by jakiej niepotrzebnej transakcji majątkowej nie zrobił.
Pozdrowienia, ucałowania rączek pani Pruszanowskiej, ukłony dla Pana.
Józef M. Pomorski”.
W takich oto listach dochodzą nas pierwsze wieści o pierwszych tej podróży krokach Papy. Nic na to, niestety, poradzić nie możemy. Papa należy do ludzi, którym się sprzeciwić niepodobna. A że niewątpliwie nie jest zupełnie przytomny, bo do starczego niedołęstwa umysłu przybywa jeszcze, jak się zdaje, recydywa dawnej choroby umysłowej Papy, więc w takim stanie o sprzeciwieniu się Papie i o podporządkowaniu się jego naszej woli mniej niż kiedykolwiek marzyć można. Opór z naszej strony spotęgowałby jeno upór Papy. Jazda moja do Warszawy byłaby zupełnie bezcelowa, a nawet raczej – zaszkodziłaby sytuacji, nie mówiąc już o tym, że nie mam na to pieniędzy, bo jedyna drobna rezerwa gotówki zaledwie mi wystarczy ubogo na powrót do Bohdaniszek. O roztoczeniu opieki nad ruchami Papy łatwo Pomorskiemu mówić, ale niepodobna nam wykonać. Papa zawsze, a szczególnie w tym stanie, nie należy do ludzi potulnych i dobrowolnie się opiece niczyjej, a tym mniej naszej, dzieci swoich, nad którymi przywykł jeno panować i rozkazywać, nie podda, ustanowienie zaś opieki formalnej, gdyby nawet było w stosunku do osoby i majątku Papy możliwe, w co wątpię ze względu na to, że Papa nie ma obywatelstwa polskiego i że majątek (Bohdaniszki) położony jest za granicą Polski, wymagałoby długiego postępowania sądowego, na które nikt z nas nawet środków nie posiada. Pilnym byłoby wprawdzie przynajmniej oswobodzenie Pomorskiego od ciężkiej gościny Papy, co doprawdy jest bardzo przykre dla nas, ale temu zaradzić można by tylko pieniężnie, wynajmując dla Papy lokal inny. Pieniędzy zaś ani ja, ani Kotunia nie mamy.
Po naradzie z Kotunią postanowiliśmy zrobić tak: do Warszawy nie jedziemy. Piszemy do dr Zielińskiego, u którego Papa się ma radzić i prosimy go, aby skierował Papę albo do jakiegoś uzdrowiska krajowego, odradzając kurację zagraniczną, albo, co jeszcze lepiej, chociaż bodaj że niewykonalne, do jakiegoś domu zdrowia dla nerwowo-umysłowo chorych; na początek opłaciłby się koszt z pieniędzy, które Papa ma przy

sobie, a nadal można by się wystarać o pieniądze z Bohdaniszek. Prosimy O'Rourke'a, aby osobiście udał się i pokonferował o tym z dr Zielińskim.

30 stycznia, rok 1920, piątek
Stan Papy, jak się on przedstawia z listów O'Rourke'a i Pomorskiego, niepokoi mię bardzo. To już nie żarty, nie kaprys zdziecinniałego staruszka, który zechciał się rozerwać po pięciu leciech samotności w Bohdaniszkach przez czas wojny, ale jakiś pęd szalony człowieka, stojącego na granicy choroby umysłowej. Przeczuwam, że jest to początek katastrofy, która się skończy albo śmiercią Papy, albo chorobą umysłową. Etapy tej katastrofy mogą nam gotować różne bardzo przykre niespodzianki. Zaiste miałem rację, gdym przewidywał latem, obserwując już wtedy stan nerwów Papy w związku z osłabieniem jego umysłu, że najbliższe już nie lata, lecz miesiące zmuszą nas do czynnego zaopiekowania się Bohdaniszkami i Papą. Tylko że opieka nad osobą Papy jest jeszcze dziś dla nas niewykonalna, natomiast opieka nad Bohdaniszkami staje się rzeczą najpilniejszą. Jeżeli wypadnie nam ratować Papę, to środków na ten ratunek powinny dostarczyć Bohdaniszki.
Co do niebezpieczeństwa majątkowych transakcji Papy w Warszawie, o których wspomina Pomorski, to nie przywiązuję do tego wielkiej wagi. Wątpię, aby jacyś kupcy dali Papie w Warszawie pieniądze za las, którego nie widzieli i który położony jest poza granicami Polski, a nawet polskich „Ziem Wschodnich"; gdyby nawet ci kupcy, co nie jest wykluczone, zdołali się szybko skomunikować z kupcami w Kownie i przekonać o realnym tego lasu istnieniu i wartości, to jeszcze przeszkodą będzie to, że władze litewskie nie dopuszczają do prywatnych sprzedaży lasów, o czym kupcom dobrze być musi wiadomo, i że jest wielce wątpliwe, aby władze te uznały moc wykonawczą umowy sprzedaży, zawartej w Polsce. A gdyby chodziło o sprzedaż ziemi – majątku lub jego części – to, po pierwsze, nie wiem, czy rejenci w Warszawie podjęliby się sporządzenia takiego aktu na dobra zagraniczne, a po wtóre, wątpię w moc takiego aktu. A zresztą, gdyby nawet doszło do tego, to sądzę, że się obronimy, bo niepoczytalność Papy dałaby się udowodnić. W każdym razie listy O'Rourke'a i Pomorskiego, jako fragmenty dowodu, na wszelki wypadek zachowam.

31 stycznia, rok 1920, sobota
Z „Echa Litwy", dziennika litewskiego, wydawanego przez Michała Biržiškę w Wilnie po polsku, który mi redakcja stale przysyła bezpłatnie („Echo Litwy" jest dalszym ciągiem wydawnictwa b. „Głosu Litwy", zamkniętego przez władze polskie decyzją Sądu Okręgowego w Wilnie) – dowiaduję się, że wreszcie rząd litewski w Kownie (czy też „Taryba") ogłosił wybory do Konstytuanty w Litwie na połowę kwietnia. Jest to krok stanowczy ogromnej wagi. Sejm ludowy będzie stanowić najgłębszą podstawę młodej państwowości litewskiej, da jej autorytet, jakiego żadna „Taryba", ani nawet wybrany przez nią prezydent i rząd dać jej nie mogą. Być może, że do rządzenia i organizowania potrzeb krajowych Sejm nawet okaże się nieudolny, jak się to ujawniło w Polsce, gdzie wyrasta problem zastąpienia Sejmu przez jakąś dyktaturę, ale w każdym razie autorytet moralny nowej państwowości, zwłaszcza na zewnątrz, będzie przez sam fakt zwołania Sejmu, powstałego z wyborów powszechnych, bardzo podniesiony. A zresztą może Litwa zdobędzie się na Sejm bardziej zdolny do pracy, niż jest nim Sejm polski. Nie trzeba z góry być pesymistą.
Mam nadzieję, że na czas wyborów do Konstytuanty będę już w kraju.
Zaczynam spostrzegać, że jeżeli tylko nie mam już raz na zawsze pozostać w Polsce, niezależnie już nawet od tego, czy mi się uda osiąść wreszcie w Bohdaniszkach, czy nie, to już choćby dlatego jest najwyższy czas powrotu, że tutaj staje się coraz trudniej

już po prostu egzystować materialnie, po prostu żyć, a wkrótce może dojść do tego, że się tu osiądzie jak w bagnie bez możności wydostania się. Spadek waluty jest tak straszny, chaos gospodarczy i aprowizacyjny tak wielki i wzrastający po prostu z dnia na dzień, że z gotówki już prawie niepodobna żyć; żadne podwyżki pensji nie są w stanie nadążyć wzrastającej drożyźnie; najelementarniejsza wegetacja fizyczna pochłania w lot wszelką gotówkę, kapiącą z tytułu pensji; niepodobna nic zgoła zaoszczędzić na podróż powrotną, nie mówiąc już o tak niedościgłych rzeczach, jak ubranie, obuwie i bielizna, które tylko na łataninie polegają. Od grudnia stan aprowizacyjny miast pogorszył się bardzo nieznośnie. Ceny z dnia na dzień rosną, a co najgorsze – że nic z produktów spożywczych dostać nie można. Mięso, które w początku stycznia podskoczyło w cenie, znowu znikło, wędliny, których prawie dostać nie można, dochodzą już do 20 mk. za funt, słonina i smalec są jeszcze droższe, masło – do 30 mk. za funt, nawet jajko dochodzi do 5 mk. za sztukę. Kartofle, które w początku października kosztowały po 30-40 mk. za korc, dochodzą już podobno do 60 mk. Drzewo opałowe, o którym się w jesieni z przestrachem myślało, że dojdzie na zimę do 300 mk. za sążeń, kosztuje dziś przeszło 800 mk. za sążeń. Ceny żyta, bydła, koni, obuwia, bielizny, ubrania dochodzą do fantastycznych zawrotnych wyżyn i rosną jak na cudownych drożdżach. Z wielką pompą obwieszczano projekt rządowy o nadzwyczajnych dodatkach drożyźnianych dla urzędników. Obecnie Sejm już te dodatki uchwalił, ale cóż z tego, kiedy ceny na wszystko od dwóch miesięcy podskoczyły o wiele więcej, niż wynoszą te dodatki. W najlepszych warunkach (przy czworgu dzieciach) dodatki te podniosą pensję o 100 %, podczas gdy wszystkie ceny wzrosły o przeszło 100 %; czyli że urzędnik z tymi dodatkami włącznie będzie uboższy, niż był w grudniu bez dodatków. I jednocześnie z uchwałą o podwyżce płac urzędnikom Sejm uchwala emisję nowych banknotów w kwocie 3 000 000 000 (dotychczas jest w obiegu emitowanych 6 milionów), co przyczyni się znów niesłychanie do dalszego spadku wartości pieniędzy i wzrostu cen, tak że w końcu lutego ceny się zapewne znowu podwoją. Trzeba już nie tylko wyjeżdżać, ale już uciekać, póki jeszcze można. Jak jest pod tym względem w Litwie Kowieńskiej – nie wiem, z niektórych wieści prywatnych słyszę, że tam jest lepiej, że pieniądz ma lepszy kurs, ceny są znacznie niższe i obfitość artykułów spożywczych większa. Litwa w tej chwili nie toczy wojny, toteż ciężary ma nieco mniejsze od Polski, ale inne czynniki waluty też chyba nie są tam w stanie świetnym.

1 lutego, rok 1920, niedziela
Kotunia Pruszanowska otrzymała list od Maryńki O'Rourke i od samego Papy. Wreszcie Papa wyperswadował sobie jazdę na kurację do Francji. Stało się to pod wpływem dr Zielińskiego, u którego się Papa radził i któremu wierzy i słucha. Chwała Bogu, że jest przynajmniej ktoś, którego opinia jest dla Papy miarodajna. Ale Papa zawsze był taki, że gdy komuś wierzy, to go słucha potulnie jak baranek, ale cała rzecz w tym, że niełatwo mieć tę wiarę u Papy. Dr Zieliński zalokował Papę na czas jakiś (Papa się zastrzega, że na kilka dni) do kliniki dr Dydyńskiego w Warszawie. Tam zapewne będzie Papa poddany obserwacji szczegółowej, bo ma nogi zbrzękłe, będzie dokonana analiza uryny itd. Co dalej orzeknie dr Zieliński – to jeszcze nie wiadomo. W każdym razie, teraz za granicę Papa nie wyjedzie. Dr Zieliński orzekł, że o podróży za granicę zimą dla Papy ani mowy być nie może. Czy Papa zrezygnuje z tej podróży zupełnie, czy może na wiosnę znów o niej myśleć zacznie, ale czy wtedy będzie miał jeszcze jakieś pieniądze – bo sam pobyt w klinice będzie z pewnością kosztować słono, a na przysłaniu przez Hektora pieniędzy z Bohdaniszek, na co podobno Papa liczy, polegać trudno – to się okaże. Mamy nadzieję, że dr Zieliński nie puści Papy za granicę,

a gdyby już Papa chciał koniecznie kuracji, to go skieruje do jakiegoś uzdrowiska w kraju. To, co z Kotunią wiemy, to przeważnie z listów Maryńki. List samego Papy, nawet wesoły i pogodny, miejscami aż łobuzerski, jest dziwaczny i nic konkretnego właściwie nie zawiera. W liście tym odzwierciedla się charakterystyczne u Papy w ostatnich czasach przeskakiwanie z tematu na temat i brak umiejętności konkretyzowania jakichś pojęć. List Papy jest zupełnie bez wątku – jest chaosem luźnych twierdzeń, skoków pojęciowych i wrażeń.
Jeżeli Papa nie wyjedzie za granicę, to być może wróci nawet na wiosnę do Bohdaniszek. To by mi oczywiście utrudniło, a może i uniemożliwiło osiedlenie się w Bohdaniszkach. Ba, to się będę trzymał Kowna.

2 lutego, rok 1920, poniedziałek
Dziś jest poniedziałek świąteczny – tzw. Gromnicznej Matki Boskiej. W sądzie zajęć regularnych nie ma.
Zdaje się, że z aprowizacją w Łomży jest tak źle, że bokami ostatecznie robi i lada dzień postawi nas wobec perspektywy głodowej. W kraju głodu nie ma, wieś ma dużo środków żywności, ale sytuacja miast coraz rozpaczliwsza. Co to będzie dopiero na przednówku, gdy jeszcze na domiar złego wartość „pieniędzy" papierowych jeszcze kilkakrotnie spadnie. W Łomży, wśród licznych sklepów, których szyldy głoszą o handlu środkami spożywczymi lub o sztuce kulinarnej (restauracje), w najbliższym czasie błąkać się chyba wypadnie wobec takiej samej pustyni, jaką przypominam sobie w wioskach wołyńsko-polskich z mojej kampanii wojennej w jesieni r. 1915. Nigdzie nie ma nic, wszystko co było – zniszczone, zrabowane, puste. Nie ma – i dość. Ale tam przynajmniej karmiono nas z kuchni polowych, tutaj zaś nie nakarmi nikt. Nie ma mięsa, nie ma tłuszczów, nie ma chleba, nie ma wędlin. Od dwóch dni przestałem się stołować u Kotuni. Jadam w restauracji Czochańskiego. Dziś w porze obiadowej tłumy całe zgłaszały się po obiady do tej restauracji. Odprawiano ludzi z niczym, bo obiadów brakło – nie ma prowizji. Mnie, ze względu na to, że mię w restauracji znają, obiad dano, ale w drodze łaski.
Czytam teraz dzieło podróżnika szwedzkiego Swen-Hedina o podróży jego przez Azję. Kocham się w opisach podróży. Dzieło Stanley'a o podróży przez Afrykę, które niedawno czytałem i obecne dzieło Sven-Hedina – to dla mnie rozkosz największa. Sam mam do wszelkich podróży i włóczęg po świecie zamiłowanie najwyższe. Niestety – czy będę mógł jeszcze podróżować! Dziś to wykluczone, nawet po Europie. Moje marzenia o podróżach na Północy, w Azji, w Ameryce Południowej itd. – może się już nie ziszczą nigdy.

3 lutego, rok 1920, wtorek
Zwykły powszedni dzień. Nic ciekawego do zanotowania.
Czas płynie. Oto już jesteśmy w lutym. Za niespełna cztery tygodnie będzie marzec, to znaczy termin, w którym pragnąłbym wyjechać z Łomży. Nic dotąd nie słychać w sprawie mojej dymisji. Znając praktyki warszawskie w Ministerium Sprawiedliwości, wiem, że tam takie rzeczy, jak nominacje i dymisje, ciągną się miesiącami, toteż nie bardzo już liczę na to, aby na 1 marca dymisja moja była podpisana. Trzeba byłoby energicznych starań w Warszawie, aby dymisję przyśpieszyć. Tych jednak czynić nie będę, bo ze względów materialnych nie mam nawet możności pojechania do Warszawy. Jeżeli w marcu nic jeszcze nie będzie słychać o mojej dymisji, to wyjadę w drodze urlopu i może nawet nie czekając ostatecznie formalnej dymisji – czmychnę prosto do Kowna lub Bohdaniszek.

4 lutego, rok 1920, środa
Miałem dziś sesję apelacyjną. Były same sprawy leśne, ogółem – 13 spraw. Tak się już w te leśne sprawy wprawiłem, że sądzę je „balonem". Od godz. 10 do godz. 1 sesja była zakończona. Sprawy o defraudacje leśne zwykle napływają w apelacji całą gromadą z jednego sądu i często cała plika spraw jest bliźniaczo do siebie podobna: ci sami świadkowie, jednobrzmiące protokóły i jednobrzmiące wyroki, a nieraz i jednobrzmiące skargi apelacyjne, napisane „na jedne kopyto" przez jakiegoś pokątnego doradcę. Sprawy tego rodzaju – leśne – najliczniejsze w apelacji – wpływają i są u nas sądzone całymi sesjami.
Sędzia Chabowski hula sobie w Warszawie. W sobotę pojechał do Warszawy na parę dni i miał wczoraj powrócić, ale go dotąd nie ma. Zebrało się już u niego sporo zaległości; ma do umotywowania wyroki apelacyjne jeszcze z 14 stycznia. Chabowski pracuje dość wolno, ale sędzia z niego dobry, staranny, umiejętny, nie fuszer. Jako towarzysz –- jest bardzo miły. Polubiłem go szczerze i gdy go teraz nie ma – czuję brak. Pracuje on bowiem w moim gabinecie, gdzie ma swoje biurko, toteż przeważnie większą część dnia spędzamy razem. Chabowski jest rodowitym Mazurem – z Płockiego. U nas na Litwie wyobrażamy sobie Polaków z Królestwa, tzw. Królewiaków, czyli, jak u nas nazywają – Koroniarzy, za specjalny typ blagierów, pyszałków, lekkoduchów, pełnych płytkiego samochwalstwa, fałszywej ambicji („honoru") i pustki moralnej. Sama nazwa „Koroniarz" brzmi w naszych ustach i uszach lekceważąco, niemal pogardliwie. Niejeden nawet z najfantastyczniejszych Polaków litewskich uważa „Koroniarzy" za gatunek ludzi o wartości tradycyjnie ujemnej. Zwykle też skłonni jesteśmy do rozciągania tego pojęcia w ogóle na Mazurów. Tymczasem z obcowania bezpośredniego z Mazurami przekonywam się, że pojęcie to jest w dużym stopniu przesądem i jest niesprawiedliwie krzywdzącym Mazurów. Okręg łomżyński – to przeważnie Mazowsze. Otóż Mazur ma w sobie dużo cech dzielnych charakteru, a nawet ma nieraz twardy upór godny upartego Litwina. To, co my nazywamy „Koroniarzem" w ujemnym znaczeniu, to charakteryzuje, zdaje się, głównie Warszawiaków i to tylko pewien gatunek, pewien typ specjalny w Warszawie. Chabowski jest z wielu względów Mazurem bardzo charakterystycznym, tak psychicznie, jak nawet fizycznie, a jednak ani blagierem, ani zarozumiałym, pyszałkowatym i lekkomyślnym nie jest. Z elementów lekkomyślności jest u Mazurów, zdaje się, tylko jeden rys wyraźny: wrażenia zewnętrzne dotykają ich rzeczywiście dość powierzchownie, nie są przez nich głęboko przetrawiane, nie żłobią ich duszy, tak jak się żłobi nimi dusza ludów np. północnych. Wrażenia te, jak również własne ich przeżycia wewnętrzne, stanowiące produkt ich myślenia i czucia, spływają po nich jakoś powierzchownie, nie rysując ich jaźni. Daje to im bodaj większą łatwość życia, czyni ich typ mniej tragicznym, może nawet stanowi o ich odporności większej. Ale ta pewna lekkomyślność, raczej „nieprzenikliwość" jaźni mazurskiej, łatwość życia i zastosowania się do okoliczności bez głębokiego przetrawienia się wewnętrznego – daleką jest od naszego pojęciowego typu karykaturalnego „Koroniarzy". Chabowski te cechy ma także.

5 lutego, rok 1920, czwartek
Chabowski wrócił z Warszawy; załatwił mi bardzo pilny i ważny sprawunek: przywiózł mi tytoniu, w który będę zaopatrzony teraz dzięki niemu chyba aż do mego wyjazdu. Opowiada o drożyźnie w Warszawie, o strasznym głodzie mieszkaniowym, który doprowadza do fantastycznych podobno cen za ustąpienie mieszkania (są wypadki, że za ustąpienie mieszkania z czterech pokoi w śródmieściu, bez mebli proponują lokatorom po 40 000 mk.!), wreszcie o szalonych brudach i niechlujstwie w Warszawie,

na ulicach, w podwórzach i na klatkach schodowych z powodu strajku stróżów, który trwa już czwarty tydzień, tak że niezamiatane ulice i chodniki są zawalone gromadami śmieci, brudów, nawozu, błota i tającego śniegu, a schody po domach – w błocie, w śmieciach itd. W Warszawie najwięcej się teraz mówi o perspektywach pokoju z bolszewikami. Powrót z Paryża i Londynu ministra spraw zagranicznych Patka przyśpieszy wyjaśnienie tej kwestii. W najbliższych dniach sprawa ta będzie omawiana w komisji sejmowej z związku z ostatnimi parokrotnie ponawianymi propozycjami pokojowymi bolszewików i z relacją Patka o stanie rzeczy w Paryżu i Londynie. Chabowski miał dziś siedzieć na sesji karnej I instancji, ale z powodu opóźnienia jego powrotu sesję tę wziął Skarzyński. Zresztą Skarzyński na pewno nie ma o to pretensji do Chabowskiego, bo na sesji tej są dość grube sprawy, których Skarzyński żałuje ustąpić komukolwiek. To tylko przez pewien ekiwok wypadło Chabowskiemu usiąść na sesji dzisiejszej, którą Skarzyński był przygotował dla siebie. Skarzyński jest po prostu dziecinnie zazdrosny o sprawy, które sam chce sądzić. Jak tylko jest sprawa grubsza, ciekawsza, bardziej sensacyjna, w której jest większe pole do popisu, w której zwłaszcza np. mają występować wybitniejsi adwokaci, jak Hanusowski z Łomży albo tym bardziej jakiś adwokat z Warszawy, to już Skarzyński takiej sprawy z rąk nie wypuści. Nie wiem, czy dziewczyna potrafi być zazdrośniejsza o swego kochanka, niż Skarzyński o swoje sprawy. Po prostu drży o nie. Dla innych sędziów, którzy zmuszeni są z nim współpracować, nie jest to zaleta przyjemna: jeżeli chodzi o ilość i ciężar roboty, to mogą oni na tym nawet korzystać, bo Skarzyński im pozostawia łatwiejsze sprawy, ale jeżeli chodzi o jakość roboty, to stanowczo tracą, bo dostają im się tylko sprawy, dla których szkoda wysiłku. Dla mnie, poza moimi względami natury ideowej, które mię skłaniają do powrotu do Litwy, jest to jeszcze jeden wzgląd nowy do ucieczki z Łomży. Mam zdolności prawnicze wybitne, talent sędziowski i literacki, który nadaje wyrokom moim w opracowaniu motywów wartość dużą; otóż szkoda tych zdolności i tego talentu na podrzędną rolę w prowincjonalnej Łomży w cieniu Skarzyńskiego, który co lepsze – zagarnia dla siebie, korzystając ze swej prerogatywy pierwszeństwa i depcząc zasady koleżeńskiego podziału pracy. Skarzyński liczy się trochę ze mną i wyznacza mi sprawy cokolwiek ważniejsze i ciekawsze od tych śmieci, które spycha na Chabowskiego. Ale zawsze są to u mnie tylko sprawy bardzo przeciętne. Wielkich, głośnych spraw Skarzyński nie ustępuje nikomu, monopolizuje je wyłącznie dla siebie. Korzysta on albo z lenistwa swoich współpracowników-sędziów, jak to było z Duszyńskim za czasów pracy tegoż w wydziale karnym w r. 1918, bo Duszyński żadnych ambicji nie miał i chodziło mu li tylko o to, aby jak najmniej mieć roboty – albo z delikatności, jak u mnie, że mi przykro było rozpoczynać z nim walkę o przełamanie jego przywilejów i zdobycie sprawiedliwego podziału pracy. Woli też dzięki temu Skarzyński być pierwszym w Łomży, gdzie w wydziale karnym udaje mu się dotąd być samowładnym kacykiem, korzystającym z potulności kolegów, niż być pośledniejszym sędzią np. w Warszawie. Chciałbym jednak, żeby kosa Skarzyńskiego trafiła na kamień oporu. Liczyłem, że gdy będziemy we dwóch z Chabowskim i o ile Chabowski okaże się sprężystym i ambitnym, przeciwstawimy się Skarzyńskiemu i wywalczymy zmianę tych stosunków. Wobec dymisji mojej zaniechałem już tego oczywiście, bo mi już wszystko jedno. Miałem dziś wieczorem w sądzie wizytę kochanej panny Cezarynki Kokoszko, mojej dawnej współpracowniczki i przyjaciółki z głównej Komisji Wyborczej.

6 lutego, rok 1920, piątek
Są słowa i zwroty, które w mowie ludzkiej budzą namiętności polityczne i nabierają cech takiej lub innej zasady. Oto kilka przykładów.

1. Za czasów panowania rosyjskiego był spór polityczny o brzmienie nazwy Wilna w języku rosyjskim. Rosja urzędowa przyjęła nazwę w brzmieniu (w przypadku pierwszym): Wilna. Polacy upierali się przy brzmieniu nawet w języku rosyjskim: Wilno. Chodziło o tę jedną literę – końcówkę: Wilna czy Wilno. Pozornie Rosjanie mogli się powoływać na prastare białoruskie, a więc krajowe, brzmienie tej nazwy: Wilnia. „Wilnia" jest żeńskiego rodzaju, a więc bliższe jest temu brzmieniu „Wilna", niż polskie „Wilno", zwłaszcza że język białoruski, jest bardziej rosyjskiemu pokrewny, niż język polski. Zdawano sobie jednak doskonale sprawę, że Rosji urzędowej i rusyfikatorom Litwy nie chodzi ani o zasadę filologiczną, ani tym mniej o restytucję białoruskich praw ludowych, jeno o zaznaczenie i podkreślenie w samej nazwie rosyjskości stolicy litewskiej – Rosjanie bowiem, identyfikujący Białorusinów z Rosjanami, posługiwali się białoruszczyzną li tylko wtedy, gdy chodziło im o uwydatnienie rosyjskości – a więc o cele rusyfikacyjne, państwowo i narodowo imperialistyczne rosyjskie; końcówka „a" w nazwie Wilna była więc żądłem rusyfikacji, wrogim zarówno polskości, jak w ogóle wszelkim emancypacyjnym aspiracjom krajowym. Z tego względu nie tylko Polacy upierali się przy końcówce „o", mówiąc i pisząc po rosyjsku „Wilno", lecz również czynili to Litwini w języku rosyjskim, a nawet wszyscy liberalni i postępowi Rosjanie, odrzucający imperializm. „Wilna" stała się symbolem imperializmu i zachłanności nacjonalistycznej rosyjskiej na szkodę emancypacji kraju; „Wilno" negacją tegoż imperializmu. Stanowczo żaden Polak nie pozwoliłby sobie powiedzieć lub napisać po rosyjsku „Wilna". Gdyby to uczynił, miano by mu to bardzo za złe – i słusznie. Już nie słowo całe, ale jedna drobna litera w słowie nabrała wagi zasadniczej. „Wilno" – to było percepcją żywcem z polskiego. Zdawałoby się, że jak „Wilna" była atutem imperializmu rosyjskiego, tak „Wilno" mogło służyć również atutem na rzecz akcentowania polskości stolicy litewskiej, a więc konsekwentnie na rzecz praw polskich do niej, co politycznie posłużyć znów mogło imperializmowi polskiemu. Ale w tym czasie realnym był imperializm rosyjski, nie zaś polski; rosyjski był konkretnie groźny i niebezpieczny, polski – był platoniczny i mógł istnieć tylko w teorii, ale nie w praktyce, gdy państwo polskie nie istniało. Toteż nawet elementy, skądinąd nawet zasadniczo wrogie polskiej idei imperialistycznej, jak Litwini narodowcy, imali się jako narzędzia odporności przeciwko konkretnemu niebezpieczeństwu zachłanności rusyfikacyjnej – tego, co w teorii mogło wzmacniać ideę polskości Wilna i mówili po rosyjsku nie „Wilna", jeno „Wilno". Ta literka urosła do roli czynnika politycznego. Trzeba tu nadmienić, że polskość na Litwie i Białej Rusi, która dziś po państwowym odrodzeniu Polski zaczyna się stawać niebezpiecznym narzędziem podporządkowania kraju i jego ludów obcemu panowaniu, spychając kraje te do roli „kresów" w polskiej polityce na wschodzie, poprzednio odegrała bardzo wybitną rolę ochronną dla Litwy i Białej Rusi przeciwko zalewowi rusyfikacji. Do drugiej połowy w. XIX była ona jedynym niemal szańcem odpornym, przeciwstawiając się rosyjskości i organizując siły oporu krajowego. Potem do szeregu czynników ochronnych kraju przybył ruch litewski ze swą metodą ludową, ale do ostatnich jeszcze czasów polskość dużą pod tym względem i dodatnią spełniała funkcję w kraju. Tylko już po r. 1905 ruch litewski zaczął się o tyle wzmacniać, że jął lekceważyć rolę ochronną polskości kraju i dostrzegając w polskości tej ukryte żądło innego panowania, niebezpiecznego na wypadek rozkładu Rosji, zaczął się ostrzej jej przeciwstawiać. Wtedy, pod koniec okresu, waga końcowej litery w rosyjskiej nazwie Wilna poczęła maleć w opinii Litwinów.

7 lutego, rok 1920, sobota

Cudna jest w wyrazie gra miłości. Że Lusia Roszkowska mię kocha – o tym czasem wiem, to znów czasem wątpię. Gdy, miłości tej będąc pewny, jestem w stosunku moim do Lusi przez czas jakiś śmielszy, w pieszczotach bardziej stanowczy i natrętny, Lusia jakby stygnie i opór jej rośnie. Nazywam ją wtedy wieczorami, pozostając sam na sam, po imieniu i na „ty", czasem nie oponuje, pieszczę ją wpierw delikatnie, lekko, ale w miarę, jak zmysły się podnoszą i namiętność grać w żyłach zaczyna, coraz ostrzej, forsowniej, tęskniąc już konkretnie do jej posiadania bezpośredniego; wtedy opór jej wzrasta i staje się ona sztywniejsza. Wreszcie jałowość tych podniet zaczyna mię drażnić lub wprost już niecierpliwić. Postanawiam zaniechać pieszczot i utrzymać się wobec niej w ramach konwenansu zwykłego. Przestaję do niej mówić po imieniu, zostawiam ją samą, gdy wieczorami do biura przychodzi, nie pieszczę jej. Wtedy u Lusi budzi się i rośnie żal, tęsknota, depresja psychiczna, zniechęcenie, zwątpienie w siebie, ba – nawet wstręt do życia. Widzę, jak to wzrasta, aż wreszcie pewnego wieczora wylewa się to w skardze i w kryzysie nerwów. W tym stadium był nasz stosunek w dniach ostatnich, dziś wreszcie wieczorem Lusia, wysiedziawszy się sama przy pracy, samotna była i przygnębiona, a gdym wszedł do niej i zastał ją już w futerku gotową do wyjścia, zaczęła mi się skarżyć na pustkę swego życia, spowiadać z żalu i tęsknoty, choć jest dziewczyną zbyt dumną, aby mi w oczy otwarcie bądź miłość swoją bądź konkretną tych tęsknot i żalu treść wyznała... Słuchałem ją, trzymając się w rezerwie, uprzejmie i nawet serdecznie, ale sztywnie, bez sięgania do tej pieszczoty bezpośredniej, której – czułem – pragnęła. Nie wychodziła. Usiadła w futerku na skraju stołu i smutna była, cicha, walcząca między rezygnacją bierności i buntem młodej krwi, zniechęcona do życia. Czułem, że gorętszy uścisk, że powiew męskiej pieszczoty i silnego pożądania wlałby wnet cudownie energię życia w tę krew stęsknioną dziewczyny. Uspokajałem ją jednak dość banalnie, zdawkowo, frazesami o jej młodości, o uroku życia i przyszłości, które stoją przed nią, młodą, otworem, udawałem, że nie rozumiem treści jej stanu psychicznego. Dziewczyna płonęła suchym ogniem, policzki miała gorące, ale się nie zbliżałem do niej. Parę razy dotknąłem, raczej musnąłem ją ręką, alem się pieszczot nie brał. Nerwy jej wezbrały i doszły do napięcia wielkiego. Wreszcie miała już wyjść. Czekałem, by zgasiła elektryczność. Widziała, że czekam, bom stał tuż przy niej. Gdy zgasiła schwyciłem ją i prawie omdlewającą, ale broniącą się do ostatku ruchem rąk, uścisnąłem ją, ucałowałem w twarz i szukałem jej ust. Wreszcie opadła na krzesło i szlochać zaczęła lekko. Wtedy podniosłem ją i przez chwilę długo w ramionach trzymałem bez ruchu. Wtuliła twarz w ramiona moje i stała cicho, oddając się niemej pieszczocie. Wreszcie wyszliśmy na korytarz; tu się z nią pożegnałem za rękę normalnie, konwenansowo, potem raz jeszcze szybkim ruchem wziąłem w pół i uścisnąłem. Odeszła zataczając się.
Wczoraj nie dokończyłem napoczętego w dzienniku tematu. Chciałem dać kilka przykładów walki politycznej; streszczonej w walce o słowa. Omówiłem tylko przykład jeden. O dwóch innych charakterystycznych przykładach wspomnę innym razem w najbliższych dniach.

8 lutego, rok 1920, niedziela
Oto drugi przykład namiętności politycznych, wyrażonych w postaci sporu o słowo: chodzi mianowicie o to, czy po polsku należy mówić „na Litwie", czy też „w Litwie". Zdawałoby się z pozoru, że jest to kwestia obojętna, w istocie wszakże obie strony upierają się każda przy swoje formule i w utrzymanie jej wkładają treść bardzo konkretną i dużej wagi. Przypadek zrządził, że w uwydatnieniu tego sporu i nadaniu mu znaczenia, jakiego dziś nabrał, odegrałem dużą rolę. Od dawna przyjęte było mówić w języku polskim: „na Litwie". Niewątpliwie, że zwrot ten odpowiada pojęciom o Litwie,

jako prowincji polskiej, analogicznie do takich zwrotów, jak „na Mazowszu", „na Syberii", „na Kaukazie", „na Węgrzech"; wyraża to pewnego rodzaju panowanie czyjeś nad danym krajem, pewną niższość tego kraju w zestawieniu z innymi, o których się mówi: „w Polsce", „w Rosji", „w Austri", „we Francji", „w Anglii". Co prawda, nie jest to bezwzględna oznaką prowincjonalizmu kraju, boć przecie mówi się po polsku także: „w Małopolsce", „w Wielkopolsce", „w Bretanii"; ale najczęściej (poza Mało- i Wielko-Polską), mówiąc o dzielnicach Polski, używa się po polsku zwrotu „na": na przykład na Śląsku, na Kujawach, na Pomorzu, na Podlasiu – analogicznie na Litwie, na Żmudzi, na Ukrainie, na Rusi, na Białej Rusi, na Polesiu (wszakże: w Inflantach). Oczywiście dawniej, gdy Litwa z państwa suwerennego, połączonego unią z Polską, spadła stopniowo, drogą znanej ewolucji historycznej, do poziomu dzielnicy Rzeczypospolitej i tak też była w pojęciach pokoleń porozbiorowych traktowana, zwrot ten nie raził nikogo jako zgodny z pojęciami i nie zawierał żadnej tendencji dla Litwy niechętnej; powstał i utrzymywał się historycznie. W początkach ruchu narodowego litewskiego publicyści litewscy parokrotnie zwrócili na ten zwrot uwagę; ich, dążących do restauracji suwerennych pojęć o Litwie, zwrot ten już zaczął poniekąd razić; ale czynili to tylko przelotnie. Gdym w r. 1907 pisał moja książkę „Litwa", natrafiłem na odpowiednie uwagi publicystów litewskich i w małym dopisku do tekstu w pewnym miejscu mojej książki omówiłem tę kwestię jak wyżej, a ponieważ podzielałem państwowe stanowisko Litwy jako kraju samego w sobie, uznałem za wskazane przyjąć zwrot „w Litwie" jako właściwszy pojęciom, wyrażanym przez odrodzenie narodowe i w konsekwencji państwowe Litwy i jako nie przeciwny bynajmniej zasadzie języka polskiego. Poczytność mojej książki śród Litwinów spopularyzowała tę kwestię i uczyniła z niej spór zasadniczy dwóch tez. Litwini odtąd odrzucili kategorycznie zwrot „na Litwie", bojkotując go w języku polskim, nie mówiąc inaczej, jak „w Litwie" i uważając upieranie się Polaków w przeciwnym kierunku za wyraz negowania autonomicznych czy państwowych praw Litwy i wyraz imperializmu polskiego, polskiej chęci panowania. Polacy natomiast, choć większość w samej Polsce dotychczas o sporze tym nie wie i mówi bezwiednie „na Litwie" bez żadnej złej intencji – ale Polacy publicyści i inteligencja w kraju oraz ci w Polsce, którzy o Litwie głos zabierają i wiedzą o tym sporze, obstają odtąd uporczywie przy formule „na Litwie", twierdząc wprawdzie, że robią to tylko w imię tradycyjnej mowy i czystości języka w uświęconych przeszłością kształtach i bynajmniej nie myślą ubliżać przez to jakimkolwiek prawom Litwy, których taki lub inny wyraz językowy nie przesądza, ale w istocie obstają oni i działają na rzecz utrwalenia przeżytków pojęciowych, które dziś w obecnych warunkach mogą służyć roszczeniom politycznym wrogim niepodległości Litwy, stąd w tym sporze ostrym o słowo mieści się walka i namiętność dążeń politycznych.

9 lutego, rok 1920, poniedziałek
Miłość nie tylko jest piękna, ale bywa też bardzo bolesna, pełna męki i niezmiernie kosztowna dla całego organizmu kochającego osoby. Spostrzegam to na Lusi. Cierpi ona biedaczka bardzo, nerwy jej są zmęczone i smutek coraz częściej osiada na jej duszy. Należy zaś ona do tych natur dumnych, upartych i zamkniętych w sobie, które nie lubią i nie umieją się skarżyć, nie są skore do zwierzeń, nie znajdują ulgi w pospolitym sentymentalizmie i cierpienie zamykają w sobie, przetrawiając je samotnie. Są to natury głębokie i subtelne i do nich moja Lusia należy. Gdym ją ujrzał rano w kancelarii, cień smutku zalegał jej oblicze. W smutku tym znać było przygnębienie. Gdym ją spytał przy wszystkich, czy jest dziś w złym humorze, zaprzeczyła temu. Gdy potem przychodziła parę razy do mego gabinetu z różnymi papierami do podpisu

(byliśmy w gabinecie sami, bo sędzia Chabowski miał sesję I instancji), pytałem ja serdecznie, co jej jest. Od soboty, kiedym ją wieczorem przed jej odejściem uściskał, nie widziałem jej. Lusia smutna, z oczami spuszczonymi, tak bardzo różna od tej, jaką ona bywa w chwilach i dniach dobrego humoru lub choćby pospolitego stanu swego, unikała tonów i przedmiotów poufnych w rozmowie, starając się utrzymać w ramach tematów li tylko służbowych. Widziałem jednak i czułem, że ma ciężar wielki na sercu i że sztywnością sztuczną kłam zadaje samej sobie. Krótko mi wyznała, że jest bardzo smutna, że nie umie dziś o niczym rozmawiać, że wczoraj bardzo dużo „beczała". Gdym ją zapytywał o przyczynę zmartwienia i prosił, by szczerością wobec serca przyjaznego ulżyła sobie, odparła, że może by to uczyniła, gdyby była rada na jej smutek, ale jej nie ma, a zresztą – dodała – wczoraj była w stanie takim, że gdybym ją spytał, byłaby mi powiedziała, ale już dzisiaj – nie. Wieczorem Lusia, jak zwykle, przyszła do kancelarii. Miała wykończyć jakieś protokóły z sesji sobotniej. Usiadłem przy niej i spędziłem z nią tam parę godzin. Była smutna, ja byłem rzewny. Ulotnił się dawny humor i równowaga Lusi i usposobienie jej wraz ze stanem nerwów stały się nierówne od jakiegoś czasu, coraz bardziej chwiejne, niespokojne, tchnące głęboko tajoną męką. Zresztą wobec mnie Lusia prawie już stanu swego i uczuć nie tai. Wie dobrze, że je zgadłem. Zbyt to się stało przejrzystym, aby się jeszcze mogła łudzić nieświadomością moją. Nie wiem, czy jej otoczenie dotychczas jeszcze nie poznało jej tajemnicy. Czy jej stara babcia i jej ciotka nie wpadły jeszcze na trop i czy jej przyjaciółka, panna Jurago, która też pracuje u nas i jest z natury przenikliwa i sprytna, nie widzi stanu biednej kochanej Lusi? Czy istotnie tylko wobec mnie jednego ta miłość Lusi i męki, z niej płynące, objawiają się w tysięcznych znamionach jej wyrazu, nerwów, oczu itd.? – być może!, ale zdaje mi się, że widzieć to już powinni wszyscy, którzy znają Lusię i z nią się stykają. Wprawdzie dotąd Lusia nie wyrzekła nigdy do mnie ostatniego słowa „kocham", ale już w rozmowach z nią potrącamy oboje o ten temat tak blisko, tak wyraźnie, tak przejrzyście, że właściwie wyznanie stało się zbyteczne. Unikamy zresztą oboje wyznania, bo cóż ono dać może, skoro jest tak nieskończenie „*irrealisable*". Bo ożenić bym się z nią przecie nie mógł, gdybym nawet chciał, będąc formalnie żonatym, a kochanką moją być ona nie może i żoną bez ślubu kościelnego również. Choć wiem, że pieszczoty moje ją w tym stanie uczucia i nerwów męczą, jednak są one przecie jedyną osłodą i ułudą tego stosunku, bólem wprawdzie, ale bólem kochanym i słodkim; toteż pieściłem ją po kilkakroć, a od tych pieszczot przechodziłem wciąż do szukania jej pocałunku, którego mi ona – mówię o pocałunku w usta – broni. Raz nawet dotknąłem ustami jej usta, ale nie pocałowałem. W pewnym momencie, oparty o stół – schwyciłem ją w objęcia, przycisnąłem do siebie, uniosłem w górę i trzymałem tak na sobie, padła na krzesło, głowa jej zwisła na rękach, twarz ukryła w dłoniach i krótki urywany szloch, jak spazm nerwów, zaczął cicho wstrząsać jej ciałem; bałem się, że zemdleje. Potem wstała, ubrała się w futerko i wyszliśmy razem. Odprowadziłem ją aż do domu. Po co ją, mój Boże, męczę! Dlaczego nie umiem się wstrzymać od tych pieszczot i pragnień pocałunku. Wszak wiem, że stosunek nasz nie ma nadziei ani przyszłości. Z sercem dziewczyny, którego miłość dotknęła, igrać nie wolno bezkarnie! Czy bezkarnie dla mnie? Przede wszystkim – dla dziewczyny. Dlaczego więc czynię to, co ją wyczerpuje i męczy, a nasycić wszak nie może? Ba – dlaczego!? Dlatego, że jestem mężczyzną i że ją jednak – kocham! Na swój oczywiście sposób, nie po dziewczęcemu, ale nie mniej serdecznie i z subtelną tkliwością. Ta cicha, samotna, wyczerpana Lusia budzi we mnie nie tylko rzetelną wdzięczność i nie tylko podniety zmysłowe, ale z najgłębszych źródeł serca płynące, głębokie rzewne tony najczystszego ukochania, w którym łączą się instynkty najszlachetniejszego braterstwa ludzkiego z gorącym instynktem zespołu płci. Wyczuwam w niej i siostrę, i utęsknioną

kochankę, a choć ją to męczy, lepsze to jest dla niej przynajmniej od bezbarwnej wegetacji. Ból miłości jest bardzo bolesny, ale – szczęśliwy. Rychło, niestety – rozstanie.

10 lutego, rok 1920, wtorek
Wczoraj późnym wieczorem ułożyłem listek do Lusi. Tak mi jej było żal, tak mi brzmiały w sercu echa jej spazmowych łkań, którymi wyrażała ból swej bezsłownej skargi, tak byłem pełny Lusi i jej bólu, tyle męki wyczytałem w jej oczach, tyle smutku w bladości jej lic, tyle przygnębienia w upadku jej humoru i energii, że nie mogłem zasnąć, nie zrobiwszy wysiłku w celu uspokojenia jej, a przynajmniej wlania pewnego balsamu w jej bolące serce. Wprawdzie treść tego listu jest taka, że wątpię, czy zdoła on pocieszyć Lusię, bo kreśli wyrok śmierci na nasze smutne uczucie i nie pozostawia żadnej nadziei dla stosunku, ale zawiera przecie tę jedną największą rzecz, która we wszelkich okolicznościach jest najsłodsza dla osoby kochającej: wyznanie, że jest kochana! To postanowiłem Lusi dać – choćby kosztem przejaskrawienia mojej miłości. Czasami bowiem zdaje mi się, że ją kocham, jestem nawet pewny tego, a znów czasami wątpię. Zdaje mi się wtedy, że jednak uczucie moje, które niewątpliwie dla niej mam i które głębokim jest i serdecznym bardzo – miłością jednak zupełną nie jest. Listek ten napisałem wczoraj na noc w brulionie; dziś go rano w sądzie wystylizowałem i po przepisaniu włożyłem do koperty, zamknąłem i na kopercie napisałem tak: „Helenie Roszkowskiej", a niżej w te słowa: „Jeżeli Pani nie pokona ciekawości – proszę otworzyć, ale radzę zastanowić się poprzednio – czy warto? Jeżeli nie warto, proszę zniszczyć. M.R.". Lusia była rano smutna, jak już od kilku dni. Gdym parę razy zaszedł do kancelarii, siedziała u swego stolika ze wzrokiem zatopionym w akta, które załatwiała, nie odrywając się od nich, nie patrząc na mnie, nie odzywając się ani słówkiem; jej wesoły gwarny szczebiot, jej pełny ruchu, żywy i dźwięczący swobodnym śmiechem dowcip ulotnił się od pewnego czasu tak, że ani śladu go nie ma; Lusia spoważniała i stała się prawie ociężała; jej ruchy kanciaste, pełne rzutów, dla których w roku zeszłym porównałem ją do rozpowitego niemowlęcia czy też do noworodka – od dawna zginęły. Zdaje mi się, że dzieje naszego stosunku ukształciły w niej z dziewczęcia kobietę. Aż mi czasem żal tej Lusi dawnej, swobodnej, po prostu parskającej życiem i ruchami; sumienie mi nieraz wyrzuca, że jestem sprawcą tej przemiany, zabójcą młodości Lusi, winowajcą jej bladych lic, jej smutku i uciszenia się, pod którymi kryje się głęboki biedny ból. Wypłakać bym gotów mój żal na jej łonie, na klęczkach u stóp jej kochanych przepraszać i koić ją biedną, ukochaną, gdybym to uczynić mógł. Podałem Lusi kopertę z mym listem, gdy weszła do mego gabinetu i wręczyła mi jakieś papiery. Spojrzała na kopertę twarz jej na chwilę zabłysła i odeszła z listem w ręku. Czy go przeczytała – nie wiem; zapewne – tak. Nie rozmawiałem z nią potem i nie widziałem się sam na sam. Gdym potem parę razy zajrzał do kancelarii – siedziała jak poprzednio.
List mój do Lusi zaczynał się słowami: „Lusio – przebacz!". Dalej kilka wierszy o tym, że słowo napisane, choć niebezpieczniejsze, jest od wymówionego prostsze i zwłaszcza nie ma pozorów fałszu, które w słowie płynnym nieraz się być wydają. Dalej w przybliżeniu cytuję z brulionu z poprawkami już tylko z pamięci tak: „Lusio, wieczorami, gdy wracam z sądu do domu, po chwilach, spędzonych z Tobą – nienawidzę siebie i brzydzę się sobą, a żal mi gryzie serce. Nadużywam wciąż Twojej czystości i szukam zakazanego pocałunku Twoich ust. Zdaje mi się nawet, że robię rzecz gorszą, którą wyczuwam, ale o której Ci nie powiem. Dlaczego to czynię? Dlaczego, nie szanując Ciebie, nie umiem uszanować stosunku naszego! Może Ci się zdawać, że innego stosunku do kobiet nie pojmuję, że drzemią we mnie pożądania

podłe, którymi Ciebie, czystą i szlachetną, Ciebie dziewczyno, pragnąłbym skalać, gdybyś Ty mi na to pozwoliła; że poza namiętnością zmysłową nie znam uczucia i że Ciebie, złotko moje, stawiam na równi z pospolitymi lalkami lub samicami.
Przepraszam Cię ciągle i żałuję, a jednak uczynki te powtarzam i kłam zadaję słowom. Czuję, że Ty słowom mym nie wierzysz i wstyd mi przed Tobą, Lusio.
Dlaczego to robię, dlaczego nie umiem pohamować siebie, żałując potem, dlaczego i Ciebie męczę i siebie poniżam. Ba, Lusio – dlaczego...??!! Dlatego, że jestem mężczyzną i wbrew wszystkiemu – kocham Ciebie. Tak jest – dlatego. I dlatego przebacz mi, Lusio.
Wiesz, że – niestety! – miłość ta jest głupia, jest może nawet śmieszna. Głupia jest, bo jałowa, bo żadnej przyszłości nie ma. A śmieszna jest może dlatego, że sam wiek mój czyni takie uczucie spóźnione względem dziewczynki młodej jak Ty – niewłaściwym. Biedna jest ta miłość, której sam się wstydzić muszę. Pragnąłbym, by była wielką, piękną, szczytną, a jest tylko głupią i śmieszną. Ha, śmiej się, Lusio!
A zresztą – czyż nie każda miłość jest głupia i dla wszystkich, oprócz tego, który kocha – śmieszna? Wszakże jest to miłość bez nadziei i bez jutra, miłość, z której się nie narodzi życie, jeno miłość będąca grobem. Dlatego też – precz z nią! Łatwo to wyrzec, ale trudno się z tym pogodzić, gdy się kocha. Jednak trzeba, bo inaczej nie można. Trzeba z nią skończyć.
Kiedyś latem, gdym myślał o powrocie do Litwy, miłość ta zdawała mi się największą przeszkodą do wyjazdu. Teraz zaś uważam, że powinna być ona podnietą do wyjazdu, bo to jest miłość od której trzeba uciekać: miłość, której kresem może być tylko nieszczęście! Bywa miłość-szczęście; ta moja, biedna, smutna – szczęścia nie zwiastuje. Uciekać trzeba czym prędzej, Lusio. Gdyby nie było innych przyczyn wyjazdu z Łomży – ta jedna byłaby aż nadto wielka. A Ty, Lusio, bądź błogosławiona. Pozostań czysta, szlachetna, dzielna, jaka jesteś. I znajdź szczęście w życiu. Mnie przebacz, jeżelim Ci krzywdę lub ból kiedy wyrządził, zapomnij o tym. Zachowaj w pamięci swojej tylko człowieka, który Cię ukochał. Daruj, że Cię nazywam po imieniu. Michał Römer.”.

11 lutego, rok 1920, środa
Siedziałem dziś na sesji apelacyjnej, nudnej, złożonej prawie wyłącznie z oskarżeń o obelgi. Ławnikami byli: stary p. Babski z Ostrołęki, nudny, senny, słabo się orientujący w sprawach, i młody Żyd, ławnik, Pinches Geist, który po raz pierwszy pełnił obowiązki ławnika w sądzie. Przewodniczący na rozprawie odbiera zwykle przysięgę od ławnika, który po raz pierwszy przychodzi na sesję. Przysięga jest wyznaniowa. Po raz pierwszy mi się dziś zdarzyło, że ławnik, Geist, oświadczył, że jest bezwyznaniowy. Zamiast przysięgi przeto złożył on uroczyste przyrzeczenie świeckie.
Lusię widziałem dziś tylko przelotnie, zawsze tylko w obecności innych osób. Oczywiście więc w tych warunkach nie mogłem z nią rozmawiać o liście wczorajszym. Nie wiem, jaką będzie nasza pierwsza rozmowa na cztery oczy. Ja pierwszy nie miałbym ochoty zaczynać rozmowy o liście.
Mała informacja o Lusi. Jest ona, jak się okazuje, dość blisko spokrewniona z Ogińskimi z Wirszupki pod Wilnem, którzy są bliscy krewni Witolda Römera, a więc i dzieci Maryni i Witolda. Tworzy to pewien stalszy łącznik między nami z Lusią, tak że ewentualnie i w przyszłości może się kiedyś spotykać będziemy. Ogiński z Wirszupki jest żonaty z Pisankówną, która jest cioteczno-rodzoną nieboszczki matki Lusi, a więc jej ciotką. Pisankówka-Ogińska jest córką siostry „babci” Lusi, która to babcia mieszka przy Lusi w Łomży. Lusia wybiera się nawet na wakacje letnie do Ogińskich do Wilna, o ile tylko Ogińscy wrócili ze Szwajcarii, gdzie bawili od lat kilku dla zdrowia syna.

Korzystając z miejsca wolnego, przytoczę jeszcze ten trzeci przykład walki o słowa, o którym wspominałem, cytując przed kilku dniami dwa inne przykłady. Jest to spór czy walka o sam tytuł państwa polskiego – Rzeczpospolita czy Republika. W istocie jest to to samo, jako określenie prawne formy ustroju państwa. Rzeczpospolita – oznacza w gruncie w brzmieniu polskim i bardziej tradycyjnym to samo, co bardziej z cudzoziemska brzmi: Republika. Tymczasem konkretnie w różnicę nazwy wkładają ludzie różnicę tendencji. Wszyscy monarchiści i reakcjoniści oraz konserwatyści społeczni, cała prawica – mają predylekcję do nazwy „Rzeczpospolita" i nazwy „Republika" nie lubią i nie ufają jej. „Rzeczpospolita", jako nazwa tradycyjna, brzmi bardziej umiarkowanie i wyraża pewną ciągłość dziejową, która, w myśl wzorów przeszłości państwowej polskiej nie wyklucza – nawet – króla jako instytucji w konstytucyjnej organizacji władz. Tymczasem „Republika" jaskrawiej podkreśla antymonarchiczną budowę formy rządu, bardziej zbliża Polskę do szablonów powszechnych ustroju republikańskiego. Rzeczpospolita Polska, w myśl pewnych tradycji dziejowych, może nie być w ścisłym znaczeniu słowa republikańską. Republika zaś – inną być nie może. W pojęciach narodowych wyrazy te synonimicznymi jednak nie są, mimo że ze stanowiska prawna państwowego w nauce rozróżniane nie są. Lewica więc radykalna i głęboko demokratyczna lub rewolucyjna woli – Republikę. W obecnej zaś dobie wstrząśnień rewolucyjnych wszędzie się prądy rewolucyjne uwydatniają w postaci republik, które jeszcze w dodatku przybierają przydomek „ludowych" (Republika Ludowa), toteż prawica samego słowa „Republika" nie cierpi; jest ono w jej pojęciu czymś w rodzaju szmaty czerwonej, jątrzącej byka. Gdy Polska w jesieni r. 1918 wyganiała obcych okupantów i w płomieniu buchających rewolucji dookoła dreszcz rewolucyjny i ją ogarnął; poniekąd żywiołowo przyjęła się wtedy nazwa „Republiki" (rewolucyjny tzw. Rząd Lubelski przyjął już był nawet nazwę „Republiki Ludowej"). Potem w miarę wzrostu reakcji nazwa „Republiki" zaczęła być rugowaną stopniowo przez nazwę „Rzeczypospolitej". Ta ostatnia wreszcie, jako symbol ustatkowania się konserwatywnego, przeważyła. Wyroki też nasze sądowe były wydawane „w imieniu Republiki Polskiej", ale np. nasz Skarzyński nigdy nie pisał inaczej, jak „w imieniu Rzeczypospolitej"; ja zaś zawsze – „w imieniu Republiki". Teraz, gdy „Rzeczpospolita" się utarła, Skarzyński juz kilkakrotnie wytknął mi moją „Republikę", której się jednak jeszcze przeważnie trzymam. Podobna też rzecz była z nazwami różnych instytucji w Polsce, jak dawny z r. 1918 i początków 1919 – „komisarz ludowy" (porównaj bolszewickich „*narodnych komisarow*") – obecnie już „starosta", albo znienawidzony przez prawicę „milicjant ludowy". Wszystkie w Polsce stronnictwa, nie wyłączając prawicy, przyjęły epitet „ludowych", ale gdy chodzi o nazwy instytucji lub urzędów, prawicę wyraz „ludowy" przyprawia o wściekłość.

12 lutego, rok 1920, czwartek

Dziś tzw. „tłusty czwartek" (Zapusty). Nic jednak nie cechuje „tłustości" tego dnia. Nie ma tradycyjnych w Polsce na zapusty pączków, bo wypiek ich na sprzedaż zabroniony, nie ma oczywiście od bardzo dawna żadnych ciastek, nawet wędliny w mieście dostać nie można. My z Chabowskim uczciliśmy „tłusty" czwartek w ten sposób, żeśmy przed obiadem kropnęli karafeczkę wódki – na tym się skończyło.

Podobno koledzy moi, sędziowie, a zapewne do spółki z nimi i adwokatura – gotują się do uczty pożegnalnej dla mnie. Przed kilku dniami domyśliłem się z kilku oznak, że zajął się tym sędzia Duszyński, a potwierdziła mi to hrabina Łubieńska (żona sędziego pokoju), którą u Kotuni spotkałem. Dlaczego tak zawczasu się do tego zabierają? Czyżby sądzili, że istotnie na 1 marca będę już zwolniony?

13 lutego, rok 1920, piątek
Z Lusią od czasu mego listu dotąd właściwie nie rozmawiałem. Widujemy się co dzień, ale zawsze tylko w godzinach zajęć urzędowych w kancelarii w obecności innych pracowników. Sam na sam z nią nie rozmawiałem. W obecności mojej Lusia jest poważna, skupiona, zamyślona. Nie widziałem jej wesołej, rozbawionej, żartobliwej, jaką bywała dawniej. Jaką jest ona, gdy mnie nie ma – tego nie wiem. Czy rzeczywiście jest bardzo smutna, czy się tylko w powagę tragiczną wobec mnie stroi, pewna już odtąd mojej miłości i pragnąca ją utrzymać na tym poziomie melancholii i niemal rozpaczy, jakim tchnął mój list? Być kochanym każdemu jest miło, a kto wie, czy nawet sam problem miłości nie polega, jako na jednym z głównych elementów, na pragnieniu być pożądanym i tęsknionym, a więc i zdobywanym przez podobającą się osobę? Co do mnie przynajmniej, to doświadczyłem bardzo wiele razy w życiu, w moich licznych stosunkach miłości, że tym więcej kochałem, im mniej byłem pewny miłości wzajemnej, a z chwilą, gdym zdobywał pewność, że jestem kochany, miłość z mojej strony stygła i traciła te cechy ostrych tęsknot, jakie ją cechowały poprzednio, przeradzała się natomiast w serdeczne, łagodne uczucie, w którym dominującymi elementami były wdzięczność, zadowolenie i chęć utrzymania wzajemności, właściwie – pragnienie być adorowanym. Tak było zwłaszcza w moim stosunku do Anny Konupek, tak również w słabszym o wiele stosunku do Marysi Mieczkowskiej i w wielu innych. Podobne zjawisko obserwowałem w różnych fazach mojego stosunku do Lusi; zupełnie tak samo, jak względem panny Anny Konupek: gdym wątpił o jej miłości, moja miłość rosła, gdym natomiast zdobywał wzajemności pewnik – słabła, a za to rosła równolegle wdzięczność i zarazem niezmiernie rzewny żal dziewczyny, rozsadzający, zdawałoby się, piersi jak dynamit słodkiego bólu. W jednym bodaj tylko, jedynym stosunku – w wielkiej naszej z Aninką miłości – nie doświadczałem tego prawie wcale; wprawdzie i tam była szczypta tego elementu, ale tylko szczypta: o tyle, że wszelkie zwątpienia przelotne podniecały tęsknotę i jątrzyły zazdrość; miłość wszakże rosła tam i pogłębiała się we wzajemności, nie tonąc w niej i nie stając się płytszą, ale ta miłość nasza z Aninką była kwiatem naszego życia, który się powtórzyć i którego dwukrotnie ze siebie wydać człowiek chyba nie jest w stanie. Tamta miłość zresztą, jako realizująca się w zespole małżeńskim, nie możne dać miary tych rodzajów miłości, które upływają bez realizacji.
Ciekaw jestem, jakie są uczucia Lusi po liście moim. Lusia jest bardzo z natury zazdrosna w uczuciach, co zaobserwowałem niejednokrotnie w stosunku do mnie, zarówno względem np. panny Cezarynki Kokoszko w roku zeszłym, jak względem wszystkich moich dawnych miłości i związków, o których nigdy nic słuchać nie chciała i których samo wspomnienie sprawiało jej przykrość. Powyższa cecha stygnięcia miłości pod wpływem wzajemności jest u osób zazdrosnych bodajże bardziej rozwinięta. Toteż bardzo być może, że sama satysfakcja wzajemności, a raczej miłości mojej, wyrażonej w liście wtorkowym, złagodziła uczucia Lusi i ukoiła jej ból poprzedni. Triumf osiągnięty przez nią, którego wyrazem jest mój list, mógł ją zadowolić. Piętno zaś tragiczne beznadziejności tego stosunku uczuciowego działa na wrażliwość dziewczęcą podniecająco, ale zarazem interesująco, przenosząc wagę czucia z serca do wyobraźni, co oczywiście także koi cierpienie. Powaga i pewien posępny nastrój tragiczny, w jakim Lusia odtąd wobec mnie pozostaje, czy nie są także przeczuciem jej bezwiednego instynktu, że w tej atmosferze miłość moja, zarysowana tak posępnie w tym liście, trwalej i głębiej się wyryje w moim sercu, niż gdyby Lusia odpowiedziała na to serdeczną prostą wylewnością.
Lusia w paru przelotnych odezwaniach się dała mi do zrozumienia powagę swego usposobienia w stosunku naszym. Czy rzeczywiście jej poważne skupienie jest zupełnie

naturalnym – a w takim razie musiałoby ją ono bardzo boleć – czy też jest w nim trochę gry. „O czym pani tak zamyślona?” – zapytuję ją wczoraj w kancelarii w obecności innych współpracowników i współpracowniczek, widząc ją stojącą posągowo, jakby w osłupieniu jakiejś wizji ducha. „Myślę o znikomościach tego świata” – odpowiada mi głosem, jakby to było echo z martwego grobu. „Czy pani była na przyjęciu adwokatów?” – zapytuję ja wczoraj wieczorem, żegnając się z nią wieczorem w sądzie (adwokaci wczoraj, zwyczajem od lat paru, zaprosili ogół pracowników sądowych na mały poczęstunek w tłusty czwartek). „Nie, nie byłam.”. „Dlaczego?”. „Mnie nie do zabawy” – odpowiada z rosyjska Lusia głosem poważnym i smutnym. Dziś w kancelarii pokazała mi nie mówiąc słowa „parę prześlicznych wierszyków” Słońskiego ze zbiorku „Wiśniowy sad”, opiewających w kilku strofach głęboki smutek zawiedzionych bez spełnienia miłości.

14 lutego, rok 1920, sobota
Lusia była już dziś wesoła i w rozmowie ze mną swobodniejsza, bez tej posępnej powagi, pełnej tonu tragicznego, jaka ją cechowała w ostatnich dniach. Nie doszło jednak między nami do właściwej rozmowy. Na cztery oczy nie widzieliśmy się.
Dziś wypłacono nam dodatki, przyznane urzędnikom uchwałą Sejmu. Stopa tych dodatków jest zmienna, zależna od stanu rodzinnego, ja należę do kategorii tych, którzy są żonaci i mają jedno dziecko; stopa dodatku wynosi w tej kategorii 75% dotychczasowej pensji całkowitej; pensja moja całkowita wynosiła miesięcznie 1380 mk.; ponieważ dodatki są wypłacane wstecz od 1 I 1920, więc za dwa miesiące wypłacono mi dziś 1932 mk., to znaczy, że miesięcznie wypada 966 mk.; obecnie więc pensja moja z dodatkiem wyniesie miesięcznie 2342 mk. Spodziewam się, że za marzec pensję jeszcze wezmę i że tą drogą wraz z tym, co dotąd zaoszczędziłem z zeszłorocznej czternastej pensji, zbiorę do 3000 mk. na podróż do Kowna i na pierwszy czas pobytu na Litwie, zanim się tam urządzę. Ta pensja czternasta w grudniu i obecne dodatki są mi bardzo na rękę; bez tego nie wiem, jakbym się stąd mógł ruszyć.

15 lutego, rok 1920, niedziela
Płyną dnie za dniami – zbliża się już czas mego wyjazdu z Łomży. Wprawdzie terminu wyjazdu jeszcze nie określiłem, ale chciałbym już około połowy marca najpóźniej – wyjechać. Co do dymisji, to wątpię, abym miał ją w marcu udzieloną, ale ewentualnie dłużej czekać na formalną dymisję już nie będę.
Dziś u Kotuńki Pruszanowskiej, do której co dzień po obiedzie zachodzę na filiżankę rumianku, zastałem niespodziewanego gościa: przyjechała do niej na parę dni urlopu jej córka Irka, która jest urzędniczką wojskową w Słonimie. Los rozrzucił córki Pruszanowskich po całym świecie, raczej po całej Polsce i ziemiach, przez Polskę zajętych. Wszystkie one mają jakieś stanowiska przy wojsku; dla jednych wojna jest nieszczęściem, innych – wojna żywi. Dziewczyny te wyemancypowały się zupełnie i odbiegły daleko od typu panienek z rodzin ziemiańskich, życie dotknęło je, otarło o ludzi, nauczyło jakiejś cyganerii i włóczęgi bezdomnej, właściwej żywiołowi wojskowemu w czasie wojny. Musiało ono zetrzeć z nich dziewiczy puszek naiwności i nieświadomości życia, uczyniło je bardziej szorstkimi, wyznawczyniami pierwiastka siły i samowoli w stosunkach ludzkich. Atmosfera wojny i wojskowości zabija kulturę społeczną i wypacza instynkt prawa u jej adherentów – demoralizuje ludzi społecznie i cywilizacyjnie, szczególnie zaś ludzi ze świata wojskowego i w warunkach, gdy się wojna toczy poza właściwym terytorium narodowym, gdy świat wojskowy czuje się obcym ludności cywilnej kraju. Wszystko to się wyczuwa w rozmowie nie tylko z takimi oficerkami o kulturze *par exellence* militarystycznej, jak Tanajewski, ale też z

pannami Pruszanowskimi. Jest u nich pewne zdziczenie społeczne, zbarbaryzowanie się kulturalne, analogiczne do tego, które się obserwowało nawet u ludzi tak skądinąd kulturalnych, jakimi są Niemcy, za czasów ich okupacji czy to w Polsce, czy w Litwie. Cokolwiek by się mówiło o polskości tych „Kresów", jak przezwano Litwę i Białoruś w Polsce, o logiczności przemiany nazwy „Białoruś" na „Białopolska", to przecież dość porozmawiać z lada żołnierzem polskim, przyjeżdżającym od strony frontu wschodniego, a nawet z lada taką urzędniczką wojskową w Słonimiu, jak Irka Pruszanowska, aby wyczuć, jak obcym się uważa to wojsko polskie ludności miejscowej i krajowi, jak nimi w gruncie pogardza i pomiata, jak się czuje tam panem z mocy zawojowania, z mocy wojennych jak w kraju okupowanym, a nie swoim własnym!
Od paru tygodni jest już bardzo omawiana sprawa ewentualnego pokoju z bolszewikami. Opinia polska jest pod tym względem bardzo niejednolita, trudności znalezienia jakichś konkretnych formuł *modus vivendi* bolszewicką Rosją a bardzo umiarkowaną i raczej ciążącą ku reakcji, niż ku zasadom ludowym, „demokratyczną" Polską – są bardzo wielkie, gdy chodzi zwłaszcza o pokój stały, który by nie był jeno „pieredyszką" dla agresywnych dążeń rewolucyjnej Rosji i jednocześnie mógł zabezpieczyć Polskę zarówno od propagandy bolszewickiej, jak od zajęcia przez głodną Rosję wszelkich towarów, niezbędnych do odrestaurowania gospodarczego samej Polski. Trudności i przeszkody są bardzo wielkie i ważkie, ale skądinąd Polska jest tak zachwiana gospodarczo, stan miast jest tak rozpaczliwy, tęsknota do naprawy stosunków wewnętrznych tak wielka, ferment niezadowolenia w masach miejskich tak ostry, a wojsko samo przez się tak się znakomicie przyczynia do utrzymania i spotęgowania tych wszystkich zjawisk ujemnych, że kto wie, czy Polska po prostu pod groźbą rewolucji nie będzie musiała przyjąć choćby niedoskonałego pokoju, pomimo swej dotąd przewagi militarnej.

16 lutego, rok 1920, poniedziałek
Sędzia Chabowski jest bardzo dobrym nabytkiem dla Sądu Okręgowego. Należy on do liczby sędziów zawodowych z powołaniem, którzy lubią swój fach i starannością, rutyną, głęboką obowiązkowością potrafią zdobyć wielką umiejętność w trudnej sztuce sądzenia. Pomimo obniżania się poziomu i warunków organizacyjnych sądownictwa utrzymują je jednak zaletami osobistymi na poziomie funkcjonalnym wysokim. Ta okoliczność, że Chabowski, prócz wybitnych dodatnich cech powyższych, ma jeszcze tę wielką zaletę, że nie hołduje żadnym ciasnym bożkom partyjnym, ma poglądy szerokie, nie zasklepione żadnymi horyzontami formułek doktryny lub stronnictwa, ma dużą kulturę humanitarną i niezależność przekonaniową, czyni go nawet cenniejszym fachowo od sędziego Skarzyńskiego, który siebie uważa za bożka kryminalistyki w Łomży i skądinąd rzeczywiście kocha się w zawodzie sędziowskim, oddając mu siebie całego myślą, pracą i nawet namiętnością. Skarzyński ma może tę przewagę nad Chabowskim, że jest bardziej w pracy swej indywidualnie twórczy, mniej się krępuje wzorami rutyny, ale za to Skarzyński jest o wiele od Chabowskiego ciaśniejszy i ograniczony uprzedzeniami ideologii partyjnej endeckiej, której jest oddany duszą i ciałem z przekonań i nałogu. Jedną na przykład z jaskrawych przywar Skarzyńskiego jest antysemityzm, którego się nie umie w fotelu sędziowskim pozbyć; człowiek, który według własnych słów, ma większą przyjemność w zamykaniu do więzienia „Żydków", niż chrześcijan, nie może już być doskonałym sędzią; zresztą wadą u sędziego jest nawet samo to, że mu sprawia przyjemność skazywanie ludzi na kary, a Skarzyński doznaje w tym przyjemności szczególnej, graniczącej z rozkoszą, która tchnie pewnym sadyzmem. Skarzyński jest pod tym względem trochę psychopatą; kocha się on w

wymierzaniu kar, poi się władzą karania jak alkoholik spirytusem. Dla niego zawód sędziego karnego ma urok narkotyku; rozmiłowany jest nie w funkcji sądzenia, lecz w funkcji karania – a to jest brak u sędziego. Mściwy też jest, bardzo zarozumiały i stronny w sympatiach i nienawiściach, które przenosi na grunt sądzenia. Przy licznych zaletach swoich, jak pracowitość, nieustanne ćwiczenie swojej wiedzy prawniczej, wyrobienie dużej biegłości technicznej, ma on też duże braki. Jest w Skarzyńskim cudowny materiał na sędziego inkwizycji, na inkwizytora, ale na sędziego w procesie współczesnym, zbudowanym na zasadach wyodrębnienia stron (zasady kontradyktoryjne) – niezupełnie się nadaje. O zachłanności Skarzyńskiego i jego zazdrości zawodowej w stosunku do kolegów wspominałem już nieraz. Cecha ta bardzo uprzykrza współpracę z nim innych sędziów i może być nawet jedną z przyczyn, dla których inni sędziowie mogą chcieć nawet uciekać z tego sądu. Również wadliwym jest stosunek Skarzyńskiego do ławników. Instytucja ławników reprezentuje w organizacji sądownictwa w Polsce element społeczny czy też ludowy, stanowiąc poniekąd surogat instytucji tzw. sądów przysięgłych. Ławnicy są formalnie mianowani, ale faktycznie wybierani przez instytucje samorządne, jak sejmiki powiatowe i rady miejskie, wybierające kandydatów. Oczywiście skład osobisty gremium ławników odzwierciedla nastroje i przekonania tychże ciał samorządnych, a ponieważ pochodzą one z wyborów powszechnych, więc pośrednio odzwierciedla nastroje i sympatie oraz dążenia ogółu ludności. Skoro więc element społeczny został pod postacią ławników wprowadzony do sądownictwa, to sędziowie koronni powinni go akceptować takim, jakim jest, choćby się indywidualnie poszczególnym sędziom przekonania lub kierunki, wyrażane przez ławników, nie podobały. Nie powinno się fałszować tego elementu społecznego przez dobieranie na sesje wyłącznie takich ławników, którzy odpowiadają gustom i przekonaniom sędziów. Tymczasem Skarzyński stale to czyni. Żadnego ławnika Żyda lub przeciwnika politycznego nie wyznaczy na sesję I instancji nigdy. Jest on arbitralny; rządzi się w Łomży w sądzie jak szara gęś i sąd traktuje tak, jak szlachcic traktuje swój folwark prywatny.

17 lutego, rok 1920, wtorek

Był list od Maryni. Elwira wraz z trojgiem dzieci swoich jest ciężko chora na tyfus powrotny. Marynia jeździła do Elwiry do Obodowiec. Stefan bardzo jest dla Elwiry ciężki. Kotunia po przeczytaniu listu Maryni zaniepokoiła się bardzo o życie Elwiry, bo choroba ta jest bardzo uciążliwa i uporczywa oraz niebezpieczna, organizm Elwiry jest wycieńczony i poza tym nie może ona w chorobie tej się należycie zaszanować, bo musi sama doglądać chore drobne dzieci. Druga nowina z listu Maryni – że Elizka Komorowska przyjechała do Wilna. Prawdopodobnie przyjechała ze względu na Zitkę, która już od dawna bawi w Wilnie, oczekując tu na powrót brata, Julka, z niewoli bolszewickiej, i chorowała trochę. Ponieważ Zitka jest wątła i podobno nawet zagrożona suchotami, więc z pewnością Elizka, dowiedziawszy się o chorobie córki, zaniepokoiła się tym i przyjechała. Zitka jednak już wyzdrowiała i teraz Elizka korzysta z pobytu w Wilnie i karnawału, aby obwozić Zitkę po wizytach i zabawach arystokratycznych. O córce swej pisze Marynia, że jest bardzo przygnębiona i mizerna, bardzo się martwi i cierpi, a choć przed Marynią się nie skarży i nie spowiada ze swoich bólów, to jednak Marynia wie, że Ewa zrywa ze swym narzeczonym Meyerem. Biedna Ewa! Jestem do niej szczerze i głęboko przyjazny i cenię bardzo jej charakter; wiem, jak jest dumna, zamknięta w sobie i stalowo nieugięta; dla natury tak głęboko nieugiętej i samodzielnej, jak u Ewy, zerwanie zaręczyn z człowiekiem, którego kochała, jest ciosem, a jeszcze większym może ciosem są komentarze ludzkie do tego zerwania. Miłość Ewy z Meyerem urosła samorzutnie, wolą ich dwojga; niedoszłe ich małżeństwo

nie było kojarzone jako „partia”; miłość dojrzała w sercu Ewy samodzielnie, przez czas długi głęboko przez nich ukrywana od ludzi, tym serdeczniejsza, że wolna od wszelkiego interesu, a nawet przeciwna kombinacjom rodziny, która powitała niechętnie zapowiedź tego związku jako mezalians, bo Meyer jest nie tylko chłopcem ubogim, ale nie jest nawet szlachcicem i nikt w rodzinie nic dokładnie o pochodzeniu jego nie wie, a złośliwe języki posądzają go nawet o pochodzenie żydowskie. Dumna Ewa chciała zbudować związek ten, stanowiący o jej losie, na własnej miłości, bez oglądania się na jakiekolwiek względy lub ambicje rodziny. O wątpliwościach i niechęciach rodziny oraz środowiska towarzyskiego, do którego sama należy – z pewnością wie dobrze. Związkiem tym sprowokowała rodzinę, poszła dumna wbrew prądowi, nie pytając nikogo o aprobatę i radę. Rodzina przeszkód zresztą nie stawiała, bo Marynia słusznie nie uważa siebie za uprawnioną do gwałcenia formalnie woli córki, a reszta bliższej i dalszej rodziny poprzestaje na niechęci biernej i na pokątnym komentowaniu tego mezaliansu, będąc dziś zresztą tak wypadkami rozproszona i zgnębiona, że nie ma sił do prostego oddziaływania. Ale wrogą niechęć rodziny i środowiska Ewa czuć musiała niewątpliwie. Jakąż musi być teraz jej boleść, jak duma głęboka dziewczyny musi być zraniona, jeżeli teraz musi zrywać, dając triumf niechętnym uprzedzeniom otaczających. Co dla niej jest katastrofą, to dla innych jest satysfakcją. Biedna dziewczyna! Jeżeli tylko prawdą jest, że to się zrywa – bo Marynia przez swe plotkarstwo gotowa z własnych domniemań tworzyć rzekome pewniki!, ale jeżeli to prawda, to jakże nieszczęśliwa jest Ewa w tym bólu samotnym, w otoczeniu cieszącym się z jej klęski. Dziewczyna o charakterze takim jak ona powinna by chcieć w takiej chwili móc plunąć w twarz otoczeniu i zamknąć się w samotności, nie tylko psychicznie, ale i fizycznie także.

18 lutego, rok 1920, środa

Miałem sesję apelacyjną, która się przeciągnęła bardzo długo, bo aż za północ. Spraw było 16 na wokandzie; większość spraw – o umyślne uszkodzenie cudzego mienia; nie przypuszczałem, że sesja wypadnie taka długa; ale świadków było dużo, kilka spraw było dość grubych ze względu na przedmiot uszkodzenia (dwie sprawy o przebicie koni cudzych), w większości spraw stawali adwokaci, co zawsze się przyczynia bardzo do przewlekania sprawy. Za ławników miałem właściciela cukierni Krajewskiego i Żyda Hirsza Marka. Ten ostatni, który po raz pierwszy pełnił czynności, okazał się bardzo dobrym ławnikiem. W ogóle przekonałem się, że nieraz ławnicy Żydzi są doskonałymi ławnikami. Takich ławników Żydów inteligentów, jak Biały i dr Goldlust, niezbyt lubię; są oni niedbali i przesadnie skorzy do uniewinniania; natomiast tacy, jak mój Remba z Kolna lub dzisiaj Mark, Żydzi półinteligenci w znaczeniu europejskim, ale głęboko wykształceni na swoich księgach mądrości religijno-narodowej, pełni swoistej kultury, bardzo uczciwi, tchnący patriarchalizmem, są znakomitymi ławnikami, są niezwykle uważni, ściśli, mądrzy, zarazem humanitarni i bardzo skrupulatni, a ze swej wiedzy talmudycznej posiadają wybitny zmysł prawa. W liczbie spraw, dzisiaj osądzonych, była jedna sensacyjna na gruncie łomżyńskim: sprawa o pobicie p. Jadwigi Kossakowskiej, młodej działaczki demokratycznej i osoby dość ciekawej jako typ psychiczny, separatki – przez jej męża, Henryka Kossakowskiego, kasjera Banku dla Handlu i Przemysłu; zatwierdziliśmy wyrok sądu pokoju, skazujący Kossakowskiego na dwa miesiące aresztu.

Napisałem list do mego starego przyjaciela Konstantego Gordziałkowskiego. Temat wiecznie ten sam:

„...Żałuję. żeśmy się nie spotkali z Tobą i nie rozmawiali osobiście. Zawsze bowiem byłeś i pozostałeś w mej pamięci i sercu nie tylko człowiekiem, którego cenię za umysł

światły i głęboką kulturę społeczną i humanitarną, ale także przyjacielem, któremu ufam i w którego prawość i charakter wierzę, choćby nas w pewnych zagadnieniach dzieliły różnice wniosków przekonaniowych, nie wykluczające głębokiego pokrewieństwa założeń. Zresztą, z pewnością się jeszcze zobaczymy, wierzę – w innych warunkach.
Jadę do Litwy właściwej, to znaczy Kowieńskiej – do Republiki Litewskiej. Po wielu różnych wahaniach, po głębokich zwątpieniach i pesymizmach politycznych, którym ulegałem w pierwszej połowie r. 1919, zamiar powrotu do Litwy dojrzał u mnie latem i po podróży do Kowna i na wieś w Kowieńszczyznę w lipcu r. 1919 – utrwalił się w postanowieniu ostatecznym. Dla różnych jednak względów technicznych nie mogłem tego wykonać w jesieni i tak się to zwlekło aż do stycznia r. 1920, kiedy się wreszcie podałem do dymisji. Bardzo żałuję tej zwłoki, bo może nawet miałbym ewentualnie ochotę kandydować do Konstytuanty Litewskiej. Teraz się to już zrobić nie da – za późno: wybory są już wyznaczone na środek kwietnia.
Nie wiem jeszcze na pewno, gdzie i jak się zainstaluję po powrocie do kraju. Miałbym z pewnych względów ochotę osiąść na wsi w majątku, ale czy mi się to uda – to jeszcze bardzo wielka kwestia. Mój stary Ojciec żyje; jak wiesz prawdopodobnie – między mną i Ojcem zachodzą duże różnice przekonaniowe i inne, utrudniające nam współżycie, a że Ojciec jest niezwykle arbitralny i ciężki, więc, jak dotąd, mogłem być tylko gościem u Ojca. O innej roli nie mogłem marzyć. Choć się Ojciec bardzo zestarzał, a nawet umysłowo zdziecinniał, jednak usposobienie jego nie zmieniło się; przeciwnie – wpłynęło to na jeszcze większe rozwielmożnienie się jego samowoli i chęci władzy. Ale obecnie Ojca w majątku nie ma: chciał pojechać za granicę – do Vichy na kurację, potem do Rzymu, ale ugrzązł w Warszawie, skąd go lekarze nie puszczają w tak daleką ekskursję. Na razie więc do majątku będę mógł dotrzeć, ale z zainstalowaniem się tam, o ile Ojciec wróci – to chyba wątpliwe. W takim razie osiądę w Kownie i zaangażuję się do sądownictwa litewskiego. Ministerium Sprawiedliwości w Kownie jest już uprzedzone o moim powrocie. Dalszych szczegółowych projektów i programów politycznych nie mam. Trudno je układać z daleka.”. Dalszy ciąg jutro.

19 lutego, rok 1920, czwartek
Dokończenie listu do Gordziałkowskiego:
„O zaangażowaniu się moim do jakiejkolwiek działalności w Zarządzie „Ziem Wschodnich” nie ma mowy. Byłem zawsze przeciwnikiem koncepcji „Kresów” i jestem nim obecnie. Polityka „kresowa” Polski będzie zawsze, zdaniem moim, polityką imperializmu i klas uprzywilejowanych, polityką „*ancien regime'u*” społecznego i politycznego na tych ziemiach. Inną ona tam być nie może, choćby ją wykonywał rząd PPS-owski, zasiadający w Warszawie. Podłożem panowania Polski na Litwie i Białej Rusi będą z konieczności zawsze obszarnicy i na nich się tam polityka polska oprzeć zawsze ostatecznie musi. Ruchy ludowe nie będą tam, poza drobnymi oazami lokalizmów, ruchami narodowymi polskimi. Toteż panowanie Polski na Litwie i Białej Rusi będzie się musiało przeciwstawiać ruchom ludowym i będzie uwsteczniało rozwój tych krajów, uwsteczniając zarazem wewnętrzny rozwój samej Polski. Zakładanie przez Polskę swego imperium narodowego na „Wschodzie” – a taka jest zawsze polityka „kresowa”, polityka metropolii względem kolonii – nie wyda plonu dobrego ani dla Polski, ani dla „Kresów”. Jeżeli Polska się będzie upierać, by rolę swą wobec Litwy i Białej Rusi na zasadach „kresowych” utrzymać lub jeżeli nie zostanie z tej roli wyparta przez jakieś czynniki zewnętrzne, to *a la longue* źle na tym wyjdzie. Zgotuje ona sobie porażkę na tych ziemiach kresowych. Obecny stosunek do niej Litwy (mówię o Litwie narodowej) stanie się po niejakimś czasie powszechnym stosunkiem ludności tych

„Kresów" do Polski. A panować trwale nad jakimś krajem przeciwko jego ludności – niepodobna. Wszystkie tego rodzaju „imperia", czy to będzie tureckie, czy rosyjskie, czy nawet niemieckie, czy powiedzmy – angielskie (Irlandia) – rozsypują się. Pod tym względem złudzeń nie mam i nie miałem.
Polska tylko o tyle osiągnęłaby korzyść rzetelną ze związku ze „Wschodem", o ile wyrzekłaby się tam polityki narodowej (nacjonalistycznej) i natomiast z wyżyn perspektywy państwowej (rzeczywistej racji stanu) uznałaby prawo i żywotność ruchów ludowych, których pierwszym zwiastunem był na tych ziemiach ruch litewski i pierwszym wykwitem, pierwszą dokonaną formacją – młoda Republika Litewska (Kowieńska) – i nie tylko uznała, ale także zsolidaryzowała się z nimi i podała im dłoń pomocną, choćby kosztem obszarników polskich i przeto kosztem narodowego stanu posiadania polskiego. Zyskałaby tą drogą entuzjazm miłości i wierności tych młodych ludów, wspaniale by tam autorytet swój i wpływy zasadziła, które by ją sowicie wynagrodziły za straty w stanie posiadania, zbudowałaby przedmurze swojej własnej państwowości na wschodzie i u siebie samej uzdrowiłaby stosunki przez osłabienie wpływów reakcyjnych wewnętrznych, zasilanych bardzo poważnie „narodowym" tchnieniem obszarników z „Kresów".
Wiem, że myśli powyższe są bardzo dalekie od możliwości realizacji w Polsce. Nie jest to zresztą jakąś specyficzną właściwością Polski. Polacy są nie lepsi i nie gorsi od innych narodów. Prawdopodobnie każdy kraj i każdy naród w tych samych, co Polska, warunkach, dokonałby tego samego, co ona, błędu polityki „kresowej". Wszystkie bowiem demokratyczne „racje stanu" narodów współczesnych dążą po linii najmniejszego wysiłku, który nie zawsze jest wysiłkiem najpłodniejszym – i stąd taki chaos i taka anarchia w stosunkach międzypaństwowych. Wszak gdyby nie zależność polityczna i zwłaszcza gospodarcza od kilku potęg Koalicji, to cały środek, południe i wschód Europy zaroiłby się natychmiast od wojen bez liku, stałby się po prostu widownią *„bellum omnium contra omnes*"!
Pomimo wszelkich frazesów, a nawet poniekąd słusznych zarzutów względem tzw. „Taryby", młoda państwowa Litwa dzisiejsza jest na ziemiach b. W. K. Litewskiego pierwszym widomym organizującym się symbolem odżywczych prądów ludowych. Ona stanie się wzorem dla całego kompleksu tych ziem. Nie Rosja i nie Niemcy, i nie Polska – lecz Ona. I dlatego nie waham się twierdzić (za Herbaczewskim), że stosunek Polski do Kowna jest probierzem tego, czy Polska wojnę wschodnią wygra czy przegra. Leon Wasilewski sądzi, że flirtem z Łotwą ponad głową Litwy uratuje zasadę koncepcji i polityki „kresowej" Polski. Złudzenie! Gdyby nawet Polska pokonała militarnie Litwę Kowieńską i zaanektowała ją, nie zmieni to sytuacji. Przypominałoby mi to czyn Xerxesa, który wychłostał morze za karę swych niepowodzeń.
Mam wrażenie, kochany Konstanty, że Ty jesteś innego niż ja zdania. Jestem jednak bardzo mocny w moim przekonaniu.
Powiadasz, żeś kiedyś radził Osmołowskiemu, aby mnie zaangażował na komisarza wileńskiego. Odmówiłbym mu. Osmołowski wie o tym, choć mi takiej propozycji nie czynił. Wie on bowiem dobrze, że miałem z o wiele wyższego źródła propozycję jeszcze w marcu i kwietniu do odegrania roli o wiele wybitniejszej, niż komisarza wileńskiego. Zgodę moją uzależniłem od porozumienia się z Kownem i w tym celu w kwietniu jeździłem do Kowna. Do porozumienia nie doszło, jednak nie z winy bynajmniej wyłącznie Litwinów. Teraz wracam do Litwy" – następuje pożegnanie i koniec listu.

20 lutego, rok 1920, piątek

Dnie biegną, coraz bliżej do mojego wyjazdu, który, o ile nie otrzymam dymisji na 1 marca, określam na czas między 10 a 15 marca. Gdybym zaś otrzymał dymisję na 1 marca, to wyjadę wcześniej. Choć mi już pilno wyjechać, jednak nie będę się gniewać, jeżeli na 1 marca dymisji jeszcze mieć nie będę; w takim razie bowiem wezmę jeszcze pensję za marzec i, wyjeżdżając w połowie miesiąca, będę miał z tej pensji zaoszczędzonych jeszcze z tysiąc marek na podróż, co, razem z zaoszczędzonymi na ten cel dotąd, wyniesie około 3500 marek. Liczę, że z półtora tysiąca wydam na koszta wyjazdu z Łomży i na samą podróż do Kowna, włącznie z postojem w Wilnie, a do 2000 będę miał jeszcze po przyjeździe do Kowna, co jest niezbędnie potrzebne, abym się tam nie znalazł bez grosza, zmuszony do natychmiastowego przyjęcia pierwszej lepszej posady. Pieniądze, dające niezależność, teraz się dopiero nauczyłem cenić, gdy ich mam mało i gdy stały się one tak tanie, że się ich nastarczyć nie można. Co do samego wyjazdu z Łomży, to o ile nie będę miał w marcu dymisji, poproszę w sądzie o urlop. Dłużej już odraczać wyjazdu i czekać na dymisję – nie mogę.
Bardzo ciekawy stał się w ostatnich czasach stosunek Łotwy do Polski i Litwy. Łotwa zaczyna się stawać pupilkiem Polski i narzędziem w jej ręku do zrealizowania bałtyckiego programu Polski, zmierzającego z jednej strony do odegrania roli protektorki państewek bałtyckich, ich *leaderki* naturalnej w wielkim sojuszu „od morza do morza", co zarówno gwarantowałoby wszystkich członków związku od niebezpieczeństwa Rosji i Niemiec, jak zapewniło Polsce korzyści dostępu do morza w Zatoce Ryskiej, z drugiej strony – do zabezpieczenia sobie posiadania Wilna i Białej Rusi Zachodniej przez złamanie oporu Litwy. Sama idea bloku ludów „od morza do morza" – wielka idea jagiellońska – idea Rzeczypospolitej wolnych narodów – jest piękna i wartościowa, choćby się miała ziścić pod przewodem Polski. Ale Polska, hołdując tej idei w osobie Piłsudskiego i najlepszych swych mężów, wybiera drogę fałszywą, która ją do celu tego nie prowadzi i sieje zamęt na wschodzie. Droga tej idei – to nie zagarnięcie Wilna i cząstek Litwy i Białej Rusi, z ofiarowaniem łaskawej protekcji resztkom, którym się raczy przyznać połowiczną niepodległość, lecz zrzeczenie się polityki „stanów posiadania" kresowych, opartej z konieczności na podwalinach reakcji społecznej w zagarnianych terenach, lojalne uznanie wolności samodzielnych ludów, organizujących się, jak się im podoba i zwłaszcza – nie wygrywanie jednych przeciwko drugim. Ale gdy się za wykonawcę wielkiej idei używa ludzi takich, jak Leon Wasilewski, ludzi małej miary, wierzących w skuteczność intrygi w zjawiskach, które mają moc procesów dziejowych – dzieło musi chybić. Wasilewski w metodach z Łotwą i w zabiegach na konferencji bałtyckiej w Helsingforsie usiłuje pozyskać na rzecz polityki polskiej Łotyszów i, wiążąc Łotwę do rydwanu polskiego, nazywając jej pragnienia i faworyzując jej zachcianki, uczynić z niej taran do rozbicia oporu osamotnionej Litwy. Tą metodą Polska Litwy nie pozyszcze, a sprytna Łotwa po nasyceniu swych ambicji i apetytów i po wyzyskaniu pomocy polskiej, nie powie „dziękuję" i pójdzie swoją drogą, a jeżeli jej trzeba będzie, to nawet kopnie protektorkę. Litwę zaś to rzuca pod skrzydła protekcji angielskiej, rozbijając dzieło wielkiego związku „od morza do morza".

21 lutego, rok 1920, sobota
O błędach polityki polskiej na wschodzie, o jej niekonsekwencjach i o szkodliwości opierania tak odpowiedzialnej akcji na ludziach tego pokroju, co Leon Wasilewski, dużo można by mówić. Dlaczego np. prasa polska, i to nie tylko endecka, jawnie i konsekwentnie nacjonalistyczna i zaborcza, ale ta niby lepsza „demokratyczna", ta niby popierająca program Piłsudskiego, wciąż insynuuje Litwie wysługiwanie się Niemcom, kiedy Litwini dawno już z Niemcami zerwali, wygnali samodzielnie oddziały

pseudorosyjskie, a właściwie germańskie czy germanofilskie Bermondta, opierają się o Anglię, a wreszcie zwołują Konstytuantę, likwidując już ostatecznie formację „Taryby"? Dlaczego Polacy nie kwestionują stolicy Łotwy w Rydze, a Estonii w Rewlu, choć miasta te są w większości niemieckie, dlaczego nie kwestionują wcielenia do Polski Grudziądza, który jest niemiecki i pożądają niemieckiego Gdańska, przyznają Łotwie całe tzw. Inflanty Polskie z Dyneburgiem, choć ten ostatni ma chyba mniej jeszcze Łotyszów, niż Wilno ma Litwinów, a natomiast zwalczają zaciekle, jako wyraz dążeń zaborczych, wszelkie pretensje Litwy już nie tylko do stolicy – Wilna, ale do każdego skrawka terytorium na pograniczu polsko-litewskim lub poza obecną linią demarkacyjną polsko-litewską w Ziemi Wileńskiej? Dlaczego? Jeżeli chodzi o nacjonalistów polskich, o endecję, wyznającą zasady imperializmu polskiego, czyniącą to zresztą jawnie i szczerze, nie uznającą żadnych innych praw państwowych na terytorium b. Rzeczypospolitej (poza bardzo zwężonym terenem etnograficznym litewskim i poza dalszymi terenami Ukrainy Kijowskiej), prócz praw państwowych Polski, to zwalczanie Litwy i Litwinów jest z tej strony zrozumiałe i konsekwentne. Ale jeżeli się pragnie rzekomo związku wolnych narodów, ligi czy bloku państw dla kooperacji obronnej, gospodarczej i kulturalnej, jak to głoszą wyznawcy polityki Piłsudskiego, to jak usprawiedliwić tę podwójną naturę: jedną w stosunkach spornych, zachodzących między Polską a ludami, powstałymi na terytorium b. Rzeczypospolitej, na które rozciąga swe aspiracje Polska, a inną – do wszelkich innych stosunków, jak łotewskie, estońskie, polsko-niemieckie, polsko-czeskie itd.? Oczywiście nic w tym nie ma innego, jak żądło tegoż imperializmu, jeno zamaskowane. Tam, gdzie Polska może aspirować do własnego utuczenia się państwowo-terytorialnego, tam się nie widzi i nie chce uznawać tego, co się widzi doskonale i o czym się woła głośno i pięknie w imię haseł sprawiedliwości i wolności tam, gdzie się na nie bezpośrednio pretendować nie może. I czy się przypuszcza, że tej niekonsekwencji nie dostrzegą Litwini, a nawet inne ludy, bezpośrednio nie zainteresowane, i że wniosków stąd nie wyciągną? Tą drogą oczywiście się związku nie zbuduje; zbudować można jeno twór gwałtu, twór przemocy; czy on jest gorszy czy lepszy od tworu związkowego – to rzecz zapatrywań, ale chcąc coś budować, trzeba przecież działać realnie i dobierać środki do celów, materiał i technikę budowy do zamierzonych planów konstrukcji. Nie można naiwnie wierzyć, że tandeta jest arcydziełem, że „jakoś tam będzie", że coś się zbuduje jak „*Deus ex machina*", choć się nie będzie rozumnie stosowało do zamierzeń – środków celowych. A taki właśnie brak rozumnej celowości środków i metod działania cechuje całą politykę PPS-owską w Polsce, politykę zresztą w ogóle wyznawców koncepcji związkowej na wschodzie (program Piłsudskiego). Endecy są ściśli i mają zmysł konsekwencji i celowości. Ich przeciwnicy w Polsce są w polityce zewnętrznej (czy li tylko zewnętrznej?) połowiczni i dwoiści, niekonsekwentni i dziwnie – są intrygancko-naiwni. Toteż albo zwycięży koncepcja endecka, albo jeżeli się wbrew niej coś stanie, to w każdym razie mocą jakichś procesów ubocznych, ale nie działaniem tych „polityków" fantazji, którzy są jak wielkie dzieci i czyniąc błazeństwa, wierzą, że tworzą dzieło wielkie; oni nic właściwie nie tworzą, jeno brużdżą. Brużdżą i endekom, i własnej koncepcji swojej.

22 lutego, rok 1920, niedziela
Gazety przed paru dniami przyniosły wiadomość o wystąpieniu ziemian kowieńskich z deklaracją lojalizmu względem Litwy. Deklaracja ta zapewnia uroczyście, że ziemianie Polacy w Ziemi Kowieńskiej uważają się za prawowitych obywateli Litwy, stoją mocno na gruncie niepodległości ze stolicą Wilnem. Wśród nazwisk ziemian, podpisanych na deklaracji, figurują: Edward Kudrewicz, Władysław Komar z Bejsagoły, Dominik

Dowgiałło z Siesik, mój towarzysz kwietniowy w Kownie Łukomski, Oskar Rutkowski i inni. „Echo Litwy”, litewski organ Biržiški w Wilnie, wita serdecznie ten krok. Natomiast endecki zachłanny „Dziennik Wileński” Obsta pieni się ze złości, proklamuje akt ten za zdradę narodową ze strony garstki zaprzańców, którzy się oddają „Tarybie” i którym p. Obst odmawia nawet tytułu Polaków (ciekaw jestem, kto ma większe w kraju tytuły do kultury polskiej i do przemawiania w sprawach krajowych – pan Obst, przybysz pono z Inflant Polskich, dość świeżo upieczony Polak z bardzo niedalekim pochodzeniem germańskim, czy panowie Dowgiałło, Komar, Kudrewicz, autochtoni kraju od wieków i pokoleń, uczestnicy historycznej twórczości polskiej w kraju, krew z krwi i kość z kości kraju i ludu, choć należący do jego arystokracji ziemiańskiej?). Pisma endeckie w Warszawie, inspirowane przez naszego dawnego J. Hłaskę z „Kuriera Litewskiego”, nie omieszkały oczywiście powtórzyć za Obstem potępienia dla ziemian kowieńskich. Co jednak jest najtragiczniejsze w tej inicjatywie deklarantów ziemiańskich, to to, że, jak słusznie stwierdza „Echo Litwy”, będą oni z obydwóch stron niezrozumiani. Nacjonaliści polscy w Wilnie i Warszawie rzucili się na nich, wołając o zdradzie, Litwini zaś w Kownie, nieufni z natury narodowej, zrażeni licznymi przykładami niekonsekwencji między uroczystym frazesem Polaków litewskich a konkretnymi czynami wielu spośród nich, nawet takich, którzy nie mniej stanowcze deklaracje już wyrazili i – dodam – uprzedzeni niechętnie do ziemian jako takich z tytułu swych radykalnych i demokratycznych założeń społecznych – nie przyjmą deklaracji tej z entuzjazmem na kredyt, przeciwnie – z rezerwą, oczekując na sankcję czynów realnych i posądzając manewr przedwyborczy. Rzeczywiście, pozycja tych lojalnych państwowców ziemiańskich w Litwie Kowieńskiej dalej jest przykra i dwuznaczna; są oni między młotem i kowadłem, między zarzutem zdrady a niewiary, między interesem narodowym, nakazującym im tęsknić do Polski jako dającej większe, zwłaszcza na „Kresach”, oparcie ziemiaństwu, a takimże drugim interesem swoim, pchającym ich w kierunku przeciwnym – do kompromisu z państwowością Litwy ludowej, by znaleźć w niej miejsce dla siebie, usadowić się pod jej dachem bezpiecznie dla siebie osobiście i dla swych majątków, łagodząc, ile możności, niechęć Litwinów ku sobie i co więcej – przez połączenie Wilna z Litwą zyskać większe dla siebie poparcie elementu polskiego i konserwatywnego z Wilna. Są tam wśród tych deklarantów i szczerzy wyznawcy obywatelstwa litewskiego (Dowgiałło, Łukomski), ale muszą być i wyżej skreślone rachuby. Trudno się też będzie dziwić rezerwie Litwinów, oczekujących czynów. Te przyjść muszą.

23 lutego, rok 1920, poniedziałek

Bawił w Łomży Wulf Remba z Kolna, ławnik sądu pokoju w Kolnie, mój współpracownik z tegoż sądu i wielki mój admirator i przyjaciel, mimo że jest prostym Żydem-chałaciarzem, typowym o długiej czarnej brodzie i rysach twarzy charakterystycznych. Jest to Żyd-filozof i najszlachetniejszy marzyciel, idealista czystej wody jak łza, jak nieskalana perła wrażliwej duszy ludzkiej. Lubię go i cenię z całego serca. Wspomnienie o nim pozostanie mi na zawsze jako o jednym z najładniejszych, najszlachetniejszych typów ludzkich, które spotkałem w tym okresie mojego życia. Pozostawiam też po sobie tutaj, to znaczy w Łomży i Kolnie, pamięć jak najlepszą. Jestem rzetelnie lubiany przez wszystkich pracowników tu w sądzie i popularny poza sądem w szerokich kołach ludności. W Kolnie zarówno ludność chrześcijańska, jak żydowska – jest dla mnie pełna uznania i miłości; zdołałem tam wyrobić aureolę dla siebie w opinii i sercach ludzi, a specjalnie ludności żydowskiej, która dzięki w dużym stopniu ludziom tak mnie oddanym bez zastrzeżeń, jak Remba, uczyniła ze mnie legendę wcielenia sprawiedliwości, pracy i prawdy. Zaiste w legendzie Kolna większy

jestem, niż nim jestem w rzeczywistości. Tu w Łomży na stanowisku sędziego okręgowego jestem nie tak bliski ludności, jak w Kolnie. Tym niemniej i tu jestem znany, popularny i ceniony oraz lubiany ogólnie. W gmachu sądu w kołach licznych jego pracowników, nawet takich, z którymi nie mam styczności bezpośredniej żadnej, jestem bodaj najbardziej ze wszystkich sędziów lubianym, a wyjazd mój budzi żal powszechny. Na mieście znają mię i cenią oraz lubią także. Żydzi zaś wiedzą i wyczuwają, że jest mi całkiem obcy antysemityzm i że nie robię różnicy między ludźmi z tytułu ich pochodzenia, wyznania i rasy, traktując Żydów jak ludzi. Ten ludzki stosunek cenią oni we mnie bardzo wysoko, a sprawiedliwość moja zyskała mi u Żydów nazwę „polski Joffe" (od imienia Joffego, najbardziej szanowanego Żyda w Łomży)
Spośród moich przyjaciół kolneńskich jeden z najbardziej mi oddanych, który się przywiązał do mnie prawie że tak wiernie, jak pies lub dziewczyna – Bronisław Miętkiewicz, mój były sekretarz sądu pokoju w Kolnie, jest od jesieni sędzią pokoju w Stawiskach. Wśród licznych śladów, które pozostawi tu moja działalność sędziowska w pamięci ludzi i w zjawiskach realnych, sędzia pokoju Miętkiewicz będzie jednym ze śladów najistotniejszych. Jest on moim uczniem w zawodzie sędziowskim od „a" do „z", moją kreaturą i moim naśladowcą we wszystkim – od stosunku do interesantów aż do samej techniki motywowania wyroków. Przyjął on mnie za swój wzór i zasadę, uczynił ze mnie tradycję, którą postanowił realizować w swojej praktyce zawodowej. Człowiek ten ma w swej naturze ogromny zmysł wierności, jak niemal kobieta; przeze mnie ukochał sądownictwo i, porzuciwszy je, zatęsknił do niego i został sędzią; biorąc za prawidło kontynuować moją zasadę i mój wzór. W nim żyć będzie w okręgu łomżyńskim moja sztuka sędziowska. Ludzie tacy, jak Miętkiewicz, są stworzeni na apostołów. Gdy znajdą swego mistrza, stają się na całe życie wiernymi tegoż uczniami.

24 lutego, rok 1920, wtorek
Ci sami ludzie, którzy na gruncie sporu o nazwę „Rzeczpospolita" czy „Republika" tak gorliwie dbają o czystość języka polskiego i swojskość nazwy „Rzeczpospolita", odrzucają słowo „Republika" jako cudzoziemskie, w innym analogicznym wypadku, gdy przy omawianiu projektu Konstytucji w komisji sejmowej powstaje kwestia, jaki ma być tytuł zwierzchnika tej Rzeczypospolitej Polskiej, kruszą kopie o to, aby brzmiał on z cudzoziemska „Prezydent", nie zaś z polska „Naczelnik". I odwrotnie, ci, którzy upodobali „Republikę", nie życzą sobie „Prezydenta", natomiast pragną „Naczelnika". Jeden więc obóz chce „Prezydenta Rzeczypospolitej", drugi – „Naczelnika Republiki". Nikt jakoś nie kwapi się na „Prezydenta Republiki" lub „Naczelnika Rzeczypospolitej", choć pono te dwa ostatnie zespoły nazw są logiczniejsze, bo albo jednolicie swojskie, albo jednolicie cudzoziemskie. Dlaczego tak jest? O tym dlaczego jedni wolą „Rzeczpospolitą", inni zaś „Republikę" – już wspominałem. Dla tychże przyczyn obóz „Rzeczpospolitej" chce „Prezydenta", obóz zaś „Republiki" – „Naczelnika". „Naczelnik" – wiąże się w tradycji narodowej z postaciami tak jaskrawymi, jak Tadeusz Kościuszko i Józef Piłsudski, a że obie te postaci symbolizują w Polsce pierwiastek co najmniej ludowy, a w każdym razie nie arystokratyczny i nie burżuazyjny, więc prawica i obóz umiarkowany jest dla tytułu „Naczelnika" niechętny, wietrząc w nim ukryte żądło radykalizmu, a może nawet dyktatorstwa, opartego na czynniku ludowym, rodzaj czerwonego cezaryzmu; bardziej się im uśmiecha mdły i pospolity tytuł „Prezydenta", banalny i oklepany w ustrojach państwowych bardzo umiarkowanych, statecznych i demokratycznie-burżuazyjnych. Dla tych samych powodów skrzydło lewe woli „Naczelnika".

Takie to są walki, staczane o słowa, brzmienie nazw i tytułów. W gruncie rzeczy jednak, czy się tam nazwie to tak, czy inaczej, to w tym momencie przełomowym nie zadecyduje o najbliższej przyszłości, która się wykuje z wojny, z męki i nędzy mas miejskich, z takiej lub innej administracji, ze stosunków aprowizacyjnych, gospodarczych, społecznych itd. Przypomina to nieco tłumne wiece i krzykliwe spory pingwinów na lodach arktycznych w obliczu bezpośrednim nieprzyjaciela, jak je opisują podróżnicy. Przypomina to też nieco uczone dysputy mędrców i teologów bizantyjskich w Konstantynopolu w obliczu szykujących się do ostatecznego zwycięstwa Turków. Wprawdzie tu w walce o brzmienie słów wyraża się głęboka walka o pojęcia i żywe prądy, utrwalane pod postacią tych słów, ale w chwili dzisiejszej tragedia losów dziejowych iści się w daleko głębszych zagadnieniach i w procesach zmagań się i przewrotów społecznych, które dopiero stworzą swoje wyrazy i nadadzą im brzmienie, jakie dziś trudno jeszcze przewidzieć.

25 lutego, rok 1920, środa
Dzisiaj miałem moją zwykłą sesję. Teraz siaduję już tylko na sesjach apelacyjnych; w I instancji sesji już nie mam wcale. Jestem na wylocie, więc już i praca moja w sądzie się likwiduje. Na ostatek się nie chcę obarczać zbytnio wyrokami do motywowania. Te dodatkową robotę w I instancji, którą dawniej wykonywałem w postaci jednej sesji tygodniowo, spełnia teraz za mnie Chabowski i to wystarcza. Sesja dzisiejsza jest już zapewne jedną z ostatnich moich sesji. Gdyby wbrew przypuszczeniom dymisja moja nadeszła na 1 marca, jak o to prosiłem, sesja dzisiejsza byłaby już moją ostatnią, bo w przyszłą środę już będzie marzec. Prezes Filochowski jest obecnie w Warszawie. Ma wrócić stamtąd w sobotę, to znaczy jeszcze przed 1 marca. Ciekaw jestem, jaką przywiezie wiadomość w sprawie mojej dymisji, bo zapewne o tym zechce się dowiedzieć w ministerium. Udzielenie mi dymisji na 1 marca uważam za prawie wykluczone. Raczej mógłbym się obawiać, że mi dymisji odmówią zupełnie, bo właśnie dowiaduję się, że odmówiono dymisji sędziemu Rentowi w Białymstoku. Zresztą, jeżeli mi dymisji odmówią, a nawet bez odmowy formalnej, zdecydowany jestem wyjechać w połowie marca pod postacią urlopu. W gruncie rzeczy wolałbym nawet nie otrzymać jeszcze dymisji na 1 marca, żeby pobrać pensję za marzec i coś z niej na podróż zaoszczędzić.
Sprawy na sesji dzisiejszej miałem bagatelne – same wykroczenia przeciwko przepisom obowiązującym. Ławników miałem nieciekawych. Jednym z ławników był Podbielski z Łomżyny, człowiek głupi i nie orientujący się, nie mający żadnego bodaj poczucia prawa, mimo że jest od dawna stałym ławnikiem w sądzie pokoju w Łomżynie i że jest wielkim amatorem sądzenia, drugim ławnikiem był p. Gustaw Dąbkowski, moja antypatia, człowiek, który mając namiętność do zasiadania w sądzie w charakterze ławnika, jest chyba najmniej do tego odpowiedni. Dąbkowski, zdaje się, nie ma najmniejszego pojęcia o istocie funkcji sędziowskich, pojmując rolę sędziego jako nadoskarżyciela, jako wykonawcę władzy karzącej, nie zaś wolnego arbitra tejże. Toteż jest on raczej katem, niż sędzią, inkwizytorem, niż bezstronnym analitykiem sprawy. Co zaś do spraw, w których oskarżonym jest Żyd, to Dąbkowski jest nie tylko inkwizytorem, ale wprost rzeźnikiem, że aż wstyd.

26 lutego, rok 1920, czwartek
Jeszcze jedna niekonsekwencja „związkowej" polityki polskiej na ziemiach Litwy i Białej Rusi, zajętych przez Polaków: rzecznicy tej polityki głoszą, że Polska nie narzuca ludności kraju żadnych postanowień i uszanuje swobodnie wyrażoną wolę tejże ludności, która sama zadecyduje o swojej przynależności państwowej; w myśl teorii tej,

wojska polskie wygnały najazd bolszewicki z kraju w imię hasła „za naszą wolność i waszą!", aby właśnie dać ludności tę możność podjęcia swobodnie decyzji; ludzie tego kierunku powołują się na znaną odezwę wileńską Piłsudskiego, ogłoszoną w kwietniu roku ubiegłego po zajęciu Wilna; odezwa ta jest sztandarem i programem całego obozu, w przeciwieństwie do przeciwnego obozu endecji, głoszącego inkorporację białorusko-katolickich ziem W. X. Litewskiego z Wilnem do Polski. Obóz antyendecki, który najwłaściwiej jest nazwać obozem Piłsudskiego, dąży do utworzenia na tych ziemiach litewsko-białoruskich państwa albo państewek na poły samodzielnych, sfederowanych albo w jakiejś innej postaci wojskowej sprzężonych z Polską pod jej egidą i przewodem; koncepcja ta jest punktem wyjścia do rozszerzenia tego związku na dalsze kraje sąsiednie (na północy – Łotwa i Estonia, na południu Ukraina, a wreszcie w ostatnich czasach mówi się i o Rumunii) dla utworzenia odpowiedniego bloku wschodnio-europejskiego „od morza do morza", mającego za ośrodek Polskę i zwróconego przeciwko dwom potencjom – Niemcom i Rosji. Funkcja tego bloku – obronna i współpracownicza, bodaj nawet spółdzielcza na terenie gospodarczym i kulturalnym. W systemie tego bloku, w założeniu swoim i w koncepcji bardzo pięknego i istotnie użytecznego, gdyby się dał zrealizować, poszczególni członkowie byliby traktowani nieco różnie: Rumunia oczywiście byłaby związana najluźniej, Łotwa i Estonia byłyby też właściwie niepodległe, Białoruś pojmuje się jako twór wasalny, co do Ukrainy – to się to pojmuje i pragnie rozmaicie, natomiast co do Litwy, to się względem niej stawia alternatywę: albo bez Wilna w granicach ściśle językowych, co najwyżej odpowiadających dzisiejszej linii demarkacyjnej, i w takim razie mogłaby być ona w takim bloku traktowana na równi z Łotwą i Estonią jako państwo niepodległe, sojusznicze; albo z Wilnem, ale w takim razie na stopie ściśle sfederowanej z Polską, a właściwie wasalnej. O ile sama koncepcja bloku jest, w moim przekonaniu, piękną i rozumną, o tyle powyższemu systemowi tegoż bloku można by zarzucić bardzo wiele. Ale nie o samym tym bloku i jego systemie pragnę mówić. Chodzi o politykę wykonania. Otóż pod tym względem opiera się go w zasadzie, w teorii – na nieograniczonej wolności decyzji ludności zainteresowanych krajów. Jakże wobec tego wygląda praktyka tej polityki w wykonaniu już nie endeków, ale nawet rzeczników tej koncepcji? Co wspólnego z tą wolnościową teorią ma zupełna swoboda agitacji na rzecz inkorporacji do Polski, nawet popieranie i forsowanie tego rodzaju prądów ciągle i na każdym miejscu w Wilnie i na „Kresach", ze stłumieniem i całkowitym spętaniem wszelkiej agitacji, i wypowiedzeń się na rzecz np. niepodległości Litwy, zupełnego separatyzmu Białej Rusi, zwalczanie idei takiego bloku itd. Na każdym kroku jest rażąca sprzeczność między złudą a praktyką. Jeżeli zaś się wierzy w to, że blok taki istotnie nie może być stworzony przymusem, ale wypłynąć może li tylko z woli nieprzymuszonej ludów, to jak wytłumaczyć niekonsekwencje praktyki z teorią? Zaiste, chyba tylko tym specyficznym pps-owskim pomieszaniem elementów nacjonalistycznych z humanitarnymi, które wytwarzają dziwną kakofonię, zwłaszcza w polityce zewnętrznej polskiej.

27 lutego, rok 1920, piątek

Wracając jeszcze na chwilę do wczorajszego tematu, muszę zaznaczyć, że nie dziwią mię i nie oburzają same przez się bynajmniej metody polityki polskiej, skierowane w Wilnie i na Litwie i Białej Rusi do popierania propagandy na rzecz wcielenia kraju do Polski przy równoległym tłumieniu wszelkiej propagandy przeciwnej. O ile chodzi o te grupy i element polski, które jawnie szczerzą na stanowisku inkorporacji „Kresów" z Wilnem do Polski, metody te są konsekwencją politycznych założeń, są logiczne i zasadne. W polityce trudno się dziwić takim lub innym metodom, o ile są celowe i

zgodne z założeniem. Że się przy forsowaniu jakiejś polityki stosuje metody nacisku i wykorzystania swoich wpływów, tłumiąc, o ile się ma środki, wszelką akcję przeciwną – to jest w naturze rzeczy. Czy to jest dobre czy złe, czy mniej lub więcej szlachetne – o to ze stanowiska politycznego nie chodzi. W polityce ten, kto ma władzę, a więc środki działania, ten z nich korzysta i dlatego zarówno narody w stosunkach wzajemnych, jak stronnictwa w narodzie i klasy w społeczeństwie – dążą do posiadania władzy zawsze, aby realizować skuteczniej swe cele. Może to ze stanowiska etyki chrześcijańskiej nie jest piękne, ale jest polityczne. I jeżeli to ma miejsce zawsze, to jeszcze bardziej w stosunkach wojennych i powojennych, które przeżywamy. Dla energiczniejszego działania tą metodą stronnictwa, klasy lub narody potęguję nawet nieraz władzę aż do dyktatury, by usunąć wszelką rywalizację i posiąść monopol forsowania swej polityki, jak to uczynili bolszewicy w Rosji, stosując „dyktaturę proletariatu”. Nie można się więc zbytnio dziwić Polakom, że postępują tą samą drogą w swej polityce „krajowej”. Niepodobna stosować do Polaków innej miary, niż się stosuje do wszystkich. Nie są Polacy lepsi, ale nie są i gorsi od innych. To samo czynią w analogicznych warunkach i czynią o wiele nawet brutalniej, niż Polska na „Kresach Wschodnich” – Niemcy, Czesi, Rumuni, Łotysze i bodajże wszyscy inni – przykładów można mnożyć bez liku: tereny plebiscytowe niemieckie przed ich objęciem przez międzynarodową Komisję Plebiscytową (Górny Śląsk, Mazury), Śląsk Cieszyński, Inflanty (Latgoła). Nie wierzę w szczególną jakąś cnotę Litwinów, toteż jestem przekonany, że i oni by nie inaczej w metodach działali, gdyby na przykład posiedli gub. wileńską. Powiadam: nie dziwię się bynajmniej; nie oburzam się też bardziej na Polaków, niż bym się oburzał na kogokolwiek bądź innego w tych samych warunkach, o ile chodzi o politykę, zbudowaną na zasadach panowania (nacjonalizm, imperializm itd.), zmierzającą do inkorporacji tych ziem do Polski. Inaczej się jednak ma rzecz, jeżeli mam przed sobą kierunek, który głosi zasadę wolnego związku, ideę wielkiej kooperacji samodzielnych ludów, koncepcję bloku „od morza do morza” i stawia za hasło: swobodne wypowiedzenie się ludności ziem wyzwolonych w sprawie budowy państwowości. Jeżeli przy takim postawieniu sprawy i pod sztandarem takiego programu dziejowego, jakim jest piękny program związkowy Piłsudskiego, uprawia się jednak politykę popierania, a nawet forsowania propagandy inkorporacyjnej, nie dając równej swobody formom propagandy przeciwnej oraz wszelkim koncepcjom innym, to wolno zapytać: czy się, głosząc program i ideę, tylko udaje frazes, w który się w istocie nie wierzy, czy też jest się naiwnie niekonsekwentnym i przypuszcza, że „*Deus ex machina*” nagle samo dokona to, co się głosi, bez odpowiedniego działania albo nawet pomimo działania przeciwnego? Czy zła wiara, czy brak instynktu politycznego? Co do mnie, to wierzę w skuteczność i mądrość koncepcji bloku kooperatywnego narodów „od morza do morza” i w to, że umie się on zrealizować li tylko w drodze samodzielnego współpracownictwa i dlatego tak razi mię polityka, która, głosząc to w założeniu, przeciwdziała w wykonaniu.

28 lutego, rok 1920, sobota
W gazetach wczorajszych, datowanych dnia wczorajszego, ukazała się tłustym drukiem obszerna depesza PAT (Polskiej Agencji Telegraficznej), zatytułowana „Rewolucja wojskowa w Kownie”. Podaje ona, że szereg oddziałów wojska litewskiego, stacjonowanych w Kownie, zbuntował się z powodu niewypłacenia żołdu za styczeń i luty i, rozpocząwszy na razie pertraktacje z rządem, następnie pod wpływem agitacji bolszewickiej, rozpoczął bombardowanie gmachu Taryby, dworca kolejowego i miasta. „Bunt” został wprawdzie stłumiony przez oddział piechoty, wierny rządowi, ale rząd jest tak słaby, że nawet nie poczynił aresztów. Dalej depesza informuje o ogromnym

rozpowszechnieniu prądów bolszewickich w armii litewskiej i dodaje, że w łonie Taryby wzrasta silny prąd polonofilski, przeciwko któremu walczy zwłaszcza były premier litewski Ślażewicz i biskup kowieński Karewicz. Depesza ta jest bardzo sensacyjna. Choć można przewidywać pewną przesadę, ale coś u źródła tej wiadomości jednak być musiało. Jeżeli rzeczywiście bunt wojskowy miał miejsce w Kownie, to oczywiście jest to zjawisko wymagające bardzo dużej uwagi. Powstrzymam się na razie z komentarzami do czasu, gdy przeczytam o tym w oświetleniu „Echa Litwy"; będzie to głos „*altera pars*"; prawda będzie mniej więcej pośrodku; wywnioskuję o niej z zestawienia głosów obydwóch stron. Za kilka dni „Echo Litwy" będzie omawiać tę sprawę na podstawie źródeł kowieńskich.
W numerze „Echa Litwy", który dziś otrzymałem, są zamiast artykułu wstępnego dwa obszerne wyciągi z mojego listu styczniowego do ks. Tumasa, zatytułowane „Powrotna fala (z listu prywatnego)" i zaopatrzone w dopisek redakcji tej treści: „Powyższy list otrzymaliśmy od jednego z najwybitniejszych obywateli Litwy. Objaw znamienny i nie wyjątkowy – to otrzeźwienie naszych Polaków litewskich". Sądzę, że liczni moi przyjaciele, a pono i wrogowie w Wilnie domyślą się z łatwością mego autorstwa listu, a może nawet „Dziennik Wileński" Obsta odpowie napaścią brutalną, jak zwykle.
Wczoraj byłem na niezwykłej uroczystości. Było to „złote wesele" hrabiostwa Henrykostwa Łubieńskich (sędziego pokoju w Łomży i jego żony). Uroczystość była bardzo cicha, utrzymana nawet w wielkim sekrecie, bo biedny staruszek hr. Łubieński, boi się manifestować wobec Łomży swej sędziwej starości, aby mu to nie zaszkodziło ewentualnie w stanowisku i broń Boże nie pozbawiło posady (obawa zresztą całkiem zbyteczna, ponieważ wobec braku ludzi w sądownictwie w Polsce każdy sędzia, a zwłaszcza prawnik, jest ceniony niemal na wagę złota). Oprócz biskupa, w którego kaplicy prywatnej był pobłogosławiony związek jubilatów (tradycyjne laski ze złotymi krzyżami pochodziły jeszcze ze złotego wesela rodziców hrabiego) i księdza kanonika staruszka Laudy, proboszcza kościoła farnego w Łomży, o uroczystości tej wiedziały tylko dwie rodziny w Łomży – obie emigranckie z Litwy, spowinowacone z jubilatką hrabiną – Komarowie i Kotunia Pruszanowska, a ze względu na nią i ja także (oczywiście pod sekretem). Na błogosławieństwie nie byłem, jeno potem o godz. 4 na herbatce u hrabiostwa. Kotunia Pruszanowska ofiarowała tort jubilatom, p. Komarowa – babkę – oczywiście własnej roboty – rzecz nadzwyczajna w czasach obecnych. Ktoś z rodziny hrabiego przysłał mu z Warszawy nawet... butelkę szampana. Na herbatce dominował kler. Oprócz jubilatów, był ks. biskup Jałbrzykowski ze swym kapelanem ks. Złotkowskim, ks. kanonik Laudo, poczciwy staruszek kurpiowskiego pochodzenia, ks. prałat hr. Łubieński, proboszcz parafii na Lesznie w Warszawie, brat rodzony jubilata, p. Komarowa starsza, jej córka – p. Medardowa Komarowa i ja (Kotunia nie wybrała się). Ks. biskup Jałbrzykowski – to ksiądz w stylu zupełnie europejskim, pełny wyszukanej ogłady towarzyskiej, taktowny, bardzo kulturalny, wesoły, błyskotliwy, który pozwala sobie na liberalizm i głoszenie haseł socjalizmu chrześcijańskiego, a nawet bolszewizm traktuje nie „sub specie satanae", a siebie nazywa socjalnym demokratą, co mu nie przeszkadza być bardzo konsekwentnym klerykałem i rządcą diecezji lokalnej, może nawet najniebezpieczniejszej, bo mądrej, giętkiej i bez wątpienia kulturalnej; wolę jednak taką, niż gruboskórną i głupawą, bo ta przynajmniej dopuszcza i akceptuje pewien postęp w rozwoju.

29 lutego, rok 1920, niedziela
O godz. 11 rano w Sądzie Okręgowym odbyło się ogólne zebranie Łomżyńskiego Związku Pracowników Sądowych. Zebraniu przewodniczyłem ja. Ogólne zebranie było zwołane przez zarząd dla wyboru delegatów na zjazd takich związków w Warszawie,

wyznaczony na przyszłą niedzielę 7 marca, i zwłaszcza dla uchwalenia dyrektyw delegatom na zjazd. Chodzi, jak zawsze, o warunki materialne bytu pracowników sądowych, o ich uposażenie. Ceny tak skaczą w górę, a pieniądz tak skacze w dół, że żadne podwyżki, uchwalane przez Sejm dla urzędników, nie są w stanie położyć kresu coraz smutniejszemu położeniu materialnemu urzędników państwowych. Cały świat urzędniczy w Polsce zajęty jest stale kwestią swego wynagrodzenia i akcją na rzecz ciągłego zdobywania bądź podwyżek pensji, bądź reformy w kierunku systemu bezpośredniego zaopatrywania urzędników w artykuły pierwszej potrzeby. W szczególności jednak sądownicy prowadzą poza tym akcję swoją własną, ponieważ w stosunku do skali wynagrodzeń w innych wydziałach służby państwowej wynagrodzenie ich jest nawet niższe (na skutek krzywdzącej klasyfikacji sądowników w pragmatyce służbowej, co ma swoją specjalną historię i swoje źródła osobliwe); dążą więc oni do podniesienia sądowników o parę stopni wyżej w klasyfikacji służbowej i oprócz tego do zdobycia pewnego szczególnego stanowiska dla sądownictwa w uposażeniu ze względu na szczególna wagę, konieczność niezawisłości i zapewnienia wysokiego poziomu dla wykonawców funkcji sądowej w państwie, która przecież stanowi jeden z elementów władzy najwyższej w państwie praworządnym.
Akcja sądowników w tym kierunku datuje się jeszcze od wiosny r. 1919. Za rządów ministra Sobolewskiego perspektywy były b. dobre ze względu na czynne strategiczne poparcie ministra. Ze zmianą ministra sprawa zamarła. Nowy minister Hebdrzyński (nawiasem mówiąc, człowiek obozu reakcyjnego, politycznie ideowy, spokrewniony ze światem obszarników) sam nie jest skłonny do poparcia sądowników. Toteż w ostatnich czasach doszło do ostrego konfliktu między akcją zorganizowanych związków pracowników sądowych, które przez swój wydział odwoławczy zagroziły konsekwencjami ostatecznymi i dały termin do 7 marca Hebdrzyńskiemu, który nawet zagroził „represjami", skądinąd zastrzegł, że związek związków, stosownie do obowiązujących w Polsce ustaw o stowarzyszeniach, datujących się jeszcze z ustawodawstwa rosyjskiego (stołypinowskie prawo z r. 1906) tolerowany być nie może. Na 7-go zwołany jest w Warszawie zjazd, atmosfera jest naprężona. Wyczuwa się potencjalną groźbę najdalej idącego środka walki – strajku. Niektóre związki (np. piotrkowski) zagroziły nawet wyraźnie strajkiem sądowników. Zarząd nasz (prezes zarządu, sędzia Duszyński, ludzie najczynniejsi – sekretarz Mikuch z wydziału cywilnego i pisarz hipoteczny Mikułowski) proponował projekty uchwał na dzisiaj na ogólne zebranie jako dyrektywy dla naszych delegatów na zjazd; zamiast federacyjnej organizacji związków (związek związków), budzącej wątpliwości natury prawnej, zaprojektował jednolite stowarzyszenie scentralizowane, ogarniające bezpośrednio ogół pracowników sądowych w Polsce, co zaiste jest chyba dla państwa niebezpieczniejsze od federacji związków (dyrektywę tę uchwalono). Co zaś do środków akcji sądowników – to zarząd zaprojektował dwa wnioski: jeden – walka toczyć się winna wszystkimi środkami „legalnymi" (praktycznie mówiono o jednym: działanie przez opinie publiczną za pośrednictwem prasy), drugi – zasadnicze potępienie strajku sądowego jako niedopuszczalnego, któremu ewentualnie sądownictwo łomżyńskie się przeciwstawi. Oba wnioski uchwalono jako dyrektywy na zjazd. Ja osobiście wystąpiłem przeciwko drugiemu wnioskowi. Nie jestem zdecydowanym zwolennikiem tak niebezpiecznego, zwłaszcza w warunkach obecnych w Polsce, środka, jak strajk sądowy. Ale uchwałę taka uważam za zbyteczną. Uważam, że jest nielogiczna i sprzeczna z akcją naszą, stawiać i popierać żądania, walczyć o nie i jednocześnie uchwalać z góry, jaką drogą i jakimi środkami walczyć o nie będziemy. Walcząc o coś, żądając czegoś, trzeba mówić, jakich środków się będzie używać, ale nie jakich się używać nie będzie. Po co to mówić, po co zastrzegać, gdy jeszcze strajku nikt nie

proklamował. Można będzie doń nie przystąpić, ale zastrzegać się, że się potępia – nie ma po co. Podobne to do anegdoty z jakiegoś z dzieł rosyjskich, że żona czy wdowa jakiegoś policjanta „сама себя высекла”, gdy właściwie nikt jej ćwiczyć nie chciał. Po co być znowuż przesadnym w gorliwości, gdy o to jeszcze nie chodzi.

1 marca, rok 1920, poniedziałek
Na wczorajszym zebraniu związku pracowników sądowych okręgu łomżyńskiego z ogólnej ilości około 50 zebranych – tylko się dwóch znalazło śmiałków, którzy się odważyli głosować wraz ze mną przeciwko zaprojektowanej przez zarząd rezolucji, wyrażającej zasadnicze potępienie strajku sądowego. Tymi śmiałkami byli: jeden z kancelistów urzędu prokuratorskiego i dzielny najzdolniejszy młody kancelista wydziału karnego I instancji Zygmunt Kraszewski, były uczeń seminarium duchownego, niedoszły ksiądz. Spośród reszty wszyscy inni albo głosowali za rezolucją, albo się powstrzymali od głosowania. Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby ogół był tak pokojowo usposobiony i aby się ta rezolucja wszystkim podobała. Od bardzo wielu potem słyszałem, że byli, jak ja, przeciwni uchwalaniu tej rezolucji jako co najmniej zbytecznej. Ja też uzasadniałem opozycję przeciwko niej nie uznaniem strajku za broń właściwą, jeno zbytecznością takiej rezolucji, która nie jest wywołana żadną w tej chwili potrzebą, a osłabia jeno akcję poparcia żądań. Dziwacznym jest wszczynać jakąś akcję i zamiast mówić o sposobach realizacji tejże, uchwalać zastrzeżenia co do tego, jakich sposobów walki się używać nie będzie. Jest to gorliwość przeforsowana, sztuczna, bagatelizująca akcję. Wystarczy omówić sposoby prowadzenia akcji, nie wystawiając hasła strajku, gdy się go uważa za niewłaściwy lub niedopuszczalny, można odmówić udziału w strajku, gdyby został uchwalony, ale po co mówić specjalnie o tym, że się strajk potępia, gdy go jeszcze nie ma. Sam jestem zdania, że strajk sądowy jest bronią tak ostrą, tak niebezpieczną dla bytu państwowego i społecznego, że trudno byłoby się na tak gwałtowny środek walki zdecydować, a dla sędziów jako takich jest on nawet wprost niemożliwy; ze stanowiska kodeksu karnego obowiązującego stanowiłby przestępstwo karalne. Ale co innego nie strajkować, a co innego z góry manifestacyjnie, szarżując w gorliwości, uchwalać rezolucję potępiającą strajk, gdy go jeszcze nie proklamowano i to właśnie wtedy, gdy się mówi o zrealizowaniu zgłoszonych żądań. Jednak gdy chodziło o to, aby nie dopuścić Żyda Kona, mianowanego prezesem Sądu Okręgowego w Łodzi, do objęcia tego stanowiska, to wtedy ci, którzy najgoręcej pod pozorem patriotyzmu głoszą potępienie strajków, jednak nie oglądali się na konsekwencje państwowe i uważali za możliwe grozić strajkiem i cała prawica gorliwie im sekundowała, ba – bo tam chodziło o popularny na prawicy antysemityzm, a tu – o poprawę bytu pracowników. Ale niechby potępienie zostawili innym. Tymczasem z góry potępiają ci właśnie, którzy zgłaszają żądania, a więc już ze stanowiska czystych poglądów prawicowych czynią bunt. Miodopłynne mowy Duszyńskiego o patriotyzmie, o tym, że po kilku leciech w Polsce nastanie raj i cierpliwość będzie nagrodzona, że przecież liczyć możemy na poparcie naszego b. kolegi posła Mieczkowskiego w Sejmie – to dla zawiedzionych, ledwie dyszących pracowników nic. Frazesy takie jeno ich drażniły. Mówili potem, że nim słońce wzejdzie, noc oczy kryje, nim raj nastanie, nie będzie komu zasnąć w nim, a poseł Mieczkowski – to zaiste potęga, która zaimponować nie może, choć to i poseł porządniejszy. Niejeden z tych pracowników nie tylko uważał uchwałę strajkową za zbyteczną w myśl moich wywodów, ale wręcz w duszy pragnął i wierzył w strajk. Nie ośmielali się jednak głosować, bo są zależni, boją się uchodzić za złych „patriotów”, krępowali się zresztą obecnych na zebraniu prezesa sądu i sędziów. Wyniki takich głosowań trzeba brać z wielką rezerwą.

2 marca, rok 1920, wtorek
Rozeszła się rano pogłoska, że rzekomo wczoraj dokonany został w Warszawie jakiś zamach stanu: Sejm Ustawodawczy rozpędzony, ogłoszona dyktatura. Co za dyktatura, czyja, kto dokonał zamachu – o tym nic się nie mówi. Nie zdaje mi się to być prawdą. Jakoś w ostatnich czasach stosunek rządu do Sejmu, Sejmu do Piłsudskiego itd. nie ujawniał żadnych ostrych gwałtownych zatargów i wszedł w jakieś przewlekłe stadium sennej i mdłej równowagi, toteż nie widać elementów do tak nagłego zamachu w tej właśnie chwili. Poza tym – moment przygotowania się do rokowań pokojowych z bolszewikami i sytuacja międzynarodowa nie zdają się być odpowiednie do czynienia zamachów na Sejm na rzecz dyktatury, gdyby to miało iść ze strony Piłsudskiego lub prawicy. Byłoby to wielkim ryzykiem dla Polski i zdyskredytowaniem jej na zewnątrz w tej właśnie chwili, gdy chodzi o całą moc jej autorytetu. Sam przez się upadek tego Sejmu nie byłby zapewne klęską dla Polski, ale moment jest niewłaściwy, szczególnie o ile chodzi o zamach nie rewolucyjny, lecz zachowawczy. Napisałem list pożegnalny do mojej wiernej przyjaciółki, panny Teodozji Kochanowskiej. Jest ona moją najwierniejszą pono przyjaciółką i adoratorką; przyjaźń ta wyrosła z miłości, którą panna Teodozja Kochanowska żywiła do mnie od roku 1905. W ogóle w życiu moim doświadczyłem wprost niezwykłych miłości kobiecych. Do takich należała miłość p. Teodozji, która się zawiązała niegdyś podczas wspólnego pobytu naszego w Ouarville we Francji u pp. Gierszyńskich wczesną wiosną r. 1905, co trwało coś ze dni 10. Potem utrwaliła się ona w szeregu naszych spotkań z p. Kochanowską w Paryżu tejże wiosny i latem 1905 r., gdym przyjeżdżał z St. Cloud, choć w tymże czasie zakochałem się i zaręczyłem z Suzanne Richard. Właściwie ja Kochanowskiej nie kochałem nigdy w rzeczywistym znaczeniu słowa, jeno byłem przez nią kochany i dawałem się kochać, i byłem jej za miłość serdecznie wdzięczny. Ale miłość ta tak w nią wrosła, że stała się po prostu elementem jej ducha i na lata już odtąd w niej pozostała. Latem r. 1905 wyjechałem z Francji i odtąd tylko korespondowaliśmy z p. Kochanowską, ale miłość jej nie słabła, jeno potężniała i przepajała ją całą. Raz potem spotkałem się z p. Kochanowską, gdym w r. 1909 w jesieni był w Paryżu w podróży poślubnej z Reginą. P. Teodozja była wtedy świadkiem pierwszych moich rozdźwięków małżeńskich z Reginą i stała się nawet pewnego wieczora, gdzieś w kawiarni paryskiej, powiernicą moich smutków i niepokojów tego stosunku z Reginą. Po paru tygodniach pobytu w Paryżu wyjechałem z Reginą i odtąd nie widziałem się już z p. Teodozją Kochanowską nigdy, jenośmy zawsze korespondowali ze sobą z wyjątkiem przerwy przymusowej w latach wojny. Z pewnych szczegółów tej korespondencji wynoszę, że p. Kochanowska łudziła się, iż ona była jednym z elementów katastrofy mojego stosunku z Reginą, choć w istocie elementem tym była Anna Konupko.

3 marca, rok 1920, środa
Naturalnie, że te pogłoski wczorajsze o rozpędzeniu Sejmu i dyktaturze okazały się bajką. Dziś miałem moja zwykłą tygodniową sesję apelacyjno-karną. Była nudna i nużąca jednostajnością spraw niemal bliźniaczo do siebie podobnych – wszystkie sprawy o lekkie uszkodzenie ciała.
Jeszcze słówko na dokończenie o pannie Teodozji Kochanowskiej. Od roku 1909 z nią się nie widziałem. Korespondowaliśmy z nią jednak stale. Jej listy tchnęły zawsze miłością, zawsze równym uczuciem głębokim i serdecznym, którego nic zachwiać ani wykoleić nie było w stanie. Teodozja Kochanowska, jak większość kobiet, z którymi miałem do czynienia, a raczej których miłość miałem zaszczyt obudzić, należała do tych natur, których uczucia mają granitową moc stałości i które, raz do kogoś sercem

przywiązane, pozostają mu wierne na całe życie. Do takich właśnie natur kobiecych, do takich serc wiernych, które umieją pokochać, ale nie umieją miłości swojej zgubić, miałem zawsze szczęście. Może to dlatego, że, sam, będąc z natury samotnikiem, znajdywałem największy dostęp i najlepsze zrozumienie w sercach głębokich, których życie nie kłamie uczuciem; nie byłem lwem lalek salonowych, ale powiernikiem i kochankiem serc samotnych, głębokich, łaknących wielkiej szczerości – nie umiejących kłamać lub być połowicznymi w uczuciu. W moim stosunku z Kochanowską nie było nigdy wyznań bezpośrednich. Wszakże listy jej do mnie były dyskretną spowiedzią jej miłości, która tryskała z każdego wiersza. Trwało to przez lata całe do r. 1909 i po tym roku nadal. Kochanowska była wesoła z natury, miała życie urozmaicone, przez długie lata mieszkała w Paryżu w roju wrażeń i szerokich stosunków, które jej otwierał dom doktorostwa Motzów, jeden z wybitniejszych domów w kolonii polskiej w Paryżu. Kochanowska bowiem była od r. 1905 nauczycielką domową synów dr Motza, a potem, gdy ci wyrośli, pozostała w domu Motzów nadal, jako domownica, a nawet przez lat kilka jako przyjaciółka intymna dr Motza, jego kochanka, właściwa pani domu, która doktorową Motzową zepchnęła na stanowisko podrzędne. Nigdy jednak na chwilę, nawet gdy się oddała dr Motrowi, nie przestała kochać mnie. Oddała Motzowi ciało swoje, brała uciechę fizyczną w tym stosunku, kupiła sobie tym oddaniem się stanowisko materialnie niezależne, wygodę i dobrobyt, panowanie w domu Motza, zresztą – zadowolenie cielesne w użyciu zmysłowym, ale serca swego nie dała i uczucia pierwotnego, jedynego, które w nią wrosło i wypełniło świat jej ducha – nie zgubiła. Jest to jedno z bardzo rzadkich zjawisk w dziejach serca kobiecego. Nie wiem, czy wojna i inwazja niemiecka nie zniszczyła w Bohdaniszkach w zbiorze mojej korespondencji listów p. Kochanowskiej. Jeżeli nie, to będą one świadczyć o skomplikowanych dziejach tego serca i tego niezwykłego uczucia Kochanowskiej do mnie nawet poprzez jej zmysłowy stosunek z dr Motzem, stosunek, który ogromną większość kobiet pochłonąłby i radykalnie wyżarł z ich serca wszelkie ślady uczucia poprzedniego, jej zaś serca nie dotknął i jej wielkiej miłości nie zdołał wyjałowić. Bywa, że kobiety się oddają mężczyznom, nie kochając ich i że zbytki zmysłowe nie angażują ich uczuć. Ale prawie nigdy nie bywa, aby one uczuć poprzednich nie wyjałowiły.

4 marca, rok 1920, czwartek
Listy p. Teodozji Kochanowskiej do mnie, obejmujące szereg lat, są właściwie dyskretną spowiedzią jej miłości dla mnie. Powiadam „dyskretną”, dlatego że nigdzie nie ma w nich kategorycznego wyznania miłości, a przecież są one niczym innym, jak miłości spowiedzią. W latach wcześniejszych dyskrecja jest większa, spowiedź bardziej powściągliwa i dopiero w ostatnich listach mieści się już prawie wyznanie tej długiej tajemnicy życia, która panowała nad całą młodością p. Kochanowskiej.
Rok 1909 miał w życiu p. Kochanowskiej i w dziejach tej miłości znaczenie przełomowe. Mój przyjazd do Paryża z młodą żona przekonał p. Kochanowską, że liczyć na owoce małżeńskie tego uczucia nie może. Była ona zresztą zawsze bardzo skromna i nie wiem, czy kiedykolwiek w latach poprzednich liczyła na moją wzajemność i małżeństwo ze mną. Miłość jej była, zdaje się, zawsze ofiarną, nie spekulującą na wzajemność. Bądź co bądź, fakt mojego małżeństwa musiał dużo zaważyć na psychologii jej uczucia. Zresztą jednocześnie poznała ona kruchość mojego związku z Reginą, wysłuchała mojej spowiedzi pierwszych załamań tego małżeństwa, dowiedziała się, że jest ono bez podłoża i wyczuła genezę katastrofy. Z listów moich potem dowiedziała się o moim zerwaniu z Reginą. Z jej listów wyczuć mogłem, że się trochę łudziła, iż w pewnej mierze jednym z elementów rozkładu uczuć związku z

Reginą była także ona, p. Teodozja. Było to, zdaje się, jedyne, chociaż daleko sięgające, złudzenie p. Kochanowskiej w jej ofiarnej skądinąd miłości. Wkrótce potem doszły mię, za pośrednictwem mego zmarłego obecnie przyjaciela, Stacha Gierszyńskiego, wieści o roli, jaką zaczęła grać p. Kochanowska w rodzinie Motzów: stała się metresą dr Motza. Doktorowa zaś Motzowa, subtelna i poetyczna, była w domu zdeptana i upokorzona, znosząc w domu własnym pożycie męża z inna kobietą. Podobno nawet p. Kochanowska, korzystając ze swej przewagi, maltretowała doktorową, a dr Motz traktował żonę legalną lekceważąco i protekcjonalnie, jak z łaski. Wiadomość ta mię wtedy bardzo obeszła i na razie zraziła do p. Kochanowskiej. Dałem to jej wtedy nawet odczuć w jednym z listów moich, który, jak sądziłem, będzie już jednym z ostatnich, bo w każdym razie myślałem, że miłość Teodozji Kochanowskiej do mnie umrze. Czy Kochanowska wyczuła ton i intencję mego listu – nie wiem. Wszakże w listach następnych dała mi ona dyskretnie, jak zawsze, spowiedź swego stanu, w której drgała mocą upokorzenia, boleści i jakby poczucia winy, błagającej powściągliwie o wyrozumiałość. Dała mi do zrozumienia, że młodość jej upływa i że nie ma ona żadnej nadziei przed sobą – toteż zdecydowała się, widząc dokoła wesele życia, użyć uciechy także, jak inni, upoić się zmysłami i zadowoleniem użycia, władzy, swobody. W liście jej wszakże dźwięczało błaganie o przebaczenie, a zamiast rozkoszy nasycenia drgał ból nieziszczonej tęsknoty, której stłumić i oszukać zbytkiem użycia nie zdołała niestety. Zrozumiałem wtedy jej psychikę i uznając jej prawo do swobodnych postanowień w życiu, które są tylko usiłowaniem narkotyzowania się, przeszedłem nad tym do porządku i korespondencja nasza trwała nadal. Kochała ona zawsze nie Motza, jeno mnie i to mnie jednego. Stosunek nasz w korespondencji trwał aż do czasu mego wyjazdu z Wilna przez Rumunię do Legionów. Potem z konieczności korespondencja się urwała, bo ona była w Paryżu, ja – na polu działań frontu wojennego. Po zakończeniu formalnym wojny p. Teodozja odszukała moje miejsce pobytu i nawiązała znowu korespondencję. Przyjechała ona do Polski z jakąś organizacją dobroczyno-wojskową amerykańską i bawi w Lublinie. Chciała się ze mną widzieć, ale do tego nie doszło. Teraz mój wyjazd do Litwy znów przerywa korespondencję naszą.

5 marca, rok 1920, piątek

Wniosłem dziś na ręce prezesa Filochowskiego podanie o udzielenie mi urlopu od d. 15 marca. Udzielenie urlopu zależy od uchwały ogólnego zebrania sądu. Przypuszczam, że ogólne zebranie nie odmówi mej prośbie.

Zbliża się więc termin mojego powrotu do Litwy. Pragnę tego, ale zarazem boję się wielu przykrości i rozczarowań. Znając dobrze podłoże stosunków litewskich, wyczuwam nastroje, które zastanę w Kownie i Litwie, z góry mam ich przedsmak, który będzie dla mnie z wielu względów gorzki; dotyczy to zwłaszcza uprzedzeń litewskich i niechęci do Polaków jako takich; może te uprzedzenia i ta niechęć mają swoje uzasadnienie, ale niemniej dla Polaka są one przykre i krępujące, a poniekąd nawet czyniące tam jego stanowisko bardzo bolesnym. Wątpię coraz bardziej, żeby mi się udało zainstalować w Bohdaniszkach; przeczuwam, że powrót Papy nastąpi rychło i że dla nas dwojga w Bohdaniszkach, wobec naszego stosunku wzajemnego, miejsca nie będzie. Oczywiście ustąpić będę musiał ja, a nie Papa. Wypadnie mi więc osiąść w Kownie i naturalnie zająć jakieś stanowisko na służbie państwowej – bądź w sądownictwie, bądź gdzie indziej. Otóż na takim stanowisku czuć, że się jest podejrzewanym z tytułu swej narodowości, jest rzeczą bardzo przykrą i nawet upokarzającą. Wysługiwać się wbrew moim przekonaniom oczywiście nie będę, a cokolwiek bym zrobił takiego, co by się nacjonalizmowi litewskiemu nie spodobało – wnet z obozu tego będą węszyć i insynuować, że może być w działaniu moim ukryta

intryga antylitewska, z polskości mojej płynąca. Na to jest się narażonym zawsze, a to jest rzecz bardzo przykra, toteż trzeba być bardzo ostrożnym i czuwać nad utrzymaniem swej niezależności, która może być na szwank narażona. Jak w Polsce dość jest być Żydem, aby być narażonym na każdym kroku na posądzenia i insynuacje, a to samo miewało miejsce w Polsce względem Rusinów, Czechów, Niemców, Rosjan, tak w Litwie narażeni są na to Polacy.
A jednak wracam, bo mię tam ciągnie miłość kraju i wiara w sprawę ludową oraz przywiązanie do ludu litewskiego; ze źródeł tych moja tęsknota wywodzi moje poczucie obowiązku obywatelskiego, a zresztą wiąże się z nimi moja koncepcja polityczna na przyszłość, oparta na wierze w zwycięstwo idei solidaryzmu i współdziałania twórczego narodów, oderwanych od Rosji.
Poza tym, wzgląd na Bohdaniszki też gra rolę. Konstytuanta litewska się zbierze, mogą być uchwalone ustawy reformy agrarnej oraz różne zastrzeżenia prawne względem osób i majątków tych, którzy się ekspatriowali lub służą w Polsce. Papa jest coraz starszy i niedołężnieje. Muszę być w pogotowiu na miejscu, by na każde zawołanie stanąć na posterunku dziedzictwa rodzinnego.
W Litwie jest jakieś wrzenie antypolskie, może przesadzają, ale przecież chybiony bunt wojskowy w Kownie nie jest zjawiskiem, które można całkiem zbagatelizować. Dochodzą wieści o pewnym fermencie, o walkach stronnictw, o akcji przeciwko gabinetowi Gałwanowskiego. Gotują się wybory do Konstytuanty. Położenie zewnętrzne Litwy jest dość ciężkie wobec najbliższych sąsiadów. Zbliżenie Łotwy do Polski i w ogóle wzrost wpływów polskich w krajach bałtyckich osamotniły Litwę.

6 marca, rok 1920, sobota
Z Lusią Roszkowską stosunek mój od dawna wrócił do normy. Mój list lutowy do niej tylko na tydzień zamącił dawny tryb tego stosunku. Przez ten pierwszy tydzień Lusia miała wyraz pogrzebowy, była pełna na zewnątrz tragizmu. Potem stopniowo poweselała i ja także wróciłem do dawnego traktowania jej, jak gdyby nic nie zaszło. Znowu usiłuję ją ucałować w usta, gdy się z nią wieczorami sam na sam w sądzie spotykam, ona mi pocałunku tego nie daje, za to całować ją mogę bez żadnych przeszkód po twarzy, włosach, szyi, pieścić dłońmi, gdzie mi się spodoba, nie wyłączając jej nagich piersi przez wycięcie gorsażu, nazywać po imieniu na „ty” – słowem pieścić się i bawić jak laleczką żywą, byle na cztery oczy, z zachowaniem wszelkich pozorów wobec ludzi i byle bez konsekwencji bezpośrednio płciowych. Zdaje mi się jednak, że ta „miłość” Lusi jest tylko miłostką, której głównymi elementami są: pragnienie pieszczoty męskiej, lekki szum zmysłów i ambicja, żeby być pożądaną i kochaną; jest także pewna naturalna ciekawość z jej strony skosztowania przedsmaku uczty zmysłowej i przyjrzenia się grze iskier namiętności męskiej. Lusia nie wyrzekła do mnie słowa „kocham”, ale mówi o swej do mnie miłości przejrzystymi alegoriami; raz tylko jeden na moje zapytanie: „Lusia – moja?” odrzekła „Twoja!”. Poza tym jednym razem nigdy mi nie powiedziała „ty” i nie wyznała bezpośrednio miłości. Jednak wyznanie to pali jej usta i drży niecierpliwie w jej woli. Widocznym jest jednak, że wyznania nie chce oświadczyć inaczej, jak w odpowiedzi na moje wyznanie miłości. Toteż wciąż mię wyzywa na wyznanie, ale ja umyślnie go unikam i uchylam się od powiedzenia jej w oczy „kocham”, co ją nieraz drażni i niecierpliwi. Napisałem jej to w liście, ale w oczy powtórzyć nie chcę, aby się nie skrępować w tym stosunku i nie dopowiadać konsekwencji tego słowa. Mam przeświadczenie, że jednak ta „miłość” Lusi nic tragicznego w sobie nie zawiera i nie jest nawet uczuciem zbyt głębokim, mogącym mieć wpływ decydujący w jej życiu. Jest to miłość o barwach i konturach lekko zmysłowych, połowicznych, jak połowicznymi bywają mdłe panienki,

które pozostają w ramach konwenansu i dobrze się w nich czują, nie znając wcale surowej prawdy namiętności i głębokich elementów, którym na imię – Miłość. Panna – to jak cielęcina: jej uczucia i zmysły, jej sam instynkt życia – jest wiotki, galaretowaty, nie skondensowany w osobowość jedną, mocną w uczuciach i pożądaniach – tragiczną. Panna – to jeszcze nie człowiek, to dopiero wniosek człowieka. Dopiero w ogniu wielkich przeżyć i doświadczeń hartuje się z dziewicy kobieta. Lusia jest jeszcze tą cielęciną, ciekawą życia, ale nie żyjącą. Konwenans też u niej gra rolę bardzo dużą. Nie chcę ją przemienić na kobietę. Niech pozostanie najdłużej, jaką jest.

7 marca, rok 1920, niedziela
Dziś sfotografowałem się na pożegnanie i na pamiątkę z personelem kancelarii wydziału karnego odwoławczego, w którym przewodniczyłem i z kolegą sędzią Chabowskim, który obejmie po mnie przewodnictwo wydziału. W grupie, oprócz mnie i Chabowskiego, wzięli udział pracownicy kancelarii wydziału i podsekretarz Flery i panny Lusia Roszkowska, Helena Mścichowska i Julia Jurago. Na fotografii usiadłem w zielonej szarfie sędziowskiej z metalowym orłem w wieńcu pośrodku szarfy, co jest symbolem godności sędziowskiej w sądownictwie polskim. Przez 2 i ½ lata piastowałem godność sędziego i szarfę tę nosiłem. Niech więc na fotografii mam ten znak na sobie na pamiątkę.
Od kilku dni mamy śliczny wiosenny czas, pełny ciepła, powiewów aromatycznych ziemi, które przenikają z pól i z łąk nadnarwiańskich aż w smrodliwe ulice Łomży, i świergotu ptactwa. Wiosna idzie!

8 marca, rok 1920, poniedziałek
Dowiedziałem się od sędziego Skarzyńskiego, że ogólne zebranie sądu udzieliło mi urlopu. Więc już w przyszłym tygodniu wyjadę. W tym tygodniu muszę jeszcze przeprowadzić dwie ostatnie moje sesje apelacyjne – we środę i w sobotę.
Przeczytałem wczoraj w „Echu Litwy", że w Wilnie zaniechano „wizowania" przepustek na linię demarkacyjną, to znaczy do Litwy Kowieńskiej. Być może, że powstaną w Wilnie trudności w uzyskaniu dla mnie pozwolenia na dalszy przejazd, ale mam nadzieję, że je przy pomocy moich dawnych przyjaciół z grupy Abramowicza – pokonam.
Z Wilna zapewne wypadnie mi pojechać jeszcze do Obodowiec do Elwiry w interesie lasu w Wiązowcu. Są tam na gruncie dalszych lasów Wiązowca ciągłe tarcia między Elwirą a jej mężem Stefanem. Ja jestem solidarnym z Elwirą, a że mam udział we własności Wiązowca, więc oczywiście głos mój będzie ważył w decyzjach, tym bardziej, że Stefan liczy się ze mną, a Elwirze chodzi o moje poparcie, jestem bowiem puklerzem dla niej.
Jedna jeszcze rzecz mię porusza w związku z powrotem do Litwy – to nadzieja zobaczenia się z moją córeczką Cesią, a przynajmniej otrzymywanie o niej wiadomości. Z biegiem czasu tęsknota do córki rośnie w moim sercu. Nawet, jeżeli mam wyznać prawdę – nie jest mi obca myśl wznowienia związku małżeńskiego z Reginą. Regina sama jest młoda i ładna i związek z nią połączyłby mię z córką – toteż możliwość taka nie jest do pogardzenia. Czy możliwe jest, żeby na dnie serca Reginy nie pozostało ani krzty uczucia dla mnie? Wszak jednak memu sercu nie jest ona tak całkiem obca! Pozostało jednak we mnie, pomimo wszystko, coś jakby aureola uczucia dla niej. Jest ona prawa i zacna, mimo dziwactwo i kaprysy. Ze związku tego moglibyśmy jeszcze mieć syna. Jeden jest wszakże największy szkopuł – to obecność nieszczęsnej Francuzki, panny Elizy Courtot. Regina się chyba na rozstanie z nią nie zdecyduje, a

małżeństwo nasze byłoby możliwe tylko bez niej. Gdyby nie Francuzka, gotów bym się bardzo łatwo na wznowienie związku z Reginą zdecydować.

9 marca, rok 1920, wtorek
Zimno. Śnieg pada. Wprawdzie nie utrzymuje się i topnieje, ale jest przenikliwe zimno w wilgotnym powietrzu.
Depesze doniosły o sukcesie oręża polskiego na poleskim odcinku frontu bolszewickiego. Od dłuższego czasu bolszewicy atakowali na tym odcinku, a chociaż wzmacniają oni stale swoje siły na froncie polskim, dowożąc nowe oddziały wojskowe z frontu południowego i wschodniego, jednak nic realnego nie wskórali i linii polskiej nie zruszyli z miejsca. Tymczasem Polacy uderzyli i zajęli Kolenkowicze i Mozyrz, co podobno stanowi znaczny sukces strategiczny. Dokonał tego pułkownik Sikorski, ten sam Sikorski niegdyś z Departamentu Wojskowego NKN, kierownik b. polityki austrofilskiej w Legionach, b. przeciwnik polityczny Piłsudskiego. Obecnie w działaniu czynnym na wojnie Sikorski zachowuje się dzielnie; jest to nie pierwszy czyn jego. Sukcesy oręża polskiego bardzo znacznie podnoszą autorytet Polski wobec plejady państewek graniczących z Rosją, jak Rumunia, Ukraina, Łotwa, Estonia, Finlandia i dźwigają one Polskę do roli ośrodka koncentracji tych państewek, co wpływa na coraz większe osamotnienie Litwy, mającej spór zasadniczy z Polską i przeciwstawiającej się jej przeto. Politycznie wzrost autorytetu polskiego na wschodzie szachuje politykę litewską i zmusza ją do coraz usilniejszego orientowania się w kierunku protekcji angielskiej.

10 marca, rok 1920, środa
Przedostatnia moja sesja. Była to sesja apelacyjna – innych już obecnie nie mam. Spraw było na wokandzie 18, ławnicy: Rdułtowski i Joffe (sprawiedliwy łomżyński Joffe, perła Izraelitów w Łomży, człowiek czysty jak kryształ, abnegat, ofiarny zawsze i świadczący dobro ludziom, stary Żyd gołębiego serca); podprokurator Maciejewski; sekretarz: Flery.
Sesja trwała do godz. 8 wieczorem, świadków bowiem było dość dużo i w kilku sprawach stawali adwokaci. Pod względem doboru spraw było wielkie urozmaicenie, co się na moich sesjach apelacyjnych rzadko zdarza, miałem bowiem system wyznaczania jednolitych sesji, to znaczy wyznaczanie na jedną sesję samych spraw na przykład leśnych (art. 642 KK), na inną – samych kradzieży (art. 81 KK), na trzecią znów – samych przywłaszczeń (art. 574 KK), na czwartą – samych zniesławień (art. 31 KK) itd. Ile możności, przestrzegałem tej jednolitości doboru spraw na poszczególne sesje, chyba że trafiały się sprawy o takie przestępstwa, które były rzadkie i z których jednolitej całkowitej sesji ułożyć niepodobna – to wtedy układałem wokandę mieszaną. Czyniłem to ze względu na uproszczenie techniki sądzenia, ale przekonałem się, że system jednolitych sesji, technicznie poniekąd dogodny, ma tę wadę, że czyni sesję nudną, co działa znów ujemnie z innego względu, albowiem nuda i monotonność toku spraw przytępia bystrość funkcjonowania umysłu sędziowskiego. Gdybym miał nadal pracować w zawodzie sędziowskim i układać wokandy, porzuciłbym ten system jako niepożądany.
Zamykam dziennik i spieszę do kawiarni na gazety. Odkąd gazety tak podrożały, że za jeden egzemplarz dziennika trzeba płacić księgarni po 1 mk. 20 fen., a na ulicy od chłopców po 1 mk. 50 fen., jest czystym rachunkiem chodzić na gazety do kawiarni, zamiast je kupować. Za 1 mk. 15 fen. mam pół szklanki kawy czarnej i gazetę czytam bezpłatnie. Czyli że czytając gazety w kawiarni mam gazetę plus kawę albo raczej to, co się kawą zowie (chyba dlatego, że barwa tego trunku jest czarna i ma smak

spalenizny, co poniekąd zbliża ten trunek do kawy), za tę samą cenę, za jaką bym kupił gazetę bez kawy, a nawet jeszcze zaoszczędzam aż 5 fenigów. W dodatku jeszcze mogę za tę cenę nie jedną, lecz wszystkie gazety przeczytać. Uczęszczanie do cukierni stało się więc dla czytelników gazet wprost interesem zyskownym, tym bardziej, gdy brak ciastek i przysmaków w cukierni nie wwodzi w żadne zgoła pokuszenie, niebezpieczne dla kieszeni.

11 marca, rok 1920, czwartek
Spędziłem po obiedzie i wieczór u Kotuni Pruszanowskiej. Co dzień bywam u niej, ale zwykle krótko. Dziś wyjątkowo zasiedziałem się, bo w czasie mojego u niej pobytu przyszedł z wizytą hrabia Łubieński i zabawił do zmroku, a następnie Kotunia zatrzymała mię na kolację. Rozmawialiśmy z hrabią, potem przypominaliśmy z Kotuńką wieczorem różne drobne epizody z naszego kochanego dzieciństwa, wreszcie Kotuńka pokazywała mi fotografie amatorskie z r. 1918 z Parycz, które przysłał dziś z Berlina narzeczony Hali Pruszanowskiej, Niemiec, b. oficer z czasów Wielkiej Wojny. Zanotuję jeden ciekawy szczegół, opowiedziany przez Kotunię w rozmowie z hrabią. Jest to ilustracja do epizodu z parobkiem bohdaniskim Łasińskim, opisanego w mojej „Litwie"; Łasiński chłop-Litwin, syn matki-szlachcianki, która, dla nadania synowi większego poloru cywilizacyjnego i dla pozostawienia w nim śladów swego szlachectwa, nauczyła go pacierza po polsku, mówił w „Wierzę w Boga" zamiast „stworzyciela nieba i ziemi" – „truciciela nieba i ziemi". Rozmowa nasza nie dotykała dziś bynajmniej mojej „Litwy" ani opisanego w niej epizodu z Łasińskim, którego Kotunia nawet nie zachowała w pamięci. Kotunia jest bardzo gorliwą nie tylko Polką, ale w intencjach swoich, nawet polonizatorką Litwy i Białej Rusi, jak również politycznych praw Polski do tejże – jest między innymi ten fakt, że katolicy Białorusini tradycyjnie wiążą sprawy religijne z językiem polskim i mówią pacierz po polsku, choć nawet języka tego, a więc i treści swego pacierza – nie rozumieją. Dla ilustracji zacytowała takie oto przykłady metamorfoz pacierza polskiego w ustach Białorusinów, nie rozumiejących po polsku: w „Ojcze nasz" zamiast „nie wwódź nas na pokuszenie" pewien Białorusin mówi „nie wódź nas po kieszeniach"; w „Wierzę w Boga" zamiast „Przed ponckim Piłatem" mówi – „przed pańskim piernatem". Są to wzorki klasyczne „polskiego pacierza" Białorusina, który na swój sposób upraszcza pacierz, stosownie do swej sfery pojęć i znajomości słów języka polskiego. Zdawałoby się, że są to wzorki karykatury, wymyślone dla wyszydzenia polskiego „pacierza" synów upośledzonego narodu, którzy gardzą własną mową i gonią za obcą formą, naśladując to, czego nie umieją i kalecząc zarówno język, jak i pacierz. Ale przecie opowiada o nich Kotunia, która daleka jest od chęci wyszydzania tego zjawiska i tworzenia sztucznych karykatur, dla przekonania interlokutora, że każdy powinien szanować własna mowę, nie uganiać się za obcą, mówić pacierz do swego Boga w języku, który mu dał Pan Bóg. Przeciwnie – Kotunię wzorki te rozczulają i służą dla niej argumentem polskości Białorusinów i Białej Rusi, toteż nie ma powodu wątpić w rzeczywistość takich „pacierzy" na Białej Rusi. To nie karykatura, zmyślona przez wroga takiego „pacierza", lecz wyszydzenie zjawiska, to – przykłady rzecznika *bona fide* tychże zjawisk.

12 marca, rok 1920, piątek
Dla rozmaitości zacytuję kilka drobnych anegdotycznych epizodów z dzieciństwa naszego, przypomnianych wczoraj przy herbatce przez Kotuńkę, która, jako najstarsza z naszego rodzeństwa, najlepiej z nas wszystkich zachowała je w pamięci, nie tylko z opowiadań Mamy, ale już ze swoich bezpośrednich wrażeń. Oto parę takich obrazeczków z natury prostych i naiwnych, jak samo dzieciństwo:

1. Dzień 5 maja r. 1880 (starego stylu) – data moich urodzin; Mama jest świeżutko po połogu; dopiero co się urodziłem; gdy już zasnąłem, do pokoju wpuszczają moje siostrzyczki, ciekawe, by zobaczyć braciszka, co jest dla nich wielką nowiną, bo dotąd braciszka nie było; dzieci wchodzą cichutko, na palcach; w pokoju zmrok; Kotunia, Elizka, Helcia, Elwira; dwuletnia Marynia jeszcze im nie towarzyszy; Mama mówi im, żeby się zachowały cicho i nie spłoszyły snu braciszka, którego im Pan Bóg przysłał, mówi, żeby braciszka kochały i opiekowały się nim, a potem, gdy dorośnie, to on się niemi będzie opiekować; dodaje, że gdy mały braciszek podrośnie, to one go będą uczyły czytać; dziewczynki wychodzą; Elwira słuchała przemowy Mamy uważnie, w skupieniu trzymając ołówek pod brodą, zwykłym swoim gestem przyciskając go brodą do szyi – z ołówkiem nie rozstawała się, mając od dziecka zamiłowanie do rysunku; w jakieś pół godziny potem Mama, leżąc w łóżku, widzi, że drzwi się uchylają i jakaś istotka, nie sięgająca wzrostem do klamki, wsuwa się do pokoju, niosąc jakąś ogromną książkę, z tych książek z obrazkami dla małych dzieci, prawie że większą od tej, która ją niesie; to wchodzi Elwira; na pytanie Mamy, po co przychodzi, zapytuje z powagą głosem przyciszonym: czy już można zacząć braciszka uczyć czytania? Gorliwa „nauczycielka", która sama ledwie sylabizowała litery, płonęła niecierpliwością udzielenia swej wiedzy braciszkowi.
2. W parę lat potem; mniej więcej w r. 1889; rodzice nasi wyjechali z Bohdaniszek; Mama pojechała, zdaje się, do Włoch do łoża swego ciężko śmiertelnie chorego ojca, dziadziunia Mieczysława Tukałły; gdzie był Papa – nie wiem; może nawet był został w Bohdaniszkach; słowem – na czas nieobecności Mamy dwoje najmłodszych dzieci, Marynię i mnie, wywieziono z niańką do Antuzowa do państwa Ledóchowskich w sąsiedztwo Bohdaniszek; ze starą hrabiną Ledóchowską i jej ułomnym synem nieżonatym, p. Bronisławem Ledóchowskim z Antuzowa – Mama i zresztą oboje rodzice nasi bardzo się przyjaźnili; w Bohdaniszkach zawsze co niedzielę dzieci dostawały kawę; była to raczej słodzona śmietanka z kożuszkiem i kawą, niż kawa ze śmietanką, lubiliśmy tę kawę niedzielną, która zapewne stanowiła właściwe „*clou*" niedzieli, różniące niedzielę od dnia powszedniego; w Antuzowie mija tydzień, mija drugi, mija trzeci; wreszcie razu pewnego przy stole nagle wśród ciszy, która zapanowała wśród starszych, podnoszę głos i zapytuję: czy tu nigdy nie bywa niedzieli? Wszyscy zdziwieni zapytaniem, pytają mię, dlaczego tak sądzę; odpowiadam: bo tu nigdy nie ma kawy; odtąd co niedziela piliśmy w Antuzowie kawę.
3. W parę lat później; Mama, słysząc głos i płacz w pokoju (późniejszy pokój Elwiry w Bohdaniszkach), gdzie się bawią najmłodsze dzieci, podąża tam w charakterze sędziego i rozjemcy; wchodzi i zastaje scenę taką: ja siedzę na niziutkim dziecinnym stołku przy niziutkim stole i, mając przed sobą czerwony drewniany kieliszek taki, jakie się używa do jaj, symbolizujący w tej potrzebie szklankę, raz po raz sięgam do niego łyżeczką, którą następnie podnoszę do ust, jakbym coś pił; Marynia krząta się i coś miesza w kubku, postawionym na małym występie komina przy piecu; krząta się i płacze rzewnymi łzami; Mama pyta ją o przyczynę łez; Marynia z przejęciem tłumaczy: „Ja jemu gotuję kawę; kawa jest doskonała, czysta, bez fusów, a on mówi, że z fusami"; na to ze spokojem i powagą replikuję ja: „Ona chce, żebym mówił, że kawa jest bez fusów; ale jakże ja mogę powiedzieć, że jest bez fusów, kiedy są fusy"; sprawiedliwa Mama bada rzecz – zagląda do kubka Maryni i do mojego kieliszka; i kubek, i kieliszek są puste; nie ma ani kawy ani nawet żadnego płynnego surogatu; dzieci po prostu bawią się pustymi naczyniami, wyobrażając gotowanie i picie kawy; realnie o fusach nie może być mowy, ale w wyobraźni kawa jest rzeczywista i w przekonaniu Maryni jest dobra, bez fusów, w moim – z fusami; i ta wyobraźnia tak nas sugestionuje, że sprzeczamy się aż do łez o to, czy są fusy w kawie, czy ich nie ma.

O, złote czasy dziecinne! O, kochane zabawy, troski, smutki, wrażenia tego wieku, kiedy człowiek jest prosty, naiwny i zabawny! Mama pamiętała i umiała po mistrzowsku opowiadać setki takich naiwnych anegdotycznych obrazków z naszego dzieciństwa.

13 marca, rok 1920, sobota
Ostatnia moja sesja sądowa w Sądzie Okręgowym w Łomży. Chyba ostatnia, bo w przyszłym tygodniu zamierzam już wyjechać. Od poniedziałku 15 marca korzystam już formalnie z urlopu. Choć na razie wyjeżdżam tylko na urlop – bez dymisji – to jednak sądzę, że będzie to już wyjazd ostateczny, bez powrotu. Ciekaw jestem, czy sesja dzisiejsza będzie w ogóle ostatnią dla mnie, to znaczy będzie epilogiem mojego zawodu sędziowskiego, czy tylko zakończeniem jednego z etapów tegoż zawodu? Jestem w położeniu takim, że sam nie znam mojej najbliższej przyszłości, która ma dla mnie samego jeszcze kształty mgławicy. Zresztą moje życie tak się układa, że wciąż wobec takich mgławic własnej przyszłości staję. Tak samo było, gdym w r. 1917 opuszczał Szczypiornę, podobnie było, gdym w r. 1915 wyjeżdżał z Wilna z myślą o Legionach, podobne też sytuacje były w r. 1905, 1906, 1907 i 1909.
Sesja dzisiejsza, apelacyjna, zamykająca moją działalność sędziowską w Sądzie Okręgowym w Łomży, a zapewne i w sądownictwie polskim, składała się z samych spraw o zniesławienie. Zakończyłem więc moją działalność jako sędzia honoru ludzkiego. Na tej ostatniej mojej sesji miałem za ławników: niejakiego Kołodziejskiego, ziemianina z powiatu w. mazowieckiego i Walerego Bielickiego z Łomży. Wniosek stawiał młody podprokurator Szydłowski, sekretarzem był Flery, woźnym był stary charakterystyczny brodacz Poteraj.
Wieczorem po sesji moi koledzy sędziowie karni Skarzyński i Chabowski wraz z prokuraturą w osobach prokuratora Sienickiego i podprokuratorów Maciejewskiego i Szydłowskiego żegnała mię sznapsem i przekąską w restauracji Czochańskiego. Urzędowe pożegnanie mię przez sąd kolacją, która była pierwotnie projektowana, zostało, jak mi wiadomo, zaniechane. O zaniechaniu go zadecydowały, zdaje się, względy drożyzny i oszczędności, podniesione przez sędziów wydziału cywilnego. Rzeczywiście dla takich sędziów, jak Duszyński i zwłaszcza Makowski, którzy, obarczeni rodzinami, wobec niskiej skali płacy, zmuszeni szukać nawet dodatkowych źródeł dochodów (Duszyński pobiera diety za przewodniczenie w komisji rejestracji strat wojennych, Makowskiego żona zarabia jako kancelistka w tejże komisji), ledwie wiążą końce z końcami, wydatek kilkudziesięciu, a może i 100 mk. na jakąś ucztę pożegnalną kolegi – jest ponad możność. Zamiast więc uczty pożegnalnej było zaprojektowane uroczyste pożegnanie w samym gmachu sądowym – oczywiście z okolicznościowymi mowami. Ale zdaje się, że i to będzie zaniechane, bo mam wrażenie, że w ogóle prezes Filochowski, z którym mam stosunki dość oziębłe i który, o ile ogół pracowników sądowych mię lubi, o tyle mię nie lubi, nie kwapi się z tym i nie bardzo tego pragnie, wymówkę zaś podaje innym tę, że pożegnanie jest nieaktualne wobec tego, że wyjeżdżam tylko na urlop. Na pompie uroczystej urzędowego pożegnania nie zależy mi, co zaś do serca, to go tutaj tyle nie zdobyłem, ile mi go świadczono w Kolnie i ile tam byłem rzeczywiście kochany. Pożegnanie dzisiejsze z prokuraturą i sędziami karnymi miało charakter bibki koleżeńskiej, całkiem prywatnej, która upłynęła na pogawędce z wódką i jadłem, bez żadnych mów, bez żadnej uroczystości, bez czynienia zresztą z mojej osoby jakiegoś „*clou*” wieczoru.

14 marca, rok 1920, niedziela

Fotografia grupy pracowników wydziału apelacyjnego karnego ze mną i Chabowskim na czele, wykonana w niedzielę ubiegłą, nie podobała się naszym pannom; rzeczywiście, była niezbyt dobra, a zresztą panny są w ogóle kapryśne, gdy chodzi o ich podobizny: wydają się sobie zawsze w reprodukcji nie dość przystojne, o ile specjalnie fotografia je nie upiększyła. Wobec tego dziś poszliśmy znowu do fotografa dla powtórnego sfotografowania się. Zapomniałem tylko wziąć ze sobą mojej szarfy sędziowskiej, która przeto uwieczniona już nie będzie.
Ponieważ organizm mój ujawnia wielką i, zdaje się, rosnąca wciąż skłonność do tycia i narastania brzuszka, który nie jest ani ozdobnym, ani przyjemnym balastem, postanowiłem rozpocząć walkę systematyczną z tym objawem. W tym celu będę, po pierwsze, co dzień rano wprost z łóżka przed ubieraniem się wykonywać gimnastykę szwedzką, ćwicząc ruchy całego ciała (szyi, rąk, bioder, nóg), po drugie – co dzień rano odbywać dłuższą przechadzkę pieszą, o ile tylko deszcz lub błoto nie przeszkodzi, po trzecie – zaniecham jadania na wieczór przed snem. Wszystkie te trzy środki są bardzo skuteczne. Będę to czynił i teraz, i po wyjeździe z Łomży stale, gdziekolwiek będę. Dziś, pomimo szalonego wiatru, odbyłem dużą przechadzkę z Łomży przez drugi most na Narwi, przez Piątnicę i z powrotem przez groblę piątnicką i most do Łomży.

15 marca 1920 r., poniedziałek
Kończę ten łomżyński tom dziennika – tę „czerwoną książeczkę”, jak ją Lusia Roszkowska nazywała. Koniec tomu zbiega się z końcem mojego pobytu w Łomży na stanowisku sędziego okręgowego, gdy początek jego zbiegał się z początkiem mojego urzędowania sędziowskiego w Łomży. Tom ten zasługuje przeto w zupełności na tytuł łomżyńskiego. Wieczorem otrzymałem depeszę od p. Teodozji Kochanowskiej, datowaną z Warszawy tej treści: Dziękuję serdecznie za list, jestem na urlopie w Warszawie do 20 marca, może Pan przyjedzie, mój adres Jerozolimska 61 Ekerbunst, czekam odpowiedzi, serdeczne pozdrowienia. W ostatnim moim liście do Kochanowskiej po raz pierwszy otwarcie scharakteryzowałem nasz stosunek przyjaźni jako wypływający z gorącego źródła uczucia, to znaczy przyjaźń wyrosła na podłożu miłości. Choć w istocie miłość była tylko z jej strony, z mojej bowiem tylko sympatia i wdzięczność, jednak oczywiście tej jednostronności miłości w liście nie precyzowałem. Ten list mój musiał bardzo ująć pannę Kochanowską. Przypuszczam, że z jej strony jest i dotąd nie tylko przyjaźń, ale także miłość, głęboka, żywa, wrosła już w jej naturę. Nie pojadę jednak na jej wezwanie do Warszawy, gdybym nawet mógł to uczynić. Wolę zachowanie naszego stosunku w korespondencji; w tej formie jest on bardzo piękny i miły, pełny gorącej serdeczności i żywy. Kto wie, czy spotkanie się nie rozczarowałoby nas ku sobie. Różnimy się już bowiem od tych, jakimiśmy byli w czasach naszej znajomości bezpośredniej i jakimiśmy pozostali sobie nawzajem w pamięci. Przypuszczam, że lepiej dla naszego stosunku, abyśmy zostawili cząstkę wyobraźni i dawnym naszym wrażeniom o sobie bez poddawania ich korektywom i sprawdzianom fizycznej teraźniejszości naszej. Mówię otwarcie i obawiam się, aby spotkanie się nie zaszkodziło naszemu stosunkowi, który jest tak piękny i miły, że by mi go było prawdziwie żal. Raczej spotkajmy się, gdy już będzie prawdziwa starość.